



PAUL THEROUX

# SZCZĘŚLIWE WYSPY OCEANII

WIOSŁUJĄC PRZEZ PACYFIK

[ORIENT EXPRESS]



SERIA ORIENT EXPRESS

Już w księgarniach:

Paul Theroux, *Pociąg widmo do Gwiazdy Wschodu.*

*Szlakiem „Wielkiego bazaru kolejowego”*

Colin Thubron, *Po Syberii*

Ted Conover, *Szlaki człowieka. Podróże drogami świata*

Colin Thubron, *Utracone serce Azji*

Hugh Thomson, *Tequila Oil, czyli jak się zgubić w Meksyku*

Paul Theroux, *Safari mrocznej gwiazdy. Łądem z Kairu do Kapsztadu*

Wolfgang Büscher, *Hartland. Pieszko przez Amerykę*

John Gimlette, *Dzikie wybrzeże. Podróż skrajem Ameryki Południowej*

Colin Thubron, *Cień Jedwabnego Szlaku*

Rory Stewart, *Między miejscami. Z psem przez Afganistan*

Colin Thubron, *Góra w Tybecie. Pielgrzymka na święty szczyt*

Tony Anderson, *Chleb i proch. Wędrówka przez góry Gruzji*

John Gimlette, *Teatr ryb. Podróże po Nowej Fundlandii i Labradorze*

Hugh Thomson, *Biała Skała. W głąb krainy Inków*

Colin Thubron, *Za murem. Podróż po Chinach*

Paul Theroux, *Jechałem Żelaznym Kogutem. Pociągiem przez Chiny*

Paul Theroux, *Ostatni pociąg do zona verde. Łądem z Kapsztadu do Angoli*

Paul Theroux, *Stary Ekspres Patagoński. Pociągiem przez Ameryki* (wyd. 2)

Paul Theroux, *Wielki bazar kolejowy. Pociągiem przez Azję* (wyd. 2)

**Paul Theroux**

# **Szczęśliwe wyspy Oceanii**

**Wiosłując przez Pacyfik**

Przełożył Michał Szczubiałka



**Wołowiec 2017**

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Tytuł oryginału angielskiego *The Happy Isles of Oceania: Paddling the Pacific*

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka

Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl

Fotografia na okładce © by John Bryson / Getty Images

Copyright © 1992, Cape Cod Scriveners Co. All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarne, 2017

Copyright © for the Polish translation by Michał Szczubiałka, 2017

Redakcja Anastazja Oleśkiewicz

Korekta Jan Seweryn / d2d.pl, Iwona Łaskawiec / d2d.pl

Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl

Skład Alicja Listwan / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8049-469-5

# Spis treści

*Seria*

*Strona tytułowa*

*Strona redakcyjna*

*Dedykacja*

*Motto*

## **Część pierwsza Meganezja**

rozdział\_pierwszy\_

Nowa Zelandia: Kraj Długiej Białej Chmury

rozdział\_drugi\_

Nowa Zelandia: przez lasy deszczowe Wyspy Południowej

rozdział\_trzeci\_

Bicie piany w białej Australii

rozdział\_czwarty\_

Wędrówka w Woop Woop

rozdział\_piąty\_

Na północ od Never-Never

## **Część druga Melanezja**

rozdział\_szósty\_

W siódmym niebie na spokojnych Trobriandach

rozdział\_siódmy\_

Schodzę na ziemię na niespokojnych Trobriandach

rozdział\_ósmy\_

Wyspy Salomona: przybity i brudny na Guadalcanal

rozdział\_dziewiąty\_

Wyspy Salomona: pola łęgowe na Savo

rozdział\_dziesiąty\_

Vanuatu: ludożercy i misjonarze

rozdział\_jedenasty\_

Najdziwniejsza wyspa Vanuatu

rozdział\_dwunasty\_

Podzielona wyspa Viti Levu

rozdział\_trzynasty\_

Fidzi: Vanua Levu i wysepki w zatoce Bligh Water

## **Część trzecia Polinezja**

rozdział\_czternasty\_

Tonga: królewska wyspa Tongatapu

rozdział\_piętnasty\_

Tonga: sam na pustych wyspach Vava'u

rozdział\_szesnasty\_

W zapadłych zakątkach Samoa Zachodniego

rozdział\_siedemnasty\_

Samoa Amerykańskie: zaśmiecona laguna

rozdział\_osiemnasty\_

Tahiti: zaciszny brzeg wyspy miłości

rozdział\_dziewiętnasty\_

Podróż na Markizy

rozdział\_dwudziesty\_

Wyspy Cooka: w lagunie Aitutaki

rozdział\_dwudziesty\_pierwszy\_

Wyspa Wielkanocna: za strefą przyboju Rapa Nui

rozdział\_dwudziesty\_drugi\_

Wyspa Wielkanocna: stary slip w Tongariki

## **Część czwarta Raj**

rozdział\_dwudziesty\_trzeci\_

O'ahu: szpiegowanie w Honolulu

rozdział\_dwudziesty\_czwarty\_

Kaua'i: w ślad za delfinami na wybrzeżu Nā Pali

rozdział\_dwudziesty\_piąty\_

Ni'ihau i Lāna'i: ludzie jak wyspy

rozdział\_dwudziesty\_szósty\_

Big Island: wiosłowanie w stanie łaski

*Przypisy*

*Kolofon*

*Dla Mee Ling Loo i Sheili Donnelly*

Błogosław, Boże, wyspom życzliwym,  
Gdzie nie przychodzi nakaz ni wezwanie;  
Błogosław, Boże, Republikom sprawiedliwym,  
Co dają człowiekowi mieszkanie...

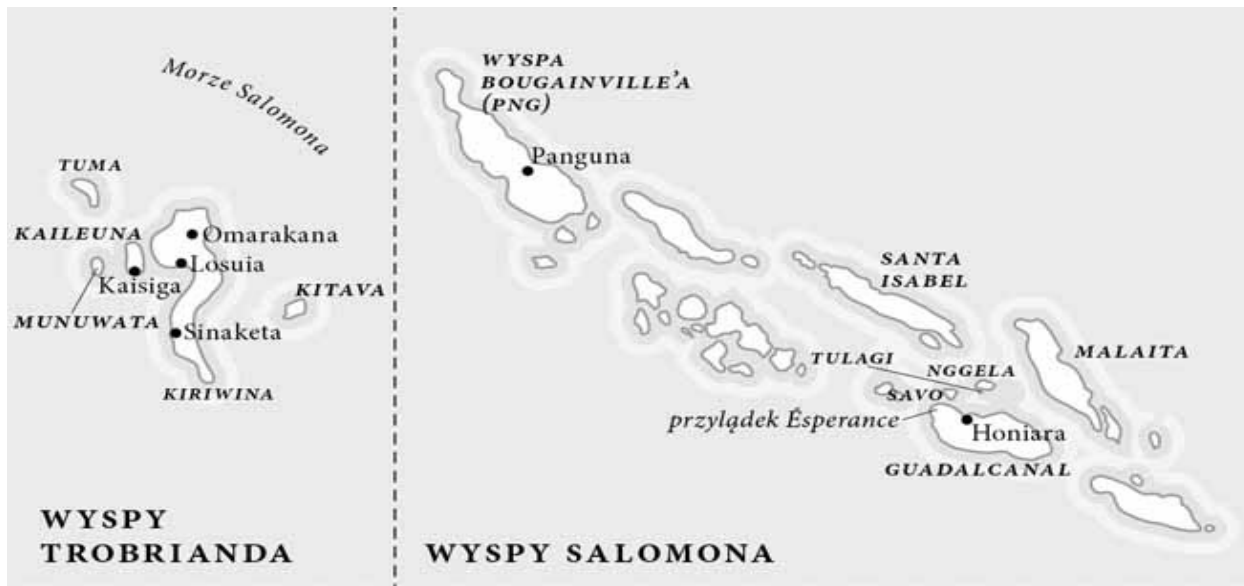
Rudyard Kipling, *The Broken Men*

Nie jest za późno, moi przyjaciele,  
By świata jeszcze innego poszukać.  
Odwiążcie cumy, chwycicie wiosła w ręce,  
W rozkołysane bruzdy bijcie nimi,  
Bo jest mą wolą aż na skraj Zachodu,  
Aż tam, gdzie gwiazdy się kąpią, żeglować,  
Póki nie umrę. Może nas pochłona  
Wiry głębokie, a może dotkniemy  
Błogosławionych Wysp...

Alfred Tennyson, *Ulisses*, przeł. Z. Kubiak











**Część pierwsza**

**Meganezja**

## rozdział\_pierwszy\_

### Nowa Zelandia: Kraj Długiej Białej Chmury

**W angielszczyźnie** brak słowa pożegnania na tak posępne okazje. Pewnego zimowego dnia w Londynie rozstałem się z żoną i obydwójce czuliśmy się podle, bo wyglądało na to, że to koniec naszego małżeństwa. W głowach kołatało się pytanie: „Co teraz?”. Rozdzierający smutek. Nie wyobrażałem sobie życia bez niej. Próbowałem się pocieszać, mówiąc sobie: „To właściwie tak, jak gdybym wyruszał w podróż”, bo przecież podróż, jeżeli nie pozbawia życia, to je przemienia, chociaż obawiałem się, że w trakcie tej podróży będę w istocie żył tylko w połowie.

Kiedy zostałem sam, z przyzwyczajenia spałem po lewej stronie łóżka i budząc się z pustką u boku, coraz boleśniej doświadczałem samotności. W końcu poczułem się tak okropnie, że uznałem, iż trzeba iść do lekarza.

– Ciśnienie krwi masz doskonałe – powiedziała pani doktor, u której stale się leczę – ale to mi się nie podoba.

Dotknęła przebarwienia na moim ramieniu. Użyła zwodniczo melodyjnej nazwy „melanoma”. Na dźwięk tego miana pomyślałem o Melanezji, Czarnych Wyspach. Ostatecznie lekarka wycięła czarne znamię, założyła cztery szwy i powiedziała, że da mi znać, jeżeli ten skrawek skóry, biopsja wielkości *hors-d'œuvre*, coś wykaże.

– To znaczy, jeżeli to złośliwe.

Dlaczego te okropieństwa mają takie ładne nazwy?

Licząc na to, że pokrzepią mnie swojskie widoki i odgłosy miejsca urodzenia, pojechałem do Bostonu, ale byłem zbyt przybity, żeby zostać. W domu bywa tak smutno. Pewnego dnia odebrałem wiadomość z Melbourne, w której pytano: „Czy miałby Pan czas i ochotę na trasę promocyjną po Nowej Zelandii i Australii?”. Każdy pretekst jest dobry, pomyślałem. Ruszyłem więc dalej, wzięwszy namiot, śpiwór i składany kajak. Zmierzałem na zachód,

samolotem, przez Chicago, San Francisco do Honolulu, gdzie, żeby się rozweselić, zdjąłem wielki bandaż chroniący szwy na ramieniu i zastąpiłem go żółciutkimi przylepcami z pudełka opatrzonego wizerunkiem kota Garfielda.

Leciałem dalej, coraz dalej w Pacyfik, dumając o tym, że samoloty są właściwie jak siedmiomilowe buty. Jutro mogę wylądować w Nowej Zelandii albo na Wyspie Wielkanocnej. Mimo to Pacyfik jest ogromny. Stanowi połowę otwartych wód świata, zajmuje jedną trzecią powierzchni Ziemi.

To więcej niż ocean, właściwie wszechświat, a jego mapa wygląda jak fotografia nocnego nieba. Ten ogrom wody przypomina niebiosy, odwrócenie ziemi i nieba, tak że wydaje się kosmosem, bezmierną pustką, w której niewydarzone wysepki migoczą niczym gwiazdy, archipelagi zaś są układami słonecznymi, a Polinezja to najprawdziwsza galaktyka.

– Byłem wszędzie na Pacyfiku – pochwalił się mężczyzna siedzący obok mnie. Mieszkał w Kalifornii, na imię miał Hap. – Bora-Bora. Moora-Moora. Tora-Tora. Fudzi.

- Fidzi – powiedziała jego żona.
- I Haiti – dorzucił.
- Tahiti – poprawiła go znowu żona.
- O Boże – jęknął. – Johnston Island.
- Jak ona wygląda?

Ta złowroga wysepka, nad którą powiewa gwiazdzisty sztandar, leży tysiąc trzysta kilometrów na zachód od Honolulu i kiedyś była poligonem doświadczalnym, gdzie dokonywano prób z bombą wodorową. Później wysepkę wykorzystywano do składowania odpadów radioaktywnych, gazów paralizujących, a także bomb wodorowych. Stosunkowo niedawny wypadek spowodował radioaktywne skażenie części Johnston Island. Niewielu Amerykanów o tym słyszało. Antynuklearnie nastawieni Nowozelandczycy dobrze wiedzą, gdzie leży ta wysepka i dlaczego napawa ich przerażeniem.

- A kto powiedział, że wysiadłem z samolotu? – zapytał Hap.
- Należymy do Travelers' Century Club – powiedziała jego żona. – Warunkiem członkostwa jest odwiedzenie co najmniej stu krajów.
- A co znaczy „odwiedzenie”? Przejście przez lotnisko? Spędzenie nocy? Nabawienie się biegunki?

– Od razu widać, że nie jest członkiem! – wesoło zawołał Hap.

Turysta nie wie, gdzie był – pomyślałem. – Podróżnik nie wie, dokąd zmierza.

Świtało, wąski pas ochrowego brzasku, stratosferyczny wschód słońca oznajmił nowy dzień, ale już pojutrze. Właśnie w tym rejonie Pacyfiku, na sto osiemdziesiątym południku zaczynają się dni świata. Kiedy wylądowaliśmy w Auckland, miałem wrażenie, jak gdybyśmy usiedli na dalekiej gwiazdzie.

– Co to? – zapytał inspektor z urzędu imigracji i spraw etnicznych, wskazując na wielkie brezentowe pokrowce.

– Łódka – odparłem. – Składana.

– A co panu jest w ramię? Mam nadzieję, że to niezaraźliwe.

„Być może rak”, chciałem powiedzieć, żeby przestał się uśmiechać.

– Witamy w Ne Zillen – powiedział spokojnie.

Była dziewiąta rano. O dziesiątej udzieliłem wywiadu („Czy pana powieść opowiada o prawdziwych ludziach?”), o jedenastej drugiego („Czy ta tak zwana powieść podobała się pana żonie?”), a w południe zapytano mnie:

– Jak się panu podoba Ne Zillen?

– Jestem tutaj od trzech godzin – odparłem.

– Och, śmiało.

Dobra, sami chcecie.

– To cudowny kraj, a właściwie archipelag, prawda? Nowozelandczycy na ogół chodzą w niewydarzonych kapeluszach. Często są brodaci, noszą podkolanówki. I swetry. Wzniesli okropnie dużo pomników upamiętniających wojnę.

Zaprowadzono mnie do sali balowej, gdzie wydano uroczysty obiad. Był to mój pierwszy posiłek od trzynastu godzin, ale żeby coś zjeść, musiałem wygłosić mowę. Tak, nie ma nic za darmo. Chcieli autobiografii, poczęstowałem ich chińską polityką.

Jeden ze słuchaczy zapytał:

– Czy pisze pan teraz nową książkę?

– Nie, ale chciałbym napisać o Pacyfiku – odpowiedziałem. – Może o migracjach. Jak to ludzie wędrują z wyspy na wyspę, zabierając ze sobą całą



swoją kulturę, aż znajdą wyspę szczęśliwą, gdzie wszystko wypakowują, urządzając swoisty piknik, który będzie trwał do końca świata.

Wypowiedzenie tego na głos zabrzmiało jak obietnica, jak gdybym przyrzekał, że właśnie to zrobię. Potrzebowałem przyjaciela. Podróż stwarza idealną okazję do nawiązywania przyjaźni. Miejsce może nie było odpowiednie do dzielenia się tym spostrzeżeniem, ale Joseph Conrad w *Tajnym agencie* pisał: „czyż Alfred Wallace nie opowiada w swojej słynnej książce o Archipelagu Malajskim, jak to wśród mieszkańców Wysp Aru odkrył w pewnym starym, nagim dzikusie o skórze czarnej jak sadza osobliwe podobieństwo do kochanego przyjaciela w kraju?”<sup>[1]</sup>.

Wyspy Aru leżą na południowy zachód od Nowej Gwinei, a wielki przyrodnik Wallace wyprawił się na nie w celu łowienia okazów rajskiego ptaka. I właśnie tam, jak pisał, jego uwagę zwrócił „zabawny staruszek, rozczulająco podobny do jednego z moich przyjaciół w kraju”.

Nic w tym zaskakującego. Rzecz naprawdę dziwna polega na tym, że to jedyne tego rodzaju zdarzenie opisane w całej książce. Mnie takie spotkania przytrafiają się ustawicznie. W Afryce, Indiach, Ameryce Południowej, Chinach i Tybecie stale natrafiałem na tubylców, na których widok rozdziawiałem gębę, bo tak przypominali mi kolegów z Roberts Junior High School, Medford High School i z Korpusu Pokoju. Od czasu do czasu spotykam nawet osoby podobne do moich bliskich.

Nagle zapragnąłem odwiedzić niesamowicie zielone i skąpane w słońcu wyspy Oceanii, gdzie nie dotarła nowoczesność, życie toczy się leniwie i gdzie można przysiąść pod drzewem na brzegu niebieskozielonej laguny, która zaprasza do wiosłowania. Duszę miałem zbolałą, serce rozdarte, czułem się samotny. Nie chciałem widzieć następnego wielkiego miasta. Pragnąłem oczyszczenia przez wodę i dzicz. Maorysi, którzy jakiś tysiąc lat temu przybyli do Nowej Zelandii z Tahiti przez Wyspy Cooka, nazywają Pacyfik Moana-Nui-o-Kiva, czyli Wielkim Morzem Błękitnego Nieba. Przypomniałem sobie rojenia z ubiegłej nocy, rojenia o Pacyfiku jako wszechświecie i o wyspach niczym gwiazdy w bezkresnej przestrzeni.

**Auckland** jest największym na świecie miejskim skupiskiem Polinezyjczyków. Równo połowa ludności miasta to smagli wyspiarze, a patrząc na nich, człowiek gotów pomyśleć, że wszyscy pochodzą z Krainy Grubasów. Wielu należy do gangów ulicznych o nazwach takich jak Mongrel Mob [Kundle], Black Power Gang [Czarna Siła], Tongan Crypt Gang [Tongijska Banda Krypty], United Island Gang [Banda Zjednoczonej Wyspy] i Sons of Samoa [Synowie Samoa]. A gdzie kobiety? Te, które widziałem, okazywały się brzuchatymi mężczyznami, czasem tak otyłymi, że chodząc, kolebały się na boki niczym pingwiny albo kaczkę. Poszarzeli w chłodnym klimacie Nowej Zelandii. W nalanych twarzach oczy zrobiły się jak szparki, spojrzenia świdrujące. Nie wyobrażałem ich sobie wiosłujących w łodzi. Mniej więcej co dziesiąty był Maorysem, potomkiem ludzi, którzy przed dziesięcioma wiekami przyплыли tu z Tahiti przez Wyspy Cooka i nazwali te ziemie Aotearoa, czyli Krajem Długiej Białej Chmury.

Powiadano, że na ogół są łagodni jak baranki, ale że wielu to prawdziwi zbóje. Każdy miał o nich swoją opinię. Powiadano, że bym tylko zobaczył uda niektórych. Żeby tylko zobaczył tatuaże. Powiadano, że Maorysi nie lubią pracować. W rzeczywistości nie są nawet Maorysami czystej krwi. To mieszańcy, półkrewi, nawet ćwierćkrewi, no i utrapieńcy, wichrzyciele. Tongijczyk to przeważnie zacy chłop, ale Samoańczyk staje się postrachem, kiedy idzie w tango. Na widok podpitego Samoańczyka najlepiej się odwrócić i zmykać. Fidżyjczycy? Spójrzmy prawdzie w oczy, to ludożercy, po prostu, a Hindusi są strasznie pracowici, tyrają jak woły. Mahometanie to inna sprawa. Przykro stwierdzić, ale to napaleni sodomici. A kobiety wyspiarzy to nimfomanki, skoro już o tym mowa. Chciałyby od rana do wieczora. Rotoruanie, Niuańczycy, mieszkańcy Wysp Cooka – o, przedziwna zbieranina, bez dwóch zdań. Niektórzy świetnie sobie radzą, jeżdżą szybkimi samochodami, mają ziemię i porządne domy. Ale pojedź pan na jedną z ich cholernych wysepek i spróbuj kupić kawałek ziemi, a zobaczysz pan, co się stanie. Roześmieją się panu w twarz.

Powiadano, że wyspiarze są religijni, że są hazardzistami i pijakami, że są oddani rodzinie, że zebrzą o zasiłki, że walczą między sobą, że są uchodźcami

ekonomicznymi, że są łajdakami. W nocy odholują człowiekowi samochód, by zjawić się rano z żądaniem forsy za przyprowadzenie go z powrotem. Zajmują się wymuszeniami, ściągają haracz za ochronę, dopuszczają się rozbojów, wszczynają zamieszki na tle rasowym – i wszystko to w pastoralnej republice, gdzie na sławetnych łąkach puszcza bąki siedemdziesiąt milionów owiec.

Kiedy wszakże przybyłem do Nowej Zelandii, na pierwszych stronach gazet pisano nie o wojnach gangów wyspiarzy, lecz o premierze Davidzie Lange’u, który właśnie rzucił żonę dla asystentki piszącej mu przemówienia, panny Margaret Pope. „Matka potępia Lange’a”, głosiły nagłówki. „Matka premiera oświadcza, że żałuje, iż go urodziła...” Żona pana Lange’a, Naomi, wypłakiwała się w radiu i w telewizji, żądała poszanowania swych praw, groziła. Doprawdy przeszedł mnie zimny dreszcz, kiedy zapowiedziała, że wkrótce ogłosi tomik poezji.

Środki przekazu trąbiły o separacji i rozwodzie, świat drżał w posadach. Postrzygacze owiec wszczęli strajk. Żądali czterdziestu sześciu nowozelandzkich dolarów za każde ostrzyżone sto owiec.

Taszcząc ze sobą składany kajak, pojechałem do Wellington, gdzie facet, który przeprowadzał ze mną wywiad telewizyjny, chełpił się, że starsza pani Lange właśnie w jego programie powiedziała, że żałuje dnia, w którym urodziła syna, że małżeństwo to rzecz święta i że wyrzeka się łajdaka, który uciekł z ladacnicą. Czy mam coś do powiedzenia o tej sprawie?

Nie, odparłem, jestem tylko przejazdem.

Inny facet, którego spotkałem, stwierdził:

– No tak, cały ten Lange. W końcu ma domieszkę krwi maoryskiej.

Wprawdzie to fałsz, ale doskonale wyjaśnia, że Lange rzucił żonę.

W hotelu czytałem *Życie seksualne dzikich*. Kiedy chciałem zamówić posiłek do pokoju, facet z kuchni warknął:

– A złożył pan wczoraj zamówienie?

Zdziwiony rzekłem, że nie, po co?

– Obsługę do pokoju trzeba zamawiać dzień wcześniej – oznajmił.

Cóż to za sprowadzające do parteru miasto, pomyślałem. W Wellington pełno parterowych domów, za nimi nic, tylko parterowe domy i chatynki, a żaden z tych budynków nie wyrasta nad otaczające je drzewa, wobec czego

z dystansu człowiek widzi same dachy, na ogół kryte brunatnoczerwoną blachą. Poza tym nagie wzgórza i wiatr tak mocny, że zdaje się obdarzony kształtem i masą. Ten wiatr szoruje ulice, chłoszcze grafitowe morze w porcie.

Czytałem Malinowskiego. Próbowałem wyobrazić sobie Wyspy Trobrianda. Zauważyłem, że w większości sklepów w Wellington sprzedawano wyposażenie kempingowe, więc dokupiłem trochę sprzętu. Siedząc w pokoju hotelowym, patrzyłem na składany kajak i czułem się podle. Martwiłem się nawet Davidem Lange'em. Może i ja skończę jako rozwodnik chory na raka. Używałem teraz opatrunków z pudełeczka z wizerunkiem Betty Boop. Pewnej nocy, nie mając nic lepszego do roboty, doprowadziłem do porządku ramię, a mianowicie odwinąwszy opatrunek, wyskubałem szwy za pomocą jednorazowego zestawu do usuwania nici chirurgicznych.

Według Malinowskiego u Trobriandczyków „formalności rozwodowe są równie proste jak i przy zawieraniu małżeństwa. Żona opuszcza dom męża, zabiera swój dobytek i przenosi się do chaty matki lub najbliższej krewnej w linii matki. Tam zamieszkuje, czekając na dalszy rozwój wypadków, a tymczasem korzysta z pełni swobody seksualnej”<sup>[2]</sup>.

Nazajutrz pojechałem do Christchurch na Wyspie Południowej. Miasto sprawiało wrażenie wymuskanego i wymarłego, niczym południowe przedmieścia Londynu, które wyszydzałem w niedzielne poranki, gdy przejeżdżałem przez nie z dziećmi po drodze do Brighton, myśląc w duchu: oto angielska martwota w pełnej krasie, niewypowiedziana nuda, która wzbudza desperacką chęć ucieczki. Życie jest gdzie indziej, myślałem w Christchurch, ale bawiąc w tym czyścicu, czułem się dziwnie i wracały wspomnienia. Gapiłem się na te straszliwe parterowe domki, na zakurzone żywopłoty, ukradkiem uchylane zasłony, aż w końcu wieczorem w Merivale za szybą California Fried Chicken Family Restaurant przy Papanui Road zobaczyłem czteroosobową rodzinę: ojca, matkę i dwóch synów, którzy w gorejącym świetle lamp ze smakiem pałaszowali kolację, żartowali, śmiali się głośno i na widok owej pełni rodzinnego szczęścia zalałem się łzami.

**Nadal** prawie każdy, kogo spotykałem, pytał:

– Jak się panu podoba Ne Zillen?

– Jest cudowna – odpowiadałem.

Wzruszali ramionami i zaprzeczali. Nowozelandczycy, dumni jak diabli z antynuklearnej polityki Davida Lange'a, wydali mi się ludźmi, których nie sposób skomplementować. Z iście kalwińską pokorą odrzucali wszelkie pochwały, a czynili to tak konsekwentnie, że zacząłem podejrzewać, iż tylko się droczą, wystawiając na próbę pomysłowość pochlebcy.

Kiedy pochwali się zadbane miasta, skrzywią się i powiedzą, że w gruncie rzeczy są bezładne. Kiedy powinszuje się im wysokich i ośnieżonych gór, odrzekną, że wasze są wyższe i bardziej śnieżne.

– Nowozelandczycy to zaiste fanatycy sportu dla zdrowia – rzekłem z podziwem, rozmawiając z pewnym facetem.

– To mit – stwierdził stanowczo. – Stan zdrowotny naszego narodu jest zatrważający. Straszne z nas grubasy.

Kiedy zachwyciałem się dobrobytem, od razu ripostowali, że to pozory, a w rzeczywistości kraj ginie. Kiedy podziwiałem wielokulturowość Wyspy Północnej, mówili:

– Uuu, ale jakie mamy napięcia etniczne. Siedzimy na beczce prochu, tylko patrzeć, jak to wszystko piernicznie.

– Ale mówią, że u was jest o wiele lepiej niż w Australii.

– Jak cholera, tylko nie wiem, z której strony.

Nie dzieliłem się wszystkimi spostrzeżeniami. Zauważyłem, że na ogół noszą stare i niedopasowane ubrania, ale porządne buty. Używają siatek na zakupy. Zaopatrują się w sklepach o nazwach takich jak Skład Bławatny Clarka czy Skład Żelazny Edwina Mouldeya. Kultura przywodząca na myśl angielskie miasteczka nadmorskie z lat pięćdziesiątych XX wieku, istne - Bexhill-on-the-Pacific, kultura życia pod dachem, zacisza domowego z osobliwie kolorowymi talerzami na gzymsie kominka (pamiątka z Cheddar Gorge), przysadzistymi fotelami i elektrycznym kominkiem wstawionym w dawne palenisko. Starsi nudni i przyzwoici, młodzi tyleż gorliwie, ile daremnie goniący za modą, a studenci – Kiwi aż po czubek żółtego dzioba – buntowniczo niechlujni i nieobcy. Tam i sam widzi się Maorysa, najczęściej za kasą sklepową. Właściciele chcą mieć takiego kasjera zapewne po to, żeby

budził respekt samą posturą, ale ci w istocie zwaliści ludzie w ogóle nie wyglądają groźnie, bo rozpływają się w uśmiechach. Spośród mieszkańców Nowej Zelandii właśnie oni sprawiali na mnie wrażenie ludzi, którzy są naprawdę u siebie.

Pojechałem do Dunedin, miasta zimnego, ascetycznego i w gruncie rzeczy nędznego, gdzie na uniwersytecie zbudowanym w stylu będącym żalosną imitacją gotyku spotkałem się ze studentami.

– Są bardzo nieśmiali – uprzedzono mnie.

Czyżby? Wydali mi się głupi, zadufani w sobie i brudni. Poczułem się, jakbym zbłądził na kraj świata, a kiedy spojrzałem na mapę, okazało się, że to prawda. Znajdowałem się ledwie dwadzieścia stopni na północ od koła podbiegunowego południowego, a kiedy opuścimy południowy cypel Nowej Zelandii, następnym stworzeniem chodzącym w postawie wyprostowanej, które zobaczymy, będzie najpewniej pingwin cesarski.

Znowu w Christchurch, siedziałem w pokoju hotelowym gapiąc się na swoje stopy. Włączyłem nowozelandzką wersję *This Is Your Life* [Oto twoje życie], odcinek poświęcony maoryskiemu piosenkarzowi w średnim wieku, a kiedy bohater po prostu się rozpłakał na widok rodziny wchodzącej do studio, tak mnie to przygnębiło, że prawie wysuszyłem minibarek. Hotel wybudowano w stylu imitującym architekturę Tudorów, miał więc fałszywe belkowania i wielodzielne okna. Pocięszał mnie tylko widok bagażu, łodzi, którą ze sobą taszczyłem, chociaż jeszcze jej nie użyłem.

Jaki jest ten Pacyfik? Na pożyczonym rowerze pojechałem jakieś osiem kilometrów nad Sumner Bay, gdzie niczym foki wylegiwali się surferzy, a zimne i czarniawe grzywacze okazały się za wielkie, abym mógł je pokonać moją łódką. Wiedziałem, że za wzgórzem jest inny port, a mianowicie Lyttelton. Ruszyłem stromą i krętą drogą i po godzinie dotarłem nad inną zatoczkę z wysokimi falami przyboju, ale nie było to Lyttelton, lecz Taylor's Mistake.

W 1863 roku kapitan Taylor po opłynięciu świata sądził, że ma przed sobą Lyttelton, i nadział się na skałę, tracąc okręt. Ja też się pomyliłem. Wjechałem z powrotem na Port Hills i przez inne wzgórze dotarłem do Lyttelton Harbour, uroczego miasteczka z bezpiecznym portem, chińskimi sklepami i ładnymi

domami. Stamtąd do Christchurch wiodła krótsza trasa, ale przez tunel pod wzgórzami, do którego nie wolno było wjeżdżać rowerem. Ociągając się z wyjazdem, krążyłem po miasteczku i minąłem zakrwawioną podpaskę, którą ktoś wyrzucił na ulicę. Ujrawszy to obrzydlistwo, przysiągłem w duchu, że nigdy więcej tu nie wrócę.

Pedałując z mozołem, a chwilami pchając rower, wróciłem do Christchurch przez wzgórze, do cna zmordowany siedemdziesięciokilometrową jazdą i sfrustrowany, że nie znalazłem nieodległego od miasta miejsca nad Pacyfikiem, gdzie mógłbym powiosłować.

Zadzwoiłem do żony i pożałowałem, jak to nic mi się nie układa. Obydwoje płakaliśmy. Jęknęła, że czuje się nieszczęśliwa. Powiedziałem to samo.

– Ale to dobrze, że się rozstaliśmy – dodała.

Na koniec żałośnie mnie poprosiła, żebym więcej nie dzwonił.

Powiedziała, że kiedy tak niespodzianie do niej dzwonię, dręcę ją i czuje się jak więzień, którego donkiszotowski strażnik poczęstował filiżanką herbaty. Ja wszakże byłem w stanie myśleć wyłącznie o sobie, jak samotnie, ze łzami w oczach pedałuje pod wiatr na rozklekotanym rowerze, wspinając się na strome wzgórze opodal Christchurch.

No i prawdopodobnie miałem raka. W obłuczonym hotelu w stylu Tudorów spojrzałem znad *Życia seksualnego dzikich* i zauważyłem, że lokatorzy z sąsiedniego pokoju się wynieśli, zostawili otwarte drzwi i że w tych samych fotelach siedzą i śmieją się inni ludzie, którzy tamtych zastąpili. Właśnie takie jest życie! Przyływ przychodzi i odchodzi. Ludzie umierają, a ich miejsce zajmują inni, którzy nawet nie wiedzą, jak tamci się nazywali. Siadają w naszych fotelach, śpią w naszych łóżkach. A my przepadliśmy gdzieś na Pacyfiku – i już o nas nie pamiętają. „Ciekaw jestem, skąd to się wzięło”, mówi człowiek, który pisze przy naszym pięknym biurku.

Nazajutrz, w niedzielę, kiedy nadal czułem się zboląły, a w dodatku ogłupiony słoneczną pustką, obojętnością i niewyobrażalną wprost nudą samotnego przesiadywania przed grzejnikiem wentylatorowym w Merivale, wśród wytworów przywiezionej skądinąd kultury, reprodukowanej w domach zwanych, dajmy na to, Oakleigh na przedmieściach zwanych, dajmy na to,

Ponsonby, domach starych, ciasnych, zapuszczonych, niewygodnych i podłych – przy czym najbardziej przygnębiający aspekt sytuacji polegał na tym, że sami Nowozelandczycy najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy z własnej lichoty – z wolna ogarnęło mnie poczucie nieszczęścia, jakie każe lokatorom nędznych pokoiików hotelowych sprawdzić, czy zakrętka tubki pasty do zębów jest na swoim miejscu, czy krany są zakręcone, zanim popełnią samobójstwo, starając się nie zostawić po sobie za dużego bałaganu.

Zabierzcie mnie stąd! – krzychałem w duchu. Pomyślałem, że pozostaje wyruszyć w dzicz.



## rozdział\_drugi\_

### **Nowa Zelandia: przez lasy deszczowe Wyspy Południowej**

**Póki istnieje** dzicz, póty jest nadzieja. Ruszyłem z Christchurch na południowy zachód, do Queenstown na skraju wodnego świata Fiordlandu. Nawet dzisiaj to kraina prawdziwie dzika, jedna z ostatnich na świecie. Tysiąc lat temu, przed przybyciem pierwszych ludzi, musiał to być zaiste świat sprzed Upadku.

Nie było tam drapieżników prócz jastrzębi, sokołów i orłów – żadnych innych mięsożerców. Nie było roślinożernych ssaków, żadnych w ogóle ssaków lądowych oprócz dwóch gatunków małych nietoperzy. Wszystko rosło, rozkwitało, a pogodę kształtowały ryczące czterdziestki, przynoszące w ten zakątek Nowej Zelandii rokrocznie siedem i pół tysiąca milimetrów deszczu. Nadal jest to jeden z najwilgotniejszych obszarów świata.

Ów świat był tak bezpieczny, że ptaki traciły zmysł zagrożenia i pozbawione wrogów przestawały latać – jak choćby nielotna gęś nowozelandzka czy już wymarły fiordlandzki pingwin grzebieniasty. Inne, zadowolone z siebie niczym zepsute i przekarmione dzieci, jakie widziałem w Auckland, ogromniały – jak choćby gigantyczny chruściel, mający metr wysokości, albo dłuższy suto opierzony moa, sięgający przeszło trzech metrów daleki krewny emu, strusia i Wielkiego Ptaka.

W tym dawnym rajach rosła obfitość drzew, a półmetrowa warstwa mchów stanowiła doskonały rozsadnik. Większe zwierzęta żywiły się korzonkami i owadami, a nie jedne drugimi. Zieleń krzewiła się bujnie, nie będąc koszona ani przeżuwana. Fiordland, kraina stworzona przez lądolody, była zaiste Królestwem Pokoju.

Prawdopodobnie w X wieku z Wysp Cooka w tropikalnej Polinezji przybyli Maorysi, przywożąc ze sobą psy (*kuri*) i szczury (*kiore*), którymi się żywili. Wyprawiali się z północy do Fiordlandu. Uwielbiali piękne pióra

i żeby je zdobyć, a także dla mięsa, wytępilli wiele gatunków ptaków. Psy i szczury Maorysów polowały na nietłote ptaki. Pierwszy raz od epoki lodowcowej została zachwiana równowaga środowiska Fiordlandu. Przybycie drapieżników można uważać za ekologiczny odpowiednik grzechu pierworodnego.

Odtąd Fiordland już zawsze penetrowali łowcy skarbów, Maorysi poszukujący piór i nefrytu, *pakehes* (biali) poszukujący złota, ale tego rodzaju ludzie nie zostawali na zawsze. W Fiordlandzie nie było stałego osadnictwa, tylko obozowiska, przystanki, czasowe osady łowców fok i wielorybników na brzegu morza. Ludzie przyjeżdżali i odjeżdżali. Fiordland wciąż był niezamieszkały – trwał jako prawdziwie pierwotny las.

Ale ci przelotni goście zostawiali po sobie zwierzęta. Sprowadzali rozmaite gatunki już to w celach sportowych, już to żeby się nimi żywić, już to wierząc, że jeden gatunek zmniejszy pogłowie innego. Działo się tak na całym Pacyfiku. Dzisiaj dzikie kozy zżerają Tahiti, dzikie konie przeżuwają Markizy, dzikie świnie niszczą Wyspy Salomona, a na Hawajach panoszą się przywiezione przez misjonarzy przebiegłe mangusty, które wyjadają jaja. Króliki i dzikie psy wyrządzają takie szkody w Australii, że w Nowej Południowej Walii wzniesiono zaporę weterynaryjną, która jest dłuższa od Wielkiego Muru Chińskiego.

Obce zwierzęta nieodmiennie zakłócały równowagę Fiordlandu. Kiedy rozmnożyły się dzikie króliki, sprowadzono gronostaje i łasice, żeby ograniczyć pogłowie królików, ale drapieżniki zamiast zajęczaków zjadały ptaki i ptasie jaja, a plaga królików rosła w najlepsze. Każde nierodzone stworzenie powodowało takie niepożądane skutki. Wszyscy Nowozelandczycy, z którymi rozmawiałem, nie cierpieli obcych zwierząt jeszcze bardziej niż wyspiarzy, chociaż z tego samego powodu – a mianowicie z racji nieprzyzwoitej płodności, jurności i obrzydliwej zachłanności, pożerania wszystkiego wokół.

Największym zagrożeniem dla roślinności jest jeleni szlachetny. Jelenie szybko się rozmnażają i są wszędobyłskie. W niedostępnych wąwozach wysoko w górach z helikopterów obserwowano stada jeleni liczące trzysta, czterysta sztuk. Szczur wędrowny, który dotarł do Nowej Zelandii na statkach,

rozmnożył się okrutnie i zmniejszył pogłowie rodzimych ptaków. W Fiordlandzie żyje również jeleni kanadyjski i jest to jedyne stado tego zwierzęcia na półkuli południowej.

– Są utrapieniem – powiedział mi Terry Pellet, okręgowy inspektor ochrony przyrody w Fiordlandzie. – Mamy zastraszająco dużo egzotycznych gatunków, które lawinowo się mnożą i niszczą tutejszą florę i faunę. Oposy, kozice, zające.

Pellet stwierdził też, że Niemcy są okropni, jeżeli chodzi o opłaty kempingowe.

Dialektyka tego, co rodzime, i tego, co obce, to już wieczny problem na Pacyfiku. W Nowej Zelandii wszystko, co obce, czy to zwierzęta, czy rośliny, jest podejrzane. W Fiordlandzie można strzelać swobodnie do jeleni szlachetnych, podobnie jak do jeleni kanadyjskich. Obce drzewa uważa się za obrzydliwe chwasty, tak samo daglezie, brzozy, jak świerki, a żadne z roślin nie są bardziej znienawidzone niż zaborcze kolcolisty i żarnowce, posadzone przez sentymentalnych i trawionych tęsknotą Szkotów.

Prawie wszyscy miejscowi, z którymi rozmawiałem, wzdychali, że pragnęliby odzyskać swoje wzgórza i sprawić, żeby znowu były nagie i jasne, wolne od obcych roślin i zwierząt, i pragnęliby doprowadzić do odrodzenia się nielotnych ptaków żywiących się roślinami i owadami oraz ocalić długie doliny porośnięte rodzimymi iglakami i bukanami. Zdarzały się przyjemne niespodzianki. Na przykład już pół wieku temu uważano, że wymarł pewien ufny i prostoliniowy nielot, a mianowicie krępy i obdarzony masywnym dziobem takahe, na którego polowali Maorysi. Otóż w 1948 roku odkryto stadko tych ptaków w zapadłym zakątku Fiordlandu. Takahe objęto ochroną, ale jego przyszłość jest niepewna.

Wiele gatunków fiordlandzkich ptaków nadal przejawia tak pogodne usposobienie, taką ciekawość i ufność, jak gdyby dalej żyły w raju. Za wędrowcem przemierzającym lasy deszczowe niechybnie podążą skalinek białoczelny, wachlarzówka, skalinek wielkogłowy i maleńki barglik, najmniejszy ptaszek Nowej Zelandii. Te ptaki wydają się absolutnie wolne od strachu, trzepoczą i śmigają wokół wędrowca, zjadając wypłoszone przezeń owady. Kea, górską papugę, jest tak ufna i wścibska, że aż się narzuca,

skrzecząc „ki, ki”, jak gdyby się przedstawiała, i dobiera się do plecaka wędrowca.

W cudownym Fiordlandzie, daleko od posępnego ascetyzmu Christchurch i jego przedmieść, ptaki niczego się nie bały, a wszelka woda nadawała się do picia. Miłośnik ptaków nie potrzebuje lornetki, a wędrowiec nie potrzebuje manierki.

Poweselałem i postanowiłem ruszyć na tydzień w góry i lasy deszczowe. Łódka może poczekać.

Najsłynniejszym szlakiem turystycznym w Fiordlandzie jest Milford, który wszakże padł już ofiarą sukcesu marketingowego, tak że hasło „najwspanialsza piesza wędrówka na świecie” jest pustym sloganem reklamowym. To szlak wydeptany, obwarowany mnóstwem przepisów i w rezultacie banalny.

Wolałem inną trasę, to znaczy szlak Routeburn, tym bardziej że w odróżnieniu od Milford, który wiedzie w zasadzie dnem dolin i ma tylko jedno ostre podejście, Routeburn biegnie powyżej granicy zarośli, okala szczyty i ofiaruje rozległe panoramy całego północno-wschodniego zakątka Fiordlandu. Z Routeburn zamierzałem przejść na szlak doliny Greenstone, dzięki czemu wyprawa potrwa tydzień, a co ważniejsze – wejść do Fiordlandu i wyjść z niego tak, jak to ludzie czynili od wieków, czyli pieszo.

Kiedy wczesnym rankiem wyruszamy w góry, wiedząc, że w plecaku mamy wszystko, czego nam trzeba, odczuwamy elementarne, ale cudowne podniecenie. Uczucie to wypływa ze świadomości, że oto zostawiamy za sobą wszelkie rzeczy zbędne i wkraczamy w świat przyrodzonego piękna, któregośmy jeszcze nie splugawili, gdzie pieniądz nie ma żadnej wartości, a dobytek jest tylko balastem. Najbardziej wolny jest ten, kto posiada najmniej. Thoreau ma rację.

Opuściło mnie nawet uporczywe przygnębienie. Troski pierzchły, wróciła chęć do życia, i to odczuwalna w wymiarze fizycznym. Czułem się silniejszy i w ogóle nie ciążył mi nieodzowny bagaż. Od samego początku, kiedy w wieku dziewięciu czy dziesięciu lat zacząłem uprawiać piesze wycieczki, biwakowanie kojarzę z wolnością osobistą. Związana z tym rozkosz pogłębiała się z upływem lat, w miarę jak coraz lepszy i bardziej praktyczny stawał się ekwipunek. W czasach mojej wczesnej młodości sprzęt turystyczny

właściwie nie różnił się od demobilu. Wszystko było z brezentu, wytworzone na potrzeby wojska, II wojny światowej, wojny koreańskiej. Wszystko szare, zatechłe i bardzo ciężkie. Ledwo dźwigałem mały namiot. Śpiwór był wypełniony bawełną i kapokiem i ważył siedem kilo. Dzisiaj sprzęt jest lekki, kolorowy i właściwie szykowny.

A i wędrowcy nie są już podstarzałymi harcerzami. Na wycieczkę szlakiem Routeburn wyruszyłem w towarzystwie skrzypka, robotnika przemysłowego, początkującego aktora, fotografa, autora książek o kulinariach, studentki i gburowatego człowieka mówiącego ze wschodnioeuropejskim akcentem. Sądzę, że nasza grupa była jak najbardziej reprezentatywna. Niektórzy odpadli po drodze. Fotograf został na jednym z biwaków, żeby porobić więcej zdjęć, facet, który co rusz przerywał rozmówcy, mówiąc: „A to dopiero! Co pan pofie! Chypa pan zartuje!” – na szczęście wrócił do domu, a gdyśmy doszli do końca Routeburn, tylko trzech z nas ruszyło dalej przez Greenstone. Isidore, skrzypek, przeklinał wodę, błoto i przepraszał, że jest tak kiepskim piechurem, ale miał inne zalety. Był koncertmistrzem Nowozelandzkiej Orkiestry Symfonicznej i regularnie ogrywał mnie w scrabble podczas długich nocy w biwakowych chatkach na szlaku.

Wyruszyliśmy błotnistą ścieżką na północnym krańcu jeziora Wakatipu w obliczu łani i majestatycznych rogaczy.

– Doprawdy nie potrafię uznać tych zwierząt za szkodniki – powiedziałem. – Robactwo jest ostatnią rzeczą, która się kojarzy z tymi monarchami górskich wąwozów.

– Robactwo! – szyderczo syknął Isidore. Na modłę mieszkańców północnego Michigan mówił właściwie przez zaciśnięte zęby. Nieborak wkrótce odstał od grupy.

Dołączył przy lunchu, któryśmy zjedli na brzegu potoku, popijając wodą z niego. Kąsały tam pchły piaskowe, więc nie zabawiliśmy długo. Przemierzywszy płaski odcinek Routeburn, gdzie szliśmy pośród targanych wiatrem brunatnych kęp wysokich traw, stromym podejściem dotarliśmy do ścieżki, która pomiędzy starymi pokręconymi bukanami zaprowadziła nas do wodospadów Routeburn. To piętrowe katarakty w czarnej skale, z których na co najmniej sześć tarasów usłanych wielkimi głazami kaskadą spada woda.

Z tej wysokości widać wyraźnie, jak łądolód wyrzeźbił Fiordland, tworząc charakterystyczne doliny w kształcie litery U, których nagie ściany wydają się wyższe niż w rzeczywistości. Nacisk i tarcie spływających lodów wygładziły ściany dolin, ale pokrywa lodowa osiągała tutaj półtora kilometra grubości, więc szczyty gór, których nie zakrył lód, są ostre i poszarpane.

Tę noc spędziliśmy w domku kempingowym. Jak się przekonałem, domek kempingowy na szlaku Routeburn jest podszytą wiatrem chatką wzniesioną nad planszą do scrabble. Owej nocy, gdyśmy rozmawiali w chacie przy kataraktach, w dach zaczął bębnić deszcz.

– Jak Maorysi wytrzymywali taki ziąb? – dziwił się Isidore, masując kark swoimi wrażliwymi palcami skrzypka.

Wyjaśnienie, które podał James Hayward, początkujący aktor, było może niezbyt przekonujące, ale jak zawsze pamiętne.

– Maorysi się ogrzewali, łapiąc kea – oznajmił, mając na myśli górskie papugi. – Patroszyli ptaki, po czym mocowali je do nóg w charakterze kapci.

– A to dopiero! Chyba pan zartuje!

James tylko się uśmiechnął.

– Wciskasz kit, Jim – powiedział ktoś. – Na tych szlakach znajdowano maoryskie sandały.

– Na tych szlakach widuje się mnóstwo ciekawych rzeczy – odparł Jim. – W swoim czasie spotkałem na Routeburn faceta w meloniku, w garniturze w prążki, z elegancko zwiniętym parasolem, a cały ekwipunek biwakowy miał w aktówce.

Jim musiał podnieść głos, bo wiatr i deszcz przybierały na sile. Wiało i padało całą noc, najpierw rześisty deszcz, potem deszcz ze śniegiem. Zawierucha czyniła wielki hałas, napierając wściekle na ścianę chaty i chłoszcząc okna.

Zagrałem w scrabble z Pam, studentką. Oznajmiła, że ogrywa większość znajomych.

– Ze mną nie wygrasz – powiedziałem. – Jestem specem od słów.

Była roslą, silną dziewczyną. Miała najcięższy plecak w naszej grupie.

– Jeżeli ze mną wygrasz, jutro przeniosę twój toból przez przełęcz Harris.

Bez trudu mnie ograła, ale rano byłem pewny, że nie będę musiał dźwigać jej plecaka. Nadal lało. Widoczność bardzo marna. Pomiędzy wirami i ścianami deszczu ze śniegiem dostrzegłem, że zawierucha okryła grubą warstwą śniegu górę Momus i inne okoliczne szczyty. Z gór runęły kaskady mlecznobiałej wody, gnając spienione po licach urwistych skał.

– Idealna pogoda na przechadzkę – powiedział James.

Wąską ścieżką przy chacie płynął potok i nie przeszedłszy nawet dziesięciu metrów, przemoczyłem nogi. W nawałnicy deszczu ze śniegiem szliśmy w górę, podziwiając katarakty, z których spadało dwakroć więcej wody niż poprzedniego dnia. Po godzinie dotarliśmy nad jezioro lodowcowe umoszczone w niecce skalnej. Tak samo jak w Szkocji jezioro nazywają tutaj *tarn*. (*Burn* w znaczeniu „potok” to również szkocki pomysł). Jeszcze przez pewien czas nawałnica siekła jezioro, ale widomie słabła i wkrótce ustała. Po kwadransie wyszło słońce i majestatycznie się rozjarzyło. Nie widziałem jeszcze tak jaskrawego blasku słońca.

– Światło jest tutaj o siedemdziesiąt pięć procent silniejsze niż gdziekolwiek indziej, gdzie robiłem zdjęcia – stwierdził Ian, będący fotografem.

Najwyraźniej efekt cieplarniany da się ocenić za pomocą światłomierza.

W oślepiającym blasku słońca Pam pomogła mi założyć swój dwudziestopięciokilogramowy plecak i ruszyliśmy w górę. Przeszedłszy kilka kilometrów, dotarliśmy nad zielononiebieskie, okolone skałami jezioro Harris. Pośród karłowatych zarośli i targanych wiatrem jeżyc *Aciphylla colensoi*, które nazywają tutaj *spaniard* (hiszpan), nadal się wspinaliśmy. Uginając się pod ciężarem plecaka Pam, gramoliłem się ku przełęczy Harris (1300 metrów n.p.m.), która stanowi swego rodzaju tryumfalną bramę do Fiordlandu. Za nią otwiera się głęboka Hollyford Valley, która wije się do morza, a w dali na jej ścianie malują się piękne góry Darran. Z ich załomów pod szczytami nadal spływają lodowce, z których grani zwieszały się wtedy czapy śniegu.

Długą wspinaczkę na przełęcz Harris wynagradza roztaczająca się stamtąd w kierunku zachodnim panorama urwistych gór o wysokości ponad tysiąca sześciuset metrów, szczytów Christina, Sabre, Gifford, Te Wera, Madeline.

Nigdy przedtem nie widziałem równie zwartych gór, bezkresnego przestworu ośnieżonych szczytów niczym arktyczne morze.

Nie licząc szumu wiatru w oniemiałych zaroślach, panowała cisza. Na tej wysokości, pośród majestatycznych gór poczułem, że wszystko, co liche i banalne, zostawiłem daleko za sobą i wszedłem do świata wolnego od małostkowości. W świecie tym w duszy człowieka wzbiera owo wzniosłe poczucie spełnienia, które wzbudza w istocie pokrewna pięknym górom gotycka katedra, ale tylko prawdziwa, nie zaś tego rodzaju dziewiętnastowieczna imitacja, jakich pełno w Nowej Zelandii.

Wędrując grzbietem przełęczy Harris, wspominałem niedawno opuszczony Londyn i skandale, o których się tam mówiło, a więc namiętny romans pewnej redaktor literackiej z jednym z jej młodych asystentów, a także zakrapiane przyjęcia wydawane przez słynną wdowę, zmoreę pokroju Anne Hathaway, na których w oparach dymu tytoniowego kłębił się tłum pijaków, chełpiących się potem, że zostali zaproszeni. Widziałem pisarzy rozmawiających o programach telewizyjnych, pieczeniarzy i balowiczów z petem przyklepionym do ust, którzy łąpczywie chwyтали kieliszki z kelnerskich tac, wrzeszczeli jeden do drugiego, plotkowali o redaktorce i jej młodym kochanku, po czym kompletnie pijani szli do domu.

Z perspektywy usianego dzikimi kwiatami i świeżym śniegiem górskiego szlaku ci dalecy ludzie wydawali mi się maleńcy i żałośni w swojej potrzebie pokazywania się.

– Gówno! – wrzasnąłem na wietrze, aż Isidore spojrział na mnie z przestachem, ale zaraz się uspokoił, spostrzegłszy, że się uśmiecham.

Najwyraźniej musiałem aż tak daleko pojechać, żeby to zrozumieć, i poczułem, że nie chcę nigdy wracać.

Wędrowanie po nowozelandzkich górach pobudzało pamięć. Chłonałem niesamowity pejzaż, który mnie poruszał do głębi. Powiadają, że podróż to ucieczka od siebie, ale według mnie jest raczej powrotem. Nic nie wzmacnia skupienia ani nie ożywia pamięci bardziej niż obcy pejzaż lub obca kultura. Wbrew opinii romantyków nie sposób się zatracić w egzotyce. Zamiast tego egzotyka wzbudzi w nas dojmującą tęsknotę, skłoni do rozpamiętywania wcześniejszych etapów życia, ofiaruje zrozumienie wielkiego błędu. Ale sama



egzotyka oczywiście nie zniknie. Obcowanie z nią jest przeżyciem głębokim, a niekiedy elektryzującym właśnie dzięki kontrastowi między teraźniejszością a przeszłością – choćby dzięki oglądaniu Londynu z perspektywy przełęczą Harris.

Wysforowawszy się na czoło, ruszyłem długim trawersem po wysokiej grani doliny Hollyford, w trzygodzinny marsz bez osłony, wystawiony na wiatr, ale i piękno pasm górskich, lasów, śniegu i przebłysków Morza Tasmana w sinej dali. Znajdowałem się przeszło dziewięćset metrów nad rzeką Hollyford na dnie doliny. Szedłem ścieżką kamienistą i niebezpieczną, ale obrzeżoną góorskimi roślinami, stokrotkami, śnieguliczkami, goryczką białą.

Trawers ten siłą rzeczy pokonuje się bardzo wolno, a góruje nad nim majestatyczny Ocean Peak. Nie było bardzo późno, ale te góry są tak strome, że słońce chowa się za nie wczesnym popołudniem, i natychmiast robi się bardzo zimno. Wiał południowy wiatr znad Antarktyki. Kiedy zaczęło się ściemniać, doszedłem na skraj urwiska, a w dole otwierała się inna dolina z zielonym jeziorem. Byłem tak wysoko, że zejście opadającą zygzakiem ścieżką zajęło mi godzinę.

Niżej w dolinie wszedłem pomiędzy stare drzewa i ostatnie pół godziny przed zapadnięciem ciemności przypominało spacer po zaczarowanym lesie. Drzewa były dosłownie tak stare jak góry, groteskowo pokręcone, bardzo wilgotne i wydzielały ostrą woń. Las rosnący samorzutnie od tysięcy lat, którego nikt nigdy nie kalał ani nie kształtował, jest widmowym światem nawarstwionego życia, światem wsobnym, ścieśnionym, światem pni, korzeni, gałęzi wymieszanych z głazami i mchem, gdzie wszystko, co się wzniesie nad ziemię, osnuwają wiechcie porostu zwanego „brodą starca”.

Mrok i wilgoć sprawiały, że mech porastał wokół całe pnie, bo słońce właściwie nigdy ich nie dosięgało. Mech zmiękczył drzewa, zamieniając je w ogromne, znużone, niewydarzone potwory o wielkich gąbczastych ramionach. Z powodu wilgoci wszystko zdawało się wyściełane i opakowane, gałęzie miały barwę czarnozieloną, spód lasu tonął w paprociach, a każdy głaz okrywała aksamitna tapicerka mchu. Tam i sam pośród paproci i korzeni chichotał strumyk. Podążyła za mną ciekawskie skalinki.

Wszystko cudownie żywe, miejscami lśniące od podziemnej wilgoci. Słowem, las z bajki, niepokalany i uroczy świat chochlików i duszków, który jest dziecięcą wersją rajy – disnejowską polaną, gdzie ptaki jedzą z naszej ręki i człowiek wie, że nie spotka go nic złego.

Wrócił smak życia i wróciła nadzieja. Być może wcale nie mam raka.

**Noc** była zimna, a w istocie mroźna. Obudziłem się w chacie nad jeziorem Mackenzie wśród oszronionych krzaków, zmrożonych traw i pobielonych paproci. Wszystko spowite w delikatne koronki szronu, z daleka niczym szum wielkiego miasta dobiegał stłumiony łoskot wodospadu.

Kea bez ustanku skrzeczały mi nad głową, kiedy wędrowałem na czoło jeziora Mackenzie, bo właśnie tak dla samej rozkoszy obcowania z przyrodą postanowiłem spędzić tamten dzień. Kazarki rajskie protestowały przeciwko naruszaniu ich terytorium, wznosząc larum, w którym kwakanie samic mieszało się z trąbieniem samców. Maszerowałem w górę doliny, przeważnie skacząc z kamienia na kamień wzdłuż koryta wyschniętego potoku. Było stromo, kamienie miały od metra do półtora, więc szedłem wolno. Pod osłoną głazu wielkości garażu zjadłem lunch. Wiatr przybrał na sile, naganając coraz większe chmury, które w końcu zasnuły niebo. Pociemniało i zrobiło się zimno.

Podjąłem wędrowkę, a im wyżej wchodziłem, tym głębiej czułem się wolny, doświadczając takiego samego poczucia wyzwolenia, jakie przeżyłem na przełęczy Harris na myśl o bzdurności życia w Londynie. Gdy osiągnąłem najwyższy punkt czoła doliny, rozległą półkę skalną tuż pod przełęczą Fraser, poduchy chmur pękły i zaczął sypać śnieg. Znajdowałem się w swego rodzaju kamieniołomie usianym głazami wielkości parterowych domów w Wellington. Wiał porywisty wiatr. Nie miałem czasu do stracenia. Największym zagrożeniem w tych górach nie jest upadek czy złamanie, lecz wychłodzenie. Schodziłem szybko, skacząc z kamienia na kamień, żeby pobudzić krążenie i utrzymać ciepłotę ciała. Pod koniec tego dnia, który początkowo przeznaczaliśmy na odpoczynek, dotarłem do chaty kompletnie wyczerpany.

Typowa noc biwakowania na górskim szlaku. Przy kolacji dyskutowaliśmy o kwestii kary za morderstwo, o stosunkach rasowych, AIDS, próbach nuklearnych, efekcie cieplarnianym, gospodarce krajów Trzeciego Świata, prawie Maorysów do Nowej Zelandii i o święcie Martina Luthera Kinga.

– Nigdy nie obchodzę tego święta w mojej fabryce. U mnie ludzie pracują – warknął Czech, którego nazywałem w myślach „Czechem Bez Pokrycia”, bo mi się kojarzył z Robertem Maxwellem. Wyemigrował z Pragi i został przedsiębiorcą gdzieś w Kalifornii.

– Od kiedy mieszka pan w Ameryce? – zapytałem.

– Od sześćdziesiątego ósmego.

– Zna pan historię ruchu na rzecz praw obywatelskich w Stanach?

– Znam się na swojej robocie – odparł. Rzeczywiście, właściwie nie mówił o niczym innym i chełpił się, jaki to sukces odniósł w Ameryce.

– Ale działa pan w wolnym kraju – rzekłem. – Uciekłeś z Czechosłowacji, mógł pan pojechać gdziekolwiek, ale wybrał pan Amerykę. Nie sądzi pan, że wypadałoby wiedzieć choć trochę o jej historii?

– Jeżeli o mnie chodzi, Martin Luther King nie ma znaczenia.

– To opinia ignoranta – stwierdziłem.

– Kto zagra ze mną w scrabble? – zapytał Isidore.

Ciasno było w tej chacie, gotowałem się ze złości. Wyszedłem, żeby ochłonać. Z gęstej mgły dobiegło mnie pohukiwanie sowicy ciemnonolicy: „Mor-pork, mor-pork!”.

Nazajutrz obudziłem się wcześniej i szybko opuściłem chatę, żebym nie musiał rozmawiać z Czechem. Był zapalonym piechurem i miał hopla na punkcie sprzętu, bardzo drogiego i kolorowego.

Kiedy wyruszałem, popadywało, a na wiszącej nad ścieżką gałęzi drzewa spostrzegłem maoryskiego gołębia. To ptaki niepodobne do żadnych innych gołębi na świecie, takie tłuste, krągłe jak piłka. Człowiek się zastanawia, jak toto w ogóle utrzymuje się w powietrzu, i rzeczywiście – w locie rozpaczliwie tłuką skrzydłami. Dawniej Maorysi wędrujący tym szlakiem łowili te ptaki, nazywane przez nich *kereru*, i je zjadali. Potrzebowali pożywienia w trakcie poszukiwania świętego zielonego kamienia, nefrytu, z którego robili noże i siekiery, a także ładne ozdoby. Wykopywali ten rzadki kamień w różnych

miejskach na szlaku Routeburn. Przemierzając trasę od jeziora Mackenzie do jeziora Howden, słyszałem też szmaragdowca zwyczajnego. Ten niezwykły i potrafiący naśladować rozmaite głosy ptak, zanim zacznie swą piosnkę, wydaje z siebie tryle przypominające dźwięk dzwonów rurowych. Jego głos zachwycał Maorysów. Kiedy rodził się im syn, piekli szmaragdowca jako rytualną ofiarę, która miała zapewnić dziecku elokwencję i piękny głos.

Poranny deszczyk przeszedł w rzęsistą mżawkę, która zamieniła ostatnie dwa kilometry szlaku Routeburn w błotnisty potok. Przeszedłem pod wodospadem Earland, gdzie woda spada na skalny szlak z wysokości przeszło stu metrów. Utonąłem w tumanie mgły i szumu, tak że przeprawa pod tym wodospadem przypominała chrzest. Dalej las ofiarował pewną osłonę przed deszczem, ale i tak do chaty nad jeziorem Howden dotarłem kompletnie przemoczony. To normalne w Fiordlandzie. Deszcz nie sprzyja fotografowaniu, więc większość zdjęć tej krainy ukazuje zalaną słońcem dzicz. Ale w rzeczywistości słoneczne chwile są rzadkie. Na przykład w rejonie jeziora Howden w ciągu roku pada przez dwieście dni i suma opadów wynosi siedem i pół metra.

Po południu nadal padało, ale i tak cieszyłem się na myśl o następnych trzech dniach wędrówki przez dolinę Greenstone nad jezioro Wakatipu. Właśnie tego rodzaju deszcz sprawia, że miłośnicy tej krainy zaczynają swoje tłumaczenia od „gdyby tylko”.

– Gdyby tylko nie ta mgła, widzieliby państwo cudowne...

Cudowne góry, jeziora, lasy, skały, wodospady, granie, przełęcze i wąwozy. Wszystko to zasłonił rzęsisty deszcz. Ale mnie wystarczały czarowne lasy i ich omszałe groty. To słynna dolina, która powstała, gdy lodowiec pękł na skraju doliny Hollyford i spłynął prawie pięćdziesiąt kilometrów na południe do jeziora Wakatipu. Również tędy wędrowali maoryscy poszukiwacze nefrytu, który wydobywali choćby u szczytu jeziora. Występowanie tego minerału w pobliżu jezior i rzek utwierdzało Maorysów w wierze, że nefryt to skamieniałe ryby. Przypisywali mu wielką wartość duchową i materialną i się nim zachwycali, ponieważ tak trudno go było zdobyć.

Isidore mozolił się dalej, nucąc Brahmsa. Czech przepadł i nigdy więcej go nie widzieliśmy. Dołączyło do nas dwóch Nowozelandczyków, zakochana para, doskonali piechurzy, którzy bez ustanku podstawiali sobie nogi, popychali się, obrzucali grudkami błota, opryskiwali wodą z lodowatych strumieni, w czasie lunchu tarzali się w trawach – niczym odprawiające gody kiwi. Oprócz nich spotkaliśmy starszego prawnika z żoną, którzy przyjechali z Oregonu.

Spostrzegłszy koedukacyjną sypialnię w chacie przy szlaku, ten starszy mężczyzna zawołał:

– O, świetnie, bierzemy ją. Jest biseksualna!

Osobliwie to nazwał, ale wiedzieliśmy, o co mu chodzi.

Szlak Greenstone wiedzie doliną rzeki, nie sypał śnieg ani śnieg z deszczem. Po śniadaniu wyruszyliśmy razem, ale że każdy szedł swoim tempem, na ogół wędrowaliśmy osobno, spotykając się na popasach, na których zajadaliśmy *scroggin* (jak nazywają tam mieszankę orzechów i rodzyneków), po czym ruszyliśmy dalej przez las, żeby znowu spotkać się przy lunchu, który w Greenstone zawsze ma charakter pikniku na brzegu rzeki toczącej wodę nadającą się do picia, a w końcu zmordowani docieraliśmy o zmroku do chaty. Kiedy rzeka się rozlała na kilometr lub nawet dwa, stała się głośniejsza i bardziej spieniona, a namoknięty szarogłaz, po którym płynęła, nadawał jej barwę zieloną.

Kaskady wody spadały z gór nad szlakiem, ale z tak wysoka, że wiatr rozwiewał je niczym weselne welony, zamieniając w muślinowe mgły, które znikwały, zanim opadły na dno doliny. Podążały za nami ptaki, obserwowały nas jelenie, jastrzębie i sokoły. Pogoda była zbyt zmienna, a wiejące głównie z zachodu wiatry zbyt silne, żeby choć jeden dzień miał jednolicie deszczowy albo słoneczny charakter. Chmury zawsze gnały po niebie, a na tym etapie naszej wędrowki rozrywały się o szczyty gór Livingstone na skraju Fiordlandu, albowiem opuściliśmy już teren parku narodowego i przez las Wakatipu zmierzaliśmy nad jezioro.

Panujące na większych wysokościach bukany srebrne ustąpiły miejsca gęstszym i wyższym bukanom czerwonym i rosnącym na skraju lasu osobliwym młodym drzewom pseudopanaks o długich zwisających liściach niczym

szczerbate miecze. Pokonywaliśmy wały dawno spadłych kamiennych lawin, przemierzyliśmy las zbielałych kikutów drzew strawionych niedawnym pożarem, przeprawiliśmy się przez głęboki wąwóz, a potem przez skalny pagór (zwany *roche moutonnée*), zbyt oporny, żeby lodowiec był w stanie go ruszyć, wędrowaliśmy przez chłodne omszałe lasy, brodziliśmy po kolana w lodowatych potokach – gdzie zakochana para ze śmiechem i krzykiem opryskiwała się wodą – i bez przerwy towarzyszyły nam ptaki.

Przy ostatnim wiszącym moście, który trząsł się niczym kładka inkaska, już u ujścia rzeki Greenstone, gdzie niczym amfiteatr górskich zboczy otwiera się dolina Caples, przeważały drzewa obce, europejskie, niczym gigantyczne kolby kukurydzy stały topole w złotej szacie jesieni, ciemnozielone daglezie i okryte zadziwiająco czerwonymi liśćmi buki zwyczajne – drzewa, które Nowozelandczycy uważają za chwasty i które najchętniej wyrwaliby z korzeniami.

Żałowałem, że doszliśmy oto do końca szlaku, gdyż obcowanie z dziką przyrodą działa oczyszczająco. Zanurzenie się w świecie trwającym w stanie, w którym wyłonił się po spłynięciu lodów, w świecie niepokalanym i nieujarzmionym, gdzie jedynym naszym śladem jest ścieżka tak wąska, że idąc nią, człowiek szoruje łokciami o paprocie i konary drzew, ogromnie podnosi na duchu.

Wędrowanie po tych dzikich szlakach ożywia wyobraźnię, a bezkresne pejzaże niezawodnie przywracają należyte rozumienie naszego miejsca w porządku stworzenia. Im mniejszy się człowiek czuje w obliczu przyrody, umniejszony przez góry i bezbronny wobec żywiołów, tym większy odczuwa szacunek do świata i – jeżeli tylko nie jest tępym chamem – tym mniej jest skłonny mu szkodzić. Na Pacyfiku największe szkody wyrządzają intruzi, którzy zwożą odpady radioaktywne na Johnston Island, którzy wydrążyli gigantyczną kopalnię miedzi w Panguine na Bougainville w północnej części archipelagu Wysp Salomona, którzy rozciągają kilometry pławnic, aby chwytać i zabijać wszystkie żywe stworzenia, i którzy przeprowadzają próby nuklearne na atolu Mururoa w archipelagu Tuamotu.

A przecież to też jest Polinezja – ten las deszczowy i Alpy Południowe. Maorysi nazywają swoje góry Te Tapu Nui, czyli Górą Wielkiej Świętości.

## rozdział\_trzeci\_

### **Bicie piany w białej Australii**

**Australia**, ogromna wyspa na Pacyfiku, trzon Meganezji, jest słabo rozwiniętym krajem, którego pustka czasem zdumiewa, a czasem przeraża mieszkańców. Australijczycy mówią głośno, pokrzykują, jak gdyby stale musieli dodawać sobie ducha.

– Dobry! Jak tam pieprzone zdrówko! Trzym się!

Podobnie jak na wszystkich innych wyspach Oceanii lwią część ludności mieszka na brzegach i plażach, wobec czego skraj wyspy jest zabudowany, a reszta to rojąca się od owadów dzicz wyjących wiatrów i czerwonej pustyni.

Ale muchy panoszą się wszędzie.

– Australijczycy mają niestety zwyczaj mówienia przez zęby – zauważył przed pół wiekiem pewien sędzia z Sydney – jak gdyby pochodzili z kraju pełnego much i bali się otwierać usta, żeby owady nie wpadły im do gęby.

Ludzie nie zwracają uwagi na muchy, odwracają się od pustyni, objawiając wrodzoną obojętność wobec tego rodzaju niedogodności.

– Dawaj, bawmy się! – warczą przez zaciśnięte zęby.

– Kto by się tym przejmował? – pytają.

Australijczycy mówią nieco głośniej niż inni być może dlatego, że są tak oddaleni od reszty świata. Gdyby mówili ciszej, któż by ich słyszał?

Australijski kodeks grzeczności to ledwie broszurka, natomiast księga obcesowości jest potężnym tomem. Kumpelska bezceremonialność wzbudza sympatię, więc na antypodach zdobywa się przyjaciół, waląc prosto z mostu, byle odpowiednim tonem. Australijski angielski, wielka chluba Australii i najważniejsza forma sztuki w tym kraju, to język poufałości.

– Fajno! Jak leci, chłopie, może być? Jak twoje pryszczki na tyłku?

Zrozumienie idei kumplostwa jest kluczem do sukcesu w Australii, a źródłem wzajemnej sympatii między kumplami jest kpina.

Australijczycy słyną z zamiłowania do szyderstwa i samokrytyki. Nikt nie szydzi z Australii bardziej niż sami Australijczycy.

– Żyjemy na zadku świata – oznajmił w telewizji pewien Australijczyk.

Pochodził z Melbourne, przez niektórych Australijczyków przechrzczonego na Smellbourne. Wypowiadał się z okazji dwóchsetlecia kraju, rocznicy niesławnego przybycia pierwszych skazańców do Zatoki Botanicznej.

– Spójrzmy na mapę – ciągnął człowiek z Melbourne. – Czyż nasz kraj nie przypomina zadka? Proszę – wskazówką obwiódł kontury – dwa obwisłe półdupki!

Przywiozłem moją składaną łódkę na wybrzeże Australii Zachodniej, stanu wielkości Meksyku, krainy, którą ów facet z telewizji uważał za lewy półdupek zadka świata. Wylądowałem w Perth, gdzie wieje bodaj jak nigdzie indziej.

– Jesteśmy na skraju świata – oznajmiła mieszkanka pobliskiego portu Fremantle. – A wie pan, jaki inny pisarz był tutaj? – zapytała. – D. H. Lawrence. Przez dwa tygodnie.

„Australia jest poza wszystkim”, stwierdza D. H. Lawrence w *Kangaroo* [Kangur], powieści, którą napisał w trakcie przelotnej wizyty w Australii w 1922 roku. Napisanie tej książki zajęło mu mniej czasu niż mnie jej lektura, albowiem to dzieło ciężkostrawne. Lawrence zaczął je pisać, rozczłonkowując i mitologizując Australię już w dziesięć dni po przyjeździe, a ukończył w niespełna miesiąc później. Tak oto w pięć tygodni stworzył czterystustronicową powieść. Styl kuleje, ale co tam! Tempo zaiste godne podziwu. Miejscami, opisując spienione fale albo meduzę, Lawrence przechodzi sam siebie.

Swoją podróż, rozpoczętą jako objazd promocyjny, w trakcie którego miałem odpowiadać – a w istocie wykręcać się od odpowiedzi – na pytania o moje dzieła, planowałem ukoronować wyprawą w dzicz. Perth było pierwszym z pięciu australijskich miast, gdzie zgodziłem się spotkać z czytelnikami i udzielać wywiadów. Wizyta od początku okazała się ogromnie absorbująca, bo Australia to kraj zachłannych czytelników i widzów, którzy są doskonale poinformowani i wyjątkowo ciekawi szerokiego świata, a także kraj niezwykle drapieżnych dziennikarzy, fanatyków pracy w niezliczonych



gazetach, pismach, stacjach radiowych i telewizyjnych. W Australii środki masowego przekazu tak się rozwinęły, że nie są w stanie nasycić się wiadomościami krajowymi i poświęcają wiele miejsca wieściom ze świata i wydarzeniom kulturalnym, a każdy przybysz – pisarz, aktor, polityk, dziennikarz – od razu jest oblegany. Pismacy i reporterzy rzucają się na każdego, kto przyjeżdża zza Wielkiej Rify Koralowej.

Wizyta w Australii okazała się ogromnie absorbująca również dlatego, że Australijczycy tak samo jak Amerykanie każdego przyjeźdnego uważają za ewentualnego imigranta. Niektóre z najbardziej malowniczych wytworów ich kpiarskiej inwencji językowej odnoszą się do imigrantów. Imigrantów żydowskich nazywają *refujews* (co kojarzy się ze śmieciami), imigrantów włoskich nazywają *dingbats* (głupkami), *eyetoes* (italiańcami), *spiggoties* (co kojarzy się z nieznaną angielskiego) lub *spagies* (makaroniarzami). Nowozelandczycy to *pig islanders* (mieszkańcy wyspy świń), Anglicy zaś to *poms*, *pommies* (co kojarzy się z rumianymi policzkami) lub *pongos* (angole). Najprawdopodobniej właśnie Australijczycy ukuli słówko *chink* (żółtek) jako określenie Chińczyków, a w każdym razie używali go już w 1879 roku, a więc dwadzieścia dwa lata przed jego pierwszym udokumentowanym wystąpieniem w Ameryce. Chińczyków nazywają również *canaries* (kanarkami), *dinks* (mikrusami) i *chow-chows*. Amerykanie to powszechnie *yanks* (jankesi) albo *yank wogs* (jankeskie brudas), w ślad za czym i Anglików nazywają czasem *pom wogs* (rumianymi brudasami). Jednych i drugich odróżniają od autentycznych czarnych, których nazywają *wog wogs* (czarnymi brudasami). Określenia te mogą wydawać się obelżywe, ale w rzeczywistości są mylącym, bo kpiarskim wyrazem naprawdę szczerzej australijskiej gościnności.

Na początek wylądowałem zatem wśród *sandgropers* (co oznacza obrzydliwe żyjące po ziemię pędraki z rodzaju *Cylindro Australia* i jest mianem, jakim reszta kraju nazywa mieszkańców Australii Zachodniej), w Perth, w nowiuteńkim, wielkim i błyskawicznie rosnącym mieście otoczonym przez pusty skrub, na wyspie wieżowców w szczerym polu, która pod względem rozmachu, optymizmu i blasku przypomina Portland. Perth wydało mi się idealnym miejscem do tego, żeby zacząć nowe życie,

i rzeczywiście wielu ludzi, których tam spotkałem, najwyraźniej tak postąpiło. Przybyli z Afryki Południowej, z Europy, nawet z Ameryki.

Australia jest jedynym znanym mi bezpośrednio obcym krajem na świecie, w którym wielu Amerykanów zapuściło korzenie. Trzydzieści lat temu, kiedy kwitła polityka imigracyjna budowania „białej Australii”, Amerykanie i osoby innych narodowości chętnie emigrowały do Australii właśnie dlatego, że był to kraj białych szowinistów, władze fundowały przejazd i z otwartymi ramionami witały wszystkich białych wielkogłowych przybyszy o odstających uszach. Dzisiaj ludzie emigrują do Australii z przeciwnego powodu, bo stała się krajem bezstronnym politycznie i wolnym od uprzedzeń rasowych. Wielu Amerykanów, których poznałem w Australii, mówiło, że uważają się za Australijczyków. Przez osiemnaście lat pomieszkiwania w Wielkiej Brytanii wśród osiedlonych tam Amerykanów nie spotkałem ani jednego, który uważałby się za Brytyjczyka.

Kiedy wałęsałem się w porcie Fremantle opodal Perth, kusiło mnie, żeby wypróbować składany kajak, ale uznałem, że wiatr dmący znad Oceanu Indyjskiego jest o wiele za silny. Za strefą przyboju po grzbietach fal wielkich jak góry wspinały się i opadały osobliwie ukształtowane frachtowce do przewozu owiec. Wyglądały jak pływające dziesięciopiętrowe domy, ale były szczelnie wypełnione klatkami z tysiącami żywych owiec i brały kurs na Zatokę Perską, gdzie te zwierzęta zostaną uśmiercone według zasad halal, a więc przez podcięcie gardła, podczas gdy patrzą w stronę Mekki. W rzeczy samej większość baraniny spożywanej w krajach arabskich pochodzi z Meganezji. Australia dostarcza baraninę na pieczone, a większość owiec hodowanych w Nowej Zelandii kończy jako surowiec na szaszłyki w Iranie i Iraku.

Moje dzieła docierały drogą morską do Australii i właśnie przywieziono dwa z nich, powieść i książkę podróżniczą. Moja wizyta w Australii była związana z ich promocją. Udzielałem więc wywiadów.

– Co pan sądzi o Chińczykach? – zapytała mnie w Perth dziennikarka jakiegoś pisma, a ja zwróciłem jej uwagę, że to wcale nie jest łatwe pytanie, ponieważ dotyczy miliarda ludzi.

– Ile czasu potrzeba na napisanie książki? – brzmiało inne pytanie, nad którym dumiałem przez dłuższą chwilę, aż uznałem, że nie znam odpowiedzi.

Osoba, która mnie o to zapytała, zaraz potem zadała następujące pytanie:

– Czy szanuje pan głównego bohatera pańskiej powieści?

Nie powiem, żebym się nie zdziwił. Czy tego rodzaju pytań mam oczekiwać w Australii? Odparłem, że owszem, szanuję wszystkie postacie z moich książek, i pomyślałem: nawet ciebie, kangurze, jeżeli zostaniesz postacią.

Zdarzały się wszakże pytania, na które z łatwością potrafiłem odpowiedzieć.

– Na czym polega główna różnica między powieścią a dziennikiem podróży? – zapytał mnie podczas lunchu we Fremantle pewien facet, przystawiając mi magnetofon pod brodę.

Odniosłem wrażenie, że uprawianie dziennikarstwa w tej części Australii to bułka z masłem. Pewnego dnia we Fremantle obudzono mnie z drzemki (a śnił mi się koszmar, że choruję na raka) i pośpiesznie zawieziono do Perth do redakcji brukowca, który nosi niezapomniany tytuł „Daily Mail”, a zasłynął z tego, że codziennie drukuje wielkie zdjęcie roznegliżowanego osiłka z podpisem: „Your Daily Male” [Twoje Codzienne Ciacho].

Poproszono mnie, żebym zaczekał dziesięć lub piętnaście minut, a potem zaprowadzono do sześciennego boksu, gdzie za schludnym biureczkiem siedział może osiemnastoletni chłopaczek. W tym pomieszczeniu moją uwagę od razu zwróciły wycięte ze zdjęć figurki Elvisa Presleya przyklejone do blatu biurka, do tablicy z wiadomościami, do kalendarza, a nawet do tarczy telefonu.

– Długo w Perth?

Odparłem, że nie. Dopiero co wielkim kosztem finansowym i ogromnych niewygód przyleciałem z Ameryki przez Nową Zelandię, żeby spotkać się z nim w tej klitce w wielkim biurowcu opodal Mitchell Freeway na przedmieściach Perth w Australii Zachodniej. Nie odniósł się do tego nawet słowem ani niczego nie zapisał w czystym notatniku. Wobec tego zapytałem go o Elvisa.

Uśmiechnął się, zadowolony, że okazałem ciekawość.

– Po prostu szaleję za nim – powiedział.

Omiótł spojrzeniem poźółkłe wizerunki nieszczęsnego gwiazdora amerykańskiego. Zaległo długie milczenie świadczące o tym, że miał nadzieję, iż zostanie przy tym temacie. W końcu chłopaczek spojrzał na mnie, jak gdyby przypomniał sobie, gdzie jest.

– Dobra, od czego zaczniemy? – zapytał.

Nie było to pytanie retoryczne, więc zagaiłem:

– Czytał pan coś mojego?

– Nie – odparł śmiało, jak gdyby się chwalił.

– A może widział pan film zrobiony na podstawie *Wybrzeża moskitów*?

– O, tak, podobał mi się – rzekł i zaczął gryzmolić w notatniku.

– Wobec tego może pan teraz przeczytać książkę! – zawołałem, ucieszony, że przełamałem lody.

– Nie, nigdy nie przeczytam tej książki. Bo film mi się naprawdę podobał. Znacząco, za bardzo mi się podobał. A co gdybym przeczytał książkę i by mi się nie spodobała?

Gapiałem się na niego zdumiony, więc pochylił się nad biurkiem, żeby podzielić się ze mną głęboką obawą.

– Wtedy i film by stracił w moich oczach – stwierdził i zabębnił palcami w notatnik. – Za duże ryzyko.

– Za duże ryzyko. Rozumiem.

Do niczego nie doszliśmy. Może po prostu nie było dokąd iść. Skierowałem rozmowę na Elvisa i pogadaliśmy o nim.

Chłopaczek odprowadził mnie do drzwi i zadał jedyne w tym tak zwanym wywiadzie pytanie dotyczące literatury.

– Skąd pan bierze bohaterów? Wymyśla ich pan?

– Czasem wymyślam – odparłem. – A czasem sami się przede mną zjawiają.

– Farciarz z pana!

Takie niezręczne spotkania sprawiały, że czułem się wyobcowany i przygnębiony. Tamtego wieczoru miałem wystąpić na uroczystej kolacji we fremantleńskim ratuszu, budowli – jak wiele innych w tym pięknie zachowanym starym porcie – dostojnej, kapiącej od złota, a wzniesionej dla uczczenia złotego jubileuszu królowej Wiktorii w 1887 roku. Kręciło mi się

w głowie od bezsenności i bałem się, że wybuchnę płaczem, jeżeli ktokolwiek wspomni o mojej żonie.

– A więc przyjechał pan bez żony! – zawołał ktoś, niedługo po tym jak wszedłem do ratusza.

Umknąłem do toalety, powzdychałem, połkałem, w końcu obmyłem twarz i dołączyłem do gości siedzących przy głównym stole. W głowie tłukła mi się myśl: jestem najbardziej roztrzęsionym nieborakiem na tej sali i to właśnie ja mam wstać i przemawiać.

– W ubiegłym miesiącu gościliśmy tutaj Roalda Dahla z żoną – powiedziała kobieta siedząca po mojej lewej stronie.

Skwitowałem to milczeniem. Podano kolację. Czterysta pięćdziesiąt osób, wszyscy rozmawiają, popijają i tryskają zadowoleniem. Patrząc na nich, słysząc ich śmiechy, straciłem apetyt.

Kobieta siedząca po mojej prawej stronie powiedziała, że pracuje w księgarni i że należą do jej ulubionych pisarzy.

– Powinien pan pisać opowiadania! – zawołała.

Czy to jakiś australijski kawał?

– Napisałem trochę opowiadań – rzekłem nieśmiało.

– To czemu pan ich nie ogłasza?!

Australijczycy są znani z poufałego sarkazmu, ale mnie w tym smętnym stanie ducha stać było tylko na lakoniczną dosłowność.

– Ogłaszam.

– Mam na myśli wydanie książkowe!

– Wydałem cztery zbiory. Około osiemdziesięciu opowiadań.

Kobieta siedząca po mojej lewej stronie powiedziała, że mieszka w Perth od piętnastu lat.

– Jest pani chyba zadowolona – rzekłem. – Fremantle to bardzo ładne miasto, a Perth przypomina mi pewne miasto na północno-zachodnim wybrzeżu amerykańskim. Takie czyste powietrze.

– Nie cierpię Perth – sarknęła. – Jest jak inna planeta. Ludzie są tutaj tacy dziwni. Nawet nie potrafię tego opisać. Lepiej się czuję w Afryce, wśród Afrykanów.

Po chwili usłyszałem, jak ktoś odchrząknął głośno w mikrofon, po czym entuzjastycznie mnie zapowiedział.

Nie przygotowałem przemówienia. Wygłosiłem kilka uwag ogólnych o podróżowaniu i anegdotycznie opowiadałem o Chinach, które były tematem jednej z książek, które miałem promować. Tego rodzaju przemówienia to przykre zajęcie. Człowiek czuje się jak na przesłuchaniu, jak gdyby ubiegał się o pracę. Człowiek czuje się jak pajac gadający jak nakręcony po to tylko, żeby w końcu powiedzieli:

– Och, Fred, to naprawdę przemiły facio. Kupmy jego książkę.

W trakcie przemówienia spostrzegłem, że przy stoliku w głębi sali podnosi się zwalisty mężczyzna. Nadal trzymał w ręku kieliszek, ale odstawił go i chwiejnym krokiem ruszył przed siebie. Mierzył dobrze ponad metr osiemdziesiąt, ciężki – gruby niczym cieleń, jak pewnie sam by powiedział. Ubrany był w długi płaszcz i emanował z niego gniew, kiedy szedł ku mnie – albowiem ponad wszelką wątpliwość obrał ten kierunek. W tej wielkiej sali upłynęła dłuższa chwila, zanim ktokolwiek prócz mnie go zauważył. Patrzyłem, jak kroczy ku mnie, podczas gdy mówiłem o karze śmierci w Chinach. W końcu jakaś kobieta, znacznie mniejsza od niego, złapała go za ramię i próbowała powstrzymać. Nic z tego, bez trudu włókł ją za sobą uczepioną ramienia, co wymownie świadczyło o jego żelaznej determinacji.

Czy ma zamiar zwymiotować? Czy zamierza wrzeszczeć? Może chce mnie trzasnąć?

Zająknąłem się i zamilkłem, kiedy wyrwał się kobiecie i zaczął mi wygrażać na oczach wszystkich gości. Dźgnął palcem w moją stronę, jął charczeć i nieprzyzwoicie gestykulować, a kobieta – pewnie płonąca ze wstydu towarzyszka – uwiesiła się jego płaszczem.

– Jesteś zwykłym palantem, koleś! – krzyknął. – Pieprzonym palantem!

Rozległy się posykiwania dezaprobaty, potępiające cmokania, ale nikt się nie poderwał, żeby wyrzucić chama. Tylko ta drobna uparta kobieta interweniowała, usiłując odciągnąć go, kiedy próbował dosięgnąć mnie grubymi paluchami.

Wtedy już nie w głowie mi było kontynuowanie przemówienia i po prostu czekałem, aż awanturnik wyrwie się, uderzy mnie i udusi na oczach

towarzystwa miłośników literatury we Fremantle. Modliłem się, żeby w ową dzielną niewiastę wstąpiły nadprzyrodzone siły. Moje modły zostały wysłuchane, bo kobiecie udało się odciągnąć bestię i wyprowadzić ją za drzwi. Cham zniknął. Ale nie na długo. Po chwili – niczym trup w horrorze wyskakujący z trumny, żeby nas przerazić – facet wpadł z hałasem przez drzwi.

– Ty pieprzony palancie! – wrzasnął, po czym znowu go odciągnięto.

– Właśnie tacy ludzie nazywają Chińczyków żółtkami i wytykają im brak manier – próbowałem nieporadnie improwizować. Wymamrotałem jeszcze kilka zdań, ale wkrótce się poddałem.

Potem ludzie mówili:

– Po prostu się upił.

– Pewnie nienawidzi książek.

– Jego pani zaciągnęła go na tę kolację.

– Chyba go pan nudził. Chłopina nie zdierżył.

– Te kangury to szczerze dusze – tłumaczył mi pewien świeży imigrant. – Nie wahają się powiedzieć człowiekowi, żeby spadał, jeżeli im się nie podoba. Znaczą, spojrzą i mówią: „Spieprzaj”, prosto w oczy.

– Miałem oko na tego grubasa – mówił inny z gości. – Obserwowałem go. Mogłem go udupić, słowo. Trenowałem sztuki walki.

Nie miałem śmiałości wyznać, że się bałem i byłem pewny, że ten facet mnie zaatakuje. To, że miał w czubie, niewiele zmieniało w kraju, gdzie większość facetów właściwie bez przerwy wydaje się na bani.

Kiedy zasiadłem przy specjalnie przygotowanym stoliku, żeby podpisywać książki, usłyszałem jeszcze dziwniejsze rzeczy. Nie da się przewidzieć pokrętnych i nerwowych reakcji tłoczących się czytelników.

– Myślałam, że jest pan wyższy.

– Myślałam, że jest pan młodszy.

– Kiedy zgolił pan brodę?

– W przyszłym miesiącu wybieram się z mężem do Indii, czy mógłby pan nam polecić niedrogi hotel w Dardżyling?

– Powinien pan używać edytora tekstu.

– Jest pan ulubionym pisarzem mojej matki, może przyjdzie pan na jej urodziny? We wtorek.

Rozgniewana kobieta o twarzy emu zmierzyła mnie strasznym spojrzeniem, potrząsając egzemplarzem mojej książki.

– Jeszcze pana nie czytałam – rzekła. – Lepiej żeby to było dobre.

Inna kobieta spojrzała na mnie z politowaniem i zapytała:

– Czemu nienawidzi pan Australijczyków?

Kiedy jeszcze stała długa kolejka chętnych do zebrania autografu albo podzielenia się ze mną niewydarzoną refleksją, tuż za moimi plecami pojawił się mężczyzna i szeptem sączył mi do ucha:

– Jesteś pan nieźle wkurzony, co? Przyznaj pan, śmiało. Nie cierpisz pan tego robić. Nie cierpisz pan tych ludzi. Jesteś pan nie na żarty wkurzony.

Odwróciłem się do niego i powiedziałem:

– Tak zarabiam na życie, kolego.

Po wszystkim szedłem wietrznymi ulicami Fremantle i wydało mi się, że to ogromnie niepewne miejsce, kruche miasto na małej plaży chłostanej przez wielkie fale, wciśnięte pomiędzy ocean a pustynię. Biała Australia.

– Gdzie są Aborygeni – pytałem wiele osób w ciągu następnych dni.

Większość wzruszała ramionami, niektórzy wskazywali kciukiem za siebie, w stronę skrubu.

– W Woop Woop – powiedział ktoś i wyjaśnił, że tak w Australii nazywa się najgorsze zadupie.

Odtąd gdy ktoś pytał mnie, gdzie najbardziej chciałbym pojechać w Australii, odpowiadałem:

– Do Woop Woop.

**Najpierw** jednak musiałem odfajkować miasta. Poleciałem do Melbourne, przeszło trzy tysiące kilometrów nad australijską pustką, gdzie według Australijczyków w ogóle nie ma życia.

– Ten kawałek Collins Street nazywamy zakątkiem paryskim – usłyszałem w Melbourne. Wielu ludzi mówiło mi, że Melbourne jest bardzo europejskie, tyle w nim kościołów z rudawego piaskowca, szacowne dworce kolejowe, stacja rozrządowa, tramwaje, nawet sadza.



Ja wszakże odniosłem inne wrażenie. To miasto znacznie bardziej przestronne, znacznie młodsze, raczej w typie miast amerykańskich na Środkowym Zachodzie. Miasta europejskie zawsze mają jakieś rany i blizny. Najbardziej amerykański aspekt Melbourne polega na tym, że od razu widać, iż nigdy nie zostało zbombardowane.

Moje przygody w Perth nieco mnie stropiły, jak gdybym został ukąszony. Stałem się nieufny. Po tym wszystkim w obliczu większego zgromadzenia Australijczyków, jakiegokolwiek zbiorowiska czy tłumu, a nawet podczas wizyty w banku, w restauracji, spotkania na rogu ulicy, jazdy taksówką, w trakcie zakupów albo gdy po prostu zabijałem czas, nieodparcie ogarniało mnie uczucie – a ściślej mówiąc, lęk – że wcale nie są w stosunku do mnie uprzejmi, lecz tylko hamują się. Bez urazy. Po prostu chcą mnie trzasnąć.

Wydawało mi się, że Australijczycy tylko wyglądają na swobodnych, podczas gdy w rzeczywistości ukrywają prawdziwe uczucia i trzymają się w ryzach, bo gdyby nie ta samokontrola, zaczęliby ryczeć. Sprawiali na mnie wrażenie ludzi, którzy niedawno zostali udomowieni, którzy w gruncie rzeczy są jak nastolatki w towarzystwie dorosłych, siedzą prosto, są grzeczni i nieco sztywni, bo gdy tylko pofolgują sobie albo wypiją kufel za dużo, staną się obleśnie poufali i rozpęta się piekło. To, co uważamy za dobre maniery, bywa tylko wymuszonym, skrępowanym zachowaniem człowieka, który się hamuje. Australijczycy prezentowali na ogół owo przesadne i nieprzekonujące ugrzecznienie pijaka, który udaje trzeźwego.

Pewien mój znajomy wyemigrował w latach sześćdziesiątych do Monash niedaleko Melbourne, gdzie utworzono uniwersytet (zwany „Farmą”, jak przystało na kraj lubujący się w swojskim żargonie).

– Australijczycy są agresywni i zawistni, ale w końcu każdego polubią – usłyszałem od niego.

W Melbourne zobaczyłem pierwszego Aborygena. Stał na skrzyżowaniu, nacisnął guzik na sygnalizatorze i czekał, aż się zapali zielone, żeby mógł przejść. Przyglądałem mu się z pewnej odległości i zastanawiałem się, czemu ten samotny człowiek wydaje mi się taki dziwny. Nie chodziło o gładką twarz, skołtunionie włosy, krzywą postawę ani dziurawe buty. Dziwne było samo to,

że stoi przy krawężniku. Bo nic nie jechało ulicą. Bo to był jego kraj. Bo ten nomada czekał na pozwolenie, żeby iść.

– Oni nienawidzą Absów, naprawdę ich nienawidzą – powiedział mi niedawno osiadły imigrant z północnej Anglii. – To, co wygadują, zdumiewa mnie, znaczy, ta nienawiść. Mnie tam wszystko jedno. Tylko czasem kiedy na nich patrzę, naprawdę mi ich jednak szkoda...

Ludzie rozmawiali o nich, ja ich wypatrywałem, ale wydawali się nie istnieć. Mniej rzeczywiści od cienia. Zagubieni w tłumie, a ci, którzy żyli w miastach, mieszkali w miejscach omijanych przez innych z daleka.

Kiedy pytałem: „Dużo tutaj Aborygenów?“, odpowiadano: „Aż za dużo”. Ale gdzie oni są?

Tymczasem to ja miałem odpowiadać na pytania.

– Tyle pan podróżuje, że żona pewnie tęskni?

Nawet nie chce o mnie słyszeć, wszystko skończone, pomyślałem.

– Tak, myślę, że tęskni – powiedziałem.

– Jak pan to robi, że jeżdżąc w tak egzotyczne miejsca, jest tak zdrowy?

Jeżeli chodzi o ścisłość, pewnie mam raka, pomyślałem.

– Nigdy nie piję podejrzaną wodę – powiedziałem.

– Czy miał pan kiedyś biegunkę w tych krajach?

Bez przerwy, pomyślałem.

– Nie. Zwykle mam zatwardzenie – powiedziałem.

– Jest pan taki pogodny, a pana książki są miejscami przygnębiające.

Nie inaczej, bo czuję się wyobcowany i przygnębiony, zwłaszcza teraz, pomyślałem.

– Czy zamierza pan napisać książkę o Australii?

Tak, pomyślałem.

– A co ja wiem o Australii? – powiedziałem.

Okrzepłe i kulturalne Melbourne wyglądało szczególnie dostatnio przy złej pogodzie, kiedy zabudowania ciemniały od deszczu, a lśniące ulice zwielokrotniały zabiegane tłumy. Na łamach tutejszych gazet tak samo jak wszędzie indziej królowała surowa autoanaliza. Na użytek zagranicy Australijczycy przybierają pozę napuszonej pewności siebie i samozadowolenia, natomiast w kraju szerzy się dręcząca samokrytyka, ciągle

wraca pytanie: „Co z nami nie tak?”. Przybysz jest ustawicznie proszony o szczerą ocenę kraju. Jeżeli go pochwali, wyśmieją go i nazwą pedziem lub cioteczką (mają nie wiem ile określeń geja, choćby *quince* [niewieściuch], *queen* [ciota], *spurge* [cwel], *pood* [parówa], *sonk* [pedryl] lub *Are you Arthur or Martha?* [homo niewiadomo]). Wydaje mi się, że kiedy pytają obcych, co sądzą o Australii, w gruncie rzeczy chcieliby usłyszeć coś swojskiego i zabawnego, jak choćby:

– Wy, cholerne kangury, jesteście przasni jak świńskie śniadanie, ale właśnie to mi się podoba!

W Melbourne wygłosiłem swoją gadkę w sali balowej teatru Regent przy lunchu dla pięciuset gości, którzy pałaszowali jagnięcinę z ziemniakami. Zastanawiałem się, czy gdziekolwiek w Ameryce dałoby się skrzyknąć tylu ludzi, którzy chcieliby słuchać mojego dukania. W Melbourne stawiła się pstra zbieranina moich australijskich czytelników, od wiekowych maniaków powieści i entuzjastów kolei, którzy zapraszali mnie na herbatę albo fundowaną przejażdżkę pociągiem, po podejrzenie wyglądających młodych ludzi z tatuażami i o palcach zażółconych od skrętów, którzy pochylając się, żeby podsunąć mi do podpisania wyświechtany groszowy egzemplarz mojej książki, cuchnęli trawką. Dwóch spośród tych młodych czytelników było muzykami. Wręczyli mi zaproszenie na swój wieczorny koncert:

Dan Loneway & Fellow Travellers.

Debiutancki koncert i promocja płyty.

Dan's Hashish Centre.

Najlepszy nepalski hasz i gandzia.

Środa. Friko.

– To takie krzepiące, że młodzi czytają – powiedział ktoś, podczas gdy Dan Loneway pakował książki do fantastycznie kolorowej balijskiej torby na ramię, po czym odpłynął na chmurze dymu.

– Chyba mam szerokie grono czytelników w tym kraju – rzekłem.

Kiedy przyszedł czas wyjazdu do Sydney, zaczął się strajk pilotów i odwołano wszystkie loty.

– Ten strajk to rzecz niesłychana – stwierdził pewien mężczyzna. – Ten kraj jest śmieszny. Schodzimy na psy.

– Jest pan wielkim podróżnikiem kolejowym – zauważył jeden z moich czytelników. – Z Perth do Melbourne powinien pan przyjechać pociągiem Indian-Pacific. No i teraz też może pan jechać pociągiem do Sydney.

Miałem dwa zastrzeżenia. Po pierwsze, przysięgłem sobie, że w Oceanii nie wsiądę do pociągu. Po drugie, nie mogłem się doczekać początku prawdziwej podróży, wędrówki w Woop Woop i wiosłowania jeszcze dalej. Nadal czytałem *Życie seksualne dzikich* i dumałem o tym, żeby z Australii ruszyć do Nowej Gwinei.

Sporządzałem wszakże sumienne notatki na temat osób, które przeprowadzają ze mną wywiady, a które i ja nawzajem przepytuję. Postanowiłem kreślić portrecik każdego, kto o mnie pisał. „Theroux gustuje w raczej dziwnych strojach sportowych”, napisał angielski dziennikarz, osobnik ubrany w skosmacony sweter, kraciastą koszulę i zaplamiony krawat, i odtąd wolę mieć ostatnie słowo. Zastanawiałem się, co o mnie i o mojej garderobie napiszą walący prosto z mostu Australijczycy. Niektórzy pytali, co jest w tych wielkich brezentowych torbach, które stoją w moim pokoju, a gdy odpowiadałem: „Łódka”, chrząkali dwuznacznie, czym budzili moją czujność. Może ten objazd promocyjny jest tylko prologiem prawdziwej podróży?

Kiedy w końcu postanowiłem jechać pociągiem, odradzano mi ten, który wybrałem, i namawiano, żebym jechał „starym pociągiem, który ma uroczy klimat”. Nie powiedziałem tego, ale uważam, że stare pociągi często są najgorsze. Nie interesuje mnie klimat, od kolei wymagam komfortu i prywatności, a kiedy wsiadłem do wybranego sleepingu, poczułem się najszcześniejszy od chwili przyjazdu do Australii.

Pociąg prowadził tego rodzaju wagon restauracyjny, jakie już prawie zniknęły w innych krajach rozwiniętych, wagon ze stołami, krzesłami, porządnymi sztucami i kelnerami roznoszącymi na metalowych tacach talerze z potrawami. Obiad dnia składał się z zupy pomidorowej, smażonej flądry z dwoma warzywami jako dania głównego oraz bardzo gęstego puddingu na deser. Nigdy nie dostałbym czegoś równie dobrego w samolocie. Obsługiwała mnie Lidia, niska, żwawa kobietka z ołówkiem wetkniętym we włosy, która niedawno przyjechała do Australii z Polski, ale już mówiła z akcentem

australijskim i proste słówko *now* przerobiła na tryftong. Powiedziała, że chce zostać na zawsze.

Przy sąsiednim stoliku jakiś mężczyzna podsunął synowi torebkę cukierków i zapytał:

– Chcesz *jolly boins* (czyli „wesołe cyce”, zamiast *jelly beans*, „żelki”)?

Mark Twain jechał tym pociągiem w 1896 roku, gdy bawił w Australii z cyklem odczytów. Chwalił doskonałe łóżka i szydził z podłej kawy, sugerując jej uszlachetnienie za pomocą odrobiny płynu do odkażania owiec. W trakcie jazdy głównie gapił się przez okno, usiłując wypatrzyć kangura lub Aborygena. Mniej więcej w tym samym czasie trasą tą z koncertu na koncert często jeździła Nellie Melba (która gdy Clara Butt poprosiła ją o rady przed planowanym *tournée* po Australii, miała rzec: „Śpiewaj im najgorszą szmirę”). Również w swoją ostatnią podróż, już w trumnie, Melba wyruszyła w tym pociągu, odwrotnym kursem z Sydney do Melbourne.

To zawsze była ruchliwa linia. Przed przeniesieniem stolicy do Canberry głównym ośrodkiem administracyjnym było Melbourne i starzy urzędnicy australijscy opowiadali mi, że wiele spraw wagi państwowej załatwiano w wagonach pociągów jeżdżących tą trasą. Pewien mężczyzna opowiadał, że jeszcze kilka lat wcześniej w pociągach pracowały prostytutki, które obsługiwały klientów w wagonach sypialnych. W pociągu roiło się od panienek kręcących tyłeczkami, a ich alfonsi – zwani kikantami albo kakadu – ostrzegali dziewczyny przed zbliżającymi się konduktorami.

Tak oto głową naprzód, na płask w kolebiącej się koi, gnałem osiemset kilometrów przez Euroę, Benallę, Wangarattę, Wodongę, dalej przez mokradła Millawah, rzekę Murray do Wagga Wagga, Junee, Cootamundrę, Yass, Goulburn i Mittagong. O świcie podniosłem roletę i spojrzałem w skrub – eukaliptusy o grubej włóknistej korze, eukaliptusy gałkowe i mulgi na brzegu kamienistych żółtych wąwozów. Ziemia jałowa, zerodowana, a kiedy pociąg zwolnił, zaczęły się parterowe domy, pierwsze osiedla i przedmieścia. Przemierzyliśmy Campbelltown, gdzie na przejazdach kolejowych stały długie kolejki samochodów i oczywiście roiło się od szyldów głoszących: „Więźby dachowe”, potem Liverpool, Lidcombe, Homebush i w końcu wjechaliśmy do samego Sydney.

– **Mam przyjemność** być pana kamerdynerem, panie Theroux.

Usłyszałem to w apartamencie prezydenckim na trzydziestym ósmym piętrze hotelu Regent, skąd w kierunku wschodnim rozciągał się zapierający dech w piersiach widok na operę, wspaniały port i Morze Tasmana za nim. Mój kamerdyner był prostym jak świeca mężczyzną mówiącym ze środkowoeuropejskim akcentem, tylko nieznacznie zmienionym przez australijski. Miał na sobie prążkowane spodnie, czarny frak, śmieszny biały gors podobny do śliniaka i białą muchę. Dostarczył mój bagaż i właśnie przyniósł dwie wielkie torby ze składaną łódką.

– Czy mogę rozpakować bagaże i poukładać pana rzeczy?

Miałem ubrania turystyczne na wyprawę w Woop Woop, szorty i podkoszulki do kajaka, śpiwór, bukłak, namiot, kuchenkę turystyczną i garnki, składane wiosło, apteczkę, kompas, pompę zęzową, środek odstraszający owady i zestaw narzędzi.

– Może zacznę od tego?

Zataszczył torby z kajakiem pod szafę i zaczął majstrować przy sznurkach.

– Nie ma potrzeby niczego wyjmować – powiedziałem.

Wyprostował się i grzecznie oświadczył:

– Jestem do pana usług. Gdyby czegokolwiek pan potrzebował, proszę dzwonić.

Na stoliku w wiaderku z lodem stała butelka Dom Pérignon z miłym liścikiem od dyrektora. W salonie – apartament składał się z czterech pomieszczeń – ustawiono koszyki z owocami i kwiaty. Był barek na kółkach, a w nim szkocka, bourbon, porto, wódka, sherry i gin w karafkach opatrzonych identyfikującymi zawartość srebrnymi zawieszkami. Misa ze słodyczami, druga z orzechami. Ale najbardziej ucieszyła mnie mocna luneta.

Nakierowałem lunetę na Port Jackson, naturalny port wybiegający na wschód ku Pacyfikowi. Nigdy przedtem nie widziałem równie pięknego portu, długiego i szerokiego, roziskrzonego blaskiem słońca, mającego tyle cypli i zatoczek. Obejrzałem małe białe płytki na dachu opery, a potem kierowałem obiektyw na promy i żaglowce, wieżowce na klifach wspaniałych zatok, fale rozbijające się o czarne skały cypla North Head u wyjścia z zatoki. Pode mną,

na Circular Quay, przy której cumują promy, tłumy pasażerów mieszały się z gitarzystami i sztukmistrzami, a na ławce na brzegu Sydney Cove, bliżej Harbour Bridge, ze złączonymi kolanami siedział Aborygen. Bawiłem się myślą o napisaniu drobiazgowej opowieści o Sydney i jego mieszkańcach, którą stworzyłbym, siedząc w tym apartamencie, popijając szampana i obserwując miasto przez lunetę.

Kamerdyner wchodził i wychodził, zabierając rzeczy do prania, przynosząc mi posiłki, faksy i odgrywając na użytek dziennikarzy rolę idealnego sługi, istnego Jeevesa.

– Byłam już w tym apartamencie – powiedziała jedna z reporterek. – Robiłam wywiad z lordem Lichfieldem.

Oczywiście padały typowe pytania.

– Żona nie tęskni za panem?

– Pragnę zapytać o powieść, którą napisał pan o sobie...

Wygłosiłem następne przemówienie w trakcie następnego uroczystego lunchu w następnej sali balowej, przy innych daniach i innym głównym stole, ale mimo najlepszych chęci głęboko czułem, że wolałbym po prostu siedzieć, zajadać i słuchać kogoś innego. Przeczytałem już tyle *Kangaroo* Lawrence'a, że chętnie podyskutowałbym o jego przesądach na temat Australii, ale ludzie wypytywali mnie wyłącznie o pociągi.

– Jestem do pana podobny – powiedział jakiś facet, kiedy podpisywałem książki.

– Naprawdę? – zapytałem.

Był to mężczyzna średniego wzrostu, w typie latynoskim, o haczykowatym nosie, przylizanych włosach i w ciemnych okularach. Spojrzał na mnie, marszcząc brwi.

– Bardzo rzadko czytam książki – podjął – ale kiedy jakieś piętnaście lat temu zobaczyłem pana zdjęcie na obwolucie jednej z pana rzeczy, uświadomiłem sobie, że jestem do pana podobny i kupiłem tę książkę. W rezultacie przeczytałem wszystko, co pan napisał. I nadal wyglądam jak pan, czyż nie?

– Wygląda pan o wiele lepiej – rzekłem.

– Może zjadłby pan ze mną lunch?

Powiedziałem, że niestety mam inne plany, a było to tylko pierwsze z wielu zaproszeń, nieraz wypisanych na wizytówkach albo na karteczkach, które ludzie wciskali mi w rękę.

- Proszę przyjść na kolację...
- Żona i ja bylibyśmy zachwyceni, gdyby pan wpadł na kieliszek...
- Jeżeli nie wie pan, co ze sobą zrobić, proszę zadzwonić do mnie...
- Pragnęłabym pokazać panu Sydney...
- Czy udzieli mi pan wywiadu w ten weekend? To może być zabawne...
- Jest pan najzabawniejszym facetem, jakiego czytałam. Nie wolno marnować takiego talentu komicznego. Niechże pan napisze o Australii...

Byli gorliwi, spontanicznie gościnni. Ja wszakże wolałem trzymać się na uboczu. Uzupełniałem sprzęt biwakowy. Chodziłem na koncerty, obejrzałem *Poławiaczy pereł* w operze, popijałem szampana i obserwowałem miasto przez lunetę. „Jest pan najzabawniejszym facetem...” Od czasu do czasu rozmyślałem o swoim życiu, o raku i rozwodzie, i się rozklejałem.

Apartament był moim schronieniem. Początkowo oczywiście pławiłem się w luksusach, bo któż by nie korzystał z takiej okazji. Objadałem się owocami, czekoladkami z nadzieniem miętowym, popijałem szampana, rozpakowywałem mydło, wachałem kwiaty, wziąłem długą kąpiel z bąbelkami, wsypawszy do wody pięknie pachnące mineralne kryształki. Ale już drugiego lub trzeciego dnia miałem dosyć. Obudziłem się wcześniej i na śniadanie zamówiłem tylko owsiankę, zieloną herbatę i grejpfruta. Dzień wypełniły mi obowiązki związane z promocją („Jak długo pisze się książkę?”), a wróciwszy do hotelu, czytałem Malinowskiego i studiowałem mapy Trobriandów. Zaznaczyłem sobie różne rzeczy w przewodnikach po Wyspach Salomona, Tonga i Vanuatu. Jakie to dziwne, myślałem, czytać o wielkich i niebezpiecznych krokodylach różańcowych w Guadalcanal i w północnym Queenslandzie, o orgiastycznych żniwach jamsu na Kiriwinie, podczas gdy siedzę w apartamencie lorda Lichfielda i popijam szampana.

Pewnego wieczoru siedziałem przy lunecie, kiedy zadzwonił telefon.

- Łączę z Londynem – poinformowała telefonistka.
- Halo – powiedziałem, ale z drugiej strony nie odwzajemniono powitania.



– Dostałam właśnie wyniki twoich badań – rzekł swojski głos, zniekształcony przez odległość i wzruszenie. – Nie masz raka.

– Bogu niech będą dzięki.

Kontury portu i wszystkiego, co się w nim znajdowało, rozmazały się przed moim przymrużonym okiem w osobliwie ciekłym świetle łez.

Urwał mi się guzik u koszuli, więc sam go przyszyłem, rozkoszując się tą przyziemną czynnością wśród otaczającego mnie luksusu. O ósmej przyszyły pokojówki przygotować łóżko. Na stoliku nocnym postawiły karafkę koniaku, koniakówkę i butelkę wody mineralnej. Wypiłem wodę. Czytałem, aż zmorzył mnie sen. Obudziłem się wyczerpany przez sny.

Kamerdyner wraz ze śniadaniem przyniósł na srebrnej tacy liściki.

– Jeżeli nie wie pan, co ze sobą zrobić, proszę zadzwonić do mnie...

– Pragnę zaprosić pana na konną przejażdżkę. Stajnie mam niedaleko...

– Mąż błagał mnie, żebym skontaktowała się z panem...

Mnie wszakże wystarczała luneta i nie skorzystałem z żadnego z zaproszeń. Któregoś dnia wyszedłem z hotelu, minąłem basen i pięciogwiazdkową restaurację, zapłaciłem za leżak na plaży Bondi, po czym zjadłem rybę z frytkami, przyglądając się surferom wyczyniającym rozmaite niebezpieczne figury na wysokich falach, obserwowany przez leniuchujące ślicznotki opalające gołe biusty na oczach zdumionych japońskich turystów, którzy najwyraźniej nigdy przedtem nie widzieli takich cycków, i wysypawszy się tłumnie z wycieczkowego autobusu, strzelali dziewczynom fotkę za fotką, tak skupieni i przejęci, jak gdyby fotografowali szczególnie okazałe melony na wystawie rolniczej. Na plaży roiło się od osiłków i wielkich włochatych samców. Zdarzali się ludzie dotknięci czerniakiem. Plaża Bondi, chociaż w Australii do cna zbanalizowana, jest naprawdę piękna. Ci, którzy na nią chodzą, głoszą jej chwałę i jej bronią, natomiast ci, którzy jej nie odwiedzają, twierdzą, że jest niebezpieczna i brudna, że jeżeli człowieka nie utopi tam potężny prąd powrotny przyboju, to udusi smród ścieków.

Z ulgą wróciłem do luksusowego apartamentu na szczycie wieżowca i do mojego sprzętu turystycznego. Chociaż bowiem cały ten luksus napełniał mnie uczuciem odosobnienia, to z dala od niego ogarniało mnie dojmujące, zaiste graniczące z paranoją poczucie bezbronności. Nie mogłem się doczekać

powrotu do tych malowideł, kanap, szampana, chłodnych owoców i mojej łodzi. Rozkoszowałem się komfortem i cichą samotnością. Wyuzdany komfort to jedna z najbardziej demoralizujących sił i łatwo się od niego uzależnić. Początkowo pragnąłem się nim cieszyć i dzielić, potem stał się schronieniem i pragnąłem zachować go dla siebie, a w końcu zacząłem uważać za niezbędny i bałem się utracić. Wystarczy liźnąć luksusu, żeby wszystko inne straciło smak.

Najwyższy czas uciekać.

**W Brisbane** niemal nie mówiło się o niczym innym prócz słynnego procesu „wampirycznych morderczyń”. Nazywanie przestępczyń wampirami bynajmniej nie wynikało z dziennikarskiej przesady. Świadkowie pod przysięgą zeznali, że trzy młode lesbijki, które czasem wieczorami raczyły się krwią toczoną ze swoich ramion, znudziły się tym pocziwym rytuałem i postanowiły działać śmieiej. Uprowadziły mężczyznę i zadźgały go, wbijając mu nóż w plecy. Podcięły mu gardło i jedna z nichssała jego krew.

– Piłam jego krew – zeznała przed sądem jedna z morderczyń. To była bardzo otyła dziewczyna, o policzkach jak u prosięcia, ostrzyżona na jeża. Skazano ją za zabójstwo.

Brisbane leży nad rzeką, jest wielkie i słoneczne, ale mimo że rozgrzane upałem tonęło w blasku słońca, wydało mi się bardzo smutne. Chociaż może to ja byłem smutny. Dziennikarze sprawiali wrażenie niezwykle agresywnych i obcesowych.

– Doprawdy spotyka pan strasznie dużo wariatów – stwierdził reporter. – Sądzę, że to cokolwiek nieprawdopodobne.

– Bardziej nieprawdopodobne niż książka, która niedawno się tu ukazała pod tytułem *Australijscy myśliciele?* – odciąłem się. – Bardziej nieprawdopodobne niż wasz miesięcznik „Smakosz Australijski”? Bardziej nieprawdopodobne niż wasze wampirki?

Popatrzył na mnie z takim wyrzutem, jak gdybym rzucił w niego zgniłym jajem. Rzeczywiście. Potrafią być tacy gruboskórni. Wystarczy wspomnieć jakąś śmieszna nazwę, jak choćby Wagga Wagga, i się jeżą.

Pewna dziennikarka starała się zadawać podchwytliwe pytania.

– Czym pan się różni od głównego bohatera pańskiej powieści?

– Cóż, on jest wyczynowcem seksualnym – odparłem.

– A skąd pan wie, że pan nim nie jest? – zapytała, odrzucając w tył włosy.

Nieraz pytali:

– Co żona sądzi o pana książce?

Trzymając nerwy na wodzy, wykręcałem się:

– A co to ma wspólnego z literaturą?

Od gadania bolało mnie gardło. Oczy opuchły i piekły. Dziennikarze nie ustawiali w próbach zrobienia ze mnie idioty. Sadzali w studio cuchnącym zbutwiałym dywanem i transmitowali moje opinie do Hobart na Tasmanii. Posługacz w hotelu zwracał się do mnie *per*: „panie Thorax”, czyli: „panie Tułów”. Kiedy wyznałem jednemu dziennikarzowi, że nie mam zamiaru pisać książki o Australii, lecz tylko chcę odbyć wędrowkę w Woop Woop i popływać składanym kajakiem w północnym Queenslandzie, zawołał:

– Ha, jak nie zeżrą pana rekiny, to krokodyle na pewno!

Wszyscy w drwiący, szyderczy, besserwisterski sposób ostrzegali mnie przed niebezpieczeństwami czyhającymi na bezludziu – węzami i jaszczurkami, krwiożerczymi muchami, upałem i oślepiającym słońcem, cierniami i okropnymi bezdrożami. Wybrzeże malowali jako jeszcze straszniejsze ze względu na węże morskie, rekiny, osy morskie, trujące kostkomeduzy, jadowite szkaradnice i zapuszczające się w morze czteroipółmetrowe krokodyle. Ostrzegano mnie przed roślinami i dzikimi zwierzętami.

W Australii panuje powszechny strach przed dziką przyrodą. Nikt wszakże nie wspomina o pijakach, wszechobecnych i o niebo bardziej niebezpiecznych.

Nasłuchałem się historii o krokodylach w Cairns, ostatnim mieście, jakie odwiedziłem w białej Australii. W Cairns oczywiście roi się też od pijaków i właśnie oni najjuszniej i najbarwniej przestrzegali mnie przed krokodylami.

– Musisz pan mieć strzelbę i walić bestii w nos – tłumaczył jeden pijaczyna. – Kula nie przebije pancernej skóry gada.

– Jak pan zobaczysz krokodyla, *krzyknij* pan na niego tak, żeby mu poszło w piętę – radził drugi.

– Jak się zanurzą, już pan nie żyjesz – stwierdził trzeci. – Nie są w stanie pana połknąć. Podpłyną pod pana, walną ogonem, chwycą zębami, wciągną pod wodę i utopiają. Zjedzą pana, jak zaczniesz się pan rozkładać.

Im usilniej mnie przestrzegano, tym bardziej pragnąłem wyruszyć w dzicz, najpierw w rojące się od much pustkowie, zapamiętane z *Vossa* Patricka White'a i z filmu *Walkabout* Nicka Roega, a potem na skraj północnego Queenslandu, za Cooktown, na tę część wybrzeża, z której jest znacznie bliżej do Nowej Gwinei niż do Sydney i o której jeszcze nie pisano.

Według niektórych już Cairns to dzicz. To oczywiście przesada, bo chociaż miasto rzeczywiście leży na granicy dziczy, jest ładne. Rozparło się na skraju błotnistej delty i wydało mi się wręcz za duże. Wybijało, bo ma wspaniały klimat i jest głównym portem łodzi dowożących nurków – zarówno głębinowych, jak i używających rurki – na Wielką Rafę Koralową. Większość szyldów wypisuje się tu w dwóch językach, angielskim i japońskim. Nigdzie indziej w Australii nie widziałem tylu sklepów z T-shirtami i opalami.

Jeżeli chodzi o kampanię promocyjną, Cairns było moim ostatnim szansem. Udzieliłem wywiadu siedemnastoletniej Sandrze z „Cairns Post”. Dziewczyna aż się trzęsła ze zdenerwowania, oznajmiła, że nie czytała nic mojego, a w gazecie dopiero się wprawia.

– Jeszcze nigdy nie przeprowadzałam wywiadu – wyznała.

Nie wiedziała, o co pytać, więc rozmawialiśmy o jej rodzinie. Opowiadała, że kocha rodziców, uwielbia nowo narodzoną siostrzyczkę, dom w Cairns, swoją sypialnię oraz plakaty i płyty, które w niej ma.

– Nie chcę szukać pracy w Brisbane. Musiałabym się wyprowadzić – powiedziała.

Pomyślałem, że nie będę jej smucił opowieściami o moich podróżach. W Cairns wygłosiłem jeszcze natchnioną, jak sądziłem, mowę na kolejnym uroczystym lunchu. Kiedy grzmiałem o tym, że władze chińskie nieraz karzą śmiercią zwykłych złodziei, podpalaczy i reketierów, starsza kobieta siedząca w pierwszym rzędzie rozpromieniła się i zaczęła bić brawo.

Queensland słynie z konserwatyizmu i miłujących broń twardzieli. Pod względem sympatii politycznych przypomina głębokie Południe Stanów Zjednoczonych, z którym oprócz postaw politycznych łączą go również uprawy

takie jak tytoń, trzcina cukrowa, bawełna, banany i mango. W Cairns, podobnie jak na amerykańskim Południu w czasach sprzed Martina Luthera Kinga, widuje się smętne grupki nieuczonych czarnych – dziwnie cichych, smutnych ludzi o pięknych, łagodnych oczach z długimi rzęsami. Nawet najgrubsi mają patykowane golenie, a wszyscy wydają się krzywonodzy. Każdy inny, snują się odziani w miejskie ubrania i w brudne, miękkie kapelusze o szerokich rondach, uwielbiane przez Australijczyków, a w Cairns nazywane „kołami od wozu z Cunnamulla”.

Z daleka Aborygeni wyglądali tajemniczo, nawet groźnie, jak wszystko, co nieznanie. Z bliska wydawali się stropieni, wystraszeni, a w każdym razie nieśmiali. Nosili dziwne ubrania, prawie nigdy niepasujące do ich postury, byli bowiem albo chudzi jak szczapy, albo bardzo otyli. Żaden nie pojawił się na moich wykładach. Nie uczestniczyli w moich spotkaniach z miłośnikami literatury. Nie wchodzili do księgarni, nawet tych, które sprzedawały aborygeńską literaturę. Nie przeprowadzili ze mną wywiadu, w ogóle o nic nie pytali. Widziałem ich, ale nie odwzajemniali spojrzenia. Jak gdyby nie istnieli. Niektórzy nie byli miejscowi, lecz pochodzili z wyspy Thursday w Cieśninie Torresa.

– Są właściwie jak wasi podopieczni – stwierdził pewien facet w Cairns, mając na myśli to, że gładkolicy mieszkańcy wyspy Thursday są podobni do czarnoskórych Amerykanów, a kiedy zapytałem, dlaczego tak sądzi, odparł: – Przecież dopiero co zleźli z drzewa, no nie?

Dotąd podróżowałem po białej Australii. Chciałem lepiej poznać ten kraj, zanurzyć się głębiej, już choćby po to, żeby wejrzeć w życie Aborygenów. Skoro skończyłem z promocją, przymusowym biciem piany, mogłem ruszyć, dokąd oczy poniosą.

## rozdział\_czwarty\_

### Wędrownka w Woop Woop

**Zapytajcie** białego Australijczyka, czym jest wędrownka Aborygenów, a odpowie, że to kompletne wariactwo, nagłe porzucenie pracy albo nędznej chaty i marsz, gdzie oczy poniosą. Przymusowa ucieczka, napad szaleństwa, w którym człowiek goni za własnym ogonem. Ale czy to prawda?

Wróciwszy do Sydney, rozglądałem się za Aborygenami, żeby ich o to zapytać.

– Niech pan nie nazywa ich Absami – przestrzegano mnie, chociaż ani ich tak nie nazywałem, ani nie miałem zamiaru ich tak nazywać, a przestrzegali mnie ludzie, którzy prywatnie używali z dziesięciu, jeżeli nie więcej obelżywych określeń Aborygenów, choćby takich jak *boong* (brudas), *bing* (śmieć) i *murky* (czarnuch). Przyznam tylko, że ci bigoteryjni Australijczycy byli absolutnie bezstronni, bo *per* „brudas w butach” mówili o Japończykach, a *per* „jankeski brudas” o czarnych Amerykanach.

Poszukiwanie Aborygenów w Australii przypomina obserwowanie ptaków. Ptaki są wszędzie, ale tylko prawdziwi miłośnicy ptaków widzą je wyraźnie. Znawca ptaków ni stąd, ni zowąd pochyła się lekko, sztywnieje i szepce: „Bilbil ubogi”, a my widzimy tylko trzepoczące liście. W podobnym duchu, dokładając starań, dążąc do osiągnięcia wprawy, zacząłem wypatrywać Aborygenów. Nieraz kryli się pod eukaliptusami albo w półmroku. Często trwali nieruchomo, zwykle w cieniu, choćby w parku miejskim, prawie zawsze pod drzewem. Odkryłem, że jest ich wielu.

– Tacy biedni – głosi obiegowe powiedzonko – że zlizują farbę z płotu.

Może widzieli ich wszyscy, ale nawet jeżeli tak było, Australijczycy nie dawali tego poznać po sobie. Doszedłem do wniosku, że Aborygenów widzą tylko ci, którzy ich szukają. Niczym miłośnik ptaków skrzętnie notowałem swoje obserwacje.

W 1895 roku Mark Twain spędził w Australii przeszło miesiąc i ubolewał, że przez cały ten czas nie zobaczył kangura ani Aborygena.

„Widzieliśmy ptaki, ale żadnego kangura – pisał w jednym z rozdziałów poświęconych Australii w dzienniku podróży dookoła świata, zatytułowanym *Following the Equator* [W stronę równika] – żadnego emu, żadnego dziobaka, żadnego wykładowcy i żadnego tubylca. Kraj w rzeczy samej wydawał się pozbawiony dzikiej zwierzyny. Ale niewłaściwie użyłem słowa »tubylec«. W Australii odnosi się ono wyłącznie do urodzonych w tym kraju białych. Powinienem być rzec, że nie widzieliśmy żadnego Aborygena – ani jednego »czarnego brata«. Prawdę mówiąc, do dzisiaj nie widziałem Aborygena”.

Pod koniec podróży przez Australię Twain westchnął: „Przeszedłbym pięćdziesiąt kilometrów, żeby zobaczyć choćby wypchanego Aborygena”.

Odnosiłem wrażenie, że ci ludzie są nieosiągalni i nie ma na to rady. W La Perouse nad Zatoką Botaniczną niedaleko lotniska w Sydney wybudowano porządne osiedle dla Aborygenów. Pewnego dżdżystego popołudnia wybrałem się tam w towarzystwie mieszkańca stolicy Nowej Południowej Walii, który mi o tym osiedlu powiedział. Widzieliśmy ze sto domów z prefabrykatów, ciągnących się wzdłuż Elaroo Avenue do Adina Avenue i dalej aż do Goolagong Place. Bardzo niewielu mieszkańców było na dworze, spostrzegliśmy grupkę Aborygenów stojących przy motocyklach, ale na nasz widok dosiedli maszyn i z rykiem odjechali, ukazując rozgniewane lub może tylko zmarszczone od wiatru oblicza.

– To dziwni ludzie – stwierdził Tony, Włoch z pochodzenia. Był prawdziwym konusem, o jakich Australijczycy mawiają, że muszą stanąć na głowie, żeby wsadzić stopę w strzemię. Powiedział, że nie nienawidzi Aborygenów, ale że mu ich szkoda i ich nie rozumie. – Niczego nie naprawiają. Jeżeli coś się im popsuje, zostawiają to popsute. Jeżeli wybija zęb, nie przychodzi im do głowy, żeby wstawić sobie nowy.

Rzeczywiście jakiś mroczny fatalizm otaczał wielu Aborygenów, których spotkałem. Czasem wydawali się przez to smutni, a czasem – niezniszczalni.

– Tu nie ma kłopotów – mówił Tony. – Inaczej niż w Redfern, gdzie tłuką się z policją.

Aborygenów z dzielnicy Redfern piętnowano jako strasznych niechlujów.

– Brudni jak świnie – mówili biali Australijczycy, choćby przybyli przed miesiącem Turcy albo osiedleni przed rokiem Sycylijczycy, albo napuszeni autochtoni szczycący się rodowodem sięgającym pierwszych skazańców, i na podstawie obserwacji zachowania tej garstki biedaków, którzy zeszli na psy w mieście, dokonywano uogólnień na temat wszystkich Aborygenów. Aborygeni wzbudzali litość lub obrzydzenie, wyzwalali agresję lub szyderstwo. Żartowano z nich, co czyniły zwłaszcza dzieci.

– Dlaczego w Redfern kubły na śmieci są szklane?

– Żeby Absi też mieli wystawy.

– Jak się nazywa Abs z patykiem w tyłku?

– Lód czekoladowy.

– Jak się nazywa Abs w limuzynie?

– Złodziej.

Każdy miał zdanie, nikt nie miał rozwiązania.

Próbowałem skontaktować się z Patrickiem White'em, największym żyjącym pisarzem australijskim, który głośno i stanowczo bronił praw Aborygenów. W powieści *Wóz ognisty* stworzył niezapomniany portret Aborygena Alfa Dubbo – jego wędrówki, jego przejmujących malowideł, jego zagubienia, szoku kulturowego, picia i męczeństwa. Co znaczy „wędrówka” jako nagła wyprawa donikąd, chciałem go zapytać. Co znaczy *Walkabout*, klasyczny film Nicolasa Roega, będący obok powieści pana White'a jedynym źródłem, z którego przedtem czerpałem wiedzę o Australii. Nie rozumiałem znaczenia tego słowa i pragnąłem porzucić białą Australię na rzecz owego bezludzia i pustkowia, którego symbolem jest Woop Woop. Czułem, że Patrick White mi pomoże. Z należną i właściwą podeszłemu wiekowi pewnością siebie wypowiadał się niemal na każdy temat.

– Nie spotkam się z Paulem Theroux. Jestem zbyt chory, żeby spotykać się z celebrytami – odpowiedział mieszkający na przedmieściach Sydney noblista.

Zmarł dwa dni później – skoro mowa o nagłych wyprawach donikąd – i do dzieła zabrali się autorzy nekrologów. Nic tak nie uwydatnia cech narodowych jak wygrana w uprawianej na całym świecie dyscyplinie sportu albo śmierć wybitnego obywatela. Autorzy nekrologów poniewierali trupa Patricka White'a od Maggoty Gully do Cootamundra. Praktycznie nic nie świadczyło



o tym, że którykolwiek z nich naprawdę przeczytał chociaż jedną książkę zmarłego. Mściwi filistrzy z narodowej gazety Ruperta Murdocha „The Australian” na pierwszej stronie zamiast zdjęcia Patricka White’a zamieścili portret jego zacieklego wroga A. D. Hope’a, a w kilku innych gazetach White’a przedstawiano jako uprzykrzonego starego pedzia<sup>[3]</sup>.

Tak, powieści raczej nie miały znaczenia, a pamiętano mu wszystkie te straszne rzeczy, które mówił o Australii. Rzeczywiście, pod tym względem był niezrównany.

„Kiedy wróciłem do tego kraju – opowiadał pan White – jednym z najbardziej swojskich odgłosów, jakie mnie przywitały, był głośny chlupot australijskich bredni”.

W publicznym wystąpieniu nazwał premiera Boba Hawke’a „jednym z największych picerów w dziejach”, a jego fryzurę zaliczył do stylu „na kakadu”. Nie miał respektu dla brytyjskiej rodziny królewskiej, mówił o „królowej Elce” i „królewskich matołach”. Szydził z *dame* Joan Sutherland.

Niemniej 2 października 1990 roku, kiedy laureat Nagrody Nobla jeszcze stygł w trumnie w Centennial Park, La Stupenda (jak Sutherland nazwali Włosi) tryumfowała spowita serpentynami, jakie rzuca się w trakcie karnawałowej zabawy. Zachwycona publiczność puszczała serpentyny ze wszystkich rzędów widowni opery w Sydney, tak że postawna La Stupenda wyglądała wkrótce niczym fregata pod pełnymi żaglami. Odbierała owację po występie w *Hugenotach* Meyerbeera, przeraźliwej ramocie religijnej, którą ktoś żartem nazwał *The Huge Nuts* (czyli „Wielkimi jajami”). Stwierdziwszy, że zawsze czuła się dumna z tego, że jest Australijką, Sutherland zaśpiewała na bis *Home! Sweet Home!*, po czym oznajmiła, że nigdy więcej już nie zaśpiewa. Wkrótce wróciła do swej posiadłości w Szwajcarii. To tyle, jeżeli chodzi o nagłe zniknięcia w tamtym tygodniu.

Przypominając sobie szczegóły filmu *Walkabout*, wykorzystałem go jako swego rodzaju przewodnik po Sydney, a także po pustkowiu, ponieważ właśnie tak rozwija się fabuła tego filmu.

Żaden z ludzi poznanych przeze mnie w Australii – a i gdziekolwiek indziej – którzy widzieli *Walkabout*, nie zapomnieli siły tego filmu ani nie przeczył, że był nim urzeczony. Po wejściu na ekrany w 1971 roku film szybko

zniknął i nigdy nie wrócił do kin. Nigdzie w świecie nie pojawił się w wersji wideo. Nigdy nie pokazano go w telewizji. Stał się przedmiotem walk wewnętrznych w Hollywood i marnieje w posępnej i pełnej żółci otchłani sporów sądowych.

Niemniej ten film żyje w pamięci kinomanów, jest doniosłym tematem rozmów zaczynanych pytaniem: „A widziałeś...?”, i trwa w tradycji ustnej entuzjastów kina, ponieważ bardzo łatwo da się opowiedzieć jego fabułę. Ci, którzy widzieli *Walkabout*, zawsze opowiadają swoje ulubione sceny, choćby początek, w którym widzimy białą jak sól apartamentowiec z basenem na samym brzegu Port Jackson, potem obłądny piknik na pustyni, gdzie ojciec nieskutecznie usiłuje zabić dwoje dzieci, po czym popełnia samobójstwo przy płonącym volkswagenie; zrozpaczone dzieci w obliczu bezkresnej pustyni; dziewczyna (grana przez osiemnastoletnią Jenny Agutter) zdejmująca szkolny mundur; ujęcie mrówki, która wydaje się ogromna w porównaniu z uchwyconymi w dalekim planie dziećmi; wszelkiego rodzaju inne stworzenia żyjące w dziczy, węże, jaszczurki, ptaki, chrząszcze, kangury, koala, wielbłądy; odkrycie wody pod drzewem sandałowca, po czym mordęga zamienia się w pielgrzymkę do rajów, podczas gdy wszyscy pływają nago w stawach, które odkrywają w słonecznych oazach; niebezpieczna zabawa z nagimi dzikusami; zrujnowany dom i jego osobliwości; taniec owładniętego miłością Aborygena uwieczony samobójstwem; dandysowaty wariat w wymarłym mieście wrzeszczący na dzieci: „Niczego nie dotykajcie!” – i żadnego ocalenia, uchwytnego zakończenia, tylko podszyty żalem powrót do białego apartamentowca z basenem (najwyraźniej kilka lat później).

I to właściwie wszystko, co jest w tym filmie, prócz uroku, który na mnie rzucił. W na pozór ascetyczny sposób ten film ogarnął całość Australii – prawie wszystkie typy pejzażu, niezrównane światło, pijaków i desperatów, wszelkie robactwo i wszystkie manie – od najpiękniejszego miasta w kraju po jego rude gorące serce. Dzieło sztuki, a zwłaszcza film lub powieść, przesycone umiłowaniem danego miejsca wchłania jego esencję i staje się sumą i wiecznym jego symbolem w wyobraźni.

Reżyser Nicolas Roeg jest niespokojnym duchem, który rozkoszuje się trudnościami i improwizacją związanymi z kręceniem filmu w terenie.

*Walkabout* to jego zwycięstwo nad błotem, kurzem, deszczem, upałem, nieprzejezdnymi drogami i dezercjami członków ekipy.

– Kilku dostało świra w środku nocy i niszczyli sprzęt – opowiadał mi. – Nie wytrzymali odosobnienia. Jeden z najtwardszych elektryków zdezerterował. Kierownik planu sfiksował. Kucharz zwariował pewnej nocy, wymknął się i usiadł na krzeselku przy lotnisku polowym. Kręciliśmy na pustkowiu. Odleciał bez słowa. Bał się tych pustych przestworzy.

Moim zdaniem *Walkabout* zawiera esencję Australii, nawet owo osobliwe sztubackie poczucie humoru, które najsilniej dało o sobie znać w scenie w opuszczonym miasteczku górniczym, w kompletnej głuszy, gdzie został tylko jakiś pomyleniec, który w na wpół zrujnowanym domu, ubrany w fartuszek, prasuje spodnie.

– Nie pokazałem Ayers Rock – mówił Roeg. – Wszyscy tego oczekiwali. Pragnąłem zrobić film w australijskiej głuszy, w którym nie będzie Ayers Rock. Ale jest w nim wszystko inne.

W dodatku to pierwszy film fabularny, w którym jedną z głównych ról zagrał Aborygen. David Gulpilil nie miał przygotowania aktorskiego, a chyba nigdy przedtem nawet nie oglądał filmu. Miał jakieś siedemnaście lat i był tancerzem w rezerwacie Aborygenów gdzieś na północy, na Ziemi Arnhema.

Pragnąłem wejrzeć w aborygeńską Australię. Pójście szlakiem *Walkabout*, w Woop Woop – głuszę głusz – oznaczało wędrowkę w aborygeńskim sensie tego słowa, wyprawę na poszukiwanie starożytnych wizji i świętych miejsc.

Nietrudno znaleźć ogród botaniczny w Sydney, gdzie można usiąść pod tym rozłożystym drzewem, obok którego w jednej z początkowych scen chłopiec śpieszył ze szkoły ku Woolloomooloo. Trudniej wszakże zlokalizować dom chłopca, ów biały apartamentowiec z basenem na brzegu portu. Pamiętałem, że stał nad samą wodą i że w dali mignął Harbour Bridge, ale nie przypominałem sobie innych punktów orientacyjnych.

Sądząc, że ten apartamentowiec może się znajdować na końcu portu, popłynąłem promem do Manly i po drodze uważnie lustrowałem brzeg portu, najpierw południowy, a potem, w trakcie rejsu powrotnego, północny. Każdemu odwiedzającemu Sydney polecam rejs promem do Manly wkrótce po przyjeździe, bo to pozwala wyrobić sobie obraz ukształtowania terenu. Ten

rejs jest dość długi i wcale niedrogi, a prowadzi przez cały port w Sydney, od Circular Quay do Manly – edwardiańskiego nadmorskiego miasteczka, pełnego palm i herbaciarni, które jest odwrócone tyłem do portu, a zwrócone ku pięknej zatoce oceanicznej z jej wspaniałymi falami.

Wymuskane wille w Manly noszą nazwy takie jak „Camelot” czy „Woodside”. Miasteczko nazwano na cześć jednego z pierwszych osadników, który uważał miejscowych Aborygenów za piękne okazy człowieczeństwa. Ale dzisiaj próżno szukać tam Aborygenów. Manly w sensie municypalnym jest kwintesencją australijskiego dobrobytu, symbolizowanego przez przytulną nadmorską willę z palmą w ogrodzie okolonym ligustrowym żywopłotem.

Tu i tam na plaży Manly zdychały delikatne meduzy, małe, błękitne, trzepoczące na piasku i tak cienkie, świetliste i pięknie ukształtowane, że wydawały mi się motkami chińskiego jedwabiu. Za nimi na falach ślizgali się chłopcy, co uznałem za obrazek jak najbardziej stosowny, ponieważ pierwszych ślizgów w Australii – naturalnych, a więc bez użycia deski – około 1890 roku dokonał właśnie tutaj pewien wyspiarz z Nowych Hebrydów. (Deska pojawiła się w Australii dopiero w 1915 roku, kiedy sposób jej używania zademonstrował wielki surfer hawajski i olimpijczyk w pływaniu Duke Kahanamoku).

Mieszkańcy Manly dojeżdżający do pracy w centrum mają to, co najlepsze w obydwu światach, więc zrozpaczony ojciec z *Walkabout* zapewne nie był jednym z nich. Przemierzyłem Manly wszerz i wzdłuż i nie znalazłem białego apartamentowca. Żadnego podobnego wieżowca nie spostrzegłem też w żadnej z zatoczek portu.

– To szukanie igły w stogu siana – powiedziała kobieta siedząca na ławce przy kei wśród kołyszących się żaglówek, z którą zagałem rozmowę pewnego dnia, gdy wypatrywałem apartamentowca bliżej centrum miasta.

Kobieta rozwinęła tę myśl. Przez dwadzieścia lat od czasu powstania filmu Sydney niebywale rozkwitło i się wzbogaciło. Mnóstwo w nim teraz stylowych wieżowców i basenów na brzegu morza. Tamten dom mógł zostać zburzony. Rzeczywiście, pomyślałem, inny swoisty aspekt filmu przenikniętego umiłowaniem pejzażu polega na tym, że taki film ucieleśnia epokę, która jest przeszłością.

Grahame Jennings, producent filmowy z Sydney, który pracował przy *Walkabout*, powiedział mi, że filmowy apartamentowiec znajdował się przy Yarmouth Point za Rushcutters Bay.

Taksówkarz, który mnie wiozł, był Kambodżaninem przybyłym wprawdzie do Australii jako uchodźca polityczny już przed sześciu laty („Pojechałbym gdziekolwiek z wyjątkiem Chin”), ale dopiero od niecałego roku prowadził. Długo się biedził, żeby zdać egzamin na prawo jazdy. Słabo znał ulice w Sydney. Przyznał, że nie bardzo się nadaje na taksówkarza. Australijscy pasażerowie nieraz go rugali.

– Wrzeszczą: „Ty cholerny matole!”, ale ja się tylko uśmiecham. Mam to gdzieś. To świetny kraj.

Włóczyłem się bocznymi uliczkami w porcie i kiedy szedłem długą Yarranabee Road, nagle zobaczyłem swojski wieżowiec, ten z filmu, trochę przebudowany, a u jego stóp na samym skraju zatoki zielononiebieski basen pływakcki. Pogratulowałem sobie dobrej roboty detektywistycznej, ale pomyślałem też, jakie szczęście mają wszyscy ci, którzy mieszkają na obrzeżach portu w Sydney. Dzięki niebywale poszarpanej linii brzegowej to jeden z najwspanialszych terenów mieszkalnych na świecie.

Taksówkarz, który zabrał mnie z Rushcutters Bay, był emigrantem ekonomicznym z Pakistanu. Rozmawialiśmy o islamie, o podobieństwach między opowieściami starotestamentowymi o Józefie i Jonaszu i opowieściami koranicznymi o Jusufie i Junusie.

– Jeszcze nigdy nie miałem okazji rozmawiać z pasażerem o religii – powiedział taksówkarz, promieniejąc z zadowolenia.

Ale z mojej strony był to tylko wstęp, i to chytry. Przystąpiłem do rzeczy i zapytałem, czy słyszał o Salmanie Rushdiem.

– Salman Rushdie zasłużył na karę śmierci – wyrecytował z monotonią śpiewnym akcentem pakistańskim.

– Nie zgadzam się z panem – stwierdziłem i pochyliłem się nieco w stronę kosmatych uszu kierowcy. – I nikt w tym uroczym i miłującym prawo kraju się z panem nie zgadza.

– Rushdie jest złym człowiekiem, diabłem, to miałem na myśli.

– A wie pan, dlaczego Australijczycy się z panem nie zgadzają?

Ciągle coś mamrotał, ale ucichł, gdy odpowiedziałem na to pytanie.

– Bo nie są fanatykami.

Kościste ręce taksówkarza zacisnęły się na kierownicy, a gdy wysiadałem, obrzucił mnie złym spojrzeniem.

– *Walkabout* wszedł na ekrany po cichu – opowiadał Grahame Jennings. – Zbierałem recenzje. Wśród trzydziestu kilku z całego świata negatywne były cztery. Trzy z tych czterech napisali krytycy australijscy.

– Australijczycy? Czemu? – zdziwiłem się.

– Syndrom wybujałego maku.

Mak, który wybujał nad inne. Tak, nawet podczas stosunkowo krótkiej wizyty w Australii człowiek niezawodnie usłyszy to śmieszne wyrażenie, które po prostu znaczy, że kiedy ktoś w jakikolwiek sposób się wybije, zawistni rodacy zadbają, żeby ze szczęścia nie przewróciło mu się w głowie. Używają nawet śmiesznego czasownika, *tall-poppy*, który oznacza przycinanie tych, którzy wyrosli nad innych. Tak oto Patrick White – chociaż dostał Nobla, a właściwie dlatego, że go dostał – spotykał się z pogardą i był traktowany jak pozbawiony znaczenia zgryźliwy stary pedzio. Ta okropna przywara narodowa sprawia, że wielu utalentowanych Australijczyków emigruje do krajów, gdzie są – przynajmniej według nich – należycie doceniani.

Jeden z krytyków pytał: „Co uprawnia tego cudzoziemca do robienia filmu o Australii?”.

„To śmieszne!”

Inny wytykał niezliczone jego zdaniem niekonsekwencje topograficzne i twierdził, że nie da się dotrzeć w dzicz, jadąc z Sydney.

Otóż da się. Może to zrobić zdesperowany alkoholik mieszkający przy Yarranabee Road, który zapakuje dzieci do samochodu, bo ma dosyć życia i chce zgładzić siebie i dzieci, i może to zrobić turysta odwiedzający Sydney, który zatęskni za otwartymi przestrzeniami i wynajmie samochód. W obydwu przypadkach pojedziemy George Street i przemierzmy miasto, kierując się na Parramattę. Jadąc przez niekończące się zagony wyprażonych słońcem parterowych domów, z których każdy ma swoje jaszczurki, swój wyschnięty

żywoplot i lantanę o sobie właściwym zapachu (choć w tej okolicy cały skrub śmierdzi kotem), mijając wielkie sklepy dyskontowe, podłe hoteliki, budy z alkoholem, komisje samochodowe ozdobione łopoczącymi na wietrze tandetnymi chorągwiemi, przemierzając Blacktown, a potem Emu Plains – skąd widać już pierwsze lesiste stoki Gór Błękitnych – zrozumiemy nutę obrzydzenia, która pobrzmiwa w głosie mieszkańców Sydney, gdy przez zaciśnięte zęby mamrocą o zachodnich przedmieściach.

Wspinając się serpentynami ku Katoombie, przemierzałem inne pejzaże, góryste, chłodne, zielone, pocięte rozpadlinami i wąwozami, gdzie eukaliptusy ustąpiły przed sosnami. Za tymi wzgórzami zaczął się długi, łagodny zjazd ku Lithgow i już po parunastu kilometrach odniosłem wrażenie, że zaiste jestem „w krainie zachodzącego słońca”, jak nazywają tam głęboką prowincję. I rzeczywiście, opodal Wallerawang, po niespełna dwóch godzinach od wyjazdu z Sydney, zobaczyłem wymowny dowód tego, a mianowicie leżące na poboczu Great Western Highway brązowe truchło wielkiego kangura.

Dubbo, skąd być może pochodził Aborygen Alf, bohater *Wozu ognistego*, jest o dwie lub trzy godziny jazdy dalej, a Bourke o cztery lub pięć. Niemniej już tu na zachodzie Nowej Południowej Walii, choćby na rozstaju dróg, z których jedna wiedzie do Bourke, a druga do Wilcannii, można uznać, że osiągnęliśmy cel polegający na jednodniowej wyprawie z Sydney w autentyczną dzicz.

„Dalej niż Bourke” jest jednym z australijskich określeń zapadłej prowincji, a w Australii mają dziesiątki innych – jak choćby *outback* (zadupie), *wayback* (bezdroże), *back o’sunset* (dalej niż tam, gdzie zachodzi słońce), *behind death o’day* (dalej niż tam, gdzie umiera dzień) czy Woop Woop; mają bodaj najwięcej na świecie określeń dziczy czy głuszy, czemu właściwie trudno się dziwić, skoro w Australii pustkowia zajmują o wiele więcej miejsca niż w większości innych krajów. Te określenia głuszy są jak wołania o ratunek ludzi zagubionych, mówią o samotności, która jest niczym wygnanie na tej wielkiej wyspie.

Gdzieś przed Dubbo moją uwagę przykuwały zagadkowe nazwy i nie oparłem się pokusie zbaczania do takich miejsc jak Wattle Flat, Oberon czy

Budgee Budgee (odbijamy w prawo w Mudgee), żeby popatrzeć na obłę wzgórze, eukaliptusy, rozbrykane owce. Nie wiem, czy gdziekolwiek indziej w świecie znajdzie się równie śliczne i sielskie miejsca jak te osady w australijskim interiorze, chłodne i zielone w wiosennym wrześniu.

**Pokonałem** połowę drogi do Woop Woop. Przebyłem i drugą połowę, do Alice Springs w samym rudym sercu wyspy Australia, podczas gdy składany kajak został w Sydney z moim kamerdynerem, który nadal sądził, że dwie wielkie torby zawierają ubrania.

Zwykle ziewam, czytając relacje podróżników, którzy opisują pejzaże oglądane z okna samolotu, ale krajobraz australijski jest wprost stworzony do takiego ujmowania, opisu z punktu widzenia lecącego ptaka.

Za wzgórzami, prostokątnymi polami i spłachciami ziem uprawnych zaraz na zachód od Sydney znikają zielonożółte uprawy, rzeki i jeziora robią się białe, pojawiają się długie wstęgi szarości, które znikają pośród wielkich kropli i kałuż tak czerwonych, że wydają się mierzącymi nawet sto pięćdziesiąt kilometrów plamami krwi. To początek Pustyni Simpsona, która jest tak wielka, że trzeba kilku godzin, żeby ją przemierzyć odrzutowcem lecącym z prędkością dziewięciuset kilometrów na godzinę, a i tak wylądujemy dopiero w połowie drogi z jednego krańca kraju na drugi. Z każdą minutą szarość przechodzi w purpurę, w róż, w biel zblakłej kości, która jest wystarczająco biała, żeby uchodzić za chiński kolor śmierci. Żadnych dróg, nie ma wody, śladu życia, nie ma nawet nazw na mapie. Pamiętam, jak w 1983 roku Bruce Chatwin dźgał palcem w mapę ukazującą australijski interior i podekscytowany jego pustką wołał:

– Nie ma tu nic! I tu nic nie ma! I tu! Chcę tam jechać!

(Później tamtego roku Chatwin przysłał mi z Australii pocztówkę, na której pisał: „Na antypodach wszystko układa się doskonale [...] Bardzom zaintrygowany pewną skrajną sytuacją – hiszpańskimi mnichami na misji wśród Aborygenów – zamierzam zacząć coś szkicować. Tak czy owak, czarne myśli w rodzaju »nigdy już nic nie napiszę« pierzchły. Jak zawsze, Bruce”).



Oblicze Australii jest kostropate, jest obliczem dziczy złożonej z głazów, kamieni i wiatru. Niczym szrama przecina je Dingo Fence, czyli zaporą weterynaryjną nadzorowaną przez Wild Dog Destruction Board [Radę do spraw Wytepienia Dzikich Psów] w celu uniemożliwienia ekspansji dingo na południowo-wschodnie tereny kraju. To zaiste imponująca budowla, dłuższa (jak mówią) od Wielkiego Muru Chińskiego, znacznie od niego solidniejsza i zapewne jeszcze lepiej widoczna z Księżycy.

Dalej ziemia pod korytarzem lotniczym jest jak gdyby wybrana i wybielona. Przysypana piaskiem, usiana wielkimi łachami piachu. Potem grunt zaczyna przypominać wygniecioną końską derkę w paski, lecimy nad dwoma i pół tysiącem kilometrów kwadratowych wełny. Wkrótce pojawiają się urwiska, czerwone wzgórza, czarne plamy drzew i koryta okresowych potoków, prawdziwych billabongów (czyli suchych rzek).

I zjawia się myśl, że te pejzaże wcale nie wyglądają jak inna planeta, lecz jak dno oceanu po ustąpieniu wód. Oto Oceania, po tym jak ktoś wyciągnął korek. I rzeczywiście, kiedy kilka dni później wspinałem się na urwiska tych gór, Gór MacDonnella, w czerwonej skale znajdowałem małe pokruszone skamieliny łodzikowców, dalekich krewnych kalmarów, pochodzące z czasów, gdy ta część Australii była dnem morza.

Właśnie pośród tych czerwonych gór leży Alice Springs, nieduże bezładne parterowe miasto, gdzie kończy się linia kolejowa, krzyżuje kilka dróg i zbiegają trzy rzeki, znowu billabongi, w których nie ma kropli wody, a jest tylko gorący piach, są krzywe eukaliptusy i przycupnięte w ich cieniu rodzinne grupki Aborygenów. Najszersza i najbardziej sucha jest rzeka Todd. Podobnie jak wiele innych australijskich rzek – a tylko nieliczne z nich toczyły wodę – ta rzeka wyglądała jak kiepska droga, tyle że szersza od innych, jakie widziałem. Powiada się, że jeśli człowiek widział trzy razy nurt rzeki Todd, to może się uważać za tubylca.

Obszedłem miasto, karbując w pamięci miejsca spotkań Aborygenów i gwarząc z przygodnymi rozmówcami.

– Wcale nie jestem rasistką. Po prostu nie cierpię Absów.

Takim to pięknym i rozpowszechnionym absurdem poczęstowała mnie pewna kobieta pierwszego dnia mojego pobytu w Alice Springs. Kiedy

powiedziałem, że przybyłem do tego miasta właśnie po to, żeby poznać Aborygenów, wprost się zagotowała. Może warto przytoczyć to, co mówiła, bo wielu innych, których spotykałem, mówiło to samo, tylko ton się zmieniał – od litościwego po apoplektyczny. Ta kobieta kipiała ze złości.

– Piją, non stop są zalani i wałęsają się po mieście. To nieroby, flejtuchy i durnie. Łażą w łachmanach, a mają pieniądze! Ciągłe się tłuką, a czasem są naprawdę groźni.

Zawsze się uśmiechałem z politowaniem, słysząc takie perory, bo wszystkie te przytyki doskonale pasowały do wielu białych Australijczyków, jakich widziałem. Nie byłem w stanie zachować powagi, słuchając wywodów chropawych kangurów na temat pijaństwa Aborygenów, którzy przecież tej sztuki nauczyli się właśnie od nich.

– Był taki czarny, pracował jako pastuch u ojca Kerry pod Adelajdą. Poszedł na wędrowną. Wrócił po półtora roku i pyta: „Gdzie moja praca?”.

Mężczyzna, który o tym opowiadał, Trevor Cośtam, wytatuowany i gderliwy postrzygacz owiec, był bosy, miętolił wytłuszczony kapelusz, co raz wygrażał trójce niesfornych dzieci i powarkiwał na żonę Kerry. W garści ścisnął butelkę z resztką piwa Castlemaine xxxx.

Mało nie wybuchnąłem śmiechem, bo oto miałem przed sobą następny okaz białego Australijczyka, który szydzi z niechlujstwa i niedbalstwa Aborygenów, podczas gdy sam zachowuje się wypisz wymaluj identycznie, tyle że robi to ubrany w kapelusz – najlepiej Sewell’s Sweat-Free Felt<sup>[4]</sup> – a w pewnych okresach roku również w sięgający do kostek brązowy płaszcz przeciwdeszczowy marki Drizabone.

– Nie jesteśmy już rasistami – stwierdził Trevor. – To oni nimi są!

Fakt, Trevor był postrzygaczem, kmiotkiem – prostakiem – ale tak samo miłe uczucia, tyle że nieco oględniej, wyrażało wiele dobrze wykształconych i kulturalnych, wydawałoby się, osób w Sydney i Melbourne, a pewna dobrze urodzona kobieta w Perth oznajmiła mi:

– Wszyscy Absi to kłamczuchy.

Zachęciłem Trevora do wspomnienia.

– Kiedyś chodziliśmy do Alice Springs, żeby napaść się z czarnymi – opowiadał. – Uważaj pan, jest tu paru skubanych brudasów. Lepiej nie

wchodzić im w drogę.

– Ale naprawdę mają dziwne pomysły – wtrąciła się Kerry. – Kiedyś byliśmy na Ayers Rock. Czarny, którego spotkaliśmy na dole, powiedział, że nigdy nie stanąłby na tej górze. To tak, jakby chodzić po brzuchu ciężarnej kobiety. „Ta skała to ciąża ziemi, zobacz, jeszcze się wzdyma”, mówił. Taa, ale wokół Ayers Rock roilo się od pijanych czarnych, którzy nie wyglądali na przejętych.

– Może byli na wędrowce? – zapytałem.

– No. Chociaż wtedy znikają – powiedział Trevor. – Odbija im.

Po prostu sądzono, że Aborygen, który wyrusza na wędrowkę, nie panuje nad sobą, że w przypływie szaleństwa rusza, gdzie oczy poniosą, i bez końca wałęsa się po pustkowiach.

Aborygeni, z którymi rozmawiałem, zaprzeczali temu i zgadzali się co do znaczenia „wędrowki”.

– To oznacza chodzenie – powiedział Roy Curtis, Aborygen z plemienia Warlpiri, którego głównym siedliskiem jest Yuendumu, leżące o czterysta pełnych kurzu kilometrów na północny zachód od Alice Springs.

Właśnie w sensie zwykłego chodzenia słowo to występuje w przekładzie Psalmu 23 na aborygeński pidżyn: „Big Name makum camp alonga grass, takum blackfella walkabout longa, no frighten no more hurry watta” ([Pan] Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach, prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć<sup>[5]</sup>).

Beczko brzuchy, chudonogi, długorzęsy i szepczący Roy Curtis dorywczo malował obrazy kropkowe, a oprócz tego wystawał pod eukaliptusami w Alice Springs, czekając na zadośćuczynienie od idioty, który mu rozbił samochód.

– To znaczy iść do domu – powiedział w taki sposób, że wydawało się, iż właśnie to chciałby zrobić.

– To słowo ma szczególne znaczenie – tłumaczył Darryl Pearce, dyrektor Institute of Aboriginal Development [Instytutu Rozwoju Aborygenów]. – Odnosi się do sytuacji, gdy człowiek wyrusza w dzicz w sprawach obrzędowych lub rodzinnych, żeby odwiedzić święte miejsca, żeby być z innymi członkami swojego narodu.

Żeby dojść do biura Darryla, musiałem wysiąść z samochodu i pokonać szerokie koryto wyschniętej rzeki, dopływu Todd. W korycie tym walały się puszki po piwie i flaszki po winie wyrzucone przez aborygeńskich pijaków, a tam i sam pod eukaliptusami na jego brzegach widziałem pozostałości po piknikach, wystrzępione koce, podarte i pomięte papiery.

Pod jednym z eukaliptusów siedziało dwoje Aborygenów, trzymając się za ręce. Wyglądali jak rzeźba odlana z brązu. Zagadnąłem mężczyznę, jak się okazało, o imieniu Eric, co sądzi o planie postawienia tamy na jednej z rzek. Sprawa ta bulwersowała Aborygenów w Alice Springs, bo gdyby urzeczywistniono ten plan, jedno z ich świętych miejsc znalazłoby się pod wodą.

– A co byście czuli, gdyby zburzono opactwo westminsterskie? – pytali niektórzy, próbując znaleźć adekwatne porównanie.

Niewielu trafiali do przekonania i nieraz słyszeli ripostę:

– Ale to miejsce jest tak samo święte jak świński zadek!

Aborygeni czcili wiele miejsc w całym mieście. Na przykład ogrodzony głaz zwany Kamiennym Psem, wystający z ziemi niczym meteoryt na parkingu za barem, który wziął od niego nazwę: The Dog Rock Inn.

– Co jest ważniejsze – zapytałem parę siedzącą pod eukaliptusem na brzegu wyschniętej rzeki – zabezpieczenie miasta przed powodzią czy ocalenie świętego miejsca?

– Ocalenie świętego miejsca, myślę – orzekł Eric.

Już w Instytucie usłyszałem żarliwą wersję tego poglądu, którą wygłosił Darryl.

Jeżeli chodzi o „wędrownkę”, Darryl stwierdził, że świetnie rozumie to pojęcie, ponieważ sam jest Aborygenem. Mógł mnie nabierać. Był bowiem cokolwiek przysadzistym facetem o ziemistej cerze upstrzonej pryszczami i o kasztanowych, krótko ostrzyżonych włosach. Gdybym miał zgadywać, wziąłbym go za Irlandczyka. Wyglądał jak wielu z owych pijaków, sklepikarzy, taksówkarzy, którzy wyzywali Aborygenów od czarnuchów i wałkoni.

– Wyrażenie „pół-Aborygen” nie ma sensu – mówił Darryl. – Albo jest się Aborygenem, albo nie. Nie jest to sprawa barwy skóry, lecz sprawa

tożsamości. Mamy różne barwy skóry.

Jego matka była czystą Aborygenką. Jedno z jej rodziców pochodziło z plemienia Mudbara, które żyje na płaskowyżu Barkly, drugie z plemienia Arandów z okolic Alice Springs.

– Ludzie pytają nas, dlaczego jesteśmy źli – mówił.

Ja nie pytałem o to. W ogóle nie kojarzyłem złości z Aborygenami, bo ci, których spotkałem, wydawali mi się zabiedzeni i zagubieni.

– Jesteśmy w Australii od czterdziestu tysięcy lat i co z tego mamy? Do 1960 roku małżeństwa białych Australijczyków z Aborygenami były zakazane. Nie mieliśmy żadnego statusu. Do 1964 roku Aborygen nie miał prawa kupować ani pić alkoholu, a ten, kto zaopatrzył Aborygena w alkohol, podlegał karze więzienia. Do 1967 roku nie byliśmy nawet obywatelami Australii.

– Skoro Aborygeni nie mieli obywatelstwa, to kim byli?

– Podopiecznymi państwa. Państwo miało pełną władzę nad nami – odparł Darryl. – Po referendum w 1967 roku przyznano nam obywatelstwo. Chyba sensowniej byłoby nas zapytać, czy chcemy obywatelstwo. Ale nas nikt nie pytał.

– Czy nie lepiej być pełnoprawnym obywatelem niż podopiecznym państwa?

– Nie chcemy być ani tym, ani tym. W 1967 roku coś nam zabrano. To najczarniejsza data w naszych dziejach.

Zanim zdążyłem zadać następne pytanie – a miałem je na końcu języka, bo nie pojmowałem, dlaczego obywatelstwo uważał za taką katastrofę – mówił dalej.

– Płacimy za rzeczy, których nie używamy. Możemy korzystać z najróżniejszych rzeczy, ale co nam to da? Mamy prawo do mnóstwa usług, które nic dla nas nie znaczą. Nie włączamy się w główny nurt. Nie ma znaczenia, czy budują nam drogi, szkoły i szpitale, skoro ich nie potrzebujemy.

– To czego chcecie? – zapytałem.

– Chcemy sami kształtować swoją przyszłość – odparł. – Chcemy sami decydować.

Krótko mówiąc, Aborygeni nie mieli władzy. Darryl stwierdził, że ukrytą intencją wielu programów rządowych było utrzymywanie Aborygenów

w stanie bezsilności.

– Choćby kwestia języków aborygeńskich, co pan o nich wie?

Powiedziałem, że zaszedłem do Central Land Council [Centralnej Rady do spraw Ziemi] w Alice Springs, bo wiele problemów Aborygenów wiązało się z kwestią prawa do ziemi. Zapytałem urzędnika o języki aborygeńskie. Ile ich jest na Terytorium Północnym, czyli w jego regionie?

– Od groma – powiedział. – Może ze dwieście pięćdziesiąt – dodał po chwili.

W rzeczywistości nie miał bladego pojęcia. Później ustaliłem, że kiedy przed dwustu laty w Australii zjawili się pierwsi osadnicy, Aborygeni mówili mniej więcej pięciuset językami. Tylko ułamek tych języków przetrwał do dzisiaj.

– W australijskich szkołach nie uczy się języków aborygeńskich – mówił Darryl. – Dlaczego? Bo wzmacniałoby to naszą pozycję. Bo trzeba by nas traktować poważnie. To śmieszne. Australijski uczeń może wybrać francuski, niemiecki, włoski, grecki, nawet japoński, na litość boską, ale nie aborygeński!

Darryl uważał, że rodzima ludność wielu innych krajów jest niemal tak samo pozbawiona władzy jak Aborygeni. Mówił choćby o Maorysach, Fidżyczykach, Inuitach, czarnych Południowoafrykańczykach. W Nowej Zelandii wszakże uczy się maoryskiego (i, o ironio, najlepsze oceny dostają biali Kiwi). Rodzimi Fidżyczycy niedawno przejęli władzę nad swoimi wyspami, tyle że w drodze zamachu stanu, po czym ustanowili stan wyjątkowy. Jeżeli chodzi o czarnych Południowoafrykańczyków, to Nelson Mandela został zwolniony z więzienia, składał wizyty w wielu krajach świata, wkrótce wybierał się do Australii, gdzie miał się spotkać między innymi z delegacją aborygeńską, w której skład wchodził Darryl.

– Na całym świecie ludność rodzima dostaje gównianą ziemię, której nie da się uprawiać – mówił Darryl. – A potem ktoś odkrywa bogactwa naturalne i władze z powrotem chcą tę ziemię.

– Australijczycy mówią, że z czasem dojdzie do asymilacji i...

– Asymilacja to straszne słowo. Nie chcemy się asymilować. Czemu mielibyśmy to robić?

Odnosiłem wrażenie, że Darryl – wyglądający na Irlandczyka Darryl – już się zasymilował.

– Nie mam argumentów – powiedziałem jednak. – Ale czy naprawdę chcecie apartheidu? Osobnego rozwoju?

– Cały ten kraj to nasza ziemia – odparł Darryl. – Biali potrzebują pozwolenia, żeby wejść na naszą ziemię. Teraz oni mówią, że to my potrzebujemy pozwolenia, żeby wchodzić do miast. A to wszystko nasza ziemia!

**Brak wody** w Alice Springs w żaden sposób nie przeszkadza w dorocznych regatach Henley-on-Todd, albowiem te regaty odbywają się właśnie w wyschniętym korycie rzeki. Usłyszawszy o tej imprezie, oczywiście się na nią wybrałem, i to w duchu rytualnej wędrówki, czegoś nieodzownego. Kierowałem się gwarem tłumu i chmurami pyłu wznoszącymi się nad eukaliptusy niczym dym.

Zawody już trwały w najlepsze, obejrzałem wyścig „ósemek”, potem „jachtów”, co w obydwu przypadkach polegało na ściganiu się biegaczy niosących łódzie pozbawione dna, potem „wanny oksfordzkie”, czyli wyścig sześćoosobowych zespołów dźwigających wannę z pasażerem, następnie „szufłowanie piasku”, czyli sztafetę mającą za zadanie za pomocą łopat napęlić piaskiem dwustulitrową beczkę, wreszcie wyścig mężczyzn taszczących wory z mokrym piachem.

Spiker darł się, aż ochryplł, ale nie udawało mu się rozruszać widzów. Licznie zgromadzona publiczność – parutysięczna, jak sędzę, wyglądająca na *jackaroos* i *jillaroos* (pracowników farm hodowlanych) i na szczególnego rodzaju złodziei bydła, których nazywają tam *poddy-dodgers* i *cattle duffers* – ubrana w przepocone T-shirty, kapelusze o szerokich rondach i gumowe japonki po prostu stała w oślepiającym blasku słońca i popijała piwo. Podobnie jak wiele innych tego rodzaju prowincjonalnych imprez – choćby wyścigi konne w Birdsville lub rodeo w dalekiej Laurze – regaty Henley-on-Todd najwyraźniej traktowano głównie jako dogodny pretekst do urznięcia się w stosunkowo miły sposób.

– To straszny grajdoł – sarknął znajomy fotograf w odniesieniu do Alice Springs. Pracował nad reportażem fotograficznym o Australii, ale nerwy miał już w strzępach.

– Birdsville to dom wariatów. Nienawidzę tych miast. Na przedmieściach ogarnia mnie czarna rozpacz. Nic tu nie ugram. Australia wydaje mi się jedną wielką puszką piwa.

Wczesnym popołudniem publiczność zgromadzona na regatach Henley-on-Todd była już tak pijana, że w ogóle nie interesowała się rywalizacją i nie zwracała uwagi na chude kąsające muszki, które są plagą australijskiej prowincji. Te muszki są nieznośne, ale o wiele za małe, żeby dało się je zobaczyć na fotografiach z Australii. Gdyby były widoczne, ludzie marzący o odwiedzeniu tego kraju mogliby stracić na to ochotę.

Z piaszczystej łachy na środku koryta rzeki Todd, na której stałem, w dali widziałem czarne grupki Aborygenów pod drzewami. Wydawali się bezcielesnymi cieniami. Dwa z tych cieni były Michaelem i Mary, małżeństwem, które poznałem w dniu regat, a które kilka dni później spotkałem w mieście. Powiedzieli, że gdy żyją w mieście, śpią pod eukaliptusami. Tamtego dnia stali bosy i cisi niedaleko od Dreamtime Art Gallery [Galerii Sztuki Dreamtime]. Bzyczące muchy wprost ich oblepiały i sprawiali wrażenie kompletnie zagubionych. Michael trzymał pod pachą zwinięte malowidło. Obydwoje byli pijani, ale stosunkowo przytomni. Obejrzałem obraz.

– To kangur – powiedział Michael. – Ja go namalowałem.

– A ty malujesz, Mary?

– Pomagam stawiać kropki – odparła.

Obraz składał się niemal wyłącznie z kropek ułożonych w amorficzny wzór – przedstawiający być może kangura, ale rozjechanego na drodze do Tennant Creek przez półciężarówkę wyposażoną w dodatkowy zderzak ze stalowych rur. Michael rzekł, że sprzeda mi swój obraz za dwieście dolarów. Spojrzał w stronę galerii i dodał:

– Znają mnie tam.

Zaprowadził mnie do środka. Właścicielka, biała Australijka w jaskrawej sukience, sortowała malowidła w tece.



Michael podszedł do niej i nieśmiało zapytał:

– Masz mój obraz?

– Wydaje mi się, że go sprzedaliśmy – odparła.

– Wisiał tam – powiedział Michael, wskazując pewne miejsce na ścianie galerii.

Jego żona, ubrana w podartą sukienkę, została na chodniku przed galerią i nieco się chwiejąc na nogach, zaglądała do wnętrza przez szybę.

Galeria była pełna obrazów namalowanych w tym samym pointylistycznym stylu, kropkami na płótnie, przedstawiających czasami jakąś rozpoznawalną postać – kangura, jaszczurkę, krokodyła – chociaż większość ukazywała jedynie nieeuklidesową geometrię aborygeńskich wzorów, które niekiedy przypominały owe pseudoizochromatyczne tablice okulistyczne, jakich używa się do badania ślepoty barw.

– Rozumiesz te obrazy? – zapytałem.

Michael przytaknął skinieniem głowy. Zmrużył oczy. Wniósł ze sobą muchy do galerii. Niektóre wirowały wokół jego głowy, inne siedziały mu na ramionach.

Wskazałem obraz ukazujący dwa rogale i okrągłą plamę.

– Co to?

– Ludzie siedzący wkoło.

Wskazałem obraz ukazujący za pomocą dwubarwnych kropek tylko obły kształt.

– Jajko.

– Czyli *goog*? – zapytałem, używając słówka australijskiego. *Chooks laid googs* (Kury składają jajka), mówi się na antypodach.

– Ta.

– A to co? – zapytałem przed dużym płótnem wypełnionym falistymi mazajami.

– Woda. Deszcz.

– A to? – Wyglądało to jak cętkowany nierówny horyzont.

– Wąż.

Michael powiedział, że w Alice Springs kupił płótno i farby, które zabierze do domu w rezerwacie pod Hermannsburgiem, gdzie malował. Wiele obrazów

w galerii wyceniono na tysiące dolarów.

– Ile dostajesz za swoje malunki?

– Niewiele – odparł. – Ale wystarczy.

**Postanowiłem** odwiedzić rezerwat. Powiedziano mi, że będę potrzebował urzędowego pozwolenia na wejście do rezerwatu Aborygenów, ale ostatecznie po prostu pojechałem do Amungoony, czyli rezerwatu opodal Alice Springs, i zapytałem szefa – Raya Satoura, który poprzednio był kierowcą buldożera, a teraz został kierownikiem – czy mogę się rozejrzeć.

– Jasna sprawa, chłopie – powiedział. Dodał, że powinienem zwrócić uwagę na korty tenisowe, basen kąpielowy, siłownię i nowe domy.

Nie wiem, czemu mówił to z taką dumą. Rezerwat Aborygenów Amungoona był ogrodzony, strasznie nędzny i wyglądał jak połączenie farmy hodującej kurczaki w warunkach wolnego wybiegu z więzieniem o minimalnym rygorze. Niewiarygodnie brudno. Korty tenisowe zdewastowane, basen kąpielowy pozbawiony wody, siłownia w ruinie, podobnie jak domy. Czym tu się chwalić?

Pomyślałem, że zamiast budować baseny, władze powinny posadzić więcej eukaliptusów, pod którymi mogliby przesiadywać Aborygeni. Z pewnością coś było nie w porządku, skoro prawie żaden biały nie znał języka Aborygenów, i to w kraju, gdzie dobre dwie trzecie nazw geograficznych ma rdzeń aborygeński. Rodziło to alienację i gniew.

Postanowiłem jechać do Palm Valley, będącej częścią rezerwatu Michaela i Mary za Hermannsburgiem, jakieś cztery godziny jazdy na zachód z Alice Springs.

– Na pana miejscu bym tam nie jechał – powiedział facet w wypożyczalni samochodów.

Już parę razy słyszałem to w odniesieniu do innych miejsc. Niektórzy z tych troskliwych doradców byli Amerykanami. Odniosłem wrażenie, że w Alice Springs mieszka stosunkowo dużo Amerykanów. Mówili, że bardzo im się tam podoba i chcą zostać jak najdłużej. Najczęściej były to osoby zależne od innych, choćby żony amerykańskich żołnierzy służących w Joint Defence

Facility w Pine Gap – naziemnej stacji łączności satelitarnej, a może i bazy atomowej. Rzecz była tajna, więc nikt nie wiedział.

– Biali nie są mile widziani w Palm Valley.

Nie wiedziałem, czy te przestrogi są rzetelne. Czułem, że na ogół to tylko gadanina. Przecież spacerowałem sobie jak gdyby nigdy nic po Amungoonie i wystarczało, że zachowywałem się grzecznie i z szacunkiem. Uznałem też, że dobrze jest podkreślać, iż nie jestem Australijczykiem.

To, że byłem cudzoziemcem, bardzo pomagało. Chociaż czasami prowokowało Australijczyków do udzielania rad. Co raz uderzało mnie, że Australijczycy – w gruncie rzeczy największe mieszcuchy na świecie – żywią tak wielkie obawy i tak przestrzegają innych przed słońcem i morzem, przed robalami i tym, co nazywają *bities* (czyli wszelkiego rodzaju gryzącymi owadami), przed wężami, pajakami, kostkowcami, krokodylami, kangurami, które mają zwyczaj wpadania przez przednią szybę do wnętrza pojazdu, i przed dzikimi świniami, które niechybnie zeżrą nam obiad. Jest bodaj faktem, że na pustyni australijskiej żyje więcej gatunków gadów (dwieście pięćdziesiąt, z czego wiele jadowitych) niż na którejkolwiek innej pustyni świata, a w sposób naukowy dowiedziono, że australijski tajpan pustynny jest najbardziej jadowitym wężem na świecie. Jego jad uśmierca człowieka w kilka sekund. Uważam jednak, że pomimo tych zagrożeń nie ma co się bać penetrowania dziczy australijskiej pieszko, a nawet na czworakach.

Właśnie na czworakach wspinałem się na czerwone urwiska wąwozu Glen Helen, jakieś sto trzydzieści kilometrów od Alice Springs, próbując wypatrzeć skalniaka czarnostopego. Pode mną, u stóp tego wspaniałego urwiska zwietrzałego rdzawego piaskowca płynęła rzeka Finke – jedna z niewielu rzek w australijskim interiorze, które rzeczywiście toczą nieco wody – a w samym wąwozie w rzeczy samej tajemniczo lśniło pokaźne rozlewisko chłodnej czarnej wody. Zlany potem po dwóch godzinach mozolnej wspinaczki skalną szczeliną wygramoliłem się na szczyt urwiska, ruszyłem na rekonesans i w końcu zabłądziłem, tak że nie udawało mi się wrócić do owej szczeliny i stawałem na skraju ściany spadającej pionowo na dno wąwozu. Kiedy już mi się wydawało, że *Walkabout* zamienia się w *Piknik pod Wiszącą Skalą*, znalazłem ścieżkę, którą wróciłem na dół.

Nad rozlewiskiem w Glen Helen kąpali się Australijczycy. Pokrzykiwali na dzieci, przeżuwali kanapki, pili piwo, siedzieli pod drzewami, wystawiając na słońce białe nogi, i dla ochłody podwijali T-shirty, odsłaniając brzuchy. Napisy na koszulkach głosiły: „Freddy Krueger”, „Żyjemy w dziwnych czasach”, „Byłem na Ayers Rock”. Same rodziny. Bawili się wspaniale.

Ci biali Australijczycy w gruncie rzeczy – może bardziej hałaśliwie – robili to samo, co w tym miejscu zawsze robili Aborygeni. Glen Helen, stale bogaty w wodę, przyciągał bowiem Aborygenów z plemienia Aranda, którzy przemierzali środkowe i zachodnie pasma Gór MacDonnella. Owo rozlewisko zwali oni Yapalpe, czyli domem Wielkiego Węża Wodnego ze swej mitologii, i właśnie tam, gdzie kobieta nazwiskiem, dajmy na to, Estelle Digby nakładała na nos krem z filtrem przeciwsłonecznym (a ów gęsty biały krem wyglądał w istocie podobnie do farby używanej przez Aborygenów do zdobienia ciała), bodaj wyłoniły się pierwsze bezkształtne byty czasu snu<sup>[6]</sup>.

Rozlewisko w Ormiston Gorge jest jeszcze ładniejsze, bardziej zaciszne, cieniste, a całkiem białe pnie drzew wyglądają dostojnie na tle rudych, popękanych i pociętych rozpadlinami skał. To oczko wodne tchnęło rajskim spokojem, takie gładkie pod lazurowym niebem. Również tam krzyczały dzieci, drzemali dorośli, a kilka starszych kobiet o srogich i absolutnie niewzruszonych obliczach emu brnęło przez luźny żwir. Tak się składało, że ludzie ci byli biali, ale równie dobrze mogliby być Aborygenami. W tamtym czasie Aborygeni zbierali się przy innych oczkach wodnych, choćby nad dużym ciemnym rozlewiskiem w Emily Gap, na wschód od Alice Springs. Spotkałem tam Aborygenów, którzy kąpali się, drzemali, bawili dzieci, a więc zajmowali się tym, co robili od dziesiątków tysięcy lat, tyle że teraz nosili T-shirty i krótkie spodenki.

Być może zbyt uproszczę, jeżeli powiem, że biali Australijczycy to Aborygeni w innych T-shirtach, ale mniej się od nich różnią, niż im się wydaje, nawet jeżeli są tak spętani i zaślepieni przez kulturę niższej klasy średniej angielskich przedmieść, której nadal kurczowo się trzymają. W końcu parterowy domek na przedmieściu jest tylko innego rodzaju chatą.

Jadąc drogą do Tanami, trzydzieści, może czterdzieści kilometrów od Alice Springs zatrzymałem samochód, żeby przyjrzeć się jaszczurce, która

przycupnęła na poboczu, i usłyszałem wiatr szarpiący cierniste krzaki i zawodzący w drutach telefonicznych. Nagle zdałem sobie sprawę, że parę krów za ogrodzeniem uniosło głowy i patrzy jakby z zachwytem. Zareagowały tak na muzykę, która płynęła z odtwarzacza kaset w samochodzie, Kiri Te Kanawę śpiewającą *Wiem, że mój Zbawiciel żyje*<sup>[7]</sup>. Pogłośniłem, a krowy podeszły bliżej, zasłuchane w przepiękny sopran.

Wsiadłszy z samochodu, przespacerowałem się drogą. Była to typowa droga głębokiej australijskiej prowincji, piaszczysta i nierówna, różniąca się od koryta wyschniętej rzeki właściwie tylko tym, że bardziej od niego prosta.

Do pnia jednego z drzew przybito tabliczkę:

Pamięci Jonathana Smitha, który,  
Gdyby nie skoczył przez płot w Darwin,  
Mógłby zrobić *kaig*. 13.8.88.

Nie wiedziałem, co to znaczy, ale nie wątpiłem, że Jonathan Smith był Aborygenem i że mam przed sobą poetycki wyraz aborygeńskiej żałoby.

Wędrówka, którą podjąłem na modłę Aborygenów, przywiodła mnie oto do tego miejsca, po drodze widziałem wiele pustkowi Australii, i wtedy już wiedziałem, że to kraj nie tylko rozdzierająco piękny, lecz również absolutnie wyjątkowy, pełen dzikich zwierząt – jaszczurek, węży, żmij, owadów – tak samo niesamowitych jak jego rdzenni mieszkańcy. Niektóre z nich widziałem w odległości metra czy dwóch na rudej ziemi ścieżek i szlaków, inne tłoczyły się na środku drogi do Tennant Creek, a o wielu opowiadano historie mrożące krew w żyłach.

Część najbardziej szkaradnych z tych zwierząt okazuje się całkowicie nieszkodliwa, jak choćby moloch straszliwy, zaiste przerażający na oko, a w rzeczywistości niewinny arlekin w pancernej i najeżonej kolcami zbroi. Natomiast nibykobra siatkowana – drugi pod względem toksyczności jadu wąż świata – wygląda naprawdę złowrogo. Widziałem warana Spencera, wielką jaszczurkę o żółtym obwisłym brzuchu i czarnym języku, śligę *Egernia stokesii*, kolczastą jaszczurkę o grubym kłującym ogonie, śligę krótkoogonową, o łuskach jak na szyszce i tak płaską, jak gdyby została rozjechana przez samochód, podczas gdy absolutnie nic jej nie dolega. Agama kołnierzysta wygląda jak jaszczurcze wcielenie kłowna Bozo, a śmiercionośna zradnica

*Acanthophis pyrrus* wabi ofiary, poruszając końcem ogona do złudzenia podobnym do pędraka. Wystarczy przejść się ostrożnie szosą w dziczy, patrząc uważnie na pobocze, a prawie wszędzie wkrótce zobaczymy grzebieniastą jaszczurkę z rodzaju *Ctenophorus*, która przycupnęła na skraju drogi, żeby zjadać owady zabite przez pędzące samochody. Z kolei pytony rombowe, które polują w nocy, mają w głowie receptory termiczne, których sygnał wyzwała odruch tak raptowny jak chłaiście biczem, dzięki czemu węże te na ślepo chwytają przelatujące nietoperze.

Aborygeni nauczyli się żyć pośród tych stworzeń. Niektóre łapią i obdarłszy je ze skóry, zjadają na surowo, inne rzucają w ogień, pieką, aż zrobią się całkiem czarne i zaczną pękać niczym kielbaski, i dopiero wtedy wpychają je sobie do ust. Nie boją się węży. Wierzą, że są z nimi spowinowaceni, podobnie jak z kangurami i z całą ziemią. Nie dostrzegają punktu, w którym kończy się ich żywot, a zaczyna ziemia. Wszystko uważają za część wielkiego kontinuum, przyrodzonego procesu, w którym z błogosławieństwem bogów wirują razem ze skałami, kamieniami i drzewami.

Aborygeni radzili sobie doskonale z tajpanem pustynnym i zradnicą śmiercionośną. Problemem okazali się dopiero biali Australijczycy.

„Bardzo niewiele zrobiono, aby dać Aborygenom poczucie bezpieczeństwa w kraju, który najechaliśmy – pisał Patrick White z okazji święta narodowego Australii w 1988 roku, dwóchsetlecia kraju. – Wprawdzie pan premier, jeden z największych picerów w dziejach, za pięć dwunasta był łaskaw podjąć próbę ratowania twarzy i wypowiedział mnóstwo pustych słów, wprawdzie nie strzela się dziś do Aborygenów ani się ich nie truje tak jak w pierwszym okresie kolonizacji, niemniej mamy subtelniejsze sposoby pozbywania się tych ludzi. Można ich doprowadzić do samobójstwa udrękami, jakie przeżywają w policyjnym areszcie. Zazwyczaj te śmierci kładzie się na karb narkotyków i alkoholu, od których niektórzy z nich są uzależnieni, ale spożywania tych używek nauczyli się od białych. W mieście takim jak Walgett nawet najznacniejsi przedstawiciele białej społeczności ledwo stoją na nogach przy najważniejszych okazjach. W dzieciństwie, kiedy jeździłem w tamte strony do hodowli owiec mojego wuja nad rzeką Barwon, pewnego razu, gdy wuj wiózł

mnie automobilem opodal bud Aborygenów na obrzeżach miasta, powiedział: »Nie da się nic zrobić dla tych ludzi«”.

Odsetek samobójstw wśród uwięzionych Aborygenów jest przerażająco wysoki, ponieważ cela więzienna jawi się im jako ucieleśnienie piekła na ziemi, a obudzenie się w niej trzeźwym, gdy trafiło się tam za pijaństwo – lub za posiadanie alkoholu (do czego wystarczy zostać przyłapanym z butelką w promieniu stu metrów od sklepu z alkoholem) – i uzmysłowienie sobie faktu zamknięcia w klatce jest takim koszmarem z punktu widzenia nomada, że wielu wieszka się, nie czekając na orzeczenie winy lub jej braku. Ale nie pijaństwo jest głównym powodem tego, że młodzi Aborygeni popadają w konflikt z prawem. Zazwyczaj zostają aresztowani za drobne przestępstwa, takie jak „naruszenie porządku”, wejście na teren prywatny, włamanie czy kradzież samochodu. Natomiast rzadko popełniają wykroczenia drogowe lub dopuszczają się kradzieży w sklepie, czyli przestępstw, które w Australii są niemal wyłączną domeną białych. Chociaż na podstawie danych dotyczących samobójstw w więzieniach można by dojść do wniosku, że Aborygeni mają szczególnie silną skłonność do autodestrukcji, w normalnym biegu rzeczy nie popełniają samobójstw. Tak, straceńcze zachowanie Aborygenów w więzieniach wynika z pozbawienia wolności.

Nie sposób zaprzeczyć, że pijaństwo Aborygenów stało się problemem. Ale czy większym niż pijaństwo białych? Nie licząc Finów w okresie zimy, chyba nigdy przedtem nie wiedziałem tylu ludzi, zarówno czarnych, jak i białych, oddanych odurzaniu się, ilu w Australii. I nie wzbudza to większej dezaprobaty niż hałaśliwość kibiców piłkarskich, obsceniczne przyśpiewki fanów rugby bądź osobliwie obraźliwy sposób bycia, który uchodzi w Australii za formę kumplostwa, będącego skądinąd fundamentem życia społecznego tego kraju. W Australii osoba niepijąca wzbudza o wiele większą irytację, jeżeli nie wrogość, niż wrzeszczący i wymiotujący pijak.

Dlaczego zatem w tym pijącym i pijanym kraju potępia się Aborygenów za pijaństwo? Może z powodu ponuractwa. W picciu Aborygenów wyraża się cała australijska nuda i rozpacz. Upiwszy się, nie śpiewają, nie tańczą, nie stają się skłonni do bratania z każdym. Po prostu zwracają kolację, przewracają się i zasypiają w kałuży wymiocin. No i chłają z jakąś zajadłą determinacją.

Widok Aborygenów rozpijających z samego rana pod eukaliptusem czterolitrowy karton winka Coolabah Moselle nie jest niczym niezwykłym, a gdy kończy się forsa, przychodzi czas na „białą damę”, czyli koktajl denaturatu z mlekiem. Sam oczywiście zbierałem tylko wyrywkowe obserwacje, ale dostępne były dane statystyczne, które okazały się zaskakujące. Według urzędowego raportu z czerwca 1990 roku na temat nadużywania alkoholu przez wszystkie grupy rasowe w Alice Springs (który pod auspicjami Tangentyere Council sporządziła Pamela Lyon) Aborygeni piją mniej niż biali, ale są znacznie poważniej dotknięci skutkami alkoholizmu, są bardziej schorowani niż biali i umierają młodzi.

Dowiedziałem się, że niejedno do powiedzenia na temat picia Aborygenów miałyby David Gulpilil. Jako pierwszy aborygeński gwiazdor filmowy musiał też coś wiedzieć na temat sławy i zmiennych kolei losu. Zastanawiałem się, jak wyglądało jego życie po *Walkabout*. Najwyraźniej został wyrolowany przez twórców *Krokodyla Dundee*, drugiego i ostatniego filmu w swojej karierze<sup>[8]</sup>.

– *He’s gone walkabout* – powiedziała kobieta w Sydney, mając pewnie na myśli, że się pogubił. Znowu to słowo. Potem słyszałem, że widziano go w Darwin i w Alice Springs. Wszyscy go znali.

– Któregoś dnia widziałem go na ulicy – powiedział mi jeszcze ktoś w Sydney. – Taki wysoki, szczupły gość. Nie mogłem się pomylić. To taki piękny tancerz.

Dostałem numer telefonu do niego, gdzieś w rezerwacie na północy. Zadzwoiłem, ale nikt nie odebrał. Próbowałem jeszcze kilka razy, aż dowiedziałem się, że to numer budki telefonicznej w rezerwacie w Ziemi Arnhema, w jakimś Woop Woop. Widziałem takie budki, brudne, zdewastowane kabiny z wydrapanymi datami, ksywkami, obscenami, smażące się w słońcu na pustkowiu, tak że słuchawka robi się tak gorąca, że parzy w rękę. Nie udało mi się z nim porozmawiać. Nikt nie odebrał tego telefonu, czemu raczej trudno się dziwić. Niemniej co raz wyobrażałem sobie telefon wiszący na słupie w Woop Woop, który dzwoni i dzwoni pod bezchmurnym niebem, podczas gdy w pobliżu zjawia się smukły czarny mężczyzna, który wprawdzie nie jest głuchy, ale nie zważa na ten hałas i po prostu idzie w dal.



## rozdział\_piąty\_

### Na północ od Never-Never

**Zabrałem** składany kajak, poleciałem samolotem przeszło trzy tysiące kilometrów do Cairns, stamtąd pojechałem autobusem do Port Douglas, by ruszyć łodzią do Cooktown, skąd jest już tylko rzut kamieniem do Nowej Gwinei. W Cooktown rozłożyłem kajak i ujściem rzeki Endeavour wypłynąłem w morze, żeby łowić na linkę makrele. Nieopisane szczęście. Ale niemal wszyscy w Australii uważają to miejsce za Krokodylopolis.

Wiał silny wiatr, porywiste dwadzieścia pięć węzłów z południowego wschodu. Taki wiatr zrywa kapelusz z głowy, tarmosi flagę łopoczącą prostopadle do masztu i mierzwi powierzchnię morza, najeżając ją gęsto grzywaczami. Wszyscy przestrzegali mnie przed rekinami i krokodylami ludojadami, ale nikt nawet się nie zająknął o wietrze. Najlepszy dowód, że nie mieli pojęcia, o czym mówią.

**Przez całą** drogę z Port Douglas do Cooktown wodolot Quicksilver zmagał się z wysoką falą. Port Douglas ostatnio bardzo się zjaponizował, obrósł w pola golfowe i wymuskane centra handlowe. Japońscy turyści w śmiesznych kapelutkach przylatują z Tokio, żeby obkupić się w markowe ubrania i pograć w golfa. Twierdzą, że wychodzi to o wiele taniej niż członkostwo w japońskim klubie golfowym. Z radością wsiadłem na wielką łódź i odpłynąłem, ale zdumiałem się, jakie kłęby piany wzbijał złowrogi wiatr.

– Zawsze to tak wygląda – powiedział jeden z marynarzy pokładowych. – To najgorsze miejsce, jeśli chodzi o wiatr. Pan do Cooktown, co? Tam to dopiero wieje.

Cyple i zatoki ponazywał tu kapitan Cook, a ich nazwy są wiecznym świadectwem stanów ducha, jakie podczas eksploracji tych wybrzeży przeżywał odkrywca. Hope Islands (Wyspy Nadziei), Weary Bay (Zatoka

Znużenia), Cape Tribulation (Przylądek Udręki). Jałowe wzgórza porośnięte karłowatymi krzakami, skaliste cyple wysmagane przez wiatr. W lipcu 1770 roku ten sam wiatr właśnie tutaj rzucił na rafy statek Cooka Endeavour, po czym kapitan ledwo doprowadził okręt do brzegu, żeby go załatać. Cook wylądował w ujściu rzeki, obserwowany z zarośli przez Aborygenów, którzy zwali tę rzekę *Wahalumbaal*, czyli „będzie nam ciebie brakowało”, bo tymi słowami zegnali braci wypływających łódką w morze.

– W Cooktown ludzie wariują od tego wiatru – mówił marynarz. – Jeden koleś nie mógł go dłużej znieść. Krzyczał coś, przeklinał, właściwie bredził. Kompletnie mu odbiło. Wszedł na dach domu i napażał ze strzelby w wiatr.

**Wietrzna** pogoda to przekleństwo wioślarza, rzecz o wiele gorsza i męcząca niż wysoka fala lub silny przybój. Tak się jednak rwałem do wiosłowania, tak się cieszyłem, że w końcu mogę wyruszyć, że niemal cały dzień zmagalem się z wiatrem. Nie złapałem ani jednej ryby.

– Masz pan furę szczęścia, żeś nic nie złapał! – zagrzmiął pewien facet, gdy wróciłem na brzeg. – Tutaj są makrele po osiemdziesiąt kilo. Taka sztuka w momencie zatopiłaby tę łupinkę. Niektóre z tych skubańców są tak wielkie jak ja!

Był bardzo gruby, a głowę miał niczym *gumnut*<sup>[9]</sup>, jak mawiają w Cooktown. Ubrany był w T-shirt ozdobiony reklamą jakiegoś browaru i co chwila cmokał. Najwyraźniej bardzo go bawiło wmawianie mi, że tylko cudem uniknąłem śmierci w paszczy potwornej makreli.

– Bardziej dokuczył mi wiatr – powiedziałem.

– Tu zawsze wieje – oznajmił.

Chciałem zapytać go, ile dni ciszy mają tu o tej porze roku i czy warto zaczekać, aż wiatr zelżeje. Wiedziałem, że czasem musi być flauta, ale gdybym go o to zapytał, na pewno nazwałby mnie cholernym jankesem i wyśmiał jako durnego turystę.

Na brzegu zaraz za miastem rosły mangrowce i właśnie tam zostawiłem kajak, przycumowawszy za dziób i rufę, żeby nie zabrał go przyptyw. Pierwszą noc w Cooktown spędziłem w hotelu, ale że pragnąłem obozować w terenie,

rozbiłem namiot na drugim brzegu rzeki Endeavour, gdzie nie było już nic prócz zarośli, piaszczystych łąk i dzikich świń. Jeżeli chodzi o rzekę, to wszyscy oczywiście przestrzegali, że roi się w niej od krokodyli. Dopiero co schwytano przeszło czterometrowy okaz, który wysłano do hodowli krokodyli w Cairns, gdzie nadano mu imię George i gdzie obfotografowują go turyści.

Cooktown to typowa miejscina w Never-Never, co jest jeszcze jednym synonimem najgłębszej australijskiej prowincji. Ot, główna ulica, szutrowe drogi, parterowe domy i właściwie nic więcej. Miejscina ta przypomina miasto afrykańskie z lat pięćdziesiątych XX wieku aż po bosych i widomie pokonanych przez los czarnych, z których ci, co nie są śmiertelnie przybici, siedzą pijani jak beły w którymś z licznych barów. Tego dnia wypłacono Aborygenom pieniądze. Wpłaty te dostawali co tydzień, podobnie jak zasiłki z opieki społecznej, z tym że te należności miały zarazem charakter opłaty uiszczanej przez kopalnie i inne przedsiębiorstwa za użytkowanie rezerwatu czy też terenów i tradycyjnych siedlisk, które niegdyś należały do Aborygenów. Kawałek dalej na północy wybrzeża Japończycy uruchomili zakład przeróbki krzemionki, z aborygeńskich piachów robili butelki na sake i płacili za ten przywilej.

– Ta forsa to jak odżywianie pozajelitowe – powiedział jeden z pijących w barze hotelu Sovereign. Miejscowy elektryk, samowystarczalny, ale miał w sobie coś z samotnika, podobnie jak wielu innych mężczyzn, których spotykałem w miastach na głębokiej prowincji. – Kroplówka dożylna. Po prostu siedzą na dupie i kasują forszę.

W Cooktown roiło się od nieogarniętych białych facetów, liczniejszych niż w którymkolwiek innym Woop Woop, jakie odwiedziłem w całej Australii. Ogorzali, w podartych koszulkach, łazili boso, mieli okropnie brudne nogi i byli nie tylko zawsze na bani, lecz również skorzy do bitki. Nazywano ich tam „dzikusami”. Oni też żyli z zasiłku, nieraz mnie zaczepiali, prawie wtykali swoje spalone słońcem nosy i zarośnięte twarze w moje oblicze i ostrzegali mnie przed miejscowymi Aborygenami albo rekinami, krokodylami i jadowitymi kostkowcami.

– Zdaje mi się, że macie tu mnóstwo barów.

– Nie tak znów wiele, bracie – powiedział elektryk. – Ale w każdym lokalu są trzy bary. Dla bydła, normalny bar i dla snobów.

– A ten jest jaki?

Siedzieliśmy w Sovereign.

– Ten jest normalny. Ale tam z tyłu jest bar dla bydła. Postrzygaczy, kmiotków, dzikusów i Absów.

Nie lubił dzikusów, ale jeszcze bardziej nie znosił Aborygenów.

– Płacą im za to, że są czarni. Dostają forszę za nic i kredyt na dwa procent. Biorą kredyt i kupują wystrzałowe furgonetki i terenówki. A potem zapominają o ratach. Ale nawet jak zalegają z ratami, nie tracą wozu, bo spłaty przejmuje ichnia organizacja.

Popijaliśmy pomalutku i przyglądaliśmy się dwóm przybyszom z wyspy Thursday, którzy grali w bilard. Byli to muskularni Melanezyjczycy o ogolonych głowach, wyglądający na bokserów. Oprócz nas przyglądało im się kilku pijanych i raczej mizernych Aborygenów, którzy najwyraźniej czekali na swoją kolejkę przy stole bilardowym.

– Są zdemoralizowani – ciągnął elektryk. – Po co pracować, jeżeli płacą ci za to, że nie pracujesz?

Zapytał, gdzie się u nich zatrzymałem.

– Rozbiłem namiot po drugiej stronie rzeki.

– A masz spluwę, bracie?

– Nie.

– Musisz mieć. Tu w terenie trzeba mieć spluwę. – Podumał przez chwilę i dodał: – No bo są tam świny, krokodyle i cholera wie co jeszcze.

Gdyby postępował tak jak inni, opowiadał niestworzone historie o ogromnych rybach i potwornych krokodylach, żeby zniechęcić mnie do wyprawy w skrub, puściłbym to mimo uszu. Ale on działał inaczej, w gruncie rzeczy zachęcał mnie do biwakowania, tylko radził, żebym był uzbrojony. Poleciał mi sklep rusznikarski przy głównej ulicy, Charlotte Street.

Strzeżony zamykanymi na kłódkę żelaznymi kratami, co na głębokiej prowincji jest standardowym zabezpieczeniem tego rodzaju przybytków przed złodziejami, sklep z bronią był pełną kurzu klitką, a że większość towarów leżała w kartonowych pudłach, wydawał się przedsięwzięciem tymczasowym.

W środku zastałem krzepkiego faceta w średnim wieku, o szpakowatych włosach i bystrym, uważnym spojrzeniu.

– Od niedawna w mieście? – zapytał.

– Tak – odparłem i opowiedziałem mu, gdzie biwakuję i że zamierzam popłynąć kajakiem na północ wybrzeża.

– Mam coś, co się idealnie panu nada – oświadczył.

Wyciągnął zrobioną z czarnego tworzywa sztucznego kolbę karabinu, ale jak się okazało po zdjęciu trzewika, skrywającą w środku lufę, zamek z automatyką i magazynek. Łatwo się toto składało, trzeba było tylko wkręcić lufę, podczepić mocowany za pomocą nakrętki motylkowej zamek z automatyką i wcisnąć ośmionabojowy magazynek. Ten karabin był nie tylko wodoodporny i tak prosty, że obsłużyłby go ostatni idiota, lecz również samopowtarzalny. Wystarczyło załadować pierwszy nabój i można było napażać w tempie, w którym się naciskało spust.

– No i nie tonie.

– Na pewno potrzebuję czegoś takiego?

– A widział pan kiedy świnię? Dziką? Mają wielkie szable i ryją na plażach, szukając ostryg – uśmiechnął się. – Widywałem stukilowe świnię. Okropnie wyrywne. Co pan robi, jak taka świnia zaszarżuje?

Kupiłem ten karabin, dumając przy tym o stukilowych świniach, osiemdziesięciokilowych makrelach i czteroipółmetrowych morskich krokodylach. Zaiste niezła wycieczka się szykuje.

– Chciałbym wypróbować ten karabin – powiedziałem.

– Nie ma sprawy.

Pojechaliśmy kawałeczek za Cooktown, do małego kamieniołomu, który służył jako strzelnica. Po drodze sprzedawca opowiedział mi o sobie. Nazywał się Fred Hardy, a do Cooktown zjechał dlatego, że lubił otwarte przestrzenie. Nie był rodowitym Australijczykiem. Stwierdził, że przysiągł sobie, że nigdy nie użyje słowa *mate* (brachu). Prowadził kilka biznesów, a że potrafił naprawić niemal każdą maszynę i znał się na elektryce, nie narzekał na brak pracy. W tego rodzaju mieścinie jak Cooktown silniki psują się nieustannie, a części zamiennych brakuje. Spawacz czy mechanik zawsze znajdzie pracę. Takie tereny to w niejednym sensie pogranicze, swego rodzaju

Dziki Zachód, ziemia, dokąd ciągną ci, którzy chcą zacząć od nowa, uciec od przeszłości, może zniknąć, a może zdobyć fortunę, tak jak garstka tych, którzy w dziczy odkryją złoto.

Sto dwadzieścia lat temu w tamtym rejonie wybuchła prawdziwa gorączka złota, a Cooktown rozrosło się do rozmiarów średniej wielkości miasta, osiągając liczbę trzydziestu tysięcy mieszkańców, w połowie chińskich poszukiwaczy z warkoczykiem z tyłu głowy. Obcych trzymano na dystans, jak to w Australii, więc nad rzeką wyrosło chińskie miasteczko. Cooktown zdobyło sławę miasta mającego dziewięćdziesiąt cztery bary i sto sześćdziesiąt trzy burdele. Poszukiwacze złota bez zahamowań szwendali się po terenach Aborygenów, już to zmierzając na pola złotonośne nad rzeką Palmer, już to szukając bogatszych złóż kruszcu. Dochodziło do gwałtownych utarczek między poszukiwaczami i Aborygenami, których podejrzewano o ludożerstwo. Niedaleko od Cooktown leży osada Battle Camp, której nazwa przypomina o słynnej rzezi Aborygenów dokonanej przez białych górników złota. Niektórzy w ciągu kilku lat zbili ogromne fortuny. Złóża złota rychle jednak się wyczerpały, liczba mieszkańców ogromnie spadła i Cooktown stało się znowu nędzną miejsciną na dalekiej rubieży Never-Never.

– Ale jest zabawne – stwierdził Fred Hardy. – Któregoś dnia przyszedł do mnie facet i poprosił, żebym naprawił mu kołyskę. Wie pan, co to kołyska? Urządzenie do wypłukiwania złota. A jego była ogromna. Prowadzi nie byle jaką operację wypłukiwania złota gdzieś w skrubie – nikt nie wie gdzie – a mówią, że wypłukał już całe wory. Naprawiłem mu tę kołyskę. O nic nie pytałem. Człowiek uczy się o nic nie pytać, kiedy trwają poszukiwania złota. Zbyt ciekawość mogłaby mieć fatalne skutki.

Podziurawiliśmy z pół tuzina tarcz, a gdy słońce zaszło i zrobiło się zbyt szaro, żeby dalej strzelać, spakowaliśmy karabiny.

– Chce pan jutro trochę rozejrzeć się po skrubie? – zapytał Fred. – Mam parę spraw do załatwienia. Może pan jechać ze mną.

Powiedziałem, że chętnie, i nazajutrz rano opuściłem obozowisko i przepłynąłem kajakiem przez rzekę, żeby znowu się z nim spotkać. Oznajmił, że ze względu na zryte drogi trzeba dociążyć furgonetkę, żeby jej nie zarzucało.

Załadowaliśmy czternaście worków z cementem – jakieś pół tony – i wyruszyliśmy.

W żółtawym skrubie wątych eukaliptusów i jasnej wyschniętej ziemi po zaledwie dziesięciu minutach od wyjazdu z Cooktown Fred popatrzył na ślady opon na prostej płaskiej drodze przed nami i powiedział:

– Cały czas tak samo, przez setki kilometrów. Tylko to się widzi przez cały dzień. Oto australijski busz.

Czemu więc nie zawracamy? – chciałem zapytać. Nie podobała mi się ta wąska droga ani to, jak zarzucało furgonetką w koleinach, a ilekroć mijał nas inny samochód, tonęliśmy w kłębach dławiącego kurzu. Ani odrobiny cienia, drzewa zbyt rachityczne, liście zbyt drobne. Światło słoneczne przenikało przez tę roślinność niemal bez przeszkód.

Minęło kilka godzin. Fred zapytał, jak zarabiam na życie. Ani się spostrzegłem, jak w niewczesnym przypływie szczerości powiedziałem, że jestem pisarzem. Zazwyczaj wyznanie to wprawia rozmówców w konsternację: albo milkną, albo przeciwnie – popadają w słowotok, zadają niekończące się pytania, wyrzucają z siebie niezborne opowieści o niezapomnianych podróżach lub barwnych postaciach. Kiedy rozmówca nie wie, że jestem pisarzem, snuje o wiele lepsze opowieści i konwersuje niewymuszenie. Wszakże na Fredzie moje wyznanie nie zrobiło wrażenia. Czytał trzy moje książki, porozmawialiśmy o nich przez chwilę, ale przede wszystkim pragnął opowiadać o Australii, a ja pragnąłem słuchać, więc nasza jazda była swego rodzaju wycieczką z przewodnikiem po jednym z najdziwniejszych zakątków tego kraju.

Przejechaliśmy przez Battle Camp, po czym nad rzeką Normandy zjedliśmy lunch z koszyka piknikowego, który miał Fred. Po jedzeniu urządziliśmy sobie trening strzelecki, odstrzeliwując zespórki starego kotła parowego, który tkwił w błocie przy brzegu rzeki. Fred walił niesamowicie celnie z trzydziestki ósemki. Opowiadał o wymarzonej podróży w dół rzeki, w którą planował wyruszyć w zabezpieczonej przed krokodylami łodzi swojego pomysłu. W rzeczy samej widział krokodyle w tej rzece, nie bał się ich, ale stwierdził, że każdy człowiek planujący wyprawę w dół tej rzeki musi się z nimi liczyć. Snuł tego rodzaju sensowne, racjonalne opowieści o krokodylach, jakich lubię

słuchać. Przesłanie miał proste, a mianowicie, że trzeba uważać na krokodyle, ale nie wolno wpadać w panikę.

– Większy kłopot będę miał chyba z rekinami – powiedziałem.

– O ile wiem, nie ma ich wiele w tym rejonie – rzekł Fred.

– Przed rekinami w wodach przybrzeżnych Queenslandu przestrzegał mnie sam Peter Benchley – zachnąłem się. – Kiedy autor *Szczęk* wypowiada się na temat rekinów, to chyba warto nadstawić ucha i zapamiętać jego słowa.

– Fakt – przyznał Fred – to właściwie coś tak jakbyś ty mówił o pociągach.

Następny etap jazdy przez wyschnięty żółty skrub zaprowadził nas do Laury, niewielkiej stacji hodowli bydła w głębi Never-Never, w której mieli jeden bar, kilka domów i opowieści o aborygeńskich malowidłach naskalnych. Nie sposób uznać Laury za miasto, a nawet za wieś – miano „stacji” wydaje się rzeczywiście odpowiednie. W Australii *station* oznacza między innymi farmę o statusie osady, większą niż „posiadłość” czy „gospodarstwo”. W upale i ciszy Laura wydawała się maleńka. Powietrze ani drgnęło, poruszały się tylko muchy.

Dalej rozciągają się Lakeland Downs. W każdej stacji mieli dystrybutor z paliwem i bar. Wkrótce wyjechaliśmy na główną drogę na północ, do przylądka Jork. Przed odcinkiem tej pustej i jakby martwej szosy, na którym trwały roboty drogowe, ruchem kierował Max, hodowca orzeszków ziemnych, któremu zmarniały uprawy. Był straszliwie spalony słońcem.

– Coś przejeżdża raptem raz na kwadrans – powiedział.

Fred dał mu zimne piwo.

Przed nami, uginając i prostując sprężynujące nogi, wystrzelił kangur i pognął boczną szutrową drogą pomiędzy drzewami. Zdumiałem się jego prędkością. Fred tylko wzruszył ramionami i rzekł, że tu wokół są miliony kangurów. Paradoksalny wydźwięk ma fakt, że w świetle amerykańskiej ustawy o ochronie przyrody kangury są gatunkiem zagrożonym, natomiast w Australii nie są chronione. Przeciwnie, władze australijskie zachęcają do polowania na kangury i w 1991 roku usankcjonowały odstrzelenie czterech milionów dwustu ośmiu tysięcy ośmiuset sztuk, które przerobiono na obrożę dla psów, wypchane zabawki, buty sportowe i bicze. W sklepach z pamiątkami prawie wszędzie w Australii można kupić małe sakiewki robione z kangurzej



moszny. Dalej przy tej drodze widzieliśmy srokatę gęsi skąpopłetwe. Widzieliśmy sępy. Późnym popołudniem widzieliśmy wielkie szare ptaki podobne do indyków, grzebiące na polu wśród łusek kukurydzianych.

– Dropie. Gatunek zagrożony – powiedział Fred. – Smakują fantastycznie.

– Jesz je?

– „Nie zabijajcie ich!”, krzyczą różni tacy.

Fred wyśmiał takie wezwania i znowu zapiszczał nosowym, płaczącym głosem:

– Dobierają się w pary na całe życie! Owdowiały ptak umrze z rozpacz!

Uśmiechnął się szeroko i dodał:

– Ale ja wiem, jak temu zaradzić.

– Naprawdę? – zapytałem, bo tylko patrzył szelmowsko na mnie.

– No pewnie. Zabij jedno i drugie.

O zachodzie, u kresu długiego, pełnego kurzu, słońca i bzyczących much dnia, wróciwszy do Cooktown, zasiedliśmy w barze.

– Coś ci powiem – rzekł Fred – tylko obiecaj, że nie zrozumiesz tego źle.

Stropiłem się nieco, bo już dobrze wiedziałem, że Fred nie jest facetem skorym do zwierzeń, ale powiedziałem:

– Jasna sprawa.

– Jesteś jedynym człowiekiem na świecie, któremu zazdroszczę – oznajmił.

Nagle uświadomiłem sobie, jak mało powiedziałem mu o swoim życiu.

– Widzisz tych kowbojów? – zapytał, szybko zmieniając temat. Skinął w stronę stolika na tyłach baru.

Siedziały przy nim cztery osoby, dwóch bosych, brodatych, koszmarne wytatuowanych mężczyzn w brudnych szortach i podartych T-shirtach i dwie Aborygenki. Kobiety, w spłowiałych luźnych sukienkach, miały skołtunione włosy i wielkie łagodne oblicza, na chudych udach trzymały puszki piwa.

– Dżokeje dzinek – powiedział Fred.

Wyjaśnił, że tak się tam określa białych Australijczyków żyjących z Aborygenkami, które gwarowo nazywa się „dżinkami”. Wszyscy Aborygeni dostają co tydzień zasiłek, wobec czego takie związki, które przecież mogą wynikać z prawdziwej miłości, większość innych białych uważała za wynik chytrej kalkulacji owych „dżokejów”.

– Chyba wyjdę i dmuchnę sobie jakąś czarną – usłyszał kiedyś Fred z ust pijanego faceta w barze w skrubie. Na głębokiej prowincji Aborygenki często były wykorzystywane seksualnie. Białych uprawiających z nimi seks nazywano też „grasantami dzinek”. Rozglądali się zwłaszcza za młodymi kobietami, które nazywali „kremówkami”, o stosunkowo jasnej karnacji, które nazywali „połoweczkami”, a nade wszystko za *lubras*, czyli dziewczętami.

– Powiem ci, Paul – ciągnął Fred – że niektóre Abki są całkiem w porządku. Kupują u mnie strzelby i polują na gołębie, lubią czterystadziesiątki i dwunastki<sup>[10]</sup>. Świetnie strzelają. Facetom wszystko zwisa. Kobiety polują, a oni chłają.

Przy innych stolikach siedziało sześciu czy siedmiu żłopiących piwo pijanych Aborygenów. Wyglądali żałośnie, bardzo brudni, o skołtunionych włosach, oczy przekrwione, wychudzeni. Wystające kości sprawiały przeraźliwe wrażenie i niektórzy z tych ludzi zdawali się szkieletami owiniętymi w gnieciony welur, żywymi trupami czy też bunyipami, czyli straszliwymi upiorami wodnymi z aborygeńskiej mitologii.

– Mają mnóstwo broni – mówił Fred – ale nie strzelają się między sobą. Trzeba przyznać, że mało u nich przestępstw. Piją i biją się, fakt, ci, którzy przychodzą do miast. Ale trudno ich winić. Sam parę razy się z nimi tłukłem. Swoją drogą od dawna chcę napisać list do Hollywood. No bo czemu bitki w filmach są takie długie? Dwóch facetów okłada się przez dziesięć albo piętnaście minut, do czego to podobne?

Podumał przez chwilę i zapytał:

– Biłeś się kiedy?

– Na pięści? Nie – odparłem.

– Ja biłem się nie wiem ile razy i zawsze sprawę kończył pierwszy cios. Łup prosto w głowę i już po wszystkim. Nigdy nie uderzyłem dwa razy. Nie twierdzę, że jestem wyjątkowym twardzielem czy coś. Po prostu wszystkie walki, jakie widziałem, kończyły się po jednym ciosie. Czemu się uśmiechasz?

– Wyobraziłem sobie, że trzasnąłeś któregoś z tych łazęgów.

– Zrobiłem to całkiem niedawno, facet miał coś do powiedzenia na temat mojej żony. Rąbnąłem go w pysk i tyle. Rozumiesz, mam pewien problem.

Może to jakaś choroba, ale nie umiem się opanować, w momencie trafia mnie szlag.

– Powiedziałaś, że Aborygeni są skorzy do bitki?

– Zdarza się. Ale w Hopevale, w rezerwacie na drugim brzegu rzeki jest mnóstwo spokojnych, porządných czarnych – powiedział Fred Hardy. – Słuchaj, wiedziałeś, że biwakujesz na ich ziemi?

**Nie od razu** zrozumiałem, ile ziemi mają Aborygeni z Hopevale, ale okazało się, że należy do nich całe terytorium na północ od rzeki Endeavour, czyli wielki kęs północnego Queenslandu. Oczywiście terytorium to zawierało również ten kawałeczek, który wykroiłem dla siebie i nazwałem Wietrznym Obozem. Po tym jak Fred uzmysłowił mi, że już wtargnąłem na ziemię Aborygenów, zapragnąłem tym prędzej wyruszyć na północ wybrzeża – co i tak planowałem – żeby znaleźć się w samym środku rezerwatu.

Potrzebowałem trzech wypraw do miasta, żeby zgromadzić jedzenie i wodę na tydzień biwakowania. Załadowany kajak usiadł pewnie na oceanie, ustabilizowany przez cały ów prowiant, który w wodoszczelnych workach upchnąłem na dziobie i rufie. Pogoda tego dnia była taka sama jak we wszystkie inne dni, które spędziłem na tym wybrzeżu – słonecznie, temperatura pod trzydzieści stopni Celsjusza, południowo-wschodni wiatr wiejący z prędkością dwudziestu kilku, w porywach do trzydziestu węzłów. Za wyjściem z portu morze było wzburzone, najeżone grzywaczami, począwszy od miejsca, gdzie wiatr wypadał spoza Anchor Point, cypla Cooktown.

Mocny wiatr irytował mnie, ale nie przestałem wiosłować. W końcu płynąłem wzdłuż brzegu i w każdej chwili mogłem wylądować, rozbić obóz, poczynić notatki, posłuchać radia. Albo coś zjeść. Stanowczo wolałem swoją kuchnię od australijskiego żarcia, którego próbowałem w hotelach i restauracjach. Duszony chlastacz much (czyli ogon wołowy), smażone barramundi, *snorkers and googs* (czyli bynajmniej nie fajki z goglami, lecz kiełbaski z jajkami), pieczony *chook* (kurczak) – pod takimi to uroczymi nazwami kryły się niejadalne potrawy. Nigdy przedtem nie czułem się równie

wolny i samowystarczalny. Miałem schronienie, jedzenie, wodę, lekarstwa i dzielną łódkę. No i ani w domu, ani u celu nikt na mnie nie czekał.

Jak okiem sięgnąć ocean mierzwiły okryte białymi grzywami metrowe lub półtorametrowe fale. Wziąłem kurs na dobrze widoczny cypel, Saunders Point, wysokie urwisko, u którego stóp wrzała kipiela przyboju. Wiosłowałem mozolnie przy bocznym wietrze, fale uderzały w burtę i obracały kajak. Ale dobrze wiedziałem, że zarówno krokodyle, jak i rekiny wystrzegają się takiej wzburzonej wody – z którą trzeba się bez przerwy zmagać – więc przynajmniej nie musiałem się martwić, że zostanę zjedzony.

Główna trudność polegała na utrzymywaniu postawy wyprostowanej, podczas gdy wiatr i fale napierały z jednej strony. Pomagało mi to, że kajak był solidnie obciążony, płynąłem wolno, ale dość gładko. No i sama myśl o tym, że zostawiam Cooktown, ostatnie znaczniejsze siedlisko ludzkie w Queenslandzie, dodawała mi sił. Niemal wszyscy ci, których spotykałem w Australii, uważali Cooktown za kraj świata, zapadłą dziurę daleko w dziczy, miejsce, gdzie czas się zatrzymał, istne Never-Never. Prawie nikt tam nie był. A ja wyruszałem oto jeszcze dalej, na północ od Never-Never, i czułem się tak, jak gdybym przekraczał granicę znanego świata.

Wiosłowałem przy bocznym wietrze do wczesnego popołudnia, kiedy gwałtowne podmuchy stały się częstsze. Właśnie patrzyłem na kompas, gdy z boku uderzył wielki bałwan, który niemal wywrócił kajak. Na szczęście zdążyłem podeprzeć się obróconym na płask piórem wiosła, ale zanim się pozbierałem, następna fala już niosła mnie w stronę brzegu. Z trudem utrzymywałem równowagę i niczym surfer spadałem w dół, nabierając prędkości. Po prawej sterczały poszarpane skały cypla, ale bezpośrednio przede mną fale rozbiły się na piaszczystej plaży. Zanim do niej dotarłem, zdołałem nieco wytracić prędkość, przy czym wykonałem zwrot i wylądowałem na plaży rufą – zrobiwszy ślizg wsteczny, jak powiedziałby surfer – unikając konieczności tak zwanej kabiny, czyli ewakuacji pod wodą.

Fale zrobiły się zbyt wielkie, żeby wracać na morze, a poza tym cóż mnie goniło? Przeciągnąłem kajak przez płytką wodę i znalazłem zaciszne miejsce, gdzie uwiązawszy łódkę do wielkiej kłody, przysiadłem i odpocząłem. Potem poszedłem na Saunders Point i wspiąłem się na skałę, żeby rozejrzeć się za

dobrymi miejscami biwakowymi. Dostrzegłem stamtąd również szalas jakiegoś zbieracza darów wyrzucanych na brzeg przez fale (a może była to chata Aborygenów), ale pomyślałem, że lepiej się tam nie zbliżać. Idąc dalej, natrafiłem na kilka bali tworzących coś w rodzaju miejsca piknikowego, w którego środku dymiło ognisko. Niewątpliwie właśnie tutaj aborygeńscy rybacy gotowali strawę. Fakt, że ognisko jeszcze dymiło, niepokoił mnie, bo ten, kto je rozpałił, mógł lada chwila wrócić i wcale nie być zachwycony moją obecnością.

Wokół ogniska wały się jakieś plastiki i zardzewiałe puszki po konserwach i po piwie. Rozejrzawszy się, spostrzegłem, że na tym kawałku plaży wszędzie leżały butelki i plastikowe śmieci, klapki, podarte sieci, kawałki liny. Były pojemniki po aerozolach, opony, kawałki korka i styropianu. Obecność plastikowych pływaków do sieci uznałem za zrozumiałą, ale skąd wszystkie te plastikowe butelki, puszki po piwie, bańki po oleju? Najwyraźniej wyrzucono je z łodzi i ze statków pływających po Morzu Koralowym, przypląnęły z wysp Vanuatu i z Nowej Kaledonii, a pasat przywiał je na to wybrzeże. Te zwały niezniszczalnych rupieci zostawiane przez przypląw nadawały wystawionemu na stałe wiatry wybrzeżu posępny wygląd wysypiska śmieci.

Biwakowanie z widokiem na śmietnisko uznałem za stanowczo zbyt depresyjne, więc poszedłem w głąb plaży, aż znalazłem miłe miejsce za wydumą, gdzie rozbiłem namiot. Było bardzo gorąco, a ja tak uchetany wiosłowaniem przy silnym wietrze, że wpełzłem do środka i godzinę się zdrzemnąłem. Następnie wypakowałem sprzęt z kajaka i się zagospodarowałem, powiesiłem bukłak, ustawiłem kuchenkę, rozpakowałem śpiwór, żeby się rozprostował i zrobił puszysty, posortowałem prowiant i zawiesiłem go poza zasięgiem żerujących świń.

Na piasku pod drzewami wszędzie widniały tropy świń i jaszczurek. W chłodniejszej aurze późnego popołudnia złożyłem strzelbę, napełniłem kieszenie nabojami i rozejrzałem się. Fred był pewny, że nie raz spotkam rozwścieczoną świnię. Strzelba dawała dozę pewności, że nie skończę marnie i żałośnie, chociaż miałem nadzieję, że nie będę zmuszony jej użyć przeciwko zwierzęciu. Odkąd skończyłem dziesięć lat, zawsze miałem jakąś broń, ale

żywe stworzenie ostatni raz zabiłem jako durny nastolatek i nie cierpiałem ludzi, którzy zabijają zwierzęta dla sportu. Strzelbę uważałem za środek samoobrony i rozrywki. Postrzelałem do puszki, a potem ruszyłem w głąb łądu, nasłuchując chrząkania świń.

To chyba odpowiednia chwila, żeby powiedzieć, że przez półtora roku podróżowania po Pacyfiku nie zabiłem ani jednego zwierzęcia, a mięso jadłem raptem kilka razy. Trzymałem się diety złożonej z warzyw i ryb, a odstępstw dopuściłem się tylko w rzadkich sytuacjach, gdy niezjedzenie mięsa zostałoby poczytane za obelgę („Tę świnie zabiliśmy na pana cześć, mister Paul”). Dlaczego jakiegokolwiek zwierzę miałoby zginąć, żebym ja odbył swoją podróż?

Za nadbrzeżnym pasem drzew rozciągało się wielkie śmierdzące mokradło i właśnie tam, jak sądziłem na podstawie śladów i topografii, żyły dzikie świnie. W powietrzu, na drzewach i na ziemi widziałem najróżniejsze ptaki, rybożery i kanie, siewki i kuliki, no i całe orkiestry bezimiennych gwizdaczy i ćwierkaczy.

O zachodzie ugotowałem kuskus, zjadłem go z fasolką i tuńczykiem, po czym wypłem kubek zielonej herbaty. Żałowałem, że nie mam piwa, ale puszki są ciężkie. Jedząc, słuchałem radia, a gdy zapadła ciemność i pojawiło się mnóstwo owadów, wpełzłem do namiotu i przy jaskrawym świetle latarki czytałem *Życie seksualne dzikich*. Potem w ciemności wysłuchałem wiadomości BBC, wieści z innego świata, które brzmiały wręcz niedorzecznie.

Wiatr szalał całą noc i dopadł mnie nawet w obniżeniu terenu za pasem wydym. Namiot łopotał, a wicher świstał i wył w gałęziach pobliskich wątlých sosen. Wiatr kształtował wszystko w tej okolicy, zarówno istoty żywe, jak i martwe. Przynosił śmieci i drewno, które fale wyrzucały na plażę, podzegał morze, które zajadle obłupywało nadbrzeżne skały, bawił się piaskiem, usypując wydmy, i to on sprawiał, że wszystkie drzewa rosły pochylone, jak gdyby miały go dość i odsuwały się jak najdalej.

Dręczony przez smętne sny spałem do świtu, kiedy jakieś ptaszki – których nazwy nigdy nie poznałem – jeły pogwizdywać zaczepnie niczym sztubacy na ładną dziewczynę.

**Silny** wiatr utrudniał gotowanie. Gdziekolwiek ustawiłem kuchenkę, zaraz się zjawiał i wydmuchiwał płomień na boki. Obrałem pomarańczę, zjadłem ją i w końcu zagotowała się woda na makaron i kubek zielonej herbaty – pożywne śniadanie, o czym zaręczy każdy chiński rolnik.

Podczas gdy jadłem, usadowiony po turecku na wydmie, namiot wzbił się w powietrze i niczym latawiec śmignął w gałęzie niewysokiej sosny. Zamierzałem znaleźć nowe miejsce na biwak, więc spakowałem namiot i resztę sprzętu, zawiesiłem pakunki na drzewie i ze strzelbą wyruszyłem na rekonesans. Widziałem tropy świń, ale żadnych śladów ludzi. W cieniu drzew na skraju gęstszych zagajników od czasu do czasu słyszałem coś jak chichot i głośny skrzek, ale nie udało mi się zobaczyć ptaków, które wydawały te odgłosy.

Za Saunders Point jest strome wzgórze – Mount Saunders – o zboczach inkrustowanych wielkimi głazami. Wszakże w połowie zbocza zorientowałem się, że to, co wziąłem za głazy, w rzeczywistości jest wysokimi na dwa, trzy metry kopcami mrówek. Nie było ścieżek, wspinałem się wąwozami wyżłobionymi przez wody deszczowe i w takiej płytkiej rynnie ciemny wąż przepęłzył mi drogę, co zajęło mu dłuższą chwilę. Próbowałem oszacować jego długość, podczas gdy sunął nieśpiesznie pomiędzy kępami wysokich traw porastających wzgórze. Nie boję się węży, ale zaraziłem się afrykańskim wierzeniem, że wąż przepęłzający przez drogę na początku podróży to bardzo zły znak. Uległszy i tym razem temu zabobonowi, zmieniłem kierunek wspinaczki i niemal natychmiast natrafiłem na aborygeńską chatę schowaną przed wiatrem pośród krzaków za siodłem wzgórza.

– Halo! – zawołałem i aż się przeląknęłem swojego głosu. Wokół roiło się od pszczoł i motyli. Zlustrowałem chatę. (Takie małe pozbawione okien schronienie z gałęzi i rozmaitych rupieci nazywają też *mia mia*, *wurley* i *gunyah*).

W chacie nie było nikogo.

Z tego miejsca roztaczał się wspaniały widok na Indian Head i wielki półksiężyc plaży z białego pisaku u jego stóp. Jednym z najwspanialszych aspektów Australii są owe tropikalne plaże ciągnące się na północ od Never-

Never, kilometry pięknego piasku i cudowne fale, na których nikt nie pływa. Na świecie nie brak wielkich pustych krain, ale niewiele z nich jest tak ślicznych, gościnnych dla człowieka i w pewnym sensie tak szczęśliwych jak Australia.

Te plaże nie mają nazw, bo rzadko służą ludziom. No i wszystko to terytoria Aborygenów, a jeżeli oni nadali nazwy tym plażom, to nie zdradzili ich kartografom. Góry i cyple przed dwustu laty ponazywał kapitan Cook, który z pokładu okrętu dobrze widział tylko wyniosłości terenu.

Wróciwszy do obozowiska, przenieśliśmy bagaż do kajaka i ruszyłem wzdłuż wybrzeża, wypatrując bardziej zaciszego miejsca. Starłem się wydostać poza strefę przyboju, ale zde gustowany bez przerwy widziałem grzywacze aż po horyzont, bezkresne spienione morze. Bliżej brzegu ciągnąłem kajak, gdy w niewielkiej odległości zauważyłem półtorametrowego rekina, przedstawiciela gatunku rekinów piaskowych, jakie często pojawiają się na plażach Cape Cod. Plasnąłem wiosłem o wodę i rekin czmychnął, nie musiałem dźgać biedaczyny.

Na piaszczystej półce na stromym zawietrznym zboczu wydmy zjadłem lunch. Całkiem bezwietrznie, ale właśnie z powodu ciszy w owym zakątku panował upalny zaduch i roiło się od moskitów.

Brnąłem skrajem plaży, dumając, gdzie rozbiję obóz, gdy w dali spostrzegłem postać idącego ku mnie człowieka. Kiedy się zbliżył, zobaczyłem, że to niski niechlujny mężczyzna, stąpający wolno ze wzrokiem wbitym w ziemię. Zbieracz. Koszula podarta, nogawki podwinięte do kolan. Co chwila podnosił coś, oglądał i albo wkładał do torby przewieszanej przez ramię, albo wyrzucał. Przy jego nodze snuł się osowiały pies.

Przywitałem się. Pogadaliśmy o wietrze. Przypatrywał się mojemu kajakowi.

– Składany – rzekłem.

– Ma pan ochotę na łyk domowego piwa? – zapytał.

Jedna z przestróg, jakich mi nie szczędzono w Cairns, brzmiała: „Nie ufaj pan nikomu, kto zachowuje się bardzo życzliwie. Jeden mój kumpel zaufał. Ledwo się wylizał”. Wtedy puściłem to mimo uszu, tak samo jak przedtem



słowa tego grubasa w Cooktown, który zaręczał, że są tam makrele tak wielkie jak on.

Wszakże ten zbieracz był cherlawym konusem.

– Prowadź pan – odparłem.

Pomaszerował prosto na wydnię, a potem przez gęste zarośla, strasznie klucząc.

– Tu nie ma ścieżek – wyjaśnił.

Przedzieraliśmy się przez skrub.

– Nie chcę wydeptać ścieżki – odezwał się znowu mój przewodnik.

Sosnowe gałązki chłostały mnie w twarz i nawet pies wydawał się zdezorientowany.

– No bo zaraz zaczną się odwiedziny – nawiązał do swojej myśli zbieracz. – Zwłaszcza biurokratów.

Miał dość akademicki sposób mówienia i nawet wydało mi się, że na londyńską modłę połączył „l” w słowie *officialdom*.

W końcu przedarliśmy się do jego obozowiska. Oaza bałaganu w niecce pomiędzy dwiema wydmami. W samym środku posłanie wielkości królewskiego łoża, nad nim baldachim z wystrzępionego brezentu umocowany za pomocą namiotowych linek. Owo łoże zdawało się sercem wielkiego śmietniska, ale to, co na pierwszy rzut oka wziąłem za rupiecie i śmieci, okazało się kolekcją szklanych butelek i innych naczyń uporządkowanych według wielkości i kształtu. Niektóre ułożone w stosy, inne ustawione w długie szeregi na zboczach wydm, filiżanki i kubki zebrane w jednym miejscu. Były też pływaki, duże plastikowe kule, które odpadły od złowrogich, topiących żółwie i delfiny japońskich pławnic. Przy samym łożu stał skorodowany piec na drewno i wyobraźnia podsunęła mi obraz zbieracza, który podczas gotowania wyleguje się w łożu, jak gdyby kierował się zasadą najmniejszego nakładu sił.

– Oto mój dom – oznajmił.

Na ruszcie pieca spostrzegłem osmalone kości zwierząt. Obok pieca leżał stos czasopism, w tym zwłaszcza „Readers Digest”, a na kłodzie drewna brylował – wyglądający nad wyraz schludnie – duży tranzystor w obudowie z różowego plastiku.

Zbieracz poszperał w butelkach i wybrał jedną z nich, podczas gdy mnie obszczekiwał pies. Pożałowałem, że przyszedłem boso, ale myślałem, że ten typ musi mieszkać blisko plaży, a w rzeczywistości zaszył się spory kawałek dalej, zapewne po to, żeby uniknąć wścibstwa biurokracji.

– Niech pan spróbuje tego – powiedział zbieracz i zerwał kapsel z butelki.

– Dziwna rzecz, ale nie jestem spragniony – wykręciłem się.

Pociągnął haust.

– Niezłe – stwierdził. Pociągnął drugi haust i obtarł usta.

– Tę partię zrobiłem w zeszłym tygodniu.

Znowu łyknął. Trochę piany zostało mu na ustach.

– Szkoda tylko, że butelki wybuchają.

Wyraźnie usłyszałem, że połąknął „l” w słowie *bottles*.

– Jest pan Anglikiem – stwierdziłem raczej, niż zapytałem.

– Z Kentu – potwierdził. Obliznął pianę z ust. – Czyli prawie z Londynu.

Pociągnął następny haust.

– Urodziłem się w Gravesend. Zrobienie czterdziestu butelek tego piwa kosztuje sześć dolarów. Potrzeba tylko puszki tego – wskazał pusty pojemnik – i kilku funtów cukru.

Zajął się kończeniem piwa. Resztkę sączył wprawnie małutkimi łykami, spozierając między jednym a drugim łyżkiem w otwór butelki.

– A teraz mieszka pan tutaj?

– Zgadza się – potwierdził, rozglądając się po otaczającej nas rupieciarni. – Prawdę mówiąc, buduję tratwę. Po to są te rury i plastikowe kule. One zapewnią pływalność.

Cała reszta rupieci i śmiecia doskonale maskowała przeznaczenie owych rur i kul.

– I co pan zrobi z tą tratwą?

– Zamierzam zbudować tę tratwę i popłynąć na niej w kierunku północnym – powiedział raczej ogólnikowo.

– Jak daleko na północ stąd chce pan dotrzeć?

– Chcę opłynąć półwysep Jork.

Dobry Boże, pomyślałem.

– Przez Cieśninę Torresa?

Występują tam jedne z najsilniejszych prądów pływowych na świecie, to kilkadziesiąt kilometrów wzburzonego oceanu, który przelewa się przesmykiem między Nową Gwineą i Australią spieniony niczym górską rzeką.

– Tak, przez cieśninę.

– W jakimś konkretnym celu?

Uśmiechał się, rozczochrany, nieogolony.

– Tamtędy mogę się dostać do Darwin.

– Tratwą przez zatokę Karpentaria?

– I morze Arafura. Tak.

Dopił piwo. Butelkę ustawił starannie przy innych pustych.

– Nic mnie nie goni – powiedział. – Pływałem już tratwą. Rzeką Cabrera w Kolumbii. Spędziłem pół roku w Ameryce Południowej. Przed ośmiu laty. Mnóstwo przygód. Trochę niebezpieczeństw.

– Groźni Indianie?

– Nie. Podróżowałem z Indianami. W południowoamerykańskim buszu nic się nie zrobi bez Indian.

Wydawał się odrobinę podchmielony. Niezdarnie podszedł do butelek, poprzestawiał je.

– Prowadziłem dziennik. Zawsze mi mówiono, że powinienem napisać o tym książkę.

Chociaż stał bosy na odludnym brzegu w rezerwacie Aborygenów na północy Queenslandu, w środku zagraconego rupieciami obozowiska zbieracza odpadków wyrzuconych przez morze, wcale się nie zdziwiłem, usłyszawszy tę aluzję do ambicji pisarskich. W końcu i ja żywiłem takie ambicje, i tak jak on byłem bosy i zarośnięty.

– Czemu nie pisze pan książki o swojej podróży po Ameryce Południowej?

– Pisałbym – odparł – gdybym leżał w szpitalu.

Mówiąc, drapał psa za uszami i patrzył w dal.

– Gdybym leżał w szpitalu i miał złamane obie nogi. Wtedy bym to zrobił.

Przez chwilę się zastanawiał.

– Chociaż chyba nie chciałbym tego robić, gdybym miał połamane obie nogi – dodał.

– Odnoszę wrażenie, że nie brak tu panu pica – rzekłem. – A co pan je?

– Ryby. W tych wodach jest mnóstwo ryb. Mam więcierz na kraby. Po to są te kości – wskazał owe osmalone kości leżące na piecu. – Wkładam je do więcierza. Kraby za nimi przepadają. No i mam cebulę.

Worek cebuli wisiał na gałęzi drzewa.

– Cebula trzyma się całe miesiące.

Obydwaj spojrzeliśmy na worek cebuli.

– I mięso kangura – ciągnął. – Mnóstwo tego wokół. O, proszę, może pan spróbuje.

Podał mi brunatny wiór wyglądający jak skóra, pod względem kształtu i wielkości do złudzenia podobny do języka starego buta.

– To jest wędzone. Przeze mnie. Trzyma się bardzo długo. W istocie nawet wiele lat.

Znowu się zadumał.

– Kiedyś znalazłem pod skrzynką mięso kangura. Zapomniałem, że je schowałem. Miało dwa lata.

– I co pan z nim zrobił? – zapytałem, żeby go podbechtać.

– Zjadłem.

– Mięso, które leżało przez dwa lata?!

– Wędzone. Było przepyszne. Doskonałe do zupy.

– Gotuje pan zupy?

– Cały czas – powiedział. – Pycha.

– Czy Aborygeni nie mają nic przeciwko temu, że obozuje pan w ich rezerwacie? – zapytałem.

– W ogóle się nie awanturują. Ci w miastach czasem rozrabiają. Ale miejscowe Absy to dobrzy ludzie. Chociaż już odchodzą od tradycji. Przed tygodniem czy dwoma tam, gdzie ma pan łódkę, złapali wielkiego żółwia. Wzięli trochę mięsa, a resztę zostawili dzikim świniom. Dawniej sami wszystko by zjedli.

Trafna obserwacja, tym bardziej że patrzył z punktu widzenia zbieracza resztek, człowieka mającego obsesję na punkcie marnotrawnych zachowań bliźnich.

Powiedziałem, że również biwakuję i że rozglądam się za zacisznym miejscem.

– Sprawdział pan Leprosy Creek (Potok Trądu)?

– Nie, ale nazwa bardzo mi się podoba – rzekłem.

Wytłumaczył mi, jak trafić do ujścia. Popłynąłem tam i na zakolu potoku znalazłem dobre miejsce, bezwietrzne i osłonięte, gdzie rozbiłem namiot i spędziłem noc. Chwilę niepokoju przeżyłem dopiero o świcie, kiedy usłyszałem szuranie, jak gdyby coś dużego przedzierało się przez zarośla. Kiedy hałasy przybliżyły się i zrobiły naprawdę głośne, chwyciłem strzelbę. Wyrzawszy spod poły namiotu, zobaczyłem tylko dwa kroczące dostojnie dzikie indyki – nogale brunatne, piękne ptaszyska o łysych głowach, żółtych koralach i lśniących czarnych piórach.

– Nadają się do jedzenia, wie pan – powiedział zbieracz, kiedy spotkałem go rano na plaży. Sprawdził właśnie więcierz na kraby, pusty.

– Skubie pan takiego i wkłada do garnka razem z cegłą. Wlewa pan wodę i gotuje wszystko, aż cegła zrobi się miękka. Wtedy wywala pan indyka i zjada cegłę.

Nie uśmiechnął się.

– To bardzo zabawne – powiedziałem. – Jak się pan nazywa?

– Może mi pan mówić Tony – odrzekł.

Pomyślałem, że na pewno nie jest to jego prawdziwe imię. Pomimo pozornej życzliwości był bardzo podejrzliwy wobec obcych i od czasu do czasu milkł skonsternowany moim wypytywaniem.

Bardzo się interesował moim ekwipunkiem, porządnym namiotem i kajakiem. Sprawdził szwy i mocowania. Obejrzał uważnie garnki, kuchenkę i bukłak, który kupiłem w Sydney.

– Właśnie czegoś takiego mi potrzeba na rejs tratwą wokół półwyspu Jork – orzekł.

– A skąd bierze pan wodę? – zapytałem.

Na tym spalonym słońcem wybrzeżu nie sposób było znaleźć wody pitnej. Woda z wszelkich źródeł, jakie sprawdzałem, miała słonawy posmak.

– Kiedy wiatr jest słabszy, płynę kanu do Cooktown – powiedział i skrzywił się. – Ale w Cooktown mają podłą wodę. Dodają fluoru.

Nie zdziwiło mnie to, że ten tramp wybrzydzał na miejską wodę. Większość włóczęgów, jakich spotkałem w życiu, święcie wierzyła, że miasto z zasady

jest głęboko nieczyste, a wielu bezdomnych, z którymi się zetknąłem w Londynie – ludzi biwakujących na gruntach publicznych pod Londynem w takich samych właściwie warunkach jak Tony w Queenslandzie – z obrzydzeniem opowiadało o robactwie i brudzie w ośrodkach i noclegowniach organizacji dobroczynnych. Każdy prawdziwy włóczęga, choćby nie wiem jak niechlujny, wierzy, że wie dzie najbardziej higieniczne życie na świecie, a kwestia higieny osobistej jest ulubionym tematem rozmów wśród bezdomnych, zawsze strasznie wybrednych.

– W Cooktown nie przepadają za Aborygenami – stwierdziłem.

– Bo Australijczycy to rasiści, prawda? – orzekł Tony. – Gdyby nie mieli Absów, to psioczyliby na Włochów albo na Jugosłowian. Po prostu potrzebują kogoś, kogo mogą nienawidzić.

Tę świątłą opinię wygłosił bosy i skołtuniony włóczęga w podartych portkach, który mówiąc to, trzymał na rękach psa, a mieszkał pod drzewem w głuszy Queenslandu.

– W niektórych miastach w Australii, takich jak Katherine, które znajduje się na Terytorium Północnym, biali i czarni rzeczywiście bez przerwy się biją. W Cooktown jest na ogół spokojnie. Kupuję tam składniki do robienia piwa. Kiedy położą asfalt na drodze, wszystko się zmieni.

– Wydaje mi się, że dobrze się pan tutaj urządził, Tony.

– Myślę, że tak – powiedział, wyraźnie zadowolony. – Mam wszystko, co niezbędne.

– Widuje pan krokodyle?

– Tylko małe gnojki. Wszędzie są świny, ale mi nie przeszkadzają.

– A moskity?

Miałem moskitierę w namiocie, natomiast Tony spał pod gołym niebem.

– Dokuczają, kiedy wiatr słabnie. Ale wiatr rzadko słabnie.

Zawahał się, co świadczyło o tym, że moje wścibstwo go zaniepokoiło.

– Do zobaczenia później – powiedział, używając zwrotu „catch you later”, który zwłaszcza w Australii znaczy, że rozmowa skończona. Zebrał się w stronę swojego obozowiska.

– Nie robi pan dzisiaj obchodu? – zapytałem jeszcze.

Niósł swoją torbę zbieracza. Miał w niej buty, butelkę z wodą, kapelusz i zawiniątko z jedzeniem. Nigdy nie wyruszał na obchód bez tego lichego pakietu przetrwania, który nadawał mu wygląd zarazem nędzny i budzący pewien szacunek.

Powiedział, że robił obchód, ale zawrócił.

– Trochę zbyt ludno dzisiaj na plaży.

Omiotłem spojrzeniem parę kilometrów wielkiego łuku zatoki i nie dostrzegłem nikogo.

– Widziałem na plaży kogoś innego. Oprócz pana.

Tego już nie zdzierzył. Pomaszerował do obozowiska, a ja wypłynąłem na ryby. Nic nie złapałem, ale łowienie było tylko pretekstem do przyjemnego kołysania się na falach przez całe popołudnie. W pewnej chwili wydało mi się, że jakieś półtora kilometra dalej widzę łowiących Aborygenów, i pomyślałem, że może to ich zobaczył Tony, ale gdy powiosłowałem w tamtą stronę, zniknęli.

O zmierzchu przyrządziłem sobie kolację przy akompaniamencie łopotu skrzydeł gołębi, które wracały na noc na drzewa za plażą. W najwyższych partiach koron hulał wiatr, ale w moim obozowisku panowała cisza. Zanim wpełzłem do namiotu, spostrzegłem wielkiego, co najmniej sześciocentymetrowego brunatnego pająka przyssanego do muchy. Trzepnięciem ręki odrzuciłem go precz („Mamy tu jedne z najbardziej jadowitych pajaków na świecie, stary. Jedno ukąszenie i jesteś pan zimny trup”), a potem zasunąłem zamek wejścia, żeby w spokoju odprawić nocne rytuały: wypić herbatę, porobić notatki, a po zgaszeniu latarki posłuchać audycji radiowych z dalekich krain. Smętne murmurando złych wiadomości mieszało się z rechotem żab z Leprosy Creek.

**W bezwietrznej** aurze nad Leprosy Creek świt był nagły i gorący, a słońce natarło na mój namiot w tej samej chwili, w której wzbiło się ponad mangrowce na dalekim brzegu. Słoneczny blask zamienił powierzchnię potoku w oślepiająco rozjarzony arkusz cynfolii. Pod wpływem tej fali ciepła i blasku w koronach mangrowców nade mną jak na skinienie dyrygenta buchnęła

symfonia treli i pogwizdywań. Te drzewa mają zanurzone w wodzie rozbudowane systemy splecionych korzeni, które utrzymują w miejscu piaszczysty grunt, a nad mrocznymi zastoinami i rozlewiskami pod nimi roi się od moskitów. Obóz rozbiłem w estuarium kształtowanym przez pływy morskie i w apogeum przyływu namiot stał nad samą wodą. Przed opuszczeniem namiotu musiałem obficie spryskiwać się środkiem odstraszającym owady. Mimo to nad Leprosy Creek czułem się o niebo szczęśliwszy niż w którymkolwiek mieście australijskim, a biwakowanie na bulwiastych wydmach wolałem od spektaklu w operze.

Po śniadaniu (znowu makaron, zielona herbata, a do tego queenslandzki banan) wypłynąłem z ujścia potoku i powiosłowałem wzdłuż brzegu zatoki. Długi pas plaży aż do pewnego miejsca był pusty i płynąłem pod bezchmurnym niebem, myśląc sobie, jak to dobrze, że jestem tutaj, i śmiejąc się na wspomnienie o tym, jak Tony zbieracz resztek wychwalał smak mającego dwa lata mięsa kangura i jak zapytany, czy w tej okolicy są krokodyle, odparł, że tylko małe gnojki.

Póллеżący ludzie, których dostrzegłem półtora kilometra dalej, okazali się Aborygenami. Oparci o drewniany bal najwyraźniej na coś czekali, a było ich troje, starszy czarny mężczyzna, dojrzała kobieta i bodaj sześciolatek chłopiec. Dziecko wyczesywało gnidy z włosów kobiety. Kobieta siedziała nieco odwrócona od morza, a chłopiec oddawał się swemu zajęciu z uroczystą powagą, uważnie badając włosy, wodząc po nich placami, wybierając gnidy i wszy, które zgniatał między paznokciami. Stary Aborygen po prostu patrzył w morze.

Nie opuszczając swej oazy cienia na plaży, patrzyli, jak przybijam do brzegu. Wciągnąłem kajak na piasek, przywitałem się i – ot, żeby zagaić rozmowę – zapytałem, czy mogę biwakować w ich rezerwacie.

– Bez obaw, chłopie – powiedział mężczyzna. Mówił z najczystszyim akcentem australijskim, lepszym w istocie niż akcent niemal wszystkich, czy to miejscowych, czy imigrantów, którzy w mojej obecności wyszydzaali lub lżyli Aborygenów.

– Może pan to robić. Ale pańska łódź, nie nazywamy tego pontonem. To nie ponton.



– A jak to nazywacie?

– To jest *wongka*.

Właśnie wtedy pierwszy raz usłyszałem to słowo oznaczające kanu. Uradowało mnie, że usłyszałem je od australijskiego Aborygena. Później słyszałem je – lub rozmaite jego warianty – ustawicznie wszędzie indziej w Oceanii. Słowo to jest jednym z dowodów, że wyspy Pacyfiku zostały zasiedlone przez przybyszy z Azji Południowo-Wschodniej, nie zaś przez migrantów z Ameryki Południowej (jak twierdził Thor Heyerdahl). W *Canoes of Oceania* [Kanu Oceanii]– czyli wydanej w latach trzydziestych XX wieku autorytatywnej trzypięciotomowej monografii na temat szkatuństwa w tej części świata – autorzy bardzo szczegółowo omawiają terminologię odnoszącą się do kanu. W książce tej czytamy: „Słowo *wangka* lub *waka* występuje [...] powszechnie na całym obszarze od Malajów po Polinezję [...] Używają go w Indonezji, na Filipinach, w Mikronezji, Melanezji, Polinezji”.

– Pan mówi miejscowym językiem – rzekłem.

– Rzeczywiście, mówię – przyznał mężczyzna. Nie miał ani jednego zęba.

Ubrany był w dżinsy i koszulę. Miał osiemdziesiąt dwa lata (z tym że wyglądał młodziej), nazywał się Ernie Bowen. Kobieta, ubrana w podartą sukienkę, była jego żoną o imieniu Gladys. Chociaż trzydzieści lat młodsza od męża, też nie miała ani jednego zęba. Chłopiec, Shawn, nosił niebieskie szorty i był ich wnukiem. Nadal pieczołowicie rozczesywał i iskał rozpuszczone włosy babki.

– Jaki to język?

– Guugu yimithirr.

Musiał powtórzyć to pięć razy, zanim dosłyszałem te słowa na tyle wyraźnie, żeby je zapisać. Owo *guugu* brzmiało jak „koko”. Mężczyzna wyjaśnił, że całe wyrażenie znaczy tyle co „nasze słowo” czy „nasz język” i jest zarazem nazwą ludu mieszkającego na północ od rzeki Annan po rzekę Jeannie za Cape Flattery.

Spotkawszy tych troje Aborygenów, poczułem się wybrańcem losu, ponieważ należeli do ludu wyróżnionego przez historię. Właśnie do Guugu Yimithirr odnosił się kapitan Cook, kiedy 16 czerwca 1770 roku na pokładzie

uszkodzonego i nabierającego wody okrętu odnotował zwięźle w dzienniku: „Dzisiaj widziano ludzi na brzegu”.

Kapitan Cook uważał ich za bardzo nieśmiałych. Najpierw z pewną obawą przywodzącą na myśl uczucia przeżywane w podobnej sytuacji przez Robinsona Crusoe zanotował: „zostawili ślady stóp poniżej linii zasięgu przyływu, więc musieli tu być bardzo niedawno”<sup>[11]</sup>. Wkrótce zetknął się z nimi bezpośrednio, ale nie okazali zainteresowania tkaninami, gwoździami ani papierem, które im ofiarował. Natomiast z entuzjazmem przyjęli rybę, którą najwyraźniej uważali za symboliczny dar. Czcili ryby, na ścianach jaskiń malowali ich wizerunki, a byli też wielkimi malarzami innych swoich totemów, a więc żółwi, demonów, nagich ludzi, diugoni.

„Są kształtni, zwawi i zwinni – pisał Cook. – Ubrania nie noszą żadnego”<sup>[12]</sup>.

Doszło do zatargu o żółwie, co popchnęło kilku ludzi Cooka do użycia muszkietów, ale sprawę szybko załagodowano. Krajowcy uczyli przybyszy niektórych słów swojego języka. W szczegółowym dzienniku Cook zanotował pięćdziesiąt słów, dzięki czemu pierwszy język aborygeński przybrał formę pisaną.

– Co to jest? – zapytał jeden z ludzi Cooka, pokazując zwierzę, które upolował rano, podczas gdy kicało przez obozowisko.

– *Gangurru* – powiedział jeden z Aborygenów i z czasem owo słowo z języka guugu yimithirr przyjęło się na całym świecie. Ci Aborygeni wypracowali dość precyzyjne nazewnictwo. Otóż owo trofeum okazane krajowcom przez myśliwego było sporym zwierzęciem o brązowym futrze. Guugu Yimithirr rozróżniali wszakże jedenaście gatunków kangura, od niedużej walabii bagiennej, którą zwali *bibal*, po wielkiego kangura rudego, którego nazywali *galbaala*.

Zajmowali się myślistwem i łowieniem ryb. Mieli broń, wytwarzali dłubane kanu. Zamieszkiwali tamten obszar od tysięcy lat. Nie praktykowali obrzezania ani usuwania zębów. Najbardziej bali się Yigi, złego ducha, który przychodzi nocą. Dlatego rzadko wychodzili po zmroku.

Nie mieli słowa oznaczającego miłość. Dla nich najważniejsza była przyjaźń, najmocniejsza więź na świecie. Małżeństwo uważali za oparte na

przyjaźni, a nie na miłości. Dziwiło to misjonarzy, którzy tłukli krajowców po głowach Biblią i nawrócili wielu na luteranizm. Ale nawet misjonarze nie byli w stanie zmienić języka tych ludzi, którzy zdanie: „Kocham Jezusa”, oddawali jako: „Jezus jest moim najlepszym przyjacielem”.

Guugu Yimithirr wywarli wielkie wrażenie na Cooku. Chociaż niedawno odwiedził Tahiti, wyspę „rozpasanej zmysłowości”, był zdumiony zupełną nagością Aborygenów. „Chodzą całkiem nago – pisał – zarówno mężczyźni, jak i kobiety bez nijakiego przyodziewku i nawet niewiasty nie czynią nic, żeby zasłonić choćby przyrodzenie”. Joseph Banks, botanik uczestniczący w rejsie Endeavoura, spekulował, że miłujący pokój, dobrze odżywieni, wędrowni i nadzy Aborygeni przypominają ludzi sprzed grzechu pierworodnego. „W taki to sposób – pisał – żyją ci, chciałoby się powiedzieć, szczęśliwi ludzie, którym wystarcza tak mało, że prawie nic”.

Po naprawieniu okrętu, co wymagało półtora miesiąca prac skutniczych na brzegu rzeki, kapitan Cook, obserwowany przez Guugu Yimithirr, postawił żagle, wyruszył w morze i na kartach dziennika rozważał szerzej ostatnie wydarzenia.

„Na podstawie tego, co powiedziałem o mieszkańcach Nowej Holandii – pisał – niektórzy mogą dojść do wniosku, że to najbardziej nieszczęśliwi ludzie na ziemi. W rzeczywistości jednak są o wiele szczęśliwsi od nas, Europejczyków, ponieważ są całkowicie nieświadomi nie tylko zbędnych, lecz również niezbędnych wygód, których tak usilnie szuka się w Europie. Są szczęśliwi, nie znając użytku tych rzeczy. Żyją w spokoju. Ziemia i morze same z siebie ofiarują im wszystko, co konieczne do życia”.

Minęło sto lat. Na ziemi Aborygenów odkryto złoto. Wyrzynano ich za to, że są ludożercami. Odpowiadali przemocą na przemoc, ale gdy przerzedzono ich szeregi, rozproszyli się. Zakładano, że są skazani na wymarcie. Umknęli na północny brzeg rzeki, na to wybrzeże, gdzie potem biwakowałem, w „bagnistą i skalistą krainę, której żaden biały nie chce”.

Któregoś dnia w latach osiemdziesiątych XIX wieku w Górnym Palatynacie w Bawarii pewien luteranowski pastor czytał niemieckie wydanie *Podróży kapitana Cooka*. Natrafił na opis Guugu Yimithirr („kształtni [...] Ubrania nie noszą żadnego”). Pastor ten, Johann Flierl<sup>[13]</sup> – którego nazwisko

i posłannictwo poznał w końcu każdy Aborygen na tamtym obszarze – poczuł się powołany przez Boga do poszukiwania „pogan absolutnie nieświadomych prawdy”. Los Guugu Yimithirr został przypieczętowany i oznaczało to *wahalumbaal* (zagładę) ich tradycji i zwyczajów.

Misjonarze założyli misję na skalistym wybrzeżu Cape Bedford i gorliwie podjęli dzieło nawracania niewinnych krajowców. Na guugu yimithirr przetłumaczono pięćdziesiąt jeden hymnów i *Katechizm* Lutra, a pastor nazwiskiem Poland zaczął przekład Nowego Testamentu, ale zanim doszedł do Ewangelii według Świętego Łukasza, w 1907 roku uderzył potężny cyklon, który zrównał misję z ziemią i rozrzucił stronice przekładu.

Guugu Yimithirr modlili się. Nic to nie dało. Później, w latach trzydziestych XX wieku w Chinach wystąpił wielki niedostatek strzykw – zwanych ogórkami morskimi lub *bêches-de-mer* – i muszli skrępów, dzięki czemu Aborygeni mieli coś do zaoferowania szerszemu światu. Guugu Yimithirr na wybrzeżu Cape Bedford odżyli i na swój sposób dobrze prosperowali.

Po wybuchu II wojny światowej zaczęły się naloty Japończyków, Aborygenów ewakuowano, a misjonarzy niemieckich internowano jako potencjalnych szpiegów hitlerowskich.

Ernie Bowen powiedział, że w 1942 roku jego też wywieziono do Rockhampton. Urodził się na Cape Bedford w 1907, a więc w roku wielkiego cyklonu, a w dzieciństwie i młodości zajmował się łowieniem ryb i nurkowaniem. Zarabiał przede wszystkim na muszlach skrępów, z których w czasach, gdy przemysł tworzyw sztucznych nie był jeszcze rozwinięty, wyrabiano guziki do eleganckiej odzieży.

Poprosiłem Erniego, żeby opowiedział o ewakuacji, która wykorzeniła prawie sześciuset Aborygenów.

– Luteranizm to niemiecka religia, rozumiesz – zaczął Ernie. – No i trwała wojna, chłopie. Twoi też tu byli. Jankesi. Roilo się od nich. Myśleli, że możemy szpiegować dla Niemców, bo mieliśmy prawdziwych niemieckich misjonarzy.

– Jak wyglądała podróż do Rockhampton?

Oznaczało to pokonanie około tysiąca pięciuset kilometrów przez ludzi, którzy nigdy przedtem nie opuszczali tradycyjnego siedliska.

– Strasznie, chłopie. Cały dzień i cała noc na statku. Bez jedzenia. Ludzie płakali, bo nie wiedzieli, dokąd jadą.

Zamilkł i spojrzał w morze. Miał zmętniałe oczy starego człowieka.

– Po wojnie wróciliśmy tutaj, nie do Cape Bedford, lecz do misji Hopevale.

– Gdzie to jest?

– O, tu zaraz w głębi.

Wyjaśnił, że ta spuścizna Johanna Flierla ma postać osiedla Aborygenów złożonego z jakichś stu domów na końcu gruntowej drogi w rezerwacie.

– Czy mogę odwiedzić to miejsce?

– Proszę bardzo, chłopie – powiedział i obrzucił mnie badawczym spojrzeniem. – Gdzie twoje graty?

– Graty mam za tym cyplem – odparłem, wskazując kierunek. – Czy ma pan tutaj ziemię?

– Nie mam nic prócz tego ubrania i wozu. Jak biały człowiek chciał wziąć kawał rezerwatu, to brał, tak jak to zrobił w Cape Flattery.

– Ale dostajecie pieniądze od Japończyków, którzy prowadzą tam kopalnię, prawda?

– Tak.

– Płacą wystarczająco dużo?

– Tak.

Gładys łypnęła przez poruszające się żwawo ręce wnuka, który straszliwie spletał jej włosy i teraz starał się je uładzić.

– Rząd jest po naszej stronie – powiedziała. – Przedtem biali ludzie byli o wiele gorsi.

– W jaki sposób?

– Byli bardzo brutalni.

Ernie spojrzał na południe i rzekł:

– W Cooktown wszystko to chuligani. Niektórzy z naszych młodych za dużo piją.

Powiedziałem, że widziałem chatę na zboczu Mount Saunders.

– Musi jakiego rybaka – orzekł Ernie.

– Nazywacie to chatą?

- Nie. Nazywamy to *bayan*.
  - Widuje się tu dużo krokodyli, panie Bowen?
  - Jest ich mnóstwo w Leper Creek.
  - Właśnie tam mam graty – powiedziałem. – Mówiono mi, że tutejsze krokodyle to małe gnojki.
  - Są i duże gnoje.
  - Ta rzeka to Leper Creek (Potok Trędowatego) czy Leprosy Creek (Potok Trądu)?
  - Leper Creek, bo dawno temu byli tam trędowaci, chorzy na trąd.
  - Obawia się pan krokodyli?
  - Słonowodnych, które nazywamy *kanarrh* i które rosną bardzo wielkie. Zabrały paru ludzi, zwykle zabierają kobiety. Nie wiem czemu, chłopie. Może dlatego, że są słabe.
  - A może dlatego, że to kobiety piorą w rzece – podsunąłem.
  - Może – zgodził się. – Kiedy kąpie się kilka osób, krokodyl nie weźmie nikogo, ale gdy ludzie wychodzą z wody, złapie ostatniego.
  - Co by pan zrobił, gdyby w czasie kąpieli zobaczył pan krokodyla, panie Bowen?
  - Gdybym zobaczył krokodyla, tobym się nie kąpał, ot co.
  - Siadaj pan z nami – powiedziała Gladys. – Siadaj pan tutaj – dodała i klepnęła koniec wielkiej kłody.
- Usiadłem z nimi.
- Czy wśród swoich rozmawiacie po angielsku? – zapytałem.
  - Nie – odparł Ernie. – Rozmawiamy w *guugu yimithirr*, chłopie.
  - To dobrze.
  - Tak. Dobrze jest mieć język. Słuchaj pan. Mogę powiedzieć – tu wymamrotał szybko kilka słów, które zabrzmiały niczym stłumiony grom, coś jak *worrojool gangaral* – a ty byś nie wiedział.
- Kiedy mamrotał te słowa, Gladys szarpnęła głową, zabierając ją z rąk wnuka, skrzywiła się, zaciskając powieki, a potem odwróciła wzrok.
- Czego bym nie wiedział?
  - Powiedziałem: „Zabij tego białego” – rzekł Ernie, wyraźnie z siebie zadowolony – a ty nie wiedziałeś, co powiedziałem, no nie?

W jego oczach igrały iskierki rozbawienia.

– Dobrze jest mieć język – powtórzył.

Gladys nadal miała zboląłą minę.

– A w jakim języku mówią amerykańscy czarni?

– Po angielsku.

– Nie mają swojego języka?

– Nie.

– Co za szkoda. Bezwzględnie powinni mieć swój język. Po jakiemu mówi się w Ameryce?

– Głównie po angielsku.

Wydawał się odrobinę skonsternowany.

– W Niemczech biali mówią po niemiecku.

– Jest pan luteraninem, panie Bowen? – zapytałem.

– Tak, chłopie.

– Nadal pan nurkuje?

– E, nie, rzuciłem to lata temu.

– Zabijał pan żółwie i diugonie?

– Wiele razy.

– Jak pan zabija diugonia?

– Przebijam harpunem, odwracam i trzymam przy łodzi, aż się utopi. Olej pomaga na świądy i bóle. No i mięso dobre.

Później ustaliłem, że Guugu Yimithirr należą do ostatnich grup etnicznych Australijczyków, które nadal mają prawo polowania na zagrożone wymarciem krowy morskie, czyli diugonie, a także na tak samo zagrożone żółwie zielone.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę. Zapytałem, jak trafić do osady Hopevale. Czułem, że śmiało będę mógł tam iść, mając znajomych wśród mieszkańców. Ernie i Gladys zapewniali, że mogą ich odwiedzić, kiedy tylko zechcą.

– Wpadnę za jakiś czas – obiecałem.

– To dobrze, chłopie.

– Teraz muszę już wracać do swoich gratów – powiedziałem.

Ale Ernie już mnie nie słuchał. Patrzył w stronę cypla, gdzie rosła samotna palma.

– Palma – rzekł zamyślony. – Nigdy przedtem jej nie widziałem.

**Nazajutrz** spotkałem jeszcze jednego zbieracza. Przywitał się, ale zaraz przemyślał sprawę i dał nura pomiędzy drzewa. Działał kolejne dwa kilometry dalej na północ. Później dowiedziałem się, że miał żaglówkę schowaną w jednej z przypływowych zatoczek. Ci ludzie, zbieracze i Aborygeni, żyli o kilometry od siebie nawzajem, ale i tak uważali, że są zbyt blisko. W każdym razie tak sądził Tony. Widywałem go przez kilka następnych dni i miałem wrażenie, że strasznie zazdrości mi sprzętu, który nadał by mu się na rejs wokół półwyspu Jork.

Zapraszałem go do mojego obozu. Chciałem dowiedzieć się więcej o koczownictwie i zbieractwie. Zaczynałem sądzić, że prowadzone przez niego życie jest luksusem, którego nie da się kupić, bo polega nie tyle na wygodzie, ile na prywatności. Byłem ciekaw harmonogramu jego zajęć, ciekaw jego planów, dni absolutnego próżniactwa, ciekaw widomego pochłonięcia sobą, a i tego, jakie ma przyjemności.

Miał w sobie coś głęboko godnego szacunku i zdyscyplinowanego. Miał tę swoją torbę na ramię, a w niej rzeczy niezbędne – buty, kapelusz, jedzenie, wodę. Zawsze w spodniach i w koszuli, chociaż brakowało u niej guzików, a spodnie były rozdarte w kilku miejscach. Nigdy nie ruszał się bez psa, małego kundla obdarzonego gardłowym groźnym głosem.

Któregoś dnia zapytałem go, czy pies ma imię.

– Nie – odparł Tony. – Cóż, jest taki mały – dodał, jak gdyby z tego powodu piesek nie zasługiwał na imię. – Czasem wołam: „Dawaj, dawaj”, żeby się pośpieszył. Może to powinno być jego imię.

Pies kochał go, domagał się, żeby brał go na ręce i tulił. Interesowało mnie zwłaszcza to, jak Tony jest w stanie przetrwać w tych trudnych warunkach, tym bardziej że musi też karmić psa, ale gdy pytałem o to, po prostu wzruszał ramionami.

Zwyczajnie Tony'ego, jego opinie, a i tryb życia wzbudzały we mnie szacunek. Nie znosił bliskości innych ludzi, a na podstawie jego reakcji na moje pytania wiedziałem, że próby ustalenia, gdzie mieszkał i czym się



zajmował, strasznie go drażnił. Był całkowicie samowystarczalny, pogardliwy wobec świata i samolubny. To, że wiódł życie koczownika i zbieracza, nie znaczyło, że jest wyrzutkiem. Miał swoje miejsce na ziemi, a mianowicie to, w którym akurat się znajdował. Mimo wszystko zbieractwo było jego fachem, potrzebował bowiem butelek na swoje piwo, pływaków i starych lin do budowy tratwy, drewna do pieca. Poza tym zajmował się zbieraniem ostryg, łowieniem ryb i krabów. Często był bardzo zajęty, pochłonięty walką o przetrwanie – co osiągał w ogóle bez pieniędzy – ale miał też mnóstwo wolnego czasu.

– Wczoraj wieczorem słuchałem radia i wypłem osiem albo i dwanaście piw – powiedział któregoś ranka. – Zasnęłam. Obudziłam się z lekkim kacem. Potem zastawiłam więcierz na kraby. Teraz idę na obchód.

Tak wyglądało jego życie na upalnym i wietrznym wybrzeżu w okolicach Cape Bedford, i zdumiewało mnie ono, albowiem łączyło najsurowszą dyscyplinę z absolutnym lekceważeniem czasu.

Chwilami poważnie zastanawiałem się, czy aby nie jestem taki jak on.

Wieczorem w przeddzień opuszczenia obozowiska zapytałem go, czy kiedykolwiek wrócił do Londynu.

– O, tak, raz pojechałem – odparł. – Jakieś dziesięć lat temu. Nie miałem ani pensa, więc zatrudniłem się na pocztę, głównej, w West One – uśmiechnął się. – Sami Hindusi i Jamajczycy. Czarni z Indii Zachodnich po prawej, Hindusi z Indii po lewej. Nie byłem w stanie zrozumieć ani słowa z tego, co mówili, a trajkotali bez przerwy. „Co to się porobiło z tym krajem?“, pytałem sam siebie w duchu.

Miał pięćdziesiąt parę lat, był niski i raczej szczupły, spalony przez słońce, które nieodmiennie świeciło na bezchmurnym niebie.

– Dlatego nie było sensu tam zostawać.

Przywiązywałem kajak do korzeni mangrowców, żeby nie zabrał go przypływ.

– A nawet nie jestem rasistą – rzekł, jak gdyby z żalem.

Planowałem dotrzeć do misji Aborygenów, chciałem mieć możliwie lekki bagaż, więc podarowałem mu nadmiar prowiantu i zapasowy bukłak o pojemności dziesięciu litrów.

- Przyda mi się na tratwie – ucieszył się – kiedy wyruszę na północ.
- Życzę panu szczęścia.
- Wszystko mi jedno – rzekł, a potem od niechcienia rzucił zdanie, które uznałem za zwięzły wyraz jego filozofii. – Według mnie człowiek może zrobić prawie wszystko i dotrzeć niemal wszędzie, jeżeli tylko się nie śpieszy.

**Tyle razy** ostrzegano mnie przed krokodylami, że w końcu pomyślałem, że muszę zobaczyć choćby jednego. Przeczytałem wydaną przez Queensland National Parks and Wildlife Service broszurę *Living with Wildlife: Crocodiles* [Życie wśród dzikich zwierząt: krokodyle], gdzie znalazłem garść rozsądnych, jak się wydaje, rad. „Unikajcie ciemnej wody [...] Płynąc łodzią, nie trzymajcie rąk ani nóg w wodzie [...] Biwakujcie co najmniej pięćdziesiąt metrów od skraju wody [bardzo niedogodne, więc ryzykowałem] [...] Nie zostawiajcie resztek jedzenia wokół obozowiska [...] Zachowajcie ostrożność w okresie rozrodczym krokodyli, od października do kwietnia [...] Pod żadnym pozorem nie dokarmiajcie krokodyli [...] Nie zbliżajcie się do nich, zdarza się, że krokodyl atakuje łódź lub kajak [...] Wystrzegajcie się zwłaszcza dużych osobników unoszących się na wodzie lub z wystawionym z wody wygiętym w łuk ogonem. Nieraz świadczy to o tym, że zwierzę może być agresywne”.

Jeżeli nawiedzały mnie koszmary, to oparte na tym ostatnim ostrzeżeniu. Widziałem wielkiego unoszącego się na wodzie krokodyla, który wystawiał wygięty w łuk ogon i szarżował na mnie niczym olbrzymi skorpion.

Powiosłowałem w górę Leprosy Creek, gdzie rzeka robiła się wąska, i jakieś dwa kilometry od ujścia zauważyłem dwa małe krokodyle wygrzewające się na mieliźnie. Tylko wyłupiaste oczy i nozdrza wystawały nad powierzchnię. Kto wie, czy matka tych gnojków nie wpadnie w szal i nie zaatakuje mnie!

Czujnie rozejrzałem się wokół, ale oczywiście niczego nie dostrzegłem.

– Nie zobaczysz pan krokodyla, który pana zeżre – klarował mi pewien facet w Cooktown. Brzmiało to wiarygodnie.

– Nie usłyszysz go pan. Nie będziesz pan wiedział, co pana walnęło. Nic pan nie będziesz widział. Po prostu ich nie ma. A w sekundę później tkwisz pan w jego paszczy. Tak niewiarygodnie są szybkie. No i oczywiście nie zeżrą pana. Wciągną pod wodę i przytrzymają, aż się pan utopisz. Potem zagrzebią pana trupa w mule, a kiedy pan zgnijesz i ciało zacznie odłazić od kości, zeżrą pana.

Powiosłowałem z powrotem do ujścia rzeki, a stamtąd do Cape Bedford. W każdym razie gdyby teraz ktoś zapytał mnie, czy widziałem krokodyle, z czystym sumieniem mógłbym niedbale rzec:

– O, tak, kilka.

**Misja** Hopevale leży kilka kilometrów od brzegu morza. Początkowo maszerowałem szlakami świń i jaszczurek, doszedłem do ścieżki, a wkrótce do drogi. Zabrał mnie mężczyzna jadący niemal nowym samochodem z napędem na cztery koła. Najwyraźniej takie wozy miało wielu Aborygenów z Hopevale.

Facet był gruby i wesoły, nazywał się Paul Gibson.

– Dobry, dokąd to? – zawołał.

Miał karnację barwy kawy, kędzierzawe włosy, nosił przystrzyżoną bródkę. Ekstrawersyjny jak żaden ze spotkanych przedtem przeze mnie Aborygenów. Zapytałem go, czym się zajmuje.

– Jestem dyskdzokejem.

– W rezerwacie jest rozgłośnia radiowa?

– Wszyscy jej słuchają.

– Jaką muzykę najbardziej lubią pana słuchacze?

– Country. Aborygeni uwielbiają country.

– Willie Nelson? Dolly Parton? Loretta Lynn? Takie rzeczy?

– Nie inaczej, stary.

Przez całą drogę do osady gadaliśmy więc o country.

Nikt nie wiedział, ilu dokładnie Aborygenów tam mieszka. Jedni mówili, że sześciuset, inni, że siedmiuset. Mieszkali w bardzo różnych domach, poczynając od *gunyah*, czyli zwykłych szałasów, po duże bungalowy

o ceglanych fasadach, okolone płotem, obsadzone drzewami zadbane domy z ogródkiem warzywnym. Płot był ostatnią rzeczą, jaką spodziewałem się zobaczyć w rezerwacie Aborygenów. Ale trafiłem przecież do aborygeńskich luteranów.

Rozciągnięte na spieczonym słońcem, wyschniętej równinie szerokie ulice i niska zabudowa Hopevale sprawiały wrażenie obozowiska przekształcającego się w miasteczko. Siedlisko to rządziło się logiką miasta fabrycznego, sklepy przy głównej ulicy nie powstawały samorzutnie, lecz zgodnie z zamysłem projektanta. Sklep, poczta, dom kultury, stacja benzynowa tkwiły tam, gdzie zostały ustawione. Niektórzy Aborygeni pracowali na ulicach, inni tylko podpierali się łopata. Niemniej praca powoli szła naprzód i od razu spostrzegłem, że krawężniki, rynsztoki i drogi są w lepszym stanie niż w Cooktown.

Przystanąłem przy domu kultury. Spędziłem już wystarczająco wiele czasu wśród Aborygenów, żeby wiedzieć, że towarzyszy im cisza i spokój. Nie krzyczą, gawędzą półgłosem, o ile w ogóle to robią, chodzą wyprostowani, sprężystym krokiem, bezgłośnie stawiając na ziemi wielkie płaskie stopy. Kiedy ich pozdrawiałem, odpowiadali milczącym skinieniem głowy.

Jedno z ogłoszeń na tablicy wielkimi literami oznajmiało: „Sprzedam psy do świń. Kontakt: Steve Lee”. Psy do świń są to ostre psy używane do polowania na dzikie świnię.

Na innej kartce pisano: „Właściciele koni wałęsających się wokół domu kultury uprasza się o zabranie ich w tym tygodniu i umieszczenie w zagrodach. W przeciwnym razie wasze konie zostaną wywiezione i sprzedane”.

Jedno z ogłoszeń dotyczyło cotygodniowych zasiłków: „Ci, którzy nie odebrali pieniędzy, nie dostaną czeków do dnia wypłaty w przyszłym tygodniu”. Należności z tytułu odszkodowań wypłacanych Aborygenom przez kompanię górniczą nazywano eufemistycznie „wypłatami”, a owo ogłoszenie świadczyło o tym, że niektórym nie chciało się przyjść po pieniądze w wyznaczonym dniu.

„Kto chce zastrzelić swoje psy – czytałem w innym ogłoszeniu – niech zwróci się do Goombry Jacko”.

W społeczności Hopevale najbardziej popularne było sześć nazwisk: Flinders, Gibson, Deemal, Woibo, Cobus i Bowen. Roilo się od Bowenów, ale nie udawało mi się znaleźć Erniego ani Gladys.

– Pewnie są na rybach – powiedział Lynton Woibo.

Rozmawialiśmy w sklepie spożywczym prowadzonym przez misję i lepiej zaopatrzonym niż którykolwiek spożywczy w Cooktown. Brakowało tylko alkoholu, bo w rezerwacie obowiązywała prohibicja. Jeżeli Aborygeni jeździli do Cooktown, to przede wszystkim po alkohol. Zdumiałem się ilością drogiego i wymyślnego jedzenia w tym sklepie dla Aborygenów. Mieli pasztety z gęsiich wątróbek, torty z czarnymi owocami z cukierni Sary Lee, mrożone placki lotaryńskie, chińskie warzywa firmy Birds Eye, mrożone pizze Papa Giuseppe's. Ponadto – w rezerwacie mającym system irygacyjny i nadające się do uprawy ziemie – konserwowe warzywa. Usilnie próbowałem wyobrazić sobie posługujących się dzidą, wprawnie topiących diugonie Aborygenów, jakich widziałem w skrubie, którzy wróciwszy z polowania z pustymi rękoma, wrzucają do mikrofalówki pizzę Papa Giuseppe's.

Kuchenki mikrofalowe sprzedawano w sklepie gospodarczym, gdzie mieli też tostery, odtwarzacze wideo, odbiorniki radiowe i siekiery. Sklep mięsny był dobrze zaopatrzony i również drogi, antrykot bez kości kosztował dwanaście dolarów za funt.

Jak opowiadał Ernie Bowen, osadę Hopevale założono po wojnie, kiedy Aborygeni wrócili z Rockhampton. Historię uwieczniono na tablicy na Pioneer Hall, a była to krótka historia, zaledwie trzy linijki na temat początków w 1949 roku, a do tego dedykacja: „Pamięci naszych pionierów”, pod którą wypisano szereg swojskich nazwisk.

Spółeczność Hopevale nie była jednolita pod względem barwy skóry, kształtu twarzy ani typu rasowego. Jeżeli chodzi o barwę skóry, widziałem całą paletę od najgłębszej, najbardziej purpurowej czerni po zwykłą, lekko różową biel.

Barry Liddie był o wiele bledszy i bardziej cywilizowany niż większość białych Australijczyków, których poznałem gdzie indziej, a mimo to miał kilkoro aborygeńskich dziadków. Mieszkał w niskim, pełnym zakamarków

i zagraconym domu na skraju osady, w którego ogródku i na werandzie walały się stare i pordzewiałe sprzęty. Siedział na ganku. Przez nieuwagę zatrzasnął drzwi. Zamiast poszukać żony, po prostu usiadł i czekał. Kiedy żona wróci do domu, otworzy drzwi.

Przysadzisty, o rudawych włosach, przystojny na swój zwalisty sposób. Pochodził z upalnego miasta Coen na dalekiej północy kraju, w najgłębszej dziczy. Poślubiwszy Lynette Deemal, która urodziła się w misji, sprowadził się tam. Łowił ryby. Żona pracowała w miejscowym urzędzie. Oprócz domu mieli łódź i dwa duże samochody z napędem na cztery koła.

Czekając, aż zjawi się żona z kluczem, Barry umiłał sobie czas za pomocą kilku piw. Chciał mnie poczęstować, ale odmówiłem. Za wcześnie na picie, dopiero jedenasta przed południem.

– Nigdy nie jest za wcześnie – stwierdził Barry, ale pociągał ukradkiem, osłaniając butelkę ręką. W końcu obowiązywał zakaz sprzedaży i spożywania alkoholu.

Kiedy przyszła Lynette i otworzyła dom, Barry zniknął, a Lynette opowiedziała mi o ich dwudziestotrzyletniej córce, która miała na imię Sacheen, co matka wymówiła jako „Sza-hiin”. Zapytałem czy to imię w guugu yimithirr.

– Nie. Nie pamięta pan tej Indianki, która wystąpiła w imieniu Marlona Brando na rozdaniu Oscarów? Miała na imię Sacheen. To imię utkwiiło mi w pamięci. Kiedy urodziła się nam córka, poczułam, że właśnie tak chcę jej dać na imię.

– Czy córka uczy się tutaj? – zapytałem.

– Nie. W Cairns. Uważam, że tam ma większe szanse niż w rezerwacie – oświadczyła Lynette. Była elokwentna i zrównoważona. Nie dało się poznać, w jakiej mierze jest Aborygenką. Rysy twarzy i cera kojarzyły się z Tamilami z południa Indii. – Sacheen bardzo przykłada się do nauki. Będzie fryzjerką albo zajmie się biznesem.

– Czy chciałaby pani, żeby córka włączyła się w życie rezerwatu?

– Nie chcę jej nic narzucać. Niech robi to, co chce. Chciałabym, żeby stanęła na własnych nogach.

Spodobało mi się to, bo tu w rezerwacie wszyscy Aborygeni mieli przecież status posiadaczy ziemskich i dostawali pieniądze za nic, nikt nie musiał pracować. Wspomniałem jeszcze, że Hopevale wydaje mi się bardzo spokojne i ciche.

– O, nie zawsze – rzekła Lynette – w piątek, kiedy są wypłaty, robi się naprawdę głośno. Wychodzą wszyscy pijacy.

Powiedziałem, że muszę już wracać na wybrzeże, gdzie zostawiłem łódkę. Barry pomógł mi znaleźć kogoś, kto mnie podwiezie, a na pożegnanie uścisnąłem mu rękę. Podał mi dłoń, nie odwzajemniając uścisku. Był to najdziwniejszy uścisk dłoni, jakiego kiedykolwiek doświadczyłem, jeszcze dziwniejszy niż podanie ręki najbardziej zimnemu i stroniącemu od tej formy pożegnania Anglikowi.

Wspomniałem pewnemu Australijczykowi, że bardzo się zdziwiłem, iż Barry podawał się za Aborygena. Był przecież taki biały.

– Jak można poznać, czy naprawdę jest Aborygenem?

– A wymieniliście uścisk dłoni?

– Tak.

– Czy jego ręka była drętwa jak śnięta ryba?

– Tak.

– No to ma pan dowód. Oni nie ściskają ręki.

Tę rozmowę odbyłem już w Cooktown. Od tygodnia nie goliłem się ani nie myłem w ciepłej wodzie, więc na próbę wstąpiłem do baru dla bydła, żeby sprawdzić, czy się nadam. Tydzień życia trampa zrobił swoje, nikt mi się nie przyglądał.

– Spokój dzisiaj – zagailem siedzącego obok młodego mężczyznę.

Nie był tak zapuszczony jak ja, ale bosy.

– Poczekaj pan do dnia wypłaty – powiedział. – Wszystkie Absy się tu zameldują. Kochają wodę ognistą. Kasują forsy i idą w tango.

– Jest niebezpiecznie?

– E, nie są zbyt gwałtowni – odparł. – Żadnych noży. Nic z tych rzeczy. Czasem robią tulipana z flaszki. Taa, niektórzy młodszy futboliści są twardzi, ale większość Absów po prostu pije i robi zwalę pod stół.

No i zaczął zwykłą śpiewkę, o pomocy władz, opłatach za prawa do eksploatacji górniczej, forsie za friko, prawach własności ziemi, kredytach na dwa procent.

– A ja co mam?

Pomyślałem, że wcale nie mało, skoro mieszka w miejscu o cudownym klimacie, ma zasiłek i może przez całą noc siedzieć na tyłku, popijać piwo i gawędzić ze śliczną barmanką, najwyraźniej wolny od trosk. Ale wolałem milczeć.

– Słyszałeś o tym gościu z Melbourne – rzekł z jakąś zajadłą zapalczywością – który próbuje dowieść, że wcale nie Absy byli pierwsi w Australii?

– Nie, nigdy o nikim takim nie słyszałem – odparłem. – Ale jeśli nie Aborygeni, to kto był pierwszy?

– No właśnie! Według tego gościa pierwsi byli Żydzi.

– Żydzi byli tu pierwsi?

– Właśnie – powiedział tryumfalnie. – I jeżeli tego dowiedzie, to Absom skończy się rajskie życie.

– Ale wtedy to Żydzi będą zgarniać forsę za prawa górnicze, pilnować świętych miejsc, brać kredyty na dwa procent.

Mina mu zrzędnęła. Pociągnął łyżeczek piwa. Pojął, do czego zmierzam.

– Taa. To już chyba wolę parszywych Absów.

Liczył na wydziedziczenie Aborygenów, ale ten wniosek wprowadził go w smętną zadumę. Już przedtem spojrzenie miał szkliste, ale zrobiło się jeszcze bardziej szklane. Po chwili, uzmysłowiwszy sobie, że ani nie wstaje, ani nic nie mówię, odezwał się cienkim głosem.

– Widziałem cię już kiedyś w mieście?

– Chyba nie. Biwakuję na wybrzeżu, w okolicy Cape Bedford.

– U, tam się roi od Absów. I cholernych krokodyli.

Uśmiechnąłem się promiennie, co miało znaczyć: „To oczywiste”.

– Widziałeś krokodyle? – zapytał, przybliżając zarośniętą twarz do mojej zarośniętej twarzy.

– O, tak, kilka – rzuciłem niedbale. – Jak to je nazywacie, słonowodne?

– Kilka! Niech cię kule biją!



**Część druga**

**Melanezja**

## rozdział\_szósty\_

### W siódmym niebie na spokojnych Trobriandach

**Przebywając** pośród Aborygenów i trampów w okolicach Cape Bedford, miałem bliżej na porośnięte mangrowcami wybrzeże Papui-Nowej Gwinei niż do Brisbane lub któregośkolwiek innego dużego miasta australijskiego. A skoro pragnąłem zobaczyć Wyspy Miłości, które tak barwnie i szczegółowo w *Życiu seksualnym dzikich* opisał Malinowski, to czy nie powinienem po prostu wsiąść w kajak i powiosłować tam?

Jeśli spojrzeć na mapę Cieśniny Torresa oddzielającej Australię od Nowej Gwinei, człowiekowi wydaje się, że taka przeprawa to bułka z masłem. Biwakując po drodze, powiosłowałbym do przylądka Jork i stamtąd ruszył przez cieśninę, którą pokonałbym, płynąc od wyspy do wyspy, a żaden z etapów nie przekraczałby trzydziestu kilometrów, czyli dystansu możliwego do pokonania w jeden dzień. Najpierw na wyspę Thursday, stamtąd na Moa, a potem od jednej skalistej wysepki do drugiej w kierunku Daru, wyspy blisko ujścia Fly, dalej przez estuarium tej rzeki na wybrzeże i wzdłuż niego przez małe przystanie i muliste zatoczki do Port Moresby. Ów rejs potrwałby kilka tygodni. Jak rzekł pewien doświadczony tramp, człowiek może dotrzeć wszędzie, jeżeli tylko się nie śpieszy. Zostawało jedynie obmyślić, jak stamtąd dostanę się na Trobriandy.

Mapy, zwłaszcza pogładowe, potrafią malować nadzwyczaj przyjemne obrazy wszelkiego rodzaju miejsc. Mapy Cieśniny Torresa nie są w stanie ukazać potężnych prądów nurtujących pomiędzy wyspami, silnych wiatrów, niezliczonych raf, braku źródeł wody pitnej ani tego, jak niewiele schronień ma śmiałek w razie niebezpieczeństwa. Nie są w stanie ukazać upiornego, porośniętego mangrowcami i rojącego się od moskitów wybrzeża po drugiej stronie ani krokodyli w wielkiej bagnistej delcie rzeki Fly. Nie zasięgałem języka u mieszczuchów. Pytałem starych czarnych wyspiarzy z Thursday,

rybaków i przewoźników z Cooktown, którzy regularnie pływali w Cieśninie Torresa. Nie opowiadali niestworzonych historii, żeby mnie wystraszyć, opowiadali o tym, co widzieli. Nie próbowali mnie zniechęcać, radzili tylko, żebym nie wyruszał samotnie, i oceniali, że ta wyprawa zajmie mi od miesiąca do półtora. No i pod żadnym pozorem nie wolno mi będzie zostać na noc pośród dzikich i zdesperowanych (jak mówili moi informatorzy) mieszkańców bagien w niegościnnych wioskach na palach w delcie rzeki Fly.

Spakowałem kajak i do Papui-Nowej Gwinei poleciałem samolotem z Cairns. Po nieco ponad godzinie lotu wylądowałem w stołecznym Port Moresby, jednym z najniebezpieczniejszych i najbardziej niebezpiecznych miast na świecie. Brudne i sypiące się miasto zostało gruntownie zdewastowane, zanim na dobre powstało, więc wyglądało jak bezkresny plac budowy pośród kilku ohydnych wzgórz, na których przycupnęły slumsy i nędzne parterowe domy. Roilo się od obszarpanych brodatych czarnych, nowogwinejskich górali o twarzach niemal bez wyjątku zadziwiająco podobnych do oblicza wybitnego pianisty jazzowego Theloniousa Monka.

– *Wonem dispela?* (Co to?) – zapytała na lotnisku nowogwinejska celniczka, rozczochrana kobieta w brudnej sukience. Zaczęła szczytać moje brezentowe worki.

Tak się składa, że właśnie wtedy pierwszy raz usłyszałem nowogwinejski pidżyn, czyli tok pisin. „Nowomelanezyjski”, jak nazywają go językoznawcy, to jeden z cudów zachodniego Pacyfiku, a „wielu komentatorów myli się, uważając tok pisin za ubogi język dziecienny”. „To kompletne nieporozumienie [...] tok pisin jest zarówno złożony, jak i precyzyjny”. W każdym razie taką opinię (*ting*) wyraził wybitny (*gat nem*) uczonec (*tisa*), który poświęcił temu językowi (*tok*) wiele refleksji (*tumas tingtingk*), jak czytamy w *Buk Bilong Tok Pisin* [Podręcznik do tok pisin] pióra kapitana J. J. Murphy’ego.

Później, mówiąc w tym języku – wyliczając, na przykład, dni tygodnia – miałem wrażenie, że ów tok pisin przenosi mnie na stronicę *Finnegans Wake*, gdzie tydzień Joyce’a składa się z *moanday*, *tearsday*, *waitsdays*, *thumpsday*, *frightday* i *shatterday*<sup>[14]</sup>. W tok pisin nazwy tych dni brzmią następująco: *mande*, *tunde*, *trinde*, *fonde*, *fraide*, *sande*.

– *This fellow to jest łódź* – powiedziałem.

– *Yu tinka dispela bot? How long dispela bot bilong yu?* (Uważasz to za łódź? Odkąd masz tę łódź?)

– Jakież cztery lata.

– *Yu taking dispela away wit' you when you lusim hia?* (Zabierzesz tę łódź ze sobą, jak będziesz stąd wyjeżdżał?)

– Mam nadzieję.

– *Wonem dispela bek?* (Co to za torba?)

Teraz celniczka wskazywała torbę po drugim śniadaniu, którą zamierzałem wyrzucić.

– Śmieć – rzekłem.

– *Samting-nating?* – dopytała, używając precyzyjnego wyrażenia języka nowomelanezyjskiego, podczas gdy zaglądała do torby. – Ty iść.

Postawiła kredą znaczek na brezentowych workach.

– Szukam samolotu na Trobriandy – powiedziałem.

– *Balus I laik go nau* – rzekł kolega celniczki, który usłyszał, co mówię.

– Czy to znaczy, że samolot właśnie odlatuje?

– *Yesa.*

Samolot w istocie odlatywał za kwadrans z dworca krajowego, podłej budy kawałek dalej, w której śmierdziało gnijącymi łupinami owoców i szczynami. Nie mogłem odmówić pomocy karłowatego górala w wełnianym kapeluszu. Miał czarne zęby, wielkie ręce i stopy i koszulę tak brudną, że bardziej uświnionej w życiu nie widziałem. Taszczyliśmy kajak i sprzęt biwakowy.

– *Yu kam olsem wonem?* (Czym przyjechałeś?) – zapytał. Uśmiechał się. Pocił. Pochodził z Mount Hagen.

– *Yu kam we? Yu go we? We yu stap long?* (Skąd przyjechałeś? Dokąd jedziesz? Długo zostajesz?) – pytał.

– Przyjechałem na krótko – odrzekłem.

– *Wat dispela bikpela kago?* (Co to za wielki bagaż?)

– To łódka

– *Kago bilong yu, putim long hap, klostu long dua* (Twój bagaż położymy tam, blisko drzwi) – powiedział i rzucił worki przy wejściu.

– A gdzie samolot?

– *Balus i bagarap.*

– Jest spieprzony? – zapytałem.

Konus uśmiechnął się, zdjął wełniany kapelusz, otarł pot z czoła i zażądał ostryg. W tok pisin słowo oznaczające ostrygi oznacza też pieniądze. Dałem mu trochę forsy, pstryknął w rondo kapelusza i zniknął.

Twinn otter nie był spieprzony, a tylko potrzebował tankowania.

– Nie polecę do Losui bez paliwa, no nie? – tłumaczył jakiemuś brodatemu góralowi australijski pilot.

Męska toaleta (*haus pek pek*) na zewnątrz budynku dworca była tak zaświniona, że niemal nie nadawała się do użytku. Wielkimi literami wypisano dwujęzyczny apel: *Do Not Misuse the Toilet / No Ken Bagarupim Haus Pek Pek.*

Ostatecznie byłem jedynym pasażerem na pokładzie małego samolotu na Trobriandy.

Leciałem pośród wysokich chmur nad błękitnym oceanem i mniej więcej po godzinie wyłoniły się zielone wyspy. Jak gdyby znikąd, jak gdyby zawieszony w pustce i Pacyfik znowu wydał mi się podobny do nocnego nieba, kosmosu, gdzie przeskakiwanie z wyspy na wyspę jest niczym podróż międzyplanetarna. Na Morzu Salomona pod nami ujrzałem tuzin dużych i małych wysp, które bodaj nie mogły być bardziej płaskie. Wystające parę stóp nad powierzchnię wód, pozbawione choćby jednego garbu czy kopca, wydawały się dryfować niczym dywan zielska rozesłany na morzu. W środku każdej większej wyspy świeciło obłe mokradło, a palmy rosnące wzdłuż gruntowych dróg rzucały długie cienie w niski skrub. Układ każdej wioski odpowiadał temu, który opisał Malinowski – zgrabne chaty wokół zdobionego misternymi reliefami i malunkami spichlerza. Z lotu ptaka w oczy rzucał się brak samochodów, brak asfaltowych dróg, brak sieci energetycznych, brak tablic reklamowych, brak blaszanych dachów i brak łodzi motorowych. Ta obietnica prostoty radowała mnie.

Usiedliśmy na spłachciu stratowanego i niekoszonego trawnika, który przywodził na myśl aleję na publicznym polu golfowym. Dworzec mieścił się w budzie nieco mniejszej od garażu samochodowego. Obok stały dwa poobijane samochody, a wokół nich zebrało się ze dwieście osób o brązowej

skórze. Ludzie ci nosili szorty i sarongi, które zwa<sup>ły</sup> *lap-lap*. Niektórzy mieli kwiaty za uszami lub przywiędłe wianki z białego kwiecica plumerii na głowie. Kilkoro przyniosło rzeźbione sprzęty drewniane – laski, salatory, pałki, figurki. Reszta po prostu gapiła się na lądujący samolot. Oglądanie lądowania i startu samolotu z Moresby było jedną z form aktywności zbiorowej na Kiriwinie – głównej wyspie Trobriandów.

Zlustrawawszy ten tłumek, uznałem, że nie istnieje typowa twarz trobriandzka, albowiem pod tym względem ludzie ci mieli ze sobą niewiele wspólnego. Byli tak różni, od gładkoskórych niczym Nat King Cole czarnych Melanezyjczyków po obdarzonych jasną karnacją i bardziej prostymi włosami Polinezyjczyków, którzy nie raziliby na konkursie *hula* w Waikīkī. A byli też przedstawiciele wszystkich typów pośrednich. Tu i tam stała kobieta o włosach spłowiałych od słońca, niemal blond, zdarzyło się parę rudych, które wyglądały tak, jak gdyby przesadziły z henną. Osobliwa zbieranina, w której dostrzegłem nawet albinosów, tym dziwniejsza, że reprezentująca przecież ludność stosunkowo małej wyspy na środku oceanu.

Podeszła do mnie niska, gruba Trobriandka. Ołówek sterczący z jej kędzierzawych włosów sprawiał wrażenie wbitego w czaszkę.

– Pan może wsiąść – powiedziała i ruszyła w stronę skorodowanego pick-upa.

Pracowała w rozlatującej się nadmorskiej gospodzie będącej jedynym hotelikiem na tej wyspie, a może i w całym archipelagu, skoro już o tym mowa. Uważano za oczywiste, że każdy przybysz wysiadający z samolotu potrzebuje noclegu. Planowałem, że pojedę okazją na wybrzeże i rozbiję tam obóz, ale taki układ nawet bardziej mi odpowiadał.

– Co jest w tych wszystkich torbach?

– Łódź.

Wzruszyła ramionami, westchnęła, skrzywiła się. Po drodze ścisnęła kierownicę w rękach i gapiła się w kamienisty szlak, mało co się odzywając. Musiałem się postarać, żeby wyciągnąć z niej, że ma na imię Amy i że przez pewien czas mieszkała w Australii. Jej chmurność złożyłem na karb tego, że najprawdopodobniej traktowano ją tam raczej źle – albo w taki sam bezceremonialny sposób jak ona mnie.

- Czy na tej wyspie jest jakiś ośrodek administracyjny? Miasto lub rynek?
- Właśnie przez nie przejechaliśmy – rzekła.

Nie zauważyłem niczego prócz palm i drewnianych chat.

- Czy ma pani jakichś gości w hoteliku?

– Kilku *dim-dim* – odparła, używając miejscowego określenia białych. – Australijczycy.

Okazało się, że to siedmiu ekspatriantów, którzy z pewnego miasta na północnym wybrzeżu Nowej Gwinei prywatnym samolotem przylecieli na weekend ostrego picia i byczenia się. Przywieźli pokaźną liczbę skrzynek piwa, które wydawały się ich jedynym bagażem. W środku popołudnia byli już pijani, w owym stanie nachalnej serdeczności, który dobrze poznałem, bawiąc w Cooktown.

Wszyscy tęczy, ogorzali, o szklistym spojrzeniu i tak mili, jak umieli. Ujrzawszy mnie, ucieszyli się, otaksowali i natychmiast wręczyli butelkę piwa, albowiem pijacy uwielbiają towarzystwo, a nie cierpią trzeźwych świadków. Przybiłem piątkę z najgrubszym.

– Cześć. Jestem Mango. To Fingers. To Big Bird, bo ma samolot. To Booboo. To Ali...

Wszystko ksywki. Wypiliśmy jeszcze po jednym piwie i zasiedliśmy na werandzie, patrząc na odpływ uciekający z patelni laguny.

- Dosłownie przed chwilą Fingers widział krokodyla.

- Chyba że to kąpała się jakaś *meri*.

*Meri* w tok pisin oznacza kobietę.

- Ostatniej nocy zaliczyłem trzy *meri*.

- Fingers to pieprzony zwierzak.

Pryszczaty Fingers miał blisko siebie osadzone oczy, a wystająca żuchwa sprawiała, że wyglądał jak debil, kiedy się uśmiechał.

- Polują na białego męża – stwierdził Booboo.

- Uważacie je za atrakcyjne? – zapytałem.

– Niektóre są ładne, inne brzydkie jak diabły – odparł Mango. – Ale wszystkie dają.

To był jeden z głównych tematów ich pogaduszek, chociaż z ich opowieści wynikało, że są właściwie bierni, a inicjatywę przejawiają kobiety.

– No i słyszę, kurde, coś jakby pukanie w okno, wyglądam, a tam *meri* zadziera swoją *lap-lap*...

Oprócz tego rozmawiali o lenistwie górali, o wielkiej przestępczości, makabrycznych wypadkach samochodowych, dobrym jedzeniu, okropieństwach Port Moresby i frajdzie związanej z ostrym tankowaniem. Byli hałaśliwi, jowialni i w zasadzie nieszkodliwi. Sami to przyznali.

– Wszystkim nam odbija w tropikach.

– Jakie są objawy? – zapytałem.

– Zaczyna się od tego, że człowiek nie chce wracać do domu – stwierdził Fingers. – A potem jakby odlatujesz, rozumiesz.

– I zaczynają ci się podobać miejscowe *meri* – dorzucił Booboo.

– No i siedzisz w miejscach takich jak to z flaszką w ręku – podsumował Mango.

Big Bird wstał i podszedł do balustrady werandy.

– To krokodyl – powiedział. – Jednak krokodyl.

Płaski, podobny do kłody kształt, ciemniejszy od wody, sunął po powierzchni mulistej laguny i po chwili zanurzył się, wzbudzając drobne fale.

– Wstrętne bydlę – mruknął Mango, patrząc na rozszerzające się fale.

– Ma przynajmniej dwa i pół metra – ocenił Ali.

– Raczej trzy – stwierdził Booboo.

Rozmawiali o długości tego krokodyla, który robił się coraz większy, aż na werandzie pojawiła się Amy i posepnie oznajmiła, że kolacja na stole.

Usługiwało nam dwoje półnagich dziewcząt w spódniczkach z trawy. Mimo że Fingers łytał na nie pożądliwie, zachowywały się skromnie. Były niskie, ale chociaż Trobriandczycy nie należą do wielkoludów, nie mogły mieć więcej niż trzynaście, czternaście lat. Krótkie i gęste spódniczki okalały ich biodra niczym tutu baletnicy. Według Malinowskiego „strój ten jest na ogół zharmonizowany z elegancką sylwetką młodej kobiety, a małym, szczupłym dziewczynkom nadaje wdzięczny wygląd elfów”<sup>[15]</sup>.

Rzeczywiście, jak nimfy. Co więcej – naszyjniki z muszli, a także bransoletki na ramionach i na kostkach nóg dziewcząt podzwaniały tajemniczo przy każdym ruchu niczym dzwoneczki powietrzne. Podczas gdy owe nimfy



krażyły cicho na bosych stopach wokół stołu, nic nie mówiliśmy, tylko Australijczycy wzdychali i mamrotali coś pod nosem.

Jedzenie okazało się nieapetyczne i właściwie niejadalne. Podano tłuste mięso, gotowane białe bulwy i grube plastry konserwowej mielonki.

– Cóż to w ogóle jest? – zapytałem.

– Gówno – orzekł Mango, pochłaniając mielonkę.

Po kolacji obejrzelśmy tańce w wykonaniu naszych półnagich kelnerek i kilku mężczyzn grających na bębnach. Tych muzykantów przywołano z dworu, gdzie zebrało się niemało siedzących w kucki i gwarzących krajowców. Reszta wyspy wydawała się tonąć w ciemnościach, natomiast hotelik miał generator, był oświetlony i przyciągał miejscowych niczym lampa ćmy.

Po skończonym występie, kiedy Australijczycy wytoczyli się na zewnątrz w poszukiwaniu kobiet, kiedy Amy zaprowadziła mnie do mojego pokoju („Nie mamy wieszaków na płaszcze”), kiedy ustaliłem, gdzie dostanę prowiant i zaopatrzenie na jutro, poszedłem spać, przyrzekając sobie, że rano odpływam.

– *Waga* – mówili, kiedy kajak nabierał kształtów. – *Waga. Waga.*

Tłumek około pięćdziesięciu mężczyzn i chłopców przycupnął na brzegu laguny, obserwując, jak składam łódkę. Niektórzy tylko się gapili, inni śmiali się ze mnie, kilku bawiło się częściami kajaka, a dwóch czy trzech psuło mi szyki, przepychając się, żeby pomagać w montażu.

Potem ilekroć składałem albo rozkładałem kajak, zawsze towarzyszył mi tłumek mężczyzn (kobiety miały lepsze zajęcia), którzy gapili się albo wygłupiali. W takiej sytuacji – w upalny wilgotny dzień na mulistym brzegu Trobriandów, stąpając ostrożnie pośród potłuczonych koralu, słysząc śmiechy i szyderstwa wyspiarzy („co też ten *dim-dim* wyczynia”) – przypominało mi się, że nawet Malinowski, a więc najzyczliwszy z antropologów, wróciwszy do namiotu po dniu spędzonym pośród tych rozchichotanych ludzi, dawał upust złości na kartach osobistego pamiętnika.

„Irytują mnie wciąż nativy, zwłaszcza Ginger, którego bym bił, ażby zdechł – pisał. – Rozumiem wszystkie German & Belgian colonial atrocities [niemieckie i belgijskie okrucieństwa w koloniach]”<sup>[16]</sup> „Awantura nieprzyjemna z Gingerem [...] wściekam się i pieniądze i daję mu raz czy dwa

w zęby”<sup>[17]</sup>. „W ogóle wciąż [jestem] w świecie kłamstwa tutaj”<sup>[18]</sup>. Albo jeszcze gorzej. Publicznie Malinowski nazywał krajowców „Argonautami zachodniego Pacyfiku”, ale na kartach dziennika określał Trobriandczyków innym mianem. „Niggersy hałasują [...] W ogóle wstręt do niggersów [...]”<sup>[19]</sup>.

Te zapiski mogłyby pochodzić z dziennika intymnego mister Kurtza, który znaleziono w jego chacie w Jądrze Ciemności, ale w rzeczywistości pochodzą z pamiętnika twórcy nowoczesnej antropologii społecznej, który uczynił z niej wyrafinowaną naukę empiryczną. Kiedy w 1966 roku ogłoszono osobisty dziennik Malinowskiego, pamiętnik ten wywołał powszechne oburzenie, którego w gruncie rzeczy nie rozumiem. To książka nieszkodliwa, pełna trywializmów, perorowania, bólu samotności, obaw i uzalania się nad sobą. Z owych zapisków jasno wynika tylko tyle, że nic nie złościło Malinowskiego bardziej niż lekceważenie. Zaręczam, że to przekleństwo wszystkich podróżników.

Krajowcy lekceważyli Malinowskiego, lekceważyli i mnie. Człowiek się irytuje, ale co w tym złego? Trobriandzkie dzieci są strasznie hałaśliwe, a dorośli rzadko je strofują. Nigdzie indziej w świecie nie widziałem dzieci, które miałyby taką swobodę. Najmłodsze bawią się cały dzień, a w rozświetlone księżycem noce wszystkie dokazują. Nieraz jeszcze o północy słyszałem ich śmiechy. Mimo to wypełniają wszystkie swoje obowiązki, pracują w ogrodach, zbierają orzechy kokosowe, uczestniczą w wyprawach rybackich. Chociaż przynajmniej połowa dzieci nie chodzi do szkoły, wszystkie są biegłe w odwiecznych rzemiosłach, doskonale znają tradycje i opowieści o dziejach swojego ludu. Płynące z tego poczucie tożsamości, duma i pewność siebie mogą wprawdzie zakrawać na arogancję – lekceważenie *dim-dim* – niemniej sprawiają, że kultura trobriandzka nie ulega obcym wpływom, i zapewne są kluczem do jej przetrwania.

Wyciągnąłem więc części kajaka z brezentowych worków, złożyłem łódkę, zasztauowałem prowiant i resztę ekwipunku w schowkach, po czym – podczas gdy gapie chichotali i gwarzyli – po prostu wsiadłem, odepchnąłem się i odpłynąłem. Działo się to na wschodnim brzegu Kiriwiny, opodal wioski Wawela. Na mapie zaznaczono przerwę w rafie, którą opisano jako „przesmyk

żeglowny”, i powiosłowałem w tamtą stronę. Przez przesmyk przeciskał się silny prąd odpływowy, a zaraz za nim przełamywały się wysokie fale, więc zostałem w lagunie i powiosłowałem wzdłuż rafy na południe, rozcinając piękną zielononiebieską wodę nad półkami jaskrawo ubarwionych koralowców.

Po siedmiu lub ośmiu kilometrach laguna się zwężyła i wpłynąłem w ciasny korytarz wody między rafą a plażą. Na brzegu spostrzegłem rzesze ludzi, którzy najwyraźniej tam biwakowali, chociaż nie widziałem ani chat, ani żadnych innych schronień. Pomyślałem, że być może zabijają czas, czekając na statek na Kitavę, wyspę leżącą za rafą, jakieś dziesięć kilometrów od Kiriwiny.

Zobaczywszy mnie, kilku mężczyzn zaczęło machać i gwizdać. Zachęcali mnie do lądowania. Nie mając nic lepszego do roboty, a i pragnąc wzbogacić o jakieś rzeczywiste szczegóły moją niewiele mówiącą mapę sprzed pięćdziesięciu lat, popłynąłem do nich.

Na piasku obok tych mężczyzn leżał na grzbiecie dyszący i ledwo poruszający płetwami żółw zielony. Ilekroć próbował się odwrócić, ten lub ów mężczyzna kopał go, aby mu to uniemożliwić.

Mężczyźni, którzy mnie przywołali, nie znali angielskiego, ale inny, o imieniu Sam, posługiwał się nim płynnie. Tok pisin nie przydałby się na wiele. Na Trobriandach uchodzi za parodię angielskiego i miejscowi wstydzą się go używać, czynią to bardzo niechętnie. Sam nauczył się angielskiego w Port Moresby, gdzie pracował w banku. Nie cierpiał wszakże tego miasta i gdy tylko zarobił wystarczająco dużo, wrócił na Trobriandy do swojej wioski Daiagilla.

– To na północy wyspy, koło Kaiboli, ale nie na plaży – tłumaczył. – Na tym polega nasz kłopot. Trudno tam łapać ryby. Dużo ludzi, wszyscy łowią.

Właśnie dlatego wyprawiali się tam, gdzie ich spotkałem, jakieś dwadzieścia pięć kilometrów od ich wioski, gdzie zakładali tymczasowy obóz rybacki. Tym razem zjawili się w sile trzydziestu trzech mężczyzn i chłopców. Mieli na sobie tylko złachane kąpielówki. Jeden słabował na umyśle, inny był głuchoniemy, ale panowała wśród nich niczym niezmacona harmonia. Działali na mocy umowy z mieszkańcami wioski, do której należała plaża: za pomocą

dzid i sieci łowili dzień i noc, aż zgromadzą wystarczająco duży zapas ryb, żeby wracać.

– Dlaczego ludzie z tej wioski idą wam na rękę?

Wyjaśnili, że oddają im część zdobyczy, a tamci rewanżują się warzywami i wodą pitną.

– Nie ma problemów – podsumował Sam. – Nie walczymy. Pragniemy żyć zgodnie.

Przebywali tam od czterech dni, a kiedy nie łowili, przerabiali duże, cztero-, pięciokilowe pleperki lamparcie, wędząc je na czymś w rodzaju chwiejnego rusztu ustawionego nad dymiącym ogniskiem. Uwędzone ryby wisały na sznurach rozpiętych między palmami.

– Najwięcej łowimy w nocy – powiedział Sam i pokazał mi długie wodoszczelne latarki, których używali do nocnych połowów. Pokazał drewnianą dzidę z zardzewiałym kolczastym grotem. – Te harpuny też są dobre. To dobre miejsce do łowienia. Ale nie bywamy tu często. To dopiero drugi raz w tym roku.

– A co jecie w innym czasie, jams?

– Jams jest na święta. To przysmak. Nie jemy go, gdy jesteśmy w naszych chatkach, a tylko gdy wspólnie świętujemy. Jemy inne warzywa. Taro. Słodkie ziemniaki. Dynie.

– Nie widzę tu kobiet – rzekłem.

– Kobiety nie łowią ryb. Zajmują się domem i ogrodem, opiekują się małymi dziećmi i szykują się na nasz powrót. – Spojrzał na męczącego się żółwia i znowu go kopnął. – Kiedy wrócimy, będzie wielka uczta. Zjemy większość ryb. Musimy je zjeść, bo nie ma jak ich przechować.

– Słyszałeś o Malinowskim? – zapytałem.

– Słyszałem – odparł Sam i się roześmiał. – „Wyspy Miłości”. Nie czytałem jego książek, ale mi o nim opowiadano, kiedy mieszkałem w Moresby.

– Co mówiono?

– Że był tutaj. Możliwe, że przyjechał podczas święta jamsu. Chyba uznał, że zawsze jesteśmy tacy. Myślę, że wyciągał zbyt ogólne wnioski na nasz temat.

– Opowiedz mi o święcie jamsu – poprosiłem. Malinowski porównał je do bachanaliów i podawał barwne przykłady rozpasania seksualnego.

– Święto jamsu – Sam uśmiechnął się i spojrział na swoich towarzyszy, którzy przetrząsali mój kajak, oglądali mój oścień, wiązali i rozwiązywali nylonowe liny. – Odbywa się w czerwcu i lipcu. Kobiety robią głupie rzeczy. Mężczyźni robią głupie rzeczy. Ja też robię głupie rzeczy. To wesołe święto.

Zaprosili mnie do pozostania w ich obozowisku. Do wieczora daleko, ale dzień był bardziej upalny, niż oczekiwałem, więc kiedy przynieśli na liściu palmowym parującą świeżo uwędzoną dużą rybę, zjadłem ją z nimi i zrezygnowałem z dalszego płynięcia na południe. Zainteresowali się moim prowiantem. Z radością ofiarowałem im bochenek chleba, który przekazywali sobie z rąk do rąk. Ofiarowałem im też owoce i ciastka.

Dobrze znałem owo frustrujące doświadczenie częstowania smakołykami. Mógłbym wziąć wielką skrzynię ciastek albo gigantyczną tabliczkę czekolady, a i tak zostałyby podzielone i pochłonięte tak szybko, jak gdybym ofiarował okruszki. Krajowcy zawsze dzielili się jedzeniem, nigdy nie walczyli o nie, a mimo to poczęstunek – zwłaszcza ciastka – zdawał się znikać w gorliwych rękach. Na prezenty wiozłem groty do harpunów, gumy do miotania harpunów i haczyki rybackie.

Wieczorem przy ognisku Sam tłumaczył pytania zadawane mi przez jego towarzyszy. Skąd jestem, jak się nazywam, czy mam żonę, dzieci, kto powiedział mi o Trobriandach.

Odpowiadałem jak najszczerzej i opowiedziałem im o Malinowskim.

– Nie chcę czytać jego książek – stwierdził Sam. – Co mi to da?

– Wyglądacie na szczęśliwych – rzekłem. – Ale gdybyście mogli poprawić swoje życie, to co byście zrobili?

Sam pomyślał dłuższą chwilę i zanim odpowiedział, porozmawiał jeszcze z towarzyszami.

– Przydałby się nam samochód. Przyjeżdżanie tutaj państwową furgonetką tak drogo kosztuje.

Dwie czy trzy furgonetki stanowiły tabor transportu publicznego na Kiriwinie, a na innych wyspach w ogóle nie było samochodów ani dróg.

Wprawdzie ja uważałem to za sytuację wymarzoną, niemniej Sam inaczej to oceniał.

– Ale nigdy nie będzie nas stać. Zarabiamy trochę, sprzedając rzeźby i żywność na rynku, ale to prawie nic.

Oświadczyłem, że moim zdaniem brak gospodarki opartej na pieniądzu jest błogosławieństwem Trobriandów. Sam zgodził się z tym, ale dodał, że nie wszystko można dostać na zasadzie towar za towar. Trzeba płacić za szkołę, za konserwy, za dobre ubranie, no i ów samochód, którego tak pragnęli, a którego nigdy nie będą mieć, można kupić tylko za pieniądze.

W ciemności za kręgiem światła obozowego ogniska młodzieńcy i chłopcy bawili się latarkami i harpunami. Sam raz i drugi wspomniał o wodzu. Okazało się, że jest z nimi, bezzębny, żujący betel mężczyzna w podartym T-shircie. Zwali go Goody czy może Gudi.

– Jest właścicielem ziemi naszej wioski – powiedział Sam.

Dzięki stałemu wiatrowi nie było moskitów, więc wyciągnąłem śpiwór i znalazłem spłacheć piasku, gdzie mogłem się umościć. W nocy słyszałem ciche rozmowy krajowców, pluskanie wody, a kiedy wiatr zmienił kierunek, owionął mnie dym. Rano ujrzałem wyraźnie cały rozgardiasz obozowiska, walające się łupiny orzechów kokosowych, mnóstwo szkieletów ryb, skorup krabów, dymiące ogniska, cuchnące ryby i tego samego dyszącego, konającego żółwia.

– Pozwól popływać twoją łódką – rzekł Sam, przekazując mi prośbę wodza.

Brzeg najeżony był skałami koralowymi, więc obawiałem się, że wódz przedziurawi kajak.

– Nie dzisiaj – powiedziałem. – Może jak wrócę na święto jamsu.

**Za Gilibwą** na południowym krańcu Kiriwiny przepłynąłem przez przesmyk, którym przedostałem się na rozleglejsze laguny po zachodniej stronie wyspy. Cisza, brak bryzy, ale morze znacznie płytsze, więc miejscami wysiadałem i ciągnąłem kajak za cumę dziobową. Ubrałem specjalne buty do chodzenia w morzu, chroniące przed szkaradnicami, jeżowcami i ostrymi koralami.

W słuchawkach rozbrzmiewał Mozart, czułem się bezpieczny wśród gościnnych krajowców, więc cała ta przeprawa wokół południowego cypla Kiriwiny sprawiła mi ogromną przyjemność.

W hoteliku, do którego dotarłem, nie było innych gości prócz ogorzałej pary Francuzów w zielonych mundurach polowych, która narzekała, że w ich pokoju nie działa wentylator.

Uzupełniłem zapasy jedzenia i wody, szykując się do wyprawy na zachód od Losui, mniej więcej dwunastokilometrowego rejsu na sąsiednią wyspę Kaileunę, którą zamierzałem opłynąć.

– Przy Boli Point krokodyl porwał kobietę – powiedział Bill, Australijczyk zarządzający hotelikiem, kiedy zbierałem się do odpłynięcia. Za kilka godzin miałem przepływać przez tamto miejsce.

– Kiedy planuje pan wrócić? – zapytał.

– We wtorek po południu.

– Jak się pan nie zjawi, zaczniemy poszukiwania – powiedział życzliwie. – No i jeszcze jedno. Niech pan nie biwakuje na dziko. Zawsze trzeba poprosić o pozwolenie w wiosce, która jest najbliżej plaży. Policzą sobie kilka *kina*. Ten, który najwięcej gada, jest najmniej godny zaufania. Zedrą z pana skórę, jeżeli nie będzie pan uważał. Niech pan ich nie słucha, jeżeli powiedzą: „Nie ma sprawy, załatwimy to jutro”, bo cholera wie, co się zdarzy jutro. Mogą panu policzyć stowę i będzie pan musiał zapłacić.

Zanim wsiadłem do kajaka, niebo poczerniało i zaczął padać deszcz, tak rześisty, że musiałem poczekać godzinę, aż ustanie. Mężczyźni i chłopcy śmiali się ze mnie, widząc, jak ociekający wodą w przemoczonym ubraniu zaczynam majstrować przy kajaku, w którym po deszczu zebrało się ze dwa lub trzy centymetry wody. Przestali się śmiać i podeszli bliżej, kiedy zobaczyli, jak usuwam wodę za pomocą pompy żęzowej, prostego urządzenia o napędzie ręcznym, ale o wiele wydajniejszego od drewnianych czerpaków, których oni używali do wybierania wody z dłubanek.

– Ty dajesz mi to – powiedział jeden z mężczyzn.

– Przykro mi – odparłem i schowałem pompę.

– *Dim-dim* nic dać mi! – zawołał, błaznując na użytek towarzyszy.

– Bo śmiałeś się ze mnie – powiedziałem.

Nad laguną wznosił się opar, powietrze było ciężkie i wilgotne, większe drzewa na brzegu ociekały wodą, gdy wyruszyłem na płycizny zatoki Losuia, wypatrując drogi pomiędzy błotnistymi skałami koralowymi. Skakały ryby, skrzeczały ptaki, przy brzegu darły się i pluskały dzieci.

Początkowo prawie nie wiało, ale zmagalem się z falą przyływu. Przebywszy płycizny, ruszyłem głównym kanałem ciemnoniebieskiej wody, wystarczająco głębokiej, żeby mogły nim pływać statki, które przywoziły zaopatrzenie z portu Alotau nad zatoką Milne w Nowej Gwinei.

Zbliżywszy się do Boli Point, pomyślałem o krokodylu z opowieści Billa i postanowiłem trzymać się jakieś półtora kilometra od brzegu, płynąc w odświeżającym wietrze wśród metrowych fal. Widziałem muliste ujście rzeczki, w której podobno żyły krokodyle. Gady te najbardziej lubią wody dość spokojne i nieprzejrzyste, miejsca względnie ustronne, gdzie mogą czatować wśród roślinności i w wydzielającym woń rozkładu cieniu. Tak, w tym cuchnącym estuarium śmiało mogły grasować krokodyle.

Kiedy minąłem cypel, za mierzającym mniej więcej trzy i pół kilometra pasem otwartego morza ujrzałem ciemnozieloną i płaską Kaileunę. Przemierzywszy ten dystans, wylądowałem na cyplu Mamamada, gdzie oprócz kolczastej koralowej rafy jest wąska plaża. Było już wczesne popołudnie, pora obiadu. Jedząc, czułem zadowolenie, że dotarłem na jedną z mniejszych wysp archipelagu. O ile mogłem dostrzec, tam gdzie wylądowałem, nie było wioski, chociaż płynąc, widziałem chaty w bardziej północnej części wschodniego wybrzeża. Postanowiłem nie zbliżać się do nich, popłynąć wzdłuż południowego skraju wyspy.

Dotarłem do bielutkiej piaszczystej plaży, strzeżonej przez dwie wychodzące w morze urwiste skały. W koronach drzew hałasowały zielone papugi, wysoko na niebie wisiał wielki orzeł, rybitwy niezmordowanie patrolowały lagunę. Nie dostrzegłem śladów ludzi, tylko tropy jaszczurek. Pomyślałem, że to idealne miejsce na biwak, ale gdy z zadowoleniem taksowałem je wzrokiem, wzdłuż plaży przepłynęła dłubanka prowadzona przez dwie półnagie kobiety, które na mój widok wydały okrzyk podobny do jodłowania. Tak więc zostałem wykryty. Rad nierad wsiadłem z powrotem do kajaka i popłynąłem w ślad za kobietami. Wkrótce w odległości około półtora



kilometra ujrzałem słup dymu i zarysy dachów chat okalających plażę. Tej wioski nie oznaczono na mojej mapie.

Dopłynąłem do niedużego krytego strzechą pawilonu na końcu pomostu i już chciałem tam wylądować, kiedy zorientowałem się, że to ubikacja miejscowych kobiet. Ubikacja męska znajdowała się na drugim końcu wioski. Kiedy wiosłowałem wzdłuż brzegu, plażą zaczęła biec za mną grupka chłopców, którzy machali do mnie i pokrzykiwali. Pomachałem do nich nawzajem.

Zanim dotarłem na główną plażę wioski, zebrało się sporo ludzi, którzy przyglądali się, jak ląduję i ciągnę kajak po piasku. Widziałem roześmianych szyderczo chłopaków, wystraszone małe dzieci, chłopców w *lap-lap* i w kąpielówkach, półnagie kobiety, mamroczących coś mężczyzn. Niektórzy starsi mężczyźni mieli ozdobne tykwy z wapnem ze sproszkowanych muszli i wysysali sok z gałązek betelu.

„Gdy tylko pojawi się jakiś bardziej interesujący przybysz – pisał Malinowski o typowym powitaniu na Trobriandach – połowa wioski otacza go kołem, rozmawiając głośno i wymieniając na jego temat z żartobliwą poufałością różne uwagi, które często nie są bynajmniej komplementami”<sup>[20]</sup>.

Właśnie takie wrażenie odniosłem, przybywszy do owej wioski, ale najsilniej uderzył mnie zdrowy wygląd krajowców, a zwłaszcza doskonały stan ich zębów.

– Czy ktoś tutaj zna angielski? – zapytałem.

– Tu wszyscy znają angielski – odpowiedział jeden z wieśniaków.

Podszedł do mnie starszy mężczyzna i uściśnął mi rękę. Powiedział, że jest wodzem, i zapytał, skąd jestem i co to za łódź.

Odpowiedziałem mu i wyjaśniłem, że opływam te wyspy i że znalazłem dobre miejsce biwakowe mniej więcej półtora kilometra od jego wioski. Czy pozwoli mi rozbić tam obóz?

– Dlaczego nie zostaniesz w wiosce? – zapytał mężczyzna stojący obok wodza. – Misjonarz wskaże ci odpowiednie miejsce.

– A gdzie ten misjonarz?

Spodziewałem się ujrzeć *dim-dim* w czarnej sutannie, a zamiast tego przywitał się ze mną Trobriandczyk ubrany w T-shirt i kąpielówki.

– To ja jestem misjonarzem – powiedział.

Miał na imię John. Był wysokim, chudym mężczyzną o brązowej cerze i rudawych kręconych włosach, a z bliska spostrzegłem, że i jego skóra miała czerwony odcień. Trzymał na ręku małe, nagie dziecko, które nie wiedzieć czemu ścisnęło w rączce wielki nóż do krajania mięsa i ciachało nim powietrze, prychnając przy tym przez zakatarzony nos.

Kiedy John poprowadził mnie w stronę wioski, ruszyła za nami gromadka małych dzieci. Reszta wieśniaków wróciła do swoich zajęć, siedmiu czy ośmiu mężczyzn budowało duże kanu pod żagiel, niektóre kobiety doglądały dymiących ognisk, a na skraju polany wznowiono mecz piłki nożnej.

Oseski w ramionach matek i maluchy raczkujące na matach z traw na mój widok zanosili się płaczem i sikały ze strachu. Rozbawieni tym dorośli chwytali dzieci i udawali, że mi je oddają, a im bardziej berbecie wrzeszczały na widok *dim-dim*, tym głośniejsze dorośli się śmiali.

John opowiadał, że pochodzi z Alotau i że Bóg posłał go do Kaisigi, czyli tej wioski, w której się poznaliśmy. Wszechmocny podjął nadzwyczaj fortunną decyzję, ponieważ żona Johna, Esther, pochodziła z sąsiedniej wioski, Bulakwy, kawałek dalej na wybrzeżu. Mieli dwóch synów, owego zasmarkańca, którego John nosił na rękach, i większego, który zajmował się dręczeniem kota pod drabiną prowadzącą do ich chaty. Mieli na imię Cleopas i Waisodi. Esther siedziała na swego rodzaju werandzie od strony morza i krajała warzywa. Była w zaawansowanej ciąży.

– Chciałabym mieć dziewczynkę – powiedziała. – Jak ma na imię twoja żona?

Ileć wspaniale wspominać moje małżeństwo, choćby w najbardziej niewinny sposób, robiło mi się smutno i miłkłem. Przez chwilę udawałem, że nie dosłyszałem pytania, ale Esther nie ustępowała i w końcu jej odpowiedziałem.

– Ładne – rzekła, kładąc ręce na brzuchu. – Jeżeli urodzi się nam dziewczynka, daj jej na imię Anne.

Tymczasem John opowiadał mi o swoim nawróceniu.

– Byłem ślepy. Przeżyłem wiele lat jako ślepiec – mówił. – Potem zostałem adwentystą dnia siódmego i przejrzałem na oczy. Chciałbyś i ty przejrzeć, Paul, tak jak twój imiennik na drodze do Damaszku?

A więc byli adwentystami. Tłumaczyło to doskonały stan uzębienia. Nie palili ani nie pili, młodszy nie żuli betelu. Żadnego świńskiego jada.

– Chcesz mnie nawrócić?

– Tak. Chcę.

– Muszę to przemyśleć, John. To wielka decyzja w życiu każdego człowieka.

– To prawda – przyznał, ale nie wydawał się przekonany. Myślał jednak o czym innym. – Kłopot z biwakowaniem tutaj polega na tym, że będą ci przeszkadzać dzieci. Są strasznie ciekawskie i uciążliwe.

– Dlaczego nie powiemy im, żeby nie były ciekawskie i uciążliwe?

– Wyśmieją nas.

Inny mężczyzna to potwierdził.

– Tak – powiedział. – Chłopcy są okropni, robią, co chcą.

– O której idą spać?

– Jak im się zachce – rzekł ów mężczyzna. – O jedenastej, dwunastej albo jeszcze później.

– Jest jeszcze jedna rzecz, która może ci przeszkadzać – powiedział John. – Wcześniej rano biję w bęben, żeby wezwać wiernych na poranne nabożeństwo. Nie stawiaj więc namiotu blisko bębna.

– A co masz na myśli, mówiąc „wcześniej”?

– Mniej więcej szóstą.

– Myślę, że rozbiję namiot tam, to kawałek stąd.

Wróciłem do kajaka i przeciągnąłem go przez płycizny na skraj wioski, a kiedy wyjąłem ekwipunek, zebrał się tłumek gapiów. Czterdzieści siedem osób, jak policzyłem, zanim zacząłem stawiać namiot, dorośli i dzieci. Dzieciaki dotykały wszystkiego, macały plandekę namiotu, poszycie kajaka, słupki, plątały linki i przeszkadzały mi, pałętając się pod nogami, podczas gdy próbowały pomagać. Gołe, usmotruchane szkraby całkiem bezczelnie obmacywały ekwipunek, jazgocząc, wrywając sobie różne drobiazgi i zanosząc je starszym do obejrzenia.

– Są zachwyceni twoim namiotem – powiedział John.

Wyjąłem pałaki składane z segmentów nanizanych na elastyczny sznurek i kiedy wszystko z kliknięciem się połączyło, tworząc prawie trzymetrowy

pręt, rozległy się oklaski i śmiechy. Gapie przysiedli wokół mnie, czekając na więcej. Zawiesiłem bukłak na drzewie, odwróciłem kajak, ażeby dzieci do niego nie włąziły, po czym, nieco już rozeźlony wścibstwem wszystkich tych gapiów, ruszyłem na przechadzkę po plaży. Kiedy o zmroku wróciłem, już sobie poszli. Wpełzłem do namiotu, gdzie prosto z butelki pociągnąłem trzy tęgie łyki sherry, żeby nie demoralizować adwentystów, a następnie zająłem się gotowaniem kolacji.

Przed wyjazdem z Losui kupiłem naftę do kuchenki turystycznej. Zapaliłem kuchenkę, zagotowałem wodę, zaparzyłem zieloną herbatę, a potem ugotowałem makaron, który zjadłem z fasolą i konserwową makrelą.

Kiedy jadłem, przyszedł John, nadal nosząc na rękach zasmarkanego synka.

– Uważają, że jesteś dziwny – oznajmił. – Ale powiedziałem im, że wcale nie.

– Dziękuję, John.

– Nigdy nie widzieli, żeby ktoś jadł sam, ale wytłumaczyłem im, że ludzie Zachodu stale tak postępują. Kiedy przyjeżdżają gdzieś, sami sobie gotują.

– Święta prawda, John – rzekłem. – Poczęstuj się ciastkiem.

Wziął kilka i w gasnącym świetle dnia poszliśmy razem do krytego strzechą pawilonu nad morzem, który nazywali *bwayma*. Poczęstowałem ciastkami innych, którzy tam byli, usiedliśmy i rozmawialiśmy, podczas gdy dzieci nadal szczebiotały i pluskały się przy brzegu laguny.

– Co te dzieci robią do północy?

– Bawią się. Śpiewają. Opowiadają sobie różne historie – powiedział John. – Nikt nie każe im iść spać.

O tej porze jedzono kolację, przed chatami buzowały ogniska, kobiety gotowały, a mężczyźni siedzieli na gankach i jedli.

– Wszystkim się dzielimy – rzekł John. – Kiedy mężczyźni złowią ryby, każda rodzina coś dostaje. Mamy wspólny ogród. Gotujemy dla wszystkich. Cokolwiek ktoś ma, dzieli się z innymi.

Siedzieliśmy w pięciu w wietrznym pawilonie, dojadając ciastka. John chciał opowiadać o adwentystach dnia siódmego, ale zbiłem go z tropu pytaniem o święto jamsu.

– Święto jamsu jest bardzo niechrześcijańskie – oświadczył, a pozostali uśmiechnęli się do mnie znacząco. – Dziewczeta i kobiety wprost się na ciebie rzucają. Łapią cię za wszystko – tu wskazał krocze i zmarszczył brwi.

Pozostali wybuchnęli śmiechem.

– To nie jest śmieszne – posępnym tonem rzekł John.

– To nienormalne – powiedziałem.

– To więcej niż nienormalne – mówił John. – Kobiety mogą cię przydusić. Może ich być siedem albo osiem. Trzymają cię, a jedna siada ci na twarzy i śmieje się z ciebie, i przyciska ci do twarzy swoją kibić.

– Swoją *kibić*? – zdziwiłem się.

– Swoją rzecz – sprostował John.

– Swoją *wila* – rzucił ktoś i znowu buchnął śmiech.

– Rozumiem – powiedziałem.

– Jest dużo cudzołóstwa, a nawet gwałtów – rzekł John z wielką powagą. – Tak, powiadam ci, pięć albo sześć dziewcząt potrafi zgwałcić mężczyznę. Łapią go, siadają na nim i go dotykają, a kiedy jego...

– *Kwila!* – wtrącił ktoś.

– Tak, kiedy jego *kwila* stanie, ta, która ma szczęście, siada na nim. No i jak ci się to podoba?

Wszyscy spojrzeli na mnie. Uśmiechnąłem się.

– Szczerze mówiąc, wygląda mi to na tradycyjną zabawę.

Mężczyźni zaczęli się śmiać z Johna, a ja pomyślałem o niejakim Tennysonie.

Z dzikich kobiet pojme żonę – niech mi karmi czarny płód.

Syn mój zwinny a żyłasty w rzekach, w górach będzie rósł

I z oszczepem lśniącym w ręku gonił stada dzikich kóz.

Tak! papugi będzie wabił, chwycił tęczy barwny pas,

A nie ślęczał nad książkami, tracąc wzrok, marnując czas<sup>[21]</sup>.

Mężczyźni poszturchiwali Johna, domagając się, żeby wyraził swoją opinię.

– Biblia powiada, że ciało jest świątynią Boga – stwierdził John.

– Rzeczywiście tak powiada – rzekł jeden z mężczyzn i został wyśmiany przez pozostałych.

– Ale Bóg jest miłością – wtrąciłem. – A święto jamsu też jest miłością, prawda?

– Tak! Tak! – zakrzyknęli mężczyźni i chłopcy, patrząc hardo na misjonarza, który miał niewyraźną minę.

– Cudzołóstwo może prowadzić do rozpadu małżeństwa – rzekł John.

– Czy małżeństwa tych ludzi rozpadają się wskutek cudzołóstwa w święto jamsu?

– Nie – uczciwie przyznał John. – Przez dwa miesiące mąż chodzi swoją drogą, żona swoją. Kiedy święto jamsu się kończy, znowu się schodzą i jest tak, jak było.

– Wobec tego nie ma sprawy – orzekłem.

– Ale ciało jest świątynią Boga – desperacko upierał się John. – A dzieją się gorsze rzeczy.

– Bardzo jestem ciekaw jakie.

– *Mwaki-mwaki*. Taniec tapioka – rzucił ktoś. – Jest bezwstydnny.

– I przeciąganie liny – powiedział John. – Rzucają wyzwanie innej wiosce. Chłopcy z tej wioski rzucają wyzwanie dziewczętom z innej wioski. Dziewczeta stąd rzucają wyzwanie chłopcom stamtąd. Wszyscy są półnaczy. Tylko w majtkach. Przeciągają pnącze, po czym zwycięzcy gonią pokonanych, a kiedy ich złapią, spółkują na trawie, ot tak.

– A co się dzieje potem?

– Potem ubierają majtki i zaczyna się nowe przeciąganie liny.

– Moim zdaniem wygląda to na dobrą zabawę – powiedziałem.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, z wyjątkiem Johna, który wybiegł z pawilonu i udał się do swojej chaty. Wkrótce przybiegł z powrotem, trzymając w ręku czasopismo adwentystów „The Voice” [Głos], które mi wręczył, mówiąc, żebym koniecznie przeczytał. Potem rzekł, że chce opowiedzieć mi, jak doszło do tego, że przybył właśnie do wioski Kaisiga.

– Poprzednio ta wioska należała do Kościoła Zjednoczonego. Pewnego ranka ludzie zobaczyli wielkiego wieloryba, który przyplłynął na plażę i po prostu leżał na skraju piasku. Wódz wioski miał sen. W tym śnie słyszał głos, który powiedział mu o wielorybie. „Albowiem prosiliście o pokarm”, rzekł głos. Wzięli liny i odciągnęli wieloryba w morze. Ale nazajutrz rano wrócił.

Wódz miał drugi sen. Tym razem głos powiedział: „Nie o pokarm cielesny, lecz o pokarm duchowy”. Teraz nie odciągnęli wieloryba w morze, lecz na sąsiednią plażę, gdzie go zakopali. Wódz znowu miał sen, w którym wyjaśniono mu znaczenie wieloryba. „Proście, żeby nakarmić was inną religią”. Wystąpili więc z Kościoła Zjednoczonego i zwrócili się do adwentystów, którzy przysłali mnie z Popondetty, żebym ich prowadził.

Połowę morza spowiła już ciemność, tylko tam, gdzie zaszło słońce, gorzała jeszcze różowa łuna, na której tle w dali na południowym zachodzie majaczyły garbate wyspy Fergusson, Normanby i Goodenough. Część laguny zamieniła się w opalizujące różowe jezioro, a prawie już czarny ocean bliżej nas rytmicznie obmywał plażę.

– Jak się mówi „dobranoc”?

– *Bwoyna bogie* – odparł John.

– *Bwoyna bogie* – powiedziałem, zostawiłem ich i wpełzłem do namiotu.

Przez większą część nocy pod jasnym półksiężycem, który rozświetlał rozgwieżdżone niebo, wysrebrał czubki drzew dzungli, prześwietlał przeganiane wiatrem wysokie chmury i rysował sylwety nadbrzeżnych palm, do wtóru rytmicznego chlupotania laguny śpiewały i śmiały się dzieci.

**Bęben** zadudnił wcześniej, a że był w istocie stalową beczką na ropę, czynił piekielny rwetes, który zdawał się trwać wiecznie, jako że rolę dobosza odgrywał jeden z wioskowych wyrostków i najwyraźniej świetnie się bawił. Było wpół do szóstej, pierwszy brzask. Usłyszałem ciche głosy, śmiechy, odgłos stóp stawianych na klepisku pośród chat, skrzypienie desek podłogi w kościele, a w końcu piękną harmonię głosów śpiewających dzieci.

*Weespa a frayer in da morning,*

*Weespa a frayer at noon.*

*Weespa a frayer in da evening*

*So keep your heart in tune.*

Jezus może przyjść rano,

Jezus może przyjść w południe,

Jezus może przyjść wieczorem,

Serce miej więc zawsze gotowe.

Następnie wysłuchałem fragmentu kazania Johna, który najpierw przytoczył kilka wersetów z Biblii, a potem zaczął je objaśniać.

– Otóż nie jest to wino alkoholowe. Jest to czyste wino. W gruncie rzeczy jest czymś w rodzaju soku winogronowego...

Już się krzątałem, parzyłem zieloną herbatę, kiedy uczestnicy porannego nabożeństwa wyszli z krytego blachą budynku, który służył jako kościół. Prawie same dzieci, garstka kobiet i kilku krzykaczy z naszej wieczornej rozmowy w nadmorskim pawilonie.

– Wczesnie wstaliście – powiedziałem, zobaczywszy Johna.

– Wpół do siódmej, jak co rano – odparł.

– Masz na myśli wpół do szóstej – sprostowałem.

– Rzeczywiście? – zdziwił się. – Możliwe, my tu nie mamy zegara. Ale twój jest ładny.

Kiedy patrzył na mój zegarek, zdając się bliski naruszenia siódmego przykazania, pomyślałem z zazdrością, jak cudownie jest nie przywiązywać wagi do urzędowego czasu.

– A co to parzysz? – zapytał.

– Zieloną herbatę.

– My nie pijemy herbaty – oświadczył. – Ani kawy. Ciało jest świątynią Boga.

Przemawiał jak przystoi adwentyście, ale dziwiłem się, że na piedestał cnoty wynosi zachowania sprzeczne z tradycją tych wysp.

Wziąłem łyk herbaty i omal się nie udławiłem. John uznał to za znak od Boga, ale uzmysłowiłem sobie, że w Losui przypadkowo napełniłem bukłak słonawą wodą. Zezłościłem się na siebie, że targałem w kajaku dziesięć litrów wody nienadającej się do picia.

John zaprosił mnie na śniadanie. Papka z taro na mleku kokosowym i banany dały asumpt do rozmowy o rozkoszach wegetarianizmu.

– Nie jemy też świń ani nietoperzy. Ani tulipa – wyliczał John.

Nie chodziło o ich domową kurę, lecz o konserwy. Marka Tulip stała się nazwą pospolitą konserw z tłustej wieprzowiny.

– Ani trusi – dodał John.

– Powiedziałaś: „trusi”? Królików? A są tu króliki?



– Nie ma – przyznał.

– Która księga Biblii mówi o jedzeniu? – zapytałem.

– Kapłańska. Rozdział jedenasty – odparł. – Wspomina o tym też Księga Powtórzonego Prawa.

Podał mi otwartą Biblię. Czytając rozdział jedenasty Księgi Kapłańskiej, doszedłem do wniosku, że ów tekst przypomina kodeks obrońców środowiska i że zapewne zrobił więcej dla ochrony zagrożonych gatunków niż wszystkie organizacje ekologiczne razem wzięte.

– Widzę, że cię zaciekawiło – powiedział John, wietrząc rychłe nawrócenie.

Kiedy siedziałem za stołem, przyszło ośmiu czy dziesięciu starszych chłopców. Jeden z nich przyniósł *lei* (wieniec) z kwiatów plumerii, który zwali *katububula*. Ten chłopiec, o imieniu Wilson, powiedział:

– Stary człowiek zapytał: „Czemu wczoraj nie daliście mu kwiatów?”. A my odpowiedzieliśmy: „Nie widzieliśmy, jak przyjechał”.

– Już skończyłeś? – zapytał mnie chłopiec o imieniu Zechariah, spostrzegłszy, że odsunąłem talerz, na którym została połowa zapychającej papki.

– Skończyłem – odparłem.

Chłopak chwycił talerz i zjadł to, co zostawiłem. Uśmiechnął się błogo i powiedział:

– *Sena bwoyna!* Było bardzo dobre.

Zapytali mnie, co porabiam na wyspach. Odrzekłem, że jestem na wakacjach i po prostu pływam kajakiem między wyspami. Najwyraźniej uznali to za najzupełniej naturalny sposób spędzania czasu.

– Ale nie płyń na wyspę Tuma – powiedział mężczyzna o imieniu Micah.

– Dlaczego?

– Bo tam odchodzą zmarli.

Znalazłem tę wąską wyspę na mapie, mierzący jakieś osiem kilometrów pas ziemi rozciągnięty na północny zachód, a wypytawszy moich rozmówców, dowiedziałem się, że to nawiedzone miejsce, gdzie żaden żywy się nie zapuszcza, ponieważ przebywają tam niebezpieczne duchy zmarłych. Według Malinowskiego na tej wyspie znajduje się *trobriandzki raj*, kraina wiecznej

młodości i wiecznego spółkowania, erotyczne niebiosy, w których żyją *khosa*, czyli duchy zmarłych. Nawet adwentyści z Kaisigi nie zaprzeczali temu, chociaż utrzymywali, że *khosa* krążą wokół, dręcząc i zwodząc żywych.

Zakarbowałem Tumę wysoko na liście wysp, które chciałbym odwiedzić.

Jeden z chłopców był synem głównego budowniczego łodzi, który miał na imię Meia. Zaprowadzono mnie do miejsca, gdzie mężczyźni budowali dużą łódź z bocznym pływakiem, którą spostrzegłem po przybyciu do wioski. Powiedzieli, że pracują nad nią już prawie rok. Zrobiłem jej szkic, żeby zapamiętać nazwy wszystkich części. Dziób i falochron były pięknie rzeźbione i pomalowane, a okrężnicę ozdobiono sznurem muszelek kauri. Budowniczości nadali tej łodzi nazwę, która znaczyła tyle co „Płynąca z wiatrem”.

– Będziecie nią pływać na ryby?

– Nie – odparł przez tłumacza starszy mężczyzna o imieniu Meia. – Ona jest do zabawy.

Łódź była przeznaczona do odbywania wypraw związanych z obrzędem *kula*, w trakcie których mężczyźni z Kaisigi płyną od wyspy do wyspy, ofiarowując i otrzymując misterne naramienniki (*mwali*) i naszyjniki (*soulava*) z muszli, będące przedmiotem wymiany w tej tajemniczej zabawie. Na pozór jest to rytuał wymiany, w którym ludzie przewożą z wyspy na wyspę ozdoby z muszli, ofiarowując je przyjaciołom (partnerom w *kula*), którzy z kolei wiozą te ozdoby na inne wyspy. Tak zwany pierścień *kula* ma charakter na poły towarzyski, na poły magiczny, jest zabawą czy obrzędem odprawianym w rejonie zatoki Milne od tysięcy lat, odkąd tamtejsze ludy – wszystko wytrawni żeglarze – zaczęli podróżować między wyspami. Naramienniki wędrują w pierścieniu *kula* przeciwnie do kierunku ruchu wskazówek zegara, naszyjniki zaś zgodnie z ruchem wskazówek zegara, a wartość zawdzięczają historii i mocy narastającej przez lata przekazywania od osoby do osoby. Tę nadprzyrodzoną moc w Polinezji nazywają *mana*, a jest ona duszą i siłą. Każdy przedmiot w pierścieniu *kula*, a zawsze krążą ich setki, ma swoją nazwę, pochodzenie i osobowość. Nie należy do nikogo. Sprzedaż którejkolwiek z tych muszelkowych ozdób jest rzeczą niewyobrażalną.

Nie wszyscy mogą brać udział w wyprawach *kula*. Odniosłem wrażenie, że ludźmi *kula* jest mniejszość wyspiarzy i że zostali oni włączeni do wąskiej społeczności *kula* przez przyjaciół i krewnych w zasadniczo podobny sposób, w jaki w innej kulturze ludzie zostają wciągnięci do towarzystwa kręglarskiego. Istotną rolę odgrywają przyjaźń czy braterstwo i – jak przystało na Trobriandczyków – dotyczy to również kobiet.

Wszystko to powiedział mi mistrz skutniczy Meia. Żeby móc odbywać wyprawy *kula*, trzeba mieć pełnomorskie kanu, *masawa*, ponieważ wyspy są nieraz znacznie od siebie oddalone.

Opowiadając mi o tym, Meia mieszał betel z wapnem w małym kubku, po czym wsysał czerwone kapki z drewnianej łyżeczki. Należał do nielicznego grona mieszkańców Kaisigi uzależnionych od tej odrobinę odurzającej używki.

– Co to jest? – zapytałem.

– Piwo – odpowiedział, uśmiechając się bezzębnymi, zżartymi wapnem ustami.

Nie dało się ustalić, ile Meia miał lat, ale mogłem to oszacować. Pamiętał, że pomagał żołnierzom nosić skrzynie z prowiantem i amunicją po lądowaniu amerykańskich amfibii na Trobriandach. (Generał MacArthur uznał, że trawiaste lotnisko na Kiriwinie pomoże aliantom w prowadzeniu wojny powietrznej z Japonią). Działo się to w czerwcu 1943 roku. Jeżeli Meia miał wtedy czternaście lat, to teraz miał sześćdziesiąt jeden. Ze względu na brak zębów, kościstą, wysuszoną twarz i mętne oczy wydawał się jednak o wiele starszy.

Żadna z osób, które spotkałem na Trobriandach, nie wiedziała, ile właściwie ma lat, a wielu nawet nie próbowało zgadywać. W ogóle nie rejestrowano ani nie wspomniano dnia ani nawet roku urodzenia. Małe dziewczynki, u których jeszcze nie zaznaczyły się piersi, wołały: „Piętnaście!”, a pewna piersiasta dziewczucha oznajmiła: „Sześć!”. Pewien chłopak w wieku szkolnym, drocząc się ze mną, oświadczył, że ma sto lat, a kiedy obiecałem mu cukierki, jeżeli mi powie, ile naprawdę ma lat, nie potrafił tego zrobić. W odniesieniu do rodziców powiadali: „Czterdzieści, może pięćdziesiąt, jakoś tak”.

Wyjaśniłem pojęcie dnia urodzin Zechariahowi, który wyglądał na dwudziestolatka.

– Ciekawy pomysł – orzekł. – Ale nie wiem. Ani ojciec, ani matka nie pamiętają, kiedy się urodziłem.

**Nie planowałem** dłuższego pobytu w Kaisidze, ale skoro już rozbiłem tu namiot i przestano traktować mnie jak dziwoląga, postanowiłem zostać. Była to dobra baza wypadowa do wycieczek do innych wiosek na tej stosunkowo dużej wyspie, a i miejsce, do którego chętnie się wraca wieczorem. Mieli wodę pitną, było czysto i porządnie, mieszkańcy gościnni – nienatrętni, nie pożyczali, nie kradli, a po kilku dniach nawet się nie gapili. Właśnie błogi spokój robił na mnie największe wrażenie. Tak, chętnie zostanę dłużej.

Skończył mi się prowiant, ale szczęśliwie się okazało, że bardzo posmakowały mi miejscowe potrawy. Jadłospis mieszkańców Kaisigi obejmował parowane lub gotowane bulwy taro, słodkich ziemniaków i jamsu, a także zieleninę, którą nazywali „wierzchem dyni”, i swego rodzaju szpinak zwany *ibica*.

Gotowali w mleku kokosowym otrzymywanym z utartego miąższu wymieszanego z wodą. Od czasu do czasu jedli rybę, wędzoną lub gotowaną na parze. Nie brakowało bananów ani guajawy. Z powodów religijnych nie jedli mięsa. Niczego nie smażyli, nie używali soli ani ziół. Dieta niemal idealna – w istocie blisko przypominająca ową beztłuszczową wysokoenergetyczną dietę, jaką w bestsellerowej książce propagował Nathan Pritikin.

„Duża tusza jest bardzo rzadka i jeśli występuje w bardzo znacznej formie, uważana jest za chorobę”<sup>[22]</sup>, zanotował na Trobriandach Malinowski siedemdziesiąt lat temu. Pod tym względem nic się nie zmieniło. W sobotę, kiedy w wiosce nie było co robić, albowiem w sabat nikt nie gotował ani nie pracował, namówiłem grupkę wieśniaków na wycieczkę, w trakcie której uczyli mnie nazw tamtejszych zwierząt, z których większość – jak choćby czaple, węże, jaszczurki czy żółwie – Księga Kapłańska obłożyła zakazem

spożywania. Nawiązałem do kwestii otyłości, na co jeden z moich towarzyszy, Lyndon, z autentycznym przejęciem rzekł:

– Jest obrzydliwa.

Reszta przyklasnęła tej opinii. Na Trobriandach prawie się nie zdarza, żeby ktoś był *napopoma* (brzuchaty), mówili, a otyły człowiek jest uważany za tak niepociągającego erotycznie jak starzec, kaleka, trędowaty lub albinos.

W sobotni sabat w Kaisidze jadło się zimny jams i oślizgłą zieleninę, siedziało się i rozmawiało, spało się, podczas gdy młodzież śpiewała, modliła się lub słuchała biblijnych czytań pastora Johna, które nazywał „klejnotami pamięci”. Jakkolwiek obcy i samotny czułem się w tej sennej wiosce na niedużej wilgotnej wyspie w ciągu tygodnia, uczucia te jeszcze się pogłębiły w sobotę. Zrobiłem się nerwowy i drażliwy. Ale w następną sobotę już wiedziałem, jak przetrwać ten dzień, i kiedy John poprosił mnie, żebym przemówił w kościele, wygłosiłem kazanie wegetariańskie. Oparłem się na czytaniu z Księgi Daniela, o tym jak Daniel powziął postanowienie, aby nie kłaść się mięsem i winem ze stołu Nabuchodonozora, i jak nabrał zdrowia i mądrości, przestrzegając diety opartej na soczewicy i wodzie.

John poczuł, że dojrzałem do nawrócenia, i skoro tylko się spotykaliśmy, karmił mnie dobrą nowiną adwentystów. Któregoś dnia powiedziałem, że jestem ciekaw wioskowych ogrodów, które leżały jakieś półtora kilometra w głębi lądu. Poszliśmy ścieżką po części grząską, po części najeżoną skałami koralowymi, zagłębiając się w parną dżunglę. Starłem się przeskakiwać z korzenia na korzeń nad błotem i nad czarnymi, lśniącymi stonogami, podczas gdy żarły mnie niewidoczne kuczmany i moskity. Tam i sam na pajęczynach wielkości koła parowozu wisały pająki o dwudziestocentymetrowym rozstawie nóg. Strzępy pajęczyny oblepiały twarz, spragniony ledwo dyszałem, od potykania się o skały koralowe bolały stopy, a John nauczał jak nakręcony.

– Jezus powiedział: „Nikt nie może dwom panom służyć. Bo albo jednego będzie nienawidził, a drugiego będzie miłował; albo z jednym będzie trzymał, a drugim wzgardzi. Nie możecie służyć Bogu i Mamonie”<sup>[23]</sup>. Cóż znaczą te słowa, kiedy wypowiada je Bóg Wszechmogący? Otóż znaczą...

Ledwo zipiąc, zżarty przez cholerne owady, utyłany w błocie, odtrącając wielkie pająki, brnąłem przez dżunglę, a ilekroć ocierałem się o pień drzewa, natychmiast oblażyły mnie kąsające mrówki.

– Szeroka jest brama i przestronna ta droga, która prowadzi do zguby<sup>[24]</sup> – powiedział John.

Po godzinie przedzierania się przez zarośla dotarliśmy do ogrodów, kamienistych poletek, na których pomiędzy wysepkami skał koralowych i korzeniami drzew bujnie krzewiły się posadzone bezładnie jams, słodkie ziemniaki, taro i papaje.

– Powtarzam im, żeby nie marnowali jedzenia – powiedział John, stojąc na koralowym głazie. – Tylu ludzi na świecie umiera z głodu!

Spostrzegłem kurę grzebiącą w ogrodzie.

– Jecie kury? – zapytałem.

John spojrział na mnie srogo i rzekł:

– Ciało jest świątynią Boga.

Właśnie tę sentencję rozwijał, gdyśmy wracali.

– Żniwa jamsu są straszliwe – mówił, cmokając z dezaprobatą. – Wszyscy spółkują bez opamiętania.

– W wiosce?

– Tak, robią to w wiosce.

– Na twoich oczach?

– Tak, robią to, kiedy ludzie na nich patrzą! – powiedział, gwałtownie roztrzając gałęzie. – Tak, wszyscy widzą ich podrygi! O, to straszne.

– Nie chcę nawet o tym myśleć – powiedziałem, cmokając z dezaprobatą, kiedy przywołał więcej szczegółów.

Nabożeństwo wieczorne odprawiano w ciemności, albowiem w Kaisidze nie mieli lamp, a latarek używano tylko do połowu ryb. Pod wieczór skryłem się w namiocie. Popijałem sherry i robiłem notatki, kiedy usłyszałem dzieci śpiewające *Weespa a frayer in da morning*. Wiedziałem, że nabożeństwo się kończy, gdy dzieci zaśpiewały:

Pan zachowa nas w nocy,  
Zbawi od obaw wszelkich,  
Aniołowie ustrzegą we śnie,

Aż znowu słońce wszędzie.

Amen!

Kiedy dzieci wyszły z kościoła, pobiegły w ciemność, gdzie bawiły się i śpiewały, śmiały i dokazywały, a czasem – choć przed chwilą wydawały się takie pobożne – hałasowały niczym diablęta i co raz intonowały:

Most londyński wali się,

Wali się, wali się,

Moja droga pani!

Najlepsza plaża na całej wyspie znajdowała się na zachodnim brzegu, nad bezludną zatoczką o dwie godziny kajakiem od Kaisigi. Półksiężyc białego piasku nad czystą wodą i pod cienistymi drzewami. Czasem płynąłem tam, jadłem przywieziony obiad, kąpałem się, obserwowałem papugi i bieliki.

Rozkosz, a właściwie tylko okruszek. Nieporównanie bardziej przyjemne były bowiem wieczorne nasiadówki w nadbrzeżnym pawilonie w Kaisidze, gdy siedział wśród gwarzących cicho wieśniaków, słońce zachodziło i nad laguny nadlatywała chłodna bryza. Piliśmy słodką wodę z zielonych kokosów.

Kiedy znowu przyjedziesz, przywieź nam czekoladę, prosili. Przywieź nam gumy do miotania dzidy, przywieź groty do dzidy, haczyki i żyłkę. Przywieź T-shirty. Przywieź mi lampę, poprosił Micah. Przywieź mi ubranka dziecinne, poprosiła Esther. Przywieź mi zegarek, rzekł John.

W te wieczory rozmawialiśmy szeptem o duchach. Ileż to duchów jest na Trobriandach! Właśnie dlatego wyspiarze budują chaty bez okien, gdzie zaszywają się na noc, chociaż ich dzieci bawią się na dworze jeszcze długo. Opowiadali mi o *khosa*, duchach zmarłych.

– Przychodzą i zwodzą nas! – mówili.

Opowiadali o *mulukwausi*, niewidzialnych latających wiedźmach, które przysiadają na drzewach, na dachach chat, zlatują na dół, przenikają w ciała ludzi, zagnieżdżają się w sercach i płucach, przez co ludzie w końcu umierają. Opowiadali o *bwaga'u*. Nie, to nie są duchy, szeptali, lecz rzeczywiści ludzie, którzy w nocy zabijają innych. *Bwaga'u* to czarownicy.

– Dajcie mi przykład – poprosiłem.

Siedzieliśmy w pawilonie na skraju laguny w jedną z tych księżycowych nocy, kiedy błogie marzenie o morzach południowych zamienia się

w rzeczywistość. Bryza pieściła twarz, szum morza kołował uszy i duszę, odurzała woń kwiatów, słyszałem wieczorne kwilenia ptaków moszczących się do snu.

– Dwa lata temu mieliśmy we wsi – opowiadał Lyndon – dwoje małych dzieci, które uważano za złe. Sprowadzały nieszczęścia. Tak mówili ludzie.

Bryza zaszeleściła w strzesze pawilonu i wydało mi się, że wieśniacy wstrzymali oddech.

– I co się stało z tymi dziećmi?

– Zostały zabite.

– Jak?

– Otruto je.

– Kto to zrobił?

– *Bwaga'u*. Ktoś z naszej wioski.

– Wiecie kto?

Nikt nie odpowiedział. Ciemność i cisza. *Ktoś z naszej wioski*. Czarownik. A była to bardzo mała wioska.



## rozdział\_siódmy\_

### Schodzę na ziemię na niespokojnych Trobriandach

– **Nie możemy** jechać skrótem. Rano widziałem kilka gołych dziewczyn na tej drodze – rzekł Simon, uśmiechając się, ale jego fioletowe wargi lekko drżały, jak gdyby z obawy.

Właśnie przybyłem drugi raz na Trobriandy, wysiadłem z samolotu z Moresby na trawiastym pasie startowym, gdzie spotkałem Simona, właściciela skorodowanej półciągarówki. Bosy i bezzębny Simon zaprzeczał opinii Malinowskiego, który w odniesieniu do mieszkańców tych wysp pisał: „W sumie wywołują oni, na pierwszy rzut oka, nie tyle wrażenie nieokrzęsanych dzikusów, ile zadowolonych z siebie mieszcuchów”<sup>[25]</sup>.

Zdziwiło mnie raczej to, że Simon w ogóle się uśmiechnął. Chwilę wcześniej na poboczu drogi starszy hinduski ksiądz w szortach i słomkowym kapeluszu spytał, czy może się z nami zabrać.

– Ty z misji katolickiej? – zapytał Simon, a gdy ksiądz potwierdził skinieniem głowy, Simon warknął: – Nie, nie, nie! – i gwałtownie ruszył. Misja sąsiadowała z jego wioską. – To źli ludzie – tłumaczył się przede mną. – Dręczą nas.

Na pace leżał mój składany kajak i sprzęt biwakowy, a także wielki wór z prezentami: T-shirtami, lampą, grotami do dzidy, haczykami wędkarskimi i wszystkim innym, o co prosili mnie wieśniacy z Kaisigi.

– Te dziewczyny robiły *mwaki-mwaki* – powiedział i zachichotał na wspomnienie tego tańca. Miał włosy barwy ziemi i brunatną dziobatą twarz. – Ubrane w krótkie spódniczki.

Oznaczało to spódniczki z trawy.

– Zadzierają spódnice. Pokazywały tyłek i części intymne.

– Co się stanie, jeżeli pojedziemy tamtędy?

– Zgwałcą nas.

– Jak mogą nas zgwałcić, jeżeli będziemy biernie leżeć? To fizycznie niemożliwe.

– Zrobią to – rzekł z przekonaniem i na fioletowych od soku betelowego ustach znowu zagościł uśmiech – siądą nam na twarzy.

– Boisz się tego?

– Bardzo.

– Nie napadną *dim-dim* takiego jak ja.

– Napadną. Napadły jednego parę lat temu. No i Dennisa, dopadły go w zeszłym roku.

Dennis był miejscowym posłem do parlamentu, białym.

– Ale święto jamsu ma się zacząć dopiero w przyszłym tygodniu – powiedziałem.

– Zaczęło się dzisiaj – stwierdził Simon. – Dzisiaj zaczęli zbiory.

Świetnie!, pomyślałem.

Trobriandczycy, którzy kręcili się wokół hoteliku lub w nim pracowali – a nigdy nie było jasne, kto jest kim – przywitali mnie przyjaźnie i pomogli wnosić bagaże.

– To pana łódź, mister Paul!

W krainach, gdzie czas się nie liczy, gdzie nie ma napiętych terminów i nikt się nie śpieszy – na wyspach Pacyfiku, w sercu Afryki, na polanach w południowoamerykańskiej dżungli – ludzie wydają się obdarzeni doskonałą pamięcią. Kiedy się tam wraca, nawet nie wspominają, ile to czasu minęło od naszej poprzedniej wizyty. Witają nas, nie wylewnie, ale ciepło. Proszą do stołu. Człowiekowi wydaje się, jak gdyby w ogóle nie wyjeżdżał.

– Co nowego? – pytałem.

– Nic – odpowiadali.

Jedzenie w hoteliku okazało się jeszcze gorsze niż poprzednio. Kiedy siadłem za stołem, przyniesiono talerz z częstką pomarańczy, małą wyschniętą marchewką, kilkoma brunatnymi plasterkami banana i zimnym rozkrojonym szarym hot dogiem.

– Kucharz strajkuje – oznajmiła Gertrude. Była chuda i pomarszczona, chociaż miała nie więcej niż trzydzieści pięć lat. W kraju gdzie – z powodu

malarii, gruźlicy i zakażeń bakteryjnych – średnia długość życia wynosi czterdzieści kilka lat, Gertrude uważano za raczej starą, a i na taką wyglądała.

Poprosiłem, żeby przyniosła mi rybę, jams i słodkie ziemniaki, a jeżeli nie mają tego w kuchni, to dlaczego nie kopnie się do wioski. Przyniosła to, o co prosiłem, a kiedy zacząłem jeść, przysiadła się i rozmawialiśmy o żniwach jamsu. Tamtego ranka kilka dziewcząt przyskrzyniło mężczyznę, gdy wychodziły z ogrodów, niosąc jams. Jams jest warzywem szczególnym, magicznym. Przenoszą go zawsze kobiety, a w społeczeństwie o strukturze matrylinearnej to kobiety mają władzę.

– Obaliły go – opowiadała Gertrude. – Podrapały mu ramiona.

– Dziewczęta czy kobiety?

– Dziewczęta. Nie kobiety. Dziewczęta są młode. Mogą robić, co chcą. Są własnością publiczną. Ale w tym czasie nawet kobiety noszą krótkie spódniczki. Ich mężowie nie mogą nic z tym zrobić.

– Czy i ty zakładasz czasem krótką spódniczkę?

– Jeżeli zechcę! – powiedziała i zaśmiała się hardo. – A co robią w Ameryce?

– Mężczyźni i kobiety ganiają za sobą przez cały rok, nie tylko podczas żniw. Ale to nie jest takie zabawne. No i mężczyźni czasem płacą kobietom.

– U nas w niektórych wioskach też płacą. Pięć *kina*. Albo dwa *kina*, jak mężczyzna nie ma pracy.

To doskonałe!

– Nazywają to „krzaczory za dwa *kina*”. Płacisz dwa *kina* i robisz to w krzakach.

Przez całą noc wiał silny wiatr. Rano nadal dmuchało i panowały trudne warunki dla wioślarzy. Było chłodniej niż w trakcie mojej poprzedniej wizyty, po niebie gnały rozproszone chmurki. Ale chciałem wypłynąć, więc zaniósłem sprzęt na brzeg i – podczas gdy schodzili się ciekawscy mężczyźni i chłopcy, mamrocząc: „*Waga*” – zacząłem składać kajak. Dziewięciu mężczyzn niosło kiście orzeszków betelowych. Pochodzili z wyspy Munuwata, która leży kilka kilometrów na zachód od Kaileuny. Przysiedli, gapili się, spluwali czerwonym jak krew sokiem betelu i wybuchali śmiechem, ilekroć potknąłem się albo przekląłem w trakcie składania kajaka.

Przyłączyło się do nich dwóch Chińczyków. Powiedzieli, że są z Malezji, a domyślałem się, że na Trobriandy przybyli po *bêches-de-mer*, czyli strzykwy, które Chińczycy nazywają ogórkami morskimi i uważają za przysmak. Miejscowi nurkowie łowią na znacznych głębokościach piękne okazy tych stworzeń i sprzedają je po piętnaście centów od sztuki handlarzom, którzy je przerabiają. Te stwory, wyglądające jak tłuste gąbczaste kiełbaski, są wędzone i suszone, aż robią się z nich krótkie twarde kabanoski, pakowane po dwadzieścia kilogramów w worki i eksportowane. Obok rzeźb i snycerki ogórki morskie należą do nielicznych towarów eksportowych Trobriandów. (Muszle skrępow na guziki i piękne motyle sprzedawane lepidopterologom dopełniają tę listę). Ogórki morskie poławiano w zasadzie wyłącznie na eksport. Większość Trobriandczyków śmieje się na myśl, że można by jeść te stworzenia, chociaż gdy brakuje żywności, niektórzy się nimi odżywiają.

Panowie Lim i Choo przyglądali się, jak pakuję bagaż do kajaka.

– Wypływa pan sam w tej łódeczce? – zapytał pan Lim.

– Tak.

– To bardzo ryzykowne – orzekł.

– Skoro pan tak sądzi.

– A nie wygląda pan na ryzykanta – dodał. – Wygląda pan jak profesor.

– Bardzo pan miły, panie Lim.

– Uważam się za ryzykanta – powiedział pan Choo. – Ale nie wypłynąłbym samotnie. To zbyt niebezpieczne.

Pan Lim patrzył z naganą na mężczyzn z Munuwaty.

– Tyle że Aborygeni są raczej życliwi – stwierdził.

Andrew, czarny krzepki rybak, który pracował w hoteliku, rozmawiał z mężczyznami z Munuwaty. W pewnej chwili roześmiał się i rzekł:

– Mówią: „Powiedz *dim-dim*, żeby uważał”.

– Czemu tak mówią? – zapytałem.

– Bo morze wokół Kaileuny jest bardzo wzburzone – odparł Andrew. – Dlatego są tutaj. Czekają na poprawę pogody.

Może i skłoniłoby mnie to do zmiany decyzji, ale już dobrze znałem ich łodzie. Były solidnie zrobione, ale miały mało wolnej burty, więc na wzburzonym morzu nabierały wody. W swoich kanu mogli płynąć praktycznie

wszędzie, nawet w trudnych warunkach, choć nieraz wymagało to mnóstwa pracy związanej z wybieraniem wody za pomocą drewnianych czerpaków. Ja też mogłem płynąć praktycznie wszędzie właściwie w każdych warunkach, lecz nie musiałem wybierać wody. Na tym polega wielka zaleta kajaka.

Nigdy przedtem nie pływałem jednak tak obciążonym kajakiem. Oprócz prowiantu i ekwipunku wiozłem mnóstwo prezentów, których część – między innymi pięćdziesiąt T-shirtów i sprzęt rybacki – wpakowałem do brezentowego worka wielkości tych, jakich używają do przewozu poczty, który umocowałem na deku rufowym, gdzie wyglądał niczym zwłoki.

Dodatkowy balast zwiększył wprawdzie zanurzenie i stabilność kajaka, ale sprawiał, że wiosłowanie wymagało większego wysiłku. Na mającym barwę gliny kanale, a potem na zarośniętych płycznach szło mi całkiem nieźle. Kiedy jednak minąłem krokodyle czatujące opodal Boli Point i wypłynąłem na otwarte morze, musiałem się zmagać z silnym wiatrem i przeszło metrowymi grzywaczami.

Leżący na deku wór chwycił wiatr, który obracał kajakiem niczym wiatrowskazem. Zacząłem poważnie się zastanawiać nad powrotem albo przycupnięciem gdzieś na zachodnim brzegu Kiriwiny, żeby poczekać na poprawę pogody. Dumając nad tym, co powinienem robić, wiosłowałem wpatrzony w widoczną w dali Kaileunę, wiatr ciągle miotał mną na boki, fale przelewały się przez dek dziobowy, gdy nagle zdałem sobie sprawę, że dylemat sam się rozwiązał, bo jestem już za daleko od brzegu.

Płynąłem więc dalej. Kajakarze mawiają, że jak człowieka przyskrzynią fale i wiatr, trzeba trzymać pion i zasuwać. Miałem mnóstwo czasu, nie musiałem się śpieszyć, a całe moje zadanie polegało na doczłapaniu do Kaileuny. Najbardziej przeszkadzały mi fale, które co chwila mnie oblewały, chlustając mi w twarz spienioną wodą, a zimne strużki spływające po plecach wzbudzały nieprzyjemny dreszcz i obawę, że najgorsze dopiero przede mną.

Zmierzałem do najbardziej wysuniętego w morze cypla Kaileuny, skrawka lądu, gdzie będę mógł się schować przed wiatrem, napić czegoś i odpocząć, zanim ruszę wzdłuż brzegu do Kaisigi. Na ten skalisty cypel przebijałem się przez fale trzy godziny, ale nie zdążyłem nawet uczić swojego wyczynu

łykiem wody, kiedy na maleńkiej plaży pojawiło się dwóch chłopaków z dzidami – zwykłymi kijami z zardzewiałymi grotami domowej roboty.

– Nie zrobimy ci nic złego – powiedział jeden z nich. Miał okulary pływackie, które nadawały mu łotrowski wygląd.

Ta deklaracja brzmiała w gruncie rzeczy jak groźba. Wyciągnąłem swoją włócznię, drzewce z włókna szklanego zakończone złowrogo wyglądającym trójzębem.

– Chcecie zobaczyć moją włócznię?

Popatrzyli na nią z podziwem i wyraźnie nabrali respektu.

– Dokąd zmierzasz?

– Do Kaisigi – powiedziałem.

– Nie lubimy tych ludzi – powiedział chłopak w okularach pływackich. – Jesteśmy z Giwy.

– Czy dziewczyny w Giwie gwałcą mężczyzn w tym tygodniu? – zapytałem.

– Dziewczyny gwałcą mężczyzn na łądzie. U nas nie.

Słowo „ład” oznaczało Kiriwinę. Tę większą wyspę zawsze zwano tam ładem. A prawdziwy ład nazywano Nową Gwineą.

– Przyjdź do Giwy – powiedzieli, gdy odbijałem od brzegu. – Pokażemy ci naszą wioskę.

Jeszcze z godzinę mozoliłem się do Kaisigi, by zobaczyć, że w zatoczce, gdzie zwykle stało wiele rybackich łodzi, małych kanu i większych żaglówek, nie było ani jednej łódki, a jedynie wzburzone morze. Na plaży nikogo, tylko wiatr zamiatał słomę wyrwaną ze strzech i fragmenty wyplatanych chat.

Zostałem zauważony, najpierw przez dzieci, a potem przez kilku mężczyzn schowanych przed wiatrem za jedną z chat. Zjawili się Micah, Josiah i Lyndon, którzy pomogli mi wciągnąć kajak na brzeg.

– Przyplynałeś z bazy? – zapytał Josiah, mając na myśli Losuię. – W takim wietrze? Ho, ho!

Widziałem, że bardzo się cieszyli. Tamtego dnia zamierzali wypłynąć na ryby, ale z powodu sztormowej pogody zostali na łądzie. Pochlebiało im to, że w takich trudnych warunkach przepłynąłem kawał drogi, żeby ich odwiedzić, i że nie bałem się przemoczyć, byle przywieźć im T-shirty i sprzęt rybacki.

John był w ogrodzie, ale Esther w domu. Siedziała po turecku przed chatą, karmiąc piersią niemowlę.

– To jest Anne – powiedziała. – Tak jak ci mówiłam. Daliśmy jej imię po twojej żonie.

– To ładne imię – rzekłem.

Po prostu nie miałem siły tłumaczyć jej ani nikomu innemu na tych szczęśliwych wyspach, jak rozsypało się moje życie.

Dałem Esther ciśnieniową lampę naftową, którą przywiozłem dla niej z Moresby, a potem rozpakowałem kajak. Kiedy stawiałem namiot, przybierający na sile porywisty wiatr niemiłosiernie tarosił palmy kokosowe. Tymczasem opodal dziesięcioro dzieci kopało futbolówkę. Piłka co rusz waliła w namiot. Machnąłem na dzieci, żeby poszły precz, ale tylko się rozśmiały. Niczego się nie bały. Wkrótce zaczęło padać, a one nadal kopały piłkę, darły się, piszczały i biegając, taplały się w wodzie.

Oszalałe dzieciaki, deszcz i wiatr stargały mi nerwy. Schowałem się do namiotu i popijając sherry, które ukrywałem przed miejscowymi prohibicjonistami, sporządziłem notatkę na temat porannej przeprawy przez wzburzone morze. Piłka nadal co chwila waliła w ścianę namiotu, ale kiedy krzyknąłem na dzieci, żeby poszły się bawić gdzie indziej, znowu mnie wyśmiały. W końcu zdrzemnąłem się.

Obudziło mnie dudnienie beczki. Pośród szumu i bębnienia deszczu posłyszałem pośpieszne tuptanie dzieci, a potem pieśń:

*Weespa a frayer in da morning,*

*Weespa a frayer at noon...*

Dziecinne głosiki brzmiały naprawdę słodko, ale chwyciłem w nich nutkę szyderstwa. Nie wydawały mi się już niewinne. Obrzędy i modlitwy były tylko krótkimi przerwami w ich dokazywaniu i w gruncie rzeczy dodawały szczyptę diabelstwa do tych figli.

Pastor John wrócił z ogrodu, żeby odprawić wieczorne nabożeństwo. Chwilę później spotkałem go pod rozwichrzonymi drzewami i powiedziałem, że przywiozłem rzeczy, o które prosili, a więc zegarek, lampę, T-shirty i sprzęt rybacki.

Pomimo deszczu i wichru wielu wieśniaków przyszło popatrzeć, jak rozpakowuję worek z T-shirtami, które zebrałem dla nich wśród znajomych. Powiedziałem, żeby każdy wybrał sobie koszulkę, która mu się podoba, a oni od razu je wdziewali, pokazując nadruki: „Boston Celtics”, „Hard Rock Café”, „Me and My Girl”, „Punahou School”, „Great Wall Hotel Beijing”, „Dream Girls”, „Braves” i tak dalej. Brali koszulki bez ceremonii. Chociaż przyjmowali je z widoczną wdzięcznością, to bez słowa podziękowań, a powściągliwość i zdawkowość ich zachowania zdawała się świadczyć o rozczarowaniu.

Dałem Lyndonowi kilka haczyków wędkarskich. Uśmiechnął się.

– A gdzie żyłka? – zapytał. – Na co mi haczyki bez żyłki?

Zechariah podziękował za grot do dzidy.

– Teraz potrzebuję gumy – powiedział, mając na myśli gumową rurkę medyczną, którą mocowali na drzewcu, żeby miotać dzidę z większą siłą.

– Możesz pożyczyć od Micaha – powiedziałem. Podarowałem bowiem Micahowi kawał gumowej rurki.

Zechariah jednak widział, że mam jeszcze kilka takich gum, które pragnąłem zachować dla mieszkańców innych wiosek.

– Chcę mieć własną gumę – rzekł Zechariah.

– Przywiozłeś zapasowe baterie do mojego zegarka? – zapytał John.

– Ta koszulka mi nie pasuje – stwierdził Derrick, wymieniając T-shirt z nadrukiem „Braves” na opatrzone napisem „A Day in the Life of Canada”.

Rozdając prezenty w społeczności, której życie opiera się na nieustannej wymianie darów, odprawiałem oczywisty rytuał, wypełniałem ciężący na mnie obowiązek i dlatego uważali, że mają prawo wybrzydzać. Ale kiedy okazałem się całkowicie głuchy na ich żądania, po prostu zmienili temat.

– Jutro jest uczta w Sinakecie – powiedział Lyndon. – Płynę tam. Możesz jechać z nami.

– A jeżeli pogoda będzie zła?

– O, jestem dobrym żeglarzem – rzekł Lyndon ze śmiechem. – Jestem duży, jestem mocny. Ha!

– Mogę popłynąć kajakiem – powiedziałem.



W nocy wiało tak mocno, że wiatr podniósł połę mojego namiotu, a deszcz przemoczył moskitierę. Bębnienie ulewy i hurgotanie wiatru w drzewach obudziło mnie i przestraszyło. Słyszając fale, które z hukiem wylewały się na plażę, wystawiłem głowę z namiotu, ale w ciemności nic nie widziałem. Zapaliłem więc latarkę, płosząc czarniawego kraba dwakroć większego od mojej ręki, który majstrował szczypcami przy wejściu do namiotu.

Rano zaparzyłem zieloną herbatę i zjadłem śniadanie złożone z ryżu i „wierzchów dyni” na mleku kokosowym, które dostałem od Esther. Nadal ostro wiało, morze wzburzone, a w całej lagunie kipiały spienione fale. Nie był to wymarzony dzień na żagle albo kajak.

– Płyniemy – oznajmił Lyndon. – Jedź z nami.

W swoim czasie opowiadał mi o żeglarskim życiu: „Wypływamy w morze, a jak się ściemnia, znajdujemy wyspę, na której spędzamy noc. Na tym morzu wszędzie są wyspy i w nocy zawsze znajdzie się pusta wyspa”. Zaufałem mu.

Cała wioska wyległa, żeby spuścić na fale żaglowe kanu Lyndona. Wziąłem ze sobą lornetkę i kompas. Wyruszyło nas dziewięcioro, w tym jedna kobieta, która przycupnęła na dziobie. Siadłem na okrężnicy, a pozostałych siedmiu mężczyzn stanowiło załogę. Dwóch zajmowało się takielunkiem, dwóch, wciśniętych pomiędzy brasy, trzymało wiosła sterowe, jeden zajmował się głównym szotem, jeden stał na dziobie i wyznaczał kurs, wreszcie Lyndon wykrzykiwał komendy i zajmował się wylewaniem wody. Trudno byłoby żeglować tym sześciometrowym kanu z mniej liczną załogą. Zaraz po odbiciu od brzegu zaczęliśmy nabierać wody, a gdy przemknęliśmy nad rafą, woda wlewała się strumieniami. Większość wody przeciskała się nieuszczelnioną szparą pomiędzy deskami wzdłużnymi, które dodano w celu zwiększenia wysokości i wyporności łodzi. Nikt nie wydawał się tym zaniepokojony, a zwłaszcza Lyndon, wybierający wodę starym drewnianym czerpakiem, który zwali *yatura*.

Mieliśmy żagiel łaćński zrobiony z grubego niebieskiego laminowanego brezentu. Żeglowaliśmy w wietrze wiejącym od strony pływaka, tak że platforma pływaka nachylała się w stronę kadłuba, a burta zawietrzna zanurzała niemal powyżej owej szpary w poszyciu. Nie mogliśmy żeglować bardzo ostro pod wiatr i początkowo odnosiłem wrażenie, że wszystko

przebiega bardzo chaotycznie. Wkrótce jednak przekonałem się, że wszyscy członkowie załogi dobrze znali swoje obowiązki i na wzburzonym morzu sumiennie się z nich wywiązywali.

Żaglówka reagowała wolno na trzymowanie, była ciężka przy zwrotach i niemrawa na falach. Wszyscy przemokliśmy do nitki, skoro tylko wydostaliśmy się za rafę.

– Lyndonie, czy ta łódka ma imię? – zapytałem.

– *Toiyokwai* – odpowiedział. – To znaczy: „Za duża głowa”. Mówisz: „Zrób to”, mówisz: „Zrób tamto”, a osoba nie słucha. Tacy robią wszystko po swojemu. Nie można im nic kazać.

Nadęty, arogant, zadufek, pomyślałem.

– O tak, znam ten typ – rzekłem. – Ale czemu płyniemy na otwarte morze?

– Ona jest lepsza w tym wietrze.

Spojrzeliliśmy w stronę znikających wysp, gdzie inne kanu walczyło z łagodniejszym wiatrem.

– Odsadzimy ich – powiedziałem.

Roześmieli się, bo oczywiście właśnie do tego dążyli, bez przerwy manipulując wiosłami, których używali przemiennie jako mieczy bocznych i steru.

– Tylko popatrzcie na nich – rzucił Micah.

Kilkaset metrów wzburzonego morza dzieliło nas od tamtego kanu, którym rzucało i obracało na falach. Zmierzaaliśmy na południowy wschód do nadmorskiej wioski Sinaketa na długim cyplu Kiriwiny.

Micah krzyknął coś w języku kiriwina w stronę drugiego kanu, tonem lekceważącym i tryumfalnym zarazem, a reszta załogi gruchnęła śmiechem.

– Co powiedział? – zapytałem.

– Powiedział: „Pieprzcie swoją matkę”. „Pieprzcie swoją siostrę” – odrzekli, a ja zapewne zachnąłem się, bo zaraz dodali: – O, tylko żartujemy z nich.

Wiatr szarpał naszym żaglem i napręzał zabytkowo wyglądające liny.

– Oto co się zowie wzburzone morze – powiedziałem.

– Prąd idzie w *tym* kierunku, a wiatr w *tamtym* – stwierdził Lyndon, wyrażając niezmiennie prawo morza. – Dlatego tu jest taka fala.

– Czy macie we wsi motorówkę? – zapytałem.

– Tak, ponton, ale ma schrzaniony motor – odparł jeden z wioślarzy. – I są z nim problemy.

Lyndon zmienił temat. Rozmawialiśmy o krokodylach. Oni w ogóle się ich nie bali.

– Kiedyś przychodziły do wioski, żeby zjadać psy – wspominał jeden.

– W czasie odpływu widuje się je przy Boli Point, jak szukają czegoś do jedzenia – dodał drugi.

– Pewien *dim-dim* zastrzelił wielkiego krokodyla, który zabił dziewczynkę – powiedział Lyndon. – Rozcięli go i znaleźli jej kości i kolczyk, który miała w uchu.

Byliśmy już daleko od Kaileuny, a i traciliśmy z oczu główną wyspę. Wszystkie liny były napięte jak struny, a drągi i mocowania takielunku przeraźliwie skrzypiały. Lyndon na bieżąco korygował rozmaite ustawienia i jednocześnie odpowiadał na moje pytania dotyczące małżeństwa na Trobriandach. Z jego opowieści wynikało, że bezżeństwo było rzeczą nie do pomyślenia. („Trobriandczyk dopóki nie zawrze małżeństwa, nie posiada pełnego stanowiska społecznego”<sup>[26]</sup>, twierdził Malinowski). Każdy znajdował drugą połowę. Czy nie tak samo jest w Ameryce?

– Niektórzy nigdy nie zakładają rodziny – powiedziałem. – Pewien mój znajomy jest już po pięćdziesiątce. Kiedyś miał się żenić, ale narzeczona w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Znalazł inną kobietę. Krótco przed planowanym ślubem poznała innego mężczyznę. Trzecia rzuciła go: *bwoyna bogie*, baj-baj, i odeszła. Czwarta zgodziła się za niego wyjść, ale pewnego dnia się pokłócili i wyjechała, a potem w maleńkiej paczuszce odesłała mu pierścionek zaręczynowy.

– Jest bardzo smutny – orzekł Lyndon.

– Mówi, że teraz nienawidzi kobiet.

– Nie ma żony. Nie ma dzieci. To straszne. Co robi przez cały dzień?

– Pisze.

– Marnuje czas. Powinien przyjechać tutaj. Znajdziemy mu żonę.

– Czternastolatkę w spódniczce z traw i z kwiatami we włosach? – zapytałem.

– No, może piętnastolatkę – odparł Lyndon.

Przez resztę drogi do Sinakety tłumaczył mi, co powinienem im przywieźć następnym razem (wodoszczelny zegarek, namiot taki jak mój, bukłak taki jak mój, więcej sprzętu rybackiego), podczas gdy próbowaliśmy łowić ryby metodą „na dorożkę”, ciągnąc za łodzią haczyk z kawałkiem torebki foliowej w charakterze przynęty.

– Kiedy w ubiegłym miesiącu byłem na rybach, skończyła mi się folia – opowiadał Micah. – Uciąłem kawałek koszulki i jako przynęty używałem strzępków materiału. Nałapałem dużo ryb.

W Sinakecie wciągnęliśmy kanu na plażę i poszliśmy w głąb lądu, gdzie już trwała feta. Nasza nieliczna kompania żeglarska była cokolwiek oszołomiona wielką liczbą wystrojonych i tańczących ludzi, więc trzymaliśmy się razem. Lyndon wskazał Pulayasiego, naczelnego wodza Trobriandów, który wywodził się z potężnego klanu Tabalu i z kilkoma żonami mieszkał w Omarakanie. Pod baldachimem siedział sir Michael Somare, były premier Papui-Nowej Gwinei. Mężczyzna tak czarny i ubrany tak modnie jak amerykański raper okazał się melanezyjskim dietetykiem z Nowej Irlandii w Archipelagu Bismarcka.

Nachmurzone półnogie dziewczęta w spódniczkach z trawy tańczyły do rytmu wybijanego przez spoconych bębniarzy, tworząc podrygujący korowód. Niektóre z dziewcząt nosiły ozdoby *kula*, pobrzękujące naramienniki i naszyjniki z muszelek. Za nimi podążali chłopcy o twarzach wysmarowanych talkiem – jak gdyby zasłoniętych upiornymi białymi maskami – i tańczyli *mwaki-mwaki*, tak zwany taniec tapioka. To mało subtelny taniec erotyczny obejmujący poklepywanie się po pośladkach, pozorowane ruchy kopulacyjne, co okraszone głośnymi postękiwaniami wzbudzało aplauz widowni.

Tancerze krążyli pośród zbudowanych z gałęzi wysokich rusztowań, na których położono przeznaczone dla gości honorowych bulwy jamsu. Wszystko ustrojone chorągiewkami i kwiatami, a były też skrupowane sznurem, czekające na rzeź czarne włochate świnie, które kwiczały przeraźliwie, usiłując zerwać pęta.

Nawiązałem rozmowę z mieszkańcem Sinakety, który miał na imię James, i zapytałem go o miejscowe zwyczaje pogrzebowe.

– U nas nie ma wielkiego pogrzebu – odparł. – Ludzie umierają, a ich kości wkłada się do glinianego naczynia i chowa.

Zauważyłem, że Lyndon zaprowadził Micaha i innych do niedużego pawilonu, który wzniesiono na tę okazję. Na długich stołach ustawiono misy z kopami ryżu, gotowanego jamsu i bananów i żeglarze z Kaisigi nabierali garściami jadło z mis i wpychali je sobie do ust.

– Ale na Kitavie – ciągnął James – gdy oprawiają trupa mężczyzny, wdowa leży pod ciałem. Krew nasącza jej ubranie. Nosi to ubranie trzy dni, kiedy wioska czyści kości jej męża. W końcu kości wkładają do glinianego garnka.

Sinaketa wydała mi się zarówno dziksza, jak i nieporównanie bardziej oddana świętowaniu niż którakolwiek inna wioska, więc w drodze powrotnej zaintrygowany wypytywałem Lyndona o powody. Na podstawie tego, co mówił, zrozumiałem, że główna wyspa, gdzie wprawdzie mają parę szkół i jedyne na Trobriandach samochody, jest wyspą najbardziej tradycyjną. Tam mieszka naczelnny wódz, tam są najpotężniejsze klany i najbogatsze wioski. Właśnie tam najsumienniejsze kultuwuje się obrzędy związane ze świętem jamsu, a chociaż działają misje, misjonarze mają znikome wpływy.

Zazwyczaj siła tradycji rośnie wraz z odległością od serca regionu, natomiast na Trobriandach to prowincja, wyspy zewnętrzne, małe atole uważają główną wyspę za oazę zacofania i siedlisko prostactwa. Właśnie dlatego wieśniacy z Kaisigi pragnęli czym prędzej czmychnąć z wielkiej królewskiej wyspy Kiriwiny. Człowiek nigdy nie wie, co go spotka wśród dzikusów.

**Na własnej** skórze przekonałem się o tym kilka dni później. Udręczony samotnością, jako że cała wioska pracowała w parnych i rojących się od moskitów ogrodach, popłynąłem na bagnistą, porośniętą mangrowcami wyspę Baimapu, żeby poobserwować ptaki. Wiatr ustał, dzień wstał pogodny i spokojny, morze aż po horyzont lśniło niczym bezkresne lustro płynnego światła, wszystko malowane błękitno-różowymi pastelami. Czerwono-czarne papugi ganiały się w koronach drzew, na płyciznach brodziły czaple i inne ptaki polujące na ryby.

Woda była płytka i mulista, ale wyspę otaczał swego rodzaju kanał. Staralem się trzymać tego głębszego szlaku, z dala od mętnych równin błotnych, gdzie mogły czatować krokodyle i właściwie nie dawało się wiosłować, bo miejscami było tam ledwie paręnaście centymetrów wody.

W pewnej odległości przede mną spostrzegłem siedmiu czy ośmiu chłopców brodzących na płyciźnie i od czasu do czasu miotających dzidami przed siebie w wodę. Najwyraźniej szli na ryby. Kiedy mnie zauważyli, zmienili kierunek marszu i ruszyli ku mnie.

– Skąd jesteś, *dim-dim*? – zapytał jeden z nich. Wyglądał na jakieś trzynaście lat, a długa dzida, którą wymierzył we mnie, miała zardzewiały grot.

Celowo zachowywał się niegrzecznie, żeby mnie sprowokować, więc spokojnie powiedziałem:

– Nie nazywaj mnie *dim-dim*. Jestem z Ameryki.

– Daj PK – zażądał drugi z nich, używając marki gumy do żucia jako nazwy pospolitej.

Pozostali też zażądali gumy do żucia, po czym jeden zaczął obmacywać kajak.

– Chcemy się przejechać twoją *waga*.

Jeden próbował usiąść na rufie, drugi przyciskał czubek dzidy do poszycia.

– Nie dotykać – powiedziałem ostro. – Odsuńcie się.

Zniosło mnie już poza kanał i utknąłem na płyciźnie. Chłopcy obstąpili kajak, unosząc dzidy. Ubrani w złachane szorty, nogi mieli utyłane w błocie, smugi błota na całym ciele.

Jeden z niższych chłopców wymierzył we mnie dzidę i zaczął dźgać nią w moim kierunku, krzycząc:

– Zabiję cię! Zabiję cię!

Kiedy dźgał dzidą, jak gdyby rzeczywiście chciał mnie zabić, robił obrzydliwą minę, marszczył brwi i wywalał język.

Zanurzyłem pióro wiosła, ale kajak utknął w błocie i nie mogłem go ruszyć. Staralem się nie okazywać zdenerwowania. Jak najspokojniej powiedziałem:

– Nie bądź głupi.

Widząc wszakże, że jestem unieruchomiony, pozostali chłopcy również zaczęli mi grozić.

– Zabić *dim-dim!* – skandowali. – Zabić *dim-dim!* Zabić go!

Ten mniejszy chłopak podszedł bardzo blisko, wymierzył we mnie dzidę i syknął:

– Biegnij, bo zginiesz, *dim-dim.*

– Zabić go!

Cały czas starałem się uśmiechać, mówić powoli i jednocześnie odpychałem się wiosłem, żeby uwolnić kajak z błota. Nie chciałem wysiadać z łódki ani okazać strachu.

Istny koszmar. Osaczony przez zgraję rozwydrzonych młokosów, grożących mi i jak gdyby tańczących wojenny taniec. Te ich wściekłe brudne twarze, te obrzydliwie groźne dzidy. Ja siedziałem, oni stali. Co gorsza utknąłem na mieliźnie i widzieli, że jestem bezbronny. Nie umiałem poznać, czy to tylko makabryczna zabawa, czy prawdziwa napaść. Uznałem, że najlepiej nie reagować na groźby i czym prędzej zmykać.

Kiedy odwróciłem się do nich plecami, w końcu udało mi się wypchnąć kajak z błota. Ruszyłem wolno, ale chłopcy nadal skakali wokół mnie.

– Biegnij, bo zginiesz! – wołali.

– Patrz na mnie! – krzyczeli, pragnąc, żebym widział wymierzone we mnie dzidy.

Umyślnie na nich nie patrzyłem i starałem się maskować wysiłek wkładany w odpychanie kajaka. (Czułem, że jeżeli odkryją moje zdenerwowanie, nie odzepią się). W duchu możliwie obojętnie mówiłem sobie: „Naprawdę nie ma żadnego powodu, żebyście grozili mi tymi śmiesznymi dzidami...”.

– Patrz! – zawołali. Jeden z nich pokazywał martwą małą, odbarwioną ogończę, rybę, którą Trobriandczycy się brzydzą i którą jedli tylko najbiedniejsi wieśniacy w głębi lądu.

– Zjedz to, *dim-dim!*

Pobiegli przede mną, żebym widział ich oręż, ale zachowałem niewzruszone oblicze i przepłynąłem obok nich. Rzucili we mnie ogończę i ciągle wrzeszczeli, żeby nie stracić animuszu. Przerażliwi rozwydrzeńcy o brudnych twarzach, i te ich zardzewiałe dzidy.

Na głębszej wodzie zacząłem wiosłować energiczniej. Przez pewien czas chłopcy szli za mną. Wstrzymywałem oddech, bałem się, że któryś wbije mi dzidę w plecy, ale nie przestawałem wiosłować ile sił, aż zobaczyłem, że oddaliłem się od nich na bezpieczną odległość.

Próbowali mnie zastraszyć dlatego, że nie dałem im podarku, byłem sam, a ich wielu. Oścień zostawiłem w wiosce. Gdybym odpowiedział na ich groźby, grożąc swoim orężem, albo gdybym okazał strach, mogliby rzeczywiście mnie zaatakować. Byłem idealną ofiarą, obcym. Bez trudu mogliby mnie zranić, a nawet zabić. Wystarczyłaby zjadliwa bakteria, od których na pewno roiło się na zardzewiałych grotach ich dzid. Najbardziej zdumiało mnie nagłe okrucieństwo tych dzieci.

Powiosłowałem do Losui i podpłynąłem do kei, przy której stało kilkanaście łodzi. Czuję się wytrącony z równowagi i chciałem po prostu wysiąść z kajaka i odpocząć. Jeżeli sklepik w pobliżu będzie czynny, kupię coś do jedzenia.

– Chcesz przycumować tutaj? – zapytał rybak stojący na kei.

Potwierdziłem, nieraz tam cumowałem.

– Będzie cię to kosztowało trzydzieści *kina* – oświadczył rybak.

O co chodzi? Przeszło trzydzieści dolarów za coś, za co nigdy nie zapłaciłem ani centa. Za plecami owego rybaka zebrał się tłumek.

– Skoro tak, to rezygnuję.

– A ile jesteś gotów zapłacić? – zapytał samozwańczy inkasent.

– Nic.

Reszta ludzi zebranych na kei tylko gapiła się na mnie i nikt nie odezwał się słowem. Znowu poczułem się zagrożony. Tamtego dnia wszyscy wydawali się nastawieni wrogo.

– Wracaj! Pomożemy ci! – zawołał ktoś, kiedy odpływałem, ale czułem, że chcą dalej mnie dręczyć, więc płynąłem dalej, aż do obozowiska w Kaisidze.

**Nawet** mieszkańcy Kaisigi zachowywali się dziwnie. Któregoś dnia popłynąłem na wschodnie wybrzeże wyspy do wioski Koma – raczej posępnej osady pełnej chrząkających czarnych świń – gdzie wymieniłem kilka



jedwabnych szalików na wyroby snycerskie (dziób kanu i hebanowe puzderko na wapno).

– Nie jeździj do Komy – usłyszałem po powrocie. – Tam mieszkają źli ludzie.

Wieśniacy wydawali się niespokojni i czymś pochłonięci. Zaproponowałem, żebyśmy wszyscy popłynęli na ryby kanu Lyndona.

– Pojadę, jeżeli pozwolisz mi użyć twoich okularów i harpuna – powiedział Zechariah.

– Pożyczę ci ich – obiecałem.

Ostatecznie w dwunastu wypłynęliśmy kanu Lyndona, a gdy oddaliliśmy się od brzegu jakieś dwa kilometry, wszyscy wstali i wypatrywali podwodnych skał, przy których gromadzą się ryby. W przejrzystej wodzie skały widziało się ze sporej odległości, a kiedy dotarliśmy do skupiska skał koralowych, wszyscy zanurkowali i nieustraszenie parli w kierunku dna.

Woda była tak przejrzysta, że wydawała się płytka. Zanurkowałem, ale wieśniacy znajdowali się daleko przede mną, jakieś dziewięć metrów głębiej wśród migoczących żółtozielonych rybek i ławic krągłych papugoryb. Nigdy przedtem nie widziałem ludzi nurkujących tak głęboko. Zszedłszy na dno, zostawali tam i dźgali dzidą ryby, przytrzymując się drugą ręką skały. Kiedy potrzebowali powietrza, odbijali się od dna i szybko wypływali na powierzchnię, zostawiając dzidę wetkniętą w skałę koralową. Zaczepnąwszy tchu, wracali na dół i wznawiali łowy. Zszedłem na jakieś trzy, cztery metry od dna, poczułem ból w bębenkach i musiałem wrócić bliżej powierzchni. Wieśniacy nic sobie nie robili z głębokości i za każdym razem zostawali na dnie przez dwie, trzy minuty. Nadzwyczaj sprawnie posługiwali się dzidą i niedługo po przybyciu w to miejsce zaczęli znosić obfitą zdobycz – papugoryby, pstrągi koralowe i ciemne pokolcowate, mające u nasady płetwy ogonowej jadowity wyrostek podobny do skalpela, które nazywali „czarną rybą”.

Spostrzegłszy, że kanu nabiera wody, siadłem w słońcu wśród podrygujących ryb i za pomocą drewnianego *yatura* Lyndona wybierałem wodę, różową od krwi zabitych i ranionych dzidą ryb. Zabraliśmy ze sobą orzechy kokosowe, żeby mieć co pić i jeść. Miejscowi używają też mięszu

kokosa jako balsamu do ciała i moi towarzysze wcierali jeden drugiemu rozdrobniony miąższ w plecy i ramiona, żeby uchronić się przed oparzeniem słonecznym. Co raz wynosili na powierzchnię następną rybę.

Kiedy znowu zanurkowałem, zobaczyłem, że moi towarzysze buszują po całej rozgałęzionej rafie, zaganiając ryby do niszy w skale, a gdy znalazły się w matni, dźgali je dzidami. Zszedłem kilka razy dość głęboko i właśnie zamierzałem uczynić to jeszcze raz, gdy spostrzegłem – tak wyraźnie, że nie mogłem się mylić – srebrnoszary pysk i podługowaty tułów rekina, sunącego w przeświecionej słońcem wodzie ku kilku postaciom nurków z dzidami.

Był to zaiste ów gładki i jak gdyby złośliwie uśmiechnięty rekin z morskich horrorów, wielki i sprawiający wrażenie wygłodniałego, obserwujący nagich nurków z mrozącą krew w żyłach cierpliwością. Blisko nade mną majaczył ciemny, podobny do wielkiego cygara zarys dna naszej łodzi. Jak najoszczędniej poruszając rękoma i nogami („rekiny wyczuwają, kiedy człowiek się boi”), podpłynąłem do kanu, po czym jednym ruchem wyskoczyłem z wody i przekoziółkowałem przez burtę pomiędzy trzepoczące ryby.

Obcierając śluz z ramion i rąk, próbowałem wejrzeć w głąb wody. Bryza marszczyła powierzchnię, jak gdyby zaciągając zasłonę, za którą wszystko zrobiło się rozmazane.

Pierwszy wypłynął Lyndon. Chwycił się burty i głęboko zaczerpnął tchu. Zaraz po nim to samo zrobili Derrick i Zechariah, a potem kolejno wynurzyli się pozostali.

– Widzieliście rekina? – zapytałem.

– Były trzy rekiny – odparł Lyndon. – Jeden duży i dwa za nim. Płynęły do Zechariaha, ale był na skałach i nie widział ich. Zawołałem więc do niego.

Bez trudu wyobraziłem sobie Lyndona wołającego osiem metrów pod wodą.

– Odwróciłem się i były przy mnie – powiedział Zechariah. Uśmiechał się.

– Wystraszyłeś się? – zapytałem.

– Nie. Krzyknąłem na nie. „Hu! Hu! Hu!” Złękły się i odpłynęły. To głupie ryby.

– Dlaczego sam nie odpłynąłeś?

- Kiedy widzą, że się boisz, zjedzą cię.
- A ty, Lyndonie, nie boisz się rekinów? – zapytałem.

Roześmiał się szyderczo i odparł:

- Nie!
- Znasz kogoś, kogo ugryzły?
- Nie.
- Ale zabijasz rekiny?

Teraz wydawał się zły.

- Nie. Jestem adwentystą.

Odesłał mnie do rozdziału jedenastego Księgi Kapłańskiej, gdzie ryby bez łusek zostają obłożone zakazem spożywania i nazwane obrzydliwością.

Wznowiliśmy nurkowanie, ale trzymałem się blisko łodzi. Przypuszczałem, że to krew ryb zawarta w wodzie, którą wybrałem z łodzi, zwabiła rekiny, a beztroska moich towarzyszy wcale mnie nie pocieszyła. Nadal się bałem. I znowu się zbłądziłem, kiedy spostrzegłszy żółtego węża morskiego, który sunął sinusoidalnie po powierzchni wody nade mną, czym prędzej czmychnąłem do łodzi.

- Czemu się boisz? – zapytał Lyndon, który widział, jak uciekam.
- Wielki wąż. Długi. Żółty – wykrztusiłem.
- Nic ci nie robi – powiedział Derrick. – Bawimy się z nimi.

Później, kiedy wypatrywaliśmy lepszych łowisk, czyli raf o szczególnie skomplikowanym kształcie, jakieś trzydzieści metrów od łodzi zauważyliśmy coś, co zrazu wziąłem za dryfujący kokos.

- Żółt – oznajmił Lyndon.
- Duży. Spróbujmy go złapać – rzekł Micah.
- Jecie je? – zapytałem.

– Nie – odparł Lyndon. – Jesteśmy adwentystami. Ale starsi w wiosce jedzą je. Są smaczne.

Był to żółt zielony o skorupie wielkości pokrywy studzienki kanalizacyjnej. Popłynęliśmy za nim, ale zniknął.

- Łatwiej upolować je w nocy, kiedy śpią pod rafą – stwierdził Lyndon.

Siedzieliśmy po turecku na platformie zrobionej z drągów umocowanych do belek pływaka kanu – całkiem wygodnym miejscu mogącym pomieścić osiem,

dziewięć osób. Lyndon patrzył na ziomków liczących ryby.

– Czterdzieści pięć – powiedział ktoś. W języku kiriwina „p” i „f” są wzajemnie zastępowalne.

– Frąd jest zbyt silny – rzekł Lyndon, dając reszcie znak, żeby przygotowali kanu do powrotu. – Dlatego złapaliśmy mało ryb.

Czterdzieści pięć sztuk to znowu nie tak mało, prawie trzydzieści kilo. Ale posilić się miała cała wioska, o to mu chodziło. Żeby dało się coś uwędzić na jutro, musieliby złowić dwa razy więcej.

W drodze powrotnej zjedliśmy banany, popiliśmy wodą kokosową, a wieśniacy wybrali miąższ z jednego orzecha i rozdrobniwszy go, wtarli sobie w skórę, żeby zapobiec oparzeniu słonecznemu.

– Przepraszam, że nie złapaliśmy tego żółwia – ni stąd, ni zowąd powiedział Lyndon żałobnym głosem.

Kiedy podpłynęliśmy dość blisko brzegu, rybacy wyrzucili ryby z kanu do wody, gdzie pluskały się dzieci, które chwyciły je i myły. Potem zaniósł połów do wioski i oddał innej grupie dzieci, które tymczasem ustawiły parawan i zbudowały ruszt nad ogniskiem. Pieczeniem ryb zajmowało się około dwadzieścioro dzieci, w tym chłopcy i dziewczynki, których uważałem za wioskowych urwipołciów. Kiedy przychodziło do wypełnienia obowiązków istotnych dla całej wsi, włączali się wszyscy, nawet rozrabiaki.

Kobiety, czekając na powrót drużyny rybaków, piekły jams, banany i słodkie ziemniaki metodą znaną i używaną wszędzie na wyspach Pacyfiku, a więc za pomocą podziemnego piekarnika, który na Nowej Gwinei nazywają *mumu*, a na Hawajach – *imu*. Zapewne pokrewna tamtym dwu trobriandzka nazwa takiego piekarnika to *kumkumla*.

Przy jedzeniu, a siedliśmy w długim rzędzie na ziemi i jedliśmy z liści palmowych, próbowałem zagać z rybakami rozmowę o wyprawach *kula*. Najpoważniejszym członkiem społeczności *kula* we wsi był Lyndon, ale nie chciał rozmawiać o naramiennikach i naszyjnikach, które miał w chacie.

– Nie pokażę Faulowi moich *bagi*. Będzie chciał je wszystkie kupić – rzekł w końcu.

Namówiłem go, żeby pokazał mi najlepszy naszyjnik. Przyniósł długi piękny sznur malutkich wypolerowanych muszelek.

– Wcale nie chcę go kupić. W gruncie rzeczy jest strasznie brzydki. *Nogut, samting-nating.*

– Mówi, że to *samting-nating!* Dobrze!

Wszyscy gruchnęli śmiechem. Ostry sarkazm jest tą formą niewybrednego droczenia się, za jaką Trobriandczycy przepadają.

Tymczasem John trzymał córeczkę swojej szwagierki, półroczną Primrose, i podczas gdy słuchał naszego przekomarzania się, powoli obracał dziecko w dymie wydobywającym się ze skorupy kokosa. W tok pisin jest mnóstwo określeń chłamu. Oprócz *nogut* i *samting-nating* chociażby *bullseet*, *rabis* czy *namba-ten*.

Trobriandczycy tak samo jak ja uważali tok pisin za język śmieszny, a że na Trobriandach rzadko się nim posługują, wydźwięk jest zawsze komiczny czy żartobliwy. Dzięki temu w tok pisin nieraz mogłem zadać pytania, które po angielsku byłyby niezręczne.

Zawsze intrygowały mnie ludy jedzące psy, więc wykorzystałem naszą małą ucztę do zapytania o to.

– *Yu-pela kai-kai dok?* (Jecie psy?)

– *SDA-pela no kai-kai dok* (Adwentyści nie jedzą psów) – oświadczył Lyndon.

– *Yu traiem kai-kai dok, nambaone, moa beta* (Spróbujcie psów, świetne, bardzo dobre) – rzekłem, gładząc się po brzuchu.

John uśmiechał się, nadal obracając w dymie nagie niemowlę.

– *Alotau people traiem dok tumas. Tu, kai-kai pusi* (W Alotau jedzą psy. A także koty).

Kobiety wytrzeszczyły na niego oczy, a mężczyźni wybuchnęli szyderczym śmiechem.

– Czemu rozmawiamy w tok pisin? – zapytałem. – Rozmawiajmy normalnym angielskim. Przecież wszyscy dobrze mówimy po angielsku, prawda?

– A ja najlepiej – rzekł Lyndon i wszyscy znowu się roześmieli.

Ja wszakże patrzyłem na Johna.

– Niech dobrze zrozumiem. Mówisz, że ludzie w Alotau jedzą koty?

– Niektórzy – odparł. – Ale nie swoje psy i koty. Bierzymy inne, z buszu albo biegające po drogach, i gotujemy je tak jak każde inne mięso. Tak, to czasem smutne, bo pies to najlepszy przyjaciel człowieka. Ale są smaczne.

– Czy Księga Kapłańska wspomina o psach i kotach?

– Nie – rzekł John, nadal nurzając niemowlę w dymie. – Ani Księga Powtórzonego Prawa.

– A co robisz z tym dzieckiem?

Podniósłszy skorupę kokosa, odsłonił żarzący się węgielek wielkości orzecha włoskiego.

– Widzisz to jajo konika polnego? – zapytał, wskazując dymiący orzech. *Jajo konika polnego?*

– Palimy to, a kiedy dym przechodzi przez skorupę kokosa, dajemy go dziecku do wączania. Dzięki temu będzie chodziło prostą drogą.

– Wierzysz w to?

– Tak. Sam widziałem.

Uważałem go za biblijną piłę, a jego długi i sentencjonalne modlitwy dziękczynne przyprawiały mnie o szczęścisk. Widząc więc, jak ten gorliwy chrześcijanin kultywuje zabobon i magię, przyklasnąłem temu.

**Obiecałem** sobie, że popłynę na wysepki na skraju archipelagu Trobriandów. Nie udało mi się namówić nikogo w Kaisidze, żeby wybrał się ze mną, ponieważ wizyta w innej wiosce lub na innej wyspie wymaga ofiarowania rytualnych darów, na co nikt nie miał ochoty. Ja zaś mogłem po prostu się zjawić, zagadać i udobruchać krajowców za pomocą paru papierosów albo haczyków na ryby. W końcu *dim-dim* w gruncie rzeczy nie jest człowiekiem.

Wyprawa tam i z powrotem na Munuwatę zajęła mi cały dzień. Żeglarze z Munuwaty pamiętali mnie z naszego spotkania w czasie sztormu, kiedy ja wyruszyłem w morze, a oni zostali na lądzie. Ich wioska była jedyną osadą na tej ślicznej wyspie, a kiedy zachwycąłem się jej pięknem, powiedzieli:

– Ale nie mamy wody.

Rozkoszy życia na tej rajskiej wyspie o piaszczystych plażach i żyznej glebie mogą zażywać tylko ludzie gotowi wyprawiać się po wodę pitną do

źródła na wyspie Labi oddalonej o dwa kilometry. Kiedy wieje północno-zachodni wiatr, krajowcy w ogóle nie są w stanie dopłynąć na Labi, a takie warunki mogą się utrzymywać przez wiele dni.

– Wtedy jemy zielone kokosy, zbieramy wodę deszczową i czekamy, aż wiatr się zmieni.

Na Munuwacie widziałem tradycyjne domy kawalerów, w których mieszkali młodzieńcy i do których przyprowadzali narzeczone. Dziewczyna mieszka z kawalerem nawet kilka tygodni, ale przez ten czas stołuje się u rodziców, co uważam za bardzo cywilizowane rozwiązanie. Chłopcy na Munuwacie wplatali kwiaty we włosy, a nastoletnie dziewczęta chodziły półnagie i mocno różowiły policzki. Ubierały się, malowały i zachowywały uwodzicielsko, albowiem trwały żniwa jamsu.

Zaiste dziwnie się czułem, wracając z tego rajy wolnej miłości na Kaileunę, gdzie świeżo upieczeni nabożnisie adwentystyczni w Kaisidze szydzą ze starych tradycji święta jamsu. Ale nawet oni są nadal tak związani z kulturą Trobriandów, że podróż na nawiedzoną wyspę Tumę uważają za przerażającą w takim stopniu, że nie znajdują słów, aby to wyrazić. Nikt nie zamierzał mi towarzyszyć, a w istocie zaklinali mnie, żebym nie jechał na Tumę, bo to wyspa pełna głosów i cieni, duchów wszystkich ludzi, którzy pomarli na Trobriandach, a gdybym chciał spędzić noc na Tumie, z pewnością nie zmrużę oka. Popłynąłem tam i ujrzałem jeszcze jedną prześliczną wyspę, pustą i zarośniętą jak przystało nawiedzonemu miejscu, lecz w końcu na niej nie biwakowałem. Na noc wróciłem do Kaisigi, a nazajutrz rano popłynąłem na Kiriwinę, główną wyspę archipelagu. Po drodze spotkałem motorówkę, którą płynął niemiecki antropolog doktor Wulf Schiefenhövel z synem Fridtjofem. Wulf powiedział, że poznał, iż mój składany kajak jest produkcji niemieckiej.

– Nigdy jeszcze nie widziałem tutaj nikogo pływającego kajakiem – dodał.

Sczepiliśmy nasze łódki i popijając pepsi, które Wulf wyjął z turystycznej lodówki, gawędziliśmy o Trobriandczykach. Badał ich od dwudziestu lat. Oświadczył, że mają niemal idealną dietę, dzięki czemu w ogóle nie chorują na serce ani nie wiedzą, co to miażdżycza naczyń wieńcowych. Z wiekiem ciśnienie krwi im się obniża, ale – dodał Wulf, potwierdzając zasłyszane

przeze mnie wcześniej informacje – nie żyją długo. Średnia długość życia wynosi mniej niż czterdzieści lat, a główną przyczyną zgonów są zakażenia bakteryjne.

– No i tak niewiele się tutaj zmieniło, mam wrażenie, że ci ludzie wyszli prosto z książek Malinowskiego – westchnął Wulf.

Namawiał mnie, żebym gruntowniej zwiedził Kiriwinę i koniecznie pojechał do Omarakany, wioski naczelnego wodza. Na pożegnanie zrobił mi zdjęcie. Ja nie miałem aparatu, bo noszenie go uważałem za bardzo niewygodne. Rozłączyliśmy łódki i ruszyliśmy każdy w swoją stronę, on do swojej wioski na Kaileunie, ja – w oślepiającym blasku popołudniowego słońca – na Kiriwinę.

**Sercem** Trobriandów, głównym ośrodkiem władzy i kultury jest Omarakana. „Odkąd wyszliśmy z jaskiń – powiadają Trobriandczycy – nasz wódz tam mieszka”. Nigdy nie wspominali, jakoby ich przodkowie przybyli z innych wysp. W rzeczywistości wcale w to nie wierzą. Według nich przodkowie dawno temu wyszli z jaskiń górującej nad wyspą koralowej skały opodal Kaiboli i podzielili się na klany. Jednym z najbardziej szanowanych jest Tabału, klan obecnego naczelnego wodza Pulayasiego, piastującego tę funkcję od trzech lat.

Z powodu niebezpieczeństwa gwałtu – najzupełniej prawdziwego gwałtu, związanego z przemocą i upokorzeniem – pojechałem półciężarówką z życzliwym wieśniakiem o imieniu Matthew. Po drodze Matthew przekonywał, że obecny wódz jest lepszy od poprzedniego. Zgodnie z tradycją właśnie wódz zarządza pogodą. Poprzedni wódz, osobnik wiecznie skwaszony, sprowadzał kiepską pogodę – za dużo deszczu, za mało słońca i długie okresy silnego wiatru.

– Jeżeli poproszę: „Wodzu, spraw, żeby spadł deszcz”, zrobi to? – zapytałem.

– Jak zechce, to zrobi.

Zaiste baśniowy wydał mi się świat, w którym odpowiedzialność za pogodę rzeczywiście można złożyć na barki jednego z nas.



Królewska wioska okazała się błotnistą i wilgotną dziurą na końcu wyboistej drogi i zarośniętej ścieżki w głębi wyspy, trzy albo i cztery kilometry od plaży i odświeżającej bryzy. Nie umywała się do porządných i ładnych wiosek, które odwiedzałem na mniejszych wyspach. Wydawała się zapuszczona i posepna. Liche chaty, stare strzechy i rozpadające się pawilony. Świnie ryły i pochrząkiwały blisko domów, zasmarkane dzieci i brudne psy walczyły ze sobą o odpadki. Chata wodza należała do najnędrniejszych, ale Matthew oświadczył, że wódz ma kilka chat, ponieważ stale zdobywa nowe żony. Wtedy miał trzy.

Łysiejący mężczyzna w podartych szortach i brudnej koszulce z napisem „Coca Cola Fun Run 1988” wyszedł z chaty i splunął. Palił cuchnący trobriandzki tytoń w tutce zwiniętej z gazety. Chodził boso. Podeszedł do mnie, uśmiechnął się fioletoowymi od soku betelowego ustami i skinął na chłopaka, który podbiegł i w śmierdzącym pleśnią pawilonie rozstawił rozchwierutany fotelik plażowy. Kiedy mężczyzna usiadł, sfatygowana plecionka z niebieskiego plastiku skrzypnęła boleśnie. Oto naczelny wódz Pulayasi.

Usiadłem u jego stóp, albowiem rzeczą nie do przyjęcia byłoby siedzieć na wysokości wodza i patrzeć mu prosto w oczy. Przedstawiłem się jako podróżnik, wyraziłem wdzięczność za gościnność Trobriandów i wręczyłem mu wartą dwadzieścia dolarów paczkę lepkiego czarnego tytoniu.

Wódz nie znał angielskiego i burknął coś do jednego z dworzan.

– Wódz pyta, skąd się dowiedziałeś o Trobriandach.

– Przeczytałem kilka książek o Trobriandach napisanych przez słynnego *dim-dim* nazwiskiem Malinowski.

– Mieszkał w tej wiosce – powiedział ów tłumacz. Nazywał się Joseph Daniel i nosił obszarpane brązowe spodnie. – Ludzie nie mogli wymówić jego nazwiska, więc nazywali go Tolibwoga, co znaczy „Pan Opowieści” czy „Historyk”, coś w tym rodzaju. Zawsze opowiadał stare historie.

Usłyszawszy nazwisko antropologa, wódz uśmiechnął się i pyknął z gazetowego skręta. Zapytałem, gdzie mieszkał Malinowski.

– O, tam gdzie widzisz sznur z ubraniami.

– Tam gdzie jest ten sznur do bielizny?

– Tak. Mieszkał blisko wodza To’uluwy. To był dziad matki wodza Pulayasiego.

W tym społeczeństwie o strukturze matrylinearnej tytuły i ziemię dziedziczono w linii matki, a wuj odgrywał większą rolę w wychowaniu dzieci niż ich ojciec, albowiem więzi między ojcem a dziećmi właściwie nie uważano za pokrewieństwo, natomiast więzy krwi między bratem kobiety a jej dziećmi nie budziły wątpliwości.

– Czy ludzie nadal opowiadają o Tolibwodze?

– Nie. Ale wódz zna kilka opowieści.

– Czy Tolibwoga podróżował na inne wyspy? – zapytałem, a tłumacz przekazał moje pytanie wodzowi, potem zaś mnie jego odpowiedź.

– Nigdy nie podróżował, ponieważ było to niebezpieczne. Wtedy na innych wyspach trwały właśnie. Ludzie walczyli. Tolibwoga przebywał tutaj.

Udawałem, że zapisuję to w notatniku. W rzeczywistości napisałem: „Koszulka z nadrukiem »Fun Run«, fotelik plażowy, kobiety o ogolonych głowach, pajęczyny w każdym domu, świnie i psy, zapuszczone domy, które potrzebują naprawy”.

Wódz wymamrotał coś do Josepha, który powiedział:

– Wódz chce wiedzieć, czy masz do niego pytania. Pragnie pomóc. Możesz pytać o wszystko.

Zapytałem o kilka błahostek, a potem postanowiłem zaryzykować pytanie, które prawdziwie mnie dręczyło.

– Czy wódz Pulyasi ma magiczną moc, która pozwala mu panować nad pogodą?

Kiedy przetłumaczono moje pytanie, wódz zachichotał protekcyjnie, mruknął coś, pyknął z gazetowego skręta i jął skubać brudną koszulkę.

– Tak, wódz panuje nad pogodą.

– Ma magiczną moc?

– Tak.

– Czy ktoś obdarzył go tą mocą, kiedy został wodzem?

Słyszałem, że wódz ma doradców, którzy są czarownikami i potrafią spowodować śmierć niepożądaną osoby. Wystarczy, że wódz Pulyasi zawoła

z gniewem: „Któż uwolni mnie od tego siejącego zamęt księdza?”, i klecha jest już właściwie martwy.

– Nie – odparł Joseph. – Wódz ma tę moc od wielu lat. Stwarzał pogodę, jeszcze zanim został wodzem.

Pulayasi uśmiechał się. Miał puciołowate policzki. Był jednym z niewielu grubawych mężczyzn, jakich spotkałem na Trobriandach. Obdarzał mnie zadufanym uśmiechem osoby, która może sprawić, że lunie na mnie deszcz, jeżeli będę zadawał za dużo nieprzyjemnych pytań.

Chętnie opowiadał o żonach. Jego dworzanie umiejętnie zabiegali o to, aby każdy istotny klan przysłał mu młodą dziewczynę, więc ostatecznie będzie miał kilkanaście żon, tak jak jego poprzednik. Bracia tych kobiet będą pracowali dla niego, uprawiając swoje ogrody po to, żeby przekazać mu zbiory. Tak, to ciężka i dozgonna praca, ale z drugiej strony tytuł szwagra naczelnego wodza robi wrażenie i stwarza spore możliwości.

– Od kiedy macie wodzów?

– Odkąd wyszliśmy z jaskiń.

Usłyszawszy tę odpowiedź, przypomniałem sobie pewne pytanie, które planowałem zadać. Czy dawni Trobriandczycy wyruszali w swoich kanu, żeby się osiedlić na innych wyspach Pacyfiku?

– Tak. Na Fidżi – odparł jeden z mężczyzn. Nazywał się Patimo Tokurupai i dobrze mówił po angielsku. – Świadczy o tym podobieństwo rysów twarzy. Gościliśmy Fidżyjczyków, którzy powiedzieli: „Nasi przodkowie przybyli stąd”.

Zdrętwiałem, siedząc po turecku na podłodze z luźnych desek, więc zapytałem, czy mogę obejrzeć spichlerz wodza. Tylko naczelnny wódz ma prawo w wyszukany sposób ozdabiać spichlerz, a ten obwieszono sznurami muszelek, przystrojono malowidłami ukazującymi ptaki i ryby, a na szczycie dachu umieszczono rzeźbioną głowę – jedyną tego rodzaju rzeźbę, jaką widziałem na Trobriandach – głowę o czarno-białej zagniewanej twarzy dziwnie podobnej do oblicza Poliszynela.

Odchodząc, zapytałem jednego z mężczyzn z Omarakany, dlaczego wieś jest tak zaniedbana. Odparł, że nie może być inaczej, ponieważ nikomu nie wolno reperować chat ani ścinać trawy, jako że umarł jeden z braci naczelnego

wodza. Wdowa ogoliła głowę i codziennie smarowała twarz gliną i popiołem. Widziałem ją klęczącą w błocie i sama wydawała się trupem. Po pięciu miesiącach żałoby wszystko naprawią, odnowią i odmalują, przywracając wiosce urodę. Tymczasem wyglądała okropnie.

Panowała ciężka i duszna atmosfera, więc po kilku dniach z ulgą wyjeżdżałem do Kaisigi. Tym razem Lyndon i inni powitali mnie bardzo zdawkowo, chociaż wiedzieli, że wiosłowałem cztery godziny. Nie byli w nastroju do żartów w tok pisin ani do pogawędek w *bwayma* na brzegu. Osobliwe, ale widziałem, że są czymś pochłonięci. Dziwnie stanowczo prosili mnie, żebym kupił im różne rzeczy (taśmę klejącą, linę, dużą folię, jeszcze jedną lampę, groty do dzid, noże, żyłkę wędkarską), jak gdyby sądzili, że zaraz wyruszam w drogę.

Nie prosili, żebym został, co u tych ludzi znaczy, że powinienem wyjechać.

Byli małomówni, zamyśleni, wystraszeni. Zdumiał mnie całkiem odmienny nastrój, a zwłaszcza gorliwość, z jaką dawali mi do zrozumienia, że czas się rozstać. Wcale nie planowałem zostać długo, bo za dwa dni miałem samolot, ale smucił mnie chłód pożegnania. Chociaż ów chłód mógł być tylko pozorem maskującym głębokie uczucie, przytłaczającą konsternację i żal, kiedy słowa stają się bezużyteczne, a milczenie zamienia w swoiste podsumowanie, które jest ostatecznym pożegnaniem. Znałem już tego rodzaju rozstania.

Odpyływałem z Kaisigi, rozmyślając o tym, że te wyspy jeszcze niedawno wydawały mi się rajem. Myliłem się. Wyspa, na której trwa stara kultura, nie może być rajem. Zamiast tego jest na wskroś sobą, pełna magii, przesądów, mitów, niebezpieczeństw, rywalizacji i starych zwyczajów. Trzeba przyjąć ją taką, jaka jest. Przetrwała dlatego, że śmieje się z obcych i trzyma ich na dystans. A chociaż dziwiłem się, że mieszkańcy tych wysp uważali się za ludzi, a mnie za podczłowieka, *dim-dim*, w końcu pojąłem, że nigdy nie zrozumie w pełni ich świata. Podczas drugiej wizyty wyczuwałem podtekst przemocy, i to nie tylko dlatego, że sam czułem się zagrożony. Coś wisiało w powietrzu, jakaś wibracja, krzyki pewnych ptaków, sposób, w jaki wiatr tarosił drzewa, duszny mrok niektórych ścieżek w dżungli i nagły hałas przedzierania się przez gęstwiny, który zdumiał mnie i wystraszył.

– Co to? – zapytałem.

– Jaszczurka.

Stukilowa jaszczurka?

– Może dzika świnia.

Ale chwilami również oni wydawali się zaniepokojeni.

Dwa dni po wyjeździe z Kaisigi, wieczorem w przeddzień wylotu na Wyspy Salomona zaszedłem w Losui do sklepiku prowadzonego przez Australijczyka.

– Słyszał pan o bitwie? – zapytał sklepikarz. – Wieśniacy z Komy zaatakowali Kaisigę. Jak mi się zdaje, nieźle się tłukli. Wysłano łodzie, żeby zabrały rannych do szpitala. Jest ze trzydziestu rannych, a niektórzy są w ciężkim stanie.

Zanim wsiadłem do samolotu, napisałem do Johna, prosząc go, żeby opowiedział mi bliżej o tym wydarzeniu, a jego odpowiedź, spisana kształtnym charakterem pisma prymusa szkółki niedzielnej, w końcu dogoniła mnie w drodze.

Misja Adwentystów Dnia Siódmego, Kaisiga

Wyspy Trobrianda, Papua-Nowa Gwinea

Drogi Paulu,

pytasz o bitwę Komy z Kaisigą. Tak, poszło o ponton będący własnością społeczności Kaisigi. Na podstawie umowy zawartej przez obie wsie mieszkańcy Komy używali pontonu przez dwa tygodnie. Po upływie dwóch tygodni odmówili zwrotu pontonu i chcieli go zatrzymać na cały rok. Wobec tego w poniedziałek w nocy mężczyźni z Kaisigi poszli na plażę Komy i zabrali ponton.

Wczesnym rankiem we wtorek wszyscy mężczyźni z Komy, i jeszcze jacyś z Giwy i Leboli, przyszli walczyć z nami na naszej plaży jakieś czterysta metrów od wioski. Trąbili bardzo głośno na muszli. Przyszli uzbrojeni w noże, pałki, żelazne pręty, a czasem nawet w dzidy do połowu ryb. Bitwa zaczęła się o wpół do siódmej i trwała do wpół do dwunastej. Poszedłem zatrzymać bitwę, ale nic nie mogłem zrobić. Po skończonej bitwie z Losui przybyła policja, żeby przeprowadzić dochodzenie. Wszyscy stanęliśmy przed sądem. Sąd skazał Kaisigę na grzywnę w wysokości tysiąca dziewięciuset dwudziestu *kina*. Komę skazano na siedem miesięcy więzienia, w sumie przeszło trzydziestu ludzi, w tym kobiety, które przynosiły jedzenie na pole walki.

Kilku mężczyzn z Kaisigi zostało rannych, między innymi Micah, Lyndon i Peter. Dwóch mężczyzn z Komy, którzy odnieśli poważne rany, przetransportowano samolotem do szpitala w Alotau. Po tygodniu jeden z nich zmarł. Kiedy ludzie z Komy wyjdą z więzienia, będzie wielkie przyjęcie [uczta dla pogodzenia zwaśnionych wioski].

Paul, proszę, potrzebuję nowego zegarka, bo stary już nie działa. Moja pani potrzebuje zegarka na rękę. Kiedy przyjedziesz do Port Moresby i będziesz robił zakupy, proszę, kup nam trzy kupony materiału w kwiaty. Nic więcej do powiedzenia, więc lepiej odłożyć pióro. Niech Bóg ci szczerze błogosławi.

Niżej nieczytelny podpis, angielskie imię nabazgrane drzącą trobriandzką ręką.

**Ale ta krwawa** bitwa to oczywiście nie wszystko. Wspominałem szczęśliwe dni i noce na tych wyspach i to one stały się moim symbolem Pacyfiku. Właśnie na Trobriandach poczułem, że Pacyfik jest nie tyle oceanem, ile wszechświatem.

W pamięci utkwiał mi zwłaszcza dzień, kiedy żeglowaliśmy z powrotem na wyspę, gdy zapadła noc. Nagle wszędzie zaświeciły gwiazdy, nad nami i odbite w morzu za roziskrzoną poświatą fali dziobowej. Kiedy wetknąłem wiosło do wody i poruszyłem nim, ocean rozjarzył się migotliwym życiem. Płynęliśmy dalej. Na brzegu nic nie świeciło i wydało mi się, że lecimy starym, rozklekotanym statkiem kosmicznym.

Właśnie ten obraz często mi się przypominał podczas podróży po Pacyfiku, a wraz z nim wracało wrażenie, że ocean jest w istocie kosmosem, pływanie po nim podróżą między gwiazdami, archipelagi galaktykami, wyspy samotnymi gwiazdami w bezkresie wodnej ciemności, a żegluga nieśpieszną włóczęgą od gwiazdy do gwiazdy w kryształowej nocy.

## rozdział\_ósmymy\_

### Wyspy Salomona: przybity i brudny na Guadalcanal

**Szlak** wielkich migracji morskich, który obrałem jako swoją marszrutę, wiedzie pomiędzy górzystymi wyspami i atolami koralowymi w zatoce Milne i zmierza na wschód ku Wyspom Salomona. Najbliższe Salomony miałem o rzut kamieniem od wschodniego krańca Nowej Gwinei. To tak zwane Północne Wyspy Salomona, czego ktoś nieświadomy może nie zauważyć, albowiem stanowią prowincję Papui-Nowej Gwinei. Planowałem dopłynąć kajakiem na te wyspy i stamtąd dotrzeć do ogromnego archipelagu dziewięciuset dziewięćdziesięciu dwóch wysp i atoli wchodzących w skład państwa o nazwie Wyspy Salomona. Archipelag ten imieniem króla Salomona czterysta lat temu ochrzcił pewien obdarzony bujną wyobraźnią Hiszpan<sup>[27]</sup>.

Zanim przystąpiłem do urzeczywistniania tego planu, poznałem wyspiarza Takaku, który potwierdził pogłoski, że Północne Wyspy Salomona ogłosiły secesję z Papui-Nowej Gwinei i że jego oblężeni ziomkowie chwycili za broń. Tamtejsi partyzanci nazwali się Rambo i zarówno swój wygląd, jak i polegający na zaskakujących rajdach sposób działania wzorowali na tym ohydny, napakowanym, konusowatym patafianie, którego wyczyny oglądali na wideo.

Takaku przerażał mnie. Strach wzbudzała nie tyle jego ogromna postura, ile gniew i przeraźliwa koszulka z aplikacją ukazującą Rambo z Wysp Salomona odprawiającego, chyba przedwcześnie, jak mi się wydawało, tryumfalny taniec z karabinem maszynowym.

– *Dim-dim* mówią, że wyglądam jak Idi Amin – powiedział Takaku.

Byłem jeszcze jednym *dim-dim*, który się z tym zgadzał. Dwoje rozgorączkowanych, przekrwionych oczu Takaku gorzało w nalanej, gumowatej i zadziwiająco czarnej twarzy. Zęby miał ostre, dziąsła barwy smoły. Ogromny brzuch i stopy olbrzyma, które wyciskały soki z gumowych

sandałów. Właśnie tacy jak on irytują Trobriandczyków, którzy uważają się za białych i ludzi w typie Takaku nazywają *Tabwaubwau* – czarnuchami.

Takaku oświadczył, że nowogwinejska prowincja Północnych Wysp Salomona, gdzie znajdują się bogate złoża miedzi eksploatowane przez zagraniczne firmy, powinna być suwerennym państwem. Po niedawnym ogłoszeniu niepodległości wyspiarze, żeby pokazać, że nie żartują, zabili pewną liczbę obcych górników, a resztę odesłali do Australii. Zbrojnym powstaniem dowodził niejaki Francis Ona, nacjonalista, którego wyspiarze uważali za wizjonera, górnicy zaś za podżegacza. Nacjonalista prawie zawsze jest szkodnikiem.

– Ona to wielki obrońca środowiska – stwierdził Takaku. – Pragnie oddać ziemię zwykłym ludziom. Rozumiesz, naszą ziemię gwałciła skorumpowana klika z Panguny.

Panguna jest głównym miastem na Wyspie Bougainville’a, największej wyspie Północnych Wysp Salomona.

– Uważasz, że miejscowi nie potrzebują pieniędzy od firm górniczych?

– Tak. Jeżeli pokażemy moim ludziom złoto i srebro, zapytają: „Cóż to jest?”. To tylko metal. Nie chcemy go. Chcemy taro i manioku. Czemu wykopują naszą ziemię i wywożą ją za granicę?

Nie była to odpowiednia chwila, żeby przypomnieć mu, że większość Nowogwinejczyków, w tym nawet Trobriandczyków, potrzebuje pieniędzy na rzeczy niezbędne do życia (haczyki rybackie, ubrania, garnki) i na okazjonalne zbytki. W końcu uzmysławiali mi to aż nazbyt dobitnie, prosząc o prezenty. No i naprawdę wolą smak japońskiej makreli konserwowej od smaku łowionych samemu świeżych ryb. Zatarg o ziemię na Północnych Wyspach Salomona utknął w martwym punkcie. Nie uznano secesji tej prowincji i rozgorzała wojna.

– Czy to prawda, że władze Papui-Nowej Gwinei zarządziły blokadę Wyspy Bougainville’a?

– Tak, ale to nic nie da – rzekł Takaku. – Mówią nam: „Nie będziecie mieć energii ani światła”, ale moi ludzie odpowiadają: „Możecie kazać słońcu, żeby nie wstało? Możecie powstrzymać deszcz przed padaniem?”. Udzielają górnolotnych odpowiedzi. To cudowny poetycki język. Nie austronezyjski.



– Czy nowe państwo będzie miało nową nazwę?

– Francis Ona chciał je nazwać Ziemią Świętą, ale że ludzie tu mówią wieloma językami, uznał, że lepszą nazwą będzie po prostu Bougainville.

– Czy twoim zdaniem będzie to ziemia święta?

– Tak. Nie potrzebujemy radia, samochodów ani pieniędzy. Moi ludzie mówią: „Samochodami będziemy jeździć, aż skończy się benzyna, a potem zepchniemy je do morza, żeby stały się domem dla ryb. Mamy łodzie, mamy jedzenie, będziemy tańczyć i śpiewać”.

Jedno wszakże martwiło Takaku. Opowiadał, że zabiegał o poparcie dla nowego państwa, ale bez skutku.

– W Moresby poszedłem do ambasadora Nowej Zelandii i zapytałem: „Dlaczego nas nie uznajecie?”. „Gdybyśmy to zrobili, stalibyśmy się pośmiewiskiem całego świata”, odpowiedział. Ale czemu nas nie uznają?

– Bo was nie potrzebują – powiedziałem. – Skoro nie otwieracie znów kopalni miedzi i złota, skoro nie kupujecie niczego za granicą, dlaczego ktokolwiek miałby was uznawać? Po co to komu?

– Chcemy chronić naszą ziemię – stwierdził.

– Ale im bardziej jesteście samotni, tym bardziej będziecie bezbronni.

– To nie ma znaczenia. Będziemy słabi. Ale będziemy mieli swój kraj. Nie chcemy obcokrajowców. Widzisz, co się stało na Fidżi. Hindusi próbowali zawładnąć krajem, ale zostaną wyrzuceni.

Rozmawialiśmy jeszcze kilka chwil i podczas gdy Takaku opowiadał mi o swojej melanezyjskiej wyjątkowości i dumie, że nie jest Polinezyjczykiem, ja utwierdzałem się w postanowieniu, żeby nie jechać do owej zbuntowanej prowincji Papui-Nowej Gwinei, żeby nie narażać się na głupią śmierć wśród zwaśnionych wyspiarzy.

**Północne** Wyspy Salomona nie były szczęśliwymi wyspami. Ja również dziwiłem się, że ta grupka wysp należy do Papui-Nowej Gwinei, a nie do Wysp Salomona, państwa obejmującego pozostałe kilkadziesiąt wysp tego archipelagu i mającego ten sam język i kulturę. Cóż wszakże robić, historia pełna jest takich anomalii.

Spakowałem składany kajak i omijając Pangunę, poleciałem prosto do Honiary, stolicy Wysp Salomona, portowego miasta na skraju wyspy Guadalcanal. Nazwa „Guadalcanal” wywodzi się z języka arabskiego, od „Wadi al-Qanal”, pierwotnej nazwy miasteczka, w którym urodził się europejski odkrywca tej wyspy, hiszpański podróżnik de Mendaña.

„Wszystko tu mówi, że życie jest gdzie indziej”, zapisałem w notatniku po przyjeździe do Honiary.

Ujrzałem miasto tak zaniedbane, tak biedne, tak straszne i tak zadziwiająco brudne, że nagle zrozumiałem, skąd wzięła się teoria szoku kulturowego, którego nigdy przedtem nie doświadczyłem w paraliżującej i bolesnej formie. Pomyśl, że to żałośnie wyglądające miasto ma być stolicą kraju, wydał mi się okrutnym żartem.

„Po co ktokolwiek miałby tu przyjeżdżać?”, zanotowałem jeszcze.

Honiara była nie tylko ohydna, lecz również droga. Prawie cała żywność w tamtejszych sklepach pochodziła z importu, z Australii, Nowej Zelandii, Japonii, Ameryki. Poziom życia miasta nieraz można ocenić na podstawie wyglądu głównego targowiska. Największy targ w Honiarze sprawiał żałosne wrażenie – ot kilka starszych kobiet sprzedających poczerńiałe banany, zwiędłe liście i oblezione przez muchy tycie rybki.

„Gdybym był królem, najstraszniejszą karą, jaką wymierzałbym wrogom, byłoby zesłanie na Wyspy Salomona – pisał Jack London w *The Cruise of the Snark* [Żegluga na jachcie Snark], relacji z podróży po Pacyfiku. – Po namyśle sądzę jednak – dodał – że choćbym nawet był królem, nie miałbym serca tego zrobić”.

Wyspy Salomona i Melanezja przerażały i inspirowały Londona znacznie głębiej niż gorączka złota nad Klondike. Wyspy Salomona London uważał za najbardziej dzikie na Pacyfiku i stały się one w jego oczach synonimem horroru.

Człowiek przez chwilę się nad tym zastanowi i pragnie zobaczyć więcej.

Szedłem dalej, mijając zapuszczone i zdewastowane domy i bandy nastolatków w brudnych T-shirtach. Honiara miała ów nędzny i zarazem groźny wygląd Haiti lub któregoś ze splądrowanych nadmorskich miast Afryki Zachodniej. Mieli tam paręset metrów szerokiej brukowanej szosy, która

dawno temu zamieniła się wszakże w wyboisty pozór szosy. Nawet drzewa wyglądały żałośnie. Statki cumujące przy nabrzeżu i kotwiczące w porcie to były jakieś skorodowane blaszane widma. Większość sklepów znajdowała się w rękach Chińczyków i oferowała identyczny asortyment, a mianowicie ubrania, mydło, buty, garnki, smalec, zapałki i konserwy marki Ma Ling, takie jak mielonka, kurze łapki, liczi w syropie, peklowana wołowina, gęsiną w sosie. Pewien japoński sklep chwalił się hojną darowizną na ratowanie zagrożonych gatunków zwierząt i prosił wyspiarzy o przynoszenie skorup żółwi, wielkich małży i rzadkich ptaków. Zanim przeszedłem pięćdziesiąt metrów, dołączył do mnie pewien miejscowy, pokazał naszyjnik zrobiony z mniej więcej trzystu zębów – ślicznych, małych, perłowych zębów delfinów – i napraszał się, żebym je policzył, ponieważ taki naszyjnik, smętne świadectwo rzezi nawet dwudziestu delfinów, kosztował tyle, z ilu zębów się składał.

Poszedłem do portu. Drewniana łódka rybacka nosiła szumne imię PT-109 na cześć łodzi patrolowej dowodzonej przez Johna Kennedy'ego, która została storpedowana koło wyspy nieodległej od Guadalcanal<sup>[28]</sup>. Złowrogo wyglądające pogięte pręty i skorodowane wnętrza wraków z czasów II wojny światowej – porzucona barka desantowa i kadłuby większych okrętów – wystawały z wody, stwarzając poważne niebezpieczeństwo. Śmieci i zwykłe ścieki chlupotały przy brzegu, a coś, co w pierwszej chwili wziąłem za plażową zabawkę, okazało się szarym truchłem świni, wzdętym od rozkładu, kołyszącym się na brudnej wodzie i najwyraźniej gotowym pęknąć. Tej martwej świni przyglądało się beznamiętnie trzech otyłych melanezyjskich chłopaków w podartych szortach, pojadających ze wspólnej torby kukurydziane chrupki serowe Cheez Doodles.

Melanezyjczycy z Honiary należeli do najbardziej zatrważająco wyglądających ludzi, jakich spotkałem w całym życiu. Rozczochrane włosy, ogromne stopy, podarte i złachane ubrania, tatuaże na przedramionach, ozdobne blizny na twarzach, uszkodzone okulary przeciwsłoneczne na nosie. Chodzili żwawo wielkimi grupami albo sterczeli przed sklepami, w których grano amerykański rap, a sami wyglądali wypisz wymaluj jak raperzy.

Takie było moje pierwsze wrażenie na temat Honiary. Z upływem czasu jednak, w miarę jak zaopatrywałem się w prowiant na wyprawę, słuchałem rad i wskazówek, kupowałem mapy i po prostu włóczyłem się, owo wrażenie łagodniało. Przecież to wioska, którą wojna zamieniła w stolicę, miasto istniejące w zasadzie od zakończenia wojny, mniej niż pół wieku. Wprawdzie ta refleksja nie osłabiła przerażenia, jakim napawało mnie to miejsce, ale przekonałem się, że ci groźnie i dziko wyglądający ludzie są życzliwi i bezpośredni.

– *Gude apinum, mistah, yu stap gut?* (Dzień dobry, mister, jak się masz?)

Tak, mówili tam w tok pisin.

– *Ples bilong yu we? Wanem nem bilong yu? Mi laikim America tumas. Yu savvy Michael Jackson himpela sing-sing?* (Skąd jesteś? Jak się nazywasz? Bardzo lubię Amerykę. Czy znasz piosenki Michaela Jacksona?)

O przestępczości postanowiłem porozmawiać z osobą kompetentną. Zwróciłem się do oficera Saro z honiarskiej policji. Na imię miał Marcelline, bo tak jego rodzicom doradził francuski ksiądz na Malaicie w Prowincji Zachodniej<sup>[29]</sup>. To tradycyjny region, opowiadał Saro. Niektórzy mężczyźni nadal noszą kości w przekłutej przegrodzie nosowej. Niektórzy wieśniacy atakują każdego obcego, który się do nich zbliży. W niektórych wioskach – jak choćby w tej, w której urodził się Saro – nadal czci się rekiny.

– Ale Honiara jest bezpiecznym miastem – stwierdził. – W ogóle na Guadalcanal jest dość spokojnie. Właściwie tylko drobna przestępczość, głównie pijaństwo i bójki. Trochę wykroczeń drogowych. Jedno zabójstwo na dwa, trzy lata, zwykle po pijanemu. To wszystko.

Piliśmy piwo pod drzewami w cuchnącym porcie Honiary, patrząc na cieśninę, którą zwano Szczeliną, a potem Cieśniną Żelaznego Dna. Tę ostatnią nazwę zawdzięczała licznym statkom – w sumie ponad sześćdziesięciu – zatopionym tam w trakcie bitwy o Guadalcanal, półrocznych zażartych zmaganiach zakończonych w lutym 1943 roku zwycięstwem Amerykanów. Była to jedna z najważniejszych batalii na Pacyfiku podczas II wojny światowej. Kwatera główna Japończyków znajdowała się na Tulagi, po drugiej stronie Cieśniny Żelaznego Dna, nad kanałem Sealark, będącego częścią Szczeliny. Bitwa

o Guadalcanal okazała się punktem zwrotnym w wojnie na Pacyfiku, ale za straszliwą cenę życia trzydziestu tysięcy ludzi.

Marcelline Saro osobiście przekonał się, że mieszkańcy innych stron świata znają nazwę Guadalcanal. W swoim czasie zajmował się amatorsko boksem, a potem został trenerem olimpijskiej reprezentacji bokserskiej Wysp Salomona.

– Byłem z nimi na igrzyskach w Los Angeles – opowiadał. – Najbardziej podobał mi się Disneyland. Ludzie pytali, czy jestem z Afryki. Zaprzeczałem, a kiedy mówiłem, że jestem z Guadalcanal, wszyscy kojarzyli tę nazwę. Dzięki wojnie.

– Wiedzieli, gdzie leży Guadalcanal?

– Nie – odparł, ale nie przeszkadzało mu to.

Pojechał również na igrzyska w Seulu.

– Co wywarło na tobie największe wrażenie w Korei?

– Zrozumiałem, jakie mam szczęście, że umiem po angielsku. Oni nie umieją ni w ząb.

Jego dzieci, których miał pięcioro, uczyły się angielskiego w szkole. Z żoną rozmawiał w swoim rodzimym języku, bo również ona pochodziła z Malaity, a do dzieci mówili w miejscowym tok pisin.

Gdyby zaoszczędził wystarczającą sumę, wróciliby z rodziną na Malaite i zajął się rolnictwem. Nie lubił miast. Za nic w świecie nie chciałby mieszkać w Los Angeles lub w Seulu. Gdyby zdarzyło mu się wyjechać za granicę, wybrałby się na wieś, żeby zobaczyć, jak żyją rolnicy.

– Moja wyspa jest tradycyjna – mówił. – Nie ma elektryczności. W nocy jest ciemno.

Dawał do zrozumienia, że misjonarze utracili wpływy. Wobec tego zapytałem go o tradycje i opowiedział o kulcie rekina.

– Szanujemy rekina i dlatego oddajemy mu cześć. Z tej racji nigdy nie jemy rekina. Wierzymy, że rekin nas ochroni i ocali... ma magiczną moc...

W tym samym duchu dawni Rosjanie czcili na stepach groźnego niedźwiedzia brunatnego, którego nazywali *miedwied*, co znaczy tyle co „miodowy czarownik”<sup>[30]</sup>.

– Co roku – opowiadał Saro – składamy ofiarę z pieczonego prosięcia. Kobietom nie wolno zbliżyć się do ołtarza. Przywołujący rekiną staje na brzegu morza i wzywa go do przybycia. Kiedy zauważy, że nadpływa, rzuca mu prosię. Rekin zjada prosię i potem nas chroni.

Saro spostrzegł znajomego, Williama Fagiego, który szedł po nabrzeżu, więc zawołał go, żeby wypił z nami piwo. William pracował w kuchni Happy Café i właśnie skończył pracę. Również pochodził z Malaity, z innej części wyspy, ale równie tradycyjnej jak wioska Saro. Opowiadając o tradycjach w swoich stronach rodzinnych, obydwaj używali słowa *kastom*, wziętego z miejscowego toku pisin. Wierzyli w *kastom*.

– Zgodnie z naszym *kastom* czcimy orła. Orły przynoszą wiadomości, są silne. Nikomu nie wolno zabić ani jeść orła.

Słońce już się chyliło ku zachodowi i o tej porze dnia, jak to się chyba zwykle dzieje w tej części Pacyfiku, wiatr osłabł, światło się odmieniło i na horyzoncie wyraźnie ukazały się nieregularne, garbate sylwetki wysp, które w ciągu dnia kryły się za zasłoną mgiełki. Usadowieni wygodnie pod drzewami widzieliśmy wyspy Floryda po drugiej stronie cieśniny, w tym obie Nggele, dużą i małą, a na północnym zachodzie wystający z morza samotny stóg wulkanu. Wyspa Savo.

– To czynny wulkan – powiedział Saro. – Nigdy tam nie byłem, ale mówią, że wulkan od czasu do czasu wybucha. Żyje tam dziki ptak, który składa jaja w ciepłym piachu. To dziwne miejsce, ale ludzie są raczej życzliwi.

Podczas gdy mówił, obliczałem, ile czasu potrzebowałbym, żeby tam dotrzeć kajakiem, wyruszywszy z Honiary, najpierw wzdłuż wybrzeża, potem w poprzek cieśniny, w sumie jakieś trzydzieści pięć kilometrów.

Tymczasem Fagi najwyraźniej nadal rozmyślał o swojej wiosce na Malaicie i o czczonych tam stworzeniach, ponieważ rzekł:

– Bardzo ważny dla nas, zwłaszcza w podróży, jest pewien wąż. *Baeko*, czarny z białymi plamami. Ten wąż może cię ocalić i sprowadzić cało do domu.

– Opowiedz mi o nim – poprosiłem, ponieważ w podróży często towarzyszy mi utajony niepokój, że nie wrócę.

Czuje, że podróżowanie mnie zabije. Zawsze miałem i nadal mam przeczucie, że umrę jak ów nieszczęśnik ze starożytnej opowieści o spotkaniu w Samarze, że wielkim nakładem sił i środków, niepomny wyrzeczeń, pojedę daleko po to tylko, żeby spotkać śmierć. Gdybym zamiast tego siedział w domu, jadł i pił na łonie rodziny, nigdy by do tego nie doszło. Dożyłbym setki. Ale nie, oczywiście ruszę w świat i w końcu znajdę ten spłacheć obcej ziemi, który okaże się wiecznym Medford w stanie Massachusetts. I wydaje mi się, że ta zamorska śmierć będzie mieć oblicze głupiego błędu, tak jak w przypadku Thomasa Mertona, który po prawie trzydziestu latach spokojnego życia w klasztorze Getsemani w Kentucky w 1968 roku wybrał się do Singapuru (gdzie i ja wtedy byłem), by w tydzień później umrzeć rażony prądem w Bangkoku. Taki kawał drogi, tyle trudu i starania, żeby nieopatrznie dotknąć popsutego włącznika wentylatora w podłym hoteliku.

Chciałem dowiedzieć się jak najwięcej o wężu, który mógłby oszczędzić mi takiego losu.

– Zanim wyruszymy w podróż – opowiadał Fagi – idziemy do jamy *baeko* i dotykamy wszystkich węży. Wybieramy najgrubszego i trzymamy go.

– Czy one są jadowite?

– O, tak, bardzo jadowite. A kiedy go trzymamy, chwytamy mocno i ściskamy.

Później ustaliłem, że ów *baeko* to jadowity i uzbrojony w zęby jadowe *Loveridgelaps elapoides*, jeden z najgroźniejszych węży Wysp Salomona. Być może wyspiarze z Malaity są w stanie ustrzec się w ten sposób przed klątwą spotkania w Samarze, ale nie wyobrażałem sobie, że mógłbym wetknąć rękę do jamy w ziemi i ucisnąć takie stworzenie.

Zapytałem Saro i Fagiego, co sądzą o pochodzeniu mieszkańców Wysp Salomona. Czy ich przodkowie przybyli z Australii?

– Nie, nie z Australii – odparł Fagi. – W ogóle nie jesteśmy podobni do Aborygenów. Oni mają zaokrąglone nosy, szerokie twarze i miękkie włosy. Przypominają Hindusów.

– Czasem na widok ludzi z Izraela i Bliskiego Wschodu myślę sobie: „O, są tacy jak ja” – powiedział Saro. – Ale jeżeli zapytasz, którzy ludzie na świecie wyglądają tak jak my i mają nasz *kastom*, powiem, że Etiopczycy.

– Czy w ogóle istnieje jakakolwiek więź pomiędzy Etiopią a Wyspami Salomona? – zapytałem, myśląc, że w istocie dostrzegam pewne podobieństwo.

– Opowiem ci coś – rzekł. – Na pewnym statku płynął Etiopczyk. Wsiadł potajemnie...

– Pasażer na gapę – podsunąłem.

– Właśnie. Kiedy po kilku dniach żeglugi go znaleźli, chcieli odesłać na brzeg. „Kim jesteś? Skąd pochodzisz?“, pytali. Etiopczyk patrzył im prosto w oczy i rzekł: „Pochodzę z Wysp Salomona”.

– Też słyszałem tę historię – wtrącił Fagi.

– Statek płynął dalej, a gdy zacumował w Honiarze, wysadzono tego człowieka. Trafił do aresztu na posterunku policji. Doskonale mówił po angielsku. Wyglądał zupełnie jak my i mieszkał tu przeszło rok. Przez ten czas nikt go nie zaczepiał ani nie pytał, skąd pochodzi. Wszyscy sądzili, że jest stąd. Chciał zostać dłużej, ale powiadomiono władze jego kraju i został deportowany do Etiopii.

Zapadły ciemności, cieśnina zrobiła się srebrzyście czarna, niczym morze atramentu. Wyspy, na które przez godzinę patrzyliśmy, popijając piwo, pociemniały i roztopiły się w czerni niezgłębionej nocy.

– Savo znikła – powiedziałem.

– Nie mają tam świateł – rzekł Fagi. – Nie mają prądu ani dróg, ani telefonu. Tylko te śmieszne ptaki, które nazywają *megapodia*.

Słyszając to, pomyślałem, jakie to cudowne miejsce.

– *Megapodia* znaczy „wielkie stopy”, a ten ptak to nogal – zauważyłem.

– Chyba jesteś nauczycielem – orzekł Fagi.

– Czy potrzebne mi jest pozwolenie, żeby jechać na tę wyspę?

– Tak. Dobrze myślisz. Trzeba mieć pozwolenie, żeby jechać w takie miejsca. Ale spokojnie je dostaniesz. A ja znam tego, z kim się powinieneś spotkać.

**Chodziło** o ministra gospodarki mieszkaniowej, niejakiego Allana Kemakezę, który pochodził z wioski na wyspie Savo. Nie wierzyłem, że członek rządu



zechce się ze mną niezwłocznie spotkać w sprawie wyprawy kajakowej na zapadłą wyspę, gdzie chciałem biwakować i obserwować zachowania lęgowe nogali<sup>[31]</sup>. Uwzględniwszy jednak to, że znajdowałem się na Wyspach Salomona, już następnego dnia zabrałem się do rzeczy i najpierw zadzwoniłem do biura ministra.

– Nie ma go – powiedziała sekretarka.

– O której się go pani spodziewa?

– Zazwyczaj przychodzi do biura o dziewiątej. Ale może pan zadzwonić do niego do domu.

Dochodziło wpół do dziewiątej, byłem osobą całkowicie obcą, ale sekretarka bez wahania podała mi domowy numer telefonu ministra, żebym mógł poprosić go o przysługę. Taka otwartość sfer rządowych Wysp Salomona ogromnie mi się podobała.

Zadzwoniłem do ministra do domu i zapytałem, czy znajdzie dla mnie czas.

– Zatrzymał mnie pewien kłopot, ale za godzinę będę w biurze. Tam możemy się spotkać i porozmawiać.

Nie miał pojęcia, kim jestem ani czego chcę, a mimo to od razu zgodził się mnie przyjąć.

Nowy pięciopiętrowy gmach ministerstwa gospodarki mieszkaniowej, w którym urzędował minister Kemakeza, był najbardziej okazałym budynkiem w Honiarze, co najmniej cztery pietra wyższym od innych. Co więcej – miał jedyną windę w kraju. Bosonodzy młodzieńcy w T-shirtach i okularach przeciwsłonecznych wślizgiwali się do tego gmachu, żeby przewieźć się windą, i zostawiali po sobie nieśmiałe graffiti na ścianach na dowód, że im się udało.

Gmach ministerstwa tak jaskrawo odstawał od otoczenia, że musiał być owocem pomocy zagranicznej – efektem jednego z owych wyrachowanych a bezsensownych przedsięwzięć, kiedy państwo zachodnie ofiaruje pomoc finansową w formie umowy dla jednej ze swoich firm na wzniesienie budowli, której w istocie nikt nie potrzebuje. We wnętrzu tego osobliwego gmachu panował piwniczny mrok, a przybytek ów nazywam osobliwym, bo pomimo nowości drzwi były popsute, pozdejmowane z zawiasów, zamki wyprute, podłogi zaśmiecone, a wszelkie oznaczenia i informacje bazgrano na

świstkach papieru, które przyklejano do ścian. Rzadko która lampa działała. Większość pomieszczeń ziała pustką. Najwyraźniej nigdy nie wdrożono się do używania tego budynku, lecz się do niego włamało – zapuszczono go i zdewastowano w taki sposób, żeby wyglądał swojsko dla mieszkańca Honiary.

Podążyłem w kierunku wskazywanym przez odręcznie wyrysowaną strzałkę na jednym z informacyjnych świstków papieru i trafiłem do pomieszczenia, gdzie nie było nic prócz krzesła, na którym siedział młody Melanezyjczyk o złotej cerze i kędzierzawej płowej czuprynie tworzącej afro wielkości piłki do koszykówki.

– Jestem umówiony z panem ministrem – powiedziałem.

– Tędy proszę – rzekł chłopak.

Allan Kemakeza zajmował niemal tak samo nieumeblowane biuro. Siedział za biurkiem i parafował dokumenty, które leżały przed nim w wystrzępionych kartonowych teczkach. Krępy, około czterdziestki, w starej spłowiałej koszuli i krótkich spodniach. Później powiedział mi, że przez dwanaście lat pracował w policji i że awansował w hierarchii Partii Praw Ludu. Wszakże nadal wyglądał na policjanta – twardy, sceptyczny, ironiczny, konkretny, powściągliwy, podejrzliwy, niezbyt rozmowny, ale bardzo uważny. Wydawał się gościem, który stoczył w życiu parę walk. Miał nieugięte spojrzenie gliny.

Przedstawiłem się, powiedziałem, skąd jestem, że podróżuję po wyspach Pacyfiku i że chciałbym pojechać na Savo, najlepiej kajakiem, żeby obejrzeć tereny lęgowe nogali.

– Jest pan nauczycielem?

– Trochę uczę, trochę piszę – odrzekłem, uśmiechając się głupkowato i starając się sprawić wrażenie nieszkodliwego pedagoga.

– Po co wyruszył pan w podróż po Pacyfiku?

– Rozszedłem się z żoną i wydało mi się, że będzie to dobry sposób, żeby, hm – pomyślałem szybko – *no getum bikpela bagarap in hia* (nie narobić sobie wielkiego bajzlu tutaj) – dokończyłem i popukałem się w skroń.

– *Mi savvy tumas* (Bardzo mi przykro) – powiedział. – Mogę panu zorganizować pobyt na Savo.

Nerwowo poprawił się na krześle, zawahał i w końcu zapytał:

– Co pan wie o tej awanturze z Irakiem?

– Tylko to, co usłyszę w radiu. Codziennie słucham radia, Radia Australii, Głosu Ameryki albo BBC, zależy, które najlepiej odbiera.

Właśnie wtedy prezydent Bush postawił Saddamowi Husajnowi ultimatum w sprawie wycofania wojsk irackich z Kuwejtu. Siły międzynarodowe stały w pogotowiu, a termin upływał za kilka tygodni. Atmosfera była napięta i wszyscy spekulowali na temat rozwoju sytuacji, gdyby wybuchła prawdziwa wojna. Wielu uważało, że straty po obydwu stronach sięgną dziesiątek tysięcy zabitych, że zostanie zaatakowany Izrael, że Irak użyje broni nuklearnej i tak dalej. W gruncie rzeczy nikt nie miał pojęcia, do czego może doprowadzić otwarty konflikt, więc wszystko wydawało się możliwe, nawet koniec świata.

– Sądzi pan, że będzie wojna?

– Nie wiem. Mam nadzieję, że nie.

Odsunął na bok teczki z dokumentami.

– To będzie straszne – powiedział. – Już odczuwamy skutki problemów na Bliskim Wschodzie. Ceny ropy w Honiarze rosną w zawrotnym tempie.

W mieście mieli bardzo mało samochodów, a i po całej Guadalcanal jeździły naprawdę nieliczne ciężarówki i autobusy, ale paliwa potrzebowały przeładowane łodzie i skorodowane promy kursujące między wyspami. Przejazd na Tulagi łódką z doczepianym silnikiem kosztował równowartość pięciu dolarów, co odpowiada tygodniowej płacy przeciętnego mieszkańca Wysp Salomona.

– Sądzi pan, że ten konflikt doprowadzi do III wojny światowej?

– Nie. Bo nie stać na to Sowieców. Najwyraźniej są po naszej stronie lub przynajmniej neutralni, ponieważ potrzebują pomocy gospodarczej od USA i Europy.

– Faktycznie są teraz biedni.

– Wszyscy są biedni z wyjątkiem Japończyków.

– A dlaczego tylko oni są bogaci?

– Bo to wyspa jednolitych pod względem rasowym i językowym koszmarnych pracusiów, przywiązanych do wartości rodzinnych i żywiących faszystowskie przeświadczenie o swojej wyższości rasowej – powiedziałem i spostrzegłem, że uderzyłem we właściwą strunę, bo pan Kemakeza klasnął

w ręce i uśmiechnął się. – Te kurduple odczuwają nieposkromioną potrzebę panowania nad światem i zrobią wszystko, żeby sprzedać swoje towary. W latach siedemdziesiątych, kiedy reszta świata nie chciała handlować z Afryką Południową, bo uważała, że biali traktują tam czarnych gorzej niż śmieci, Japończycy nabrali takiej ochoty do robienia tam interesów, że wmówili sobie, iż w gruncie rzeczy oni też są biali, i zarobili miliardy. Jedzą wieloryby, stawiają pławnice na całym Pacyfiku i nie przyjmują imigrantów. No i są oszczędni, są największymi ciułaczami na świecie, dzięki czemu mają najbogatsze banki. Wszyscy inni siedzą u nich w kieszeni.

– U nas też robią interesy.

– *Bikpela no lilik?* (Duże czy małe?)

– *Bikpela pis bilong tins* – odparł. – Duże. Konserwy rybne. Zajmuję się też podatkami i rozpatrywałem skargę japońskiej kompanii Solomon Taiyo, która przetwarza ryby. Dowiedzieli się, że udzieliłem ulgi podatkowej pewnej firmie kanadyjskiej. Zapytali, dlaczego ich nie zwalniam z płacenia podatku. Odpowiedziałem, że kiedy przed dwudziestu laty zaczęli działalność, też mieli zwolnienie podatkowe. To zachęta do otwierania nowych firm. A oni na to, że od dwudziestu lat ponoszą straty.

– A co robią z tymi konserwami?

– Część sprzedają u nas, część eksportują.

– Jak to możliwe, że tak długo ponoszą straty i wciąż działają?

– Nie wiem. Ale tak twierdzą. To spółka mieszana, nasze państwo ma w niej udziały.

– Więc pewnie nic na tym nie zarabiacie.

– Trudno powiedzieć. Mają skomplikowaną księgowość. No i prowadzą ją w Japonii. Nigdy nie widzieliśmy ksiąg.

– Ryby w Japonii są drogie i wszyscy je jedzą. Jestem pewny, że zbili fortunę. Wykorzystują was, zapewne oszukują. Czemu nie wyciągacie wniosków z faktu, że potrzebują was bardziej niż wy ich?

Wydało mi się tyleż groteskowe, ile typowe, że gładkolicy dyrektorzy japońskiej kompanii wysysają soki z tego biednego kraju bosych ludzi, eksploatując zasoby ryb, które są jednym z nielicznych bogactw naturalnych Wysp Salomona i podstawą tutejszego wyżywienia.

– Jesteśmy zbyt uprzejmi – stwierdził minister. Spojrzał za okno na dziurawe i połatane dachy Honiary. – Ale kiedy stracimy cierpliwość – o, wtedy pan zobaczy.

– Co zobaczę?

– Będziemy zadawać pytania.

– Nie zadawajcie pytań. Zagroźcie im, zamknijcie firmę, zamroźcie kapitały – poradziłem. – Albo zażądajcie pozwolenia na wysłanie do Japonii swoich ludzi, którzy założą tam interes.

Nietrudno wyobrazić sobie powitanie, jakie zgotowano by w Japonii czarnym rozczochranym wyspiarzom z kością w przegrodzie nosa i wypukłymi sznureczkami blizn na czole i policzkach. Nawet gładkoliczego ministra pokroju pana Kemakezy potraktowano by jak podczłowieka, któremu w zamian za bogactwa naturalne jego kraju, ryby i drewno, wypada ofiarować błyszczące paciorki. A gdyby jeszcze taki typ oświadczył hardo, że pragnie natychmiast otworzyć firmę w Japonii – *mi laik opim kwiktai kampani bilong bisnis* – śmiechom i żartom nie byłoby końca.

– Dlaczego pozwala im pan sobą manipulować? Jest pan członkiem rządu. Sprawuje pan pieczę nad podatkami. Działa pan w swoim kraju. Niechże wezwie pan księgowych i *mekim long pinga long* – pokaże, co i jak.

Pan Kemakeza uśmiechał się szeroko.

– Tak, tak – powiedział.

Zamaszyście napisał kilka zdań na kartce papieru, którą wsunął do koperty z nadrukiem: „W służbie Jej Królewskiej Mości”.

– Po przyjeździe na Savo proszę to oddać mojemu bratu. Nazywa się Nathaniel Mapopoz.

Po drodze do windy opowiadał, że w swoich policyjnych czasach był w Anglii, w Bradford na północy, gdzie uczestniczył w szkoleniu na temat taktyki działań policyjnych. Podobało mu się w Anglii.

– Można spacerować po nocy. Iść do baru. Albo na dyskotekę. Ludzie są życzliwi. Tak samo w Nowym Jorku. Jest bezpiecznie.

– Więc podobał się panu Nowy Jork?

– Tak. Ale Nowa Gwinea to *nogut ples* – dodał, odruchowo przechodząc na tok pisin. – Bardziej niebezpiecznie. Czemu tak jest, panie Paul?

Miałem swoje przypuszczenia na temat powodów tego, że w Port Moresby jest niebezpiecznie, i podzieliłem się nimi z panem Kemakezą. Zbyt wielu bezdomnych przybyszów z gór, brak poczucia wspólnoty, brak wspólnej kultury. Zaciekawilo go to, zadawał kolejne pytania i uważnie słuchał moich odpowiedzi.

W końcu puścił mnie, mówiąc:

– Proszę jechać na Savo. Może pan zostać tam tak długo, ile pan chce. Mam nadzieję, że znowu się spotkamy i porozmawiamy.

– Muszę jeszcze zaopatrzyć się w prowiant na wyjazd.

Usłyszawszy to, rzekł sentencjonalnie:

– Savo to wyspa jajek.

## rozdział\_dziewiąty\_

### Wyspy Salomona: pola łęgowe na Savo

**Liczna** grupa mieszkańców Wysp Salomona przyglądała się, jak pod palmami Honiary składam kajak. Wychudzeni, o zapadniętych oczach. Nietypowo jak na Melanezyjczyków żaden nawet nie drgnął, żeby mi pomóc. Gapie sprawiali wrażenie ni to piratów, ni to rozbitków, nie wiedziałem, kim są. W takich sytuacjach, kiedy mozoliłem się pod nieprzychylnym spojrzeniem bezlitosnych wyspiarzy, nachodziły mnie wątpliwości, czy samotne szwendanie się po wyspach Pacyfiku jest dobrym pomysłem. Wiedziałem jednak, że gdybym został w domu, przeklinałbym miasto i tęsknił właśnie za tym, żeby w słoneczny dzień pod palmami sposobić się do wyruszenia w morze.

Zostawiłem łódkę pod opieką sympatycznie wyglądającego starszego mężczyzny i udałem się do miasta po prowiant na tydzień. To samo co zwykle. Później, stwierdziwszy, że mam jeszcze miejsce, dokupiłem trochę smakołyków, a mianowicie dwa sześciopaki piwa i kilka pięcioletowych blaszanych pudełek australijskich ciasteczek pod nazwą „Herbatniki Konwersacyjne”.

Przed jednym ze sklepów obszarpany chłopak pokazywał przechodniom ptaka uwięzionego w ciasnym koszyku. Dołączyłem do gapiów. W koszyku tkwił czerwono-zielony ptak wielkości drozda. Popiskiwał żałośnie.

– Gdzie złapałeś tego ptaka? – zapytałem.

Chłopak nie zrozumiał.

– *Dispela pisin where you gettim?* – powtórzyłem.

– *Inna bos* (W buszu).

– *Wanem nem bilong dispela pisin?* (Jak się nazywa?)

– *Dispela „laru”*.

Aha, dama czy lora, przedstawicielka któregoś z dwudziestu jeden gatunków papug wschodnich występujących na Wyspach Salomona.

– *Is gutpela pisin?* (To dobry ptak?)

– *Ya, dispela numbawan. Dispela pisin savvy toktok, savvy sing-sing. Everyting numbawan* (Tak, świetny. Ten ptak umie mówić, umie śpiewać. Wszystko pierwsza klasa).

Uwięziona w koszyku papuga jednak ani nie mówiła, ani nie śpiewała.

Wahałem się, czy interweniować, kupić papugę i zwrócić jej wolność (jak to w swoim czasie uczyniłem w Chinach z sową przeznaczoną do garnka), czy też nie wtrącać się i po prostu obserwować powszednie życie kłusownika z Wysp Salomona. Po kilku minutach z grupki gapiów wystąpił Melanezyjczyk mający bransolety na przedramionach i ozdoby w uszach, wetknął kłusownikowi w rękę równowartość dziewięciu dolarów i zabrał przeraźliwie skrzeczącą papugę.

Kiedy wróciłem na brzeg, piętnastu wynędzniałych, rozczochranych i ubranych tylko w szorty mężczyzn znowu wlepiło we mnie tępe spojrzenia zapadniętych oczu, tyle że teraz stali na pokładzie wysłużonej łodzi żaglowej, zakotwiczonej zaraz przy plaży.

– Oni są z południowego wybrzeża, gdzie mocno wieje – powiedział mi wyspiarz o imieniu James. Tak, to stąd ich pirackie oblicza i wygląd ludzi wysmaganych przez wichry i fale.

W duchu radowałem się, że wyruszam z zacisznego wybrzeża, mam przed sobą spokojne morze i mnóstwo czasu, żeby dopłynąć na Savo. James pochodził właśnie z tej wyspy, z wioski Monagho, i namawiał mnie, żebym tam się zatrzymał. Powiedziałem jednak, że jadę do okręgu Kemakezy, i dodałem tylko, że może go odwiedzę.

– To na północy wyspy, w krainie jajek – rzekł.

Znowu zabrzmiało to sentencjonalnie.

– Czy tu jest silny prąd? – zapytałem.

– Nie za bardzo.

– A rekiny?

– W czasie wojny, kiedy zatapiano tyle okrętów, było *planti tumas sak* (mnóstwo rekinów), z powodu zwłok – powiedział James. – Potem długo *planti moa* (jeszcze więcej). Ale dzisiaj jest ich mało.



Zamiast płynąć z Honiary jakieś dwadzieścia pięć kilometrów przez otwarte wody prosto na Savo, postanowiłem trzymać się blisko brzegu i używając doskonałej mapy żeglarskiej ukazującej dokładnie całą Cieśninę Żelaznego Dna, powiosłowałem około dwudziestu kilometrów na zachód do wioski Visale na przylądku Éspérance, gdzie odpocząłem na plaży, po czym ruszyłem w dziesięciokilometrowy rejs przez cieśninę. Kanały między wyspami uważałem za wody zdradzieckie z powodu prądów morskich i nagłych zmian pogody, więc wiosłowałem mocno przez godzinę, aż znalazłem się blisko wyspy.

Savo, która z perspektywy Honiary wydawała się niewysokim wybrzuszeniem na morzu, z bliska okazała się prawdziwą górą, niemal kolistym wulkanem o zielonych zboczach. Cypel południowy był skalisty, ale spostrzegłem białe plaże i palmy ciągnące się wzdłuż wschodniego brzegu. Postanowiłem popłynąć tamtędy, ponieważ byłem zmęczony, a tam właściwie w każdej chwili mogłem bezpiecznie wylądować i odpocząć.

Mijałem małe wioski położone niedaleko od brzegu i czułem się pokrzepiony na widok ładnych i solidnie zbudowanych chat o ścianach wyplatanych z dzielonego na pasy bambusa i krytych porządnymi strzechami. Ludzie, którzy wznoszą tak misterne domy, niewątpliwie są gościnnymi tradycjonalistami. Gdybym ujrzał ściany z pustaków i blaszane dachy, drzwi wahadłowe zamykane na kłódkę, a więc chaty, jakie organizacje pomocowe budują dla tego rodzaju ludzi – naiwnie wierząc, że czynią dobro – byłbym poważnie zaniepokojony. Takie mieszkania i tak sprofanowane wioski uważam za miejsca nieprzewidywalne, wylęgarnie występku. Wieśniacy mieszkający pod blaszanym dachem opatrzonym napisem: „Dar narodu amerykańskiego”, i spożywający żywność rozdzielaną przez organizacje charytatywne, uważają ludzi takich jak ja za łatwych do naciągnięcia frajerów. Całym sercem popieram pomoc zagraniczną, ale nie taką, która wykorzenia obdarowanych i zamienia ich w niebezpiecznych darmozjadów.

Na Savo nie dostrzegłem ani jednej wioski, której dosięgłyby długie ręce Zachodu. Blisko brzegu mężczyźni i chłopcy usadowieni w dłubankach łowili ryby. Zauważywszy osadę na wielkiej piaszczystej plaży, podpłynąłem do jednego z kanu.

– *Wonem nem bilong dispela ples?* (Jak się nazywa ta wioska?) – zapytałem rybaka, wskazując chaty.

– *Dispela Pokilo* – odparł.

– *Balola village i stap we?* (A gdzie jest Balola, do której jadę?)

Machnął ręką w kierunku zachodnim i rzekł:

– *Klostu liklik* (Bardzo blisko). *Go stret* (Prosto).

Mówił prawdę. Balola rzeczywiście leżała bardzo blisko, ale kiedy wylądowałem i wciągnąłem kajak na piasek, zdumiałem się aurą pustki. Nikt nie patrzył, jak ląduję, nie przywitały mnie krzyczące dzieci, nie obszczeakały psy, kobiety nie wyrzucały resztek na plażę, mężczyźni nie łowili na falach łagodnego przyboju. Przeszedłem z jasnej jeszcze w świetle wczesnego wieczoru plaży w chłodny mrok małej wioski schowanej pod koronami drzew. Kilka kur, gdacząc, umknęło ze ścieżki, ale pierwszego człowieka zobaczyłem dopiero na drugim końcu osady. Niejaki Aaron, który miał kosmate bokobrody i chorą nogę.

– Dzień dobry – powiedziałem. – *Yu savvy tok Inglis?*

– *Pisin* – odparł.

– *Plis yu nap helpim?* (Pomożesz mi?) – zapytałem i pokazałem list, który dostałem od ministra. – *Mi laik toktok Nathaniel Mapopoza* (Chcę porozmawiać z Nathanielem Mapopoza). *Mi givim dispela pas* (Dam ten list).

– *Yumi go* (Pójdziemy) – odparł. – *Mapo i stap long ples* (Mapo jest tam) – pokazał błotnistą ścieżkę.

– *Emi longwe o nogat?* (Daleko czy nie?) – zapytałem, bo gdyby było daleko, wolałbym poczekać w wiosce.

– *Klostu liklik* – powiedział i ruszył, a ja za nim.

Szliśmy jakieś trzy kwadranse wąską ścieżką, jedynym przejściem wiodącym wokół wyspy. Od razu spostrzegłem, że na tej wyspie nie mieli dróg, pojazdów mechanicznych ani elektryczności. Przeszliśmy przez sześć czy siedem małych wiosek, a w każdej z nich Aaron wołał w miejscowym języku, że prowadzi mnie na spotkanie z Mapo.

Mapopoza siedział pod drzewem papai w wiosce Bonala, żuł betel i pakował sobie wapno do ust. W wiosce rozgrywał się osobliwy spektakl. Ze sto osób krążyło wokół, szepcząc i taksując wzrokiem wielkie stosy bananów,

kosze ziemniaków i takie zwały kokosów, jakich jeszcze nie widziałem. W dodatku trzy tłuste świnie, które skowytały i kwiczały przeraźliwie, bo miały mocno skrępowane nogi.

– *Feegs* (Sfinie) – powiedział Aaron, siląc się na angielski. Dał mi do zrozumienia, że szykuje się wesele, chociaż przybyliśmy w czasie składania daru ślubnego. Wszystko w naturze, bez pieniędzy. Na tej wyspie właściwie nie używano pieniędzy.

Wręczyłem Mapo list. Wzruszył ramionami i nawet na mnie nie spojrzał. Był nieco odurzony betelem, ale nie tylko dlatego zachowywał się tak chłodno. Wkrótce zrozumiałem, że nie umiał czytać, ale wcale się nie zdziwiłem, że brat napisał do niego list. Mapo poza po prostu podał go stojącemu przy nim chłopcu, który paznokciem otworzył kopertę i podczas gdy wkoło zbierali się ludzie, czytał list w osobliwie wyniosły sposób, jak gdyby upajając się swoją uczonością.

Stałem pokornie, oczy piekły mnie od morskiej soli, mięśnie ramion bolały od całodziennego wiosłowania.

Usłyszałem swoje imię – *mistah Foll*. Słuchacze wlepili we mnie wzrok. Po chwili chłopak rzekł: *Amerika*.

Mapo zdawał się nieobecny. Nie tylko nie umiał czytać, lecz również nie znał angielskiego. Nie miało to jednak znaczenia. Nie potrzebowałem jego gościny, lecz tylko błogosławieństwa. Wystarczy, żeby się zgodził, że rozbije namiot, czyli *haus sel*, w wiosce Balola.

– *Plis, mi laik putim haus sel long Balola na stap long?* (Czy mogę rozbić namiot w Baloli i mieszkać w nim?) – zapytałem więc.

– *Orait* (Dobrze) – odparł. – *Mi kam bai* (Przyjdę później).

Gestem dał mi do zrozumienia, że jeszcze musi tam zostać. Widziałem, że ma rolę do odegrania w zaręczynach, ale mimo to zaprosił mnie, żebym usiadł i napił się wody ze świeżo rozłupanego kokosa. Nic nie mówił. Uśmiechał się chytrze. O dwa metry od niego podrygiwały związane świnie, udręczone pragnieniem i strachem. Podeszło do nich kilku wyrostków i dla zabawy kopało biedne zwierzęta.

Wokół nas krążyły, rozmawiając cicho, kobiety o policzkach ozdobionych wzorami malowanymi białą farbą. Zapewne druhny, pomyślałem. Mężczyźni

rozmawiali, strzykali strugami soku betelowego i siorbali wapno. Zauważyłem tłumek zgromadzony w otwartej chacie i zapytałem Aarona, co tam się dzieje. Nie wiedział, ale zwrócił się z tym pytaniem do jednego z miejscowych, który udzielił odpowiedzi od razu mnie.

– Jest tam człowiek z Afryki.

– Z Afryki?

Przypomniała mi się opowieść Saro o etiopskim pasażerze na gapę, który podawał się za mieszkańca Wysp Salomona. Ale kim mógł być ten, no i co tutaj robił? Pomyślałem, że to może kaznodzieja albo uzdrowiciel, który przyjmuje wieśniaków.

Wślizgnąłem się do chaty, zastanawiając się, co powiedzieć, a kiedy stanąłem twarzą w twarz z muskularnym facetem, przywitał mnie, mówiąc:

– Cześć, kolego.

Był to Bilal Mohammed, pochodzący z Brooklynu wolontariusz Korpusu Pokoju, o ogolonej głowie, bardzo czarny od słońca prażącego na Wyspach Salomona, ubrany w śmieszny T-shirt i workowate bermudy.

Pracował jako nauczyciel na wyspie Makira, a że miał urlop, przyplłynął motorówką na Savo w odwiedziny do znajomych. Zapytał, czy mam jakieś wiadomości na temat kryzysu w Zatoce Perskiej.

– Na razie potrzęsają szabelką – rzekłem.

– Założyłem się z jednym gościem w Honiarze, że nie będzie wojny – wyjaśnił. – Bo przecież nie są aż tak głupi.

– Ale źle to wygląda – powiedziałem. W gruncie rzeczy nie wiedziałem, na co stawiać. – W Arabii Saudyjskiej stoi w pogotowiu przeszło dwieście tysięcy żołnierzy.

– Ludziom wydaje się, że układają plany – stwierdził Bilal – ale zapominają, że Bóg ma swoje plany i że nie jesteśmy w stanie przechytryć Boga.

Powiedział to z nutą islamskiego fatalizmu w głosie, uśmiechając się smętnie. Uścisnęliśmy sobie ręce i wyraziliśmy nadzieję, że wszystko skończy się pokojowo. Bilal wrócił do chaty, a ja w towarzystwie Aarona poszedłem z powrotem do Baloli. Zapadał już zmrok, więc zacząłem stawiać namiot na skraju plaży.

Zanim skończyłem rozbijać obóz, z zarośli wyszedł zaaferowany grubas w brudnym *lap-lap* i powiedział, że bezwzględnie powinienem biwakować obok jego chaty. Zanim zdążyłem zareagować, zaczął przenosić mój dobytek.

– Jestem prezydentem Savo – oświadczył z dumą.

Przebywałem już w Melanezji wystarczająco długo, żeby wiedzieć, iż nawet jeżeli nie zmyślał, nie musiało to wiele znaczyć. Jak się okazało, z owej prezydentury wynikało właściwie tyle, że ubranie miał odrobinę czystsze niż reszta ziomków.

Ten mężczyzna także był bratem Kemakezy, ale nie rozmawiali ze sobą. Nie rozmawiał również z Mapo, drugim bratem, którego wkrótce po tym, jak się poznaliśmy, uznał za ciemnego wieśniaka. Nazywał się Ataban Tonezepo, ponieważ na Savo nie ma wspólnych nazwisk. Posługiwał się poprawną angielszczyzną. Stwierdził, że tok pisin to śmieszny język.

– Ale przydatny – zaprotestowałem – bo używa go wielu ludzi.

– Bardzo mądre spostrzeżenie – powiedział, a usłyszawszy to przypochlebne wyrażenie, pomyślałem, że ten facet może być nieznośny.

Kiedy wybraliśmy miejsce, w którym mogłem postawić namiot – lekki namiot marki Moss – bez składania po prostu przeciągnęliśmy go parę metrów po plaży.

– Jestem byłym premierem prowincji Central – rzekł Ataban – przegrałem jednak niedawne wybory. Dlatego wylądowałem znowu w Baloli.

– Ale obowiązki prezydenta są pewnie bardzo absorbujące.

– Święta prawda.

W zapadających ciemnościach zbierali się wokół nas wieśniacy, którzy starali się mi pomagać. Zeszło się dwadzieścia osiem osób, które policzyłem, rozkładając ekwipunek. Prowiant zawiesiłem na drzewach, żeby nie dobrały się do niego szczury. Znajdowaliśmy się na północnym wybrzeżu, więc z malowniczego zachodu słońca widzieliśmy tylko gasnącą lunę na wodzie. W dali rysowały się niknące sylwetki wysp Nggela, Isabel i Wysp Russella.

– Dawniej żeglowaliśmy na te wyspy – powiedział Ataban.

– Jeżeli ceny ropy jeszcze wzrosną, znowu będziecie na nie żeglować.

– Święta prawda.

Dwudziestu ośmiu mężczyzn i chłopców usiadło i przyglądało się, jak rozpalam kuchenkę turystyczną, a potem jem szybką kolację złożoną z fasoli, makreli i świeżego chleba z piekarni w Honiarze. Poczęstowałem Atabana piwem, a resztę gapiów „Herbatnikami Konwersacyjnymi”. Kiedy skończyłem posiłek, Ataban nakazał czterem chłopcom, żeby umyli naczynia.

– Sądzi pan, że w lutym wybuchnie III wojna światowa? – zapytał.

– Moim zdaniem nie.

– Nam się wydaje, że przyjdzie do nas. Wszyscy się martwimy.

– Zaręczam, że jesteście tutaj całkowicie bezpieczni – powiedziałem.

– II wojna światowa do nas przysła – rzekł. – Aż tutaj. Na tę wyspę.

– *Yupela bigpela, strongpela* (Jesteście wielcy, silni) – zapewniłem. – *Yupela nogat pret* (Nie macie się czego bać). *Yupela kilim i dai* (Zabijecie ich).

Wybuchnęli śmiechem, a potem Ataban kazał im odejść i przestrzegł, żeby nie zakłócali mi snu.

– Rano nie będzie pan mógł iść na plażę – powiedział. – Kobiety będą z niej korzystały. Będą się wypróżniać, właśnie tutaj. A mężczyźni będą się wypróżniać tam.

Na Wyspach Salomona wieśniacy załatwiają się na plaży. Nawet w najbardziej obskurnych miejscach w Papui-Nowej Gwinei ludzie mówią: *Mi go haus pek pek*, i korzystają z ubikacji albo przynajmniej przenośnego klozetu. Na Trobriandach mają pawilon wychodzący w morze, a w języku kiriwina istnieje słowo oznaczające ubikację. Natomiast na Wyspach Salomona ta sprawa przedstawia się inaczej. *Mi go nambis* – „Idę na plażę” – mówi się tylko wtedy, gdy człowieka przydusi potrzeba opróżnienia kiszek. Zdanie to nigdy nie znaczy, że mówiący idzie się kąpać. Żeby to zakomunikować, używa się słowa *waswas*, a kąpieli w morzu zażywają tylko dzieci, które dokazują w wodzie pełnej odchodów i łupin owoców, albowiem usłana zardzewiałymi puszkami i plastikowymi butelkami plaża spełnia również funkcję śmietnika.

W głowie się nie mieści, że można tak kalać piękne plaże, ale mieszkańcy Wysp Salomona są pewni, że przyplływ dwa razy dziennie sprzęta odchody i śmieci. Mimo to chętnie biwakowałem na plażach. Dzięki temu, że

powszechnie traktowano je jak ubikacje, były mało uczęszczane i spokojne. Tak, stanowczo wolałem te wychodki od moskitów, ludzkiej paplaniny i piania kogutów w cienistych i wilgotnych wioskach.

Plaża służyła również jako cmentarz. W XIX wieku jeden z najbystrzejszych badaczy kultur melanezyjskich, misjonarz i antropolog Robert Henry Codrington, pisał, że „na Savo [...] zwłoki zwykłych ludzi wrzuca się do morza, a grzebie tylko wielkie osobistości”. Codrington odnotował również fakt, że mieszkańcy Savo cieszyli się w Melanezji złą sławą trucicieli.

Tamtej nocy, leżąc w namiocie, sporządzałem notatki w świetle zawieszanej latarki i słyszałem szepty dzieci, które obstały moją kryjówkę. Kiedy zgasłem latarkę, dzieci poszły sobie.

Potem jeszcze długo słyszałem ich śpiewy i brząkania, kiedy chodziły od chaty do chaty niczym kolędniczy w Boże Narodzenie.

**O piątej** rano namiot oblażyły duże kraby. Obudziło mnie skrobanie, a w świetle wschodzącego słońca ujrzałem wyraziste cienie tych stworzeń. Pamiętając o przestrodze Atabana co do porannego wypróżniania się kobiet, zostałem w namiocie i włączyłem tranzystor, żeby posłuchać najnowszych wiadomości o sytuacji w Zatoce Perskiej. Głos Ameryki, który sprawia wrażenie rozgłośni lokalnej, w zasadzie nie zmienił ramówki, aby informować szerzej o kryzysie. Nadawano jak zwykle banalną muzykę i programy rozrywkowe, przeplatane wstawkami suchych wiadomości, recytowanych przez spikerów, którzy wydawali mi się naiwniakami. Radio Australia i BBC podeszły o wiele poważniej do sprawy, zajmowały się niemal wyłącznie kryzysem w Zatoce Perskiej, prezentowały wiadomości, sensacyjne reportaże, relacjonowały pogłoski i komentarze analityków, przez co wytwarzały pogłębiającą się atmosferę niepewności czy zawieszenia, która najlepiej oddawała charakter tego kryzysu.

Słuchając tych rozgłośni, miałem wszakże poczucie, że jestem miliony kilometrów od tego wszystkiego, na innej planecie, zagubiony w galaktyce Oceanii.

Wysłuchawszy wiadomości, wygramoliłem się z namiotu, przepędziłem kraby, zaparzyłem herbatę, ugotowałem makaron, po czym siadłem, słuchając muzyki i patrząc w morze, aż przyszedł Mapo i zapytał o najnowsze wieści. Było chyba jeszcze przed wpół do szóstej.

– *Sapos ol bigpela kaontri pait* (Jeżeli duże kraje będą walczyć) – powiedział Mapo – *mi tingting ol kam na pait long Solomons* (to myślę, że przyjdą do nas i będą walczyć na Wyspach Salomona).

Właśnie tego wszyscy się obawiali. Jeżeli wybuchnie wojna między wielkimi mocarstwami, to w końcu zaczną też wojować na Wyspach Salomona. Właśnie ten strach czaił się w tle rozmów, które wtedy prowadziłem, popychał do zadawania mi pytań, a czasem przybierał postać prawdziwej trwogi, która potrafi zatruć, a nawet zrujnować człowiekowi życie.

Wyspiarze nie czuli się wyzwoleni przez II wojnę światową. Wspominali ją raczej jako ciąg swoistych huraganów, które przetoczyły się przez ich wyspy. Najpierw najazd japoński, potem okupacja, następnie naloty aliantów, gaszenie pożarów, bitwa o Guadalcanal, niszczenie wiosek, zatapanie dziesiątek okrętów, zabici, plaga rekinów zwabionych przez trupy.

Po wojnie jeszcze długo panował zamęt. Amerykanie pragnęli czym prędzej uwolnić się od odpowiedzialności za sytuację na wyspach i nie działali konstruktywnie. W czasie wojny niemal zamarło rybactwo i rolnictwo, stracono prawie trzy lata zbiorów. Niemogący zadbać sami o siebie wyspiarze uzależnili się od obcych żołnierzy i – o zgrozo – rozsmakowali się w konserwowej żywności, zwłaszcza w peklowanej wołowinie i mielonce wieprzowej, które są popularne po dziś dzień.

Powtórzyłem Mapo w tok pisin moje już standardowe zapewnienie, że nawet jeżeli wybuchnie wojna, to nie przyjdzie do nich. Żeby podkreślić wiarę w te słowa, dodałem, że to *tru tumas* (święta prawda).

Mapo uśmiechnął się. Nie wierzył mi.

– *Yu laik lukim megapode pisin?* (Chcesz zobaczyć nogala?) – zapytał.

Na Savo nie brakowało osobliwości, mieli dymiący wulkan, gorące źródła, bodaj mieli też prezydenta, ale największą osobliwością był nogal.



W języku miejscowym nazwa tego ptaka brzmi *ngero*, w tok pisin nazywają go *skraeb dak*, ornitologowie nazywają nogale ptakami budującymi kopce inkubacyjne, ale większość mieszkańców Savo w rozmowie z obcymi określała te ptaki za pomocą słowa *megapode*, które pochodzi od naukowej nazwy rodziny nogalowatych, czyli *Megapodidae*. Na Savo żyje rzadka odmiana nogala, którego dwanaście gatunków występuje na wyspach od Indonezji po Vanuatu. Charakterystyczne zachowanie lęgowe tych ptaków polega na tym, że do inkubowania jaj wykorzystują energię geotermiczną. Na Savo nogale składają jaja w piasku, który jest niezwykle ciepły dzięki bliskości wulkanu. Pisklęta nogali rodzą się bardziej rozwinięte od piskląt innych ptaków, ponieważ nogale nie wysiadują jaj i nie opiekują się potomstwem. Samica wykopuje głęboką jamę w niezwykle ciepłym piasku, składa jajo, zasypuje jamę i odlatuje.

Po trzech tygodniach wykluwa się młode, w pełni opierzone wygrzebuje się z piasku i już po kilku minutach zaczyna biegać. W przeciągu kilku godzin od urodzenia pisklę uczy się latać i – jeżeli tylko uniknie dzikich psów i świń – przenosi się na drzewa.

Ale stosunkowo niewiele jaj przechodzi pełny cykl inkubacyjny. Mapo powiedział mi, że większość jaj złożonych przez samice o świcie zostanie niedługo potem wykopana przez zbieraczy. Wzdłuż plaży przeszliśmy niespełna kilometr przez busz, a potem wąską ścieżką zbliżyliśmy się do ogrodzonej łąchy piasku, gdzie w świetle wschodzącego słońca zobaczyłem setki paradujących i gdaczących ptaków podobnych do pardwy, które wykopywały jamy w piasku lub zasypywały je, pracując łapami wielkości szczypców do sałaty.

Mapo przysiadł w cieniu na skale i zapalił papierosa, a ja podczołgałem się bliżej i zafascynowany obserwowałem ptaki. Cieszyłem się, że nie mam aparatu. Zdjęcie niewiele by ukazało, ponieważ ptaki wygrzebywały jamy, w których całe się chowały, aparat nie zapisałby głosów wydawanych przez nogale, a gdybym zaczął robić zdjęcia, łatwo mógłbym wystraszyć te płochliwe stworzenia. W gruncie rzeczy słyszałem wyłącznie gdakanie, a widziałem tylko chmury piasku wyrzucane z jam. Od czasu do czasu z dziury

wyłaniała się podekscytowana samica, pośpiesznie zasypywała dół i odlatywała, tłukąc skrzydłami niczym spłoszona kaczka.

W narastającym upale wczesnego poranka nawet w cieniu palm obficie się pociłem. Spektakl składania jaj obserwowałem przez niemal godzinę, a kiedy chciałem wracać, wiele samic skończyło budowanie kopców i odleciało.

Zastanawiałem się, czy wyspiarze jedzą nogale, więc w drodze powrotnej zapytałem Mapo:

– *Yupela kaikai megapode pisin?*

– *Sapos dok i gat long tit, mipela kaikai* – odparł.

„Jemy, jeżeli pies zagryzie”.

Ale nie wolno zabijać nogali, stwierdził Mapo i dodał, że dawniej odprawiano obrzęd *tambu* ku czci tych ptaków, chociaż nie wyjaśnił, na czym to polegało.

Mapo zaprowadził mnie do swojego domu i przedstawił żonie Rebecce, która podała nam omlet z jaj nogala z ryżem. Mapo pokazał mi jajo, które przyniósł z kuchni. Imponująco duże, dziesięć na pięć centymetrów, większe od wszelkich kaczych jaj, jakie widziałem, no i zaskakująco ciężkie.

Mapo stwierdził, że jaja nogali są podstawą egzystencji mieszkańców Savo. Wyspiarze zbierali je, żywili się nimi i sprzedawali je na targu w Honiarze po krajowym dolarze za sztukę. Najlepiej, jak umiałem w tok pisin, wypytywałem go o historię wyspy, kult nogali i mity dotyczące jaj. Odpowiadał wszakże bardzo zdawkowo, jak gdyby skrupowany.

W końcu rzekł, że powinienem porozmawiać z kim innym, po czym nieśmiało – łamaną angielszczyzną, nie zaś kalekim tok pisin – dodał: – Ja nie mieć wykształcenia. Żadna szkoła – i uśmiechnął się smutno. – Teraz za stary iść szkoła.

Podeszło jedno z jego dzieci, Mapo chwycił chłopca, posadził go sobie na kolanach i odsunął talerz z na wpół zjedzonym omletem.

– *Dispela pikanin savvy toktok Inglis!* (Ten malec umie po angielsku!)

**Połowa** wyspy Savo miała co jeść i żyła dostatnio dzięki jajom nogali, które chętnie kupowano w Honiarze. Druga połowa wyspy też żyła dostatnio, bo

mieli tam rafę, na której roiło się od ryb. Poza tym na wyspie rosło mnóstwo drzew owocowych, rodzących pomarańcze, cytryny, gujawy. Uprawiano betel, orzechy *ngali* (podobne do orzechów makadamii) i kokosy. Największe znaczenie miały jednak uprawy warzywne, maniok, taro i fasole, które na wyspach Pacyfiku udają się znakomicie. Dzięki tej obfitości życie toczyło się nieskomplikowanie – ot, trochę sprzątania, trochę pielienia. W wioskach panował spokój, żadnych tego rodzaju szaleństw, do jakich zacząłem przywykać na Trobriandach. Przez większość czasu Savo drzemała.

Jaki to okrutny los zgotowaliby Japończycy leniwym mieszkańcom tych szczęśliwych wysp, gdyby wygrali wojnę? W najlepszym razie założiliby pole golfowe, wyspiarze pokroju Mapo służyliby za asystentów noszących kije golfowe, a Rebecca pracowałaby w klubowej kuchni, smażąc z jaj nogali omlety dla nienasyconych synów Kraju Wschodzącego Słońca.

Przez pierwsze dni biwakowania na Savo bezruch i spokój jawiły mi się jako aż nienaturalne i wręcz upiorne, jak gdyby wyspa była nawiedzona.

Powiosłowałem na południe do wioski Mbonala nad zatoczką, gdzie pluskały się dzieci, chłopcy za pomocą dzid łowili ryby, a kobiety prały ubrania. Mężczyźni siedzieli pod drzewami i żuli betel. Rozwrzeszczany tłumek zebrał się na brzegu, kiedy dopytywałem się o drogę do Monagho. Na mojej mapie Savo ukazano jako żółty dysk, na którym zaznaczono tylko poziomicę i kilka wzniesień. Ilekroć rozmawiałem z tubylcami, nanosiłem szczegóły, wypełniałem białe plamy, zapisywałem nazwy wiosek, zatok i strumieni.

Cała Monagho wyległa, żeby mnie przywitać. Podobnie jak Balola i Mbonala była to wioska półnagich kobiet, z których wiele paliło wrzoscową fajkę. Wkrótce nadszedł James, który zajmował się kładzeniem strzechy na swoim domu. Jego śliczna siostra Mary miała szesnaście lat i nosiła naszyjnik z zębów delfina. James powiedział, że szuka dla niej męża.

– *Yu marit pinis?* (Jesteś żonaty?) – zapytał, ale to, że użył tok *pinis*, znaczyło, że w gruncie rzeczy nie oczekuje odpowiedzi.

– To długa historia – odparłem tylko.

Pokazał mi dom, duży i solidnie zbudowany, podobnie jak większość domów i chat na Savo. Grube maty splecione z palmowych liści rozpięte

w drewnianych ramach oraz starannie i pomysłowo układana strzecha tworząca zarówno wodoszczelny, jak i zgrabny dach. Podczas gdy rozmawiałem z jego rodziną, James pożyczył mój kajak i ku uciesze całej wioski pływał nim tam i z powrotem wzdłuż plaży.

Popłynąłem pięć kilometrów dalej do wioski Kaonggele, której mieszkańcy mieli prawo wstępu na wulkan. Kiedy wylądowałem, zjawili się tuzin chłopaków, którzy zanieśli mój kajak na stelaż z wioskowymi kanu. Powiedziałem, że chciałbym zobaczyć wulkan.

– Musi pan zapłacić temu starszemu mężczyźnie – rzekł jeden z chłopców. – To nasz wódz.

Wódz siedział na kłodzie pod drzewem i słuchał leciwego radia tranzystorowego wielkości paczki papierowych chusteczek. Radyjko było obtłuczone, brudne i oklejone taśmą, ale z głośnika płynął bzyający głosik.

Mężczyzna nazywał się Marcel Devo i jak później powiedział, miał siedemdziesiąt siedem lat. Znajdowałem się w kolejnej wiosce katolickiej, zaraz na skarpie wznosił się kościół pod wezwaniem Świętej Teresy, ale wódz nie mówił ani w tok pisin, ani po angielsku, lecz tylko w miejscowym savosavo.

– Zapytajcie, czy pamięta wojnę – poprosiłem chłopców.

– Byłem już żonaty, kiedy zaczęła się wojna – przetłumaczył któryś z chłopaków.

– Co pan pamięta?

– Wszystko – odparł skrzeczącym głosem. – Pomagałem Amerykanom nosić jedzenie i sprzęt. Ciężko pracowałem. Widzi pan tę drogę? – pokazał zrytą ścieżkę opadającą ku plaży. – Zbudowali ją Amerykanie. To była jedyna droga na całą Savo.

– Widział pan walki w czasie wojny?

– Tu wszędzie walczyli – rzekł i spojrzał na mnie przekrwionymi oczyma. – Dym i ogień. Straszny hałas. Na morzu wszędzie okręty.

Opuściwszy radio, niemal je upuścił. Był bardzo słaby, a ja przypomniałem mu koszmarne lata wojny.

– To było straszne – nie przestawał tłumaczyć jeden z chłopców. – Trupy wyrzucone przez morze na plażę, inne rozszarpywane przez rekiny. Baliśmy

się. Nie wiedzieliśmy, co robić.

– Czego pan słucha w radiu?

– Wiadomości – odpowiedział. – W Iraku wybuchnie wojna i przyjdzie tutaj. Albo Irakijczycy przyjdą pierwsi i potem zjawią się Amerykanie, żeby ich wyrzucić, albo to oni przyjdą pierwsi, a potem Irakijczycy, żeby z nimi walczyć.

– Powiedz mu, że nie sędzę, iż do tego dojdzie – powiedziałem.

Kiedy to usłyszał, wymamrotał coś do chłopca, który rzekł:

– Myli się pan.

Zazwyczaj wódz pobierał pięć krajowych dolarów od każdego, kto chciał skorzystać z wioskowej drogi, żeby wspiąć się na wulkan, ale mnie oświadczył, że nie muszę płacić.

– Widziałem, że przypłynął pan kanu, więc może pan iść za darmo.

Ośmiu chłopców poszło ze mną, bo nie mieli nic lepszego do roboty. Po godzinie dotarliśmy na skraj krateru i spojrzawszy w dół, zobaczyłem w dole chmury szarej pary buchające ze szczelin w ziemi. Uznałem to za spektakl mniej interesujący od gorących źródeł, które mijaliśmy po drodze, kałuż i stawów wrzącej wody, przy których zbierali się wieśniacy, żeby gotować strawę. Przystanąłem przy jednej grupie, która gotowała maniok, słodkie ziemniaki i kolby kukurydzy owinięte grubą warstwą liści. Jeden z mężczyzn poczęstował mnie kukurydzą, którą zjadłem, a gdy rozglądałem się, gdzie mógłbym wyrzucić ogryzek kolby, nieopatrznie wdepnąłem w siarkową wodę i oparzyłem stopę.

Gotowanie za darmo we wrzącej wodzie na zboczu wulkanu! Ci ludzie mają wszystko! Ptaki ofiarowują im codziennie setki wielkich jaj i wystarczy, że zaniosą je do gorącego źródła, żeby ugotować. Mają orzechy, pomarańcze, cytryny, owoce chlebowca i papaje. Drzewa owocowe same rosną. Ich świnie same dbają o siebie, tak samo kury.

Chyba trudno o łatwiejsze i przyjemniejsze życie.

– Są tutaj misjonarze?

– Nie. Ale raz na miesiąc przyjeżdża ksiądz odprawić mszę.

Pokazali mi kościół, drewnianą, dość topornie skleconą budowlę, wielką, pustą i pachnącą pleśnią.

- A co z moskitami?
- Nie dokuczają nam.

Dokuczały mnie. Jedynym przykrym aspektem tej wyspy były właśnie nieznosne owady – pchły, muszki i moskity, a zwłaszcza chude krwiożercze muchy, które ani przez chwilę nie dawały mi spokoju, chociaż używałem środków odstraszających.

Poczęstowałem chłopców ciasteczkami czekoladowymi, zaznaczając, żeby zachowali kilka dla wodza Marcela Devo. W rewanżu wspięli się na palmę i zebrali kilka kokosów, które rozłupali. Wypiłem słodką wodę z jednego, a zawartość pozostałych przelałem do bukłaka.

Kiedy kilka dni później znowu popłynąłem do Kaonggele, zamiast sennej wioski ujrzałem mężczyzn i chłopców zajętych na plaży gorączkowymi przygotowaniami. Na liściach palmowych układali stosy jamsu i bananów, a jeden z chłopców, których poznałem podczas poprzedniej wizyty, za pomocą okrwawionej maczety ćwiartował zaszlachtowaną świnie.

- Po co to wszystko? – zapytałem.
- Na zgodę – odparł chłopak i uśmiechnął się porozumiewawczo.
- To znaczy, że była awantura?
- Teraz jest zgoda – wtrącił dziwnie zboląły mężczyzna.
- To on, Phillip, wywołał awanturę – rzekł chłopak z maczetą.

Phillip, który wydał mi się dziwnie zboląły, był mniej więcej trzydziestoletnim chudzielcem. Twarz drobna, mina niewyraźna, w ogóle nie wyglądał na awanturnika. Wzdrygnął się i próbując uciszyć chłopaka, szepnął błagalnie:

- Sza, sza.
- To jego świnia! – przekornie zawołał inny chłopiec i roześmiał się.
- Była bójka – powiedział ten z maczetą.
- Ty się biłeś?
- Nie. Niech pan zapyta Phillipa.

Phillip nie wiedział, gdzie podziać oczy ze wstydu.

– Ja wywołałem awanturę z sąsiednią wioską – przyznał cicho. – Ja się biłem. Dlatego szykuję to wszystko, żeby zakończyć waśń.

Trafiłem na przygotowania do *zokule*, uczyty pojednania. Phillip pokłócił się z mężczyzną z sąsiedniej wioski, czym popsuł wzajemne stosunki. Żeby przywrócić zgodę, zaszlachtował świnie, a inni przynieśli owoce i warzywa. Kiedy przygotowują ucztę, na plażę przyjdą mieszkańcy sąsiedniej wioski, którzy czuli się obrażeni, i wszyscy zabiorą się do jedzenia. Dzięki temu, że się podzielą jedzeniem, w tym zwłaszcza świnie Phillipa, sąsiedzi wybaczą zniewagę i znowu zapanuje zgoda.

Kiedy płynąc kajakiem, spotykałem mężczyzn lub chłopców w kanu – nie w żaglówkach z bocznym pływakiem, lecz w smukłych dłubankach, których używali do łowienia ryb i do zabawy – nieraz rzucali mi wyzwanie do wyścigu. Zdarzyło się to tamtego dnia, zdarzało w wiele innych dni – i zazwyczaj wygrywałem. Mieli kształtne kanu, ale wiosła o jednym piórze, dość ciężkie i nieporęczne. Natomiast ja używałem lekkiego podwójnego wiosła z włókna węglowego. Ilekroć pożyczałem im wiosła, a sam używałem ich wiosła, tylekroć przegrywałem. Chętnie użyczałem im wiosła i namawiałem, żeby zrobili sobie długie wiosła o dwóch piórach na wzór mojego.

Obiecywali, że spróbują. Byli ciekawscy, ulegali wpływom. Na przykład czternastoletnia Agnes, pulchna i już dojrzała siostra Atabana, miała na policzku mnóstwo świeżych blizn przedstawiających koło, od którego odchodziły faliste linie.

– Słońce – powiedziała.

Zaiste, promienne słońeczko, tyle że wycięte na policzku.

– Czy jest taki zwyczaj na Savo?

– Nie. Na Malaicie. To nie nasz zwyczaj. Poprosiłam ludzi z Malaity, żeby mi to zrobili. Przyjechali do nas na tańce. Miesiąc temu.

– Bolało? – zapytałem.

– Tak. Bardzo. Robili to nożem i widelcem. Potem polali słońą wodą.

Niesamowite, pomyślałem. Tylko dlatego, że jacyś ziomkowie z Wysp Salomona mieli zwyczaj skaryfikacji twarzy, ta dziewczyna ofiarowała swoją twarz, aby przeprowadzili na niej bolesną operację oszpecenia jej bliznami, które będzie nosić do końca życia!

– Podoba się panu? – zapytała.

Powiedziałem jej to, co chciała usłyszeć.

**W nocy** było tyle gwiazd, że nawet przed wschodem księżyca oświetlały wyspę. Dzieci bawiły się i śpiewały aż do północy. Uważałem, że są rozwydrzone, ale pewnego razu przyniosły mi fotel i poczułem się zawstydzony. Siadłem sobie wygodnie pod palmą, czytałem, pisałem, a dzieci tłukły packami muchy. Zwykle czekałem, aż plaża opustoszeje, zanim przeprowadzałem operację *go nambis*. Tak wyeksponowany czułem się jak ostatni dureń. Człowiek po prostu kuczał na granicy przyływu, zwrócony twarzą w stronę lądu.

Wyjawszy owady i nieliczne zetknięcia z węzami, życie na Savo miałem idylliczne. Wkrótce jednak zrozumiałem, że i ja jestem przedmiotem waśni między braćmi – Atabanem, grubym byłym politykiem, świetnie, chociaż nieco pompatycznie mówiącym po angielsku, i Mapopozą, chudym analfabetą, który nie robił właściwie nic prócz napychania sobie ust betelem i wapnem. Obydwaj byli dość weseli. Ale to bezpretensjonalny Mapo, który nigdy nie wyjeżdżał z wioski, miał oczywiście większą władzę.

Niemniej to Ataban panował nad terenem lęgowym nogali, bo w rzeczy samej owo pół kilometra kwadratowego plaży, gdzie nogale składały jaja, należało do niego. Osobliwe, że te dzikie ptaki w pewnym sensie były własnością prywatną. Stanowiły praktycznie niewyczerpane źródło bogactwa i rzecz jasna reszta wyspiarzy żywiła podszytą zazdrością urazę wobec Atabana, ale nic nie mogła zrobić. Od każdego zbieracza Ataban pobierał opłatę dzienną w wysokości pięciu jaj. Przez kilka dni odwiedzałem Atabana na terenie lęgowym i przekonałem się, że zdobycie jaj, które wydawały mi się darem niebios, w rzeczywistości wymaga ciężkiej pracy w pocie i brudzie.

Zbieracze zaczynają kopać za pomocą małego płaskiego kawałka drewna, ale by nie uszkodzić jaja, wygrzebawszy mniej więcej półmetrowy dół, odkładają to narzędzie, kładą się na brzuchu i wybierają piasek gołymi rękoma. Piasek wulkaniczny jest ciężki, zbieracze pracują w pełnym słońcu, a żeby dostać się do jaja, nieraz muszą wkopać się na głębokość przeszło metra. Zdumiewałem się, że nogale składają jaja tak głęboko i że są w stanie



wykopać i zasypać taką jamę, pracując rozcapierzonymi łapami. Codziennie przez cały ranek na polach lęgowych Savo rozgrywał się osobliwy spektakl, w którym mężczyźni tkwią głowami w głębokich jamach i wygarniają na boki garści piasku, ukazując widzom tylko spocone i utyłane, wierzgające nogi.

Młody mężczyzna o imieniu Walter powiedział mi, że nie zjada jaj, lecz je gromadzi. Miał już osiemdziesiąt pięć. Kiedy dojdzie do setki, sprzeda je na targu w Honiarze. Za przejazd tam i z powrotem zapłaci dwadzieścia cztery krajowe dolary, a w Honiarze wyda jeszcze kilka na opłatę targową. W ten sposób przez dwa tygodnie ciężkiej pracy zarobi na czysto równowartość niespełna trzydziestu dolarów amerykańskich.

Peter z wioski Alialia sprawiał zaiste dziwne wrażenie. W latach siedemdziesiątych z delegacją parlamentarzystów odwiedził Londyn. Spotykał się z brytyjskim ministrem spraw zagranicznych i z królową, nosił pożyczony garnitur, a wtedy na Savo, ubrany w koszulkę z emblematem piwa Foster's, spocony, utyłany aż po czubki kędzierzawych włosów, leżał na brzuchu i gołymi rękami grzebał w piachu, żeby znaleźć jajo nogala.

Pola lęgowe stanowiły rodzaj męskiego klubu. Kobiety nie mogły zbierać jaj ani nawet postawić nogi na tej plaży. Zbieracze podśmiewali się z siebie nawzajem i gawędzili ze mną, natomiast Ataban siedział rozparty w cieniu drzewa i odbierał należną opłatę pięciu jaj od każdego zbieracza. Codziennie do swojej płóciennej torby chował od dwudziestu do stu jaj. Kiedy zebrał trzysta lub więcej – na co potrzebował tygodnia – wysyłał syna, żeby sprzedał jaja na targu w Honiarze.

– Są bardzo pokupne – twierdził.

Któregoś dnia zapytałem go, czy ma tyle samo nogali co dawniej.

– Nie. Teraz jest ich mniej.

Właśnie tego się spodziewałem.

– Dlaczego więc nie zadba pan, żeby młode się wykluły? Dzięki temu miałby pan więcej ptaków i w rezultacie więcej jaj.

– Młodzi się na to nigdy nie zgodzą, chociaż dawniej, kiedy nogalom składano ofiary, właśnie tak postępowano.

Tamtego dnia Ataban pokazał mi grób mężczyzny, który jako ostatni składał ofiary nogalom. Nazywał się Kigata i umarł w 1965 roku. Ofiara polegała

zazwyczaj na spaleniu świni w świętym gaju na urwisku za wioską. Ataban wyłuszczył mi też cokolwiek manichejską ideę, że nogal jest skojarzony z pewnym węzłem będącym jego „diabłem” czy duszą.

– W którym miesiącu zbieracie jams? – zapytałem, gdyśmy wracali do wioski.

– Zazwyczaj w czerwcu.

– Macie wtedy mnóstwo jedzenia. Dlaczego nie zakażecie zbierania jaj w tym czasie? Niechże w czerwcu wyklują się młode nogale. Potem będziecie mieli więcej ptaków i tym samym więcej jaj.

– To bardzo mądre spostrzeżenie – oświadczył Ataban.

Nie wiedziałem, czy nie kpi ze mnie.

– Przedstawię ten pomysł na posiedzeniu rady – dodał. – Uchwalimy to jako prawo lokalne.

Właśnie na polach lęgowych, w przerwach między wykopywaniem jaj, wyspiarze stawali się najbardziej rozmowni. Wypytywali o ceny ropy w innych krajach, o siłę Związku Radzieckiego i Japonii, o efekt cieplarniany (zapytał o to starzec, zaczynając od słów: „Pewien facet w Honiarze powiedział mi...”), wypytawali o koszty życia w innych częściach świata, ile kosztuje dom w innych krajach. Rozmowy na terenach lęgowych nieuchronnie schodziły na temat sytuacji w Zatoce Perskiej. Pewnego razu Ataban poprosił mnie o zapewnienie, że jeżeli wybuchnie wojna, to wygrają Amerykanie („Oczywiście – rzekłem – ale zginą ludzie”), a potem zaczął się ze mną droczyć.

– Odłóżcie fuzje! – zawołał. – Odłóżcie bomby, samoloty i pociski! Walczcie gołymi rękoma, a wtedy my, Melanezyjczycy, pokonamy was swoimi rękoma!

– *Rabis! Bullseet!* – zawołałem z kolei ja, a wszyscy inni zachichotali. – To wszystko *nambaten*. Nie mielibyście szans. Jesteśmy *bigpela*, *strongpela*.

– Nieprawda! Jesteśmy Melanezyjczykami! – wrzasnął Ataban. – Jesteśmy wojownikami i mamy magię.

– Tak, tak! – wołali inni i śmiali się ze mnie.

– A gdzie była wasza magia w 1942? – zapytałem.

– O jejku! – zapiszczał Ataban. – My nie mieć magia w tamten czas. Uciekliśmy w busz i pozwoliliśmy Amerykanom walczyć z Japończykami. Ha, ha.

Po tej żartobliwej rozmowie podszedł do mnie dwudziestojednoletni Edward i powiedział:

– Ale Rambo jest bardzo silny. On może walczyć bez fuzji.

Rambo należy do grona bohaterów ludowych Wysp Salomona. W rzeczy samej jego sława szerzy się jak Oceania długa i szeroka. Ktokolwiek chciałby wyśmiać tę naiwność jako zwykły prymitywizm, powinien pamiętać, że pewnego razu amerykański prezydent Ronald Reagan wspominał, iż oglądał w Białym Domu film o Rambo i że właśnie owa ramota opowiadająca o tępym mięśniaku głęboko go zainspirowała.

Pewnego wieczoru w chacie Mapo przy kolacji złożonej z jajek nogali, mielonki marki Ma Ling i *kumara* (słodkich ziemniaków) gospodarz powiedział:

– *Mi laik lukim Rambo video tumas* (Bardzo lubię filmy o Rambo). *Yu lukim Commando?* (Oglądałeś Komando?) *Nambawan man long Commando* (Super facet gra w Komando).

– *Yu lukim video lon ples Balola?* (Oglądacie wideo w Baloli?)

– *Ya* (Tak). *Mi kros* (Jestem zły). *Dispela generator bagarap* (Generator się schrzanił).

Jedyny generator na wyspie służył wyłącznie do zasilania magnetowidu.

Na Savo rzadko używano tok pisin, właściwie tylko w rozmowach z obcymi. Między sobą wyspiarze rozmawiali w miejscowym języku savosavo, który według językoznawców należy do języków papuaskich i nie ma nic wspólnego z językami melanezyjskimi. Ataban przeczył temu, ale savosavo rzeczywiście zawiera wiele słów o polinezyjskim brzmieniu. Na przykład wyspę określa się mianem *molumolu*, bez wątplenia pokrewnym wielu polinezyjskim nazwom wyspy, takim jak tahitańskie *motu*, hawajskie *moku* i tak dalej.

– Skąd przybyli ludzie na Savo? – zapytałem Atabana.

Zanim zdążył odpowiedzieć, Peter, zbieracz jaj, rzekł:

– Z Azji.

– Nie sądzę – oświadczył Ataban. – Wierzymy, że jesteśmy tutaj od zawsze. Że zrodziliśmy się z ptaka lub węża. Ten ptak, być może fregata, złożył jajo, z którego wylęła się kobieta. Właśnie tak myślę.

– A jak to jest z ludźmi na innych wyspach? Jak to jest z tymi z Ontong Java?

Ten niewielki atol na północy Wyps Salomona zamieszkiwali Polinezyjczycy.

– Oni być może tam przyplłynęli – rzekł Ataban. – Ale my pochodzimy od ptaków, rekinów i węży.

Tłumaczył, że po śmierci zamieniają się z powrotem w rekiny. Na Savo wierzono, że rekiny są duchami zmarłych. Dlatego wyspiarze często do nich przemawiali i karmili je.

Na Wyspach Salomona nie bano się rekinów, ale nie bano się ich też na żadnej ze znanych mi wysp Pacyfiku. W gruncie rzeczy nic w tym dziwnego. Statystyczną prawidłowością jest to, że rekiny na całym świecie rozszarpują tylko dwadzieścia pięć osób rocznie. Więcej ludzi zabijają świnie.

**Pływając** wokół Savo, zazwyczaj miałem na uszach słuchawki, a w nich muzykę z walkmana. Zawsze słuchałem tej samej kasety, albowiem tylko ją wtedy miałem ze sobą. Arie z oper Pucciniego i Verdiego w wykonaniu Kiri Te Kanawy. *Vissi d'arte* [Żyłam dla sztuki] z *Toski*, *O mio babbino caro* [O, mój kochany papo] z *Gianniego Schicchiego*, *Un bel dí, vedremo* [Pewnego pięknego dnia zobaczymy] z *Madame Butterfly*, *Fors'è lui* [Może to on] z *Traviaty* i inne. Nie potrafię opisać wzruszenia, które wzbierało we mnie, kiedy słuchałem lirycznego sopranu śpiewającego z przeszywającą słodyczą *quel'amor* (taka miłość), podczas gdy wiosłowałem opodal ślicznej wysepki, sunąc pod wysokimi urwiskami, na których kłoniły się palmy, pod dziwnie zwalistymi wzgórzami i kalderami powstałymi wskutek zaiste niedawnej aktywności wulkanicznej (odkrywca de Mendaña obserwował erupcję Savo w 1568 roku), pośród grzywaczy malujących na białą przybrzeżne skały, opodal dzieci, którym słońce wyłociło czupryny i które wybiegały z bambusowych chat, aby igrać wśród fal, opodal tego wszystkiego, ludzi,

chat, dłubanych łodzi, ogródków warzywnych i kobiet gapiących się na mnie z rozdziawionymi gębami znad prania.

Bodaj jeszcze bardziej wzruszała mnie *Se come voi*, aria o pięknych kwiatach, ponieważ płynąc blisko brzegu, cały czas widziałem piękne kwiaty. Gdybym był tak piękny jak one, byłbym zawsze blisko mojej ukochanej i mógłbym szeptać jej: „Nie zapomnij o mnie”.

*Se come voi piccina io fossi,  
O vaghi fior, sempre sempre  
Vicina potrei stare al mio amor...*

[Gdybym była tak mała jak wy  
Albo dzikim kwiatem, mogłabym  
Zawsze być blisko mojej miłości...]

Pod różowo-purpurowym niebem wczesnego wieczoru, wiosłując po morzu barwy wody różanej, widząc szybujące fregaty i kakadu śmigające z drzewa na drzewo, czułem się szczęśliwy. Na tę wyspę trafiłem przypadkiem i odnosiłem wrażenie, że jeżeli tylko nie wtrąca się turyści ani urzędnicy, wyspa pozostanie dziewicza, a jej mieszkańcy nadal będą doskonale sobie radzić. Wątpiłem w trwałość tego osobliwego prostego życia, ale musiało być ono dobre, bo w przeciwnym razie ludzie ci nie byłiby tak wielkoduszni i ufni.

Jeżeli miejsce to wydawało mi się smutne, co czasem się zdarzało, gdy płynąłem zasłuchany w owe arie, a zielona wyspa jak gdyby się obracała obok kajaka, uzmysławiałem sobie, że ten smutek jest mój. Przywiozłem go tutaj. Był częścią mojego nastroju w tamtym dniu. Wpływał na moje sny, w których widziałem szary, bezładny Londyn i strome schody wiodące do grubych, zaryglowanych drzwi, a przecież na tej wyspie nie mieli drzwi ani rygli, ani nawet schodów. W tych snach spóźniałem się na spotkania, rozmijałem się z ludźmi, już prawie spotykałem się z żoną, gdy nagle oszołomiony natrafiałem na orgię nagich ludzi na rogu ulicy albo na zamknięte tylne drzwi, a gdy w końcu przybywałem na miejsce, szlochając, szeptałem: „Za późno”, i budziłem się zlany potem, słyszałem chlupotanie przyboju i przypominałem sobie, że jestem sam w namiocie na plaży na Savo w archipelagu Wysp Salomona.

Pływałem kajakiem wokół wyspy, bo dzięki temu byłem sam. Pływałem, bo sprawiało mi przyjemność słuchanie muzyki. Pływałem kajakiem, bo woda była zbyt brudna, żeby się w niej kąpać. Pływałem kajakiem również po to, żeby dzień miał sensowny kształt, bo zazwyczaj piszę rano, a w południe potrzebuję ruchu. Tam, wtedy robiłem nie więcej niż piętnaście kilometrów, ale w równikowym słońcu prażącym z bezchmurnego nieba. No i pływałem kajakiem dlatego, że nieraz tylko w ten sposób mogłem się przenieść w inne miejsce.

Jeżeli o zachodzie nie było u mnie Mapo, na pogawędkę zachodził Ataban, który nie cierpiał brata. Pewnego razu zapytał, czy nie bulwersuje mnie to, że uważa brata za wroga. Odparłem, że to bardziej naturalne, że odczuwa niechęć lub litość w stosunku do brata, a nie wobec kogoś ledwo znajomego.

– Moim zdaniem naprawdę nie lubić można tylko członka rodziny lub człowieka, którego dobrze się poznało – orzekłem. – Ale myślę, że Mapo to porządny gość.

– To dowodzi, że pan go nie zna – stwierdził Ataban. – Ot co!

Zwykle witał się ze mną, pytając:

– Dobrze się fiosłowało?

– Dziękuję, bardzo dobrze.

– Lubi pan fiosłować. A ja mam tyle pracy!

– Ma pan na myśli spanie pod drzewem, podczas gdy zbieracze przynoszą panu jaja nogali?

Przyjął dobrze tę kpinę, a nawet zdawał się uważać ją za świadectwo życzliwości.

– Skąd. Jestem biednym Melanezyjczykiem. Muszę pracować. Nie jestem leniuchem, jak Amerykanie. Musze karmić swoje sfinie.

Potem siadał i rozmawialiśmy aż do ciemnej nocy. Zazwyczaj zadreczę go, żeby pokazał mi święte gaje, gdzie oddawano cześć nogalom, ale odpowiadał, że są one nazbyt *tambu* (tabu) i że mogłoby mnie spotkać coś złego, gdybym tam poszedł. Po tygodniu przestałem więc go prosić.

– Jutro pokażę panu miejsce, gdzie składamy ofiary nogalom – ni stąd, ni zowąd oświadczył Ataban pewnego wieczoru. – I opowiem panu o historii tego ptaka i jego diabła.

– Proszę teraz mi o tym opowiedzieć.

Skrzywił się.

– To zbyt długa opowieść. A moje sfinie czekają.

– *Yu go we tude?* (Gdzie dzisiaj jedziesz?) – nazajutrz zapytał Mapo. – *Yu wokabout Kwila?* (Idziesz do Kwila?) *Yu laik samting, yu laik kaikai?* (Chcesz czegoś, chcesz jeść?)

Odgrywał komedię, ale żeby nie dolewać oliwy do ognia waśni między braćmi, powiedziałem, że wybieram się po prostu na spacer i że nie jestem głodny.

Ataban czekał na mnie na skraju wioski, gdzie przedstawił mi starego mężczyznę, siedemdziesięcioczerolatka, jak powiedział, który przyniósł mu jaja nogali. Ilekroć spotykałem wyspiarza w tym wieku, pytałem o wojnę. Ten starzec całe życie spędził na Savo. Powiedział, że nic się nie zmieniło, a jedynym zakłóceniem była wojna. Ataban wystąpił w roli tłumacza.

– Przyszli Japończycy. Pewien Japończyk oświadczył: „Jesteśmy potężni i zostajemy tutaj, na Tulagi. Nigdy nie odejdziemy. Idźcie na swoje pola. Zbierajcie kokosy, róbcie koprę, hodujcie banany. Uprawiajcie warzywa. Łówcie ryby. Kupimy wszystko, co macie do sprzedania”.

– Wspominali o Amerykanach?

– Mówili: „Amerykanie są bardzo silni. Przyjdą i będą z nami walczyć. Ale ich pokonamy”. Baliśmy się ich.

– Ale dlaczego? – zapytałem. – Japończycy to niscy ludzie o krzywych nogach, którzy niedowidzą bez okularów. Są mniejsi od was. Dlaczego się baliście?

Starzec się rozśmiał i mówił dalej, Ataban zaś tłumaczył.

– To prawda, wydawali się nam dziwni. Ale niektórzy byli wysocy. I mieli karabiny. Trochę później przyszli Amerykanie i wszystko się zmieniło. Walczyli. Dużo ludzi zginęło. Bałem się. I ciągle o tym myślę.

– Ale to było dawno.

– Nie! Niedawno. Przed chwilą. Właśnie się ożeniłem i miałem dzieci – stwierdził starzec.

Kiedy starzec odszedł, Ataban zmienił zdanie i oznajmił, że to zły pomysł, żeby zaprowadzić mnie do miejsca składania ofiar, bo jest ono bardzo *tambu*. Usilnie prosiłem, żeby mnie tam zabrał, ale się wzbraniał, więc zapytałem dlaczego.

– Bo wierzę w *kastom*. Nie jestem chrześcijaninem. To miejsce *tambu*.

– Nie wejdę do niego. Nie dotknę go. Nawet nie podejść blisko. Chcę tylko spojrzeć.

– To już lepiej – stwierdził. – Spojrzy pan z odległości.

Ruszyliśmy stromą, zarośniętą ścieżką i niemal natychmiast zobaczyłem dobrze ponadmetrowego, grubego na kilka centymetrów brunatnego węża, który – jak sprawdziłem w atlasie *Reptiles of the Solomon Islands* [Gady Wysp Salomona] – był zapewne jadowitym wężem lądowym z rodzaju *Salomonelaps* (rozpłaszczył się, gdy poczuł się zagrożony, zasyczał i poruszył szczękami, jak gdyby coś żuł). „Brak danych na temat toksyczności jadu, ale należy sądzić, że jest potencjalnie niebezpieczny dla ludzi”.

Dalej posłyszałem głośne hurgotanie w zaroślach i mignęło mi stworzenie, które wzięłem za psa.

– Nie. To jaszczurka – sprostował Ataban.

Jaszczurka wielkości cocker-spaniela? Na podstawie atlasu gadów uznałem, że zapewne spotkaliśmy warana.

Jakże inaczej wyglądał świat zaledwie paręset metrów od przewiewnej plaży! Powietrze stało, gorące i duszne, przesycone wonią wilgotnych i gnijących liści. Na każdej gałęzi rezydował pajak i nawet za dnia roiło się od moskitów. Wystarczyło otrzeć się łokciem o pień, żeby zgarnąć horde kęsających mrówek. Nie przeszliśmy nawet pięćdziesięciu metrów, a mrówki już zdążyły wleźć mi na kark.

Gruby Ataban kroczył przodem, trzepiąc się po ramionach.

Stanęliśmy przed prostokątem ułożonym z kamieni.

– To grób człowieka, który pierwszy zaprosił na Savo ptaki – rzekł Ataban. – Stał na wzgórzu. Przyleciał ptak i chciał zostać. Ale diabeł, wąż, nie pozwalał na to. Wtedy ptak złożył jajo. Człowiek zjadł jajo i powiedział: „Jest dobre”. Wobec tego ptak mógł zostać, póki – tak jak obiecał – będzie składał jaja.



Szliśmy dalej. Ataban bez przerwy jęczał pod nosem: „To jest *tambu*”, i machał rękoma.

– Nie wolno ścinać drzew – mówił. – Nie wolno ścinać lin. – Miał na myśli pnącza.

Skoro nigdy nie karczowano zarośli i rzadko tam zaglądano, las wybujał, zielony i mroczny, bardzo gęsty i wysoki. Nogale gdakały niczym kury na gałęziach drzew. To była ich ostoja.

Wielki czarny pająk czatował w pajęczynie u wejścia do świętego gaju. Odwłok wielkości srebrnego dolara, nogi długie na jakieś osiem centymetrów. Ataban po prostu przeszedł przez pajęczynę.

– Widział pan pająka?

– Tak. Nic nam nie robi.

Nie weszliśmy zbyt głęboko w gaj. Przede wszystkim nie było ścieżki. Las wybujał, drzewa rosły grube, miały pnie o średnicy około sześćdziesięciu centymetrów. Takie stare drzewa to rzecz niezwykła na małej wyspie. Gdyby nie tabu, dawno zostałyby ścięte na opał lub budulec. Wszędzie gęste kępy bambusów, ciemnozielonych i grubych jak rury kanalizacyjne.

Ataban był zdenerwowany.

– To tutaj – oznajmił. – I powiem panu, że to bardzo *tambu*. Niech pan spojrzy, ale nie podchodzi.

Zobaczyłem stos kamieni.

– Właśnie tutaj składają całopalną ofiarę ze sfini.

– Niewiele widzę. Za dużo drzew.

– Wierzmy, że każdy, kto zetnie tutaj drzewo, zachoruje. Najpewniej umrze.

Słowo *tambu* – tabu – miało sprecyzowane znaczenie w tym budzącym dreszcz zgrozy miejscu. Światło słoneczne z trudem przenikało przez korony drzew, a skoro nie było ścieżki, to żeby przejść, musieliśmy przeciskać się pomiędzy bambusami. Powietrze huczało od bzyczenia owadów i gdakania nogali siedzących na gałęziach drzew. „Kak, kak, kak”. Gdyśmy brnęli mozolnie przez las, ze świętego miejsca wypadła świnia, Ataban kopnął wystraszone zwierzę i wrzasnął:

– *Yu gettim bek!* (Z drogi!) – jak gdyby do świni wypadało przemawiać wyłącznie w tok pisin.

Przedarliśmy się przez las jeszcze kawałek dalej. Ataban pokazał mi kolejny ofiarny stos, a ja zapytałem:

– Czemu już nie składacie ofiar?

– Ten, kto złoży całopalną ofiarę ze świni, nie może chodzić do kościoła. Ale ja mogę złożyć ofiarę, bo wierzę w *kastom*.

Kiedy przycisnąłem go, mówiąc, że istnieje niebezpieczeństwo, że nogale nie będą szanowane, wobec czego na zawsze odlecą, przyznał, że co roku pewna staruszka ofiaruje świnię ku czci nogali.

Gdy po dwóch godzinach przedzierania się przez płataninę pajęczyn i pnączy, okropnie zżarci przez owady, przemoczeni od mokrych liści i oparów wróciliśmy do ścieżki, Ataban rzekł z wyrzutem:

– Powiem panu, że pola lęgowe pokazywałem wielu ludziom, ale nigdy przedtem nie zabrałem nikogo do miejsca *tambu*. Jest pan pierwszy.

Oświadczyłem, że doceniam jego poświęcenie.

– Teraz wróci pan do obozu i opisz wszystko w notatniku.

– Skąd pan wie?

– Przecież widzę, że pan tylko siedzi i pisze!

Wydawało mi się, że jestem sam na plaży, ale powinienem być mądrzejszy. W wiosce nie istnieje prywatność.

– Niech pan się nie obawia, Atabanie. Dochowam sekretu. Oczywiście nie opiszę tego.

Ale skoro tylko zniknął mi z oczu, właśnie to uczyniłem.

**Na Savo** zostałem dłużej, niż planowałem, a kiedy skończył mi się prowiant, jadłem jams i jaja nogali, mające najwięcej żółtka ze wszystkich jaj, jakie kiedykolwiek spożywałem. Pewnego dnia swoją łodzią motorową przyплыł James i po krótkich targach – dałem mu harpun i bak paliwa – popłynęliśmy dwadzieścia pięć kilometrów przez Szczelinę do Tulagi. W styczniu 1942 roku miasto zajęli Japończycy. W sierpniu wyparli ich Amerykanie, a że mają tam głęboki port, Tulagi służyła jako główna baza w trakcie bitwy o Guadalcanal.

Przy wejściu do portu są wysokie skały. W czasie wojny na polecenie admirała „Bulla” Halseya wymalowano na nich amerykańskie slogany wojenne.

„Wpłynęliśmy do portu Tulagi – pisał amerykański marynarz, wspominając swoją pierwszą wizytę w tym miejscu w 1944 roku. – Po obu stronach wejścia do portu piętrzą się wysokie urwiska, a na nich ogromnymi literami wypisano przesłanie. Na samej górze: ZABIJAĆ... ZABIJAĆ... ZABIJAĆ, pod spodem: ZABIJAĆ JAK NAJWIĘCEJ JAPOŃCÓW, w trzecim wierszu podpis: HALSEY. Zareagowaliśmy wiwatami, albowiem byliśmy wytrawnymi zabójcami, częściami potężnej maszyny do zabijania. Wszakże po latach slogan ten skłonił mnie do zastanowienia się nad sposobami, w jakie rozstrzygaliśmy nieporozumienia z Japończykami”.

Tulagi wydawało się jeszcze bardziej wyludnione i zniszczone niż w czasie wojny. Puste domy i walające się wszędzie puszkami po piwie, brudne papiery, potłuczone butelki.

W trakcie spaceru James opowiadał mi o pracy na japońskim kutrze do połowu tuńczyków za pomocą sznurów haczykowych, za co dostawał czterdzieści dolarów miesięcznie. Złowione ryby wozili prosto do Japonii, gdzie w Jokohamie James skumpłował się z amerykańskimi czarnymi, którzy nagabnęli go, czy aby nie jest ze Stanów.

– Nie wiedzieli, gdzie są Wyspy Salomona – wspominał. – Ale zabrali mnie do baru i stawiali piwo.

Japonia wydała mu się piekielnie droga. Prowadził barter z właścicielami barów, wymieniając tusze tuńczyka na whisky. W Japonii czuł się bardzo nieswojo.

– Sami Japończycy – stwierdził. – Nikogo takiego jak ja.

W końcu załadowałem kajak i pożegnałem mieszkańców Baloli. Mężczyznom podarowałem haczyki na ryby, kobietom jedwabne chustki. Odjechałem właściwie po cichu. Tylko dzieci przyszły popatrzeć, a gdy spostrzegłem Rebeccę śpieszącą na plażę, pozdrowiłem ją, lecz nawet nie spojrzała. Wyrzuciła do morza odpadki z koszyka i odeszła.

Wróciwszy do Honiary, poszedłem na Bloody Ridge (Krwawe Wzgórza), gdzie w 1942 roku zginęło tysiące ludzi. Powiosłowałem kilka kilometrów

w górę rzeki Lunga, ale okazała się jeszcze brudniejsza niż morze. Toczyła wody leniwie i gdzie tylko spojrzałem, widziałem śmieci, odchody albo padlinę. Ludzie wyglądali dziko i groźnie, ale bez wyjątku okazywali uprzejmość i odwzajemniali powitanie.

Miasto było potworne. Chciałem czym prędzej uciec z niego, ale nie z Wysp Salomona. Na wspomnienie kajakowych wycieczek wokół zielonego wulkanu, gdy wiosłowałem powoli, słuchając Pucciniego, strasznie mnie ciągnęło z powrotem na Savo.

Wieczorem w przeddzień wyjazdu z Guadalcanal wdałem się w pogawędkę z tubylcem o imieniu Kipply i powiedziałem, że wybieram się do Vanuatu.

– Spodoba się tam panu. Ludzie tam są tacy jak my – orzekł, a ja poczułem się lepiej.

## rozdział\_dziesiąty\_

### Vanuatu: ludożercy i misjonarze

**Wkrótce** znalazłem się w miasteczku White Grass na wyspie Tanna w Vanuatu (wcześniej Nowe Hebrydy), gdzie zamieszkałem w trzypokojowej bambusowej chacie goszczącej oprócz mnie czterech krzepkich, brodatych Nowozelandczyków. Mamrotali całą noc, wydając niekiedy okrzyki, jak gdyby dokonali wielkiego odkrycia.

Kiedy Glen, najbardziej stuknięty z nich, oświadczył, że nadciągająca wojna w Zatoce Perskiej będzie armagedonem i że na całym świecie wszczepia się ludziom pod skórę układy scalone – oto i znak Bestii, rozumiesz, przepowiedziany w Apokalipsie – zacząłem podejrzewać, że są nowo narodzonymi chrześcijanami, którzy przybyli zbawić Tannę, wyspę, która zapisała przecież piękną kartę w dziejach ludożerstwa. Miałem rację, czytali Biblię przy lampie naftowej, bo nie mieliśmy elektryczności. Na dokładkę kiedy padało, przeciekał dach, ale nie miałem się dokąd wynieść.

Owi fundamentaliści uwielbiali deszcz i spoglądali na ciemne chmury z durnym uśmiechem zadowolenia.

– Tylko patrzcie! – zawołał pewnego dżdżystego poranka zachwycony Douglas. Był prawie tak samo stuknięty jak Glen. Miał ropiejącą ranę na nodze i codziennie obmywał ją wodą morską, chociaż tłumaczyłem mu, że w ten sposób tylko zaognia zakażenie. – Piętrzy przeszkody na naszej drodze!

Teraz już wszyscy stali przed chatą, wyglądali jak zmokłe kury, ale rozanieleni potakiwali jak wariaci.

– Kto piętrzy przeszkody?

– Jak to kto, diabeł! – oznajmił Douglas.

– Po co diabeł miałby to robić? – dociekałem.

– Bo jedziemy na północ Tanny nauczać – wyjaśnił Douglas. – To całodzienna wyprawa. Przez gęsty busz. Nie chce, żebyśmy nauczali.

Nieco później tego ranka Glen wrócił zaaferowany do bambusowej chaty. Przemoczony do nitki, twarz uwalana błotem, włosy przyklepione do czaszki, utyłane ręce. Zachwycony opowiadał, że jeep zepsuł się na dojeździe do szlaku.

– Przeszkody! – zawołał.

Deszcz, awarię, wrogość tubylców, moją obojętność uważali za przeszkody, które piętrzy im na drodze diabeł, i tym samym za dowody świętości ich posłannictwa. Podejrzewałem, że na ich decyzję o zbawianiu Tanny istotnie wpłynęła złowroga sława tej wyspy jako siedliska ludożerców. Pogłoski na temat ludożerstwa zawsze bowiem wabiły misjonarzy, którzy są najszcześniejsi, jeżeli niosą dobrą nowinę prawdziwym dzikusom. Tak, ludożercy i misjonarze są dla siebie stworzeni.

Nawet zdawkowa inspekcja zawartości półki bibliotecznej z książkami o Nowych Hebrydach natychmiast przekona każdego misjonarza, że te szczęśliwe wyspy potrzebują nawrócenia, zbawienia. Na owej półce znajdziemy między innymi *Missionary Life Among the Cannibals* [Misjonarz wśród ludożerców, 1882], *The Cannibal Islands* [Wyspy ludożerców, 1917], *Cannibalism Conquered* [Ludożerstwo pokonane, 1900], *Two Cannibal Archipelagoes* [Dwa archipelagi ludożerców, 1900 – w tym Wyspy Salomona], *Cannibals Won for Christ* [Ludożercy zdobyci dla Chrystusa, 1920], *Cannibal-Land* [Kraina ludożerców, 1922], *L'Archipel des Tabous* [Archipelag tabu, 1926], *Living Among Cannibals* [Życie wśród ludożerców, 1930], *Backwash of Empire* [Pokłosie imperium, 1931], *Backwaters of the Savage South Seas* [Rubieże dzikich mórz południowych, 1933], *The Conquest of Cannibal Tanna* [Podbój ludożerczej Tanny, 1934], *Savage Civilization* [Cywilizacja dzikich, 1936], *Thirty Years Among South Sea Cannibals* [Trzydzieści lat wśród ludożerców z wysp Pacyfiku] Patona i *Camping Adventures on Cannibal Islands* [Przygody wędrowca na wyspach ludożerców] Evelyn Cheesman.

Odkryłem poważną poszlakę na rzecz istnienia ludożerstwa w Vanuatu (a także na Wyspach Salomona), a mianowicie upodobanie do konserwowej mielonki. Jestem gotów bronić teorii głoszącej, że byli ludożercy z Oceanii zajadają się dzisiaj mielonką, ponieważ właśnie mielonka najbardziej

przypomina świński smak ludzkiego mięsa. „Długa świnia” mawiano na znacznym obszarze Melanezji o przeznaczonym do zjedzenia człowieku. Faktem jest, że ludożercy z wysp Pacyfiku – już to na zasadzie rozwoju ewolucyjnego, już to wskutek degeneracji – zamienili się w smakoszy mielonki. Kiedy zaś nie mają mielonki, sięgają po konserwową peklowaną wołowinę, która również ma trupi smak.

Ale bardziej od ludożerstwa interesowały mnie kultury cargo. Na Tannę chciałem pojechać przede wszystkim dlatego, że słyszałem, iż kwitnie tam kult cargo zwany Ruchem Jona Fruma. Należący do tego ruchu wieśniacy czczą nieznanego, bodaj mitycznego Amerykanina Jona Fruma, który w latach trzydziestych rzekomo odwiedził Tannę. Zjawił się nie wiadomo skąd i obiecał wyspiarzom raj na ziemi. Musieli jedynie odrzucić nauki misjonarzy chrześcijańskich i odnowić swoje tradycje. Z radością wypędzili prezbiterian, ale Jon Frum jak dotąd nie wrócił. Jego wyznawcy stawiają w wioskach czerwone krzyże z drewna, żeby zwabić go na wyspę wraz z ładunkiem darmowych dóbr. Pod względem ikonograficznym nie są to krzyże chrześcijańskie, lecz przypominają emblemat Czerwonego Krzyża, który tubylcom kojarzy się z darmową żywnością rozdzielaną w czasie wojny z pojazdów tej organizacji.

Wierni gromadzą się w małych kanciastych chatkach i zanoszą modły do Jona Fruma. Niektórzy mają wizje związane z niezwykłym Amerykaninem. Śpiewają o nim piosenki w języku bislama, miejscowym pidżynie.

Wspomniałem o tym nawiedzonym kaznodziejom z Nowej Zelandii.

– Przeszkody! – zawołali.

**Na Tannę** zjechałem z Port Vila na wyspie Efate, które wydało mi się nazbyt ulizane i turystyczne. To ładne miasto umoszczone u stóp wzgórza i mające głęboki port. Kotwiczyły tam statki wycieczkowe z Australii, które płynęły potem na Nową Kaledonię i inne słoneczne wyspy, gdzie sprzedają koszyki, naszyjniki ze lśniących muszelek i wodę Perrier po pięć dolarów za butelkę. Półki sklepowe w Vila uginały się od towarów, miasto było czyste, porządne i miało co najmniej tuzin wygodnych hoteli, w tym dwa lub trzy zaiste

luksusowe. Podawano pieczone prosięta. Goście nurkowali z rurką w lagunie. Wieczorami wyspiarze śpiewali turystom serenady, brząkając na ukulele i zawodząc *Good Night, Irene* w języku bislama.

Kiedy w bibliotece publicznej ujrzałem wiele egzemplarzy moich dzieł, nie miałem żadnych wątpliwości, że to nadzwyczaj cywilizowane miasto. Co więcej, mieszkańcy byli mili i w ogóle niepazerni.

W Vila, podobnie jak w całym Vanuatu, nie ma zwyczaju dawania napiwków. Tak się zazwyczaj dzieje w krajach, gdzie większość gości to Nowozelandczycy i Australijczycy. Żyjąc z dala od Europy, muszą być samowystarczalni. W Australii i Nowej Zelandii napiwki nie wchodzi w grę. Mieszkańcy tych krajów nauczyli się oszczędności i gorliwie ją propagują.

– Masz furę szczęścia, że tu jesteś, Paul – rzekł Vanua Bani, poznany żołnierz z Vanuatu. – Unikniesz wojny w Zatoce.

– To prawda – przyznałem. Porozmawialiśmy o prawdopodobieństwie wybuchu wojny.

– W gruncie rzeczy nie wierzę, że dojdzie do wojny – powiedział – bo zginęłoby zbyt wielu ludzi.

– Walczyłbyś, gdyby Vanuatu weszło do koalicji międzynarodowej?

Wykręcał się od prostej odpowiedzi, a w końcu rzekł:

– Walczyłbym za ojczyznę, ale nie oddam życia za obcy kraj.

Nie miał munduru. Nosił koszulkę z napisem „Vanuatu – Dziesięć Lat Pokoju i Rozwoju – 1980–1990”.

– Walczyłeś z Brytyjczykami?

– Och, nie – odparł. – Nigdy byśmy tego nie zrobili. Lubimy Brytyjczyków.

**Ale droga** do niepodległości była kręta. Po tym jak w XIX wieku francuscy i brytyjscy osadnicy rozdrapali ziemię, obydwie kraje postanowiły objąć te wyspy wspólnym zarządem. Miejscowi dowcipnisie zamiast „kondominium” mawiali „pandemonium”. Różnie się układało, ponieważ, jak się wyraził angielski osadnik Fletcher, „ci żałośni zebracy byli lepiej wychowani i bardziej moralni od swoich panów”.



Fundamenty porządku położone przez osadników i misjonarzy jęły pękać podczas II wojny światowej, kiedy Nowe Hebrydy stanowiły bazę wojsk amerykańskich walczących na Wyspach Salomona i gdzie indziej na Morzu Koralowym. Po wojnie życie z wolna się normalizowało, wyspiarze wrócili do rybołówstwa, produkcji drewna i górnictwa (głównie rud manganu). Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych zaczęto rozmowy o dekolonizacji, odbyto kilka konferencji w tej sprawie, ale strony (Brytyjczycy, Francuzi i wyspiarze) zachowywały się zbyt egoistycznie i nie doszły do porozumienia.

W latach siedemdziesiątych wyłoniło się dwóch przywódców, a mianowicie Jimmy Stevens, charyzmatyczny osobnik o iście mojżeszowskiej brodzie i starotestamentowym sposobie bycia, który w istocie nosił przydomek „Mojżesz”, i ojciec Walter Lini, prezbiterianin<sup>[32]</sup>, sprytny, anglojęzyczny, konserwatywny wychowanek misjonarzy. Lini cieszył się szerokim poparciem. Stevens działał głównie na rodzinnej Espiritu Santo, największej wyspie Nowych Hebrydów, gdzie znajdował zwolenników zarówno wśród francuskich plantatorów, oportunistów, nowobogackich, gorliwych secesjonistów, jak i wśród wieśniaków. Współpracował również z intrygancką pravicową organizacją amerykańską Phoenix Foundation, która dąży do wymazania komunizmu. Ciągoty secesjonistyczne Stevensa zniechęcały do niego elektorat na innych wyspach, więc po kilku bezskutecznych wyborach krajowych w końcu to Lini został premierem. Krótko przed przyznaniem Vanuatu niepodległości Stevens wszczął zbrojną rebelię, tak zwaną wojnę kokosową, o której przez kilka dni w 1980 roku pisała nawet prasa światowa, ale powstanie szybko stłumiono, a brodaty przywódca trafił do więzienia.

W dziesięć lat później Lini nadal był premierem, a Jimmy Stevens ciągle siedział w więzieniu.

Vanua Bani zapewnił mnie, że ojciec Walter, jak go nazywał, jest bardzo popularny i powszechnie kochany.

Potwierdził, że na Tannie kwitnie Ruch Jona Fruma, i dodał, że jeżeli tam pojedę, powinienem spotkać się z wodzem Tomem Namake, który coś o tym wie.

**Spakowałem** kajak i zostawiwszy turystów – Glorię i Bunta („czarni tutaj są tacy mili, nie to co nasi”) z synami Darrellem i Shane’em z Adelajdy, pasażerów wycieczkowca, nurków i konferencję kobiet na temat polityki nuklearnej na Pacyfiku (przeniesioną z Nowej Gwinei, bo w Port Moresby żadna kobieta nie może czuć się bezpiecznie) – małym samolotem odleciałem na Tannę.

Wódz Tom przebywał akurat gdzie indziej, więc czekając na niego, musiałem stawić czoło nowo narodzonej chrześcijanom z Nowej Zelandii. W tamtym rejonie obowiązywał zakaz biwakowania, a nie znalazłem lepszego lokum niż dzielona z nimi bambusowa chata.

Kiedy tylko nie brali udziału w modłach ani nie nauczali w tej lub innej wiosce, nowo narodzeni czatowali na mnie. Łatwo wpadałem w ich sidła. Zacinający deszcz uniemożliwiał dłuższe spacerowanie. Początkowo mniej lub bardziej biernie słuchałem ich gładzenia, ale potem przewertowałem Biblię, wybrałem kilka fragmentów i poprosiłem kaznodziejów o objaśnienie. Zapytałem na przykład, co miał na myśli Jezus, kiedy – jak czytamy w Ewangelii według Świętego Mateusza (10, 34–38) – wojowniczo mówił: „Bo przyszedłem poróżnić syna z jego ojcem, córkę z matką, synową z teściową”<sup>[33]</sup>.

Odrzekli, że potrzebuję wiary, że muszę na nowo się narodzić, i przerzucili stronie Pisma Świętego, żeby znaleźć werset trzeci rozdziału trzeciego Ewangelii według Świętego Jana: „Zaprawdę, zaprawdę, powiadam ci, jeśli się ktoś nie narodzi powtórnie, nie może ujrzeć królestwa Bożego”<sup>[34]</sup>.

Zauważyłem, że są niewybrednymi i namiętymi mięsożercami. Na śniadanie jedli kanapki z tłustym bekonem, na obiad zaś smażone kiełbaski, a w niektóre dni wyjadali łyżką tuńczyka prosto z puszki. Dzięki adwentystom dnia siódmego z Trobriandów byłem oblatany w tych sprawach.

– Pismo powiada, że nie powinniście jeść tego mięsa – oświadczyłem.

Uśmiechnęli się z politowaniem, nie przerywając żucia.

– Oho, Paul nabrał ducha – rzekł Glen do towarzyszy. – Ale potrzebuje Ducha Świętego. Potrzebuje Jezusa.

– Księga Kapłańska, rozdział jedenasty. A także Księga Powtórzonego Prawa. To wszystko jest zakazane – wieprzowina, mięso ryb bez łusek, wszystko.

– Są zalecenia w tej sprawie – mglście przyznał Douglas.

– Paul potrzebuje Jezusa – powtórzył Glen.

– Zaręczacie, że wierzycie w każde słowo Biblii. Jak to się ma do tego, co wczoraj opowiadaliście mi o potopie?

Poprzedniego wieczoru Douglas stwierdził, że na ziemi rzeczywiście wystąpił potop. Znalaziono dowody tego, choćby w Australii. Douglas wierzył w Adama i Ewę, w arkę Noego. Wierzył, że żona Lota zamieniła się w słup soli. Dlaczego nie brał serio zakazów z Księgi Kapłańskiej?

Droczyłem się z nimi jeszcze przez pewien czas, bo ciągle padało i nie miałem nic lepszego do roboty. Później tego dnia odczytałem im fragmenty Księgi Daniela zawierające doskonałe argumenty na rzecz wegetarianizmu. Daniel odmówił jedzenia mięsa z kuchni Nabuchodonozora i trzymał się diety opartej na soczewicy, dzięki czemu cieszył się piękną cerą, zdrowiem i mądrością.

– Nie sądzisz, że to cię może czegoś nauczyć, Glen?

– Potrzebujesz Jezusa, Paul – rzekł Glen, wpychając sobie bekon do ust.

– Nigdzie w Biblii nie jest napisane, że Jezus jadł mięso – oświadczyłem i zastanowiłem się, czy to prawda. Kaznodzieje wszakże nie podchwycili tematu. Lubiłem rozmawiać z nimi o wegetarianizmie, podczas gdy opychali się kanapkami z bekonem.

– Za dużo myślisz o tej sprawie – orzekł Brian.

Brian mnie niepokoił. Śmiał się głośno i gwałtownie, jak gdyby ku przestrodze. A na ogół wydawał się strapiony. Właśnie on, najbardziej zarośnięty, z największą brodą, był przywódcą. Napawał mnie niepokojem, bo opowieści o tym, jak znalazł Jezusa, okraszał uwagami na temat tego, jakim to okrutnym i zatwardziałym był grzesznikiem.

– Robiłem straszne rzeczy – mówił i posyłał mi groźne spojrzenie, które wydawało się przestroga, że zrobi coś strasznego mnie, jeżeli nie będę go słuchał. Miałem wrażenie, że w Auckland straszne rzeczy spotkały panią Brianową.

– Profanowałem imię Jezusa – cedził – wolę ci nie mówić, co robiłem. To było straszne.

Wyglądał przerażająco nawet wtedy, gdyśmy siadali przy chwiejnym stole, na którym kładł wielką Biblię. Na marginesach widniały dopiski uczynione piórem kulkowym. Pismo odręczne może zdradzać gwałtowną naturę. Niebieskie bazgroły Briana wydawały mi się niepokojąco bezmyślne i agresywne.

Ale ciągle padało.

Brian utrzymywał (a jego towarzysze stali za nim murem), że na świecie nie ma niczego, co miałyby więcej niż cztery tysiące lat. Dotyczy to szczątków dinozaurów, trylobitów, grobowców chińskich.

– Datowanie metodą węglową zostało całkowicie zdezawuowane.

– Twierdzisz, że *Tyrannosaurus rex* biegał po ziemi przed niespełna czterema tysiącami lat?

– Z pewnością nie mógł biegać wcześniej niż cztery tysiące lat temu, bo wtedy świat nie został jeszcze stworzony – rzekł Brian i uśmiechnął się niby tryumfalnie, ale gdy spojrzałem mu w oczy i na odsłonięte zęby, miałem wrażenie, że chce mnie ugryźć.

Potem Glen opowiedział mi o układach scalonych.

– Znak Boga pojawi się na czołach tych, co są zbawieni – oznajmił Douglas.

– Chcesz powiedzieć, że nie na moim?

Uważałem, żeby zanadto nie drażnić tych obłąkańców. Kłopot z tego pokroju chrześcijanami polega nie na wierze w Boga, lecz na niezłomnej i agresywnej wierze w Szatana. Uznałem, że stanowcze zbijanie ich poglądów mogłoby mieć fatalne skutki. Wewnątrz naszej bambusowej chaty nie było drzwi. Słyszałem, jak mamroczą po nocy. „Robiłem straszne rzeczy”. Byli święcie przekonani, że na świecie grasuje Szatan, że krąży po White Grass, nawiedza naszą chatę i stara się pokrzyżować im szyki. Śmiało mogli uroić sobie, że jestem wcieleniem Antychrysta, i przebić mi serce bambusowym kijem.

Mieszkałem z „zadufanymi w Bogu”, reprezentantami jednego z głównych typów ludzkich, jakie Elias Canetti opisał w niezwykłej książce *Nauszny*

świadek. „Zadufany w Bogu nikogo nie musi pytać o to, co jest słuszne, bo może się tego dowiedzieć z Księgi Ksiąg. Znajdzie tam wszystko, czego mu potrzeba [...]. Cokolwiek uczyni, podpisuje się pod tym Bóg”<sup>[35]</sup>.

Burze przechodzące każdej nocy oszczędziły mieszkańcom White Grass naszych nocnych dysput. Podczas wichury i ulewy wszyscy mieszkańcy biegli do specjalnej chaty, okrągłej i szczególnie solidnie splecionej, gdzie zbici w gromadę przeczekiwali burzę. W tym swoistym schronie nie było miejsca dla krzyczących i rozmodlonych nowozelandzkich dewotów.

**Tanne** zamieszkiwali ludzie niscy, chmurni, tępi czarni o krótkich nogach i wielkich brudnych stopach, a niektórzy z nich należeli do największych nagusów, jakich kiedykolwiek widziałem na wyspach Pacyfiku. Mam na myśli kobiety w wystrzępionych spódniczkach z trawy i mężczyzn oraz chłopców ubranych jedynie w „saczek na penisa”, jak się wyraził jeden z miejscowych. Taka sakiewka to zakrywająca fiuta wiązka traw pod względem wielkości i formy przypominająca miotełkę. Przymocowana za pomocą pnącza, paska lub kawałka sznurka stanowi nieraz całe ubranie mężczyzny. W języku bislama nosi nazwę *namba*, co właściwie znaczy tyle co „numer”. W Vanuatu mężczyzn zalicza się bądź to do grupy big nambas (dużych saczków), bądź też do grupy small nambas (małych saczków).

Owe spódniczki z trawy i miotełki zwane *namba* były przyodziewkiem zwłaszcza szczęśliwych pogan zamieszkujących tradycyjne wioski w błotnistym interiorze wyspy. Jako że byłem ciekaw, czy ci ludzie są wyznawcami kultu Jona Fruma, pojechałem jeepem do kultywującej *kastom* wioski Yakel, żeby zbadać tę sprawę.

W Yakel lało i człowiek odnosił wrażenie, że leje od dwóch tysięcy lat. Chaty namoknięte, strzechy gąbczaste, niebo prawie czarne, powietrze chłodne, ziemia grząska, zbici w stadka nadzy ludzie – kobiety pod jednym drzewem, mężczyźni pod drugim – tulili się do siebie nawzajem, żeby nie przemarznąć. Deszcz spływał po grzbietach i kapał z pośladków. Kobiety podciągnęły spódniczki na szyje, otulając się nimi niczym peleryną, przykucnięci mężczyźni niemal siedzieli na ziemi, a ich *namba* nurzały się

w błocie. Zaiste wioska ciekących nosów, zasnuty mgiełką uporczywego deszczu posępny obrazek z epoki kamienia łupanego, aż po utyłane w błocie tyłki.

Mężczyźni palili cuchnący tytoń i podawali sobie z rąk do rąk skorupę kokosa z kawą, czyli napojem z rozmoczonego w wodzie korzenia pieprzu *Piper methysticum*, a kiedy się uśmiechali do mnie, co często czynili, odsłaniali czarne pieńki zębów.

– *Yu savvy Jon Frum hia?* (Znacie tu Jona Fruma?)

Wyszczерzyli pieńki i machając rękami, wołali:

– *No Jon Frum!*

Trafiłem do naprawdę tradycyjnej wioski bez chrześcijan, bez polityków, bez wyznawców Jona Fruma, jednej z wielu na Tannie, ale jedynej, w której przyjmowano obcych. Inne wioski kultywujące *kastom* leżały dalej w głębi wyspy, a zamieszkiwali je ludzie dzicy, niechętni obcym i – jak mi mówiono – naprawdę nadzy, chociaż w moich oczach mężczyzna odziany tylko w *namba* też jest całkiem goły. W języku nahwal, którym mówią w Yakel, *namba* nazywa się *kawhirr*. Nahwal nie został jeszcze zapisany i należy do tych nielicznych języków świata, na które nie przełożono Biblii.

W samym środku grupki mężczyzn przycupnął wódz, drobny chudy staruszek ze zmierzwioną siwą brodą, mętnymi oczyma i kępkami żółtosiwych włosów w uszach. Nie miał ani jednego zęba. Zapytałem go w pidżyn, ile świąt Bożego Narodzenia przeżył – bo w tym języku tak się pyta człowieka, ile ma lat – ale odparł, że nie ma pojęcia i że słabo mówi w pidżyn.

Nazywał się Johnson Kahuwya. Nie wiedział, skąd się wzięło imię Johnson. Był mówcą i przywódcą. Przewodniczył tańcom. Kierował uprawą ogrodów. Udzielał rad. Był patriarchą wioski.

Rozmawiałem z nim za pośrednictwem tłumacza, mieszkańca sąsiedniej wioski. Zapytałem, od kiedy obcy mogą odwiedzać Yakel.

– Od 1983 roku. Wtedy pierwszy raz zobaczyliśmy białych ludzi.

– Co o nich pomyśleliście?

– Postanowiliśmy ich nie przepędzać – odrzekł wódz.

„Melanezyjczycy nie wytworzyli wyższej formy organizacji niż wioska ani nie ujmują siebie w kategoriach przynależności do szerszej grupy rasowej –

pisał Austin Coates w *Islands of the South* [Wyspy Południa], studium na temat postaw i migracji ludów wysp Pacyfiku. – Kiedy Melanezyjczyk spotyka kogoś z nie swojej grupy, chociaż zauważa podobieństwa, nie myśli: »To jest człowiek«. Słowo »człowiek« odnosi wyłącznie do członków swojej grupy czy plemienia. Między swoim plemieniem a innymi ustanawia tak wielką różnicę jak między świnią a ptakiem, rybą lub między sobą a którymkolwiek z tych zwierząt. Nie ma pojęcia ludzkości”.

Na tej samej zasadzie również Trobriandczycy wierzą, że w odróżnieniu od *dim-dim* są ludźmi. Każdy nie-Trobriandczyk jest istotą innego rodzaju.

– Znacie misjonarzy chrześcijańskich? – zapytałem wodza.

– Tutaj nie ma misjonarzy.

– Ale przychodzili do was?

– Tak. Dawno temu. Przyszli – odrzekł wódz.

Palił tytoń zawinięty w wyschnięty liść. Z powodu deszczu skręcił ledwo się tlił i często gasł.

– Odprawiali obrzęd. Przyglądaliśmy się. Mówili i śpiewali.

– Podobało się wam, chcieliście się przyłączyć?

– Nie. Przyglądaliśmy się. To wszystko.

– Co wam powiedzieli?

Na myśl o tym wódz roześmiał się, po czym rzekł, naśladowując intonację misjonarzy:

– Kiedy odejdziemy, róbcie to, co my robiliśmy.

– Posłuchaliście?

– Nie.

Teraz pozostali wybuchnęli śmiechem i klepali się po mokrych, zziębniętych ramionach.

– Czemu?

– Nie jesteśmy chrześcijanami – odparł wódz.

Nie byli też muzułmanami ani hinduistami, buddystami ani żydami. Trzymali się swoich wierzeń i nie zamierzali od nich odchodzić. Nigdy przedtem nie spotkałem tak niezachwianych animistów, ani w Afryce, ani w Ameryce Południowej, ani w Azji. Wcale nie uważałem, że powinni się zmienić.

Przeciwnie – wszystko w tej wiosce, aż po utylane w błocie tyłki, wydało mi się zdrowe i krzepiące.

– Jesteśmy wierni *kastom* – ciągnął wódz.

– Ale misjonarze mogą wrócić – rzekłem, myśląc o czterech Nowozelandczykach w White Grass.

– Nie mamy nic przeciwko temu, żeby odprawiali swoje obrzędy – oświadczył wódz. – Ale my mamy inne. Mamy swój *kastom*.

– Modlicie się?

– Tak. Modlimy się o jedzenie.

– Jak to robicie?

– Śpiewamy, żeby był urodzaj – odparł wódz.

Zasmarkani chłopcy cały czas chichotali i figłowali, a ociekający wodą mężczyźni podawali sobie kawę z rąk do rąk. Ja też przykucnąłem pośród nich, notując. Deszcz i wilgoć bardziej dawały mi się we znaki niż im, ponieważ miałem ubranie, które przemokło. W takich warunkach nagość naprawdę ma sens.

– Skąd pochodzili wasi przodkowie? – zapytałem. – Przyłynęli z innej wyspy?

– Nie. Pochodzili z tej wyspy.

– Czy pochodzicie od ptaków i węży? – dociekałem, myśląc o tym, co na ten temat opowiadali mieszkańcy Wysp Salomona.

– Nie. Jesteśmy ludźmi. Zawsze byliśmy ludźmi.

W Melanezji opowieści o stworzeniu mają charakter lokalny. Nazwa plemienia zazwyczaj znaczy tyle co „ludzie”. Jego członkowie wierzą, albo że zawsze istnieli, albo że wyłonili się z ziemi – z miejscowych zwierząt lub drzew. Melanezyjczycy nigdy nie twierdzili, że przybyli z innej wyspy, a w opowieściach o stworzeniu nigdy nie wspominali o łodziach ani o podróżach morskich.

Deszcz szeleścił wokół nas w koronach drzew i gęstych zaroślach, strugi wody spływały z rozmoczonego zbocza wzgórza. Nasiąknięte słomiane chaty wydawały się zapadać pod ciężarem wody.

– Mieszkacie daleko od morza. Czy wyprawiacie się czasem na ryby?

– Tak. Nad morzem są tradycyjne wioski. Pozwalają nam łowić.



– Jak się odwdzięczacie? Dzielicie się połowem?

– Nie. Ale przynosimy im nasze drewno, a czasem robimy im kanu.

– Odwiedzacie inne tradycyjne wioski w buszu?

– Tak – rzekł wódz, nadal ssąc skręta. – Chodzimy na wesela i obrzezanie.

Wesele, jak stwierdził, sprowadzało się do wielkiej uczty, natomiast obrzezanie było ceremonią o wiele bardziej skomplikowaną. Opowiedział mi o tym. Obrzezaniu poddawano chłopców w wieku czterech, pięciu lat. Obrzęd zaczynał się ucztą, zabijano wiele świń. Obrzezanie urządzano, kiedy zebrano się kilku lub kilkunastu chłopców w odpowiednim wieku. Za pomocą ostrego noża obcinano napletki, po czym chłopców na dwa miesiące wysyłano w busz. W tym czasie nie mogli być widziani przez kobiety. Nie wolno im było dotykać rękoma jedzenia. Posiłki spożywali za pomocą szczególnego rodzaju liścia, zwiniętego tak, że służył jako łyżka. Chłopców nie wolno było dotykać swoich włosów, iskać wszy, a jeżeli swędziała ich głowa, mogli się podrapać wyłącznie za pomocą gałązki. Wyznaczeni mężczyźni przyrządzali im posiłki. Po dwóch miesiącach, kiedy rana się zagoiła, chłopcy wracali do wioski, nosząc *namba*, które sami zrobili.

– Co lubicie jeść? – zapytałem wodza.

– Taro. Jams. Liście. Świnie.

– Gdybyście mieli pieniądze, co kupilibyście w sklepie?

– Nóż albo siekierę. Albo ryż. Albo wołowinę w puszcze.

– Ile żon możecie mieć?

– Kiedyś dwie albo trzy. Teraz zwykle jedną.

– Czy kiedykolwiek wyjechałeś, wodzu, z tej wyspy?

– Tak. W czasie wojny. Pracowałem na budowie lotniska w Vila.

Lotnisko to nosi dzisiaj imię Bauera na cześć dzielnego podpułkownika Harolda Bauera, pilota myśliwca, który w 1942 roku, walcząc nieraz z przeważającymi siłami wroga, zestrzelił jedenaście japońskich samolotów, zanim zginął w bitwie o Guadalcanal. Pośmiertnie odznaczono go Medal of Honor, a na lotnisku w Port Vila wmurowano tablicę z brązu upamiętniającą jego odwagę i dokonania. Lotnisko właśnie powiększono i unowocześniono, aby mogło przyjmować wielkie odrzutowce z turystami japońskimi. Zajmowała się tym spółka z Vanuatu i Japonii, więc zastanawiałem się, co

Japończycy, którzy niewątpliwie prowadzili prace budowlane, zrobią z ową tablicą. Czy ją schowają, czy zniszczą, czy też wmurują w nowym dworcu, żeby przypominała przyszłym pokoleniom – a i turystom japońskim – o wojennych wyczynach Bauera? Czas pokaże.

– Czy pracując przy budowie lotniska, nosiłeś, wodzu, *namba*?

– Nie. Miałem *kaliko* (ubranie).

– Czemu nie nosiłeś *namba*?

– Chciałem. Ale Amerykanie powiedzieli: „Nie noś tego”.

Chociaż deszcz nie ustał, tubylcy zabrali mnie na wycieczkę po wiosce przycupniętej w wysokich trawach u stóp wzgórza. W ślad za wodzem szliśmy przez trawy sięgające do ramion. Pod okapami siedzieli w kucki mężczyźni o gniewnych obliczach. Nagie kobiety klęczały w zadymionych wnętrzach chat. Dzieci o zasmarkanych twarzyczkach darły się na mój widok. Wszyscy mieszkańcy wioski mieli nogi utyłane w błocie. Pokazali mi dużą okrągłą chatę, w której chronili się podczas naprawdę złej pogody. Właściwie jedno na drugim, w jakieś osiemdziesiąt osób, spędzili w niej ubiegłą noc.

Później pod ociekającym wodą banianem odtńczyli głośny taniec, przytupując w błocie wielkimi płaskimi stopami, najpierw powoli, niezbyt mocno, potem wszakże coraz szybciej, mocniej i z każdym tupnięciem wydawali okrzyk, a ich *namba* polatywały w górę i w dół. Błoto wyschło im na tyłkach, znacząc pośladki jaśniejszymi mazami, które wyglądały niczym perwersyjne barwy wojenne. Podrygiwali ustawieni w koło, pokrzykiwali ochryple zachęcani przez wodza, klaskali i przytupywali, coraz energiczniej, tak mocno, że las zdawał się trząść, roniąc krople wody z gałęzi.

Byli niewiele więksi od Pigmejów, ale czarniejsi i bardziej nadzy. Uzębienie mieli w strasznym stanie – ot czarne pieńki i kły niczym zęby jadowe. Wyglądali jak ludożercy. W rzeczy samej kiedyś uprawiali kanibalizm, chociaż na tej wyspie pożeranie obcych stanowiło przywilej wodzów, możnych i dygnitarzy.

W swoim czasie w sali aukcyjnej Christie's w Londynie widziałem duży i przerażający obraz zatytułowany *Uczta ludożerców na wyspie Tanna na Nowych Hebrydach*, dzieło Charlesa Gordona Frazera, angielskiego pejzażysty, który wiele podróżował po świecie. Obraz powstał w 1891 roku

na podstawie szkicu tej przerażającej ceremonii, na którą malarz natrafił przypadkiem podczas wyprawy w dżunglę w trakcie pobytu na Tannie w latach osiemdziesiątych XIX wieku. Panuje opinia, że Frazer jako jedyny biały był świadkiem obrzędu ludożerstwa. Wiernie uwiecznił tę scenę na słynnym obrazie ukazującym dwie ofiary przyniesione na drągach na cienistą polanę w dżungli (całkiem podobną do tej w Yakel), gdzie zebrał się tłum tryumfujących wieśniaków (na wielkim płótnie Frazer namalował prawie sto postaci), muskularni wojownicy o spiętych w grube kity włosach, kobiety rozpalające ogniska, na których upieczona zostanie zdobycz.

„Zawieszane na drągach ciała dwóch ofiar namalowane są nadzwyczaj udatnie – pisał angielski krytyk, kiedy obraz pierwszy raz pokazano publiczności – dzięki czemu widzimy, że jedna z ofiar nie żyje, druga zaś, pogodzona z losem, bezwładnie zwisa z drąga”. Krytyk australijski opisał ukazaną scenę jako „piknik urządzony przez bandę dziwnie wypucowanych czarnuchów”.

Broniąc się przed zarzutami zbulwersowanych i wybrzydzących bywalców galerii, Frazer napisał artykuł, w którym tłumaczył, dlaczego namalował obraz ukazujący ucztę ludożerców. „Uczyłem to wcale nie z chęci wzbudzenia sensacji, lecz dlatego, że przypadkiem byłem świadkiem sceny odprawiania starożytnego obrzędu, który wkrótce zniknie na zawsze z powierzchni świata, wymazany przez tryumfalny marsz cywilizacji, i wydało mi się, że mam obowiązek zilustrować ów mroczny i przerażający etap dziejów człowieka”.

Na podstawie wstrząsających szczegółów ukazanych na obrazie wierzyłem, że malarz rzeczywiście na własne oczy widział ludożerców, a odwiedzwszy Tannę, nie wątpiłem, że szkicował tę scenę, stojąc w mroku gęstego lasu. Tyle że tamta polana leżała na wschód od mojej, gdzieś w Yanekahi opodal wulkanu Mount Yasur – i niedaleko Port Resolution, gdzie w 1774 roku wylądował kapitan Cook.

„Gdyby nie ten przesądny rytuał [czyli kanibalizm] – pisał Frazer – ci czarni nie wydawaliby mi się bardziej okrutni od białych. Skoro biali przybysze traktują tubylców brutalnie, trudno się dziwić, że czarni potem się

mszczą na białym, który wpadnie im w ręce”. „W tych czarnych dzikusach – stwierdzał w dalszej części artykułu – dostrzegłem wiele piękna”.

Opuściłem Yakel i pojechałem z powrotem do White Grass, jak gdybym przeniósł się o sto lat. Wódz Tom Namake już wrócił z podróży w busz. Miał spoconą, nalaną twarz i wielki brzuch. Mówił szybko, tak szybko, że zdawał się zbywać rozmówcę. Ubrany był w koszulkę z napisem „Holy Commando” [Święta Drużyna], postacią łucznika i mottem z Księgi Izajasza: „Uczył ze mnie strzałę zaostrzoną”<sup>[36]</sup>.

Jak okazało się, był nie tylko chrześcijaninem, lecz również wierzył w ducha świata, w Jona Fruma i w *kastom*. Wierzył w magiczne kamienie i magiczne tańce. Wierzył, że mieszkańcy Tanny powstali z gałązek dwóch zaczarowanych drzew. Najgłębiej wierzył w tradycyjną magię. Niemniej tę koszulkę uznał za najbardziej odpowiednią ze względu na Nowozelandczyków.

– Każdy ma prawo robić to, co mu serce dyktuje, nawet oni – rzekł w odniesieniu do kaznodziejów. Właśnie nauczali w pobliżu. Zachęcali mieszkańców miasteczka do udziału w nocnych modłach, które organizowali. Uderzyło mnie, że swoje obrzędy odprawiali w dziwnych porach dnia, a najchętniej w nocy.

– Dopiero co wróciłem z Yakel – wspomniałem.

– I o czym pan myśli?

Zawahałem się, ale przemogłem obawy i zapytałem:

– Czy oni byli kiedyś ludożercami?

– O, tak – odrzekł wódz Tom, wydając się zadowolony, że może to wyjawić. – Wielu tutaj było ludożercami. Ale kanibalizm skończył się na Tannie jakieś sto lat temu. Ludzie zabijali się i zjadali głównie w trakcie walk o ziemię. Ostatnimi ludożercami byli Big Nambas.

– W Yakel żyją zgodnie z *kastom*. Czy gdzie indziej w Vanuatu są tacy ludzie?

– Znajdzie ich pan na Santo i Malekuli. Jak pana zobaczą, to pogonią. A co pan tam pisze?

– Nic – odpowiedziałem, chociaż gryzmoliłem w małym notatniku. Zanotowałem: „Big Nambas przeganiają obcych”. Schowałem zeszytik do kieszeni.

– Jeżeli obieca pan, że tego nie zapisze, powiem panu coś – rzekł wódz.

– Proszę spojrzeć, nie mam nawet pióra!

Wódz Tom rozejrzał się wokół, łypnął na mnie przekrwionymi oczyma i oświadczył:

– Moim zdaniem niektórzy ludzie wierni *kastom* nadal są ludożercami, ale się nie przyznają.

Syn wodza Toma Peter czytał australijski tygodnik o krzykliwej okładce ukazującej uśmiechniętą dziewczynę w bikini. Miała piegi na ramionach i wyglądała bardzo figlarnie.

Wtem Peter chwycił ostry nóż i jednym ciachnięciem wyciął z tygodnika kartkę, którą schował do kieszeni.

Później zapytałem go, dlaczego wyciął tę kartkę, a on nieśmiało mi ją pokazał. Zawierała całostronicową reklamę, którą uważnie przestudiowałem.

BODYWISE – niezawodny wabik na kobiety, dzięki któremu dziewięćdziesiąt procent mężczyzn staje się bardziej atrakcyjne dla płci pięknej.

Po użyciu bodywise mężczyzna zamienia się w magnes przyciągający kobiety!

Będziecie zachwyceni!! Za jedyne 39,95 \$!!

Opinie nabywców:

„To naprawdę działa!” – C.G., NSW

„Dużo młodsza piękna dama, która siedziała obok mnie na uroczystym obiedzie, szepnęła, że pragnie kochać się ze mną!” – M.F., Pomonia

„Jestem taksówkarzem i zauważyłem, że mam stanowczo więcej klientek” – B.C., NSW

Peter wziął ode mnie kartkę, złożył ją i schował do kieszeni. Uśmiechnął się i po chwili cicho powiedział:

– Mnie chceć to.

– **Widziałem**, jak pan pisze – oskarżycielskim tonem rzekł nazajutrz wódz Tom.

– Tylko list do matki – skłamałem.

– A, to w porządku – powiedział wódz. – Jeżeli obieca pan, że tego nie zapisze, opowiem panu prawdziwą historię o ludożerstwie.

– Czemu nie wolno mi jej zapisać?

– Bo jeżeli pan to zrobi, to odbierze mi pan magię! Nie wolno igrać z takimi rzeczami! O, teraz to już chyba nic panu nie powiem.

– Proszę – powiedziałem. – Niech pan spojrzy, nie mam pióra. Nie mam papieru.

Na jego twarzy malował się wyraz niedowierzania. Siedzieliśmy na skale na brzegu smaganego wiatrem niespokojnego morza. W tamtej okolicy wybrzeże jest skaliste, nie ma plaż, a tylko półki skalne. Wtedy nie znalazłem jeszcze ani jednego miejsca, które mogłoby służyć jako przystań dla mojego kajaka, ale nie traciłem nadziei.

Wódz Tom patrzył w morze spod przymkniętych przed wiatrem powiek, po czym posłał mi ukradkowe spojrzenie, jak gdyby spodziewał się, że przyłapie mnie na tym, iż potajemnie wyciągam notatnik. Z powodu nudy w White Grass dużo notowałem, opisując nowozelandzkich karnodziejów, zapisując wyimki z Biblii na użytek przyszłych dyskusji z nimi, utrwalając rozmowy, które odbyłem w Yakel. Wszelkie pisanie bardzo niepokoiło wodza Toma, ponieważ uważał je za kradzież magii. Doskonale rozumiałem, o co mu chodzi, i zgadzałem się z nim. To bowiem fakt, a nie przesąd dzikusa. Z chwilą zapisania opowiedzianej przez niego historii przywłaszczałem ją sobie. Nie miałem odwagi powiedzieć wodzowi, że jestem zawodowym pisarzem.

Wytarł ręce w swoją koszulkę z nadrukiem „Holy Commando” i zaczął mówić.

– Zdarzyło się to mniej więcej sto lat temu kawałek dalej przy tej drodze, niedaleko wioski Imanaka. Pewien europejski kupiec przyplynał statkiem, szukając... nie wiem czego. Czegoś: jedzenia, wody, i czego tam jeszcze. Mieszkańcy Tanny zobaczyli go na brzegu. Wysłuchali go i powiedzieli, że mu pomogą. Poprosili, żeby siedł za nimi, i cały czas rozmawiali z nim przyjaźnie, a kiedy wyprowadzili go w busz, wyciągnęli długie noże i zadźgali go, a potem jeszcze przebili dzidami. Umarł. Zanieśli go do wioski, rozpalili ogień i ułożyli kamienie, żeby go upiec. Rozebrali go. Jeden pomacał ramię i rzekł: „Dobre – będzie dla mnie”. Drugi rzekł: „Ja chcę tę nogę”. Potem to samo robili inni, aż podzielili całe ciało z wyjątkiem stóp. Ostatni z nich rzekł: „Ja je chcę”, mając na myśli stopy.

Wódz Tom uśmiechnął się, cmoknął, po czym grubym czarnym palcem wskazującym dźgnął mnie w pierś.

– Trup miał płócienne buty! – wykrzyknął. – Jeszcze nigdy nie widzieli płóciennych butów! Ściągnęli te buty i mówią: „No, no! To musi być najlepsza część!”. Wyrzucili ciało i zatrzymali tylko te buty. Gotowali je jakiś czas, a potem spróbowali zjeść, płócienne buty!

Przerwałem mu, żeby zapytać:

– Nie rozumiem, czemu wyrzucili ciało?

– Bo nic dla nich nie znaczyło, ale zdejmowane stopy, o, to było coś!

– Zdejmowane stopy, czyli buty, tak?

– Jeszcze nigdy nie widzieli czegoś takiego – ciągnął wódz Tom. – Dlatego je ugotowali. Wyjęli z garnka i chcieli zjeść, ale nie mogli nawet ugryźć. Próbowali rozerwać zębami, ale na próżno. Każdy próbował ugryźć. „Co to jest?”, pytali. „Nie da się zjeść tych stóp!”, mówili. Zanieśli te buty do sąsiedniej wioski i tamci też próbowali je zjeść, ale też nie mogli. W końcu wykopali głęboki dół, wrzucili do niego te płócienne buty i zakopali. Na wierzchu posadzili palmę kokosową. Wyrosła bardzo wysoka palma, ale w osiemdziesiątym siódmym przyszła straszna burza i przewróciła ją. Posadzili więc drugą palmę. Ta rośnie do dzisiaj, jutro ją panu pokażę.

## rozdział\_jedenasty\_

### Najdziwniejsza wyspa Vanuatu

**Kiedy** późnym popołudniem pewnego upalnego dnia szukałem palmy posadzonej przez ludożerców w miejscu, gdzie pogrzebali płócienne buty, dokonałem wspianego odkrycia. Otóż okazało się, że w Imanace czczą Jona Fruma. W samym sercu osady, pośród krzywych wyplatanych chat stał bowiem czerwony krzyż z drewna, niezawodny znak, że znalazłem się w gnieździe wyznawców kultu cargo.

Spowita w dymy z kuchennych ognisk Imanaka ukazała mi się za dziurawym płotem na końcu błotnistej drogi, przycupnięta w lesie na skalistym zboczu wzgórza. Pomyślałem, że nic w tym dziwnego, że mieszkańcy takiej nędznej wioszczyny snuli wizje zbawienia i uwierzyli, że jeśli tylko będą gorliwie tańczyć i śpiewać hymny ku czci Jona Fruma, któregoś dnia spłynie na nich obfitość wszelkich dóbr. Uwierzywszy w tego zbawiciela, przyjęli wszakże i ten artykuł wiary, który nakazuje jego wyznawcom nie dbać o ogrody ani o pieniądze, kiedy bowiem Jon Frum wróci, przyniesie wszystko, czego ludziom trzeba.

Nie wiedziałem, z jakim spotkam się przyjęciem. Z pewnej odległości gapiło się na mnie kilka utyłanych kobiet, a pierwszy napotkany mężczyzna nie znał angielskiego ani nawet bislama, miejscowego pidżynu, którego nazwa to przekręcone *bêche-de-mer* (ogórek morski), albowiem język ten zrodził się z rozmów z kupcami.

Tknęło mnie, że mogłem źle ocenić sytuację. Wylądowałem sam w niesłychanie ubogiej wiosce. Głodni ludzie bywają nieobliczalni. Kto wie, czy nie przyjdzie im do głowy zabić mnie, żeby zjeść moje buty. Dymy snuły się w tym siedlisku nędzarzy i już one same, wijąc się to tu, to tam, wytwarzały atmosferę jak ze złego snu.



Wyłoniło się kilku mężczyzn i wlepiło we mnie posępne spojrzenia. Jeden wyraźnie nie w pełni władz umysłowych. Chichotał jak opętaniec. Drugi miał szmatę owiniętą wokół głowy. Oprócz nich jeszcze sześciu. W rękach trzymali kije i długie noże. Za nimi stały kobiety. Wszyscy okropnie umorusani. Coraz wyraźniej czułem, że popełniłem błąd.

– *Yupela savvy tok bishlama?* (Mówicie w bislama?) – zapytałem, ale pokręcili przecząco głowami. Uśmiechnęli się jednak, więc wypytywałem dalej: – *Yupela savvy toktok?* (Umiecie mówić?) *Chief bilong yupela i stap we?* (Gdzie wasz wódz?)

Zza pleców dorosłych wyszedł chłopiec.

– *Parlez-vous français, monsieur?* (Mówi pan po francusku?) – zapytał.

– *Je parle un peu* (Odrobinę) – odparłem. Cóż to jest, francuskojęzyczna wioska? – *Les gens en ce village parlent français?* (Mieszkańcy tej wioski mówią po francusku?)

Chłopiec powiedział, że niektórzy znają francuski, inni nie. Na przykład wódz nie zna. Chłopiec dodał, że wódz zjawi się wkrótce, a tymczasem może zechcę spocząć na kłodzie w krytej strzechą wiacie.

Usiadłem. Gdy czekaliśmy na wodza, chłopiec zapytał o najnowsze wieści z Zatoki Perskiej. Bełkotliwie powtórzyłem to, co usłyszałem rano w radiu, a więc że trwają usilne zabiegi dyplomatyczne mające zapobiec wojnie.

Wkrótce pod wiatę, powłócząc nogami, wszedł wódz. Miał na imię Yobas. Stary już i słaby, podpierał się kijem wyślizganym tam, gdzie spoczywała jego ręka. Ubrany był w podarty podkoszulek i brudną szmatę zawiązaną jak sarong. Miał udęczone i zbolący wygląd wodza, którego wszyscy, w tym jego ludzie, ciągle winią za opłakany stan wioski, którą zarządza.

– *Yu savvy tok inglis?* (Mówi pan po angielsku?) – zapytałem.

O dziwo potwierdził skinieniem głowy.

Wobec tego wygłosiłem powitalne przemówienie, w którym obłudnie zachwyciłem się jego wioską, zaręczałem o poczuciu szczęścia, jakim napęlnia mnie fakt, że mogę ją odwiedzić, mając nadzieję, że to ich ugłaska i porzucą ewentualną myśl o tym, żeby mnie zabić.

– A więc czekacie na Jona Fruma?

– Ta. Wszystkie. Na Jona Fruma – rzekł wódz i powiódł wkoło kijem.

– Tańczycie, żeby przyszedł?

– Tańczymy tu.

Najwyraźniej siedzieliśmy w pozbawionej ścian sali tanecznej.

– Żeby przyszedł. Śpiewamy też. Żeby przyszedł.

– Czy czasem widzicie Jona Fruma?

– Ne. Ale stare widzą go.

– Jak on wygląda? Jest czarny czy biały?

– Biały jak pan. Z Ameryki. Jest duża mężczyzna, bardzo gruba! On mocny!

– Jak jest ubrany?

– Ma ubranie. Ma wszystko. Ma kapelusz.

– Taki? – zapytałem, wskazując baseballówkę na swojej głowie.

– Ne. Wielki kapelusz. Jak misjonarz.

Wyciągnąłem notatnik i narysowałem kapelusz o szerokim rondzie. Wódz potwierdził, że Jon Frum nosi właśnie taki, a kiedy pokazywałem mu rysunek, mężczyźni i chłopcy obstąpili mnie i przepychając się, zaglądali mi przez ramię, ciekawi, co też wyrysowałem w notatniku.

Rozmawiając później z innymi wyznawcami Jona Fruma, doszedłem do wniosku, że skołowałem wodza moimi pytaniami, bo najprawdopodobniej opisywał wysłannika Jona Fruma zwanego Tomem Navym. Ten pochodzący z Florydy żołnierz batalionów inżynieryjnych piechoty morskiej wylądował na Tannie w 1945 roku i przez krótki okres miał wyspiarzy u swoich stóp. Inny Jon Frum przybył w 1943 roku i ogłosił się „królem Ameryki i wyspy Tanna”. Na północy Tanny przygotowano lotnisko, aby miały gdzie wylądować jego obładowane wszelkimi dobrami samoloty transportowe.

Ciekawiły mnie domy modlitwy, gdzie prorocy Jona Fruma zwani „posłańcami” jakoby umartwiali się i doświadczali wizji, w których oglądali swego dobroczyńcę. Zapytałem o to wodza.

– Starzy z nim mówić – odrzekł – moja nie mówić.

Z punktu widzenia władz Vanuatu najważniejszy aspekt kultu Jona Fruma polega na używaniu przez jego wyznawców symboli amerykańskich. Władze interesowało i drażniło zwłaszcza wywieszanie amerykańskiej flagi w wioskach zamieszkałych przez tych ludzi. Ze względu na to, że Jon Frum jest Amerykaninem i że ładunek darów ma przybyć z Ameryki, w ikonografii

tego kultu obok czerwonego krzyża występuje gwiazdzisty sztandar. W niektórych wioskach flagę amerykańską wywieszano stale, w innych tylko w lutym. Władze Vanuatu nieraz traciły cierpliwość do wyznawców Jona Fruma i próbowały walczyć z ich religią, konfiskując symbole amerykańskie i aresztując tych, którzy ich używali.

Postanowiłem nie owijać w bawełnę.

– Macie flagę amerykańską? – zapytałem.

Wódz Yobas zawahał się, ale po chwili zażenowany skinął głową. Zapytałem, dlaczego flaga jest niezbędna.

– W wojnę on wrócił i dał flagę amerykańską jednemu staremu.

– Wciągacie tę flagę na maszt?

Tego już nie zdzierzył.

– Pan jechać nad Sulphur Bay – powiedział. – Zobaczyć wódz Mellis. Isaac One. On mówić panu wszystko.

Udałem, że nie słyszę. Uśmiechałem się do krążących wokół mężczyzn z kijami i nożami w rękach. Było około piątej po południu. Niskie już słońce przeświecało pomiędzy cienkimi pniami drzew. Wydało mi się, że o tej porze jest bardziej gorąco niż w południe. W tym świetle uzmysłowiłem sobie znowu, jak smutne są takie wioski, a ta – brudna, pełna much, strasznie biedna i uczepiona wiary w Jona Fruma – wydała mi się najsmutniejsza ze wszystkich. Nie licząc gdakania kur i rozlegającego się z rzadka piania koguta, panowała cisza.

– Śpiewacie tutaj? – zapytałem, gestem dając do zrozumienia, że mam na myśli krytą strzechą wiatę, w której siedzieliśmy.

– Ta. Śpiewamy.

– Zaśpiewajcie mi, proszę.

Stary wódz podumał chwilę, a potem drgnął i zaczął cicho śpiewać, szemrzącym głosem, który szeleścił i syczał niczym bibułka.

*Jon Frum,*

*He mus come,*

*Look at old fellas,*

*Give us some big presents,*

*Give us some good tok-tok.*

[Jon Frum  
Musi przyjść,  
Zobaczyć przyjaciół,  
Dać nam wspaniałe prezenty,  
Wygłosić do nas dobrą mowę].

Chrypiał i przeciągał słowa niczym rasowy bluesman, choćby John Lee Hooker. Śpiewał dalej.

*Jon Frum,  
He mus come,  
Mus stap long kastom,  
Mus keep kastom.*

[Jon Frum  
Musi przyjść,  
Musimy żyć zgodnie z kastom,  
Musimy trzymać się kastom].

Spojrzał mi w oczy, zakołysał głową i jeszcze raz cicho zanucił:

*Jon Frum,  
He mus come.*

[Jon Frum  
Musi przyjść].

Kiedy skończył, wyszperałem w plecaku torbę z prezentami. Miałem w niej foliowe woreczki z haczykami rybackimi, groty do dzid, rozmaite ozdóbki, chustki i szaliki, którymi obdarowywałem gościnnych tubylców. Wyruszając w tę podróż, przyjąłem kilka zasad. Jedna z nich głosiła, że nie będę zabijał zwierząt ani jadł mięsa. Postanowiłem też, że nie będę wynagradzał pieniędzmi za uprzejmość.

Wódz Yobas wyciągnął rękę i zacisnął palce na używanej, ale nadal bajecznie kolorowej apaszcze firmy Hermès. Przytknął ją do twarzy.

– Chusteczka – powiedział.

– **Okłamali** pana – oświadczył wieczorem wódz Tom. – Jon Frum nie był gruby, lecz niski i bardzo szczupły. Mały. Taka jest prawda. Jeżeli pan to zapisze, nic więcej panu nie powiem. Mówił wszystkimi językami. Zobaczyl

człowieka i mówił w jego języku. Zobaczył drugiego i mówił do niego w jego języku. I tak dalej.

– Skąd pan wie?

– Obiecuje pan nie zapisywać? Obiecuje pan nie kraść mi magii?

– Nigdy bym się nie ośmielił kraść panu magię, wodzu.

– Mój dziadek spotkał go i uścisnął mu rękę. Ojciec mojej matki, jeden z przywódców Ruchu Jona Fruma. Ojciec mojego ojca był pastorem prezbiteriańskim.

Byliśmy sami. Wieczorami już nie dyskutowałem z nowozelandzkimi kaznodziejami o Biblii. Ci gorliwcy przenieśli się pośród zatwardziałych pogan na północy wyspy. Ze względu na wielką liczbę przeszkód, jakie musieli pokonać, żeby się tam dostać, doszli do wniosku, że diabeł nie życzy sobie ich obecności w tamtych stronach. Zawzięci w walce z księciem ciemności z tym większą ochotą pojechali na północ, żeby nauczać.

– W jaki sposób Jon Frum przybył na Tannę?

– Samolotem. Nie mieliśmy lotniska, więc wylądował na czubkach drzew.

– Gdzie?

– Na Green Point.

Spojrząwszy na mapę, ustaliłem, że mogę dopłynąć tam kajakiem, jeżeli tylko ktoś podwiezie mnie na koniec skalistego wybrzeża do miejsca, gdzie będę mógł zwodować łódkę.

Zrobiłem to nazajutrz. Syn wodza Toma Peter podrzucił mnie jeepem do odpowiedniego miejsca. Liczył na to, że kiedy wrócę do Vila, dowiem się, jak może zdobyć bodywise, ową wodę toaletową, która zamienia mężczyznę w „magnes przyciągający kobiety”.

– Słuchaj, Peter, masz trudności w kontaktach z kobietami?

– Żadne trudności – odparł. – Ale moja chceć to.

Tę wodę toaletową uważał za środek magiczny, który zapewni mu władzę nad kobietami. Obiecałem, że zrobię, co będę mógł.

Dmuchało zastraszająco, a brak jakichkolwiek kanu na morzu świadczył dobitnie, że warunki były tak trudne, iż nawet miejscowi rybacy nie odważyli się wypłynąć. Przekonałem się jednak, że wystarczy trzymać się blisko brzegu, żeby uniknąć silnego wiatru i wysokich fal. Wiosłując pod czarnymi klifami,

mijałem wloty kominów skalnych, z których na górze regularnie wytryskiwały gejzery wody. W końcu znalazłem pokrytą ciemnym żwirem plażę blisko Green Point, gdzie po wylądowaniu zjadłem banany, które wziąłem ze sobą na lunch.

Wpadła mi do głowy niedorzeczna myśl, że jeżeli zobaczą mnie tutaj wyspiarze, to wezmą mnie za Jona Fruma, i o dziwo obawa, iż moje zjawienie się w tym symbolicznym miejscu zostanie uznane za tak wiekopomne wydarzenie, mieszała się pragnieniem, żeby tak się stało.

I rzeczywiście, kiedy zobaczyły mnie dzieci, które opodal łowiły ryby, podbiegły i poprosiły o walkmana. Miałem bowiem ze sobą odtwarzacz i słuchałem Chucka Berry'ego, ponieważ w tym miejscu właśnie rock and roll uprzyjemniał mi wiosłowanie tak, jak opera na wodach wokół Wysp Salomona. Kiedy wszakże powiedziałem dzieciom, że nie dam im walkmana, bo sam go potrzebuję, po prostu straciły dla mnie zainteresowanie i wróciły do łowienia.

Zbierałem się do powrotu – ociągałem się jednak, wiedząc, ile mnie to będzie kosztowało trudu – gdy pojawił się jakiś mężczyzna. Tak jak wielu przedtem jał wypytywać o kajak. Skąd go mam, ile kosztował, jak go tutaj przywiozłem.

Na imię miał Esrick, a przynajmniej tak zrozumiałem. Był nauczycielem, ale akurat bawił na urlopie. Powiedział, że ani nie wierzy w Jona Fruma, ani go nie odrzuca.

– Myślę, że to jeden z naszych dawnych duchów, który przybrał postać białego Amerykanina.

– Czemu ten dawny duch wrócił i nawiedził was? – zapytałem.

– Bo wtedy prezbiterianizm był bardzo mocny. Duch pojawił się więc w samą porę, ponieważ cudzoziemscy misjonarze zakazali picia kawy, magicznych kamieni i tańców. Jon Frum oświadczył: „Zniszczcie to, co dostaliście od misjonarzy. Ja dam wam wszystko”.

Duch przyszedł zaiste w samą porę. Wszystko wskazywało na to, że protestantyzm trafił do serc wyspiarzy, misjonarze pisali dzieła obwieszczające światu *Cannibalism Conquered* [Ludożerstwo pokonane], *Cannibals Won for Christ* [Ludożercy zdobyci dla Chrystusa], gdy w 1938 roku na Green Point zjawiał się niski mężczyzna o przeszywającym spojrzeniu

i nakazał: „Wyrzucie Biblię!”, wezwał do odnowienia najważniejszych tradycji – picia kawy, tańców, wymiany kobiet w celach seksualnych – i w trzy lata od jego przyścia połowa mieszkańców wyspy wyrzekła się chrześcijaństwa.

– Ludzie odrzucili chrześcijaństwo – stwierdził Esrick – bo Jon Frum powiedział, że wróci z obfitością wszelkich dóbr, jeżeli odnowią stare tradycje.

– Jak pan sądzi, kiedy to się stanie? – zapytałem.

Roześmiał się.

– To już się stało! W sferze ducha! Duch Jona Fruma jest wszędzie. W każdej wiosce.

– Ale powiedział pan, że w niego nie wierzy.

Wytknął mi, że jestem strasznie prozaiczny, chociaż nie użył tego wyrażenia.

– Rozumie pan, wrócił w formie rozwoju i postępu – tłumaczył tak jak tępemu uczniakowi. – Mamy wszystko. Proszę zajrzeć do sklepu. Proszę pojechać do Vila. Przekona się pan, że mamy wszystko. Pijemy kawę. Urządzamy tańce. On jest obecny w sferze duchowej. Wie, że zwyciężył!

Czy Jon Frum był życzliwym pilotem amerykańskim, który przywoził żywność i rozdawał ją wyspiarzom? Być może powiedział: „I am John from America” [Jestem John z Ameryki]. Chyba właśnie wojna przekonała wieśniaków z Tanny, jak bardzo bogata jest Ameryka.

Teraz to już bez znaczenia. Jednym z dogmatów tej religii wydaje się wiara, że Jon Frum jest kimś pokroju Jana Chrzciciela, prekursorem, który zapowiada przyście zbawiciela, w tym przypadku obfitości towarów – wszelkiego rodzaju pięknych i użytecznych rzeczy, jakie można sobie wyobrazić. Co istotne, te dobrodziejstwa spadną z nieba, bez pośrednictwa misjonarzy lub nauczycieli. Obejdzie się bez pieniędzy, obejdzie się bez dziesięciny, obejdzie się bez dziesięciorga przykazań, obejdzie się bez nieba i piekła. Obejdzie się bez księży i bez imperializmu. Oto drugie przyście, które pozwoliło wieśniakom odrzucić władzę misjonarzy i żyć tak jak przedtem. Uznałem to za cudownie sprytny sposób, żeby robić to, co się chce.

W drodze powrotnej wzdłuż wybrzeża wiosłowałem z wiatrem.

Nadal słuchałem z walkmana Chucka Berry'ego.

Śliczna blondyna parol na mnie zagina,  
Weźmy ślub, usatkuje się, napisz książkę.  
Za dużo błaznowania, za dużo udawania,  
Za dużo błaznowania, nie, dzięki, kochana.

Wspinałem się na grzbiety fal, potem zjeżdżałem po ich ścianach, nieraz aż zapierało mi dech. Wielkie grzywacze rozbijały się o skalisty brzeg i gdybym się wywrócił, chyba nic by mnie nie uratowało. Naprawdę się bałem, póki nie wydostałem się ze strefy skalistych cypli, najeżonych rafami płycizn i największych fal. Ledwie wszakże odetchnąłem, gdy zdarzyło się coś okropnego.

Nagle poczułem przeraźliwy ból w palcach, jak gdyby od użądlenia dziesięciu pszczoł, i zobaczyłem maziowatą, podobną do plwociny substancję, która oblepiła mi rękę i zwiisała z drzewca wiosła niczym wielki smark. Porcje tej substancji przyłgnęły mi do ramienia i łokcia i też mnie parzyły, a kiedy chciałem strząsnąć tę maź, zrobiła się luźniejsza i jeszcze bardziej piekąca.

Niemal od razu pojąłem, że to kłęb czułeków meduzy, tak bezkształtny i długi, że nie dało się poznać ilu. Zagarnąłem je piórem wiosła, po czym ześlizgnęły się po drzewcu, oblepiły mi prawą rękę i przedramię, wbijając parzydełka. Parzydełka zawierają substancje, które biologowie morza nazywają neurotoksynami. Jak pływak zapłącze się w taką masę czułeków, to jeżeli nie zginie, na pewno się rozchoruje.

Najprawdopodobniej trafiłem na żeglarza portugalskiego. Zaiste pech, przy takim wietrze, blisko skalistego brzegu, na wysokich falach przyboju opodal wyspy ludożerców. Całe ramię piekło jak diabli i nie mogłem zginać palców. Ludowym lekarstwem na to jest mocz. Wyciągnąłem słuchawki z uszu, nasikałem w lewą rękę i natarłem moczem obolałe ramię. Poczułem chwilową ulgę, ale ból wrócił.

Dobrze, że płynąłem z wiatrem. Dzięki temu mogłem sterować jedną ręką. Mniej więcej po godzinie spostrzegłem cypel, z którego wypłynąłem, i po wylądowaniu ruszyłem na poszukiwania drzewa papai. To drugie ludowe lekarstwo na oparzenia meduzy. Powszechnie wiadomo, że sok papai jest



doskonałym remedium na wiele tropikalnych dolegliwości. Miąższ i nasiona leczą biegunkę, liście zawierają enzym zmiękczający mięso, a sok uśmierza ból po użądleniach. Znalazłem papaję, wycisnąłem sok na ramiona i znowu poczułem ulgę, ale również tym razem ból wrócił i ustał dopiero po trzech godzinach.

**Usłyszawszy**, że nowozelandzcy fanatycy wrócili do White Grass, postanowiłem zostać w południowo-wschodniej części wyspy. Spotkałem tam szalonego Irlandczyka, Breffny'ego McGeougha. Breffny był żeglarzem, który osiadł z przyjaciółką na Tannie, gdzie zajęli się organizowaniem ośrodka turystycznego na bazie zrujnowanych domków letniskowych, którymi wcześniej bez powodzenia zarządzał facet znany jako Bungalow Bill.

Pewnego ranka podczas wielkiej ulewy Bungalow Bill usłyszał dziwny hałas. Zostawiwszy żonę w łóżku, wybiegł przed domek i nadstawił ucha. Hałas narastał – coś jak tętent ogromnego stada dzikich świń pędzących przez busz. Wkrótce okazało się, że odgłos ten wydawała ściana wody sunąca doliną potoku prosto na domek Billa. Nieborak w ostatniej chwili uskoczył, po czym zobaczył, jak woda uderza w ścianę domku, wrywa go z fundamentów i niesie w głąb zatoki, gdzie go topi, z panią Bill i całym dobytkiem w środku.

– Podła śmierć – orzekł Breffny. – Niby w domu, w łóżku, a toniesz. Biedna stara torba pewnie nawet nie wiedziała, co się dzieje.

Breffny niedawno rzucił papierosy i picie, ale kiedy go przypiliło, pił kawę (która nie jest tym samym co piwo, a wręcz przeciwnie) i palił tego rodzaju miejscowe skręty, jakimi raczyli się, puszczając w krąg, nadzy Small Nambas w wiosce Yakel.

Pożyczałem Breffny'emu kajak, a on za drobną opłatą pozwolił mi spać w opuszczonym i pełnym zdechłych much domku na szczycie wzgórza, gdzie za dnia słyszałem tylko ćwierkanie jakiegoś ptaszka, który pikał jak minutnik kuchenki mikrofalowej, a w nocy – szczekanie psów w lesie i niesamowity, ale niemożliwy do pomylenia hałas czyniony przez buszujące w gęstym listowiu nietoperze owocożerne.

– Jemy je – powiedział mi wieśniak o imieniu Carlo. – Gotujemy albo pieczemy w ognisku. Smakują trochę jak ptaki.

– Miejscowa kava to najwspanialszy napój na świecie – oznajmił Breffny dzień czy dwa później. – Jest oczywiście kava, którą nazywają dwudniową, bo wyłącza cię, dosłownie paraliżuje, na dwadzieścia cztery godziny. Nie ma nic lepszego. No i jest towar wioskowy. Pójdziemy kiedyś, co? Golniemy parę skorupiek, co?

I puścił irlandzkie oko.

– Widziałeś wulkan, co? – zapytał. – Cudowny, bez dwóch zdań.

Któregoś dnia Breffny zorganizował mi wycieczkę na wulkan, na którą przed zachodem słońca pojechałem z pochodzącą z wioski opodal tej góry dziewczyną o imieniu Pauline. W jej języku, jednym z dwudziestu dziewięciu, jakimi mówiono na tej małej wyspie, wulkan nosi nazwę Yasur, co znaczy tyle co „bóg”. Kręta wyboista droga szybko zaprowadziła nas w dziwny pejzaż jak gdyby skażonych, gładkich i łysych wzgórz. To wiejące tu stale wiatry niosły znad krateru gorące siarkowe popioły wulkaniczne, które zabijały wszelkie życie. Z oddali dobiegały pomruki i czknięcia wulkanu niczym beknięcia olbrzyma po monstrualnym posiłku. Tym trawiennym odgłosom towarzyszyło głucho bulgotanie, jak gdyby biedny olbrzym cierpiało na rozwolnienie. Rzeczywiście przychodziło na myśl wyrażenie „wnętrzości ziemi”.

Zaparkowaliśmy na polu lawy i poszliśmy na brzeg krateru. Tutaj pomruki i czknięcia wulkanu brzmiały niczym dudnienie ciężkich dział. Zupełnie co innego niż dymiący stożek wulkanu Savo, gdzie uśmiechnięci krajowcy gotują jaja nogali.

Krater tego boskiego wulkanu ma półtora kilometra średnicy i osiemset metrów głębokości, a wewnątrz wygląda jak przedsionek piekła. Pełen dymu i pary, a na samym dnie niczym dwoje upiornych oczu jarzą się ogniste dziury, gulgoczące złowieszczo i wyrzucające w górę czerwone jęczory płynnej lawy.

Pode mną, naprzeciwko stromej ściany krateru, mniej więcej w połowie głębokości musiała być jeszcze jedna dziura. Właściwie jej nie widziałem, ale mniej więcej co pięć minut potężnie eksplodowała, dudniąc echem wewnątrz krateru, i wyrzucała wielką fontannę czerwonej i pomarańczowej lawy, która oplatała i rozświetlała cały krater, po czym opadała na dno i w miarę

stygnięcia z wolna czerniała. Te wybuchy powiększają pióropusz popiołów, który bez przerwy wznosi się nad wulkanem i frunie z wiatrem, poszerzając obszar martwej ziemi.

Później dowiedziałem się, że na Tannie wierzą, iż w głębi paszczy wulkanu mieszka Jon Frum z armią pięciu tysięcy towarzyszy.

Nie spotkaliśmy miejscowych. Zwróciłem na to uwagę Pauline.

– Nikt tutaj nie przychodzi – powiedziała. Mogłem jej wierzyć, bo przecież wychowała się zaledwie cztery kilometry stamtąd, w jednej z owych sielskich, niby afrykańskich wiosek. – Ludzie się boją. Wierzą, że człowiek po śmierci idzie do wnętrza tej góry.

Tak więc wulkan Yasur jest nie tylko bogiem, lecz również niebem i piekłem, odpowiednikiem wyspy Tuma na Trobriandach, miejscem, z którego nikt nie wraca.

– Czy w twojej wiosce ludzie opowiadają, jak powstał wulkan?

– Tak. Mówią, że pewnego dnia dwie kobiety, Sapai i Munga, gotowały *lap-lap* (w tok pisin słowo to oznacza sarong, a w tamtejszym pidżynie – warzywa zawijane w liście palmy), gdy przyszła do nich nieznajoma staruszka i zaczęła z nimi rozmawiać. Poskarżyła się, że jest jej bardzo zimno, i zapytała, czy może usiąść przy ogniu. Sapai i Munga pożałowały staruszki i pozwoliły jej usiąść przy ogniu. Po chwili staruszka zaczęła wydawać dziwne odgłosy. Rosła. Robiła się coraz większa, ogromna. Pochłonęła obie kobiety i zamieniła się w wulkan.

– Jak się nazywała?

– Nie wiemy – odparła Pauline.

Tymczasem krater wulkanu wypełniły iście armatnie eksplozje i tak diaboliczny ogień i zgiełk, że to przerażające widowisko popchnęło Pauline (być może nieświadomą tego faktu) do zapytania mnie, czy wiem coś o rozwoju sytuacji w Zatoce Perskiej i czy moim zdaniem wybuchnie wojna.

**Wybrzeże** nie sprzyjało wyprawom kajakowym. Właściwie stale mocno wiało, z prędkością dwudziestu pięciu węzłów, i wiatr wzbijał na morzu wysokie fale. Tanna to w gruncie rzeczy skała na środku zachodniego Pacyfiku.

Niewiele jest na niej miejsc dogodnych do wodowania kajaka, takich jak zaciszna zatoczka, gdzie rezydował Breffny. Ale miałem ze sobą kajak nie po to, żeby go nie używać.

Pragnąłem pływać kajakiem już choćby dla przyjemności słuchania muzyki, podczas gdy przed oczyma rozwija się linia brzegu – a wulkaniczne części wybrzeża Tanny pełne są widowiskowych morskich gejzerów, kominów wypłukanych w tufie przez morze, w które wciskają się fale, by wytrysnąć na wysokość sześciu metrów. Co więcej, na morzu człowiek nie musi się oganiać od much. Na Tannie roi się od much tak samo jak w australijskim Woop Woop i na Wyspach Salomona. Muchy są prawdziwym przekleństwem w wioskach. Środki odstraszające owady nic a nic ich nie zniechęcają. Przejazdźka kajakiem, daleko od tych kłuszących stworzonek, jest prawdziwą rozkoszą.

Kiedy widziałem rybackie kanu spoczywające do góry dnem na czarnej porowatej skale, wiedziałem, że morze jest wzburzone, i wolałem nie ryzykować.

Pewnego dnia wypłynąłem zachęcony widokiem chłopców w małych kanu, łowiących ryby w zatoczce. Podpłynąwszy, zapytałem, czy wypuszczają się dalej. Odparli, że nigdy nie wypływają daleko.

– Kto zrobił te kanu?

– Mój ojciec – odpowiedział dobrym angielskim jeden z chłopców. – On wypływa daleko.

– Jak daleko?

– Czasem na zewnątrz – rzekł chłopiec i pokazał w morze.

Miał na myśli obszar za rafą, otwarte morze, które określali inną nazwą niż wody przybrzeżne.

Zazwyczaj wyruszałem pod wiatr, bo to dawało mi pewność, że w razie utraty sił lub innych komplikacji wiatr sprowadzi mnie z powrotem. Często po dopłynięciu w zaplanowane miejsce przekonywałem się, że z powodu wysokiej fali nie dam rady wylądować. Przez dwa dni próbowałem dostać się w miejsce zwane Imlao, ale nie odważyłem się zaryzykować lądowania. Fale przyboju były tak wysokie, że niesiony nimi łatwo mógłbym roztrzaskać łódkę. A że chciałem wylądować tylko po to, żeby zjeść lunch, posiliłem się w kajaku i zawróciłem.

Kapitan Cook odwiedził Tannę w trakcie pierwszej podróży po Pacyfiku. Wyspiarze zachowywali się wyzywająco i w dzienniku Cook między innymi pisał: „Pewien tubylec pokazał nam tyłek w taki sposób, że nie potrzebowaliśmy tłumacza, żeby zrozumieć, co chciał nam przekazać”.

Któregoś dnia spostrzegłem mężczyznę w kanu z pływakiem bocznym, który sunął po falach ze dwa kilometry od brzegu. Nie używał wiosła, lecz po prostu dawał się nieść wiatrowi i łowił ryby na trzymaną w rękę żyłkę z haczykiem.

Powiosłowałem w jego stronę, a kiedy mnie zauważył, pomachałem. Podpłynąwszy, przywitałem się i zapytałem, czy nie chce napić się wody.

– Moja mieć woda – powiedział. Pokazał zakorkowaną butelkę na dnio kanu. Napiłem się ze swojego bukłaka, wyciągnąłem go zachęcająco w jego stronę, a on pociągnął tęgi łyk.

– Skąd jesteś?

– *Me stap long Tanna* (Mieszkam na Tannie).

Zawahał się.

– Mój dom Futuna.

Futuna to leżąca na wschód od Tanny skalista wysepka o powierzchni jedenastu kilometrów kwadratowych i zamieszkała przez nie więcej niż trzysta osób. Niemniej to bardzo ciekawe miejsce, ponieważ mieszkańcy tej wysepki w środku Melanezji podobnie jak mieszkańcy atolu Ontong Java na Wyspach Salomona posługują się językiem z grupy polinezyjskiej. W monografii na temat migracji na Pacyfiku zatytułowanej *Islands of the South* Austin Coates podaje, że wędrowni Austronezyjczycy unikali dużych górzystych wysp i zasiedlali mniejsze i bardziej odosobnione atole.

„Ludzie ci cieszyli się takim prestiżem, że owe punkciki na mapie oceanu stały się ważniejsze od dużych wysp, nawet od Nowej Gwinei, którą otaczały niczym kordon strażników. W rozumieniu cywilizacji oceanicznej te punkciki stanowiły centrum, a górzyste wyspy – peryferie”.

Osiedlali się na dzikich wysepkach uchodzących – według Melanezyjczyków, którzy oczywiście je znali – za nienadające się do zamieszkania. Regularnie podróżowali w celach matrymonialnych i w sprawach rodzinnych na wyspy odległe o tysiące kilometrów, z Futuny na Banabę, z Ontong Javy na Wyspy Gilberta. Nic w tym dziwnego, że nie

obawiali się osiedlać na samotnych wysepkach i atolach, albowiem byli niezrównanymi żeglarzami, znawcami morza i doskonałymi budowniczymi łodzi.

„Nigdy przedtem ani później nikt nie spoufalił się aż tak z oceanem”.

Pragnąc porozmawiać z rybakiem z Futuny, przycumowałem kajak do pływaka jego kanu. Nie miał nic przeciwko temu, bo w żaden sposób nie przeszkadzałem mu w łowieniu, a i cóż lepszego można robić w wietrzny dzień dwa kilometry od brzegu, niż dryfować z wiatrem i rozmawiać?

Nazywał się Lishi. Dostrzegłem w nim pewne rysy melanezyjskie, ale nie tak wydatne jak u mieszkańców Tanny. Gdybym nie wiedział, skąd pochodzi, być może przyszłoby mi do głowy, że ma domieszkę krwi polinezyjskiej, ale wygląd i tak nie ma znaczenia w porównaniu z językiem.

– Czy to nazywacie *moana*? – zapytałem, uderzając wiosłem o wodę.

– To jest *tai* – odparł. – Tam jest *moana* – dodał, wskazując w dal, za rafę.

– Co to jest? – zapytałem, dotykając kajaka.

– *Wakha* – powiedział. Oto i wariant słowa, które słyszałem od Aborygenów, na Trobriandach i gdzie indziej.

– Jest pan Polinezyjczykiem?

– Tak.

– Skąd pochodzą pana ziomkowie na Futunie?

– Z Samoa, jak myślę. Lub może z Tonga.

Jakże inaczej odpowiedział na to pytanie niż mieszkańcy Tanny, którzy powiadają: „Powstaliśmy z dwóch magicznych gałązek”, albo mieszkańcy Wysp Salomona, którzy wywodzą swój rodowód od rekinów i węży.

– Czy Futuna podoba się panu?

– Jest nieduża. Mało ludzi.

– Co w niej dobrego?

– Dobre *kaikai* (jedzenie). Dobre ryby. Dobry wiatr.

Sięgnąłem do wodoszczelnej torby po notatnik i pióro i podczas gdy związani cumą sunęliśmy z wiatrem po obłych błękitnych grzbietach fal, a czasem gnaliśmy na spienionych grzywaczach, wypowiadałem rozmaite słowa, a pan Lishi podawał ich odpowiedniki w swoim języku. Te słowa jego

języka nieraz były identyczne ze słowami z języków Hawajów i Tahiti lub w oczywisty sposób im pokrewne.

Oceania na ogół wydawała mi się nie jedną krainą, lecz wieloma – wszechświatem odległych wysp. Czasem wszakże, tak jak wtedy gdy pan Lishi uczył mnie swojego języka, Oceania sprawia wrażenie niedużego regionu, gdzie mówią jednym językiem.

Oprócz tego, że otwarte morze to *moana*, laguna to *tai*, to jeszcze duże to *nui*, woda to *vai*, a ręka – *rima*, tak samo jak liczba pięć. Ryba to *ika*, dom to *fare*. Samończyk, Maorys lub nawet mieszkaniec Wyspy Wielkanocnej, którą od Futuny dzieli piętnaście tysięcy kilometrów otwartego oceanu, mógłby porozumieć się z panem Lishim z zachodniej Melanezji. Dziękuję to *fafatai*, tak samo jak w samońskim. Zapisywałem słowa podawane przez pana Lishiego, a wiele z nich brzmiało znajomo. Słońce to *ra*, księżyc to *mrama*, a liczby od jeden do pięć to *dasi*, *rua*, *toru*, *fa*, *rima*. Dłubanka to *porogu*, co pochodzi zapewne od tego samego słowa co „piroga”. Dzień dobry to *rokomai*. Niebo to *rangi*, tak samo jak na Tahiti (podczas gdy w hawajskim to *lani*). Kobieta to *finay*, co niewątpliwie jest pokrewne tahitańskiemu *vahine*.

Notowałem, zdumiewając się językowymi podobieństwami. Dryfowaliśmy związani cumą. Pan Lishi złapał trochę ryb, ale w większości nawet nie piętnastocentymetrowych maluchów.

Nosił wygnieciony słomkowy kapelusz i wystrzępione szorty. Skóra pomarszczona. Jego łódka bynajmniej nie sprawiała wrażenia dzielnej. Ot, biedny rybak z Futuny, z którym zetknąłem się w kosmosie Oceanii – poza czasem – na wzburzonym morzu w bezkresnym błękitie bezchmurnego dnia, kilka kilometrów od Tanny, najdziwniejszej, oderwanej od czasu wyspy Vanuatu.

W takiej to tkwiliśmy scenerii. W takim to byłem nastroju. I nagle to wszystko przysło.

– *Yu savvy war long Iraq, long Gulf?* (Czy jest wojna w Iraku, w Zatoce?) – zapytał pan Lishi.

Zbaraniałem, zdrętwiałem, ale zaraz oprzytomniałem i rzekłem:

– Jeszcze nie.

**Ale myliłem się.** Zanim wróciłem na brzeg, włączyłem radio i usłyszałem audycję radia z Vanuatu w języku bislama. Był 17 stycznia około południa czasu miejscowego, co oznacza rano w Iraku. Pierwszy atak nastąpił we wczesnych godzinach porannych, mniej więcej w porze, w której pływający marnym kanu futuński rybak pan Lishi zapytał mnie o to. Nie wynikało to z telepatii. Po prostu wszyscy martwili się sytuacją w Zatoce Perskiej.

– *Fait blong Persian Gulf we i brokaot finis* (W Zatoce Perskiej wybuchły walki) – zaczynały się wiadomości czytane przez trajkoczącego spikera. – *Mo plante pipol oli stap ting se bae hemi savvy lid i go long wan wor bekegen sapos ol bigfela kaontri* (supermocarstwa) *oli no stopem quik taem, hemi holem, wan bigfela kwesten mak i stap se bae who nao i winim fait ia...*

Obawiano się, że wybuchnie wojna światowa z udziałem supermocarstw.

Przestroiwszy tranzystor na Radio Australia, które o tej porze dnia miało mocny sygnał, usłyszałem, że Stany Zjednoczone uderzyły za pomocą czterystu rakiet samosterujących na sześćdziesiąt celów w Iraku. Mówiono o euforii, którą wywołał atak powietrzny, a i we mnie, chociaż przedtem liczyłem na dyplomatyczne rozwiązanie konfliktu, wezbrało owo nieczne uczucie, które Louis MacNeice wyraził w poświęconym bombardowaniu Londynu wierszu *Brat ogień*.

O, subtelny perypatetyku, dialektyku, ogniu,  
O, ty wrogu nasz i podobizno nasza,  
Czyż we dni owe, gdy wszystko stało się jasne,  
Gdyś ogarnięty radością żywiołu łupił sklepy,  
Gdyś, śpiewając, wspinał się na domy i wieże,  
Nie dzieliliśmy z tobą tej rozkoszy niszczenia?

Pięciu mężczyzn stojących na plaży widziało, że słucham radia. Ze swoich wiadomości już wiedzieli, co się dzieje.

– *Plante pipol heli kilim ded?* (Duzo ludzi zginęło?) – zapytał jeden z nich.

Odparłem, że jeszcze nie ma danych na ten temat. W języku bislama jest wielka różnica między słowem *kilim*, które znaczy „uderzyć”, a wyrażeniem *kilim ded*, które znaczy tyle co „zabić”.

Wyraźnie poruszeni sporo wiedzieli o przyczynach konfliktu, o najeździe na Kuwejt, agresywnej postawie Saddama Husajna (pamiętali jego nazwisko),



groźbie interwencji Izraela. Właściwie nie dziwiłem się, że obszarpani rybacy na dalekiej wyspie interesowali się i przejmowali sytuacją w Zatoce Perskiej. W końcu kiedyś i tu przyszła wojna, dotknęła wszystkich i zburzyła normalne życie.

– *Rambo hemi faet nao, Rambo stap long, stap Gulf* (Rambo walczy teraz, jest tam, w Zatoce) – oświadczył drugi z mężczyzn, podkopując we mnie wiarę w adekwatność ich obrazu sytuacji.

– Skąd pan o tym wie?

Facet przysiągł, że radio z Vanuatu poinformowało, iż Rambo pośpieszył w rejon Zatoki Perskiej, żeby pomóc wygrać wojnę.

– *I strongpela tumas* (Bardzo mocny) – dorzucił trzeci z mężczyzn.

– Święte słowa.

Spotkawszy Breffny'ego McGeougha, powiedziałem mu o nalocie na Irak. Jeszcze o tym nie wiedział. Zareagował w znamieny dla siebie sposób.

– Ha, trzeba więc napić się kawy.

Pojechaliśmy jego motocyklem parę kilometrów do wioski w buszu, gdzie zaparkowaliśmy na *nagamiel*, wioskowym placu, który nazywają też *yimwayim*. Plac otaczały ogromne baniany.

– Oto mój przyjaciel, wódz – rzekł Breffny, witając się z bezzębny, niemożliwie brudnym staruszkiem, który wraz z czterema innymi mężczyznami przykucnął na mokrej ziemi. Obok stało trzech innych, którzy żuli.

Wódz i reszta serdecznie przywitani Breffny'ego, który powiedział, że przywiózł mi na poczęstunek, parę czarek miejscowej kawy, najlepszej na całym Pacyfiku. W każdym razie Breffny nie pił lepszej, a przeżegłował Oceanie wszerz i wzdłuż. Kawę fidżyjską i tongijską uważał za szczytny w porównaniu z kawą z Tanny.

Miałem ze sobą tranzystor, żeby sprawdzać najnowsze wiadomości o bracie ogniu. Słuchałem radia i przyglądałem się zabiegom związanym z przygotowaniem kawy. Wyspiarze niezwłocznie zabrali się do dzieła.

– *Zaatakowano i zniszczono wyrzutnie rakiet. Dzięki sukcesywnym nalotom bombowców B-52 uszkodzono irackie lotniska...*

Jeden z mężczyzn krajał surowiec na kawę, czyli suche gałązki i cienkie długie korzenie pieprzu odurzającego *Piper methysticum*. Podczas gdy ciachał

pędy długim nożem i rzucał kawałki na kupkę, drugi mężczyzna za pomocą kawałka skorupy orzecha kokosowego oskrobywał korzenie, chociaż bynajmniej nie usuwał całej skóry ani nawet rudej ziemi.

Skrobacz podawał kawałki korzenia stojącym mężczyznom. Ci otwierali usta. Mieli czarne zęby i lepkie obłożone języki. Wkładali żylaste pędy kawy do ust i żuli je, wydając odgłos, jak gdyby gryźli kurze kości.

Przeżuwacze – jeden w słomkowym kapeluszu o szerokim rondzie, drugi w koszulce z napisem: „Alaska – The Last Frontier” [Alaska – Ostatnia rubież], trzeci w niemożliwie brudnym sarongu – z wypchanymi policzkami mocno pracowali żuchwami, chodząc przy tym w kółko.

– *Wielu naocznych świadków potwierdza, że zbombardowano pałac prezydencki w Bagdadzie* – usłyszałem w radiu.

Właśnie wtedy jeden z żujących pochylił się nad zielonym liściem, który najwyraźniej w tym celu położono na ziemi, i wypluł wilgotny kłęb rozdrobnionego drewna wielkości gałki lodów.

– *Bomby spadły również na bagdadzki dworzec lotniczy, niszcząc pasy startowe...*

Plask – rozległo się, gdy mężczyzna ubrany w koszulkę zgiął się w pasie jak pijący ptak i wypluł na liść swój kłęb zlepionych śliną włókien kawy.

Plask – trzecia klucha papki poleciała na liść niczym wypluta przez kapryśne dziecko porcja nie lubianego jedzenia. Efekt pracy przeżuwaczy wyglądał właśnie niczym mające konsystencję krowiego placka przeciery dla dzieci robione przez firmę Gerber.

– Pierwszorzędny towar – mruczał Breffny, ssąc cuchnącego skręta. – A co tam w Iraku, Paul?

Trzymałem tranzystor przy uchu.

– Naloty – powiedziałem.

Plask. Jeszcze jedna obrzydliwa klucha. Szara i mokra, robiło mi się niedobrze na sam widok.

Kiedy na liściu zebrała się pokaźna ilość przeżutego drewna, w dzieło robienia kawy włączył się wódz. Brudnymi paluchami zebrał papkę i umieścił na prostokątnym kawałku pięknie wyplecionej maty. Uniósł to nad emaliowaną miskę, jeden z mężczyzn wlał w papkę kilka czarek wody, po czym wódz

zwinął matę i jął ją wyżywać, wyciskając do naczynia sok z owej mieszaniny włókien kawy, ziemi, śliny i wody.

– Tańska kawa – rzekł Breffny, uśmiechając się z wyczekiwaniem.

Wódz napełnił do połowy skorupę kokosa, podał Breffny’emu, a zawadiacki Irlandczyk podniósł czarkę do ust, wypił i westchnął z rozkoszy.

Obtarł usta i powiedział:

– Na Fidżi miazdzą korzenie i parzą je. A cała tajemnica tkwi w zuci, rozumiesz.

Słuchałem wiadomości o nalotach, przeżuwacze nadal pracowali żuchwami i ostentacyjnie wypluwali papkę na liść.

– Na pewno nie chcesz spróbować? – wyszeptał Breffny.

Szeptał, bo zgodnie z zasadami picia kawy na Tannie w trakcie tego obrządku nie wolno mówić głośno.

Według Breffny’ego kawa działa jak nowokaina. Gdyśmy o zmierzchu wracali na wybrzeże, mówił, że w całym jego ciele rozlewa się przyjemne odrętwienie. Na zachodzie płonęła luna jak po wybuchu wielkiej bomby, adekwatne zwieńczenie pierwszego dnia wojny.

**Nazajutrz** wybrałem się na przejażdżkę kajakiem. Wziąłem ze sobą radio, którego słuchałem przez słuchawki. Osiem rakiet spadło na Izrael. Dwie osoby trafiły do szpitala wskutek zaburzeń pracy serca. Kilku innym podano środki uspokajające. Kuchnia pewnej kobiety została zniszczona. Wszyscy byli oburzeni. Ciskali gromy na agresorów. Tymczasem w Iraku i na granicy z Kuwejtem ginęły pierwsze ze stu pięćdziesięciu tysięcy ofiar. Bezimienni, pozbawieni twarzy wrogowie.

Wiosłując blisko brzegu, spostrzegłem dwoje ludzi na plaży. Weszli pomiędzy fale przyboju, żeby chwycić linę dziobową i pomóc mi wylądować.

Przyjechali z Nowej Zelandii. Stwierdzili, że Tanna to dziwna wyspa, z czym się zgodziłem. Rozmawialiśmy o wyspiarzach wiernych *kastom*, o wulkanie, o kulcie cargo związanym z Jonem Frumem, o pogłoskach na temat ludożerców, o zawziętym uporze misjonarzy. Dodałem, że Wyspy Salomona są równie ciekawe.

- Dużo pan podróżuje – zauważyła kobieta. – Pisze pan o tym? Przyznałem, że tak, że piszę artykuły, książki i w ogóle.
- Pewnie pisze pan książki w stylu Paula Theroux – powiedziała.
- Najzupełniej w jego stylu – rzekłem i nie ukrywałem dlaczego.

**W końcu** wróciłem na Efate, inną szczęśliwą wyspę. Stamtąd popłynąłem kajakiem na Pele i Ngunę. To po zawiętrznej stronie dużej wyspy, morze spokojne, nie to co sztormy wokół Tanny. Z Nguny widziałem wyspy Shepherd. Fantazjowałem, że zostanę na tych szczęśliwych wyspach, będę pływał kajakiem, biwakował i przyglądał się, jak mężczyźni robią koprę, a kobiety piorą w strumieniach.

Powiosłowałem na wyspę o nazwie Kukula, jakieś dwa kilometry dalej na skraju laguny. Miejsce idylliczne, chociaż pozbawione słodkiej wody. Kiedy lądowałem i wszedłem do wody, spostrzegłem pływającego blisko dna białawego węża w czarne prążki. Trąciłem go wiosłem, a on się szarpnął gwałtownie i ugryzł pióro wiosła, nim czmychnął.

Niektóre mniejsze wyspy były niezamieszkane, natomiast pozostałe dość ludne. Spotykałem pogodnych życzliwych ludzi. Kradzieże się nie zdarzały, nikt nawet nie słyszał o czymś takim. Wioski spokojne, przestronne, pogoda doskonała. Wyspiarze mówili, że interesy idą bardzo kiepsko, ale nikt nie wydawał się zafrasowany.

Często miałem już serdecznie dość wiadomości. Zostawiałem radio na brzegu. Słuchałem walkmana. Chuck Berry wydawał mi się jednak zbyt wesoły. Powolutku wiosłowałem pomiędzy ślicznymi wyspami i setny raz słuchałem arii Pucciniego o nadziei, że pewnego pięknego dnia na morzu pojawi się biały okręt, zgrabnie zawinie do portu i wszystko będzie dobrze.

*Un bel di, vedremo  
Levarsi un fil di fumo  
Sull'estremo confin del mare.  
E poi la nave appare.  
Poi la nave bianca  
Entra nel porto...*

[Pewnego pięknego dnia zobaczymy

Smuzkę dymu unoszącą się  
Nad horyzontem na skraju morza.  
I pojawi się okręt.  
I będzie to biały okręt,  
Który zawinie do portu...]

Żywiłem się miejscowym przysmakiem, krabem palmowym. W nocy, kiedy radio odbierało najlepiej, sprawdzałem wiadomości. Nazajutrz dzieliłem się nimi z wyspiarzami, którzy zawsze wspominali o Rambo. Niektórzy mówili, że po wojnie wojska amerykańskie wylądują na Tannie i zbawią wszystkich w imieniu Jona Fruma.

Słyszac to, wracałem myślą do Tanny i cieszyłem się, że poznałem tę niezwykłą i piękną wyspę, o której przedtem absolutnie nic nie wiedziałem. Miałem nadzieję, że czekają na mnie jeszcze inne takie wyspy, chociaż tamtej nocy miałem raczej posępny sen, w którym mój syn pisał opowiadanie zaczynające się w sposób następujący: „Jeszcze całe tygodnie i miesiące po śmierci ojca przychodziły od niego pocztówki, za życia bowiem włóczył się po najbardziej zapadłych i pozbawionych znaczenia dziurach na świecie”.

## rozdział\_dwunasty\_

### Podzielona wyspa Viti Levu

Na **wschodnim** krańcu Melanezji leży Fidzi, archipelag, którego lwią część należy jeszcze do tej krainy, ale niektóre mniejsze wyspy, takie jak Rotuma i wyspy Lau, zalicza się już do Polinezji. Ludność owych wysepek przerzucających swego rodzaju most między dwiema częściami Oceanii ma pochodzenie polinezyjskie. Wyspy Lau znajdują się w kręgu wpływów kultury polinezyjskiej. Ich mieszkańcy budują wiosłowe i żaglowe kanu. Ubierają się na modłę tongijską w szeleszczące maty owinięte wokół bioder. Wiosłują. Łowią ryby. Tańczą. Wspominają wielkie wyprawy morskie. Na wyspie Lakeba odprawiają doroczny rytuał obłaskawiania rekinów, w trakcie którego zanurzony po szyję w wodach laguny zaklinacz przywołuje śpiewem rekiny, a te rzeczywiście gromadzą się wokół niego.

Na wyspach Lau spotkamy mormonów. W Oceanii, gdzie mormoni uważają Mikronezyjczyków za synów Kaina, a Melanezyjczyków za czarnoskórych i niechlujnych potomków Chama, właśnie obecność mormonów jest dowodem, że znajdujemy się na wyspie polinezyjskiej.

Mormoni amerykańscy, którzy prowadzą tam działalność ewangelizacyjną, sprawiają tak samo odpychające wrażenie jak najgorszego rodzaju domokrażni sprzedawcy ubezpieczeń. To wścibscy osobnicy w czarnych krawatach, ciemnych spodniach, białych koszulach z zaczepionymi o kieszonki na piersi plakietkami z nazwiskiem („Elder Udall”<sup>[37]</sup>), wszechwiedzący i ściskający w rękę egzemplarz księgi, którą Joseph Smith odczytał ze złotych tablic przekazanych mu w 1827 roku przez anioła Moroniego. Zawarte na złotych tablicach kroniki spisano jakoby w języku „reformowanym egipskim”. Nakrywając głowę kocem i patrząc przez „kamień jasnowidza”, Smith odczytał tablice i podyktował przekład Emmie, pierwszej z pięćdziesięciu żon. („Na widok ładnej kobiety muszę się modlić”, miał wyznać). W *Księdze*

*Mormona* znajdziemy nie tylko zapowiedź – cóż z tego, że po fakcie – odkrycia Ameryki przez Kolumba, lecz również opowieść o tym, jak będący potomkami zaginionych plemion Izraela Indianie amerykańscy postanowili wyruszyć łodziami żaglowymi na Pacyfik i zasiedlić jego wyspy. Nie ma więc pytania o to, czy Polinezyjczycy powinni stać się mormonami. Według *Księgi Mormona* są nimi od początku i trzeba im tylko o tym przypomnieć.

Wyspy Lau są wszakże tylko maleńkim gwiazdozbiorem w galaktyce Oceanii. Melanezyjskie Fidzi to zupełnie inna historia. Fidzi przypomina świat, który wydawałoby się odszedł w przeszłość, świat przemocy politycznej, napięć rasowych, problemów gospodarczych i australijskich turystów poszukujących tanich salatek (choć ich przekonanie, że szczytując się ludożerczą historią plemię Queequegów może brylować w dziedzinie produkcji salatek, jest zarazem kulturową zagadką, jak i dowodem na to, że zadowolony turysta uwierzy we wszystko). Połowa ludności ma korzenie indyjskie, jest noszącymi turbany i małe czapeczki na czubku głowy muzułmanami, parsami, buddystami albo hindusami z wielką czerwoną kropką na środku czoła. Prowadzą sklepy, w których po zawyżonych cenach sprzedają towary „wolnołowe” i miejscowe kurioza, takie jak dzidy, kółka na serwetki, salaterki i nieprzeliczone drewniane badziewie służące nie wiadomo do czego.

– Jak się nazywa ten kołek? – zapytałem hinduskiego sklepikarza.

– Brzyrząd ganibala, sah – odparł.

– Ma pan na myśli kanibala?

– I bałkę ganibala – rzekł, demonstrując lśniąca pałkę do rozbijania czaszki, jakimi niegdyś rozwalano wrogowi łeb, żeby zjeść jego mózg, dzięki czemu człowiek robił się tak samo mądry jak on.

W katalogu Muzeum Fidżyjskiego w Suvie pokazał mi rozdział poświęcony artefaktom ludożerców. Te narzędzia są nawet podobne do tych robionych na użytek turystów. No i świadczą o tym, że barwne opowieści podróżników o ludożercach z Fidzi – takie jak mrożąca krew w żyłach relacja zawadiackiego Irlandczyka Petera Dillona, który w 1820 roku ledwo się wymknął ludożercom, a przedtem na własne oczy widział, jak kanibale upiekli i zjedli dwóch jego towarzyszy – nie były z palca wyssane. Budzący grozę

i obrzydzenie opis ludożerczych zwyczajów Fidżyjczyków znajdziemy w uważanym za zasadniczo wiarygodne jedenastym wydaniu *Encyclopaedia Britannica* z 1911 roku: „Dawniej Fidżyjczyków otaczała złowroga sława dzikusów praktykujących ludożerstwo, które mogło mieć źródło religijne, ale długo przed przybyciem pierwszych Europejczyków wynaturzyło się w zwykłe obżarstwo. Ozdobę stołu fidżyjskiego wodza stanowiło ludzkie mięso, zwane eufemistycznie mięsem »długiej świni«, a w celu zaspokojenia apetytu na ten przysmak wódz nie wahał się poświęcać nawet krewnych i przyjaciół. Upodobanie do ludzkiego mięsa łączyło się u Fidżyjczyków z dziką i okrutną naturą. Ofiary z ludzi były codziennością”.

Aż trudno uwierzyć, prawda? W tym samym artykule czytamy, że w żyłach wielu Fidżyjczyków płynie krew polinezyjska i melanezyjska, przez co łączą w sobie „bystrość intelektu będącą znamieniem rasy jaśniejszej z dzikością i nieufnością, które są znamieniem rasy ciemniejszej”. Właśnie tego rodzaju żalosalne przesady były podstawą szacowania i łupienia wysp Pacyfiku przez misjonarza, kupca, plantatora – szatańską trójcę, która bywała jedną osobą, co pięknie ilustruje główną tajemnicę religii, jaką ci ludzie wciskali ludożercom do głów.

Kiedy pytałem o ludożerstwo, Fidżyjczycy nigdy nie zaprzeczali kanibalizmowi przodków, lecz przeciwnie – oblizując usta, z zapałem opowiadali o ojcach ludożercach, co przywodziło mi na myśl Australijczyków z dumą rozwodzących się nad tym, że ich przodkowie byli skazańcami.

– Dawniej na tej wyspie mieszkali sami dzicy ganibale, sah – powiedział Hindus, rozglądając się ukradkiem na boki. – Fidżycy, sah.

Zachowywał się tak lękliwie nie dlatego, że obawiał się ludożerców, lecz dlatego że Fidżyjczycy – a w każdym razie większość Fidżyjczyków i ich rząd, który w istocie składał się z jednej osoby, a mianowicie podpułkownika Sitiveniego Rabuki zwanego Stevem – chcieli odesłać Hindusów tam, skąd przybyli ich dziadowie lub pradziadowie, czyli na subkontynent indyjski. (Pierwsi Hindusi przyjechali na Fidżi przeszło sto lat temu jako robotnicy najemni do pracy na plantacjach trzciny cukrowej). W innej epoce Fidżyjczycy chcieliby pewnie zjeść Hindusów. Teraz chcieli ich tylko odesłać – niczym zde gustowani goście odsyłający do kuchni niesmaczne danie.



Nie należy jednak sądzić, że Fidżyjczycy są źli.

– To, że nie jesteśmy tak inteligentni jak Hindusi – oświadczył w swoim czasie Steve, a potem wielu to cytowało – nie znaczy jeszcze, że mogą nas wykorzystywać.

– My mamy ziemię, wy macie mózgi – powiedział przy innej okazji, zwracając się wprost do Hindusów. – Czy macie być bogatsi tylko dlatego, że wasze mózgi są odrobinę większe od naszych?

Wcale nie dbał bardziej o dobór słów, omawiając tę sprawę w książce *No Other Way* [Nie ma innej drogi]. Hindusów nazwał „rasą imigrantów”, która „pragnie zdobyć pełnię władzy”. Tylko zamach stanu mógł zapewnić „przetrwanie rasy Fidżyjczyków”. „To oczywiste”.

Dziennikarze nowozelandzcy pytali Steve’a, czy przeprowadzony przezeń zamach stanu ma podłoże rasistowskie. Steve pogodnie przytaknął.

– Nasz zamach stanu jest rasistowski w tym sensie, że dokonaliśmy go w interesie jednej rasy – oświadczył.

Liczba ludności pochodzenia indyjskiego zrównała się z liczbą Fidżyjczyków, którzy dopiero niedawno zaczęli obawiać się marginalizacji. Ale nie tracili humoru. Śmiali się i odurzali kawą (którą nazywają *yanggona*) przez sześć dni tygodnia, a siódmy dzień spędzali w kościołach metodystycznych – w każdej wiosce jest przynajmniej kaplica – śpiewając smętne hymny i potępiając postępowanie pogańskich muzułmanów, hindusów, buddystów i parsów, którzy, jak mówili, przywłaszczali sobie ich kraj, płodząc więcej dzieci i głosując w wyborach przeciwko Melanezyjczykom.

Wreszcie Bóg przemówił do Fidżyjczyków, którzy skrzyknęli bogobojne oddziały, zamaskowani weszli do parlamentu i pod lufami karabinów wyprowadzili nowo mianowanego premiera oraz większość członków gabinetu. Tak oto w 1987 roku pułkownik Rabuka, zaalarmowany wynikami wyborów, które stworzyły koszmarną z jego punktu widzenia perspektywę powołania wielorasowego rządu, dokonał zbrojnego zamachu stanu, po czym natychmiast zadekretował, że niedziela jest świętem, które muszą obchodzić wszyscy. Zakazuje się handlu w niedziele, zakazuje podróży, zakazuje jazdy autobusów, ścinania trzciny, gier. Ma panować podniosła atmosfera i wolno jedynie śpiewać hymny metodystyczne.

Pułkownik Rabuka wystąpił nawet w nakręconym na zlecenie władz filmie o tym przewrocie. Jedną z pierwszych scen wygląda następująco:

*Poranek. Jadalnia w domu Steve'a Rabuki. Pani Rabuka i mały Skip Rabuka siedzą przy stole, jedząc tradycyjne śniadanie fidżyjskie złożone z owsianki i herbaty. Wchodzi Steve Rabuka w mundurze.*

SKIP RABUKA: Gdzie idziesz, tato?

STEVE RABUKA: Wykonać zadanie, które zlecił mi Bóg.

PANI RABUKA: Co masz na myśli, mężu?

STEVE RABUKA: Bóg nakazał mi obalić rząd.

W ten sposób Steve mścił się na wyznawcach Allaha, na czcicielach małpiego boga Hanumana, złotego cielca i słoniowatego Ganesi, z jego podobną do ryja trąbą i durnym uśmiechem. To nic, że w niedziele w fidżyjskich miastach i wioskach panowała martwota kojarzona z epidemią cholery, zagładą nuklearną lub niedzielą w Walii<sup>[38]</sup>.

– Fidzi jest krajem chrześcijańskim – do znudzenia powtarzał Steve i rozwodził się na temat wzniosłych tradycji oraz poczucia przyzwoitości. Zaiste komiczne, zważywszy na to, że władzę zdobył z pomocą uzbrojonych bojówkarzy, przegonił prawowity rząd i ogłosił stan wyjątkowy.

Rodzimi Fidżyjczycy odgrywali się na Hindusach, wyrzaskując hymny religijne. Niesłychanie grube Fidżyjki w długich, luźnych, jaskrawych sukniach i potężni, kudłaci Fidżyjczycy w spódnicach i z Biblią wielkości płyty chodnikowej w ręku ile sił w płucach śpiewali w tonacji As-dur *Przyjdź do Jezusa*. Oczywiście wzbudzali przerażenie w duszach Hindusów.

**Wypożyczyłem** samochód, do którego zapakowałem kajak i sprzęt biwakowy, tak żebym mógł jeździć po Viti Levu (Wielkiej Fidzi), szukając najlepszego miejsca do wypraw kajakowych.

– Sprzedaje pan mapy? – zapytałem Fidżyjczyka w wypożyczalni samochodów w Nandi. Miałem tylko morskie mapy Fidzi, a przydałaby mi się również mapa drogowa.

– Po co panu mapa?

– Żeby wybrać właściwą drogę.

– Niepotrzebna panu mapa. Tu jest tylko jedna droga.

Niezupełnie odpowiadało to prawdzie, ale nie wpadł na to, że mapa mogłaby mi się przydać także do innych celów.

– Jest pan Amerykaninem? – zapytał, po czym zaczął właściwie z dumą chwalić okrucieństwo operacji w Iraku, która w drugim tygodniu przypominała najgorszego rodzaju ekspedycję karną. Na Wyspach Salomona i w Vanuatu miejscowi bali się, że wojna przyjdzie do nich. Fidżyjczycy wyśmialiby takie obawy. Ale nie ujmowali tej sprawy w kategoriach politycznych. Ulegali zwyczajnej fascynacji widowiskiem – pirotechniką, startującymi samolotami, wybuchami bomb, wyciem syren, zakrwawionymi ludźmi taszczonymi na noszach wśród ognia i dymu. Relacje telewizyjne wyglądały niczym filmy o Rambo i odnosiłem wrażenie, że sprawiają przyjemność Fidżyjczykom.

Miałem pewną dolegliwość. W Vanuatu zaraziłem się grzybicą. Podejrzywałem, że za sprawą brudnego prześcieradła. Przyczyna nie mogła być inna, albowiem postępowałem jak wzorzec przyzwoitości. W Oceanii roi się od plakatów ostrzegających w pidżyn przed AIDS i są one naprawdę drastyczne i przerażające.

– Czy może mnie pani skierować do lekarza? – zapytałem w recepcji hotelu Regent w Nandi, gdzie się zatrzymałem.

– A o co chodzi? – zapytała z kolei recepcjonistka, raczej obcesowo.

– Grzybek – odparłem. – Nic poważnego. Na stopie.

Oczywiście skłamałem. Przecież nie mogłem powiedzieć Fidżyjce będącej zapewne metodystką, że złapałem grzybka na fiucie.

– Aha, grzybica stóp – rzekła. – W każdej drogerii dostanie pan zasypkę.

Nazajutrz wypadła niedziela. „Nie ma większego spokoju niż niedziela na Oceanie Spokojnym”, zanotowałem w zeszycie. Od początku podejrzewałem, że niedzielna celebra na Fidzi jest celowym zabiegiem, który ma wzbudzać w niechrześcijanach dojmujące poczucie, że są podłymi obcymi poganami. Jak gdyby mówiono im: „Zamknijcie się i dajcie nam się modlić”, a w razie czego nabożny chrześcijan grzmotnie poganina w łeb Biblią.

W Nandi nie brakowało lekarzy, ale w niedzielę wszystkie gabinety były zamknięte. Nawiasem mówiąc, nie znalazłem ani jednego lekarza o niehinduskim nazwisku.

Plantacje trzciny cukrowej nadają Viti Levu osobliwy wygląd krainy od dawna zagospodarowanej i jednocześnie zaniedbanej. Nie ma bowiem bardziej obwisłej i strzępiastej rośliny uprawnej niż trzcina cukrowa, zwłaszcza wyrośnięta. W porze żniw z trzcin obłazą wiechcie suchych liści, a zżęte pole wygląda niczym wielki śmietnik. Tereny nadmorskie w całym Fidżi wykarczowano pod plantacje trzciny, wzgórza są więc łyse albo porośnięte przez niewydarzone sosny i krzaki. Drogi zniszczone, niektóre już nieprzejezdne. W zachodniej Melanezji przywykłem do widoku dzicy i dżungli. Teraz natomiast znajdowałem się na gęsto zaludnionych, rozwiniętych gospodarczo terenach, których mieszkańcy gorąco pragnęli przyciągać turystów. Odnosiłem przykre wrażenie, iż obcuję z pejzażem udręczonym. Niektóre wzgórza obdarto do gołej ziemi wyzierającej spod rachitycznego dywanika traw.

Wzdłuż Queen's Road, głównej ulicy Nandi, ciągnął się szpaler hinduskich sklepów, w których witrynach wisiały tablice obwieszczające: „Tniemy ceny!”, „Likwidacja!”, „Wyprzedaż!”. Ale tym razem nie szło o cyniczne nabijanie w butelkę łatwowiernej gawiedzi. Hinduscy kupcy rzeczywiście chcieli wyprzedać zapasy i emigrować – do Kanady, Australii, Nowej Zelandii, dokądkolwiek, gdzie pozwolą im kupić ziemię i zacząć od nowa. Wyraźnie czułem atmosferę paniki, a chociaż niektórzy sklepikarze twierdzili, że są optymistami, to najgłębszą nutę desperacji słyszałem właśnie w głosach tych, którzy zaręczali, że perspektywy są świetlane.

Nie dziwiłem się tej panice, ponieważ nowa, chociaż podówczas jeszcze nieuchwalona konstytucja nie tylko gwarantowała rodzimym Fidżyjczykom wieczną pełnię władzy, lecz również wygaszała wszelkie tytuły własności ziemi posiadane przez osoby obcego pochodzenia. Konstytucja unieważniała nawet umowy dzierżawy i stanowiła, że w przypadku ich odnowienia będą musiały być zgodne z nowymi zasadami, tak że na przykład Hindus mający dotąd dzierżawę wieczystą będzie mógł ją odnowić na dwadzieścia lat i to niesamodzielnie, lecz tylko z fidżyjskim współnikiem. Dotyczyło to nawet Hindusów mających obywatelstwo fidżyjskie.

Można by pomyśleć, że to żarty, ale Fidżyjczycy traktowali tę sprawę śmiertelnie poważnie.

„Wiemy, co spotkało naszych maoryskich i hawajskich braci w innych rejonach Pacyfiku – czytałem w liście opublikowanym na łamach »Fiji Times«. – Są obywatelami drugiej kategorii w swoim kraju”.

– Odnoszę wrażenie, że Hindusi mają powody do obaw – powiedziałem do Vishnu Prasada, nandyjskiego sklepikarza na spacerze z psem, który pilnował mu sklepu.

Vishnu zbył tę uwagę milczeniem, a gdy ciągnąłem ten temat, zachichotał nerwowo.

– Hi, hi, hi! Nie zajmuję się polityką.

W tych dniach 1987 roku, kiedy doszło do zamachu stanu, rodzimi Fidżycjczycy wzniesli zamieszki na ulicach Nandi i Suvy, demolując i plądrując hinduskie sklepy. Zdarzały się podpalenia. Po ustanowieniu rządu tymczasowego zapanował względny spokój, ale po czterech miesiącach Steve znowu stracił cierpliwość i dokonał powtórnego zamachu stanu.

– Przed przewrotem był to szczęśliwy i dobry kraj – powiedział mi hinduski sprzedawca *yanggona* – ale wszystko popsuli.

– Zdevaluowano jednak walutę, koniunktura zdechła, przyszłość maluje się w czarnych barwach, więc na pewno się martwią, prawda?

– Nie. Oni patrzą w przeszłość. Wracają do systemu wodzowskiego.

– Ale kto chce systemu wodzowskiego?

– Wodzowie – odparł.

Owej martwej niedzieli wsiadłem w samochód i pojechałem z Nandi na wschód do Singatoki, miasta zamieszkanego głównie przez Hindusów, gdzie – jak mi powiedziano – miałem szansę znaleźć czynny gabinet lekarski. To się nie sprawdziło, a gdy zapytałem o restaurację wegetariańską – co jest wielką atrakcją każdego hinduskiego miasta – polecono mi Go Kool Hot Snax, gdzie spotkałem Subhasha, który zajadał pieczone pierożki z nadzieniem przyprawianym curry i powiedział wprost, że nie lubi Fidżycjczków.

Właśnie wyszedł z kościoła. Tak, w niedzielę, był bowiem hinduskim chrześcijaninem.

– Należę do Kościoła Chrystusowego – rzekł.

Opowiadał, że jest kawalerem, więc zapytałem go, czy wolałby ożenić się z chrześcijanką czy z hinduską.

– Jeżeli się ożenię, to z Hinduską albo z Europejką, w żadnym razie nie z Fidżyjką – odparł.

– Dlaczego?

– Bo są niemoralne! – wyrzucił z siebie niemal z wściekłością, po czym poczęstował mnie zajadłą tyradą, jakie uwielbiają wygłaszać bigoci. – Już uczennice zachowują się jak ladacznice, zabierają mężczyzn na plażę i czasem ich okradają. Ot co! Fidżyjska żona zdradzałaby mnie, gdybym tylko wyjechał. Idą z każdym. Mają wszystko gdzieś. Nawet jeżeli są chrześcijankami, zachowują się jak poganki. Nigdy nie poślubię Fidżyjki. Nigdy!

Ale i Hindusi na ogół nie wydawali się konserwatywni. Dziewczęta nosiły sukienki, obcinały włosy, śmiały się jak kobiety wyzwolone i śmiało patrzyły mi w oczy. W Indiach kobiety nigdy tak nie patrzą na mężczyzn. Mówiono mi, że małżeństwa muzułmańsko-hinduskie są na porządku dziennym, natomiast małżeństwa fidżyjsko-hinduskie należą do rzadkości. To nic nowego. Na przełomie XIX i XX wieku pewien angielski autor zauważył, że „Fidżyjczycy nie przejawiają skłonności do poślubiania hinduskich kulisów”.

Wracając z Singatoki, zabrałem autostopowicza o imieniu Akiwila, Fidżyjczyka, metodystę. Tak samo jak Subhash właśnie wyszedł z kościoła. Niósł Biblię. W niedziele na poboczach dróg widuje się mnóstwo mężczyzn z Biblią w ręku. Odniosłem wrażenie, że mogą budzić grozę w duszy niewierzącego.

Akiwila był czarny z burzą kędzierzawych włosów wokół głowy. Miał zadarty nos i wydatną żuchwę – typowe męskie oblicze Melanezyjczyka. Podobnie jak wielu spotkanych przeze mnie Fidżyjczyków był wielkim, śmiałym facetem. Rozpływał się w uśmiechach, a wąż sprawiał, że wydawał się starszy, poważniejszy i nawet cokolwiek onieśmielający. Zachowywał się jednak życzliwie, z szacunkiem i bez skrępowania. Nosił gabardynową spódnicę, nazywaną przez Fidżyjczyków *sulu*, białą koszulę i krawat. W Fidzi mężczyzna nie jest dobrze ubrany, jeżeli nie występuje właśnie w takiej spódnicy i pod krawatem.

Akiwila zmierzał do bratostwa na obiad przed następnym nabożeństwem. Tak, potwierdził, w niedziele nie wolno gotować, ale potrawy przygotowano w sobotę. Na próżno usiłowałem wyobrazić sobie boga, który czułby się

spostponowany tym, że człowiek gotuje. Tyle że metodyzm na wyspach Pacyfiku nadal tkwi w XIX wieku, kiedy opaśli wściekli hipokryci z Anglii i Ameryki ustanowili idiotyczne zasady, zgodnie z którymi w niedziele nie wolno gotować, tańczyć ani się bawić, natomiast trzeba uczestniczyć w dwóch nabożeństwach.

– Akiwila, co pan sądzi o zamachu stanu? – zapytałem po chwili milczenia.

– Bardzo dobrze się stało – odparł, gładząc skórzaną oprawę Biblii.

– Ale zamach uderzył w Hindusów, czy słusznie?

– Tak – powiedział i uśmiechnął się. – Sam pan rozumie, stanowią już prawie połowę ludności Fidzi.

– Musicie im pokazać ich miejsce, to ma pan na myśli?

– Tak. Właśnie.

Nadal uśmiechał się, kiwał głową i skromnie obciągał spódnicę na kolanach.

Podrzuciwszy Akiwilę, jechałem dalej. Zabrałem Joego i Helen, dwoje Fidżyczyków, którzy wracali do domu z pracy w hotelu. Byli tak mili, że aż zabrakło mi śmiałości, żeby zapytać, ile zarabiają. Zamiast tego zapytałem, kogo uważają za najbardziej nieznośnych gości: Amerykanów, Nowozelandczyków czy Australijczyków?

– Och, wszyscy są mili – pogodnie odparł Joe, a kiedy wysiadali, Helen dała mi dolara za podwózkę.

Dwa kilometry dalej zatrzymała mnie grupka chłopców, którzy również wracali z niedzielnego nabożeństwa. Nastolatki – Moses, Yakobi i Kamwela (co jest fidżyjskim odpowiednikiem Samuela). Zgadziali się z tym, że w niedziele wszystko powinno być zamknięte, a zwłaszcza hinduskie sklepy.

– Niedziela jest po to, żeby iść do kościoła – oświadczył Moses.

Tę świętoszkowatą stanowczość w sprawie odebrania niedzieli świeckiego charakteru Fidżyczyki wyrażali wielce życzliwie. Promieniowali spokojną pewnością siebie, podczas gdy Hindusi albo obłudnie twierdzili, że wszystko jest w porządku, albo okazywali czystą histerię. Jedni i drudzy wydawali się tak samo bigoteryjni i zastraszająco nieobeznani z kulturą drugiej strony.

Nikt nie wystawił gorszej opinii fidżyjskim Hindusom niż James Michener w *Return to Paradise* [Powrót do raj]. To raczej marnie napisana,

powierzchnowa i przestarzała przeróbka *Tales of the South Pacific* [Opowieści z południowego Pacyfiku]. Odnoszę wrażenie, że niektóre oszczerstwa Michenera pod adresem Hindusów wypływają z chęci szokowania. Jego książka wyszła w 1951 roku.

„Nie sposób lubić fidżyjskich Hindusów. To podejrzliwi, mściwi, marudni, niezasymilowani, zaczepni obcy w kraju, w którym mieszkają od ponad siedemdziesięciu lat. Nienawidzą wszystkich, czarnych krajowców, białych Anglików, śniadych Polinezyjczyków i życzliwych Amerykanów. Nie zawierają małżeństw z Fidżyjczykami, którymi gardzą. Wystrzegają się Anglików, których zwyczajami się brzydzą. Nie można liczyć na to, że poprą choćby najbardziej rozsądne postanowienia władz. Nade wszystko zaś są opryskliwi i niemili. Podróżnik odwiedzający Fidżi nawet przez tydzień nie ujrzy uśmiechu na twarzy Hindusa”.

Ten skrajnie nieprzychylny obraz Hindusów Michener zestawia z wyidealizowanym portretem Fidżyjczyków.

„Wątpię, czy ktokolwiek prócz Hindusów może nie lubić Fidżyjczyków. To potężni czarni z domieszką krwi polinezyjskiej. Nie przystrzygają bujnych kędzierzawych włosów [...] Należą do najszcześniejszych ludzi na świecie i bez przerwy się śmieją”.

To opinie tak niedowarzone, że niewarte polemiki. Michener po prostu należy do liczego grona odkrywców, podróżników i turystów, którzy odczuwają potrzebę mistyfikowania wysp Pacyfiku, będących dla nich synonimem raj. Jakże to wszystko mylące. Sama nazwa „Pacyfik” to przecież nieporozumienie. Zarazem jednak właśnie to, że wielka część literatury na temat Pacyfiku i jego wysp jest nierzetelna – jeżeli nie z palca wyssana – pogłębia przyjemność związaną z podróżowaniem po tej części świata i sprawia, że podróżnik co raz szeroko otwiera oczy ze zdumienia.

**Skończyła** mi się maść przeciwgrzybiczna, więc nie mogłem dłużej odkładać wizyty u lekarza. W tej sytuacji w poniedziałek pojechałem znowu do Singatoki, gdzie na chybił trafił wybrałem lekarza, doktor S. K. Naidoo, blisko rynku. Wszedłem do dusznego, zatęchłego pomieszczenia, gdzie na ścianie



wisiał kalendarz z obrazkiem ukazującym małego boga Hanumana i z reklamą hinduskiego sklepu elektrycznego w Suvie.

Recepcjonistka była Fidżyjką. Przerwała ożywioną rozmowę z siedzącą obok niej dziewczyną i zapytała o powód mojej wizyty.

– Zakażenie – powiedziałem. – Boli mnie stopa.

Wychyliła się za biurko, żeby spojrzeć na moje stopy.

– Która?

– Prawa – powiedziałem i poruszyłem prawą stopą.

Usiadłem, zacząłem przeglądać stary, zaczytany egzemplarz australijskiego „Cosmopolitan”, w którym zainteresował mnie kwiz zatytułowany *Czy jesteś zadowolony ze swojego życia seksualnego?* We wstępie obiecywano: „Odpowiedz szczerze na pytania zawarte w czteroczęściowym kwestionariuszu, a dowiesz się wiele o sobie”, ale im dłużej czytałem, tym więcej dowiadywałem się o charakterze ludzi, którzy wymyślają takie podniecające kwizy. „Czy seks cię nudzi?” – pytano w części pierwszej. W części drugiej, zatytułowanej *Sprawność seksualna partnerki*, pytano o „zdolność partnerki do dostrzegania komicznej strony tego” i proszono o ocenę tej zdolności w skali od jednego do pięciu, a ja się zastanawiałem: „Komiczna strona czego?”. W części trzeciej pytano: „Czy martwisz się wielkością i kształtem pewnej szczególnej części swojego ciała?”, a chociaż nie sprecyzowano, o którą część ciała chodzi, pomyślałem o nosie. W części czwartej nie owijano w bawełnę: „Czy kiedykolwiek uczestniczyłeś w orgii seksualnej?”, „Czy robisz sobie zdjęcia w trakcie uprawiania seksu?”, „Czy uprawiasz seks na oczach osób trzecich?”.

Dobre! Nie miałem wątpliwości, co myślą o tym purytańscy Fidżyjczycy, i byłem pewny, że po cichu uważają Australijczyków za przebrzydłych erotomanów, tak jak Australijczycy w głębi ducha uważają Fidżyjczyków za przebrzydłych kanibali.

– Doktor pana prosi – oznajmiła recepcjonistka.

Wszedłem do sąsiedniego pomieszczenia, odsunąłem wysmarowaną kotarę i ujrzałem doktor Naidoo, drobną i dość młodą Hinduskę w sari, która bębniła paluszkami w podkładkę do pisania.

– Coś panu dolega w stopę, panie Thorax?

– Tak, ale to nieistotne – odparłem i poczułem, że nagle zaschło mi w ustach. – Bardziej dolega mi grzybicze zakażenie, hm, narządu płciowego.

Doktor Naidoo nawet nie drgnęła powieka.

– Złapałem to, a właściwie *dostałem* w Vanuatu. Brudna pościel, jak sędzę. W każdym razie nie wskutek kontaktu seksualnego.

– Aczkolwiek zwykle tak to jest przekazywane – zauważyła pani doktor. Też mi pedantka, cholera. Czy nie powiedziałem jej przed chwilą, skąd to mam?

– Muszę pana obejrzeć – rzekła. – Proszę wejść za parawan.

Zrobiłem to. Weszła za mną. Drżącymi palcami wyciągnąłem na wierzch żaloszny członek, pani doktor kucnęła i wbiła weń badawcze spojrzenie. Chociaż działała czysto profesjonalnie – a może właśnie dlatego – przez chwilę wyglądaliśmy jak kochankowie, którzy przyjęli ekshibycyjną pozycję numer czterdzieści pięć w *Kamasutrze*, czyli *Podziwianie lingamu*.

Kiedy pani doktor przepisywała lekarstwo, spytałem, gdzie kończyła medycynę. Zapytałem z czystego zdenerwowania, po prostu żeby wypełnić ciszę, ale w moim głosie musiała usłyszeć sceptyczną nutę, bo z kolei w jej głosie zabrzmiała uraza.

– W Suvie. To renomowana akademia medyczna.

Zapłaciłem dziesięć dolarów za poradę lekarską i dwa za maść. Potem kupiłem kasetę do walkmana, muzykę z filmu *Wielki chłód*, którą uprzejmy Hindus w sklepie muzycznym skopiował z kasety oryginalnej. Ot, akt piractwa, jakim w Fidzi nikt się nie przejmuje. W taki sam sposób rozpowszechniają kasety wideo. Po prostu dobra okazja.

**Recesja**, dewaluacja, niskie ceny cukru i kopry, lęki Hindusów i obawy turystów powodowały w sumie, że w Fidzi było stosunkowo pusto i przyjemnie. Przekonałem się o tym w ciągu kilku następnych dni, kiedy zwiedzałem wybrzeże na wschód od Singatoki, podążając w stronę Suvy. Interesy szły kiepsko. W warunkach ostrej konkurencji na rynku fidżyjskim obniżało to znacznie koszty podróży. A Fidzi ma rozwiniętą infrastrukturę turystyczną. W Nandi działa porządne lotnisko, w Suvie jest ruchliwy port,

który uchodzi za najlepszy na Pacyfiku. Cały pas pomiędzy nimi dobrze rozwinięty. Niemniej ta część Viti Levu, którą tymczasem spenetrowałem, wcale mnie nie zachwycała. Błotniste plaże, niechlujne łąny trzciny cukrowej, zatrzesienie hoteli i sklepów wolnocłowych, brzydkie wioski z chatami wyglądającymi jak kurniki z pustaków. Ale cóż tu narzekać, kiedy ludzie życzliwi, a kraj tani i bezpieczny.

Tłukłem się po kiepskich drogach, wypatrując miejsca biwakowego na ładnej plaży. Plaże jednak nie porywały, laguny płyciutkie, fale za wysokie, żeby kajakować. No i wszędzie domy.

Cała ziemia zajęta. Teoretycznie to dobrze, ale w praktyce znaczy, że na całym obszarze do Nandi do Suvy nie da się biwakować. Nie miałem najmniejszej ochoty rozbijać obozu w pobliżu, dajmy na to, Golden Sands Motel albo Coral Coast Christian Camp. Dosłownie na każdym kilometrze jak nie hotel, to osada. Całe południowe wybrzeże jest nie tylko gęsto zaludnione, lecz roi się od turystów, głównie Australijczyków i Nowozelandczyków o spalonych słońcem nosach, którzy ubrani w wakacyjne koszulki z głupimi napisami takimi jak: „My Job Is So Secret Even I Don't Know What I'm Doing” [Moja praca jest tak tajna, że sam nie wiem, co robię] lub „It's Not Beer, Mate, This Is Just a Fat Shirt” [To nie sprawa piwa, brachu, lecz po prostu brzuchata koszulka], wydawali się rozczarowani ucywilizowaniem tej części Fidżi.

Opodal Nasavu znalazłem miejsce, które wydawało się dobre do kajakowania, więc złożyłem łódkę, żeby przepłynąć mniej więcej ośmiokilometrową cieśninę oddzielającą Viti Levu od sporej, mającej kształt muszli ostrygi wysepki Beqa (co wymawia się „Benga”), gdzie podobno są ludzie potrafiący chodzić po ogniu.

Zaledwie wyostałem się za rafę, gdy uderzył silny wschodni wiatr. Okazało się, że najwięcej energii muszę wkładać w utrzymanie się w pionie, bo wiatr napierał z boku. Po trzech czy czterech kilometrach musiałem się poddać, po czym z wielkim wysiłkiem, jako że wiatr zniósł mnie daleko na zachód, wróciłem na plażę.

Żałowałem, że nie udało mi się dotrzeć do ludzi chodzących po ogniu i że ta wycieczka kajakowa sprowadziła się do walki z wiatrem i falą. Ale już

wieczorem poznałem mężczyznę, który twierdził, że opanował sztukę chodzenia po ogniu i że również ja to mogę robić. Nauczy mnie chodzić po rozżarzonych węglach.

W posępnym barze jednego z tandetnych hoteli przy drodze do Suvy piliśmy piwo South Pacific. Ten mężczyzna, Norman, Amerykanin, urodził się w Kalifornii, ale wyjechał z Ameryki, żeby włączyć się po wyspach Pacyfiku. W latach sześćdziesiątych tak samo jak ja służył w Korpusie Pokoju. Pogadaliśmy o tym, a potem wspomniałem o nieudanej wyprawie na Beqę, gdzie chciałem zobaczyć ludzi chodzących po ogniu.

– Nie masz czego żałować – powiedział Norman. – Chodzenie po ogniu to bułka z masłem.

– Cóż to więc jest, zwycięstwo ducha nad materią?

– Nie, nie, nie – niecierpliwie zaprzeczył Norman, bodaj aż zirytowany moją sugestią. – Czysta fizyka. Człowiek może po prostu chodzić po rozżarzonych węglach. One bardzo źle przewodzą ciepło. Nie trzeba mieć zrogowaciałej skóry ani nic takiego. Po prostu idziesz.

– I przypiekasz sobie stopy.

– Gówno prawda – sarknął. – Możesz wytrzymać żar przez pięć sekund. Powiedzmy, że masz przed sobą trzy i pół metra rozżarzonych węgli. Po prostu idziesz po nich, nawet nie musisz iść szybko. Ty też możesz to zrobić, gwarantuję, że się nie oparzysz.

– Robiłeś to?

– Tak. Wiele razy.

– Rozżarzone węgle?

– Rozżarzone węgle! – krzyknął. – Jak najbardziej rozżarzone węgle!

– Robiłeś to ostatnio?

– Robiłem to w... – tu wymienił nazwę wioski, którą niezbyt dobrze zrozumiałem. – Miejscowi prawie zemdleli, jak na to patrzyli.

– I nie oparzyłeś się?

Norman spojrział na mnie z takim wyrazem twarzy, jak gdybym zadał najgłupsze pytanie na świecie.

– Ale przecież rozżarzone węgle są cholernie gorące – nie ustępowałem. – Można się oparzyć od samego stania w pobliżu.

– Na tym polega tajemnica, rozumiesz – rzekł Norman. – Rozżarzone węgle są znacznie bardziej gorące, kiedy stoisz blisko, niż kiedy po nich chodzisz boso.

– Dlaczego się tym zainteresowałeś?

– Przeczytałem artykuł. „Fizyka chodzenia po ogniu”, coś w tym stylu.

Spojrzał mi z bliska prosto w oczy.

– Każdy może to zrobić – rzekł. – *Ty też* – dodał z naciskiem.

– Przejść boso po rozżarzonych węglach?

– A o czym cały czas mówię!

Jeszcze się nie odważyłem, ale Norman wydawał się tak pewny tego, co mówił, że chcę spróbować.

– **Suva** przypomina mi moją ciotkę, która za dużo piła – powiedziała pewna osiedlona w Fidzi Kanadyjka. – Rozkoszna osoba, chociaż nieco plątały jej się nogi. Ubranie zawsze leżało na niej krzywo i spod sukienki wyłaziło ramiączko halki.

Może i nieco zapuszczona, ale życzliwa, zbiegająca z zielonych gór ku morzu krętymi uliczkami przytulonych do siebie sklepów i sklepików, Suva wydała mi się chyba najprzyjemniejszym i najbardziej ruchliwym miastem portowym na południowym Pacyfiku, odpowiednikiem Honolulu z północnej części tego oceanu. To już okrzepłe, tchnące aurą wygodnej monotonii miasto kusi, żeby w nim zamieszkać, ale nie wydaje się atrakcyjne turystycznie. Nie powstało z myślą o turystach i w rzeczy samej wcale ich nie przyciąga, ponieważ w jego okolicy często pada, od lotniska w Nandi dzieli je przeszło trzy godziny jazdy samochodem, no i nie ma godnych uwagi plaż ani hoteli. Najbliższy ośrodek turystyczny, Pacific Harbour, znajduje się o pięćdziesiąt kilometrów na zachód. Tak czy inaczej turyści unikają Suvy. Fidżyjska atrakcja turystyczna to tydzień lub góra dwa w kurorcie w bardziej suchej części kraju, chociażby w okolicy Nandi, gdzie człowiek wypoczywa w okolonym żywopłotem ośrodku, popija koktajle, gra w tenisa, a jego obcowanie z prawdziwą Melanezją ogranicza się do pogawędek z uśmiechniętymi czarnoskórymi pokojówkami i kelnerami.

– Lubię Fidżi, bo to jedno z niewielu miejsc na świecie, gdzie czarni mnie nie nienawidzą – powiedziała mi w hotelu w Nandi turystka z Los Angeles, co uznałem za najgłupszą pochwałę tego kraju, jaką zdarzyło mi się słyszeć.

Suva jawiła się jako miasto hinduskie nie tylko z powodu mieszkańców, lecz również ze względu na zabudowę i nastrój, zamknięte osiedla, domy czynszowe, boczne uliczki i gorączkową atmosferę bazaru. To pełnokrwiste miasto sklepikarzy i zakorzenionych rodzin, gdzie wszyscy są tutejsi i tak grzeczni, jak to tylko możliwe w Oceanii. W takim mieście turysta czuje się samotny i zagubiony wśród ludzi pochłoniętych swoimi sprawami, pracą, szkołą, rachunkami, znajomymi. W tego rodzaju mieście z łatwością kupimy śrubokręt, dzbanek do parzenia herbaty albo taśmę izolacyjną, ale nie znajdziemy ubrań ani butów w naszym guście. Sami mieszkańcy Suvy jedali w tamtejszych restauracjach, tanich zatem i podających proste potrawy. Cudowna odmiana po tandetnie stylizowanych na wyspę kokosową fidżyjskich hotelach i niejadalnych skutkach pretensji do *nouvelle cuisine* w postaci takich dań jak „*carpaccio* ze strzępiela” (w cenie trzydziestu siedmiu dolarów pięćdziesięciu centów) albo „paluszki z udek sówek na gorącej sałacie” (w cenie czterdziestu pięciu dolarów, dostępność ograniczona).

Suva wyrosła wokół portu nad rozległą zatoką i dzięki handlowi morskemu prosperowała już w czasach, gdy Nandi było ledwie osadą. Nawet dzisiaj Nandi to tylko zapyziałe nieduże miasto – ot, główna ulica i bazar. W Suwie bazar jest ogromny, ruchliwy, hałaśliwy, pełen warzyw, owoców, ryb – i muszli.

– Kup pan muszle, nie znajdziesz pan lepszej okazji – nagabnął mnie hinduski handlarz, puszczając desperackie oko.

Muszle i pamiątki sprzedawały się koszmarnie, ale z zainteresowaniem spostrzegłem, że Hindusi opanowali rynek kawy, chociaż sami w ogóle jej nie pili. Zarabiali niezłą forszę na handlu *yanggona*, sprzedając wiązki utyłanych ziemią korzeni i torebki spreparowanego z nich proszku Fidżyjczykom, których głównym zajęciem było przesiadywanie w kucki wokół naczynia z kawą i raczenie się nią. Kupiłem ze dwa kilo tego towaru – zarówno korzeni, jak i proszku – bo powiedziano mi, że nie znajdę lepszego prezentu, żeby się

odwdzięczyć za przysługę w fidżyjskiej wiosce. Ja daję wam *yanggona*, wy pozwalacie mi rozbić u was obóz.

Podobnie jak w Nandi w Suvie prawie wszystkie sklepy należały do Hindusów i roztaczały taką samą aurę paniki, oblepione wypisanymi odręcznie plakatami, które krzyczały: „Wyprzedaż!”, „Likwidacja!”, „Tniemy ceny!”. Ale mimo że miasto miało wygląd i nastrój prowincjonalnego miasta indyjskiego, to przy bliższym poznaniu okazało się uroczo wielojęzyczne. Ludność indyjska składała się z muzułmanów i hindusów reprezentujących właściwie wszystkie większe prowincje subkontynentu. Mieli społeczność chińską, australijskie franczyzy i resztki brytyjskich instytucji handlowych.

Na chodnikach kłębił się tłum spacerowiczów i kupujących, w którym Hindusi zdecydowanie przeważali nad Fidżyjczykami. Towary w sklepach wydawały się stare i zleżałe i nawet artykuły wolnoćtowe, z których słynie Fidzi, wyglądały cokolwiek podejrzanie i przestarzałe. Po cóż sprowadzać nowości, skoro umowa najmu wkrótce wygasa, a przyszłość jest zagadką? Ceny były tak zróżnicowane, że nie kupiłem niczego prócz mapy Ovalau, wyspy, na którą chciałem popłynąć kajakiem. Jeździłem tam i z powrotem do Natovi, gdzie mógłbym spuścić łódkę na wodę, ale za każdym razem szczyrzył zęby wschodni wiatr. Postanowiłem zrezygnować z wypraw kajakowych, odkładając je do czasu, gdy dotrę na zawietrzne wybrzeże Viti Levu lub na leżącą na północ od niej Vanua Levu, drugą dużą wyspę Fidzi.

W parnych i wilgotnych przerwach między kolejnymi rundami chłodnej mżawki Suva wyglądała żałośnie i życzliwie. Lubiłem wegetariańskie restauracje, bo i gdzież indziej człowiek znajdzie taką strawę w mięsożernej Oceanii? Wizyty w restauracji Hare Krishna przy Pratt Street były i przyjemne, i pouczające, kiedy zajęty jedzeniem smacznych i zdrowych potraw słuchałem utyskiwań Hindusów na Fidżyjczyków. Nic nie mówiłem, ale czułem, że się wzajemnie potrzebują.

Fidzi jako kraj hinduski straciłoby cały urok i zmieniło się w rojowisko skaczących sobie do gardła wrogich sekt. Jako kraj zamieszkały przez samych Fidżyjczyków upodobniłoby się do sennych Wysp Salomona, gościnnych, ale niefunkcjonalnych. Odnosiłem wrażenie, że wielorasowość mu służy, a układ polegający na tym, że miasta są w przeważającej mierze hinduskie, wieś zaś

fidżyjska, nieźle się sprawdził. W tej sytuacji tylko trochę dziwiłem się, że Hindusi nadal chcieli zostać, chociaż nie mieli politycznej przyszłości, okazywano im nienawiść, musieli podlizywać się władzom wojskowym i zadowalać minimalnymi zyskami.

– Zupełny zastój – rzekł smętnie Hindus o imieniu Kishore, po czym spróbował wcisnąć mi za niezłą forszę tandetny zegarek.

Zapewne tętniące krzątaniem ulice błotnistej, klaustrofobicznej Suwy tłumaczyły wszystko. Oto idealna przystań z punktu widzenia Hindusa, miasto w zasadzie hinduskie i żyjące własnym życiem. Suva różni się bardzo od pozostałych miast Fidżi, a nawet od wszystkich innych miast na wyspach Pacyfiku. Na widok tłumów ludzi, solidnych domów, ruchliwych alei i portu przybysz myśli sobie: „O, tak, tutaj da się zarobić”.

W Suwie Fidżyjczycy są w mniejszości, a na mieście, chodząc po zakupy lub coś zjeść, trzymają się w swoim gronie. Od hinduskiego curry wolą chińskie potrawy z wieprzowiną. Nie licząc stoisk na bazarze, w Suwie nie widziałem restauracji fidżyjskich. Kiedy bawiłem w tym mieście, na próżno czekając na poprawę pogody, bo nic tylko lało i wiało, zauważyłem, że Fidżyjczycy jedzący na mieście pochłaniali wielkie porcje taro lub ryżu z tłustym mięsem w zawieszonym sosie. Podobnie jak inni potomkowie dawnych ludożerców – „nawróceni kanibale”, jak mawiają misjonarze – przepadali za konserwową mielonką wieprzową i peklowaną wołowiną.

Kto wie, czy ów apetyt na mięso nie jest główną przyczyną zasadniczych rozdzwieńców z Hindusami. W gruncie rzeczy nie dostrzegałem żadnej wspólnoty kulturowej tych społeczności, a chociaż we wszystkich grupach rasowych w Fidżi istniały frakcje umiarkowane – właśnie koalicja sił umiarkowanych wygrała wybory – to ton nadawali krzykacze żerujący na sprzecznościach i wyolbrzymiający różnice, z jednej strony Hindusi chełpiący się starożytną kulturą, złożoną strukturą rodową, talentem matematycznym, z drugiej zaś Fidżyjczycy z drwiącym uśmieszkiem przypominający tamtym, że to oni byli pierwsi w tym zwartym archipelagu ludożerców i chrześcijan.

Przybywszy z dzikich, ale spójnych społecznie wysp, które oparły się naciskowi kolonistów i obcych i gdzie kwestie rasowe nie miały znaczenia, byłem boleśnie zaskoczony gwałtownością waśni w Fidżi. Swary te



wystawiały na próbę cierpliwość zacnych Nowozelandczyków, którzy święcie oburzeni potępiali apartheid i dzielnie bronili praw człowieka w Afryce Południowej, natomiast nie mieli pojęcia, co począć z waśnią rasową w Fidżi. Stanowiący połowę ludności kraju fidżyjscy Hindusi po stu latach życia w tym kraju cierpieli prześladowania polityczne i stanęli w obliczu wydziedziczenia. A mimo to prosperowali!

„Wracajcie do domu”, mówili Fidżyjczycy Hindusom, którzy od pokoleń mieszkali w Suvie.

**Niektórzy** cudzoziemcy unikają prześladowań, które cierpią Hindusi, a to dzięki temu, że od ręki kupili całe wyspy. Na przykład mieszkańcy Banaby, zbudowanej ze skał koralowych i fosforytów samotnej wysepki oddalonej o kilkaset kilometrów na zachód od Wysp Gilberta i Lagunowych, wzbogacili się na eksploatacji fosforytów, po czym opuścili zdewastowaną przez kopalnie rodzinną wysepkę i sprowadzili się do Fidżi, gdzie kupili leżącą niedaleko od wschodniego wybrzeża Vanua Levu wyspę Rambi. Wcale nie ma wysp Fidżi znajduje się w prywatnych rękach. Malcolm Forbes nabył dla kaprysu Lauthalę, która leży opodal Taveuni, a w północnej części archipelagu Lau cudzoziemcy wykupili przynajmniej sześć wysp. Jedną nabyła japońska sieć hotelowa, drugą australijska kompania eksportowa, trzecią zaś amerykański mesjasz nazwiskiem Jones, który po sprowadzeniu się tam z wyznawcami przyjął imię Baba Da Free John. Pewną liczbę fidżyjskich wysp – spośród przeszło trzystu wchodzących w skład tego kraju – posiadają tajemniczy milionerzy. W trakcie wycieczek kajakowych z północnego wybrzeża Viti Levu nieraz lądowałem na ślicznej małej wyspie tylko po to, żeby zobaczyć tabliczkę z napisem: „Wyspa prywatna. Wstęp wzbroniony”. Ceny fidżyjskich wysepek zaczynają się od półtora miliona dolarów.

W wydanym w 1991 roku katalogu agencji handlu nieruchomościami South Pacific Opportunities w dziale „Całe wyspy, nieograniczone prawo własności” znalazłem między innymi takie oferty z Fidżi:

Wyspa Tivi – 82,5 ha, położona na północny wschód od Labasy na Vanua Levu, piaszczyste białe plaże. 1 500 000 \$

Wyspa Adavaci – 43 ha, wspaniała plaża i przystań, doskonałe miejsce na ekskluzywny ośrodek turystyczny lub rezydencję prywatną. 1 500 000 \$

Wyspa Savasi – 21,5 ha, piękna szata roślinna, dwie wygodne rezydencje, uroczy teren na ośrodek turystyczny. 2 000 000 \$

Wyspa Kanacea – 1214 ha, niedaleko od Vanua Balavu, działająca plantacja kopry, dobre miejsce na duży ośrodek turystyczny. 4 500 000 \$

Dowiedziałem się, że wyspa Mana w archipelagu Mamanuca należy do Japończyków, ale jeżeli mądrze rozegram tę partię, to ją odwiedzę. „Mądre rozegranie partii” oznaczało po prostu wręczenie okazałej sumy pobudliwemu Fidżyjczykowi, właścicielowi niedużego ślizgacza. Nawet nie zamierzałem wypływać kajakiem w trzydziestokilometrowy rejs po zdradliwym morzu przy silnym wietrze i przeszło półtorametrowej fali, natomiast ów Fidżyjczyk w ogóle nie wydawał się stropiony w swojej łupince, nawet gdy mnie się wydawało, że za chwilę pograżymy się w odmętach.

Wbijając motorówkę w strome ściany fal, bynajmniej nie chciał przyznać, że morze jest wzburzone.

– No to kiedy jest wzburzone?

– Jak fale mają przeszło dwa metry! – wrzasnął. – Tym trochę brakuje!

Niemal nurkowaliśmy w dolinach fal, a potem waliliśmy w ich grzbiety z taką siłą, że odpadały rozmaite elementy wyposażenia łodzi. Najpierw na pokład spadł kompas, potem jego uchwyt, w końcu śruby mocujące ławkę. Przez półtorej godziny Mike, omijając rafy i mielizny, przebijał się przez grzywacze i walczył z przeciwnym wiatrem. Na Manę dopłynęliśmy przemoczeni do suchej nitki.

Spodziewałem się ujrzeć ekspozyturę Japonii, pełną maleńkich turystów w kapelusikach z obwisłym rondem, którzy zaferowani pstrykają sobie nawzajem zdjęcia, a zobaczyłem tylko opalonych Australijczyków, już to zażywających poobiedniej drzemki na plaży, już to bawiących się ze swoimi zaiste spalonymi słońcem dziećmi.

– Szkoda, że nie zjawił się pan rano – stwierdził Geoffrey, dyrektor ośrodka. – Gościliśmy liczną grupę japońską. Następna zjawi się jutro.

Geoffrey opowiadał, że raz w tygodniu z Tokio do Nandi przylatuje samolot, po czym turyści przypluwają statkiem na Manę, gdzie czeka na nich około stu niedużych porządnych domów. Mają tam kilka plaż, restauracje –

w tym jedną japońską – i rozmaite obiekty sportowe. Wśród turystów nie brak nowożeńców, którzy na Manie spędzają miesiąc miodowy. W Honolulu regularnie zdarza się, że przerażone obowiązками małżeńskimi młode Japonki rzucają się z okna wysokich hoteli, ale Geoffrey oświadczył, że u niego nowożeńcy nie stwarzają żadnych problemów, a choćby nawet chcieli, to i tak nie zrobią sobie nic złego, rzucając się z okna parterowego domku.

– Przeszkadza bariera językowa? – zapytałem.

– Nie bardzo. Zachęcam personel fidżyjski do nauki japońskiego – odparł. Co kilka miesięcy wysyłał grupę pracowników na kurs japońskiego. W pomieszczeniach obsługi ośrodka na Manie – podobnie jak wszędzie w Fidżi w wypożyczalniach sprzętu i w sklepach dla amatorów nurkowania – stały tablice z wypisanymi kredą japońskimi zwrotami i ich angielskimi (ale nie fidżyjskimi) odpowiednikami. *Konichiwa – hello. Arigato – thank you.* I tak dalej.

Ośrodek na Manie należał do japońskiej kompanii Nichiman, która wdzierzała teren na dziewięćdziesiąt dziewięć lat od właścicieli wyspy, Fidżyjczyków mieszkających w wiosce Aro na wschodnim wybrzeżu. Złożona z krytych płaskim dachem chat z pustaków wioska wyglądała nędznie, ale nie gorzej od każdej innej beztroskiej osady fidżyjskiej. Jedną z klauzul umowy dzierżawy gwarantowała wieśniakom z Aro pierwszeństwo w ubieganiu się o pracę w ośrodku.

Na Manie nie uprawiano ogrodów, nie poszukiwano źródeł słodkiej wody, nie zajmowano się rybołówstwem. Wieśniacy utrzymywali się z czynszu dzierżawnego od Japończyków. Jeżeli łowili ryby, to tylko dla przyjemności.

– Zbieracie deszczówkę z dachów?

– Nie. Wodę przywozimy – odparł Geoffrey.

Dwa razy w tygodniu z odległej o sześćdziesiąt pięć kilometrów Lautoki na zachodnim wybrzeżu Viti Levu przypląwał statek z wodą, którą magazynowano w wielkich brudnych cysternach.

Nie korzystano z energii słonecznej. Elektryczność wytwarzał generator spalinowy napędzany olejem, który również sprowadzano z Lautoki. W rzeczy samej wszystko przywożono – jedzenie, wodę, paliwo, gości, wyposażenie i większość obsługi, ponieważ mało komu z Aro chciało się pracować.

Na Manie kwitło osobliwie sztuczne wyspiarskie życie, całkowicie zależne od statków zaopatrzeniowych, pasażerskich i z rzadka lądujących wodolotów. Niczego nie wytwarzano na miejscu i nawet palmy kokosowe uważano za coś, co tylko przysparza kosztów.

– Jednemu z gości kokos spadł na głowę – opowiadał Geoffrey. – Naprawdę nieźle go zranił. Wysłaliśmy faceta samolotem do Nandi na prześwietlenie. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło. Cholerne kokosy potrafią być śmiertelnie niebezpieczne.

– **Chce pan** poznać gubernatora generalnego? – zapytał mnie w Fidzi pewien mężczyzna, którego powierzchownie znałem.

Miał na myśli gubernatora generalnego Nowej Zelandii, ale i tak podchwyciłem okazję. W Fidzi wieczory mogą się dłużyć.

W trakcie podróży po Oceanii mile zaskoczyła mnie otwartość wszelkiego rodzaju ludzi i łatwość nawiązywania kontaktów. Mogłem poznać praktycznie każdego, kogo tylko chciałem. W Nowej Zelandii pragnąłem porozmawiać z nową gubernator generalną, pierwszą kobietą piastującą ten urząd, *dame* Cath Tizard. Dama ta cieszyła się opinią osoby szczerzej i obdarzonej ciętym językiem. Zasłynęła z tego, że jednego z przeciwników politycznych nazwała „pojebańcem”. Kiedy zażądano przeprosin, odmówiła, twierdząc, że przecież każdy widzi, że to pojebaniec. Wyjechałem z Nowej Zelandii, nie zdążywszy zaaranżować spotkania z panią gubernator, ale akurat zjawiała się w Fidzi, kiedy i ja tam bawiłem. Przyleciała ze Stanów Zjednoczonych na imprezę promocyjną („Wy, Amerykanie, nazywacie to chyba darmością”) organizowaną przez firmę sprzedającą drogą zdrową żywność.

Spotkaliśmy się na kolacji w hotelu opodal Nandi, a oprócz nas do stołu zasiedli mój znajomy Andrew oraz Jock i Helen, małżeństwo, które kilka lat temu przybyło ze Szkocji do Auckland, żeby propagować zdrowy tryb życia. Naprawdę zaciekawiło mnie oddanie Jocka tej sprawie, albowiem palił jednego papierosa za drugim i zanim się spostrzegłem, wydudlił lwią część pierwszej butelki wina.

– Powiada pan, że propaguje zdrowy tryb życia i ćwiczenia fizyczne? – zapytałem.

– Jakie to ma znaczenie, że człowiek umrze w wieku sześćdziesięciu lat, jeżeli umrze z uśmiechem na twarzy? – odparł, nie wyjmując zapalonego papierosa z ust.

– Ja chcę umrzeć z uśmiechem na twarzy w wieku stu dwudziestu lat – rzekłem.

– Cholerni Amerykanie! – zawołał. – Chcieliby żyć wiecznie!

Nie przestałem jednak dręczyć go w sprawie palenia, bo tak się ono kłóciło z jego wywodami na temat zdrowego trybu życia, że wydawał mi się wręcz hipokrytą. Początkowo przeczył, że palenie mu szkodzi. Twierdził, że bardziej się denerwuje, jeżeli nie pali. W końcu jednak skrzywił się, spojrzał na mnie i żałośnie rzekł:

– *Muszę palić. Jestem uzależniony. Nie potrafię przestać. Próbowałem wszystkiego.*

– Amerykanie zawsze się wyżywają na palaczach – stwierdziła *dame Cath Tizard*. – A zauważyli państwo, jakie z nich grubasy? Niektórzy to istne słonie.

– Otyłość szkodzi nie mniej niż palenie – rzekł Jock z rozdrażnieniem.

Temat wydał mi się niefortunny, ponieważ zarówno Jock, jak i *dame Cath* byli tłuściochami, ale najwyraźniej nie uważali się za grubasów i najzwyczajniej w świecie pochłaniali ogromne porcje potraw, dywagując o otyłości Amerykanów. *Dame Cath* nie zwracała większej uwagi na Jocka, a sama mówiła z nowozelandzkim akcentem, który przypomina akcent szkocki.

Miała dziwnie prostackie maniery przy stole. Nabierała jedzenie na widelec, ale zanim uniosła go do ust, nagarniała kciukiem więcej, a po zjedzeniu porcji z widelca oblizywała kciuk. W pewnej chwili odniosłem wrażenie, iż uśmiecha się do mnie, ale bynajmniej się nie uśmiechała. Po prostu skrawek jedzenia utkwiał jej między zębami i nie przestając ze mną rozmawiać, wyszczerzyła się i usiłowała pozbyć się go, dłubiąc w zębach. Wyciągnąwszy ów skrawek, przyjrzała mu się i włożyła do ust.

Jedząc w ten sposób, opowiadała:

– Wiele osób mówiło mi, że zostanę gubernatorem generalnym, ale nie wierzyłam, więc po prostu o tym nie myślałam.

– W jaki sposób zostaje się gubernatorem?

– Ot, tak – odrzekła *dame Cath*. – Decyduje królowa.

Grzebała palcem w buzi, starając się wydłubać spomiędzy zębów włókienکو jagnięciny.

– Odbyło się to właśnie tak, że powiedziano mi, iż królowa pyta, czy zechcę zostać gubernatorem generalnym.

Zlizwała z palca wydłubany strzęp mięsa, po czym jąła zgarniać do czysta resztki z talerza, tak żeby nic się nie zmarnowało. „Kto nie marnuje, temu nie brakuje”, powiadają Nowozelandczycy, którzy pamiętają wojnę.

– O, wiedziałbym, co odpowiedzieć! – zawołał Jock i wznosił kieliszek na cześć nieobecnej Królowej Zjednoczonego Królestwa, Irlandii Północnej, Terytoriów Zamorskich i Wspólnot Narodów, w tym Nowej Zelandii.

– Tak – powiedziałem. – Gdyby królowa zapytała mnie, czy zechcę zostać gubernatorem generalnym, odpowiedziałbym: „Jak Wasza Wysokość rozkaże”.

– Nie było to takie proste – wspominała *dame Cath*, najwyraźniej pragnąc uraczyć nas opowieścią o rozterkach, które przeżywała w obliczu królewskiej propozycji. – Zastanawiałam się przez dwa tygodnie.

– Mnie zajęłoby to dwie sekundy – oznajmił Jock.

– W końcu moja córka nie wytrzymała i krzyknęła: „Nie bądź taką cholernie głupią cipą, mamo, bierz to!”.

Uśmiechnęła się, zachwycona kolejną okazją do opowiedzenia historii swojej nobilitacji, a ja uzmysłowiłem sobie, że mam dość jej próżności i minoderyjnego rozwlekania prostej przecież sprawy. Znowu dłubała w wyszczerzonych zębach.

– Byłam wtedy burmistrzem Auckland – wspominała, a w jej głosie zabrzmiała zadziorna nuta.

– To największe na świecie miejskie skupisko Polinezyjczyków – zauważyłem.

– A i nieszczęśliwych Hindusów z Fidżi, obawiam się – podchwyciła. – Ciągną ich do nas prawdziwe chmary. Ale nie oni są problemem. Miałam inne problemy.

Fakt, chociażby atmosferę skandalu i próby zmuszenia jej do rezygnacji, po tym jak kontrola rządowa wykazała, że prowadzona pod jej auspicjami

budowa centrum rozrywki w Auckland zamiast założonych dwudziestu pięciu pochłonęła sto sześć milionów dolarów. W biednym i gnębionym okrutnymi podatkami kraju była to nie tylko przesada, lecz bezczelność i głupota. Kiedy *dame Cath* dostała propozycję objęcia urzędu gubernatora generalnego, opozycja i krytycy – w tym wielu takich, którzy wcześniej ją popierali – pragnęli upokorzyć panią burmistrz.

– Co ostatecznie panią przekonało?

– Po sześciu latach zarządzania miastem miałam serdecznie dosyć chandryczenia się – powiedziała. – No i gubernator generalny ma zagwarantowaną emeryturę.

Z pewnym zażenowaniem słuchałem, że motywacją do przyjęcia tak zaszczytnej funkcji może być rzecz tak przyziemna jak państwowa emerytura, ale Nowozelandczycy to ludzie praktyczni.

Ni stąd, ni zowąd Jock, który miał już nieźle w czubie, powiedział, że uwielbia Nową Zelandię za rugby.

– Nie cierpię rugby – oświadczyła *dame Cath*. – To gra brutalna, która zachęca do brutalności. To między innymi z powodu rugby mamy w Nowej Zelandii tyle przemocy. Jestem pewna, że rugby – ciągnęła, chociaż nie nadążałem za jej rozumowaniem – jest źródłem wielu gwałtów.

– Urodziłem się w Glasgow – rzekł Jock. – Wiedzą państwo, jak traktują tam gwałcicieli? Ha, w swoim czasie pewien chłopaczyna zgwałcił dziewczynę. Złapali go i przebili mu kolana. Wbili młotkiem trzynastocentymetrowe gwoździe w rzepki.

Umilkł i czekał na reakcję. Odłożyłem widelec. Zaległo milczenie.

– Zaręczam, że już nie gwałci – odezwał się Jock. – Jeździ na wózku.

– Zastanawiam się, jak się czują faceci, którzy to zrobili – rzekła w końcu *dame Cath*, a ja nie miałem wątpliwości, że pomyślała: „Na pewno też dostali za swoje i mają wyrzuty sumienia”.

– Założę się, że czują się świetnie – rzekł Jock.

– Uważa pan, że w Nowej Zelandii powinno się wprowadzić przebijanie kolan? – zapytałem.

– Przebicie kolan to za mało w przypadku niektórych gwałcicieli! – oświadczył Jock.

Tymczasem pani Jock nie odezwała się jeszcze ani słowem.

Temat gwałtów i rugby skierował rozmowę na Afrykę Południową, którą Nowa Zelandia bojkotowała z powodu sposobu wyłaniania reprezentacji. Kiedy zwróciłem uwagę na to, że Nowa Zelandia gra w rugby z Fidżi, które też ma niedemokratyczne władze, reszta towarzystwa spiorunowała mnie wzrokiem, jak gdybym puścił baka w kościele. Ale nikt nawet słowem nie skomentował tej oczywistej obłudy.

– Przeciwnicy apartheidu twierdzą, że bronią wolności – powiedział Jock. – Ja chcę oglądać mecze rugby, ale mi nie pozwalają! Moja wolność się nie liczy?

– To nie jest sprawa wolności – oświadczyła *dame* Cath. – To kwestia sprawiedliwości. Apartheid jest niesprawiedliwy.

– A co pani sądzi o konstytucji Fidżi? – zapytałem.

– To projekt konstytucji – odparła. – Kto wie, co będzie? Powiedział pan, że jest pisarzem? Jakiego rodzaju książki pan pisze?

– Wszelkiego rodzaju – odparłem, chociaż wydało mi się, że *dame* jest już znudzona.

– Właśnie czytam cudowną książkę – powiedziała. – O Johnie F. Kennedym. Niesłychanie pikantna. Kennedy był strasznie rozpustny. No i romansował z Marilyn Monroe!

– Nie cierpię takich książek – oznajmiłem.

– Uważam, że ta ma wartość historyczną – stwierdziła *dame*.

Akurat!, pomyślałem. Irytowało mnie, że ta kobieta, polityk do szpiku kości, obłudnie usprawiedliwia skandalizującą szmirę.

– Ale przyzna pani, że książkę tę czyta głównie z powodu pikantnych szczegółów? – zapytałem bezczelnie. – To panią przyciąga, prawda? Dreszczyk ni to emocji, ni to obrzydzenia, w tym rzecz?

Wygłosiła podniosłą tyradę, że politycy nie stoją ponad prawem i tak dalej.

– Lecz i pani jest politykiem – powiedziałem. – A zanim została pani politykiem, była pani też człowiekiem.

Posłała mi gniewne spojrzenie i oświadczyła, że polityka to jej życie – tak, w każdym razie od czasu gdy została gubernatorem generalnym. Doprawdy



trwożnym podziwem napawało mnie to, jak panowała nad towarzystwem przy stole. To ona najwięcej mówiła i zawsze miała ostateczne słowo.

– A więc pochwała pani tego rodzaju książki jak ta o Kennedym? – zapytałem. – Jak by się pani czuła, gdyby ktoś napisał taką książkę o politykach nowozelandzkich? A czy sama napisałaby pani coś takiego?

– Politycy nowozelandzcy są śmiertelnie nudni. Nawet nie mają życia seksualnego.

– Czy pani mąż nie jest politykiem?

– Rzuciłam go.

– Czytałem, że David Lange zostawił żonę dla kobiety, która pisze mu przemówienia. Co by pani powiedziała, gdyby ktoś napisał książkę o jego libido?

– Co pan rozumie przez „libido”? – zapytała *dame* Cath. – Pieprzenie się z kim popadnie?

– Powiedzmy. Chodzi mi o to, że pani pochwała tego rodzaju książki, tak? To dokument historyczny, tak? Otóż jestem pewny, że zna pani wszelkie grzeszki polityków nowozelandzkich. Czy napisałaby pani książkę o ich wybrykach?

– Nie jestem pisarką.

– Mówię czysto hipotetycznie – rzekłem, usiłując przyprzeć ją do muru. – Wie pani, co w trawie piszczy. Zna wszystkie sekrety. Przepada pani za książkami zdradzającymi tajemnice alkowy. Pytam więc, czy byłaby pani gotowa puścić farbę i napisać tego rodzaju skandalizującą książkę, jakie lubi pani czytać?

Ubodło ją. Pokręciła się, pomamrotała, ale koniec końcem znowu zaczęła swoje:

– Gdybym uznała, że to pomoże... – bla, bla, bla.

– A co gdyby ktoś wyciągnął na jaw pani sekrety?

– Wolno mu – rzekła.

Ostatecznie wydała mi się raczej głupia, płytka, pozbawiona wyobraźni, a przy tym apodyktyczna, próżna i cwana, a jeżeli pryncypialna, to w samolubny i wścibski sposób. No i była w każdym calu Nowozelandką, zaiste godną wyróżnienia przez Jej Królewską Mość.

W ciszy, która zaległa po skończonym posiłku, *dame* Cath podciągnęła spódnicę i niby bez związku, delektując się wspomnieniem jednego z tryumfów politycznych, solennym głosem gubernator generalnej oświadczyła:

– W swoim czasie nazwałam pewnego faceta pojebańcem. Oczywiście nie przeprosiłam. Albowiem *naprawdę* był pojebańcem.

## rozdział\_trzynasty\_

### **Fidżi: Vanua Levu i wysepki w zatoce Bligh Water**

**Na Viti Levu** nie sposób uniknąć spotkań z turystami. Nie traciłem jednak nadziei, że znajdę miejsca ustronne, bardziej dzikie, puste, pozbawione golfistów. Tak, w zapadłych zakątkach wyspy trafiają się rozpadliny porośnięte ciemnozieloną dżunglą, ale cóż to za dżungla, gdzie po kilku godzinach wędrówki człowiek natrafia na uczującą pod drzewem hinduską rodzinę? Osiemnaścioro, przytelepali się w to miejsce bocznymi drózkami samochodem, zostawiają po sobie puste butelki po sokach owocowych, skórki pomarańczy, opakowania po ciasteczkach – a czasem kości kurczaka. Tak, tak, niektórzy Hindusi, zwłaszcza w Fidżi, po kryjomu obżerają się mięsem, na podobnej zasadzie jak amerykańskie nastolatki paliły zakazane papierosy.

Dowiedziałem się o promie kursującym z północnego wybrzeża Viti Levu przez trzydziestokilometrową cieśninę zwaną Bligh Water na o wiele bardziej pustą i podobno dziwną wyspę Vanua Levu.

– Na Vanua Levu nie ma turystów – powiedział mi w Nandi pewien Hindus. – Za daleko i zbyt prymitywnie.

*Doskonale.* W którąś kolejną martwą fidżyjską niedzielę, zabrawszy składany kajak i resztę ekwipunku, pojechałem tam, przystając po drodze w Lautoce na curry i z czystej ciekawości w północno-wschodnim mieście Mba na nabożeństwo w kościele metodystycznym. Wierni wypełniali świątynię, wielu pokasływało i wierciło się, a podczas długiego kazania w języku fidżyjskim niektórzy przysypiali, chociaż kaznodzieja grzmiał wielkim głosem. Ubrany w tradycyjną spódnicę *sulu* uśmiechnięty Fidżyjczyk chodził wolno przejściem pomiędzy ławkami i długą tyczką szturchał śpiochów, żeby ich obudzić.

W Rakiraki na północy Viti Levu odwiedziłem grób dziewiętnastowiecznego wodza tych terenów – dzisiejszej prowincji Ra –

Ratu Udre Udre, który wsławił się zjedzeniem ośmiuset osób. W pobliskim hotelu pijany Australijczyk na widok mojej składanej łódki uznał mnie za agenta CIA. Wydało mi się to najzupełniej rozsądnym domniemaniem, więc nie zaprzeczyłem. Wieczorem, jeszcze bardziej pijany, fałszując straszliwie, śpiewał w hotelowym barze, podczas gdy zachodzący na werandę Fidżyjczycy spoglądali ukradkiem przez szybę i wyśmiewali się z niego. W miasteczku roiło się od agresywnych i histerycznych psów, które żarły się między sobą przez całą noc i ujadaniem budziły koguty.

Rankiem pojechałem na Ellington Pier, przystań promu, zdewastowaną platformę w pobliżu cukrowni. W błękitnej dali majaczyła Vanua Levu. Od pracownika cukrowni dowiedziałem się, że bilet kupię w pobliskim miasteczku Vaileka. Sprzedawca biletów powiedział, że prom przybędzie w południe i że mogę zabrać mój wypożyczony samochód.

Leżąca na północnym krańcu Viti Levu Vaileka ma wąską główną ulicę i jeden ciąg sklepów. W tamten upalny dzień kurz wiszący nad miasteczkiem zdawał się płonąć. W sklepach i na odkrytym bazarze – ot, ze dwudziestu sprzedawców owoców przycupniętych pod ogromnym figowcem – kupiłem zaopatrzenie na tydzień. Miasteczko nie wyglądało najgorzej, ale było malutkie, emanowało zniechęceniem, senną atmosferą rubieży i z powodu ciszy, w której prawie nic się nie poruszało, wydawało się oderwane od świata. Życie jest gdzie indziej.

Właśnie takie odniosłem wrażenie. Inny świat. Przed wyjazdem z Londynu utrzymywałem kontakt z Salmanem Rushdiem – pisałem do niego, on dzwonił, współczułem mu. Uważałem go za przyjaciela i boleśnie odczuwałem jego osaczenie, swoisty areszt domowy. Radziłem mu, żeby wyniósł się do jakiegoś zapadłego miasteczka w Meksyku, w Ameryce Południowej, Australii albo na wyspach Pacyfiku. Nawet wspomniałem Fidzi. W takim miejscu byłby bezpieczny, byłby wolny i mógłby pisać.

– Słyszeliście o Salmanie Rushdiem? – pytałem muzułmanów w zapadłej Vailece.

– Tak – odparł jeden z nich. – Musi umrzeć.

– Rushdie to diabeł – rzekł drugi.

W Vailece widziałem dwójki mormonów, co dowodziło, że wcale nie jest to miasto tak melanezyjskie, jak się wydawało.

Wróciwszy na przystań, czekałem na prom. Jaszczurki śmigają po palach. Pojawiały się i odlatywały drapieżne ptaki. Ryby wyskakiwały nad wodę. Wybiło południe, ani śladu promu. Przez tranzystor wysłuchałem wiadomości o wojnie w Zatoce. Kolejne naloty, bez operacji lądowej, wielkie obawy, że Irak użyje broni chemicznej.

Hindus łowił z pomostu ryby.

– Gdzie prom? – zapytałem.

– Jemu odjechać gotowy. Dziesięć gadzina.

Cholera, zakląłem w duchu, ale próbując wydobyć coś więcej z rybaka, odniosłem wrażenie, że nie rozumie po angielsku. No i podśpiewując pod nosem, zaczął się wspinać na zbutwiałe pale pomostu, więc pomyślałem, że może być szurnięty.

Pojawił się drugi Hindus, wręcz czarny od słońca. Ten pogwizdywał przez szparę między zębami. Zapytałem o prom, który miał odpłynąć w południe. Dochodziła druga.

– Czas Fidzi – rzucił Hindus.

Często słyszało się taką odpowiedź i wcale nie była ona złośliwa. Ludzie na ogół śmiali się z opóźnień i niepunktualności. Zwykle znaczyło to, że po prostu trzeba czekać.

W końcu na horyzoncie ujrzałem ciemną smugę, która zamieniła się w znamienne niezgrabny, zbyt ciężki u góry prom o białym kadłubie upstrzonym rdzawymi zaciekami. Typowy prom wysp Pacyfiku, aż po wysmarowane sadzą pokłady, zdezelowane wyposażenie i piękną nazwę – namalowaną na chińskich znakach, albowiem te promy są zwykle wysłużonymi jednostkami hongkońskimi i tajwańskimi, które zamiast oddać na złom, chytrze sprzedawano biedakom z wysp kokosowych.

Ten, który wtedy ujrzałem, nazywał się Princess Ashika. Zacumował, z dolnego pokładu wyłoniło się sześć ciężarówek wyładowanych kłodami drewna i odjechało odchodzącą od pirsu gruntową drogą. Wjechałem na prom. Byłem jedynym pasażerem. Po kwadransie wypłynęliśmy w morze, nie tracono czasu.

Pod bezchmurnym niebem Princess Ashika parła przez zatokę Bligh Water pod wiatr wiejący z prędkością trzydziestu węzłów. Czując na twarzy ów stały wschodni wiatr dmuchający w tej części Pacyfiku, człowiek zaczyna rozumieć fantastyczne tempo epickiego czterdziestoośmiiodniowego rejsu, który po buncie na Bounty odbyli łodzią ratunkową kapitan Bligh i osiemnastu jego marynarzy. Fletcher Christian wysadził Bligha i wiernych mu marynarzy opodal wyspy Tofua w Tonga, skąd popłynęli właśnie między wyspami Viti Levu i Vanua Levu. Kapitan Bligh jako pierwszy Europejczyk sporządził mapę tej części Viti Levu. Płynęli dalej, przez Morze Koralowe, wzdłuż Queenslandu, wokół przylądka Jork, przez Cieśninę Torresa, by w końcu znaleźć bezpieczne miejsce do lądowania w Kupang na Timorze. Odkrytą łodzią Bligh przepłynął sześć i pół tysiąca kilometrów, a jego towarzysze niemal cały czas trzęśli się ze strachu przed ludożercami. Ten strach był całkowicie uzasadniony. Kiedy przepływali w tym miejscu, w ślad za nimi ruszyło kilka kanu wypełnionych zjadłymi Fidżyjczykami, które udało im się zgubić dopiero czterdzieści kilometrów dalej, za wyspami Yasawa.

Płynąc tą drogą, Bligh obserwował wyspy i opisywał w dzienniku pejzaże, pisząc między innymi o „górach jak grzebień koguta”. Nadzwyczaj udatne porównanie. W rzeczy samej widziałem wysokie, zielone góry o wielu szczytach, zaokrąglonych jak płatek ucha. Chmury zbierały się w górnych partiach starych wulkanów w głębi lądu, natomiast wybrzeże jaśniało w słońcu, a kiedy patrzyłem na północne, niezwykle przecież spokojne krańce Viti Levu, i tak rzucało mi się w oczy, że to wyspa zajęta. Nawet jeżeli od tej strony nie wydawała się ludna, to od razu się poznawało, że jest od dawna zasiedlona. Uprawiana i wylesiona. Krótko mówiąc, zagospodarowana.

Miałem nadzieję, że Vanua Levu okaże się bardziej dzika. Prom zmierzał do małej przystani na południowo-zachodnim cyplu wyspy, Nabouvalu. Nikt, z kim rozmawiałem, nie wiedział nic o Nabouvalu, co bardzo podnosiło mnie na duchu.

Prom, którym płynąłem, służył głównie do transportu drewna na Viti Levu, a że byłem jedynym pasażerem, to w trakcie rejsu załoga nie miała wiele do roboty. Obsługa zasiadła na połamanych ławkach w pomieszczeniu na górnym pokładzie i oglądała wideo. Fabuła kostiumowej ramoty, niby to opowieści

o bandzie piratów poszukujących skarbów na Karaibach, była jedynie pretekstem do pokazywania seksu i przemocy – dwóch gwałtów, skatowania kobiety, prawie gołych biustów, pozorowanego stosunku analnego (w wykonaniu pirata i piersiastej, dyszącej kobiety w zadartej sukni balowej) i wielu scen biczowania. Istotną rolę odgrywały lochy i szczury. Fidżyjscy marynarze rechotali, patrząc na gwałty, a biczowanie tak ich pochłonęło, że zapomnieli o obowiązkach i gdy przyszło do cumowania, z krainy fantazji wyrwał ich dopiero wściekły kapitan.

Gdyśmy przybijali do brzegu, słońce zachodziło za Coconut Point. Całe Nabouvalu dało się ogarnąć jednym spojrzeniem. Ot, pirs, dwa sklepy, kilka rozrzuconych chat i kamienista droga. Nic dziwnego, że nikt nie miał nic do powiedzenia o tej miejscinie. Bo i cóż można rzec? Jazda po ciemku taką podłą drogą nie miała sensu, więc zapytałem przechodzącego Fidżyjczyka, gdzie mogę przenocować. Skierował mnie do hoteliku, który zwali Rest House. W parterowym domku nie było wolnych miejsc, ponieważ zajmowało go trzech czy czterech Fidżyjczyków, a jeden z nich, potężny facet w spódnicy, który nazywał się Jone Kindia, powiedział mi, że jedynym naprawdę bezpiecznym miejscem biwakowym jest osiedle jego pracowników. Zaprowadził mnie, tłumacząc po drodze, że Fidżyjczycy zachowują się śmiesznie, jeżeli chodzi o obozowanie na ich ziemi. Traktują podejrzliwie obcych, którzy pojawiają się bez uprzedzenia i pytają, czy mogą rozbić namiot.

– Zastanawiają się, jak długo ktoś taki zamierza zostać – mówił Jone. – Może chce siedzieć przez lata. Tego się boją.

– Ja chcę zostać tylko kilka dni – zaręczyłem.

– A skąd mogą to wiedzieć?

– No, rzeczywiście.

Osiedle pracownicze znajdowało się na polanie na stoku wzgórza za Nabouvalu. Stało tam kilka nędznych chat, drewniany dom służący jako biuro i niedokończony budynek, gdzie dzień i noc wokół misy przesiadywali miejscowi Fidżyjczycy, popijając kawę. Trunku tego nie nazywali jednak kawą ani nawet *yanggona*. Nazywali go grogiem.

– Gdzie Masi? – zapytał Kindia kobietę w polu.

Wymamrotała coś.

– Pije grog – przetłumaczył Kindia.

Masi siedział z Yoakinim przy misie i obydwaj mieli ów głupekowato rozanielony wyraz twarzy, jaki widzi się u amatorów kawy. Amatorzy kawy nigdy nie są agresywni. Wydają się półprzytomni, niczym ofiary hipotermii albo pacjenci, których właśnie ściągnięto z fotela dentystycznego. Człowiek znajdujący się pod wpływem kawy jest słaby i uległy, szepcze, chwieje się, kiedy próbuje stać prosto. Kawa działa jak chloroform. Wyrażenie „kompletnie znieczulony” pasuje o wiele lepiej do amatora kawy niż do pijaka. A skoro kawa odrętwia usta i język, to od ludzi nią upojonych nigdy nie usłyszy się ostrego słowa.

– Może pan mieszkać w mojej *bure* (chacie) – rzekł Yoakini.

– Naprawdę nie trzeba. Mam namiot.

Masi nadal uśmiechał się głupekowato. Spojrzał na mnie spod ciężkich powiek i rzekł:

– Nie chodź na plażę.

Kindia warknął coś niecierpliwie.

– Nigdy nie chodź na plażę – powtórzył Masi. Wstał i chwiał się.

– Dlaczego?

– Alfred Hitchcock tam jest – powiedział Masi i przestał się uśmiechać.

– Powiedział pan: „Alfred Hitchcock”?

Nieborak tylko gapił się na mnie.

Rozbiłem namiot z dala od palm kokosowych i pośpiesznie zjadłem kolację. Była gwiazdzista, bezksiężycowa noc. Zanim się położyłem, zjawiał się Masi. Postał, chwiejąc się na boki, zanim się odezwał.

– Pamiętaj, na plaży jest Alfred – rzekł, a potem zataczając się, odszedł w ciemność.

**Yoakini** służył w fidżyjskiej armii. Nie wiedział, ile dokładnie ma lat, oceniał, że około dwudziestu ośmiu. Powiedział, że jest saperem, inżynierem wojskowym. Zajmował się robotami stolarskimi. Bardzo czarny, o gęstych włosach i sumiastym wąsie, mocarnie zbudowany wyglądał niczym forteca.



Przyznał, że każdego wolnego wieczoru pije kawę. Pokazał mi, skąd czerpać słodką wodę, gdzie mogę wziąć prysznic i gdzie jest najlepsza latryna.

Był nieśmiały, ale nie bojaźliwy i pomimo małomówności odpowiadał na moje wścibskie pytania. Kiedy wspomniał, że w 1987 roku, podczas puczu i wywołanych nim zamieszek służył w Suvie, zapytałem, czy czuł podniecenie w samym środku swego rodzaju wojny domowej na rodzinnej wyspie (pochodził bowiem z wioski na Viti Levu), gdy Fidżyjczycy łupili i palili hinduskie sklepy.

– Tak, to było podniecające – odparł. – Bardzo podniecające.

– Jeździł pan za granicę? – wypytywałem.

– Dwa razy byłem w Libanie.

– W Libanie? – zdziwiłem się.

– W siłach pokojowych. W 1982 i 1984 roku – odparł. – Byłem w Kairze, w Bejrucie i w południowym Libanie. Odwiedziłem Izrael. Podobało mi się.

– Nie bał się pan? Tam jest taki straszny kocioł.

– Nie. Najgorsza jest pogoda. Bardzo gorąco w dzień. Bardzo zimno w nocy.

– Miał pan grog?

– Od czasu do czasu przywozili *yanggona*, korzenie. Ucieraliśmy je i piliśmy w namiotach. Trochę zachowaliśmy na Boże Narodzenie. W Libanie mieliśmy dobre Boże Narodzenie, pijąc grog.

– Co pan myśli o sytuacji w tamtym regionie?

– Kompletny bajzel. Nie wiem, jak to rozwiązać. Służyłem na Synaju. Arabowie prosili o jedzenie, Żydzi byli ciekawi, skąd jesteśmy. A potem pytali, gdzie leży Fidzi.

Yoakini roześmiał się na wspomnienie o tym, ubawiony ignorancją Żydów, rozgoryczonych i zdezorientowanych cywilów mieszkających na skraju pustyni.

– W Fidzi uczymy się geografii. Wiemy, gdzie leżą kraje świata. Wiemy, gdzie leży Izrael.

– Na Synaju zajmował się pan stolarką?

– Nie. Na Synaju dali mi broń – rzekł Yoakini.

– Czy to nie głupie, że Fidżyjczyk ryzykuje życiem na Bliskim Wschodzie z powodu lokalnego konfliktu?

– Być może. Ale płacili dobre pieniądze – stwierdził. Powiedział, ile zarabiał. W przeliczeniu jakieś dziewięćdziesiąt dolarów miesięcznie.

– I jesteście gotowi ryzykować życie dla takiej sumy?

– Nie wiem – rzekł. – Zginęło tam trzydziestu Fidżyjczyków, od kuli, w wypadkach, od chorób. To bajzel.

Później skądinąd dowiedziałem się, że również podpułkownik Steve Rabuka służył dwukrotnie na Bliskim Wschodzie, w tych samych miejscach co Yoakini, czyli w Libanie i na Synaju.

Zapytałem Yoakiniego, czy pojechałby walczyć w Zatoce Perskiej. Odparł, że tak, gdyby wysłano tam armię fidżyjską i gdyby płacono dobre pieniądze – a więc pewnie owe dziewięćdziesiąt dolarów miesięcznie. Słyszałem, że żołnierze fidżyjscy zapisali chlubną kartę podczas II wojny światowej. Przejawiali fundamentalne cnoty wojskowe wyniesione z czasów kolonialnego panowania Brytyjczyków. Waleczni, wierni, obojętni politycznie, niewrażliwi na złą pogodę i gotowi zjeść wszystko. Robili, co im kazano. Prawdziwi zawodowcy. Walczyli dla pieniędzy. Idealni najemnicy, nienadający się na komandosów czy janczarów, ale niezmordowani i bitni żołnierze liniowi.

Podarowałem Yoakiniemu wiązkę korzeni *yanggona*, a on zaprosił mnie na grog. Wiedząc, że odmowę poczytałby za obrazę, wieczorem zasiadłem z nim przy misie do sporządzania grogu, którą zwą *tanoa*. To naczynie dwa razy większe od salaterki, drewniane i pięknie rzeźbione. Właśnie te misy były jedynymi kunsztownymi okazami rękodzieła, jakie widziałem w Fidzi.

Zdrewniałymi ustami i drętwym językiem wymamrotałem, że najbardziej zależy mi na wycieczkach kajakowych.

– Ale gdzie się pan zatrzyma?

– Och, poproszę kogoś w najbliższej wiosce.

– Lepiej, żeby pan został tutaj.

Kiedy powiedziałem, że mam składany kajak, więc mogę wracać z nim do tego obozu – co mi usilnie zalecał – pokazał mi dobre miejsce do wiosłowania leżące za Solevu Point, kawałek na wschód od miasteczka. Przy brzegu woda była płytka i mulista, ale za rafą mogłem wiosłować swobodnie.

Uzmysłowiłem sobie, że właśnie tego brakowało mi na Viti Levu. Fidżyjskie ośrodki turystyczne są ładne i przyjemne, ale zamknięte, oddzielone od świata murem, więc spędziwszy w nich choćby i dwa tygodnie, człowiek nie ma pojęcia o prawdziwym Fidzi. Nawet osoby od dawna mieszkające w Fidzi mówiły mi, że nigdy nie były na Vanua Levu. Na zachodnim wybrzeżu tej wyspy nie ma gdzie się zatrzymać, opowiadały. Nie ma restauracji. Nic tylko dżungla i rozrzucone wioski. Plaże muliste i zarośnięte mangrowcami. Ludzie prości i podejrzliwi. Drogi przerażające.

Była to muzyka dla moich uszu. I te opowieści o Vanua Levu się sprawdziły. Miałem wszakże namiot, kuchenkę, prowiant i łódkę. Miałem nawet samochód, więc mogłem taszczyć bambetle dosłownie wszędzie. Tymczasem jednak za dnia urządzałem wycieczki kajakowe, eksplorując rozległą zatokę i jej wrzynające się w ląd zakątki na zachód od Nabouvalu, a na noc wracałem do namiotu w osiedlu Kindii, które stało się moją bazą.

Po zapadnięciu ciemności nieraz do późnej nocy słyszałem, jak wieśniacy ucierają w wielkich drewnianych moździerzach korzenie *yanggona*. Owo dudnienie niosło się nieustannie niczym odgłos przenośnej pompy, a tłuczkami pracowały zawsze kobiety. Fidżyjska metoda robienia kawy różni się od techniki stosowanej w Vanuatu. W Fidzi utarte w moździerzu korzenie zalewa się wodą, po czym przez ściereczkę wyżyma się z nich do miski odurzający napój.

– My nie żujemy – oświadczył Masi.

Teraz już wiem, że ludzka ślina reaguje z substancjami zawartymi w korzeniu pieprzu odurzającego i że dzięki temu powstaje mocniejszy napój. Kawę robioną na Tannie nazywano „dwudniową” właśnie dlatego, że kilka skorupki tego specyfiku odurzało na dwa dni.

Dawniej w Fidzi grog przyrządzały z przezutych korzeni wiejskie dziewczęta. O tak, o wiele bardziej podobałoby mi się, żeby korzenie kawy na napój dla mnie przeżuła powabna i uśmiechnięta fidżyjska dziewczyna, niż żeby uczynił to brudny, zaśliniony wieśniak ciamkający czarnymi pieńkami zębów. Ale jak autorytatywnie rzekł Masi – w Fidzi już nie żują. Odejście od tradycji przeżuwania korzeni kawy jest na wyspach Pacyfiku niezawodnym znakiem oddziaływania misjonarzy, albowiem z punktu widzenia Europejczyka nie ma

nic bardziej obrzydliwego niż picie śliny bliźniego. Właśnie misjonarze zachęcali do używania mózdzierzy i tłuczków.

Jednostajne dudnienie tłuczków ucierających kawę kołysało mnie do snu. Pewnej nocy w tamtym obozowisku śnił mi się powrót do domu. Tak w każdym razie myślałem w owym śnie, ale nie wróciłem do prawdziwego domu. Aleją wiodącą przez uroczy park zbliżyłem się do pięknej rezydencji, która z zewnątrz wyglądała nadzwyczaj spokojnie, ale gdy wszedłem przez kunsztownie zdobione drzwi, okazała się zatłoczona i hałaśliwa. Otoczył mnie wianuszek jazgoczących kobiet, które kiedyś były moimi żonami. Dołączyła do nich czereda dzieci, a wszystkie były jakoby moimi pociechami. Wracałem z dalekiej podróży i zrozumiałem, że podczas mojej nieobecności zarówno żony, jak i dzieci w jakiś sposób się rozmnożyły. Wszyscy jedni przez drugich opowiadali, jak świetnie się bawili. Umknąłem stamtąd do parku, a przystanąwszy przy basenie, zobaczyłem, że pływają w nim niebieskawe bryły lodu.

**Jone** Kindia piastował godność *roko*, czyli szefa miejscowego oddziału Rady do spraw Fidżyjskich<sup>[39]</sup>. Pod tą szumną nazwą kryła się instytucja zajmująca się głównie rozstrzyganiem lokalnych sporów. Spadło to na barki Jone'a. Służył jako rozjemca. Codziennie rano w wykrochmalonej koszuli, portfelowej spódnicy z gabardyny i w lśniących sandałach maszerował do biura. Na werandzie drewnianego bungalowu, w którym urzędował, czekało dziesięciu interesantów, których skarg Jone kolejno wysłuchiwał. Na ścianach gabinetu wisiały litografie ukazujące koronacje monarchów brytyjskich, Jerzego V i Jerzego VI, a także portrety tych królów. Jone wyjaśnił, że te obrazy pochodzą z czasów kolonialnych, kiedy w tym gabinecie urzędował Anglik. Jone nie zdjął ich, bo uważał je za bardzo ładne, no i patrząc na nie, chociaż na chwilę odrywał myśli od nużących obowiązków. Twierdził, że czasem rozstrzygnięcie jednego sporu zajmuje mu wiele dni lub nawet tygodni.

– Co to za sprawy?

– Spory o ziemię. Te są najgorsze – rzekł i przygładził wąsy. – Ciągną się bez końca i nieraz naprawdę trudno znaleźć rozwiązanie.

Fidżyjczycy są silnie związani z ziemią. Oczywiście wszyscy mieszkańcy wysp Pacyfiku są silnie związani z ziemią. Dziedziczą prawo własności ziemi, ziemia jest ich majątkiem, a Melanezyjczycy uważają ziemię za swą rodzicielkę, siłę, która ich stworzyła. „Wyszliśmy z jaskiń Kaiboli”, mawiają na Trobriandach. Wyspiarze znają każdą piędź swojej ziemi, a że jest ona majątkiem rodzowym, została zwykle bardzo rozdrobniona, co czyni z niej dobro niesprzedawalne. Nie sposób bowiem sprawić, aby wszyscy właściciele zgodzili się ją sprzedać. Jeżeli nieopatrznie rozbijecie namiot na niezamieszkaną wyspę, niechże Bóg ma was w opiece! Ktoś bowiem jest właścicielem tej wyspy i to, że na niej biwakujecie, poczyta za dowód, że chcecie mu ją zabrać. Właśnie przywiązanie Fidżyjczyków do ziemi nastawia ich wrogo wobec Hindusów. Fidżyjczycy nie martwią się tym, że staną się mniejszością we własnym kraju – fakt faktem, że Hindusi przewyższyli ich liczebnie już w 1946 roku. Naprawdę boją się tylko tego, że ci obcy poganie zabiorą im ziemię.

– Ta plaża jest moja – oświadczył mi Fidżyjczyk na wybrzeżu opodal Nasavu. – Przejdzie pan dwa łańcuchy i znajdzie się na plaży Tumasiego. Trzy łańcuchy i jest pan u Aleiego.

W Fidżi często posługują się tą starą angielską miarą. Jeden łańcuch równa się sześćdziesięciu sześciu stopom (czyli dwudziestu metrom). Dziesięć łańcuchów kwadratowych to akr (0,4 hektara).

Jone, Masi i Yoakini roztaczali nade mną opiekę, która mnie zadziwiała i drażniła. Rozumiałem, że starają się ustrzec mnie przed nieporozumieniami, ale uważałem, że potrafię sam zadbać o siebie. Czyż nie radziłem sobie w Vanuatu i na Wyspach Salomona, które uchodzą za o wiele dziksze od Fidżi?

Moi samozwańczy opiekunowie zawsze chcieli wiedzieć, dokąd się wybieram. Znajdowałem jakieś potencjalnie ciekawe miejsce na mapie i mówiłem na przykład:

– Jadę do Wailiki.

Jone albo ktoś inny z osiedla pytał:

– Gdzie się pan zatrzyma?

– Rozbiję namiot. Poproszę o pozwolenie.

Milczeli albo szwargotali coś między sobą.

– Lepiej, żeby pan został tutaj.

– Chcę jechać do Wailiki.

Zaczynali się śmiać, co znaczyło, że niełatwo dostać się do Wailiki. W Fidżi śmiech służy między innymi do wyrażania złej wiadomości, że coś jest niemożliwe.

– Ktoś z panem pojedzie.

– Chcę jechać sam. Dlaczego ktoś miałby mi towarzyszyć?

– Żeby pana przedstawić.

– Czy nie mogę sam się przedstawić? Dam im trochę *yanggona*.

Zostały mi jeszcze trzy wiązki utyłanych w ziemi korzeni cholernego ziała.

– Tak? – mówili, mając na myśli „nie”.

Nie droczyli się ze mną i wkrótce się przekonałem, że ich obawy były uzasadnione. W trzech wioskach zadano mi to samo zaczepne pytanie:

– Jest pan biznesmenem?

Tak, na mój widok tubylcy od razu podejrzewali, że przybywam po to, żeby ich wyślizgać z ojcowizny, podczas gdy ja chciałem tylko postawić namiot i popływać kajakiem.

Pływałem wzdłuż wybrzeża i w Sawani, w Solevu i w innych nadmorskich wioskach stawałem przed obliczem *yaganga ni koro*, czyli „pana wioski”, wodza czy naczelnika (*yaganga* oznacza również wszechmogącego Boga). Mówiłem, że mam wiadomość od *roko*. To w pewnej mierze przełamywało lody. Nie przywykli do podróżników. Tylko o nich słyszeli.

Krzywili się, uśmiechali, co jest wyrazem dezaprobaty, i mówili:

– Nieładnie tutaj. Nawet nie jest czysto. To biedna wioska. Lepiej niech pan jedzie dalej i znajdzie lepsze miejsce.

– Nie mogę postawić namiotu tutaj?

Ich konsternacja zdawała się mówić: „Po cóż miałby pan to robić?”.

Kiedy w końcu biwakowałem, nie potrafiłem zostać dłużej niż jedną noc. Podejrzliwość i niepokój krajowców kompletnie mnie rozstrajały, chociaż muszę dodać, że w gruncie rzeczy byli mili, grzeczni, spokojni i bardzo uczynni w stosunku do siebie nawzajem.

Samo spotkanie z tubylcami mogło wszakże dostarczyć silnych wrażeń. Pewnego dnia po przewiosłowaniu kilku kilometrów wyszedłem na brzeg

i zobaczyłem mężczyznę o bujnej czuprynie i kobietę. Kobieta tuliła w ramionach psa niczym dziecko. Mężczyzna nosił brudną koszulkę ozdobioną sloganem: „Nibble Nobby’s Nuts” [Chrupiemy orzeszki Nobby’ego]. Miał zabójczo wyglądający nóż, przeszło półmetrowy kordelas. Obydwoje byli bardzo brudni i wydawali się zaniepokojeni.

– Gdzie jest Nakawakawa? – zapytałem. Według mapy ta wioska powinna być tam, gdzie wylądowałem, ale jak okiem sięgnąć nie widziałem chat.

– Właśnie tutaj – odparł mężczyzna.

– Dojdę tą ścieżką?

– Chce pan tam iść?

– Tak.

– Tak?

– Jeśli wolno. – W obliczu faceta z takim tasakiem w ręku wolałem być ostrożny. – A jeśli nie, to odpłynę.

– Tak – powiedział, a ja pomyślałem, że owo „tak” znaczy w istocie: „Właśnie to szczerze bym ci radził, bracie”.

A potem ni stąd, ni zowąd ten facet zapytał, czy zechcę z nim korespondować, żeby podszlifował swój angielski. I to też było typowe.

Nieco dalej na północny wschód dopłynąłem do zatoczki, nad którą stał duży, podobny do katedry kościół, zbudowany z drewna i szarego gipsu. Na podwórku kościelnym koń skubał trawę, a za kościołem widziałem zabudowania szkoły. Nigdzie jednak żywego ducha. Wślizgnąwszy się do kościoła, zobaczyłem, że w wielkiej nawie, gdzie w powietrzu wirowały drobinki kurzu, nie ma ławek, lecz tylko maty rozpostarte od ściany do ściany, a nad ołtarzem zawieszono wyimki z Ewangelii w języku fidżyjskim.

W drewnianym budynku obok znalazłem dwóch Fidżyjczyków, którzy siedzieli na podłodze. Siedzieli w pokoju, w którym stały krzesła i który wyglądał na gabinet czy biuro, ale ci mężczyźni pili kawę. Rzeczą nie do pomyślenia jest oddawanie się tej czynności, siedząc na krześle. Trzeba siedzieć po turecku przy misie.

– Co robicie?

– Pijemy grog.

Musieli zacząć wcześnie. Dochodziło wpół do dziesiątej rano, a obydwaj byli już niezłe znieczuleni i mieli ów nieobecny wyraz twarzy amatora kawy, który wychylił dziesięć skoruppek.

– Gdzie jest ksiądz?

– Na konferencji księży w Savusavu.

Zrozumiałem, że znajdujemy się w gabinecie księdza, że to jego biurko, jego papiery, jego krucyfiks. Ustronne pomieszczenie, idealne do picia kawy.

– Jak miło – powiedziałem, patrząc na większego z mężczyzn, który skorupką kokosa mieszał mętny i bury płyn w misce. Ta barwa pomyj wydawała się najzupełniej standardowa, ani lepsza, ani gorsza od barw innych kav, które przedtem widziałem.

Mężczyzna napełnił skorupkę i poczęstował mnie.

Znałem już zasady rytuału. Usiadłem, cicho klasnąłem w ręce, gdy mężczyzna podawał mi skorupkę, wypilem zawartość jednym haustem, po czym oddałem naczynie i znowu klasnąłem. Kawa miała odrażający smak. Ciepława, smakowała jak płyn do płukania ust wymieszany z błotem. Żadnych akcentów alkoholowych, chociaż po chwili trochę piekła i wyczułem posmak lukrecji.

Po pierwszej skorupce zdrętwiały mi usta i obrzmiał język. Druga skorupka unieruchomiła język i pozbawiła czucia w twarzy. Następne skorupki sparaliżowały nogi, najpierw palce i stopy, a potem łydki.

– To dobry i bezpieczny trunek – klarował mi w Nabouvalu pewien Hindus, chociaż Hindusi nie biorą kawy do ust. – Ludzie robią się po nim bardzo śpiący i zmęczeni. Poruszają się bardzo wolno. Nigdy się nie awanturują. Są zbyt słabi, żeby się bić.

Po uraczeniu się *yanggona* nikt nigdy nie dostał małego rozumu, żeby tłuć żonę. Po wieczorze przy misie kawy nikt nigdy nie bił dzieci, nie złorzeczył szefowi, nie zrobił sobie tatuażu ani nie dopuścił się gwałtu. Skutki zazwyczaj wyglądają tak, że człowiek najpierw chichocze, potem trudno mu ustać na nogach, a w końcu całkiem drętwieje.

Ci dwaj znajdowali się w fazie chichotania. Odpowiedzieli na kilka prostych pytań dotyczących kościoła. Był to kościół pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia, ufundowany przez księży francuskich. Oznajmili, że



kościół ma sto dwadzieścia lat, co wydało mi się nieprawdopodobne, po czym z uśmiechem puścili skorupkę w ruch.

Wiedziałem, że nie powinienem pić. Kawa wysysa siły i sprawia, że wiosłowanie zamienia się w torturę. Nie chciałem jednak ich urazić, więc posiedziałem jeszcze chwilę i wypytałem o ten trunek. Opowiadali, że kiedyś dziewczęta przeżuwały korzenie kawy i że w niektórych wioskach nadal tak się robi. Ale nie palili się do rozmowy. Picie kawy nie sprzyja elokwencji. Amatorzy tego trunku zwykle siedzą wokół misy i mamroczą sami do siebie. Kiedy zasiadają do picia, są rozmowni, dzielą się plotkami, ale w miarę wlewania w siebie trunku coraz bardziej bełkoczą.

Ci dwaj powiedzieli, że spędzą przy misie praktycznie cały dzień. Nie mieli nic innego do roboty. Kiedy zapytałem, ile są w stanie wypić, odparli, że dwa kilogramy, mając na myśli utarte korzenie, co oznaczało z dziesięć litrów mętnego trunku.

Wiosłowanie po kawie rzeczywiście okazało się torturą, ale uznałem, że nie mam wyjścia. Chciałem dotrzeć na drugą stronę zatoki, gdzie według mapy znajdowało się miasto. Działanie kawy ustało dopiero wczesnym popołudniem, dzięki czemu odżyłem i zdołałem dopłynąć do celu tuż przed zachodem słońca. Oznaczenie figurujące na mapie okazało się mylące, co bardzo często się zdarza w przypadku map wysp Pacyfiku. Śladu miasta, a zamiast tego ledwie osada na rozstaju dróg i sklepik prowadzony przez drobnego, szpakowatego Hindusa nazwiskiem Munshi.

Munshi pozwolił mi rozbić namiot na jego ziemi, polance zaraz za nadbrzeżnymi mangrowcami. Twierdził, że jest właścicielem tej ziemi. Opowiadał, że kupił ją jego dziadek, który w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku przyjechał do Fidżi do pracy na plantacji trzciny cukrowej. Munshi urodził się w tym samym domu, w którym na świat przyszedł jego ojciec, w Votui po drugiej stronie wyspy.

Przyglądał się, jak rozbijam namiot, i żeby zagaić rozmowę, zapytałem, jak mu się wiedzie.

– Teraz tu źle się dzieje – odparł. – To nie jest kraj dla Hindusów. Cierpimy.

Jakie to wszystko przygnębiające, pomyślałem, nieprzeparta wzajemna niechęć tych ludzi, głupota turystów, a i fakt, że nikt w szerszym świecie w ogóle nie interesuje się tą sprawą. Beznadziejny klincz, z jednej strony odurzeni kawą metodyści, z drugiej zaś hermetyczni i purytańscy Azjaci. Łączy ich tylko umiłowanie filmów wideo – owych *Rambo*, *Szklanych pułapek*, *Predatorów*. Prócz tego żadnej wspólnoty myślenia, odczuwania, nie mówiąc o mieszanych małżeństwach. Tam i sam – niekiedy w najbliższych i najbardziej odludnych miejscach Vanua Levu – działał chiński sklep, a jego właściciel wyglądał za ladą jak Marsjanin, absolutnie obojętny na wszystko.

Nazajutrz, w upalny i duszny poranek, gdy kupowałem paliwo Shell-Lite do mojej kuchenki, Munshi opowiadał o swoim trudnym położeniu. Zapytałem, co zamierza.

– Chcę wyjechać. Dokądkolwiek.

– Czy kiedykolwiek był pan za granicą?

– Nie – odparł. – Ale ojciec pojechał do Indii. Odbył pielgrzymkę hadżdż. Też chciałem to zrobić.

Był bosy i brudny. Jego żona, zawsze milcząca, zamiatała podwórko, przeganiając śmieci miotłą z jednego końca na drugi. Ich dzieci wrzeszczały na werandzie. Na schodkach przysiedli dwaj fidżyjscy chłopcy, jeden z bochenkiem chleba, drugi z puszką peklowanej wołowiny, i bez zrozumienia przysłuchiwali się naszej rozmowie.

– Skąd pan pochodzi? – zapytał Munshi.

– Z Ameryki.

– Chciałbym pojechać do Ameryki.

Munshi podał mi bańkę z paliwem i z powrotem zaszpurował beczkę.

– Teraz tu źle się dzieje.

Ściągnął wytłuszczoną czapkę i podrapał się w czubek głowy.

– Po co pan tu przyjechał?

– Ot tak, żeby się rozejrzeć.

– Podoba się panu?

– Bardzo ładnie.

Pokręcił głową.

– Nie – rzekł z przekonaniem.

Fidżyjscy chłopcy na schodkach werandy zabrali się do śniadania. Otwarli nożem puszkę wołowiny, połamali chleb na kawałki, którymi na zmianę wybierali z puszki mielone mięso, i tak sporządzone kanapki pakowali do ust, aż wylizali puszkę do czysta. Prawie nie widywałem tam świeżych ryb. Tak samo jak na Nowej Gwinei i Trobriandach tubylcy woleli konserwy rybne – sardynki, makrele, „płatki tuńczyka”.

Munshi piekł chleb. Codziennie z mąki, którą dostarczał prom, a on przywoził z portu półciężarówką. W tym zakątku wybrzeża, na przestrzeni osiemdziesięciu, a może i więcej kilometrów, sklep Munshiego jako jedyny sprzedawał chleb. Wszyscy Fidżyjczycy jedli chleb. W żadnym innym sklepie – ani hinduskim, ani nawet chińskim – nie wypiekano chleba.

Nie miałem jednak wątpliwości, że Munshi wyemigruje. Powtarzał, że jego ziemia jest na sprzedaż, że na sprzedaż jest sklep. Jeżeli nie uda mu się wyjechać do Kanady ani do Ameryki, to pojedzie do Nowej Zelandii. Wtedy skończy się chleb. Czuję, że zateśkną za jego chlebem, nawet jeżeli nie będą tęsknić za nim. Tak, ale z pewnością nauczą się obywać bez chleba. Zastąpią go krakersami, chrupkim pieczywem. W Fidzi, podobnie jak na innych wyspach Pacyfiku, mieli dietę tradycyjną, ale obok niej zawsze istniała dieta marynarska, wszędzie bardzo lubiana, a złożona z sucharów, konserwowej wołowiny, tuńczyka i deseru w postaci marmolady ze słoika lub konserwowego puddingu śliwkowego.

Na Viti Levu ani nawet na bardziej dzikiej i tradycyjnej Vanua Levu nie budowano ani nie używano kanu rybackich. Nigdy nie spotkałem rybaków za rafa. Bliżej brzegu brodzili i zarzucali małe sieci. Używali byle jakich dzid. Łowili drobnicę. Przy dziurawych drogach na Vanua Levu widziało się czasem tradycyjne strzechy, ale domy najczęściej kryto falistą blachą, a wioski wydawały się byle jak sklecone. Śladu wyplatanych ścian, ozdobnych reliefów, tyczek kunsztownie łączonych łykiem. Prawdziwe ukoronowanie trudu misjonarzy, wielkie zwycięstwo ewangelizacyjne. Wszyscy chodzili do kościoła. Niemniej zatracili większość tradycyjnych sztuk i umiejętności. Nawet ogrody nie robiły wrażenia, hodowali odrobinę na własne potrzeby i codziennie odwiedzali hinduskie sklepy. Sami nie podejrzewali, jak bardzo potrzebują Munshiego.

Podczas odpływu, a morze na tym wybrzeżu prowincji Bua cofało się naprawdę daleko, kraina ta wydawała się jeszcze bardziej zapadła i opuszczona. Ot, dalekie muliste morskie wybrzeże. Używając innych słów, Munshi powiedział mi, że zachowuje pozory, ale w rzeczywistości czeka na okazję, żeby uciec.

Byłem mu wdzięczny, że pozwolił mi biwakować na swojej ziemi. Nie chciał niczego w zamian. Kiedy zaproponowałem mu *yanggona*, ze śmiechem odrzucił ten dar. Siedzieliśmy na werandzie. Powtórzył, że to okropny kraj. Cóż pocznie? Dokąd się uda?

– Jestem jak więzień – stwierdził, a jego słowa przypomniały mi o kimś.

– Wie pan, kim jest Salman Rushdie?

– Słyszałem o nim.

– Co on zrobił?

– Złe rzeczy.

– Jest złym człowiekiem?

– Tak myślę – odparł Munshi.

– Ajatollah skazał go na śmierć.

– Tak – rzekł Munshi, uśmiechnął się i z głośnym szelestem podrapał się szponiastymi palcami po bokobrodach.

– Pan chce go zabić?

– Może nie ja. Ale powinien umrzeć.

Powiosłowałem z powrotem do Nabouvalu, gdzie obozowałem u Yoakiniego i piłem grog w obrzędowym kręgu wokół misy. Kiedy Masi się znieczulił, znowu zaczął mnie przestrzegać przed Alfredem Hitchcockiem. Pomyślałem, że spakuję sprzęt i pojedę przeszło sto kilometrów dalej na północ, do Labasy, ośrodka przemysłu cukrowego, skąd będę mógł się wyprawiać na pobliskie wysepki. Zapytałem towarzyszy, jak tam jest.

– Tak jak tutaj – odrzekli.

Kiedy szedłem spać, czułem się jak po wizycie u dentysty, półprzytomny i z gębą pełną smaku nowokainy.

Nazajutrz w Nabouvalu wstał kolejny upalny dzień. Spakowawszy namiot, kajak i resztę ekwipunku, wsiadłem do samochodu. Jadąc przez miasteczko, kątem oka zauważyłem prom przy nabrzeżu. Ogromna ciężarówka z drewnem

wjeżdżała na pokład, a druga tarabaniła się kamienistym dojazdem do pomostu.

Zerwał się wiatr i przyniósł z zachodu przytłaczający smród gnijącego zielska, a wraz z nim przeczucie mulistych plaż, rojących się od owadów zarośli mangrowców i nędznych wiosek złożonych z zapuszczonych domów krytych blachą. Ten smród przyniósł też wspomnienie o potężnym kudłatym facecie w koszulce z napisem „Nibble Nobby’s Nuts” i ze straszliwym kordelasem w ręku. Spojrzałem w dal wyboistej drogi i wyobraziłem sobie, jak podła musi być sześćdziesiąt czy osiemdziesiąt kilometrów stąd. Błoto, dziury i ostre zakręty nad brudną zatoką. „Tak jak tutaj”.

Pod wpływem nagłego impulsu skręciłem w drogę dojazdową do pirsu, wjechałem na pomost, a stojący na nim Fidżyjczyk usunął się i dał ręką znak, żebym wjeżdżał na pokład. Po kilku minutach odbiliśmy od brzegu i wkrótce Vanua Levu umykała za rufą – ot, jedna z wysp Fidżi spowitych w chmury i mgłę.

**Buszując** kajakiem pośród raf, wysepek i zapadłych wiosek w zatoce Bligh Water opodal Viti Levu, poznałem Kena MacDonalda, który na wyspie Nananu-i-Ra budował hotel przeznaczony dla amatorów nurkowania. Ken obawiał się, że biwakowanie na tej wyspie może narazić mnie na kłopoty, więc powiedział, że na czas zwiedzania okolicznych wysepek mogę zatrzymać się w jego domu, a dogodne miejsce kempingowe znajdę może później.

Ku mojemu zaskoczeniu MacDonald, który sprawiał tak szkockie wrażenie jak jego nazwisko, oznajmił, że w jego żyłach płynie odrobina krwi tongijskiej i samońskiej. Wspomnił o tym, bo ów rodowód okazał się niefortunny. Chociaż nigdy nie powiedziano mu tego wprost, czuł, że właśnie z tego powodu nie mógł poślubić córki fidżyjskiego arystokraty *ratu* sir Kamisesego Mary. Zalecał się do niej dziewięć lat. Gdyby był stuprocentowym Szkotem, Anglikiem lub miał domieszkę krwi fidżyjskiej, zapewne nie zostałby odrzucony. Mówiło to coś o melanezyjskim systemie społecznym, w którym za fasadą religii, turystyki, trzciny cukrowej i dość tandetnej modernizacji Fidżi

kryła się starożytna i sztywna hierarchia wodzów zwanych *ratu* i rzeczywista władza oparta na więzach krwi i przynależności kastowej.

Zastanawiałem się, co Ken ma na myśli, kiedy uprzedzał mnie, że bywa kapryśny, milczący, humorzasty, zgryźliwy i rozdrażniony. Wydawał się bardzo miły, nawet jeżeli niezbyt rozmowny. W gruncie rzeczy pewna oschłość i zaabsorbowanie budową hotelu bardzo mi odpowiadały. Nie znoszę goszczenia w cudzym domu. Nie cierpię robić za atrakcję towarzyską, nie cierpię hołubienia i gotowania specjalnie dla mnie. Dogadzało mi to, że Ken nie miał na to czasu, a i podobało mi się, że budowany przez siebie ośrodek dla amatorów nurkowania, który nazwał Mokusiga (co znaczy „zbijać bąki”), zaprojektował tak, aby w możliwie najmniejszym stopniu odstawał od uroczego pejzażu wyspy. Budowa pochłaniała jego całe oszczędności i wszystkie siły.

W domu miał mnóstwo książek i kaset, a na kuchennych półkach stały szeregi konserwowej makreli, takiej, jaką zwykle kupowałem, wybierając się pod namiot.

– O, a więc i ty lubisz to świństwo – powiedziałem.

– Nie, karmię tym koty – wyjaśnił Ken.

Opowiadał jednak, że niewielu miejscowych zajmuje się poważnym rybołówstwem. Ludzie jedzą warzywa, peklowaną wołowinę i piją gotowe napoje. Zaiste podła dieta.

– Jeszcze piętnaście lat temu widziało się rybackie kanu – wspominał. – Wypływali na ryby za rafę. Dzisiaj łowią trochę siecią przy brzegu, i właściwie tyle.

Wieczorem, kiedy wracałem z wycieczek kajakowych, czasami siadaliśmy w ciemności pod drzewami w ogrodzie Kena i tłukąc moskity, popijaliśmy piwo.

Opowiadał, że w kontekście stosunków między Fidżyjczykami a Hindusami sytuacja w Fidżi może wydawać się patowa, ale rzeczywistość jest bardziej skomplikowana. Istnieje szerokie spektrum ugrupowań politycznych, w tym skrajnie prawicowa, nacjonalistyczna fidżyjska partia Taukei. Partia ta wyłoniła się podczas drugiego zamachu stanu, przyciągając Fidżyjczyków ze

wszystkich klas społecznych, chociaż *taukei* – co jakże wymowne – znaczy „właściciel ziemski”.

– Sympatycy Taukei podpalali sklepy i bili Hindusów – wspominał Ken. – Ale i niektórzy Hindusi nastawieni byli wojowniczo. Gdzieś w dzielnicach hinduskich znaleziono wszelkiego rodzaju broń i amunicję. Statek wiozący uzbrojenie dla Hindusów próbował się przemknąć przez cieśninę, ale wypatrzyli go obserwatorzy rozmieszczeni na wzgórzach i został przechwycony.

– Myślisz, że Hindusi wyjadą?

– Niektórzy już wyjechali. Ale ci, co zostali, nie są prześladowani. Po prostu są wykluczani – powiedział Ken, a mnie się wydało, że trafił w sedno. – Tak czy inaczej, nigdy nie ufali Fidżyjczykom.

– Podobnie jak Fidżyjczycy im – zauważyłem. – Co będzie, jeżeli Hindusi zostaną wypchnięci, tak jak w Ugandzie? Tam doprowadziło to do załamania gospodarczego. Jeżeli w Fidżi sprawy przybiorą taki obrót, padnie handel, zaopatrzenie, pojawi się niedobór towarów i usług, a także wykwalifikowanej siły roboczej, chociażby nauczycieli i medyków. Fidżi wkroczy na bardzo złą drogę. Stanie się krainą wymarłych miast.

– Fakt, to możliwe – przyznał Ken.

Wydawał się realistą, ale w ogóle nie panikował. Podobnie reagowało wielu innych. Fidżyjczycy i przedstawiciele innych nacji powszechnie uważali, że Hindusi zostaną dopóty, dopóki da się robić interesy i zarabiać – że wizja zysku przekreśla wszelkie obawy polityczne.

Nie zgadzałem się z tym. Moim zdaniem przyszłość Fidżi malowała się w ciemnych barwach i wyraźnie czułem głębokie pokłady rozgoryczenia i uraz. O ile nie uchwalą demokratycznej konstytucji, na pewno pojawią się kłopoty, bo jeżeli Hindusi zostaną, będą zawsze niezadowoleni i wściekli, a jeżeli wyjadą, gospodarka się załamie.

Ken sąsiadował z byłymi żołnierzami, półkrwi Fidżyjczykami, którzy podczas II wojny światowej walczyli na zachodnim Pacyfiku. Uczestniczyli w bitwie o Bougainville na północy Wysp Salomona. Co wieczór zachodzili do ogrodu Kena, siadali pod drzewami i w ciemności popijali piwo, gwarząc przyjaźnie. Zapytałem ich o wspomnienia wojenne.

– Na Bougainville wy, Amerykanie, mieliście mniej więcej dziesięciokilometrowy przyczółek na plaży – opowiadał jeden z nich, George. – Resztę wyspy trzymali Japońcy. Próbowaliśmy ich przepędzić. Nie chwaląc się, mogę powiedzieć, że byliśmy dobrze zaprawieni i radziliśmy sobie w dżungli. Wiedzieliśmy, że lepiej nie używać hełmów, i umieliśmy poruszać się bezszelestnie.

Roześmiał się, bodaj zastanawiając, się, czy nie poczuje się urażony tym, co zamierza powiedzieć.

– Z przykrością muszę stwierdzić, że oddziały amerykańskie nie radziły sobie w dżungli. No i mieliście jeden z czarnych batalionów. Wszyscy czarni. Baliśmy się ich jak nie wiem.

Zdziwiłem się, że mówi to czarny Fidżyjczyk.

– Baliście się czarnych żołnierzy?

– Nie. Tylko takich, którzy strzelali, usłyszawszy lada szelest. „Musimy ich ścigać, musimy ich zdeptać, musimy wysłać ich do diabła”, powiedział mi pewien Amerykanin. Strzelali do ptaków. Strzelali do siebie nawzajem. Nigdy w nic nie trafili! I codziennie z samego rana tańczyli jakiś śmieszny taniec. Podrygiwali jak pajace! Raz, dwa, raz dwa!

Wstał z ogrodowego krzesła i zademonstrował komiczną gimnastykę, rozśmieszając kolegów.

– Pewnego dnia amerykański pułkownik widział, jak wyruszamy w dżunglę. Powiedział: „Moi ludzie będą was osłaniali w trakcie patrolu”. „Nie, sir – odrzekłem – idziemy w inną stronę! Nie chcemy, żeby pańscy ludzie nas osłaniali!” Weszliśmy w dżunglę. Miałem ze sobą pięciu kolegów. Oczywiście w dżungli nigdy nie rozmawialiśmy. W południe przystanęliśmy, żeby odpocząć, a gdy leżeliśmy, ciągle bez słowa, usłyszeliśmy głośnie stuknięcie. Hełm uderzył o kamień. Nigdy nie nosiliśmy hełmów. Jeżeli widzi pan na zdjęciu z Wysp Salomona żołnierzy w hełmach, to znaczy, że zdjęcie jest pozowane. Usłyszawszy to stuknięcie, powolutku się podniosłem i rozejrzałem wokół. Dosłownie pięć metrów od nas, po drugiej stronie zarośli byli japońscy żołnierze, którzy tak samo jak my przystanęli odpocząć.

George nadal stał i zaczął pokazywać, w jaki sposób poruszał się wtedy w dżungli, gestykulując i opowiadając chrapliwym szeptem.



– Bez słowa, ruchem ręki dałem kolegom znak, żebyśmy się rozproszyli w wachlarz. Po chwili gestem rozkazałem strzelać. Wie pan, co to jest ogień flankowy? Zasypaliśmy ich kulami. W gruncie rzeczy wzięliśmy ich w ogień krzyżowy. Zabiliśmy sześciu. Raniliśmy jeszcze więcej. Tych rannych ścigaliśmy po śladach krwi, ale udało im się uciec.

– Co czuliście wieczorem tamtego dnia? – zapytałem.

– Zmęczenie, no i że mieliśmy szczęście – odparł George. – Pogrzebaliśmy trupy. Nie jesteśmy dzikusami. Zawsze z szacunkiem grzebaliśmy zabitych.

Mówi się, że żołnierze fidżyjscy słynęli z takiej twardości i okrucieństwa, że kapitulujący Japończycy zawsze starali się oddawać w ręce amerykańskich marines, żeby uniknąć brutalności Fidżyjczyków.

**Wokół** Nananu-i-Ra leży sześć czy osiem mniejszych i większych wysepek. Jedna z nich, Dolphin Island, znajdowała się w rękach prywatnych, a jej cena na rynku nieruchomości sięgała kilku milionów dolarów. Na innej prywatnej wyspie mieli plantację palm kokosowych. Zabrawszy namiot i prowiant na wypadek załamania pogody, ruszyłem w dwudziestopięciokilometrowy rejs wokół Nananu-i-Ra. Pogoda wszakże się poprawiła, chmury pierzchły, wiatr ucichł i płynąłem po rozjarzonym lustrze morza, obserwując pikujące i pluskające rybitwy, cierpliwe czaple i fregaty, sunące po niebie niczym latawce.

Mimo że w koszuli, kapeluszu i okularach przeciwsłonecznych byłem dobrze zabezpieczony, w południe oślepiający blask oceanu zmusił mnie do umknienia na brzeg jednej z zatoczek i poszukania zacienionego miejsca na plaży, gdzie mógłbym odpocząć przed następnym etapem rejsu dookoła wyspy.

Na plaży zastałem dwie osoby. Przywitałem się. Przed chwilą nurkowały na rafie, ale oślepiające słońce ich również skłoniło do ucieczki w cień.

Państwo Garstangowie, pochodzący z Afryki Południowej, ale wówczas mieszkający w Wirginii. Michael był meteorologiem i należał do grona pierwszych badaczy, którzy zauważyli zmianę typowej pogody na świecie i możliwość wystąpienia efektu cieplarnianego. Ostatnio uczył w Nowej Zelandii, a wkrótce miał wziąć udział w wyprawie meteorologów na Borneo.

– Martwiąc się zanikiem ozonosfery, ludzie myślą głównie o lasach deszczowych w Brazylii. Ale pogodę na świecie determinują trzy najważniejsze obszary, oprócz Brazylii jeszcze Borneo i Kongo oraz Zair w środku Afryki. To są źródła ciepła i siły – co zilustrował pompującymi ruchami pięści – które napędzają El Niño.

– Czy tylko Borneo wytwarza to ciepło?

– Nie, również Nowa Gwinea, a właściwie cały region. Zapewne zauważył pan, jak ciepły jest tam ocean. To dodatkowy czynnik.

– Złości to pana, że każdy uważa się za eksperta w dziedzinie globalnego ocieplenia?

– Właściwie to nie – odparł z uśmiechem. – Rzecz polega na tym, że trudno o ścisłe dane. Wyliczy pan, że musi dojść do ocieplenia, ale wystarczy, że pokrywa chmur będzie nieco większa, a pana wyliczenie może drastycznie odbiegać od rzeczywistości. Trzeba uczciwie przyznać, że nikt nie zna odpowiedzi.

– Michael bada to od wielu lat – wtrąciła pani Garstang.

– Wie pan, że nad południowym Atlantykiem mamy nadwyżkę ozonu? – zapytał Michael.

– Sądziłem raczej, że mamy do czynienia z niedoborem ozonu, tak zwaną dziurą ozonową – odparłem.

– Tak. Nad Antarktydą. Ale mówię o południowym Atlantyku. Tę nadwyżkę ozonu odkryto niedawno i dopiero zaczęto badania tego zjawiska.

Stojąc po kolana w wodzie laguny, rozmawialiśmy o pogodzie na świecie, a potem o zmianach w Fidzi. Michael pierwszy raz odwiedził ten kraj wiele lat wcześniej i teraz odniósł wrażenie, że Fidzi podupało. Uderzyło mnie, że ludzie najlepiej znający Fidzi uciekali możliwie najdalej od Suvy i Nandi. Przyjechawszy do Ameryki, Garstangowie zamieszkali w Woods Hole, gdzie Michael pracował w Instytucie Oceanografii, więc pogadaliśmy o Cape Cod, o różnych miejscach, które lubiliśmy, i tak nas to pochłonęło, że w ten słoneczny dzień miałem wrażenie, jak gdybyśmy spędzali mile czas w jednej z tamtejszych zatoczek.

– Lata dziewięćdziesiąte będą gorącą dekadą – oznajmił Michael w pewnym momencie naszej rozmowy, najwyraźniej mając na myśli

gwałtowne zjawiska, wybuchy wulkanów, trzęsienia ziemi, sztormy.

W Nowej Zelandii zwróciłem uwagę na to, że podróż w sposób szczególnie porusza pamięć i że nawet najbardziej egzotyczne miejsca mogą przywoływać niebywale żywe wspomnienia o domu. Myślę, że przydarza się to wielu ludziom. Tamta pogawędka przy brzegu laguny rzuciła na mnie urok. Kiedy znowu wypłynąłem w morze, wydawało mi się, że wiosłuję opodal Cape Cod, mentalnie znajdowałem się w cieśninie Nantucket, wobec czego kilka minut później wręcz zbaraniałem na widok nagich fidżyjskich chłopców, w których włosach lśniły kropelki wody, podczas gdy bawili się w morzu, wdrapywali na skały i rzucali w siebie nawzajem łupinami kokosów.

Pchany przez ten sam uparty wiatr, który poganiał łódź kapitana Bligha, wkrótce wypłynąłem na otwarte morze. Znalazłem pustą plażę na zachodnim cyplu wyspy, gdzie zjadłem lunch złożony z owoców i kociego żarcia – bo właśnie tak zacząłem postrzegać japońską konserwową makrelę. Zdrzemnąłem się w cieniu drzewa, a potem wybrałem się ponurkować. Sześćdziesiąt metrów od brzegu była podwodna półka, a za nią wielka czarna otchłań zimnej wody. Nad rafą koralowców, na których żerowały wielkie rozgwiazdy zwane koroną cierniową, skubiąc jakieś drobinki zawieszane w wodzie, pośród tysięcy innych stworzeń śmigwały papugoryby i jaskrawożółte i niebieskie rybki, mieniające się niczym klejnoty.

Unosząc się na powierzchni, podziwiałem podwodny świat, lecz niedługo. Poznałem już wystarczająco charakter Oceanii, żeby wiedzieć, że tamto miejsce jest idealnym siedliskiem rekinów. Nurkując z rurką, zawsze odruchowo co raz sprawdzam, czy za plecami nie pojawiły się rekiny, ale tamtego dnia byłem szczególnie przezorny. I nie igrałem z losem. Szybko wróciłem do obozowiska na plaży, a kiedy upał zelżał, podjąłem rejs wokół wyspy.

O zmierzchu w oranżowo-różowej lagunie u kresu mojego rejsu drobne falki chlupotały o czarną skałę. Ociągając się nieco z ostatnimi pociągnięciami wiosłem, podziwiałem grę światła i cienia na opalizującej powierzchni morza, gdy nagle zrozumiałem, że dwa wybrzuszenia, które uważałem za falki, w rzeczywistości są rekinami o plamistych płetwach grzbietowych. Tak,

rekiniki epoletowe. Cętkowane i zgrabne, wydawały się bawić, po prostu figlować w wodzie.

Sięgnąłem po harpun przywiązany do poszycia kajaka. Rekiny mierzyły po mniej więcej półtora metra i pływały jeden obok drugiego w płytkiej wodzie. Nie mogłem chybić. Oczyma wyobraźni już widziałem, jak wpływam do zatoczki, a Ken z piwem w ręku wstaje z krzesła pod drzewem i wybałusza oczy na mnie w kajaku z dwoma przewieszonymi przez rozporę okazałymi rekinami. Fidzyjczycy popatrzą z niemym podziwem na ów dowód mej zręczności w posługiwaniu się harpunem i nieustraszoneści w obliczu rekinów.

– Na Trobriandach poznałem się co nieco na rekinach – mówię nonszalancko.

Z całej siły cisnąłem harpun, trafiając w najgrubszą część ciała bliższej ryby, tuż za głową. Obydwa rekiny machnęły gwałtownie ogonami i czmychnęły. Nie zrobiłem im nic złego. Z powodu ekscytacji zapomniałem zdjąć łupinę kokosa, którą zabezpieczyłem trójzab harpuna, żeby przypadkiem nie przedziurawił poszycia kajaka. Tak, co najwyżej nabiłem rekinowi siniec, a kiedy to do mnie dotarło, poczułem zadowolenie. Te ryby mi nie zagrażały ani nawet mnie nie zaczepiały. Najwyraźniej się bawiły. A ja usiłowałem je zabić – odruchowo, z poczucia władzy i panowania – a więc wykazałem się tego rodzaju perfidną krwiożerczością, jaką często przypisuje się rekinom.

**Często** myślałem o pewnej wysepce tego archipelagu opodal północnego wybrzeża Viti Levu po prostu dlatego, że widziałem ją nawet w nocy. To Malake, która nieustannie płonęła. Za dnia dymiła – szare i czarne dymy wzbijały się w niebo ze stromych zboczy wzgórz – w nocy zaś gorzała ogniem, który rozlewał się wokół wzniesień i wspinał ku ich szczytom. Według mojej mapy Malake ma dwa kilometry długości i kilometr szerokości. Te jej części, które nie płonęły, były czarne.

– Zawsze wypalają tę cholerną wyspę – powiedział mi jeden z weteranów. – Nie mają nic do roboty, więc podpalają.

Chciałem odwiedzić podpalaczy z Malake. Dzieliło mnie od niej piętnaście kilometrów z wiatrem, a więc leżała za daleko, żebym zdołał obrócić tam i z powrotem w ciągu jednego z bardzo upalnych dni. Wobec tego postanowiłem jechać tam na dłuższą wycieczkę, z namiotem, prowiantem i wiązką *yanggona*. Wyruszyłem wczesnym rankiem i z pomocą wiatru płynąłem chyżo, słuchając starego dobrego rock and rolla z kasety z muzyką z filmu *Wielki chłód*.

Spowita dymem, wiecznie płonąca Malake wydawała się wyspą niegościnną i bezludną, ale znalazłszy się bliżej niej, dostrzegłem najpierw wydatną rafę, a potem niewielką osadę, w której zapewne mieszkali podpalacze. Przybywałem w porze odpływu, więc chwilami dno kajaka zaczepiało o koralowe skały. Podpłynąwszy jeszcze bliżej, zauważyłem skromne uprawy, poletka taro, krzewów manioku, drzewa papai. Te ogródki zajmowały jednak tylko skrawki terenu. Reszta była wypalona. Widziałem czarną trawę, zerodowaną ziemię, osmalone kikuty drzew i niedawno uschłe iglaki o pomarańczowych szpilkach.

Osada wychodziła w stronę północnego wybrzeża Viti Levu, a chociaż z oddali wyglądała jak dość porządna wioska, z bliska okazała się skupiskiem blaszanych bud na zaśmieconej plaży. Popłynąłem na drugą stronę wyspy, za północne zbocze góry i pogórze czarne od wypalonych traw.

Oddaliłem się od rafy, żeby nie nadziać się na ostre skały, które mogłyby przedziurawić kadłub kajaka. Wiosłując, nagle kiepsko się poczułem. Rano czułem się zdrowy, ale teraz nie miałem wątpliwości, że – może w obozie na Vanua Levu, a może przez tę cholerną kawę, którą wszyscyśmy pili z jednej skorupki – złapałem grypę czy jakieś inne choróbko. Rozbolała mnie głowa, piekły oczy, bolało gardło, miałem zatkany nos i łupało mnie w kościach. Pomyślałem, że najlepiej zrobię, jeżeli wyląduję, rozbiję obóz i po prostu zostanę na tej wyspie, odpoczywając i unikając słońca. Miałem ze sobą zapasy na trzy dni.

Wypatrując głębszych przesmyków w rafie, słyszałem miarowe głuche odgłosy przypominające rąbanie drewna, więc powiosłowałem dalej, aż znalazłem zatoczkę, gdzie mogłem przybić do brzegu. Gdy przywiązywałem kajak do korzenia mangrowca, z zarośli wychynęło pięciu mężczyzn

uzbrojonych w wielkie noże traperskie niczym kordelasy piratów. A zatem tak wyglądają podpalacze z Malake. Wyrośli jak spod ziemi.

Zamierzałem wsiąść do kajaka i odpłynąć, ale mnie otoczyli. Nie wiedziałem, co robić. Gdybym spróbował uciec, z łatwością mogliby mnie zatrzymać, albowiem zatoczka na dość długim dystansie od brzegu była płyciutka i musiałbym wiosłować bardzo uważnie. Jedno ciachnięcie kordelasem wystarczyłoby do rozplątania kajaka. Udałem więc, że się nie boję. Powiedziałem „dzień dobry”. Uśmiechnąłem się.

Miałem przed sobą obdartych Fidżyjczyków o wystających żuchwach ludożerców, cofniętych czołach, maleńkich oczkach i kruczoczarnych wąsikach. W podartych szortach i koszulkach.

– Skąd jesteś?

– Nananu-i-Ra, o tam.

– Nie. Z jakiego kraju?

– Z Ameryki.

– Ameryka jest bardzo bogata.

Byłem nieogolony. Czułem się chory. Miałem składany kajak. Na nogach miałem przesiąknięte buty do chodzenia po rafie, na głowie baseballówkę.

– Myślicie, że jestem bogaty?

Gapili się na mnie. Jedni z najbiedniejszych Fidżyjczyków, jakich spotkałem, brudni, w łachmanach, niektórzy mieli braki w uzębieniu, co jest przypadłością nie tylko nędzarzy, lecz również zabijaków. Najbardziej obawiałem się zardzewiałych kordelasów.

– Sami widzicie – powiedziałem. – Nie jestem bogaty. Nie mam pieniędzy.

Obmacywali kajak, dźgając palcami brezentowe poszycie. W kilka sekund porąbałoby łódkę – a i mnie – na kawałki.

– Po co wam te noże?

Nie odpowiedzieli.

– Do ścinania drzew?

Uśmiechnęli się, jak gdyby zaprzeczali.

– Do ścinania kokosów?

Dotychczas mówił tylko najtęższy, najsilniejszy i najbrudniejszy z nich, więc zgadywałem, że tylko on zna angielski. Nie używano tam pidżynu.

– Chcesz kokosów? – zapytał przysadzisty brudas.

Powiedziałem, że tak.

– Ty iść.

Dwóch ruszyło przodem, trzech za mną, a kiedy za plażą weszliśmy w suche, żółte zarośla, bryza zgasła i maszerowaliśmy w dusznym powietrzu rojącym się od owadów. Nie było ścieżki, tylko namiastka szlaku, usłana resztkami drzew, suchymi gałązkami i liśćmi.

Wcale nie chciałem z nimi iść, ale odruchowo się zgodziłem, czując, że gdybym odmówił, wzięliby to za objaw wrogości, a i tchórzostwa. Jednocześnie byłem ciekaw, mam bowiem fatalną skłonność do penetrowania takich podłych miejsc. W pewnym sensie zagłębiałem się w pierwotne Fidzi – wewnątrz przybrzeżnej wyspy innej przybrzeżnej wyspy, gdzie nie rośnie nic oprócz warzyw. Nie uprawiają trzciny cukrowej, nie ma turystów, samochodów, dróg, elektryczności. Tylko grzbiety porośniętych trawą wzgórz, wypalone do czarna i wciąż płonące, bo tubylcy nie mają nic lepszego do roboty. Podobnie jak Trobriandczycy ludzie ci „ładem” nazywają największą widoczną wyspę.

Owi dziwni, milczący, brudni mężczyźni mieli zaiste niepokojący nawyk. Otóż ilekroć mijaliśmy szczególnie kształtne krzewy, wprost rzucali się na niego i rąbali go na kawałki. Jeszcze zanim wyszliśmy z plaży, jeden z nich natarł na mangrovec, masakrując kordelasem kruche gałęzie, liście i pień – z rozdętymi wściekłością nozdrzami chlastał drzewo, aż został z niego tylko żałosny kikut i stos leżących w błocie zrzyneków.

Porąbał to drzewo dla samej dzikiej radości niszczenia, ot tak, niczym ulicznicy w wielkich miastach, którzy z podobnych pobudek łamią świeżo posadzone drzewka.

Raptowność, zajadłość tej czynności i widoma rozkosz, którą brudny kurdupel czerpał z masakrowania zardzewiałym nożem istoty tak dostojnej jak żywe drzewo, zmroziły mi krew w żyłach. Cóż za demonstracja niegodziwości, niszczycielstwa i złej woli. Przecież nie wycinali ścieżki, nie robili nic użytecznego – po prostu wyżywali się. Przypomniał mi się fragment *Benita Cerena* Melville’a opowiadający o tym, jak buntownicy z uśmiechem

ostrzą noże, i pomyślałem, że ci bezmyślni wyspiarze śmiało mogliby należeć do tamtej zgrai.

Od upału kręciło mi się w głowie, no i nawykły do samotności dziwnie się czułem w towarzystwie innych ludzi. Nad tamtą częścią wyspy wisiał swąd spalenizny, widziałem wypalone wzgórza, o ileż bardziej posępne z bliska. Spustoszony pejzaż. Miałem wrażenie, że ci ludzie po prostu dewastowali swoją wyspę.

– Po co palicie drzewa?

– Tak, palimy drzewa. Palimy. Palimy – bełkotał brudny kurdupel, wymachując kordelasem.

Zasłiśmy już spory kawał w głąb wyspy, przemierzaliśmy niższe partie wzgórz. Pragnąłem zawrócić, szukałem jakiegoś pretekstu, żeby odejść. Właśnie wtedy ujrzałem palmy.

– O, tu są kokosy – powiedziałem.

Odniosłem wrażenie, że to pomieszało szyki moim towarzyszom. Jak gdyby zapomnieli, po co tam przyszliśmy.

– Kto wejdzie na palmę? – zapytałem.

Poszwargotali między sobą.

– Ten chłopak wejdzie.

Ale chłopak rąbał karłowate drzewko, aż rozłupał jego pień. Odwrócił się, spojrzał i z nadąsaną miną wymamrotał parę słów.

„Prędzej skonam, niż wleżę na palmę”.

Przysadzisty mężczyzna powiedział coś jeszcze, a ten młody znowu tylko burknął i wrócił do rąbania drzewka.

„Jak ten biały chce kokosów, to niech sam wlezie na palmę”.

Co najzabawniejsze, wcale nie pragnąłem kokosów. Chciało mi się pić i nadal czułem się słaby. Milcząc, staliśmy w upale. Spróbowałem głęboko odetchnąć i poczułem, że mam zajęte płuca. No tak, zapalenie oskrzeli. Westchnąłem, aż zahurgotało mi w piersi, i usiadłem. Tylko tego brakowało. Przypomniałem sobie, jak na Trobriandach nabawiłem się zanokcicy na kciuku i żeby zahamować rozwój zapalenia, musiałem dwa razy dziennie wyparzać palec we wrzątku. Ciekawskie dzieci przyglądały się, jak pompuję kuchenkę, napełniam garnek i zanurzam kciuk we wrzątku.



Ukryłem twarz w dłoniach.

– Nie. Idziemy.

No proszę, jeszcze jeden mówił po angielsku. Grubas z brakami w uzębieniu, wymachujący kordelasem.

– Nie mogę iść z wami – powiedziałem.

– Tak – upierał się grubas.

– Nie. Bo – gorączkowo szukałem jakiegoś pomysłu – chcę przynieść wam *yanggona*.

Zrozumieli to słowo i rozpromienieni jęli mlaskać z ukontentowaniem.

– Ale tę *yanggona* mam w łódce. W mojej *waga*, rozumiecie.

Pokazałem ręką w stronę żółtych zarośli w kierunku, z którego przyszliśmy.

– Dasz nam?

– Tak. Dam. Ale najpierw – tu uśmiechnąłem się rozpaczliwie, niczym zakładnik obiecujący okup – muszę wyciągnąć ją z łódki.

Gadałem, obiecywałem, uśmiechałem się, robiłem wszystko, żeby mi uwierzyli. W głowie kołatała mi niedorzeczna myśl, że dopóki mówię, dopóty mnie nie zabiją. Przecież nie godzi się zarżnąć człowieka, który do nas mówi. Ale i tak cierpłem ze strachu, mając za plecami tych idiotów, którzy nadal masakrowali niewinne drzewa.

W końcu wręczyłem im wiązkę *yanggona* zawiniętą w „Fiji Times”, a podczas gdy rozdierali gazetę, odwiązałem kajak.

– Wracaj! – zawołał jeden z nich.

– Zaraz wróć! – odkrzyknąłem, wsiadając do kajaka.

Jeszcze mi życie miłe, pomyślałem. Nadal jednak czułem się okropnie. Zamiast czmychnąć daleko od tej wyspy, popłynąłem ku jej zachodniemu krańcowi, aż ujrzałem skalisty cypel. Blisko brzegu usłyszałem mamroczący głos, lecz zaraz zrozumiałem, że słowa nie są skierowane do mnie ani nie odnoszą się do mojego pojawienia się. Słyszałem monotonne mamrotanie kogoś mówiącego do siebie – bezsensowne paplanie. Płynąłem dalej, aż na samotnej plaży otoczonej skałami znalazłem ustronne miejsce, które nadawało się doskonale na schronienie dla rybaków. Coś w rodzaju komory skalnej z szerokim wyjściem ku morzu.

Uznawszy, że gorący napój pomoże mi na przeziębienie, zagotowałem wodę na zieloną herbatę i zupę. Wypiwszy jedno i drugie, zacząłem się pocić. Położyłem się i ze zmęczenia zaraz zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, było zbyt późno, żeby wracać. Ostrożnie obszedłem całą plażę. Wypatrywałem i nasłuchiwałem obcych. Nikogo nie zauważyłem. Wiedziałem, że nikt się już nie zjawi, albowiem w tamtych stronach nie wychodzi się z domu w nocy.

Nasłuchując uważnie, czuwałem jednak aż do ostatniej chwili i dopiero tuż przed zapadnięciem ciemności, gdy zaroilo się od moskitów, rozbiłem namiot i wlałem do środka. Spałem dziewięć godzin, a obudziwszy się tuż przed świtem, poczułem swąd spalenizny i przypomniałem sobie, że jestem na Malake, wyspie podpalaczy. Sen przywrócił mi siły. Zaparzyłem zieloną herbatę, zjadłem fasolę z chlebem na śniadanie, po czym powiosłowałem wzdłuż drugiego brzegu wyspy, mijając tę wioskę, którą poprzedniego dnia widziałem tylko z daleka.

Płynąłem blisko brzegu, ale gdy ujrzałem obszarpanych wieśniaków – starszych mężczyzn i małe dzieci o lśniących, zasmarkanych twarzyczkach – którzy machali rękoma, zapraszając mnie na brzeg, skierowałem kajak w stronę otwartego morza i fali przyływu, która zabrała mnie na wschód daleko od tej wyspy.

Potem, kiedy czułem się już bezpieczny i swobodny, dane mi było ujrzeć coś, co widziałem już na Trobriandach, na Wyspach Salomona i na Vanuatu, a co raz po raz przytrafiało się na przybrzeżnych wodach Fidzi. Otóż odgłos wiosłowania lub chlupotanie kadłuba łodzi często tak niepokoi ryby, że wyskakują one z wody i ślizgają się po falach, balansując na ogonach, zupełnie jak gdyby tańczyły shimmy. I podczas gdy wiosłowałem w końcu ku szczęśliwej wyspie, nie jedna, lecz co najmniej dziesięć ryb tańczyło przed dziobem kajaka. Zawsze patrzyłem jak urzeczony na to zjawisko, tak jest niezwykle i komiczne, jak gdyby jakiś czarownik rzucił zaklęcie zmuszające ryby do zachowania całkowicie sprzecznego z ich naturą, do chodzenia po wodzie w postawie wyprostowanej.

Ale nie myliłem się, podejrzewając, że złapałem jakieś choróbko. Niedługo potem miałem czterdzieści stopni gorączki, a lekarz rozpoznał

zapalenie płuc.

– Cholerni Hindusi, co oni wiedzą? – skomentował pewien Fidżyjczyk.

Cierpiałem kilka dni, wziąłem antybiotyk, czułem się słabowity i samotny, ale po kilku tygodniach znowu oddychałem normalnie. Oceania wydaje się rajem, kiedy człowiek jest zdrowy, ale to bodaj najgorszy rejon świata do chorowania.

**Część trzecia**

**Polinezja**

## rozdział\_czternasty\_

### Tonga: królewska wyspa Tongatapu

**Po zadaniu** mi standardowych pytań na temat kajaka wielki i obdarzony kwadratową czaszką urzędnik tongijski w granatowej spódnicy zakrywającej grube kolana oświadczył:

– Musi pan uiścić opłatę brzegową.

*Opłatę brzegową?* Musiał powtórzyć to kilka razy, zanim zrozumiałem. A gdy do mnie dotarło, zachnąłem się. Opłata brzegowa jest opłatą za cumowanie łódki przy kei, prawda? Natomiast ja mam łódkę w dwóch brezentowych workach, a nie przy kei, prawda?

Rozmawialiśmy w drewnianym baraku w porcie lotniczym Fua'amotu na wyspie Tongatapu w tłumie krzepkich i rozpychających się Tongijczyków, z których wielu dla uczczenia powrotu do ojczyzny przywdziało tradycyjne chrześcące maty owijane wokół bioder. Niektórzy mieli kasety wideo *Pustynna burza* ukazujące dotychczasowy przebieg wojny w Zatoce Perskiej, kupione w Fidżi u obrotnych Hindusów, którzy bezprawnie kompilowali reportaże CNN i sprzedawali je po sześćdziesiąt fidżyjskich dolarów za sztukę.

Wyjaśniłem urzędnikowi, że mam dość mały składany kajak, i opisałem go.

Ignorując moje wywody, facet wypełniał formularz opatrzony nagłówkiem „Królestwo Tonga” i w rubryce „Lista rzeczy” wpisał „1 łódź”, a w rubryce „Opłata brzegowa” – „Dwa *pa'anga*, czterdzieści *seniti*”. Dwa dolary. To mnie uspokoiło. Zapłaciłem w dolarach fidżyjskich, najporęczniejszej walucie, jaką miałem w portfelu.

Następnie na drukowanym formularzu oświadczyłem, że nie wwożę „napojów alkoholowych... owoców... mikroorganizmów... używanych rowerów... obscenicznych książek... nieprzyzwoitych fotografii... fajerwerków... trujących, obezwładniających ani łzawiących gazów”.

Nie posiadałem się ze zdumienia, jak krzepcy są Tongijczycy i jak brudny i ciasny mają dworzec lotniczy. Ten kontrast nieustannie zadziwiał mnie w Tonga – z jednej strony postawność i krzepa ludzi, z drugiej rachityczność lichych domostw i infrastruktury.

– Jaki jest cel pana wizyty w Tonga?

– Po prostu chcę się rozejrzeć – odparłem. – Trochę powiosłować.

Niemal wypnęło mi się, że zamierzam spotkać się z królem. Ostatecznie pragnąłem dotrzeć na północny archipelag Vava'u i rozbić obóz na którejś pustej wyspie, jakich nie brakuje w tym skupisku. Bawiąc natomiast na wyspie Tongatapu, pragnąłem przede wszystkim poznać osobiście Jego Wysokość Tāufa'āhau Tupou IV, króla Tonga.

Dowiedziałem się, że w uzyskaniu audiencji u króla mogą pomóc Salesi i Afu Veikune oraz ich znajoma, pani Vahu. Podobnie jak wielu innych Tongijczyków Afu spędziła kilka lat na Hawajach, gdzie pracowała w Honolulu jako służąca. Salesi był kierowcą w wypożyczalni samochodów Budget. W swoim autobusie miał tabliczkę z napisem: „Państwa uprzejmym szoferem jest Salesi Veikune”. Pani Vahu pracowała dla Budget w San Francisco.

Służące i szoferzy, też mi patroni! Ale tym byli w Ameryce. W Tonga mieli królewskie koneksje. Afu, mierna kucharka, która w Honolulu pichciła jaja po szkocku z mielonką wieprzową, wcześniej służyła jako dama dworu słynnej i uwielbianej królowej Salote, matki obecnego króla. Ojciec Afu piastował godność *tui*, czyli wodza, i posiadał rozległe dobra ziemskie. Syn państwa Veikune poślubił królewską kuzynkę. Sam król pojawił się na ślubie. Państwo Veikune przyjaźnili się z książętami i księżniczkami. Obecna królowa często odwiedzała ich dom. Nic nie szkodzi, że na Hawajach Salesi pracował jako szofer, Afu zaś jako służąca. W Tonga mieli wysoką pozycję, ziemię, władzę i tyle tłustych czarnych świń, ile nigdy przedtem nie widziałem chrząkających i kwiczących w jednym miejscu.

– Powinien porozmawiać pan z panem Mo'ungalua – poradziła Afu. Głównie ona ze mną konwersowała. Salesi, chociaż spędził wiele lat w Ameryce, nie lubił i właściwie nie umiał mówić po angielsku. Wynikało to

zapewne ze swoistego charakteru jego pracy. „W trakcie jazdy rozmowa z kierowcą zabroniona”, głosiła inna tabliczka w jego autobusie.

– Kim jest pan Mo’ungaloo?

– Sekretarzem króla.

– Oni nie pracować tera – wtrąciła pani Vahu. – Mieć lencz.

Z prędkością dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę jechaliśmy Tāufa’āhau Road, główną trasą wiodącą przez Nuku’alofę (Siedzibę Miłości). Po drodze z lotniska do stolicy minęliśmy dwadzieścia siedem kościołów mormońskich. W niektórych wioskach mieli dwa. No tak, prawdziwa Polinezja. Szosa upiornie wyboista i właśnie z tego powodu jechaliśmy tak wolno. W Tonga nikt nie jeździł szybko. Drogi były w opłakanym stanie. Zabudowa tak samo nędzna. Zaskakująco lichy wygląd stolicy królestwa skłaniał do wniosku, że w tym kraju musi wszystkiego brakować.

Ale bynajmniej nie brakowało. Miejscowi po prostu nie dbali o miasto, bo im na tym nie zależało. Mieszkańcy Tongatapu byli schludni i czysti, ale ich raczej pochmurne usposobienie sprawiało, że nie przykładali się do utrzymywania porządku. Tak, Nuku’alofa wyglądała nędzniej niż którakolwiek inna wyspiarska stolica, jaką odwiedziłem od czasu wizyty w Honiarze na Wyspach Salomona. Wcale nie tak dawno temu, chociażby podczas koronacji króla Tupou w 1967 roku, miasto mogło być naprawdę urocze, bo przecież i dziś wystarczyłoby odnowić murowane kościoły, drewniane sklepy i drewniany pałac królewski – jedyny taki pałac na świecie – żeby przywrócić mu czar. Tymczasem jednak stolica straciła wszelki powab. Wydawała się po prostu zapuszczona, ale tak samo jak wiele innych zapadłych miejsc na świecie miała wielką zaletę w postaci niewielkiego ruchu samochodowego.

W mieście nie widziało się śladu przemysłu. Wszystko spatynowane, zużyte. Nawet najbardziej niezwykła budowla, drewniany pałac królewski, wygląda w istocie jak kościół o przysadzistej wieży z widokiem na morze. W rzeczy samej chrześcijaństwo rozkwitło w Tonga dzięki przychylności monarchów. Z towarów dostępnych w sklepach na miejscu wytwarzano jedynie znaczki pocztowe. Pieniądze pochodziły z przekazów słanych przez Tongijczyków mieszkających w Meganezji – zwłaszcza w Auckland – i w Ameryce, głównie na Hawajach, gdzie Tongijczyków zatrudniają jako

służbę domową, ogrodników, w myjniach samochodowych i w firmach zajmujących się przycinaniem drzew. Ładne znaczki pocztowe i przekazy pieniężne z zagranicy stanowiły swego rodzaju awaryjne źródło zasilania również innych ubogich i eksportujących gastarbeiterów krajów Oceanii, takich jak Filipiny i Samoa.

Innym, zaiste osobliwym źródłem dochodów kraju jest sprzedaż paszportów. Wymyślił to pewien Hongkończyk, niejaki George Chen, którego król Tonga poprosił o radę w sprawie zwiększenia wpływów do skarbcza korony.

– Sprzedawajcie paszporty – rzekł pan Chen, świadom, że wielu jego ziomków przerażonych perspektywą włączenia Hongkongu do Chińskiej Republiki Ludowej w 1997 roku skwapliwie skorzysta z takiej okazji.

Za jedyne dziesięć tysięcy dolarów każdy bezpieczeństwa mógł zdobyć status Tongan Protected Person (TTP) i otrzymać paszport tongijski uprawniający do wyjazdu do któregośkolwiek kraju świata z wyjątkiem Tonga, gdzie TTP nie mogą się osiedlać.

Kiedy niektóre kraje przestały uznawać te dokumenty, powiadomiono o tym króla i zaoferowano nowy wzór tongijskiego paszportu do kupienia za dwadzieścia tysięcy dolarów (lub za trzydzieści pięć tysięcy w przypadku czteroosobowej rodziny). Nabywca tego dokumentu zostaje obywatelem królestwa Tonga i ma prawo się w nim osiedlić. Południowoafrykańczycy, Libijczycy, no i rzecz jasna liczni Hongkończycy chętnie kupują te paszporty. Uczyniła to Imelda Marcos, stając się tym samym obywatelką Tonga. Przez minione siedem lat sprzedaż tych dokumentów przyniosła trzydzieści milionów dolarów, ale i kryzys konstytucyjny. Rozzłoszczeni Tongijczycy protestowali na ulicach przeciwko kupczeniu obywatelstwem kraju, domagali się ograniczenia uprawnień króla (ponieważ Jego Wysokość aprobował ów proceder) i żądali informacji o tym, na co poszły zyski ze sprzedaży paszportów.

Bogactwo królestwa budują również gastarbeiterzy, tacy jak Afu i Salesi, którzy zarobili trochę dolarów za granicą i wrócili do ojczyzny, żeby żyć z kapitału, siedzieć pod drzewem i hodować świnie.



– To grobowiec królowej Salote – powiedziała Afu, wskazując w głąb zarośniętego pola, gdzie stało coś w rodzaju monumentu wojennego otoczonego żelaznym płotem.

Królowa Salote (czyli Szarlota) niemal przyćmiła Elżbietę II podczas jej koronacji w 1953 roku. Tamtego dnia lało. Zgodnie z tongijskim zwyczajem okazywanie szacunku polega na poniżeniu się przed osobą honorowaną – i pod żadnym pozorem nie wolno jej naśladować. Kiedy w trakcie jazdy do opactwa westminsterskiego zaczęło padać, lokaje Elżbiety podnieśli budę jej powozu. W innych powozach również podnoszono budy i wkrótce budy stały we wszystkich powozach w orszaku z wyjątkiem powozu królowej Tonga. Ogromna, majestatyczna Salote jechała niewzruszona odkrytym powozem w ulewnym deszczu, przemoczona i ociekająca wodą. Tym gestem na zawsze podbiła serca Brytyjczyków.

Tylko jedna osoba drwiła z królowej wysp, które niegdyś otaczała sława siedliska ludożerców, a mianowicie Noël Coward. Królowa Salote jechała powozem w towarzystwie znacznie od niej mniejszego dworzanina. „Kim jest ów towarzysz królowej Tonga?“, zapytał ktoś. „Jej obiadem“, rzucił Coward.

– Ale co mam powiedzieć panu Mo’ungaloo?

– Proszę powiedzieć mu, kim pan jest – odrzekła Afu. – Chce sprawdzić pana pochodzenie.

– A co chciałby odkryć w moim pochodzeniu?

– Miłe zecy – wtrąciła pani Vahu.

Na myśl o tym Salesi zachichotał jakoś szyderczo. Czyżby coś wiedział? Otyły, powolny, małomówny, o łagodnym głosie. Miał pięćdziesiąt osiem lat. Gdyśmy się tak telepali po dziurawej szosie, samochód się trząsł, a mata owinięta wokół bioder Salesiego chrzęściła niczym siano w pysku przeżuwiającej krowy. Owo chrzęszczenie wydało mi się osobliwie przyjemne. Chwilami przypominało odgłos chrupania ciasteczek.

Weszliśmy do małego, krytego czerwonym dachem budynku na kolejnym zarośniętym polu. Domek ów stał przed wysokim płotem pałacu królewskiego i mieściła się w nim kancelaria sekretarza. Weszliśmy wszyscy do środka, a moi towarzysze sprawiali wrażenie rodziców, którzy przyprowadzili swoją pociechę – czyli mnie – pierwszy raz do szkoły. Znaleźliśmy się w dużym

pomieszczeniu, gdzie przy biurkach siedziało kilku grubych mężczyzn w spodnicach, którzy rozprawiali żywo po tongijsku. W Tonga tusza jest niezawodną oznaką statusu społecznego. Nie miałem wątpliwości, że ci otyli mężczyźni są arystokratami. Wokół bioder mieli owinięte szeleszczące maty.

Chociaż Afu, Salesi i pani Vahu prawie mnie nie znali, gorąco zapewniali o moim nieposzlakowanym charakterze i w końcu pan Mo'ungaloa zgodził się mnie przyjąć.

– Tak?

Pan Mo'ungaloa był niskim okularnikiem gniezdzącym się w ciasnym gabinecie. Mało reprezentacyjne pomieszczenie jak na królewskiego sekretarza, ale w sumie przyjemniejsze od dużej kancelarii pełnej tubalnych grubasów.

– Pragnie pan spotkać się z królem?

– Bardzo – potwierdziłem i zacząłem opowiadać, jak to przed piętnastu laty poznałem w Londynie następcę tronu księcia Tupou'toa, który jest mniej więcej w moim wieku. Studiował w akademii wojskowej w Sandhurst. Grał na pianinie. Założył combo jazzowe pod nazwą The Straight Bananas (Proste Banany).

– Książę Tupou'toa pełni obecnie funkcję ministra spraw zagranicznych – oznajmił pan Mo'ungaloa. Skrzywił się, kiedy niewinnie wspomniałem The Straight Bananas.

Książę nadal był kawalerem i plotkowano, że często można go spotkać w jednym z klubów w Nuku'alofie, rzecz nietrudna do sprawdzenia, albowiem w stolicy działały raptem dwa kluby. Rodzina wierciła mu dziurę w brzuchu, że najwyższy czas się ustatkować i zadbać o dziedzica.

Na fotografii widziałem księcia w o wiele obszerniejszym mundurze niż ten, który nosił w czasach londyńskich. W gabinecie sekretarza wisiały również fotografie królowej Salote i dawniejszych królów Tonga – w tym pierwszego chrześcijańskiego władcy Jerzego Tupou I (ochrzczonego w 1831 roku) – i brytyjskiej rodziny królewskiej. Oprawiony w ramki list od prezesa japońskiej federacji karate stwierdzał po angielsku, że Jego Wysokość Tāufa'āhau Tupou IV otrzymał honorowo stopień siedem *dan*. Ekspozowano jeszcze inne hołdownicze listy, a także list od samej Betty, królowej Anglii,

w którym przedstawiano ją jako Władczynię Królestwa i Obrończynię Wiary i w którym zwracała się do Jego Wysokości.

„Bądźże pozdrowiony, drogi przyjacielu!”, zaczynał się ów list, co wydało mi się piękną formą grzecznościową. A więc tak zwracają się do siebie monarchowie. W owym liście królowa Anglii przedstawiała nowego ambasadora brytyjskiego, wysławiając jego zalety i osiągnięcia, a na koniec zaznaczała, że dzieje się to w „dziewiętnastym roku naszego panowania” (a więc w 1970), po czym następował podpis: „Wasza oddana przyjaciółka, Elizabeth R.”.

Dlaczego wyeksponowano ten, a nie którykolwiek inny z wielu listów Elżbiety? Woląłem nie pytać o to pana Mo’ungaloo. Usilnie starałem się go przekonać o czystości i powadze moich intencji.

Powiedziałem, że piszę książki. Że podróżuję po wyspach Pacyfiku. Zapytałem, czy czytuje „National Geographic”. Zdarza się, że goszczę na łamach tego pisma. Mówiłem, że poważnie interesuję się ludami Oceanii, ich wędrownkami (pan Mo’ungaloo stłumił ziewnięcie), ich sztuką i rzemiosłem. W swoim czasie uczyłem na uniwersytecie. Pan Mo’ungaloo wlepił we mnie szkliste spojrzenie. Niedawno zwiedziłem Fidżi, mówiłem, a przedtem Wyspy Salomona.

– Na którym uniwersytecie pan uczy?

– Kiedyś uczyłem – powiedziałem. – Och, na kilku.

– A obecnie gdzie pan pracuje?

– Obecnie nigdzie – wyznałem. – To znaczy, utrzymuję się z pisarstwa, ale nie mam pracy. To znaczy, posady. Och, to brzmi o wiele gorzej, niż wygląda w rzeczywistości – plątałem się.

Nie miałem jednak wątpliwości, jak to wygląda z jego punktu widzenia. Oto niezapowiedziany zjawia się ubrany w wypłowiałą koszulę, bezrobotny obcokrajowiec w średnim wieku, który podaje się za pisarza i prosi o audiencję u króla. Gdybym to ja był królewskim sekretarzem, wysłałbym gościa na drzewo.

O dziwo, pan Mo’ungaloo oznajmił, że król mnie przyjmie. O czym chciałbym porozmawiać z Jego Wysokością?

– Polityka nuklearna na Pacyfiku? Migracje polinezyjskie? Przyszłość turystyki?

Sekretarz wydawał się zadowolony.

– Jego Wysokość otwarcie wyrazi swoje opinie – rzekł konfidencjonalnie, po czym ustaliliśmy dzień i godzinę mojej audiencji.

**Po tym** jak państwo Veikune i pani Vahu bez wahania poręczyli za mnie, mówiąc, że dobrze mnie znają i że jestem wspaniałym człowiekiem, nie chciałem, żeby wszystko to było tylko naprędce skleconą fikcją. Postarałem się poznać ich bliżej. Opowiadali, że chociaż spędzili wiele lat w Stanach Zjednoczonych, zawsze pragnęli wrócić do Tonga.

– Wróciliśmy, bo tu jest nasze miejsce – oświadczyła Afu.

Pokazali mi fotografię Eskimosa. Ciemnoskóry, o lśniących policzkach patrzył zmrużonymi oczyma spod futrzanego kaptura. Ubrany w parkę stał przed oblodzonym i ośnieżonym płotem. Czy to Jerry Amlaqachapuk, Inuita? Nie.

– To nasz syn. Mieszka na Alasce – powiedziała Afu. – W Ketchikan.

– Bardzo tam zimno – wyszeptał Salesi. – Ja nie lubi.

Pani Vahu, kobieta pulchna, bardzo wesoła i zaledwie trzydziestopięcioletnia, miała sześcioro dzieci w wieku od trzech do czternastu lat. Wszystkie urodziła w Stanach, więc miały paszporty amerykańskie, lecz mimo to postanowiła wrócić do ojczyzny.

– Wróciłam, bo chcę, żeby moje dzieci poznały *faka tonga*, nasz język i obyczaje. Tu jest drożej i mało pracy. Ale tak jest lepiej dla nich.

Wcale się nie dziwiłem, że wrócili. Powszechnie wiadomo, że spośród wszystkich mieszkańców wysp Pacyfiku właśnie Tongijczycy najgorzej się adaptują do obcej kultury – pracy, napięcia, terminów, nastrojów i sposobu życia – i że ogromna większość tongijskich emigrantów zarobkowych wraca do ojczyzny. Krewnym, którzy przewidująco zostali w domu, opowiadają straszne historie o Nowej Zelandii, Australii, Ameryce. Tonga to Tongijczycy. Wyspy te nie zostały nigdy skolonizowane ani podbite w żaden inny niż ów głęboko wieloznaczny sposób, w jaki udało się to misjonarzom

chrześcijańskim. Polegało to na piętnowaniu zła i nagości, solennym zapewnianiu krajowców, że są grzesznikami, a ciało to siedlisko żądź wszetecznych, i na krzewieniu owego upartego i dość komicznego zakłamania, jakie kultywują ludzie bogobojni.

Tongijczycy nie znają świata, a świat nie zna ich. Nawet o ich królu, jednym z ostatnich monarchów absolutnych na świecie, gdzie indziej wiedzą tylko tyle, że jest bardzo gruby. Kiedy o nim wspominają, to po to, żeby powiedzieć, ile waży. Równie dobrze za najważniejszą cechę królowej Anglii można by uznać jej niski wzrost i za każdym razem podkreślać, że Jej Wysokość Królowa Elżbieta mierzy zaledwie metr pięćdziesiąt siedem. Niewielu obcokrajowców mieszka na tych wyspach i prawie że nie odwiedzali ich turyści. Jeżeli już ktoś przyjechał, dziwił się, że stolica królestwa to w gruncie rzeczy zapyziała dziura, i zde gustowany prędko wyjeżdżał. Właściwie nigdy nie czułem się tak niemile widziany, jak wtedy gdy meldowałem się w International Dateline, który uchodzi za najlepszy hotel w Nuku'alofie. (W mniejszych brudnych hotelikach nie mieli wolnych pokoi). Sam wnosiłem bagaże, w tym wielkie torby z kajakiem, chociaż w holu roiło się od postawnych pracowników obsługi. Kiedy poprosiłem, żeby ktoś zaprowadził mnie do pokoju, recepcjonistka prychnęła, pokazała palcem w stronę schodów i krzyknęła:

– Na górę! Dadzieścia czy! Czećcie pietro! – jak gdybym był imbecylem.

Kiedy opowiadałem o tym ludziom znającym Tonga, tłumaczono mi, że Tongijczycy wręcz słyną z nieuczynności, o ile nas nie znają, a jeżeli nas znają, to traktują jak członków rodziny. Cóż, nie uśmiechało mi się zostać członkiem rodziny, ani w Tonga, ani gdziekolwiek indziej.

W Tonga niewiele wiedzą o szerszym świecie i mało się nim interesują, nie licząc najgorszych przejawów masowej kultury, czyli muzyki rockowej i tak zwanych filmów akcji (w Tonga nie ma jeszcze telewizji). Obcy wzbudzają w Tongijczykach ni to litość, ni to lekceważenie, jak gdyby byli już to nędznikami, już to frajerami, którzy urabiają sobie ręce po łokcie. Tongijczycy cieszą się sławą wytrawnych złodziei, zręczniejszych nawet od mających wyjątkowo lepsze palce Samończyków, i rzeczywiście właśnie w Tonga padłem ofiarą poważniejszej kradzieży, albowiem zwędzono mi porządne

pióro, walkmana i wart trzysta dolarów kowbojski pas ze srebrną kłamrą. W stosunku do siebie nawzajem Tongijczycy żywią znacznie bardziej złożone uczucia – odmienne od tych, z jakimi się spotykałem na innych wyspach Pacyfiku. Dość szybko po przyjeździe do Tonga wyczułem, że miejscowi patrzą na siebie nawzajem z dozą zawiści i podejrzliwości, a także zauważyłem postawę, jakiej nie widziałem nigdzie indziej na wyspach Pacyfiku, a mianowicie wyniosłość.

– Honolulu to miłe miasto – stwierdziła Afu. – Dobra praca, dobre pieniądze. Jest tam mnóstwo Tongijczyków.

Nie zaskoczyła mnie ta opinia. Wiadomo, że Tongijczycy nie są w stanie żyć ani pracować w miejscu, gdzie nie ma ziomków.

– Ale Kalifornia to co innego – westchnęła smętnie pani Vahu.

– Nie podobają się pani? – zapytałem.

– Cóż, w Los Angeles, przykro powiedzieć, roi się od kolorowych – rzekła. – Po prostu są wszędzie. Przesiadują. Gapią się na człowieka. Och, można się wystraszyć! Sterczą wszędzie. Tylu kolorowych!

Przypuszczałem, że śmieszne snobizmy i uprzedzenia rasowe, jakie dostrzegłem w Tonga, są konsekwencją hierarchii klasowej, której szczyble najwyższe zajmują król i arystokracja, a której dno okupują bezrolni wieśniacy. Kiedy o to rozpytywałem, Afu rzekła, iż rzeczywiście mają tak ostre podziały klasowe, że każda klasa mówi swoim językiem. Dwór ma swój język i ci Tongijczycy, którzy mają szczęście rozmawiać z królem, muszą używać archaicznego języka, który różni się zasadniczo od języka pospólstwa. Ponadto arystokracja ma swój dialekt, całkowicie różny od tamtych dwóch.

– Potraficie rozpoznać arystokratę po wyglądzie?

– Znamy ich – odparła Afu. – Znamy ich dzieci. A jeśli mają przyjaciółki, które rodzą im dzieci, to je również znamy.

Afu chciała powiedzieć, że w Tonga nie brakuje bękartów – głównie nieślubnych dzieci arystokratów, ale czasem też królów. Niektórzy królowie Tonga mieli kochanki, które rodziły im dzieci. W ten sposób tak samo jak w Europie pojawiają się nieprawi potomkowie, którzy wszakże – inaczej niż w Europie – uzyskują niekiedy pełnię praw arystokratycznych. Jeżeli arystokrata ma jedno dziecko, córkę, której szanse małżeńskie nie wyglądają

dobrze, wobec czego pojawia się niebezpieczeństwo, że ród wymrze wskutek jej bezdzietności, sięga się po królewskiego bękarta. Wszyscy wiedzą, że chociaż urodził się z matki niskiego pochodzenia, ma w żyłach krew królewską, więc aranżuje się jego ożenek z ową jedynaczką. Jego dzieci odziedziczą tytuł teścia, choć bowiem jest bękartem, to w jego żyłach płynie wystarczająco szlachetna krew, o czym wszyscy wiedzą. W końcu arystokracja na wyspach liczących niespełna sto tysięcy mieszkańców to dość nieliczna elita. Przynależność do tej klasy nieraz oznacza darmowe obiady. W Tonga może to na przykład dać fotel w marionetkowym zgromadzeniu ustawodawczym, które w połowie składa się z arystokratów wyłanianych nie w wyborach powszechnych, lecz przez samą arystokrację.

Pospólstwo dość chętnie emigruje albo nawraca się na mormonizm, co często wychodzi na to samo.

– Wydaje im się, że jak zostaną mormonami, to wyjadą do Ameryki – powiedział mi jakiś Tongijczyk.

Ale nie są to płonne nadzieje. Wcale niemało nawróconych mormoni wysyłają do Salt Lake City w celu pogłębienia znajomości zasad religii. Ponadto trzeba przyznać, że mormoni dbają o swoje stada w samym Tonga, dźwigają wielu najbardziej potrzebujących, budują szpitale i szkoły, a także niezliczone kościoły świętych dni ostatnich, które nie wiedzieć czemu zawsze wyglądają jak bistra sieci Dairy Queen.

**Do audiencji** u króla miałem nadal prawie tydzień, wobec czego starałem się możliwie najlepiej wykorzystać pobyt w Nuku'alofie. To najbardziej ospały, brudny, rozlazły i jeden z najbiedniejszych portów na Pacyfiku. Honiara jest brzydsza, Port Moresby znacznie bardziej niebezpieczny, Papeete bardziej tandetne, Apia bardziej niechlujna i zniszczona, ale tongijski bezwład jest zaiste niezrównany – wręcz królewski w swoim rozleniwieniu. Tongijczycy nawet gdy przejawiają życzliwość, bynajmniej nie są skłonni do współpracy. Trudno na kogokolwiek liczyć, więc właściwie nie ma sensu snuć planów. Telefony nie działają, urzędy w godzinach pracy stały puste albo były zamknięte, a w niektórych mnie zbywano – po prostu nikomu nie chciało się

mną zająć. Żeby cokolwiek załatwić w Tonga, trzeba mieć niewyczerpane zasoby czasu i cierpliwości.

Próbowałem przygotować podróż na Vava'u, duży archipelag leżący w odległości około trzystu kilometrów od Tongatapu. Vava'u obejmuje pięćdziesiąt wysp, w tym wiele niezamieszkanymi, jak mnie zapewniano. Z Nuku'alofy na Vava'u można było płynąć statkiem, który kursował raz w tygodniu.

- Lepiej lecieć samolotem – stwierdził Salesi.
- Popłynę statkiem.
- Samolot jest lepszy.
- Wolę statek – rzekłem.
- Na statku się pan pochoruje.
- Nie sądzę.
- Ja zawsze choruję.

Dobrze znałem tę śpiewkę. W Polinezji rzadko kto nie narzekał, że okropnie choruje na morzu, niezależnie od długości podróży. Nawet podczas krótkich rejsów promem pomiędzy wyspami potomkowie rasy najlepszych żeglarzy rzygali jak koty.

Ustawicznie dziwiłem się wspaniałości cielesnej Tongijczyków. W trakcie tej podróży nie spotkałem bardziej pociągających dziewcząt i kobiet, nie tylko uroczych i zalotnych jak półnagie, płaskostope Melanezyjki, skore do przekomarzania się, śmiejące się głośno i gotowe dać sójkę w bok żartownisiowi. Tongijczycy zdecydowanie się wyróżniali, ujmowali szlachetnością rysów twarzy, elegancją ruchów i postawy, wielu w rzeczy samej sprawiało wrażenie arystokratów, książąt i księżniczek. Nawet ich rozleniwienie miało w sobie coś zmysłowego. Oczywiście nie brakowało pogodnych grubasów, wielkich pulchnych kobiet, ogromnych płetwonogich mężczyzn, bez wyjątku upasionych na peklowanej wołowinie marki Pacific, zawierającej mięso, tłuszcz, sól, sos „naturalny” i azotyny.

Mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi chodzili powoli i prości jak świece. Każdy nosił matę owiniętą wokół bioder, niekiedy nie szerszą od pasa smokingowego, chociaż czasem podobną do wielkiego dywanu okutanego na brzuchu, tak że ustrojona nim osoba wydawała się grubsza niż



w rzeczywistości. Owe maty bywały tak długie, że zwijały się i wlokły wystrzępione po ziemi.

W te dni przygotowań do podróży, które spędziłem w Nuku'alofie, miałem jednak przemożne wrażenie, iż nigdy przedtem nie spotkałem ludzi równie mało energicznych, cedzących słowa, nonszalanckich w sposobie bycia, obojętnych wobec rozkładu zajęć i mało przewidujących. Nieuważni, nieporadni, niezręczni. Wszystko leciało im z rąk, sprawy wylatywały z pamięci, nie dotrzymywali obietnic. Jeździli niesłychanie wolno – gdzie jeszcze na świecie ludzie tak robią?

Salesi przyjaźnił się z Alipatem. Oddał mi jakąś przysługę – w sprawie dotyczącej ziemi. W ramach rewanżu Alipate obiecał się mną zająć. Okazał się niechętnym do pomocy cwaniaczkiem. Bywało, że umówił się ze mną na spotkanie, bo potrzebowałem gdzieś jechać, po czym się nie pokazał. Tongijczycy są niemal tak samo wrażliwi na punkcie zachowania twarzy jak Chińczycy. Nie mogłem nawet wspomnieć, że mnie wystawił do wiatru. Musiałem udawać, że jestem wdzięczny jemu i Salesiemu za przysługę, której mi nie wyświadczyli. A jego niedotrzymanie obietnicy naprawdę komplikowało mi życie, bo musiałem wzywać taksówkę, co wcale nie jest łatwe w kraju, gdzie telefony prawie że nie działają. Święte latające lisy w Kolovai – czyli wiszące na pierzastych rzewniach, srające na potęgę rudawki tongijskie – zobaczyłem dzięki temu, że dotarłem tam na własną rękę, gdy Alipate wbrew obietnicy nie pojawił się, żeby mnie zawieźć.

– Spóźnimy się – powiedziałem któregoś dnia do Alipatego.

Jechaliśmy do biura linii lotniczych, bo odwołano kurs statku w przyszłym tygodniu i na Vava'u musiałem lecieć samolotem.

– Ta, ale oni też się spóźnią – wycedził Alipate.

Oto *faka tonga*, najczystszy styl tongijski.

Starając się nie marnować czasu, zainteresowałem się tongijskimi grobami. Nie miały one formy piramidy – czy to egipskiej, czy schodkowej – ani postaci eleganckiego kopca jak na innych wyspach Pacyfiku, lecz były niewielkimi wzgórkami ozdabianymi za pomocą wbitych w ziemię butelek po piwie. Grób babuni, grób mamusi, grób małej Taviti. Niektóre mogiły stały na okolonych płotem parcelach, osłonięte baldachimem albo ozdobione powiewającymi na

wietrze barwnymi gobelinami ukazującymi Jezusa, ostatnią wieczerzę, krzyż, a niżej – symetrycznymi rzędami puszek po piwie Foster’s albo czerwonych proporczyków i chorągiewek bądź łańcuszkami lamety. Wiele grobów przystrojono ozdobami choinkowymi, chociaż daleko było do Bożego Narodzenia. Mogiły widziało się wszędzie, przy drogach, na cmentarzach pełnych wielkich trzepoczących chorągwi i pogrzebowych butelek po piwie, a także na podwórkach małych chat, kiedy zmarłych grzebano przy domu. Niektóre grobowce zdobiono girlandami kitek, sztucznych kwiatów albo pęczków żółtych wstążek, inne okalano zarówno butelkami, jak i puszkami po piwie, a czasem zawieszano wokół dzwoneczki wiatrowe. Podobne zwyczaje grzebalne istnieją w niektórych regionach Chin, z tym że tam chorągwie i girlandy zdejmuje się po kilku dniach. Grobowce tongijskie ozdabia się na zawsze.

Gdzieniedzie widywałem coś w rodzaju miniaturowego domu na trawniku, budynek mający okna, który można by wziąć za luksusową budę dla psa. Ale nie były to psie budy, lecz mauzolea. Wewnątrz takiej budowli znajdował się grób.

Pewnego dnia, podczas gdy spacerowałem po okolicy, oglądając groby, ukradziono mi spodnie od pidżamy. Tymczasem przeniosłem się do innego hotelu, ale najwyraźniej kradli wszędzie. (A czyż okradanie gości hotelowych nie jest szczególnie obrzydliwą formą kradzieży? Złodzieje widzą, że człowiek wyszedł z hotelu, i mają mnóstwo czasu, żeby zabrać, co tylko chcą). Bardzo lubiłem te spodnie od pidżamy. Jedną z rozkoszy obozowania na wyspach polega na tym, że cały dzień można chodzić w spodniach od pidżamy.

Zaszedłem do trzech zakładów krawieckich w Nuku’alofie, żeby zapytać, czy uszyją mi kilka par spodni od pidżamy. Kobiety w tych zakładach beczynnie siedziały przy maszynach. Bynajmniej niczego nie szyły.

- Jesteśmy zbyt zajęci – odpowiedziano mi w pierwszym zakładzie.
- Szyjemy mundurki szkolne – usłyszałem w drugim.
- Proszę przyjść za miesiąc – powiedziano w trzecim.

Zawzięłem się jednak i w końcu znalazłem chętną szwaczkę z czeladnikiem, chłopcem, którego na modłę tongijską wychowywano jak dziewczynę. Dzieje się tak wtedy, gdy w rodzinie nie ma dziewczynek, a są potrzebne. O takim

chłopaku mawiają, że jest *fakaleiti* (jak dziewczyna), a ten, którego wtedy poznałem, okazał się uczynny, odpowiedzialny, kompetentny. Narodził się z szefową, która nie znała angielskiego. Tak, powiedział, w ciągu kilku dni uszyją mi dwie pary spodni od pidżamy. Chcą za to dwadzieścia dolarów.

Postanowiłem zawiesić osąd na temat Tonga, nie uogólniać na podstawie tego, co widziałem w Nuku'alofie. „Tonga jest sobą”, zanotowałem w dzienniku. Nie mają inwestorów, imigrantów ani historii okupacji przez obcych. Wcale nie życzą sobie oglądać cudzoziemców. Otwarcie zniechęcają ewentualnych rezydentów. Nie wydają nawet wiz turystycznych fidżyjskim Hindusom (Fidżi leży zaledwie o godzinę lotu odrzutowcem od Tonga), ponieważ obawiają się, że oni tu zostaną i splamią chrześcijański kraj islamem. Zastanawiałem się, czy na wyspach Pacyfiku jest jeszcze inny kraj, który w tym samym stopniu byłby sobą – równie jednolity etnicznie, językowo, pod względem obyczajów i sposobu życia.

A może już to się zmienia? Viliami Ongosia, który mieszkał w krzywej chatynce na przedmieściach Nuku'alofy, odszedł od metodyzmu na rzecz zielonoświątkowego Kościoła Zborów Bożych. Zapytałem go dlaczego.

– Bo ma więcej ducha – odparł. – Metodyści piją i nie robią tego, co mówią.

Zarzucał metodystom obłudę, chociaż nie użył tego słowa. Tego rodzaju chrześcijańskie religie ekstatyczne jak Zbory Boże zdobywają coraz większą popularność na wyspach Pacyfiku i nawet wyklęty kaznodzieja Jimmy Swaggart ma zwolenników na Efate w Vanuatu. Ludzie ci sprzedają kasety wideo z kazaniem tego starego dziwkarza i oczywiście zbierają datki.

Viliami, podobnie jak Salesi, był tak podatny na chorobę morską, że chociaż większość jego krewnych mieszkała w Vava'u, skąd pochodziła jego matka, nie jeździł na te wyspy. Statek oczywiście odpadał, a bilet samolotowy kosztował za dużo. Na Vava'u popłynął tylko raz.

– Pochorowałem się tak – opowiadał – że myślałem, iż umrę. Nie miałem siły podnieść głowy. Straszne.

Lubiłem słuchać historii o chorobie morskiej Polinezyjczyków. To coś w rodzaju odkrycia, że ludzie, których uważamy za ludożerców, są wegetarianami. Kiedyś Tongijczycy w rzeczy samej niemal dorównywali

Fidżyczykom pod względem ludożerstwa, ale w odróżnieniu od Fidżyczyków, którzy szczycą się ludożerczą historią, Tongijczycy starają się zapomnieć o tej karcie dziejów i w ogóle nie chcą o niej słyszeć.

W swoim czasie Viliami pojechał do Fidżi za pracą. Chociaż dobrze się rozumiał z Fidżyczykami, pracy nie znalazł.

– Fidżyczykcy są Melanezyjczykami, a pan polinezyjskim arystokratą – rzekłem.

Uśmiechnął się, wiedział, że ironizuję.

– Lubię ich. To dobrzy ludzie.

– A tamtejsi Hindusi?

– Nie rozmawiałem z nimi. Patrzyli na mnie, a ja na nich. Umieją oszczędzać.

– W jaki sposób?

– Noszą drugie śniadanie do pracy. Trochę curry. Nie chodzą do restauracji, nie wydają pieniędzy.

– Natomiast Tongijczycy przesiadują w restauracjach – drwiłem, patrząc mu w oczy. – W Nuku'alofie jest mnóstwo cudownych restauracji z pysznym jedzeniem.

Wzruszył ramionami.

– Ale nie nosimy drugiego śniadania w torebce – rzekł. Zastanowił się i ciągnął: – Jesteśmy zbyt leniwi, żeby gotować w domu. W ogóle nie oszczędzamy. No i Hindusi nie jedzą mięsa, ani wieprzowiny, ani wołowiny, ani koniny.

Wegetarianizm to oszczędność, nie tylko Tongijczycy tak myślą. To samo mówili Fidżyczykcy. Warzywa są tanie. Lwią część budżetu domowego na tych wyspach pochłaniały wydatki na mięso, a właściwie na nieprzyzwoicie drogą nowozelandzką peklowaną wołowinę w puszcze. Ale gdy tylko Tongijczycy mają pieniądze, od razu pragną wbić zęby w pieczoną wieprzowinę.

– Nie jedzą też psów, ci Hindusi – dodałem.

– Prawda. Nie jedzą psów.

– Ani owocożernych nietoperzy.

– Prawda. Nie jedzą nietoperzy.

Uśmiechnął się.

- Pan lubi nietoperze?
- Nigdy nie jadłem, Viliami.
- Smaczne.
- Nie wątpię – rzekłem. – W zupie?
- Nie. *Umu*.

Tak, podziemny piec nazywa się podobnie na wszystkich wyspach Pacyfiku.

– A psy? Gotujecie je czy pieczecie w *umu*?

– Zawsze pieczemy. Lubię psie mięso, ale nie lubię patrzeć, jak je ćwiartują. Nie chcę tego widzieć. Ale w piecu może być. Tak, smakuje mi psie mięso.

Siedzieliśmy nad morzem, na plaży, patrząc, jak kąpią się dziewczęta, czemu przyglądała się też grupka chłopców. W Tonga dziewczęta kąpią się w morzu całkowicie ubrane. Dziewczyna po prostu nie może pokazać się w kostiumie kąpielowym, bo to straszny grzech. A skoro mokre ubranie przylega do ciała, zdradzając kształty, dziewczęta kąpią się grubo ubrane, mając na sobie – dajmy na to – dwie bluzki, dwie spódnice i spodnie. Te, które obserwowaliśmy, krzyczały i niczym samobójczynie rzucały się z pomostu do morza, po czym, ociekające wodą, okutane we wszystkie możliwe ubrania, wdrapywały się nań z powrotem, a na ich szerokich pulchnych twarzach jaśniał uśmiech rozkoszy. Zaiste cud, że się nie potopiły.

Po chwili Viliami, który miał mocny akcent tongijski, powiedział coś, czego początkowo nie zrozumiałem.

– *Tocks putt not gets*.

Może to po tongijsku? Ach, nie, rzekł po prostu: *Dogs but not cats* (Psy, ale nie koty).

– To w ogóle w Tonga jada się koty? – zapytałem.

– Wielu ludzi w buszu je koty. Nie w Nuku'alofie, tu nie – odparł, jak gdyby odmawianie sobie potrawki z kota świadczyło o nie lada wyrefinowaniu – ale w buszu jedzą koty i mówią: *We eat gets!* (Jemy koty!).

W Tonga dużo rozmawiają o jedzeniu. Pewnego wieczoru, wracając do hotelu (bo z powodu okropnej obsługi przysiągłem sobie, że nie będę się w nim stołował), schroniłem się w bramie przed ulewnym deszczem. Podobnie postąpił mniej więcej trzydziestoletni Tongijczyk o imieniu Koli.

- Boll, podobają ci się nasze dziewczyny? – zapytał po chwili.
- Tak – odparłem. – A tobie podobają się amerykańskie dziewczyny?
- Nie, nie podobają mi się – rzekł po namyśle.

Nadal lało. Na ulicy istna rzeka, w dziurach woda po kostki, kanalizacja zatkana, nie sposób iść. Ulewa spowiła Nuku’alofę w ciemność.

- Boll?
- Tak?
- Smakuje ci nasze jedzenie?
- Masz na myśli psy, koty, konie i nietoperze?
- Wszystko.
- Właściwie nie próbowałem tych specjałów.
- Boll. Ty przychodzisz do mnie. Jesz nasze jedzenie. Moja żona gotuje.
- Może kiedyś – powiedziałem i pomyślałem: Być może źle ich oceniam. Być może są życzliwi, serdeczni i gościnni.

Najważniejsze jednak, że nigdy nie wydali mi się złośliwi. Uznałem, że są nieprzewidywalni.

**Tongijska** niedziela okazała się jeszcze bardziej drętwa od niedzieli fidżyjskiej. Zaczynała się w sobotę o północy, kiedy wszystko zamykano do poniedziałkowego ranka. O piątej rano rozbrzmiewały dzwony kościołów, a wkrótce potem rozlegały się żałobne zgoła pienia dochodzące z każdej kaplicy metodystycznej i każdej świątyni Wolnego Kościoła Wesleyańskiego<sup>[40]</sup>. Jeszcze o dziesiątej wieczorem w każdą niedzielę wierni znowu śpiewali ku chwale Pana. No i raz w ciągu dnia. W niedzielę Tongijczycy uczestniczą w trzech nabożeństwach i stanowczo potępiają każdego, kto tego nie czyni. Jeżeli człowiek chce w niedzielę ponurkować albo popływać w morzu, musi się wybrać na ustronną wyspę.

„Sabat – czytałem w urzędowej broszurze – trwa od północy w sobotę do północy w niedzielę i jest w Tonga dniem odpoczynku. Według prawa sabat jest dniem świętym, w którym nikomu nie wolno pracować, prowadzić żadnej działalności wytwórczej ani handlowej. Wszelkie umowy lub dokumenty

podpisane w sabat są nieważne i nie pociągają za sobą skutków prawnych. Uprasza się o niewystawianie czeków w sabat”.

W niedziele w Tonga nie lądują ani nie startują samoloty. Nie wolno bawić się ani kapać, a za naruszenie tych zakazów Tongijczykom grozi grzywna lub trzy miesiące więzienia.

– Czy mogę dzisiaj pobiegać? – zapytał w hotelu pewien delikatny Amerykanin.

Wykluczone, usłyszał, profanacja. Jeżeli ktokolwiek robił w niedzielę cokolwiek dla przyjemności, wybuchała straszna awantura. Ale ani w Tonga, ani gdziekolwiek indziej nie zauważyłem, aby uczestnictwo w trzech niedzielnych nabożeństwach, wysłuchanie trzech kazań, odśpiewanie cholera wie ilu hymnów i odmówienie mnóstwa modlitw sprawiało, że w poniedziałek ci nabożnisie postępowali lepiej niż w sobotę. Nic z tych rzeczy, spóźniali się tak jak zawsze, nie przepaszali, byli zawistni, bezczelni, leniwi, szyderczy, kłótlivi i tak samo okrutni w stosunku do swoich dzieci. Na mniejszych wyspach, gdzie mieli dwa kościoły, parafie te ze sobą walczyły.

Niby to są strasznie przyzwoici. Nigdy w życiu nie pokazaliby się w miejscu publicznym bez koszuli, co skądinąd jest w Tonga prawnie zakazane, tradycyjne maty mieli zawsze porządnie owinięte wokół bioder i ustawicznie podkreślali wierność *faka tonga*, czyli tongijskim obyczajom. Ale jakoś nie przeszkadzało im to pluć, kłąć, wrzeszczeć, szydzić z obcych, pogardliwie rzucać resztę w sklepie, no i wyniośle odmawiać wszelkiej pomocy. Korona by im spadła z głowy, gdyby pomogli mi dźwigać torby, w których nosiłem składany kajak.

– Często spuszczają powietrze z kół w moim wozie – pożalił się kapitan łodzi żaglowej, Nowozelandczyk, który od niedawna mieszkał w Nuku'alofie i zarabiał na wożeniu ludzi w niedziele na pomniejsze wyspy, gdzie mogli pływać w morzu, nie narażając się na nieprzyjemności. Kiedy kapitan wracał z wysp, na ogół stwierdzał, że za karę spuszczone mu powietrze z kół furgonetki. Kto to robił?

– Nabożnisie – rzekł krótko.

Tongijski odpowiednik muttawy, religijnej policji fanatyków saudyjskoarabskich, którzy oblewają farbą niezakwefione kobiety, a w swoim

czasie zapędzili mojego brata Petera na modły w meczecie, ponieważ na łamach gazety, w której pracował w Rijadzie, ukazały się zakazane horoskopy („szatańskie dzieło naiwnych niewiernych”).

Zabijając czas dzielący mnie od audiencji u króla, wybrałem się na niedzielną wycieczkę w towarzystwie Big Jima i chudego Dicka z żonami. Przyjechali z San Clemente w Kalifornii. Jim był emerytowanym handlarzem częściami samochodowymi. Rozmawialiśmy o suszy w południowej Kalifornii. Stwierdziłem, że władze powinny dostarczać wodę do każdego gospodarstwa domowego.

– Ależ to byłby socjalizm! – obruszył się Jim.

Czemuż to tylu republikanów krąży po świecie i propaguje swoją ideologię, a tak rzadko za granicą spotyka się Amerykanina, który potępi, dajmy na to, karę śmierci?

Dick wydawał się rozsądniejszy. Rozmawialiśmy o wojnie w Zatoce i o strzelaniu do rzutków. Żony zbierały muszle.

– Uwielbiają zbierać muszle – rzekł Jim. – Póki zbierają muszle, są szczęśliwe.

Wielu ludzi oddaje się tej przyjemności na egzotycznych wakacjach.

Przekonałem się, że Jim po prostu lubił walić prosto z mostu. Wydawał mi się raczej głupi i prostactwo mylił ze szczerością. Później przechodził obok mnie, kiedy jadłem, trzymając talerz na kolanach. Grzmotnął mnie w plecy, aż talerz podskoczył na podołku, i zawołał:

– Jak ci się podoba ten bajzel?

Oprócz nas w tej niedzielnej wycieczce brali udział Steve i Anne. Rozmawialiśmy o japońskich nowożeńcach spędzających miesiąc miodowy na Hawajach, bo właśnie stamtąd przyjechali.

– My też jesteśmy w podróży poślubnej – powiedziała Anne.

Nosili identyczne czapki baseballowe z napisem „Oregon”, chociaż pochodzili z Burbank w Kalifornii.

– To prezent od przyjaciela – wyjaśnił Steve.

Obydwoje drobni, wydawali się jeszcze skrępowani, jak gdyby nadal przywykali do siebie. Anne trajkotała, Steve rzekł, że jest typem introwertyka. Poznali się 30 października 1989 roku w chórze kościelnym, bo obydwójce



śpiewali. Około Bożego Narodzenia Steve wiedział, że chce poślubić Anne. Ona potrzebowała więcej czasu. W marcu następnego roku postanowili się pobrać. Wprawdzie nie odczekali roku, jak każą stare zwyczaje, ale czasy się zmieniły. W dwa tygodnie później odbyły się dwa śluby: jeden skromny, w sobotę w cerkwi prawosławnej, bo Anne, jak wyjaśniła, przeszła z metodyzmu na prawosławie, drugi okazały, w niedzielę, z udziałem stu pięćdziesięciu gości w kościele episkopalnym Steve'a. Ich chór śpiewał podczas nabożeństwa. Nazajutrz rano polecili do Honolulu, gdzie spędzili dwa dni w hotelu New Otani opodal Waikīkī, po czym – co Steve uważał za błąd – pojechali na hawajską ucztę w ośrodku Germaine's Luau.

– Jechaliśmy półtorej godziny autobusem, co okazało się nieco męczące – wspominał Steve, mówiąc cicho i bez cienia złości. Był niskim mężczyzną o bardzo łagodnym usposobieniu.

– Przez całą drogę ton nadawali inni pasażerowie.

– Czyli kto? – zapytałem.

– Australijska drużyna rugby – powiedział tak samo cicho i spokojnie. – Upili się.

– Dobry Boże! – zawołałem, a widząc, że się uśmiecha, być może wspominając mękę wysłuchiwania piosenek rugbistów, zapytałem: – Czym się zajmujesz, Steve?

Odchrząknął, poprawił nieco za dużą czapkę baseballową i powiedział:

– Jestem astrofizykiem cząstek.

To samo wypisano na wizytówce: „Stephen E. Kellogg, astrofizyk cząstek”, adres w Pasadenie, adres (laboratorium) w Caltech i krótki cytat z Whitmana: „Wierzę, że źdźbło trawy nie mniej znaczy niż mozolny trud gwiazd”<sup>[41]</sup>.

– Czy to coś w rodzaju twojej dewizy?

– Tak.

– Zobaczyc świat w ziarenku piasku, / Niebiosa w jednym kwiecie z lasu. / W ściśniętej dłoni zamknąć bezmiar, / W godzinie – nieskończoność czasu<sup>[42]</sup> – powiedziałem.

– William Blake, prawda?

– Tak mi się zdaje.

– Znam francuski – mówiła tymczasem Anne. – We Francji brano mnie za rodowitą Francuzkę. Tak dobrze mówię w tym języku. Tak, mam słuch.

– Ja mam kłopot z angielskim – oznajmił Jim z San Clemente.

Rzeczywiście. Na przykład zamiast *film*, mówił *fillum*. *Nucular* zamiast *nuclear*.

– Jakimi zagadnieniami astrofizyki cząstek się zajmujesz? – zapytałem Steve'a. – Może uogólnieniami Stephena Hawkinga na temat natury wszechświata? *À propos*, słyszałeś, że od Hawkinga właśnie odeszła żona? Nie do wiary. Facet jest geniuszem, powolutku się rozpada w fotelu na kółkach, a ona wstaje i wychodzi!

– Jesteś żonaty? – zapytała Anne.

– Nie. Wstałem i wyszedłem – powiedziałem. – Coś w tym rodzaju.

– Hawkinga interesują wielkie pytania – rzekł Steve. – Ja zajmuję się cząsteczkami. Drobinkami. Ale zawierają wszystko to, z czego składa się nasze życie: hel, tlen i tak dalej.

– Tłumaczył mi to na pierwszej randce – wtrąciła Anne.

– Prowadzisz badania? – dociekałem.

– Tak – odparł i zmarszczył brwi. Czapkę miał przekrzywioną, koszula wyłaziła ze spodni. – Głównie nad nukleosyntezą tantalu 180.

Musiałem wydać się niezbyt lotny, a w każdym razie nie wiedziałem, co powiedzieć.

– To najrzadszy z trwałych izotopów – dodał Steve.

– No jasne.

– Próbujemy odkryć, jak powstał – powiedział Steve i uśmiechnął się ironicznie, jak to nieraz robią naukowcy. – Tymczasem odkryliśmy, jak nie powstał.

– Tantal 180? – upewniłem się.

– No.

– Chyba pada, Dick – powiedział Jim.

Kiedy dopłynęliśmy na wysepkę Atata, jakieś trzynaście kilometrów od Tongatapu, zajęliśmy się nurkowaniem. Potem zjedliśmy lunch. Padało. Zajrzeliśmy do sklepów z pamiątkami. Poczta, koszulki z napisem: „Tonga – Raj na Pacyfiku”.

– Steve, mógłbyś pożyczyć mi krawat? – zapytałem w drodze powrotnej. – Muszę spotkać się z królem.

– **Potrzebuje** pan garnituru na spotkanie z królem – orzekła Afu wieczorem w przeddzień audiencji. Ciemny, cokolwiek mormoński krawat od Steve’a Kellogga też jej nie zachwyił. Stwierdziła, że Salesi pożyczą mi coś bardziej odpowiedniego.

– Nie mam garnituru – rzekłem.

Jedną z zalet podróżowania po wyspach Pacyfiku polega na tym, że garnitur i krawat są w zasadzie zbędne. Co prawda w niektórych restauracjach wymagają krawatu, ale śmiało można zakładać, że w takich przybytkach – gdzie nawet w dzień zapalą świece na stole – podają potrawy pretensjonalne, wymęczone, skandalicznie drogie i odpowiednie tylko dla nowożeńców.

– Ale ma pan wizytową marynarkę?

– Nie mam żadnej marynarki – odparłem. W końcu zazwyczaj było tam przeszło trzydzieści stopni Celsjusza w cieniu.

– Niech pan przymierzy marynarkę Salesiego – zaproponowała Afu.

Salesi to niski, krępy facet. Ja nie jestem niski ani krępy. W lśniącej, za szerokiej marynarce wyglądałem jak menel. W tej śmiesznej marynarce i z wyszukanie zawiązanym krawatem wyglądałem jak szurnięty menel.

Przymierzyłem jedno i drugie, żeby dogodzić Afu. Była zde gustowana i zrezygnowana. Popatrzyłem z politowaniem na swoje odbicie w lustrze.

– Nic więcej nie da się zrobić – stwierdziła Afu.

– Wyglądam jak mormon – orzekłem.

Afu i Salesi zaprosili mnie na kolację do siebie do domu – „na farmę”, jak mawiali. Wspomnieli o kolacji, tymczasem nie podali jedzenia. Przesiedzieliśmy godzinę albo i dłużej przy oranżadzie, oglądając zdjęcia z wesela ich syna, wszystkie siedem albumów. Musiało to być wielkie wydarzenie, o czym przekonywały mnie zawoje z misternie plecionych mat, a zwłaszcza liczne pieczone świnię. Zwróciłem uwagę na świnię.

– Chce pan zobaczyć świnię? – zapytał Salesi.

Wyszliśmy z domu. Świnie nie spały. Pod jednym drzewem naliczyłem trzydzieści trzy większe i mniejsze tuczniaki. Niektóre z nich przypominały dzikie świnie, jakie widziałem w Hopevale, rezerwacie Aborygenów na wybrzeżu Queenslandu – tak samo włochate, wąskouchy i z wielkimi ryjami.

– Tak, pochodzą od dzikich świń – potwierdził Salesi.

– A więc mają tu państwo coś w rodzaju świńskiej farmy?

Świnie chrząkały, piszczały, sapały. Trykały się łbami. Truchtały z jednego spłachcia trawy na drugi. Chłęptały wodę z kałuż. Przepychały się, to wbiegając do szopy pod drzewem, to wybiegając z niej.

– Można tak powiedzieć – rzekł Salesi. – Zjadamy je. Sprzedajemy.

– Sam pan je zabija?

– Tak – smętnie potwierdził Salesi. – Ale nie lubię tego robić. Świnia potrafi być przyjacielem.

Dołączyła do nas Afu.

– Śpią w tej szopie? – zapytałem.

– Czasami – odparł Salesi.

– To był nasz pierwszy dom – powiedziała Afu.

Nędzna, zbita z desek szopa. Nie rozebrali jej, żeby przypominała o dniach, kiedy walczyli o przetrwanie. Pobrali się wbrew woli rodziców, więc na początku mieli wielkie trudności.

– Jak się poznaliście?

– W pałacu – powiedziała Afu.

– Zakradałem się, żeby z nią rozmawiać – dorzucił Salesi.

Afu miała wtedy osiemnaście lat i służyła jako dama dworu królowej Salote.

– Królowa była bardzo zła, że wyszłam za Salesiego. Nie wiedziała, że on mnie odwiedza. Po prostu powiedziałam, że wyszłam za męża. A ona wybrała mi innego kawalera, wykształconego. Wybrała narzeczoną dla Salesiego, też wykształconą...

Uznałem, że królowa Salote chyba zanadto się wtrącała, chciała o wszystkim decydować i może nawet manipulowała ludźmi. Afu to potwierdziła. Cóż, Salote była przecież monarchinią absolutną. Pilnowała,

żeby Afu nauczyła się zajęć związanych z prowadzeniem domu, sprzątaniam, cerowania, szycia ubrań.

– Nie wierzyła, że będę szczęśliwa – wspomniała Afu i nagle się rozpromieniła. – Szkoda, że nas nie widzi. Szkoda, że nie widzi, jacy jesteśmy szczęśliwi.

Afu opowiedziała anegdotę o tym, jak królowa Salote podbiła serca Brytyjczyków, okazując szacunek Elżbiecie w trakcie jej koronacji.

– Kiedy osoba ma parasol, to żeby okazać jej szacunek, mokniemy – tłumaczyła. – Kiedy siedzi na krześle, siadamy na podłodze.

Potem przytoczyła szczegóły, o którym nikt inny nie wspominał. Królowej Salote towarzyszył inny zagraniczny dygnitarz, w powozie nie jechał z nią „jej obiad”, lecz głowa innego państwa.

– Nie pamiętam, z jakiego był kraju – opowiadała Afu. – Nie znał dobrze angielskiego. Zawołał tylko: „Up! Up!”, żeby podnieśli budę. Ale królowa nie pozwoliła. Bardzo się zezłościł!

W końcu, dość późno, zjedliśmy kolację. Kurczaka, taro, maniok i przepyszna zieloną zupę z liści taro na mleku kokosowym, samoński przysmak zwany *palusami*. Kurczaka przywieziono z Ameryki. Większość kurczaków sprzedawanych na wyspach Pacyfiku przywożą z Ameryki, a ściślej mówiąc, z Tyson’s Chicken Farm w Arkansas. Nawet na dalekich Markizach, bodaj w najbardziej zapadłym zakątku świata, te kurczaki są tańsze od krajowych.

Afu opowiadała o latach spędzonych na dworze królowej Salote, o podróżach z królową, o humorach władczyni.

– Czasem udawała, że się gniewa, żebyśmy się jej bały.

W Nowej Zelandii ludzie rozpoznali królową i machali do niej jak do znajomej. Afu się przeraziła.

– Obudźże się, Afu, pomachaj im! – odezwała się srogo królowa.

– Machałam więc – ciągnęła Afu. Zrobiła głupiotką minkę jak u małej dziewczynki i pomachała ręką – Witam! Witam!

Zanim się pożegnałem, Afu jeszcze raz wyraziła żal, że królowa nie zobaczyła, jak są szczęśliwi. Salote była jednak schorowana. Cierpiała na cukrzycę.

– Nie mogła jeść wieprzowiny.

Królowa szanowała rodziców Afu i Salesiego. Stareńka matka Afu pokasływała w pokoiku przylegającym do jadalni, gdzie siedzieliśmy. Ojciec Salesiego dzierżył prawdziwą władzę.

– Jest wodzem. Ma ziemię – mówił Salesi. – Daje ziemię ludziom i potem nic nie robi. Upatrz sobie drzewo, położy się pod nim i śpi.

– Ludzie przynoszą mu jedzenie – ciągnął Salesi. – Nic nie robi.

– To dobrze? – zapytałem.

– Też bym tak chciał – wyznał Salesi.

**Właśnie** to najbardziej rzuca się w oczy w Tonga. Tradycyjny system klasowy, podział na arystokrację i pospólstwo, właścicieli ziemskich i chłopstwo. Pierwsi Europejczycy, którzy dotarli do Tonga, również zwracali uwagę na rozwarstwienie społeczne i usilne – a mimo to zwykle daremne – starania pospólstwa o to, żeby zadowolić arystokratów. Arystokracja gardziła pospólstwem. Czemuż miałyby postępować inaczej? Przecież nigdy nic się nie zmieni. Nawet kapitan Cook, który dobrze znał konwenanse i lizusostwo dworu angielskiego, był zdumiony służalczością Tongijczyków i opisywał, jak plebejusze na widok arystokraty kłaniali się tak nisko, że niemal padali mu do nóg.

Wkrótce przychodziła moja kolej.

**Z samego** rana w dzień audiencji poszedłem przed pałac, żeby spojrzeć na maszt. Nie wywieszono królewskiego sztandaru, a zatem król był nieobecny. Pomyślałem, że audiencja może nie dojść do skutku.

Grupka żołnierzy uzbrojonych w atrapy karabinów odbywała musztrę opodal pałacowych armat. Tonga ma bodaj najgorzej wyszkoloną armię wśród wyspiarskich krajów Pacyfiku, i to liczącą nie więcej niż dwustu żołnierzy. W porównaniu z tym Fidżi zakrawa na supermocarstwo. W rzeczy samej żołnierze fidżyjscy biorą udział w misjach pokojowych ONZ i wykazali się

odwagą i zaradnością, służąc w siłach rozjemczych w konflikcie izraelsko-palestyńskim. Armia tongijska w żadnym razie nie byłaby do tego zdolna.

Zapytałem prowadzącego musztrę sierżanta o króla.

– Król przyjeżdża do pałacu tylko w interesach. Mieszka w Fua’amotu, niedaleko lotniska.

Do czasu gdy ubrany już w marynarkę Salesiego i mormoński krawat Steve’a zjawiłem się znowu przed pałacem, wciągnięto sztandar na maszt, ale nie powiewał. Zwisał smętnie w bezwietrznym dusznym upale.

Spocony wszedłem do kancelarii królewskiego sekretarza, gdzie na tablicy wypisano kredą moje nazwisko, a pod nim krótką charakterystykę: „Pisarz, były profesor uniwersytetu”. Skierowano mnie do poczekalni, pełnej krzesel obitych czerwonym pluszem i przeszklonych szaf zawierających opatrzone etykietkami eksponaty i przedziwne pamiątki. Stary sekstant, chrząszcz rohatyniec nosorożec zatopiony w plastiku, bambusowa laseczka, „Laska spacerowa króla Tāufa’āhau I (1797–1893)”, pięć piórek wetkniętych w kawałek porowatego koralu, „Ozdoba, którą królowa Salote nosiła podczas koronacji Elżbiety II”, posrebrzana łopata, czarna pałka opisana jako „Pałka wojenna”, fotografie ukazujące jak gdyby oszołomione osobistości królewskie, wreszcie bezładny stos brudnych skorup, „Porcelanowe skorupy znalezione na terenie szpitala w Haveluloto, 1969”.

Szaf nie zamykano. Kiedy to odkryłem, odczułem pokusę, żeby zwędzić któryś z eksponatów – cokolwiek – jako rekompensatę za wszystko, co mi ukradziono w Tonga. Już otwarłem na oścież drzwi szafy, w pełni zdecydowany coś świsnąć, gdy usłyszałem odgłos kroków – głośny jak od podkutych butów.

– Pan Paul?

Stał przede mną oficer.

– Jestem adiutantem Jego Królewskiej Mości. Proszę mówić mi Joe. Jak się wymawia pana nazwisko?

Powiedziałem mu.

– Pytam, bo muszę pana zaanonsować – wyjaśnił.

Przeszliśmy przez wysokie trawy i chwasty rosnące za ogrodzeniem pałacu, a potem przez otwartą na oścież bramę i znowu przez wysokie trawy jeszcze

mokre od porannej rosy.

Przed frontowym portykiem stał nowy mercedes króla. Joe powiódł mnie obok samochodu do sali na parterze po prawej, gdzie stał długi kredens i duży ciężki stół. Najwyraźniej niegdyś sala ta służyła jako jadalnia. W oczy rzucały się od razu liczne prezenty, opatrzona inskrypcją kryształowa waza do ponczu, klucz oprawiony w ramki, miniaturowa tajska świątynia, lampa z etykietką, obrzędowy sztylet, miecz samurajski i duża oprawiona fotografia wysp Tonga widzianych z perspektywy orbity okołoziemskiej, opatrzona długą dedykacją i skreślonym niepewną ręką ignoranta podpisem Ronalda Reagana.

U szczytu stołu stał fotel podobny do tronu. Joe wskazał mi krzesło obok. Ze zdziwieniem spostrzegłem, że jest tak samo wysokie jak tron, bo przecież uprzedzono mnie, iż ze względu na szacunek należny królowi zostaną posadzeni niżej. Siadłem i ćwiczyłem pokorne kulenie się.

Wkrótce z korytarza dobiegło sapanie i szuranie. Miałem wrażenie, jak gdybym znalazł się w porządnie umeblowanym pensjonacie. Drewniane boazerie, lakierowane poręcze i schody, fotele, papierowe serwetki imitujące koronki. Nawet zapach starego hoteliku.

W czarnej bombazynowej spódnicy, w zapiętej pod szyję koszuli podobnej do bluzy, przewiązany w pasie misternie splecionymi sznureczkami, człapiący o laskach król wyglądał wypisz wymaluj niczym władcza i ekscentrycznie ubrana gospodyni pensjonatu. W każdej z rąk aluminiowa laska, w każdej z dwóch kieszeni na piersi para okularów, na obydwu nadgarstkach złoty zegarek – wszystko podwójne. Ale szczegóły stroju były niczym wobec monstrualnej postury.

Pewnego dnia w Suvie, którą nazwał „miastem białych ludzi”, Mark Twain doszedł do wniosku, że „w Fidzi, podobnie jak na wyspach Sandwich, rodzimi królowie i wodzowie górują niepomiernie wzrostem i tuszą nad plebejuszami”. Twain śmiało mógł być dodać, że tak samo jest w Tonga, gdzie do dzisiaj ten stan się utrzymuje.

Właściwie każda wzmianka o Tonga zawiera odniesienie do tuszy króla. Zwraca się na nią uwagę w przewodnikach. „Obecny król Tonga, Taufa’ahau Tupou IV, jest bodaj najpotężniejszym (a i najtęższym!) monarchą świata”. „Król Tonga słynie na całym świecie z racji wielkiego obwodu w pasie”



(*Lonely Planet Guide to Tonga* [Lonely Planet. Przewodnik po Tonga]). „Obecny monarcha jest olbrzymem mierzącym metr dziewięćdziesiąt i ważącym dwadzieścia dwa kamienie (czyli sto czterdzieści kilogramów)” (*South Pacific Handbook* [Południowy Pacyfik. Zarys encyklopedyczny]). Tuszę króla odnotowują autorzy książek podróżniczych. Na przykład w *Cruising in the Friendly Isles* [Wędrówki po Wyspach Życzliwych] czytamy: „Król Tonga waży trzysta siedemdziesiąt pięć funtów (sto siedemdziesiąt jeden kilogramów)”. Prasa zagraniczna oczywiście serwuje czytelnikom tę ciekawostkę. Na przykład 31 marca 1991 roku w „*South China Morning Post*” w artykule na temat Tonga w kontekście króla nie omieszkało zaznaczyć, że „w swoim czasie ważył dwieście dziesięć kilogramów”.

Rzeczywista waga króla (a najwyraźniej nikt jej nie znał) wydawała mi się całkiem nieistotna. Był ogromnym, powolnym, powłóczącym nogami mężczyzną o twarzy, która z powodu opadających powiek i monsturalnej zuchwy przypominała wielkie żabie oblicze niektórych starożytnych polinezyjskich *tiki*. *Tiki* to rzeźba, ale także bóg – największy bóg Oceanii. Monarchów tongijskich tak samo jak choćby monarchów angielskich uważa się za pomazańców bożych. Tonga to królestwo wielkich mężczyzn, a skoro ten mężczyzna był największy ze wszystkich, od razu widziało się, że jest królem. Nie ginął w tłumie. Powierzchniowo tusza czyniła zeń osobistość nieco karykaturalną, coś w rodzaju wyspiarskiego wcielenia Jabby z *Gwiezdnych wojen*. Ale w głębszym sensie właśnie tusza sprawiała, że miał w sobie coś z herosa. Nigdy przedtem nie zetknąłem się z człowiekiem obdarzonym tak wielką władzą polityczną i jednocześnie tak potężnym fizycznie.

Tongijczycy na ogół wydawali mi się osobliwie bierni i często zbywali pytania pogardliwym uśmieszkiem. Natomiast król odznaczał się monumentalnym spokojem, a jednocześnie inteligencją i wrażliwością, jakich nie dostrzegłem u żadnego innego Tongijczyka. Ich milczenie przypominało bezruch jaszczurki czatującej na owada. Milczenie króla nie miało w sobie żadnej tego rodzaju drapieżności. Kojarzyło się z niewzruszonością, jak gdyby był tytanem dobrotliwie spoglądającym na ludzi. Król odznaczał się również pewną orientalną wyniosłością, dystansem wobec świata, i chwilami w trakcie naszej rozmowy sprawiał na mnie wrażenie sułtana czy cesarza,

jakiegoś wschodniego potentata. Nie wątki owoc małżeństw krewniaczych, jak to się zdarza w Europie, lecz okaz większy i silniejszy, król ludożerców i kokosów, władczy w czysto fizycznym sensie.

Uścisnąłem wielką, ciepłą rękę króla, a gdy powiedział: „Siądźmy”, zrozumiałem, chociaż wskutek wielkości zuchwy albo wady wymowy słowo to właściwie nie wydobyło się z jego ust.

– Znany jest z małomówności, a nawet jako milczek – powiedział mi dzień wcześniej mieszkający na stałe w Nuku’alofie Australijczyk.

Znajdowałem się wystarczająco blisko króla, żeby dostrzec, że obydwie zegarki na jego rękach wskazywały ten sam czas.

Na dowód szczerości moich intencji przyniosłem królowi jedno z moich dzieł. Wręczyłem mu książkę, mówiąc, że jestem jej autorem. Król wziął ją w pulchne ręce, wielkie niczym rękawice baseballowe. Palce i opuszki miał zbyt grube, żeby przewracać kartki. Książka wydawała się maleńka w jego rękach, ale nie mógł jej nawet przekartkować. Zbyt subtelne zadanie dla potężnych palców monarchy.

Wygłosiłem krótkie przemówienie, wyrażając wdzięczność za gościnne przyjęcie w królestwie Tonga.

Być może zwiedziony leniwym spojrzeniem żabich oczu odniosłem wrażenie, że śmiertelnie nudzę Jego Wysokość. Upłynęło kilka minut, a jedynym słowem, jakie wypowiedział, było owo „siądźmy”.

– W latach dziewięćdziesiątych XIX wieku – ciągnąłem – hawajski król Kalākaua powziął ideę zawiązania federacji wyspiarskich narodów Pacyfiku, stworzenia wielkiej wspólnoty podobnie myślących ludzi. Oczywiście nigdy nie zostało to urzeczywistnione. Czy tego rodzaju idee interesują Waszą Królewską Mość?

Natychmiast pomyślałem, że być może powinienem użyć formy „Wasza Wysokość”.

– W rzeczy samej zainicjowałem coś takiego – odparł król – chociaż nie w zakresie całego Pacyfiku, lecz tylko Polinezji.

Nie myliłem się, podejrzewając wadę wymowy. Król sepleniał przy „s” i grupach spółgłoskowych. Ledwo poruszał wargami. Słowa rezonowały w ustach, a niektóre jakby się przylepiały do języka. W rezultacie królewska

mowa przypominała powarkiwanie, jak gdyby ktoś protestował z gębą pełną tłuczonych ziemniaków. Może cierpi na rozszczep podniebienia? Z pewnością mówił z niejakim trudem. Jakoś rozwlekłe i niewyraźne – nie z powodu akcentu, lecz wysiłku związanego z artykulacją. Zniekształcone słowa, zdania bełkotane na jednej nucie. Nie rozumiałem jego słów od razu, lecz musiałem je sobie w myśli tłumaczyć. Źródłem największej trudności było bodaj to, że mówił absolutnie beznamiętnie. Skądinąd, uczucie jest zbędne w słowach króla. Król ma nad zwykłymi śmiertelnikami tę przewagę, że nigdy nie musi nikogo przekonywać. Mówi i słowo ciałem się staje.

– Funkcję przewodniczącego pełnił minister z Wysp Cooka – opowiadał król, a słowo „minister” zabrzmiało tak, jakby mówca rzeczywiście miał gębę pełną tłuczonych ziemniaków – ale przepadł w ostatnich wyborach, więc przejmuję jego obowiązki.

– Jaki charakter ma pańska unia polinezyjska, Wasza Wysokość? Polityczny?

– Nie. To niemożliwe. Wyspy Cooka są republiką. Hawaje stanem. Polinezja Francuska jest kolonią. Tonga to monarchia. Zbyt wiele różnic. Nie, nasza unia dotyczy kultury i życia społecznego. Języka i sztuki.

Głęboko zaczerpnął tchu.

– Zamierzamy wydawać pismo.

– A Melanezja? Nie uczestniczy w tym przedsięwzięciu, sir?

Milczał. W końcu, nie otwórzysz ust, powiedział: „Nie”, i słowo to przez chwilę dudniło w otchłani jego ciała.

– Ale Ontong Javę na Salomonach i Futunę w Vanuatu zamieszkują Polinezyjczycy – powiedziałem.

– Poświęcimy im kilka stron naszego pisma.

Król wydawał się znów śmiertelnie znudzony i obawiałem się, że zaraz mnie pożegna.

– Czy Wasza Królewska Mość – zapytałem – jest gotów zająć się sprawą prób atomowych?

– To kwestia polityczna...

Nie tylko nie poruszał ustami, lecz również głową ani żadną inną częścią ciała. Siedział, ogromny i niewzruszony, niczym zwalista wyrocznia lub

mędrzec z bajki, stary i mądry olbrzym z wysp ludożerców.

– ...ale próby atomowe na Pacyfiku są wielkim złem.

Pograżył się w milczeniu, potwierdzając łatkę milczka. Jeden z chwytów dziennikarskich stosowanych w trakcie wywiadu telewizyjnego polega na milczeniu po otrzymaniu odpowiedzi na pytanie. W takiej sytuacji udzielający wywiadu czasem nie wytrzymuje ciszy, zaczyna paplać i nieraz nieopatrznie się wygada. Postanowiłem czekać.

– Byłem na Mururoi – odezwał się w końcu król. – Widziałem dziury w rafie. Wiercili dziurę w skale, wkładali bombę, a potem wypełniali dziurę betonem. Wywiercili tyle dziur, że właściwie nie ma już miejsca na nowe. Wobec tego zaczęli wiercić w dnie laguny, co oczywiście jest bardzo niebezpieczne.

Na twarzy króla wykwitło coś w rodzaju uśmiechu, wyraz rozbawienia, jakie się odczuwa w obliczu skrajnej głupoty.

– Czy Wasza Królewska Mość wyraził swoje zdanie?

– Wtedy nie miałem zdania – rzekł król.

– A czy obecnie Wasza Wysokość je ma?

– Próby atomowe na Pacyfiku muszą się skończyć – beznamiętnie oznajmił król i mówił dalej tak samo bezbarwnym głosem. – Francuzi muszą odejść. Importują wszystko z Francji. To śmieszne. Aczkolwiek oznacza to cios finansowy dla mieszkańców tych wysp, muszą zdekolonizować Polinezję Francuską.

– Już, Wasza Wysokość, czy w stosownym czasie?

– Już – rzekł król. – Już.

Wlepił we mnie spojrzenie.

– Bomby atomowe można testować gdzie indziej. Próby są niezbędne. Bomby są niezbędne, żeby powstrzymać ludzi takich jak Husajn. Żeby go odstraszyć. On jest jak Hitler.

– Czy Wasza Królewska Mość chce powiedzieć, że należałoby rzucić bombę atomową na Saddama Husajna?

– Tak, powinno się rzucić na niego bombę – rzekł król.

– Wasza Wysokość ufa Francuzom, że będą testować swoją broń atomową gdzie indziej?

– W ogóle nie ufam Francuzom! – odrzekł król i wybuchnął śmiechem. Tak nieoczekiwanie, że zdumiony aż podskoczyłem.

Chcąc wykorzystać ów przyływ emocji, powiedziałem:

– Francuzi zazwyczaj kierują się interesem własnym, tacy już są, przynajmniej w polityce zagranicznej, nieszczerzy, pozbawieni zasad i nieodpowiedzialni.

– Całkowicie nieodpowiedzialni! – zawołał król i znowu zaniósł się śmiechem. – Właśnie czytam ponownie historię wojny francusko-pruskiej. Wie pan, czemu wybuchła ta wojna?

Bynajmniej nie oczekiwał odpowiedzi. Sam streścił wydarzenia sprzed stu dwudziestu lat, które doprowadziły do wybuchu wojny, skupiając uwagę na tak zwanej depeszy emskiej, którą Wilhelm I Hohenzollern wysłał do kanclerza - Ottona von Bismarcka. Bismarck zmienił treść depeszy w taki sposób, żeby obrazić władze francuskie, po czym przekazał ją prasie. Udało mu się rozwścieczyć Francuzów, którzy zgodnie z życzeniem Bismarcka wypowiedzieli Niemcom wojnę. Tracący popularność cesarz Napoleon III liczył na to, że zyska w oczach rodaków. W rezultacie Niemcy zadali Francuzom upokarzającą klęskę.

Zarówno o tym, jak i o wielu innych sprawach związanych z wojną francusko-pruską, opowiadał mi król Tonga.

– Tak oto z powodu błażostki Francuzi wywołali wojnę, którą przegrali – zakończył król.

– Francuzi potrafią z lada błażostki zrobić kwestię zasady – stwierdziłem. – Ale równie dobrze mogą wypiąć się na zasady, lub nawet zbagatelizować zbrodnię. Weźmy zatopienie Rainbow Warrior i zabicie fotografa na jego pokładzie przez francuskich zamachowców w Nowej Zelandii. Władze francuskie orzekły, że to nic nieznaczący incydent. Ale gdyby coś takiego zrobiono im, mogliby to uznać za powód do wojny.

– Nowa Zelandia nie mogła iść na wojnę z Francją – powiedział król. – Nie miała pola manewru.

– No i nikt się za nią nie ujął – dodałem. – Brytyjczycy żywią mieszane uczucia wobec Francuzów. Lubią ich kuchnię, ale trochę boją się ludzi.

– Nie dostrzegają wad Francuzów – stwierdził król. – Podobnie jak pana rodacy.

– Skoro rozmawiamy o charakterach narodowych, to co Wasza Wysokość sądzi o Japończykach?

– Budują nam nowy dworzec na lotnisku.

– Nie wspominali, że chętnie kupiliby od was wyspy?

– Nigdy nie sprzedamy naszej ziemi – rzekł król. – To największy problem Hawajów: utrata ziemi. Szmat kraju należy do obcych, a Hawajczykom zostały resztki.

Znowu zamilkł, a ja po prostu wsłuchiwałem się w ciszę.

– Japończycy pracują bardzo ciężko – odezwał się król. – O dziwo, uważają się za nieskażonych, a wcale tacy nie są. Ich kultura wywodzi się z Chin. Język zawiera mnóstwo obcych słów.

Wyłuszczył obcojęzyczną etymologię *arigato* i *tempura*, a ja dorzuciłem analizę pochodzenia *kasteru* i *pagoda*.

– Wasza Królewska Mość życzyłby sobie, aby Tonga stało się atrakcją turystyczną?

– Już odwiedza nas wielu turystów...

Dwadzieścia tysięcy rocznie, tyle co nic.

– ...a gdy otworzymy nowy dworzec, przyjmiemy nieporównanie więcej.

Splótł palce i ułożył wielkie ręce na stole.

– Wkrótce zaczną działać stacje telewizyjne. I będziemy mieli ropę. W Tonga jest ropa.

– Ropa, Wasza Wysokość?

– Tak. Widziałem na własne oczy strumień tryskający z rafy. Wkrótce zaczną się wiercenia.

Im wcześniej, tym lepiej. Olej napędowy był bardzo drogi w Tonga, a i trudno dostępny. Tak, ale ile mogli mieć tej ropy? Małe złoża pod rafą, którego eksploatacja wcale nie musi okazać się opłacalna.

Wróciliśmy do tematu Polinezji i zapytałem króla, czy odczuwa sympatię wobec innych Polinezyjczyków.

– Tak. Zwłaszcza Samoanccy są nam bardzo bliscy. Mój drugi syn poślubił Samoankę. I oczywiście mamy wspólne korzenie. Na naszym

uniwersytecie pracuje uczony z Sumatry, który powiedział mi, że na Sumatrze jest wioska, w której mówią językiem bardzo podobnym do tongijskiego.

– Polinezyjczycy żywią przeświadczenie, że ich przodkowie przybyli z daleka – powiedziałem. – Fidżyjczycy nie wiedzą, co sądzić o swoim pochodzeniu. Melanezyjczycy, z którymi rozmawiałem, twierdzili, że pochodzą od rekinów, węży i ptaków. Niektóre ludy uważają, że wyłoniły się z ziemi.

– Rzeczywiście, jesteśmy przeświadczeni, że nasi przodkowie byli podróżnikami i odkrywcami.

– Wasza Wysokość jest jednak ostatnim polinezyjskim monarchą absolutnym.

Król wybuchnął dudniącym śmiechem.

– Ależ nie jestem monarchą absolutnym!

– Z całym szacunkiem, Wasza Wysokość, z pewnością pan nim jest. Co sprawia, że Wasza Wysokość temu przeczy?

– Mam... – rzekł król, mamrocząc jeszcze coś. Słowo nie wydobyło się z jego ust, nie miało echa, usłyszałem tylko odgłos przełykania.

– Słucham, sir?

Powtórzył to słowo trzy razy. W końcu zrozumiałem, że chodzi o „parlament”. Oczywiście owo zgromadzenie było jedynie jego maszynką do głosowania, złożoną w połowie z przedstawicieli sprzymierzonej z królem arystokracji.

Kiedy po chwili zapytałem króla, czy powołał komisje zajmujące się sprawami turystyki, telewizji i wydobywania ropy naftowej, zawołał:

– Ja jestem komisją! – i roześmiał się głośno. – Zawsze mamy większość! – dodał i znowu się roześmiał, a ja uniżenie zawtórowałem mu.

– Nie ma głosów sprzeciwu!

Cokolwiek mówić, król Tonga z pewnością jest jednym z niewielu monarchów absolutnych na świecie.

Zapytał mnie – i było to jedyne pytanie, jakie mi zadał – o najnowsze wieści z Zatoki Perskiej. Powtórzyłem mu to, co usłyszałem w wiadomościach porannych BBC.

– Ameryka powinna skorzystać z okazji, żeby zapomnieć o urazach i sprzymierzyć się z Iranem – rzekł król. – Ameryka potrzebuje sojuszników na

Bliskim Wschodzie. Iran nie jest już tym krajem, który upokorzył Amerykę podczas kryzysu z zakładnikami. Mają nowy, moim zdaniem dobry rząd.

– W naszym myśleniu o Bliskim Wschodzie kierujemy się bezpieczeństwem Izraela – powiedziałem.

– Ameryka powinna być obiektywna. Izrael jest zobowiązany do uczciwości wobec Palestyńczyków. Żydzi powinni opuścić terytoria okupowane i przestać zabijać Palestyńczyków. Izrael jest potężny, a Palestyńczycy słabi. Są problemem, bo Izrael uczynił ich problemem.

Rozmawialiśmy jeszcze przez pewien czas, o dzieciach króla, o jego upodobaniu do kuchni francuskiej i o ćwiczeniach fizycznych. Żeby schudnąć, jeździł na rowerze po pasie startowym lotniska. Potem pochylił masywną głowę i rzekł:

– Mam następne spotkanie.

Zerwałem się na równe nogi, podziękowałem królowi, po czym wezwano Joego, który odprowadził mnie z powrotem przez zachwaszczony trawnik.

**Dzień** lub dwa później Salesi i Afu zabili i upiekli prosię na moją cześć, po czym pieczone podzielono między kilku Tongijczyków, którzy zasiedli pod mangowcem. Kobiety siedziały pod drugim, mniejszym drzewem.

Nie mieli piwa. Niejaki Meti zawiózł mnie do sąsiedniego miasteczka, gdzie kupiłem skrzynkę. Meti stwierdził, że się podzielimy piwem – na modłę tongijską. Ale nie wyjął skrzynki z samochodu. Dostałem trzy butelki, Meti wziął dwie, innym w ogóle nie zaproponował trunku i w końcu odjechał z - pozostałymi dziewiętnastoma butelkami mojego piwa.

– Mnie nie pić piwa – rzekł Alipate. Gębę miał pełną prosięcej szynki. – Jestem metodystą – oświadczył i właściwie jednym tchem zapytał: – Pan próbować tongijskich kobiet?

Odparłem, że nie, nie próbowałem.

– Ja lubi *palangi* cipka – rzekł Alipate, obcierając wierzchem ręki wąsy z tłuszczu.

– Cóż za subtelny z pana człowiek – zauważyłem. Zirykowałem się, że ten nierób miał czelność powiedzieć mi coś takiego. – Nie wątpię, że kobiety



*palangi* szaleją za panem.

– Moja ostrożna! Moja mieć żona! Ona uciąć głowę! Urwać jaja!

*Palangi* to ciekawy eufemizm oznaczający białego. Znaczący tyle co „przybyły z nieba”. W XVII wieku Tongijczycy i Samończycy wierzyli, że ich wyspy leżą na ogromnym i nieprzebytym oceanie. W Tonga domniemywano, że przodkowie w jakiś sposób odbyli podróż przez ten wodny przestwór, natomiast według samońskiego mitu o stworzeniu wyspiarze powstał z rojowiska robaków w ziemi. Kiedy więc w tej części Polinezji zachodniej pojawili się pierwsi Europejczycy – Tasman w 1643 roku, a później Roggeveen i Cook – krajowcy zakładali, że ludzie ci musieli spaść z nieba.

Jeden z paradoksów języka jako żywej kultury polega na tym, że prostak w rodzaju Alipatego ustawicznie używał poetyckiego i aluzyjnego słowa *palangi*, ponieważ nie mieli innego określenia białego człowieka. Alipate był kamieniarzem. Przechwalał się, ile to zarobił na Hawajach jako murarz. Lubił podciągać koszulkę i wystawiać brzuch na chłodną wieczorną bryzę, i z lubością opowiadał o kobietach, które zdobył, i o pieniądzach, które zarobił.

– O czym pan rozmawiać z królem? – zapytał. Wystający spod podciągniętej koszulki brunatny włochaty brzuch lśnił od potu.

– Powiedział, że wkrótce będą państwo mieli telewizję.

– W jego snach – sarknął Alipate. Przetłumaczył to innym i wszyscy gruchnęli śmiechem. – Król bez przerwy marzyć.

Pośmiali się z króla. Miałem wrażenie, że należą do innej rasy. Zajmowali niski szczebel w hierarchii społecznej. Zaledwie nieco ponad sto lat temu byliby niewolnikami. Niewolnictwo w Tonga zniósł dopiero król Jerzy Tupou I. Alipate zauważył, że nie tknąłem prosiących żeberek, które leżały na moim talerzu, więc bez słowa wziął je i zeżarł, a gdy skończył, wrócił do wachlowania brzucha i szydzenia z króla.

## rozdział\_piętnasty\_

### Tonga: sam na pustych wyspach Vava'u

**Na Tongijczykach,** z którymi się zetknąłem w Nuku'alofie, nie sposób było polegać, a wielu okazywało się zwykłymi kłamczuchami lub też – mówiąc delikatnie – nie przywiązywało większego znaczenia do własnych słów. Tak to już jest z leniuchami i niedbaluchami, że nie potrafią przyznać się do błędu i ciągle kręcą. Obcowanie z takimi ludźmi w upalnym klimacie może być naprawdę męczące. Żeby się od tego uwolnić, postanowiłem zabrać kajak i wynieść się w takie strony Tonga, gdzie nie ma Tongijczyków.

Marzyłem o pustej wyspie na środku oceanu, gdzie przez pewien czas oddam się życiu Robinsona. Śniłem o wyspie z piaszczystą plażą, palmami kokosowymi i dżunglą, ale bez ludzi. Wyobrażeniu temu odpowiadało około pięćdziesięciu dalekich i pustych wysp leżących na północy Tonga w archipelagu Vava'u. Wiedziałem, że będą tam owocożerne nietoperze. Ssaki te żyją na wszystkich wyspach Tonga. Powiadano, że wyspy Vava'u należą do najpiękniejszych na Pacyfiku. Puste, całkiem bezludne i pierwotne – każda niczym osobny mały świat.

– Kłopot polega na tym, że będzie pan musiał znaleźć kogoś, kto pana tam zawiezie – powiedział pewien Tongijczyk na pokładzie małego samolotu lecącego do Vava'u.

Nie zdradziłem mu, że mam składany kajak, którym mogę pływać z wyspy na wyspę, że mam dokładną mapę żeglarską archipelagu, a także ekwipunek ekspedycyjny.

Ten mężczyzna, Aleki, wiozł kasetę wideo z relacją o wojnie w Zatoce nagranych cztery dni przed emisją tego materiału w telewizji nowozelandzkiej. Wojna nadal trwała, ale Tongijczycy interesowali się nią na tej samej zasadzie co filmami o Rambo. Aleki podał mi swój adres w Neiafu – największym mieście w Vava'u – i zaprosił na oglądanie wideo ukazującego amerykańskie

samoloty zrzucające bomby na Irak i Kuwejt. Ujął mnie gościnnością, ale nie skorzystałem z zaproszenia.

Archipelag Vava'u odpowiadał mi pod każdym względem. Wyspy nieodległe od siebie, obdarzone piaszczystymi plażami, w Neiafu sklepy, w których mogłem się zaopatrzyć, a chociaż dmucha tam mocno, to żeby kajakować bez większych kłopotów, wystarczy trzymać się strony zawietrznej długiego łańcucha wysp. No i Tongijczycy na głównej wyspie Vava'u dziwnie życzliwi. Jeżeli mieli wady, to całkiem odmienne od tych, które mi tak doskwierały u mieszkańców Nuku'alofy. Vava'u nie jest krainą arystokratów z jednej i plebejuszy z drugiej strony, lecz krainą zwyczajnych wyspiarzy, niepodzielonych na klasy i utrzymujących się z rybołówstwa i rolnictwa. Mieszkańcy Vava'u mówili mi, że nie cierpią Nuku'alofy.

– Straszne tempo życia, hałas, nieustanny pośpiech – z obrzydzeniem wytykał niejaki Siole.

Wprawdzie ów opis nie przystawał do mojego obrazu Nuku'alofy, która wydawała mi się miastem niemrawym, gdzie jedynymi wydarzeniami towarzyskimi są nabożeństwa, pogrzeby i od wielkiego dzwonu koronacje, niemniej zrozumiałem, że w porównaniu z niemalże skamieniałym Neiafu na wpół martwa Nuku'alofa może wydawać się miastem tętniącym życiem.

Siole (czyli Joel) miał samochód, dobro rzadkie w Neiafu, gdzie nigdy nie widziało się więcej niż dwóch lub co najwyżej trzech pojazdów w jednym czasie. Ludzie chodzili spokojnie szutrowymi ulicami, pewni, że nic ich nie rozjedzie. Siole miał również benzynę, co już zaiste graniczyło z cudem, ponieważ w Vava'u nie mieli dostaw paliwa od blisko tygodnia. Nikt nie wiedział, kiedy przybędzie następny transport. Wszyscy składali to na karb wojny w Zatoce, która najprawdopodobniej nie miała wpływu na opóźnienia dostaw, chociaż z pewnością była przyczyną drożyzny. Galon kosztował już sześć dolarów, a cena ciągle rosła.

Swoim starym autem Siole woził mnie na bazar i do sklepów, gdzie kupowałem prowiant na wyprawę.

Za oknem mignęła tłusta świnia, bardzo gruba, ważąca bodaj ze dwieście kilo.

– Ile kosztuje taka świnia, Siole?

– Sześć albo siedem stów.

Miał na myśli *pa'anga*, czyli w przeliczeniu jakieś pięćset dolarów.

– Kiedy ją zjedzą?

– Na uczcie. Może po pogrzebie – odparł Siole.

– Takie świnie jecie tylko wtedy, kiedy ktoś umrze?

– Jeżeli ktoś, dajmy na to pana matka, ciężko zachoruje, daje pan swojej świni dużo jedzenia. Żeby zrobiła się gruba.

– Bo mogę jej potrzebować na pogrzeb matki?

– Właśnie.

Jakże czarne myśli muszą ogarniać chorego Tongijczyka, który przez okno chaty widzi, że rodzina zaczęła tuczyć świnię.

– A także konia.

– Żeby pociągnął wóz z trumną?

– Nie, na ucztę. Jemy konie.

Jechał wolno szutrową jezdnią głównej ulicy, uważając, żeby nie rozjechać psów, których wiele drzemało w cieniu przydrożnych drzew.

– A co z nimi? Jecie psy?

– Tak.

– Jecie latające lisy? Owocożerne nietoperze?

– Tak.

– Jak je przyrządzacie?

– Świnie, konie i psy pieczemy w *umu*. Dzięki temu mięso jest bardzo delikatne. Ale latające lisy po prostu pieczemy na ruszcie.

Najwyraźniej na wyspach Pacyfiku właściwie nie ma tabu kulinarnych. Gdziekolwiek byłem, pytałem o dietę i z wyjątkiem adwentystów dnia siódmego w wiosce Kaisiga na Trobriandach nie spotkałem wybrednisiów. W Oceanii zjada się wszelkie żywe stworzenia, które zmieszczą się do gęby.

Na wyspach Pacyfiku ludzie gotują i zjadają psy od czasu, kiedy się tam pojawili. Psy przypłynęły w łodziach odkrywców z Azji Południowo-Wschodniej (gdzie również je zjadano, a i je się dzisiaj). Na wyspach nie było zwierzyny łownej, więc psy ceniono – dla ich smaku, wartości odżywczej, a potem – gdy świnie ogromnie przewyższyły je liczebnie – dla rzadkości. Futro czy sierść służyły do dekoracji, ze skóry szyto ubrania, z zębów robiono

naszyjniki i inne ozdoby, z kości – narzędzia takie jak igły i haczyki. Na różnych wyspach, w tym zwłaszcza na Hawajach, psy w celu poprawienia smaku mięsa karmiono warzywami czy *poi* (stąd nadal używana nazwa *poi-dog*), albo nawet kobiety karmiły je piersią. Większość psów i kotów, które widziałem w trakcie podróży po wyspach Pacyfiku, była wegetarianami, ponieważ zjadała resztki słodkich ziemniaków i zieleniny albo wygrzebane z ziemi jadalne bulwy i korzenie.

Pierwsi europejscy badacze Oceanii zgodnie odnotowują zwyczaj zjadania psów. Ludzie ci przybywali przecież z krajów, gdzie psy traktowano jak towarzyszy i nadawano im indywidualne imiona, gdzie więc, mówiąc za Claude'em Lévi-Straussem, miały status „metonimicznych ludzi”<sup>[43]</sup>. W XVIII wieku pewien Anglik, którego na Hawajach – zwanych wówczas wyspami Sandwich – namawiano do częstowania się psim mięsem, zbulwersowany pisał: „Pomysł zjadania stworzenia tak wiernego człowiekowi jak pies uznaliśmy za tak obrzydliwy, że odmówiliśmy uczestnictwa w tej części uczty”. Dodał wszakże: „Gwoli prawdy rzec trzeba, że upieczone psie mięso wyglądało zaiste smakowicie”. Niektórzy Europejczycy próbowali potraw z psa. Niemiecki uczoney i kronikarz Georg Forster<sup>[44]</sup>, który towarzyszył kapitanowi Cookowi, twierdził, że psie mięso smakuje zupełnie jak baranina. W XIX wieku grupa hawajskich trefnisiów przyprawiła pieczonemu psu głowę prosięcia i ugościła pieczystym amerykańskich gości, którzy ze smakiem je zjedli. Na wyspach Pacyfiku pies może być zwierzęciem domowym, ale nigdy nie jest traktowany jak przyjaciel, którego nie wolno zjeść.

W *Man and the Natural World* [Człowiek i świat przyrody] oksfordzki historyk Keith Thomas wskazuje trzy cechy, które w XVIII wieku w Anglii odróżniały zwierzęta domowe („gatunki uprzywilejowane”) od innych zwierząt. Po pierwsze, zwierzęta domowe mogły wchodzić do domów i kościołów, po drugie, nadawano im indywidualne imiona, po trzecie – nie zjadano ich. „Zakaz ten nie wypływał z racji gastronomicznych, lecz z pozycji społecznej zwierzęcia i z jego diety”. W 1616 roku Le Maire i Schouten, pierwsi Holendrzy, którzy dotarli do Tuamotu, a którzy wcześniej nazwali przylądek Horn, nadali jednemu z atoli tego archipelagu nazwę „Honden Eiland” (Psia Wyspa), jako że żyło na nim wiele psów. Odkrywcę ci zwrócili

również uwagę na to, że tamtejsze psy łapały i zjadały ryby, same były zjadane przez ludzi i nie szczekały.

Co ciekawe, ówczesne psy w ogóle nie szczekały. Inni przybysze z Europy też odnotowywali ten fakt. Najwyraźniej dzikie psy nie szczekają – wyją i skowyczą, jak choćby australijskie dingo. Ujadanie jest zwyczajem wyłącznie udomowionych psów.

Niedaleko od Vava'u leży archipelag Ha'apai, gdzie w XIX wieku wódz Fīnau 'Ulukālala II przygarnął piętnastoletniego angielskiego rozbitka Williama Marinera i wychowywał go jak syna. Mariner mieszkał w Tonga od 1806 do 1810 roku. Znaczna część naszej wiedzy o życiu w ówczesnym Tonga opiera się na wspomnieniach Marinera, które spisał pewien londyński lekarz i opublikował je w 1820 roku. Mariner opowiadał między innymi, że wódz Fīnau 'Ulukālala przepadał za psim mięsem, „ale nakazał, aby je nazywano wieprzowiną, ponieważ kobiety i wielu mężczyzn cokolwiek brzydzili się tego rodzaju dietą. Najbardziej ceniono szyję i tylne ćwiartki psa. Zwierzę zabijano ciosami w łeb i przyrządzano w taki sam sposób jak wieprzowinę”.

Mój nowy kolega Siole również uważał psie mięso za pyszne. Był życzliwym facetem, spokojnym, uczynnym, niepazernym. Chciałem zaopatrzyć się w prowiant, a potem znaleźć nocleg i miejsce dogodne do spuszczenia kajaka na wodę. Łatwo dobiliśmy targu. Za dziesięć dolarów zawiózł mnie do sklepów głównych zaopatrzeniowców Oceanii – Burns Philip i Morris Hedstrom – a potem na bazar, gdzie kupiłem koszyk małych ananasów. Ze względu na brak w mieście benzyny jako paliwo do kuchenki nabyłem naftę. Sprawunki zajęły godzinę z okładem, ale Siole nie narzekał, nawet gdy niegrzeczna Tongijka w hotelu powiedziała wyniośle:

– Szofer zanieś panu bagaże.

Najgorszym aspektem przyjazdu w egzotyczne miejsce bez uprzedniego rozpoznania jest właśnie niewiedza, nieznajomość zagrożeń – wiatrów, raf, mielizn, przypływów, prądów, niegościnnych wiosek, złych plaż, groźnych zwierząt, o ile takie są. Niektóre zagrożenia – takie jak dudniący przybój i grzywacze, które nadawały morzu w cieśninie wygląd wezbranej górskiej rzeki – są widoczne gołym okiem, ale inne można spostrzec dopiero poniewczasie. Dobrze pamiętałem okropnych wyrostków z Trobriandów,

którzy grozili mi dzidami i wołali: „Biegnij, bo zginiesz, *dim-dim!*”, pamiętałem krajowców z wyspy podpalaczy w Fidzi. Zawsze dbałem o to, żeby mieć dokładne mapy, często zabierałem przewodnik, ale nic nie zastąpi bezpośredniej wiedzy.

Miałem zatem szczęście, że spotkałem Leonatego, krzepkiego tongijskiego nurka i rybaka. Przyglądał się, jak przy niedużym pomoście pod wapiennym urwiskiem, na którym stał hotel, składał kajak.

– Jakie ma zanurzenie?

– Paręnaście centymetrów – odparłem, rozkładając mapę.

– Można popłynąć tędy – powiedział, pokazując palcem wąski przesmyk między dwiema wyspami, którego sam z pewnością bym nie zauważył.

– Planowałem płynąć tą drogą z portu – rzekłem, wiodąc palcem wzdłuż hipotetycznej trasy prowadzącej przez zatokę Port of Refuge, której nazwę tę nadał w 1781 roku jej odkrywca, hiszpański żeglarz Francisco Mourelle.

Leonati skrzywił się i prychnął:

– Tam wszędzie są wioski.

Był pierwszą osobą ze wszystkich spotkanych przeze mnie do tamtej chwili nie tylko w Tonga, lecz w całej Oceanii, która zareagowała w ten sposób.

– Ta wyspa jest pusta – powiedział i obwiodł kontur jednej z wysepek. – Na tej też nie ma ludzi. Ta jest mała, ale bardzo piękna. A jeżeli popłynie pan na tę – popukał w jeszcze jeden punkt na mapie – wróci pan niesiony wiatrem.

Wszyscy inni radzili, żeby kierować się ku siedliskom ludzkim. Spodobał mi się ten Leonati, jedyny samotnik w tej części świata. Opowiadał, że czasem sam płynie, żeby biwakować na tych wyspach.

– Do kogo należą?

Wzruszył ramionami.

– Nikt nie będzie pana niepokoił – rzekł.

**W upalny** i wilgotny ranek żółte światło brzasku przesączało się przez mgłę unoszącą się niczym dym nad wodami zatoki Port of Refuge, gdzie na kotwicy stało jakieś trzydzieści jachtów, na których bomach zamiast żagli wisiało

mokre pranie. Sztauowałem ekwipunek w kajaku, opędzając się od moskitów, które nabrawszy wigoru w ciepłym i wilgotnym powietrzu, jak oszalałe bzyczały mi wokół uszu.

W nocy lało, a kiedy wspomniałem o tym Amerykaninowi, który na pomoście zwijał linę, rzekł: „Oczywiście”, i wydawał się zdziwiony, że uznałem za potrzebne odnotowywać ten fakt. Przecież to codzienność o tej porze roku, w sezonie huraganów. Stąd też owe unieruchomione jachty. Większość zakotwiczyła tutaj już w listopadzie i będzie stała do kwietnia, kiedy aura złagodnieje. Nie żegluje się po Pacyfiku w porze huraganów.

– Kiedyś pracowałem na Cape Cod – rzekł ów Amerykanin, kiedy powiedziałem, skąd jestem. – W Camp Seascap w Brewster, na letnim obozie dla grubych dziewczyn. Należałem do kadry.

Zadumał się, jak gdyby zdziwiony, że to jeszcze pamięta.

– Przeciętnie zrzucali dziesięć kilo – dodał.

Poszedł sobie, a ja dokończyłem załadunek. Najcięższym składnikiem bagażu była woda, bo nie mogłem zakładać, że na mojej bezludnej wyspie znajdę wodę pitną. Wiozłem więc tygodniowy zapas w dwu- i trzygalonowych bukłakach, które upchnąłem w lukach bagażowych, podobnie jak prowiant zamknięty w wodoszczelnych torbach, suche ubranie, kuchenkę, garnki i namiot. Na pokładzie umocowałem butelkę wody, busolę i mapę całego archipelagu umieszczoną w plastikowym mapniku. W zasięgu ręki położyłem ratunkowe flary.

Kapok podarowałem na Trobriandach staremu Mei, który należał do społeczności *kula*. Harpun wymieniłem na coś innego na Salomonach. Resztę ekwipunku rybackiego rozdałem w Vanuatu. Walkmana skradziono mi w Nuku'alofie. Złamałem zapasowe wiosło. Tak się teraz bałem o jedyne wiosło, które mi zostało, że uwiązywałem je na lince zadzierzgniętej na uchwycie na pokładzie. Nie obawiałem się kradzieży, lecz tego, że wiatr albo fala wyrwie mi wiosło z rąk.

Przez nikogo niewidziany odbiłem od brzegu i powiosłowałem na południe środkiem zatoki okolonej urwiskami zwieńczonymi wysokimi mokrymi drzewami. Mimo wczesnej pory w morzu kąpali się mali chłopcy, skacząc do wody z czarnych głazów. Po mniej więcej dwóch kilometrach dotarłem do



wąskiego przesmyku w porośniętej dżunglą skale, ledwie kanału o stromych zielonych ścianach, gdzie pokrzykiwały i polatywały rozmaite ptaki, tak płytkiego, że kajak szorował o kamienie. Oto skrót wskazany przez Leonatego, przesmyk Ahanga.

Po drugiej stronie natarły na mnie wiatr i fale, widziałem kipieli przyboju rozbijającego się o rafę, a w dali łańcuch wysp. Używając mapy, starałem się trzymać głębszych wód zatoki i wypłynąłem wystarczająco daleko, żeby dało się identyfikować wyspy. Wyspy były wszędzie – blisko mnie i w najróżniejszych odległościach na horyzoncie, a z opowieści Leonatego wynikało, że większość z nich jest niezamieszkana. Po to tylko, żeby się nie zgubić, wziąłem kurs na wyspę o nazwie Tapaną.

Tapanę wybrałem dlatego, że zaznaczono ją wyraźnie na mojej mapie. Zorientowałem się już, że nie wszystkie wyspy tego archipelagu uwzględniono na tej mapie. Choćby Fafini i Fenua Tapu, które oznaczono jako rafy, w rzeczywistości były masywnymi wyspami. Używałem mapy „sporządzonej przez brytyjskich kartografów w 1898 roku”. Czyżby wyspa mogła powstać i urosnąć w przeciągu stu lat?

Wiatr wiał z prędkością od dziesięciu do piętnastu węzłów, wystarczająco mocno i równo, żeby wzbijać fale o spienionych grzbietach. Przywiązałem do wiosła linkę bezpieczeństwa i założyłem fartuch na kokpit, tak że kajak stał się całkowicie wodoszczelny. W samą porę, bo w dali widziałem skłębione czarne chmury i długą szarą zasłonę deszczu.

Deszcz sunął ku mnie i wkrótce wiosłowałem pośród zarysów wysp ledwie widocznych w ulewie.

– Do grudnia panowała susza, ale od tamtej pory stale pada – mówił Leonati.

Wiosłowanie w ulewnym deszczu nie należy do przyjemności, ale najgorsze było to, że mogłem stracić orientację. Kiedy ulewa się nasiliła, wyspy po prostu zniknęły mi z oczu zasłonięte przez ukośne ściany wody. Zupełnie jakbym płynął pod wodospadem, choćby na pokładzie Maid of the Mist u stóp Niagary. Żeby dotrzeć do Tapany, kierowałem się busolą, konsekwentnie podążając za wskazaniem igły, aż wyłonił się szary zarys wyspy. Żadnej zatoczki, śladu plaży, tylko urwiste skały, więc wśród szumu

ulewy skierowałem się ku pobliskiej wyspie, którą ledwie dostrzegłem w deszczowej mgle. To Lautala, o której Leonati mówił, że jest pusta. Chyba rzeczywiście, ale i na niej nie widziałem plaży ani żadnego miejsca dogodnego do lądowania.

Każda wyspa Vava'u jest wapiennym blokiem, któremu wiatr i fale nadały groźny i niedostępny kształt, ociosując brzegi, tak że właściwie z każdej strony strzeże ich zębate kilkumetrowe urwisko. Ale na niektórych z nich gnane stałymi wiatrami fale nanosiły piasek na stronę zawietrzną, tworząc niekiedy piękne plaże.

Przez wodę lejącą się z daszka przemoczonej czapki dostrzegłem niewielką szczelinę w brzegu Lautali, gdzie się schroniłem. Kiedy tam tkwiłem, żałośnie ociekając deszczem, przyleciały wścibskie ptaki, duże nieustraszone burzyki i brunatne rybołówki, które wyglądały jak ciemne rybitwy.

Chcąc przyjrzeć się ptakom, wyciągnąłem lornetkę, a kiedy śledziłem je w deszczu, spostrzegłem dwa kanu, w których siedziało po czterech mężczyzn i które najwyraźniej zmierzały prosto na mnie, a w każdym razie ku Lautali. Tak, przekonam się wkrótce.

Trzymetrowe dłubanki z bocznym pływakiem, łodzie raczej wiosłowe niż żaglowe, a sztuka ich wytwarzania jest według znawców „ostatnim rodzimym rzemiosłem morskim, jakie jeszcze przetrwało w Tonga”. Zazwyczaj szkicowałem dłubanki budowane na poszczególnych wyspach, a i odnotowywałem to, czy na danej wyspie kultywują sztukę szkutnictwa czy już nie. Te kanu tongijskie różniły się od wszystkich innych tym, że jarzma pływaka (mocujące pływak do bomów łączących go z głównym kadłubem) miały kształt litery „U”. Nigdy przedtem się z tym nie spotkałem, wszyscy inni budowniczo kanu stosowali jarzma o kształcie litery „V” albo po prostu uwiązywali pływak do bomów. Można to uznać za nieistotne, ale mnie, który widziałem tyle kanu zasadniczo bardzo podobnych do siebie, ten detal, zwłaszcza że prezentował się nadzwyczaj zgrabnie, wydał się godny uwagi. Tym bardziej że w Tonga właściwie już nie obrabiano ręcznie drewna i niemal nikt nie zadawał sobie trudu wytwarzania tradycyjnych sprzętów.

Kiedy łodzie przybiły do brzegu tuż obok mnie – wiosłarze najwyraźniej też się chronili przed nawałnicą – przywitałem się i wskazując owo zgrabne

jarzmo, zapytałem, jak się nazywa.

Mężczyźni roześmieli się. Jeden wymamrotał coś – byłem pewny, że jakieś szyderstwo lub obelgę, *fucking palangi*, dajmy na to – a pozostali znowu się roześmieli.

Nadal łało. Zapytałem, w jaki sposób wyginają drewno, nadając mu kształt litery „U”. Wzruszyli ramionami, znowu coś wymamrotali i się pośmiali.

Można by pomyśleć, że nie znali angielskiego, ale byłem pewny, że znają, bo w Tonga prawie każdy go zna. A na Vava'u, gdzie przyplęwa tyle jachtów z *palangi* na pokładzie, po angielsku umie bodaj jeszcze więcej krajowców niż na stołecznej wyspie Tongatapu. Mormoni wszystkich nawracanych wyspiarzy uczyli nie tylko mądrości wyczytanych ze złotych tablic, lecz również gry w siatkówkę i angielskiego.

– Jesteście na rybach? – zapytałem po prostu.

– Tak – odparł jeden z nich i odwrócił się plecami.

To nie zawsze musi być wrogi gest, ale zważywszy na to, że chroniliśmy się przed nawałnicą przy niegościnnym brzegu bezludnej wyspy w zapadłym archipelagu Tonga – niemal dosłownie na końcu świata – uznałem to za dość niemiłe zachowanie mieszkańca Życzliwych Wysp.

Ci rybacy w ogóle nie interesowali się mną ani ewentualnymi kłopotami, w które mogła mnie wpędzić nawałnica. Nie zapytali (co niekiedy czynili wyspiarze), czy nic mi nie jest ani czy kajak nie przecieka, ani czy fala nie jest za wysoka dla takiej łupinki. Rozmawiali między sobą, w zasadzie obojętni, chwilami chyba szydzili ze mnie – bo przecież byłem samotnym *palangi* i w żaden sposób im nie zagrażałem. Gdybym był potężnym i groźnie wyglądającym facetem albo sprawiał wrażenie nie lada szycy, z pewnością zachowywaliby się inaczej, płaszczyli się i podlizywali.

W ulewnym deszczu siedzieliśmy w łódkach kołyszących się na falach, nie rozmawiając ze sobą, i tylko oni od czasu do czasu mamrotali coś w swoim gronie. Czułem się dość pewnie, bo gdyby mieli złe zamiary (Tongijczycy słyną z gwałtowności), z łatwością bym im uciekł, albowiem mój kajak znacznie górował chyżością nad wiosłowymi dłubankami.

Deszcz w końcu zelżał.

– Mam was gdzieś – powiedziałem z uśmiechem i odpłynąłem.

Później ustaliłem, że Vava'u jest jedynym regionem na Pacyfiku, gdzie robią te uroczo gięte jarzma bocznego pływaka kanu zwane *tukituki*.

Przepląnąłem jakieś trzy kilometry ku mającej kształt półksiężycy wyspie, która kiedy znalazłem się blisko, okazała się dwiema wysepkami połączonymi piaszczystą mierzeją. Na jednej z tych wyseppek, Taundze, znajdowała się wioska, a druga, Ngau, była niezamieszкана. Według mojej mapy niedaleko za nimi miała leżeć następna bezludna wysepka zwana Pau.

Kiedy zbliżałem się do Pau, dwa tłuste nietoperze owocożerne przeleciały nade mną jak gdyby w popłochu, kierując się ku tej wysepce. W niezbyt rześistym deszczu dało się już widzieć, że Pau jest małutka, niezamieszкана, porośnięta dżunglą, a przede wszystkim że od zacisznej strony zachodniej ma piaszczystą plażę. Właśnie tego szukałem. Co więcej, z zadowoleniem dostrzegłem gaj niskich, nie więcej niż trzymetrowych palm, oblepionych u szczytu zielonymi kokosami, z których każdy zawierał przecież najwspanialszy napój na świecie.

Wylądowałem na plaży, po czym wciągnąłem kajak nad linię przyływu, ale zanim zdążyłem znaleźć dogodne miejsce biwakowe, deszcz się nasilił, a ciężar jego dużych, żądających kropli sprawiał, że spadały najzupełniej pionowo. Zerwałem wielki zielony liść, położyłem go sobie na głowie i po prostu sterczałem, ociekając pod ociekającym drzewem, i patrzyłem na czarne niebo, na wzburzone morze, mając uszy pełne bębnienia deszczu i czując się marnie.

W ten sposób minęły nieznośnie długie dwie godziny. Na domiar złego opadły mnie chmury moskitów uwielbiających tego rodzaju pełne chłodnej wilgoci zarośla i jęły zaciekle mnie kąsać. Miałem środek odstraszący owady, ale oczywiście nie było sensu go rozpylać, skoro stałem w deszczu, tym bardziej że i w normalnych warunkach okazywał się nieskuteczny.

Sąsiednie wyspy zniknęły w deszczu i we mgle. Znajdowałem się na skraju Pau. Nie miałem dokąd iść. Za plecami ściana dżungli pełnej ciernistych zarośli, przede mną morze. Stałem na skrawku lądu z tym durnym liściem na głowie i zaczynałem drzeć z zimna.

Żeby pobudzić krążenie krwi, za pomocą wiosła usunąłem trochę gałęzi, śmiecia – i pajaków – wokół siebie. Czekałem, aż ulewa zelżeje na tyle,

żebym mógł rozładować kajak i rozbić namiot bez przemaczania wszystkiego.

Kiedy deszcz osłabł, pośpiesznie rozbiłem namiot, wrzuciłem do środka rzeczy, które powinny pozostać suche (ubrania, śpiwór, radio) i zawiesiłem na gałęzi torbę z prowiantem oraz bukłaki z wodą. Ściągnąwszy kąpielówki i koszulkę, wlałem goły do namiotu, żeby się ogrzać w śpiworze, póki deszcz nie przestanie bębnić w brezent.

Nie jadłem obiadu. Planowałem zjeść na morzu, ale spotkanie z niezyczliwymi rybakami powstrzymało mnie przed popasem u brzegów Lautali w połowie drogi. Ustawiłem kuchenkę, żeby zagotować wodę na makaron, a tu okazało się, że zapalki zamokły, a zapalniczka nie iskrzy. Kłamię na czym świat stoi – w końcu byłem na bezludnej wyspie.

Nie uśmiechało mi się życie przez tydzień na tej wyspie bez zapalek. Pomyślawszy, że przecież na Taundze, raptem trzy kilometry stamtąd, jest wioska, wsiałem do kajaka i popłynąłem tam. Wioska sprawiała przyjemne wrażenie. Kilkanaście prostych domów na łagodnie wznoszącym się brzegu malowniczej zatoczki. Na plaży stały dwie motorówki, nadając temu siedlisku dostatni wygląd. Nie dostrzegłem jednak nikogo.

Poszedłem do najbliższego domu, gdzie zaraz za drzwiami niesamowicie gruba kobieta wyplatała matę z liści pandanu. Do pracy zadarła spódnicę, więc widziałem, że jej grubaśne uda są szare, pełne dołków i strasznie pokąsane. Na nogach widniało wiele otwartych ran, zapewne od drapania. Miała około sześćdziesiątki, nazywała się Sapeli.

– Czy na tej wyspie jest sklep? – zapytałem, wiedząc, że to nieprawdopodobne.

– Niama – odrzekła.

– Ma pani zapalki?

Bez słowa, nie podnosząc się, sięgnęła na półkę, wzięła pudełko zapalek, wyjęła połowę z nich, po czym podała mi pudełko.

– Lini! – zawołała.

Z sąsiedniego domu wyszła grupka dzieci prowadzonych przez dwie ładne dziewczyny.

– Lini Faletau – przedstawiła się starsza z dziewcząt.

– „Faletau” oznacza coś domowego – zauważyłem.

- Wojnę domową – powiedziała. – Jak ludzie walczą ze sobą w domu.
- Urocze nazwisko.

Pomyślałem, że skoro już tam jestem, to warto poprosić o pozwolenie biwakowania na Pau, która – położona tak blisko, jak na Vava'u – należała zapewne do mieszkańców Taungi. Lini oznajmiła, że wódz jest w Nuku'alofie, ale że możemy zapytać kogoś innego.

Poszliśmy przez busz, dziewczęta przodem, dzieci z tyłu, ja w środku, a po drodze obskoczyły nas szczekające psy i nie odstępowały, najwyraźniej mając ochotę złapać mnie za gołą łydkę.

- Nie ma nikogo, kto zjadłby te psy? – zapytałem.

Lini zaniosa się śmiechem. Miała siedemnaście lat. Jej siostra Deso była młodsza od niej o trzy lata, ale wyższa. Bardzo ładna, o pociągłej kształtnej twarzy, szczupłej sylwetce i obdarzona osobliwie głębokim, gardłowym śmiechem. Patrząc na Deso, uzmysłowiłem sobie, że najpiękniejsze kobiety na Pacyfiku widziałem właśnie w Tonga, chociaż są tam również te najbrzydsze – grube włochate istoty o niezdrowej cerze. No i w Tonga nie brak zwalistych i wręcz potwornych mężczyzn.

Po kwadransie marszu przez mokre trawy doszliśmy do domu. Podobnie jak pozostałe miał najprostszy możliwy kształt – ot, prostopadłościenna bryła z werandą nakryta płaskim dachem. Znajdująca się w środku kobieta również wyplatała matę. Na podłodze wały się stopy wyschniętych liści palmowych. Przywitałem się. Kobieta spojrzała na mnie niepewnie.

- Zapytaj ją, czy mogę nocować na Pau.

Lini przekazała pytanie.

- Mówi, że tak.

- Kim ona jest?

- Moją żoną – odparła Lini.

Deso wydała z siebie ten zmysłowy śmiech.

- Chyba matką?

- Tak, matką.

– Podziękuj matce w moim imieniu i powiedz, że przywiozłem jej prezent ze Stanów Zjednoczonych.

Podarowałem kobiecie jedwabną chustkę. Podobną dałem przedtem Sapeli. Nigdy nie zjawiałem się w wiosce – nawet najmniejszej i choćby całkiem niespodzianie – bez torby z prezentami, w której miałem głównie te chustki.

Deso nagle zaczęła wrzeszczeć na jedno z dzieci, chłopczyka. Maluch rozplakał się. Tongijczycy potrafią odnosić się bardzo gwałtownie do siebie nawzajem, krzyczą, pomstują.

Gdyśmy wracali na plażę, dołączył do nas wyraźnie zniewieściały chłopak, bodaj *fakaleiti* (co znaczy „jak kobieta”), który poprosił o chustkę. Zapytał mnie o imię, a ja zapytałem o jego.

– Nazywam się Russell Go-For-Broke [Russell Idź-Na-Całość].

– Kłamczuch! – krzyknęła na niego Deso. – Nazywasz się Ofa.

– Nie, bo zmieniłem imię. Z powodu Cindy Lauper.

Nie miałem pojęcia, o czym mówi. Seplenił, zachowywał się kokieteryjnie i zapraszał, żebym zabawił dłużej na tej wyspie.

– Wrócę za pewien czas – powiedziałem. – Podoba mi się w waszej wiosce.

Skraj plaży i granice wioski wyłożono wyblakłymi połówkami ogromnych muszli małży tongijskich (przydaczni olbrzymich).

– Drugiego grudnia odwiedziła nas królowa – pochwalił się chłopak.

Para królewska spędzała Boże Narodzenie w Neiafu, a królowa pochodzi z Vava’u.

– Długo zabawiła?

– Dwa dni – odparła Lini.

Zaskoczyło mnie to. Pokazali mi dom, w którym zatrzymała się królowa. Tak samo prosty jak inne, co przywiodło mi na myśl Marię Antoninę, która przebierała się za pasterkę i tańczyła z wieśniakami.

– Jak ją przyjęliście?

– Tańczyliśmy. Śpiewaliśmy.

– Dobrze się bawiła?

– Tak. Kąpała się w morzu.

Przeszło sześćdziesięcioletnia monarchini pływała w tamtejszej małej lagunie.

– Widzieliście, jak pływa?

– Pływaliśmy z nią!  
– Jak wyglądał jej kostium kąpielowy? – zapytałem.  
– Była w tradycyjnej szacie tongijskiej.  
– Królowa angielska nigdy nie kąpałaby się na plaży ze zwykłymi ludźmi – stwierdziłem.  
– Królowa Tonga jest bardzo uprzejma.  
Podarowałem im pozostałe chustki jedwabne. Nie zachwyciły ich. Jedna z dziewcząt zawiązała chustkę na główce którejś z dziewczynek.  
– Nazywam się Russell Go-For-Broke, bo zawsze idę na całość.  
– Ale naprawdę nazywa się Ofa.  
– Zamknij się – warknął chłopak. – Niech pan do nas jeszcze wróci – powiedział, widząc, że spuszcza kajak na wodę. – Damy panu prezent. Może muszlę.  
– Tymczasem – powiedziała Lini.  
– Tymczasem do widzenia, ale nie na zawsze – rzekł Russell. Powtórzył to pożegnanie, a potem dodał – Wraca pan walczyć o wolność Kuwejtu?  
Nie wiedzieć czemu rozbawiło ich to, a ich śmiech dźwięczał mi w uszach przez całą drogę powrotną na Pau, gdzie ugotowałem obiad. Kiedy skończyłem jeść, było jeszcze jasno, ale deszcz zapędził mnie do namiotu, a potem całą ciemną jak atrament noc wypełniało bębnienie deszczu i świstanie wiatru.

**Deszcz** padał jeszcze przez dwa lub trzy dni, chwilami bardzo ulewny, chociaż równie często zamieniał się w ledwie mżawkę. Ulewę za każdym razem zapowiadał narastający hurgot w lesie, jak gdyby od południowego wschodu przez dżunglę przedzierał się ku mnie leśny potwór. Po chwili ja i wszystko wokół tonęliśmy w strugach wody.

Tymczasem ani raz nie wyjrzało słońce. Tak, trafił mi się z pewnością gorszy kawałek wyspiarskiego życia w Vava'u, tym bardziej że dokuczały mi chmary moskitów, ubranie zawsze było wilgotne, no i na tym porośniętym gęstą dżunglą skrawku lądu spaceru nie wchodziły w grę. Ale nie narzekałem, bo miałem tę wyspę tylko dla siebie, na pięknej rafie roiło się od ryb, nie brakowało mi jedzenia, a radio odbierało świetnie. Jedynie chwilami ulewa



hałasowała tak, że zagłuszała audycję. Oprócz mnie tę wyspę zamieszkiwały kraby, czaple i liczne nietoperze owocożerne, które popiskując, wisiały na jednym z drzew.

Z powodu deszczu jadałem nieregularnie, co mnie irytowało, ponieważ zwłaszcza w samotności przywiązuję wielkie znaczenie do planu dnia, co pozwala sensownie spędzać czas. „Pora posprzątać w obozie”, mówię sobie. „Czas na herbatę. Za dwie godziny zabiorę się do robienia notatek”. I tak dalej.

Nie cierpię wiosłować w deszczu. Nie jest łatwo gotować w deszczu. Żadna to przyjemność kąpać się w morzu, kiedy pada. A że nie było dokąd chodzić, to w czasie nawałnic siedziałem w namiocie, słuchając wiadomości o wojnie w Zatoce, a wieczorem i w nocy sporządzałem notatki przy świetle wiszącej latarki. Przenikliwa wilgoć psuła mi nastrój i tylko pocieszałem się, że może jutro wyjdzie słońce i w końcu wysuszę ubranie i resztę ekwipunku.

W takim stanie ducha, samotny i lepki, poczułem szczególnie dotkliwy żal, że rozpadło się moje małżeństwo. Zateęskniłem za nudnym, przewidywalnym Londynem, moją małą rodziną, zwyczajnością codziennych zajęć. Samotny na krańcu świata zrozumiałem, że moje życie pękło na pół, i na wilgotnej stronicy dziennika zanotowałem: „Niełatwo się podróżuje samemu, ale najtrudniej wtedy, gdy nikt nie czeka w domu”.

Doszedłszy do tego rodzaju smętnej konkluzji, ujrawszy ją nabazgraną czarno na białym, zazwyczaj odkładałem notatnik i już tylko modliłem się o słońce, a rano, żeby nie czuć się tak samotny, karmiłem niebieskawoszare kraby zwane zjawami, rzucając im kawałki sera i pokruszone ciasteczka czekoladowe.

Kiedy po trzech dniach w końcu wyszło słońce, od razu poweselałem, a światło i ciepło dodały mi wigoru. Zebrałem trochę kokosów, strącając je wiosłem. Zrobiwszy nożem dwie dziurki, wypijałem słodką wodę. Korzystając z dobrej pogody, wysuszyłem ubranie i resztę ekwipunku, zapakowałem kajak, ułożyłem plan wyprawy na inne niezamieszkane wyspy Vava'u i opłynąłem wysepkę Pau.

Pau była bezludna, ale nie cicha. Nietoperze czyniły nie lada harmider, ptaki pogwizdywały i skrzeczały, drzewa grzechotały, szumiały i trzepotały,

nietoperze owocożerne bez ustanku kokosiły się na gałęziach. Czaple rafowe wołały: „Khrra, khrra, khrra!”. Morze tłukło się o brzeg, a na wielkiej wystającej rafie między Pau a Fuamotu nieustannie huczały spienione fale. Z miejsca, w którym siedziałem, siorbiąc makaron albo jedząc rybę lub ananasa, widziałem osiem wysp, ale nie widziałem ani jednego człowieka, żadnej wioski ani łodzi.

Po słonecznym dniu w nocy ulewa smagała namiot. Umykając pośpiesznie do namiotu, zostawiłem garnek na dworze. Rano było w nim dobre siedem centymetrów wody, mimo że stał pod drzewem.

Zazwyczaj budziłem się wcześniej, około piątej, włączałem radio i słuchałem wiadomości BBC lub Radia Australia o wojnie w Zatoce. Euforia pierwszych dni walk wyparowała i zaczynało wyglądać na to, że ta wojna potrwa.

Właśnie tego spodziewał się Leonati, którego spotkałem w Neiafu.

– Mówią, że wojna szybko się skończy, ale mnie się wydaje, że potrwa długo. Mówią, że przez kilka pierwszych dni zadali wielkie straty, ale nie sądzę, że to prawda.

Znajdowałem się na antypodach Bliskiego Wschodu, dalej już być nie można, a i tak wszyscy martwili się tą wojną. W wiadomościach usłyszałem, że w Kiribati (co jest zniekształconą wersją pierwotnej nazwy tych wysp, bo o dziwo miejscowi właśnie tak wymawiają słowo „Gilbert”) zbuntowani więźniowie odmówili wychodzenia na spacerki, obawiając się irackich scudów.

Serwowano więcej spekulacji niż faktów, gdzież u licha świadkowie naoczni, zżymałem się, i wyłaziłem z namiotu w zamglone świtanie, dumając, co to się porobiło z tym światem, i gratulowałem sobie, że jestem tak daleko stamtąd i wiodę żywot trampa. Nastaly gorące, wilgotne, pochmurne dni, chociaż od czasu do czasu wychodziło słońce i zrywała się lekka bryza.

W te dobre dni w zachwycającym świetle słonecznych poranków ogarniałem spojrzeniem o wiele więcej wysp niż przedtem. Rozciągały się na południowy zachód niczym kamienna przeprawa przez morze i podekscytowany widziałem, że płynąc od jednej do drugiej, mogę zdobyć większość z nich. Żadna nie była zamieszкана, wszystkie miały zgrabną

postać – garbate od okazałych wzgórz, niektóre urwiste, inne z siodłatymi górami, wszystkie porośnięte gęstym starym lasem i kokosowymi palmami.

Idealny akwen do kajakowania, bodaj najlepszy na Pacyfiku. Wyspy stosunkowo wysokie, widoczne z dużej odległości. Mocniej wiało dopiero po południu, więc wyprawiając się i wracając wcześniej, można było unikać zmagania z wiatrem. Każda wyspa miała stronę silnego przyboju i drugą zaciszną, gdzie zazwyczaj ściliła się śliczna i spokojna plaża. Całkowity brak turystów, żadnych śmieci – brak jakichkolwiek śladów bytności człowieka na tych dalekich wyspach. Miałem wrażenie, że bez trudu spędziłbym długie tygodnie lub miesiące na pustych wyspach Vava'u, odbywając od czasu do czasu wyprawę do Neiafu w celu uzupełnienia zapasów. Osobny świat, gdzie możliwa jest samotność, ponieważ Tongijczycy nie są ciekawi obcych, nie są tak serdeczni jak Melanezyjczycy ani nawet nie udają życzliwości.

Obawiałem się jedynie prądów morskich. Nie wiedziałem, jak silne są prądy pomiędzy najdalszymi wysepkami, i zastanawiałem się, czy jeśli popłynę dziesięć albo piętnaście kilometrów do którejś z najodleglejszych, jakie zaznaczono na mojej mapie, to nie porwie mnie potężny prąd.

Powiosłowałem znów na Taungę, żeby wypytać rybaków. Doskonała pogoda sprawiła, że wszyscy rybacy łowili, więc poszedłem do Lini, która zrobiła rozeznanie wśród kobiet. Kobiety nic nie wiedziały o prądach morskich, co ani trochę mnie nie zdziwiło, bo przecież Tongijki ani nie wiosłują, ani nie żeglują.

– Plaża na końcu waszej wyspy jest naprawdę piękna – powiedziałem.

– Tak. Kąpiemy się tam.

– Przyjeżdżają do was turyści?

– Czasem, łodziami. Raz przyplłynął statek wycieczkowy. Mnóstwo ludzi. Zachwycali się naszą wioską. Podziwiali domy i kwiaty.

– Jak wyglądał ten statek?

– Nie pamiętam – rzekła Lini. – Ale zachwycali się plażą.

– Skąd byli ci ludzie? Z jakiego kraju?

– Nie wiem – odparła niecierpliwie, jak gdybym zadał głupie pytanie.

Prawdziwa Tongijka. Zapamiętała tylko to, co obcy mówili o jej wiosce, a poza tym w ogóle jej nie interesowali.

– Dzisiaj nikt się nie kąpie na plaży – powiedziałem.

– To tak daleko – rzekła. Rzeczywiście, dziesięć minut piechotą! Uśmiechnęła się i dodała: – Pewien cudzoziemiec chciał wybudować hotel na naszej plaży i pytał o to króla. Wielki hotel, do którego przyjeżdżaliby turyści.

– I co mu król powiedział?

– Nie mógł mu nic powiedzieć, póki nas nie zapytał.

– Więc król pytał wioskę, czy zgadza się na budowę hotelu?

– Tak.

– I co odpowiedzieliście?

– Że go nie chcemy – rzekła i odwróciła się.

– Czemu nie?

– Bo nie chcemy tych ludzi.

Przez „tych ludzi” rozumiała cudzoziemców.

Właśnie dzięki wyniosłości, arogancji, prostactwu i ksenofobii Tongijczyków Vava’u jest jednym z najmniej skażonych regionów Pacyfiku.

Tamtego i następnego dnia wiosłowałem na zachód, opływając bezludne wysepki i wystrzegając się prądów morskich. Ociosywane przez morze wapienne klify tych wysp opadały pionowo, a faktura kamienia przywodziła na myśl mury angielskich klasztorów – tak samo szarobrazowa, tak samo szlachetna jak gotyckie ruiny i człowiek ma wrażenie, że gdyby do dzieła przystąpili archeolodzy, odkopaliby kościół lub klasztor i kości średniowiecznych świętych.

Białe plaże po stronie zawietrznej jarzyły się w słońcu, rozgrzane, piękne i puste, zbiegające ku błękitnozielonej lagunie. Niemal na każdej wyspie rosły palmy kokosowe, grasowały ptaki. Te wyspy są tak urocze, że poczułem żal, iż jestem na nich sam. Wcale nie potrzebowałem towarzystwa, ale po prostu instynktownie pragnąłem, żeby ktoś jeszcze podziwiał to piękno. Pragnąłem innych świadków, kogoś, z kim dzieliłbym te skarby. Gdybym znajdował się w miejscu okropnym, zaciskałbym zęby, nie potrzebował nikogo, jak w owe szare deszczowe dni. („Swą rozpacz sam ja dzielnie zniosę, / Ale nie nadzieję innych”<sup>[45]</sup>). Dobra pogoda odmieniła jednak tę postawę. Nie czułem się dzielny ani wytrwały sam pod słonecznym niebem. W sercu tej wspaniałości czułem się samolubem.

Żeglarze pływający po Pacyfiku znają Vava'u. Wiele jachtów zawija do Neiafu, a zatoka Port of Refuge uchodzi za jedno z najlepszych miejsc do zakotwiczenia łodzi na sezon huraganów, od listopada do kwietnia. Niektóre z tych jachtów krążą wokół wysp Vava'u, ale ze względu na obfitość raf i milionów wysepek jest niedostępnych dla jednostek o większym zanurzeniu niż mój kajak.

Przepluwając opodal Eua'iki, posłyszałem niezwykle ptasi harmider, który przywodził na myśl chór kakadu, i postanowiłem wylądować. W tym regionie Pacyfiku żyje mnóstwo ptaków – rozmaite czaple, rybołówki, jaskółki i rybitwy. Ale ptaki na Eua'iki nie wiedzieć czemu czyniły niemal ogłuszający hałas.

Wciągnąłem kajak na brzeg i żeby lepiej widzieć, wdrapałem się na skałę, a tam, na gałęziach wysokiego drzewa zaraz za urwiskiem, kłębiło się kilkaset nietoperzy owocożernych, wiszących głową w dół, lecz popiskujących, kłócących się między sobą i niefrasobliwie strzykających moczem. Jeden oderwał się od gałęzi i – wyglądając niczym Bruce Wayne w przebraniu, chociaż o wiele brzydszy – załopotawszy skrzydłami, zatoczył wielkie koło i wrócił na drzewo, gdzie znowu uchwycił się gałęzi i zawisł głową w dół.

Inne nietoperze, nie odrywając się od gałęzi, rozpościerały błoniaste skrzydła i wyglądały jak szereg zawieszonych na drzewie targanych wiatrem połamanych czarnych parasoli.

**Na mej** pustej wyspie Pau musiałem układać szczegółowy plan dnia, żeby nie popaść w nieróbstwo lub co gorsza przygnębienie. Jadłem więc kilka posiłków dziennie. Sumiennie odbywałem poranną i popołudniową sesję wiosłowania. Zawsze sprzątałem po jedzeniu i wieszałem naczynia na drzewie. Sumiennie suszyłem ekwipunek. Racjonowałem wodę pitną, chociaż bez trudu mogłem się w nią zaopatrzyć na Taundze. Po obiedzie drzemałem, a następnie nurkowałem w lagunie. Roiło się tam od krągłych pięknych ryb, ale harpun wymieniłem na coś innego na Salomonach. No i dobrze, mówiłem sobie, niechże służy ludziom, którzy łowią, żeby mieć co do garnka włożyć.

Tak oto liźnąłem życia trampa na pustej, szczęśliwej wyspie. W zasadzie to czyste lenistwo z dodatkiem narzuconych samemu sobie wymyślonych obowiązków. Z czasem człowiek zaczyna wierzyć w te fikcje i dzień mija niepostrzeżenie. Takie życie oznaczało samotność i samowystarczalność. Oznaczało mnóstwo snu, bodaj za dużo słońca i niewyobrażalnie wiele ukąszeń moskitów. Oznaczało wielką dbałość o dietę, do której starałem się włączyć jak najwięcej kokosów. Ale nade wszystko, jako że miałem bardzo mało słodkiej wody do mycia, owo życie oznaczało wieczny stan niejakiej lepkości i słoności ciała.

Pewnego dnia, wróciwszy do obozowiska, zauważyłem jacht z firmy czarterowej Moorings w Neiafu, który stał na kotwicy w cieśninie między moją wyspą a Ngau. W czasie odpływu pojawiała się tam piaszczysta łacha. Ciekawe, czy ci żeglarze wiedzą, że za godzinę lub dwie osiądą na mieliźnie.

Podpłynąłem kajakiem do jachtu, na którego pokładzie znajdowały się cztery osoby, dwie pary – Amerykanie, jak odgadłem na podstawie przywitania.

– Stoicie na bardzo płytkiej wodzie – powiedziałem i natychmiast przyszło mi do głowy, że ostrzegałem ich również dlatego, iż nie chciałem nazajutrz rano odkryć tego jachtu kotwiczącego jak gdyby nigdy nic w mojej lagunie.

– Zaraz odpływamy – powiedział mężczyzna stojący za sterem. – Piękny zakątek. Jest pan Amerykaninem?

– Tak. Z Cape Cod.

– Spędzamy lato w Osterville.

– Świat jest mały.

Te dwa małżeństwa wyczarterowały jacht przed tygodniem i żeglowały po archipelagu Vava'u. Co roku wyjeżdżali na wakacje w ciekawy zakątek świata, a to na wędrowkę po Alasce, a to na rajd rowerowy gdzie indziej. Wydawali się szczęśliwi i spełnieni, mieszkali w Georgii, wzruszyła mnie zwłaszcza ich widoma bliskość.

Zaprosili mnie na pokład, ale miałem jeszcze do załatwienia jakieś swoje sprawy. Nie skorzystałem z zaproszenia także dlatego, że zarośnięty i brudny czułem się trochę nieswojo w obliczu tych wymuskanych ludzi na zgrabnym jachcie.

Porozmawialiśmy chwilę o Tonga i Tongijczykach.

– Spacerujemy ulicami i nikt nas nie widzi! – dziwiła się jedna z kobiet. – Oni w ogóle nie patrzą. Wszędzie indziej ludzie są ciekawscy.

– Doskwiera panu samotność? – zapytał jeden z mężczyzn, kiedy im powiedziałem, że biwakuję na pustej wyspie.

– Jestem szczęśliwy – odrzekłem.

Przedstawiliśmy się sobie i odniosłem wrażenie, że o mnie słyszeli. Mało tego, jedno z małżeństw znało z Harvardu mojego starszego brata.

– Miał kłopoty sercowe – wspominała kobieta i zaczęła go bardzo szczegółowo opisywać.

Starala się, ale nie poznawałem go. Zawsze tak jest. Ilekroć ktoś spoza naszej rodziny opowiada o moim bracie – nawet jeżeli zna go bardzo blisko – w tym, co mówi, nie rozpoznaję Mycrofta<sup>[46]</sup>. Zawsze się mylą co do niego. Ale czy ktokolwiek może znać naszych bliskich lepiej niż my?

– Czym się teraz zajmuje?

– Mieszka samotnie na Cape z kotem o imieniu Szczur i hoduje indyki – odparłem. – Od czasu do czasu wozi je na wystawy. A swoje książki dedykuje kotu.

Kiedy wróciłem na wyspę, słońce już zachodziło, więc zaciągnąłem kajak pod drzewa. Nie chciałem, żeby mnie ktokolwiek zauważył. Namiot rozbiłem za krzakami, chowałem kajak. Te odruchowo przedsięwzięte środki ostrożności przywiodły mi na myśl Tony’ego, zbieracza resztek z północnego wybrzeża Queenslandu, który biwakował w ukryciu i dbał o to, żeby nie przetrzeć ścieżki do swojej kryjówki, bo to, jak powiadał, ściągnęłoby „biurokratów”. Wiodąc żywot koczownika na plaży, robiłem się tak samo skryty.

Co wieczór musiałem sporządzić notatki i zjeść kolację przed zapadnięciem nocy, bo inaczej potykałbym się w ciemnościach. A właśnie wtedy na żer wylatywały moskity. Bez środka odstraszającego owady i bez moskitiery w namiocie chyba nie dałbym rady mieszkać na tej wyspie. Rano i wieczorem pojawiały się istne chmury moskitów, które mnożyły się błyskawicznie w niewysychających o tej porze roku deszczowych kałużach.

Siedząc na pniu wyrzuconym przez morze, robiłem notatki, podczas gdy dwie szare czaple stały cierpliwie na płyciźnie, czekając na przypływ, który ułatwi im polowanie. Wszędzie na plaży kraby kopały jamy, wygarniając szczypcami piasek. W czasie odpływu dwa kilometry od brzegu wynurzała się rafa i słyszałem narastający huk fal niczym stłumiony ryk odległej autostrady.

Z powodu moskitów i nocnych deszczy niemal cały czas po zmroku spędzałem w namiocie, pisząc, pijąc zieloną herbatę albo słuchając po ciemku wiadomości, które sprawiały wrażenie koszmaru. „Doskwiera panu samotność?”, zapytał jeden z żeglarzy. Nie, czułem się absolutnie bezpieczny.

No i uwielbiałem gwiazdy – wielkie jasne planety i małe samotne punkciki, tłuste migoczące gwiazdy, grupki malutkich podglądaczy i roziskrzone chmury brokatu – cały firmament nieba niczym burza światła nad moją wyspą.

„Pewnego dnia około południa, dążąc ku mej łodzi, zdumiałem się niezmiernie, ujrawszy na brzegu ślad bosej ludzkiej stopy, rysujący się nader wyraziście na piasku”<sup>[47]</sup>, wspominał Robinson Crusoe.

Miałem podobne przeżycie, tyle że o zmierzchu. Przez całe popołudnie trwał odpływ, a kiedy spojrzałem znad talerza z kolacją, nagle zobaczyłem wszędzie ślady stóp. Biegły przez plażę, do lasu, pod klify, wzdłuż brzegu, przez wydmy, we wszystkie strony w obozowisku, rozpaczliwe ścieżynki samotności.

Widziałem setki, może tysiące odcisków stóp, przywodzące na myśl nieprzebrane tłumy próżniaczych włóczęgów, i poczułem paniczny strach, a tym, co mnie przeraziło – i zmusiło wkrótce do zwinięcia obozu i przeprowadzenia się na najbliższą zamieszkaną wyspę, gdzie mogłem być pewien dobrego przyjęcia – była myśl, że wszystkie te ślady i pilnie wydeptane ścieżynki są moim dziełem.

Tak oto, zastanawiając się nawet, czy nie zapadłem na gorączkę skalną, opuściłem moją wysepkę, gdzie pierwszy raz w trakcie moich podróży nie było komu rzec do widzenia. Odjechałem z tego odludzia po cichu, zostawiając we mgle niemą wysepkę, królestwo sikających w ekwilibrystycznej pozycji nietoperzy i czujnych czapli. Po prostu wymknąłem się, prześlizgnąłem za rafę i ruszyłem pomiędzy wyspami,



opływając je w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara. Widziałem, że w cieśninie wysokie fale biją w wielką rafę, więc trzymałem się blisko brzegów. Minąwszy Euakafę, skierowałem się ku dużej Kapie.

Pięć kilometrów dalej ujrzałem kamienne molo, a opodal niego dwóch mężczyzn w pontonie. Jeden z nich mozolił się z siecią, drugi stabilizował łódkę.

Sieć tkwiła jeszcze pod wodą i wydawała się bardzo ciężka. Mężczyźni nie udawało się jej dźwignąć.

– Ciągniecie ryby? – zapytałem.

Jęknęli, sapnęli i bąknęli, że tak.

Podpłynąłem bliżej i przystanąłem, przyglądając się. Mężczyźni działali bardzo niewprawnie, jeden prawie że przewrócił ponton, drugi zaplątał się w sieć. W końcu ten przy sieci wyciągnął ją i wysypał połów do pontonu, mnóstwo rybek wielkości sardynek. Rybacy gestem pokazali, że chętnie ofiarują mi wiadro tych rybek. Niezwykłe, pierwsi Tongijczycy, którzy chcieli mi coś dać. Kiedy grzecznie odmówiłem, natychmiast przestali się mną interesować.

Więcej mężczyzn łowiło ryby pod klifami Kapy, chwytając większe ryby na linkę. Kiedy ich pozdrawiałem, odwzajemniali powitanie, ale nawet nie spojrzawszy, rzucali tylko beznamiętne „hej”.

Żeby ominąć jachty, których kilka kołysało się na kotwicy tu i tam w zatoce, postanowiłem powiosłować przez lagunę zbyt płytką dla jednostek większych od kanu. Kawalek na zachód od tej laguny leży Utungake, gdzie chciałem rozbić obóz, a kiedy znalazłem się blisko brzegu, ujrzałem pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt kobiet z wiadrami, które stały po pas w morzu i najwyraźniej coś zbierały czy łowiły. Ciekawe co.

Jedna z kobiet zawołała mnie. Podobnie jak pozostałe była w zwykłym ubraniu, które oczywiście całkiem przemokło. Wraz z czterema towarzyszkami siedziała zanurzona po pachy i patroszyła jakieś morskie stworzenia, węgorze albo wielkie ślimaki.

– Gdzie pana żona? – rzuciła na powitanie.

– Nie ma jej tutaj – odparłem. – Gdzie pani mąż?

– Nie mieć żadnego.

Nazywała się Enna, była bardzo gruba, jej włosy nurzały się w morzu, a palce usmarowała na karmelkowo wnętrzościami tych węgorzy czy ślimaków.

– Czemu nie znajdzie pani sobie męża?

– Pan może, hi, hi, być, hi, hi, mój mąż!

– Jak panu na imię? – zapytała jej towarzyszka o imieniu Melly.

– Paul.

– Jak to? – dociekała, czyniąc rękoma gest, jak gdyby obejmowała piłkę. – *Ball?*

– Nie *ball* – zaprzeczyłem, podczas gdy Melly chichotała, a za nią wszystkie pozostałe – lecz Paul, jak święty Paul.

– Dziękuję panu, mister Ball!

– Co robicie?

– Kroimy to – powiedziała Enna. – *Lemas*.

Teraz już widziałem, że zbierały ślimaki morskie, tyle że tak wiotkie, jakich nigdy przedtem nie widziałem, o formie i barwie napełnionej prezerwatywy. Kobiety zbierały te stworzenia z dna laguny – gdzie w mule tkwiło ich tysiące – rozcinały je i wyciągały długi pomarańczowy, lepki i ociekający organ, który wrzucały do plastikowego wiadra.

– Pan lubi? – zapytała Enna.

– W Ameryce nie mamy *lemas*.

– Pan zje.

– Nie zjem – rzekłem.

Enna owinęła owo maziowate coś wokół palca i siorbnęła do ust niczym kluskę.

– Mniam! – powiedziała.

Melly zrobiła to samo. Potem za pomocą noża wyciągnęła z mułu podługowate, galaretowate stworzenie i podsunęła mi je pod nos.

– Pan boi się to?

– Nie – powiedziałem.

– Pan je to więc.

Właśnie tak szkolni rozrabiacy traktują klasową ofertę lub nowego ucznia. Siedziałem w kajaku, a Melly podtykała mi pod nos to obrzydlistwo na końcu

ostrego noża.

– Niechże pani to zabierze, Melly – poprosiłem.

– Pan boi się – powiedziała i niemal dźgnęła mnie w nos.

Starąłem się nie mrugnąć.

– Czemu pan nie je to?

– Bo nie jestem głodny – powiedziałem, a w myślach dodałem: Ty gruba torbo!

Powiosłowałem w głąb laguny, płynąc szybciej, niż ktokolwiek z miejscowych był w stanie chodzić. Większość mieszkańców Utungake wydała mi się niewiarygodnie głupia i rozlazła. Odniosłem przykre wrażenie, że całe ich zainteresowanie bliźnimi wypływa z okrucieństwa. Wszyscy babrali się w mule, szukając ślimaków. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Jakaś kobieta niosła przez lagunę wielki dzban z wodą. Podobnie jak wszyscy inni miała na sobie zwykłe ubranie. Kobiety kąpały się ubrane w sukienki, spódnice, bluzki, jak wiktorianie. Chłopcy mieli na sobie koszule i spodnie. Ale wszyscy chodzili boso, nawet w lagunie, nic sobie nie robiąc z koralowców i jeżowców.

Poszedłem popływać na skraju laguny, a późnym popołudniem poprosiłem w pobliskiej wiosce o pozwolenie przenocowania na pustej plaży. Zgodzili się, rozdałem kilka jedwabnych chustek, a potem rozgościłem się na noc – pełną świec lamp, śmiechów, szczekania psów.

Nazajutrz rano powiosłowałem z powrotem do cywilizacji.

„**Trzeba** przyznać, że te klimaty i ta podróż wzmocniły mnie w stopniu, który wydawał mi się niemożliwy. A mimo to morze jest miejscem straszliwym”, pisał w 1888 roku Robert Louis Stevenson do przyjaciela w Londynie. Wyczarterowanym szkunerem Casco podróżował po Pacyfiku, szukając tej szczęśliwej wyspy, na której spędził ostatnie sześć lat życia. Lubił wyspy. Nie cierpiał morza. Żeglowanie po morzu, jak pisał, jest zajęciem „otępiającym umysł, zatruwającym temperament; nic, tylko morze, kolebanie, ciasnota, męka ciągłej obecności innych, podłe konserwowe jedzenie, marynarze, kapitan,

pasażerowie – ale wszystkie te tortury los wynagradza z nawiązką, kiedy w końcu widzimy ląd i rzucaamy kotwicę w nowym świecie”.

W pełni podzielałam te odczucia. Żeglowanie po morzu to monotonia kolebana się w ciszy przerywana wietrznymi okresami koszmarnego strachu. Żadna pustynia nie jest tak zabójcza i nużąca jak ocean. A potem – po tygodniach albo miesiącach powtarzania sobie, że życie to płynięcie półwiatrem i nagły zwrot przez rufę – ziemia i lądowanie.

Nigdy nie polubiłem żagłówki tak bardzo, żeby chcieć spędzić w niej rok, natomiast każdy prawdziwy żeglarz po prostu kocha swą łódź, aż po szafkę kompasową i kambuz. Prawdziwi żeglarze są też wybredni, pedantyczni i konserwatywni, chociaż nie znoszą autorytetów. Są samodzielni, potrafią wszystko naprawić, bywają drażliwi i lubią rozmawiać o sprawach ostatecznych, jak gdyby spodziewali się końca świata. Mają niewiele wspólnego ze szczurami lądowymi i bodaj właśnie dlatego uciekają na morze. Zawsze się zastanawiam, czy oni od początku są tacy porządni, czy też dopiero żeglarstwo – przebywanie w ciasnej przestrzeni – robi z nich pedantów.

Tak czy inaczej wszędzie w Oceanii spotykałem takich żeglarzy i zaiste wydawali mi się osobnym gatunkiem. Żadnego w nich wścibstwa, śladu nachalności. Tolerancyjni, pozwalają żyć. Żeglarstwo wymaga przestrzegania subtelnej etykiety. Jeżeli nie mamy nic do nich, oni też nie mają nic do nas. Nade wszystko chcą, żeby zostawić ich w spokoju – to bodaj główny powód, dla którego podnoszą kotwicę. Spędzają całe lata w łodzi. To nieraz ludzie, którzy sprzedali dom, samochód, firmę, rzucili pracę, aby dorobek całego życia złożyć na ołtarzu niepomahowanej pasji, woli naśladowania Latającego Holendra.

W Port of Refuge w Vava’u stały trzydzieści cztery jachty, wszystkie na kotwicy, unieruchomione na sezon huraganów. Większość znajdowała się tam od trzech lub czterech miesięcy, niektóre od kilku lat. Przy dobrej pogodzie zdarzało się, że ten lub inny żeglarz wypływał w morze i nawet spędzał noc opodal jednej z mniejszych wysp Vava’u, ale na ogół jachty stały w Port of Refuge. Żeglarze tylko z rzadka schodzili na ląd, udając się a to po wodę do portu, a to po prowiant do sklepów w Neiafu, chociaż zasadniczo nie cierpią sklepów. (Prawdziwi żeglarze nigdy nie szastają pieniędzmi, co wynika po

części z oszczędności, chociaż przede wszystkim z pragnienia zachowania anonimowości. Rozrzutnicy rzecz jasna rzucają się w oczy). Kupowali banany i kokosy na bazarze, chleb w piekarni i zachodzili na pocztę lub do biura firmy Moorings, żeby sprawdzić, czy nie ma listów z domu.

Mówiąc o innych ze swego grona, prawie zawsze zamiast nazwiska używali nazwy łodzi.

– Windrift jest hydraulikiem – powiedział mi jeden z żeglarzy, wskazując odpowiedni jacht. – Southern Cross to budowlaniec. Sourdough jest lekarzem, chociaż nigdy by się pan nie domyślił, taki miły z niego gość. Gungha był prawnikiem, ale teraz łowi w sezonie łososie na Alasce. Można na tym zbić grubą forszę. Znajdziesz pan tu przeróżnych ludzi, prawdziwy przekrój społeczny, można powiedzieć. Oczywiście wielu przylatuje na swoje jachty dopiero w sezonie. „Zaprowadź łódź do Tonga, tam się spotkamy”, mówią. Popływają trochę i odlatują do domu. „Zaprowadź łódź do Fidżi”.

Siedzieliśmy na moło w Neiafu i rozmawialiśmy o żeglarstwie. Zjawiłem się w upstrzonym kryształkami soli kajaku, z tygodniowym zarostem na twarzy i zwróciłem na siebie uwagę żeglarzy. Z pewnością miałem dzielną łódkę, nawet jeżeli zaledwie czteroipółmetrową. Prawdziwi żeglarze podziwiają wszystko, co funkcjonalne, solidne i zgrabne, ponieważ w najlepszych jachtach nie ma nic zbędnego.

– Staramy się spędzać rok w danym miejscu – powiedział Sundog. Dodał, że wraz z dziećmi, dwiema córeczkami, pływa po Pacyfiku od siedmiu lat. – Bawiliśmy się świetnie w Tahiti, ale nie w Papeete, lecz na Moorei i na Tahiti-Iti, mniejszej części Tahiti. Zupełnie inny świat. Bardzo zmysłowy. A potem człowiek przy pływa tutaj, gdzie wszyscy chodzą do kościoła.

– Żeglujemy od osiemdziesiątego szóstego – rzekł Glory. – Drugi raz jesteśmy w Tonga i powiem wam, że to miejsce schodzi na psy. Kiedyś to był najczystszy port na Pacyfiku.

– Studiowałem historię i żeglarstwo polinezyjskie – opowiadał Dancer. – A kiedy tu przyjechałem, odkryłem, że nikt nie ma o tym bladego pojęcia.

Sundog ciągle wspominał Tahiti.

– Polinezyjczycy w ogóle nie wstydzą się nagości, nie to co ci tutaj – mówił. – Są bardzo gościnni, trzeba by wam widzieć te uśmiechy!

– No, nie zgodzę się z tobą – zaproponował Glory. – Na Markizy wzięliśmy ze sobą igły i haczyki. Zawsze staramy się zrobić coś dobrego tam, gdzie przybywamy. Coś poprawić, ułatwić, to nas cieszy. Ale nie byli zainteresowani. Mieli nas w nosie. W ogóle nie chcieli igieł ani haczyków.

– Rzecz polega na tym – stwierdził Dancer – że dane miejsce ocenia się przez pryzmat poprzedniego. Przy płynęliśmy z Nowej Zelandii. Tam każdy z tobą rozmawia. Wspaniali ludzie. Wspaniali żeglarze. Dmucha dziesiątka i człowiek słyszy w radio Kiwiego, który wesoło szczebiocze: „Jest w porządku, płynamy sobie z naszymi paniami, tylko pieprzone morze wygląda jak piekło na ziemi”.

Poruszyłem temat Tongijczyków, bo zastanawiałem się, czy przypisując im ksenofobię i zły charakter, nie ulegam złudzeniom. W końcu w podróży człowiek nieraz rzutuje na otoczenie własny nastrój, staje się wyobcowany i bojaźliwy, po czym nawet kraina szczęśliwości wydaje mu się siedliskiem zła.

– Tongijczycy? To gbury – stwierdził Sundog. – Nieżyczliwi. Naburmuszeni. Mają wszystkich w nosie.

– Udają, że cię nie widzą, nawet nie patrzą, prawda? – rzekł Dancer. – Ale tak naprawdę obserwują cię kątem oka. Wszystko widzą.

– Winny jest Kościół – orzekł Glory. – Zwłaszcza wolni wesleyanie, którzy są strasznie pazerni. Wyciskają z ludzi miliony, a co ci ludzie mają? Płacą dziesięcinę, a i tak ciągle są coś winni Kościołowi.

– Tongijczycy są niewyuczalni – rzekł Sundog, już prawie ze złością. – Też pomyśl, oni w ogóle nie chcą się uczyć. Są leniwi, rozlaźli, ale wielu się wydaje, że wszystkie rozumy pojedli.

– Fidzyjczycy są całkiem zamożni – stwierdził Sundog. – Ale gdy masz interes do zrobienia w Fidżi, musisz robić go z jakimś poniewieranym Hindusem.

– Zamierzam jechać do Samoa – powiedziałem.

– Chciałbym, naprawdę chciałbym powiedzieć coś dobrego o Samończykach – rzekł Glory. – Ale nie mogę – skwitował z tryumfalnym uśmiechem. – Co prawda w Samoa Zachodnim muszą się trochę bardziej starać, więc nawet umieją pracować. Ale ja dwa lata spędziłem w Pago Pago

i uważam, że ludzie są tam straszni: kradną, kłamią, są leniwi, nienawidzą cię i tylko wyciągają rękę. Dajemy im siedemdziesiąt pięć milionów i co mamy w zamian? – znowu się uśmiechnął. – No i to brutale.

– Niektórzy zapuszczają tam jednak korzenie – wtrącił Dancer.

– Tak, ale ekspatrianci na ogół nie są orłami – orzekł Glory. – Po prostu łatwiej im rozwinąć skrzydła w miejscach takich jak Samoa.

– Lub Tonga – dodał Gungha. Właśnie przyplłynął na molo i przywiązywał bączka.

– Tuamotuńczycy to rozkoszni ludzie – stwierdził Sundog. – Upieką w *umu* psa albo świnie i serdecznie cię ugoszczą.

Tak wyglądały nasze rozmowy w porcie. Żeglarze często wdawali się w takie pogwarki na tym neutralnym gruncie. Ale odwiedzali się też na jachtach, przyplływając bączkiem. Niekiedy rozmawiali, krzycząc jeden do drugiego z pokładów łodzi. Każdy jacht zajmował swój kawałek akwenu. Nie było bliskich sąsiadów. Kiedy wiało, wszyscy uszczelniali kłapy.

– To zabawne – mówił Mike z Gungha. – Przyplýwasz w miejsce takie jak to i zastajesz te same problemy, od których chciałeś uciec: skażenie środowiska, biurokrację, wszystko.

Glory z dumą opowiadał mi o swojej samodzielności. Wypłynął przed rokiem z Honolulu z zapasami za cztery tysiące dolarów, sam konserwował mięso i ryby, sam robił chutney.

– Raz lub dwa razy w tygodniu żona piecze chleb. Jest fantastyczny. Rozdajemy go – mówił. – Wszystko, co mamy, to czas.

Kto w świecie, który porzucili, może to powiedzieć?

Żeglarze dużo czytali, a Glory, najbardziej zapalony, moralizujący i dominujący entuzjasta w tym gronie, wspomniał, jak bardzo mu się nie podobało *Wybrzeże moskitów*.

– Znienawidziłem głównego bohatera. Nie mogłem go znieść. Ty napisałeś tę książkę? Naprawdę mi się nie podobała.

– Mnie by chyba nie smakował chleb twojej żony – powiedziałem.

– Moje dzieci uważają, że jestem taki sam jak bohater tej książki – powiedział Verne Kirk z Oriona. – Uważam więc tę rzecz za arcydzieło.

Na tym skończyła się ta dyskusja. Wkrótce żeglarze wsiedli do bączków i powiosłowali do domu, wszyscy oprócz Verne'a.

– Ta książka podoba mi się, bo jest prawdziwa – rzekł Verne. – Ludzie to robią. Opuszczają Stany tak jak on. Wszędzie ich tutaj spotykamy.

Ekscentryczny, w każdym calu był typowym wagabundą Pacyfiku. Prawie zawsze chodził boso, w bandanie na głowie, dużo palił. Zauważyłem, że wielu żeglarzy kopci jak parowozy. Na łodzi puszczał Rolling Stonesów. Od lat włóczył się po całej Oceanii. Pod sześćdziesiątkę, zabawny, życzliwy i zręczliwy. „Życie to miecz obosieczny”, mawiał. Pływał Orionem, wysłużonym katamaranem, którym zarabiał, na przykład wożąc na rafę amatorów nurkowania albo zabierając chętnych w tygodniowy rejs. Ale Orion był także jego domem. Przyplłynął nim z Samoa. Jacht zawierał cały dobytek Verne'a, z którego żeglarz najbardziej cenił księgozbiór. Ustawicznie nawiązywał do literatury, cytował Margaret Mead, kapitana Cooka, Williama Marinera, rozmaitych historyków, nawet mnie. Najbardziej podziwiał *Totem i tabu* Freuda. Pokazał mi swój egzemplarz, w którym roiło się od dopisków na marginesach i podkreśleń.

– Interes słabo się tutaj kręci, ale miejsce jest piękne – mówił Verne. – Fakt, mam paru wrogów – *palangi*, rzecz jasna. Machiavelli powiada, że jak chcesz ocenić człowieka, przyjrzyj się jego wrogom. Nie mam nic przeciwko temu. Moi wrogowie to ostatnie dupki.

Spędził pięć lat w Samoa i jako jedyny ze znanych mi ludzi miał coś dobrego do powiedzenia o Samończykach.

– Lubiłem ich – opowiadał. – Zamerykanizowani naprawdę naskórkowo. Zabawni, no i zostawiali mnie w spokoju. Pozowałem na wariata. Pewnie po trosze jestem wariatem. Jak ludzie sądzą, że brak ci piątej klepki, trzymają się na dystans.

– Fama głosi, że Samończycy to brutale.

– O tak, nie inaczej. Ale mnie to nie przeszkadzało. Miałem całkiem dobrą robotę.

– Za ile?

– Pięć dolców na godzinę, grosze. Ale mieszkałem na jachcie. Zero wydatków.



Powiedział mi, że „z powodów zbyt skomplikowanych, żeby o nich teraz wspominać” – często używał tego wyrażenia, opowiadając o swoich zajęciach, a ja najbardziej lubiłem owo „teraz” – pracował jako główny inżynier w ministerstwie robót publicznych w Pago Pago.

Verne zgadzał się z opinią, że Vava’u to jeden z najwspanialszych akwenów jachtingowych. Entuzjaści jachtingu płynęli z Hawajów do Pago Pago, a potem do Vava’u. Przybywali również z Fidżi i Nowej Zelandii. Natomiast decyzja o tym, którądy płynąć dalej, była trudniejsza z punktu widzenia nawigacji. Jeżeli ruszymy dalej na zachód do Vanuatu i Australii, to potem musimy płynąć na północ do Mikronezji i jeszcze dalej w chłodne wody, żeby w końcu dotrzeć do strefy stałych wiatrów zachodnich, które zanoszą nas z powrotem na Hawaje. Zamiast tego można ruszyć na wschód, żeby przepłynąwszy przez Tuamotu i obrawszy kurs na Wyspę Wielkanocną, dotrzeć do strefy południowo-wschodnich pasatów, dzięki którym da się już sprawnie żeglować na Hawaje.

Jedno i drugie wydawało mi się tak samo pociągające jak wyprawa do piekła. Skądinąd większość żeglarzy stacjonujących w Port of Refuge nie zamierzała opuszczać Vava’u. Verne przybył tam przed dwoma laty i mówił, że w zasadzie się stamtąd nie ruszał. Gdyby zapytać go, jak mógłby wyglądać taki rejs, odparłby, że życie to miecz obosieczny.

Przy jakiejś okazji wspomniałem, że jeden z brezentowych worków, w których wozilem składany kajak, przetarł się na szwie, zapewne poniewierany przez bagażowych. Miał wielkość i fakturę worka pocztowego, załatałem go prowizorycznie za pomocą zbrojonej taśmy klejącej.

– Znam faceta, który ci to naprawi – oznajmił Verne.

– O, to przecież trzeba zszyć na maszynie przemysłowej – rzekłem.

– Andy z Jakarandy ma taką maszynę.

Zgrabny zielony szkuner Jakaranda kotwiczył dość daleko od nabrzeża. Andy i jego towarzyszka Sandy przyплыwali do Tonga od połowy lat osiemdziesiątych. Andy powiedział, że – z powodu egoizmu i pazerności miejscowych, a także zatrzęsienia jachtów – obrzydły im Wyspy Dziewicze. Odpowiadało im tempo życia w Vava’u, polubili też mieszkańców archipelagu.

– Gdzie jest wasz port macierzysty? – zapytałem.

– Oto on – odparł Andy. – Jakaranda to nasz dom. Mieszkamy na niej od dwudziestu lat.

Był to piękny jacht, zbudowany przed dwudziestu laty w Holandii. Dość głęboko zanurzony, bo – jak wyjaśnił Andy – nie mało rzeczy zebrało się przez te lata. Mieli rękodzieło z całego świata, maszynę do szycia, wielką *tiki* z Markizów. Mimo to na tym dużym jachcie wcale nie było ciasno.

– Po prostu postarałem się o pozwolenie na pracę – opowiadał Andy. Oferował szycie i naprawę żagli, a także wszelkiego rodzaju szycie. – W sezonie w tym porcie będzie mnóstwo łodzi.

Pokazałem mu mój pokrowiec na kajak.

– Naprawię ci to – rzekł.

W kwadrans spruł wszystkie szwy i zastąpił je nowymi. Spisał się doskonale, a życzliwość i zręczność, z jaką zszył pokrowiec, sprawiały, że tym bardziej byłem mu wdzięczny za tę przysługę.

Poczęstowali mnie kawą i czekoladowymi ciasteczkami, które z Pensylwanii przysłała matka Sandy. Sandy ujmowała łagodnością, życzliwością i pogodą ducha, a także spokojem, jakim odznacza się wielu właścicieli łodzi. To istotny rys charakteru prawdziwych żeglarzy. Ktoś taki spędza długie lata w ciasnej przestrzeni łodzi, nieraz w bardzo trudnych warunkach atmosferycznych, i albo to wytrzymuje i wyrabia w sobie owo spokojne i optymistyczne podejście, albo musi wrócić do domu. Andy i Sandy zgodnie twierdzili, że naprawdę polubili Tongijczyków, i podobnie jak wielu innych żeglarzy z Port of Refuge przyznawali, że nie mają sprecyzowanych planów.

– W pewnym sensie tutaj jest najlepiej – stwierdziła Sandy. – To znaczy, kiedy tam trwa wojna. Jeśli zdarzy się najgorsze, możemy po prostu osiąść tutaj i uprawiać taro.

Jako osoba potrzebująca przestrzeni podziwiałem ich zdolność do przebywania w tak ciasnych pomieszczeniach, a małżeństwa i związki, które wytrzymywały ze sobą w takich warunkach, wydają mi się najwyższą formą więzi międzyludzkiej, całkowitą współzależnością.

Podzieliłem się tym spostrzeżeniem z Sandy.

– Właśnie tak chcę żyć – rzekła po prostu.

– Przeprowadzki z jednego okropnego pokoju hotelowego do drugiego mogą być niezdrowe – powiedział Andy. – Natomiast tą łodzią możemy popłynąć wszędzie i nadal mieć swoje łóżko i swoje jedzenie. – Podumał chwilę i dodał: – I swój kibel.

Zarazem oznaczało to wszakże lata spędzone na wodzie, lata żeglowania, długie postoje w okropnych portach, spanie na wąskiej koi, walenie głową w sufit, całe życie, w trakcie którego świat jest gdzie indziej. Żeby prowadzić takie życie, trzeba towarzysza, który jest pomocny, zdrowy, optymistyczny, nie zapada na chorobę morską i jest gotów wyrzec się ojczyzny. Wtedy można płynąć tam, gdzie wiatr poniesie.

Przebywanie w tych wyspiarskich portach wymaga przestrzegania pewnych zasad. Żeglarze nie mogą bratać się z miejscowymi, jeżeli chcą zachować swój tryb życia. Stąd ich czujność. Właśnie dlatego zagadnęli mnie dopiero w drugim tygodniu mojego pobytu w okolicy. Mieszkają na jachtach zakotwiczonych w zatoce i z rzadka wyprawiają się na brzeg. Kto inny w dziejach żeglarstwa i eksploracji oceanów żył w ten sposób? Dawni żeglarze wychodzili na ląd, podbijali wyspę i albo odpływali, albo osiadali na stałe. Prowadzili badania antropologiczne, przyrodnicze, ewangelizowali i w istocie dręczyli krajowców, usiłując ich przerobić na własne kopyto.

Dzisiejsi entuzjaści jachtingu postępują inaczej, a ich kotwiczące w zatoce łodzie są odpowiednikiem obozowiska Cyganów na obrzeżach miasta. Na zawsze nieco egzotyczni, podobnie jak Cyganie jedynie naskórkowo włączają się w miejscowe życie.

– Turyści robią, co chcą, mogą chodzić w bikini, no bo przyjeżdżają na parę dni – opowiadał jeden z żeglarzy. – My musimy przestrzegać zasad, bo zostajemy.

Wiedzieli, że funkcjonują w porcie przez miesiące lub lata tylko dzięki gościnności Tongijczyków. Nie nadużywali tej gościnności. Nie śmiecili, w mieście zjawiali się zawsze przyzwoicie ubrani, tolerowali tongijski sabat. Wyrozumiała i przychylna postawa żeglarzy zmusiła mnie do zrewidowania surowej opinii o Tongijczykach.

Powiedziałem Verne'owi, że trochę mi wstyd, iż nie ufam Tongijczykom i mam im za złe niegościnnosć. Chyba jestem dla nich zbyt srog.

– Może nie są życzliwi, ale zostawiają człowieka w spokoju – rzekł Verne. – To miecz obosieczny.

Siedzieliśmy na molo nad Port of Refuge, pośród doskonałych wysepek Vava'u, z których każda jest pięknie zaokrąglonym kęsem lądu, a wiele maleńkich niczym krople ciasta na rozgrzanej blasze do pieczenia podpłomyków. Ot, maluśkie ostoje życia, bezludne i jakże nieskażone, niewinne, ekscytujące, skoro każdy z łódką taką jak moja może wcielić się tam w Robinsona. Każda z tych wysepek odpowiada wyobrażeniu o tropikalnej wyspie, ma palmy, dżunglę, fale na świetlistej plaży, przejrzystą zieloną lagunę. Cieszyłem się, że tam dotarłem, i czułem, że odkryłem wyspę znaną niewielu, i radowałem się, że umiałem na nią dotrzeć i mieszkać na niej. Urzeczywistniłem marzenie o morzach południowych, ale – jak koniec końcem uznałem – w formie ułomnej. Jednak nie z powodu moskitów lub deszczu. Owa skaza polegała na tym, że boleśnie poczułem, iż mój miniaturowy raj nie w pełni jest rajem bez obecności drugiej istoty, kobiety.

Tymczasem Verne rozprawiał o końcu świata, bo chwilę przedtem powiedziałem:

– Mam wrażenie, że wy, ludzie, którzy uciekliście na morze, przeczuwacie apokalipsę.

– Tak, ciągle się o tym mówi, tak lub inaczej. „Świat schodzi na psy”. „Kiedyś to był wspaniały kraj”. „Tu jest okropnie”. „Koniec jest bliski”. Kupujemy więc jacht i odpływamy. Zjawiamy się tutaj i rozmawiamy o tym.

Zamilkł na chwilę i utkwiał spojrzenie w zielonej Pangaimotu w dali pięknej zatoki.

– Wspaniałe miejsce, żeby przysiąc i pogadać o końcu świata.

## rozdział\_szesnasty\_

### W zapadłych zakątkach Samoa Zachodniego

**Apia**, lichej port w Samoa Zachodnim<sup>[48]</sup>, który był nędzny już przed wiekiem, w złotym okresie kariery najślynniejszego mieszkańca tego miasta Roberta Louisa Stevensona, na domiar złego wydawał się żałośnie podupały. Dziurawe drogi, wypłowiła łuszcząca się farba na fasadach niewydarzonych drewnianych budowli, no i Samończycy, niegrzeczni i najwyraźniej dumni ze swojego chamstwa, a do tego złodzieje cytujący Biblię, podczas gdy opróżniają człowiekowi kieszenie. Właściwie nie mieli tam nawet plaży. Ale choćby najbardziej zapuszczona wyspa Oceanii ma zawsze gwiazdy na niebie.

W bezdeszczowe wieczory spryskiwałem się środkiem odstraszającym owady i szedłem na brzeg podziwiać gwiazdy.

Nawet w Afryce nie widziałem takiej obfitości gwiazd jak w bezchmurne noce na wyspach Pacyfiku – nie tylko wielkie jasne planety i pojedyncze światełka, mnóstwo sporych migoczących gwiazd i masy maleńkich podglądaczy, lecz również roziskrzone chmury gwiazd i gwiazdeczek. Całe sklepienie niebieskie wypełnione wielkimi postaciami utworzonymi z gwiazd, a w tych chmurach mniejsze postaci, brokatowa gęstwa niczym burza światła nad czarnym niezgłębionym morzem, rozjarzona spiralnymi zorzami utkanyimi z gwiazdowego pyłu – światełek tak maleńkich i licznych, że zdają się świecąca mgłą, całe niebo obwieszane welonami światła czy zasnuwane świetlistym dymem. Nawet w bezksiężycową noc można czytać i pisać przy świetle gwiazd, które sprawiają, że noc w Oceanii jest tak samo rozległa i dramatyczna jak dzień.

Właśnie nawigując według gwiazd, dotarli tam odkrywcy z Vava'u, jeszcze dzisiaj najbliższego sąsiada Samoa pod względem kulturowym. Dawni żeglarze polinezyjscy sporządzali gwiazdne mapy i zapatrzeni w niebo podróżowali na wielkie odległości. Działali w ten sposób tysiąc lat

wcześniej, nim Europejczycy – a ściślej mówiąc, Portugalczycy – odważyli się wyprawić zaledwie tysiąc pięćset kilometrów w głąb Atlantyku, dzięki czemu odkryli Azory. Polinezyjczycy wysmialiby taką bojaźliwość, chociaż dzisiaj są wyjątkowo podatni na chorobę morską.

Świt odzierał Apię z gwiazdnej magii i obnażał jej lichotę i zapuszczenie. Szczególnie podle wyglądała w niedziele, które w Samoa świętowali tak samo sumiennie jak w Tonga, przez co miasto robiło się puste. Wszędzie indziej na Upolu Samoańczycy o wielkich brunatnych podbródkach i mięsistych nosach przywdziewali białe spódnice i koszule i z Biblią w ręku maszerowali do kościoła. W kraju tym, podobnie jak gdzie indziej w Polinezji, przeklinałem w duchu misjonarzy i życzyłem wytrwałości poganom. Chrześcijanie na wyspach Pacyfiku nie są ani pacyfistami, ani chrześcijanami, ani nawet nie stają się nic a nic cnotliwsi od klepania sentencji z Biblii. Religia zaszczenia im wyłącznie tępe moralizatorstwo i obłudę, a jedynym celem większości samozańskich kaznodziejów wydało mi się wynajdywanie nowych sposobów wyciągnięcia pieniędzy od ludzi.

Przyjechałem właśnie w niedzielę, dzień najeżony przeszkodami. W Samoa w niedzielę nie ma mowy o wypożyczeniu samochodu, w ogóle niewiele da się zrobić, albowiem w sabat nie wolno pracować. Nie kursują autobusy i tylko taksówkarze w jakiś sposób wyłamali się z powszechnej bezczynności.

Wziąwszy taksówkę, rozglądałem się za miejscem odpowiednim do spuszczenia kajaka na wodę. Czym prędzej chciałem się wyrwać na mniejszą wyspę lub choćby do lada jakiej wioski. W gruncie rzeczy nie zżymałem się na okropność Apii. Takie miasta to norma w tej części świata. Z wyjątkiem jasnego i małego Port Vila w Vanuatu wszystkie miasta w Oceanii są okropne. Wyspiarze nie nadają się na mieszczuchów i w każdym siedlisku większym od wioski stają się wykorzeni i nerwowi, a pozbawieni tradycyjnych filarów samowystarczalności zamieniają miasto w jeden wielki śmietnik. Nawykli do zrywania owoców ze swoich drzew, do załatwiania się na plaży, wyrzucania śmieci do płytkiej laguny. Trudno się dziwić bałaganowi w miastach. Z wyjątkiem Meganezji, gdzie imigrantów z wysp Oceanii uważa się za utrapienie i problem społeczny, wyspy Pacyfiku nie są uprzemysłowione

i prócz hoteli na użytek turystów prawie że nie ma budowli wyższych niż dwupiętrowe.

Nastawieni tradycjonalistycznie mieszkańcy wysp Pacyfiku, tacy jak Samończycy, funkcjonują najlepiej w rodzinach i żeby dobrze prosperować, potrzebują chaty lub parterowego domu z warzywnym ogródkiem blisko morza. Miasta samońskie należą do najgorszych, wliczając tu Carson, przedmieście Los Angeles, gdzie mieszka więcej Samończyków niż w całym ich ojczystym archipelagu i gdzie działa ohydny i słynący z okrucieństwa gang uliczny SOS, czyli Sons of Samoa [Synowie Samoa]. W Ameryce przyrodzona tężyzna Samończyków otwiera im drzwi do kariery futbolisty (niemal każda drużyna NFL ma samońskich tacklerów). Niektórzy odnoszą sukcesy jako zapaśnicy sumo, a nawet jako muzycy (Boo-Yaa T.R.I.B.E., kwintet ogolonych na zero grubasów, zarobił w Los Angeles krocie, naśladowując czarnych raperów). Samończycy na całym Pacyfiku słyną z ogromnej postury, byczego karku i wielkiej siły. Fama głosi, że chociaż są łagodni z natury, potrafią być przerażająco okrutni.

W całej Oceanii krążą straszne opowieści o Samończykach – a to że jeden złamał komuś rękę jak zapałkę, a to że inny oberwał komuś ucho, a to że pewien Samończyk przesiadywał przed czyimś domem, a kiedy poproszono go, żeby sobie poszedł, wypiął goły tyłek, a to że Samończyk odgryzł napastnikowi palce, a to że Samończyk sfiksował w dyskotecie i zmiażdżył czaszkę pewnej fryzjerce („Bo dotknęła mojej plastikowej zabawki”, tłumaczył się przed sądem). Osobny rozdział stanowią niezliczone opowieści z cyklu „Za duży, żeby się zmieścić”, jak to w samolotach trzeba rozsuwać fotele i demontować podłokietniki, żeby zrobić miejsce dla Samończyka, jak to Samończycy nie mieszczą się w budkach telefonicznych, nie są w stanie przecisnąć się przez drzwi, są za duzi w stosunku do stołków w barze, za duzi na rower albo, co gorsza, w stosunku do deski sedesowej. Znajomy, który leciał liniami hawajskimi z Pago Pago, opowiadał o przerażeniu załogi, kiedy pewien Samończyk musiał sobie ulżyć, a nie mieścił się w drzwiach toalety. Zdesperowane stewardesy osłoniły kocem grubasa, który stojąc na progu toalety, starał się kierować puszczany wysokim łukiem strumień moczu do kibla, a nie na podłogę.

Życzliwy ludziom Robert Louis Stevenson lubił Samończyków za to, że nie udają świętoszków, i radził sobie z nimi, kadząc wodzom i opiekując się najętą służbą. Wyspiarzom podobało się, że ten nieco dziwny, ale szacowny cudzoziemiec traktuje ich poważnie. Stevenson w rzeczy samej uważał, że krajowcy zawsze są godni szacunku, podczas gdy „niektórzy biali upadli tak nisko, że brakuje na to słów”, ale nie mam wątpliwości, iż zachował dystans.

„Twierdzi, że Tahitańczycy są nieporównanie lepsi od Samończyków – pisał przemądrzały Henry Adams, po tym jak w 1891 roku odwiedził Stevensona w Apii – i że nie uważa Samończyków za szczególnie ładną rasę ani ich wysp za piękne”.

Stevenson uczynił wszakże dla Samoa znacznie więcej niż tylko to, że uzmysłowił światu istnienie tego kraju. Należał do rzadkiego gatunku czarodziejów literatury, pod których piórem każda kraina, jaką opisują, nabiera magii.

Miejsce uwiecznione w literaturze przez taką osobę ma władzę urzekania, której nigdy nie traci, nawet jeżeli bardzo się zmieni. Nie tylko Samoa, lecz również inne wyspy i archipelagi, a w pewnym sensie cały południowy Pacyfik, są wymownym przykładem takiej przemiany, ponieważ w mistrzowski sposób opisywali je tak różni pisarze jak Melville, Stevenson, Somerset Maugham, Rupert Brooke, Mark Twain, Jack London, Pierre Loti, James Michener i nawet Paul Gauguin w swojej jedynej książce *Noa Noa*. Fikcja potrafi sprawić, że nawet najnędniesze miejsce staje się niezwykle. Miejsca, krainy, których nazwy pojawiają się w pięknej opowieści literackiej, stają się wyjątkowe bez względu na to, jak wyglądają.

Chwilami miałem wrażenie, że pomimo wrodzonego sceptycyzmu również ja jestem uczestnikiem tego procesu doskonalenia czy przemiany, ponieważ kajakowanie pod słonecznym niebem przez śliczną lagunę niosło taką ulgę i napełniało poczuciem szczęścia. Kiedy zacząłem pisać o podróży po Pacyfiku i zanotowałem, że przybywam zgnębiony i łaknący pociechy błękitnych lagun, pomyślałem, że ulga darowana przez te pejzaże przemieni nawet najpodlejsze zakątki w wyspy szczęśliwe.

Robert Louis Stevenson pielgrzymował do Samoa długo. Przewędrował Wielką Brytanię i Europę, przemierzył Amerykę, przeżegłował Pacyfik od



Kalifornii do Australii i z powrotem. Król Hawajów Kalākaua osobiście namawiał go do osiedlenia się na O‘ahu. Zamiast tego Stevenson wyczarterował szkuner i żeglował od wyspy do wyspy, szukając idealnego miejsca, jakie opisał długo przedtem w młodzieńczym wierszu ułożonym w Edynburgu.

Wstawać trzeba, wędrować,  
Gdzie jabłoń złote jabłka chowa,  
Gdzie pod niebem dziewiczym  
Papuzia wyspa kotwaczy.

W Samoa nie było złotych jabłek ani papug. Zamiast tego zwaśnieni wyspiarze i pijani *palangi*. Stevensonowie przybyli w porze deszczowej, kiedy Apia wygląda najbardziej posępnie – wilgotna, lepka od gorąca, błotnista pod szarym niebem. Mimo to Stevenson zamieszkał w tym mieście, wiedząc, że zostało mu ledwie kilka lat życia (cztery, jak się okazało). Na czym więc polegała atrakcyjność Samoa?

Krótko mówiąc, na sprawności poczty. Stevensonowie odwiedzili przedtem wiele piękniejszych wysp, zachwycali się górskim pięknem wysokich Markizów, wiedli zaiste rajskie życie w wynajętej chacie nad laguną atolu Fakarava w Tuamotu. Tam wszakże między wizytami statku wiozącego pocztę upływały niekiedy miesiące. Do Samoa poczta docierała regularnie, przynajmniej raz w miesiącu, przez Nową Zelandię albo statkami kursującymi między Sydney a San Francisco. Stevenson był zapalonym epistolografem, no i jako pisarz utrzymujący się z publikowania w prasie odcinkowych opowieści potrzebował niezawodnej poczty. To przesądzało sprawę, ponieważ poczta stanowiła ostoję bytu rodziny.

Kiedy Stevenson uchwycił charakter życia na Samoa, potrafił się dostosować, a nawet zdobyć uprzywilejowaną pozycję. System społeczny Samoa, w którym prym wiedli otoczeni przez trutki i pieczeniarzy wodzowie klanów, sprawujący władzę nad wieśniakami i chłopstwem, nie bulwersował Szkota wywodzącego się z wyższej klasy średniej. Po części dzięki schlebieniu wodzom, po części dzięki zatrudnianiu krajowców Stevenson zaczął odgrywać istotną rolę w społeczeństwie samozańskim. Pozwoliło mu to wieść żywot szkockiego ziemianina pośród usłużnych naczelników, a o niczym

lepszemu nie marzył. Nie był snobem, ale jak przystało na Szkota, lubił wzbudzać respekt, cenił zawiłą etykietę, a ponadto podzielał właściwe szkockim góralom upodobanie do wymyślnych odświętnych strojów. Cała służba w jego dworze w Vailimie nosiła *lavalava* z królewskiego tartanu rodu Stuartów, a więc najbliższy możliwy w Oceanii odpowiednik kultu.

Władza i dostojność przysługujące panu ziemskiemu bardzo pociągały Stevensona. Doskonale wykorzystał lwią część owych czterech lat spędzonych w Samoa. Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XIX wieku w Samoa panował zamęt, Wielka Brytania i Niemcy rywalizowały z Ameryką o władzę nad archipelagiem, a Stevenson stanął po stronie Samończyków. Sprawy te opisał w *A Footnote to History* [Przypis do historii]. Samończycy jawili mu się jako mistrzowie manipulacji, artyści usidlenia cudzoziemców traktowaniem ich niczym członków rodziny, a następnie wykorzystywaniem wszystkich ich możliwości dla własnej korzyści dzięki umiejętnemu łechtaniu próżności naiwniaków. Łącząc samońską przebiegłość ze szkocką ceremonialnością, Stevenson traktował Samończyków jak członków swojej rozległej i rzekomo potężnej rodziny. Stworzył doskonałe pozory, sprowadziwszy do swojego dworu starą owdowiałą matkę, dwoje dzieci żony z jej pierwszego małżeństwa i wiecznie pijanego męża pasierbicy. Działał jak najbardziej *fa'a Samoa*, w stylu samońskim. Był panem ziemskim, kronikarzem Samoa i *tusitala*, „narratorem opowieści”. Stevenson odniósł w Samoa ogromny sukces, ten okres jego życia to niezrównany przykład doskonałego planowania. Decyzja o osiedleniu się w Samoa przyniosła same korzyści – jego rodzinie, czytelnikom, Samończykom i jemu. Niczym Byron rzucający się w wir wojen w Grecji Stevenson znalazł w Samoa idealne miejsce do tego, żeby umrzeć w chwale.

Przystanąłem przed Villa Vailima, dworem Stevensona, ale po chwili gorliwy wartownik kazał mi odejść, mówiąc, że to rezydencja naczelnego wodza zamknięta dla zwiedzających.

– Może pan odwiedzić jego grób – dodał.

– Groby mnie przygnębiają – sarknąłem. To dobre dla pielgrzymów i hagiografów.

Chciałem poczuć fluidy jego ducha. Stevenson zbudował ten dom, mieszkał w nim i właśnie ta budowla mnie interesowała, ponieważ domy zawsze coś opowiadają o byłych właścicielach. Po cóż miałbym wspinać się przez cały ranek na górę Vaea, żeby ujrzeć parcelę zawierającą rozpadające się kości Stevensona?

Po wycieczce wzdłuż północnego wybrzeża taksówkarz zawiózł mnie z powrotem na Beach Road, pustą główną ulicę Apii, i zażądał dodatkowej opłaty.

– Bo czekałem na pana.

Chodziło mu o to, że wysiadłem na chwilę, żeby przejść parę metrów w miejsce, które wydało mi się odpowiednie do ewentualnego spuszczenia kajaka na wodę.

– Nie bądź pan głupi – powiedziałem i wręczyłem mu tylko opłatę za przejazd.

– Pan nie płaci mi – burknął szofer gniewnie. – Ja iść na posterunek policji.

– I co zamierza pan robić na posterunku policji?

– Mówić im. Czekałem.

– Ile pan czekał?

– Dużo czasu – rzekł i odwrócił spojrzenie. – Piętnaście minut – dodał po chwili.

– Jak się pan nazywa?

– Simi.

– Czy piętnaście minut to dużo czasu w Apii, panie Simi? Wydaje mi się, że to bardzo mało czasu.

Nic nie powiedział.

– Ile pan chce?

– Dwa *tala*.

Dałem mu.

Nazajutrz rano pojechałem na nabrzeże promu na północno-zachodnim krańcu wyspy, Mulifanua Wharf, ale tamtego ranka nie było promu na Savai'i i nikt nie wiedział, kiedy się zjawi. Poszedłem dalej na zachód, gdzie nad zatoczką osaczyło mnie pięć obronnych psów, tego rodzaju owczarków niemieckich, jakie – nadziane na rożen i upieczone – uznano by za wspianiałe

zwieńczenie tongijskiej uczty. Po chwili Niemiec w kasku korkowym odwołał psy.

Ów Niemiec miał na imię Stefan. Firma, w której pracował, wydzierzawiła tam teren od właściciela wyspy, dożywotniej głowy państwa Malietoi Tanumafilego II, który mieszkał w wielkim domu Stevensona w Vailimie. Stefan kierował budową dziesięciu tradycyjnych chat zwanych *fale*.

Potwierdził moje odczucie, że na Upolu mają bardzo mało plaż. Powiedział, że więcej jest na Savai'i. Z kolei ja rzekłem, że zamierzam popłynąć tam kajakiem przez cieśninę Apolima.

– To bardzo niebezpieczne – przestrzegł.

Ustawicznie odnosiłem wrażenie, iż mieszkańcy wysp Pacyfiku za niebezpieczne uważają wszystko, o czym niewiele wiedzą. Mimo to postanowiłem wypytać miejscowych rybaków.

Stefan pokazał mi kryte strzechą chaty nad brzegiem laguny. Powiedział, że nie są wykończone, ale że za opłatą mogę zamieszkać w jednej z nich. Niebo było szare, laguna ciemna i mulista, ale uznałem, że to nie najgorsze miejsce – spokojne, oddalone od Apii, no i dogodne do wyruszania w morze kajakiem.

Wprowadziłem się, złożyłem kajak i ten ośrodek stał się na pewien czas moją bazą.

Najpierw planowałem powiosłować na Manono, odległą o niespełna pięć kilometrów niedużą wyspę w cieśninie Apolima. Na Manono mieszkało około półtora tysiąca ludzi, ale nie było psów, dróg, pojazdów ani elektryczności. Mówiłem sobie, że te pięć kilometrów to właściwie sto lat.

Z Manono wiązała się legenda, że w rzeczywistości nie jest wyspą, lecz pływającym lądem, swego rodzaju fortecą należącą do fidżyjskiego wodza Lautali. Dawno temu wódz Lautala przypłynął Manono do Samoa, zamierzając je podbić. Wywiązała się krwawa bitwa, którą Lautala przegrał, ale zadał tak wielkie straty Samończykom, iż liczne groby poległych dały nazwę wyspie. „Manono” znaczy tyle co „wiele”.

Tamtej nocy sączyłem w chacie piwo i wysłuchałem wiadomości radiowych, w których donoszono o załamaniu się irackiego oporu w Kuwejcie, całkowitej kapitulacji rozwydrzonej, niedożywionej i zdemoralizowanej armii tchórzów i okrutników. Potem, kiedy chmury się

rozstąpiły, patrzyłem w niebo, po prostu gapiłem się na niepojęte gwiazdy, co uważam za jedno z najwspanialszych przeżyć, jakimi obdarowała mnie Oceania. Znowu pomyślałem, że tak rozgwieżdżone niebo jest cudem, po który warto wyprawić się w dzicz albo na morze – że takie gwiazdy zdejmują klątwę nawet z tak nędznych miejsc jak Apia.

**Wiało,** kiedy wsiadałem do kajaka, żeby wyruszyć na Manono. Stefan powtórzył, że muszę uważać na prąd na środku cieśniny, ponieważ nadchodzący przypływ może mnie zepchnąć na południowo-wschodnią rafę.

Przy okazji takich wypraw w Oceanii zawsze przypominały mi się wycieczki kajakowe z Falmouth na Martha's Vineyard, chociaż tutaj pokonywałem zwykle większy dystans, wiało mocniej, nie znałem kapryśnych prądów, no i mogłem spotkać bardziej wybuchowych i niegościnnych autochtonów.

Pamiętając o tym, wypłynąłem i wiosłowałem energicznie przez jakąś godzinę, póki nie znalazłem się o paręset metrów od Manono. Wtedy już pokonałem silny, ale nie zabójczy prąd. Wyraźnie widziałem ukośny stożek wulkanicznej wyspy Apolima. Jakieś piętnaście kilometrów dalej rysowała się Savai'i, na którą też chciałem w swoim czasie powiosłować.

Oglądana z perspektywy kajaka Manono jawiła się jako wyspa wychodków. Mnóstwo tych przybytków stało na kamiennych nabrzeżach, niektóre wisiały nad wodą, inne nad ziemią. W języku samońskim nazywa się je rozmaicie – *fale ki'o* (dom gówna), *fale sami* (dom morski), *fale laiti* (domek) lub – bodaj najbardziej eufemistycznie – *fale uila* (dom błyskawicy).

Zbliżywszy się, dostrzegłem zbudowane w sposób tradycyjny symetryczne chaty, takie same jak na Upolu, bez ścian i mające kształt hełmu hiszpańskiego konkwistadora. W ciągu dnia bryza chłodzi wnętrze takiej chaty, a na noc opuszcza się wyplatane rolety, które spełniają funkcję ścian. W Samoa Zachodnim budują chaty rzeczywiście ładne i wygodne, a przy tym solidniejsze niż na innych wyspach Pacyfiku. Między innymi Margaret Mead podkreślała, że wielopokoleniowa rodzina samońska tworzy bardzo zżytą i wielorako współzależną komórkę społeczną. Stąd pewnie te tak solidnie

zbudowane chaty. Bez wątplenia mogą pomieścić wiele osób, a to, że nie mają ścian, sprawia, iż widać mieszkańców, bawiące się dzieci, kobiety zajęte wyplataniem mat, rozmawiających lub drzemiących członków rodziny. Stwarza to chwilami idylliczną atmosferę spokojnej powszedniej aktywności.

Piały koguty, pokrzykiwały dzieci, ale – rzecz niezwykła na wyspach Pacyfiku – nie słyszałem szczekania psów. Może i dziesięcioro dzieci podbiegło do mnie, kiedy wylądowałem na kamienistym brzegu opodal wioski Faleu.

– *Palangi! Palangi!* – skandowały bez ustanku, rywalizując między sobą o to, które pomoże mi umieścić kajak na wioskowym stojaku na kanu.

„Cudzoziemiec przechodzący, jadący rowerem lub motocyklem przez wioskę może stać się ruchomym celem dla miejscowych dzieci, które skore są do rzucania kamieniami – przestrzegano we wspólnie wydanym przewodniku po Samoa. – Dzieci mogą osaczyć przybysza, domagając się pieniędzy lub słodyczy, a drażnienie go uważają za wspaniałą zabawę”.

W rzeczy samej przez cały okres pobytu w Samoa, gdziekolwiek się zjawiłem, spotykałem się z tego rodzaju ryczałtową wrogością. Samoanie potrafią być bezlitośni wobec obcych. Niełatwo przeciwstawić się temu mężczyźnie, a co dopiero kobiecie. Obcych dręczą właśnie dlatego, że są obcy – samotni, bezbronni, nie znają miejscowego języka, nic nie rozumieją, łatwo ich przestraszyć, nie należą do żadnej z miejscowych rodzin, nie mają wpływów, są słabi, wyobcowani – a więc stanowią idealne ofiary.

Jeżeli człowiek zezłości się i huknie na prześladowców, których zawsze jest wielu, wyszydzą go, a jeżeli pokornie znosi zniewagi, uznają to za oznakę słabości i coraz bardziej sobie używają. Zaiste przykra sytuacja, nierówna gra, w której przybysz nie może wygrać.

Dzieci, które przywitały mnie na Manono, od razu zaczęły mi dokuczać, ale starałem się nie reagować i uznałem, że lepiej nie przestrzegać ich przed kradzieżą albo uszkodzeniem mojego kajaka, żeby nie podsuwać im pomysłów. Gdyby wiedziały, że lękam się o łódkę, to pewnie zaraz by się nią zajęły.

Ruszyłem na wschód, okrążając wyspę w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, nie zwracając uwagi na pokrzykujące dzieci. Postanowiłem rozmawiać tylko z dorosłymi. Nastoletni chłopcy, których

mijałem, oczywiście wyśmiewali się ze mnie, ale nie zwracałem na to uwagi, ignorując tych miłujących bliźniego chrześcijan.

Pomimo złośliwości mieszkańców wyspa wydawała się ostoją tradycji i zapewne owa złośliwość w pewnym stopniu również wpływała z tradycji. Wszyscy badacze wysp Pacyfiku, poczynając od 1642 roku i Abła Tasmana, musieli stawiać czoło złodziejstwu, głupocie, napastliwości, chciwości i pazerności krajowców. Tak, owa złośliwość Samończyków zapewne nie pojawiła się dzisiaj, ale znoszenie jej, a potem wysłuchiwanie peanów urzędników na temat samońskiej gościnności, było doświadczeniem nużącym i posępnym. Spośród wszystkich krajów, jakie odwiedziłem w trakcie moich podróży, tylko w Samoa człowiek potrzebuje listów polecających lub powołania się na wspólnych znajomych, bo bez tego jest skazany na całkowite wyobcowanie.

Ale nic to, alienacja jest moim stanem przyrodzonym. Jeżeli zaś chodzi o wrogość, po prostu szedłem i niepostrzeżenie zerkałem za siebie.

– Na Manono szanujemy tradycję – powiedział pewien mężczyzna, którego poprosiłem o scharakteryzowanie tej wyspy. – Powtarzamy opowieści o przodkach.

Zastrzygłem uszami, ale gdy poprosiłem, żeby przywołał te opowieści, nic nie powiedział. Podejrzewam, że miał na myśli historie rodzinne, a nie legendy lub mity.

– Manono to dobre miejsce, bo powietrze nie jest skażone – rzekł inny wyspiarz.

Patrzyliśmy w stronę Upolu, więc zapytałem:

– A na Upolu powietrze jest skażone?

– Nie – odparł wyspiarz.

Rzeczywiście, najbliższym miejscem o zanieczyszczonym powietrzu było zapewne odległe o osiem tysięcy kilometrów Los Angeles.

– I nie mamy autobusów.

– To dobrze czy źle?

– Dobrze. Autobusy mają spaliny. Kurzą.

Rzeczywiście, napotkanie autobusu na wyspie pozbawionej dróg byłoby cudem. Ścieżka wiodąca wokół wyspy w najszerszym miejscu miała nie

więcej niż trzydzieści centymetrów.

Jeden z mężczyzn, których spotkałem w trakcie marszu wokół wyspy, powiedział, że jest kapłanem. Napis na jego krawacie – duchowni mieli obowiązek noszenia krawatu – głosił jednak „*Malua Theological College*”. Mężczyzna przyznał, że nadal jest studentem seminarium, i dodał, że przybył na Manono, aby ćwiczyć sztukę głoszenia kazań.

Podczas gdy młodzi bez wyjątku ze mnie szydzili (*Palangi! Palangi!*), starsi zachowywali się poprawnie – ani serdecznie, ani wyniośle. Poczynając od powitania, stosunki międzyludzkie reguluje na Samoa skomplikowany kodeks postępowania, obejmujący wiele zakazów. Obcy nieznający miejscowych obyczajów jest więc łatwym celem. Samoanie nie stykają się często z turystami, a wobec innych przyjmują dwojaką postawę. Jeżeli ktoś należy do rodziny, zostawiają go w spokoju, a jeżeli nie, to nie mają wobec niego żadnych zobowiązań.

Bez przerwy łąziły za mną dzieci i gdy wyśmiewały się ze mnie, ustawicznie słyszałem słowo *palangi*. Zwykle się odwracałem, żeby się z nimi zmierzyć.

– Tak, jestem *palangi* i co z tego?

Pośród krzyków i śmiechów któreś z dzieci w końcu pytało:

– Skąd jesteś?

– Myślę Japonia – mówiło drugie.

Reszta wybuchała szalonym śmiechem.

– Wyglądam na Japończyka?

– Tak! On Japończyk!

Na skraju następnej wioski dogoniła mnie młoda kobieta i zapytała:

– Jakiego pan jest wyznania? Jest pan kaflikiem?

– Tak, w pewnym sensie – odparłem.

– Niech pan idzie ze mną – rzekła i zaprowadziła mnie do swojej *fale*, gdzie pod okapem wisiały relikwiarze i święte obrazki. Ukradkowy sposób, w jaki pokazywała mi te dewocjonaalia, przywodził na myśl pierwszych chrześcijan.

– Jestem jedyną kafliczką w Salui – wyznała. – Niech pan ze mną zostanie.



Dość krępująca prośba, ale kobieta zaraz dodała, że jej mąż jest już w drodze do domu i że też się ucieszy. Powiedziała, że na imię jej Rosa, ma dwadzieścia pięć lat i jest matką pięciorga dzieci. Jej mąż rzeczywiście wkrótce się pojawił, a chociaż nieco się obawiałem, że będzie zły, zastawszy mnie sam na sam z jego żoną – co jest bardzo źle widziane niemal wszędzie na świecie – wcale nie wydawał się dotknięty. Powtórzył zaproszenie, żebym został.

Wymówiłem się brakiem czasu, a kiedy powiedział, że wraca z wyprawy na ryby, zapytałem, czy kiedykolwiek łowił za rafą, w okolicy odległej od Manono o jakieś cztery kilometry Apolimy.

– Nie łowimy w Apolimie. Za głęboko.

Miejscowi pływali kanu, odpychając się drągiem, więc łowili na płyciznach przy rafie i nie wyprawiali się na głębsze wody.

W trakcie dalszego marszu wokół wyspy zaczepiali mnie miejscowi i przynajmniej pięć osób ciekawiło się, czy jestem żonaty, jak ma na imię moja żona i gdzie teraz jest, nieświadomie zadając pytania, które sprawiały mi wtedy ból.

Mimo wszystko dostrzegałem walory tej wyspy. Rzeczywiście wydawała się skansenem z innej epoki. Podobały mi się gaje palm kokosowych i mangowców, zadbane ogrody, czyste chaty wzniesione na solidnej podbudowie z czarnego kamienia, jaką spotyka się tylko w najbardziej tradycyjalistycznych częściach Polinezyji. Polinezyjska rzeźba mnie nie interesuje, muzykę uważam za nieudolną, chociaż bębny mogą brzmieć atrakcyjnie, jeżeli grają głośno, a rytm jest synkopowany. Ludożerstwo jest jedynie bajką o żelaznym wilku, która ma wywoływać dreszczyk zgrozy u naiwnych turystów. Właściwie nie ma na nie dowodów. Ale dwa aspekty kultury polinezyjskiej zawsze robiły na mnie wrażenie, a mianowicie umiejętności dawnych żeglarzy i budowniczych łodzi, a ponadto wspaniała kamieniarka. Ołtarze, podesty taneczne, podbudowy domów, cokoły pomników i same posągi (choć nie w Samoa, gdzie nigdy nie robiono posągów). W Samoa obydwie te sztuki znikły, nie mają już ani żeglarzy, ani kamieniarzy. Te piękne podbudowy domów przetrwały z dawnych czasów.

Po dwóch godzinach spaceru wokół wyspy przysiadłem na kamieniu nad brzegiem i zacząłem robić notatki, kiedy podeszła do mnie kobieta – na oko dwudziestokilkuletnia. Miła. Porozmawialiśmy o Manono. W końcu rzekła, że jej *fale* jest niedaleko i zaprosiła mnie do jej odwiedzenia.

Wykręcałem się, aż powiedziała:

– Chcę panu pokazać coś bardzo ważnego.

– Skoro tak, zgoda – uznałem.

Na imię miała Teresa, a chociaż liczyła już dwadzieścia siedem wiosen, nie była zamężna. Dzieci dokazujące wokół chaty okazały się jej rodzeństwem i dalszymi krewniakami.

Może jestem głodny? Spragniony? Zmęczony? Teresa pobudziła do działania całą rodzinę, poczęstowano mnie herbatą, a kiedy powiedziałem, że w Tonga bardzo smakowało mi *palusami*, podano mi potrawę zarekomendowaną jako prawdziwy specjał samoański, a mianowicie duszone liście taro ze śmietaną kokosową zawinięte w liście bananowca i chlebowca. Do tego twardy szary krążek taro.

– W Tonga dodają peklowanej wołowiny do farszu – powiedziałem. – Ale to bardziej mi smakuje.

– Czasem dodajemy *pisupo* – rzekła Teresa, używając samoańskiego słowa oznaczającego peklowaną wołowinę, a pochodzącego od *pea soup* (grochówka), którą na wyspach również sprzedają w puszkach.

Podczas gdy jadłem, Teresa przebrała się, zastępując sukienkę szortami i koszulką. Zapadał zmierzch, zrobiło się więc za późno, żeby wracać kajakiem na Upolu. Padał lekki deszcz, szemrząc na kłoniących się liściach taro.

Dotychczas Teresa ani słowem nie wspomniała o tym, co chciała mi pokazać. Po chwili wyciągnęła to z kieszonki szortów. Czek podróżny American Express opiewający na sto dolarów. To duża suma na Manono Tai.

– Skąd pani to ma, Tereso?

– Dostałam do pewnego mężczyzny. Ale bank nie chce go zrealizować.

No tak, brakowało drugiego podpisu. Jeżeli chodzi o pierwszy, to nawet w świetle lampy naftowej nie byłem w stanie odcyfrować nazwiska.

– Kim był ten mężczyzna?

– Mieszkał tutaj. Tydzień.

– *Palangi?*

– Tak. Niemiec.

Zajęliśmy się tym czekiem. Wyjaśniłem subtelności związane z czekami podróżnymi, w tym zwłaszcza konieczność potwierdzenia drugim podpisem, wobec czego Teresa musi wysłać czek temu mężczyźnie do podpisu, zanim będzie mogła go zrealizować.

– Mówił, że chce mnie poślubić – oznajmiła Teresa w tonie wymówki.

– Chyba dlatego dał pani te pieniądze.

– Nie. Mieszkał tu przeszło tydzień. Nic nam nie dał.

– A czek? Powiedziała pani, że dostała go od niego.

– Tak. Ale nie chciałam wyjść za niego – burknęła.

Oto jeszcze jedna cecha Samończyków, kręactwo wyrażające się jako irytacja.

– Dlaczego?

– Był za stary. Urodził się w 1946, tak jakoś.

Poza kręgiem światła lampy zrobiło się już całkiem ciemno, ale dzieci i reszta dorosłych siedzieli w ciemności i patrzyli na mnie świecącymi oczyma.

– Od jakiego wieku mężczyzna jest za stary?

Teresa przygryzła dolną wargę, a po chwili powiedziała:

– Był za stary na zabawy.

– Jakie zabawy? – zapytałem, chociaż wiedziałem, o co jej chodzi.

Lampa syczała, rzucając krąg światła.

– Nocne zabawy – rzekła Teresa cichutko, szeptem tylko odrobinę głośniejszym od syczenia lampy.

Utkwił mi w pamięci sposób, w jaki skłoniła głowę, kiedy wyszeptała te słowa, nie przestając patrzeć mi w oczy.

Wypytałem ją o tego Niemca. Miał na imię Kurt. Był nauczycielem i uczył w różnych krajach. (*Cheechah* i *cheeching*, mówiła Teresa. Powoli przywykałem do samońskiego akcentu). Kochał ją, powiedziała, ale jej się nie podobał.

– Może był za stary na niektóre nocne zabawy, ale nie na inne – rzekłem.

Ta uwaga bardzo ją zaciekaWiła.

– Jakie zabawy ma pan na myśli?

W tym momencie przerwał nam jednak ojciec Teresy, pytając, gdzie zostawiłem łódkę.

Powiedziałem, że w Faleu.

– Dzieci ją zniszczą – stwierdził dość obojętnie.

– Czemu miałyby to zrobić?

– Bo nie ma pan rodziny.

Wiele razy słyshałem w Samoa to wyjaśnienie. Dopiero przynależność do samońskiej rodziny zapewnia tam człowiekowi pozycję i bezpieczeństwo. Samończycy całkiem chętnie nawiązują z obcymi bliskie stosunki, traktując ich jak członków rodziny, i wcale nie trzeba być smagłym płetwonogim brzuchaczem. *Palangi* są mile widziani, póki objawiają nieograniczoną hojność. Natomiast człowiek samotny i nieznający nikogo na tych wyspach traktowany jest jak wróg.

– No i dlatego, że tam mieszkają sami durnie – dodał ojciec Teresy.

Tego rodzaju wzajemna niechęć i obgadywanie to w Samoa norma, więc ta uwaga wcale mnie nie przekonała, że mój kajak jest w niebezpieczeństwie. Tak czy owak, było już zbyt ciemno, żeby iść sprawdzić. Trzeba z tym poczekać do rana.

– Wszystko jest tutaj takie drogie – powiedziała Teresa, jak gdyby bez powodu, a pewnie z powodu czeku.

Patrzyła na lampę.

– Nafta. Strasznie droga.

– Chińskie przysłowie mówi, że kto kładzie się wcześniej, oszczędzi na świecach, ale wyda więcej na dzieci. Zrozumiała pani?

Potem, widząc, że inni odchodzą, Teresa zapytała mnie znowu o zabawy, do których nadaje się starszy mężczyzna.

Ostatecznie dostałem dość wygodne posłanie, chociaż przez całą noc *fale* rozbrzmiewała pochrapywaniem całej rodziny. Spałem obok chłopca o imieniu Sefulu, które znaczy tyle co „dziesięć”.

W ciemności rozgryżłem całą sprawę. Ten Niemiec, Kurt, mieszkał u nich przez tydzień, a może nawet dziesięć dni. Błagał Teresę, żeby za niego wyszła,

ale przyjechał z pustymi rękami i niczego im nie dał w zamian za gościnę. Po pewnym czasie rozeźlona Teresa zwędziła z plecaka Kurta czek podróżny. Później odkryła, że nic nie zyskała, bo bez drugiego podpisu czek jest nieważny. Zapewne odkryła to jeszcze przed naszym spotkaniem. Czyżby liczyła na to, że podpiszę ten czek?

Bardziej martwiłem się kajakiem niż ewentualną kradzieżą popełnioną przez Teresę, więc o świcie popędziłem do Faleu, żeby sprawdzić, co się dzieje z łódką. Dzieci już się bawiły w pobliżu stojaka, jak gdyby czekały na okazję do podręczenia mnie, ale kajak zostawiły w spokoju.

Przy śniadaniu, na które podano znowu taro, tym razem tłuczone, Teresa wyciągnęła czek i wlepiała weń zasmucone spojrzenie.

– Chce pani, żebym go podpisał? – zapytałem.

– Jeżeli nie ma pan nic przeciwko.

Nie wstawiono daty, a podpis Kurta był jedynie nieczytelnym zawijaszem.

Co robić? Okazali mi życzliwość, nawet jeżeli ich intencje nie były do końca czyste. A chociaż ukradli czek, pieniądze w gruncie rzeczy im się należały od tego skąpca, który u nich mieszkał. No i ja również skorzystałem z gościnności. Chyba też byłem im coś winien. Fałszerstwo nie jest błahostką, ale mnie kusiło. Niepodpisany czek jest bez wartości. Co prawda fałszerstwo zawsze może zostać wykryte, a wtedy Teresa wpadnie w kłopoty. Ale czy to moja sprawa?

Miałem okazję zostać bezinteresownym fałszerzem, przestępcą dobrodziejem.

Przysiadłszy na schodkach *fale*, wypróbowałem w notatniku podrabianie zawijasa, jaki postawił Kurt, a potem na sąsiedniej stronicy położyłem czek i – obserwowany bacznie przez Teresę, całą jej rodzinę i dzieci z sąsiedztwa – podpisałem go. Miałem wrażenie, że udało mi się znakomicie.

– Idealny – stwierdziłem.

– Podobny – rzekła Teresa, patrząc na zawijas krytycznie przymrużonymi oczyma.

Reszta obecnych przepychała się, żeby rzucić okiem.

– Niech pan wstawi datę – powiedziała Teresa.

Napisałem datę, wyobrażając sobie, jak zrobiłby to Kurt.

– Czy to ma termin ważności?

– Powiedziała pani „termin ważności”?

Potwierdziła, a ja wyjaśniłem, że czeki podróżne są ważne bezterminowo. Dodałem, że wcale nie musi się śpieszyć z realizacją, licząc na to, że kiedy spróbuje to zrobić, będę daleko, w drodze na inną wyspę.

**Rybacy** twierdzili, że w cieśninie Apolima oddzielającej Upolu i Savai’i, czyli dwie największe wyspy Samoa Zachodniego, jest bardzo silny prąd morski. Gdybym nie był sam, zaryzykowałbym przeprawę kajakiem. Przecież już dotarłszy na drugi brzeg Manono, przebyłem połowę drogi przez cieśninę i nie dostrzegłem tego problemu. Rybacy łowili na płycznach, nie wypuszczali się daleko za rafy, a mimo to mnie ostrzegali. Może wiedzieli, co mówią? Potraktowałem poważnie te ostrzeżenia, z żalem spakowałem kajak i wsiadłem na skorodowany prom z Upolu na Savai’i.

– Do Apii ściągają najgorsi Samończycy i najgorsi *palangi* – powiedział mi nauczyciel o imieniu Palola. – Wszystko nieudacznicy, ale i tak się ze sobą nie spotykają.

W świetle tej opinii Apia wydawała się miejscem ciekawszym, niż była w rzeczywistości. Ale chaos i niedbalstwo Trzeciego Świata nie służą miastom i Apia wyglądała po prostu ohydnie – zapuszczona, zdewastowana i jak gdyby wzgardzona nawet przez morze. Od skraju portu, gdzie chlupczą wątle fale, jest jeszcze bowiem bardzo daleko do rafy, a wody brudnej i zmaczonej laguny miały wówczas posępną szarą barwę martwych koralowców.

– Jeszcze gorzej jest w Pago – dodał Palola. Grzeczny i elokwentny jechał promem odwiedzić ziomków w Papalaulelei.

Ledwie zdecydowałem, że miejscowi są w gruncie rzeczy chamami, a już spotkałem osobę porządną, powściągliwą, dystygowaną i życzliwą, jednego z najbardziej serdecznych ludzi, jakich kiedykolwiek poznałem.

– Główna różnica polega na postawie ludzi – stwierdził Palola, kiedy go poprosiłem o porównanie Samoa Zachodniego, które jest państwem niepodległym, i Samoa Amerykańskiego, które jest nieinkorporowanym

terytorium Stanów Zjednoczonych. – Weźmy podejście do pieniądza. My wydajemy pieniądze na rodzinę, dom, jedzenie i inne potrzeby życiowe. W Samoa Amerykańskim ludzie kupują samochód i się bawią. Wydają - pieniądze przede wszystkim na siebie. Mniej dbają o rodzinę.

– Dlaczego rodzina jest tak ważna? – dociekałem.

– Bo nas wspiera, troszczy się o nas. To nasze życie – rzekł po prostu Palola.

– Dom też jest częścią życia?

– Tak. Jeżeli w Pago zobaczy pan ładny dom, to zwykle przekona się pan, że jego mieszkańcy pochodzą z Samoa Zachodniego. My nadal żyjemy po staremu.

– To dlaczego Apia jest w tak złym stanie? A reszta wyspy w mało co lepszym.

– Apia rzeczywiście się sypie. W lutym zeszłego roku mieliśmy cyklon...

Wszyscy opowiadali o trzydniowym kataklizmie, który burzył domy, wrywał palmy z korzeniami i niszczył drogi, powodując ogromne fale i powodzie. Cyklon szalał wszakże przeszło rok temu, a zniszczenia zostały do dzisiaj.

– ...i nie odbudowaliśmy miasta – mówił Palola. – Brakuje pieniędzy. Rząd też nie jest bez winy.

Rodzina dba o siebie, ale nie obchodzi jej los innych rodzin ani to, że gdzieś dalej leżą obalone drzewa albo stoją zniszczone domy. Panowała opinia, że głównym powodem waśni w Samoa Amerykańskim jest rozpad rodziny. (Tutuila, główna wyspa Samoa Amerykańskiego, leży zaledwie sześćdziesiąt kilometrów na wschód od Upolu). Niektórzy twierdzili, że są jednym narodem z tamtymi, a inni utrzymywali, że różnią się jak ogień i woda.

– Mówimy różnymi językami! – upierał się pewien facet. – *Sapelu* oznacza u nas kordelas, a u nich łopatę. *Ogaumu* oznacza u nas piekarnik, a u nich garnek. Inaczej niż my nazywają wschód i zachód!

Wszyscy mocno podkreślali fakt, że w Samoa Amerykańskim pieniądź znaczy o wiele więcej niż w biedniejszym Samoa Zachodnim.

Intryguje mnie charakter wyspiarski, więc praktycznie każdego, z kim rozmawiałem na wyspach, pytałem: „Dlaczego wyspy tak się różnią od lądu

stałego?”.

– Na wyspie człowiek jest wolny i panuje nad swoimi sprawami – odparł Palola.

Rozwinął tę myśl, opowiadając o wizycie u brata w Auckland, gdzie bał się jeździć jego samochodem.

– Wszystko tam tak pędzi – stwierdził, mając na myśli zarówno ruch kołowy, ludzi na chodnikach, jak i sposób mówienia i załatwiania spraw. Uważał to za nieznośne.

Na promie nikt nie chorował. Oczekiwałem, że nawet w trakcie półgodzinnego rejsu będą rzygać jak koty – jak przystoi Polinezyjczykom. Ale chociaż nie cierpieli na chorobę morską, nie wyglądali zbyt zdrowo. Po nabrzeżu chodzili, kolebiąc się z boku na bok niczym kaczkę, bo taki jest los grubasów.

Cenią tuszę i żeby należycie wyglądać, pochłaniają wielkie ilości bananów, taro, owoców chlebowca i wszelkiego rodzaju przekąsek, jakie podają w jadłodajniach Apii. W pamięć wryła mi się zwłaszcza „zapiekana kanapka ze spaghetti”. (W tej sprawie Nowozelandczycy mają niemało na sumieniu). Pożerają kotlety baranie białe od tłuszczu. W nowozelandzkich i australijskich rzeźniach mrozą korpusy kurcząt, kupry, nóżki i kłęby – a więc te części zwierząt, których nikt tam nie kupi – i eksportują je do Samoa. Paseczek mięsa z bułą tłuszczu przy wielkiej kości Samończycy uważają za rzecz apetyczną. Importowane konserwy wołowe, które nazywają *pisupo*, nawet w dziewięćdziesięciu procentach składają się z tłuszczu. Na wyspach Pacyfiku peklowana wołowina nie jest ową porządną mięsą mieloną, jaką w Stanach krajemy w plastry do zapiekanki z ziemniakami, lecz przypomina pudding, albowiem tyle w niej tłuszczu, że można by ją zajadać łyżeczką. Do tych konserw dodaje się nie tylko łój wołowy, lecz również tłuszcz hipopotamów.

Choroby serca występują powszechnie, ludzie umierają młodo, ale na liczącej czterdzieści sześć tysięcy mieszkańców Savai’i mieli tylko dwóch lekarzy, Włocha i Birmańczyka.

Znałem pośrednio tego włoskiego doktora, Petera Caffarellego. Mieszkał kawałek za wioską Tuasivi, gdzie mój młodszy brat Joseph służył jako wolontariusz Korpusu Pokoju. Tuasivi składa się z wielu *fale* po obu stronach



nadbrzeżnej szosy opodal cypla, gdzie stoi szkoła średnia, w której mój brat uczył angielskiego. W odróżnieniu od podobnych siedlisk, jakie widziałem na Upolu, ta duża wieś nie była zapuszczona ani zrujnowana. *Fale* zbudowano solidnie, panowała atmosfera pracy, mieszkańcy uprawiali ogródki, karmili kury, na sznurach suszyły się liczne *lavalava*. Ślady ubiegłorocznego cyklonu – obalone drzewa, rozwalone przepusty, rozmyte drogi – widziało się w bardziej północnej części wybrzeża.

Tavita Tuilagi, jeden z dawnych kolegów Joego, budował nową *fale* nie tylko w tradycyjnym stylu, lecz również w tradycyjny sposób, to znaczy, nie płacąc ludziom pracującym na budowie. W roli budowlańców występowali krewni – oddani członkowie rozległej rodziny – i przyjaciele. Teoretycznie takie przedsięwzięcie ma być dziełem miłości i nic nie kosztuje, ale w praktyce okazało się dość kosztowne, ponieważ Tavita – czyli samoański Dawid – był zobowiązany zapewniać jedzenie i picie ludziom pracującym na budowie, a im lepiej ich karmił, tym ciężiej pracowali. W rzeczy samej – gdyby zabrakło jedzenia i picia, poszliby pracować gdzie indziej.

– Ten Tavita otrzymał niedawno tytuł – powiedział Samończyk, który wskazał mi drogę do Tuasivi. – Jest teraz *oloipola*.

– To nic wielkiego – rzekł Tavita ze stosowną skromnością, bo w koszulce LA Lakers w istocie nie wyglądał na notabla czy wodza.

Ale to, że bagatelizował ten tytuł, nie wynikało ze skromności, lecz z realizmu. Tytuł *oloipola* należał do tradycyjnej nomenklatury *matai* – czyli wodzów i głów rodziny – i niegdyś konotował istotną władzę. Ostatnio jednak wielcy wodzowie rozdają tradycyjne tytuły na prawo i lewo, żeby zapewnić sobie ponowny wybór na stanowiska w systemie władzy politycznej.

– Sio to dobry chłopak – powiedział Tavita, używając samońskiego odpowiednika imienia „Joe”. – I dobry nauczyciel. Chciałbym, żeby do nas wrócił.

– Może napisze więc pan do niego parę słów? – zaproponowałem i znalazłszy czystą kartkę w notatniku, podałem mu go wraz z piórem. – Może go pan zachęcić do powrotu, a ja obiecuję, że mu to przekażę.

– Świetny pomysł – rzekł Tavita i zaczął skrobać piórem.

– No, ja pana nie rozczytam, ale Joe pewnie potrafi – powiedziałem, kiedy skończył.

Schowałem notatnik do kieszeni i poszedłem dalej.

Nie przyznałem się do tego, ale odczytałem ów liścik. Tavita napisał:

Drogi Joe Theroux,

bardzo się cieszę ze spotkania z twoim ~~ojcem~~ bratem. Odkąd wyjechałeś, ciągle cię wspominam. Buduję teraz nową *fale*. Gdybyś mógł mi przekazać jakiś dar przez finanse, chętnie go przyjmę. Niech bóg cię błogosławi. Dziękuję.

Tavita Tuilagi.

W drodze powrotnej przez wioskę wręczyłem Tawicie trzydzieści *tala*, które bez ceremonii przyjął.

Doktor Caffarelli mieszkał dalej, blisko plaży w rozciągniętej wiosce za Tuasivi. Chudy, spalony słońcem, nosił *lavalava* z tkaniny w drukowane czerwone kwiaty. Na oko dawałem mu prawie siedemdziesiątkę. Ożeniony z Samoanką. Wokół domu wszędzie wałęsały się dzieci. Rozmawialiśmy na dworze, przechadzając się wśród wysokich traw i tyczkowatych papai. Murowany dom w stylu europejskim wręcz pleśniał w tamtejszym klimacie. Doktor powiedział, że jest właścicielem gruntu, na którym stał dom, co w Samoa zdarza się bardzo rzadko. Najwyraźniej parcelę tę podarował mu miejscowy wódz, umówiwszy się z doktorem, że będzie on dbał o jego zdrowie.

O sobie i sprawach osobistych doktor mówił niechętnie i wymijająco. Nawet gdy zapytałem go, ile ma dzieci, odrzekł półgębkiem – najpierw że dziesięcioro, a potem że jedenaścioro. Chętniej i z większym przekonaniem rozmawiał o samońskim stylu życia.

– Rzeczywiście, rodzina jest tutaj bardzo ważna – mówił doktor. – Ale słowo „rodzina” oznacza wielką rzeszę ludzi. Czasy się zmieniają i wszystko się komplikuje. Rodzina to zobowiązania, niemniej to wcale nie jest złe w gospodarce niepieniężnej. Kiedy ktoś ofiaruje pracę lub owoce, potem my odwdzięczamy mu się pracą albo jedzeniem.

– Zauważyłem. W Samoa istnieje ciągły obieg darów – powiedziałem.

– Lecz gdy dochodzą jeszcze pieniądze – doktor, jak gdyby zważywszy w rękę coś ciężkiego, uczynił włoski gest oznaczający zgryzoty – można pójść z torbami. Daj temu, daj tamtemu. Obyczaj nie pozwala odmówić.

– To znaczy, że daje się zawsze, kiedy poproszą?

– Obyczaj każe dbać o dzieci – ciągnął doktor. – Ale czy poczuwałby się pan do wypełnienia tego obowiązku, gdyby ojciec tych dzieci przygruchał sobie dziwkę w barze w Apii? Płaciliby pan i udawał, że niczego nie widzi?

– Czy to się zdarza?

– Bez przerwy – rzekł doktor. – Jest przecież jednak wymiar moralny. Dlaczego mam dzielić się pieniędzmi z kimś, kto przepuści je na prostytutki? Obyczaj każe dawać, kiedy proszą. Lecz niekiedy nasuwają się wątpliwości moralne.

Zapytałem o kradzieże, bo wspominało o nich wielu turystów, których spotkałem, a także ostrzegano przed nimi we wszystkich przewodnikach. Mnie nic nie zginęło, niemniej w Tonga oskubano mnie tak, że właściwie nie miałem już nic atrakcyjnego dla złodziei.

– W warunkach gospodarki niepieniężnej, kiedy w ogóle nie używano gotówki, wszystkim się dzielono – tłumaczył doktor. – Moja maczeta była również twoja. Każdy mógł ją wziąć. Nie istniało pojęcie własności prywatnej. Wzięcie czegokolwiek nie wiązało się z uczuciem przyjemności. Nie było własności prywatnej ani nawet pojęcia własności osobistej.

Oczywiście zmierzał do wniosku, że pieniądź skomplikował ów tradycyjny stan rzeczy. Teraz wszystkie problemy składano na karb pieniądza, uważając, że wynikają już to z braku pieniędzy, już to z żądzy pieniądza, już to z władzy, którą pieniądź daje bogatym.

– Dzisiaj wszyscy kradną – ciągnął doktor. – Tak, to stare przyzwyczajenie, ale zarazem kradzież. I w ogóle się tego nie piętnuje. W gruncie rzeczy podziwia się złodziei i oszustów.

– A co, jeżeli ich się okradnie?

– Teoretycznie właśnie to należy robić. Ale nie zawsze są tak wyrozumiali, prawda? Myślą o dobru wspólnym, kiedy im to odpowiada, często jednak zdarza się, że ktoś coś zagarnia i nigdy się tym nie dzieli.

Stwierdziłem, że nie złodziejstwo jest źródłem problemu, lecz niekonsekwencja i obłuda.

– Słusznie. Przytoczę pewien przykład – rzekł doktor. – Pewien mój znajomy miał ogromny mangowiec. Zauważył, że wszyscy kradną mango z jego drzewa, kiedy tylko dojrzeją. Nawiasem mówiąc, był Australijczykiem, ale mieszkał w Samoa od lat. Nie zwrócił uwagi ludziom obrywającym mango i pomyślał, że tutaj to normalne. Wobec tego zaczął obrywać banany z drzew ludzi, którzy zbierali jego mango. Ale im się to nie spodobało!

– I co zrobili?

– Straszłą awanturę.

– Jak straszłą?

Wzruszył ramionami i jak rasowy Włoch stulił usta w dzióbek, co znaczy, że sytuacja jest paradoksalna.

– Mało go nie zabili.

Poruszyliśmy kwestię kontroli narodzin. Przyrost naturalny w Samoa był bardzo wysoki, a chociaż sześćdziesiąt procent dzieci rodziło się w związkach nieformalnych, wszystkimi troskliwie się opiekowano i każde przyjmowano do rodziny. Mimo to władze popierały kontrolę urodzeń i zezwalały na stosowanie środka antykoncepcyjnego Depo-Provera.

– Czy to preparat niebezpieczny?

– Tak, groźny, ale kogo to obchodzi? Kobieta może stać się bezpłodna, może umrzeć, ale przecież nie to interesuje ludzi, którzy propagują środki antykoncepcyjne. Im zależy na obniżeniu przyrostu naturalnego, bez względu na koszty. Nie bawią się w sentymenty – mówił doktor. Po chwili dodał: – Nie mam nic wspólnego ze środkami antykoncepcyjnymi.

Odprowadził mnie do drogi, kolorowe *lavalava* doktora powiewało, wokół nas dokazywała gromadka jego dzieci.

– Pewnie lubi pan ten kraj, skoro spędził pan w nim taki szmat czasu – rzekłem.

W Samoa mieszkał od dwudziestu pięciu lat.

– Lekarz to tutaj osoba pogardzana – powiedział z uśmiechem. – Najlepiej być duchownym. Ludzie znoszą panu jedzenie i pieniądze. Ma pan pozycję. Może się pan wzbogacić. Ale ze mnie się śmieją, bo jestem lekarzem. Kiedy

cyklon rozwalił mi gabinet zabiegowy, gapie się śmiali. „Patrzcie, co się stało! Zmiotło dom doktora!”. Uważali, że to bardzo zabawne.

W Samoa jest niewiele dzikich zwierząt, a najwięcej blisko drogi, więc po prostu wracając do domu, widywałem okazy niemal wszystkich występujących tam gatunków: szczury śniade, zagrożone nietoperze, świnie, chruściele, jerzyki, czaple i oszalałe kulawe psy.

**Przez pewien** czas i ja mieszkałem w *fale*, w Lalomalavie. Jeszcze w ciemności, nad ranem, o trzeciej lub czwartej zwykle padało, a deszcz bębnił w blaszany dach i szemrał na strzesze. Piękny odgłos, na wpół warkot, na wpół szept, któremu towarzyszyło plaskanie kropli o wielkie szerokie liście tuż za zasłoną. Zaczynało świtać, jaśniało szare niebo, a deszcz nadal padał. W końcu około szóstej za palmami pojawiał się dysk słońca i deszcz powoli ustawał.

Mieszkałem wśród pstrokatej kompanii podstarzałych ekspatriantów i młodszych Samończyków. Gdzieś nieopodal przez cały dzień rozbrzmiewał gardłowy szyderczy śmiech. Tak śmiały się dzieci. Te wybuchy śmiechu bardzo mnie irytowały i odpychały, ale najwyraźniej przeszkadzały tylko mnie. Ekspatrianci w gruncie rzeczy zakładali, że zostaną w Samoa do śmierci, natomiast wielką tęsknotę do miejsc takich jak Auckland i San Francisco wyrażali Samończycy.

Na przykład Loimata.

– *Mata* to po malajsku oko – powiedziałem.

– Tak samo po samońsku – rzekła. – *Loimata* oznacza łyżę.

Miała rodzinę na Hawajach, w Los Angeles, San Francisco, Nowej Zelandii i Australii. Odwiedzając niektórych krewnych, podejmowała pracę i przez pewien czas mieszkała w Wahiawie, samońskiej enklawie na przedmieściach Honolulu. Podróżowała z matką, która tęskniła za Samoa, więc koniec końcem oddana córka wracała z matką na Savai’i.

– Szkoda mi pracy – wyznała.

Jej narzeczony prychnął ironicznie i rzekł:

– Wcale nie szkoda ci pracy. Szkoda ci zarobków.

– Masz rację, szkoda mi pieniędzy, które zarabiałam.

Mniej więcej sześćdziesięciopięcioletni Nowozelandczyk Warren Jopling w swoim czasie po prostu przyjechał do Samoa, ale gdy się ożenił, więzy rodzinne tak go opłotły, że został na dobre. Mówił, że lubi Samoa. Oczywiście rodzina przyjęła go jak swojego, ale za dwiema czy trzema osobami, z którymi miał początkowo do czynienia, stała rzesza innych i w końcu rodzina całkiem go sobie podporządkowała. Kolejni krewniacy sprowadzali się do jego domu w Apii, aż zrobiło się tak ciasno, że Warren się wyprowadził i przeniósł na Savai'i.

Pragnąłem zwiedzić starożytny kamienny kopiec Pulemelei, coś w rodzaju piramidy schodkowej, największą taką budowlę w całej Polinezji. Wypytywałem Samończyków o ten zabytek. Większość nawet nie wiedziała o jego istnieniu. Dwóch, którzy słyszeli o piramidzie, nigdy jej nie widziało. Zapytałem o Pulemelei również Warrena, który – jako *palangi* żyjący na marginesie społeczeństwa – oczywiście wiele razy zwiedzał tę zagadkową ruinę w dżungli.

Nikt nie wie, do czego służyła ta wielka budowla, czy była grobowcem, fortecą czy, jak mówiono, osobliwą pułapką na ptaki. Z tego powodu wydawała się jeszcze bardziej intrygująca, wielka i nieodgadniona. Leży w głębi samońskiej dżungli za wioską Vailoa, a w tamtym czasie tak rzadko ją odwiedzano, że nie było do niej łatwego dojścia. Nawet Warren Jopling, który znał dobrze tę budowlę, na moment się zgubił, gdyśmy przedzierali się przez zarośla.

Oparty o stok wzgórza zabytek zarosła bujna roślinność, pnącza i krzewy, niemniej forma architektoniczna dwustopniowej piramidy była wyraźnie widoczna. Podobna do tortu weselnego olbrzymów piramida sprawiała wrażenie kopca obrzędowego, a z jej szczytu rozciągał się wspaniały widok na morze. W czasach świetności, zanim wybijały palmy i dżungla, budowla ta musiała odznaczać się dostojnością wielkiej piramidy Majów w Chichén Itzá, którą Hiszpanie nazwali El Castillo – konstrukcji pod względem wielkości i złożoności podobnej do kopca Pulemelei. Niektórzy archeolodzy przypuszczają, że na szczycie kopca istniały zabudowania mieszkalne, przez co całość miała wygląd prawdziwej fortecy o podstawie sześćdziesiąt na

sześćdziesiąt pięć metrów i wysokości dwunastu metrów, z dwoma parapetami i ciągami kamiennych schodów.

– A wiesz, co w tym wszystkim najdziwniejsze? – zapytał Warren. – Na tej wyspie mają mnóstwo legend. Opowiadają przedziwne historie o gejzerach morskich, o wodospadach i jaskiniach. Opowiadają o stworzeniach mitycznych. O olbrzymach, karłach, zjawach, duchach. O tym, jak pojawił się wulkan i jak powstała wyspa. Ale w ogóle nie opowiadają o tej ruinie, nic, nawet zmyślonych historii. Nie uważasz, że to dziwne?

Pokazał mi wiele innych kamiennych kopców – bodaj grobowców, podbudówek, ołtarzy. Wszystkie zarosnięte przez dżunglę, okryte pnączami i paprociami, nieznane, nieodślonięte.

– Istniała tu wielka cywilizacja – stwierdził. – Musiało tak być, bo właśnie tutaj nie brak słodkiej wody, są dwie rzeki, jedyne całoroczne rzeki na Savai’i.

Wulkaniczna gleba błyskawicznie wchłania wodę, tłumaczył Warren, z wykształcenia geolog. Deszczówka wprost znika, mówił. Na wyspie jest kilka stawów, ale nie ma jezior. Właśnie w rejonie Pulemelei są jednak źródła i potoki.

Nieco głębiej w dżungli z wysokich wzgórz spływa potok Faleata, który tworzy wodospady Olemoe. Warren zabrał na naszą wycieczkę dwóch samoańskich chłopców, na wszelki wypadek – gdybyśmy złapali gumę, rozbili samochód, cokolwiek. Wtedy by się nam przydali. Chłopcy byli rozbrykani i pełni zapału. Jeden miał na imię Afasene (co znaczy „pół centa”), drugi Siaki (czyli Jack). Kiedy przysiedliśmy nad stawem pod wodospadami, Afasene i Siaki upletli wianek z paproci, który włożyli mi na głowę, tak że poczułem się jak nieznośny Bassington z powieści Sakiego<sup>[49]</sup>.

Potem pluskali się i nurkowali w stawie.

– Spójrz na mnie, Paul!

– Ja wyciągnę kamień z dna!

– Ja skoczę!

– Nie patrz na niego, patrz na mnie!

Pod wodospad, potem do brzegu, skok tyłem do wody, igraszki, radość. Mieli czternaście i szesnaście lat, ale wydawali się młodszy.

O to więc pewnie chodzi. Przyjeżdżamy tu i brykamy ze śniadymi chłopcami, śpimy z ich siostrami, dajemy pieniądze ich rodzicom, żyjemy i umieramy. Śpimy, jemy i się śmiejemy.

Savai'i to koszmarne miejsce z punktu widzenia kajakowania. Albo grzywacze tłukące o skały i najmniejszych szans na spuszczenie łodzi na wodę, albo laguna tak płytka, że przy każdym pociągnięciu człowiek zaczepia piórem wiosła o dno. Samończycy nie są ludźmi morza, tylko najstarsi pamiętają przeprawy z wyspy na wyspę w kanu wiosłowym bądź żaglowym wyposażonym w pływak. Sztuka wytwarzania i używania łodzi, wedle której skłonny byłem szacować wyspy Pacyfiku, w Samoa już prawie zanikła.

Niedaleko od tajemniczej piramidy Pulemelei znajdują się gejzery morskie Taga. Twory te, zwane tam *pupu*, są kominami w klifach z czarnej lawy, które sprawiają, że ta część wybrzeża Savai'i jest tak niebezpieczna. Przybój napiera na klify, woda wędruje szczelinami i kanałami w skale, po czym wciska się w pionowe kominy pod takim ciśnieniem, że wytryskuje z nich na wysokość dwudziestu czterech metrów.

Staliśmy przy kilkunastu takich gejzerach i gdy fala uderzała w urwisko, wrzucaliśmy w dziurę kokos, by po kilku sekundach wyleciał z gejzeru w powietrze niczym kula armatnia. Dzieci wrzucały w gardziel gejzeru liście palmy, po czym obserwowały z przejęciem, jak wylatują wysoko tarמושzone strumieniem rozbryzgującej się wody.

Odludnie, pusto, a przecież to jedno z najpiękniejszych zjawisk przyrodniczych na wyspach Pacyfiku. Staliśmy na brzegu morza, pod słonecznym niebem, po którym żeglowały wielkie puszyste chmury, chłopcy dokazywali, kokosy strzelały pod niebo i pomyślałem: „Mój Boże, jakie to głupie”.

Ale ten protest nie miał w sobie siły. Wtedy już ogarnęło mnie owo rozleniwione znudzenie, oceaniczna niemoc duchowa. Nie widziałem, żeby ktokolwiek czytał rzecz bardziej wymagającą niż komiks. Nie słyszałem młodych, którzy wyrażaliby zainteresowanie nauką lub sztuką. Nie rozmawiano nawet o polityce. Rozleniwienie, zbijanie bąków i kiedy zadawałem pytanie, choćby najprostsze i choćby pytany doskonale znał



angielski, zawsze osobliwie długo czekałem na odpowiedź i ta oceaniczna drętwość umysłowa bardzo mnie drażniła.

Słyszałem śmiechki, chichotanie, ale wyzute z humoru, pozbawione dowcipu. Wszystko to tylko wygłupy. *Palangi* nie sprawowali się lepiej. Warren urządził piknik z udziałem Johna, Amerykanina, który prowadził gospodarstwo rolne na Środkowym Zachodzie, oraz Friedricha.

– Badam zapach befsztyka – powiedział mi Friedrich.

Naprawdę się tym zajmował. W laboratorium w Monachium smażył codziennie kawał polędwicy wołowej, następnie ekstrahował z befsztyka esencję i dokonywał analizy, starając się ustalić jej skład chemiczny.

– To ma wiele zastosowań – stwierdził.

Jak zawsze towarzyszyła nam grupka rozbrykanych i rozchichotanych młodych Samończyków.

Siedzieliśmy pod palmami na cyplu Asuisui, a kiedy Warren podał kanapki, powiedziałem:

– Nie jadam *spam* (mielonki). Coś mi to przypomina. Czytaliście Descartes’a? René Descartes’a?

John milczał, Friedrich milczał, Warren milczał, Samończycy chichotali.

– No, tego z kalamburu „Don’t put Descartes before the horse”<sup>[50]</sup> – odpowiedziałem.

W grobowej ciszy Warren odchrząknął i rzekł:

– Czytałem go, ale lata temu, no i mam słabą pamięć.

– Słuchajcie, chcę tylko zażartować.

Gapili się na mnie jak na kosmitę.

– Ten Descartes, rozumiecie, powiedział: „I’m pink, therefore I’m spam”<sup>[51]</sup>.

Teraz popatrzyli na mnie z prawdziwą obawą i tylko Manu się odezwał.

– A co pan myśli?

– O czym?

– O pogoda.

Pogadaliśmy więc o wietrze i chmurach.

Potem, już w samochodzie Manu rzekł:

– Ja ma żona.

Wracaliśmy do Lalomalavy. Samochód Manu, straszny grat, wyposażony był w drogi odtwarzacz kaset i dudniło w nim reggae płynące ze stereofonicznych głośników ustawionych wraz z kilkoma pluszowymi zabawkami na tylnej półce.

– A dzieci?

– Ja ma dzieciaka tutaj – powiedział i rąbnął w pokrywę schowka na rękawiczki. Schowek nie dawał się otworzyć, pokrywa odskoczyła dopiero po bardzo mocnym ciosie pięścią.

– Dzieciak... tu... gdzieś.

W końcu wygrzebał pomietą fotografię ukazującą śniadego, pulchnego bobasa zawiniętego w czysty niebieski kocyk. Od razu poznałem, że zdjęcie nie zrobiono w Samoa.

– Mój syn – rzekł Manu dumnie.

– Jak ma na imię?

– Ja nie wie.

– Gdzie zrobiono to zdjęcie?

– Auckland.

– Chce pan pojechać do Auckland?

– Nie – powiedział Manu i wrzucił zdjęcie z powrotem do schowka, którzy zatrzęsnał rąbnięciem pięścią.

Ciekawe, jaka się kryła za tym historia.

**Pojechałem** na północno-zachodnie wybrzeże Savai'i, nad zatokę Asau, gdzie daje się powiosłować, i poznałem tam Grubego Franka, który niedawno przybył z Kalifornii i zwiedzał wyspę. Frank był alkoholikiem i zamieszkał w motelu w Vaisali. Oprócz niego mieli tam jeszcze tylko jednego gościa, Fina z frachtowca kotwiczącego w Apii, który gorzko się skarżył na Franka. Frank wstawał o jedenastej, na śniadanie wypijał butelkę miejscowego piwa, poprawiał połową butelki tequili, po czym obłapiał samoańskie kelnerki, póki nie odpłyną. Palił jednego papierosa za drugim, wielki brzuch zwisał mu przez pasek. Siedząc, garbił się i z trudem oddychał. Spotkałem go późnym popołudniem, po drugiej drzemce, oddech miał świszczący i raczył się whisky.

Narzekał, że puchną mu nogi. Nie cierpiał upału. Mówił, że źle sypia. Należał do grubasów, którzy leżąc na wznak, oddychają nieregularnie, a w nocy chrapią, popadając w bezdech: „Aaarrghh!”.

– Zostanę z półtora miesiąca – powiedział Frank.

– To dość długo jak na taką niedużą wyspę.

– Chodzi o to, że myślę o przeprowadzce.

– Przenosinach do Samoa?

– Ta. Żeby zmienić styl życia. Po co czekać do emerytury? Czemu nie zrobić tego teraz?

Nie stuknęła mu jeszcze trzydziestka, ale nalany i opuchnięty wydawał się starszy, niczym dziwnie staro wyglądające grube dziecko.

– Byłeś tu już?

– Nie, ale wydaje mi się, że pasowałbym. Ludzie życzliwi, bardzo serdeczni. Nie to co w Pago. To dopiero dziura. Miałem zostać tydzień, a wyjechałem nazajutrz po przyjeździe. A tu traktują cię jak rodzinę.

– Chyba oczekują czegoś w zamian. Nie czujesz się zobowiązany?

– Możemy coś urządzić. Rozejrzę się. Poszukam domu. Poszukam wioski dla siebie. Pogadam z wodzem i wszystko ustalimy.

Poszukiwał sensownego życia i wydawało mu się, że łatwo je znaleźć. Facet jak z powieści Somerseta Maughama, powiada się, ale w rzeczywistości tego rodzaju ludzie bywają strasznymi nierobami i nudziarzami.

– No i może otworzę jakiś interes.

Miał bardzo ukradkowy sposób przypalania papierosa, którego osłaniał ręką, po czym przytknąwszy zapalniczkę, zaciągał się głęboko i mocno wydmuchiwał dym. Mieszkał w Mile City, kawałek na północ od San Francisco.

– Wiesz, na czym polega tu problem z robieniem interesów? Nie da się zarobić w kraju, gdzie ludzie nie mają pieniędzy.

Podzieliwszy się tą mądrością, pociągnął z flaszki tęgi łyk gorzały.

– Ale myślę, że sklep ze sprzętem do nurkowania by się sprawdził. W końcu zjawia się tu Japońcy.

– A po co? Im trzeba golfa, plaży, luksusu. Sklepów z Myszka Miki na szyldzie. Lubią kupować. Boże, tutaj nawet nie da się popływać. Mnie się

udaje, bo mam morski kajak.

– Wyobrażam sobie.

– Możesz się trochę nudzić.

– Wracam – ciągnął, nie słuchając mnie, cedził słowa, oddychając jak astmatyk – i biorę zabawki. Motocykl. Hi-fi. Sprzęt do nurkowania. Akwalung.

Grubasy często lubią nurkowanie. Może kusi ich wrażenie nieważkości, lekkości i unoszenia się, podczas gdy krążą nad rafą pośród śmigających kolorowych rybek.

– A ty co robisz? – zapytał, obcierając usta.

– Trochę piszę.

– To dlatego tak mnie wypytujesz!

Rozejrzał się i roześmiał. Śmiał się z gorejącego słońca, z palm, ze zniszczonej plaży, albowiem właśnie wtedy przeszła największa wichura. Wielki bandzioch Franka podrygiwał od śmiechu.

– Wiedziałem, że spotkam tu pisarza. Jak tylko zobaczyłem to pieprzone miejsce. A gdzie malarz? Przecież tu musi być jeszcze malarz.

A więc zamierzał porzucić przestwór północnej Kalifornii, wyrzec się życzliwości amerykańskiego miasteczka, zjechać tutaj, związać się z jakąś rozgałęzioną rodziną i osiąść w *fale* w samońskiej wiosce pośród dziwnych chrześcijan. Właśnie to powiedziałem.

– Zawsze jest coś za coś, no nie?

Pragnął zmienić swoje życie. Już teraz pragnął żywota emeryta, nie czekając na artretyzm i choroby wieku podeszłego. W pewnym sensie miał rację, bo tak gruby, zachlany i palący jednego papierosa za drugim długo nie pociągnie.

– Znam rozwiązanie. Ludzie kupią wszystko od kogoś, kogo lubią.

– To znaczy, od ciebie?

– Ta. Kogoś takiego jak ja. Prawdziwego człowieka – rzekł i oparł butelkę na brzuchu. – Interesującego faceta.

Nagle pojąłem, że już go widziałem w Ameryce, na harleyu. Tak, był jednym z tych przerażających facetów w kaskach podobnych do hitlerowskich hełmów, którzy wioząc przed sobą brzuch jak beczka, gnają po autostradzie, wyprzedzając zwykłych kierowców, którzy mówią: „Popatrz no, Doris! Jedzie

środkiem, jakby był panem świata!”. „Tylko go nie denerwuj! – piszczy Doris. – Nie trąb na niego”. No i facet nie trąbi.

Gruby Frank szukał pobłażliwej rodziny i niewykluczone, że znajdzie taką w Samoa, gdzie nietrudno nawiązać stosunki z rodziną o mocnych więzach. Nie obawiałem się, że Frank wykorzysta tych ludzi. Nie wątpiłem, że w ostatecznym rachunku to oni go wycyczkają do cna. To społeczeństwo paradoksalne. Oprócz rodziny nie ma w nim żadnej siły napędowej, żadnych zobowiązań, i owa współzależność ograniczona wyłącznie do rodziny sprawia, że ta zbiorowość jest nie tyle społeczeństwem, ile swego rodzaju prostym organizmem, podobnym, dajmy na to, do meduzy, unoszącego się na powierzchni morza zwierzątka będącego wiązką czułków służących do paraliżowania i pożerania ofiary.

Ilekcóż próbowałem w Samoa coś załatwić – kupić bilet, wynająć samochód, uzyskać informację – Samończyk, do którego się zwracałem, wydawał się zaskoczony i nieprzygotowany do tego, żeby mi pomóc. Samończycy jakoś wiązali koniec z końcem dzięki uprawie ogródków i przekazom pieniężnym z zagranicy. To najbardziej spójne ze wszystkich społeczeństw, z jakimi się zetknąłem na wyspach Pacyfiku, ale i najmniej indywidualistyczne i bodaj najbardziej tradycjonalistyczne w całej Polinezji. Ale oprócz bezpośrednich potrzeb rodziny nic się tam nie liczy, więc nie ma lekarzy, dentystów, pilotów, inżynierów, architektów ani artystów. Wielu nauczycieli samońskich emigruje na lepiej płatne posady za granicę, a ich miejsce zajmują wolontariusze Korpusu Pokoju. Nawet najędźniejsi drogowcy i operatorzy ciężkich maszyn, buldożerów i świdrów wiercących doły na słupy trakcji elektrycznej pochodzili z Nowej Zelandii i Australii.

A może brałem to wszystko zbyt serio. Być może była to tylko komedia. Jeżeli jednak człowiek nie jest w nastroju na lichą farsę, nie powinien jechać do Samoa.

- Ja nie lubi Tonga – oświadczył pewien Samończyk
- Dlaczego?
- Bo zbyt piaszczyste.
- Zbyt piaszczyste?
- Tak. No i oni nie lubi Samończyków.

- Jaka szkoda.
- Bo pewien Samończyk uciął łeb Tongijczykowi.
- I tyle?
- I uciął mu nogę.
- Rozumiem. Samończyk uciął łeb i nogę Tongijczykowi.

Pradawna waśń w szacie mitu? Nie. Jak wyjaśnił mój rozmówca, zdarzyło się to raptem kilka miesięcy wcześniej w Auckland.

Niektórzy młodzi dzicy ludożercy byli zaiste piękni. Najbardziej nachmurzeni z nich, na pozór nieużyci, po chwili okazywali się niezwykle uczynni. Policjanci nie nadawali się do niczego, ale w białych mundurach z imponującymi epoletami i w białych kaskach na głowie wyglądali malowniczo. Czy to dlatego, że odwiedzałem zapadłe zakątki Samoa? Chyba nie, bo przecież całe Samoa jest zapadłym zakątkiem świata. I właśnie w chwilach największego rozdrażnienia nagle dostrzegałem coś niewiarygodnego – mężczyznę ze świnką na podołku albo faceta, który zanurzony po szyję w morzu pali papierosa – i wybuchałem posępnym samońskim śmiechem, myśląc: weź to serio i już po tobie!

## rozdział\_siedemnasty\_

### Samoa Amerykańskie: zaśmiecona laguna

Na całym Pacyfiku nikt nie miał nic dobrego do powiedzenia o Samoa Amerykańskim. Już choćby z tej racji lubiłbym te wyspy i uważałem je za dostatnie miejsce, w którym mógłbym zamieszkać, za królestwo beztroski, gdzie czułbym się jak ryba w wodzie.

Samoa Amerykańskie wzbudza powszechną niechęć, ale właściwie dlaczego? Sześć wysepek i jedna wyspa średniej wielkości, Tutuila, zamieszkałych przez trzydzieści siedem tysięcy osób, czyli mających w sumie ledwie połowę liczby ludności Medford w stanie Massachusetts, gdzie się urodziłem i które zawsze uważałem za nieznośnie małe. Co roku rząd Stanów Zjednoczonych przekazuje Samoa siedemdziesiąt pięć milionów dolarów. Wydaje mi się, że trudno być bardziej beztroskim i szczodrobliwym, bo przecież pod względem politycznym Samoa to kleptokracja.

Na pierwszy rzut oka nie widać powodu, dla którego te wyspy nie miałyby być rajem. W rzeczy samej w pewnym sensie są rajem, rajem niezmiernie szczęśliwych brzuchaczy. Życie w Samoa to niekończąca się impreza na koszt jankeskiego podatnika, a wyspiarze są tak zwierzęco zadowoleni, że nawet nie chcą słyszeć o przyłączeniu się do niepodległego państwa swoich sióstr i braci z Samoa Zachodniego, kawałeczek dalej na zachód, ponieważ unifikacja oznaczałaby zmniejszenie dochodów. W Samoa Zachodnim dochód narodowy na głowę wynosił pięćset osiemdziesiąt dolarów, dziesięć razy mniej niż w Samoa Amerykańskim. A wszystko to darowane pieniądze, pomoc zagraniczna – finansowa kroplówka, jak mawiają w Australii. Nowa Zelandia przestała finansować swoje byłe terytorium, Samoa Zachodnie, natomiast Ameryka nadal łoży na te biedne wyspy, które pod względem politycznym mają taki sam status jak Portoryko.

To tyle w kontekście bredni o uświęconej wspólnotcie obydwu Samoa. „Skorumpowana” to najlepsze określenie, nawet jeżeli mieszkaniec Samoa Amerykańskiego potrafi w mgnieniu oka przemienić się z oglądającego finał NFL grubasa w koszulce z wizerunkiem Barta Simpsona i z puszką coca-coli w rękę w wielkiego czarnego i zionącego ogniem dzikusa, który przeraża małuczkich tajemniczymi zakłęciami i niepojętymi zwyczajami. Kiedy nie mają innego wyjścia, Samończycy przywdziewają *lavalava* i udają tradycjonalistycznych wyspiarzy. Przez resztę czasu są wesołymi grubasami, którzy doskonale się bawią za darowane pieniądze.

Ostatnim okruczem prawdziwego życia, jaki zapamiętałem z Samoa Zachodniego, był widok kobiet piorących suknie i myjących się o zmierzchu u ujścia rzeki Falealila – białe mydliny niczym grzywy fal na tle czarnych skał. Praktycznie pierwszą scenką, którą ujrzałem po przyjeździe do Samoa Amerykańskiego, był widok czterech niezwykle grubych kobiet w pralni Danny’s Laundromat w Pago Pago, które gapiły się w bębny maszyn obracających ich pranie i narzekały na rosnące koszty życia. Niesamowicie otyłe, lśniące od potu, żłopały coca-colę, siedząc z szeroko rozstawionymi bulwiastymi kolanami – w stylu iście samońskim.

W Samoa Zachodnim budują autentyczne *fale*, ukształtowane jak gdyby na wzór garbatego hełmu Hernanda DeSoto, kryte strzechą, o podnoszonych ścianach, wymszczone matami. W Samoa Amerykańskim tak zwane *fale* są kanciastymi domkami o płaskich dachach i jednowarstwowych ścianach, montowanymi na betonowej płycie z prefabrykatów sprowadzanych z Kalifornii. Ubóstwo zmusza mieszkańców Samoa Zachodniego do budowania domów w tradycyjny sposób, bo to wychodzi taniej, ale prawdziwe *fale* sprawdzają się w tropikalnym klimacie o wiele lepiej od gotowych domków stawianych na Tutuili, w których nie da się wytrzymać bez wstawionego w okno skorodowanego i wyjącego klimatyzatora. Nawet kościoły w Samoa Amerykańskim są brzydsze z powodu posępnej pseudonowoczesności.

W obydwu Samoa zmarłych grzebią w kolorowych grobowcach w przydomowych ogródkach lub obok domu. Samończycy podają najrozmaitsze powody grzebania bliskich na trawniku pod żywoplotem



z hibiskusa, a mianowicie wielki żal, miłość, tradycję, kult przodków, upodobanie do podziemnych nekropolii, pragnienie bycia blisko cioteczki Idy i tak dalej. Nie miałem jednak wątpliwości, że nie na tym rzecz polega. Czyż nie jest to najlepszy sposób na zawłaszczenie ziemi, tym bardziej że dzierżawa ziemi na tych wyspach jest kwestią trudną i wymagającą skomplikowanych targów. Łatwo wysiedlić żywych mieszkańców domu, trudniej wszakże pozbyć się dziesiątki krewnych spoczywających w zapieczętowanych trumnach głęboko w ziemi w ogródku.

– Nienormalny kraj – powiedział mi w Tonga Verne. – Ale i ja jestem trochę stuknięty, więc podobało mi się.

**Nie dostałem** się na prom z Apii do Pago Pago („Sprzedajemy trzysta dwadzieścia jeden biletów, bo na pokładzie jest trzysta dwadzieścia jeden kamizelek ratunkowych”, wyjaśnił sprzedawca w kasie), więc odbyłem krótki rejs samolotem.

– Ma pan nadwagę – stwierdził stusiedemdziesięciokilowy facet na stanowisku odprawy.

Nie chodziło o mnie, lecz o bagaż, łódkę i ekwipunek, ale ów imponująco gruby pracownik obsługi lotniska uznał, że naliczanie opłaty za nadbagaż to zbędny wysiłek, więc dał mi znak, że mogę iść.

„Ładna” to nieodpowiednie słowo w odniesieniu do Tutuili. Wygląda bajecznie. Zielone strome góry o czarnych szczytach, ciemne, starożytne rozłupane wulkany, przepastne doliny opadające ku urwistym brzegom i skalistym cyplom. Tutuila pyszni się dumnie nad rozległą laguną z wieloma zatoczkami i głęboko wciętym portem w Pago Pago. Prześliczna wyspa, przyprawiająca o zawrót głowy, o wiele bardziej urozmaicona i bujniej porośnięta niż jej siostrzane wyspy na zachodzie. Tak, wcale nie „ładna”, bo gorąca, rozleniwiona, porywająca i niebezpiecznie powabna, niczym osoba, którą mijamy na ulicy – właśnie, co takiego mają w sobie ci szczęściarze? – i która sprawia, że tracimy głowę, zapiera nam dech i zapominamy o sobie. W Tutuili można się zakochać od pierwszego wejrzenia.

Ale już po chwili, przyjrząwszy się bliżej, przytomniejemy i uzmysławiamy sobie, że nie wszystko złoto, co się świeci. Port Pago jest mulisty, bo przy pływy nie oczyszczają go wystarczająco, a ponadto cuchnie przetwórniami tuńczyka StarKist i Van Camp, które znajdują się na wschodnim brzegu. Plaże niesłychanie brudne, bodaj bardziej niż gdziekolwiek indziej na Pacyfiku. Właściwie nie zbierają tam śmieci, które walają się wszędzie i sprawiają, że plażowanie nie wchodzi w grę. Do tego laguna zbyt płytka, żeby popływać, martwe i potrzaskane koralowce i niewiarygodna liczba puszek po napojach na dnie. Nie dziwota, że na plaży nie widziałem nikogo.

Kiedy Samoanczyk opróżni puszkę, butelkę albo torebkę, po prostu rzuca puste opakowanie byle gdzie. Dawniej jadało się z liści palmowych, piło ze skorupy kokosa, wyrzucało się skórkę banana. Wytwarzało się śmieci ulegające biodegradacji. Dzisiaj opakowania są sztuczne i się gromadzą. Wyspa jest hałaśliwa, zdewastowana i dziwnie swojska. To nie prymitywna bieda i nędza Apii, gdzie brakuje pieniędzy i nic nie działa. Pago Pago ucieleśnia marnotrawny przesyt w stylu amerykańskim, makabryczne życie na pokaz, którego symbolem są o wiele za duże i o wiele za drogie skorodowane samochody. Chciwi, marnotrawni, zachłanni i rozrzutni mieszkańcy Samoa Amerykańskiego dostają sute zasiłki, napełniają wózki sklepowe podłym żarciem, kartonami puszek, smakołykami brzuchatej Polinezji i cieszą się niezdrowym dobrobytem.

Dwa Samoa leżą blisko siebie, ale podczas gdy Samoa Zachodnie spogląda w stronę Nowej Zelandii i Australii, to Samoa Amerykańskie patrzy ku Hawajom i kontynentalnej Ameryce. Nowozelandczycy wpoili mieszkańcom Samoa podstawy gospodarności i dzięki temu drogi i laguny w zachodniej części archipelagu są wprawdzie liche, ale o wiele czystsze niż w części wschodniej. Główne osiągnięcie Ameryki w jej części Samoa – co niestety od razu rzuca się w oczy – polega na zburzeniu fundamentu tradycyjnej kultury poprzez ustanowienie gospodarki pieniężnej. Najgorszym skutkiem tej transformacji jest zaszczepienie ducha egoistycznej rywalizacji, który rozbija tradycyjną rodzinę. Większość osób, z którymi rozmawiałem w Samoa Amerykańskim, ubolewała nad rozluźnieniem więzów rodzinnych, co

proceedzi do uwiadu tradycyjnej obyczajowosci i grzecznosci i do szerzenia sie nonszalancji graniczacej z chamstwem.

Za bardzo wazne kryterium oceny mieszkancow wysp Pacyfiku uwazam stosunek do otaczajacego ich oceanu. Czy plywaja? Czy lowia ryby za pomoca sieci lub harpunow? Czy buduja lodzie, wioslujaja, zeglujaja? Czy przeprowiajaja sie z wyspy na wyspe za pomoca zrobionych przez siebie lodzi? Niegdyś mieszkancy Oceanii nalezeli do najlepszych zeglarzy na swiecie. A jak to wyglada teraz? Zaiste podejrzewalem, ze boja sie morza, ze go nie znaja i nie dbaja o nie. Czy wiedza, skad wieje wiatr, czy potrafiaja przewidziec pogode na podstawie formy chmur i barwy nieba? Czy wyprawili sie kiedykolwiek na otwarte morze, za te biala kreche grzywaczy przy rafie?

Niektorych wyspiarzy nadal mozna uwazac za ludzi morza. Mieszkancy Samoa Zachodniego ciagle troche lowia, zeglujaja i w pewien wprawdzie schryistianizowany, ale uparty sposob sa tradycjonalistami. Mieszkancy Samoa Amerykanskiego nadal kultywujaja wyszukane i tajemnicze obrzedy w swoich podlych domkach, ale wydaja sie calkowicie obojetni wobec oceanu. Nie zeglujaja ani nie wioslujaja. Wskakujaja do wody i pluskaja sie, ale prawie nie plywaja. Od czasu do czasu widuje sie otylego dzieciaka na skuterze wodnym. Reszta sie chowa przed sloncem. Trzymaja sie z dala od laguny. Jedza ryby z puszeki. Wiele lat minelo od czasu, gdy ktorys z nich zbudowal kanu z bocznym plywakiem. Odnosilem wrazenie, ze ta spolecznosc zapadla (rzecz zaiste dziwna na Pacyfiku) na szczegolnie ostram odmiane wodowstretu.

**Wedlug** tradycyjnych przekazow pierwsi Samoanczykcy – pierwsi prawdziwi Polinezyjczykcy – przybyli okolo 600 roku p.n.e. z Tonga i Fidzi na wschodni cypel Tutuili, opodal wioski Tula. Coz z tego, ze dzisiaj to malo pociagajaca wioska nedznych domkow z prefabrykatow, zasmieconych drog i walesajacych sie psow. Postanowilem poplynac tam kajakiem i przymierzyc sie do wyprawy na jedynam wyspe w zasiegu kajakarza, a mianowicie Aunu'u, ktora lezy na poludniowy wschod od Tutuili.

– Nigdy sie to panu nie uda – stwierdzil pewien Samoanczyk.

Opinia godna zaiste ostatniego szczura lądowego, ponieważ Aunu'u leży zaledwie dwa kilometry od Tutuili. Nie miałem wątpliwości, że choćby nawet w cieśninie nurtował potężny prąd, mogłem tam dopłynąć.

Później rozglądałem się w okolicy Alofau, gdzie właśnie przyjechałem nadbrzeżną szosą. W podobnym miejscu w Samoa Zachodnim tubylcy zachowywaliby się podejrzliwie. Ci z Alofau byli zaczepni i wręcz bezczelni.

– Pan tu jest nowy – zauważył Kenny, wielki śniady facet.

Nie pytał, lecz stwierdzał, więc ja zapytałem, czy chodzi mu o to, że jestem nowy w Alofau, czy na wyspie.

– Na wyspie – odparł. – W Samoa.

– Skąd pan wie?

– Po pana twarzy.

– Czyli wyglądam jak obcy, tak?

– Tak, znamy twarze wszystkich. Nigdy jeszcze pana nie widziałem – rzekł Kenny. – Myślę, że przyjechał pan niedawno.

– To prawda. Ale jestem zaskoczony, że pan to wie.

– Wiemy wszystko, bo znamy wszystkich na tej wyspie.

Wszędzie indziej w Oceanii i w Samoa Zachodnim w szczególności tego rodzaju rozmowa miałyby życzliwy charakter, natomiast Kenny zachowywał się wścibsko, co mnie zaniepokoiło. Odnosiłem nieprzyjemne wrażenie, że węszy i koniecznie chce coś wytropić. Nawet najbardziej na pozór niewinna uwaga sprawiała, że miałem się na baczności.

Staralem się zwiedzić całe wybrzeże wyspy. Odwiedziłem Tulę, przymierzyłem się do wyprawy na Aunu'u. Na noc wracałem do hotelu w Pago Pago. Koniec końcem zaszufładkowałem je sobie jako miasto dżdżyste, ale serdeczne. Podobnie jak wielu innych przyjezdnych rozmyślałem o *Deszczu* Maughama. Maugham to jeden z tych magów, którzy uświęcają miejsca, o jakich piszą. Wyświadczył tym wyspom wielką przysługę, ukazując je jako intrygujące i egzotyczne. Biwakowanie nie wchodziło w grę, albowiem każdy skrawek gruntu miał właściciela, nadzorcę i stróża przeganiającego intruzów. Biwakowicza nie odróżniano od dzikiego lokatora, a Samoańczycy nieraz właśnie w taki sposób nabywali prawo do ziemi – przez zasiedzenie. Dodam, że nawet metr kwadratowy ziemi nie może należeć do cudzoziemca.

Samończycy slyną z tego, że nie zwracają zbytnej uwagi na prawa innych i jednocześnie fanatycznie bronią swoich – infantylizm i egoizm doskonale pasują do ich rozlazłej tuszy, nadającej im wygląd rozkapryszonych dzieci, które ustawicznie wrzeszczą: „To moje!”.

Pewnego dnia składałem kajak na plaży, oddając się pracy bodaj daremnej, skoro laguna miała głąbokość parunastu centymetrów, na jej dnie leżało mnóstwo rdzewiejących puszek, brakowało przesmyku w rafie, a fala była wysoka i zapewne trudna do pokonania. Ale nie poddawałem się, licząc na to, że znajdę jakieś rozwiązanie. Okazało się, że nie mogę dokończyć uzbrajania łódki, bo zapomniałem w samochodzie pewnej drobnej części, a mianowicie zatyczek do nadmuchiwanym stabilizatorów. Pracując, rozmawiałem z dwoma facetami, albowiem wszelka aktywność natychmiast wzbudzała zainteresowanie miejscowych. Nie zaofiarowali pomocy, ale też nie odmawiali, kiedy o nią prosiłem.

Samochód zaparkowałem dyskretnie w ustronnym miejscu, obawiając się włamania (ciągle slyszalo się opowieści o kradziejach). Wahałem się, czy iść do samochodu po brakujące zatyczki, bo w ten sposób zwróciłbym uwagę gapiów. Postanowiłem działać w sposób zawoalowany.

– Muszę jeszcze coś kupić – powiedziałem.

Przeszedłem przez ulicę, wszedłem do sklepu, kupiłem napój, wyszedłem tylnymi drzwiami, przekradłem się za sklepem, potem chyłkiem pod gęstymi drzewami dotarłem do samochodu, skulony za nim otwarłem drzwi, wziąłem zatyczki, po czym tak samo ukradkowo wróciłem na tyły sklepu, by w końcu wyjść frontowymi drzwiami, popijając fantę z puszki.

– Czy to pana samochód? – zapytał jeden z facetów, kiedy wróciłem na plażę.

A więc skurczybyk mnie widział! Oczywiście to pytanie mnie przestraszyło, bo gość wiedział, że zaraz wypłynę na lagunę, gdzie będę doskonale widoczny. Wymarzona okazja, żeby się włamać do samochodu.

– Dokąd się pan wybiera tą łódką? – zapytał drugi facet.

– Chcę tylko trochę powiosłować.

– Jak długo pana nie będzie?

O co tu chodzi? Znowu to złowróżbne węszenie. W Samoa Zachodnim ludzie po prostu by się gapili. Ci tutaj, szczerzy i zarazem nachalni, zdawali się w ogóle nie przejmować tym, co pomyśle o ich wścibstwie.

Ostatecznie jednak laguna okazała się zbyt płytką do kajakowania, a tamtego dnia planowałem jeszcze wyprawę z historycznej Tuli na wyspę Aunu'u.

W Samoa Amerykańskim żyłem w ciągłym strachu przed kradzieżą ekwipunku. Wszyscy – nawet miejscowi – opowiadali o złodziejskich skłonnościach mieszkańców tych wysp i każdy miał teorię wyjaśniającą, skąd to się bierze. A to że zgodnie z dawną samoąską obyczajowością wszystko jest wspólne, a to że wyspiarze cierpią na wrodzoną kleptomanię. Za oczywiste uważano, że jeżeli człowiek zostawi cokolwiek bez dozoru, ktoś to natychmiast świśnie. Jeżeli ukradną nam koszulę, nazajutrz złodziej bez żenady będzie w niej paradował, jeżeli ukradną młotek albo nóż, od razu mogą bezwstydnie ich używać. A kiedy zaprotestujemy, wołając, że to przecież nasze, po prostu wyśmieją nas. Tak mi mówiono.

Zachowywałem czujność i ostrożność, ale podróżnik zawsze jest w pewnej mierze bezbronny. W Tonga obrobili mój pokój hotelowy, kiedy wyszedłem. Natomiast w Samoa nic mi nie zginęło.

**Z Tuli** powiosłowałem do małej, chronionej falochronem wioski 'Au'asi, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście są tam motorówki kursujące na Aunu'u, co miało kosztować dolara. Chciałem wypytać właścicieli motorówek o warunki w cieśninie między Tutuilą a Aunu'u.

Jeden z przewoźników siedział w kucki na pomoście, więc go zapytałem:

– Czy tu jest silny prąd?

Morze wydawało się dość spokojne, ale na rafach i mieliznach rozbijały się mniej więcej metrowe fale. Nie wyglądało to źle, ale morze zawsze jest zagadką.

– *The sea is move* (Morze jest ruch) – odparł przewoźnik.

– To znaczy, *the sea is moving* (morze się rusza). Jest prąd? – dociekałem, ilustrując to odpowiednim gestem.

– *The sea is move* – dobrotliwie powtórzył przewoźnik.

Wymamrotałem to pod nosem.

– *The sea is smooth?* (Morze jest gładkie?) – kombinowałem.

– *Yeh. Is move* (Ta, jest ruch).

Zrobiło się zbyt późno, żeby wypływać, więc wróciłem następnego dnia i złożyłem kajak. Pod palmami w 'Au'asi przysiadło siedmiu chłopaków, roślących i krzepkich nastolatków, którzy najwyraźniej właśnie wyszli albo urwali się ze szkoły. Ta scenka mogłaby być idylliczna – dorodna młodzież w cieniu palm kokosowych na skraju plaży w słoneczny dzień w Samoa. Ale w wybijających trawach walały się śmieci, ogrodzenie było połamane, plaża usłana potłuczonym szkłem, a w płytkiej wodzie zalegały butelki, puszki i wielkie kluchy rozmoczonego papieru. Opodal ujadały psy, nadbrzeżną szosą przejeżdżały przeładowane autobusy, z których dudniła ogłuszająca muzyka, rap albo reggae.

Chłopcy mieli na sobie koszulki z różnymi nadrukami. Na jednej widniał czarny Bart Simpson, który robił obsceniczny gest i mówił: „Pierdolony Bart”, na innej widniał rozzłoszczony kaczor z podpisem „Mam charakter”. Na kolejnej koszulce wypisano: „Hawai'i”, na następnej – co już zupełnie bez sensu – „Samoa: Ludzie morza”. Poza tym kilka dość zwyczajnych, kolorowych i oznaczonych numerami koszulek sportowych.

– Co to jest? Namiot? – zapytał jeden z chłopaków.

Rozkładałem brezentowe poszycie. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, drugi chłopak rzekł:

– Świńska łódź. Gównno.

– To łódka – powiedziałem.

Starąłem się złożyć kajak możliwie szybko, żeby czym prędzej umknąć.

– Jaka łódka? Możesz nas przewieźć?

– To łódź jednoosobowa – rzekłem.

– Nie chce cię przewieźć, ciemniaku.

Krążyli wokół mnie.

– Wracacie ze szkoły? – zapytałem.

– Wracamy z rypania dziewczyny tego dupka.

– Zamknij się, ciemniaku.

Co za chuliganeria. Z politowaniem przypomniałem sobie, że na lotnisku w Pago Pago wręczono mi broszurkę zawierającą dziesiątki zaleceń odnośnie do należytego zachowywania się w Samoa Amerykańskim. Na wstępie wyrażano nadzieję, że goście zadbają o to, aby nikogo nie urazić. „Liczymy na to, że dołożą Państwo wszelkich starań, ażeby wasze zachowanie nie mogło zostać zrozumiane jako wyraz niezadowolenia z gospodarzy”. Następne zdanie wyłuszczało, skąd ta przestroga. „Samoaniecy zarówno z powodów charakterologicznych, jak i kulturowych są niezwykle gościnni i bardzo zależy im na tym, żeby goście byli zadowoleni”.

– Skąd jesteś, mister? – zapytał chłopak w koszulce z napisem „Samoa: Ludzie morza”.

– Ze Stanów. A wy?

Ciekawiło mnie, co odpowiedzą. „Z Samoa Amerykańskiego” czy „z Samoa”, czy „z Tutuili”?

– Ja jestem z Compton – odparł jeden z nich.

Compton to czarna dzielnica Los Angeles, której nazwa pada często w knajackich piosenkach rapowej grupy N.W.A, Niggaz Wit Attitudes (Czarnuchy z Charakterem). Oczywiście zespół ten cieszył się wielką popularnością w Samoa Amerykańskim.

– Naprawdę jesteś z Compton? – zapytałem.

– Kłamie – rzucił inny z chłopaków.

– Ja jestem z Waipahu.

– Czy to nie na Hawajach? – zapytałem.

– Nigdy nie był na Hawajach!

– Ja jestem z Kalifornii, człowieku!

– Kłamie!

I tak się zabawiali, plotąc trzy po trzy, chichocząc, i żaden się nie przyznał, że naprawdę pochodzi z Aunu'u.

– Myślę, że czekacie na łódź na Aunu'u – powiedziałem. – Czym się tam zajmujecie?

– Zabijamy ludzi! – warknął ten w koszulce z napisem „Pierdolony Bart”.

– No, zarzynamy!

Niezdolne bękarty, westchnąłem w duchu.



– Jesteście bardzo niegrzeczni w stosunku do mnie – powiedziałem. – Uważacie, że to zabawne?

Milczeli przez chwilę, a potem jeden dźgnął palcem kolegę.

– On tak uważa!

Dręczenie osoby niemającej rodziny rzeczywiście zakrawało na najświętszy zwyczaj na tych wyspach. Osobę samotną, przyjezdną, obcą odruchowo piętnowano w społeczeństwie, gdzie człowiek pozbawiony rodziny jest nikim. Kto wie, czy nie właśnie dlatego ludzie ci osiągnęli tak mało zarówno u siebie, jak i za granicą. Boją się wyróżnić. To najżałośniejsi konformiści na całym Pacyfiku, a tym samym i najgorsi brutale terroryzujący odmieńców. Kimże byłem w oczach tych chłopaków? Ot, podstarzały dziwak składający na plaży jakiś osobliwy sprzęt, którego nawet nie rozpoznali jako łódki. Szydzili ze mnie, bo byłem obcy, i szydzili dlatego, że byłem sam, a ich kilku. Żaden nie ośmieliłby się stawić mi czoła w pojedynkę, chyba że naszłaby go samońska przypadłość zwana *musu*, rodzaj agresywnego szaleństwa, jakie ogarnia samońskich mężczyzn. Samończyk dotknięty *musu* to tykająca bomba zegarowa i lepiej schodzić mu z drogi.

Kiedy złożyłem kajak, jeden z chłopaków podszedł do mnie i rzekł niemal rozkazująco:

– Dasz się przejechać.

– Nie sądzę – odparłem.

– Dokąd jedziesz? – zapytał drugi.

– A, w tamtą stronę.

– Na wyspę?

– Może. Mieszkacie tam?

– Ja mieszkam na Hawajach. Ha, ha, ha!

– Bardzo z was zabawne chłopaki – powiedziałem i odwróciłem się do nich plecami.

W pobliżu siedziało kilka starszych osób, które również czekały na łódź na Aunu'u, grube kobiety i grubi mężczyźni, w sumie ośmioro lub dziewięcioro. Słyszeli szyderstwa chłopaków, ale nie reagowali. Wydawali się zgrzani, znudzeni i rozdrażnieni. Mieli pakunki z żywnością, a gdy podchodzili do

brzegu, żeby sprawdzić, czy nie widać statku, pod ich stopami chrzęściły stare, zdeptane puszki po napojach.

Postanowiłem, że nie ruszę się z plaży, póki są tam te chłopaczyska, ponieważ obawiałem się, że gdybym zniknął, ci wykolejeńcy natychmiast włamałoby się do mojego samochodu. Motorówki przyływały i odpływały. Chłopcy nie ruszali się z plaży. Zastanawiałem się, co robić. Słońce prażyło, więc posmarowałem się balsamem do opalania.

– Co to za środek?

– Zapobiega oparzeniu słonecznemu – odparłem. Wiedziałem, że ignorowanie ich głupich pytań obróciłoby się przeciwko mnie, bo moje milczenie uznaliby za zwycięstwo i oznakę irytacji.

– Wygląda jak sperma – zauważył któryś.

– Wysmarował się spermą.

– Czy to śmieszne? – zapytałem.

– Masz gębę wysmarowaną spermą.

– Po co mówisz takie rzeczy? – zapytałem spokojnie, jak gdybym prosił o informację.

Chłopak śmiał się ze mnie, ale nie dałem się wyprowadzić z równowagi, nadal mówiłem do niego spokojnie, a w końcu zapytałem:

– Jak się nazywasz?

– M. C. Hammer.

No tak, znowu szczeniacka zaczepka, znowu nazwisko z rapowego parnasu.

Sytuacja tyleż przykra, ile śmieszna, ale nie należy sądzić, że możliwa gdziekolwiek indziej w Oceanii. Zwiedziłem wystarczająco wiele wysp Pacyfiku, żeby ręczyć, iż coś takiego przydarzyć się może tylko w Samoa Amerykańskim. Ci chłopcy wydawali się okrutnikami, leniwymi chamami, którzy nikogo nie szanują. Czy to się zmieni, gdy dorosną? Trudno powiedzieć. Być może jak tyłu innych tylko czekali na okazję, żeby wyjechać do Honolulu lub do Los Angeles, dołączyć do stutysięcznej armii emigrantów z kraju, którego kultura obumarła.

W końcu wsiedli na motorówkę i odpłynęli, nie przestawszy rechotać szyderczo, a ja pomyślałem, że prostacy, z którymi się stykałem w Samoa Zachodnim, to przy nich osoby dystygowane.

Płynąc na Aunu'u, wspominałem znowu ową wręczoną mi na lotnisku broszurę z poradami na temat odpowiedniego zachowania się w Samoa.

- Bawiąc w samońskim domu, nie należy rozmawiać na stojąco.
- Siedząc, nie należy wyciągać przed siebie nóg.
- Nie należy nosić parasola w pobliżu domu.
- Nie należy przejeżdżać przez wioskę w trakcie zebrania wodzów.
- Nie należy jeść podczas spaceru [odnosiłem wrażenie, iż Samończycy odżywiają się głównie w ten sposób, pozerając zwłaszcza ogromne pączki z dżemem].
- Samończycy są głęboko religijni, wypada modlić się i śpiewać z nimi.
- Nie należy nosić kwiecistych ubrań w kościele.
- Pijąc kawę, należy trzymać miseczkę przed sobą i powiedzieć: *manuia* [porada ta powinna zaczynać się od słów: „pijąc coca-cole”, bo właśnie ta czynność wydawała się już filarem tamtejszej kultury].
- W wiosce lub w mieście nie wypada chodzić w bikini ani w szortach.
- Należy poprosić o pozwolenie, zanim zrobi się zdjęcie lub zacznie zbierać kwiaty.
- W niedziele należy zachowywać się szczególnie cicho.

I tak dalej, i dalej. W pewnym sensie to kapitalne, że owo chamskie społeczeństwo tak dbało o etykietę gości i najwyraźniej o byle co się obrażało.

No nie – myślałem sobie – istna komedia.

Wiosłowałem dzielnie ku wystającemu z morza niedużemu, niskiemu kraterowi. Wypływając na otwarte wody, zawsze pilnie baczyłem, czy prąd nie znosi mnie w błękitny przestwór *moana* (oceanu). Zostawiłem za sobą bezpieczne wody laguny i przez przesmyk w rafie wypłynąłem w cieśninę oddzielającą dużą i wyniosłą Tutuilę od małej i zielonej Aunu'u.

Pogoda doskonała. W takie dni pływałem z lekkim sercem, bo nawet gdybym popadł w tarapaty, miałbym dość czasu, żeby się wykaraskać – albo wiosłując mocno do brzegu, albo wystrzeliwując flary. Tymczasem jednak rejs na Aunu'u wydawał się miłą przejażdżką i podczas gdy ślizgałem się po grzbietach fal ku wyspie, gratulowałem sobie w duchu, że w tej cokolwiek zdegenerowanej krainie udało mi się znaleźć miejsce na taką fajną wycieczkę.

A jak bym wyglądał bez kajaka? Zdany na łaskę złośliwych i niechętnych obcym wyspiarzy, którzy – co gorsza – nie cierpią łodzi. Zdumiewająco wielka liczba mieszkańców Samoa Amerykańskiego jeżeli nie brzydziła się morzem, to w każdym razie go nie lubiła i trzymała się z dala od niego. Cóż za pech, że przyszło im mieszkać na skrawku lądu na oceanie.

Trzymałem kurs na niski biały budynek na wyspie, a kiedy podpłynąłem bliżej, dostrzegłem dwa falochrony. Łódź motorowa właśnie opuszczała ten akwen i to utwierdziło mnie w przekonaniu, że obrałem dobry kierunek. Po dwudziestu minutach dotarłem do wejścia do wąskiego portu, w którym pływało i nurkowało z dziesięciu chłopców. Skakali z niedużego kamiennego moła. Trzech natychmiast wskoczyło do wody, podpłynęli do mnie i próbowali wywrócić kajak.

„Samoaniecy zarówno z powodów charakterologicznych, jak i kulturowych są niezwykle gościnni i bardzo zależy im na tym, żeby goście byli zadowoleni”, pisano w broszurce przeznaczony dla turystów. Może to i prawda w odniesieniu do mieszkańców niektórych wiosek lub postawy starszych i wodzów, ale ja nie miałem szczęścia zaznać owej gościnności w Samoa Amerykańskim. Spotykałem się jedynie z szyderstwem i wrogością bez widomego powodu.

– Odsuńcie się – powiedziałem. – Puśćcie kajak.

Śniade ręce macały poszycie i chwyciły za liny.

– Spieprzajcie! – ryknąłem.

Podziałało. Chlupocząc, popłynęli z powrotem na moła. Ale to nie koniec moich kłopotów. Nabrzeże okazało się zbyt wysokie, żeby wylądować. Mógłbym przycumować kajak i wspiąć się po swego rodzaju trapie, ale tym samym wydałbym łódkę na pastwę ciekawskich i rozwrzeszczanych dzieciaków, a także grupki sterczących na moła dorosłych.

Z cumującej przy moła łodzi rozładowywano orzechy kokosowe. Zapytałem jednego z mężczyzn, do czego używają kokosów.

– Do *palusami* – odparł.

Fakt, że nadal gotowano owo tradycyjne danie z liści taro i śmietanki kokosowej, świadczył o tym, że ci wyspiarze nie zeszli jeszcze całkiem na psy i zachowali dozę dobrego smaku i kultury. Podniosło mnie to na duchu, zaciekawiło i zachęciło do poszukiwania miejsca, w którym mógłbym wylądować.

Miałem porządną mapę żeglarską całego wybrzeża Samoa Amerykańskiego, na której szczegółowo ukazano wszystkie cyple i zatoczki wysepki Aunu'u. Cofnąłem się za linię grzywaczy, a potem powiosłowałem

w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, mijając wrak statku, następną plażę, rafę. Brzegi okazywały się jednak zbyt strome, żeby lądować. Ot, zwały bladej pokruszonej skały koralowej, w które z łoskotem tłukły fale. Potrzebowałem stosunkowo równej i łagodnie opadającej ku morzu plaży.

Na wschodnim wybrzeżu wysepki natrafiłem na zatoczkę Ma'ama'a, gdzie miałem nadzieję wylądować. Właśnie zamierzałem do niej wpłynąć, gdy dosłownie w ostatniej chwili spostrzegłem wysoką falę, która przetoczyła się po zatoczce i rozbiła o skalisty brzeg. Powiosłowałem więc dalej.

Blisko północno-wschodniego wybrzeża Aunu'u jest jezioro i lotne piaski, a w każdym razie tak mi mówiono. Płynąłem ku tej części wysepki, cały czas wypatrując miejsca dogodnego do lądowania. Zbliżałem się do następnej rafy, gdzie znowu przełamywały się wysokie fale, ale uznałem, że zdołam się pomiędzy nie wcisnąć. Po wylądowaniu wyskoczyłem na plażę i umknąłem przed falą, która przetoczyłaby się nad kajakiem.

Dziwny kraj. Z jednej strony podejrzliwość, rozwydrzone młokosy i niezdrowe tanie żarcie, z drugiej zaś podstępne morze. Ale na tym właśnie polega paradoks Samoa, że to piękne wulkaniczne wyspy na niespokojnym i najeżonym rafami morzu, podbite przez podłe amerykańskie jedzenie i popkulturę.

Z uroczej wysepki Aunu'u roztacza się widok na Tutuilę i jej wschodni cypel, przylądek Mata'ula. No i jest to jeden z najmilszych zakątków Samoa Amerykańskiego, albowiem nie ma tam samochodów, salonów gier automatycznych, barów szybkiej obsługi, pralni mechanicznych ani restauracji sprzedających dania na wynos. Aunu'u podobnie jak inne pomniejsze wysepki w Oceanii jest swego rodzaju rezerwatem, gdzie czas się zatrzymał. Zważywszy na kondycję reszty Samoa Amerykańskiego, zakrawało to na istny cud.

Ukryłem kajak w zaroślach i poszedłem nad jezioro Pala, żeby zobaczyć ruchome piaski. Natychmiast zauważyłem rude muliste i połyskujące w słońcu łachy piachu, które pokrywały całą powierzchnię jeziora. Ale skąd mogłem wiedzieć, że to naprawdę ruchome piaski? Czytałem, że myśliwi polujący na kaczki pływają w ruchomych piaskach, kładąc się na plecach. Właśnie opowieści o ruchomych piaskach rozbudziły moją wyobraźnię, kiedy miałem

dziesięć lat i zacząłem marzyć o podróżach w dalekie kraje. Czułem trwoźną fascynację, wyobrażając sobie, że oto powolutku pochłaniają mnie i duszą bezdenne piaski o konsystencji zimnej owsianki.

Oczywiście pamiętałem, że przybysz powinien poprosić o pozwolenie na biwakowanie. Miejscowi strzegą ziemi i przeganiają dzikich lokatorów, obawiając się, że jak się rozgoszczą, to nigdy nie odjadą. Mimo to postanowiłem nie zdradzać swojego przybycia. Chciałem działać na własną rękę, a wiedziałem, że gdybym poprosił o pozwolenie na biwakowanie, to albo by mnie zmuszono do zamieszkania w *fale* jakiejś wścibskiej i przytłaczającej rodziny, albo wzbudzałbym niezdrową ciekawość swoim obozowiskiem, narażając się na to, że zostanę obrabowany.

Rozejrzałem się po okolicy, szukając miejsca na obóz, i przed zmierzchem znalazłem polanę w zagajniku, gdzie szybko rozbiłem namiot. Nie kłopotalem się parzeniem herbaty. Nie rozpałem kuchenki. Zjadłem sardynki z chlebem, słuchałem BBC i nie zapaliłem latarki. W ciemności wpełzłem do namiotu, w którym spędziłem niespokojną noc, bo często budziłem się targany obawami, że zostanę wykryty i że ukradną mi kajak. Co więcej, martwiłem się o samochód zostawiony na Tutuili. Koszmarny aspekt Samoa Amerykańskiego polegał na tym, że nigdy nie byłem pewny, czy jestem w Samoa, czy w Ameryce.

O świcie wyszedłem z namiotu i sprawdziłem, co dzieje się z łódką. Kajak leżał nienaruszony tam, gdzie go ukryłem, ale zobaczyła mnie kobieta przechodząca plażę. Przywitała mnie, a ja odwzajemniłem pozdrowienie.

– Jak się pan tu dostał? – zapytała.

– Łodzią – odrzekłem wymijająco i żeby zmienić temat, zapytałem, co znaczy nazwa wyspy.

– Ja nie wie – powiedziała kobieta ze śmiechem i poszła swoją drogą.

Wróciwszy do obozowiska, spakowałem ekwipunek i ukryłem go, żeby nie kusić losu, a potem poszedłem okrężną drogą na mokradła i nad zatoczkę, w której widziałem rozbijający się o skały wysoki przybój. Z brzegu wyglądało to o wiele bardziej zabójczo niż z perspektywy grzbietów fal.

Spędziłem dzień na kąpieli w morzu, a później poszedłem do wioski, mając nadzieję, że nie spotkam urwisów, którzy mnie tak zirytowali poprzedniego

dnia. Starsi zachowywali się grzecznie, ale dzieci nadal załaziły mi za skórę, jak gdyby uważały, że muszą okazać, iż mają mnie w nosie. Czułem się cudownie w miejscu bez samochodów, lecz wiedziałem, że większość dorosłych i wszystkie dzieci w wieku szkolnym jeżdżą codziennie na Tutuilę. Po południu, kiedy wracałem kajakiem przez cieśninę na Tutuilę, odczuwałem zarazem uniesienie na widok wspaniałych pejzaży południowego wybrzeża wyspy i przygnębienie na myśl o pieskiej nowoczesności tego już najwyraźniej zdemoralizowanego społeczeństwa.

Nazajutrz w Leone – drugim mieście na Tutuili, gdzie też mają centrum handlowe, szkołę i supermarkety – spotkałem kobietę, która odwiedzała rodzinę. Na stałe mieszkała w Las Vegas. Półkrwi Samoanka, wydawała się zmordowana, ale nie stara.

– Uwielbiam Las Vegas – oświadczyła. Wyspiarka na pustyni. Jej deklaracja zabrzmiała niewiarygodnie w moich uszach i powiedziałem jej o tym.

– Tęsknię za Las Vegas – rzekła.

Tego samego dnia w trakcie strzyżenia zapytałem fryzjera, skąd pochodzi.

– Z Samoa Zachodniego – odpowiedział. – Ale żona jest stąd.

Jego dwoje dzieci miało paszporty amerykańskie. Stwierdził, że prawie na pewno wyjadą do Stanów Zjednoczonych, on zaś pragnie wrócić do rodzinnej wioski na Savai’i. Samoa Amerykańskie zakrawało na dogodny statek, na który wsiadano, żeby gonić za marzeniami.

– Nie chcę, żeby tutaj zostały – dodał fryzjer. Był bardzo grzeczny, a sądzę, że nie ubrał w słowa jeszcze jednej myśli, którą żywił w odniesieniu do swoich dzieci, a mianowicie, że w Samoa Zachodnim nic dobrego ich nie czeka.

Podróżnik przybywający do Samoa najbardziej obawia się *musu*, czyli swego rodzaju agresywnej manii, która zamienia samońskich mężczyzn w bestie. Podobno widać to w oczach, a jeżeli Samończyk zachowuje się jak użądłony w nos niedźwiedź, to znaczy, że dopadło go *musu*. Bacząc, czy nie dostrzegę oznak tego szaleństwa, zachowywałem w Samoa aż przesadną ostrożność, ale gdy krótko przed odjazdem przysiadłem, żeby podsumować wrażenia, uzmysłowiłem sobie o dziwo, iż większość Samończyków na

każdej z wysp okazywała mi życzliwość, wielkoduszność i uczynność. Zawstydzilem się swym zrządzeniem i wytykaniem mieszkańcom wysp tuszy. Należą do rasy gigantów o wielkich plaskających stopach, a kiedy idą, ich ocierające się o siebie uda wydają odgłos słyszalny z odległości kilku metrów. Jedyne wnioski, jakie mi się nasuwały, głosi, że kiedy Samoanin jest dobry, to aż do rany przyłóż, a jeżeli jest zły, to zaiste potworny. Na ogół jednak są obojętni.

Właśnie w trakcie mojego pobytu w Samoa Amerykańskim nasze wojska wyparły ostatnich Irakijczyków z przedmieść i tryumfalnie przedefilowały przez miasto Kuwejt. Samoanin gazety doniosły o tym na pierwszych stronach, ale ludzie nie rozmawiali na ten temat, nie wyczuwało się atmosfery święta ani nawet zainteresowania. Obyło się bez powiewania flagami, czy należy się jednak temu dziwić?

Samoa Amerykańskie nie jest bytem politycznym. Jest zjawiskiem społecznym – uratowaną sierotą, otyłym, nieporadnym dzieckiem, które adoptowaliśmy. Przystaje to idealnie do *fa'a Samoa*, samoanin stylu życia i ideału rodziny, która dba o każdego ze swoich członków. Jeżeli ktoś nie ma rodziny, to ją znajdzie. Poznałem wielu cudzoziemców, którzy związali się z samoanin rodziną i ze szczerym oddaniem wspierali wszystkich pociotków. Samoanin są bardzo gościnni, póki gość płaci swoje rachunki. Przesiadują nad zaśmieconą laguną, chłodzą wielkie brzuchy i jedzą.

Samoa weszło do rodziny amerykańskiej i jest z tego zadowolone. Samoanin nie okazują wprawdzie wielkiej wdzięczności ani entuzjazmu z tego powodu, ale też nie narzekają. Nasz młodszy śniady brat zostanie z nami dopóty, dopóki będziemy go karmić i płacić za jego przyjemności.



## rozdział\_osemnasty\_

### Tahiti: zaciszny brzeg wyspy miłości

**Pewnego** dnia 1768 roku półnaga młoda Tahitanka wspięła się ze swojego kanu na pokład francuskiego okrętu na oczach pożerających ją wzrokiem czterystu marynarzy, którzy od przeszło pół roku nie widzieli kobiety. Weszła po schodkach na podwyższenie za głównym masztem, gdzie przystanąwszy przy luku, zdjęła cieniutkie pareo owinięte wokół bioder i stanęła goła tak, jak ją Pan Bóg stworzył, patrząc z uśmiechem na mężczyzn. Kotwica poszła w dół i właśnie w tej chwili zrodził się mit romantycznego Tahiti, raju drzew owocowych, śniadych biustów i niewinnego porno. Kapitan okrętu Louis Antoine de Bougainville, pierwszy Francuz, który dotarł na Tahiti, porównał tę nagą dziewczynę do Wenus rodzącej się z morskich fal i uwierzył, że odkrył niebo na ziemi, siedzibę Wenery, wyspę miłości. „Wydało mi się, że w cudowny sposób przeniesiono mnie oto do rajskiego ogrodu”, pisał.

Ja też przeżyłem na Tahiti podobną przygodę, w której swój udział miały nagość, laguna, pożądliwe spojrzenie i kanu z bocznym pływakiem, tyle że nagłość i zabarwienie tego wydarzenia były bardziej nowoczesne i wyrażały ducha współczesnego Tahiti. No i to mnie przypadła rola postaci w kanu.

Po dniu wążsania się ulicami Papeete, stolicy Tahiti, wynająłem u pewnego Francuza kanu z pływakiem bocznym, które ów armator nazwał *petite pirogue*, i powiosłowałem na jeden dzień na Tahiti-Iti, czyli Małe Tahiti – wulkaniczną mniejszą wyspę uczeponą wschodniego wybrzeża głównej wyspy. Tradycyjna nazwa Tahiti brzmi *Tahiti-nui-i-te-vai-uri-rau*, co znaczy „Wielkie Tahiti Wielobarwnych Wód”.

Nad wyraz trafna to nazwa. Laguna u stóp wygasłych wulkanów Tahiti jest bowiem świetlistym migoczącym błękitem zgoła niepodobnym do morskich wód, pełnym opalizujących głębi, a także płycizn na koralowych półkach skał białych i obłych niczym kości, gdzie roi się od ryb. Wody Tahiti są przejrzyste

i zdumiewająco jaskrawe, niczym jagodowe likiery o cukierkowych barwach, kordiały wyglądające tak ożywczo w przysadzistych butelkach na barowej półce, że sam ich widok orzeźwia i gasi pragnienie. Powierzchnia laguny Tahiti migocze brokatem refleksów światła słonecznego. Jakies dwa kilometry od brzegu piętrzy się wał rafy okalającej wyspę kryzą spienionego przyboju, który jest tak potężny, że jego huk niesie się niczym granie haubic.

Tahiti ma swoje wady – jest drogie, zakorkowane, hałaśliwe, skorumpowane i sfrancuziałe – ale nie sposób zlekceważyć jego naturalnego piękna ani tego, że pomimo samochodowych spalin w powietrzu zawsze się unosi upojna woń – *noa noa*. Tak pachną kwiaty, a zwłaszcza *tiare*, czyli drobna biała gardenia będąca narodowym kwiatem Tahiti. Goście wszakże mają mnóstwo powodów do narzekań. Tamtego dnia rano w pojeździe publicznym, który zwą *le truck*, a który jest zabawną hybrydą ciężarówki i szkolnego autobusu (a i jedyną okazją handlową na Tahiti), nawiązałem rozmowę z facetem z Marylandu. Nazywał się Don Kattwinkel, jak przeczytałem na identyfikatorze z napisem „Poznajmy się”, który miał przypięty na piersi, i niewątpliwie kolekcjonował egzotyczne rękodzieło, jak odgadłem na podstawie rzeźbionej pałki i nożyka do otwierania poczty, które miał w ręku. Bawił na trzydniowej wycieczce, wczoraj wylądował w porcie lotniczym Faa’a, dzień naszego spotkania spędzał na Tahiti, a nazajutrz odlatywał do Nowej Zelandii. Postanowił mnie oświecić w kwestii Tahiti.

– W ogóle się tutaj nie uśmiechają – oznajmił. – No i nie można pić wody.

Mruknąłem nieśmiało, że tylko po części ma rację, bo przecież miejscowi uśmiechają się do siebie nawzajem, chociaż nie do nas, no i piją przegotowaną wodę.

Nie zwrócił uwagi na moje zastrzeżenie.

– Brzmi pan zupełnie jak Australijczyk – zawyrokował.

Miałem na końcu języka, że ludzie ginęli za mniejsze obelgi.

– Na pewno nie jest pan z Massachusetts – ciągnął. – Znam ten akcent.

Z rozbawieniem wspominałem tego pryka, wiosłując w kanu. Nie ma jak spotkać takiego typu, żeby się nie nudzić. W tamtym czasie Polinezyjska Izba Turystyczna prowadziła kampanię pod hasłem „Uśmiech jest dobry na wszystko!”, zachęcając Polinezyjczyków do uśmiechania się do turystów,

głównie Japończyków, którzy też się nie uśmiechali. Chociaż nie wiem, czy istnieje japoński uśmiech, który nie wygląda jak grymas bólu.

Do południa opłynąłem połowę tej części wyspy i zbliżałem się do wioski Atimaono. Nie było to jakieś wspaniałe miejsce, ale stanowiło tło jednego z arcydzieł Jacka Londona, a mianowicie opowiadania *Chińczak*. W opowieści tej chińscy robotnicy zostają oskarżeni o zabójstwo, a chociaż nie popełnili tej zbrodni, francuski sędzia uznaje ich za winnych i skazuje jednego z nich, Ah-Czou, na szubienicę. Drugi, Ah-Czo, dostaje wyrok dwudziestu lat kolonii karnej, ale pewnego ranka zabierają go z więzienia do Atimaono, mówiąc, że zostanie ścięty. Domyśla się, że z powodu podobieństwa nazwisk pomyłono go z Ah-Czou, tłumaczy to żandarmom, ale bez skutku. W końcu, kiedy błaga o oszczędzenie go i dowodzi, że nie jest tym skazanym na karę śmierci, dają mu wiarę. Mimo to urzędnicy francuscy się naradzają. Przebyli szmat drogi z Papeete. Gilotyna jest przygotowana. Jeżeli odroczą wykonanie kary do chwili doprowadzenia odpowiedniego skazańca, niechybnie zostaną zrugani przez zwierzchników za nieskuteczność i marnowanie czasu. Ponadto jest gorąco i są niecierpliwi.

Ah-Czo słucha i patrzy.

W końcu jeden z żandarmów, chociaż doskonale wiedzą, że mają nie tego człowieka, mówi:

– No, to skończmy z tym. Nic nam nie mogą zarzucić. Któż odróżni jednego Chińczaka od drugiego? Możemy powiedzieć po prostu, żeśmy wykonali wyrok na Chińczaku, którego nam dostawiono<sup>[52]</sup>.

I właśnie tak postąpili. Przywiązali do łoża gilotyny ciągle starającego się tłumaczyć pomyłkę Chińczyka i ścięli mu głowę.

„Pozbawieni instynktu kolonizacyjnego Francuzi”<sup>[53]</sup> – pisał London w którymś miejscu tego opowiadania i bodaj to jest morał tej posępnej historii.

Godzinę drogi za Atimaono leży Port Phaeton. W pięknym ogrodzie nad morzem stało Muzeum Gauguina, ale wbrew nazwie nie mieli w nim malowideł Gauguina, lecz tylko miejscowe rzeźby *tiki* o upiornie wykrzywionych obliczach. Kawalek dalej znajduje się wioska Papeari, ciesząca się sławą pierwszej osady wędrowców morskich, którzy przed

wiekami zasiedlili Tahiti. Zaraz za Papeari zaczyna się ta część wyspy, która niczym ściśnięta gorsetem talia łączy Wielkie Tahiti z Małym Tahiti. Ale wszystko to wyglądało jak przedmieście.

Zaskakująca i przykra okoliczność polegała na tym, że na Tahiti naprawdę trudno skorzystać z plaży. Te publiczne odstraszały brudem, a pozostałe znajdowały się w rękach prywatnych. Oglądane z perspektywy laguny wybrzeże tahitańskie jawiło się jako ciąg parterowych i piętrowych willi, niczym długaśne przedmieście okalające całą wyspę. Ogłupieni dotacjami i osaczani przez francuskie firmy budowlane Polinezyjczycy zarzucili tradycyjne budownictwo. Na wybrzeżu wznoszono domy nie dość, że brzydkie, to jeszcze gęsto upakowane i ogradzane drucianą siatką, murem albo wysokim żywopłotem. Przed bramami willi Tahitańczyków stały tablice z niewymagającym przekładu napisem „Tabu”, a willi Francuzów strzegły kamery systemu monitoringu i tablice oznajmiające „*Attention! Chien Méchant!*” (Uwaga, zły pies!).

Wcześniej tamtego dnia przepływałem opodal Punaauia, gdzie ujrzałem dwie *fare*, czyli tradycyjne chaty, jakich niewiele zostało w Polinezji. Tak mnie zaciękały, że wylądowałem i dowiedziałem się, że te chaty na skraju plaży w Punaauia należą do Szweda Bengta Danielssona, który brał udział w wyprawie tratwą Kon-Tiki, a potem, przed czterdziestu laty, osiadł w Polinezji. W książce będącej relacją z wyprawy Kon-Tiki Thor Heyerdahl stwierdził: „Bengt miał rację – byliśmy w niebie”<sup>[54]</sup>. Danielsson wrócił na stałe do Polinezji.

– *Monsieur* Danielsson spędza wakacje w Szwecji – powiedziała Tahitanka na trawniku przed chatą.

Żałowałem, że się z nim rozminąłem, ponieważ Danielsson wspólnie z żoną Marie-Thérèse, z pochodzenia Francuzką, prowadził odważną kampanię przeciwko francuskim próbom nuklearnym na Pacyfiku i w tej małej i przeżartej kumoterstwem kolonii wzbudzał strach, wobec czego izolowano go i szykanowano. Mimo to nie przestawał powtarzać światu, że Francuzi ciągle detonują ładunki nuklearne – w sumie już sto sześćdziesiąt – w jednym z najbardziej kruchych ekosystemów na świecie, w atolu koralowym, który

dosłownie rozwalają w proch i pył eksplozjami atomowymi, zabijając przy tym ryby i powodując raka u ludzi.

W gruncie rzeczy wcale nie musiałem wypytywać Danielssona o opinie na temat francuskiego kolonializmu, bo nawet krótki wypad do któregośkolwiek terytorium francuskiego na Pacyfiku przekona każdego, że Francuzi należą do najbardziej samolubnych, pokrętnych, przyziemnych, ohydnych i cynicznych narodów na świecie.

„*Et c'est vous qui parlez!*” – zaripostowałby Francuz. „I kto to mówi!”

To prawda, że Ameryka w pewnym sensie zniweczyła swoją część Samoa, zamieniając je w państwo opiekuńcze, ale Samończycy mogą podróżować swobodnie do Stanów Zjednoczonych, gdzie robią karierę albo przegrywają, zależnie od zdolności. Nie czerpiemy żadnych zysków z faktu władania Samoa. Natomiast Francuzi okropnie eksploatują Polinezję. Potrzebują jej jako pośredniej bazy dla globalnych linii lotniczych, potrzebują jej jako zamorskiego garnizonu i potrzebują jej – co przynosi im największe zyski – jako poligonu doświadczalnego dla przemysłu zbrojeniowego. To najzupełniej klasyczna kolonia oparta na wyzysku. Francuzi są całkowicie wyzuci z idealizmu.

Znikoma liczba Polinezyjczyków dociera do metropolitalnej Francji i zdobywa kwalifikacje lekarza lub urzędnika. Francuzi rządzą w tym cyrku. Ale protekcyjny rasizm wrośnięty w kolonialną politykę Francuzów wbrew ich oczekiwaniom wcale nie podkopuje morale krajowców. Od początku obecności w Polinezji Francuzi konsekwentnie dyskryminują Polinezyjczyków. W latach sześćdziesiątych zarządzili, że Polinezyjczycy i Chińczycy mają przybierać francuskie nazwiska, aby ułatwić pracę urzędnikom kolonialnym. W ten sposób Francuzi zamienili większość życzliwych krajowców w zaciekłych wrogów, a znikomy ich procent w fagasów. A chociaż Polinezyjczycy stracili lwią część tradycyjnych umiejętności, takich jak sztuka wyplatania mat, budowania domów, żeglowania i łowienia ryb, to zachowali tradycję ustną. To bardzo dobrze, bo nikt nie potrzebuje własnej kultury bardziej niż ludy podbite. Cóż im bowiem zostało?

Polinezyjczycy podlizują się Francuzom, więc Francuzi wierzą, iż przekabacili wyspiarzy. Ale w rzeczywistości tylko ukręcili na siebie bicz.

Namawiając krajowców do zachowania „barwności”, odizolowali się. W obliczu ludzi, których uważają za dzikusów, wychodzi na jaw całe mieszczaństwo i sentymentalizm Francuzów, a właśnie sentymentalizm jest ukrytą cechą każdego tyra i brutalą.

Uczciwość wymagałaby ujmowania Tahiti w szerszym kontekście francuskiej Polinezji jako przygnębiającego problemu politycznego, ponieważ Tahiti jest kolonią francuską od stu pięćdziesięciu lat. Wszystko inne powinniśmy uważać za nieistotne, bo i jakie znaczenie w tej sytuacji ma to, czy plaże są ładne, jedzenie smaczne, hotele wygodne lub czy muzyka wpada w ucho? Sam fakt, że polityka jest istotna na wyspach Pacyfiku, wydaje się dziwny. Na innych wyspach ludzie właściwie w ogóle nie interesują się polityką i tylko w Polinezji Francuskiej istnieje sytuacja, którą należy uważać za polityczną. Kolonie mają to do siebie, że jeżeli nie uda się zmanipulować lub zneutralizować życia politycznego, to kraj nie działa.

Ale to wszystko takie nudne. Mieszkańców wysp Pacyfiku lubię zwłaszcza za to, że mają w nosie polityków. Podziwiam ich umiłowanie rodziny, zmysł praktyczny i obojętność wobec wydarzeń światowych. Żyją poza głównym nurtem, po drugiej stronie świata – jaśniejszej i szczęśliwszej. W oczach tych, którzy mają telewizję, operacja Pustynna Burza jawiła się jako swego rodzaju film akcji. Ta postawa wypływa bodaj ze zdrowego połączenia mądrości z prostactwem i z zamiłowaniem do sensacji. Lecz cóż, wszyscy leniwczy świata są tacy sami.

W duszy Polinezyjczyka zawsze walczą ze sobą sprzeczne motywy. Ludzie ci sprawiają, że czujemy się u nich jak w domu, a potem nas okradną. Jeżeli potępimy ich za to, powiedzą, że nie powinniśmy brać tego do siebie, a skoro nas tak to dotknęło, to najpewniej nas nie stać na pobyt u nich, więc powinniśmy siedzieć w domu. Polityka kolonialna dodatkowo komplikuje sprawę. Co prawda Francuzi postawili sądy i szkoły, ale te instytucje są o wiele bardziej potrzebne im niż Tahitańczykom. Tak, trudno się było opędnąć od myśli, że szkoda, iż Francuzi nie są delikatniejsi, bardziej wielkoduszni i mniej skłonni do tych nieszczęsnych prób nuklearnych. Twierdzą, że muszą to robić w imię utrzymania pokoju na świecie, ale to oczywiście bujda na resorach, zwykłe *merde*. Prawdziwy powód polega na tym, że francuski

przemysł zbrojeniowy – trzeci na świecie pod względem wielkości – na obecnym etapie rozwoju potrzebuje testów nuklearnych.

Przepłynąłem obok krytych podwójną strzechą *fare* Bengta Danielssona.

Zmagając się z pasatem, który nigdy nie przestaje dmuchać w Polinezji, trzymałem się w obrębie rafy i napawałem widokiem pięknej wyspy Moorei, której wysokie i urwiste góry rysowały się na bezchmurnym niebie. Według miejscowych podań te góry są płetwą grzbietową wielkiej ryby, ale w moich oczach Moorea wyglądała raczej jak morski smok przemierzający cieśninę zwaną Morzem Księżycowym.

Właśnie wtedy, patrząc spod zmrużonych powiek w blask oceanicznego bezchmurnego popołudnia – padające ukośnie promienie słoneczne niemal mnie oślepiały – ujrzałem małą tratwę chybotającą się niebezpiecznie blisko rafy. Zdało mi się przy tym, że widzę ciemne plamki na tej tratwie – bodaj ludzkie postaci – ale zdumiewałem się, po cóż ktokolwiek miałby się wyprawiać tratwą w takie miejsce. Jeżeli ta tratwa po prostu dryfuje, przybój niechybnie roztrzaska ją o skały. Nie dostrzegłem masztu ani żagla, ani nikogo, kto by wiosłował. Pomyślałem, że tratwa spadła z jakiegoś statku i przypadkiem prześlizgnęła się przez przesmyk w rafie. Z brzegu niewątpliwie była niewidoczna. Ja dostrzegłem ją tylko dlatego, że płynąłem morskim kanu blisko linii rafy.

Słyszysz się czasem opowieści o rozbitkach, którzy się uratowali dzięki lichej tratwie, choćby o ludziach, których kosztowny jacht został zatopiony przez orkę, po czym pełni wzajemnych pretensji rozbitkowie przez długie dni albo tygodnie dryfują na tratwie skleconej z resztek łodzi, modląc się o ratunek, aż pewnego słonecznego ranka widzą, że litościwe morze zaniósło ich w pobliże plaży, na której całe rodziny beztroskich urlopowiczów bawią się piłką plażową, a owa tratwa wygląda tak, jak gdyby zjawiła się prosto z kart powieści Poego pod tytułem *Przygody Artura Gordona Pyma*, i wszyscy od razu ze zgrozą widzą, że ocalali rozbitkowie uratowali się tylko dzięki prawdziwie nieludzkiemu potraktowaniu innych, a kości i strzępy mięsa są niezaprzeczalnym dowodem kanibalizmu. „Tato, co się stało tym ludziom?” Kto wie, może to jedna z takich tratw?

Zabrałem się ostrzej do wiosła, przybliżałem się do tratwy i wyraźnie widziałem, że na pokładzie są tylko dwie osoby. Podekscytowany pomyślałem, że być może jestem pierwszym świadkiem przybycia zdesperowanych rozbitków na Tahiti i pierwszy usłyszę opowieść o ich strasznej próbie. Cóż za wspaniała gratka dla pisarza, który pragnie opisać tę wyspę, gdzie zazwyczaj nic szczególnego się nie dzieje.

Wkrótce ujrzałem, że osoby na tratwie leżą rozciągnięte na wznak, jak gdyby powalone słońcem, i uzaliłem się nad ich losem, samotnością i bezradnością. Wprawdzie znajdowały się już w lagunie, ale ciągle daleko od brzegu. W ich położeniu można utonąć, umrzeć z głodu, pragnienia lub z wycieńczenia upałem nawet w tak zachwycająco pięknym miejscu.

W kanu miałem butelkę wody i resztki drugiego śniadania, dość picia i jedzenia, żeby przywrócić rozbitków do życia. Płynąłem pod wiatr, więc ci na tratwie nie słyszeli chlupotania wiosła. Wkrótce znalazłem się wystarczająco blisko, żeby dostrzec osobliwość tej prostej tratwy. Nie dryfowała, lecz została przycumowana do rafy. Oprócz dwóch osób nie było na niej nic innego, dosłownie nic, ani flagi, ani kości, ani wiadra – nic, nawet ubrań.

Na tej tratwie leżały dwie chude kobiety – całkiem nagie. Kiedy podpłynąłem blisko, na niespełna dziesięć metrów, ostrzegawcza wibracja mojej męskości musiała rozejść się w powietrzu, bo nagle obydwie kobiety jak na komendę siadły prosto. A może po prostu w końcu usłyszały wiosła. Młode, dwudziestokilkuletnie, dość ładne i – sądząc po zachowaniu – Francuzki. Bardziej brązowe od Tahitanek – okryte ową połyskującą ciemną opalenizną najbardziej jaszczurczych miłośniczek słońca. Karnacja tak opalonych ludzi przywodzi na myśl wyprawioną i barwioną skórę. Ujrawszy mnie, kobiety przyjęły pozę tak skromną, jak tylko to możliwe w ich położeniu. Zacisnąwszy nogi, podciągnęły kolana pod brodę i skuliły się niczym małpki przycupnięte w deszczu.

Żeby nie zawstydząć ich bardziej, nie zmniejszałem dzielącego nas dystansu, chociaż i tak mogłem napawać się ich nagością i egzotyką widoku dwóch nimf na tratwie unoszącej się na falach tahitańskiej laguny.



– Cześć – powiedziałem, siląc się na nonszalancję, żeby ich nie wystraszyć. Wypadło to jednak drętwo i zdałem sobie sprawę, że właśnie tak mógłby odezwać się gwałciiciel albo podglądacz, żeby uspokoić swoją ofiarę.

Nachmurzone nie patrzyły mi w oczy, i ta obrażona obojętność oraz napięta postura (wynikająca pewnie ze strachu) miały mnie zawstydzić. Oczywiście chciały, żebym czym prędzej zniknął. Po chwili pojawił się jeszcze miejscowy rybak łowiący na przynętę ciągnioną za małą motorówką. Spojrzał w naszą stronę i łypnął pożądliwie na skulone nudystki. Wzdrygnęły się. Chciały, żeby i on czym prędzej zniknął.

Zirytowało mnie to, że najwyraźniej odmawiały innym prawa pływania w pobliżu tratwy tylko dlatego, że chciały się opalać nago. Najwyraźniej uważały się za nietykalne i traktowały ten kawałek laguny – należącej przecież do wszystkich – jak swoją własność. Z tego powodu wcale się nie śpieszyłem z odjazdem i dopiero po dłuższej chwili ruszyłem w dalszą drogę do Papeete. Na miejscu dowiedziałem się, że to była rzecz przyjęta – francuska moda, opalanie się nago w celu pozbycia się śladów kostiumu kąpielowego na opalonym ciele. Motorówka zawoziła modnisie na tratwę przy rafie, a po dwóch lub trzech godzinach zabierała je z powrotem do hotelu.

Leżenie plackiem nago pod parzącym słońcem Oceanii jest niebezpieczną głupotą i nie widziałem ani jednego Polinezyjczyka, który by to robił. Nie tylko szkodzi to skórze, lecz powoduje przedwczesne zmarszczki, niekiedy raka – no i jest po prostu nieprzyzwoite.

W swoim czasie to Tahitanki lubowały się w nagości i uwodziły europejskich marynarzy, odciągając ich od obowiązków. („Kiedy bowiem nas odesłano, buntownicy kilkakrotnie zakrzyknęli: »Dalejże na Tahiti!«”, pisał z goryczą kapitan Bligh, kiedy się zorientował, że jego Bounty popłynął z powrotem do Papeete i tamtejszych kobiet). Teraz natomiast tylko turyści pokazują się nago, widywane publicznie nagie biusty należą wyłącznie do przyjezdnych entuzjastek opalenizny. Tahitanki są całkowicie ubrane i skromne. Historia zatoczyła koło, fantazje się odwróciły i dzisiaj to chrześcijańscy wyspiarze rzucają pożądliwe spojrzenia, a nagością kuszą pogańskie Francuzki.

**Skoro** tylko bezimienna tahitańska dziewczyna zrzuciła na okręcie Bougainville'a cienutkie pareo na oczach wyposzczonych marynarzy, los Tahiti został przypieczętowany i narodził się mit wyspy mórz południowych. Pożeranie wzrokiem intymnych części ciała kobiety zawsze jest dla Francuza przebłyskiem raj, a dla tamtych wyposzczonych i marzycielskich żeglarzy było nawet czymś więcej, albowiem oglądali oto smagłą dziewczę, ucieleśnienie tego rodzaju nieskalanej dzikuski żyjącej w stanie natury, o jakim zaledwie piętnaście lat wcześniej pisał Rousseau.

Kapitan Bougainville nie posiadał się z zachwytu. Z uniesieniem komplementował Tahitanki: „nadobnością oblicza nie ustępują kobietom europejskim, a pod względem proporcji ciała chyba żadna inna z nimi nie może się równać”. Pisał, że naga dziewczyna na pokładzie „w oczach wszystkich patrzących wyglądała niczym Wenus, która się ukazała frygijskiemu pasterzowi, posiadając w istocie niebiańskie kształty bogini”.

Od tej chwili – a Bougainville propagował ów pogląd – Tahiti zyskało sławę Nowej Cytery, królestwa Wenus. Kiedy Wenus czy Afrodyta narodziła się z morskiej piany, według Hezjoda zstąpiła na brzeg jońskiej wyspy Cytery. Naga tahitańska dziewczyna wydała się marynarzom wcieleniem Wenus, bogini miłości i piękna, uosobieniem siły życia. Ale nie tylko to zachwycało przybyszy. Każdy szczegół Tahiti rozpałał wyobraźnię Bougainville'a, który we wspomnieniach z tej podróży zachwycał się tym, jak bardzo ta wyspa wydawała się podobna do świata sprzed grzechu pierworodnego, i przywoływał odnowioną przez Rousseau ideę „złotego wieku”. Pisał, że Polinezja jest „jednym z tych regionów świata, gdzie złoty wiek się nie skończył”. Na nieskalanym Tahiti znalazł nawet zwierzęta, które mitologia kojarzyła z Wenus. Bogini tej poświęcano delfiny, żółwie i najmilsze z ptaków – i wszystkie te stworzenia kapitan zauważył w miejscu, gdzie uśmiechnęła się do niego smagła tahitańska dziewczyna.

Jeszcze bardziej podniecające od wolnej od wstydu nagości okazały się prawdziwie niezwykle zwyczaje seksualne wyspiarzy. Odnosiło się wrażenie, że Tahiti to wyspa ekshibicjonistów. Oficerów i marynarzy zapraszano do domów, podejmowano ucztą, po której gospodarze „ofiarowali im

dziewczęta”. Schodzili się sąsiedzi, grała muzyka, podłogę chaty zaścielały płatki i kwiaty, Europejczyków zachęcano do zrzucenia ubrań i uprawiania miłości z dziewczętami, ot tak, na oczach przychylnie patrzących wyspiarzy. „Wenus jest tutaj boginią gościnności, oddawanie jej czci nie pozwala na skrytość i każdy składany jej hołd jest świętem wszystkich”. Krótko mówiąc, publiczne spółkowanie, seks grupowy, drzewa owocowe i wolność.

Te wyspy jawiły się jako ogród rozkoszy różniący się od wszystkich innych szczęśliwych wysp na świecie właśnie oddaniem wolnej, radosnej i nieczułościwej seksualności. Kapitan Cook był wstrząśnięty tym, co zobaczył na Tahiti, i pisał: „Miara rozwiązłej zmysłowości, którą osiągnęli ci ludzie, przekracza granice zwykłej wyobraźni i jest całkowicie obca wszelkim narodom, których obyczaje opisano od zarania dziejów do dzisiaj”. Pewnego dnia na Tahiti, w trakcie pokazu, który w celu zabawienia gości urządzili wyspiarze, kapitan Cook i niektórzy członkowie załogi jego okrętu oglądali kopulację wysokiego młodziana z czternastoletnią dziewczyną, po czym Cook zanotował, że nie tylko żadne z nich nie wydawało się zażenowane, lecz dziewczyna okazała się osobką doskonale wprawioną w sztuce miłości.

Za sprawą świetnie napisanej *Podróży dookoła świata*, którą Bougainville ogłosił w 1771 roku, Tahiti stało się synonimem wszystkiego, co piękne. Szybko przetłumaczona na angielski relacja Bougainville’a zachwycała i inspirowała czytelników. Kilka lat po ukazaniu się tej książki James Boswell zapragnął pojechać na Tahiti i wspomniał o tym doktorowi Johnsonowi, który stwierdził, że rzecz jest niewarta zachodu, bo „jedne dzikusy niczym się nie różnią od drugich”.

– Nie sądzę, że mieszkańców Tahiti należy uważać za dzikusów – zaprotestował Boswell.

– Chyba nie będziesz mi tu prawił dyrdymałów o szlachetnych dzikusach – sarknął Johnson.

– Znają sztukę nawigacji – rzekł Boswell.

– Pies i kot też umieją pływać – zaripostował Johnson.

– Nadzwyczaj ciekawie rzeźbią – nie poddawał się Boswell.

– Kot też drapie, podobnie jak dziecko uzbrojone w gwóźdź – skwitował Johnson.

Wszakże Boswell nie dał się zniechęcić i nadal pragnął jechać na Tahiti, żeby „się przekonać, co sama przyroda potrafi uczynić dla człowieka”.

Tahitańczycy z pewnością nie byli prymitywni. Należeli do najlepszych żeglarzy w dziejach świata. Wspaniale rzeźbili w kamieniu i budowali. W Paparze wzniesli doskonałą jedenastostopniową piramidę Marae Mahaiatea. Budowali świątynie i ołtarze w Paei, a także na wyspie Moorea. Wyspiarze spotykani przez kapitanów Wallisa, Bougainville’a i Cooka, którzy odwiedzili Tahiti w przeciągu trzech lat, byli wprawnymi wojownikami, sztuknikami i żeglarzami. Diety bynajmniej nie ograniczali do owoców z licznie rosnących na ich wyspie drzew, bo rozwinęli sztukę uprawy rozmaitych roślin – choćby jamsu, słodkich ziemniaków, tykw i trzciny cukrowej – a także hodowlę świń, kur i zwłaszcza psów, albowiem psie mięso woleli od wieprzowiny. Pisząc w *Strukturach codzienności* o pierwszych Europejczykach w Polinezji, Fernand Braudel pytał: „Ale czy te dzikusy, których opisywali, rzeczywiście byli ludźmi pierwotnymi? Na pewno nie”. Mimo to wyrafinowanie Tahitańczyków właściwie w ogóle nie interesowało przybyszy.

Otoczone sławą królestwa niewinnego seksu, pięknego siedliska pięknych ludzi, Tahiti stało się jednym z najbardziej inspirujących miejsc na świecie. Sławili je nawet pisarze, którzy go nigdy nie odwiedzili. Lord Byron poświęcił mu poemat *Wyspa*, filozof Diderot, ściągając od Bougainville’a, napisał powieść, której fabuła rozwija się na Tahiti. Melville zdobył sławę, pisząc o Tahiti w *Taipei* oraz *Omoo*. Robert Louis Stevenson stawiał Tahiti o wiele wyżej niż Samoa. Większość autorów pisała o Tahiti na podniosłą modłę Bougainville’a. Pierre Loti zakasował wszystkich, opisując w sposób niesłychanie zmysłowy swoje małżeństwo z Tahitanką i właśnie po lekturze tej książki Paul Gauguin postanowił wyruszyć do Polinezji. Oczywiście o Tahiti pisali mężczyźni. Ciekawe, jakie dzieło powstałoby, gdyby wyspa ta w takim samym stopniu podnieciła wyobraźnię kobiety pokroju Edith Wharton lub Simone de Beauvoir.

Nawet wolący chłopców Somerset Maugham uważał Papeete za urocze, chociaż miał inne powody po temu, żeby gratulować sobie przyjazdu do tego miasta. Na Tahiti przypłynął z Samoa (które mu się nie podobało), żeby

zbierać materiały na temat Gauguina do książki *Księżyc i miedziak*. Działo się to w 1917 roku, zaledwie czternaście lat po śmierci malarza, więc wspomnienia o nim były jeszcze świeże. W rzeczy samej pewna staruszka pamiętała, że ten obrzydliwy Francuz pomalował szyby w drzwiach jakiegoś zrujnowanego domu w miasteczku. Maugham pobiegł natychmiast do tego domu, gdzie owe drzwi nadal wisały na zawiasach, i kupił je od prostodusznego właściciela za dwieście franków, by następnie sprzedać malowidła za trzydzieści siedem tysięcy czterysta dolarów. Wiele lat później syn Gauguina Émile, otyły błazen, stał się miejscową ciekawostką. Przesiadywał w barach Papeete, a turyści stawiali mu koktajle i wypytywali o wspomnienia o ojcu, którego Émile nigdy nie widział. Liczył sobie dziesięć franków za zdjęcie.

Tak więc Maugham uważał Tahiti za miejsce magiczne z powodów literackich. Gauguin z pewnością inaczej je oceniał, skoro wyniósł się na Markizy. Można wątpić, czy wszyscy Tahitańczycy zawsze byli tak powabni, jak ich ukazał Bougainville, który spędził na Tahiti zaledwie kilka dni, a jego okręt kotwiczył w Hitiaa. Natomiast opowieści Bougainville'a nie sposób odmówić uwodzicielskiej mocy, czego najlepszym dowodem jest fakt, że wyspy Polinezji w ogóle, a Tahiti w szczególności do dzisiaj uchodzą za ogród miłości, współczesną Cyterę. A przecież nią nie są. Przyjemne, beztroskie? Tak. Ale raj? Nie.

Opowieść Bougainville'a o Tahiti inspirowała zwłaszcza dwa rodzaje ludzi, typy w rzeczy samej przeciwstawne, a mianowicie z jednej strony poszukiwaczy przygód żądnych skosztować cyteryjskich rozkoszy w ramionach chętnych Tahitanek, z drugiej zaś misjonarzy pragnących przyodziać i nawrócić rozpustnych wyspiarzy. Przeszło dwa wieki później przedstawiciele tych dwóch rodzajów ludzi nadal walczą o dusze Polinezyjczyków. Z tym że na każdego Melville'a, Gauguina, Dona Kattwinkela na sześciodniowym objeździe Polinezji („Wśród atrakcji powitalne girlandy kwiatowe *leis*”) lub któregośkolwiek innego amatora uwodzicielskich dziewcząt przypada wielu zelotów o płomiennych spojrzeniach, którzy za swoje posłannictwo uważają przekonanie wyspiarzy o tym, że są unurzani w grzechu pierworodnym. W każdej książce napisanej przez pisarza należącego do pierwszej kategorii

znajdziemy atak na misjonarzy. Melville gardził nimi i wyszydzał ich jako niszczycieli i obłudników. W każdej książce napisanej przez misjonarza znajdziemy potępienie grzeszności i oportunistów włóczykiów śpiących na plaży i ludzi przepuszczających majątek na wyspach miłości. Jedni drugich uważali za deprawatorów.

Jest niemal pewne, że skoro tylko jakiś uroczy zakątek zyska sławę raję na ziemi, rychle zamienia się w piekło. Tahiti jawiło mi się jako rozdzierająco piękne, ale ze względu na to, że wypiarze mieszkają wyłącznie na obrzeżu stromych i niedostępnych gór, jednocześnie wydawało się krainą małą i przeludnioną. Roilo się od francuskich żołnierzy i urzędników, którzy wykorzystywali fakt, że w terytoriach zamorskich zarabia się dwakroć tyle co w kraju, no i nie płaci się podatku dochodowego. Biznesmeni wzdychają rozczarowani, że interesy idą kiepsko. Hotelarze i właściciele biur turystycznych narzekają, że rynek się skurczył o dwadzieścia, jeżeli nie trzydzieści procent. Nawet w najlepszym okresie Tahiti prosperowało raczej dzięki dotacjom francuskim niż zyskom z turystyki, jeżeli jednak ma kiedykolwiek wybić się na niepodległość, musi dać dowód samowystarczalności. W latach osiemdziesiątych wyraźnie zbiedniało i sposepniało. Urzędnikom płacono krocie, natomiast kraj był niedoinwestowany, a ludność rodzimą trapiło poczucie bezsensu i krzywdy, jakie zżera większość ludów skolonizowanych. Jeżeli traktuje się ludzi jak dzieci, to stają się oni infantylni i marudni. Najlepiej to ilustruje urzędowa kampania pod hasłem „Uśmiech jest dobry na wszystko!”.

Niebył lotni, ale uparci urzędnicy z Izby Turystyki wymyślili też groteskowy konkurs na „najbardziej gościnnego Tahitańczyka”, który otrzyma nagrodę Mauruuru (Wielkie Dzięki). Turystów odwiedzających Tahiti zachęcano do pisania listów do „Tahiti Sun Press” i rekomendowania osób, które zrobiły na nich wrażenie. Listy te wydały mi się wprawdzie cokolwiek śmieszne, ale i sympatyczne, ponieważ chwalono w nich a to szczególnie uczynnego boya hotelowego, a to ratownika na basenie, a to taksówkarza. Pewnego dnia przeczytałem list napisany przez amerykańskie małżeństwo, państwa Crispów z Los Angeles, którzy spędzili tydzień na Moorei.

Podczas pobytu w hotelu Bali Hai na Moorei mieliśmy przyjemność poznać Helene („Mimi”) Theroux, uroczą dziewczynę prowadzącą bar.

Mimi Theroux jest osobą niezwykle życzliwą i uczynną. W dowód wdzięczności pragniemy zarekomendować ją jako kandydatkę do nagrody Mauruuru. Bardzo się stara i w pełni na nią zasługuje.

Widok naszego dziwnego, niełatwego ortograficznie nazwiska wydrukowanego bez błędu w tahitańskiej gazecie wzbudził we mnie poczucie przynależności do tych wysp. W naszej rodzinie panuje bowiem przekonanie, że każda osoba nosząca to nazwisko jest naszym krewnym, potomkiem Petera Theroux (1839–1915) z Yamaski w prowincji Quebec, który miał dziewięciu płodnych synów: Henriego, Louisa, Ovide’a, Leona, Dorela, Josepha, Petera, Alexandre’a i mojego dziadka Eugene’a. Natychmiast zadzwoniłem do hotelu Bali Hai i zapytałem, czy mogę rozmawiać z moją kuzynką.

– Mimi Theroux już u nas nie pracuje – poinformował mnie kierownik.

Uważał, że Mimi nadal mieszka na Moorei, chociaż nie był pewny. Obiecał, że spróbuje zdobyć dla mnie jej adres.

Zamierzałem wkrótce opłynąć Mooreę, więc przyrzekłem sobie, że kiedy zjadę na tamtą wyspę, postaram się odszukać *mademoiselle* – a może *madame* – Theroux.

Tymczasem dwie sprawy zatrzymywały mnie na Tahiti, a mianowicie przygotowania do podróży frachtowcem na dalekie Markizy oraz oczekiwanie na paradę z okazji Dnia Bastylli, czyli święta narodowego Francji. Zastanawiałem się również, czy nie zrobić sobie tatuażu, skoro jestem w krainie, gdzie zrodziła się ta moda. Sama nazwa wywodzi się od polinezyjskiego słowa *tatu*, które znaczy tyle co „nakłucie”. Niewielki tatuaż na kostce wydawał się przyzwoitym sposobem zaspokojenia mej ciekawości, ale na widok jedyne go tatuażysty w Papeete, nadpobudliwego Belga urzędującego w uwalanej plamami krwi klitce, odechciało mi się.

**Papeete** to raczej brzydkie, jak gdyby splądrowane miasto, którego zaniedbane i niedobre zabudowania tłoczą się u stóp dwóch wygasłych wulkanów Aorai i Orohena, wznoszących się za nim na wysokość dwóch tysięcy sześćdziesięciu sześciu i dwóch tysięcy dwustu czterdziestu jeden

metrów. Tahitańska droga – a jest tylko jedna, wąska, nieuchronnie służąca jako trasa szybkiego ruchu – słynie z podłej jakości i wypadków. Dla dopełnienia tego mało romantycznego obrazu Tahiti dodam, że to jedno z najdroższych miejsc, jakie odwiedziłem. Paczka papierosów kosztuje pięć dolarów, litr benzyny cztery, najzwyczajniejsza bawełniana koszula pięćdziesiąt, a obiad w dobrej restauracji jakąś koszmarną sumę, co ze względu na fakt, że mają tam ledwie kilka dobrych restauracji, ma znaczenie czysto akademickie. Jeżeli zaś postanowimy zadowolić się pizzą, zapłacimy dwa razy więcej niż w Pizza Hut w Bostonie. W Polinezji Francuskiej nie płaci się podatku dochodowego, ale podatki pośrednie są zaiste rujnujące. Niepalący i niepijący pogratulują sobie w duchu powściągliwości, ale nawet najbardziej skromnie odżywiający się wegetarianin przeżyje szok, ujrzawszy na bazarze w Papeete kapustę (sprowadzaną z Kalifornii) po osiem dolarów za główkę.

Z punktu widzenia Tahitańczyka cena kapusty jest wszakże czystą abstrakcją. Wyspiarze, zawsze czysti i schludni, chociaż brakuje słodkiej wody, radzą sobie, a nawet żyją dostatnio, uprawiając ogródki warzywne, biorąc zasiłki i wykorzystując szerokie powiązania rodzinne. Są postawni, dobrze odżywieni i odnosiłem wrażenie, że ich tusza jest cokolwiek demonstracyjna. Najwyraźniej czerpią zadowolenie z tego, że są więksi i silniejsi fizycznie od swoich panów i pań kolonialnych. Nie licząc zauroczonych nastolatków, siłą rzeczy ulegających wpływom, Tahitańczycy niemal w ogóle nie naśladują francuskich postaw ani stylów, nie uprawiają joggingu, nie pasjonują się modą, nie ma wśród nich snobów ani namiętnych bywalców. Nawet mało kto pali.

Najbardziej rzucającą się w oczy słabostką Tahitańczyków są przekąski. Niemal bez przerwy coś pogryzają, jak nie orzeszki, to frytki, wieprzowe skórki (*porc frites*), frytki z boczkiem (*frites au bacon*), prażoną kukurydzą, ciasteczka nadziewane figą, paluszki szampańskie, chrupki, batony czekoladowe, ciasteczka, biskopty, neapolitanki, grzanki albo chrupki serowe Cheez Balls po pięć dolców za piętnaście deka. Na te łakocie wydawali zasiłki, a jeżeli im nie przysługiwały, to podejmowali pracę w usługach na rzecz coraz mniej licznych turystów, wśród których i tak rzadko zdarzali się rozrzutnicy. Ale nawet najbiedniejszy, żyjący z łaski innych Tahitańczyk nie



przyjmował napiwków i uważał ich wręczanie za jeden z najbardziej obraźliwych zwyczajów cudzoziemców.

Tahitańscy, którzy spędzili długie lata za granicą, przejawiali wielką oszczędność. To charakterystyczne dla wszystkich emigrantów zarobkowych z Oceanii. Ponieważ ludzie są tam tak bezbronni, bardzo starają się nie wyglądać na zamożnych. Zbyt łatwo jest zostać okradzionym albo oskubanym. Emerycy właściwie zapadają się pod ziemię, ukrywając się w domkach w górskich wąwozach czy to na Tahiti, czy to na Moorei. W porcie Papeete zawsze roi się od żeglarzy, ale miłośnicy jachtingu słyną na całym świecie z wielkiej powściągliwości w wydawaniu pieniędzy, ponieważ za sprawą swego hobby przywykli do samowystarczalności.

Gdzie indziej na wyspie wioski były ogrodzone, a mieszkańcy wydawali się syci i zadowoleni. W samym Papeete osobami najbardziej rzucającymi się w oczy – oczywiście prócz japońskich turystów i francuskich żołnierzy – byli przedstawiciele owych dwóch rodzajów ludzi, jacy działali na Tahiti już wtedy, gdy Bougainville opisywał tę wyspę jako raj, a mianowicie awanturnicy i misjonarze, pijacy i fanatycy religijni. O każdej porze dnia w centrum Papeete widuje się świątoszkowatych duchownych mijających bary, w których nad kuflem piwa siedzą posepni skacowani Francuzi. Nadal można stracić głowę na wyspie miłości i wcale nierzadko zdarza się, że Francuz poślubia nastoletnią Tahitanę i robi jej sześcioro dzieci, zamieniając ją w dwudziestoletnią starą jędzę. Tak oto trwa mit rajskich wysp mórz południowych.

**Bardzo** chciałem zobaczyć, jak się obchodzi na Tahiti święto narodowe Francji, więc zostałem na wyspie, żeby obejrzeć defiladę. Kolonialne władze francuskie obłudnie przechrzcili Dzień Bastylli na Heiva Tahiti, czyli Święto Tahiti. Francuzom zabrakło ikry, żeby otwarcie czcić wolność i suwerenność Francji w obliczu narodu, który jeszcze nie wybił się na niepodległość. Oczekiwałem, że będzie to kapitalny przykład kolonialnej farsy i obłudy, i owo święto, „sponsorowane przez Toyotę”, nie zawiodło moich oczekiwań.

Dodatkowo gmatwając sprawę, plakaty obwieszczały w języku francuskim „Sto dziewiąte lipcowe święto Tahiti”, co można rozszyfrować dopiero, sięgnąwszy do podręcznika historii i ustaliwszy, że właśnie w 1880 roku Ariane, czyli król Pomare V, syn nieprzejdanej królowej Pomare IV, pod naciskiem Francuzów abdykował i władzę nad Tahiti przekazał Francji, która ogłosiła je swoją kolonią. W sposób zdumiewająco gruboskórny Francuzi skojarzyli obie daty i zafundowali Tahitańczykom obchody rocznicy zniewolenia ich kraju w dniu, w którym sami czcili wolność i suwerenność Francji.

O ósmej rano w Dzień Bastylli dołączyłem do tłumu beznamiętnych Tahitańczyków i rozentuzjasmowanych Francuzów na bulwarze Pomare. Wyciągając szyję, płonałem z ciekawości, co też zobaczę, i w kwadrans później usłyszałem synkopowaną zapowiedź defilady. Francuska orkiestra wojskowa grała piosenkę z czasów I wojny światowej, *Auprès de ma blonde (il fait beau blah-blah...)* [Z moją dziewczyną, jak miło pogadać...], co byłoby dziwne w każdych okolicznościach, a na wyspie śniadych i czarnowłosych dziewcząt wydawało się wprost niedorzeczne.

Przedefilował oddział *fusiliers marins* (fizylierów morskich), niosący na czele flagę francuską z napisem „Honneur et Patrie” [Honor i Ojczyzna], a za nim około pięćdziesięciu żołnierzy sił specjalnych wyposażonych w najnowocześniejsze uzbrojenie. Orkiestra Régiment du Tonkin wyglądała stosunkowo nieszkodliwie, ale następne formacje prezentowały się coraz bardziej zastraszająco. Przedefilowały trzy oddziały legionistów z bagnietami na karabinach, a jeden z żołnierzy wetknął w lufę flagę francuską, następnie oddział czarnych beretów z groźnymi psami w transporterach opancerzonych, potem znowu piechota, a za nią żołnierze Legii Cudzoziemskiej, wszyscy brodaci, w białych skórzanych fartuchach i rękawicach, a każdy niósł na ramieniu złowrogo wyglądającą siekiere – historyczny symbol tego oddziału saperów.

Na sztandarze niesionym przez oddział saperów widniało słowo „Camerone”, upamiętnienie bitwy w Meksyku w 1863 roku, w której oddział sześćdziesięciu pięciu legionistów przyparty do muru stawiał czoło dwóm tysiącom żołnierzy meksykańskich i – odmówiwszy kapitulacji – został wybity

do nogi przez pełnego podziwu, ale bezlitosnego wroga. Właśnie w tej bitwie legendarny kapitan Danjou stracił nie tylko życie, lecz również drewnianą rękę, którą potem odzyskano, aby się stała swego rodzaju relikwią i talizmanem Legii Cudzoziemskiej. „Życie prędzej niż odwaga opuściło tych francuskich żołnierzy” – napisano na pomniku ku ich czci, a w potocznej francuszczyźnie utarło się wyrażenie *faire Camerone*, które znaczy tyle co „walczyć do końca”.

Odnosiłem wrażenie, że oddziały defiladowe wybrano ze względu na ich srogą prezencję. Każdy oglądający ich przemarsz dobrze się zastanowi, zanim wznieci bunt lub powstanie, wobec czego defilada w Dniu Bastylli czy też tak zwanego Święta Tahiti – a w każdym razie jej wojskowa część – niewątpliwie miała zastraszyć Polinezyjczyków, którzy oglądali ją w całkowitym milczeniu, chociaż żony i dzieci żołnierzy francuskich wiwatowały.

W Polinezji jest wielu żołnierzy Legii Cudzoziemskiej. W tak wrażliwym miejscu potrzeba twardości i nieprzejednania legionistów, a romantyczna poza umacnia ich awanturniczy wizerunek. Wiadomo, że biorą sobie tahitańskie kochanki. Z powodu mało urozmaiconej diety i apetytu na łakocie i słodkie napoje Tahitańczycy często mają popsute zęby. Pierwszym – lub może drugim – dowodem miłości legionisty do tahitańskiej dziewczyny jest podarunek w formie sztucznej szczęki. W miejskim autobusie nieraz można spotkać te szczęśliwe wybranki, uśmiechnięte szeroko, prezentujące śliczne białe uzębienie.

Kiedy legionista wyjeżdża do Francji (na przykład po to, żeby odwiedzić żonę i dzieci), zabiera ze sobą sztuczne zęby kochanki, aby była mniej pociągająca dla mężczyzn.

– Czasem dziewczyna nie chce oddać zębów – opowiadał mi w Papeete pewien legionista. – Wtedy obracamy ją do góry nogami i wytrząsamy je z niej.

Druga część parady wyglądała o wiele sympatyczniej i całkiem pokojowo. Przejechały wozy strażackie, przedefilowały mażoretki, dzieci w kapeluszach kowbojskich, po czym pojawiła się Miss Tahiti, niesiona w kanu przez sześciu muskularnych mężczyzn.

– Uśmiech, kobieto, uśmiech! – zawołał do niej po francusku stojący przede mną Tahitańczyk.

Następnie przedefilowało dwadzieścia osiem kobiet w białych i dwanaście w purpurowych *muumu*, przemaszerował oddział doboszy, przeszły tancerki z diademami z piór i w biustonoszach ze skorupy kokosa, przejechali akrobaci na rowerach, za nimi grubi i złowrogo wyglądający mężczyźni na motocyklach ozdobionych flagami z trupa główką, piszczelami i napisem „Le Club Harley-Davidson du Tahiti”, potem nastoletni chłopcy na deskorolkach robiący stójkę na rękach – i wtedy Tahitańczycy już się uśmiechali, wspinali na gałęzie przydrożnych drzew, żeby lepiej widzieć, pokrzykiwali z balkonów, a ja wyobraziłem sobie malowidło pełne światła i tropikalnych barw Oceanii, ukazujące tłum puciołowatych wyspiarzy i dzieci, wielkie roześmiane rodziny, a w tle srogo i despotycznie wyglądających żołnierzy francuskich, malowidło zatytułowane *Dzień Bastylli w Papeete* i ilustrujące paradoksy francuskiego kolonializmu.

Weselsza, druga część defilady wprowadziła mnie w lepszy nastrój i w ślad za grupką rozbawionych Tahitańczyków poszedłem bocznymi uliczkami do ogrodu przy siedzibie Wysokiego Komisarza Republiki, gdzie pod wielkim polinezyjskim drzewem trwało przyjęcie. Połowa obecnych najwyraźniej tak samo jak my wkręciła się bez zaproszenia, a pozostali – ważne osobistości, wbici w ciasne garnitury *faranis* i *colons* o nalanych gębach, weterani w znoszonych mundurach ozdobionych na piersi bohaterskimi rzędami medali i baretek, w tym jeden przyciągający spojrzenia Legią Honorową – byli zbyt pijani, żeby zwracać na nas uwagę.

– Ten Medal Wolnej Francji wręczył mi generał de Gaulle – powiedział mi pewien staruszek, a inni weterani (byli wśród nich Afrykanie i Wietnamczycy) brali udział w wojnie w Indochinach w latach pięćdziesiątych. Najlepiej bawili się Tahitańczycy, którzy ignorowali kelnerów z tacami pełnymi kieliszków z alkoholami i skupili się przy stołach z przekąskami, które pochłaniali z wielką zręcznością, wpychając sobie do ust od razu dwie lub trzy.

Muzycy orkiestry wojskowej rozstawili pulpity w cieniu drzewa i ociekając potem, grali skoczne piosenki, *Sang et or* [Krew i złoto], *Tenth*

*Festival* [Dziesiąte święto], *Adios amigos* [Żegnajcie, przyjaciele] i porywający *Marche des mousquetaires noirs* [Marsz czarnych muszkieterów], podczas gdy kapelmistrz dyrygował bez pałki, samymi rękoma, gestykulując niczym człowiek budujący zamek z piasku.

Dla ludzi oglądających defiladę, a i dla uczestników festynu w ogrodzie siedziby władz francuskich Dzień Bastylli na Tahiti stanowił pretekst do uctowania, zabaw w wesołym miasteczku w parku, spacerowania z dziećmi i kupowania im baloników. Ale kiedy ulicą Generała de Gaulle'a wracałem na nabrzeże, zauważyłem pośpiesznie nabazgrany sprayem na murze napis: NIEPODLEGŁOŚĆ.

**Nazajutrz** udałem się na Mooreę, żeby odnaleźć Mimi Theroux. Prom odbił od nabrzeża portu w Papeete, a gdy wypłynął na Morze Księżycowe, odwróciłem się w stronę rufy i podziwiałem wielkie zielonoczarne granie wulkanów Tahiti. Nie są to góry zaokrąglone, przysadziste i faliste, lecz wyglądają jak wychudzona sierra, niby zwłoki gór o kościstych najeżonych grzbietach, wystających ostrych graniach, wąskich dolinach o wydrążonych ścianach, z guzami i zębami na skarpach, w ogóle niebywale strome i urwiste, jak gdyby w dawnych czasach aktywności wulkanicznej wypaliły się do cna.

Szczyty i zbocza Tahiti – a i innych wulkanicznych wysp wszędzie w Oceanii – są tak urwiste, czarne i zastraszające, że wybrzeża wydają się sielskie, a pastelowe laguny jawią się jako niewysłowienie urocze. U szczytów gór zawsze wisi welon mgiełki, a niekiedy rozdarta czarna poducha chmury. Właśnie ten kontrast uderza najbardziej w widoku tych wysp, wertykalna srogość gór i horyzontalna łagodność wybrzeży. „Od strony morza widok jest wspaniały – pisał Melville o tym pejzażu Tahiti. Rzeczywiście, ten widok nadal jest wspaniały. – I taki czar unosi się nad wszystkim, że kraina ta wydaje się światem z bajki, świeżo ulepionym i dopiero co rozkwitłym w rękę Stworzyciela”.

Godzinna przeprawa w jedną stronę kosztuje siedem dolarów, no i nie musiałem wnosić dodatkowej opłaty za składany kajak. Wśród pasażerów najwięcej było Polinezyjczyków, stuprocentowych lub półkrwi francuskiej,

zwanych w Tahiti *demi* lub *afa*. Poza tym trochę Chińczyków i odrobina *faranis*, czyli Francuzów, którzy zapuścili korzenie na tych wyspach. Polinezyjczycy w zależności od wieku wydawali się reprezentantami osobliwie odmiennych typów ludzkich, albowiem dzieci i nastolatki były szczupłe i zwinne, a dorośli otyli i właściwie niezgrabni. Chłopcy i dziewczęta tak samo uroczy, a mężczyźni i kobiety tak podobni z postury, że praktycznie nieodróżnialni.

Zasadniczo mogłem być się przeprowić z Papeete na Mooreę kajakiem, ale zniechęcił mnie wiatr. Co więcej, w cieśninie pomiędzy tymi wyspami straszy silny prąd, a oprócz szlaku promu do Vai'are w okolicy północno-wschodniego wybrzeża Moorei w rafie jest tylko jeszcze jeden przesmyk, Avarapa. Rify okalające te wyspy ogromnie utrudniają turystyczne pływanie po tych wodach, a że za tydzień chciałem płynąć na Markizy, to nie mogłem ryzykować tego rodzaju wyprawy, jaką udało mi się odbyć w archipelagu Vava'u w Tonga. Zamierzałem jedynie rozbić obóz na Moorei, powiosłować trochę w obrębie rafy, no i odnaleźć Mimi Theroux.

Nabrzeże promu nie znajduje się w mieście, otoczenie trudno nazwać choćby miasteczkiem i kiedy autobusy zabrały pasażerów, Vai'are wydawało się puste.

– Szukam miejsca na wybrzeżu, gdzie mógłbym rozbić namiot – powiedziałem do miejscowego mężczyzny, którego spotkałem przy drodze.

– Nie da rady – rzekł i uśmiechnął się współczująco.

Jak wszędzie indziej w Polinezji każdy skrawek gruntu miał właściciela. Nie próbowałem negocjować. Wypożyczyłem motocykl i ruszyłem na poszukiwanie hotelu przy plaży. Na Moorei jest wiele hoteli, a zastój w branży taki, że mogłem przebierać. Wybrawszy hotel, wróciłem do wypożyczalni po mój kajak. Ale zatrzymałem też motocykl.

Pojechałem do hotelu Bali Hai i odszukałem kierownika, który wydawał się Amerykaninem. Tak, Mimi Theroux pracowała u niego jeszcze niedawno, ale odeszła.

– Mieszka z matką w Paopao.

To nad Zatoką Cooka, niedaleko.

– Czy jest mężatką?

– Nie wiem – odparł kierownik i opisał dom Mimi, żebym łatwo trafił.

Rzeczywiście bez trudu odnalazłem biały budynek, chociaż nie był to zwykły dom. Duży, kanciasty, piętrowy, z balkonami na piętrze, restauracją na dole, nakryty płaskim dachem, miał geometryczny wygląd placówki handlowej. Dobrze utrzymany, niedawno odnowiony, jaśniał w słońcu, a wychodził prosto na zatokę.

Zaparkowałem motocykl i obszedłem budynek dookoła. Na tyłach znalazłem majstrującego przy czymś Tahitańczyka, a że zjawiłem się w samo upalne południe, mało kto przebywał na dworze.

– Mimi Theroux? – rzekłem pytająco do Tahitańczyka.

Wskazał balkon na piętrze, gdzie suszyło się pranie. Zapukałem do drzwi na dole schodów, ale nikt nie odpowiedział. Zapukałem ponownie, co zirytowało psa na sąsiednim podwórku. Zawołałem i wyszła młoda kobieta.

Mimi. Chinka. Przedstawiłem się i zaprosiła mnie na górę, gdzie ze starszą dziewczynką bawiło się małe ciemnoskóre dziecko.

– To Moea – powiedziała Mimi, podnosząc mniejsze dziecko.

– Pani córka?

– Już wkrótce.

Mówiła z lekkim akcentem amerykańskim. Weszliśmy do chłodnego wnętrza na piętrze, skąd za oknem we frontonie budynku lśniło morze i jarzyło się niebo nad Zatoką Cooka, jednym z najpiękniejszych zakątków w całej Oceanii, uroczym, odosobnionym, przejmującym i właściwie pustym. Ale leżącym w Polinezji Francuskiej. Skoro miejsce to było odosobnione, to i zapuszczone. Plaża wyglądała podle, na brzegu walały się śmieci, a jeżeli nie ma się motocykla, to jak się tam dostać?

Odniosłem wrażenie, iż Mimi miała domieszkę krwi polinezyjskiej. Uznała, że to możliwe, albowiem mgliście pamiętała spotkanie z wiekowym tahitańskim członkiem rodziny, ale nie była pewna, czy rzeczywiście łączyły ją z nim więzy krwi. Właściwie to spodobało mi się, że nie jest tego pewna i że niezbyt ją to interesuje.

– Przepraszam za niezapowiedzianą wizytę – powiedziałem.

– W porządku. Jim wspominał mi o panu.

Zaraz wyjaśniła, że wyszła za Jamesa Theroux, mojego dalekiego kuzyna, który od lat żeglował po Pacyfiku, z Samoa na Fidżi, Tonga, do Port Vila i Australii i stał się postacią znaną w Oceanii. Był wytrawnym surferem i doświadczonym żeglarzem i nawigatorem. Wiele o nim słyszałem, a kiedy przedstawiałem się entuzjastom jachtingu, czasem brali mnie za niego. Ludzie znali nazwę jego łodzi na podobnej zasadzie jak tytuły moich książek – ot słowa, które stały się swojskie.

– Teraz jest w Australii, na wyspach Whitsunday, czarteruje jacht – opowiadała Mimi. – Widziałam się z nim siedem miesięcy temu. Może znowu się spotkamy za kilka miesięcy. Jest taki jak pan, ciągle podróżuje.

– Wygląda jak ja? – zapytałem.

– Nie. Jest przystojniejszy – rzekła Mimi i pobiegła złapać Moeę, która rzucała zabawkami o ścianę.

Pogodna, szczupła i bosa Mimi nosiła pareo na biodrach i wydawała się osobą samodzielną. Wierna i energiczna Chinka, która nie ma za złe siedmiomiesięcznej rozłąki. Drobną, energiczną, atrakcyjną. Kiedy zdradziła kilka szczegółów ze swojego życia, wyliczyłem, że ma trzydzieści cztery lata.

Jima poznała, mając dwadzieścia jeden. Studiowała wtedy w żeńskiej uczelni w Punaauui na Tahiti. Jej panińskie nazwisko brzmiało Tshan-lo.

– Jim powiedział: „Chodź ze mną”, więc poszłam. Tak, to było romantyczne – opowiadała. – Miał łódź. Nigdy przedtem nie byłam na tego rodzaju łodzi. Najpierw popłynęliśmy do Pago, a ja chorowałam od morza. Potem popłynęliśmy do Fidżi, Vava’u, Vila, Australii. W Vila spędziliśmy kilka lat, ale gdy nastąpiła niepodległość, zaczęły się kłopoty – miała na myśli powstanie wzniecone przez Jimmy’ego Stevensa – więc wyjechaliśmy. W Vava’u Tongijczycy kradli nam pranie ze sznura. Ale dobrze się tam czuliśmy. Jim wyprawiał się w nocy z miejscowymi facetami na ryby.

– Nadal choruje pani na morzu?

– Nie – odparła Mimi. – Teraz jestem dobrą żeglarką. Choroba morska ustąpiła przeszło dziesięć lat temu.

Nie miała łatwego życia, ale wydawała się osobą, której nagłe zmiany dodają sił i pewności siebie. Swoje robiła zapewne chińska nieustępliwość, chociaż w polinezyjskiej scenerii – w pięknym Paopao – nie rzucała się



w oczy. Przeniosła się z Moorei na Tahiti, straciła głowę dla porywczego Amerykanina, wyszła za niego i razem pływali po morzach. W Australii Jim sprzedał łódź, a potem, dowiedziawszy się, że do kupienia jest dwunastometrowy Southern Cross Alana Bonda, polecili do Perth i kupili go. Cudowna łódź, ale ogołocona ze wszystkiego. Otaklowali ją i pozęglowali wzdłuż północnego wybrzeża Australii, przez Cieśninę Torresa, wokół przylądka York do Cairns. Zajęło to rok, ponieważ splukali się do cna, kupując jacht i osprzęt.

– Zatrzymywaliśmy się w wielu miejscach, żeby pracować i zarabiać. Ale to były ciekawe miejsca – wspominała Mimi. – W Darwin spędziliśmy kilka miesięcy. Pracowałam jako kelnerka, a Jim jako ogrodnik. Nic nam to nie przeszkadzało. Liczyła się przygoda.

Moea nadal biegła z małą przyjaciółką po pokoju. W przestronnym, pełnym powietrza pokoju stały skromne meble, a na ścianach wisiało kilka zdjęć – w tym fotografia jachtu Jima – i parę kalendarzy. Pokój był czysty i tym przyjemniejszy, że prawie pusty.

– Moea jest śliczna – zauważyłem.

– Wkrótce otrzyma nazwisko Theroux – rzekła Mimi.

Patrząc na psotną twarzączkę dziewczynki i słysząc swoje nazwisko, poczułem głębokie zadowolenie.

– Jej matka pochodzi z Markizów – powiedziała Mimi. – To znajoma mojej siostry. Siostra wiedziała, że nie mogę mieć dzieci i że pragnę adoptować dziecko. Ta kobieta miała już wcześniej dwoje dzieci, ale nie wyszła za męża. Sam pan wie, jak to tutaj wygląda. Tak czy owak, zaraz po urodzeniu Moei oddała ją mnie. Powiedziała, że jej ojciec jest Francuzem, ale nie wierzę w to. Te czarne włosy, ciemne oczy i czekoladowa skóra – na pewno jest Markizanką.

Mimi z zachwytem spojrzała na dziecko, śliczną, silną, trzymającą się bardzo prosto dwulatkę. Słyszając, jak raz po raz Moea śmieje się beztrudnie w trakcie zabawy, nie miałem wątpliwości, że jest szczęśliwa.

– Ojciec Moei zjawił się później u jej matki i zapytał, gdzie dziecko – ciągnęła Mimi. – Wypomniała mu, że ani razu się nie pokazał, kiedy była w ciąży, i powiedziała, że oddała dziecko.

– A co się działo z tym facetem? – zapytałem.

– Kiedy zaszła w ciążę, rzucił ją i związał się z młodszą – odparła Mimi. – Przeszło dwa lata temu. Od chwili kiedy dostałam Moeę, byłam bardzo szczęśliwa, ale teraz się niepokoję. Ostatnio matka Moei wydzwania do mnie. Wiem, że kiedy tylko zobaczy małą, zabierze mi ją. Podpisała dokumenty adopcyjne, ale klamka zapadnie dopiero za dwa miesiące. Muszę się ukrywać. Ta kobieta nie wie, gdzie jestem, ale skądś ma numer mojego telefonu. Nigdy nie oddam Moei. Wymagała mnóstwa pracy, jak była mała, ale jest bardzo inteligentna i rozumie wszystko, co mówię.

Siedzieliśmy przy stole, patrząc ponad Paopao na zatokę.

– Tu jest tak pięknie – powiedziałem.

– Pocztówkowy widok – rzekła Mimi. – Szkoda, że nie widział pan wczorajszego zachodu słońca. Niebo zrobiło się całe różowe, bez słońca, tylko niebo i chmury. Siedziałam tutaj i patrzyłam na to razem z Moeą.

Wzruszyło mnie, że obejrzawszy dwanaście i pół tysiąca zachodów słońca na Pacyfiku, Mimi nadal się nimi zachwycała.

– Jak pan mnie znalazł? – zapytała nagle.

– Zapytałem w Bali Hai. Wie pani, że została nominowana do nagrody Mauruuru?

– Nie – odparła obojętnie. Zawołała coś do matki. Może przekazała jej tę nowinę.

Wiekowa matka Mimi, *madame* Madaleine Tshan-lo, siedziała, milcząc, na balkonie i patrzyła w morze. Mimi nie wiedziała, ile staruszka ma lat, bo jak powiedziała, nie wypadało zapytać. *Madame* Tshan-lo urodziła dziewięcioro dzieci, z których Mimi była najmłodsza („Najsłabsza w miocie”, jak się wyraziła). Cała reszta już założyła rodziny – z Francuzami, Amerykanami, Tahitańczykami, Chińczykami – i mieszkała w różnych krajach na całym świecie.

Staruszka uśmiechnęła się do mnie i odezwała do córki w języku kantońskim.

– Daj temu panu coś do jedzenia.

Mimi poszła do kuchni i przyniosła potrawkę warzywną, nowozelandzką marchewkę, francuskie ziemniaki z chińskim ryżem. Trzeba mieć ogród, żeby

żyć, powiedziała Mimi. Brakuje pracy i dużo ludzi żywi się owocami chlebowca, taro i mango. Opowiadając o jedzeniu, Mimi utyskiwała na wysokie koszty życia.

– Mamy najdroższy prąd na świecie – rzekła. – Co miesiąc nie mogę uwierzyć w wysokość rachunku. Miesięcznie płacę z piętnaście tysięcy franków, a mam tylko telewizor, zamrażarkę, lodówkę i światło.

To równowartość stu sześćdziesięciu dolarów.

– Planują obłożyć nas podatkiem dochodowym, a przecież wszystko już jest opodatkowane! To dlatego tutaj życie jest takie drogie.

Brak podatku dochodowego wynikał z tego, że opodatkowane były wszelkie towary. Żeby przyciągnąć turystów, obniżono podatek na alkohol, ale nic to nie dało.

– Trzy tygodnie temu na Tahiti urządzono blokadę drogową, bo rząd podniósł cenę benzyny o dziesięć centów, a oleju napędowego o dwadzieścia.

Działo się to kilka dni przed moim przyjazdem, ale ludzie nadal rozmawiali o tej sprawie i dziwili się, jakie powstało zamieszanie. Buldożery i ciężarówki zablokowały drogę zaraz za Papeete, między miastem a lotniskiem, i żeby się dostać na lotnisko, trzeba było jechać prawie sto pięćdziesiąt kilometrów dookoła wyspy. Nikogo nie aresztowano. Odbyły się negocjacje i ostatecznie władze obniżyły cenę paliwa. W rezultacie przeciętny Tahitańczyk uważał, że jeżeli znowu zdarzy się coś podobnego, jeżeli władze zechcą wprowadzić jakieś niekorzystne rozwiązanie, ludzie urządzą blokadę drogową, chociaż w przeszłości (nawet całkiem niedawno, bo w 1987 roku) tego rodzaju protesty rząd dławił za pomocą policyjnych oddziałów prewencji.

– A co z Francuzami? – zapytałem. – Myśli pani, że tutaj zostaną?

– Dobre pytanie – odparła Mimi. – Wydaje mi się, że koniec końcem będziemy niepodlegli.

Pożegnałem się z Mimi, podziwiając jej siłę i oddanie matce. Wsiadłem na motocykl i wróciłem do hotelu, domykając pętlę dookoła wyspy. Na Moorei bawiłem w miesiącu burz. Trzy albo cztery razy ulewa złapała mnie w trakcie jazdy motocyklem lub pływania kajakiem, więc ostatecznie wcale nie żałowałem, że nic nie wyszło z biwakowania pod namiotem. Krople waliły tak

mocno, że aż szczypały w skórę. Ale po ulewie zawsze unosił się upojny aromat *tiare* i oleandrów, a na niebie malowała się ogromna pełna tęcza, strojna wszystkimi barwami na całym łuku.

Pewnego dnia powiosłowałem do Maatei. W 1842 roku na pewien czas zatrzymał się tam Melville i wspomina to miejsce wiele razy w *Omoo* („Jasność wezbrała nad wzgórzami Martair [Maatei], radosny poranek”). Moja wyprawa okazała się nieoczekiwanie długa, ponieważ najpierw przystanąłem na wysepce zwanej Motu Ahi, a kiedy wracałem i złapała mnie ulewa, schroniłem się na małej plaży, gdzie pod drzewem zastałem pewnego dwudziestokilkulatka, Dominica Taemu, który objeżdżał na rowerze wyspę i tak samo jak ja schował się przed deszczem.

Pogadaliśmy o Dniu Bastyllii i o Heiva Tahiti. Śmiał się.

– Dzień Bastyllii. To święto francuskie. Historia. To nie jest nasz dzień.

– Chcesz, żeby Polinezja była niepodległa? – zapytałem.

– Jak możemy być niepodlegli? Nie mamy bogactw – odparł. – Japończycy zabierają nam wszystkie duże ryby, przyplływają wielkimi statkami i używają pławnic. Mieliśmy mnóstwo ryb, ale teraz jest ich niedużo i same małe. Kokosy i kopra nic nie znaczą. Nie mamy nic.

– A inna praca?

– Nie ma pracy, bo przyjeżdża za mało turystów – stwierdził. Zastanawiał się przez chwilę. – Wiemy, że gdzie indziej jest taniej. To dla nas wielki problem. Nie wiemy, co robić.

Trawił ich lęk przed nędzą. Bali się, że Francja zwinie parasol i stracą pomoc. To lęk bodaj podobny do obawy kobiety przed rozwodem, obawy, że zostanie sama i zdana na własne siły, nawet jeżeli mąż jest oportunistą i wyzyskiwaczem.

– Niepodległość – tak, niektórzy jej pragną. Może przyjsć. Ale co z nią poczniemy?

Paradoks Polinezji Francuskiej wydał mi się szczególnie zawiły, kiedy Taemu, rodzimy mieszkaniec krainy nazywanej najpiękniejszym miejscem na świecie, powiedział:

– Przecież nie mamy z czego żyć.

## rozdział\_dziewiętnasty\_

### Podróż na Markizy

**Nie dało** się wsiąść na statek na Markizy, gdzie spoczywają doczesne szczątki Paula Gauguina, i nie przyglądać się pasażerom, rozmyślając o tajemniczym obrazie tego malarza zatytułowanym *Skąd przychodzimy? Kim jesteśmy? Dokąd zmierzamy?*

Ludzi raczej nie da się przeświecić na pierwszy rzut oka, ale nie mogłem się powstrzymać przed szufladkowaniem palaczy, pijaków, pyszałków, fanatyków i Niemców. Oto niewątpliwie nowożeńcy w podróży poślubnej, ten tam to uciekinier, no i czemu ów starzec chudy jak szczapa – wypisz wymaluj Gandhi – paraduje w samych, i to skąpych, kąpielówkach? Dwie wytatuowane lesbijki w obcisłych portkach wyglądały raczej zastraszająco. Matka i jej podstarzały już syn wydali mi się wzruszający, kiedy oparci o reling dzielili się papierosem. Natomiast zwaliści i ogorzali Australijczycy z kwiatkiem wetkniętym za ucho wzbudzali niepokój. Najbardziej nerwowi pasażerowie byli nieco spięci, ulegali najprostszym impulsom i na jaw wyłaziły ich charaktery narodowe. Francuzi zachowywali się butnie, Niemcy zaborczo, Australijczycy pili, Amerykanie chcieli się bratać z każdym, a wenezuelskie małżeństwo trzymało się za ręce.

Ale jakże nietrafnie oceniłem większość z nich. „Nowożeńcy” okazali się małżeństwem od trzech lat, „uciekinier” był zwykłym dentystą, „Gandhi” zaś wiekowym entuzjastą świeżego powietrza, rzekome „lesbijki” okazały się matką i córką, z kolei „matka i syn” byli małżeństwem, Amerykanami, a byki z Melbourne urzekły mnie tolerancją. Czyniłem jakiś przytyk pod adresem którejś z pasażerek, a oni kręcili przecząco głową i mówili: „Według nas jest *fantastyczna!*”.

Ale to wszystko ustaliłem później. Tymczasem adaptowaliśmy się do przydługiej, bo osiemnastodniowej podróży po Markizach. Co prawda Herman

Melville spędził na tych wyspach bodaj dziesięć dni więcej, ale zaowocowało to całą książką, *Taipei*, pierwszą i najbardziej poczytną w jego dorobku.

Otrzymał tytuł od nazwy doliny na wyspie Nuku Hiva, gdzie Melville jakoby mieszkał (rozwlekły i przesadzony podtytuł pierwszego wydania powieści głosił: „Opowieść o czteromiesięcznym pobycie wśród mieszkańców pewnej doliny na Markizach”), *Taipei* ukazała się w 1846 roku i natychmiast odniosła oszołamiający sukces. Zawiera wszystko, czego trzeba bestsellerowi, a mianowicie: seks, nagość, owoce zrywane prosto z drzewa, wojnę i ludożerstwo. Karmi samą esencją romantycznych przygód kojarzonych z wyspami mórz południowych i dostarcza kolejnych dowodów na to, że Polinezja jest rajem. Będący *alter ego* autora narrator Tommo ucieka na wyspie Nuka Hiva ze statku dowodzonego przez brutalnego kapitana. Najpierw wędruje pośród życzliwych Happarów, ale wkrótce trafia do ludożerczych mieszkańców doliny Taipei, którzy na niego polują. Powieść jest połączeniem traktatu antropologicznego z literaturą podróżniczą i przygodową i jeszcze dzisiaj nie tylko wciąga, lecz również uczy. Pisząc tę książkę, sam Melville oddawał się swoistemu ludożerstwu, wykrawając i ofiarując surowe i ociekające krwią fragmenty i perypetie z dzieł innych autorów, którzy spisali opowieści świadków naocznych o życiu na Markizach.

Z punktu widzenia masowego czytelnika najbardziej atrakcyjnym wątkiem powieści jest historia miłosna, opowieść o namiętności Tomma do smagłej, zachwycającej Faiewei. Jak przekonuje zwłaszcza pierwsze, nieocenzurowane wydanie powieści, Melville nie stronił od zmysłowości, opisując kąpiele i igraszki Tomma z młodymi wyspiarkami, posiłki i palenie tytoniu z Faiewei, która niekiedy przywdziewała spódniczkę z tapy, tkaniny robionej z kory drzew, ale najczęściej występowała w „letnim ubiorze z Raju”<sup>[55]</sup>, czyli w stroju Ewy. W najbardziej rozpalającej wyobraźnię przeciętnego czytelnika scenie Tommo zabiera Faiewei w idylliczny rejs kanu przez jezioro w dolinie Taipei. Figlarna Faiewei wstaje, zdejmuje narzutkę z tapy i rozpościera ją, żeby wypełniła się wiatrem. I oto nagie „dziecię natury” staje się najpiękniejszym masztem, zamieniając kanu w żaglówkę, która ślizga się po jeziorze, podczas gdy wiatr rozwiewa „długie kasztanowe sploty Faiewei”<sup>[56]</sup>.

Właściwie tylko tyle wiedziałem o Markizach, nie licząc faktu, że Gauguin postanowił spędzić ostatnie lata życia na innej wyspie tego archipelagu, Hiva Oa.

Markizy są nieliczne i dalekie. Leżą o trzy dni żeglugi od Tahiti, jeszcze szmat drogi za rozciągniętym archipelagiem Tuamotu. Kilkanaście wysp, z których tylko sześć jest zamieszkaną, w sumie przez zaledwie siedem tysięcy osób. To suche dane, ale miałem lepsze powody, żeby tam jechać. Powiadano, że Markizy przyćmiewają nawet Tahiti i Mooreę, wobec czego właśnie im należy się miano najpiękniejszych wysp na świecie. Z powodu urwistych brzegów, kiepskich kotwicowisk i niewielu portów rzadko są odwiedzane przez żeglarzy. Na tych wyspach nadal jest wiele „gajów tabu”, opisanych przez Melville’a, a że nigdy nie prowadzono w nich wykopalisk, Markizy kryją mnóstwo archeologicznych tajemnic. Dalekie, trudne do przemierzenia, rzadko odwiedzane. Niczego więcej mi nie trzeba. Samo to, że mało kto jeździ w dane miejsce, jest najlepszym powodem do jego odwiedzenia.

Aranui był jednym z frachtowców kursujących do archipelagu Markizów. Oprócz niego jeszcze dwa inne okręty handlowe zabierały pasażerów, a rejs ten można też było odbyć na luksusowym Wind Song, bardzo szykownym, niesłychanie drogim, wyposażonym w butiki i nieprzewożącym ładunku wycieczkowcu. Aranui wiózł pełną ładownię towarów, czterdziestu kilku pasażerów w kabinach i nieokreśloną – zmieniającą się w trakcie rejsu – liczbę osób śpiących na matach i dzielących prowizoryczne wezglowie na pokładzie rufowym. Ale w Polinezji Francuskiej nic nie jest tanie. Faceci z Melbourne płacili po tysiąc czterysta dolarów za spanie na mostku, co wprawdzie obejmowało posiłki, ale w nocy słyszeli buczenie wentylatorów, gwizdanie wiatru w olinowaniu, chlupotanie morza.

– Bez stoperów w uszach się nie zaśnie – stwierdził jeden z nich.

Ja zapłaciłem dwa tysiące dolarów za ciasną kabinę na wysokości linii wodnej, którą dzieliłem z młodym Argentyńczykiem, señorem Pillitzem. W bardziej wietrzne dni, kiedy bulaj omywały spienione fale, czułem się jak w pralni samoobsługowej.

W owej kabince miałem tak mało miejsca, że nie pozwolono mi zabrać składanego kajaka. Zakaz ten okraszono uwagą, że oddają mi w istocie wielką przysługę, strzegąc mnie przed fatalną pokusą, bo gdybym wyprawił się kajakiem na wody wokół Markizów, to z pewnością zginąłbym marnie w odmętach wzburzonego morza u tych niegościnnych brzegów.

Światła migotały na zboczu Orohenu, kiedy wypłynęliśmy z portu w Papeete i ruszyliśmy na północny wschód przez zatokę Matavai. Po kilku kilometrach minęliśmy cypel półwyspu Wenus. W 1769 roku kapitan Cook rozbił tam obóz, żeby obserwować tranzyt Wenus, a później kapitan Bligh zbierał na tym półwyspie drzewa chlebowe, które zabrał na Bounty. Skoro tylko znaleźliśmy się na pełnym morzu, zszedłem na dół, żeby przetrząsnąć okrętową bibliotekę. Wtedy już na burcie Aranui napierał Prąd Południoworównikowy, a że zaczęło też mocno wiać, poczułem mdłości.

Kołysanie statku kazało mi mało jeść, a po kolacji zszedłem znowu do biblioteki, gdzie czytałem *Anioła przy moim stole*, drugi tom autobiografii nowozelandzkiej pisarki Janet Frame. Środkowa część tej książki opowiada o pobycie autorki w szpitalu psychiatrycznym. Nie mogłem się oderwać od tej historii, którą Frame opisała bez cienia goryczy bądź litowania się nad sobą. Kiedy czytałem o próbie samobójczej, o terapii i o niewątpliwym obłędzie – Frame pisze o sobie *per* „wariatka” – okręt kiwał się i kołysał. Niektórzy inni pasażerowie również odkryli azyl biblioteki, a kiedy jeden z nich wydał policzki, wytrzeszczył szkliste oczy, po czym głośno i obficie zwymiotował na podłogę, umknąłem na pokład, żeby odetchnąć świeżym powietrzem.

Płynęliśmy prosto w sztorm i przez całą noc statkiem miotało na wszystkie strony. Rano pasażerowie próbowali robić dobrą minę do złej gry.

- Hopsa! Jeszcze jedno salto!
- Rozlałem herbatę.
- Ja rozleję coś gorszego, jeśli to się nie skończy!
- Ta kobieta śmieje się diabolicznie – wymamrotałem.
- Według nas jest *fantastyczna*!

Zła pogoda i wzburzone morze zachęcają do błaznowania i wzmagają poczucie uwięzienia. Pasażerowie siedzą pod pokładem i nieszczercze chichoczą. Tamtego dnia i przez większość następnego ludzie się zataczali



i przewracali. No i całkiem nieoględnie opowiadali o rzyganiu. Większość nakleiła za uszami plastry strzegące przed chorobą lokomocyjną. Bezskutecznie. Chyba wypada uwierzyć w mądrość ludową, że jedynym lekarstwem na chorobę morską jest siedzieć po zacienionej stronie w wiejskim kościele.

*Señor Pillitz* żalił się, że w nocy okropnie chorował, i stwierdził, że czuje się rozpaczliwie – „między mieczem a murem” (*entre la espada y la pared*), jak mawiają w Argentynie. Był zaiste krynicą mądrości życiowych i zabawnych powiedzonek. Później, w jakimś posępnym miejscu w Tuamotu, rozejrzał się wokół i rzekł:

– Nigdy nie znajdzie się tu nic prócz trzech szurniętych kotów (*tres gatos locos*).

Poczułem się niemal jak wilk morski, kiedy *señor Pillitz* powiedział, że na tę podróż zarobił na statku, siekając warzywa w trakcie rejsu z Buenos Aires do Rotterdamu. Znał więc co nieco morza i oceany.

Podczas śniadania talerze leciały na podłogę, spadały i rozbijały się butelki. Pan Werfel potknął się i padł u stóp Dennisa i Bev z Vancouver. Później tego ranka facet, który ciągle narzekał („Jak zrobić, żeby gran działał?”, „A co jak będę chciał zamknąć gorącą fotę?”, „Co się dzieje z tym wenilatorem?”), spadł z krzesła w bibliotece i zaczął jęczeć. Leżał na boku. Powiedział, że nie da rady wstać.

– Musiałem słamać żebro czy coś.

Pochodził z Europy Środkowej i nadal miał raczej teutoński niż amerykański akcent.

– Niech pan głęboko zaczerpnie powietrza – poradziłem.

Zrobił to i skrzywił się.

– Boli?

– Tak jakpy.

Odniosłem silne wrażenie, że udaje, a kiedy przestaliśmy się nim interesować, jakoś się pozbierał i wyszedł. Poczuł się lepiej, kiedy kapitan oprowadził go po mostku, po czym w następnych dniach pierwszy sprawdzał „mapę pokoty”, jak mówił, żeby zobaczyć, czy nie płyniemy w następny sztorm.

Drugiego dnia, kiedy morze złągodniało, na horyzoncie ukazał się szereg zielonych pasków. To zewnętrzne wyspy Tuamotu, łańcucha płaskich atoli koralowych, wśród których jest i Mururoa. Od 1966 roku Francuzi wykorzystują Mururoę jako miejsce prób nuklearnych i niemalże udało im się sprawić, że ten atol przez wiele pokoleń nie będzie nadawał się do zamieszkania. Zdetonowano przeszło sto sześćdziesiąt ładunków nuklearnych, bomb atomowych, wodorowych, neutronowych. Prób dokonywano również w stratosferze, za pomocą balonów wynosząc ładunki wysoko nad Tuamotu. Obecnie eksplozje – średnio biorąc, osiem rocznie – przeprowadza się w rdzeniu rafy koralowej lub pod wodą, a im ostrzej świat krytykuje Francuzów za powodowanie skażenia i sprowadzanie niebezpieczeństwa, tym bardziej stanowczo władze francuskie bronią się przed jakąkolwiek inspekcją. Zdarzały się wycieki plutonu i odpadów radioaktywnych, największe w 1979 i 1981 roku. Ale nawet gdy Francuzi zobaczyli, jakie zniszczenia spowodowali w atolu Mururoa, nie zaprzestali przeprowadzania w nim prób. Jedynie ograniczyli liczbę eksplozji, a testowanie ładunków o największej sile przenieśli do sąsiedniego atolu Fangataufa.

Autorzy nawet najprostszych przewodników piętnują Francję za próby nuklearne na Pacyfiku. „Spowodowane przez Francję skażenie radioaktywne archipelagu Tuamotu nie zniknie przez tysiące lat”, pisze David Stanley w *The South Pacific Handbook*. Ze słusznym oburzeniem dodaje: „Najbardziej przerażającym aspektem tego skażenia są nieznane przyszłe skutki. Każda kolejna eksplozja przyczynia się do ludobójstwa, którego Francja dopuszcza się na Pacyfiku”.

Liczne mielizny i brak bezpiecznych portów okryły archipelag Tuamotu sławą jednego z największych pożeraczy okrętów na świecie.

Pod księżycem o barwie sera cheddar, który przedzierał się w górę przez czarne łachmany chmur i rzucał mieniącą się strugę światła na pomarszczoną powierzchnię tropikalnego morza, załoga frachtowca opróżniała klekoczące beczki, wyrzucając za burtę zużyty papier, plastikowe butelki, zgniecione puszki po konserwach i łupiny warzyw, co morze przyjęło na pozór bez sprzeciwu, ponieważ śmieci bądź to zatoneły, bądź też unosiły się dostojnie na

powierzchni w tym zapadłym i spokojnym miejscu i w blasku księżyca zdawały się świecić własnym pięknie opalizującym światłem.

Trzeciego dnia obudziło mnie zgrzytanie dźwigów i pokrzykiwanie ludzi. Przez bulaj dostrzegłem dużą szalupę typu welbot, wiozącą ładunek do małej wioski na brzegu mającego kształt croissanta atolu Takapoto. Staliśmy w miejscu zbyt głębokim, żeby rzucić kotwicę, a że w atolu nie mieli portu, frachtowiec po prostu kołysał się z dala od wyspy, ładunek zaś przewożyły kursujące tam i z powrotem welboty. W trakcie całej podróży tylko w jednym miejscu cumowaliśmy przy nabrzeżu, na które opuszczono schodnię. Wszędzie indziej na ląd dostawaliśmy się welbotami, co oznaczało przeprawę wcale niełatwą i nieraz związaną z przemoczeniem się. Mogłoby to być wręcz nie do zrobienia w przypadku starszych pasażerów, gdyby nie potężni marynarze markizańscy, którzy po prostu najpierw wkładali słabszych pasażerów do welbotu, a potem na skraju huczącego przyboju wyjmowali ich z szalupy i zanosili na rękach na brzeg niczym dzieci. Kruche i popiskujące kobieciątka w mocarnych i wytatuowanych ramionach marynarzy.

Ci sami mocarze przenosili również ładunek. Trzydzieści godzin kursowania wyładowanymi po brzegi sześciometrowymi welbotami tam i z powrotem czterysta metrów od frachtowca do molo. Przywieziono wszelkiego rodzaju artykuły spożywcze i użytkowe. Chleb, papier toaletowy, podpaski, wodę mineralną, płatki śniadaniowe, komplet mebli złożony z dwóch foteli i kanapy w barwie zielonego groszku, a chociaż w wodach atolu roiło się od morskich stworzeń, również wielkie kartony konserwowych ryb. Dwa welboty wyładowano po brzegi kartonami z mrożonym kurczakiem firmy Tyson z Arkansas. Oprócz tego oczywiście materiały budowlane, drewno, cegły, rury, cement. No i ryż, cukier, mąkę, benzynę i butle z gazem. Wiele z tych artykułów sownie dotowały władze francuskie. Na przykład ryż kosztował dziesięć dolarów za dwanaście kilogramów, co daje niewiele ponad trzydzieści sześć centów za funt. Skrzynka za skrzynką ładowano napoje, piwo Budweiser i Hinano, herbatniki firmy Arnott's w czteroipółkilogramowych puszkach, kartony przekąsek, w tym zwłaszcza chrupek serowych Planters.

Nad molo w Takapoto wisiał dławiący odór psującej się kopry, która niczym góra deseru z zeszłego tygodnia zalegała w pękających w szwach

i cicho buczących od owadów worach. Kopra ma wygląd brunatnych skorupki, a jest wysuszonym bielmem orzechów kokosowych, używanym do tłoczenia oleju. Francuzi sownie dotują wytwarzanie kopry, płacąc sześćset pięćdziesiąt dolarów za tonę, żeby produkcja była opłacalna. Ale wyspiarze nie palą się do tej pracy, zbiory kokosów spadają, albowiem prościej jest sprowadzać tanią koprę z Fidżi, gdzie producent dostaje sto dolarów za tonę.

Pal licho koprę, powiadają mieszkańcy Takapoto, prawdziwe kokosy można zbić na czarnych perłach. Zarodki pereł wprowadza się do płaszcza muszli wielkiego perłopława o czarnych brzegach skorupy, który szczególnie upodobał sobie laguny wokół Takapoto, a jeżeli operacja przebiegnie pomyślnie, to po trzech latach poławiacz pereł może się stać bogaczem.

Bardzo szybko i energicznie hodowlą czarnych pereł zajęli się Japończycy i dzisiaj – czemu nikt się nie dziwi – niemal zupełnie opanowali ten rynek, poczynając od wszczepiania zarodków, przez wytwarzanie sznurów pereł, po handel nimi. Mimo to poławiacze pereł nadal zbijają prawdziwe fortuny na niektórych atolach Tuamotu, chociaż na ogół są to niemal bezludne wysepki – ot, plaża koralowa, kilka palm i wałęsające się psy.

Nie minęła godzina mojego pobytu na Takapoto, gdy podeszła do mnie kobieta o imieniu Cécile i po francusku zapytała, czy chcę kupić czarne perły. Dodała, że pochodzą z sąsiedniego atolu Takaroa, gdzie poławia się najpiękniejsze perły barwne.

– To mój syn – powiedziała jeszcze Cécile.

Ale chłopak nie zwracał na nas uwagi. Przez słuchawki słuchał jakiejś rockowej kasy, a głośność podkreślił tak, że i ja słyszałem łomot, który zagłuszał odgłosy przyboju, a nawet szczekanie psów. Tak, szczekanie, albowiem ciągnęło za nami z dziewięć ujadających kundli.

Cécile zachowywała się bardzo spokojnie i otwarcie. Targowanie się nie jest przyjęte w Polinezji. Po prostu odsunęła przykrywkę pudełka po zapałkach, pokazała mi cztery perły – jedną wielkości łyzy, drugą guzowatą i dwie okrągłutkie – i podała cenę. Za tę sumę można by kupić trzy krzykliwe koszule tahitańskie albo zjeść dwa posiłki w Papeete.

– Załatwione – powiedziałem i wręczyłem jej pieniądze.

Gdyśmy wracali na molo, gdzie zebrali się wszyscy mieszkańcy atolu („Czterystu plus dzieci”, jak rzekła Cécile), nadal szły za nami psy, z tym że teraz już z piętnaście.

– Wszędzie te psy – rzekłem. Rozmawialiśmy po francusku.

– Dużo ich – powiedziała Cécile, nawet nie spojrzawszy.

– Na Markizach jedzą psy – rzuciłem, chcąc być delikatny.

– My też jemy! – zawołała Cécile dumnie i jak gdyby w trybie pouczenia mnie.

Nagle dostrzegłem coś psiego w jej rysach. Zęby wydały mi się ostrzejsze niż przedtem, nos wilgotny, policzki nieco obwisłe, oczy dziwnie tęskne.

– Jak smakuje psie mięso?

– Jak stek.

Większość amatorów psiego mięsa dusi je, bo jest bardzo twarde, ale Francuzi tak spopularyzowali w koloniach steki i frytki, że najwyraźniej wpłynęło to na sposób przyrządzania potraw z psa.

– Antrykot, stek, a zrazy też?

Wzruszyła ramionami i rzekła:

– No pewnie.

– Jecie żółwie morskie? – zapytałem.

Na Takapoto zauważyłem, że wiele skromnych, podobnych do pudełek chat wyspiarzy ozdobiono skorupami tych zagrożonych wymarciem zwierząt.

– Uwielbiamy żółwie – odparła Cécile. – Gotujemy z nich zupę.

Okazało się, że na tego rodzaju atolach, gdzie jest obfitość ryb i palm kokosowych, łatwo się wyżywić. Mieli tam nawet świnie. Mogliby się obyć bez psów, ale jak stwierdziła Cécile, jedli je, bo są smaczne. Poza tym spożywali ryby, ryż i kokosy. Kiedy przypląwał Aranui, pojawiały się marchew i cebula. Nikt na Takapoto nie uprawiał ogrodu, bo nie nadawała się do tego ziemia, a raczej pokruszona skała koralowa, na której rosnąć mogły tylko palmy i pierzaste rzewnie australijskie.

Na pomoście spotkałem Amerykanina o imieniu Tim. Wyglądał na surfera. Pochodził z Kalifornii i podróżował z atolu na atol, łapiąc następczające się okazje. Na Takapoto siedział już kilka miesięcy. Atol ten polubił bardziej od wszystkich, jakie wcześniej odwiedził. Zapytałem dlaczego.

– Przede wszystkim niewiele tu rekinów, a jak są, to małe – odparł. – No i ludzie naprawdę życzliwi. Zjawia się pan i od razu pana sadzają i dają jeść, nawet jeżeli nie mają nic więcej, a dzieci jeszcze nie jadły.

– Wydawało mi się, że na takich wyspach musi brakować jedzenia – powiedziałem.

– O nie, jest go więcej, niż pan myśli – rzekł Tim. – Te chaty wyglądają biednie, ale w każdej jest telewizor, magnetowid, kuchenka gazowa i zamrażarka. Mrozą złowione ryby, które potem sprzedają przepływającym statkom. Aranui zabierze duży ładunek.

– Czy to jest źródło ich dochodu?

– Tak, głównie. Oprócz zasiłku na dzieci nie dostają pieniędzy od Francji. No, jeszcze kopra jest dotowana. Poza tym sami muszą zadbać o siebie.

– Zauważyłem, że przywieziono wcale niemało skrzynek whisky.

– Mają tu problem z piciem – rzekł Tim. – To faktycznie na nich działa. Robią się bardzo gwałtowni, jakby alkohol zamieniał ich w innych ludzi. W ubiegłą sobotę w nocy doszło do paru poważnych bójk.

Nadal rozładowywano transport, w tym alkohol. Obok nas przechodzili obładowani marynarze, zapadając się po kostki w pokruszonej koralowej skale.

– Mówią, że za butelkę jacka danielsa zrobią wszystko, dosłownie wszystko – powiedział Tim.

– A gdybym podarował im skrzynkę?

– Dostałby pan pewnie garść czarnych pereł.

Dziwny, jakby dopiero co wyłoniony z morza skrawek lądu, wystający metr nad powierzchnię na środku oceanu, płaski, prawie niezalesiony, pozbawiony traw – i garstka ludzi na nim. Gdyby nie perły, zapewne zapomniano by o nim i zostawiono go w spokoju. Widząc całą ludność atolu zgromadzoną w gasnącym świetle przy nabrzeżu, pomyślałem o ludziach żyjących na skałach koralowych, kruchych istotach uczepionych najkruchszej z kruchych żywej skały. Cały atol sprawia wrażenie jednego delikatnego organizmu.

Już w nocy, kiedy załadowano ostatnie worki kopry, siedziałem w towarzystwie kilkorga markizańskich pasażerów, a więc Thérèse, która pracowała jako pielęgniarka, Charles'a, potężnie zbudowanego byłego

żołnierza armii francuskiej, który brał udział w akcji w Czadzie, na dowód czego pokazał kilka blizn po kulach („Afrykanie to prawdziwe dzikusy”, powiedział), i który wplatał delikatne białe kwiaty *tiare* w długie do ramion włosy, oraz Jeana, który twierdził, że jest potomkiem ostatniego króla Markizów i właśnie wracał z Tahiti, gdzie przetrząsał rejestry urodzeń i genealogie, żeby znaleźć dowód swojego królewskiego pochodzenia.

Nie znali się przedtem, ale spotkawszy się na statku, trzymali się razem i zgadzali niemal we wszystkim. Nie cierpieli tahitańskich polityków i sprzeciwiali się francuskim próbom nuklearnym. („Wszyscy są temu przeciwni. To zatruwa całą przyrodę, morze, ryby i powoduje choroby”, powiedziała Thérèse). Pragnęli niezależności Markizów od reszty Polinezji.

– Chcemy wolnych Markizów – stwierdził Charles, po czym niekonsekwentnie dodał: – Obojętne, czy są tutaj Francuzi czy ich nie ma. Po prostu nie chcemy tahitańskiej polityki.

Powtórzył również opinię powszechną wśród Markizańczyków, a mianowicie że Markizy to rodzina, wielka katolicka rodzina. Pogardzali resztą Polinezji za odejście od prawdziwej wiary w szeregi mormonów lub świadków Jehowy.

Przed zejściem na dół zauważyłem, że Patrick, jeden z facetów z Melbourne, patrzy w morze oparty o reling.

– Oglądał pan film *Kokon*, w którym bohaterowie wsiadają do łodzi, a ona zostaje przeniesiona na inną planetę? – zapytał. Uśmiechnął się. – Kiedy zobaczyłem, jak nasza ekipa gramoli się na pokład, pomyślałem: o kurczę, trzymaj się chłopie, zaraz odlecimy w kosmos!

W pewnym sensie miał rację. Markizy to osobny świat. Czekają nas półtora dnia żeglugi, żeby z Takapoto dotrzeć do pierwszej z tych wysp.

Wtedy już znałem wielu innych pasażerów. Señor Pillitz w swoim czasie pracował jako kelner w Ritzu w Londynie, ale gdy pewnego wieczoru wylał całą wazę zupy cebulowej na kark pewnej kobiety („Miała piękną zieloną suknię”), uznał, że powinien raczej poświęcić się fotografii. Niemcy trzymali się w swoim gronie, okupowali najlepsze krzesła, zgarniali najlepsze jedzenie i powodowani instynktem najeźdźców krążyli po całym statku i anektowali najbardziej atrakcyjne miejsca. Carmelo i Amelia z Wenezueli wiele

podróżowali po świecie. Najbardziej lubili i podziwiali Indie, „z powodu kultury”. Ross i Patrick, którzy pierwszy raz wyrwali się z Melbourne w szerszy świat, uważali wszystko za po prostu fantastyczne. Horace, neurochirurg z Sarasoty, zadziwił mnie opowieścią o operacji usuwania guza mózgu, w czym się specjalizował. Po otwarciu puszeki mózgowej przez wycięcie otworu za uchem u podstawy czaszki tkankę tumoru usuwa się niebywale powoli, „jak gdyby wybierało się piasek, ziarnko po ziarnku, tak że pod koniec operacji chirurg jest tak zmęczony, że łatwo może mu zdrzeć rękę i uszkodzi kluczowy nerw”. Philippe, też lekarz, miał tahitańską babkę i odbywał obowiązkową służbę wojskową w szpitalu w Papeete. Pascale, młoda ładna Francuzka, która z wyjątkiem pory posiłków chodziła topless, pracowała jako pielęgniarka w tymże szpitalu i asystowała przy narodzinach syna Cheyenne Brando.

– Ta Brando to dziwna dziewczyna. Nie pozwalała nikomu się dotknąć. Nie mam pojęcia, jak ta niedotykała zaszła w ciążę.

Mieszkanka Chicago, która nazwała się Sengą, bo nie znosiła swojego imienia Agnes i czytała je wstak, powiedziała, że ma siedemdziesiąt lat i wybrała się w tę podróż, ponieważ chce spróbować wszystkiego, zanim umrze. Płynął z nami spalony słońcem Francuz, którego nazwaliśmy Pinky i który w stanie upojenia, w jaki wprawiał się co wieczór w barze na pokładzie C, wychwalał rasistę Jeana-Marie Le Pena. Jego nieubłaganą nemezis była *madame* Wittkop, którą nazywał Hrabina. Hrabina mawiała często, że jest potworem, ale tymczasem niczym szczególnym się nie wyróżniła. Podobnie jak inni.

**Po czterech** i pół dnia od wypłynięcia z Papeete dotarliśmy na pierwszą z wysp Markizów, niedużą Ua Pou.

Kilkoro pasażerów orzekło, że Ua Pou wcale nie wygląda jak wyspa mórz południowych. Melville przewidział taką reakcję. „Ci, którzy po raz pierwszy odwiedzają morza południowe, są na ogół zaskoczeni wyglądem tych wysp od morza. Na podstawie mglistych relacji o ich pięknie, jakie czasem do nas docierają, wiele osób jest skłonnych wyobrazić sobie barwne, łagodnie



pofalowane równiny, ocienione cudnymi gajami i zwilżane przez szemrzące strumyki, całą zaś okolicę niewiele tylko wzniesioną ponad otaczający ją ocean”<sup>[57]</sup>, pisał w *Taipei*.

„Rzeczywistość jest zgoła inna – ciągnął, a chociaż odnosił się do Nuku Hivy, równie dobrze mógł był opisywać Ua Pou. – Głównymi cechami charakterystycznymi tych wysp są strome skaliste brzegi, gdzie fale przyboju wystrzelają wysoko, uderzając o wyniosłe urwiska, brzeg tu i ówdzie przerywany głębokimi zatoczkami, które ukazują gęsto zadrzewione doliny, poprzedzielane ostrogami górskimi, porośniętymi bujną trawą i opadającymi ku morzu od strony górzystego, pobrużdżonego wnętrza”<sup>[58]</sup>.

Najbardziej zaskakującym elementem pejzażu są skały, a zwłaszcza to, jak piętrzą się ich pinakle. Wysokie, a gdzie porośnięte, tam ciemnozielone. Niektóre wyglądają niczym wielkie spiczaste kapelusze czarownic, inne jak iglice i kopuły. Wszystko zerodowane, chude, pionowe, a klify czarnych skał spadają prosto w morze i spieniony przybój. Gdzie piaszczyste plaże? Gdzie przejrzyste laguny? O, niewiele ich na Markizach i niełatwo je znaleźć. Nie sposób wyrazić, jak bardzo urwiste i poszarpane są góry na tych wyspach, trudno opisać niemal niedostępną stromość wzniesień i pustych dolin. A u szczytu każdej doliny z gór spada huczący wodospad, mający nawet sto lub więcej metrów wysokości.

Na ląd zeszedliśmy w Hakehau, miasteczku nad przytulną zatoczką, po czym señor Pillitz i ja, nagabywani przez pewnego Francuza, który rozpaczliwie potrzebował klientów, wybraliśmy się na dwugodzinną wycieczkę na kamienistą plażę w Hohoi, gdzie widzieliśmy kasztanowego konia.

– I dwa szurnięte koty – dodał señor Pillitz, robiąc zdjęcie.

Po kilku minutach Francuz stwierdził, że musimy wsiąść. Land rover zagrzebał się w rozmokniętej drodze. Wypychając grata z błota, nadwerżyłem kręgosłup. Po powrocie do Hakehau Francuz zainkasował od nas po dwadzieścia dolarów i namawiał, abyśmy dorzucili jeszcze dwadzieścia za opracione zdjęcia wulkanów, które nam zaoferował. Wróciliśmy w samą porę, żeby obejrzyć występ piętnastu młodych mężczyzn prezentujących tak zwany taniec świni. Młodzieńcy pochrząkiwali, pokwikiwali i zwinnie łazili na czworakach. Zakończyli występ gromkim okrzykiem, po czym uraczono nas

uczta. Podano langustę, ośmiornicę, owoce chlebowca, banany oraz *ia ota*, czyli potrawę z surowego tuńczyka marynowanego w soku limonowym i mleku kokosowym, którą Francuzi nazywają *poisson cru*.

Wracając spacerem na statek, chłonałem rozkoszny zapach *noa noa*, kwitnących krzewów, gdy nagle natknąłem się na liczną rodzinę, która za żywopłotem z hibiskusa za pomocą siekier i maczet ćwiartowała ubitą krowę. Obdzierali truchło ze skóry i od razu rozbierali mięso, podczas gdy opodal siedem psów zaciekle walczyło o okrawki. Przed samym odjazdem spostrzegłem, że ludzie ci wbiegają po trapie, dźwigając na ramionach wypchane worki z mięsem. Płynęli na inną wyspę, zaopatrzeni w wołowinę, która im wystarczy na co najmniej miesiąc.

Po południu Aranui przepłynął na drugą stronę wyspy, gdzie przystanął w zatoce, nad którą leży wioska Hakehetau. Marynarze zawieźli tam welbotami butle z gazem i inne zaopatrzenie. W powietrzu roiło się od ptaków, rybołówek brunatnych, białych rybitw, szarozółtych ziarnojadów i szybujących po dwie lub trzy fregat. Wysoko na stokach gór widziałem stada dzikich kozic, które wyskubały góry do gołej skały.

Potem, po dziwnie spokojnym, gładkim morzu, które w świetle złotego zachodu zdawało się wielką kałużą roztopionego złota, popłynęliśmy w kierunku Nuku Hivy i w nocy rzuciliśmy kotwicę opodal Taipivai, w zatoce, gdzie nie ma nabrzeża ani miejsca do cumowania, a jest tylko piaszczysta łąka u ujścia rzeki.

Nazajutrz pyrkoczącymi welbotami popłynęliśmy dość daleko w głąb doliny rzeki i zeszliśmy na ląd w wiosce Taipivai. To w południowo-wschodniej części Nuku Hivy. W znajdującym się tam świętym gaju ów mężczyzna, którego wziąłem za Gandhiego, pierwszy raz objawił swoją wyjątkowo ohydłą manię. Otóż na każdym starożytnym kamiennym podeście i przed każdą *tiki* odwracał się do nas plecami, obciągał kąpielówki i wzdychając z rozkoszy sikał na szlachetne ruiny. Zauważyłem to właśnie w Taipivai, a potem widziałem, że Gandhi – z powodów, których nigdy nie odgadłem – profanował wszystkie *marae* w każdym zakazanym gaju, jaki odwiedziliśmy na Markizach.

– Fuj, co za obrzydliwy typ – mruknąłem.

– Czy to nie *fantastyczne*?!

Powiedziałbym jednak, że ów maniak wcale nie zachowywał się gorzej od misjonarzy, którzy kastrowali te rzeźby. Wszystkim posągom obtłuczono przyrodzenie, w imię Boga Wszechmogącego wszystkie przewrócono. „Ale cóż to ma za znaczenie! – sarkastycznie wołał Melville. – Popatrzcie na prześwietne wyniki! Ohyda pogaństwa ustąpiła miejsca czystym obrzędom chrześcijańskiej wiary, a ciemny dzikus został wyparty przez ogładzonego Europejczyka!”<sup>[59]</sup> Niektórzy krajowcy odpłacali pięknym za nadobne i powiadano, że nawet posągi się buntują. Według Markizańczyków *tiki* „żyją” i potrafią się mścić. Kto rozgniewa te otyłe czarne demony, które wyglądają jak bóstwa cierpiące na zatwardzenie, tego czeka nieszczęście lub nawet śmierć.

Melville przez lwią część miesiąca spędzonego na Markizach przebywał właśnie w okolicy Taipivai. Nazwa tamtejszej doliny stała się tytułem jego powieści. Słowo *vai* oznacza zaś wodę i ma bardzo podobne odpowiedniki w całej Polinezji.

Ruiny i *tiki* znajdujące się zaraz za Taipivai to nie wszystko. W przesyconej wonią dzikiej wanilii dolinie wszędzie natrafia się na ruiny, chociaż są tak zarośnięte przez dżunglę, że nieraz trzeba dobrze wyteńczyć wzrok, żeby je dostrzec. Ale gdy popatrzymy uważnie, zobaczymy kamienne mury, podesty, budowle podobne do ołtarzy, rzeźby i petroglify oplecione pnączami i pogruchotane przez rozsadzające je drzewa – najczęściej figowce, które na tych wyspach kojarzono z miejscami kultu.

I tak jest wszędzie na Markizach. Całe stoki wzgórz porośnięte dżunglą kryją ogromne ruiny czarnych głazów. Pod tym względem Markizy przypominają Belize i Gwatemalę – tak są pełne przewróconych wielkich budowli, dziwnych rzeźb i murów. Zachowane mury są podobne do budowli Majów. W tych tropikalnych lasach żyło kiedyś wielu ludzi, którzy wznosili wielkie domy. Liczba ludności musiała być naprawdę duża. Szacuje się, że w czasach pierwszego spotkania z przybyszami z dalekiego świata Markizy zamieszkiwało przeszło dziesięć razy więcej ludzi niż dzisiaj (według jednej z hipotez osiemdziesiąt tysięcy osób). Pierwszym emisariuszem szerszego świata był kapitan Ingraham z Bostonu, chociaż wyspy te odkrył już

wszędobylski Hiszpan de Mendaña, który na cześć swojego patrona, markiza de Mendozy, nazwał je Las Marquesas.

Co się stało z tymi wszystkimi Markizańczykami? Pewne wyjaśnienie wysunął w książce *The Polynesians* [Polinezyjczycy] historyk wysp Pacyfiku Peter Bellwood. „Wszystko wskazuje na to, że Markizańczycy obok swoich bliskich kuzynów Maorysów należeli do najtwardszych i najśmielszych Polinezyjczyków, a ich życia nigdy nie skaziła owa gnuśność, jaką kojarzymy z wyspami takimi jak Tahiti. Dietę w istotnej mierze opierali na owocach chlebowca, a że drzewa te owocują sezonowo, byli narażeni na klęski głodu, co siłą rzeczy sprzyja wojnie. Według świadectwa wielu dawnych podróżników zubożali i pokonani Markizańczycy wsiadali do łodzi i wyruszyli na poszukiwanie nowej ziemi za horyzontem”.

Dzisiaj zostały zagrzebane w ziemi i zarośnięte ruiny. Niektóre opisano, ale niewiele odsłonięto. Nie licząc dżungli w Belize i Gwatemali, nie znam innych miejsc, gdzie byłoby tyle omszałych i porośniętych paprociami fundamentów kamiennych budowli. Te ruiny pokryte są petroglifami, misternie wrytymi rysunkami ptaków, ryb, łodzi i żółwi. Rojące się od moskitów, ukryte w wilgotnym cieniu wysokich drzew miejsca te tchną melancholią zaginionych miast. Odkrywanie w mroku dżungli na błotnistych zboczach gór wielkich kamiennych tarasów, ołtarzy i gniewnych, wykastrowanych *tiki* jest przeżyciem fascynującym. Wbrew powszechnemu przekonaniu, że wszystkie wielkie ruiny na świecie już odkopano, prześwietlono na wylot i zbanalizowano, wspaniałe ołtarze i świątynie Markizów dopiero czekają na odkrycie.

W Taipivai poznałem Victorine Tata, która niedawno kupiła półciężarówkę. Jeździła fatalnie, całkiem jak moja babka, z nogą na hamulcu, ale to furda. Bardziej martwiło mnie to, że owego pick-upa kupiła na raty, zadłużając się w banku na sumę trzydziestu pięciu tysięcy dolarów. Nie miałem pojęcia, jak spłaci ten dług. Kiedy ją o to zapytałem, tylko się roześmiała.

Aranui popłynął do Taiohae, głównego ośrodka administracyjnego Nuku Hivy, gdzie rozładunek miał trwać kilka dni, więc zostałem w Taipivai i zapytałem Victorine, czy za stosowną opłatą obwiezie mnie po okolicy swoim nowym autem. Odparła, że bardzo chętnie. Była wielką, zwalistą niewiastą o kwadratowej zuchwie i grubaśnych nogach. Niezbyt wylewna, ale

rzetelna. Usadowiona w półciężarówce, ogromna i niewzruszona, stanowiła doskonały balast zwiększający przyczepność pojazdu na stromych, wąskich i krętych górskich drogach.

– Melville tam mieszkał – powiedziała po francusku, wskazując w głąb Taipivai, jakieś trzy kilometry od ujścia rzeki, w pobliże rozległego *marae* na wschodniej ścianie doliny.

Jechaliśmy stromą błotnistą ścieżką.

– Mój wuj przez pewien czas z nim wędrował. Pokazywał mu *tiki*, opowiadał o kwiatkach i drzewach.

– Mówi pani, że wędrował z tym Melville’em?

– Tak. Z tym Amerykaninem.

Nazwisko „Melville” wymawiała z francuska, z akcentem na ostatnią sylabę.

– Wuj lubił go.

Wuj Victorine pomagał Melville’owi w wielu sprawach.

– Kiedy to było? – zapytałem.

– W tysiąc osiemset dwudziestym którymś – odparła Victorine. – Dawno temu. Mój dziad też znał Melville’a. Oprowadzał go po całej wyspie.

– Skąd pani o tym wie?

– Ojciec wiele mi opowiadał o naszych przodkach i o Melville’u.

Wcale nie byłem pewny, czy w jej słowach tkwi chociaż ziarno prawdy, ale wydawała mi się spokojną i życzliwą osobą, która mówi to wszystko w dobrej wierze, więc uznałem, iż tylko to się liczy.

– Markizańczycy byli antropofagami, prawda?

– A cóż to znaczy?

Nie chciałem użyć słowa „ludożerca”, ale przemogłem się i przeformułowałem pytanie.

– O, tak, dawniej, dużo dawniej. Tak, kiedyś jedli ludzi. Ale teraz już nie.

„Słowo »Taipi« w dialekcie markizańskim oznacza miłośnika ludzkiego mięsa”<sup>[60]</sup>, pisał Melville. Czy to prawda? Victorine zaprzeczyła.

– Przypuszczam, że jada się tutaj psy – rzekłem po chwili.

– Nie. Psy jadają w Tuamotu. U nas je się kozice i krowy.

Wzgórza wokół Taipivai były puste. W Tonga, w obu Samoa, w Fidzi i na innych gęsto zaludnionych wyspach przywykłem do widoku zatłoczonych miast, stoków wzgórz oblepionych chatami i do tego, że każda maleńka działka na wybrzeżu ma właściciela. Okolice Taipivai wydawały się osobliwie bezludne. Nikogo jak okiem sięgnąć. Oto duża, pusta wyspa gęsto porośnięta drzewami, pośród których kryje się zamierzchła wspaniałość czarnych kamiennych ruin.

„Czasem weseliliśmy się tak w wodzie miniaturowego jeziora, do którego spływał centralny potok doliny – pisał Melville. – Ta śliczna tafla wody była niemal okrągłego kształtu, o blisko trzystu jardach średnicy. Piękno jej było nieopisane”<sup>[61]</sup>.

Właśnie tam naga Faiewei swawolnie udawała maszt łodzi Tomma. I tam też Tommo pluskał się w towarzystwie smagłych ślicznotek.

– A gdzie jest jezioro? – zapytałem.

– Nie mamy jeziora – odparła Victorine i prysło jeszcze jedno złudzenie.

Wprawdzie półciężarówkę Victorine wyposażono w radioodtwarzacz, ale na Nuku Hivie – podobnie jak na całych w ogóle Markizach – nie działała ani jedna rozgłośnia radiowa, a Victorine nie miała też kaset. Ja wszakże zastąpiłem już nowym walkmana skradzionego w Tonga i miałem kasetę Kiri Te Kanawy (*Kiri – A Portrait* [Kiri – portret]), która koła mnie na Salomonach. Podczas gdy telepaliliśmy się po górskich drózkach, wetknąłem kasetę do odtwarzacza.

Nagle rozbrzmiał tęskny sopran Kiri śpiewającej *Dove sono* [Gdzie są piękne chwile] z *La nozze di Figaro* [Wesela Figara].

– To aria z opery.

– Tak, opera. Słyszałam o operach.

Następnie Kiri śpiewała *Je dis que rien ne m'épouvante* [Mówię, że nic mnie nie przeraża] z *Carmen* Bizeta.

– To po francusku – zauważyła Victorine. Rozmawialiśmy w tym języku. – A czy mężczyźni śpiewają w taki sposób, takim głosem?

Zanuciła coś niczym mężczyzna śpiewający falsetem.

– Czasami, ale niezupełnie tak samo.

*Vissi d'arte* [Żyłam dla sztuki] rozbrzmiewało z głośników w ubłoconym pick-upie.

– Podoba się pani ta aria?

– Bardzo.

– Może panią zainteresuje – powiedziałem – że ta śpiewaczka jest Polinezyjką, Maoryską z Nowej Zelandii.

– O, jakże się cieszę!

Rozpromieniła się. Wyobraziłem sobie Victorine, która przemierza drogi od Taipi do Taiohae i z powrotem, przewożąc jajka, zabierając pasażerów, i słucha owych arii, a także *Rejoice Greatly* [Raduj się wielce] i *I Know That My Redeemer Liveth* [Lecz ja wiem: Wybawca mój żyje] z *Mesjasza*, i wszystkich innych utworów – i że z upodobaniem włącza tę kasetę, i wtóruje pieśniarce, nucąc słowa tych pieśni, aż staną się swojskie.

Po chwili powiedziałem więc:

– Ta kasetka należy już do pani. Proszę ją przyjąć w prezencie.

Wyraźnie uradowana zaczęła coś mówić, ale zamilkła, pomyślała chwilę i w końcu postanowiła podziękować po angielsku.

– *Sank ju* – rzekła.

**Poprosilem** Victorine, żeby mnie wysadziła jakieś piętnaście kilometrów przed Taiohae, bo umęczony ciasnotą kabiny pick-upa łaknąłem spaceru. Powędrowałem górskim szlakiem, a potem krętą dróżką zszedłem do głównego miasta Nuku Hivy, gdzie nadal rozładowywano Aranui. Aczkolwiek Taiohae jest głównym ośrodkiem administracyjnym całych Markizów, nie tyle to miasto, ile miasteczko, w którym mają zaledwie kilka sklepów spożywczych z drogą konserwową żywnością i warzywami z importu. Kalifornijska kapusta kosztowała dziewięć dolarów za główkę. Pojawiły się też marchewki i cebula, które przywiózł Aranui.

Statek zmierzał potem do Hatiheu na północnym wybrzeżu wyspy, dokąd mogłem się dostać drogą lądową, więc zostałem w Taiohae, sycąc się na nowo odkrytą rozkoszą spaceru. Miałem już powyżej uszu siedzenia na statku, a i mięsnej diety. W Taiohae odpocząłem od tych posiłków, a chociaż

zatrzymałem się w hotelu, czasem po prostu kupowałem litr soku owocowego (z Australii), puszkę fasolki w sosie pomidorowym (z Francji) i bagietkę (z Papeete), siadałem pod drzewem na brzegu morza i jadłem obiad według swojego pomysłu.

Na Markizach specjałem są wszelkiego rodzaju artykuły konserwowe. Miejscowi uprawiają chlebowce i mangowce i łowią ryby. Kiedy mogą sobie na to pozwolić, robią sobie przyjemność, kupując puszkę mielonki wieprzowej albo któreś z ulubionych chrupków.

– Zdarza się, że dziewczyna pracuje jako kelnerka tylko po to, żeby mieć na papierosy – powiedziała mi Rose Corson, która prowadziła hotelik na zachodnim brzegu ładnego portu w Taiohae. – Paczka kosztuje pięć dolarów, więc wydatki na papierosy mogą pochłaniać lwią część pensji kelnerki.

Markizańczycy są na ogół ogromni i powolni. Uchodzą za melancholików i w odróżnieniu od Tahitańczyków nie lubią muzykować ani śpiewać. O zachodzie otyli mężczyźni w T-shirtach, szukając ochłody w ożywczej bryzie, zbierali się w Taiohae na brzegu morza opodal szowinistycznych pomników francuskich, gdzie przysiadali, pojadając chrupki serowe z wielkiej, tak zwanej rodzinnej puszki.

Na tablicy jednego z pomników napisano: „À la Mémoire des Officiers, Soldats et Marins Français mort aux Marquises 1842–1925” [Pamięci oficerów, żołnierzy i marynarzy francuskich poległych na Markizach w latach 1842–1925], ale nie wspomniano o tysiącach Markizańczyków, którzy zginęli w daremnej walce o wolność ojczyzny. Na innym monumencie, przemilczawszy fakt, że te wyspy odkryli dzielni żeglarze polinezyjscy, którzy prawdopodobnie tysiąc osiemset lat temu dotarli na nie z Samoa, upamiętniano rzekome prawo „odkrywców”, pisząc: „Au nom du Roy de France le 23 juin 1791 Étienne Marchand, découvreur du groupe nord des Marquises, prit possession de l’île Nuku Hiva” [23 czerwca 1791 roku Étienne Marchand, odkrywca części północnej archipelagu Markizów, w imieniu króla Francji objął w posiadanie wyspę Nuku Hiva]. Pominięto również fakt, że dwa miesiące wcześniej podobne roszczenie do własności wysunął kapitan Ingraham.



W 1813 roku kapitan David Porter zaanektował Nuku Hivę na rzecz Stanów Zjednoczonych. Wybudował fort i przechrzcił Taiohae na cześć prezydenta Jamesa Madisona. Jednak ustanowienie Madisonville okazało się pustym gestem, ponieważ Kongres nigdy nie ratyfikował aneksji. Tak czy inaczej sprzeciwiliby się temu Francuzi, walcząc równie zaciekle jak w 1842 roku, kiedy w imię zajęcia Markizów wymordowali tysiące wyspiarzy. Melville widział bombardowanie, albowiem wycieczkę na te wyspy odbył akurat w okresie, gdy działały tam wojska francuskie. W powieści wyszydził postawę Francuzów: „Cztery ciężkie, dwupokładowe fregaty i trzy korwety do zastraszenia i zmuszenia do uległości garstki nagich dzikusów! Sześćdziesiąt ośmioletów do rozwalenia chat z kokosowych liści i rakiety Congreve’a do podpalenia paru szop na czółna”<sup>[62]</sup>.

Po dwóch dniach spędzonych samotnie w Taiohae na własną rękę dostałem się do Hatiheu, gdzie w pięknej zatoce stał na kotwicy Aranui. Nie mieli tam nabrzeża dla frachtowców, więc welboty woziły towar na rozsypujące się molo, o które rozbijały się fale przyboju.

Hatiheu to prześliczne miasteczko u stóp trzech stromych gór, a na łące w jego centrum stoi duży kościół, który ma dwie wieże, czerwony blaszany dach i jest poświęcony Joannie d’Arc. Na kościelnym podwórku konie skubały trawę. Potem, stojąc pod drzewem przed tamtejszą maleńką pocztą, podczas gdy czekały psy, a na czarnej piaszczystej plaży rozlewały się fale, odbyłem rozmowę telefoniczną z Honolulu.

Odnalazłem señora Pillitza, z którym poszedłem w lasy za miasteczkiem. Przemierzyliśmy plantację palm kokosowych, pośród których rosły również obwieszane pękającymi torebkami nasiennymi kapokowce czy puchowce. Dawniej uprawiano te drzewa w celach przemysłowych, ale teraz nie miało to już racji bytu. Za plantacją znajdował się teren obrzędowy zwany *tohua*, mający wielkość boiska futbolowego i zabudowany kamiennymi podestami, ołtarzami i rzeźbami. Miejscowi wystrzegali się odwiedzania *tohua*, ponieważ uważali je za miejsce nawiedzone i będące siedliskiem *mana*, czyli szczególnego ducha, którego natura kłóci się z ich chrześcijaństwem. Wyspiarze żywią wobec starożytnych *tohua* nieprzeparty strach, a właściwie

trwożę. Obawiają się zwłaszcza duchów zmarłych, złośliwych *tupapau*, które po zmroku nawiedzają te pradawne obrzędowe polany.

W głębi lasu kryło się jeszcze jedno *tohua*, większe, ale trudniejsze do spostrzeżenia, ponieważ kamienne tarasy, ołtarze i głazy pokryte petroglifami już się rozpadły i utonęły w zieleni. Rosły tam figowce, niektóre ogromne. Dawniej wyspiarze w odsłoniętych korzeniach tych drzew układali czaszki wrogów, a wyżej na stoku wzgórza mieli wielki okolony kamieniami dół, w którym tuczyli jeńców, zanim ich zabili i zjedli.

– Gotowali ich z owocami chlebowca – powiedziała mi później pewna Chinka. Nazywała się Marie-Claire Laforet. W trakcie wielkiej zmiany tahitańskich nazwisk w 1964 roku jej ojciec był zmuszony zrezygnować z chińskiego nazwiska.

– Francuzi nie życzyli sobie obcych słów – rzekła Marie-Claire.

W pewnym sensie nic się nie zmieniło, bo chińskie nazwisko jej ojca brzmiało Lim (lub Lin w języku mandaryńskim), co oznacza las lub drzewa, czyli *la forêt*.

Tamtego dnia poszedłem jeszcze z Philippem i señorem Pillitzem przez wzgórze opodal Hatiheu nad zatokę Anaho. Zaciszna, wcięta głęboko w ląd, z rozległymi ruinami, białą piaszczystą plażą i koralową półką – jedną z niewielu raf na Markizach i jedyną laguną – ta zatoka jest najpiękniejszym zakątkiem, jaki widziałem w tym archipelagu, łączącym pastelowe barwy i łagodność tropikalnej plaży z surowością otaczających ją gór. W 1888 roku Robert Louis Stevenson zawinął swoim Casco do tej zatoki wraz z żoną, dwojgiem pasierbów i wiekową matką. Właśnie pejzaż zatoki Anaho i obcowanie z wytatuowanymi Markizańczykami, których uważał za ludożerców, utwierdziły Stevensona w przekonaniu o słuszności decyzji o osiedleniu się na wyspach Pacyfiku. Anaho zrobiła wielkie wrażenie nie tylko na nim, lecz również na jego matce, pedantycznej edynburskiej matronie, która pierwszy raz w życiu zrezygnowała z noszenia pończoch, a często „obywała się też bez butów”. Cała rodzina urzeczona Anaho zaczęła żyć na sposób tubylców. Ta zatoka – daleka, odosobniona, pusta, nieskalana i w istocie rozdzierająco piękna – była i jest kwintesencją czaru mórz południowych.

– Czy tutaj są rekiny? – zapytałem dwóch rybaków idących z dzidami na skraj rafy.

– Mnóstwo rekinów.

– Duże.

– Bardzo duże.

– Dokuczają wam?

– Nie.

Zostawili na brzegu maczetę. Strąciłem kilka kokosów z niskiej palmy i rozplątałem je. Wypiliśmy słodką wodę i zjedliśmy bielmo. Kiedy wracaliśmy przez wilgotny las, mijając rozrzucone chaty rybaków, dołączył do nas mały, bodaj dziesięcioletni tak zwany *demi*, czyli pół Chińczyk, pół Markizańczyk.

– Jestem szczęśliwy w Anaho – dukał po francusku. – Nie chciałbym jechać do Francji. Nie ma tam langusty ani owoców chlebowca. Tutaj mamy co jeść. Mamy ryby. Możemy zbudować dom gdziekolwiek w lesie. Pływam w morzu, z pirogi ojca łowię ryby. We Francji nie byłbym szczęśliwy.

Wczesnym wieczorem popłynęliśmy na wyspę Tahuata, gdzie rzuciliśmy kotwicę opodal czarnej piaszczystej plaży miasteczka Vaitahu. Rano welboty zawiozły nas na ląd. Vaitahu to pod wieloma względami typowe miasteczko markizańskie. Mają tam kościół katolicki, sklep z konserwową żywnością, cudowne ruiny na skraju miasteczka, doliny o stromych zielonych ścianach, kwitnące drzewa i drzewa owocowe: awokado i grejpfruty w ogródkach przy niedużych drewnianych domach, włochate czarne świnie, uprzykrzone kundle, nowy kościół, a na bulwarze nadmorskim obraźliwą tablicę ku czci Francuzów, którzy polegli w walce o panowanie nad tymi wyspami.

W Vaitahu upamiętniono żołnierzy i żeglarzy „poległych na polu chwały” w 1842 roku w bitwie o Tahuatę. Melville pisał z gorzką ironią o dokonaniach Francuzów i o ich przechwałkach, jakoby zaprowadzili doskonały porządek na Markizach, podczas gdy w rzeczywistości okrutnie gnębili wyspiarzy. Francuzi „już się chełpili dobroczynnymi skutkami swej jurysdykcji, dostrzegalnymi w postępowaniu krajowców. Warto nadmienić, że w swoich wysiłkach reformatorskich wymordowali ich około stu pięćdziesięciu w Whitiho [Vaitahu] – ale mniejsza o to”<sup>[63]</sup>.

Moje ironiczne uwagi na temat tablicy na pomniku usłyszała kobieta, którą na statku nazywano Hrabina. Była pół Francuzką, pół Niemką i nieraz przechadzała się, trzymając przy ustach dyktafon, do którego przemawiała zrzedliwym głosem. Rzekła, że trochę ją dziwi mój sarkazm. Tak się składa, że jest pisarką – ciągnęła – autorką książek i reportaży podróżniczych. Stąd ów dyktafon.

– Piszę reportaż z tej podróży dla najlepszej i najmądrzejszej gazety świata – rzekła i wymieniła nazwę pewnego dziennika niemieckiego. – Cenią mnie tak, że przez siedemnaście lat zmienili tylko jedno napisane przeze mnie zdanie.

– Jakie? – zapytałem zaniepokojony.

– O, uznałyby je pan za bardzo reakcyjne – zachnęła się Hrabina.

– Wolałbym sam to ocenić.

– No dobrze, powiem. „Trzydzieści lat turystyki przyniosło więcej złego niż trzysta lat kolonializmu”.

Uśmiechnąłem się do niej i rzekłem:

– Kapitalne.

Odtąd ilekroć czuła potrzebę zrzucenia ciężaru z serca, szukała mnie.

– Mój mąż był geniuszem – powiedziała kiedyś. – Ja napisałam wiele książek o modzie.

– Nie cierpię dzieci – oświadczyła innego dnia. – Uwielbiam pieski.

Opowiedziałem jej o szczeniaczkach z pętlą z drutu wokół szyi, które rybacy z Vaitahu zabierali do łodzi, żeby użyć ich jako przynęty na rekiny.

– Powinni używać niemowląt, a nie piesków – sarknęła i rozśmiała się niczym wiedźma z baśni.

Kiedy rozmawiałem z młodymi wyspiarzami, jeden z nich zapytał, skąd pochodzę.

– Jestem Amerykaninem – odrzekłem. – A ty?

– Markizańczykiem.

**Nazajutrz** delfiny ślizgające się na fali dziobowej zaprowadziły nas do Traitors Bay, a potem do portu Atuona na Hiva Oa. Po drugiej stronie

beziemnej cieśniny wyraźnie rysowała się Tahuata, a na południowym wschodzie majaczyła markizańska wysepka Mohotani.

Z ładowni Aranui wyciągnięto starego czerwonego citroëna, który wkrótce odjechał z nabrzeża. Następnie wyładowano inne towary, worki mąki, skrzynki piwa, benzynę, materiały budowlane i rozmaite smakołyki. Miejscowa zakonnica odebrała paczkę i odjechała toyotą.

Trzech mormonów, w tym dwóch wyspiarzy, przyglądało się rozładunkowi i lustrowało schodzących na ląd pasażerów, jak gdyby wypatrywali kandydatów do nawrócenia.

Zapytałem, czy uratowali kogokolwiek przed potępieniem.

– Przez półtora roku nie nawróciłem zbyt wielu ludzi – odparł Elder Wright (z Seattle). – Dwie rodziny. Ale pomagamy również w inne sposoby. Uczymy gier. Gramy w koszykówkę.

– Widziałem, że gadał pan z tymi mormonami – zagał Ross, dopędziwszy mnie w drodze do miasta. – Udają świętoszków, ale niektórzy to niezłe świntuchy.

– Może pan pokazać jakieś rany na dowód?

– No nie, pan jest fantastyczny! – zawołał, ale zaraz uzasadnił swoje oskarżenie. – Pewnego razu dwóch mormonów zapukało do drzwi mojego znajomego z Melbourne, który jest gejem. Przynieśli zimne napoje, nic alkoholowego, ale po dziesięciu minutach wszyscy wylądowali w łóżku!

Hiva Oa to ostatnia z wysp Paula Gauguina.

Gauguina często przedstawia się jako mieszczańskiego maklera giełdowego, który szybko zbił fortunę, po czym wypiął się na wszystko, porzucił żonę z pięciorgiem dzieci i lekkomyślnie czmychnął na Tahiti, gdzie rozkwitł jego geniusz malarski. W rzeczywistości jednak zawsze miał żyłkę awanturniczą, a malować zaczął dopiero kilka lat po ślubie. No i znał szeroki świat. W dzieciństwie dłuższy czas mieszkał w Peru, dokąd zabrała go matka, peruwiańska Kreolka. W wieku siedemnastu lat zaciągnął się na statek i przez sześć lat pływał po morzach i oceanach jako zwykły marynarz. Ożenił się nieszczęśliwie, a jeśli chodzi o giełdę, to nie on ją zdradził, lecz raczej odwrotnie, bo w 1882 roku miał miejsce wielki krach, po którym Gauguin postanowił poświęcić się malarstwu. Należał już wtedy do impresjonistów.

Odrzuciwszy Europę, Gauguin spróbował życia na Martynice w Indiach Zachodnich, a gdy przekonał się, że mu nie służy, pojechał na Tahiti, które wyobrażał sobie jako Nową Cyterę. Nic z tego. Papeete okazało się zmieszczające i zeuropeizowane, pełne kolonialnych snobizmów, irytujących biurokratów, świętoszkowatych misjonarzy i skorumpowanych mieszczuchów. Miejscowi odnosili się do Gauguina bez sympatii, tak samo jak na widok długowłosego impresjonisty zachowywali się mieszkańcy Francji. Miał włosy do ramion i nosił aksamitny kowbojski kapelusz. Miejscowi gardzili Gauguinem z powodu jego sposobu ubierania się i odpychających manier. Tahitańczycy okazywali więcej wyrozumiałości, ale i tak ze względu na długie włosy nazywali go *taata-vahine*, czyli chłopobabą. Wyniósł się do nadmorskiej wioski, malował jak nawiedzony i pisał listy do domu, narzekając na mieszkańców kolonii i życie w ogóle. Po dwóch latach spakował manatki i wrócił do Paryża, gdzie wystawa jego obrazów została zjechana przez krytykę i okazała się finansową katastrofą.

W *Noa Noa* Gauguin sławi wyspiarskie życie i urodę wyspiarzy, ale pisząc tę książkę, pragnął utwierdzić siebie i innych w przekonaniu, że mieszka w raju. Ta fikcja kłóci się z jego listami. Chociaż romans opowiedziany w *Noa Noa* ma oparcie w rzeczywistości, ponieważ na Tahiti Gauguin w rzeczy samej spotkał swoją Faiewei. Nazywała się Teha'amana, miała trzynaście lat, a Gauguin malował ją z takim zapamiętaniem, że stała się ucieleśnieniem jego marzenia o morzach południowych. Historyk wysp Pacyfiku Gavan Daws zauważył, że „Gauguina niezmiernie pociągały dziewczęta w tym wieku”.

W ciągu dwóch lat, które po powrocie spędził w Europie, wiodło mu się podle. „W sensie dosłownym żyję blaskiem słońca”, stwierdził i wrócił do Polinezji, a chociaż zamierzał jechać od razu na Markizy, zwlekał. Nadal nie cierpiał kolonialnego życia na Tahiti, biurokracji, tyranii Kościoła. Tych aspektów życia na wyspie nie znosił tak bardzo, że w ogóle nie występują one na jego obrazach. Na próżno szukamy na jego płótnach jakichkolwiek elementów życia kolonialnego, nie znajdziemy statków, żeglarzy, kupców, urzędników, nie znajdziemy ich żon ani dzieci, nie znajdziemy dróg ani wozów, ani jakichkolwiek urządzeń mechanicznych, nie znajdziemy książek, lamp, butów, w ogóle nie znajdziemy *farani*, chociaż w kolonii roiło się od

białych, a oprócz nich również od Chińczyków. Na Tahiti od sześćdziesięciu lat panowały porządki kolonialne, ale na płótnach Gauguina – w wonnej wizji, którą stworzył dla siebie – Polinezja pozostała nieskalana. Jedyнным śladem obcych wpływów jest widoczny na kilku obrazach stelaż łóżka. Tahitańczycy śpią na matach, a nie w łózkach.

„W przypadku Gauguina potrzebie przekonywania zawsze towarzyszyło pragnienie obrażania”, pisał jeden z jego biografów. Zamieszkawszy na wsi z inną młodziutką Tahitanką, Pau’urą, nieustannie wadził się z władzami. Nawet to, że założył gazetę, nie poprawiło jego reputacji i w końcu – nadal marząc o dżicy – ruszył na Markizy, zostawiwszy Pau’urę z ich synkiem Émile’em, który wiele lat później stał się swego rodzaju atrakcją turystyczną.

Gauguin przybył na Hiva Oa w 1901 roku, a zmarł niespełna dwa lata później. W Polinezji spędził w sumie dziesięć lat rozłożonych na dwa okresy, w trakcie których pomiędzy malowaniem arcydzieł spędził wiele dzieci. W miasteczku Atuona na Hiva Oa u stóp góry Temetiu, która wygląda jak zielony Matterhorn, zbudował piękną piętrową chatę i nazwał ją Domem Rozkoszy, a na odrzwiach wyrył swoje ulubione sentencje, a mianowicie „Soyez mystérieuses” (Bądźcie tajemniczy) i „Soyez amoureuses et vous serez heureuses” (Bądźcie zakochani, a będziecie szczęśliwi). Ułożywszy się z rodzicami dziewczyny, wziął sobie czternastoletnią kochankę o imieniu Vaeoho. Miał wtedy pięćdziesiąt trzy lata, a Vaeoho wkrótce zaszła w ciążę. W latach osiemdziesiątych ich wiekowa już córka nadal mieszkała w tamtej okolicy.

Zważywszy na upał, niepokoje, trudności życiowe, wrogość otoczenia, a i zwykłą konieczność naciągania i gruntowania płótna – nie wspominając o zaopatrzeniu w materiały malarskie – zaiste można się dziwić, że Gauguin w ogóle malował. Mimo to stworzył wiele obrazów, pracował sumiennie nie tylko przy sztaludze, lecz zajmował się również rzeźbą i ceramiką. W tamtym okresie trapiły go rozmaite dolegliwości, skutki pijaństwa i przyjmowania narkotyków. Cierpiał na syfilis, depresję i miał pogruchotaną i niewyleczoną nogę. Miejscowe władze kościelne nienawidziły go, podobnie jak urzędnicy kolonialni, z którymi prowadził uporczywe spory prawne. Cierpiał. Pewnego dnia sąsiad Gauguina, Markizańczyk Tioka, zaszedł do jego chaty i zastał go

leżącego bez przytomności. Zgodnie z miejscowym zwyczajem Tioka ugryzł Gauguina w głowę. Malarz ani drgnął.

Pogrzebano go na cmentarzu na zboczu góry nad miasteczkiem. Obok Gauguina leżą Thèrése Tetua, David Le Cadre, Jean Vohi, Josephine Tauafitiata, Anne Marie Kahao i Elizabeth Mohuho, którzy żyli na przełomie wieków, zmarli w Atuonie i musieli znać szalonego malarza. Grobowiec Gauguina jest prosty, zrobiony z cętkowanej skały wulkanicznej, ocieniany przez białą kwitnącą pulmerię. Na kamieniach leżały girlandy świeżych kwiatów. Znakiem rozpoznawczym tego grobowca jest odlana z brązu przez samego Gauguina kopia ceramicznej rzeźby przedstawiającej dziką kobietę. Na podstawie posągu Gauguin wyrył napis „Oviri”.

Opodal bawiły się dzieci. Zagaiłem je po francusku i w końcu zapytałem, co znaczy *oviri*.

Odparły, że nie wiedzą. Sam musiałem to później ustalić. To słowo wieloznaczne, ale odpowiednie. Zasadniczo znaczy tyle co „dziki”. Tym samym słowem Gauguin oznaczył autoportret z 1895 roku, profil wyryty na patynowanej płycie gipsowej. W 1903 roku pisał do Charles’a Morice’a, z którym współpracował przy *Noa Noa*: „Mylieś się, mówiąc, że nie mam racji, gdy twierdzę, że jestem dzikusem. To prawda. Jestem dzikusem. Ludzie kulturalni wyczuwają to... Jestem dzikusem wbrew sobie”. Ale *Oviri-moe-aihere* to nie tylko dzikuska, lecz również bogini śmierci i żałoby.

Podobnie jak malarstwo Gauguina jego grób jest urzekającym zlepkiem prawdy, fikcji, intuicji oraz artyzmu. Twarze postaci ukazanych na jego obrazach widuje się wszędzie na Tahiti i na Markizach, natomiast tło lub pejzaże są wyidealizowane i oniryczne. Gauguin chciał wierzyć, że jest człowiekiem dzikim, i bodaj był dzikusem, ale zupełnie innego rodzaju niż prostoduszni wyspiarze, z którymi pragnął się utożsamić.

Gavan Daws w *A Dream of Islands* [Sen o wyspach], wspaniałej monografii na temat ludzi, którzy ciągnęli na wyspy Pacyfiku gnani tęsknotą lub marzeniami, opowiada uroczą anegdotę o Gauguinie.

Pewnego wieczoru o zachodzie Gauguin siedział na kamieniu przed swoim domem na Hiva Oa odziany tylko w pareo. Palił i rozmyślał, gdy z gęstniejącego mroku, stukając kijem o ziemię, wyłoniła się stara ślepa Markizanka, całkiem naga, cała wytatuowana, zgarbiona, stąpająca chwiejnie, zasuszonej niczym mumia. Wyczuła obecność Gauguina i postukując kijem, podeszła do niego.



Siedział sparaliżowany niepojętym strachem, wstrzymując oddech. Staruszka bez słowa ujęła jego rękę w swoją suchą jak piach i chłodną, zimną jak gad. Gauguin poczuł obrzydzenie. Ciągłe bez słowa staruszka przesunęła ręką po jego ciele, aż do pępka, a potem niżej. Odchyliła pareo i ujęła penis Gauguina. Miejscowi mężczyźni – dzicy – w młodości przechodzili zabieg *supercisio*, czyli rozcięcia z wierzchu napletka, którego nie usuwano, a zabliznione zgrubienie wokół żołądzi było potem dumą najlepszych kochanków. Gauguin nie miał tego znamienia na przyrodzeniu. Został rozpoznany. Ślepa macająca ręka cofnęła się, po czym bezoka wytatuowana mumia odeszła w ciemność, wyrzekłszy tylko jedno słowo. „Pupa” – zaskrzeczała. Białą mężczyzna.

Statek kotwiczył w porcie do następnego ranka, więc poszedłem z señorem Pillitzem przez wzgórza, jakieś sześć kilometrów pod górę i ze trzy w dół, nad sąsiednią dużą zatokę Ta’aoa, ale gdyśmy dotarli na miejsce wykopalisk archeologicznych, zrobiło się tak ciemno, że niewiele widzieliśmy. Wracając do Atuony, natrafiliśmy na dwa zaparkowane samochody. Podróżowało nimi sześć osób, Tahitańczyków, Markizańczyków i Francuzów, którzy się doskonale bawili. Nas już bolały nogi, więc zapytaliśmy, czy nas podwiozą.

Odmówili. Mają swoje plany.

– Chcemy jeszcze rzucić okiem na lotnisko – tłumaczył jeden z nich.

– Zwiedzają państwo Hiva Oa? – zapytał señor Pillitz.

– Jesteśmy urzędnikami Izby Turystyki – powiedziała jedna z kobiet.

– Co za zbieg okoliczności. Jesteśmy turystami – rzekł señor Pillitz – więc może podrzuciliby nas państwo na statek?

Mężczyzna siedzący z tyłu powiedział coś cicho. Roześmiali się i odjechali.

– Bierze do buzi zgięty we dwoje – rzucił señor Pillitz, tłumacząc dosłownie argentyńską obelgę *se la camio doblada*.

Spotkaliśmy ich potem w okrętowym barze.

– Powiada pan, że jest pisarzem – zagaił jeden z urzędników Izby Turystyki. – O czym pan pisze?

– O wszystkim, co widzę.

**Popłynęliśmy** na północne wybrzeże Hiva Oa, gdzie Aranui stanął na kotwicy, a my zeszliśmy na brzeg. W *marae* na końcu błotnistej drogi za Puamau są wielkie ruiny. Odkrywanie w dżungli za zapadłą wioską takich nieoznaczonych miejsc to jedna z największych rozkoszy związanych z podróżowaniem po

Markizach. Znalazłem się pośród zarośniętych przez pnącza rozrzuconych głazów i rzeźb, czasem pozbawionych głowy lub przyrodzenia przez misjonarzy albo łowców pamiątek. Wiele wszakże było nietkniętych, w tym największa *tiki* w Polinezji – trzymający się za brzuch dwumetrowy potwór o okropnie wykrzywionej twarzy, a także leżące na postumencie najdziwniejsze i najpiękniejsze stworzenie o żabim obliczu. Gęba jak u halloweenowej dyni, wylupiaste oczy, wyciągnięte długie nogi, jak gdyby owo stworzenie latało.

– To kobieta *tiki* – powiedział pewien miejscowy.

„Olbrzymy z urwistej doliny Puamau stanowiły taki kontrast z gnuśnymi ludźmi z wybrzeża – pisał Thor Heyerdahl w *Fatu Hivie* – że nieuchronnie nasuwało się pytanie: kto i jak ustawił tutaj te czerwone kamienne kolosy”<sup>[64]</sup>.

Odpowiedź, której udzielił Heyerdahl, a którą odrzucają wszyscy uznani archeolodzy, głosi, że uczynili to przybysze z Ameryki Południowej.

Dalej na zachód na północnym wybrzeżu Hiva Oa Aranui zaopatrywał wioskę Hanaiapa, a ja wybrałem się na wycieczkę błotnistą ścieżką w rzadkiej mgle, ale zaczął padać deszcz, który zrobił się tak rześisty, że musiałem się schronić w opuszczonym budynku. Był to rozchwierutany drewniany kościół, do którego przez okna już wdzierały się pnącza, w środku stała prosta kazalnica, a wysoko na ścianie widniały słowa *Betheremu* (czyli Betlejem) i *Miku 5, 5*, czyli odsyłacz do wersetu z księgi Micheasza, w którym prorok wskazuje Betlejem jako miejsce narodzenia Pana. „Osiądą wtedy, bo odtąd rozciągnie swą potęgę aż po krańce ziemi. A Ten będzie pokojem [...] Tak ocali on nas od Asyrii, gdy ona wtargnie do naszego kraju”<sup>[65]</sup>.

Przez przekrzywione ościeże widziałem palmy kokosowe, chlebowce, mangowce, papaje, grejpfruty, awokado i mokrą wioskę rozciągniętą nad wezbraną rzeczka.

Wracając na plażę (szary mulisty piasek omywany przez szarą mulistą wodę), mijałem dom, gdzie trzy młode Markizanki słuchały muzyki z dużego radiomagnetofonu.

– Kto śpiewa? – zapytałem.

– Prince.

Kawałek dalej spotkałem kobietę idącą z dziewczynką, którą trzymała za rękę. Ładna, w zielonej bluzce i kwiecistym pareo. Uśmiechnęła się do mnie i stanęła, rozstawiwszy nogi tak, że zablokowała wąską ścieżkę.

– Dzień dobry. Jestem Mau – powiedziała po angielsku i okazała mi swoje imię wytatuowane na nadgarstku.

– Gdzie się pani nauczyła angielskiego?

– Od ludzi ze statków.

Uszczypnęła dziewczynkę w policzek.

– To moja córka Miriam.

Mau miała kwiatowy wieniec *lei*, zrobiony na sposób markizański, a więc z miętą i innymi ziołami wplecionymi pomiędzy kwiaty.

– To bardzo ładne – powiedziałem.

Natychmiast zdjęła wieniec, zawiesiła mi go na szyi i ceremonialnie – jak to czynią we Francji – ucałowała mnie w oba policzki, co wcale nie jest przyjęte na Markizach.

– Dokąd pan idzie?

– Wracam na statek.

– Szkoda.

Uśmiechnęła się z pewnym żalem, ale statek przecież znowu przyplynie, zostanie może trochę dłużej, a ona spotka kogoś bardziej chętnego.

Wtedy byłem najbliżej znalezienia swojej Faiewei. Chociaż i Mau niewiele różniła się od większości miejscowych, którzy sprawiali na mnie wrażenie ludzi porządných, zapracowanych i szczęśliwych. Tak, tylko ona miała dozę kokieterii, poza tym nikt nie flirtował. Miejscowi wydawali się ludźmi twardymi, przyziemnymi, bardzo religijnymi. Gdzie się podział romantyzm? Nie miałem pojęcia. Nawet same wyspy wyglądały wspaniale z perspektywy morza, ale objawiały inne oblicze po wylądowaniu. Błoto, dżungla, mnóstwo księży i plaże rojące się od maleńkich kąsających muszek, które nazywają tam *nono*.

Zamiast malować urwiste góry, czarne klify, rozbijające się fale, głębokie markizańskie doliny, omywane morzem skały, katarakty i górskie zbocza, hipokrytów i kolonistów – zamiast zająć się rzeczywistością, Gauguin wolał sprawdzać swoje teorie na temat barwy i perspektywy. Malował różowe

plaże, żółte pola, buddyjskie idole, jawajskie posągi. Stworzył tropikalną kulturę hodowców koni, w której Francja nie występuje. Wymyślił Polinezję. Ciągną do niej ludzie. Oczywiście nigdy nie trafiają do tej nierzeczywistej krainy, chociaż ta, którą znajdują, jest równie magiczna, nawet jeżeli cokolwiek złowroga, i tak samo pełna „luxe, calme et volupté” [przepychu i ciszy, upojenia] jak kraina, o której pisał Baudelaire w *Zaproszeniu do podróży*<sup>[66]</sup>, jednym z ulubionych wierszy Gauguina.

Ale niektóre z tych wysp wcale nie są upojne. Na przykład Ua Huka. Tamtejszy port jest bardzo ciasny, przypomina kamienną paszczę, w której Aranui kołysał się na falach przyboju uwiązany na dwóch krótkich cumach. Wyspa w ogóle pozbawiona drzew, огоłaczana z roślinności przez desperacko walczące o strawę kozice, konie i dzikie osły. Najmniejsza z Markizów, wydawała się objedzona do gołej skały. Zaledwie pięciuset mieszkańców. Niektórzy zajmowali się rzeźbiarstwem, więc nagabywali nas, proponując piekielnie drogie *tiki*, pałki i salatory, za które chcieli trzysta pięćdziesiąt dolarów.

Zwiedziwszy ruiny – błotnista ścieżka, głazy, pogruchotany zadek *tiki* – zaszedłem do jadłodajni, gdzie uraczono mnie prawdziwą ucztą. Jadłem owoce chlebowca, *miti hue* (krewetki rzeczne w sfermentowanym mleku kokosowym), *poe* (słodki skrobiowy pudding z papają), *poisson cru* z tuńczyka i *umara* (słodkie ziemniaki).

Spacerowałem, aż zacinający gruby deszcz zmusił mnie do schronienia się pod dachem. Urząd pocztowy w Hane mieścił się w maleńkim nieumeblowanym pokoiku – nie większym od przeciętnej łazienki. Naczelniczka poczty Marie-Thérèse, z kwiatem hibiskusa we włosach, siedziała za stołem na kozłach, na którym stał telefon i kasa. Podczas gdy Marie-Thérèse czytała francuskie pismo „La nouvelle intimité”, zadzwoniłem znowu do Honolulu na koszt rozmówcy. Połączenie było dobre, przeszkadzał jedynie hałas bębniącego deszczu i trzaskających drzwi.

Siedziałem obok Marie-Thérèse, która w dziale *Dossier* czytała artykuł zatytułowany *Le plaisir au féminin – pour une sexualité sans tabous* [Rozkosz kobiet – w stronę seksu bez tabu]. Cóż za wymowny zbieg okoliczności, że słowo to wraca do Polinezji w artykule na temat wyzwolenia

seksualnego kobiet. Autorki opowiadały o orgazmie, fazach pobudzenia seksualnego, chorobach wenerycznych i niezliczonych (*mille et un*) formach pożądania seksualnego. Marie-Thérèse była tak pochłonięta lekturą, że nawet nie zauważyła, kiedy odwiesiłem słuchawkę.

Czekając na szalupę, która zabierze mnie na statek, nawiązałem rozmowę z kilkoma młodymi, których na plażę zwabiła comiesięczna atrakcja w postaci zawinięcia Aranui.

– Czy są tutaj *tupapau*? – zapytałem dziewczynę o imieniu Stella, która z walkmana brata słuchała lambady.

– Tutaj nie, ale są za restauracją.

– Na *marae*?

– Tak, i w lesie.

– Boicie się *tupapau*?

– Tak.

Potem przyplłynęły welboty, muskularni Markizańczycy przenieśli starszych pasażerów na rękach. Uwijali się, a ja znowu miałem wrażenie, że te nasze przeprawy przez strefę przyboju miały w sobie coś z akcji ratunkowej, były bowiem pośpieszne, cokolwiek niebezpieczne i zawsze związane z przemoczeniem ubrania.

**Fatu Hiva**, najładniejsza i najwyższa z wysp Markizów, jest najmniej zaludniona i liczy zaledwie około pięciuset mieszkańców, ale nie brak tam kamiennych tarasów i podbudówek domostw. Zwierzenia Thora Heyerdahla w *Fatu Hivie* na temat tego, jak to oderwał się od wszystkiego, przybywszy na tę wyspę, zainspirowały wielu naśladowców, którzy zapragnęli tak samo oderwać się od smętnego świata. Ale na Fatu Hivie jest tak niewiele dolin stwarzających dobre warunki do mieszkania, że cudzoziemcy skupili się w paru miejscach, zamieniając je w gniazda przestępczości i napięć, co z jednej strony podsyciło ksenofobię wśród miejscowych, z drugiej zaś głęboko rozczarowało przybyszów. Co znamienne, książka Heyerdahla jest wydumana, nierzetelna i autoreklamarska, roi się w niej od opisów niewiarygodnych przygód i wydarzeń. Na przykład ten namaszczony Norweg

twierdzi, że kupił strzelbę Gauguina, ale nawet najbardziej naiwny czytelnik dostrzeże, iż miejscowi zrobili go w konia. Poza tym Heyerdahl snuje długie, z palca wysane rozważania na temat ludożerstwa, a także – co było jego obsesją – zasiedlenia Polinezji przez przybyszy z Ameryki Południowej.

Aranui przystanął najpierw w Omoi, a najbardziej zapaleni piechurzy spośród nas przewędrowali siedemnaście kilometrów przez wysokie wzgórza, gdzie hasają kozice i dzikie konie, do Hanavave i nad Bay of Virgins. W głębi lądu wyspa jest całkiem pusta. Markizańczycy prawie że nie przemieszczają się pieszo. Przesiadują, wystają w różnych miejscach, jeżdżą pojazdami mechanicznymi lub na koniach, ale z zasady nie wędrują. Niektórzy otwarcie przyznają, że obawiają się *tupapau* czających się w zaroślach w głębi lądu. To może mieć pewne znaczenie. Ale odnosiłem wrażenie, że z natury uwielbiają siedzący tryb życia i najszcześliwsi są wtedy, gdy przysiadłszy pod palmami na nadmorskim bulwarze – opodal pompatycznego i pyszałkowego pomnika „ku czci poległych Francuzów” – mogą pojadać chrupki serowe z trzymanej między kolanami wielkiej puszk.

Nazwa „Bay of Virgins” [Zatoka Dziewic] jest wynikiem swoistej manipulacji. U wejścia do zatoki stoi kilka niedwuznacznie fallicznych słupów skalnych, wobec czego pierwotnie akwen ten nazwano Baie des Verges, czyli Zatoką Fiutów. Zgorszeni misjonarze dodali „i” do słowa „Verges”, zamieniając je w „Vierges”, czyli właśnie „Dziewice”. Gdyby rzecz przeprowadzili misjonarze anglojęzyczni mogliby nazwę „Bay of Dicks” [Zatoka Fiutów] zamienić na „Bay of Dirks” [Zatoka Sztyletów], powiadając, że przecież owe słupy podobne są do szerokich szkockich sztyletów.

W ciasnym porcie Hanavave biegały dzieci i psy. W jednym miejscu naliczyłem przeszło dwadzieścia czworonogów. Zwaliści dorośli Markizańczycy czekali na zaopatrzenie. Mówili, że od dwóch tygodni nie mają piwa. Skończyła się benzyna. Od pewnego czasu brakowało chrupek i innych przekąsek. Welboty kursowały tam i z powrotem, przywożąc towary, zabierając ryby. Pracy marynarzy przyglądała się kobieta w koszulce z napisem „AC/DC”, przyglądał się też mężczyzna w baseballówce z napisem „Shit Happens” [Gówniane szczęście]. Androgyniczny wyraz postaci z obrazów Gauguina nie wynika z kaprysu malarza, albowiem wyspiarki

i wyspiarze są fizycznie podobni do siebie, a z wiekiem stają się niemal nieodróżnialni.

Fatu Hiva to bezsprzecznie najpiękniejsza z wysp archipelagu Markizów, nie tylko ze względu na wspaniałe widoki, dzikie konie hasające po zboczach gór, urwiste klify, zielone granie i cudowną zatokę. Wyjątkowe piękno tej wyspy tkwi w jej szacie roślinnej, drapieżności gór i pustce, w sposobie, w jaki wyspę tę rozświetla słoneczny blask po to tylko, żeby zgasnąć w cieniach przepastnych dolin, wreszcie w niedostępności całej linii brzegowej, której groza nadaje Fatu Hivie wygląd zielonej fortecy czy też warownego zamku na morzu.

Markizańczycy są melancholijni i małomówni, zachowują się cicho, unikają słońca, kryjąc się w głębi wilgotnych dolin. Sprawiają wrażenie ludzi łagodnych. Zbierają kokosy, łowią ryby. W niedziele chodzą do kościoła, żeby śpiewać przez całą mszę. Ozdabiają ciało tatuażami, żywią się rybami i owocami chlebowca. Obrastają tłuszczem, a potem opiekują się nimi dzieci. Nie najgorsze życie.

Wyspy te wydawały mi się jednak paradoksalne. Ziemia żyzna, ale ogrody warzywne małe i niewystarczające. Wyspiarze szczytą się starożytną kulturą, a jednocześnie są bogobojnymi chrześcijanami. Opowiadają z dumą o ruinach i rzeźbach w dżungli, ale nie robią nic, żeby je ocalić przed erozją. Twierdzą, że nie znoszą Francuzów, ale pozwalają im prowadzić się za rękę. Wyspiarzom nie przeszkadza, że osiemdziesiąt pięć procent żywności pochodzi z importu, o ile tylko artykuły podstawowe, takie jak ryż, są dotowane. Uwielbiają francuskie bagietki, ale nie zakładają piekarni. Pieczywo, które Aranui przywozi z Tahiti, siłą rzeczy jest nieświeże i drogie, ale wolą to, niż piec bułki samemu. Żyją z dnia na dzień, ledwo wiążą koniec końcem, ale choćby nie wiem jak byli biedni, nie przyjmują napiwków. Pragną, żeby przyjeżdżało więcej turystów, ale na Markizach nie znajdzie się hotelu z prawdziwego zdarzenia. Ministerstwo turystyki zupełnie sobie nie radzi, jeżeli chodzi o te wyspy, co z mojego punktu widzenia należy uznać za błogosławieństwo.

Napisano wiele wszelkiego rodzaju przewodników po Markizach, ale najbarwniejszym i najbardziej pouczającym mimo wszystkich zmyśleń

i przeinaczeń jest *Taipei* Hermana Melville'a. Wyjąwszy parę dróg, sklepy z kasetami wideo, ten i ów urząd pocztowy i zwykłe klątwy kolonializmu, niewiele się zmieniło na Nuku Hivie od stu pięćdziesięciu lat, kiedy Melville uciekał przed ludożercami. Na Markizach nie ma już ludożerców, w każdym razie tych tradycyjnych. Ale jest barbarzyństwo francuskiego kolonializmu. Gauguin zauważył szczególną obłudę kolonialistów. Gavan Daws cytuje płomienne oskarżenie pod adresem zakłamanych burżujów z Polinezji Francuskiej, które wysunął Gauguin. „Cywilizowani! – krzyknął. – Szczycicie się, że nie jecie ludzkiego mięsa, ale codziennie pożeracie serce bliźniego”.

Dzisiaj te wyspy są bardziej puste, w dolinach panuje cisza, zakazane gaje wyglądają bardziej widmowo, a u szczytu niemal każdej doliny jest niebotyczny wodospad – niekiedy nawet trzy lub cztery – spadający z wysokości stu, dwustu, a nawet więcej metrów.

Woda na Markizach to temat sam w sobie. Na widok tych wodospadów odczuwałem pragnienie. Pewnego dnia na Nuku Hivie zaszedłem do baru i poprosiłem o wodę. Otwarto półlitrową butelkę vittela, za którą zapłaciłem dwa i pół dolara. Nikomu nie mieściło się w głowie, że zadowolilibym się podłą wodą z wodociągu w Taiohae, i nikt nie zastanawiał się nad niedorzecznością kupowania buteleczki wody z drugiego krańca świata. To, że jest w ogóle dostępna, graniczy z cudem, natomiast to, że bywa nieodzowna, jest przekleństwem tych pięknych, ale i konfundujących wysp.

Francuzi wielbią i idealizują Markizy, niemniej w latach sześćdziesiątych zamierzali przeprowadzać próby nuklearne na położonej w północnej części archipelagu wyspie Eiao i dopiero gwałtowne protesty skłoniły ich do zmiany planów, wskutek czego zamiast Eiao zniszczyli Mururoę. Twierdzi się, że to Francja gwarantuje jedność Polinezji i utrzymuje tę krainę, ale koszty są tak wysokie, iż Francuzi oszczędzają, jak mogą, i działają wyłącznie w swoim interesie. Lepiej wspierać przemysł rodzimy i przywozić z Francji butelkowaną wodę, niż stworzyć na każdej wyspie infrastrukturę zaopatrzenia w wodę pitną. Właśnie na tym polega kolonializm.

– Niechże sobie gotują swoją wodę – powiadają urzędnicy.

Francuzi nie wnieśli nic trwałego na te wyspy prócz obłudy, fałszów historycznych i skażenia promieniotwórczego.



Czymże więc jest dzisiaj ta część Polinezji, jeśli nie masztem flagowym Francji na Pacyfiku i poligonem pokrętnych doświadczeń z bronią jądrową?

– Ludziom się pomaga, ale nie daje im się pomocy, lecz ją ciska – podsumował señor Pillitz, używając argentyńskiego zwrotu „la agarro de rebote”, które oznacza coś darowanego niechętnie.

Kiedy Francja zniszczy jeszcze kilka atoli, kiedy za sprawą odpadów radioaktywnych zamieni na tych wyspach noc w dzień, kiedy sprzeda tyle koncesji połowowych, że zabraknie ryb (w wodach otaczających Tahiti już ich prawie nie ma), kiedy wszystko gruntownie splądruje, wtedy wyznaczy datę wspaniałej uroczystości i łaskawie odda bezrobotnym i wykorzenionym wyspiarzom w koszulkach i japonkach ich niepodległość. Spełnieniem imperialnych ambicji Francji, ukoronowaniem jej *mission civilisatrice* – posłannictwa cywilizacyjnego – będzie dopiero zniweczenie tych wysp.

## rozdział\_dwudziesty\_

### Wyspy Cooka: w lagunie Aitutaki

**Wiosłowałem** przez wielką lagunę Aitutaki, zielone morze okolone małymi wysepkami i rafą, która jawi się niczym fortyfikacje ulepione z koralu i morskiej piany. Starszy mężczyzna w dżubance, który łowił ryby, zawołał do mnie.

– Czemu pan tak pływa, i to ze słuchawkami na uszach?

Słuchałem Chucka Berry'ego.

– Bo jestem nieszczęśliwy.

– A gdzie ma pan żonę? – wrzasnął.

Wiatr porwał resztę jego słów i rozdzielił nasze łódki.

Do tej laguny w archipelagu Wysp Cooka przybyłem z Markizów nie bez powodu. Poczynając od około 300 roku, Markizy stanowiły bazę wypadową zdobywców, którzy zaludnili trzy wierzchołki trójkąta Polinezji. Ludzie ci dotarli na Hawaje na północy, na Wyspy Cooka, do Nowej Zelandii i na Wyspę Wielkanocną. Nikt nie wie, dlaczego Markizańczycy wyruszali w takie długie i trudne rejsy, bywało, że grubo ponad trzy tysiące kilometrów. Ludzie ci byli wytrawnymi wojownikami, ogrodnikami, żeglarzami i szkutnikami. Odkryli wszystkie wyspy na wschodnim Pacyfiku, przywożąc ze sobą swoje rzemiosła, bogów, wodzów, zwierzęta domowe i ulubione warzywa. Obrabiali kamień, wytwarzali narzędzia, wyplatali pomysłowe kosze, ale nie lepili garnków. Przynieśli na te wyspy cywilizację i osobliwie harmonijną kulturę łączącą w sobie umiłowanie kwiatów i upodobanie do śpiewu i tańca ze skłonnością do ludożerstwa.

Wziąwszy dawnych odkrywców za wzór, postanowiłem wyruszyć z Markizów na Wyspy Cooka, gdzie zamierzałem popływać kajakiem. Potem chciałem powiosłować wokół Wyspy Wielkanocnej, a w końcu planowałem dotrzeć na Hawaje.

Podróż samolotem z Papeete na Rarotongę, główną wyspę archipelagu Cooka, nie jest długa. Na miejsce dotarłem późno w nocy w zimnej mżawce, lustrwany uważnym spojrzeniem rosnących ludzi o maoryskim wyglądem, nalanych twarzach, wielkich, niezbyt chwytnych rękach i zwalistych ciałach. Wyglądali jak niedokończone rzeźby, przystojni w taki posągowy sposób, o szerokich, szczerych obliczach i wielkich stopach. Każdy dorosły, czy to mężczyzna czy kobieta, odznaczał się posturą i krzepą rugbisty.

– To sprzęt kempingowy?

– Kajak.

Na formularzu celnym postawiłem krzyżyk w rubryce oznaczonej jako „sprzęt kempingowy”.

– Czysty?

– Bardzo czysty.

– Zapraszam.

Nowozelandczycy na widok worków z kajakiem i sprzętem biwakowym uśmiechali się i mówili sarkastycznie: „To się nazywa podróżować z bagażem podręcznym!”. Na Wyspach Cooka tragarz, który zdejmował moje wory z wózka bagażowego, rzekł natomiast: „E, moja żona to dopiero waży”.

Miałem wrażenie, iż wylądowałem na zaimprovizowanym lotnisku w środku Afryki. Jeden samolot, trzy budyneczki, mało formalności i tylko jedna osoba zajmująca się wszystkim. Nie potrzebowałem wielu informacji, więc bez trudu je zdobyłem. Dochodziła północ. Zapytałem urzędnika, czy da się polecieć jutro na Aitutaki.

– Pierwszy lot jest o ósmej. Mogę wciągnąć pana na listę.

Tej informacji udzielił mi pan Skew, Nowozelandczyk. Opowiedział o ustroju politycznym Wysp Cooka, który wydał mi się całkiem prosty. Potem zapytał, gdzie się zatrzymam. Spojrzałem na zawieszoną na ścianie reklamę jakiegoś hotelu i rzekłem, że tam. Pan Skew zawiózł mnie na miejsce.

– A oto parlament Wysp Cooka – powiedział, kiedy za lotniskiem mijaliśmy nieduży drewniany barak.

Nowozelandka Viv, srogo wyglądająca recepcjonistka, początkowo zdawała się niezadowolona, że zakłócam jej spokój w środku nocy, a potem rzekła:

- Mamy mnóstwo wolnych miejsc. Chce pan pokój z widokiem na morze?
- Wstaję o szóstej – powiedziałem. Było już wpół do pierwszej.
- No to może weźmie pan jeden z tanich pokoi? – zapytała Viv.

Pokój miał wygląd sowiecki. Łuszcząca się farba, plastikowe krzesła, przewracające się lampy, zatkana umywalka. No i nad wyraz skromne umeblowanie. Poprzednim razem w podobnym pokoju nocowałem w Wellington, natomiast ten sprawiał, że piękna Polinezja zrobiła się zimna i surowa. Wyspy Cooka pozostawały nieformalnie związane z Nową Zelandią, ale zadufany w sobie i ascetyczny kalwinizm Kiwilandii kłócił się z istotą Polinezji, a sami Nowozelandczycy nie pasowali do jej pejzaży, dziwnie chudzi i bladzi w krótkich portkach i ze sterczącymi kolanami.

– Pochodzę z Aitutaki – powiedział mi rano na lotnisku pewien wyspiarz. Mówił z silnym akcentem nowozelandzkim. Nazywał się Michael Rere.

- Na Aitutaki mieszka podobno wielki budowniczy kanu – rzekłem.
- Chodzi zapewne o mojego ojca.
- Nazywa się Rere?

– Tak, ale wszyscy nazywają go Czarnym, bo prawie zawsze łowi ryby. No i zrobił się czarny od słońca.

W siąpiącym deszczu stali miejscowi z girlandami i wiankami z kwiatów w rękach i lustrowali pasażerów, którzy właśnie przylecieli z Auckland, tłumek jaskrawo ubranych, obładowanych ludzi śpieszących przez kałuże do budynku przylotów. Grubasy witające jeszcze większych grubasów. Szczęśliwe rodziny.

Zaczęły przylatywać samoloty kursujące w obrębie archipelagu. Oprócz wysokiej, wulkanicznej, rozwiniętej i najbardziej ludnej (liczącej około dziesięciu tysięcy mieszkańców) Rarotongi archipelag obejmuje czternaście wysp o różnym charakterze, od atoli koralowych w rodzaju Wysp Suworowa (gdzie mieszka sześć osób) po wyspę Mangaia, która jest prawie tak duża jak Raro. Na większość tych wysp latały małe samoloty. Opowiadano mi, że Aitutaki jest śliczna, a ludzie na niej życzliwi, więc postanowiłem udać się z kajakiem właśnie tam.

Jakaś kobieta trajkotała po maorysku i z potoku niezrozumiałych słów wyłowilem wyrażenie „nie ma jak w domu”.

Nie minęła godzina, gdy w blasku słońca leciałem nad laguną Aitutaki, podziwiając cudowny układ raf i *motu* (wysepek), a po lunchu już tam wiosłowałem. Właśnie wtedy ten starszy mężczyzna zawołał:

– A gdzie ma pan żonę?

**Tamtą** noc spędziłem w małym zapuszczonym domku na brzegu laguny, który nosił nazwę „Tom’s”. Biwakowanie nie wchodziło w grę, ponieważ cała ziemia znajdowała się w rękach prywatnych, a właściciele prowadzili uporczywe spory i nieustannie przesuwano granice parceli. Państwo Tom byli rodzimymi mieszkańcami atolu. Wyjechali, a wszystko pokazała mi ich córka Winnie. Ściany domku obwieszono dewocyjnymi obrazkami, na stołach leżały egzemplarze *Księgi Mormona*, najeżone złowieszczo zakładkami i oślimi uszami.

– Tutaj może pan gotować – powiedziała Winnie, wskazując zatłuszczoną kuchenkę.

– Tutaj może pan chować jedzenie – otworzyła zakurzoną szafkę.

– Może pan korzystać z tej łazienki. – Odsunęła foliową zasłonkę i dodała: – wspólnie z innymi.

Ale najbardziej doskwierał mi brak piwa. Nawet jeżeli udałoby mi się je kupić w mieście, to i tak przecież nie mógłbym go przełknąć na oczach rodziny mormonów.

Hotelik ten znajdował się na brzegu laguny, więc zatrzymałem się w nim na pewien czas i zawarłem bliższą znajomość z trzema strasznie poważnymi kaznodziejami w czarnych krawatach, których prawie zawsze można było zastać na werandzie zajętych świątobliwą rozmową. Miejscowy, Maorys z Auckland i Elder Lambert z Salt Lake City.

– Jestem z Massachusetts – powiedziałem, a kiedy spojrzeli na mnie bez zrozumienia, dodałem: – to niedaleko od Vermontu.

Podczas gdy oblicze wyspiarza zachowało głupkowaty wyraz, na twarzy Eldera Lamberta odmalowała się głęboka konsternacja.

– A wiecie, panowie, kto urodził się w Sharon w Vermoncie?

– Kto? – zapytał Maorys.

Po chwili skrępowanego milczenia wyspiarz roześmiał się i zawołał:

– Ja nie wie!

– W Sharon w Vermoncie urodził się Joseph Smith – rzekł Elder Lambert.

Tak ich urzekły fantastyczne opowieści zawarte w niedorzecznym mormońskim milenaryzmie – wizyta Jezusa u Majów w Gwatemali, złote tablice zakopane w Nowym Jorku, prorocтва anioła Moroniego, błogosławieństwo boże w stosunku do wielożeństwa i tak dalej – że zapominali o najprostszych faktach, takich jak to, gdzie się urodził ich prorok i założyciel Kościoła.

Gorąco zachęciłem ich do lektury *No Man Knows My History. The Life of Joseph Smith* [Nikt nie wie, kim jestem. Życie Josepha Smitha] pióra Fawn Brodie, a oni odrzekli, że powinienem zajrzeć do *Księgi Mormona*.

– Zajrzę – rzekłem. – Poczytam o zaginionych plemionach Izraela, które pożegłowały w głąb Pacyfiku.

Usłyszawszy to, Elder Lambert energicznie wysunął się z krzesłem przed towarzyszy i grożąc placem, jął perorować.

– W pierwszym rozdziale Księgi Nefiego czytamy, że Lehi wyruszył z Jerozolimy na wschód. Na wyspach Pacyfiku żyją jego potomkowie. W ostatnim rozdziale Księgi Almy, sześćdziesiątym trzecim, czytamy, że Hagot i wielu innych zbudowali okręty i wyruszyli na „Morze Zachodnie”. Tak mówi Księga. Oczywiście chodzi o Pacyfik. Ludzie ci byli Nefitami.

– Skąd wypłynęli?

– Z Ameryki. Z Ameryki Środkowej.

Nu-nu-nu, groził palcem Elder Lambert.

– „Z wąskiego pasa lądu”, mówi Księga.

– I dopłynęli do Polinezji.

– Tak. Polinezyjczycy są ich potomkami.

Maorys promieniał. Jego oblicze krzyczało: „Uwierz!”.

– A co z Melanezyjczykami?

– To synowie Chama.

– A Mikronezyjczycy?

Elder Lambert spojrział na mnie spod przymrużonych powiek i rzekł:

– Zepsuci rozpustnicy.

Po tak głębokich rozważaniach potrzebowalem powietrza. W rzeczy samej trzeba podziwiać Josepha Smitha, myślałem sobie, za odwagę wyjścia do świata z tego rodzaju przaśną, w najwyższym stopniu zamerykanizowaną religią. *Księga Mormona* wpisuje w plan boży zarówno Krzysztofa Kolumba, jak i rewolucję amerykańską. Mormonizm przypomina wszakże tanie jedzenie. Jest na wskroś amerykański, wygląda apetycznie i dopiero kiedy go się przełknie, człowiek dziwnie się czuje.

Wybrałem się na spacer po Arutandze, jedynym mieście na Aitutaki. To małe miasto, raczej miasteczko, spokojne i nudne. No i dobrze, myślałem sobie, bo dzięki temu jest czyste. Mają tam pocztę, dwa sklepy, cztery kościoły, mulisty port, szkołę i trochę domów. W sklepach wyłącznie konserwy i puszki, ryby, fasola, wołowina, ciastka i chrupki – żelazny asortyment na wyspach południowego Pacyfiku.

Poo, naczelnik poczty, siedział na schodach urzędu. Powiedział mi, że nie lubi Rarotongi, bo ludzie są zapracowani i zestresowani.

– Jest pan zapracowany?

– Nie bardzo.

Eleanor z bistro Big Jay's przyrządziła mi kanapkę z rybą, kawałek solandry w bułce, opowiadając przy tym, że przez całe życie mieszka na tej wyspie i że robi, co może, żeby rozkręcić interes.

– Jest pani zapracowana?

– Nie bardzo.

Kiedy wracałem do hoteliku, zaczęło mocno padać i musiałem się schronić pod wielkim drzewem. Mniej więcej dwudziestoletnia dziewczyna, która wyjechała na skuterze za miasteczko, zrobiła to samo. Deszcz szeleścił głośno na gałęziach i liściach.

– To źle, że pada?

– Nie bardzo.

Po godzinie deszcz ustał, wyszło słońce, więc znowu wyruszyłem kajakiem na lagunę.

Niedaleko hoteliku na plaży spotkałem dwie ogromne kobiety, Apii i Emmę. Wyglądały staro, ale okazały się moimi rówieśnicami. Zwracały się do mnie per *papa'a*, czyli „biały”.

– A gdybym był czarny, jak panie by mnie nazywały?

– Wtedy byłby pan *papa'a kere kere*.

– A gdybym był Chińczykiem?

– To byłby pan *tinito*.

– A gdybym pochodził z innej wyspy?

– Byłby pan *manuiri*, obcy.

Zapytałem o formy wspólnego spędzania czasu na wyspie. Kobiety powiedziały, że chodzi się do kościoła, a czasem są święta i uroczystości.

– Kiedyś mieliśmy kino, ale wideo jest lepsze – dodała Emma.

– Uważają panie, że filmy amerykańskie uczą młodych przemocy? – pytałem.

– Możliwe – odparła Emma. – Ale na Aitutaki młodzież jest porządna. Kłopotów przysparzają dzieci, które wracają z wakacji. Nabierają złych nawyków w Nowej Zelandii. Rozrabiają. Nazywamy je ulicznikami. Dają zły przykład. Nasi ludzie schodzą na psy w Nowej Zelandii.

– Lubię oglądać wideo – powiedziała Apii. – Na Aitutaki prawie każdy ma magnetowid. My mamy od czterech lat. Może trzech.

– Są filmy erotyczne – rzekła Emma. – Czy kiedykolwiek oglądał pan taki film?

– Owszem – przyznałem – obejrzałem kilka. A panie?

– Tak – powiedziała Emma. – Jeden miał tytuł *Tygryś* czy coś w tym sensie.

– Goli *papa'a* – rzekłem, a one zachichotały. – Młodzież też to ogląda?

– Nie, tylko dorośli – odparła Apii. – Mężczyźni je lubią.

– Kobiety uważają te filmy za głupie – dodała Emma.

– Jak panie myślą, dlaczego mężczyźni lubią takie filmy?

– Podsuwają im pomysły. Lubią patrzeć. A czasem – Emma przysłoniła usta wielkimi rękoma i zachichotała – idą do końca.

– Co to znaczy, że idą do końca?

– No, robią to, co zobaczyli – powiedziała Apii.

– Bo filmy erotyczne ich podniecają – dodała Emma.

Staliśmy pod palmami. Znowu zaczęło padać, ale kobiety zebrały się i rzekły, że już muszą iść. Na pożegnanie dałem im czekoladę.



– Wolałabym orzeszki – powiedziała Emma i roześmiała się.

Nazajutrz miałem po dziurki w nosie mormonów i zatechłej chatynki, więc przenieśliem się do parterowego domu w hoteliku jakieś dwa kilometry dalej, ale też nad laguną. Krótko po przeprowadzce włączyłem tranzystor i szukając wiadomości, usłyszałem znajomy głos.

– Ciągle nie dowierzam, że reprezentuję Jej Wysokość Królową w Nowej Zelandii...

Tak, to *dame* Cath, którą poznałem w Fidzi, a która w Nowej Zelandii zasłynęła z tego, że jednego z przeciwników politycznych nazwała „pojebańcem”. Wróciła do Auckland i nadal karmiła gawieź głodnymi kawałkami o tym, że królewskie życzenie jest rozkazem.

– ...a fakt, że córka biednych imigrantów szkockich stoi dzisiaj w tym miejscu, świadczy...

Wyłączyłem radio, a na którejś z palm zaskrzeczała kakadu.

Tamtego dnia powiosłowałem na skraj rafy, w miejsce oznaczone na mojej mapie jako Nukuroa, gdzie zastałem dwóch rybaków, ojca z synem.

– Mogę mieszkać tylko na Aitutaki – oznajmił Toupe, ojciec. – Jest mała. Rarotonga jest wielka. W małym miejscu jest mało ludzi. W dużym miejscu masz pan Samończyków, Tongijczyków i różnych innych. Nie lubię tego.

Wskazałem wysepkę widoczną w kierunku południowym.

– Nazywacie to *motu*? – zapytałem.

– Tak.

Wskazałem Aitutaki, która słała się na morzu niska, zielona i migocząca w słońcu.

– Czy to *motu*?

– Nie. *Enea*.

*Enea* znaczy tyle co „łód”. *Fenua* po tahitańsku. *Vanua* po fidżyjsku. Wyspa to splechetek łądu na morzu. Coś, co da się ogarnąć jednym spojrzeniem. Łąd to co innego – coś, co kojarzy się z domem, jest rozległe, podzielone, żywi wiele rodzin. Poprosiłem Toupe, żeby mi to wyjaśnił.

– *Enea* to nie wyspa. To mały kraj – powiedział, a potem zapytał: – Jest pan żonaty?

– To długa historia – odparłem.

– A gdzie pana żona?

– Właśnie o to chodzi.

– Nie ma jej z panem? – dociekał.

– Nie ma – przyznałem.

– To źle – rzekł i wydał się autentycznie zmartwiony. – Musi pan chodzić z dziewczynkami z baru.

– Nie ma szans – powiedziałem. – Jestem za stary.

– One lubią starszych mężczyzn.

– Nie jestem zainteresowany.

Swoją drogą, gdzie te dziewczynki? I gdzie te bary, skoro już o tym mowa? O dziewczynkach opowiadano też na Tahiti. Nigdy ich nie spotkałem. Pewnego wieczoru w Taiohae na Nuku Hivie jakiś facet powiedział:

– Wszystkie chłopaki poszli do baru na dziewczynki.

W żadnym z tamtejszych barów nigdy nie widziałem kobiety. W Fidżi plotkowano o łatwych dziewczynach. Co za wstyd, wszystko dziwki, mówiono. Rozglądałem się i nie znalazłem ani jednej. Rarotonga cieszyła się sławą gniazda rozpusty. Ale to chyba wolne żarty. Było wesoło, ale przyzwoicie, w ogóle bez podtekstów. O dziewczynkach opowiadano w Nuku'alofie w Tonga. Mieli tam dwa bary. Zajrzałem. Ani jednej dziwki. Na ulicach i w barach w Polinezji nigdy nie dostrzegłem niczego zdroźnego, a jedyny kontakt z miejscowym libido miałem na Trobriandach, gdzie czasami budziło mnie pijackie nagabywanie:

– Panie Paul, nie potrzebuje pan kobiety?!

Zakładałem jednak, że to prymitywna próba obrabowania mnie, i nie reagowałem.

Zanim rozstałem się z Toupe, zapytałem go o rekiny. Powiedział, że jest ich mnóstwo w tej lagunie. Pokazałem mu przeszło metrowy harpun przywiązany obok kokpitu kajaka.

– U, tym to pan nic nie zrobi naszym rekinom – rzekł Toupe. – Są większe od pana łódki.

No nieźle, pomyślałem. Kajak miał przecież prawie pięć metrów.

Jednocześnie Aitutaki była znana z faktu, że nie ma na niej psów. Nikt nie wiedział czemu, ale i tak się cieszyłem, bo polinezyjskie psy to złośliwi

szperacze śmietnikowi. Zupełnie jak gdyby wiedziały, że ludziom nie można ufać i że psi los jest podły, bo w końcu ludzie je ugotują i zjedzą.

Kiedy tamtego dnia wróciłem do hoteliku, na stole znalazłem sześć dojrzałych mango. Grubaski Apii i Emma skądś się dowiedziały, gdzie mieszkam, i przyniosły mi te owoce w darze.

**Zamierzałem** wyprawiać się kajakiem na *motu*, wysepki na granicy atolu. Ponieważ nie do pomyślenia było, żeby obcy na nich nocował, musiałem wracać tego samego dnia, a to oznaczało wycieczki co najmniej piętnastokilometrowe, a w przypadku najdalszych *motu* nawet przeszło trzydziestokilometrowe. Poza tym w grę wchodziły nieprzewidziane komplikacje, chociażby burza, która uwięzi mnie na którejś z wysepek. W miejscowych sklepach zaopatrzyłem się w prowiant – fasolę, sardynki, rodzynki, ogórki, chleb – i wyruszyłem, spuściwszy kajak na wody płytkiej laguny. Nie mieli bazaru. Jeżeli chodzi o mięso, to kupowali konserwy, a w jednym ze sklepów sprzedawano mrożoną jagnięcinę i baraninę z Nowej Zelandii.

- A kurczaki? Nie trzymacie kurcząt?
- Mamy dzikie kurczaki – odrzekł pewien miejscowy.
- Jecie je?
- Czasami. Ale są twarde.

Zachwyciło mnie wyrażenie „dzikie kurczaki”.

Wyruszyłem podczas odpływu, kiedy w lagunie wyłaniają się wielkie półki skał koralowych, i wiatr nieraz spychał mnie na kolczaste skały. Musiałem wtedy wysiadać, wyswobadzać kajak i ostrożnie wlec go po skale w miejsce, gdzie znowu mogłem wsiąść. Z tego powodu na Aitutaki zawsze nosiłem buty do chodzenia po rafie. Po kilku dniach gumowe dno kajaka było okropnie porysowane, ale na szczęście nie przeciekało.

Najwyraźniej odpływ pobudzał ryby, które harcowały na powierzchni lub wynurzały się całymi ławicami. Tysiące rybek wielkości sardynek słało się srebrzystym łańcem przed dziobem kajaka, połyskując w słońcu, tańcząc na ogonach. Przepiękny widok.

Pewnego dnia, kiedy wiosłowałem na *motu* Papau na wschodniej linii rafy, uzmysłowiłem sobie, że kończy mi się woda pitna. Gdyby jakieś nieprzewidziane okoliczności zatrzymały mnie na Papau, nie miałbym wody i żeby się napić, musiałbym strącać kokosy, co nigdy nie jest łatwe. Sprawdziwszy na mapie, że na wschodnim brzegu Aitutaki jest wioska Tautu, powiosłowałem tam i wylądowałem.

Dwóch nagich chłopców przyglądało się, jak wciągam kajak na brzeg.

– Co to jest?

– Moja łódka – rzekłem.

Roześmieli się. Najwyraźniej kajak kłócił się z ich wyobrażeniem na temat łodzi.

Poszedłem wspinającą się ścieżką i za porośniętym dzunglą wzgórzem ujrzałem kilka domostw. W żadnym nikogo nie zastałem, ale domy były porządne, a ogrody zadbane. Na werandzie jednego z pustych domów pracowała pralka, urządzenie starego typu, z mozolnie rzeźącym silnikiem, wirnikowe, w którego bębnie z chlupotem przewalało się pranie. Odgłos z dzieciństwa, kiedy matka całe dni prała w takiej pralce. Zmiękło mi serce, przejechałem pół świata, żeby usłyszeć ten sugestywny odgłos, który przeniósł mnie w czasy beztroski i szczęścia.

Kawałek dalej spotkałem jednego z wyspiarzy. Powiedziałem, że potrzebuję wody, a on wskazał mi dom, gdzie ją dostanę.

Na podwórko wyszedł biały mężczyzna, a za nim małe umorusane dziecko.

– O co chodzi? – zapytał. Mówił bodaj z nowozelandzkim akcentem. Wydawał się nie w humorze.

– Chciałbym prosić o odrobinę wody pitnej, jeśli łaska – powiedziałem.

Bez słowa wziął ode mnie butelkę i wszedł do domu. Wrócił i nadal nic nie mówiąc, podał mi napełnioną butelkę.

– Przy płynąłem kajakiem – rzekłem. – Znalazłem tę wioskę na mapie. Kajak zostawiłem na plaży.

Po prostu patrzył na mnie, bez zainteresowania.

– Długo pan tu mieszka? – zapytałem.

– Osiemnaście lat.

– Wiele musiało się zmienić – ciągnąłem.

Zagryzł usta, a potem powiedział:

– Wtedy nie było utwardzonych dróg.

Hm, teraz też ich nie mieli.

– To wszystko była dżungla – dodał.

Hm, jego dziwny domek nadal otaczała dżungla.

– Takie tam rzeczy – zakończył.

– Doskwiera panu drożyzna? – ciągnąłem.

To pytanie go rozdrażniło.

– Przecież to względne, prawda? – rzekł zaczepnie.

– Jeżeli ogórki kosztują trzy dolary?

– Człowiek przywyka do drożyzny – stwierdził, nie wiedząc czemu wyraźnie już zły. – Tak samo jak przywyka do niskich cen. Jedziesz pan do Australii – może był Australijczykiem – i masz pan tanio, i przywykasz pan do tego. Wracasz pan i masz pan drogo, i przywykasz pan do tego.

– Myślę, że gdyby miał pan ogród, to wydawałby pan na życie o wiele mniej – powiedziałem.

– Ogród?! – zawołał, uśmiechając się ironicznie. – Wiesz pan, ile czasu zabiera ogród? Pielisz pan, podlewasz, harujesz całe dni. A czas to tu najrzadsze dobro. Czas.

Zdumiałem się. Założyłbym się, że na tego rodzaju wysepce ludzie mają mnóstwo czasu – że właśnie czas jest jedynym dobrem, którego im nie brakuje.

Ale facet już się rozpędził, a głos drżał mu z maniackiego podekscytowania.

– Wstajesz pan, wychodzisz pan i nigdy nie masz dość czasu, żeby wszystko obrobić, zawsze coś zostaje, jak nie to, to tamto. Tu, cholera, zawsze brakuje czasu – gadał, pochylając się ku mnie, bosy, w brudnym T-shircie, umorusane dziecko łąsiło się do jego nóg. – Nigdy nie mam dość czasu!

– O, to ja już pójdę – powiedziałem.

– I jeszcze jedno – ciągnął. – Wolę zapłacić trzy dolary za pół kilo pomidorów, niż wydać trzydzieści i zmarnować cały ten czas, jakiego wymaga ich wyhodowanie.

– Tak, oczywiście, ma pan całkowitą rację. No, idę, płynę na tę wyspę – powiedziałem, wskazując w stronę Papau, która majaczyła w dali, po części

zasnuta mgiełką.

– To ze trzy kilometry, wiesz pan. A może więcej.

– Właśnie przepłynąłem dziesięć z Arutangi. Dam radę.

– No i będziesz pan miał wiatr w oczy – powiedział.

– Fakt. Ale dzięki temu szybko wrócę, a może popłynę na następną wysepkę.

– Chyba że wiatr się zmieni. Wtedy będzie pana spychał na otwarte morze albo na rafę.

Nagle zwróciłem uwagę na to, że facet jest nieogolony, ma obgryzione paznokcie i ślinę w kącikach ust.

– Miałem wrażenie, że to stały wiatr, południowo-wschodni.

– Czasami się zmienia. Rzadko o tej porze roku. Ale się zmienia.

Miałem ochotę go odepchnąć, ale powstrzymałem się.

– Przynajmniej nie pada – powiedziałem, odwracając się, żeby odejść.

– Może padać – podchwycił z zapalem. – Potrzebujemy deszczu. Mam nadzieję, że będzie padać – z jakimś przeraźliwym uśmiechem spojrzął w bezchmurne niebo. – A na tę wyspę Papau jest ze sześć kilometrów.

– No to lepiej już pójdę.

– I ze trzy linie rafy – dodał.

– Słyszałem, że na tej wysepce jest starożytne *marae*.

– Tak mówią. Nigdy na niej nie byłem.

Mimo że mieszkał tam od osiemnastu lat?

– Nie miałem czasu – stwierdził, jak gdyby odczytał pytanie w moich myślach. – Nigdy nie ma dość czasu.

Wyglądał na strasznie udręczonego. Miętolił rąbek koszulki.

– Cóż, bardzo przepraszam – powiedział – ale musi mi pan wybaczyć. Nie mogę przegadać całego dnia. Mam mnóstwo papierkowej roboty do zrobienia. Właśnie tym się zajmowałem, kiedy pan przyszedł. Oderwał mnie pan. Widzisz pan? Czas. Za mało.

– Dziękuję za wodę.

– To dobra woda. Ze studni artezyjskiej. Spokojnie może pan pić – rzekł, jak gdybym zamierzał go oskarżyć, że chce mnie otruć.

Potrzebowałem godziny, żeby wiosłując pod wiatr, dostać się na Papau. Na płyciznach brodziły białe i szare czaple. Z daleka odnosiłem wrażenie, że wysepka ma białą piaszczystą plażę, ale okazało się, że to potłuczone korale i wybielone skały, zasłane śmieciami i rupieciami, które wyrzucano z przepływających statków lub które morze przyniosło z Aitutaki.

Kiedy przysiadłem na wyrzuconej na brzeg kłodzie i posilałem się, plaża wstała i jęła się rozłazić na boki. We wszystkie strony dyrdały muszle, duże i małe. Niesamowite, jak na filmie rysunkowym Disneya, gdzie przyroda dokazuje, drzewa śpiewają, kwiatki kłonią główki, muszelki tańczą. Ja to sprawiłem, bo przysiadłszy na kłodzie, znieruchomiałem. Kraby pustelniki, które zaniepokoiłem swoim przybyciem, korzystały z okazji i zmykały, ale nigdy przedtem nie widziałem ich tylu maszerujących jednocześnie.

Obszedłem wyspę wkoło, wypatrując ruin, ale niczego nie dostrzegłem. To bezludna wysepka, w głębi gęsto porośnięta dżunglą, a na brzegach upstrzona śladami ognisk. Wybierałem się na nią, żeby zwiedzić *marae*, ale na miejscu odstręczyły mnie ciernie, wysokie trawy, pająki, więc zamiast szukać ruin, poszedłem popływać, a potem strąciłem kilka obrzydliwych w smaku kokosów.

Wpadłem na pomysł, żeby przemierzyć od razu długi łańcuch *motu*, płynąc z Papau na Tavaeraiti i jej siostrzaną wysepkę Tavaerue. Dalej leżało jeszcze pięć *motu*, a ostatnia znajdowała się na samym południowo-wschodnim krańcu atolu. Mogłem dotrzeć w pobliże niej jeszcze przed wieczorem, nazajutrz przepłynąć na nią i stamtąd wrócić na Aitutaki.

Kusiło mnie złamanie zakazu, a zostało jeszcze wystarczająco dużo dnia, żebym dopłynął do największej *motu*, Tekopui, gdzie mógłbym się ukryć.

Wiatr mi sprzyjał, popychał kajak i prześlizgnąłem się szybko obok Akaiami i Muritapui, a wtedy Aitutaki już niemal znikła za horyzontem. To niska wyspa, a o tej porze dnia rybacy nie wypływali tak daleko. Pewnym kłopotem mógłby być tylko rybak, który wpadł na taki sam pomysł jak ja, a więc postanowił przenocować na *motu*. Ale nikogo nie dostrzegłem. Wylądowałem na najdalszym krańcu Tekopui i wciągnąłem kajak na plażę. Miałem wszystko, czego potrzebowałem: wodę, jedzenie, środek

odstraszający moskity i kawał brezentu wystarczający do osłonięcia śpiwora przed deszczem.

Noc nadeszła nagle. Ledwie skończyłem jeść, gdy zapadła ciemność. Nie było gwiazd, żadnych świateł, nawet na dalekiej wyspie. Palmy grzechotały, przybój huczał na drugim brzegu mojej *motu*. Odgłos przyboju i tłukących o siebie liści palm budził mnie przez całą noc. Polinezyjskie noce nigdy nie są ciche, bo zawsze słychać morze lub wiatr, ale tamta noc była głośniejsza od nocy w sercu wielkich miast.

**Obudziłem** się cały mokry, chociaż nie od deszczu, lecz od resztki gęstej mgły, a po śniadaniu naszły mnie wątpliwości, czy dobrze zrobiłem, biwakując. Wypiłem już prawie całą wodę, zjadłem prawie cały prowiant. Jeżeli zdarzy się coś nieprzewidzianego, dostanę za swoje.

Od Motukitiu, ostatniej *motu* w tym łańcuchu, dzieliła mnie godzina wiosłowania. Wyruszyłem przed wschodem słońca, zanim zaczął wzmagać się wiatr. Po wylądowaniu odpocząłem krótko, napiłem się wody, po czym ruszyłem na północ przez najszerszą część laguny, żeby chwycić zrywający się wiatr, który zanieś mnie na bezpieczną przystań cypla Te Koutu.

Po drodze napotykałem żółwie, ławice roztańczonych ryb, omijałem najeżone ostrymi kolcami koralowe skały. O tym, jak źle spałem ubiegłej nocy, przekonałem się, kiedy po wylądowaniu na brzegu Aitutaki położyłem się na plecach i zaraz zasnąłem. Nie minęło nawet południe. Ale gdy się obudziłem, czułem się nie tylko odświeżony, lecz również napełniony miłym poczuciem spełnienia, zadowolony, że zdołałem obejrzeć wszystkie *motu* na długiej rubieży ogromnej laguny – bezludne wysepki atolu Aitutaki.

Wykąpałem się jeszcze w lagunie przy cyplu Te Koutu. Ta część Aitutaki jest pusta, nie licząc skrzeczących ptaków. Potem ruszyłem w drogę powrotną do Arutangi. Wiało przyjemnie w plecy.

Chociaż z powodu kolczastych skał koralowych trzymałem się jakieś półtora kilometra od brzegu, to kiedy mijałem plażę przy wiosce, którą na mojej mapie oznaczono jako Reureu, dobiegły mnie głośne śpiewy. Ledwo dostrzegłem grupkę mężczyzn w altanie przy wielkim drzewie. Omijając skały,



podpłynąłem bliżej i biłem się z myślami, czy wylądować, gdy usłyszałem krzyki. Mężczyźni machali, zapraszając mnie na brzeg.

Wciągnąłem kajak na ląd i poszedłem do nich. Piętnastu chłopów. Większość pijana, wszyscy śpiewali. Jeden miał gitarę, inny ukulele.

– Zapraszamy – powiedział mężczyzna w T-shircie z napisem „Rarotonga”. – Proszę się częstować kawą.

Wskazał obciętą stalową beczkę stojącą w samym środku zgromadzenia. Jeden z mężczyzn zamieszał w niej skorupę kokosa, nabierając brązowego, mętnego płynu.

– Czy to *yanggona*?

– Nie. To *aitutacka* kawa. Robiona ze słodu, cukru i drożdży. Piwo, kolego.

– Leśne piwo.

– Tak. Proszę.

Podano mi czarną połówkę skorupy kokosa wypełnioną po brzegi owym piwem. Pociągnąłem łyżeczek. Smakowało słodkawo i alkoholowo. Mężczyźni zachęcali mnie, żebym wypił do dna. Uczyniłem to i prawie że zwymiotowałem.

– A więc wiosłuje pan po morzu tą łódeczką?

– Tak. Byłem na *motu* – powiedziałem, po czym żeby się upewnić, że złamałem zakaz, zapytałem: – A co gdybym chciał spędzić noc na *motu*?

– Jeżeli nikt pana nie widzi, to co w tym złego? – rzekł jeden z amatorów leśnego piwa.

Wszyscy mieli na sobie usmotruchane T-shirty, siedzieli na kłodach.

– Skąd pan przyjechał?

– Z Ameryki. Ale nie tą łódką.

Wybuchnęli śmiechem. Dostatecznie się już ululali, żeby uznać to za zabawne. Potem zaczęli drażnić się z jednym spośród nich, który wydawał się bardzo nieśmiały i bodaj upośledzony umysłowo.

– To Antoine – powiedział mężczyzna w T-shircie z napisem „Rarotonga”. – Pochodzi z Mururoi, gdzie Francuzi testują bomby. Jest radioaktywny. To dlatego takie z niego dziwadło.

– Antoine zna francuski.

Odezwałem się do niego po francusku, mówiąc po prostu dzień dobry. Wszyscy inni gruchnęli śmiechem.

Antoine opuścił nas, wsiadł na motocykl i odjechał.

– Czy to szkoła leśnego piwa?

Czytałem, że na Aitutaki właśnie tak nazywają amatorów alkoholu pijących po krzakach.

– Tak. On jest nauczycielem.

Mężczyzna nurzający brudną skorupę kokosa w zawartości stalowej beczki uśmiechnął się i nadal mieszał i czerpał trunek.

– Chociaż tu jest raczej jak na okręcie – zauważył inny z pijaków. – On jest kapitanem. Ten to pierwszy oficer. Ten to drugi oficer. Ten to mechanik...

– Nie, to jest klub – rzekł jeszcze inny z towarzystwa. Stał oparty o drzewo. – Nosi nazwę Klub Arepuka. To jest drzewo *puka*. A to jest *are*.

Miał na myśli altanę.

– On jest prezesem.

Stojący mężczyzna uśmiechnął się. No jasne – jedyny trzeźwy na tyle, że może utrzymać się na nogach, musi być prezesem.

– Jak długo istnieje ten klub?

– Trzy lata.

– Pijecie codziennie?

– Pan wybaczy, posiedzenia klubu odbywają się codziennie.

– A co robią panowie na posiedzeniach?

– Pijemy piwo.

– A potem?

– Śpiewamy.

– Jak długo tu zostajecie, panowie?

– Aż się upijemy i nie możemy się utrzymać na nogach.

Kiedy zachowujący kamienną twarz prezes objaśniał mi funkcjonowanie klubu, reszta pękała ze śmiechu.

– Potem idziemy do domu.

– A co śpiewacie?

– Piosenki o naszej wyspie.

– Czy to ładna wyspa?

– Jest jak raj.

– Dlaczego pan tak uważa?

– Bo mamy wszystko, czego nam trzeba: jedzenie, piwo, warzywa, ryby...

Nagle siedzący obok mnie mężczyzna wziął moją rękę i zaczął z niej wróżyć.

– Widzę, że ma pan trzydzieści sześć lat – powiedział, ściskając moją dłoń.

– U nas jest lepiej niż w Nowej Zelandii – rzekł inny.

– Był pan tam? – zapytałem.

– Tak. Wszystko dzieje się za szybko. Ludzie tacy zabiegani.

– Niektórzy nasi wracają na Aitutaki z Nowej Zelandii i kiedy idą do latryny, mówią: „Jak brudno! Nie ma spłuczki. Patrzcie, ile karaluchów!”. Ale w Nowej Zelandii jest mnóstwo wody, więc mogą spłukiwać. My mamy mało wody.

– Ale po dwóch tygodniach przestają narzekać – wtrącił któryś.

– Co pan myśli o Nowozelandczykach? – zapytał mnie inny, podając następną czarbkę piwa.

– Są bardzo rozważni – odparłem. – Przestrzegają prawa, rozważnie jedzą, rozważnie mówią, rozważnie wydają pieniądze.

– Bo nie mają pieniędzy! – zawołał jeden z pijących, a reszta gruchnęła śmiechem. – Są biedni.

– A wy jesteście bogaci? – zapytałem.

– Nie.

– Biedak nie zawsze liczy się z groszem. Biedak potrafi być bardzo hojny.

– A bogacze mają węża w kieszeni.

Roztrząsania tej sprawy tak mnie wciągnęły, że wkrótce uzmysłowiłem sobie, że jestem pijany i boli mnie głowa. Kiedy na chwilę zamilkłem, wyspiarze zaczęli śpiewać.

– O czym opowiada ta piosenka? – zapytałem, gdy skończyli.

– O Ru, naszym przodku. Ru odkrył Aitutaki. Przybył z czterema żonami i z braćmi.

W moim przewodniku wspomniano o tej legendzie. Ru przypłynął z wyspy Tupuaki w archipelagu, który dzisiaj nazywamy Wyspami Towarzystwa. Opuścił rodzimą wyspę z powodu przeludnienia. Pierwotna nazwa Aitutaki

brzmiała *Ararau Enuā O Ru Ki Te Moana*, czyli „Ru na Poszukiwaniach Lądu za Morzem”.

Pomimo zabiegów misjonarzy ta miejscowa legenda żyła i miała się dobrze. Wyspy Cooka należą do pierwszych wysp Pacyfiku ochrzczonych przez gorliwego pastora Johna Williama, który w 1821 roku zostawił na Aitutaki polinezyjskiego neofitę Papeihę. Kościół wybudowany na Aitutaki w 1828 roku jest najstarszy na Wyspach Cooka, a na jego podwórku wmurowano tablicę ku czci zarówno Williama, jak i Papeihy.

– Skąd przybył Ru? – zapytałem.

– Może z Wysp Towarzystwa, może z Samoa.

– A przedtem?

– Nie z Azji. Myślę, że z Anatolii. Skąd pochodzili Adam i Ewa.

Aha, oto i związek między polinezyjską legendą a tradycją chrześcijańską. Odkrywca Ru przyplłynął swoim kanu z Ziemi Świętej.

– Co uważacie za największą zaletę mieszkania na wyspie? – zapytałem.

– To, że jesteśmy wolni – odparł jeden z piwoszy.

– Możemy robić to, co chcemy – dorzucił drugi.

– A co jeżeli przyjdą inni? *Papa’a*. Albo *tinito*, *manuiri* albo Japończycy.

– Wyrzucimy ich.

– To nasza wyspa. Mamy wszystko.

Wyglądali groźnie, ale mieli nieźle w czubie. Zataczając się, odprowadzili mnie do kajaka i gorąco zapraszali na następny dzień. Obiecywali, że zaśpiewają dla mnie.

Nie wiem czemu, ale w gasnącym świetle dnia, gdy słońce zanurzało się w wody laguny, wiosłując wzdłuż brzegu jednej z najpiękniejszych – a i najgościnniejszych – wysp, jakie w życiu widziałem, poczułem się okropnie samotny. Znowu dzwoniło mi w uszach pytanie starego rybaka: „A gdzie ma pan żonę?”, i boleśnie doskwierała świadomość, że w istocie już nie mam żony.

Wkrótce płynąłem po czarnej od nocy wodzie i jak szalony młóciłem wiosłem ku światłom na brzegu.

**Najdziwniejszym** aspektem mojego podróżowania po wyspach Pacyfiku była samotność, ponieważ mieszkańcy Oceanii nigdy nie są samotni i nie potrafią zrozumieć samotności. Zawsze mają rodzinę, bliskich – żonę, męża, dzieci, narzeczone i narzeczonych. W przypadku średniej wielkości wyspy niemal wszyscy jej mieszkańcy są spowinowaceni. Czyż taka wielka rodzina nie jest jednym z błogosławieństw w życiu wyspiarza? Mieszkanie na wyspie znaczy, że człowiek nigdy nie jest samotny.

Wyspiarskie ludy Pacyfiku, wśród których podróżowałem, nie mają pojęcia samotności, które nie konotowałyby nieszczęścia lub zaburzeń umysłowych. Na większości wysp Pacyfiku nawet czytanie książek uchodzi za podejrzaną rozrywkę właśnie dlatego, że zakłada samotność. Analfabetyzm nie ma z tym nic wspólnego, bo nie brakuje szkół i na ogół ludzie umieją czytać i pisać. Ale z doświadczenia wiedzą, że człowiek, który się odsuwa od innych i woli samotność – czyta książki, trzyma się z dala od wioski, samotnie wędruje po plaży – jest pogrążony w głębokim *musu* i planuje morderstwo lub samobójstwo, albo jedno i drugie. Czasem mówiono mi, że odsetek samobójstw jest niewyobrażalnie wysoki, a kiedy podawano tę liczbę, rzeczywiście zdumiewałem się. Potem opisywano metodę, najczęściej skok z czubka palmy.

Małżeństwo na ogół nie przysparza kłopotów ani napięć, ponieważ jest sprawą całej rodziny. Mąż ma swoje męskie towarzystwo, żona przyjaciółki, a dzieci są wychowywane przez licznych wujów i ciotki. Kiedy małżeństwo ma taki zarazem złożony i praktyczny charakter, rozwód staje się zbędny. Wiele osób pozostaje w związku małżeńskim, chociaż nie mają ze sobą nic wspólnego i rzadko się widują. Granice wyspiarskiej rodziny na ogół pokrywają się z granicami wyspy i taka społeczność funkcjonuje w zasadzie jak naród.

Gdzeniegdzie spotykałem rozwodników. Na Trobriandach rozwódka jest znowu do wzięcia, ale nie wzbudza zapału wśród kawalerów, którzy powiadają ze strachem: „Obym nie musiał jej poślubić!”. W XIX wieku misjonarze prezbiteriańscy potępiali rozwodników znacznie surowiej niż miejscowa tradycja i zerwanie małżeństwa zaczęło naznaczać ludzi piętnem

równie złowrogim jak znamię Bestii. Rozwodnicy często opuszczają rodzimą wyspę. Zawiedli wiele osób, zrobili sobie wielu wrogów. Rozwódki pracują w hotelach w stolicy, rozwodnicy emigrują. Rozwód ściąga na ogół na człowieka odium zdrajcy.

Wszystko to komplikowało moje położenie. Podróżowałem sam, więc wydawałem się dziwakiem, odbywałem samotne wyprawy kajakowe, więc wyglądałem jak prawdziwy *palangi*, który „spadł z nieba”, czytałem i ciągle coś notowałem, więc wydawałem się osobą szurniętą, no i nie miałem żony, czego już ni w ząb nie pojmowano. Wyspiarze nie rozumieli mojej sytuacji, a ja nie mogłem im jej wyjaśnić. Szczególnie często w kłopotliwym położeniu stawałem na Wyspach Cooka. „Gdzie ma pan żonę?” O Boże, nie mówmy o tym! Nie byłem w stanie podzielić się z nimi uczuciami, a mógłbym je im zasugerować tylko na tej zasadzie, jak gdybym opisywał opactwo westminsterskie w ich kategoriach, mówiąc: „To wielka *are*, mająca wewnątrz *marae* i rzeźby na ścianach”.

W Oceanii niekiedy czułem się jak jedyna osoba, która zniweczyła swoje małżeństwo, i wracał bezbrzeżny żal, jaki ogarnął mnie tamtej ciemnej nocy w Nowej Zelandii, gdy za szybą California Fried Chicken Family Restaurant przy Papanui Road w Merivale zobaczyłem szczęśliwą rodzinę i zalałem się łzami.

Pomagało tylko wiosłowanie.

Pewnego wieczoru, pogrążony w tym smętku, ciągnąłem kajak po plaży, gdy spostrzegłem mężczyznę przechadzającego się pod palmami. Biały, zapewne turysta, ale coś w jego powierzchowności przykuło moją uwagę. Osobliwie ukształtowany, wysoki, z wydatnym brzuchem, wąski w barkach, o chudych ramionach, patykowatych nogach i dużej głowie. Trudno wyobrazić sobie osobę bardziej różną fizycznie od miejscowych. Wyglądał niczym angielski ziemianin albo kapitan statku, który nigdy nie opuszczał posiłku i rzadko spacerował. Dobrze odżywiony, ale w ogóle niewysportowany.

Zawlokłem kajak pod palmę i odwróciłem do góry dnem, żeby zostawić go na noc. Mężczyzna przystanął i przyglądał się moim zabiegom. Szpakowaty, w okularach o grubych soczewkach, z subtelnymi rękami, które pasowały do chudych ramion. Ożywiony, bodaj niespokojny, ale lekko się uśmiechał.

Niewątpliwy przejaw życzliwości i braterstwa, jakie w dalekim świecie odczuwa jeden *papa'a* na widok drugiego, ale w jego uśmiechu było coś więcej, nie tylko życzliwość, lecz radość.

– Skądś pana znam – powiedziałem.

– David Lange – przedstawił się. – Były premier Nowej Zelandii.

– Co pan powie na piwko?

– Z przyjemnością.

No i już nie jesteś sam, rzekłem sobie w duchu.

Z oddali podziwiałem Davida Lange'a za wkład w antynuklearną politykę Nowej Zelandii. Oto jeden z biedniejszych krajów uprzemysłowionych, żywotnie zainteresowany eksportem masła, baraniny i wełny na rynki światowe, ryzykuje sankcje gospodarcze ze strony Ameryki i Europy, nie tylko prawiąc mocarstwom kazania na temat zagrożeń związanych z uzależnieniem od przemysłu nuklearnego, lecz posuwając się do niewpuszczania do swoich portów okrętów przewożących substancje promieniotwórcze. Pryncypializm zazwyczaj drogo kosztuje i skazuje na osamotnienie. Postawa Nowej Zelandii zakrawała na polityczne samobójstwo. Niemniej Lange przyjął tę linię, zdobywał sojuszników i stał się przykładem dla wielu innych przywódców na świecie. Chociaż z pewnymi wyjątkami. Fama głosiła, że premier Australii znienawidził Lange'a za jego stanowczość, ale cóż z tego? Koniec końcem to Lange mógłby szydzić z Boba Hawke'a, że czuć od niego uranem.

Potem wszakże wybuchł skandal z rozwodem Lange'a. Właśnie o tym trąbiono, gdy przebywałem w Nowej Zelandii. Porzucona żona wylewała żale, Lange'a potępiała matka, sfora dziennikarskich hien robiła wszystko, żeby go zniszczyć. Współczułem mu. Obrabiano go w czasie, kiedy i ja się rozwodziłem. Utożsamiałem się z nim do tego stopnia, że w głębi ducha uważałem go za *alter ego*. Byliśmy niemal rówieśnikami. Czytałem nagłówki krzyczące „Żona Lange'a oskarża: »David mnie oszukał«”, i aż krzywiłem się z zażenowania, i żałowałem i jego, i siebie.

Ale jakże śmieszny i mały jest świat. Oto pewnego dnia spotykamy się w zmierzchającym świetle pod palmami nad laguną Aitutaki, były premier i były pisarz – albowiem wtedy tak o sobie myślałem – dwaj wykończeni renegaci, którzy umknęli na daleką wyspę.

I ja się przedstawiłem.

– Naprawdę? Ten pisarz? – zdziwił się Lange i wymienił kilka tytułów moich książek. – Pisze pan tutaj?

– Nie. Tylko wiosłuję.

Ale któż jak nie on rozumiał, że zrezygnowany pisarz nie różni się wiele od zrezygnowanego polityka.

– To doskonale się składa – rzekł półzartem. – Sam chciałbym napisać coś o Aitutaki. Przyjeżdżam tutaj od lat. Korci mnie, żeby napisać książkę o tej wyspie, w pańskim stylu. Nie brak tu barwnych postaci.

Nagle, kiedy siedzieliśmy przy piwie, powiedział:

– Pisze pan o podróżach koleją. – Mówił szybko, jak to czynią ludzie obdarzeni żywą i niecierpliwą inteligencją. Pociągnął łyk piwa. – Opowiem panu niesamowitą anegdotę kolejową. Otóż w 1967 roku, w moich studenckich czasach, jechałem z Delhi do Bombaju. Wtedy pociąg pokonywał tę trasę w trzydzieści siedem godzin, ale mieli wspaniały wagon restauracyjny. Bawełniane serwetki, srebrne sztucce, żwawi kelnerzy. Wziąłem wołowinę w sosie curry. Mięso smakowało dziwnie, ale oczywiście zostało mocno doprawione ziołami. Pochorowałem się tak, że musiałem leżeć przez kilka dni. Nigdy bardziej nie zatrąłem się jedzeniem. I nie tylko ja. Większość pasażerów, którzy zjedli to curry, wylądowała w szpitalu.

Zachichotał na wspomnienie o tym i opowiadał dalej.

– Mniej więcej miesiąc później przeczytałem, że jednego z kelnerów jeżdżących na trasie z Delhi do Bombaju aresztowano pod zarzutem, że dostarczał do pociągowej kuchni szczątki ludzkie, twierdząc, że to świeża wołowina. Rzeczywiście trudno rozpoznać mięso ludzkie, kiedy jest zrobione w sosie curry.

Polityk musi umieć mówić, pisarz musi umieć słuchać. Tak oto Lange, osoba publiczna i urodzony mówca, i ja, osoba prywatna i chętny słuchacz, spotkaliśmy się na uroczej wyspie, mając mnóstwo czasu na rozwijanie tych przystających do siebie talentów.

Lange mówił dużo i dobrze, a jest człowiekiem otwartym i życzliwym. Pozdrawiał obcych, miał dobre słowo dla każdego, wprowadzał mnie w rozmaite kręgi na wyspie. Kiedy zbierało się małe towarzystwo, grał



pierwsze skrzypce i bez zbędnych komplikacji rozpoczynał dowcipny monolog, oszczędzając nam kulejącej rozmowy. Ma właściwy najlepszym mówcom parlamentarnym dar niegubienia wątku. Nic nie zbijało go z pantałyku, ani nagły deszcz, ani grad strąconych przez wiatr kokosów, głośna muzyka, nachalni obcy ani trudne bądź głupie pytania. I ma właściwy popularnym politykom dar nienudzenia słuchacza, nawet gdy mówi się ciągle o tym samym. Zaręczam, że Lange potrafi przez kilka dni z rzędu powtarzać jedną anegdotę i dzięki umiejętnemu dozowaniu napięcia, uwypuklaniu tych, a nie innych aspektów sytuacji, rozkładaniu akcentów, wcielaniu się w bohaterów – ani razu nie znudzi nawet tych samych słuchaczy.

W trakcie rejsu wzdłuż łańcucha *motu* przypiekło mnie słońce, więc musiałem trzymać się w cieniu i przez następne trzy dni wiele czasu spędziłem w towarzystwie Davida Lange’a, który dobrze znał Aitutaki. Rozmawialiśmy – przy czym głównie to on mówił, a ja słuchałem – o aferze z Rainbow Warrior, o przyszłości Nowej Zelandii, a także o Australii, o demencji Ronalda Reagana, o paranoi Saddama Husajna, o Margaret Thatcher, o królowej, o Yoko Ono, o premierze Singapuru Lee Kuan Yew, o Radżifie Gandhim, o Chandrze Shekharze, o charakterach ludów zamieszkujących wyspy Pacyfiku – Tongijczyków, Samończyków, mieszkańców Wysp Cooka – i o naturze rozmaitych wyznań chrześcijańskich.

Za najbardziej niewydarzone konferencje międzynarodowe Lange uważał szczyty głów państw Wspólnoty Narodów. Mniejsza o to, że Margaret Thatcher niańczyła wszystkich i wymachiwała torebką, a premier Australii Bob Hawke zachowywał się obraźliwie. Przede wszystkim spotkania te były absolutnie jałowe. Szczyt na Bahamach w 1985 roku zapisał się w annałach tylko ze względu na gospodarza, premiera Bahamów, „wybitnego akrobatę, który się utrzymał na stołku mimo śledztwa w sprawie tego, jakim sposobem w ubiegłym roku odłożył w banku osiemnastokrotność poborów”. Na późniejszym szczycie w Vancouver Lange odkrył, że do rachunku doliczono mu tysiąc trzysta dolarów za rozmowy telefoniczne, po czym ustalił, że na jego koszt rozmowy te zamawiała delegacja Botswany. Na tej samej konferencji Ugandyjczycy „skorzystali z nieobecności przywódcy i zaprosili do hotelu liczną reprezentację miejscowych prostytutek”.

– Po fakcie odmówili zapłaty i oddali dziewczyny w ręce policji. Poza tym na szczycie nie wydarzyło się nic godnego uwagi.

**Ujmowała** mnie szczerść i bezpretensjonalność Lange'a, ujmowało mnie jego poczucie humoru. Doskonale znał cały świat i jego sprawy. Poznał najpotężniejszych ludzi. A kogo ja znałem? Pogrzebałem w pamięci i wspomniałem o wizycie w Fidzi. Lange poweselał.

– Rabuka to oprych, a premier Kamisese Mara chodzi na pasku wojskowych.

– Chciałbym zapytać pana o *dame* Cath Tizard, waszą gubernator generalną – powiedziałem.

– Nie wiem, jak znajdzie czas na wykonywanie urzędu – rzekł Lange, terkocząc niczym karabin maszynowy i nie przestając się uśmiechać. – Przez najbliższy rok będzie przesiadywać w sądzie na procesie o zniesławienie. Zarzuciła pewnemu facetowi niekompetencję, a on pozwał ją o czternaście milionów dolarów.

Wspomniałem coś o osobliwych manierach *dame* Cath przy stole, ale Lange z uśmiechem terkotał dalej.

– Jej były mąż to też niezły numer. Wywołał istną burzę w Japonii po śmierci cesarza, kiedy przywódcy krajów z całego świata słali kondolencje. Stwierdził, że cesarza Japonii należało obedrzeć ze skóry zaraz po wojnie.

Wykorzystywałem każdą przerwę w rozmowie do zadawania pytań, a Lange odpowiadał zawsze niezwykle szczerze, nawet na pytania o rozpad jego małżeństwa, romans z panną Pope, asystentką piszącą mu przemówienia, i zaskakujące zachowanie jego matki.

– Matka najwyraźniej pana potępia.

– Rzeczywiście! – zawołał z uśmiechem. – Poszła do telewizji! Szkoda, że pan jej nie słyszał!

– Czy pana małżeństwo rozpadło się z powodu konkretnego zdarzenia, czy też...

– Och, od dawna oddalaliśmy się od siebie – westchnął. – To proces tak subtelny, że zachodzi właściwie niepostrzeżenie. Aż nagle człowiek

uzmysławia sobie, że jego małżeństwo legło w gruzach.

– Ale w pana życiu jest teraz inna kobieta?

– O tak. Margaret. Urocza osoba. Musi pan ją poznać.

– A jak dzieci przyjęły rozwód?

– Starsze, syn, jest w Indiach, studiuje. Córka natomiast powiedziała, że ma nadzieję, iż będzie w końcu rozpieszczana, jak przystało na dziecko rozwiedzionych rodziców. Niewiele ją to obeszło.

– Czy odczuwa pan żal, rozpamiętując szczęśliwe dni życia małżeńskiego?

– Och, nasz związek był raczej burzliwy. Pana nie?

– Nie. Na ogół żyliśmy bardzo harmonijnie – odparłem. – Nieraz łapię się na tym, że patrzę w przeszłość, i strasznie cierpię.

– Powinien pan patrzeć w przyszłość – stanowczo rzekł Lange.

– Czy sądzi pan, że kiedykolwiek wróci do żony?

– Nie, to już pogrzebane – stwierdził. – Zresztą całkiem dobrze sobie radzi.

Właśnie wydała tomik wierszy.

– A jak pan sobie radzi?

– Cóż, w wieku czterdziestu ośmiu lat nie mam własnego kąta. Żona wzięła wszystko.

Roześmiał się, niewesoło, ale i bez goryczy. Odczuwałem wielką wdzięczność, że nie uciekał od moich pytań. Nie mazał się, nie oskarżał, nie próbował cofać zegara. Chciałbym być równie stanowczy i w pewnym sensie pragnąłem przestać wiosłować i wrócić do stanu owej błogości, jakiej zaznałem w dzieciństwie – znowu kochać i być kochanym.

Po tej rozmowie o rozwodzie jedyny raz zaległo między nami milczenie.

Wkrótce Lange wrócił do anegdot o polityce i politykach. Opowiadał o Oliverze Tambo z Afrykańskiego Kongresu Narodowego.

– Kiedy go poznałem, próbował usprawiedliwić *necklacing*<sup>[67]</sup> (naszyjnikowanie).

– Harold Wilson działał bardzo sprytnie jako premier Wielkiej Brytanii – mówił Lange – ale jaką przyszłość ma Partia Pracy? Bryan Gould? Jest Nowozelandczykiem. W czasach studenckich mieszkałem z nim w jednym pokoju. Jak może poprowadzić Partię Pracy, skoro nawet nie jest Brytyjczykiem!

Lange właśnie skończył pisać książkę pod tytułem *Nuclear Free – the New Zealand Way* [Wolni od atomu – jak to robi Nowa Zelandia], w której opowiada o swojej polityce antynuklearnej na Pacyfiku, i miał w zanadru mnóstwo anegdot o złowrogich knowaniach Francji.

– Francuzi to świnie – oznajmił. – W noc poprzedzającą przedłożenie orzeczenia przez jednego z sędziów trybunału arbitrażowego włamano się do jego domu. Zginęła tylko jedna rzecz, a mianowicie komputer z materiałami dotyczącymi postępowania w tej sprawie, a na jego miejscu włamywacze zostawili nóż rzeźnicki.

W *Nuclear Free* Lange pisał: „Francja nadal przeprowadza próby atomowe w atolu Mururoa. Nic w jej dziejach nie wskazuje, że zaprzestanie tego procederu bez interwencji państw jeszcze potężniejszych. Zostaje mi tylko nadzieja, że mocarstwa w końcu zechcą interweniować”.

Rozmawialiśmy do późna w nocy. Noce na Aitutaki były gwiaździste. To wprost idealna wyspa, obdarzona jedną z największych i najpiękniejszych lagun, jakie widziałem na Pacyfiku. Wyspiarze życzliwi i mili, obfitość pożywienia, no i całkowity brak telefonów, samochodów i psów.

Wygłosiwszy perorę lub opowiedziawszy anegdotę, Lange czasem pochylał się ku mnie i pytał:

– Na pewno nie pisze pan nic o Aitutaki?

Pod koniec tygodnia znowu natknąłem się na niego na plaży.

– Przedstawiciel królowej wyjeżdża pojutrze. Będzie coś w rodzaju fety na jego cześć. Chce pan to zobaczyć jako mój gość? Może być zabawnie, nawet jeżeli nie pisze pan o tej wyspie.

– Kim jest przedstawiciel królowej?

– W tym przypadku anachronizmem nazwiskiem sir Tangaroa Tangaroa.

Następny dzień spędziłem na łowieniu harpunem ryb, nurkując z rurką i ciągnąc za sobą kajak. Myszkowałem wzdłuż rafy, a kajak wziąłem z myślą o tym, że kiedy znudzę się polowaniem, powiosłuję na jedyną *motu*, której jeszcze nie odwiedziłem, a mianowicie na Mainę (co znaczy tyle co „Dziewczynka”). Opodal Mainy spoczywa wrak okrętu, który w latach trzydziestych wiózł ładunek fordów T i rozbił się o tamtejszą rafę.

Za wijącymi się czarnymi opasłymi ślimakami morskimi i śmigającą rybią drobnicą widziałem prześliczne papugoryby. Ścigając ryby, pływałem pomiędzy wybrzuszonymi skałami koralowymi.

– Skoro widział pan, jak pięknie jest ubarwiona żywa ryba i jak szarzeje na desce do ćwiartowania, to jak może pan ją jeść? – zapytał mnie kiedyś pewien wegetarianin.

Polowanie na ryby szybko mi obrzydło i tylko nurkowałem, a potem – przypomniawszy sobie, że przy tej rafie grasują rekiny – wsiadłem do kajaka, nałożyłem słuchawki walkmana i wiosłowałem.

W tamten uroczy poranek w lagunie Aitutaki słuchałem *Carmina Burana*. W takie dni – a przeżyłem ich wiele w Oceanii – zapominałem o wszelkich zgryzotach, niepowodzeniach, niepokojach związanych z pisaniem. Byłem tam, gdzie chciałem być, i robiłem to, co najbardziej lubię robić. Znajdowałem się wystarczająco daleko od brzegu, żeby wyspa wyglądała tajemniczo i magicznie, sunąłem lekko po zielononiebieskiej powierzchni laguny i pomiędzy partiami cudownej kantaty słyszałem fale dudniące o rafę.

Wiatr się wzmaczał, płynąłem dalej i ze zdziwieniem odkrywałem więcej wraków. Zaskakujące świadectwa grozy tej rafy, przeraźliwe, kojarzące się ze szkieletami. Wielkie czarne i skorodowane formy sprawiały wrażenie skamieniałej przemocy. Upiorne, tym bardziej przeraźliwe, że w tym błogim pejzażu i na ślicznej wyspie nic się działo. Zaiste niepojęte, po cóż jakikolwiek kapitan miałby kierować okręt ku Aitutaki i okalającej ją rafie, ryzykując katastrofę. Wyspa wydawała się drzemać w zielonym cieniu i śnić zielony sen. Wolna od przemysłu, ruchu kołowego, nawet dymu. Nigdzie nie zetknąłem się z ludźmi prowadzącymi bardziej proste i spokojne życie. Rzadko widziałem, żeby ktokolwiek gotował, pracował w ogrodzie – robił cokolwiek wyczerpującego prócz łowienia ryb. W ciche, upalne poranki wyspa jak gdyby zastygała w bezruchu i dopiero wieczorem, gdy rozbrzmiewały bębny i zaczynały się tańce, budziła się do życia. Mieszkańcy Aitutaki byli wszakże bystrzy i rozmowni. Nie dziwiłem się, że życie toczy się na najniższych obrotach, lecz że w ogóle się toczy.

Mieszkańcy Wysp Cooka, a jest ich w sumie zaledwie około dwudziestu tysięcy, wydawali się wyjątkowi. Przy całym uzależnieniu od patronatu Nowej

Zelandii i pomimo namiętności do filmów wideo pozostali sobą. Obca im jest chciwość, obce lenistwo. Są gościnni, wielkoduszni i życzliwi. Brzydzą się przemocą, lubią żartować i nawet nieźle im to wychodzi.

Pewnego dnia w atolu Aitutaki upolowałem harpunem wspaniałą papugorybę. Na brzegu pokazałem ją pewnemu wyspiarzowi.

– No i co pan powie?

– Ryba – rzekł beznamiętnie.

– Dobra gruba ryba?

– Zwykła ryba – powiedział.

– Ale dobra, co? Wielka. Dobra do jedzenia.

– Zwykła ryba – rzekł, nawet się nie uśmiechnąwszy. – Zwykła papugoryba.

Tymczasem płynąłem na Mainę. Wcześniej zapytałem Davida Lange'a o wyjątkowość Wysp Cooka, a on rzekł, że zachowały charakter dzięki temu, że ziemia należy do wyspiarzy. Ani piędzi nie oddano w obce ręce. Ziemię czasem dzierżawiono obcym, ale nadal należała do miejscowych. Ziemia była przedmiotem największej troski, obawiano się, że przyjdą Japończycy i w jakiś podstępny sposób pozbawią wyspiarzy ziemi. Wyspiarze nienawidzili Japończyków i bali się ich. Na Wyspach Cooka nie spotkałem ani jednego japońskiego turysty.

– Nie chcemy ich! – warknął pewien mężczyzna na Aitutaki. – Odeślemy ich!

Wiatr huczał mi w słuchawkach, spychał kajak z kursu i piętrzył fale, które przelewały się po poszyciu łódki. Płynąłem dalej i wiosłując w rozległej zielonej lagunie, pośród żółwi i roziskrzonych skał koralowych, czułem się szczęśliwy. W tym wzniosłym stanie ducha w końcu dotarłem na Mainę. Odosobniona, pusta, prawie że nieodwiedzana, położona w najdalszym zakątku laguny, okazała się jedną z najpiękniejszych wysepek, na jakich postawiłem stopę w Oceanii.

**W drodze** na przyjęcie na cześć przedstawiciela królowej David Lange pokazał mi kilka nowych ciężarówek stojących w bazie ministerstwa przemysłu.

– Nie mogą ich używać. Stoją tak od miesięcy. Jeżdżą tym niebezpiecznym rzęchem – tu wskazał grata, z którego wyładowywano kłody – i nie zgadnie pan dlaczego.

– Ktoś rzucił na nie klątwę?

– Ciepło. Nie zostały poświęcone. To trzeba zrobić z całą ceremonią. Mogą upłynąć następne miesiące, zanim przygotują uroczystość.

Zaiste bogobojny archipelag, kraina mormonów, świadków Jehowy, adwentystów dnia siódmego, katolików i wyznawców rodzimej wersji chrześcijaństwa, wiernych Chrześcijańskiego Kościoła Wysp Cooka. Tablica upamiętniająca męczennika Johna Williamsa, którego na Eromandze w Vanuatu zjedli Big Nambas (duże saczki)<sup>[68]</sup>, jest wymownym świadectwem historii, ale nie brak innych kościołów, krzyży, sentencji biblijnych, nagrobków i pomników. Dzieje Wysp Cooka to w zasadzie historia misjonarzy, z niewielkim udziałem kupców handlujących rybami i orzechami kokosowymi. Głównym dobrem, które pragnęli zdobyć przybysze, były dusze wyspiarzy, a na pierwszych fotografiach z Wysp Cooka oglądamy mężczyzn w długich spodniach i kobiety w iście wiktoriańskich sukniach, skromnych i zakrywających wszystko *muumuu*. Mormoni nie piją, świadkowie Jehowy nie palą ani nie głosują, adwentyści dnia siódmego nie tańczą, a wierni Chrześcijańskiego Kościoła Wysp Cooka w sabat nie łowią ryb.

Mimo to życie toczy się dalej na ową bierną polinezyjską modłę. Ludzie znajdują sposoby, żeby tańczyć, pić, palić, śpiewać, łowić ryby i kochać się. Opowiadano o kobiecie, która po prostu chadza na plażę i oddaje się rybakom, nie gardząc żadnym, który chce z nią spółkować. Tancerze uwalniają się od wyrzutów sumienia, odmawiając przed tańcem modlitwę, mężczyźni grają na bębnach, podrygują, kobiety kręcą tyłkami, potrzásają biustem, a potem wszyscy odmawiają następną modlitwę.

Tamtego dnia modlono się w ogrodzie przy niedużym, krytym blachą, parterowym budynku będącym siedzibą władz lokalnych Aitutaki. Zwykła chata z pięknym ogrodem. W modlitwie uczestniczyło około trzydziścioro mężczyzn i kobiet ubranych w barwne koszule i sukienki. Na Wyspach Cooka nie ma targowiska próżności w sprawach stroju. Nosi się koszulki i szorty,

kostiumy kąpielowe, *lavalava* i to wszystko. Żadnych skarpetek, butów, krawatów – pełna swoboda.

Jeszcze jeden dzień w Krainie Grubasów. Otyli mężczyźni, otyłe kobiety. Najgrubszy był przedstawiciel królowej, starszy – bodaj siedemdziesięcioletni – mężczyzna w ciasnej koszuli hawajskiej bez guzika w miejscu, gdzie najbardziej wypuczało się brzuszysko. Sir Tangaroa Tangaroa, QR. Gruba ryba, ale w gruncie rzeczy prostaczek. Jego nazwisko mnie intrygowało, albowiem już przedtem słyszałem słowo *tangaroa*, i to w kontekście polinezyjskiej kosmogonii.

– Co znaczy *tangaroa*? – zapytałem przewodniczącego rady wyspy.

Przewodniczący był bratem premiera. („Tu wszystko opiera się na nepotyzmie” – oświecił mnie wcześniej Lange).

– To nazwisko jest imieniem boga.

– Boga Wszchemogącego?

– Nie. Jednego z naszych starych bogów.

– Którego?

Przewodniczący miał na imię Henry i wydał się zbity z tropu tym pytaniem.

– Chyba boga morza. Wydaje mi się, że boga morza.

Ów Henry w ogóle wyrażał się dość mgliście. W południowej części wyspy mieli duże *marae*. Zapytałem przewodniczącego, gdzie leżą owe ruiny.

– Gdzieś w dżungli – odparł. – Nigdy pan ich nie znajdzie.

Aitutaki ma niespełna dwa kilometry w najszerszym miejscu i rozciąga się na niecałe sześć kilometrów. Wyrażenie „gdzieś w dżungli” nie ma sensu w odniesieniu do tak małego terytorium, chyba że jest się wyspiarzem i uważa ten spłacheć ziemi za cały świat.

– Nie powie mi pan, jak tam trafić?

– Nie. To niełatwe. Ktoś musiałby pana zaprowadzić.

Tak, to również leży w naturze wyspiarzy, że nie potrafią udzielać wskazówek, bo sami nigdy ich nie potrzebują, żeby trafić w określone miejsce. Wyspa jest przestrzenią, którą mieszkańcy znają na wskroś, a kto jej nie zna, ten w ogóle nie powinien w niej być.

– Ale to przecież nieduża wyspa – powiedziałem.

– *Marae* jest w dżungli.



– Dżungla też nie jest rozległa. Był pan tam?

– Jestem bardzo zajęty.

Akurat. Na Aitutaki nikt nie był bardzo zajęty.

Potem zagailem przedstawiciela królowej.

– Czy rozmawiał pan z Jej Wysokością?

– O tak. Długie godziny – odrzekł i spojrział na mnie uważnie. – Wiele godzin.

Słabo znał angielski – w rzeczy samej na tym skończyła się nasza rozmowa, bo czym prędzej przeszedł z powrotem na maoryski – ale stanowczo twierdził, że prowadził długie rozmowy z królową Elżbietą.

Lange słyszał, o co zapytałem przedstawiciela królowej.

– Na osobności królowa jest bardzo miła i wesoła – rzekł. – Uwielbia Nową Zelandię.

Opowiadał, że rozmawiał z nią w cztery oczy, gdy otrzymał tytuł Companion of Honour [Kawalera Honoru, członka kapituły Orderu Kawalerów Honoru], który jest bardziej zaszczytny niż tytuł szlachecki.

Po modlitwie w ogrodzie zdjęto przykrywkę z półmisków i waz z potrawami. Kelnerzy i kelnerki za pomocą wachlarzy odganiaли muchy, podczas gdy goście nakładali sobie na talerze ośmiornicę w mleku kokosowym, taro, słodkie ziemniaki, wieprzowinę, marynowane ryby (ze skórą i ośćmi), banany w cieście, sałatkę owocową.

Podano lemoniadę, a potem młodzi mężczyźni i kobiety w spódniczkach z trawy wystąpili w tańcu. Ciała rozpromienionych mężczyzn grających na bębnach załśniły od potu, a z szutrowej ulicy ścigali gapie, którzy przystawali za żywopłotem lub siadali na trawie. Dzieci bawiące się na trawniku już przed rozpoczęciem przyjęcia – dzieci niemające nic wspólnego z ową fetą – nadal w najlepsze się bawiły. Panowała miła, życzliwa atmosfera. Nikomu nic nie przeszkadzało, nikt się nie awantuował.

Przedstawiciel królowej wygładził koszulę na brzuchu – poplamioną teraz jedzeniem – po czym przyjął prezenty: ręcznie plecioną matę i pięknie wyszywany obrus. Podziękował krótko, sucho i wyniośle, w swoim języku, po maorysku. Pochodził z atolu Penrhyn na północnym krańcu Wysp Cooka. Od sześciu lat podróżował z wyspy na wyspę. Odbywał właśnie ostatnią

pielgrzymkę, odbierając prezenty. Wkrótce zostanie zaprzysiężony nowy przedstawiciel królowej. Oczywiście kuzyn jakiejś grubej ryby.

Gdyśmy wracali z przyjęcia, Lange znowu mnie zapytał:

– Na pewno nie pisze pan o Aitutaki? – Uśmiechnął się i nie zaczekawszy, aż odpowiem, zaczął dzielić się wrażeniami z niedawnej wizyty w Bagdadzie.

Kiedy wyjeżdżałem z Aitutaki, właśnie Lange odprowadzał mnie na lotnisko i obiecaliśmy sobie, że się jeszcze spotkamy. Wróciłem na Rarotongę, piękną wyspę opasaną łańcuchem willi i hotelików. Nie sposób pływać kajakiem i nie wylądować w czyimś ogródku. Ale miałem pewien wgląd w plotkarskie życie wyspy.

Nowozelandzkie małżeństwo z Aitutaki, które spotkałem podczas spaceru na Rarotondze, opowiedziało mi o tej kobiecie, co to chadza na plażę, bo tak lubi uprawiać seks z miejscowymi rybakami.

Kiedy chciałem potwierdzić tę historię u pewnego Australijczyka, tylko prychnął i rzekł, że niedawno słyszano tych nowozelandzkich plotkarzy, jak się karczemnie kłócili w swoim bungalowie.

– Jest światowym autorytetem od przydaczni olbrzymiej – powiedział mi ktoś o tym Australijczyku.

– Za romansowanie z rybakami można zapłacić głową – stwierdził ktoś inny.

Plotki obrastały plotkami i każdy wtrącał swoje trzy grosze.

– Nie zgadnie pan, kto jest na Aitutaki – rzekł do mnie inny Australijczyk w barze w Avarui. – David Lange. Widziano, jak wsiada do samolotu. Rozszedł się z żoną, stracił stołek, wszystko spieprzył i nawet nie ma domu.

– Czuję, że niedługo znowu stanie na nogi – powiedziałem.

## rozdział\_dwudziesty\_pierwszy\_

### Wyspa Wielkanocna: za strefą przyboju Rapa Nui

**Jeszcze** o siódmej rano, kiedy przybyłem na Wyspę Wielkanocną, było zbyt ciemno, żeby cokolwiek widzieć, ale czułem wiele mówiące wonie błotnistych dróg, wilgotnej psiej sierści, mokrej trawy, słonego powietrza i słyszałem szczekanie psów, pianie kogutów, huk przyboju i głosy ludzi mówiących po hiszpańsku i polinezyjsku. Celnik pił.

– *Borrachito* – mruknął ktoś. To znaczy wstawiony.

Zimą na Wyspie Wielkanocnej słońce wschodzi o ósmej, a o wpół do szóstej wieczorem w zmierzchającym świetle nie da się już czytać, chociaż na tej zagubionej wyspie poranionych dusz próżno szukać miłośników lektury. Długo przed zachodem słońca pęta się konie (mało tu pojazdów mechanicznych), cumuje łodzie motorowe (od stu lat właściwie nie ma kanu) i każdy, kogo stać na *pisco* – czyli gorzałę – metodycznie wprawia się w stan *borrachito*.

Wyspę spowija mrok i chłód, a ciszę mąci tylko poszczekiwanie psów i wiatr szeleszczący w niskich zaroślach. Niewiele tam drzew i tylko jedno miasto, Hanga Roa, nieduże, a jeżeli chodzi o *moai*, kamienne posągi, to po zmroku nikt się do nich nie zbliża. Uchodzą bowiem za siedlisko *akuaku*, czyli duchów, i są symbolem tajemnic wyspy. Wielu, wielu tajemnic, trzeba dodać, skoro owych posągów o wielkich głowach – stojących i patrzących, leżących i pozbawionych oczu, porozbijanych i obtłuczonych, czasem z rudym kokiem na czubku głowy, czasem beznosych lub z rozłupaną czaszką – jest ponad osiemset. Nazywają je też *aringa ora*, czyli „żywymi twarzami”.

Reszta wyspy to żółknące łąki skłębionych, położnych wiatrem traw, niskie wzgórza i zarośnięte stoki wulkanów, ale nie ma to znaczenia, podobnie jak przelotne wrażenie, iż gdzieniegdzie pejzaż przypomina wybrzeże Walii, a gdzie indziej Patagonię. To bowiem miejsce absolutnie wyjątkowe,

najdziwniejsza wyspa, jaką widziałem w Oceanii – kraina mroku, smętku i anarchii. Kraina zaiste niesamowita. Pierwsi mieszkańcy tej wyspy nazywali ją *Te Pito o Te Henua*, czyli „Pępkiem Świata”, a w czasach nam bliższych miejscowi nadali jej miano Rapa Nui. Wyspa Wielkanocna jest mniejsza od Martha’s Vineyard, a i chyba mniej na niej kamiennych twarzy.

Przeszedłem przez dworzec lotniczy, zwykły drewniany barak, gdzie wisiały tablice informacyjne w języku hiszpańskim i gdzie odprawił mnie celnik chilijski, ponieważ Wyspa Wielkanocna, czyli Isla de Pascua, należy do Chile.

Podeszła do mnie atrakcyjna kobieta, kanoniczna Polinezyjka.

– Może chciałby pan u mnie zamieszkać? – zapytała.

**Lot** z Rarotongi na Tahiti trwa godzinę, a stamtąd na Wyspę Wielkanocną pięć i pół godziny. W Oceanii trudno jednak o dogodne połączenia. Na Rarotondzie na samolot czekałem dwa dni, a w Papeete musiałem czymś wypełnić następne trzy dni, zanim wsiadłem na pokład maszyny lecącej na Wyspę Wielkanocną, ów wysunięty najdalej na wschód przyczółek Polinezji.

Czymże jednak jest moja podróż w porównaniu z podróżą zdobywców Wyspy Wielkanocnej. Możliwe że przyплыли z odległej o cztery tysiące kilometrów wyspy Rapa (dzisiaj Rapa Iti) w archipelagu Wysp Australskich. A może przybyli z Mangarevy w archipelagu Wysp Gambiera. Tak czy inaczej rejs dwukadłubowymi kanu musiał trwać cztery miesiące. Zdarzyło się to w VII wieku (z tym że niektórzy archeolodzy obstają przy dacie wcześniejszej). Po drugiej stronie globu prorok Mahomet umykał z Mekki do Medyny (w 622 roku), inaugurując erę muzułmańską. Mroki średniowiecza spowiły Europę. W Chinach na tron wstąpił założyciel wspaniałej dynastii Tang. Na Pacyfiku panował ruch, ponieważ trwały ożywione migracje ludów polinezyjskich. Jeden z historyków wysp Pacyfiku uznał dokonania tych żeglarzy za „największe osiągnięcie na polu kolonizacji morskiej w dziejach ludzkości”.

Przed wyjazdem z Tahiti odwiedziłem biuro przedstawiciela linii lotniczych. Był Chilijczykiem i rozmawialiśmy po hiszpańsku, bo nie znał

żadnego innego języka.

– Samolot jest wypełniony w połowie lub może trochę bardziej – poinformował mnie urzędnik.

– Wszyscy lecą na Wyspę Wielkanocną?! – zapytałem zdziwiony.

– Nie. Tam wysiada tylko czworo pasażerów. Reszta leci do Santiago.

– Czy na Wyspie Wielkanocnej będzie chłodno?

– Czasami, zwłaszcza w nocy – rzekł i lekceważąco machnął ręką. – Ma pan sweter? To dobrze.

– A deszcz, dużo pada?

– Zawsze może padać. No i wieje. Ale znowu nie tak bardzo – uśmiechnął się. Spojrzał jak gdyby w niebo, mrugnął szelmowsko i wyrecytował: – Słońce. Chmury. Słońce. Chmury.

Chyba chciał mnie zachęcić.

– Są bardzo interesujące hotele – oznajmił. – Wspomniał pan, że nie zamówił pokoju. Że nigdy pan nie zamawia z góry. Otóż na lotnisku czekać będą miejscowi, którzy zaproponują mieszkanie u siebie. Obejrzy ich pan sobie, porozmawia. Dzięki temu może pan wybrać najlepszą okazję.

Zaczął szukać mojej rezerwacji.

– Hm, nie ma pana na liście pasażerów – oświadczył. – Proszę przyjść jutro. Jeżeli nie ma pan biletu, sprzedamy panu. Są miejsca. Zawsze są miejsca na Wyspę Wielkanocną.

**Tak** wyglądały praktyczne przygotowania do podróży. Przygotowania intelektualne obejmowały lekturę opasłego studium *The Ethnology of Easter Island* [Etnologia Wyspy Wielkanocnej] pióra Alfreda Métraux, pism innych antropologów, a także barwnych i mylących książek nawiedzonego Thora Heyerdahla, którego wielu historyków i archeologów zajmujących się wyspami Pacyfiku uważa za szarlatana. Z naukowego punktu widzenia jego książki są tak samo pozbawione wartości jak teorie Ericha von Dänikena, który utrzymywał, że *moai* na Wyspie Wielkanocnej wyrzeźbili przybysze z kosmosu.

Znalazłem przyzwoite lokum w niedużym pensjonacie i uzgodniłem cenę. Sześćdziesiąt pięć dolarów za dobę, w tym trzy posiłki. Zamierzałem również biwakować, co – w odróżnieniu od wielu innych wysp – nie wzbudzało podejrzeń o próbę zawłaszczenia ziemi przez rozbicie na niej namiotu.

Żeby rozprostować kości, krótko po przyjeździe poszedłem do muzeum antropologicznego. Pod tą szacowną nazwą kryła się jedna głucha sala na wzgórzu na skraju miasta. Eksponowano trochę rzeźb, zakurzone czaszki z rysunkami wyrytymi na czerepie, rękodzieło, ale ekspонатów nie opisano ani nawet nie datowano. Oglądałem stare fotografie przedstawiające melancholijnych wyspiarzy i zadowolonych z siebie misjonarzy. Eksponowano wszelkiego rodzaju sprzęty i narzędzia, bez ładu i składu, siekiery, pałki, noże. Jedną z ekspozycji ukazywała, że pierwotnie *moai* wprawiano oczy, wielkie, jak gdyby wytrzeszczone, których twardówkę robiono z białej skały koralowej, tęczówkę z czerwonego tufu, a źrenicę z krążka obsydianu. *Moai* wyposażone w takie oczy sprawiają wrażenie olbrzymów uważnie przyglądających się światu.

Sami wyspiarze dokonali rytualnego oślepienia wielu *moai*. Pisała o tym archeolog Jo Anne Van Tilburg, zwracając uwagę na „szczególne, zapewne rytualne, uszkodzenia tylko niektórych części posągów, zwłaszcza głowy, oczu, a niekiedy również prawego ramienia”.

Jeszcze pierwszego dnia pobytu natknąłem się na kobietę pełniącą funkcję sekretarza Towarzystwa Ochrony Dziedzictwa Kulturowego Rapa Nui, które w języku miejscowym nosi nazwę Mata Nui o Hotu Matu’a o Kahu Kahu o Hera (Potomkowie Hotu Matu’i z Nieznanego Lądu). Pani sekretarz potwierdziła wiele wiadomości, które wyczytałem w książkach.

Hotu Matu’a to legendarny wódz odkrywców Wyspy Wielkanocnej. Jako potomek bogów ten pierwszy król miał *mana*, czyli wielką duchową moc, i jest uważany za twórcę cywilizacji Rapa Nui. Historiografia początków tej cywilizacji ma charakter w zasadzie hipotetyczny. Istnieją wprawdzie stare drewniane tabliczki zapisane dziwnym, cokolwiek piktograficznym pismem *rongo rongo*, ale do dzisiaj nikt ich nie odczytał. Mimo to różne wersje opowieści o Hotu Matu’i są w zasadzie zbieżne. Głoszą, że Hotu Matu’a przyплыł z wyspy położonej na zachód od Rapa Nui – Marae-rengi, a może

Rapy – dowodząc dwoma dwudziestosiedmiometrowymi kanu. Wraz z nim przybyło „wieleśet” osób, w tym grono szlachetnie urodzonych (*ariki*), grupa osób wprawionych w rozmaitych sztukach i rzemiosłach (*maori*), wojownicy, hodowcy, rzeźbiarze, a oprócz nich również pospólstwo. Drugim kanu dowodził dostojnik o imieniu Tuu-ko-ihu. Odkrywczy przywieźli ze sobą „drób, koty, żółwie, psy, sadzonki bananowca, morwy papierowej, hibiskusa, kordyliny, sandałowca, tykwy, jamsu” i sadzonki pięciu innych gatunków bananowca. (W czasach nam bliższych wyspiarze przypisali Hotu Matu’i zasługę sprowadzenia zwierząt takich jak świnie i kury, które w rzeczywistości przywieźli dopiero europejscy podróżnicy).

Po dwumiesięcznej żegludze po otwartym morzu śmiałkowie w końcu ujrzeli wyspę, którą opłynęli, szukając miejsca do lądowania. W porównaniu z tropikalną ojczyzną ta wietrzna i pozbawiona drzew wyspa wydawała się lądem złowrogim. Tak jak dzisiaj, również wtedy strzegły jej czarne urwiska, o które tłukły spienione fale. Przybysze znaleźli jedyną zatokę i jedyną piaszczystą plażę. Tam zesli na ląd, a zatokę nazwali Anakena, co w ich języku oznacza „sierpień”. Wyspa okazała się królestwem ptaków morskich i traw. W ogóle nie było ssaków. W kraterach wulkanów rosła trzcina totora.

Wszystkie wersje opowieści o odkrywcach Rapa Nui wspominają o jeszcze jednym znamienym zrzączeniu losu, a mianowicie, że wkrótce po wylądowaniu kanu Hotu Matu’i jedna z jego żon, Vakai, powiła syna Tuu-ma-keke, który został drugim królem wyspy. Odcięcie pępownicy noworodka dało asumpt do nazwania wyspy *Te Pito o Te Henua*, czyli „Pępkiem Świata”.

Kobieta, która opowiadała mi te historie, rzekła, że uczy języka rapa nui. Ale czy jest taki język? Ona twierdziła, że tak, jednak zdaniem językoznawców pierwotny język odkrywców zanikł, a współcześnie na Wyspie Wielkanocnej mówią w języku tahitańskim, który przynieśli misjonarze chrześcijańscy i w którym spisano ich Biblię oraz hymny kościelne. Ten język tahitański przypominał blisko stary język rapanujski i dlatego go wyparł. Kiedy w 1774 roku Rapanujczycy weszli na pokład okrętu Cooka, kapitan uznał ich za Polinezyjczyków, ponieważ mówili w języku podobnym do tahitańskiego.

Żeby poszukać miejsca odpowiedniego do zwodowania kajaka, wybrałem się na spacer do portu Hanga Roa. Pomiędzy niskimi domkami o formie

i rozmiarach szopy – ot, jednowarstwowe ściany nakryte płaskim dachem – zaprowadziła mnie tam główna ulica miasta, zwykła szutrowa droga nazwana szumnie ulicą Pępka Świata.

Ujrawszy port Hanga Roa, bardzo się zdziwiłem, ale i od razu zrozumiałem, dlaczego pierwsi europejscy i amerykańscy przybysze spędzili na Wyspie Wielkanocnej w sumie bardzo mało czasu. Métraux powiada, że niewielu spośród dziewiętnastowiecznych odkrywców „przebywało na wyspie dłużej niż kilka minut”. Niektórzy żeglarze, pokonawszy cztery tysiące kilometrów dzielące Wyspę Wielkanocną od Tahiti (a z Ameryki Południowej jest na nią niemal tak samo daleko), w ogóle nie byli w stanie wylądować ze względu na zbyt silny wiatr i niebezpieczne, wzburzone morze. Na przykład w 1808 roku w pobliże wyspy dotarł kapitan Amasa Delano z Duxbury w Massachusetts (o którym pisał Melville w opowiadaniu *Benito Cereno*), ale nie postawił na niej stopy z powodu zbyt wysokiej fali w strefie przyboju.

Niektóre okręty przybijały jednak do tych niegościnnych brzegów, na nieszczęście dla wyspiarzy. W 1804 roku załoga amerykańskiego statku Nancy po utarczce zbrojnej uprowadziła dwunastu mężczyzn i dziesięć kobiet z myślą o zaprzęgnięciu jeńców do pracy przymusowej w kolonii łowców fok na skalistej wyspie Más Afuera (dzisiaj Alejandro Selkirk) w połowie drogi do Chile. Kiedy po trzech dniach na morzu wypuszczono wyspiarzy na pokład, natychmiast wyskoczyli za burtę, ruszyli wpław w stronę rodzinnej wyspy i wszyscy utonęli. Wielorybnicy przemierzający morza południowe często porywali rapanujskie dziewczęta, żeby wykorzystywać je seksualnie.

„W 1822 roku szyper amerykańskiego statku wielorybniczego przystanął na Wyspie Wielkanocnej, żeby uprowadzić kilka dziewcząt, które nazajutrz wyrzucił za burtę, nakazując im wracać wpław na wyspę”, czytamy w studium Métraux. „Jeden z oficerów ot tak, dla rozrywki, zastrzelił krajowca”.

Traktowani w ten sposób przez przybyszy wyspiarze oczywiście zaczęli odnosić się wrogo do wszystkich obcych. Cudzoziemcy jednak nie rezygnowali i już to nagą siłą, już to z dozą podstępny nadal porywali krajowców. U Métraux czytamy na przykład, że w 1868 roku „przybysze rozłożyli na ziemi podarunki, które miały zwabić krajowców [...] a kiedy wyspiarze klękali, żeby podnieść dary, obcy krępowali im ręce za plecami



i zawozili ich na czekający statek”. Urowadzono króla Kaimakoia z synem i większością *maori* (czyli rzemieślników i hodowców). Podobnie jak wielu innych późniejszych jeńców zaprzężono ich do przymusowej pracy na wyspach eksploatacji guana, gdzie pomarli.

Historia Wyspy Wielkanocnej w XIX wieku to długa i posępna opowieść o najazdach kidnaperów (głównie amerykańskich i hiszpańskich), o uprowadzaniu i łupieniu wyspiarzy, co prowadziło do głodu, szerzenia się chorób wenerycznych, epidemii ospy i w końcu do zniszczenia kultury, a w każdym razie do wyludnienia i demoralizacji mieszkańców. W 1900 roku Wyspę Wielkanocną zamieszkiwało dwieście czternaście osób, w tym osiemdziesięcioro czworo dzieci. Sto lat wizyt cudzoziemców obróciło Rapa Nui w posępną skałę.

Dzięki odosobnieniu wyspa najpierw rozkwitła, a potem padła jego ofiarą. Nigdy nie było łatwo na niej wylądować, ale właśnie ze względu na to, że leży w burzliwym rejonie oceanu bardzo daleko od innych portów, w swoim czasie załoga każdego przepływającego okrętu tak lub inaczej ją eksploatowała, szukając wody, żywności, kobiet, niewolników.

Jakim sposobem do portu Hanga Roa mógł zawinąć choćby nieduży statek? W rzeczywistości nigdy tak się nie działo. Ów port – mały, jak gdyby sztuczny akwen z wielkimi głazami na brzegach, strzeżony falochronem, o który z hukiem rozbijały się fale – wyglądał przerażająco. Co więcej, nie wyobrażałem sobie nawet, że statek stawał tu na kotwicy, po czym przeprowadzono się szalupami na ląd. Pierwszy problem polegał na solidnym zakotwiczeniu statku na burzliwym morzu u wejścia do portu, drugi na bezpiecznym przedostaniu się szalupą przez strefę wysokiego przyboju do basenu portowego, gdzie znowu ze względu na to, że nie ma gdzie wylądować, trzeba w jakiś sposób stabilizować szalupę przez czas wystarczający do jej rozładowania.

Nie wątpiłem, że zdołałbym się wydostać za strefę przyboju. Zwykle jednak łatwiej wypłynąć niż wrócić. Niebezpieczeństwo polegało na tym, że fale rozbijały się o wielkie głazy u wejścia do portu. Gdybym próbował wpłynąć niesiony przez fale, mogłyby rozbić mnie w drobny mak na skałach.

Najbardziej złowróbną wymowę z punktu widzenia potencjalnego kajakarza miał widok rapanujskich chłopców surfujących do portu na wielkich grzywaczach. Surfing, zwany *ngaru*, uprawiano tam od niepamiętnych czasów i jest on jedyną tradycyjną formą sportu i zabawy, która przetrwała do dzisiaj. Zatrącono pradawne zabawy, takie jak kręcenie bąka, puszczenie latawca i zjeżdżanie ze stoku wulkanu „po ścieżkach, na które sikano, żeby stały się śliskie”. Surfing okazał się użyteczny w czasach, kiedy na wzburzonym morzu opodal Hanga Roa kotwiczyły cudzoziemskie okręty. Ku zdumieniu marynarzy wyspiarze przyplływali do statku, używając takich „pomocy do pływania” jak deska lub mata z sitowia. Niektórzy z nich wracali na brzeg, ślizgając się po falach na desce, której używali niczym deski surfingowej.

Miejscowy język zawiera bogate słownictwo surfingowe służące do opisu deski oraz postępowania surfera czekającego na falę, a potem ślizgającego się na niej, a więc odpowiedniki takich wyrażen z naszego żargonu surfingowego jak *banana of the pig-board* („bananowa świnka”, czyli deska szeroka i wygięta), *sausage-board* („parówka”, czyli wąska deska), *pick-up* („podryw”, czyli pierwsza faza jazdy na fali), *take-off* („odlot”, czyli początek szybkiego ślizgu), *cut-back* („podcinka”, czyli zwrot, żeby wrócić na czoło fali), *hotdogging* („pajacowanie”, czyli ciąg trudnych ewolucji), *hanging ten* („dycha z brzegu”, czyli taka jazda na dziobie deski, że palce obydwu stóp wystają za krawędź) i *walking the plank* („spacerek”, czyli przesuwanie się na desce w trakcie ślizgu). Dawniej urządzano zawody surfingowe, a niektórzy uczestnicy, prawdziwi rapanujscy zapaleńcy, wypływali daleko od brzegu, żeby wykonywać długie ślizgi na wielkich oceanicznych falach.

Obecność surferów utwierdziła mnie w przekonaniu, że nie jest to akwen dobry do kajakowania – a przecież byłem w porcie!

Skalista zatoczka kawałek dalej, w miejscu zwanym Hanga Piko, wydawała się bardziej zachęcająca, ale kiedy przyjrzałem się jej uważniej – przez dwadzieścia minut idąc brzegiem i obserwując grzywacze – doszedłem do wniosku, że również ona jest niebezpieczna z powodu ogromnych fal, które wzbierały na otwartym morzu i nie napotkawszy przeszkód po drodze, rozbijały się z hukiem przy brzegu.

Pokonawszy jakieś półtora kilometra, doszedłem do Ana Kai Tangata, jaskini, w której są stare malowidła naskalne, a której złowieszczą nazwa znaczy tyle co: „jaskinia, gdzie zjada się ludzi”. Niedaleko tej jaskini widać jeszcze kamienne fundamenty dawnych domów. W kamieniach widnieją dziury, w które wstawiano drągi nośne krytych strzechą budowli podobnych do szałasów. Poniżej ruin huczy morze rozbijające się o skały, a za nimi rozpościera się stok wulkanu Rano Kau. Na niebie – tak samo jak wszędzie indziej na tej wyspie – widziałem wiele sokołów karakara, które Chilijczycy sprowadzili w celu uwolnienia wyspy od szcurów. Sokoły te są bardzo liczne i zaciekle rywalizują o żer, szybują nisko nad ziemią, przysiadają na gałęziach drzew, rzucają się na wszystko, co się rusza. Nieustraszeni drapieżcy.

W dole zbocza wulkanu rosną gaje szeleszczących na wietrze eukaliptusów o łuszczącej się korze, posadzone przez chilijski departament leśnictwa. Poszedłem ścieżką wijącą się pomiędzy drzewami i po drodze nie widziałem nikogo, tylko sokoły. Ze szczytu rozpościerał się wspaniały widok na krater, a że Rano Kau leży na samym brzegu morza, za krawędzią krateru otwiera się błękitna dal oceanu. Wewnątrz krateru o stromych ścianach jest jezioro zarastające trzciną totora i łanami papirusów, a w części najlepiej osłoniętej od wiatru – pod niższym zboczem, ale po nawietrznej – rosną bananowce i gaj pomarańczowy.

**Na koronie** krateru, wysoko nad samym morzem leży wioska Orongo, ośrodek kultu człowieka-ptaka. Znajdowałem się po drugiej stronie krateru, więc ruszyłem w mniej więcej półtorakilometrowy marsz, w trakcie którego spotkałem Rapanujczyka Erana Figueroę Riroroko.

Był to przystojny, tęgi mężczyzna w wieku około trzydziestu lat, który mieszkał w chacie opodal Orongo i zajmował się rzeźbieniem z drewna eukaliptusowego figurek zwierząt. W kulawej hiszpańszczyźnie opowiedział mi o kulcie człowieka-ptaka. W dawnych czasach każdego września, czyli na wiosnę, mężczyźni z wioski zbierali się na nadbrzeżnym urwisku, po czym na dany sygnał ruszali na oddaloną o dwa kilometry wysepkę Motu Nui. Wprawdzie to niedaleko, ale tamtejsze wody otacza sława siedliska rekinów.

- Przeprawiali się łodziami?
- Nie, wpływ (*Nadando*).

Wszyscy podróżnicy i marynarze, którzy w XVIII i XIX wieku odwiedzili Wyspę Wielkanocną, podkreślali niebywałe umiejętności pływackie wyspiarzy, ale owi *hopu*, kandydaci do tytułu człowieka-ptaka, musieli zabrać ze sobą żywność. Wspinali się na urwiska Motu Nui, a potem na niej biwakowali, czekając, aż rybitwy czarnogrzbiote zaczną składać jaja. Szczęśliwiec, który pierwszy znalazł jajo, obwieszczał gromko zwycięstwo, wkładał jajo do koszyczka, który mocował sobie na głowie, po czym płynął z powrotem na wyspę. Nie obawiał się fal ani rekinów, ponieważ jajo zawierało potężną *mana*. A to, że właśnie on zdobył święte jajo, znaczyło, że przez rok będzie człowiekiem-ptakiem, będzie miał więc wielki autorytet, zamieszka w najlepszym domu, wszyscy będą składać mu dary, a dzięki władzy, którą otrzyma, wyrówna wszystkie rachunki. Niczym w dziecięcej zabawie będzie mógł rzec: „Jestem wielkim panem, a wy moimi giermkami”, ponieważ *mana*, którą zawiera święte jajo, da mu władzę nawet nad wojownikami, którzy będą musieli robić to, co im każe.

Na głazach i skałach w wielu miejscach Orongo widnieją płaskorzeźby ukazujące człowieka-ptaka – groteskową istotę obdarzoną dziobem i ogromnymi kończynami – a także wielkiego boga Makemake, który na Wyspie Wielkanocnej odpowiada bogu Tiki lub Atua z innych wysp Pacyfiku. Mniejsze pęknięte owale są przedstawieniami sromu, a znaleźć je można wszędzie na Rapa Nui, zwłaszcza na klifach i w jaskiniach. Petroglify ukazujące srom (*komari*) są dziełem starców pełniących funkcję kapłanów, którzy w ten sposób upamiętniali osiągnięcie dojrzałości przez dziewczęta. Owi kapłani tworzyli osobną grupę społeczną i przysługiwał im tytuł *ivi-atua*, czyli „powinowatych boga”.

Zarówno kult człowieka-ptaka, w którym wielką rolę odgrywała *mana* zawarta w ptasim jajku, jak i wyryte w skałach przedstawienia sromu i symbole solarne świadczą o tym, że kultura Orongo osnuta była wokół rytuałów dotyczących seksualności i płodności. Na klifie Orongo widziałem domy dawnych mieszkańców wioski. Zbudowane z kamieni bez użycia zaprawy

wyglądają niczym wrośnięte w skały swego rodzaju piwnice czy bunkry o wejściach nie większych od włazu.

– Czy w nocy nie ogarnia pana tutaj strach przed duchami? – zapytałem, używając słowa *akuaku*, które oznacza duchy.

– Tak, tutaj mogą być *akuaku* – odparł Riroroko. – To znaczy, diabły.

– Jest pan chrześcijaninem?

– Tak. Katolikiem.

– Wyjeżdżał pan kiedykolwiek z wyspy?

– Byłem w Tahiti, w Santiago, w Wenezueli.

– Kusilo pana, żeby zostać w którymś z tych miejsc?

– Nie. Tahiti jest niesamowicie drogie – odparł, używając wyrażenia *tremenda-menda caro*. – Ale tylko się rozglądałem. Chciałem poznać ludzi. Nigdy nie zamieszkałbym w żadnym z tych miejsc. W Santiago jest tłok, ruch i złe powietrze. Musiałem wrócić, bo tutaj mamy czyste powietrze.

– W jakim języku mówił pan w Tahiti?

– W rapa nui i rozumieli mnie. Tahitański jest bardzo podobny, na tyle bliski, że mnie rozumieli. Polubiłem Tahitańczyków.

Wracając z korony wulkanu, chociaż poszedłem na skróty przez plantację eukaliptusów, zrobiłem z osiem kilometrów i na obrzeżach Hanga Roa rozbolały mnie nogi, a co gorsza, z każdego obejścia przy drodze wyskakiwał ujadający pies.

Drogą gnał rozklekotany jeep, z którego wylewała się hałaśliwa muzyka. Wystawiłem rękę.

– Jestem Rene – powiedział kierowca. – A to Mou.

Dwóch rozczochranych i roześmianych nastolatków.

– Znacie hiszpański?

– Tak. Ale wolimy rapa nui.

– Co to za muzyka?

– AC/DC.

Australijska grupa rockowa.

Podrzucili mnie na ulicę Pępka Świata i prędko odjechali.

Okolo szóstej zapadła noc, zrobiło się całkiem ciemno i życie zamarło. Z wyjątkiem włączających się jeszcze chłopców i zapóźnionych pijaków

wszyscy siedzieli w domach. Położyłem się wcześniej i po ciemku słuchałem radia. W wiadomościach mówili o powodziach, które nawiedziły południowe Chiny i pochłonęły dwa tysiące ofiar. To tak, jak gdyby zginęła cała ludność Rapa Nui.

**Zachodnie** wybrzeże jest tak samo nieprzychylnie kajakarzom jak wybrzeże południowe. Wysoka fala i wielkie grzywacze rozbijające się o czarne skały i głazy. Wysepki zaznaczone na mojej mapie – podobnie jak Motu Nui na południu – to niegościnnie skały skąpane w morskiej kipieli. Niech Bóg ma w opiece każdego, kto spróbuje dotrzeć na nie łodzią.

Szedłem drogą, która zamieniła się w ścieżkę, a ta z kolei coraz bardziej się zwężała, aż całkiem zginęła wśród traw na wysokim urwisku. Ale podobało mi się owo niezagospodarowanie wyspy. Pod względem braku drogowskazów i tablic informacyjnych Rapa Nui przypomina Markizy. Niespełna kilometr od miasta jest *ahu* (kamienna platforma), na której stoi pięć posągów. Tylko dzięki własnej mapie wiedziałem, że miejsce to nazywa się Tahai. Kawałek dalej są jeszcze inne *moai*, a niektórym z nich wprawiono oczy. Patrzą w głąb wyspy. W rzeczy samej wszystkie posągi na Rapa Nui stoją odwrócone plecami do morza. Wyrzeźbiono je z brunatnej skały wulkanicznej, ważą od pięciu do sześciu ton, a niektóre mają na głowach koki czy kapelusze zrobione z czerwonego tufu wulkanicznego.

*Moai* robiłyby ogromne wrażenie już przez samą wielkość, nawet gdyby były kiepsko wyrzeźbione. Ale te w Tahai zdumiewały jakością roboty rzeźbiarskiej, ekspresją twarzy o długim prostym nosie, zasznurowanych ustach i spiczastym podbródku. Oczy wydłużone, przyciśnięte do boków ręce o długich palcach, przywodzących na myśl najładniejsze posągi Buddy. Na plecach niektórych z nich widnieją misterne reliefy. Chociaż z profilu wszystkie *moai* są podobne do siebie, to każdy ma wyraźnie inną twarz.

Kiedy w 1722 roku na Rapa Nui dotarli pierwsi Europejczycy, wszystkie te „żyjące twarze” stały prosto. Pierwszy kronikarz Carl Behrens, który brał udział w ekspedycji Roggeveena, pisał: „Wczesnym rankiem wyjrzelśmy na zewnątrz i z pewnej odległości zobaczyliśmy, że tubylcy padają na twarz przed

wschodzącym słońcem i że zapalili setki ognisk, co najpewniej zapowiadało składanie porannej ofiary bogom”. Równie dobrze te obrzędy mogły wynikać z wrażenia, jakie na wyspiarzach zrobiło przybycie holenderskiego okrętu i jego załoga złożona z ludzi o białej skórze i odstających uszach.

Nieco więcej niż pół wieku później Cook zanotował, że wiele posągów przewrócono. W 1863 roku wszystkie *moai* leżały na ziemi, a wiele pogruchotano, co zapewne wynikało ze swarów, wojny i obrazoburczego szaleństwa, które okresowo ogarniało mieszkańców wyspy.

Nawet bardziej niesamowite od stojących i patrzących srogo monumentalnych *moai* są rozrzucone tam i sam na klifach ogromne fragmenty roztrzaskanych głów i twarzy – przejmujące szczątki leżące po prostu pośród traw i krowich placków.

Na Rapa Nui każdy kamień wydaje się położony ludzką ręką, częścią muru, ołtarza albo ruiny. Na wielu widnieją reliefy lub ryciny – tajemnicze symbole, dziwne postaci, obrazy sromu. Większość to czarne kamienie wielkości piłki do koszykówki sprawiające wrażenie bloków konstrukcyjnych, jak gdyby ukształtowanych w jakimś celu budowlanym. Zastanawiałem się, czy te wyobrażenia nie są pochodną mojej niewiedzy. Całodzienna samotna wędrówka nieraz popycha do fantazjowania. Ale gdy w porze obiadu przysiadłem na jakimś rumowisku, spostrzegłem wejście do jaskini. Wpełznąwszy do środka, znalazłem się w pomieszczeniu o kamiennych ścianach, w którym zmieściłyby się trzy osoby. Wyspiarze chowali się w takich jaskiniach przed łowcami niewolników, których w dawnych czasach eufemistycznie nazywano *blackbirders* [łowcami kosów].

Po wysokich klifach zachodniego wybrzeża doszedłem na wysokość wysepki Motu Tautara, w okolice, gdzie znajdują się jaskinie, w których dawniej mieszkali trędowaci, a potem poszedłem jeszcze dalej, na opadające ku morzu zbocze Terevaki, najwyższego wulkanu Wyspy Wielkanocnej. W tamtym rejonie również są *moai*, samotne posągi, niektóre obalone i porozbijane. Te samotne *moai*, piękne i niezmiennie, są tak oddalone od siedlisk ludzkich, że wydają się patrzeć na świat pustym spojrzeniem kamiennego Ramzesa II.

Kiedy myślimy o wyprawie w miejsce, o którym czytaliśmy przez całe życie i które należy do powszechnej mitologii piękna i tajemnicy, siłą rzeczy obawiamy się, że jest zdeptane i zepsute, zbanalizowane w przewodnikach i prospektach, oblepione tabliczkami informacyjnymi, pełne zachwyconych pielgrzymów i turystów. Ta obawa zatruwa wszelkie zainteresowanie, wobec czego ociągamy się, podejrzewając, że owo miejsce to jeszcze jeden Stratford nad Avonem, gdzie sprzedają masę tandetnych pamiątek z pieczęcią Wilusia Szekspira, albo oblegany autokarami Wielki Mur Chiński, albo Tadź Mahal z biletami po dziesięć rupii. Chyba lepiej trzymać się z daleka, by uniknąć rozczarowania.

Ale Wyspa Wielkanocna nadal jest sobą, jałową skałą w sercu pustych przestworzy oceanu, porośniętą trawą, gdzie hula wiatr, niosą się krzyki ptactwa morskiego i gdzie stoją setki monumentalnych arcydzieł sztuki rzeźbienia w kamieniu. Rzeczywiście nie jest taka jak w wyobrażeniu, lecz o wiele dziwniejsza, mroczniejsza, bardziej złożona i niesamowita. A i powód jej niezwykłości nadal jest ten sam, a mianowicie to, jak bardzo samotna i nieurodzajna to wyspa.

Późnym popołudniem nagle zaczęło lać i gdy ulewa nie ustawała, poszukałem schronienia i przycupnąłem w niszy pod urwiskiem. Siedziałem tam ze dwadzieścia minut, zanim zrozumiałem, że przede mną inni robili to samo. Znajdowałem się bowiem w wydrążonej w skale i ozdobionej petroglifami starożytnej kryjówce, której boczne ściany ułożono z kamieni. Gdyby nie zaczęło padać, na pewno bym jej nie odkrył.

Wędrując po zachodnim wybrzeżu w poszukiwaniu starożytnej pochylni skutniczej lub innego miejsca, gdzie mógłbym zwodować kajak, zdumiewałem się pustką tej wyspy i ubolewałem nad upadkiem jej dawnej kultury. Nie została zmieciona. Materialnie wyraziła się w tworzywie tak trwałym, że przeszło tysiąc dwieście lat od postawienia pierwszego posągu (tak zwanego Tahai I, który archeolodzy datują na 690 rok) *moai* nadal istnieją, napawają grozą i zdają się mówić wyzywająco: „Mocarze! Patrzcie na moje dzieła i przed moją chwałą gińcie z rozpaczy!”<sup>[69]</sup>.

W tej części wybrzeża nie znalazłem miejsca, gdzie mógłbym zwodować kajak, ale mimo to czułem się pokrzepiony niezwykłą pustką tej wyspy. Tylko



ja, patrzące srogo kamienne postaci i szybujące sokoły.

Do Hanga Roa wracałem szlakiem wiodącym w głąb wyspy i najpierw spotkałem mężczyznę pasącego krowy, który przywitał mnie po hiszpańsku, a potem natknąłem się na młodego, mniej więcej dwudziestopięcioletniego Rapanujczyka o imieniu Iman, który niedawno wrócił z Paryża, gdzie zarządzał firmą dziadka. Zgodził się zaopiekować na wyspie starzejącymi się rodzicami.

– I jak się panu teraz podoba Rapa Nui?

– Nie cierpię jej.

Zapytałem dlaczego.

– Tu nic nie ma – odparł Iman. – Nic do roboty. Nic się nie dzieje.

Krótko przed zachodem słońca wracaliśmy do miasta. Przy niektórych domach widziałem kaktusy i palmy, gdzieniegdzie w ogródkach rosły bananowce. Ale nawet obecność tych roślin nie nadawała wyspie charakteru tropikalnego. W ciągu dnia robiło się gorąco, ale noce były chłodne. W powietrzu zawsze wyczuwało się woń błotnistych dróg i psiej sierści.

Natrafiliśmy na zwłoki konia. Zwierzę padło na drodze i jego truchło leżało tam przez cały dzień. Dzieci rzucały kamieniami w zwłoki, ale nieśmiało, jak gdyby obawiały się, że trup raptem zerwie się na równe nogi i zarży.

– Niech pan spojrzy – powiedziałem.

– Zdechły koń – rzekł Iman. – Padł dzisiaj rano. Należał do Dominga. Widziałem, jak się przewrócił.

– I mówi pan, że nic się nie dzieje.

**Wypożyczyłem** jeepa, zapakowałem namiot i składany kajak i pojechałem na północ wyspy, nad zatokę Anakena, gdzie wylądowały kanu dowodzone przez Hotu Matu'ę i gdzie urodził się pierwszy prawdziwy Rapanujczyk. To urocza osłonięta zatoka z piaszczystą plażą, na której skraju stoi siedem *moai*, w tym cztery z cylindrycznymi kokami na głowie i dwa zdekapitowane.

Kiedy tam obozowałem, przyśnił mi się Jerzy Kosiński, który kilka miesięcy wcześniej popełnił samobójstwo. Naśmiewał się ze mnie, kiedy mu powiedziałem, że lubię biwakować pod namiotem. Przyśnił mi się bodaj dlatego, że nieco wcześniej czytałem poświęcony mu artykuł. Autor twierdził,

że Jerzy nie miał przyjaciół wśród pisarzy. A przecież znałem go i uważałem za przyjaciela. Miał skłonność do paranoi, czuł się zagrożony i był wprost niewyobrażalnie próżny. Pewnego wieczoru w Berlinie wrócił do hotelu i wysmarował się jakimś kremem, który natychmiast przykrył opalenizną jego bladą polską karnacją. Po co robił takie rzeczy? Zwierzał się, że boi się zamachu na swoje życie, że jest obiektem złowrogich spisków.

Ale w rzeczywistości wcale nie bał się rozgłosu, lecz jego przeciwieństwa. Bał się lekceważenia, nie mógł znieść myśli o tym, że ktoś może się z nim nie liczyć albo wątpić w jego talent.

– On lubi biwakować – powiedział Jerzy do Katheriny, ówczynie przyjaciółki, a później żony. Jego polsko-żydowski akcent sprawił, że zabrzmiało to szyderczo, ale mnie to nie obeszło. Najwyraźniej uważał moje życie za nieistotne. Ja uważałem jego życie za przerażające. Cóż, mniejsza z tym.

Nie pojmował mojej namiętności do podróży. Ja nie pojmowałem jego namiętności do roli profesora Yale, jeżdżenia do New Haven, żeby głądzić o złu wynikającym z oglądania telewizji. Pragnął być intelektualistą. Wschodnioeuropejscy pisarze stale używają tego słowa, mówiąc o sobie. Mnie przyprawia ono o mdłości. Jerzy pragnął władzy. Chciał wzbudzać respekt. Kiedy przestał wzbudzać respekt – w końcu doszło bowiem do tego, że podszczypywano go jako grafomana i plagiatora – zabił się.

Obudzwszy się w namiocie pod palmami nad zatoką Anakena, rozmyślałem o kondycji podróżnika. Podróżnik nie ma władzy, nie ma znaczenia ani znanej tożsamości. Właśnie dlatego potrzebuje optymizmu i hartu ducha, bo bez wiary w siebie podróż staje się mordęgą. Podróżnik siłą rzeczy jest nikim, nic nie wie i łatwo go oszukać. Jest zdany na łaskę ludzi, wśród których podróżuje. Wiedzą o nim tyle, że jest „Amerykaninem”, „cudzoziemcem”, *palangi* albo *popaa*, jak mówią na Wyspie Wielkanocnej. A to nie daje żadnej władzy.

Podróżnik rzuca się w oczy jako obcy i tym samym jest bezbronny. Podróżując, dodaję sobie ducha i wierzę, że wszystko będzie dobrze. Jestem zdany na życzliwość ludzi i na to, że przestrzegają najprostszych zasad. W miejscach takich jak Anakena w rzeczy samej czuję się bezpieczniej niż

w amerykańskim mieście – lub na amerykańskim kempingu, skoro już o tym mowa, bo przecież seryjni mordercy nieraz krążą wokół takich miejsc. Nie oczekuję żadnych względów. Nie dbam o władzę ani respekt. Oczywiście to kondycja człowieka wyzwolonego, ale też zwykłego włóczęgi.

Kiedy później tamtego dnia składałem kajak na plaży Anakena, przyglądał mi się mały chłopiec.

Wskazałem siedem posągów na wielkim *ahu* i zapytałem po hiszpańsku:

– Jak je nazywacie?

– *Moai*.

– To ludzie czy bogowie?

– *Dioses* (Bogowie).

Woda w zatoce Anakena nie była chłodniejsza niż w lipcu w zatoce Cape Cod. Nie miałem kogo zapytać o ewentualne zagrożenia – prądy, przypływ, podwodne skały, rekiny – więc wypływałem kilka razy, sprawdzając siłę wiatru i stan zatoki. Wiał słaby wiatr od morza, fala umiarkowana. W końcu wypłynąłem z zatoki i powiosłowałem kilka kilometrów na wschód, widząc jedynie grzywacze rozbijające się o czarne klify wyspy. Kiedy minąłem cypel *Ure Mamore* (oznaczony na mojej mapie jako *Punta Rosalia*), ogarnąłem spojrzeniem całe wybrzeże aż po wschodni kraniec wyspy – zębaty wał urwisk wznoszących się ku koronie kolejnego z czterech wulkanów wyspy, *Puakatike* na półwyspie *Poike*. W pewnej odległości od brzegu przełamywały się wysokie fale, co świadczyło o obecności podwodnej przeszkody, żeby więc uniknąć wywrotki i rzucenia na skały, musiałem się trzymać czterysta metrów od brzegu. Mimo wszystko czułem ogromne zadowolenie, że dotarłem tak daleko, i cieszyłem się, że zabrałem kajak.

Miałem ze sobą wodę i prowiant, ale morze było tak wzburzone i walczyłem z tak silnym bocznym wiatrem, że nie mogłem odłożyć wiosła, żeby coś zjeść. Zamiast tego wypłynąłem jeszcze dalej. Ten wiatr był bezpieczny, bo nawet gdyby mnie wyrócił, spychałby mnie w stronę brzegu. Następnie powiosłowałem w kierunku zachodnim, minąłem zatokę Anakena i zmagając się z coraz wyższą falą, dotarłem na wysokość cypla *San Juan*. Wiatr przybierał na sile, pojawiało się coraz więcej grzywaczy, więc na koniec spojrzałem ku przylądkowi *Norte*, północnemu krańcowi tej trójkątnej

wyspy, by znowu zdziwić się, jak skalisty i niegościnnie to ląd. Nic, tylko czarne klify i skały sterczące z morskiej kipieli.

Z walkmana słuchałem składanki Charliego Parkera *Apex of Be Bop* [Apogeum bebopu]. Ta muzyka – *Crazeology* [Anatomia szaleństwa], *Yardbird Suite* [Ptasia suita], *Out of Nowhere* [Znikąd], *Bird of Paradise* [Rajski ptak] – idealnie harmonizowała z pędzącymi po niebie chmurami, hukiem fal, szybującymi na wietrze ptakami.

Kiedy w blasku słońca na trawiastym stoku wulkanu stałem pośród kamiennych głów o długich nosach i czułem zapach wrzosów, nie wyobrażałem sobie, jak zatrważająco może wyglądać Wyspa Wielkanocna. Widziałem krowy, łąki, chaty i pogruchotane rzeźby. Widziałem zapuchniętych i w gruncie rzeczy niechlujnych Polinezyjczyków oraz Chilijczyków z kontynentu.

Obserwowana z perspektywy morza wyspa jawiła się jako prawdziwie majestatyczna i budząca grozę, chłostana wielkimi falami i otoczona przez przeszło trzy tysiące kilometrów otwartego morza warownia porośniętych trawami wulkanów. Jakże się różni od wszystkich innych wysp Oceanii. Tanna zdumiewa nagością skał, Guadalcanal bujną dżunglą, Markizy wydają się niedostępne i urzekają cieniem głębokich dolin. Natomiast Rapa Nui wzbudza autentyczną trwożę.

Kiedy późnym popołudniem wróciłem do zatoki Anakena, odpływ odsłonił wiele skał schowanych przedtem pod wodą. Wylądowałem i po chwili zobaczyłem kobietę idącą plażą. Nazywała się Ginny Steadman. Malarka. Na Wyspę Wielkanocną przyjechała z mężem Dave'em, archeologiem, który prowadził wykopaliska w pobliżu *ahu* przy plaży Anakena.

Porozmawiałem chwilę z Ginny – o wyspach, które obydwoje odwiedziliśmy – ale nie mogłem się skupić, ponieważ zawładnęła mną myśl, że jakieś pół roku wcześniej niesamowicie wiernie przeczułem tę chwilę – widziałem właśnie taką zatokę, tak samo przeświecone słońcem morze, tak samo zbiegającą ku niemu plażę, kajak leżący na niej pod takim samym kątem, Ginny i pikujące ptaki. Krótko mówiąc, przeżywałem przemożne *déjà vu*. Już to widziałem – tłukło mi się w głowie, ale nie przyznałem się do tego Ginny w obawie, że nie na żarty bym ją wystraszył.

Dave Steadman tkwił po szyję w symetrycznym warstwowym wykopie. Rozmawiał, nie przerywając kopania, przesiewania, sortowania. Od lat podróżował po wyspach Pacyfiku w poszukiwaniu kości wymarłych ptaków. Później dowiedziałem się, że odkrył wiele nieznanymi przedtem gatunków wodników, kokoszek, papug, i że jako światowy autorytet w dziedzinie wymierania gatunków ogłosił wiele artykułów, jak choćby *Extinction of Birds in Eastern Polynesia* [Wymieranie ptaków we wschodniej Polinezji] i *Holocene Vertebrate Fossils in the Galapagos* [Skamieliny holoceni kregowców na Galapagos]. Powiedział, że szuka przede wszystkim fragmentów kości, ale zbiera wszystko, co wygląda interesująco.

– Mam tu kilka różnego rodzaju płatków obsydianu i bor.

Mniej więcej pięciocentymetrowy szyft z łupanego kamienia.

– Służył do wiercenia w drewnie lub w kości i do robienia narzędzi.

Ptasie kości umieszczał w foliowych torebeczkach.

– To może być burzyk lub petrel – powiedział i wskazał wykop, w którym pracował. – Jest tu mnóstwo wymarłych ptaków. Nie to co na powierzchni. Bo i co na niej znajdziemy? Nie ma drzew. Mało ptaków. Karakarę sprowadzili. Mają szarego łuszcza. Parę gatunków rybitw. Głuptaka maskowego. Fregatę. I to chyba wszystko.

Nie przerywał kopania, a teraz Ginny przesiewała piasek, który wsypywał trowelką do drewnianych skrzynek o dnie z drucianej siatki.

– Prawie zawsze da się ustalić, jak wyglądało miejsce, w którym kopiesz – mówił Dave. – Polinezyjczycy przybyli na tę wyspę i musieli coś jeść. No i rzecz jasna nigdy nie przestali. W ciągu jakichś stu lat zjedli wszystko: zniknęły ptaki. To pierwsza warstwa, wymarłe ptaki. W następnej warstwie znajdziesz inne kości: psów, świń. Wyżej jest jeszcze inna warstwa, badasz ją i niech mnie kule biją – wystawiwszy głowę, wyjrzał z wykopu – odkrywasz, że zaczęli zżerać jedni drugich.

– Często to się zdarzało? – zapytałem.

Métraux twierdzi, że tak, ale nie przeprowadził badań archeologicznych. Na Wyspie Wielkanocnej zbierał stare opowieści o *kai-tangata*, „zjadaczach ludzi”. Na tej podstawie utrzymuje, że po zwycięskiej bitwie niektórzy wojownicy zjadali zabitych wrogów, ale też że niekiedy zabijano ludzi po to,

żeby przyrządzić specjalne potrawy na ucztę. Za „największy przysmak” uważano palce rąk i stóp. Przynajmniej raz zdarzyło się, że wyspiarze zwabili w pułapkę, ukatrupili i zjedli oddział peruwiańskich łowców niewolników.

– Tak. Znajdujemy tu ludzkie kości wymieszane z kośćmi ptaków i ośmi – rzekł Dave. – Ludożerstwo praktykowano w całej Polinezji. Na Wyspach Cooka, w Tonga, na Markizach. Wszędzie. Wystarczy pokopać, żeby się o tym przekonać. Nie ma rady, gdy liczba ludności osiąga określony poziom, ludzie zaczynają zjadać jedni drugich.

Wrócił do kopania, ale nie przestał mówić.

– Czyjeś poletko taro jest większe od twojego? Chcesz posiąść jego *mana*? Zabijasz go i zjadasz. – Milczał przez chwilę i dodał: – W XVI wieku ludożerstwo odbywało się tu na wielką skalę.

Siłą rzeczy w naszej rozmowie zatrąciliśmy o Thora Heyerdahla.

Dave, który jako archeolog był najbardziej bezpośredni i konkretny ze wszystkich moich rozmówców, oświadczył:

– Thor Heyerdahl jest chyba największym fantastą, jaki trafił na wyspy Pacyfiku.

Usłyszawszy to oświadczenie, Ginny najpierw skrzywiła się, a potem uśmiechnęła i aprobująco skinęła głową.

– Naopowiadał bzdur na temat Wyspy Wielkanocnej – ciągnął Dave. – Uroi sobie coś w nocy, skojarzy z szerszym kontekstem i rano umieści w książce. Proszę bardzo, teoria gotowa. Zostaje tylko znaleźć dowody. To całkiem nienaukowe. Ponadto działa w sposób dyskwalifikujący dla archeologa. Wiadomo, że nie tylko prowadzi wykopaliska, lecz również kupuje artefakty od tubylców. Jeżeli wykopiesz jakiś obiekt, znasz jego pochodzenie, a jeżeli kupisz, nie wiesz o nim nic.

Wysypał wiaderko piasku do skrzynki, żeby Ginny go przesiała.

– Powie pan pewnie, że to dzięki niemu zrobiło się głośno o Wyspie Wielkanocnej. Przeprowadzono tu tak szerokie prace archeologiczne jak nigdzie indziej na wyspach Pacyfiku. Chce pan wiedzieć, co ja o tym myślę? Niewiele ma to wspólnego z archeologią. To jedne z najgorzej przeprowadzonych wykopalisk na całym Pacyfiku. Nikt nic nie wie. Mają

wielkie wory kości i kamieni, ale nie wiedzą, skąd te obiekty pochodzą. Kompletna enigma.

Dave wskazał trowelką w stronę *ahu* z siedmioma *moai*, odwróconych do nas plecami.

– Spójrz pan na to *ahu*. Żeby je odbudować, musieli narzucić tony piasku. Całą górę piasku. Co w nim było? I dokąd poszło? Niech pan tylko pomyśli, ile informacji stracono! I nie może pan krytykować faceta, który to zrobił, bo nie jest archeologiem.

– A co z teorią łodzi trzcinowej? – zapytałem. – Została obalona, prawda?

– Tak. Przez badania Flenleya nad pyłkiem kwiatowym. Flenley dowiódł, że trzcina w kraterze rośnie od dwudziestu ośmiu tysięcy lat. Nie mogła więc zostać przywieziona przez przybyszy z Ameryki Południowej. Najlepsze, że Flenley omawiał wyniki badań w obecności Heyerdahla. Heyerdahl po prostu siedział. W ogóle się nie odezwał. To śmieszne.

Kiedy zapytałem o szczegóły, Dave spowaźniał i mówił rzeczowym tonem. Przestał nawet kopać trowelką, żeby wyjaśnić mi naturę badań Flenleya.

– Rozumie pan, osady jeziorne zawierają pyłek, a anoksydacyjny muł go konserwuje. Bierze więc pan próbkę w postaci rdzenia wiertniczego na głębokość tylu a tylu metrów, po czym metodą węgla C1 ustala pan wiek poszczególnych warstw. To doskonałe metody. Absolutnie ściśle.

Steadmanowie zakryli wykop i odeszli, a kiedy już ich nie było, zaczęło padać. Później wiatr przegnał chmury i stałem sam w różowym blasku późnopopołudniowego słońca. Pomyślałem, że nawet bez *moai* wyspa byłaby piękna dzięki wulkanom – kraterom i kopcom wulkanicznym – i dywanom traw na ich stokach.

Róże i fiolety zachodu blakły z wolna niczym daleki przygasający pożar, a potem na trzynaście godzin zaległa zimna i czarna noc.

Po zapadnięciu ciemności wszyscy chowali się w domach i ryglowali drzwi, więc noc na Wyspie Wielkanocnej napawała mnie poczuciem, że jestem wśród ludzi nieufnych, podzielonych, zasklepionych w kręgu rodziny, rywalizujących zaciekle i skłóconych – w społeczeństwie zżeranym zastarzającymi swarami, gdzie krzewią się drobne kradzieże, podejrzliwość,

zawiść, obłuda i nieszczerość. Twardość i samodzielność wyspiarzy pogłębiały to wrażenie.

Rano przejechałem przez wyspę do miasta, żeby wysłać faks. Całkiem sprawnie uczyniłem to w wyposażonym w antenę satelitarną urzędzie telekomunikacyjnym kompanii Entel, gdzie działa jedyny telefon w mieście. Można tam również odbierać fakсы, co kosztuje dolara za stronę, a także dzwonić za granicę. Wyspa Wielkanocna znajduje się w tej samej strefie czasowej co Denver. Urząd codziennie dostaje faksem część informacyjną santiagowskiego dziennika „Las Noticias” i pracownicy wieszają wydruk na ścianie. Ta ścienna gazeta jest jedyną namiastką prasy, ale wyspiarze czytają wiadomości tylko wtedy, gdy zjawiają się w urzędzie, żeby zadzwonić na kontynent lub za granicę.

Wróciwszy na plażę Anakena, zastałem tam Steadmanów zajętych jak zwykle przesiewaniem piasku w poszukiwaniu kości i artefaktów. Oto cisi bohaterowie badań archeologicznych na wyspach Pacyfiku, pomyślałem. Ich praca w terenie, podobnie jak lwia część każdej pracy naukowej, jest zajęciem mozolnym i nieefektywnym, ale daje niepodważalne wyniki. No i niemal każda szufelka piasku zawierała coś ciekawego.

Dave wyjął z sita małą kostkę. Zdmuchnął kurz i piasek.

– To kostka z ucha wewnętrznego morświna.

– Przypłynął tutaj?

– Nie. Tutaj go zjedzono. To ludzkie siedlisko – powiedział, wskazując wykop, w którym pracował. – Same resztki jedzenia. Ta kostka zawiera jeszcze tyle materiału organicznego, że da się ustalić jej wiek.

– Czy właśnie tym się zajmowaliście na innych wyspach Pacyfiku?

– Mniej więcej. Kopiemy i zbieramy, co się da. Ludzie zwykle nie zwracają na nas uwagi. No i dobrze.

– Z wyjątkiem Tonga – wtrąciła Ginny.

– W Tonga traktowano nas wrogo – rzekł Dave. – „Pieprzeni *palangi*”, takie tam rzeczy. Ale nawet polubiliśmy mieszkańców Wysp Cooka.

– Oni nie napastują kobiet – dodała Ginny. – Miałam spokój.

– Na 'Eui w Tonga mają las deszczowy – ciągnął Dave. – Kiedy byliśmy tam w 1987, radziliśmy im, żeby dbali o ten las, bo zrodziła się moda na



ekoturystykę i mnóstwo ludzi będzie chciało zakosztować życia w prawdziwym lesie deszczowym. Tak, tak, świetny pomysł, przytakiwali.

Dave znowu zajął się kopaniem, ale nie przestał mówić.

– Wróciliśmy tam po dwóch latach. Japończycy planują wybudować na 'Eui hotel i pole golfowe, w sercu deszczowego lasu.

Przyjemnie się rozmawiało z ludźmi tak bywałymi w świecie i mądrymi jak Steadmanowie. Zasugerowałem, że powinni napisać książkę zatytułowaną „Księga wymarłych ptaków”. Powiedzieli, że myśleli już o tym i że chyba to zrobią. Zapytałem Dave'a o nogale, które obserwowałem na Wyspach Salomona. Bardzo dużo o nich wiedział, oglądał szkielety tych ptaków – w tym wielki jak indyk szkielet okazu jakiegoś wymarłego gatunku – ale nigdy nie widział żywego nogala. Opowiedziałem, jak pyszny jest omlet z jaja nogala.

Mieszkańców Wyspy Wielkanocnej Dave uważał za jeszcze większą zagadkę niż ich artefakty, nawet jeżeli na swój sposób są taką samą ruiną.

– Więcej tu najgorszego rozpasania niż gdziekolwiek indziej na Pacyfiku.

– Na przykład?

– Co tylko pan chce.

Najbardziej przerażało go picie. Butelka jest po to, żeby ją opróżnić. Zaczęta wieczorem butelka whisky rano musi być pusta.

– Żyją według zasady: kto ma, ten pije.

**Pewnego** dnia rozbiłem obóz i dopiero potem odkryłem, że wybrałem miejsce leżące niecały kilometr od słynnego kamieniołomu *moai* na wulkanie Rano Raraku. Poszedłem tam i przez resztę dnia wędrowałem wśród kamiennych głów. Z daleka głowy te sprawiają wrażenie pniaków ogromnych drzew, ale zbliżywszy się, widzimy, jak są wyraziste. Większość od dwóch do trzech razy wyższa ode mnie. Naliczyłem trzydzieści, a kiedy przeszedłem kawałek dalej, znalazłem jeszcze dwanaście. Na stokach wulkanu, ze skały którego je wyrzeźbiono, jest ich przeszło sto. Mają wystylizowane tajemnicze oblicza niczym postaci z rysunków Virgila Partcha lub wychudzeni Grecy albo gigantyczne figury szachowe.

Kamienne głowy na zboczach wulkanu stoją, leżą przewrócone twarzą w dół lub do góry, pogruchotane, niektóre złączone z tułowiem, zagrzebaną w ziemi krzepką górną połową ciała, wydają się schodzić w dół. Pewna liczba posągów znajduje się w kraterze. Na zewnątrz niektóre są na wpół wyrzeźbione i jeszcze leżą w poziomych niszach w ścianie wulkanicznej skały. Jeden z nich, kompletny, złożony z głowy i reszty ciała, mierzy dwanaście metrów i spoczywa w skale niczym niedokończona mumia. Inny przedstawia postać klęczącą. Jeszcze inny stojący *moai* ma wyryty na piersi trzymasztowy szkuner.

Prócz mnie nie było tam żywego ducha i tym silniej odczuwałem niesamowitą aurę tego cmentarzyska *moai*, niewątpliwie jednego z najbardziej osobliwych miejsc, jakie w życiu odwiedziłem. Z korony wulkanu spojrzałem na południe i zobaczyłem jeszcze ze dwadzieścia lub trzydzieści posągów rozciągniętych wzdłuż trawiastego zbocza, jak gdyby maszerowały do Hanga Roa.

Pytania są oczywiste. Po co i jak wyrzeźbiono te posągi? Kogo przedstawiają? Jak je transportowano? Dlaczego tak wiele zniszczono?

**Długi** norweski cień Thora Heyerdahla pada na każde zagadnienie archeologiczne dotyczące Wyspy Wielkanocnej. Nawet najprostsi wyspiarze mają zdanie na temat swojej historii i opinię na temat Thora Heyerdahla.

Pijani czy trzeźwi, niemal wszyscy odnoszą się do niego sceptycznie. Największym pijakiem był rybak Julio, który z powodu niewydolności krążenia wynikającej z nieustannego opilstwa zawsze się trząsał, mimo że nosił zimowy płaszcz i wełnianą czapkę z nausznikami. Nigdy nie widziałem, żeby pijany Julio zdjął płaszcz lub czapkę, chociaż inni mężczyźni chodzili w krótkich spodniach lub w kąpielówkach.

– A słyszał pan o Thorze Heyerdahlu? – zapytał zaczepnie Julio. – Pracowałem u niego pół roku. Nie lubię gada. Skurczybyk jeden jest słynny na cały świat, a co ja dostałem za pół roku pracy? *Nada!*

Swoje zdanie miała również Anna, młoda matka w podartej koszulce. Znała parę słów po angielsku. W 1982 roku mieszkała w Los Angeles, ale nie

podobało jej się.

– Za dużo Meksykanów – stwierdziła.

Rozmawialiśmy niedaleko Rano Raraku, mając widok na kamieniołom, więc zapytałem ją o *moai*. Wspominała, że zaprowadziła do kamieniołomu swoją córeczkę, żeby pokazać jej posągi, i dziewczynka pytała, jak je transportowano.

– I co pani odpowiedziała?

– Thor Heyerdahl twierdzi, że posągi „szły”, że ludzie przemieszczali je za pomocą sznurów i lin, utrzymując je w postawie wyprostowanej. Ale to bardzo miękki kamień, a do Tahai jest stąd dziewiętnaście kilometrów. Nigdy by się to nie udało. Myślę, że Heyerdahl się myli. Kiedyś rosły u nas palmy. Można było użyć palmowych pni jako sani. Zapewne tak przeciągano te posągi.

W *Easter Island: The Mystery Solved* [Wyspa Wielkanocna: zagadka rozwiązana] Heyerdahl tłumaczy, dzięki czemu słowa pewnego wyspiarza, który powiedział mu, że „posągi szły”, są najzupełniej prawdziwe. (Zgodnie z rozpowszechnioną na wyspie legendą posągi szły niesione boską siłą *mana*. Również Métraux przytacza te opowieści). Według Heyerdahla odbywało się to w taki sposób, że do stojącego *moai* wiązano liny i pociągano za nie to z przodu, to z tyłu, aby posąg kolebiąc się, „szedł”. Heyerdahl przeprowadził odpowiedni eksperyment i udało mu się przemieścić *moai* o trzy i pół metra. Trochę brakuje do dziewiętnastu kilometrów, ale rozstrzygający argument w tej sprawie wysunęła na łamach „*Archaeology*” profesor Van Tilburg, która zbadała wszystkie posągi pod kątem „charakterystycznych otarć” na podstawie, na szyi i w wyższych partiach tułowia, i niczego takiego nie dostrzegła. Gdyby uwiązano liny i posąg przekuszykałby dziewiętnaście kilometrów, trące o miękki kamień sznury musiałyby zrobić w nim głębokie ślady.

O wiele bardziej prawdopodobna jest teoria sań, która głosi, że posągi „transportowano po specjalnie przygotowanych drogach, ciągnąc je – w sile około stu pięćdziesięciu ludzi – na ramach czy saniach, do których uwiązywano liny”. Do takiego samego wniosku dochodzi Métraux, chociaż dodaje, że najpewniej używano też podkładek zapewniających poślizg,

podobnie jak to czyniono na Tongatapu przy transporcie czterdziestotonowych elementów trylitu. Ze względu na porowatość surowca rapanujskie posągi ważą zaledwie od czterech do pięciu ton.

Thor Heyerdahl przedstawia swoje domniemania w sposób apodyktyczny, ale często się myli. Nie tylko nie rozwiązał zagadki Wyspy Wielkanocnej, lecz utrudnił prawdziwym naukowcom pracę nad jej rozwiązaniem i przy okazji się ośmieszył. Jest amatorem, popularyzatorem i fantastą, który zrobił dyplom na wydziale zoologii Uniwersytetu w Oslo. Jego badania na wyspach Pacyfiku bardzo przypominają niechlujne śledztwo prowadzone przez autora groszowych kryminałów w prawdziwym miejscu zbrodni – działania ignoranta, który nie dostrzega subtelnych dowodów, nie ma pojęcia o metodach mikroskopowej analizy włosa ani o elektroforezie (za pomocą której analizuje się zaschnięte plamy krwi), szwenda się po miejscu zbrodni, mamrocząc: „To sprawka lokaja”, i tylko robi bałagan, który utrudni pracę fachowcom.

Wspomnienie nazwiska Heyerdahla w kręgach naukowych często wzbudza zażenowanie lub gniew i nawet prości mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej uważają go za postać komiczną. Rapanujczycy wiedzą, że są potomkami zdobywców polinezyjskich, uważają się za autorów monumentalnych rzeźb i wierzą, że są to podobizny wybitnych przodków. To posągi ludzi, nie bogów. (J. R. Forster, który brał udział w wyprawie Cooka, uważał, że są to podobizny „nieżyjących wodzów”). Historycy potwierdzają wierzenia Rapanujczyków, nawet jeżeli są wyszydzani przez Heyerdahla. W doniosłym artykule ogłoszonym w 1983 roku na łamach „Scientific American” Peter S. Bellwood pisze: „Przynajmniej jedno jest dziś całkiem pewne, a mianowicie, że Polinezyjczycy nie wywodzą się z Indian południowoamerykańskich, chociaż istnieją świadectwa na rzecz mało istotnych kontaktów z zachodnim wybrzeżem Ameryki Południowej”.

„Prawie sto lat wyęźzonych badań nie przyniosło absolutnie żadnych niepodważalnych odkryć, które zadzierzgałyby niepodważalną więź archeologiczną między Wyspą Wielkanocną i kontynentem”, stwierdza profesor Van Tilburg.

Pogląd ten potwierdzają inni historycy i badacze wysp Pacyfiku, na przykład profesor Sinoto z Bishop Museum w Honolulu, który prowadził wykopaliska w całej Polinezji Francuskiej i badał Wyspę Wielkanocną, a także Patrick Vinton Kirch, którego *The Evolution of the Polynesian Chiefdoms* [Ewolucja polinezyjskich systemów wodzowskich] uważa się za najlepiej udokumentowane studium na temat osadnictwa polinezyjskiego. W rzeczy samej na gruncie tego poglądu stoją niemal wszyscy prócz Heyerdahla, który upiera się przy absurdalnej teorii, że kulturę wysp Pacyfiku stworzyli zdobywcy peruwiańscy, przywożąc rzeźby, bogów i słodkie ziemniaki. Polinezyjczycy przyszli później, twierdzi Heyerdahl, i raptownie położyli kres kwitnącym kulturom.

A co z trzcina totora, na którą Heyerdahl kładzie taki nacisk, próbując dowieść teorii łodzi trzcinowej? Jak tłumaczył mi Dave Steadman, przeprowadzone między innymi przez Johna Flenleya badania nad pyłkiem roślinnym dowiodły, że trzcina totora rośnie w jeziorach wewnątrz kraterów od około trzydziestu tysięcy lat. Thor Heyerdahl twierdzi, że trzcinę tę przywieźli południowoamerykańscy odkrywcy mniej więcej tysiąc lat temu, i jest to jeden z kamieni węgielnych teorii łodzi trzcinowej, która głosi, że właśnie budujący łodzie trzcinowe mieszkańcy Ameryki Południowej przyплыли na Wyspę Wielkanocną, gdzie sprowadzili słodkie ziemniaki, a potem stworzyli arcydzieła sztuki rzeźbiarskiej.

Dziwić może jedynie to, że autorytatywna *Encyclopaedia Britannica* nie zgadza się z botanikami i propaguje teorię Thora Heyerdahla. W szóstym tomie *Macropaedia* (czyli Wielkiej Encyklopedii Britannica) w artykule zatytułowanym „Wyspa Wielkanocna” znajdziemy potwierdzenie wszystkich pomysłów Heyerdahla, w tym choćby zdanie głoszące, że „bagniste jeziora we wnętrzu kraterów są gęsto porośnięte trzcinaми dwóch gatunków przywiezionych z Ameryki Południowej”. Skąd się wzięły takie bzdury w tej zacnej księdze? Sprawa jest prosta, ponieważ ten długi artykuł sygnowano „Th.H.”, a więc wyszedł spod pióra naszego Norwega.

Bodaj najbardziej ohydny aspekt teorii Heyerdahla polega na tym, że zdają się one wypływać z pogardliwych uprzedzeń wobec Polinezyjczyków. W *Fatu Hivie* Heyerdahl twierdzi, że Markizańczycy są zbyt leniwi, aby mogli

stworzyć wspaniałe kamienne budowle i rzeźby na Hiva Oa. W *Aku-Aku*, rozważając kamienne kolosy na Wyspie Wielkanocnej, pisał: „Jedno jest pewne, to mianowicie, że ten wyczyn nie był dziełem gromady polinezyjskich drwali, którzy tu wylądowali i z braku drzew rzucili się na skały”<sup>[70]</sup>. W *The Mystery Solved* jeszcze bezczelniej miesza Rapanujczyków z błotem, oświadczając: „Żaden polinezyjski rybak nie byłby w stanie wymyślić, a tym bardziej zbudować takiego muru”. Jasne, to ludzie zbyt leniwi, za mało twórczy i za głupi.

To skandaliczne i pozbawione jakichkolwiek podstaw uprzedzenia. Według autora zamieszczonej na łamach „*Archaeology*” recenzji *The Mystery Solved* ta książka to „mieszanina obłudy, wyniosłości i uprzedzeń wobec Polinezyjczyków w ogóle i Rapanujczyków w szczególności”. Jedną z najbardziej obraźliwych teorii Heyerdahla głosi, że Rapanujczycy trafili na Wyspę Wielkanocną z innej wyspy jako niewolnicy starożytnych żeglarzy peruwiańskich, którzy krążyli po wyspach Pacyfiku, tworząc na nich wspaniałe dzieła sztuki.

W ciągu życia poświęconego wysnuwaniu szalonych teorii Heyerdahl odniósł jeden jedyny sukces, a mianowicie za pomocą tratwy Kon-Tiki udowodnił, że sześciu przedstawicieli skandynawskiej klasy średniej potrafi awaryjnie wylądować tratwą na atolu koralowym w sercu oceanicznych pustkowi. Zwróciło to uwagę świata na wyspy Pacyfiku. Nie czytałem ani jednej rozprawy naukowej, w której nie uważano by Heyerdahla za utrapieńca, zawalidrogę i szkodnika, i nie spotkałem ani jednego naukowca, który inaczej by go oceniał. Teorię Heyerdahla obalili również uczeni zajmujący się badaniami nad genetyką człowieka i DNA.

„Na Pacyfiku mamy dwie gałęzie ludzkiej rodziny – stwierdził doktor Steve Jones z londyńskiego University College w ramach wygłaszanych w 1991 roku radiowych wykładów im. Reitha. – Jedną: ludy Nowej Gwinei oraz Aborygeni australijscy, jest genetycznie bardzo zmienna i jej przedstawiciele znacznie się różnią w zależności od miejsca. Ludzie ci od bardzo dawna żyją w tym obszarze. Gałąź druga, której przedstawiciele zamieszkują ogromny obszar wysp Pacyfiku, jest bardziej jednolita i spowinowacana ze wschodnimi Azjatami. Ludzie ci przybyli na wyspy dopiero w czasach, gdy istniało już

rolnictwo, kilka tysięcy lat temu. Choć Thor Heyerdahl przepłynął Pacyfik tratwą, nie ma żadnego dowodu na istnienie więzi genetycznej pomiędzy mieszkańcami wysp Pacyfiku i mieszkańcami Peru. Genetyka populacyjna zatopiła Kon-Tiki”.

W obliczu tych faktów naukowych należy uznać, że skoro Heyerdahl nadal uparcie podtrzymuje teorię, że cywilizację do Polinezji przynieśli żeglarze, którzy na modłę Hagota wyruszyli z Ameryki Południowej, to musi być opłacany przez mormonów.

Tymczasem Wyspa Wielkanocna nadal jest tajemnicą.

## rozdział\_dwudziesty\_drugi\_

### Wyspa Wielkanocna: stary slip w Tongariki

**Piękną** Anakenę przesycą przeszłość. Chociaż ta plaża leży na uboczu, odgrywała główną rolę w całej historii Wyspy Wielkanocnej. Ale chłoszcze ją wiatr, a ja pragnąłem urządzać wyprawy kajakowe wzdłuż wybrzeża. Zwinąłem więc namiot, złożyłem kajak, pożegnałem się ze Steadmanami i przez wschodni półwysep pojechałem nad zatokę Hotu Iti, stosunkowo zaciszny akwen osłonięty od wiatru wyniosłymi klifami półwyspu Poike. Jakieś trzy kilometry od portu w zatoce, w połowie drogi do przylądka Roggeveen leży jedna z najdziwniejszych *motu* – Marotiri.

Rozejrzałem się na brzegu, w ruinach osady, która nosiła nazwę Tongariki, i odkryłem duże zniszczone *ahu* z piętnastoma pogruchotanymi posągami. *Moai* przewracały się w różne strony, odpadły ich czerwone koki, a później dowiedziałem się, że porozbijała je wielka fala, która przed ćwierćwieczem uderzyła na Tongariki. Znalazłem też starożytny slip, czyli pochylnię do wodowania kanu, który służył wyspiarzom przez długie stulecia, ale jak twierdzą historycy, ostatni raz był używany sto lat temu. Chciałem przywrócić ten slip do życia.

W miejscu dawnej osady na skraju zatoki zastałem blaszaną szopę, a kiedy podszedłem i zawołałem, z wnętrza wyszła grupa ludzi, sześć lub siedem młodych kobiet i bodaj pięciu starszych mężczyzn. Niektórzy mężczyźni byli pijani. Zapytałem, czy mogę rozbić tam obóz.

– Spytao ojca – powiedziała jedna z dziewcząt.

Stojący obok niej mężczyzna spojrział znad trzymanego w rękach talerza z rybimi łbami i słodkimi ziemniakami i wymamrotał coś w rapa nui.

– Oczywiście – powiedziała dziewczyna.

Później słyszałem głosy dziewcząt, mężczyzn, śmiechy, ale nikogo nie widziałem. Jadłem w samotności, makaron, chleb, ser i puszkę ryby. Jeszcze



jedna ucztą w Oceanii. W nocy co raz budził mnie huk fal wzbierającego morza.

O świcie mężczyźni naprawiali sieci, ale przestali, gdy spostrzegli, że składam kajak.

– To nie łódź – powiedział jeden z nich. – To kanu.

– Jak to nazywacie? *Waga*?

– Nie *waga*, lecz *vahka*. Skąd pan zna to rapanujskie słowo? Już go nie używamy.

Nie wytłumaczyłem mu, że podobnie nazywają kanu na Trobriandach, na wybrzeżu Queenslandu, w Vanuatu i Tonga – wszędzie. Później jedna z dziewcząt przyniosła mi gotowane słodkie ziemniaki.

– Nazywacie to *kumara*? – zapytałem, a ona bardzo się zdziwiła.

Na Wyspach Salomona, dziesięć tysięcy kilometrów stamtąd, wieśniak Mapopozą uczył mnie: „*Nem bilong dispela kumara*”. (To się nazywa *kumara*).

Dołączyła reszta mężczyzn i wszyscy przyglądali się, jak składam kajak.

– Co mówią? – zapytałem dziewczynę, która miała na imię Jimene.

– Podoba im się pana łódź – odrzekła. – Chcą ją.

– Jeżeli im ją dam, zostanę bez łodzi.

– Mówią, że dadzą panu coś w zamian.

– Co?

Mężczyźni naradzili się i powiedzieli coś do Jimene.

– Dadzą panu *moai*.

– Jak zabiorę *moai*?

– Inni je zabierali. Tego przy drodze zabrali Japończycy, a później przywieźli z powrotem.

Odniosłem wrażenie, że wcale nie żartowali i rzeczywiście oddaliby mi pokątnie jeden z obalonych posągów z oddalonego od nas o kilkanaście metrów *ahu* w Tongariki, gdybym miał czym go zabrać. Chyba nieszczególnie szanowali to święte *ahu*, skoro ustawili na nim wychodek. Siedząc na kiblu, człowiek mógł podziwiać arcydzieła rzeźby.

Owi mężczyźni zajmowali się połowem homarów. Za pośrednictwem Jimene zapytałem, jak duże homary łowią. Dziewczyna powtórzyła pytanie

w rapa nui. (*Nui nuu?*)

– Kilo lub dwa.

Wsiadają do siedmioipółmetrowej motorówki, której niestraszne fale, i ze starego slipu opodal *ahu* wyruszają na sprawdzanie pułapek na homary. Wciągnąłem ich w rozmowę o warunkach panujących na morzu i ośmielony zachętami z ich strony jeszcze tego dnia wyprawilem się na *motu* Marotiri, skalną iglicę kawałek drogi od wejścia do zatoki.

Wysokie fale rozbijały się u podnóża klifów półwyspu, ale dalej od brzegu tylko z rzadka pojawiały się grzywacze. Lekki wiatr, umiarkowany przybój. W zatoce natrafiłem na stosunkowo wysoką falę, ale prędko ją ominąłem, wypłynąwszy na otwarte morze, poza strefę przyboju, gdzie dopiero obrałem kurs na moją *motu*. Płynąłem w odległości kilku kilometrów od brzegu i zmierzałem ku jednej z najsztywniejszych wysepek przybrzeżnych Rapa Nui. Kiedyś właśnie na tej wysepce chronili się ludzie, którzy wpław uciekli przed ludożercami, i nadal krążą stare opowieści o tym, jak to ludożercy wyruszali na Marotiri w kanu, chwyтали przerażonych uciekinierów skulonych w załomach skał, zarzynali ich, ćwiartowali, po czym zabierali mięso na Rapa Nui, gdzie urządzali ucztę.

Z walkmana słuchałem koncertów na obój i gdy rozbrzmiewał koncert obojowy C-Dur Vivaldiego, wiosłowałem pod klifami półwyspu Poike ku Marotiri i rozkoszując się uczuciem absolutnej wolności, radowałem się, że w podróż tę zabrałem kajak. Ptaki morskie przelatywały z urwiska na urwisko, a ja zbliżałem się do słupa skalnego, który nazwano wysepką.

Marotiri przypomina gigantyczny granitowy silos o niemal pionowych ścianach, tak stromych, że w żadnym miejscu nie zdołałbym wysiąść z łódki i wdrapać się na skały. Od strony morza wysepkę chłostały wysokie fale, natomiast od strony lądu przybój jedynie miarowo unosił i zniżał kajak. Dotknąłem skały piórem wiosła, dodając tę wysepkę do listy czterdziestu kilku innych, które odwiedziłem w Oceanii.

Kiedy w zmierzchającym świetle wracałem do Tongariki, wystraszyło mnie mocne uderzenie o dno kajaka. Łuuup! Zatrzymawszy łódkę, obejrzałem się, żeby zobaczyć, czy zaczepiłem o podwodną skałę, ale nie dostrzegłem niczego w czarnej wodzie. Zawsze istnieje niebezpieczeństwo spotkania z rekinem,

a powiada się, że chlupotanie wiosł podnieca rekiny. „To jakieś stworzenie, które panicznie się mnie boi – instynktownie myśli rekin – więc pewnie jest moim przysmakiem i bez trudu je zjem”. Starłem się wiosłować jak najspokojniej, czyniąc możliwie mało hałasu, a kiedy wyszedłem na brzeg, zapytałem jednego z rybaków, Carlosa, czy w tamtych wodach są rekiny.

– Mnóstwo rekinów – odparł po hiszpańsku. – Niektóre duże. Dwumetrowe, a nawet większe. Otaczają nas, jak złapiemy rybę.

Pomyślałem, że przed nocą nie ma sensu zamartwiać się rekinami, i po prostu powiedziałem sobie, że zapewne uderzyłem w żółwia.

Patriarchą obozu rybaków był dostojny starszy mężczyzna o imieniu Andrés, który przez większość dnia wyciągał gwoździe z desek i przycinał kawałki drewna wyrzucone przez morze, nadając im poręczną formę. Przygotowane drewno układał czule pod ścianą blaszanej szopy jako surowiec na meble. Opowiadał, że chce zrobić stół. Pierwsi przybysze ze świata zawsze zwracali uwagę na brak drzew na Wyspie Wielkanocnej i wielką wartość przypisywaną drewnu przez wyspiarzy. „Najcenniejsze ozdoby robią z drewna. Nawet dzisiaj mieszkańcy wyspy nie gardzą najędzniejszą deszczułką”.

– Ten klocek dużo by kosztował – rzekł Andrés, pokazując całkiem nieduży kawałek i podał w peso sumę odpowiadającą pięćdziesięciu dolarom. – Drewno jest u nas drogie, bo nie mamy drzew. Chilijczycy wolą sprzedawać drewno Japończykom, bo są bogatsi.

Nie przestawał uważnie wyciągać gwoździ za pomocą młotka z pazurem.

– Japończycy to bardzo inteligentni ludzie – oświadczył.

– Naprawdę tak pan uważa?

– No, może nie w porównaniu z panem czy ze mną, ale tak w ogóle – sprecyzował.

Zapytałem, czy całe życie spędził na wyspie. Odparł, że nie, bo w swoim czasie wyjechał na kontynent do pracy.

– Pracowałem na kolei w Valparaíso, a potem wróciłem. To dobre miejsce i dobre życie. Lubię morze, ryby, homary. Pan mieszka nad morzem? Więc rozumie pan, o czym mówię.

– Mogę zostawić tutaj moją łódkę?

– Tak. U nas nie ma złodziei. No, ktoś może sobie podchmieli i capnie to lub tamto. Ale nie ma porównania z kontynentem. Może pan zdjąć ubranie, zostawić je tutaj, a kiedy pan wróci, będzie na pana czekało. Na Rapa Nui nie ma prawdziwych złodziei.

– Dlaczego?

– Bo nie mamy pieniędzy. Nie ma czego kraść. Cóż, nie jesteśmy Japończykami.

Tamtego wieczoru przy moim obozowisku przystanęła owa dziewczyna o imieniu Jimene. Miała dziewiętnaście lat, ale już odwiedziła Stany Zjednoczone. Pojechała do kuzyna w Seattle.

– Wypłynęliśmy dzisiaj na ryby – powiedziała. – Widzieliśmy, jak pan wiosłuje. Zaczęliśmy rozmawiać o panu. Ludzie mówili, jak to miło, że przyjechał pan do naszego obozu.

Usłyszawszy to, zapragnąłem zostać dłużej. Musiałem powiedzieć właścicielowi pożyczonego jeepa, że będę potrzebował wozu jeszcze przez kilka dni, więc pojechałem do Hanga Roa i zaszedłem do niego. Nie miał nic przeciwko.

– Jest pan w Tongariki – rzekł.

– Skąd pan wie?

– Ktoś pana widział.

Właściciel jeepa miał na imię Roderigo. Był lekarzem i dorywczym biznesmenem. Chciał kupić moją czapkę baseballową. Chciał kupić moją kurtkę marki Patagonia, mojego walkmana i mój namiot.

Jego pomocnikiem był Mou, którego spotkałem pierwszego dnia pobytu na wyspie. Wraz z kolegą podwiózł mnie wtedy do Hanga Roa.

– Pan da mi swojego walkmana – zaproponował Mou – a ja dam panu kilka prawdziwych tabliczek *rongo rongo*.

Wymieniłem się z Mou kasetami. W zamian za *Infidels* Boba Dylana, którą zamierzałem kupić, dałem mu *Apex of Be Bop*. (Kilka dni później Mou zwrócił się do mnie z prośbą: „Mógłby pan odnaleźć mojego ojca? Jest gdzieś w Kolorado. Widziałem go tylko jako mały chłopiec”).

Zapytałem Roderiga o sytuację zdrowotną na Wyspie Wielkanocnej.

– Największym problemem jest pijaństwo – odparł. – Nie tyle z medycznego, ile z psychologicznego punktu widzenia. Pijacy mają rozmaite dolegliwości psychiczne. Wariują. Alkohol nie niszczy im wątroby, ale sprawia, że robią się dziwni i leniwi.

– Jak im pomagacie?

– Powstaje ośrodek odwykowy – rzekł. – No i z powodu wysokiej wilgotności ludzie chorują też na płuca – dodał.

Do obozowiska wróciłem tuż przed nocą, która zapadła jak zwykle raptownie. W gęstniejącym mroku szybko coś zjadłem i wpełzłem do namiotu, żeby przez następne kilka godzin słuchać BBC, najpierw wiadomości, a po nich programu zatytułowanego *Brain of Britain* [Mózg Brytanii].

– Kto był pierwszym męczennikiem chrześcijańskim?

– Święty Szczepan.

– Z czego robi się środek dobrej piłki do krykieta?

– Z korka.

– Co to jest louison?

– Gilotyna.

– Jak się nazywa zwierzę wywodzące się od meganeury, która żyła w epoce karbonu i osiągała dwa metry rozpiętości skrzydeł?

– Ważka.

Potem zmorzył mnie sen.

**W niektóre** dni podróży po dziwnej krainie nie chciałbym być nigdzie indziej. Jak wiecie, uczucie to nachodziło mnie niekiedy w Oceanii. Na Wyspie Wielkanocnej towarzyszyło mi jednak stale. Zastanawiałem się dlaczego. Ta wyspa wydaje się nawiedzona. Jej mieszkańcy to ludzie nieobliczalni i wsobni, to swawolni, to znów ponurzy. Jej wody są niegościnnie i niebezpieczne z punktu widzenia wypraw kajakowych. Pociągała mnie już sama osobliwość tej wyspy, ale oprócz tego odpowiadały mi jej niewielkie rozmiary, gorące dni i chłodne noce, podobała mi się pustka w głębi lądu, symetria wulkanów, ekstrawaganckie piękno kamiennych posągów, twardość ludzi, intrygowała mnie ciągle nieprzeniknięta tajemnica tego lądu.

No i cóż może być lepszego, niż wyjść z namiotu w prześliczny poranek i podziwiać wielkie głuptaki maskowe szybujące i nurkujące nad głową,

i patrzeć ze skarpy na stary slip w Tongariki i dalej, na przylądek odległy o osiem kilometrów, i myśleć: „Powiosłuję tam dzisiaj”.

– Jak nazywacie tamten cypel? – zapytałem Andrésa, wskazując ku przylądkowi Roggeveen.

– Vakaroa.

– Zna pan nazwę „Roggeveen”?

– Nie.

Jacob Roggeveen to pierwszy Europejczyk, który ujrzał tę wyspę, i to on nazwał ją Wyspą Wielkanocną, bo działo się to w Wielkanoc 1722 roku.

– A jak nazywacie następny cypel na północ od tamtego? – Na mojej mapie oznaczono go jako przylądek Cumming.

– Nazywamy go Kavakava.

Spostrzegłem wtedy jedną z dziewcząt w towarzystwie starszego mężczyzny, wracających do obozowiska trawiastą ścieżką prowadzącą do jaskiń i zatoczek na brzegu. Niczego nie nieśli. Szli w milczeniu. Andrés nic im nie powiedział. Było oczywiste, że to ojciec i córka.

Zauważałem więcej tego rodzaju podejrzanych sytuacji, które siłą rzeczy rzucały się w oczy, ponieważ nigdzie indziej na wyspach Pacyfiku ojciec nie mógłby przebywać sam na sam z córką. Tabu. Przyglądałem się więc i delikatnie wypytywałem. Ze studium etnologicznego Métraux wiedziałem, że na Wyspie Wielkanocnej kazirodztwo wzbudza wstręt. Zawsze wzbudzało. Ale jakoś nie odstręczało to kuzynów od małżeństwa. W Hanga Roa poznałem krewniacze pary. Słyszałem o bracie i siostrze, którzy niedawno wyjechali z wyspy, a właściwie uciekli, żeby się pobrać. Wszystko to dziwne i podejrzane. W języku rapa nui kazirodztwo określa się obrazowym wyrażeniem znaczącym tyle co „sycenie się swoją krwią”.

W obozie rybackim córki spełniały wiele funkcji. Gotowały i sprzątały. Rozplątywały i rozwieszały sieci, ale ich nie naprawiały. To należało do mężczyzn. Przynosiły i wносиły. Bawiły się w swoim gronie, ale przywołane dotrzymywały towarzystwa ojcom. Ojcowie wypływali z córkami na ryby i homary. Z reguły tworzyły się grupy złożone z braci i ich córek. Często jednak ojciec i córka zostawali sami. Zawsze coś się działo.

– Idzie na spacer z córką – słyszałem.

Mężczyźni zawsze w kąpielówkach i podartych koszulkach, niechlujni. Dziewczeta w wieku dojrzewania, grubawe i pryszczate. Widać takie zabierano na wyprawy rybackie. Najstarsza miała dziewiętnaście lat. Jej ojciec liczył sobie lat trzydzieści sześć, ale wyglądał o wiele starzej. Matka miała piętnaście lat, kiedy ją urodziła. Do niedawna był to normalny wiek pierwszego macierzyństwa.

- W piątki ojciec zabiera nas do dyskoteki – opowiadała mi dziewczyna.
- A co z matką?
- Zostaje w domu.
- Gdzie teraz jest?
- W mieście, sprzedaje ryby.
- Z twoimi ciotkami?
- Tak.

Wryła mi się w pamięć inna wymowna scenka, w której ojciec smarował córce plecy balsamem. On niezwykle czuły, ona chichotała.

Wierzyłem w instynkt Andrésa. Gdyby działo się coś niewłaściwego, natychmiast by zareagował. Wzbudzał zaufanie, trzymał w ryzach obóz rybacki, a że zawsze był trzeźwy, bez obawy podarowałem mu butelkę wódki. Dziewczętom ofiarowałem duże pudełko czekoladek. Podarki przyjęto bez słowa. Nigdy o nich nie wspomniano. Schowano je zaraz po tym, jak je wręczyłem.

Niemniej Andrés zawsze zachowywał się bardzo elegancko.

- Dobrze się u was czuję – powiedziałem po hiszpańsku.
- Dobrze, że pan jest.
- Cała przyjemność po mojej stronie.
- I nawzajem.

Tak miła atmosfera mnie rozleniwiała. Na przykład danego dnia planowałem wycieczkę, a potem nawiązywałem z kimś rozmowę, która okazywała się tak ciekawa, że mówiłem sobie w duchu: ha, na wycieczkę równie dobrze mogę popłynąć jutro. Zazwyczaj nie marnuję czasu, napięty harmonogram jest warunkiem dobrego samopoczucia, ale w obozie rybaków dostosowałem się do ich rytmu i w końcu złapałem się na tym, że żyję jak oni.

Im często się zdarzało, że planowali wyprawę rybacką i nic z tego nie wychodziło, bo dzień upływał na pogaduszkach i żartach.

Kiedy przebywałem sam na sam z osobą miejscową, wzbogacałem znajomość języka rapa nui. Na każdej z wysp Oceanii sporządzałem listę trzydziestu kilku słów, zawsze tych samych, takich jak księżyc, słońce, dzień, ryba, jedzenie, duży, mały, słodki ziemniak, kobieta, mężczyzna, woda, kanu, łódź, wyspa i tak dalej, a także liczby od jeden do dziesięciu. Robiłem to głównie dla rozrywki, żeby porównać języki używane na różnych skupiskach wysp. Wyniki zawsze okazywały się interesujące. Fidżi w sensie technicznym należy do Melanezji, ale w standardowym języku fidżyjskim roi się od słów polinezyjskich. Zdumiony zastanawiałem się, jak to możliwe, że na wyspach tak odległych od siebie jak Nowa Zelandia i Hawaje istnieją języki polinezyjskie, które są tak zbliżone do siebie, że użytkownik jednego zrozumie użytkownika drugiego.

Wyspa Wielkanocna to też ciekawy przypadek. Twierdzi się, że język rapa nui jest wielorako skażony. Nie czytałem niczego rozstrzygającego kwestię wpływu, jaki na rapa nui wywarł tahitański. W swoim czasie praktycznie wszyscy Rapanujczycy z powodów ekonomicznych emigrowali na Tahiti, czego pamiątką jest dzisiaj zaciekły spór w sprawie prawa własności Rapanujczyków do części Tahiti.

W dni leniuchowania uzupełniałem mój słowniczek i odkryłem, że wiele słów nie ma nic wspólnego z tahitańskim i śmiało może należeć do pierwotnego języka, który najprawdopodobniej wywodził się z Tuamotu. Nazwy liczb różnią się od tahitańskich, a przypominają samoańskie. Nazwa słońca, *tera'a*, jest swoista dla Wyspy Wielkanocnej. Po samoańsku słońce to *la*. Słowo oznaczające mężczyznę, *tangata*, różni się od tahitańskiego *tane*, ale jest dość podobne do tahitańskiej nazwy człowieka, *taata*, i identyczne z nazwą mężczyzny w języku tongijskim. Słowo oznaczające kobietę to *vi'e*, istotnie różne od *vahine*, chociaż mu pokrewne. Nazwa słodkich ziemniaków, *kumara*, jest powszechna w Oceanii, a wielka przewaga tej uprawy na wyspie nad innymi zaowocowała melancholijną mądrością życiową, że „rodzimy się, jemy słodkie ziemniaki i umieramy”.



Wokół Wyspy Wielkanocnej nie ma rafy, a mimo to Rapanujczycy odróżniają „wody przybrzeżne” od „otwartego morza” dość podobnie jak mieszkańcy innych wysp Pacyfiku. Głębokie i błękitne otwarte morze nazywają *moana*, czyli słowem znanym w całej Oceanii. Wody przybrzeżne, czego odpowiednikiem na wielu innych wyspach jest akwen między lądem a rafą, nazywają zaś *vaikava*, a słowo to – jak wytłumaczył mi Carlos – znaczy tyle co „gdzie jest zielona woda”.

Za nic nie wypłynąłbym kajakiem na prawdziwie otwarte morze wokół Wyspy Wielkanocnej. Gdyby coś poszło źle, zginąłbym w chłostanej wichrem zimnej wodzie, pozbawiony możliwości ratunku i szansy, że samo morze zanieś mnie na inną wyspę. Oddalałem się nie więcej niż trzy kilometry od brzegu. To w zupełności wystarczało do moich celów, a może nawet przesadzałem, bo nawet bliżej nie ma już nic. *Motu*, niemal pionowe pryzmy i słupy skalne, leżą co najwyżej półtora kilometra od brzegu, ale nie da się do nich dotrzeć najkrótszą drogą, bo z powodu urwistości wybrzeża trzeba wyruszać z odległych miejsc i płynąć wzdłuż brzegu co najmniej sześć kilometrów.

Jako ostatnią poważniejszą wyprawę kajakową zaplanowałem wycieczkę za *motu* Marotiri i przylądek Roggeveen, aż do najdalej na wschód wysuniętego krańca wyspy. Zabrałem ze sobą prowiant, wodę, mapę i kompas. Powiedziałem Andrésowi, dokąd płynę, i że wrócę przed nocą. Dzięki temu, że kilka dni wcześniej pokonałem mniej więcej jedną trzecią tej trasy, wiedziałem, że jeżeli przytrafi mi się coś naprawdę złego – wywrotka i konieczność dostania się wpław na brzeg byłaby chyba najgorsza – znajdę jaskinię lub półkę skalną na urwistym wybrzeżu półwyspu Poike. Zakładałem, że jeżeli nie wrócę, rybacy wyruszą na poszukiwania jedną z motorówek do połowu homarów.

Wypływając z zatoki, słuchałem z walkmana *Infidels* Dylana, na które się wymieniłem z Mou. Wydostawszy się za strefę przyboju, rozglądałem się za płetwami grzbietowymi rekinów i karbowałem w pamięci konfigurację urwisk półwyspu, wypatrując miejsc, gdzie w razie czego mógłbym się schronić.

Przybój szturmował jaskinie u stóp stumetrowych klifów, wdzierał się do środka, tryskał gejzerami przez skalne kominy i pęknięcia, po czym spieniony

i wściekły wypadał z powrotem. Właśnie z powodu wysokiej fali przednia część *motu* Marotiri, gdzie przy spokojnym morzu mógłbym się wdrapać na skalną półkę czy do jaskini, stała się dla mnie niedostępna. Podjąłem ostrożną próbę lądowania, ale szybko zrezygnowałem, obawiając się wywrotki.

Przez następne półtorej godziny wiosłowałem na północny wschód to po stłoczonych, to po gładkich wysokich falach, trzymając się jakieś dwa kilometry od brzegu. Kiedy podpływałem za blisko brzegu, natrafiłem na fale odbite, które miotały kajakiem, z kolei daleko od brzegu musiałem zмагаć się z wysoką falą. Przekonałem się, że łatwiej, chociaż dużo wolniej płynęło mi się pod prąd fal, ponieważ jazda z wiatrem groziła wywrotką lub utratą panowania nad łódką z powodu wielkiej prędkości ślizgu w dół fali.

Czułem się już wystarczająco pewnie na tym akwenie, żeby szybko zjeść kanapkę z serem i pociągnąć łyk wody, podczas gdy w słuchawkach rozbrzmiewały gitarowe riffy Dylana. Pod względem wrażeń muzycznych ta wyprawa miała całkiem inny, a i mniej podnoszący na duchu charakter niż wycieczka sprzed kilku dni, w trakcie której słuchałem barokowych koncertów na obój, ale nie miałem czasu, żeby zmienić kasetę.

Wyruszając, zakładałem, że w zimowy dzień na wzburzonym morzu wokół Wyspy Wielkanocnej nikt rozsądny nie powinien wyprawiać się dalej niż dwa kilometry za przylądek Roggeveen. Pod osłoną półwyspu Poike wiało stosunkowo łagodnie, ale za jego wschodnim krańcem dmuchało już z prędkością dwudziestu kilku węzłów.

Największe zagrożenie stwarzał potężny przybój, który powodował fale odbitą i zamieniał morze przy brzegu w istną kipieli. Starłem się płynąć korytarzem pomiędzy otwartym morzem a rozkołysanymi wodami przybrzeżnymi. Żeby nie myśleć o niebezpieczeństwach, podziwiałem wielkie fale przełamujące się u wlotów morskich jaskiń i rozbijające się na półkach skalnych z taką siłą, że powietrze u stóp unurzanych w pianie wyniosłych klifów zrobiło się białe od mgły. Wspaniały i przejmujący widok, zażarta walka żywiołów i zimna biel gniewnych fal.

Spektakl ten podziwiałem przy akompaniamencie muzyki.

Potem zdjąłem słuchawki i nagle usłyszałem wycie wiatru, potężny łoskot fal i ogarnął mnie strach. Muzyka zagłuszała odgłosy zmagania żywiołów, a bez

niej czułem jedynie przerażenie. Kajak chybotął się niebezpiecznie. Wiosłowałem mocno, żeby utrzymać kurs i stabilność. Parłem dalej, za przylądek Roggeveen, na wysokość wschodniego krańca wyspy, za którym hulał wyjący wiatr. Pełen obaw wypłynąłem na wzburzone wody, skąd otwarł się wspaniały – o wiele piękniejszy, niż oczekiwałem – widok na przylądek Cumming, zwany przez miejscowych Kavakava, a potem zawiąłem się na grzbiecie wielkiej fali i pomknąłem z powrotem na zawietrzną stronę wyspy, jak gdyby ścigany przez rozgniewane morze.

Konsekwentnie trzymałem się za strefą przyboju, która z powodu skalistości wybrzeża jest u brzegów Wyspy Wielkanocnej szczególnie niebezpieczna. Mimo wszystko bardzo chciałem zobaczyć, jak wyglądają *moai* widziane z morza. Minąłem więc wejście do zatoki i ruszyłem na południowy zachód, na wysokość Punta Yama, gdzie jest zrujnowane *ahu*, i jeszcze kilometr dalej, gdzie znajdują się głębokie jaskinie morskie. Opodal jaskiń grupa wyspiarzy łowiła ryby, niespełna kilometr dalej na trawiastym stoku obozowała rodzina i pasło się kilka koni, a jeszcze półtora kilometra dalej widziałem znowu rybaków i więcej zniszczonych *moai*.

Dziwnie się czułem w tym korytarzu między strefą przyboju a *moana*, zawieszony między śmiertelnością pustką bezkresnego oceanu i równie złowrogim wybrzeżem, na którym nie mogłem wylądować. Ale tańcząc w kruchej łupince na falach, w pełni zrozumiałem, jak zaradni i dzielni musieli być wyspiarze. Nauczyli się pokonywać strefę przyboju wplaw, wymyślili trzciniowe pomoce do pływania, opanowali sztukę surfowania na desce. Pomysłowo zszywając kawałki drewna wyrzuconego przez morze, budowali kanu w podobny sposób, jak Eskimosi robią kajak. Każdy element krajobrazu wyspy – jaskinie, półki skalne, urwiska i wzgórza – włączyli do swojej kosmologii. I nie tylko opanowali sztukę przetrwania na wyspie, lecz zapanowali nad niegościnnym lądem i go ukształtowali, wznosząc ołtarze i platformy świątynne, budując domy z kamieni i wykrawając ze skał wulkanicznych jedne z największych i najwspanialszych posągów na świecie, monumenty będące zarazem arcydziełami rzeźby i cudami inżynierii.

Wyspiarze słynęli jako ludzie ambitni i swarliwi i mamy dowody na to, że wojujące ze sobą grupy niszczyły *moai* rywali, a niekiedy również swoje,

rytualnie pozbawiając je głowy, aby zastąpić je lepszymi. Wiele posągów, które stały, gdy Wyspę Wielkanocną odwiedził kapitan Cook, w kilka lat później leżało pogruchotanych na ziemi.

Na mojej mapie odległą o jakieś osiem kilometrów zatokę Rada Vinapu opatrzono skrótem „Lndg”, oznaczającym przystań, ale nie miałem pojęcia, o jakiego rodzaju przystań chodzi. Obawiałem się, że jest tam molo, przy którym pomimo fal może przycumować statek, ale które jest najzupełniej nieprzydatne dla kajakarza. Objechałem niemal całe wybrzeże i znalazłem tylko dwa miejsca, gdzie da się spuścić na wodę kajak lub wylądować. Wszędzie indziej klify, skały i rozbijające się o nie fale.

Nadal za strefą przyboju powiosłowałem z powrotem, a gdy zbliżyłem się do Tongariki, włożyłem do walkmana kasetę z barokowymi koncertami na obój i słuchając tej muzyki, podczas gdy przed oczami przesuwały mi się pejzaże Wyspy Wielkanocnej, czułem radość.

Zaraz za Tongariki zaczyna się rozpadlina podobna do okopu, która biegnie przez całą nasadę półwyspu Poike. Z tym osobliwym tworem geologicznym wiąże się jedna z barwniejszych opowieści o dawnych dziejach Wyspy Wielkanocnej, a mianowicie relacja o wielkiej bitwie między dwoma plemionami wyspiarzy: Długimi Uszami i Krótkimi Uszami, w której zwyciężyli ci ostatni. Opowieści o krwawych zmaganiach, zacieklej pogoni i zaporze ogniowej w owej rozpadlinie należą do nadal żywej tradycji ustnej. Ale akurat ta historia ma chyba tyle wspólnego z faktami co legenda o przybyciu boga Tangaroi, który przybrawszy stosowne wcielenie (*ata*), a mianowicie postać foki, przepłynął z Mangarevy do Tongariki, gdzie się objawił jako bóg morza.

Wylądowawszy, zapytałem Carlosa, Andrésa i Jimene o podania ludowe na temat Tongariki. Mężczyźni tylko się uśmiechnęli, a Jimene rzekła:

– Mamy mnóstwo cudownych opowieści.

Tego wieczoru przy blaszanej szopie rybaków siedział jeszcze jeden mężczyzna, Juan Ito, który pracował jako strażnik w wielkim kamieniołomie *moai* na trawiastym stoku wulkanu Rano Raraku. Zapytałem, czy zna te historie.

– Tak, znam i wierzę w nie – odparł.

Podobnie jak wielu innych również Juan powiedział, że z powodu obecności istot nadprzyrodzonych nigdy nie zostałby po zmroku w pobliżu *moai*. To, że on się tego obawiał, uznałem za szczególnie wymowne, bo przecież niemal codziennie przebywał wśród *moai*.

Juan zapytał, czy jadę do Hanga Roa. Kończył mi się prowiant, a nie miałem pojęcia, czy Andrés i inni zaproszą mnie na posiłek. Wieczorem w blaszanej szopie i przed nią urządzali swego rodzaju anarchiczne uczytły złożone ze słodkich ziemniaków i ryby. Tamtego dnia nie zaprosili mnie, a właściwie nigdy nie zapraszali. Ich potraw kosztowałem okazjonalnie, gdy rozmawialiśmy. Nie byli ani gościnni, ani wrodzy. Tolerowali mnie. Ale nie prosiłem o więcej.

Uznawszy, że muszę zrobić zaopatrzenie, podwiozłem Juana i jego syna Roberta dziewiętnaście kilometrów do Hanga Roa. Roberto miał jakieś osiem lat, był chudy, niewyrośnięty i wydawał się zaniedbany. Powiedział, że właśnie wrócił ze szkoły. Włosy skołtunione, twarz usmarowana. Wydawał się bardzo głodny, a kiedy dałem mu jabłko i jajko na twardo z lunchu, którego ledwie skubnąłem, w mgnieniu oka pożarł je na tylnym siedzeniu.

– W jaki sposób dostaje się pan zwykle z Hanga Roa na wulkan? – zapytałem Juana.

– Pieszo. Czasem ktoś mnie podwiezie – odparł. – Nie ma autobusu, a ja nie mam samochodu. Pokonanie całej drogi piechotą zajmuje mi od dwóch do trzech godzin.

Po hiszpańsku Juan mówił tak samo jak ja, niezgrabnie i prosto, więc rozmawiałem z nim bez skrzępowania.

– Nie ma pan roweru?

– Nie stać mnie.

– Ma pan więcej dzieci?

– W sumie trzech chłopaków. W wieku pięciu, siedmiu i ośmiu lat.

Jechaliśmy szczytami klifów, wzdłuż których płynąłem tamtego popołudnia. Pod różowym wieczornym niebem urwiska, u stóp których rozbijały się fale, wyglądały majestatycznie.

– Ale ich matka odeszła – rzekł Juan. – Wyjechała do Santiago.

– Za pracą?

– Nie wiem. Nie mam od niej wiadomości. Piła. Piła wszystko: whisky, pisco, piwo, wino, cokolwiek. Potem po prostu odeszła.

– Pan gotuje?

– Tak. I sprzątam. A także piorę – roześmiał się. – Początkowo nie miałem pojęcia o zajmowaniu się domem. Ale z czasem się nauczyłem.

Niski, dość żałośnie wyglądający mężczyzna po trzydziestce. Współczułem mu, że żona go rzuciła. Miał kiepsko płatną posadę, troje małych dzieci i kawał drogi do pracy. Ale był uczciwy i prostolinijny.

Porozmawialiśmy o polityce. Od razu oznajmił, że nienawidzi Pinocheta, który doszedł do władzy w wyniku wojskowego zamachu stanu, rzecz jasna za aprobatą Stanów Zjednoczonych, którym odpowiadał jako prawicowy tyran doskonale dogadujący się z CIA.

– Dlaczego nienawidzi pan Pinocheta?

– Bo jest złym człowiekiem. Bo jest skorumpowany. Bo działał okrutnie na naszej wyspie – wyliczał Juan. – Lubiałem Allendego. Nie cierpię militarystów.

W Tongariki spędziłem jeszcze noc i dzień i nadal zachodziłem w głowę, jakie właściwie stosunki łączą moich sąsiadów. Nie rozumiałem też ich rezerwy. Byli tolerancyjni, ale niegościnni i w ogóle mną niezainteresowani.

– Niech pan popłynie kiedyś z nami na ryby – mawiali.

– Chętnie – odpowiadałem, ale nigdy nie skonkretyzowali zaproszenia.

Ich obojętność sprawiała, że musiałem sam dbać o siebie. Odpowiadało mi to, ale nigdy nie byłem pewny, czy mogę ich o cokolwiek prosić.

Właśnie na tym polega jedna z największych trudności związanych z biwakowaniem na polinezyjskiej wyspie. Każdy, kto nie ma rodziny, znajduje się w trudnym położeniu i jest traktowany podejrzliwie. Wyspiarze odróżniają tylko dwie kategorie ludzi: rodzinę i resztę. „Reszta” obejmuje gości, a wynikające stąd obowiązki są złożone i nigdy niesprecyzowane. Przed wszystkim gość jest obcym i dlatego nie wolno do końca mu ufać. Sama ta dwuznaczna postawa starczała mi za dowód, że rodzimi mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej są Polinezyjczykami.

Z Tongariki wyjechałem również dlatego, że po czterech nocach spędzonych w namiocie na brzegu morza potrzebowałem kąpieli. We włosach

zgrzytała sól, czułem się lepki. Jak też radzą sobie miejscowi? Cóż, nieczęsto się kąpią. Na Wyspie Wielkanocnej w ogóle nie ma rzek i panuje wielki niedostatek słodkiej wody.

– Niech pan kiedyś znowu przyjedzie – powiedział Carlos.

Po tym mglistym pożegnaniu obóz rybacki ojców i córek wrócił do swoich zajęć.

**Do końca** pobytu na Wyspie Wielkanocnej byłem w Hanga Roa. Wiatr zmienił kierunek na południowy, dmuchał znad Antarktyki, więc zrobiło się o wiele zimniej i gratulowałem sobie, że udało mi się popływać kajakiem w lepszych warunkach.

Zamierzałem kupić rzeźby. Niektóre naprawdę dobre. Wyspiarze opowiadali, że podsuwali je Thorowi Heyerdahlowi i potrafili wcisnąć mu kopie jako starożytne autentyki. Ale drogo je wyceniali.

– Dwieście dolarów – słyszałem, a kiedy odchodziłem, facet pytał: – A ile pan da?

Nie cierpię się targować, więc szedłem dalej. Pragnąłem mieć frotaz petroglifów człowieka-ptaka, boga Makemake lub któregoś z bardziej ujmujących i przyzwoitych sromów. Żałowałem, że nie przywiozłem odpowiedniego papieru i ołówka, żeby samemu robić frotaze, i szczerze radzę każdemu, kto wybiera się na Wyspę Wielkanocną lub na Markizy, żeby wyposażył się w te proste materiały. W Hanga Roa jest cała uliczka sklepów z pamiątkami, gdzie widziałem identyczny asortyment i nie spotkałem ani jednego klienta. W niektórych sklepach oferowano tkaniny z namalowanym motywem człowieka-ptaka, a pierwowzór tego motywu sporządzono techniką frotazu. Identyczne tkaniny oglądałem w czterech sklepach, a ceny wahały się od sześćdziesięciu pięciu do stu pięćdziesięciu dolarów za taki sam nieduży malunek. Każdy ze sprzedawców twierdził, że sam malował tkaniny.

– Zrobiłem to własnymi rękami! – wołali.

Żadna z pamiątek nie miała karteczki z ceną. Ceny były umowne, handlowanie polegało na targowaniu się. To zwyczaj przeniesiony z Chile. Na innych wyspach Oceanii targowanie się uchodzi za rzecz uwłaczającą.

Później poznałem kobietę, która zaoferowała mi malowaną tkaninę za czterdzieści pięć dolarów. Ona również twierdziła, że sama ją pomalowała, ale tym razem odpowiadało to prawdzie. Nazywała się Patrizia Saavedra, była Chilijką, która osiedliła się na Wyspie Wielkanocnej przed dziewiętnastu laty.

– Bo jestem artystką, a to jest wyspa artystów – rzekła.

Przez dziewiętnaście lat dobrze poznała Rapa Nui.

– Nie każdemu tu się podoba, ale mnie tak – mówiła. – Główną bolączką są napięcia społeczne. Ale ludzie nie są gwałtowni. Dzisiaj na pana nakrzcyczą, jutro będą mili.

– Jak pani to tłumaczy? – zapytałem.

– Z natury puszczają właśnie w niepamięć. Nie chowają urazy. Rzadko się biją.

Powiedziałem, że na Rapa Nui wyczuwam ducha anarchii i nieufności. Czy podziela to odczucie?

Kobieta zastanawiała się przez chwilę, a potem rzekła:

– Wie pan, dyktatura wielorako wypacza ludzi, również w sposoby, których byśmy nie oczekiwali. Zatrzuwa dusze. Wypacza sposób myślenia. Dyktatura zmienia wyspiarzy.

Patrizia dawała do zrozumienia, że Rapanujczycy stali się zbuntowani i samolubni. Najważniejsze stanowiska na wyspie Pinochet poobsadzał swoimi znajomkami i sługusami. Wyspiarze uważali to za niesprawiedliwe i w rezultacie stali się nieufni. Młodzi nie chcieli się uczyć.

– Dzisiaj mamy demokrację, rządy wojskowych się skończyły i każdy chce być królem wyspy – powiedziała z przekąsem Patrizia i uśmiechnęła się, odsłaniając ładne zęby. – Demokracja jest dobra, ale dosłownie *każdy* chce kandydować – ciągnęła i zaczęła wskazywać ludzi. – Ten pan. I ten. I ta pani. Ten też. I ona. Każdy chce być gubernatorem, alka-dem, jakimkolwiek urzędnikiem. Wkrótce mamy wybory. Szykuje się niezła zabawa, skoro wszyscy się znajdą na listach, będzie wielkie niekończące się głosowanie!

Kilka miesięcy wcześniej w innym miejscu Oceanii w miarodajnej audycji radia australijskiego „Pacific News” słyszałem, że na Wyspie Wielkanocnej doszło do wielkich protestów. Z powodów, których wtedy już nie pamiętałem,



demonstranci zgromadzili się na lotnisku i zatrzymali samolot, uniemożliwiając mu start.

– To było w ubiegłym roku w marcu – wspominała Patrizia. – Cała wyspa się zjednoczyła, Chilijczycy stanęli ramię w ramię z Rapanujczykami. Inspirowali to radykałowie ze stowarzyszenia dawnych wodzów Mata Nui o Hotu Matu’a, ale wszyscy ich poparli, w sumie dwa tysiące ludzi demonstrowało na zmianę. Gubernator przebywał w Santiago, wdarli się na lotnisko po wylądowaniu samolotu i zajęli go. Nie pozwolili, żeby odleciał. Nie użyto przemocy, demonstranci nie mieli broni. Ale byli bardzo zdeterminowani.

Zapytałem Patrizię, o co chodziło.

– Ogłoszono dwustuprocentową podwyżkę cen paliwa, wody, prądu.

– I wyspiarze się zjednoczyli.

– Tak. I zwyciężyli. Podwyżkę odwołano. Samolot odleciał.

Istotny szczegół polega na tym, że najważniejszą rolę odegrali członkowie stowarzyszenia na rzecz ochrony dziedzictwa kulturowego Rapa Nui. Akcentowanie tożsamości polinezyjskiej dodatkowo legitymizowało bunt. Władze chilijskie zawsze zachęcały Rapanujczyków do kultywowania tradycji, śpiewu i tańca, pamięci historycznej. Rzec potoczyła się podobnie jak w Tahiti i na Markizach, gdzie ludzie z jednej strony podlegali przemożnym naciskom kultury francuskiej, a z drugiej byli zachęceni do kultywowania folkloru. Powstawały rapanujskie zespoły taneczne złożone z tancerek w spódnickach z trawy i tancerzy w przepaskach na biodra. Zespoły te przyjmowano entuzjastycznie w Tahiti, na Hawajach, w Nowej Zelandii. Rapanujczycy zrozumieli, że są częścią wielkiej diaspory polinezyjskiej. Ich folklor jest jedyny w swoim rodzaju i pomaga bronić się przed wpływami chilijskimi. Z czasem prowadzi to do działań o charakterze bardziej bezpośrednio politycznym.

W Hanga Roa stykałem się z pijakami. Jak to pijacy, dążyli oni wyłącznie do tego, żeby się znieczulić, ale zdumiewały mnie ich metody. Pili wszystko, co zawiera alkohol – piwo, wino, wódkę. I dowolnie mieszały te trunki.

Poznałem dwóch Chilijczyków, Martina i Hernanda, w porównaniu z którymi Carlos i jego bracia zasługiwali na miano abstynentów. Martin

mieszkał na Rapa Nui od dwunastu lat, Hernando zaledwie od czterech. Obydwaj pochodzili z chilijskiej wsi, pomarszczeni, żyłaści i ogorzali wyglądali jak starcy, mimo że Martin, starszy z nich, miał zaledwie czterdzieści jeden lat. Pili codziennie, skoro tylko wyszli z pracy w departamencie leśnictwa. Zważywszy na śladową obecność drzew na Wyspie Wielkanocnej, raczej nie mogli mieć wiele do roboty.

Zajmowali stolik w małym barze z widokiem na port Hanga Roa. Kupowali piwo w puszkach i wino w kartonach. Wypijali trochę piwa, po czym dolewali wina z kartonu, mieszało i sączyli tę miksturę. Zataczali się, darli, nedorzecznie roztkliwiali, potem żarli się, aż w końcu milkli, spici jak beły.

W Hanga Roa mieli dwie dyskoteki. Bywalcom tych miejsc również chodziło o znieczulenie się. Szczególnie zła sława otaczała dyskotekę Tokoroko.

– Sodoma i Gomora! – zawołała ze zgrozą pewna kobieta, więc uznałem, że muszę to zobaczyć.

Zaszedłem tam i się rozczarowałem. Zobaczyłem tylko młodych ludzi pogrążonych w nieporadnych płasach. Najwyraźniej taniec stanowił tylko pretekst do picia. Kiedy urzędnili się tak jak Martin i Hernando, szli do domu.

Wątpliwe atrakcje życia w Hanga Roa sprawiły, że zatęskniłem za biwakiem przy starym slipie w Tongariki, ale mój pobyt na Wyspie Wielkanocnej dobiegał końca. Chciałem jeszcze odwiedzić ostatni z wierzchołków trójkąta Polinezji, a mianowicie Hawaje.

– Będzie pan musiał wstać bardzo wcześnie – powiedziała właścicielka hoteliku wieczorem w przeddzień mojego wyjazdu. – O szóstej jedziemy na lotnisko.

Ze strachu, że nie wstanę na czas, mało co spałem. Zasypiałem, śniło mi się, że ucieka mi samolot, i budziłem się przerażony. O piątej byłem już gotowy do wyjazdu. O wpół do szóstej przechadzałem się po podjeździe. Dziesięć po zacząłem łomotać do drzwi. Jeszcze jeden ciemny i zimny poranek na Wyspie Wielkanocnej. Czekałem. Gdzież się wszyscy podziali?

Zatargałem składany kajak, sprzęt biwakowy i torbę z ubraniem na skraj drogi, ulicy Pępka Świata, i modliłem się w duchu o pomoc do wielkiego boga Makemake.

Ulicą telepała się furgonetka, budząc psy. Zamachałem i pojazd zatrzymał się.

– Jedzie pan na lotnisko?

A gdzieżby miał jechać o tej porze? Kierowca powiedział, że pracuje na poczcie. Facet był potężnie zbudowany. Rozklekotana furgonetka podskakiwała na wybojach. Uderzyło mnie, że w całej Oceanii tylko na Wyspie Wielkanocnej ludzie ubierają się tak grubo, noszą stare brudne ciuchy, buty, wyświechtane i przepocone kapelusze. Przez to wyglądają nędznie, trochę jak bezdomni czy ofiary losu. Facet zapytał mnie, dokąd lecę.

– Na Tahiti, a potem na Hawaje.

– Też chciałbym tam jechać – rzekł.

**Część czwarta**

**Raj**

## rozdział\_dwudziesty\_trzeci\_

### O‘ahu: szpiegowanie w Honolulu

**Hawaje** najsilniej kojarzą się z jednej strony z tandetnymi uciechami zjaponizowanych nadmorskich hoteli, z drugiej zaś – zgoła przeciwnie – z surowym pejzażem pobrużdżonych wulkanów i linii brzegowej najeżonej mnogością cypli i cypelków nagiej czarnej lawy, z której potężny przybój wyrzeźbił ostre jęzory. Tak, Hawaje są miłe, ale potrafią być srogie. Przybywałem z zamiarem skosztowania ich zatrważającego piękna. Podczas mojej pierwszej kąpieli na Hawajach, przy cudownej plaży na północnym wybrzeżu O‘ahu porwał mnie prąd powrotny, zaniósł za strefę przyboju i rzucił w silny prąd morski jakieś półtora kilometra od mojego ręcznika. Przez godzinę zmagalem się z podstępny morzem i w końcu wypełzłem na ostre skały, wypompowany, poraniony, wstrząśnięty. Czy ta wycieczka aby nie jest pomyłką? Po tej przygodzie poważnie zastanawiałem się, czy nie wyjechać, ale ludzie mówili, że to się często przytrafia nowicjuszom.

Niedługo potem na przyjęciu przedstawiono mnie starszemu dostojnemu mężczyźnie. Opowiedział mi o książce, którą napisał, a następnie zapytał, z czego żyję.

- Jestem pisarzem.
- W której restauracji?
- Słucham?
- Gdzie pan pracuje jako kelner?

No tak, powiedziałem *writer*, on zrozumiał *waiter*. Wcale nie miał kłopotów ze słuchem, lecz po prostu słyszał, że tak powiem, to logiczne, skoro na jednego pisarza przypada pewnie z tysiąc kelnerów. Nieważne. Z czasem poczułem, że mógłbym spędzić tam resztę życia.

- O, jest Arthur Murray – zauważył ktoś w restauracji.

Rzeczywiście, we własnej, dziewięćdziesięcioletniej osobie. Dawno temu sprzedał złoty interes na tańca. Miał kolekcję francuskich impresjonistów, mieszkał w luksusowym apartamencie z widokiem na plażę Waikīkī.

– Poślizgnęła się na krewetce – rzekł ktoś ze współczuciem na innym przyjęciu. – Naprawdę parszywie skaleczyła stopę. Do tego jest naprawdę zestresowana – opowiadał, wymawiając słowo *stressed* z owym niechlujnym, hawajskim akcentem: *shtressed*. Mówili też *shtrength* i *shtreet*.

Czekałem, aż ktoś zapyta: „A co z biedną krewetką?”, ale jakoś nikt się nie zainteresował.

Tymczasem odłożyłem na później wyprawy kajakowe, bo najpierw chciałem choć trochę rozeznać się w tym skomplikowanym mieście.

**Najlepszy** widok na Honolulu roztacza się z górujących nad miastem wzgórz ‘Aiea. Zaręczył o tym sam Takeo Yoshikawa, japoński szpieg, jeden z najważniejszych i najbardziej demonicznych bohaterów mrocznych kart historii, uczestnik spisku na rzecz zniszczenia Hawajów. Właśnie ze zboczy wzgórz ‘Aiea, zajmowanych wówczas przez plantacje trzciny cukrowej, a dzisiaj przez tereny willowe, Yoshikawa śledził ruch okrętów w Pearl Harbor i obserwował życie gościnnego miasta.

Nikt nie podejrzewał, że ten człowiek szpieguje. Najlicniejszą grupę etniczną wśród mieszkańców Honolulu stanowili – tak samo jak dzisiaj – Japończycy. Yoshikawa miał dwadzieścia dziewięć lat. W niektóre dni przywdziewał strój robotnika plantacji trzciny cukrowej. W inne dni ubrany w garnitur pracował pod fałszywym nazwiskiem w konsulacie japońskim, który i dzisiaj znajduje się na tej samej pięknej parceli przy alei Nuuanu i wygląda tak samo niewinnie jak w 1941 roku, kiedy za jego murami oszuści o podwójnej tożsamości ślali informacje admirałowi Yamamoto, który uknuł szatański plan nalotu. „Kto chce mieć młode tygrysa – mawiał admirał – ten musi wejść do jego jaskini”.

Yoshikawa przybył z Japonii w marcu 1941 roku i przez osiem miesięcy krążył po wzgórzach ‘Aiea, pilnie obserwując miasto i port. Pracował nadal

owego dnia, kiedy nadleciały bombowce, tonęły okręty i ginęły pierwsze z dwóch tysięcy czterystu trzech ofiar japońskich bomb.

Śledząc wytrwale przez lornetkę funkcjonowanie amerykańskich baz wojskowych, Yoshikawa naocznie przekonał się, że najwięcej okrętów kotwiczony w Pearl Harbor w weekendy, kiedy również niemal wszystkie samoloty parkują w bazie lotniczej Hickam Field. W trakcie wycieczek pożyczonym fordem na północne wybrzeże O'ahu Yoshikawa z zadowoleniem odkrył, że tamten brzeg jest słabo broniony, wobec czego nalot z północy wydawał się stosunkowo bezpieczny. Admirał Yamamoto obawiał się zapór balonowych, które utrudniłyby rajdy myśliwcom. Nie ma zapór balonowych, donosił Yoshikawa, który niespełna dobę przed niedzielnym porankiem, kiedy na Pearl Harbor poleciały bomby, telegrafował z konsulatu: „Możliwości obrony Pearl Harbor za pomocą zapór balonowych są ograniczone. W mojej ocenie wszystko wskazuje na to, że atak z zaskoczenia nadal może okazać się ogromnie skuteczny”.

Pięćdziesiąt lat później złożyłem hołd ofiarom, odwiedzając Arizona Memorial, czyli pomnik USS Arizona. Ta część Pearl Harbor jest miejscem pamięci narodowej, którym zarządza National Park Service. Goście oglądają najpierw krótki film dokumentalny o wydarzeniach, jakie się rozegrały rankiem 7 grudnia 1941 roku. To film pozbawiony patriotycznego patosu, okrutnie rzeczowy i przez to ogromnie poruszający. Po obejrzeniu tego przerażającego filmu goście płyną promem do samego pomnika, białej, podobnej do świątyni budowli wzniesionej nad skorodowanym kadłubem zatopionego pancernika, na którym zginęło tysiąc dwustu amerykańskich żołnierzy, kiedy bomba japońska trafiła bezpośrednio w drugą, licząc od dziobu, wieżę artyleryjską. Historycy tak sumiennie zbadali okoliczności tego ataku, że znamy nazwisko bombardiera. Nazywał się Noboru Kanai, na głowie – tak samo jak reszta napastników – zawiązał białą opaskę z symbolem słońca i znakami głoszącymi *Hissho*, czyli „Pewne Zwycięstwo”.

– Czy przychodzą tu turyści japońscy? – zapytałem przewodnika.

– Niewielu – odparł. – A niektórzy z tych, co przychodzą, śmieją się i trzaskają sobie fotki. Nie sądzę, żeby rozumieli znaczenie, jakie to miejsce ma dla nas.

**Kiedy** krótko po przyjeździe z regionu zachodniego Pacyfiku, pełen żywych wspomnień z dalekich wierzchołków trójkąta Polinezji, z małych i zapuszczonych wysepek, udałem się na stoki wzgórz 'Aiea i spojrzałem na Honolulu z punktu obserwacyjnego szefa japońskiej siatki szpiegowskiej, zdumiałem się dostatnym wyglądem i nowoczesnym obliczem miasta. To bez wątpienia najmiłsze dla oka miasto na Pacyfiku.

Powiódłszy spojrzeniem od prawej do lewej, z wysokości wzgórz 'Aiea można ogarnąć całą tętniącą życiem panoramę Honolulu, poczynając od Waianae i Pearl Harbor, portowych żurawi i okrętów, pomalowanych w barwy maskujące samolotów w bazie Hickam, przez centrum z bankami i drapaczami chmur, podlejsze uliczki chińskiego miasteczka, gdzie lubią przesiadywać mniej ambitne prostytutki, przez obszar gęstej zabudowy i zatłoczonych ulic, gdzie brak otwartych przestrzeni, przez Bishop Museum, a potem przedmieścia na zboczach wulkanów, wille lgnące do pradawnych jezorów lawy i wilgotnych zielonych dolin, przez koszarne zębiska hotelowych wieżowców na skraju plaży, grzywacze przełamujące się przy rafie wzdłuż Waikīkī, przez uliczki koreańskich barów i spelunek ze striptizem, przez wulkan Punchbowl, ładne parki, zielone urwiska i szczyty okalające miasto, aż po krater Diamond Head, który niczym strażnik podobny do Sfinksa waruje od wschodu i jest widoczny praktycznie z każdego miejsca w mieście. Za Diamond Head dostrzeżemy jeszcze nawietrzny, daleki brzeg wyspy.

Ale gdzie przechodnie? Poza obszarem dzielnicy Waikīkī, rozciągniętej na półtora kilometra swego rodzaju nadmorskiej knajpy, mało kto używa nóg. Honolulu to miasto kierowców, gdzie roi się od samochodów i gdzie niejedna rodzina ma dwa albo i trzy auta. Nawet najbiedniejsi mieszkańcy, niedawno przybyli emigranci z wysp Pacyfiku – Samończycy, Tongijczycy, ludzie z Wyspy Bożego Narodzenia i z Yap – zwykle mają co najmniej jeden samochód, najczęściej nową półciężarówkę z napędem na cztery koła. W rzeczy samej półciężarówka wydaje się częścią osobowości tych przybyszów, tak samo jak drogi, zazwyczaj europejski samochód jest istotnym aspektem osobowości zamożnych mieszkańców Honolulu. Kupno półciężarówki, kiedy tylko uda się uciuć na przedpłatę, jest sprawą honoru



dla każdego Filipińczyka. Klasa średnia jeździ autami japońskimi, wojskowi kupują wozy amerykańskie. Nikt nie chodzi pieszo.

Jeden z paradoksów Hawajów, a zarazem główny przejaw ich amerykańizacji, polega na tym, jak szybko w ostatnim czasie stały się kulturą samochodową. Dlaczego to paradoksalne? Dlatego, że prócz plaży i centrum handlowego, które zawsze są blisko, nie ma dokąd jeździć – nie ma interioru ani dalekich pustych tras. Samochód uchodzi za rzecz niezbędną po prostu dlatego, że jest symbolem pozycji społecznej, a pasażer autobusów spada automatycznie do kasty biedaków i nieudaczników. W pewnym sensie samochód jest rzeczywiście najważniejszy. W mieście tak upalnym jak Honolulu, gdzie niemal każdy, bogaty czy biedny, ubiera się tak samo, strój nie może być oznaką statusu.

Semiotyka Honolulu – sfera znaków i symboli kulturowych – jest ogromnie barwna i złożona. Na Hawajach w ogóle, a zwłaszcza w Honolulu istnieje więcej podziałów klasowych i subtelnych odcieni różnic społecznych niż w którymkolwiek innym znanym mi rejonie świata. Miejscowy żargon zawiera mnóstwo określeń dotyczących różnych aspektów pochodzenia i statusu człowieka, jak choćby *malihini* (nowo przybyły), *kama'āina* (zasiedziały), *pake* (Chińczyk), *katonk* (Japończyk; podobno to onomatopeja, odgłos walnięcia Japończyka czymś twardym w głowę), *kachink* (Chińczyk z kontynentu; taka sama etymologia), *buk-buk* (Filipińczyk; również *Flip* i *mongong*), *moke* czy *blalah* (młody twardziel), *tita* („siostra”, czyli dziewczyna *moke*), *popolo* (czarnoskóry; niekiedy słowo to dla zabawy wymawiają wspak – *olopop*), no i określenia wszelkiego rodzaju *haole* (białych) – nowy *haole*, zasiedziały *haole*, *hapahaole* (pół-*haole*). Portugalczyków, całkiem licznych na Hawajach, nie uważa się za *haole* i dość powszechnie nazywa *Portugees*. W tym społeczeństwie subtelnych odróżnień rasowych za białych nie uważają również Latynosów ani Żydów. Nie mają kolokwializmu określającego Hawajczyka, ale często mówią o „pół-Hawajczykach” albo stosują rozmaite warianty *haole*, ponieważ niewielu jest Hawajczyków czystej krwi. Są chłopci, arystokraci i rodzina królewska. Chociaż monarchia upadła dawno temu, to członkowie rodziny królewskiej, bywa że *hapahaole*, nadal należą do najbogatszych mieszkańców Hawajów.

Zważywszy na mnogość podziałów społecznych, można by oczekiwać tarć, ale w Honolulu nie występują konflikty trapiące zwykle społeczeństwa rozwarstwione. Nawet popularny w niektórych publicznych szkołach średnich w Honolulu zwyczaj zwany złowrogo Kill Haole Day (Dzień Zabijania Białych) okazuje się raczej makabrycznym (i niegroźnym) żartem niż autentycznym prześladowaniem i dręczeniem białych uczniów. Ze względu na harmonijne współżycie wielu ras – zakłócanie już tylko przez naprawdę wątle pomruki pamięci rasowej – i ze względu na to, że małżeństwa mieszane są normą i mają zdumiewająco śliczne potomstwo, mieszkańcy Honolulu tworzą bodaj najzdrowsze społeczeństwo wielorasowe na świecie. W każdym razie ja nie spotkałem zdrowszego. Jedną z oznak zdrowia społecznego polega na tym, że miejscowi odnoszą się raczej z politowaniem niż z zawiścią czy złością do elitarnych klubów – takich jak Outrigger Canoe Club i The Pacific Club – które do niedawna nie przyjmowały Azjatów, a także do banków, które stosowały kryteria rasowe przy udzielaniu kredytów.

O dziwo, w mieście tak wielu ras prawie że nie opowiada się rasistowskich dowcipów. Nieliczne, które słyszałem, wydały mi się raczej absurdalne. Żaden nie dotyczył Azjatów ani Hawajczyków, ani nawet imigrantów z wysp Pacyfiku. Ofiarą rasistowskich żartów prawie zawsze są Portugalczycy lub Filipińczycy.

Pytanie: Po czym poznać, że Portugalka ma okres?

Odpowiedź: Po tym, że nosi jedną skarpetkę.

Praktycznie wszystkie dowcipy na temat Filipińczyków dotyczą tego, że jedzą oni psy.

Pytanie: Co mówi Flip, kiedy pierwszy raz częstują go amerykańskim hot dogiem?

Odpowiedź: E, nie, dzięki, akurat tej części psa się u nas nie jada.

Istnieje slang, w pewnej mierze oparty na hawajskim pidżynie, którego zasadą jest niewybredny dowcip dotyczący wyłącznie jedzenia, picia piwa, bycia grubym, leniwym i tępym, surfowania, puszczenia muzyki na pełny regulator, wyszydzenia turystów i posiadania bryki z napędem na cztery koła. To żargon lokalny i zasadniczo niemożliwy do przełożenia. Osobliwy język służący nie tyle do porozumiewania się czy żartowania, ile do przekomarzania się i wyśmiewania, którego używają wyłącznie *moke*. Podobnie jak angielscy

cockneye, których zarówno temperamentem, jak i ową gwarą bardzo przypominają, *moke* zajmują najniższy szczebel w hierarchii społecznej, ale ich pozycja jest tak ugruntowana, że się nią chlubią. Oprócz Hawajczyków należą do nich przybysze z wysp Pacyfiku, a nawet wszelkiej maści mieszkańcy, ale wszyscy są smagli, puciołowaci i cieszą się dwuznaczną opinią ludzi miłych i śmiertelnie niebezpiecznych. *Moke* tworzą swego rodzaju braterstwo i zwracają się do siebie per *brah* (bracie). Są autoironiczni, paradują wyzywająco w czapkach baseballowych i T-shirtach, wszędzie ich pełno na plaży, mogą sprawiać wrażenie wesołych grubasów, ale każdemu, kto okaże im lekceważenie albo tylko weźmie ich na oko, wkrótce zrzędzie mina.

Jeżeli *moke* w ogóle chcą pracować, to zatrudniają się jako mechanicy lub robotnicy fizyczni. W Honolulu obowiązuje prawidłowość, że praca o określonym charakterze zostaje zmonopolizowana przez przedstawicieli jednej grupy etnicznej. Tongijczycy przycinają drzewa i są ogrodnikami, chociaż urządzaniem ogrodów zajmują się Filipińczycy, którzy również specjalizują się w pracach polowych i stanowią na przykład lwią część zbieraczy ananasów. Dawniej rolnictwem zajmowali się Japończycy mieszkający na wsi. Samończycy myją samochody. Profesje medyczne i prawnicze zmonopolizowali Chińczycy i Japończycy. Pośrednictwo w handlu nieruchomościami to specjalność *haole*. Natomiast różnice klasowe – inaczej niż te zawodowe – nie zależą od względów etnicznych, mają charakter czysto ekonomiczny, a w Honolulu wiążą się ściśle z miejscem zamieszkania.

– Zmieniamy profil produkcji – mówił mi ktoś na przyjęciu, tłumacząc, czemu interes kiepsko się kręci. – Ograniczamy segment modeli z górnej półki.

Odniosłem wrażenie, że w Honolulu ludzie rozmawiają niemal wyłącznie o interesach. O interesach albo o golfie. Wstają skoro świt, ale jakkolwiek wcześniej by wstali, to i tak nie unikną tłoku na autostradzie, na której jest gęsto i o szóstej rano. Pracują ciężko, nawet harują, a po pracy chowają się w domach. W Honolulu bardzo cenią sobie prywatność.

Każda klasa społeczna ma swój rewir, poczynając od Kalihi w samym Honolulu i Makaha w Waianae, które są siedliskiem osób o niskich dochodach, przez sielskie Manoa i Nu‘uanu, gdzie mieszka klasa średnia, po Waiālae-Kahala, kapiącą od zbytku dzielnicę bogaczy. Wszystkie plaże

hawajskie są publiczne, ale każda klasa społeczna raczej trzyma się swojego kawałka wybrzeża. Niektóre z najpiękniejszych plaż na O'ahu znajdują się w rejonie Waianae, ale mieszkańcy innych okolic ich unikają ze względu na silny instynkt terytorialny miejscowych. Nie mają tam czego szukać *haole*, bo na pewno staną się obiektem żartów i zaczepek, a może nawet napaści. Każda klasa społeczna kultywuje również sobie właściwe sporty, poczynając od surfingu, a na golfie kończąc, i schodzi na sobie właściwie manowce. Biedni zażywają „lód”, czyli krystaliczną metaamfetaminę (*pohaku* w gwarze *moke*), młodzi z klasy średniej palą haszysz (*pakalolo*, „fajkę szajby”), bogaci wciągają kokainę. Ale w ogóle nie ma cracku i nie odniosłem wrażenia, jakoby istniał problem narkomanii. Hazard jest nielegalny i oczywiście kwitnie w podziemiu, a jego formy również mają konotacje klasowe. Chińczycy grają w karty, Filipińczycy chodzą na walki kogutów, Japończycy lubią grać w kości, bogaci jeżdżą do Las Vegas i tak dalej.

Ekskluzywizm jest też znamię wojskowych, których dziesiątki tysięcy stacjonują w koszarach i w kwaterach małżeńskich w Honolulu i okolicach. Ze względu na podgolone głowy potocznie nazywają ich *jarheads*. Wojskowi tworzą w istocie odrębną klasę społeczną i trzymają się w swoim gronie. Nie chcą kłopotów. Wiedzą, że mają szczęście, stacjonując na Hawajach. Kąpią się na swoich plażach, zaopatrują w konsumach, chodzą do swoich kościołów i posyłają dzieci do swoich szkół. W odróżnieniu od innych miast garnizonowych w Honolulu rzadko zdarzają się bójki wojskowych z miejscowymi. Wojsko zwraca na siebie uwagę tylko wtedy, gdy żołnierz dopuści się poważnego przestępstwa, czynu takiego jak gwałt albo napad z użyciem noża lub broni palnej. Typowe wykroczenie polega na tym, że jakiś młody i głupi rekrut z Schofield Barracks albo Fort Shafter pozwoli sobie na zbyt wiele w stosunku do miejscowej kobiety.

Przestępstwa związane z użyciem przemocy zawsze sumiennie relacjonuje miejscowa prasa, ponieważ w tym nadal bardzo humanitarnym i łagodnym społeczeństwie takie czyny budzą wielkie oburzenie. Na Hawajach obowiązuje zakaz posiadania broni krótkiej. Nieliczni mają strzelby. Nie wymierza się kary śmierci. Zasadniczo orientalne pochodzenie ludności sprawia, że nie jest to społeczeństwo skore do zwady. Nawet na szosach mało

kto trąbi, a każdy, kto nadużywa klaksonu, zostaje natychmiast rozpoznany jako nieznaną miejscowych zwyczajów przybysz albo turysta. Kierowcy są uprzejmi. To społeczeństwo zasadniczo chrześcijańskie, ale nieskore do pieniactwa. Rachunki wyrównuje się cierpliwie, nawet po wielu latach. Porzekadło głoszące, że zemsta jest daniem, które najlepiej smakuje na zimno, mogłoby być dewizą Honolulu. Chińczycy, którzy nie mieli wstępu do Outrigger Canoe Club, założyli w Waialae klub golfowy i dzisiaj to *haole* muszą długo czekać na przyjęcie do tego ekskluzywnego towarzystwa.

Poważne morderstwo lub samobójstwo to w Honolulu rzecz bardzo rzadka, a kiedy się wydarza, jest przyjmowana ze zrozumieniem. „Cóż, miał straszne długie karciane”, wzdychają ludzie. „Tak, zaplątała się w naprawdę brzydki skandal”, mówią. Hawaje to przecież wyspy. Ludzie się znają i nic nie idzie w niepamięć. Ktoś potraktuje nas dzisiaj niegrzecznie, a jutro spotkamy go na partii golfa. W społeczności wyspiarzy nie potrzeba prasy, pism satyrycznych ani dziennikarzy śledczych, bo wystarczy plotka, a w Honolulu pogłoska szerzy się z prędkością światła.

Miejscowa klasa średnia przestrzega prawa, chodzi do kościoła i jest raczej świętoszkowata. W gruncie rzeczy kultywuje wszystkie cnoty bigotów prócz rasizmu. Rodzina czysta pod względem rasowym lub etnicznym jest wyjątkiem, a nie regułą. Tak czy inaczej burżuazja w Honolulu nie jest klasą określoną rasowo lub etnicznie, lecz czysto ekonomicznie, a jej przedstawiciele bez względu na pochodzenie wyznają chrześcijaństwo i mają aspiracje podobne do aspiracji przeciętnego Amerykanina. Wielką wartością jest rodzina, a szczególnym mirem darzy się rodzinę wielopokoleniową. W obrębie burżuazji zasiedziali Japończycy uchodzą za kmiotków (ale życzliwych), nowi Japończycy mają opinię sztywniaków (ale cwanych), Chińczyków uważa się za pazernych (ale niezależnych), Koreańczycy uchodzą za twardzieli (i okrutników), Hawajczycy mają opinię ludzi leniwych (ale łagodnych), Filipińczyków uważa się za wyrachowanych (ale i pracowitych), Portugalczykom przypisuje się wrażliwość (ale i skłonność do bufonady). Co najważniejsze, w Honolulu rasa w ogóle nie świadczy o klasie.

Najprostszą i najpewniejszą oznaką pozycji społecznej jest szkoła średnia, ponieważ do niedawna na tym poziomie kończyła się edukacja.

– Żeby wiedzieć, z kim mamy do czynienia, pytamy, do której szkoły chodził – powiedziała mi pewna mieszkanka miasta.

Zauważyłem, że rzeczywiście o to pytają przy zawieraniu znajomości.

– Uczelnia nie ma znaczenia – ciągnęła tamta kobieta. – Kiedy wiemy, do którego liceum ktoś chodził, wiemy o nim wszystko. Gdzie mieszka. Ile zarabia. Jakie ma poglądy polityczne. Znamy jego światopogląd i aspiracje. Jeżeli chodził do Farrington, jest *moke*. Jeżeli chodził do Saint Louis, jest zamożnym katolikiem. Jeżeli chodził do Radford, najprawdopodobniej jest wojskowym lub nowym *haole*. Jeżeli chodził do Roosevelta, to należy do klasy średniej. Na samym szczycie stoi Punahou.

Absolwenci Punahou to hawajscy ludzie sukcesu. Ta założona w 1841 roku placówka była podówczas pierwszą szkołą średnią utworzoną na zachód od Missisipi i do dzisiaj słynie z wysokiego poziomu nauczania. Kształci elity hawajskie, chociaż wypuszcza też rzeszę nieznośnych pyszałków, którzy po kres swoich dni rozpamiętują chętnie lata szkolne. Podobnie jak wiele innych instytucji w Honolulu Punahou była dziełem misjonarzy protestanckich. Nad Honolulu unosi się duch starych europejskich tradycji, a Punahou – przez złoto-niebieskie godło, przez swój trybalizm i przez konserwowanie absurdalnych zwyczajów – wydało mi się jego koronnym ucieleśnieniem.

Mam na myśli niczym nienadwątloną nowoangielską anglofilię. Jankescy misjonarze odcisnęli głębokie piętno na Hawajach, wpłynęli na strukturę klasową, na kulturę, nawet na architekturę białych, drewnianych, krytych gontem domów. Na Hawajach, a zwłaszcza w Honolulu anglofilia graniczy niekiedy z anglomanią. Umieszczona w rogu hawajskiej flagi flaga brytyjska jest tego omenem i chwilami można odnieść wrażenie, iż Hawaje to nie pięćdziesiąty stan USA, lecz niegdysiejsze wyspy Sandwich. Nie sposób zaprzeczyć, że klasa wyższa – stare rody, republikanie, głównie *haole* – sprzeciwiała się inkorporacji do Stanów, którą uważała za swego rodzaju wejście na równię pochyłą. Ale też wszyscy inni przyznają, że właśnie inkorporacja przyniosła na Hawaje równość ras.

Hawajskie sfery wyższe – z ich przyjęciami w ogrodzie, snobizmami, pretensjami kulturalnymi – nadal kultywują głęboką anglofilię i uważają inkorporację do Stanów Zjednoczonych za zło. Wydawałoby się więc, że

każdy nowy *haole* będzie mile widziany, ale bynajmniej nie jest to takie proste. Słowo *haole* – dosłownie tyle co „innego oddechu” czy „innego powietrza” – ma tak wiele ambiwalentnych konotacji, że oznacza właściwie istotę tajemniczą i nieznaną, o której wiadomo jedynie, że „nie jest jednym z nas”. Prawie zawsze kiedy słyszałem to słowo, odruchowo wyobrażałem sobie jego transkrypcję fonetyczną, czyli *howlie*, co można zrozumieć jako „wrzeszczący zrzęda”.

Honolulu to również turyści, nawet jeżeli przyjeżdżają na krótko i oprócz pracowników przemysłu turystycznego prawie nikt ich nie zauważa.

Rocznie Hawaje odwiedza sześć milionów turystów, a średni okres pobytu wynosi osiem i pół dnia. Dwa miliony to Japończycy, z których wielu wykupuje pakiet dla nowożeńców – pokój, biała limuzyna, msza ekumeniczna, szampan – za dziesięć tysięcy dolarów od głowy. Od czasu do czasu zdarza się, że świeżej daty małżonka kończy ze sobą, rzucając się z wysokiego okna luksusowego hotelu.

– Ach, te aranżowane małżeństwa! – wzdychają miejscowi, podczas gdy kapłan sintoistyczny śpieszy na górę, żeby za pomocą modlitewnych formuł, śpiewów i kadzidła wypędzić z pokoju złe duchy. Wkrótce wprowadzają się następni goście. Turystyka jest główną gałęzią przemysłu i filarem gospodarki całego stanu. Niemniej turyści, nawet bezwiednie, również przejawiają terytorializm. Trzymają się Waikīkī. Nie licząc wycieczki na plantację ananasów i na ucztę *luau*, przebywają właściwie tylko w hotelu i na plaży. Nie sprawiają kłopotów, miejscowi obdarzają ich uśmiechem, oszczędzają im złośliwości, a prawdę mówiąc, właściwie o nich nie wspominają, wyjąwszy tych, którzy zarabiają na usługiwaniu im. Wiadomo, że turyści przynieśli dobrobyt na Hawaje. Mieszkaniec Honolulu, który nie odwiedza Waikīkī, może w ogóle sobie nie uzmysławiać obecności turystów. Turyści w żaden sposób nie włączają się w prawdziwe życie Honolulu, które właściwie nie jest wielkim miastem, lecz aglomeracją miast i miasteczek. Szeroko otwarte wrota Polinezji, oceaniczna perła Ameryki, rytmiczny plusk fal rozlewających się na plaży, melodia *Lovely Hula Hands* [Piękne ręce tancerki hula], a w głębi lądu jednostajny szum samochodów i wieczyste zawodzenie podkaszarek.

Ale Honolulu turystów i prawdziwe Honolulu nie tylko współistnieją, lecz umożliwiają się nawzajem – bywa że w przedziwne sposoby.

Pewnego wieczoru poszedłem na program *Don Ho & Friends Polynesian Extravaganza* w Hilton Hawaiian Village. Mnóstwo girland *lei*, *muumuu*, koktajli owocowych, białych butów i opalonych nosów. Pojawia się Don i znudzonym, gardłowym głosem śpiewa *Tiny Bubbles (in da wine)* [Bąbelecзки (w winie)].

Dostaje owację.

Przechadza się, powłócząc nogami, i zirytowany mówi:

– Mam dość tej piosenki. Boże, jak ja jej nienawidzę. Śpiewam ją co wieczór!

No i śpiewa na bis.

Don Ho jest gwoździem programu od dwudziestu lat. Ale nawet jego grubiańskie wyskoki nie osłabiły zachwyty publiczności. Występowali tancerze, rozbrzmiewały inne hawajskie piosenki, między innymi *Pearly Shells (in da ocean)* [Perłowe muszle (w oceanie)], *The Hawaiian Wedding Song* [Hawajska piosenka weselna] w wykonaniu dziewczyny, która ubarwiała występ gestami z języka migowego, a potem młody miejscowy śpiewak dołączył do Dona w *I'll Remember You (long after dis endless summer is gone)* [Nie zapomnę cię (kiedy to długie lato dawno się skończy)].

Tydzień później poszedłem na udany spektakl *Aidy*, którą z udziałem zagranicznych gwiazd, sopranu i tenora, wystawiła Opera Hawajska. Partię barytona śpiewał Les Cabales, właśnie ów młodzieniec, którego przedtem widziałem w zespole Don Ho & Friends. Większość miejsc na widowni zajmowali nabywcy abonamentu, więc turyści nie mogli wiedzieć, że ten znany im szansonista w tandetnej koszuli dorabia na boku jako dostojny Amonasro w operze Verdiego.

**W końcu** rozpakowałem kajak i wypłynąłem w morze z Kailui na nawietrznej stronie O'ahu. Kailua to położone po drugiej stronie wulkanicznych wzgórz za Honolulu słynne osiedle klasy średniej i wojskowych, głównie *haole*. Urokliwe, sielskie miasteczko parterowych domów, pełne wałęsających się



i jeżdżących na rowerach dzieci amerykańskich żołnierzy. Mają tam jedną z najpiękniejszych plaż na Hawajach, do tego kilka malowniczych wysepek niedaleko od brzegu, a i tak to tylko część długiego pasa cudownego wybrzeża, które obejmuje trzy zatoki i rozciąga się pomiędzy dwoma wspaniałymi cyplami. Nawet gdy wieje mocny pasat, przybój jest niegroźny dla małej łodzi i spokojnie przepłynąłem z Kailui wzdłuż plaży Lanikai na Mokulua, czyli Dwie Wyspy.

To dwa skaliste szczyty wypiętrzone w lagunie na koralowej półce w pobliżu rafy. Kiedy znalazłem się kilkaset metrów od brzegu, natknąłem się na zagrożonego wymarciem żółwia zielonego, który oczywiście był brązowy. Nazwę „żółw zielony” – ze względu na osobliwą, właśnie zieloną barwę tłuszczu tych zwierząt – ukuto w czasach, gdy zabijano te żółwie na mięso. Od nawietrznej Mokulua omywał wysoki przybój, ale po zawietrznej o wiele niższe fale rozlewały się łagodnie na małej plaży.

Pierwszy raz w trakcie podróży po Oceanii widziałem innych kajakarzy. Sunęli po wodach laguny za Mokulua, zjeżdżali z grzbietów wysokich fal pomiędzy wysepkami, przedzierali się przez spienione morze w pobliżu rafy. Nigdy nie czułem się bezpieczniej.

Poczekąłem na odstęp między falami i wylądowałem na małej plaży na północnej wysepce. Ustawione na skraju piasku tablice informowały, że wyspa jest rezerwatem ptaków morskich, gniazdujących na ziemi burzyków, i nie wolno wchodzić na zbocze góry. Chodziło o to, że cały stok był gęsto usiany wygrzebanymi w ziemi gniazdami burzyków. Na tak malutkiej wysepce ludzie musieli przeszkadzać ptakom. Zastałem tam kilkoro wycieczkowiczów, jednego kajakarza i sześć osób, które przypląnęły motorówką. Co pewien czas w powietrze wzbijał się wystraszony burzyk i pokrzykując „ke-kak”, w popłochu odlatywał.

Ta wysepka zdała mi się miniaturą Hawajów. Urocza i zielona, ale odwiedzana przez tylu ludzi, że już zagrożona, a może nawet skazana na zagładę. Do niedawna sytuacja nie wyglądała źle, ale potem zaczęło się weekendowe szaleństwo. Na Mokulua popłynąłem w sumie sześć razy i zauważyłem, że w dni powszednie panował spokój, ptaki siedziały w gniazdach, natomiast w soboty i niedziele gdzieś przepadały. Widziałem

śmieci i resztki ognisk, chociaż zarówno śmiecenie, jak i palenie ognia jest *expressis verbis* zakazane. Obowiązuje też zakaz biwakowania. Ale te wysepki są tak piękne – zupełnie jak O‘ahu, można by rzec – że ludzie nie potrafią się powstrzymać przed naruszaniem tych zakazów.

„Mieszkańcy Lanikai opowiadają, że nieraz zdarza się, iż ludzie nocują tam w namiotach – czytałem w »Honolulu Advertiser« – łamią zakaz wstępu na tereny lęgowe ptactwa i wspinają się na sam szczyt wzgórza”.

„Najpoważniejszą ingerencją [...] były dwa koncerty rockowe [...] urządzone na maleńkiej plaży”, informowano dalej w tym artykule i opisywano brewerie popijających piwo i podrygujących w rytm ogłuszającej muzyki fanów rocka stłoczonych na skrawku łądu. Na terenie rezerwatu obowiązują surowe przepisy, ale hawajski departament środowiska i bogactw naturalnych nie jest w stanie ich egzekwować. Odniosłem więc przykre wrażenie, iż Mokulua są skazane na zagładę, że ptaki wymrą lub pierzchną, na plaży tłoczyć się będą wycieczkowe łodzie, wzgórze zamieni się w wielki kemping i wszystko utonie w jazgocie muzyki rockowej.

– W rajy też jest dwadzieścia pięć stopni – bez cienia ironii mawiają dyskdzokeje w Honolulu.

**Nieraz** odnosiłem wrażenie, iż Hawaje naprawdę są rajem, ale bałem się, że mówienie tego głośno i obracanie w slogan reklamowy jest kuszeniem losu. To najpiękniejsze, ale i najbardziej zagrożone wyspy na Pacyfiku. Ich wulkaniczne góry są tak malownicze jak góry Tahiti, zatoki równie urocze jak zatoki Vava‘u, a urwiska Moloka‘i i Kaua‘i tak samo pełne dramatyzmu jak czarne klify Markizów. Klimat jest wprost doskonały, a do tego Hawaje są wysoko rozwinięte. Mają wspaniałe szpitale, szkoły, sklepy, usługi, służby społeczne. Nowoczesność ma jednak swoją cenę. Plaże ulegają erozji. Narasta zanieczyszczenie środowiska. Nabrzmiewa problem niedostatku i skażenia wody. Liczba pojazdów mechanicznych dawno przekroczyła granice rozsądku. O‘ahu jest zbyt gęsto zabudowana i tak droga, że młodzi uciekają, bo nie wyobrażają sobie, że kiedykolwiek będzie ich stać choćby na skromne mieszkanie. Na Maui powstało zbyt wiele hoteli i nie brak opinii, że

praktycznie zniszczono tę wyspę. Nieduża Lāna‘i traci tradycyjny przemysł uprawy i przetwórstwa ananasów. Ni‘ihau według zielonych jest już katastrofą ekologiczną. Hawai‘i nie radzi sobie z kwestią rozwoju. Na Kaua‘i zawitała nadzieja w osobie mądrego burmistrza, który obiecał ograniczyć budowę hoteli i na pierwszym miejscu stawiać interes rodzimych mieszkańców wyspy.

Hawaje to najbardziej samotne, bo leżące najdalej od stałego lądu wyspy świata, i owo osamotnienie sprawia, że są wyjątkowe pod względem przyrodniczym. Jedynym rodzimym ssakiem lądowym jest mały nietoperz, a ssakiem wodnym – foka mniszka. Obydwa gatunki przetrwały, ale są krytycznie zagrożone. Swoiste ptaki i rośliny, które nie występowały nigdzie indziej, nie miały tyle szczęścia. Wpływ człowieka okazał się prawdziwie katastrofalny. Właśnie ludzie sprawili, że Hawaje utraciły więcej rodzimych gatunków ptaków i roślin niż którakolwiek inna kraina na świecie.

„Tragedia wysp oceanicznych i na tym jeszcze polega, że gatunki wytworzone tam w ciągu powolnych, wielowiekowych procesów są na świecie jedyne i nie dadzą się zastąpić”, pisała trzydzieści lat temu Rachel Carson w *Morzu wokół nas*. „W świecie ludzi rozsądnych traktowano by te wyspy jako cenne posiadłości, stanowiące naturalne muzea pełne przepięknych i zadziwiających dzieł twórczych, bezcennych, bo jedyne”<sup>[71]</sup>.

Nawet gdy jesteśmy świadomi skali zagrożeń, trudno chronić tak kruche ekosystemy, a z pewnością nikt nie przewidział zniszczeń, które spowodował człowiek. W przypadku niektórych mniejszych wysp hawajskich sądny dzień nadszedł stosunkowo dawno temu. Na przykład Lāna‘i i Ni‘ihau nawet fizycznie zmieniły się nie do poznania, wydane na pastwę zbyt wielu ludzi i obcych zwierząt, wyjałowione przez uprawy, ogołoczone przez zwierzęta hodowlane. Leżąca niedaleko Maui, niegdyś piękna, niezamieszкана wyspa Kaho‘olawe, którą Hawajczycy uważają za miejsce święte, przez pięćdziesiąt lat służyła wojskom amerykańskim jako poligon artyleryjski i bombowy. Aczkolwiek zaprzestano już bombardowań, na wyspę nie ma wstępu z powodu niesamowitej liczby niewypałów. Zdegradowana jest również należąca do łańcucha hawajskiego wyspa Johnston, która służy jako skład toksycznych odpadów, a po części jest radioaktywnie skażona wskutek wypadku z głowicą jądrową.

Większość przyjezdnych udaje się do Waikīkī. Według oficjalnych danych policji co dziesiąty z nich pada ofiarą przestępstwa. Na ulicach w Waikīkī roi się od prostytutek i alfonsów. W samym sercu dzielnicy i na środku plaży stoi najbrzydsza i najbardziej niedorzeczna amerykańska baza wojskowa – Fort DeRussy – szkaradzieństwo, którego departament obrony nie chce usunąć. Większość piasku na plaży przywieziono skądinąd. Na wschodnim krańcu plaży, w pobliżu zoo, występuje poważne skażenie biologiczne, ponieważ w zoo odchody małp odprowadza się prosto do morza.

W Honolulu mieszka trzech amerykańskich miliarderów i wielu milionerów, ale nawet najbogatsi muszą się zmagać z plagami szczurów i karaluchów. Żaden dom nie jest wolny od tych stworzeń. Szczury są wszędzie, słyszy się ich piski na ulicach, widuje, jak zwinnie łążą po drzewach. Trzeba przywyknąć do tego, że raz na miesiąc zjawia się ekipa szczurołapów, żeby rozłożyć trutkę i zebrać martwe szczury. Walka ze szkodnikami to jedna z najdynamiczniej rozwijających się branż w Honolulu, a z powodu przewrażliwienia wielu mieszkańców obejmuje również eksterminację niepożądanych ptaków i pszczół.

Turyści niekiedy odnoszą wrażenie, że w Honolulu działa słynny Christo, i podekscytowani pokazują duży budynek, kościół lub nawet wieżowiec całkowicie spowity w niebieski, wydymający się na wietrze namiot. Te opatulone w wielkie delikatne zawoje budowle stanowią zaiste niezwykły widok. Ale nie zostały opakowane przez słynnego Christo, lecz przez specjalistów od zwalczania szkodników, którzy w ostateczności spowijają budowlę w taką osłonę, po czym za pomocą fumatorów wytwarzają wewnątrz trujący dym, który zabija wszystko, co żyje.

Takie samo przewrażliwienie cechuje postawę władz miasta wobec lokali ze striptizem i prostytutek. W wydziale narkotyków i nierządu miejscowej policji utworzono oddział ochrony moralności publicznej. Zasadniczo jest to grupa nieumundurowanych funkcjonariuszy, którzy pracują w nocy na ulicach chińskiego miasteczka i dzielnicy Waikīkī. Policjanci liczą na to, że zaczepi ich dziwka, policjantki zaś na to, że dostaną propozycję od amatora seksu za pieniądze. Prawo nie zabrania nagabywania, a zgodnie z nowymi przepisami

dotyczącymi nierządu nikogo nie można aresztować, póki nie dojdzie do transakcji, z tym że do paki trafia zarówno dziwka, jak i klient.

Wszystko to wydawało mi się bardzo srogie, aż pewnej nocy poszedłem do Waikīkī, żeby zbadać sprawę bezpośrednio. Od czasu spaceru po Kings Cross w Sydney, gdzie widziałem prostytutki zaczepiające nachalnie kierowców przejeżdżających samochodów, i od czasu owej nocy na Trobriandach, gdy z ciemności dobiegło mnie pytanie: „Mistah Boll, pan chce dziewczyna?” – dopiero wtedy następny raz zetknąłem się z nierządem w Oceanii. Wczesnym wieczorem na Kuhio Avenue panował ożywiony ruch, ale bliżej północy po ulicy krążyli już tylko w mniej więcej równej sile turyści, prostytutki i policjanci, każdy w odpowiednim dla siebie stroju, a więc bądź to w hawajskiej koszuli, bądź w obcisłej spódniczce i na wysokich obcasach, bądź w granatowym garniturze. Tam i sam wzdłuż alei konferowały trzysobowe grupki złożone z przedstawicieli wszystkich tych kategorii.

Nawet w dłuższych i mniej obcisłych spódniczkach prostytutki rzucałyby się w oczy. Uwagę przykuwa sama czujność tych istot, spojrzenia rzucające mężczyznom, wystudiowany sposób chodzenia.

– Chodzą tak, jak gdyby donikąd się nie wybierały – rzekł Bill. – Tak to opisał porucznik Lum.

Umówiłem się z Billem w Waikīkī. Pisał dla miesięcznika „Honolulu” artykuł na temat prostytucji i rozmawiał z dziewczyną aresztowaną za nagabywanie mężczyzn w celach nierządu. Poszedł na jej rozprawę. Skazane pierwszy raz płacą grzywnę w wysokości stu dolarów, a w przypadku recydywy grzywna wzrasta do pięciuset dolarów. Bill opowiadał o starszej kobiecie będącej pastorem baptystycznym, która miała ksywkę Pani Gumka, ponieważ za swoje posłannictwo życiowe uważała rozdawanie prezerwatyw ulicznicom. Pani Gumka dobrze znała wielu funkcjonariuszy oddziału ochrony moralności publicznej.

Przyglądaliśmy się prostytutkom, które zazwyczaj paradowały parami, stąpając i rozglądając się czujnie niczym czaple. Nas jednak w ogóle nie zauważały, traktowały jak powietrze, a od czasu do czasu prężyły się i strzelały spojrzeniem ku mężczyznom za naszymi plecami. No tak, Japończycy. Na ulicy Koa, gdzie krążyło wiele dziewczyn, dwie panienki

wyminęły nas jak irytującą przeszkodę i dopadły dwóch Japończyków. Ktoś bardziej drażliwy na punkcie męskiej dumy poczułby się boleśnie dotknięty, że te niewiasty najwyraźniej skreślają go na rzecz rozlazłych młokosów w workowatych szortach i rozciągniętych koszulkach.

Nieco później Bill zagaił dziewczynę w króciutkiej oranżowej spódnicy, ale nie pogadali. Po kilku słowach dziewczyna odeszła pośpiesznie.

– Powiedziałem, że jestem z miesięcznika „Honolulu”, i od razu się zawinęła.

– Nie sądzę, żeby te panienki chciały trafić na łamy prasy.

– Legitymacja prasowa otwiera wiele drzwi.

– Ale nie drzwi burdelu.

– Rzeczywiście.

Mijając mnie, chuda dziewczyna w obcisłej sukience rzuciła:

– Umówimy się?

– Ile?

– Sto dolarów.

– Nie jestem Japończykiem, kochanie.

Dziewczyna roześmiała się tak słodko, że nagle pojąłem, jak jest młodziutka. Z pewnością miała nie więcej niż szesnaście lat.

– Gdyby był pan Japończykiem, policzyłabym dwieście!

– Powiedzmy, że dam pani sto dolarów, i co dalej?

– Pójdziemy do mojego hotelu. To Holiday Surf, niedaleko. A potem będzie pan w niebie...

Ale już wiedziała, że tylko się z nią drocę, więc szybciotko odeszła. Tak, „sprzedawanie się na ulicy” to chyba najtrafniejsze określenie tego zajęcia.

– Tamta ma pager – powiedział Bill. – Mogą jej dać znać z hotelu, że któryś z gości potrzebuje towarzystwa. Również alfonsi mają pagery.

Oni też rzucali się w oczy. Poznawało się ich na pierwszy rzut oka, ale nie tyle po pagerze, ile po modnych ciuchach i skórzanej saszetce, w której – ma się rozumieć – mieli gruby plik banknotów. Zwykle byli to czarni młodzieńcy, przechadzający się z kogucią i mającą zapewne wzbudzać strach zadzierzystością.

– Jak zaczynałem, chciałem napisać krzepiący amerykański kawałek o wolnej inicjatywie – opowiadał Bill. – Ale to ponura historia. Te chłopaki łowią dziewczyny w Kanadzie czy gdziekolwiek indziej i udają zakochanych. Taka dziewczyna zwykle uciekła z domu. W dzieciństwie była wykorzystywana seksualnie. Alfons mówi, że ją kocha, zabiera do Honolulu i po tygodniu wysyła na ulicę. Nie ma w tym nic prócz przemocy, wyzysku, plugastwa i rozczarowania. Strasznie mnie to przygnębia.

W Honolulu nie ma prawdziwych gangsterów, więc hazardem i prostytutką może zająć się każdy. Wprawdzie japońska jakuzza zapuszcza macki, ale nie interesuje się drobiazgami, lecz próbuje usadowić na rynku nieruchomości i kontraktów budowlanych. To sprawia, że sutenerstwo jest działalnością niezorganizowaną, a nawet trąci amatorszczyzną. Alfonsi – skądinąd jak wszyscy *olopop* w Honolulu – wyglądają na zwykłych obiboków i szpanerów, którym najwyraźniej imponuje rola spryciarza lawirującego między dwiema dziewczynami pozostającymi akurat pod jego opieką.

Stojąca przed rozświetlonym wejściem błąda dziewczyna wręczyła nam ulotkę reklamującą po angielsku i japońsku „najseksowniejsze panienki w mieście” i zaprosiła nas na górę.

– Co proponujecie? – zapytał Bill.

– Nagie dziewczęta, które lubią się napić i zabawić.

– Usiądą z nami? – dociekał Bill. Na użytek artykułu próbował poznać ofertę rynku usług seksualnych. Co te panienki zrobią? Jak daleko się posuną? Ile to kosztuje?

Stojąca przy wejściu dziewczyna robiła się coraz bardziej zła.

– Coś ci poradzę, kolego – rzekła w końcu. – Chcesz podymać?

Bill uśmiechał się pod nieprzystrzyżoną, kosmatą brodą.

– Wejdz w dupę cioci i grzecznie czekaj – powiedziała dziewczyna, odwracając się do niego plecami. – Może ci da.

– Co tam piszesz? – zapytał Bill, chociaż dobrze wiedział. – Nie puszczaj mi tego. Nie mogę umieścić tego w moim tekście. Dranie.

– Więc ja to umieszczę w swoim – powiedziałem.

Poszliśmy do chińskiej dzielnicy, kawałek za centrum. Świat zakazanych uciech, który w Waikīkī trąci amatorszczyzną i wydaje się tylko zasmucający,

w dzielnicy chińskiej jawi się jako obrzydliwy i niebezpieczny.

– Tam jest w miarę spokojny bar – zawołała do nas prostytutka, wskazując jedno z wejść. Od razu odgadła, że nie znajdzie w nas klientów. – Reszta to straszne mordownie.

Nie było samochodów. Ulicami ciągnęli nędznie ubrani, burkliwi mężczyźni i rozdrażnione kobiety. Uśmiechali się jedynie *mahu*, transwestyci, którzy uważają ulice Hotel i Maunakea w chińskiej dzielnicy za swoje środowisko naturalne. Paradowali ulicami, nie zmierzając donikąd, czekając, aż ktoś podjedzie i na nich skinie, a są może politykami albo potentatami, którzy w nocy folgują swej drugiej naturze. Z chińską dzielnicą Honolulu wiąże się niejedna skandaliczna historia, jak choćby opowiedziana przez Maughama historia Sadie Thompson, która właśnie tam zaczynała karierę, zanim trafiła do Samoa.

– Planowałem napisać gorący kawałek – westchnął Bill, wodząc spojrzeniem po zapuszczonych fasadach zabudowań chińskiej dzielnicy. – Może nawet zabawny. Ale nic z tego. W zeszłym tygodniu na tym parkingu pijany żołnierz zadźgał jakąś dziwkę. Wszystko to tylko strasznie smutne.

Innej nocy, nadal ciekaw Honolulu, włóczyłem się po rozmaitych klubach i wspominałem to, co Bill mówił o nocnym życiu. Człowiek chce się rozerwać, rusza w miasto, a po wszystkim ma tylko kaca i depresję.

Są kluby japońskie, bardzo szacowne, gdzie każdy klient ma za barem chivas regal ze swoim nazwiskiem na etykietce, bo tak to się robi w Japonii. W takich klubach, które są po prostu zwykłymi knajpami o przyćmionych światłach, schludnie ubrane Japonczki przysiadają się do rubasnych Japońców, usługują im, uśmiechając się mile, a gdy faceci mają już nieźle w czubie, pozwalają się obściskiwać. W sumie wszystko to oziębłe, pozbawione seksu i koszmarnie drogie, ale wielu nowych Japończyków zbija na tym kokosy. Tak samo wygląda to w Tomo, w Mugen i w innych lokalach.

Z wyjątkiem klubu Mirage, gdzie nie widziałem nikogo – może ta nazwa jest zamierzonym żartem – wszędzie indziej zawsze coś się działo. W Cheri naga dziewczyna ćwiczyła na stole przysiady. W Top-Gun trzech wystrojonych Japończyków darło się przed telewizorem do mikrofonu karaoke, w Hachi Hachi to samo robił jeden śmiałek. W Butterfly Lounge młodzi żołnierze



próbowali obłąpywać pulchną tancerkę, w Exotic Nights i w Turtle nagie smagłe dziewczyny wyginały się na małej estradzie przed spoconymi facetami w baseballowych czapkach, których namawiano do kupowania piwa po pięć dolarów za butelkę.

Saigon Passion wabił chytrze zasugerowanym klimatem ostatnich dni wojny wietnamskiej, więc nic dziwnego, że przyciągał żołnierzy z koszar Schofield. Oprócz mnóstwa wojskowych pamiątek i gadżetów mają tam wietnamskie hostessy, ubrane całkiem zwyczajnie w dzinsy i T-shirty. Lokal ten jako jeden z niewielu wydał mi się interesujący, bo przez wystrój, muzykę, twarze zdawał się miejscem, w którym czas się zatrzymał. Przysiadła się do mnie dziewczyna, na oko dwudziestoletnia, Ruby z Sajgonu, która mieszkała z matką w Waipahu. Wypytywałem ją o różne sprawy, odpowiadała coraz bardziej zdawkowo, aż w końcu w ogóle przestała.

– No, co jest? – spytałem.

– Jest pan tajniakiem?

– Nie, skąd, nie jestem gliną.

– Wygląda mi pan na tajniaka.

– Dlaczego tak myślisz?

– Zadaje pan za dużo pytań.

Zaszedłem do Carnation Lounge, do Misty II Lounge, Kita Lounge, Les Girls, Club Rose i Femme Nue. Na przestrzeni trzech przecznic takich lokali działało ze dwadzieścia. Niektórymi kierowały Wietnamki, większością zaś Koreanki i z tej racji w Honolulu tego rodzaju przybytki nazywają „barami koreańskimi”.

W swoim czasie bary te zasłynęły z istic cyrkowych umiejętności striptizerek. W jednym z nich popisywała się niewiasta, która zbierała z podłogi monety, umiejętnie manipulując sromem, w innym furorę robiła kobieta, która wtykała cygaro pomiędzy wargi sromowe, po czym z niego pykała, a oglądający to z bliska mężczyźni widzieli rozżarzający się koniuszek cygara. Ta sztukmistrzyni potrafiła też za pomocą tego samego organu grać na klarncie. W innym barze naga kobieta stawiała za przezroczystą zasłoną prysznicową, a klienci ją obmacywali. Potem powstało wiele innych tego rodzaju „barów dla obmacywaczy”. Przy ulicy Keeaumoku, którą miejscowi

z powodu narodowości właścicieli lokali nazywają Koreamoku, działał bar, w którym pewna zwinna niewiasta wychodziła na scenę, rozstawiała nogi, odchyłała się w tył i z czeluści swego sromu wystrzeliwała jedna po drugiej piłeczki pingpongowe, które wilgotne i ciepłe chwyтали walczący o nie zażarcie zachwyceni mężczyźni.

Tego rodzaju prestidigitatorstwo kwitło w klubie zwanym Stop-Light, ale przybytek przeszedł w inne ręce, zmienił nazwę na Rock-Za i stał się typowy. Ot, głośna muzyka, drogie napitki i nagie dziewczęta. Wykidajło John, ogromny Samoanczyk z Pago Pago, powiedział mi, że to prawdziwa kopalnia złota. Jego zadanie polegało na strzeżeniu dziewcząt przed dotykaniem przez klientów.

– Za pierwszym razem daję ostrzeżenie, za drugim facet wylatuje – wyjaśnił John.

Wątpił jednak w uczciwość striptizerek. Uważał, że dziewczyny zarabiają za dużo i są zepsute. Od czasu do czasu podjeżdżał japoński autobus turystyczny, z którego wysypywało się sześćdziesiąt albo i osiemdziesiąt osób – starsi mężczyźni, stare matrony, małżeństwa, nowożeńcy – i wszyscy tłoczyli się w barze, wypijali po kilka drogich koktajli i oglądali postawne białe kobiety obnażające się blisko na ich oczach.

Wszelkiej maści mężczyźni siedzieli na niskich stołkach, oparci łokciami na czterometrowym stole. Młoda kobieta, pozując raczej niż tańcząc, przybierała różne postawy i kuciała. Przysiadłem na chwilę i obserwowałem wszystko. Domniemane spełnienie marzenia, materializacja bóstwa, które wstało z rozkładówki, okazywało się rechetliwą lekcją ginekologii, w której liczy się tylko bliskość. Ma to w sobie coś komicznego.

Ludzie mówią: „Musisz to zobaczyć”, i wydaje im się, że zobaczymy to samo co oni. Patrzyłem, starałem się uwolnić od uprzedzeń, ale kiedy już przetrawiłem to doświadczenie, doszedłem do wniosków zaskakujących. Owe przybytki podglądactwa są tak zrytualizowane, że zacząłem je postrzegać jako świątynie jakiegoś pogańskiego kultu, w którym kapłanami są kobiety, jak kobiety w starożytnym Babilonie, które oddawały się wszystkim w świątyni bogini Isztar.

Dostrzegałem coś niezaprzeczalnie dziwnego, uroczystego i właśnie religijnego w rozgorączkowaniu mężczyzn zasiadających przy stole czy estradzie i niczym gorliwi ofiarnicy czekających na zbliżenie się kobiety. Ta cierpliwość mężczyzny, ta niezachwiana pewność ruchów kobiety, która podchodzi bliżej i bliżej skraju stołu podobnego do ołtarza, kuca, rozwiera szeroko nogi i ujmuje pomiędzy uda głowę mężczyzny, który gapi się jak urzeczony, jak gdyby objawiono mu niepojętą tajemnicę, którą musi zapamiętać. Rzecz dzieje się publicznie, ale ma charakter prywatny, bo tylko wybraniec widzi wyraźnie. Mężczyzna wpatruje się w rozwarte łono kobiety z taką samą czcią, jaką widzimy nieraz u ofiarników w kościołach. Wybraniec wsuwa dolara lub więcej za podwiązkę na udzie kobiety i ona zostaje przy nim dłużej, a on patrzy, poważny, niemy, bez uśmiechu pogrążony w swej prywatnej wizji. Od takiego zapamiętania jest tylko krok do hinduskiego kultu *lingamu* i *joni* lub czczenia *komari*, których wizerunki rzeźbią w kamieniu na Rapa Nui.

**W rozedrganiu** i zamęcie Honolulu łatwo zapomnieć, że jest się w Oceanii. O'ahu chwilami sprawia wrażenie przybrzeżnej wyspy Ameryki, chwilami – Azji. A przecież to jedyny prawdziwy rozstaj na Pacyfiku, węzeł, w którym zbiegają się wszystkie trasy lotnicze, pod wieloma względami serce Polineezji. Świadczą o tym wydarzenia całkiem banalne, takie jak to, że gdy florydzki Disneyland poszukiwał wykonawców do programu zatytułowanego „Polinezyjska rewia *luau*”, to przesłuchania prowadzono w Honolulu (oferując roczną umowę i zwrot kosztów przeprowadzki i mieszkania). Ale jeszcze dobitniej świadczy o tym fakt, że praktycznie wszystkie poważniejsze badania nad wyspami Pacyfiku prowadzi się pod auspicjami jeśli nie Bishop Museum, Uniwersytetu Hawajskiego lub East-West Center, to z inicjatywy Kościoła mormonów, który gorliwie zabiega o nawrócenie całej Polineezji i swoje kwatery główne na Pacyfiku, a i główne banki, ulokował na O'ahu.

Ilekcroć wypytywałem w Polineezji o jakiś zabytek archeologiczny, zawsze padało nazwisko pewnego mężczyzny. Mówiono mi, że ów zabytek został a to skatalogowany, a to zbadany, a to odkopany albo opisany przez profesora

Yosihika Sinota, głównego antropologa Bishop Museum w Honolulu i jednego z najlepszych na świecie znawców kultur wschodniego Pacyfiku.

– Niech pan zapyta Sinota – odpowiadano na większość mych polinezyjskich pytań.

Profesor okazał się drobnym, ale muskularnym mężczyzną o tak charakterystycznej powierzchowności i mówiącym z tak silnym akcentem, że od razu widziało się, iż jest nietutejszy. W oczy rzucało się i to, że jest uczonym, chociaż obdarzonym ruchliwością i wigorem człowieka nawykłego do pracy na świeżym powietrzu. Zajmował mały i zagracony gabinet na tyłach gmachu muzeum. Ściany gabinetu obwieszane mapami, zdjęciami stanowisk archeologicznych i zastawione półkami, na których leżały stosy teczek i najrozmaitsze artefakty – kościane haczyki rybackie, kamienne narzędzia i tak dalej.

Pewnego popołudnia złożyłem profesorowi wizytę, żeby po prostu wypytać go o wszystkie te sprawy, w których mnie do niego odsyłano. Powiedział, że niedawno pracował na Markizach, i pogwarzyliśmy o zaiste komicznej okoliczności, że na tych wyspach wodospadów i słodkowodnych jezior człowiek jest skazany na picie importowanej wody mineralnej.

– Tak to wygląda w całej Polinezji Francuskiej – mówił profesor Sinoto. – W swoim czasie prowadziłem wykopaliska na Huahine i w trakcie mojego pobytu burmistrz tej wyspy dostał ogromną dotację. Pieniądze wydał na utwardzenie drogi, wzniósł wieżę telewizyjną, założył oświetlenie ulic w mieście. Ale nawet nie pomyślał o zaopatrzeniu w wodę pitną. Wyobraża pan sobie?

Zapytałem profesora o wielkie bogactwo kamiennych ruin, które widziałem na Markizach.

– Każda dolina na tych wyspach pełna jest miejsc interesujących archeologicznie – odparł Sinoto. – Ale kiedy w latach 1918–1919 przeprowadzono pierwszy rekonesans powierzchniowy, uznano, że nie zachowało się nic prócz kamieni, że w tamtejszym upalnym i wilgotnym klimacie mogły przetrwać tylko budowle kamienne, a wszelkie narzędzia czy sprzęty drewniane musiały zgnieć... Prawdziwe wykopaliska przeprowadził

dopiero Robert Suggs w latach 1956–1957. Nie zgadzam się z jego wnioskami. Pojechałem tam w 1963 roku z ekspedycją Thora Heyerdahla.

– A co pan myśli o jego wnioskach?

– Heyerdahl doszedł do oryginalnych wniosków – rzekł taktownie profesor. – Co do mnie, jestem przekonany, że Markizy stanowiły bazę wypadową zdobywców wschodniej Polinezji. Migracja i zasiedlanie nowych wysp przebiegły bardzo szybko. Kanu wyruszyły około 1000 roku p.n.e. z Wysp Admiralicji (które leżą na północny wschód od Nowej Gwinei) i żeglarze odkryli Fidzi, Tonga i Samoa, a osiedliwszy się na tych wyspach, rozwinęli kulturę polinezyjską.

– To rzecz kluczowa, prawda? Stali się bardziej polinezyjscy dzięki temu, że osiedli na wyspach i nie parli dalej – powiedziałem. – Ale właściwie dlaczego nie pozęglowali dalej? Czy to możliwe, że stracili zapał lub może technologię i musieli ją stworzyć od nowa?

– Tak, to możliwe. W okresie od 300 do 500 roku zarzucili garncarstwo. Na Hawajach w ogóle nie lepiono garnków. Nie znaleźliśmy ani skorupki. Około 300 roku odkrywcy dotarli na Markizy, przypuszczalnie z Samoa. Stamtąd się rozproszyli. Heyerdahl twierdzi, że słodkie ziemniaki na wyspy Pacyfiku przywieźli mieszkańcy Ameryki Południowej, ale ja się z tym nie zgadzam. O wiele bardziej prawdopodobne jest, że Markizańczycy dopłynęli do Ameryki Południowej i przywieźli stamtąd słodkie ziemniaki.

– Ale musieliby halsować ostro na wiatr. Czy taka podróż jest w ogóle możliwa?

Profesor Sinoto postulował przeprawę przez Pacyfik w przeciwną stronę niż płynęła Kon-Tiki.

– Zapewne wyprawiało się wiele łodzi. Szczęśliwa łódź znalazła Wyspę Wielkanocną i zdołała wrócić – spekulował profesor. – Kilka lat temu byłem na Wyspie Wielkanocnej i poznałem mężczyznę, który opowiedział mi, jak to z dwoma chłopcami wypłynął w morze małym kanu. Zabrali wielką kiść bananów i osiemdziesiąt litrów wody. Po jakichś trzech tygodniach dopłynęli do Tuamotu, gdzie zostali na dziesięć lat.

Przebywając na Wyspie Wielkanocnej, ja też słyszałem opowieść o mężczyźnie – zapewne tym samym – który dopłynął kanu na Tuamotu.

– Inni mogli być wygnańcami, wsadzano ich do łodzi, dawano trochę jedzenia i wódz nakazywał im odpłynąć – mówił profesor, spekulując na temat tego, dlaczego ich wypędzano.

– A może niektórzy uciekali przed wojnami plemiennymi?

– Tak. Począwszy od mniej więcej 1500 roku, na Markizach często dochodziło do wojen, dolina przeciwko dolinie, wyspa przeciwko wyspie. Kto chciał zostać w wiosce, musiał walczyć, więc niektórzy uciekali. Odkopałem wiele fortyfikacji, znalazłem wiele kamieni do proc. Wyspiarze bardzo umiejętnie posługiwali się procą, celnie miotali kamienie na odległość sześćdziesięciu metrów, a nawet dalej. Misjonarze dziwili się, jak guzowate są głowy wyspiarzy, bez wątplenia od razów otrzymanych podczas walk.

– A więc żyli w małych społecznościach?

– Odosabniali się – rzekł Sinoto. – Ogromnie ciekawe są haczyki rybackie. Ustaliłem, że z upływem czasu robiono coraz mniejsze haczyki, a to znaczy, że łowiono coraz mniejsze ryby. Nie wypływali daleko. Zrodził się strach przed morzem lub raczej przed wrogami. Łowili blisko brzegu.

Profesor pokazał mi zestaw coraz mniejszych haczyków rybackich.

– Również mała epoka lodowcowa oddzielała ludzi – ciągnął Sinoto. – Jak pan zauważył, kultury rozwijały się w odosobnieniu. Mała epoka lodowcowa wystąpiła w okresie od 1400 do 1500 roku. Klimat się ochłodził, morze było bardziej wzburzone, więc ludzie siedzieli na swoich wyspach. Dzięki temu rozwijały się kultury lokalne. Na przykład wszystkie markizańskie *tiki* powstały po 1500 roku.

– Zamierzam zwiedzić kajakiem wybrzeże Nā Pali na Kaua‘i – powiedziałem. – Czy to prawda, że dopłynęli tam Markizańczycy i przywieźli sztukę obrabiania kamienia oraz metody budowlane?

– Hawaje zostały zasiedlone w okresie od 500 do 700 roku przez Markizańczyków – odparł profesor. – W Nu‘alolo Kai, które nawiasem mówiąc, ja odkopałem, przekona się pan, że używano znacznie mniejszych kamieni niż na Markizach, gdzie budowano z wielkich głazów.

– Jak pan sądzi, co ich skłaniało do żeglowania na Hawaje? – zapytałem. – To znaczy, prócz wojen plemiennych i głodu, które ich wypędzały w morze?

– To dobre pytanie, zważywszy na odległość – rzekł Sinoto. – Pamiętam, że kiedy przed laty byłem na Markizach, moją uwagę zwróciły wędrownie ptaki. Najpierw przyleciały dwa lub trzy, potem dwadzieścia lub trzydzieści, a w końcu stado. Jestem uczonym, ale w głębi ducha też romantykiem, więc wyobraziłem sobie, że i tamci ludzie mówili: „Spójrzcie na te ptaki! Skąd one przylatują? Płynimy tam!”.

– Czy prowadząc wykopaliska, znajdował pan ślady ludożerstwa?

– Na jednym stanowisku na Markizach znalazłem pięćdziesiąt czaszek. Wyspiarze czasem nie pozwalają dotykać ludzkich szczątków. Ale na Markizach mówili: „Chce pan wziąć te czaszki? Proszę bardzo!”.

Kiedy poruszyłem temat ludożerstwa, profesor ożywił się. Wstał z krzesła i opowiadał o innych dowodach pośrednich.

– W trakcie wykopalisk czasami natrafiałem na wymieszane kości psów, świń i ludzi, najwyraźniej wrzucone do jednego dołu na śmieci. Tych ludzi najprawdopodobniej zjedzono. Bo cóż innego mogło spowodować, że ich kości są wymieszane z kośćmi świń? – mówił Sinoto. – Wszędzie w Polinezji składano ofiary z ludzi, w trakcie ważnych obrzędów, żeby sprowadzić deszcz w czasie suszy, z wielu innych powodów.

– Którą wyspę na Pacyfiku uważa pan za najbardziej polinezyjską, najbardziej tradycyjną?

– Polinezji już nie ma – odparł profesor. – Najbardziej tradycyjne jest bodaj Samoa Zachodnie, i chyba Tonga. Tradycyjne są również Wyspy Salomona i Nowe Hebrydy. Ale wszystko to jest już skażone. Jak w Fidżi i Tonga, chociaż nadal mają tam wodzów.

Ta opinia pokrywała się z moimi amatorskimi obserwacjami. Przypomniałem sobie zgrabne chaty na Savai’i, arystokrację i pospólstwo Tonga, pola lęgowe Savo, złe oblicza i ubłocone tyłki wieśniaków na wyspie Tanna.

– Weźmy Atiu – powiedział Sinoto, mając na myśli niedużą wyspę w archipelagu Cooka, nieodległą od Aitutaki, gdzie pływałem kajakiem. – Pracowałem tam i jeszcze w 1984 była to wyspa tradycyjna, nietknięta. Wróciłem na nią w 1989 roku i spostrzegłem, że stara kultura znikła. Po prostu skończyła się. Jak to się mogło stać tak szybko? Wie pan, co dokonało tego

gradu? Wideo. Nie rozumiem, dlaczego władze nie cenzurują filmów wideo. Przecież to straszne filmy. Gwałt, wojna, przemoc, pijaństwo. Podsuwają złe wzorce młodzieży i błyskawicznie zniszczyły kulturę Atiu, która trwała od tysiąca lat.

Potem profesor Sinoto wspominał wykopaliska na Huahine, pięknej wyspie, gdzie pracował przez dwadzieścia lat. Opowiadał o wyjątkowym charakterze tej wyspy, o wspaniałej akwakulturze nad laguną i rozwiniętym rolnictwie w głębi lądu, opowiadał o wodzach mieszkających na wybrzeżach. Nad laguną odsłonił trzydzieści pięć historycznych siedlisk, dokonując jednego z największych odkryć archeologicznych w Polinezji.

– Ale co wyprawiają moi rodacy? – zapytał profesor. – Grupa japońskich przedsiębiorców chce kupić całą tę część wyspy, żeby postawić tam hotele i urządzić ośrodek wypoczynkowy. Chcą wybudować lotnisko, na którym trzy razy w tygodniu lądowałyby jumbo jet z turystami z Tokio.

No proszę, są Japończycy, którym się nie podoba to, że ich rodacy zawłaszczają i eksploatują wyspy Pacyfiku. Nie musiałem nic mówić i z zadowoleniem słuchałem opinii, które wyrażały również moje uczucia.

– Japończycy szukają na Pacyfiku zabawy – ciągnął profesor, z trudem hamując gniew. – A co mają z tego miejscowi? Inwestorzy zatrudniają garstkę wyspiarzy w hotelach, płacąc im marne grosze. Pierwszym wielkim hotelem na Huahine był Bali Hai. Miejscowi upijali się w barze. Z powodu pijaństwa potrzebowali pieniędzy. Zaczęli więc okradać hotelowe bungalowy. Kiedy usłyszałem, że Japończycy chcą wykupić cały ten teren, modliłem się w duchu, żeby im odmówiono. Ich oferty początkowo nie przyjęto. Potem widziałem się z przedstawicielem rządu i powiedziałem mu, że tamte tereny bezwzględnie trzeba chronić, a on doprowadził do tego. Być może więc na Huahine nie zdarzy się to najgorsze, tak jak na tylu innych wyspach.

Zamilkł na chwilę, jak gdyby chciał, żebym przetrawił jego słowa. Siedzieliśmy pośród zabytkowych przedmiotów, pod zawieszoną na ścianie wielką mapą, na której strzałkami oznaczono szlaki dawnych migracji w Oceanii.

– Wszyscy szukają na Pacyfiku tylko zabawy – rzekł gorzko profesor Sinoto.



## rozdział\_dwudziesty czwarty\_

### **Kaua‘i: w ślad za delfinami na wybrzeżu Nā Pali**

**Nawet** na Pacyfiku wszystko ma swój czas, ale nie zawsze jest to oczywiste dla turystów na suchym lądzie. Wystarczy spojrzeć na ludzi wylegujących się na plażach, gwarzących o balsamicznej pogodzie, o cudownych hotelach, balowaniu w miejscowych klubach, pysznym jedzeniu. Nie mają pojęcia, jaki jest miesiąc, bo w raju nie ma kalendarza ani pór roku. *Aloha*, witają się wzajemnie, i szybko uczą się słowa *mahalo*, czyli „dziękuję”.

Przerzucają się tymi słowami zawsze i wszędzie i niektórzy szydzą z nich za to, ale właściwie czemu? Tylko z rzadka – jeżeli w ogóle – spotkamy osobę mówiącą po hawajsku pełnymi zdaniami. To tragiczne, bo kiedy Hawajczycy utracili język – zdeprecjonowany i oceniany przez fundamentalistycznych misjonarzy – jednocześnie stracili tożsamość. Niektórzy dążą do przywrócenia rodzimego języka, który jest melodyjny i wysoce metaforyczny, ale z niewielkim skutkiem. Tyle że – podobnie jak rzecznicy niezawisłości – nie poddają się i nadal walczą. Na co dzień słyszy się jednak gwarę, w której hawajski, a właściwie dwadzieścia lub trzydzieści hawajskich słów, jest ozdobnikiem, nadaje barwę angielskim zdaniom.

Im więcej przybysz zna hawajskich słów, tym łatwiej wkraść mu się w łaski miejscowych. Właśnie tak postępują misjonarze wśród prostych ludzi, żeby się przypodobać. Na Hawajach ten sposób mówienia musi uwzględniać dialekt lokalny, w którym każda dziura to *puka*, każda mowa to *namu*, każda toaleta to *lua*, wszystkie dzieci czy młode to *keiki* i tak dalej. Kiedy udzielają wskazówek, jak gdzieś dojść, używają słów hawajskich. „W stronę morza” to *makai*, *mauka* to „w stronę gór”, a „na zachód” to *ewa*. Dialektu tego podobnie jak hawajskiego pidżynu często używa się żartobliwie. Oczywiście są słowa, które znają tylko rodzimi Hawajczycy i których nie zdradzają oni przyjeźdźcom, bo i czemu mieliby dzielić się wszystkim?

Tego rodzaju gwara ma pewien urok, ale nikt nie mówi pełnymi zdaniem. Nikt nie mówi: „Dzień dobry, jak się masz?”, w tym języku, a kiedy pytałem zasiedziały lub nawet urodzonych tam ludzi, zwanych *kama‘āina*, nie potrafili powiedzieć mi, że to proste przywitanie brzmi: *Aloha kākou, pehea‘oe*. Hawajskiego używa się po prostu po to, żeby zyskać na wiarygodności. W Afryce odpowiada temu dialekt zwany „kuchennym suahili”.

Autorzy książek podróżniczych o Hawajach szpikują swoje utwory wyspiarskim dialektem w imię autentyzmu. Piszą o jakości obsługi pokoi, o tym, jak sprawnie boy odprowadza samochód na parking, i czy sos holenderski na jajkach po benedyktyńsku się zważył. Śniadanie i lunch to tematy bardzo ważne z punktu widzenia tego rodzaju pisarzy. Podobnie golf. I tenis. Zazwyczaj to reporterzy opłacani przez prasę. Często podróżują z drugą połową, jedno pisze, drugie robi zdjęcia. Tak, reportaże czy opowieści z podróży to jedna z ostatnich form biznesu rodzinnego w Ameryce. Myślałem o takich pisarzach, kiedy biwakowałem w Vava‘u, kiedy wiosłowałem wokół Trobriandów i kiedy przeczekiwałem ulewę, przycupnąwszy w zaszczurzonej jaskini na zachodnim wybrzeżu Rapa Nui.

– Ja też jestem pisarzem-podróżnikiem – powiedział niejaki Ted, którego poznałem na Kaua‘i. – Robię tu parę hoteli. Robię restauracje. Pacific Café? Prawdziwa synteza kuchni krajów Pacyfiku. Teraz mieszkamy w Waiohai. To znaczy, ja i Binky, moja żona. Zawsze podróżujemy razem. Binky jest astrolożką. Powiadasz, że zatrzymałeś się w ośrodku Mauna Lani? Spędziliśmy tam trzy noce. Zamówiła go u mnie jedna gazeta. Robimy głównie ekskluzywne hotele. Poprzednim razem na Hawajach pisałem o festiwalu ulicznym w Waikīkī. Nawet niezła była zabawa.

Poprosiłem Binky o horoskop.

– Żeby postawić ci horoskop, potrzebuję mnóstwa informacji astralnych – powiedziała. – Sama też trochę piszę. Lubię hotele. Ale te na Hawajach są trochę śmieszne. W niektórych podają tylko amerykańskie wina. A ja mogę pić tylko francuskie. Uwielbiam Cristal. Przywitani nas bardzo serdecznie w Four Seasons na Maui. Ja dostałam złoty wisiołek, a Ted bajeczną koszulę z ich markowego sklepu. Gdy odpoczywaliśmy nad basenem, nawilżano nam skórę

twarży atomizerem évian. Ale miejscem, które naprawdę lubię, jest Saint-Barthélemy. Uwielbiam kuchnię francuską.

Pisanie książki podróżniczej o Oceanii napełniało mnie dumą. Literatura podróżnicza przestała być okropnym zajęciem, które uprawiam z konieczności. Ale kiedy przybyłem na Hawaje, zmieniłem zdanie. Nie wiedziałem już, z czego żyję ani kim jestem, ale byłem absolutnie pewny, że nie jestem pisarzem-podróżnikiem.

W rzeczy samej dzisiejsi pisarze-podróżnicy rzadko zajmują się oceanem, który okala Hawaje. Pacyfik oglądają, patrząc spod zmrużonych powiek nad kieliszkiem ananasowego daiquiri. Rozpływają się nad malowniczością fal tłukących o rafę, ale nieczęsto wspominają o sportach wodnych albo o ludziach morza. To ich nie interesuje. Świadczy o tym zachwyty nad przybojem, który w wodniakach wcale nie wzbudza podziwu, bo wróży kłopoty, a nawet śmierć.

Pływanie łódką po hawajskich wodach nie należy do przyjemności. Już niedaleko od brzegu morze jest prawie zawsze nieprzewidywalne, a w miesiącach zimowych gniewne, chociaż też najpiękniejsze. Zmierzwiłe fale, ostry wiatr, silne prądy. A kiedy żeglarz, wpadłszy w tarapaty, popatrzy w stronę lądu, zobaczy rafę, wysoki przybój, skalisty brzeg, a bywa, że i będących w swoim żywiole surferów, prawdziwy postrach każdego, kto płynie w małej łodzi.

– Nie jest za wesoło, jak widzisz surferów – powiedział mi Rick Haviland, mistrz półsłówki. Żeglarz portugalski, czyli okropnie parzący rurkopław, to według niego „taka niezbyt ciekawa meduza”, a gdy mówił: „nawet niczego sobie”, chodziło o coś w istocie oszałamiającego. Rick zajmował się handlem i wypożyczaniem kajaków i rowerów. W swoim czasie sam surfował, więc dobrze wiedział, co mówi, twierdząc, że obecność surferów zawsze świadczy o trudnych warunkach dla reszty wodniaków. Właśnie Rick poddał mnie intensywnemu szkoleniu w zakresie znajomości wód wokół Kaua‘i i właśnie jego zdołałem namówić na posezonową wyprawę wzdłuż wybrzeża, gdzie piętrzą się jedne z najpiękniejszych klifów na Pacyfiku.

Przedsięwzięta w złej porze roku wyprawa kajakowa wzdłuż wspaniałego i prawie niedostępnego wybrzeża Nā Pali wyspy Kaua‘i siłą rzeczy naraża na

poważne kłopoty. Na tych wodach w okresie od października do kwietnia właściwie nie widuje się wioślarzy, chociaż niektóre łodzie wycieczkowe kursują przez całą zimę. Przybyłem tam w listopadzie, lecz pomimo obaw związanych z porą roku wypatrywałem w miarę dobrej pogody, żeby wyruszyć w mojej łódce. Pragnąłem przyjrzeć się Kaua'i zwłaszcza dlatego, że pamiętałem Markizy w Polinezji Francuskiej, które łączy z Hawajami głęboka więź kulturowa.

Oczywiście wiele wysp Pacyfiku łączy rozmaite powiązania i zależności. Słowa używane na Tahiti funkcjonują również w Nowej Zelandii i Samoa, mieszkańcy archipelagów oddalonych od siebie o tysiące kilometrów jedzą to samo i tak samo gotują. Dotyczy to także tańców i bóstw. Niekiedy rzeczywiście odnosimy wrażenie, że – jak twierdzi wielu – mieszkańcy wysp Pacyfiku tworzą jedną wielką oceaniczną rodzinę ludów o podobnym sposobie myślenia i wspólnej kulturze.

Niemniej profesor Sinoto twierdzi, że więź łącząca Markizy z Hawajami jest szczególnie głęboka. W rzeczy samej Hawajczycy są potomkami Markizańczyków, którzy około 700 roku zasiedlili Hawaje. Jednocześnie wszyscy przyznają, że wybrzeże Nā Pali jest jednym z najmniej gościnnych miejsc na Pacyfiku. Zdobywcy nie mogli wybrać gorzej. Ale też hawajska Kaua'i i markizańska Nuku Hiva mogłyby sąsiadować, tak są do siebie podobne. Na obydwu wznoszą się wulkaniczne góry o formie kapelusza czarownicy, obydwie okrywa gęsta i ciemnozielona jak szpinak szata roślinna, obydwie mają tak samo głębokie doliny i takie same bruzdy zastygłej lawy. Również ruiny – ułożenie głazów, kamienne platformy, mury i petroglify – są niemal identyczne i obydwie te wyspy są tak samo niebezpieczne dla śmiałków, którzy wyruszą na ich wyjątkowo zdradliwe wody.

– Nawet nie tak bardzo jesteście szurnięci – wymamrotał Rick, taksując spojrzeniem przybój, gdyśmy wyruszali w kajakach z Haena Beach Park na skraju Nā Pali. Po prawej surferzy harcowali na trzymetrowych grzywaczach przy słynnej plaży zwanej Tunnels, gdyż przełamujące się fale tworzą tam wodne tunele. Po lewej widzieliśmy rafę i kipieli bliżej brzegu, inne wcielenie gwałtownej śmierci.

Płynąłem za nim. Podobał mi się jego spokój, sposób, w jaki się rozluźniał i odpoczywał, ślizgając się po grzbiecie fali. Takie wycieczki są dla ludzi niewzruszonych. Cóż z tego, że dmucha z prędkością piętnastu węzłów albo i więcej? W każdym razie wiało nam w plecy, więc wiatr pomagał płynąć z falą. Prognozy nie brzmiały źle, ale co jeżeli pogoda nagle się załamie? Mieliśmy sprzęt biwakowy, mieliśmy wodę i prowiant, mieliśmy zestaw survivalowy, a nawet kwartę margarity.

Znaleźliśmy się na wysokości pierwszych klifów. „Nā Pali” znaczy właśnie tyle co „urwiska”. Właśnie tam najbardziej znane bóstwo hawajskie, bogini wulkanów Pele, zakochała się w śmiertelniku, a mianowicie w wodzu Lohiau. To ustronne i pod wieloma względami niesamowite wybrzeże, pełne *mana* święte miejsce, gdzie stawiano świątynie i zakładano cmentarze. Pejzaż tej krainy i wielu innych obszarów Kaua‘i jest kwintesencją egzotyki. Z miejscem tym wiąże się wiele starych i nowych hawajskich legend, a i niemało naszych upojnych mitów. Góry Makana zagrały pejzaże cudownej wyspy Bali Hai w filmie *Południowy Pacyfik*. Niedaleką dolinę Honopu miliony zapamiętały jako pierwotne siedlisko King Konga. W tych górach nakręcono czołówkę *Poszukiwaczy zaginionej Arki*. Nieco dalej na tym wybrzeżu Elvis Presley romansował z Ann Margaret w filmie *Błękitne Hawaje*. To są dopiero legendy!

Dwuipółmetrowe fale o dużej sile („Nawet trochę kopią. Czujesz?” – rzucił Rick) spychały nas ku pierwszej głębokiej dolinie wybrzeża Nā Pali. To dolina Hanakāpī‘ai, wychodząca na małą plażę, którą morze rokrocznie najpierw w zimie zabiera, a potem wiosną i latem odtwarza. Biegnie tamtędy szlak turystyczny Kalalau, który się ciągnie przez osiemnaście kilometrów i obejmuje jedną trzecią wybrzeża. To bardzo wymagająca trasa, ale i słynna wśród miłośników pieszych wędrówek jako jeden z najbardziej malowniczych szlaków na świecie.

Nieco dalej fale tłukły o skalne lico pionowego urwiska i odbite nakładały się na te nadchodzące, wytwarzając wysoką falę stojącą, która przyprawiła mnie o atak choroby morskiej. Nigdy przedtem nie czułem mdłości podczas pływania kajakiem, ale na tych falach podskakiwałem jak na wybojach i żołądek rzeczywiście podszedł mi do gardła.

Przypadkiem działo się to w porze lunchu, ale gdy przewiosłowałem jeszcze jakieś półtora kilometra po wietrznym i zmierzwionym morzu, wróciłem do siebie. Rozparcelowałem z Rickiem lunch, każdy wziął kanapkę, jabłko i butelkę wody, a kiedy jedliśmy, wiatr nas rozdzielił i tak już zostało na przeszło godzinę.

Kajakowanie ma w sobie coś z mistycznej medytacji, ponieważ wprawia w trans wywołany rytmicznością uderzeń wiosła i posuwistego ruchu łodzi. Wiosłujemy skupieni, pogrążeni w milczeniu i bez hałasu, niepoohamowanie suniemy naprzód, wznosząc się i opadając na falach. Oczywiście wymaga to wysiłku, ale pogrążeni w transie nie zdajemy sobie sprawy z trudu. Podejrzewam, że taki sam stan ducha osiągają wędrowcy i biegacze, gdy znajdą właściwy rytm oddychania. Tak oto wiosłowałem pogrążony w transie, tym głębszym, że związanym z oczarowaniem pięknem Nā Pali, długich i wąskich, kanelowanych dolin, klifów wznoszących się na wysokość tysiąca dwustu metrów.

Człowiek ani nie chce, ani nie potrafi wyrwać się spod tego uroku, ale czar może prysnąć. Tam, wtedy, u stóp majestatycznych urwisk Nā Pali oprzytomniałem nagle oparzony przez jadowitego rurkopława. Pogrążony w transie zagarnąłem wiosłem żeglarza portugalskiego, po czym kłęb jego czułeków – długa galaretowata klucha – spłynęła po drzewcu i oblepiła mi przedramię. Natychmiast poczułem ból, ponieważ parzydełka wydzielają neurotoksyny, dzięki którym rurkopławy i meduzy paraliżują swoje ofiary. Strząsnąwszy to obrzydlistwo, poczułem, że całe przedramię mam poparzone. Wezwałem na pomoc Ricka.

Rick beznamiętnie zaordynował ludowe remedium w postaci moczu. Próbowałem tego lekarstwa w Vanuatu, ale bez skutku. Już prędzej liście papai albo sama papaina używana jako środek zmiękczający mięso oszczędziłyby mi trzech godzin bólu i paraliżu ramienia, ale oczywiście nie miałem ani liści, ani papainy.

Mimo to nie czułem się źle, bo podziwiałem pejzaże tak wspaniałe, że zapomniałem o bólu. Urwiska Nā Pali to nie są zwykłe ściany i półki skalne, lecz przedziwna mnogość smukłych zielonych pinakli. Całe cielsko góry wygląda jak fantastyczna katedra gotycka strzelająca w niebo setką wież, iglic,

przypór i wieżyczek. Tarmoszony przez wzburzone morze, z piekącym i drętwiąjącym ramieniem, wolałem wiosłować u stóp katedralnych klifów wyniosłej wyspy, niż oglądać wzniesione przez ludzi w Europie architektoniczne odpowiedniki tych naturalnych świątyń i uzmysłowiłem sobie, że kiedy znowu zobaczę opactwo westminsterskie albo Notre Dame, ujrzę w wyobraźni niebotyczne urwiska Nā Pali i odczuję bolesną tęsknotę.

Dawni Hawajczycy też musieli czuć, jak niesamowite i magiczne są te pinakle, ponieważ – aż po najmniejszy stożek – nazywali je *keiki o ka 'āina*, czyli „dziećmi ziemi”, i każdemu nadawali imię własne.

Minęliśmy „tonący w kwiatach jar pod urwistymi nawisami i głazami, spomiędzy których dolatywało beczenie dzikich kóz. Z trzech stron piętrzyły się ponure ściany, zdobne w fantastyczne festony podzwrotnikowej roślinności, podziurawione otworami jaskiń”<sup>[72]</sup>. Jack London w ten sposób opisywał dolinę Kalalau, będącą miejscem akcji wspaniałego opowiadania *Trędowaty Koolau*, i nadal jest to opis zasadniczo wierny. Kalalau to ostatnia dolina, do której da się dotrzeć pieszo. Pozostała część wybrzeża jest osiągalna tylko za pomocą wszelkiego rodzaju mniejszych i większych wycieczkowych łodzi, które kursują tam i z powrotem. Poza tym w powietrzu warczą helikoptery, które nurkują w doliny i zawisają nad klifami. Tamtego dnia dwa przeleciały przez piękny skalny łuk u wejścia do doliny Honopū, zwanej Doliną Zaginionego Plemienia, jako że w czasach przedhawajskich istniała tam rozwinięta kultura ludu, którego pochodzenie nadal jest zagadką.

Opinie na temat helikopterów są podzielone. Wyjąwszy ich właścicieli, większość mieszkańców Kaua‘i życzyłaby sobie, żeby rozplynęły się w łunie zachodu. Trudno jednak zaprzeczyć, że śmigłowiec – najwszechstronniejszy ze statków powietrznych – umożliwia łatwe i jedyne w swoim rodzaju zwiedzanie wybrzeża Nā Pali. Helikoptery są liczne i natrętne, ale ich największa wada polega nie na tym, że drażnią uszy ludzi na ziemi, lecz na tym, że ogluszają pasażerów. Dudnienie wirników zagłusza świstanie wiatru w dolinach, muzykę górskich wodospadów, łoskot fal bijących o klify. Ponadto pasażerowie śmigłowca odnoszą fałszywe wrażenie, iż to dzikie wybrzeże jest łatwo dostępne.

– Fakt, trochę działają na nerwy – stwierdził Rick. Nigdy w sposób bardziej otwarty nie objawił złości, bo te łagodne słowa w jego wypadku wyrażały stan bliski ślepej furii. – Po prostu staram się ich nie zauważać.

W niektóre dni na wycieczkę wzdłuż wybrzeża zabierały turystów wielkie motorowe pontony, które sunęły w rozbryzgach piany, tak że pasażerowie przemakali do suchej nitki i mieli wrażenie, iż uczestniczą w śmiertelnie niebezpiecznej wyprawie. W rzeczywistości jednak te gumowe łodzie nie tylko są tak samo hałaśliwe i drażniące jak śmigłowce, lecz również tak samo bezpieczne. Nadstawivszy ucha na pogwarki sterników, można by usłyszeć taki oto dialog:

- Ile hamburgerów miałeś dzisiaj?
- Dwadzieścia trzy rano, osiemnaście po południu.
- Lenn miał raptem ze trzydzieści przez cały tydzień.

Hamburgerami nazywali pasażerów łodzi, wprawdzie pogardliwie, ale trzeba przyznać, że tłusty, spieczony na raka turysta dość obrzydliwie kojarzy się z hamburgerem.

Minęliśmy dolinę Awa‘awapuhi, najwęższą i najbardziej niezwykłą ze wszystkich w tamtych górach, gdzie w dawnych czasach na całej długości ciasnego dna ciągnęła się hawajska osada.

W następnej dolinie, która nazywa się Nualolo Aina, również istniało duże tradycyjne siedlisko. W rzeczy samej jest to miejsce tak odosobnione, że jego mieszkańcy przez nikogo nie niepokojeni żyli w ten sam sposób przez kilkaset lat, aż do początków XX wieku. W dolinie mieszkali *alii*, czyli arystokracja, a u jej wylotu stała nadbrzeżna wioska, zamieszkała przez pospólstwo. Zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz doliny zachowały się kamienne fundamenty pawilonów tanecznych, domów i świątyń, obmurowania ogrodów i wiele innych budowli, które odsłonił i opisał profesor Sinoto. Nazajutrz wróciliśmy w to miejsce i zdumiałem się, jak bardzo te budowle są podobne do tych wznoszonych na odległych o przeszło trzy tysiące kilometrów Markizach.

Pod klifami niczym czarne obrotne wieże skierowaliśmy się ku dolinie Miloli‘i. W oddali słońce zachodziło za znajdującą się w rękach prywatnych wyspę Ni‘ihau i leżący tuż obok niej nieduży i niski wulkan Lehua.



Wiosłowaliśmy pod wiatr. Nie cierpię przeciwnego wiatru i sądziłem, że nikt go nie znosi.

– Nawet chłodzi człowieka – rzekł Rick, wiosłując dziarsko.

Tamtej nocy biwakowaliśmy na plaży Miloli'i. Zjedliśmy pieczone ziemniaki i rybę z rusztu nad ogniskiem. Po kolacji pogwarzyliśmy chwilę, a potem Rick odszedł w głąb plaży.

Siedziałem przy ognisku, poruszałem węgle i czułem wielką senność. W trakcie wypraw kajakowych wokół wysp Pacyfiku miałem chwile szczęścia, ale uczuciem tym napełniały mnie obrazy i dźwięki. Nie zaznałem wiele wygody. Odkrycia, których dokonywałem, wymagały wyrzeczeń. Wtedy jednak było inaczej, przeżywałem jedno z najprzyjemniejszych interludiów w całej podróży. Luksus, na który składały się posiłek, ognisko, nocne powietrze, a przede wszystkim zmęczenie, podobne do rozkosznego oddziaływania drogiego narkotyku. Śmiertelnie zmordowany, siedząc na miękkim piasku, czułem się błogo odrętwiały, półprzytomny, a potem umościłem się w śpiworze i zaraz utonąłem we śnie.

Magiczna, pamiętna noc. Spałem pod koliskiem księżyca świecącym niczym lampa łukowa. Przez całą noc morze wybiegało z hałasem w górę stromej plaży i chyłkiem się wycofywało. Wczesnym rankiem obudziło mnie łaskotanie w nos. Duży i zbyt ambitny krab-zjawa próbował zmierzyć się z zadaniem zjedzenia mojej twarzy lub może zawleczenia mnie do jamy w piasku. Odtrąciłem natręta wierzchem dłoni i spałem dalej.

Sądziłem, że nic nie może być bardziej zachwycające niż widok klifów Nā Pali oglądanych z perspektywy kajakarza. Nazajutrz okazało się jednak, że się myliłem. Gdyśmy wracali do Nu'alolo Kai, żeby zwiedzić ruiny, ujrzeliśmy w dali jakieś poruszenie na morzu, jak gdyby morze wrzało, i powiosłowaliśmy w tamtą stronę. Gdy tam dotarliśmy, oniemiałem ze zdumienia. Delfiny, gdzie nie spojrzęłam delfiny, sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt delfinków długodziobych, dorosłych, nawet ponadpółtorametrowych, ale i wiele młodych. Delfiny wyskakiwały nad wodę, pływały na grzbiecie, baraszkowały w grupach po kilka sztuk, pływały po okręgu o średnicy czterystu metrów. No i sapały. Przedtem oglądałem delfiny tylko z pokładu dużego i głośnego statku, więc nie miałem pojęcia

o dźwiękach, które wydają – jak oddychają, wzdychają i prychną. Ilekroć się wynurzają, nabierają tchu niczym pływak chwytający powietrze, i kiedy usłyszałem te łapczywe westchnienia – bodaj najbardziej wzruszający i uroczy odgłos wydawany przez ludzi – zrozumiałem, ile tracimy, nie słysząc stworzeń, które obserwujemy.

– Nawet niczego sobie – rzucił Rick.

Też był zdumiony. Chociaż wody te przemierzył setki razy, to – jak mi powiedział – nigdy przedtem niczego takiego nie widział. Przez półtorej godziny bawiliśmy się z delfinami, wiosłując wśród nich, podczas gdy one popisywały się akrobacjami. Nic nie mówiliśmy, nie stanowiliśmy zagrożenia, patrzyliśmy na nie oczarowani, a one zdawały się wiedzieć, że je podziwiamy.

Któż tak obdarowany nie powiosłowałby do Nu‘alolo Kai i po wylądowaniu nie poszedł w ruiny wielkiej *heiau*, czyli świątyni, u stóp urwiska, żeby złożyć ofiarę? Owinęliśmy okrągłe kamienie w świeżo zerwane liście *ti* i położyliśmy je na kamiennym wale, modląc się w duchu o bezpieczną podróż i powrót.

Na końcu tej wyprawy, ślizgając się na falach ku Polihale, czułem szczęście i upojenie, jakie napęnia wędrowca, którego trud został nagrodzony. Dane mi było podziwiać wspaniałe klify, tajemnicze ruiny, a do tego jeszcze tańce i figle delfinów. W naszych łódeczkach znowu staliśmy się wolni. Hawajczycy zawsze doceniali ten prosty fakt. Tak samo ci, którzy już pomarli, jak i ci, co jeszcze żyją. W urwiskach nad rozległą białą plażą Polihale odkryto setki, a może nawet tysiące grobów, a niektórych zmarłych – bodaj najwyżej urodzonych – pochowano w ich łodziach niczym najdostojniejszych wikingów na bagnach i cmentarzyskach Anglii.

## rozdział\_dwudziesty\_piąty\_

### Ni'ihau i Lāna'i: ludzie jak wyspy

– **Przed** nami Ni'ihau, Zakazana Wyspa – oznajmił pilot śmigłowca, gdy dudniąca maszyna niemal już pokonała dwudziestosiedmiokilometrowy kanał oddzielający ten suchy skrawek lądu od życzliwie zielonej Kaua'i.

– Zaraz będziemy lądować – ciągnął pilot – ale muszę uprzedzić, że niczego państwu nie pokażę, nie spotkacie mieszkańców ani nie wejdziecie do wioski. Obawiam się, że nawet jej nie zobaczycie. Tam właściwie nigdzie nie ma wstępu, i tak to jest od przeszło stu lat.

Skierował helikopter na południe i w przejrzystym powietrzu Hawajów poleciliśmy prosto w XIX wiek.

Hawaje są pełne cudów, ale jeden z najosobliwszych aspektów tego łańcucha osiemnastu wysp polega na tym, że dwie z nich znajdują się w rękach prywatnych, chociaż nie należą do rodowitych Hawajczyków. Niektórzy bohaterowie literaccy mają swoją wyspę, a biorą ją w posiadanie w takim stanie ducha, w jakim odchodzi się na banicję, niczym Szekspirowski Prospero, pan wyspy i wygnaniec w jednej osobie. Człowiek poszukujący swojej wyspy tęskni do prostoty i chwały świata jeszcze nieukształtowanego i tym samym pełnego możliwości. Wszystko się może zdarzyć na wyspie. Na wyspie można odkupić winy (*Robinson Crusoe*), na wyspie w duszach rozbitków może rozgorzeć walka pierwotnych mocy dobra i zła (*Władca much*), na wyspie można zdobyć bogactwo (*Wyspa skarbów*), odkryć miłość (*Błękitna laguna*), prawdziwy raj (*Taipi*) albo istne piekło (*Conradowskie Zwycięstwo*). Wyspa bywa miejscem, skąd wyrusza się w wielką wyprawę (Nantucket w *Moby Dicku*), ale bywa też punktem docelowym, gdzie podróżnik odkrywa niesłychane dziwy (*Podróże Guliwera*). Nie sposób sobie wyobrazić, że którakolwiek z tych historii rozgrywa się na lądzie stałym.

Elementem wspólnym nie jest pejzaż wysp ani ich położenie na mapie świata, lecz sam charakter miejsca otoczonego przez wodę, żywioł sam w sobie magiczny i będący czynnikiem przemiany. Woda, na pozór nic, jest wszystkim – fosą, przeszkodą, dziczą, źródłem pożywienia i nadziei, drogą ucieczki. Jak wiadomo każdemu wilkowi morskiemu, ocean wcale nie jest jednolity, lecz wieloraki. Morze jest tak samo zróżnicowane pod względem pejzażu i nastroju jak malownicze góry. Na morzu są nawet drogi. Oceanie przecinają stare i ponazywane szlaki, drogi do innych wysp i archipelagów. Pewien tor wodny odchodzący od Big Island nosi nazwę Kealahiki, czyli Droga do Tahiti (odległego o cztery tysiące kilometrów), i jest początkiem pradawnego szlaku, który przemierzały kanu.

Człowiek, który emigruje na wyspę, oczywiście różni się od rodowitych wyspiarzy. Ktoś, kto próbuje odzyskać wyspiarską niewinność, jest figurą podejrzaną. Tak czy inaczej podejmuje daremne dążenie, bo w rzeczywistości nikt nie jest w stanie zawładnąć wyspą. Panowanie nad wszystkim w zasięgu wzroku to w istocie pokusa władców na lądzie stałym. Na wyspie to człowiek staje się poddanym. Wyspa ma szczególną moc panowania nad swoimi mieszkańcami – czy to rodzimymi, czy to rozbitkami, czy też domniemanymi kolonistami – i chyba dlatego wyspy są tak pełne mitów i legend.

Wydawałoby się, że wyspa to byt kruchy i samotny, ale odwiedziłem pięćdziesiąt jeden wysp w Oceanii i każda wydawała się kompletna, niezależna i samowystarczalna już choćby z powodu otaczającej ją wody. Nie wiem, czy to złudzenie czy nie, ale ową aurę tajemnicy i władzy wyczuwają wszyscy rodowici mieszkańcy wysp i wszyscy, którzy do nich tęsknią. Sytuacja człowieka, który buduje dom na wyspie i na niej osiada, przypomina sytuację księcia. Ale wyspa pod wieloma względami przewyższa księstwo. Jest ostatecznym schronieniem – światem magicznym i niezniszczalnym.

Posiadanie wyspy jest w istocie posiadaniem takiego świata, w którym można robić, co się chce – ustanawiać własne prawa, urzeczywistniać wizje czy fantazje. Prywatne wyspy Ni‘ihau i Lāna‘i dobitnie o tym świadczą, chociaż rozwijają się zupełnie inaczej.

Ni‘ihau jest nieduża, tak mało znana i rzadko odwiedzana, że nazywa się ją Zakazaną Wyspą. Lāna‘i, druga prywatna wyspa w archipelagu, jest

stosunkowo duża, do niedawna niewielu turystów ją odwiedzało, a znano ją tylko z plantacji ananasów firmy Dole. Potocznie nazywa się ją właśnie Wyspą Ananasów. Właściciel Lāna‘i zerwał niedawno z siedemdziesięcioletnią tradycją uprawy ananasów i postawił na turystykę, wznosząc dwa luksusowe hotele. W przeciwieństwie do niego właściciel Ni‘ihau dawno temu zadekretował, że na jego wyspie czas się zatrzyma, a jego spadkobiercy szanowali zakazy służące utrzymaniu *status quo*. Posługująca się językiem hawajskim społeczność rodowitych mieszkańców wyspy ma być zamknięta, żaden obcy nie ma prawa do niej wejść ani nawet stykać się z wyspiarzami.

„**Jeżeli** którakolwiek z wysp jest nietknięta, to Ni‘ihau – twierdził trzydzieści lat temu historyk Hawajów Gavan Daws – jeżeli ktokolwiek z ludzi jest wyspą, to jest to patriarcha Ni‘ihau”.

Jeden z rozkosznych aspektów hawajskich wysp polega na tym, że nie ma na nich prywatnych plaż. Nawet jeżeli potentat postawi na brzegu morza wielką rezydencję, to z przyległej plaży wolno korzystać każdemu, każdy może się wylegiwać na piasku i kąpać w morzu. Plaże należą do wszystkich. Nawet najbardziej ustronne i ekskluzywne są publiczne.

Jedyny wyjątek stanowi Ni‘ihau. Chciałem zabrać tam składany kajak. Powiedziano mi, że nie ma sensu, bo plaże – a nawet dziesięć sążni przybrzeżnych wód – są własnością prywatną.

Z powodu wyjątkowego odizolowania Ni‘ihau obrosła mitami. Nieznane zawsze uchodzi za coś cudownego. Sama idea tej wyspy fascynuje Hawajczyków i prawie każdy kojarzy ją z Shangri-La. Powiemy komukolwiek, że byliśmy na Ni‘ihau, a oczy rozbłyszczą mu z ciekawości.

– No i jak tam jest? – zapyta. – Założę się, że fantastycznie.

Zakaz wstępu działa na podróżnika jak kocimiętka na koty. Postanowiłem, że prześwietlę tę wyspę i pojedę na nią, jeżeli tylko się da. Dowiedziałem się, że są helikopterowe wycieczki na Ni‘ihau, ale że w imię zachowania ustronnego charakteru wyspy odbywają się rzadko i dyskretnie. Ostatecznie zasięgnięcie języka, umawianie się z pilotem i sam przelot przypominały potajemny rajd na Alcatraz, wyspę fizycznie dość podobną do Ni‘ihau.

**W 1864 roku** król Hawajów Kamehameha V sprzedał Ni‘ihau za dziesięć tysięcy dolarów bogatej rodzinie szkockich tułaczy. Nabywcy skutecznie przekształcili polinezyjski wulkan w szkocką posiadłość, odgrywając rolę ziemian i obracając wyspiarzy w dzierżawców. Byli to gorliwi chrześcijanie. Zarządzili, że wszyscy wyspiarze muszą chodzić do kościoła. Piętnowali palenie. Zakazali picia alkoholu. Bardzo mocno wspierali działalność Kościoła i rozpowszechnili Biblię w języku hawajskim. Jeszcze dzisiaj na wyspie, gdzie głównym językiem jest hawajski, jedynymi lekturami w tym języku są Biblia i zbiór hymnów. Przetrwały również wszystkie stare zakazy. Nic dziwnego, że – jak w 1989 roku pisał były mieszkaniec Ni‘ihau – „ulubiona zabawa dzieci polega na cytowaniu Biblii i sprawdzaniu, kto kogo zagnie” (przegrywa to z dziećmi, które nie potrafi umiejscowić danego cytatu). W niedziele nie wolno łowić ryb, pracować ani się bawić.

Teoretycznie Ni‘ihau to oaza trzeźwości i pobożności, zamieszкана przez dwanaście hawajskich rodów, które siłą rzeczy są skoligacone. Kiedy zapytamy innych Hawajczyków o tę wyspę, powiedzą, że to prawdziwy rezerwat rodzimej kultury, kraina ludzi żyjących zgodnie ze starymi zwyczajami, łowiących ryby, uprawiających ziemię i zachowujących hawajską tradycję.

To oczywiście śmiechu warte. W najlepszym przypadku Ni‘ihau jest reliktem misjonarskiego paternalizmu, wątpliwej troski o dusze maluczkich, która objawia się zakazem tańca *hula*, potępieniem wesołych pieśni, a i tym, że gdy wyspiarze potrzebują pracy, łaskawie pozwala im się doglądać inwentarza żywego właścicieli. Ni‘ihau to swego rodzaju wyspa upiór, relikc czasów, kiedy Polinezję uważano za krainę leni, którzy muszą odpokutować grzech pierworodny. O dziwo ten skansen i uparty, żyjący przeszłością ród Robinsonów znajdują więcej obrońców niż krytyków, ponieważ przypadkowi obserwatorzy roją sobie, że czas się tam zatrzymał i że naprawdę zachowano tradycję. Choć w ubiegłym roku wyspiarze głosowali na demokratów (popularną i postępową burmistrz Kaua‘i JoAnn Yukimurę), to zwykle są tak samo zatwardziałe konserwatywni jak rodzina Robinsonów. W 1959 roku jako

jedyny okręg wyborczy na Hawajach opowiedzieli się przeciwko przystąpieniu do Stanów Zjednoczonych.

Jak zatem wygląda dzisiaj owo pielęgnowanie tradycji? Rzeczywiście obejmuje język. Mieszkańcy Ni'ihau są jedyną społecznością na całych Hawajach mówiącą na co dzień po hawajsku. Obejmuje poszanowanie więzów rodzinnych i modelu rodziny wielopokoleniowej, a trzeba dodać, że według obserwatorów życie rodzinne wyspiarzy układa się harmonijnie. Zachowanym elementem tradycji jest również rybactwo, którym zajmują się mężczyźni i chłopcy. Kobiety prowadzą dom, ale też zbierają na plażach wyjątkowe tamtejsze muszelki, z których wyrabiają przepiękne naszyjniki, mające wielkie wzięcie wśród amatorów unikatowej biżuterii na całym świecie. Innym żywym elementem tradycji jest sumienne przestrzeganie praktyk religijnych.

Niezależnie od tego pietyzmu życie powszednie mieszkańców Ni'ihau obejmuje dzisiaj zasiłki z opieki społecznej, bony żywnościowe, napoje gazowane i żywność konserwową. W domach wyposażonych w generatory mają magnetowidy. Nawietrzne wybrzeże Ni'ihau jest tak straszliwie zaśmiecone plastikami przyniesionymi przez morze z sąsiedniej wyspy, że jego zdjęcie ostatnio trafiło na okładkę „Time'a” jako swoisty symbol zbezczeszczonego raj. Nie tańczy się *hula*, nie buduje kanu. Czystość etniczna wyspiarzy również jest mitem, ponieważ tak samo jak na innych wyspach Hawajów krajowcy mają istotną domieszkę krwi japońskiej.

– Wcale nie żyją na modłę dawnych Hawajczyków – stwierdził Sol Kaho'ohalahala, historyk kultury. – Źle się odżywiają i w rezultacie mają poważne problemy zdrowotne.

Gdyby kultura przetrwała nietknięta, a ludzie zachowali stare formy pracy i zabawy, wówczas eksperyment polegający na odosobnieniu tych Hawajczyków mógłby się powieść. Ale poniósł fiasko. Przetrwał właściwie tylko język, chociaż rodzina Robinsonów nie pozwala, aby ktokolwiek z zewnątrz go badał. Całkiem możliwe, że z powodu małej liczby użytkowników język podlega degeneracji tak samo jak ludzie i w końcu stanie się martwy.

Niegdyś uważano, że mieszkaniec Ni‘ihau, który opuścił wyspę, stawał się nieczysty i z tej racji nie miał prawa powrotu. To już przeszłość. Wyspiarze za pomocą kursującej regularnie barki desantowej z wietnamskiego demobilu przeprawiają się na Kaua‘i do pracy w posiadłościach Robinsonów, po zasiłki z opieki społecznej, po zakupy, z wizytą do krewnych (na Kaua‘i żyje spora społeczność wywodząca się z Ni‘ihau), a nawet na przyjęcia i zabawy, gdzie nie stroni się od tytoniu i alkoholu.

Na ukradkową wizytę na wyspie poleciałem helikopterem należącym do rodziny Robinsonów. Za tę atrakcję pobierano dwieście dolarów od głowy, bo te wycieczki organizuje się po to, żeby zebrać fundusze na utrzymanie śmigłowca, który służy głównie do przewozu chorych, ponieważ na Ni‘ihau nie ma szpitala.

Przeleciawszy wzdłuż trzystumetrowych klifów, usiedliśmy na skalistym południowym cyplu wyspy, gdzie w 1778 roku nocowała grupa marynarzy kapitana Cooka, w tym pierwszy oficer William Bligh. Byli pierwszymi białymi, którzy wylądowali na Hawajach. Cook odkrył Hawaje niespodzianie, co bardzo go zdziwiło, ponieważ miał dar wyczuwania wysp. Podobnie jak żeglarze polinezyjscy doskonale odczytywał księgę morza, znaki takie jak prądy i układ fal, ruchy ptactwa morskiego, obecność żółwi, barwa światła. Hawaje wyłoniły się z oceanu bez zapowiedzi, najpierw w postaci zarysu O‘ahu. Kapitan nie spodziewał się wysokich wysp na północnym Pacyfiku. Wkrótce zauważył Kaua‘i i Ni‘ihau, i podczas gdy zastanawiał się, czy te wyspy mogą być zamieszkane, spostrzegł kanu, którymi płynęło po trzech lub czterech ludzi.

Wyspiarze przemówili i „byliśmy mile zaskoczeni, że należą do tego samego narodu co mieszkańcy Otaheite [Tahiti] i innych wysp, które ostatnio odwiedziliśmy”. Cook mógł wykorzystać słowniki podstawowych słów, które pieczołowicie sporządzał na wyspach, i nawet jego marynarze znali tahitański na tyle, że potrafili zapytać o prowiant – świnie, owoce chlebowca, jams, wodę. Wszystko to na Hawajach nazywano tak samo.

„Jak możemy wyjaśnić to, że naród ten rozprzestrzenił się tak daleko na wielkim oceanie?” – pytał zdumiony Cook. Zdawał sobie jednak sprawę z kruchości kultury, z którą się zetknął, i świadom, że jego ludzie są



nosicielami chorób wenerycznych, zakazał im kontaktów z wyspiarkami. Odstępców karał chłostą.

Spotkanie nie wyglądałoby dziwniej, gdyby Cook przybył z kosmosu. W gruncie rzeczy było to coś na kształt zetknięcia się Marsjan z Ziemianami, ponieważ wyspiarze podejrzewali, że Cook jest istotą nadprzyrodzoną, wcieleniem boga Lono (na Rapa Nui zwanego Orongo), który zgodnie z ich wierzeniami miał przybyć na pływającej wyspie, a okręt Resolution wydał im się właściwie wyspą. Szczególne wrażenie na Hawajczykach robiły żelazne elementy wyposażenia okrętu, bo metale uważali za skarby. Chciwość i niecierpliwość wzięły górę nad strachem, a poza tym marynarze jako obcy byli wyjęci spod srogich hawajskich nakazów *kapu* (czyli tabu). Wyspiarze zuchwale kradli wszelkie przedmioty metalowe. Prowadziło to do utarczek, z których jedna zakończyła się fatalnie, gdy jeden z poruczników zastrzelił wyspiarza.

Dwa dni po odkryciu wysp kilku marynarzy zignorowało zakaz wydany przez Cooka i po udaniu się na Kaua'i zaraziło miejscowe kobiety chorobą weneryczną. Zdarzyło się to również na Ni'ihau i niedługo potem epidemia kiły i rzeżączki zdziesiątkowała ludność Hawajów. Ironia losu polega na tym, że wielu marynarzy złapało choroby weneryczne w 1777 roku od Tahitanek, które przedtem zarazili żeglarze francuscy.

Wyspiarze, których Cook gościł na okręcie, na koniec wizyty zapytali, czy mogą zostawić coś na pamiątkę. Kapitan zgodził się, a oni odcinali kosmyk włosów, wyrażając w ten sposób wdzięczność i zaufanie, ponieważ według ich wierzeń posiadacz czegoś tak osobistego jak włosy lub obrzynek paznokcia może rzucić śmiertelną klątwę. Cook napełnił beczki wodą pitną ze źródeł na Ni'ihau i ruszył dalej na poszukiwanie przejścia północno-zachodniego.

**Przeszedłem** po wulkanicznej skale na krawędź urwiska, żeby posłuchać huku fal rozbijających się o brzeg i krzyków ptaków morskich szybujących nad zatoką Keanahaki.

W trakcie przelotu na skalny płaskowyż na północnym skraju wyspy widziałem z daleka proste drewniane zabudowania jedynej wioski na Ni'ihau,

która nosi nazwę Pu‘uwai. Ni‘ihau jest bardzo jałowa. Od siedmiu lat panuje susza, a opady deszczu występują najczęściej właśnie w okolicy Pu‘uwai, gdzie magazynują deszczówkę w zbiornikach. Z pokładu helikoptera mogłem ocenić skalę zniszczenia środowiska, doskonale widoczne skutki żerowania wygłodniałego bydła, owiec, świń i stad dzikich koni. Pasące się zwierzęta zaczęły dzieło zniszczenia, które dokończył wiatr. Wyspa sprawiała tragiczne wrażenie wykolejonej utopii, nad którą wisi posepna atmosfera brudu i nędzy kolonii karnej.

Już w 1863 roku z powodu wyjałowienia gleby na Ni‘ihau nie dało się uprawiać taro, które stanowi podstawę hawajskiej diety, a drzewa stanowiły taką rzadkość, że musieli je przywozić z Kaua‘i. Dzisiaj sytuacja przedstawia się o wiele gorzej. Nie dostrzegłem śladów ponownego zalesiania. To wyspa absolutnie pozbawiona urodzajnej warstwy gleby. Szata roślinna składa się niemal wyłącznie z *kiawe*, ciernistych i krzaczastych drzew z rodzaju jadaloszynów. Węgiel drzewny wypalany z drewna *kiawe* cieszy się wielkim wzięciem wszędzie indziej na Hawajach, a miejscowi pszczelarze zbierają pyszny miód robiony przez pszczoły z nektaru kwiatów tego drzewka. Ale zarówno wyrób węgla drzewnego, jak i pszczelarstwo pozostają zajęciami chałupniczymi.

W osłoniętej zatoczce kawałek za cyplem Pu‘ukole na północnym krańcu wyspy wypęła na piasek owa barka desantowa, która przywozi zaopatrzenie i ludzi z Kaua‘i. Niedaleko od brzegu majaczy wielki czarny wulkan na wysepce Lehua, będącej stanowym rezerwatem ptactwa morskiego i terenem badań nad budową geologiczną wysp hawajskich, jaskiniami i źródłami słodkiej wody.

Spacerując po plaży na północnym skraju Ni‘ihau, zastanawiałem się, co robiłbym z tą wyspą, gdyby do mnie należała. Niewątpliwie nie chciałbym, żeby wyskubały ją do gołej ziemi dzikie zwierzęta, po czym ziarnko po ziarnku ulatywałyby z wiatrem do morza. Doceniałem fakt, że wyspiarze nadal mówili rodzimym językiem, tym bardziej że według niektórych językoznawców miejscowy hawajski jest najczystszy z przetrwałych dialektów. Ubolewałem jednak nad tym, że nie dzielą się tym językiem z innymi i że nie znają dziejów swojego ludu w okresie poprzedzającym przybycie kupców, hodowców bydła,

mściwego Boga Starego Testamentu i misjonarzy, którzy wmówili im, że są grzesznikami.

Odosobnienie się nie sprawdziło. Zależność pana i niewolnika ma zasadniczo wywrotowy charakter, a system społeczny oparty na feudalnej władzy rodu *haole* nad rzeszą śniadych wyspiarzy z pewnością nie jest receptą na urzeczywistnienie utopii. Nawet gdyby udało się stworzyć ład idealny, załamek rozkładu pojawiłby się wraz z pierwszym magnetowidem, jeżeli nie wraz z pierwszym radiem tranzystorowym. Chodziło o to, żeby wyspa się nie zmieniała, ale oczywiście nieuchronnie podlega ona zmianom. Jak myszy wcześniej czy później skruszą fundamenty potężnego zamczyska i obrócą je w ruinę, tak zwierzęta i obce rośliny zniszczyły środowisko. Zmieniła się dieta wyspiarzy, a potem i światopogląd, kiedy aprowizacyjne przeprawy przez kanał stawały się coraz częstsze.

Można być właścicielem wyspy, ale ludzi nie da się posiąść na własność i po prostu nie ma sensu zarządzać nimi tak, jak gdyby byli bydlętem albo co gorsza na wpół żywymi i uległymi eksponatami muzealnymi. Oczywiście jest zatem, że w sprawie przyszłości należy zasięgnąć opinii samych wyspiarzy. Przekonałem się, że odnoszą się oni bardzo nieufnie do ciekawskich obcych. Nawet na Ni‘ihau uważali moje pytania za *niele*, czyli wścibskie. Podobno są bardzo dumni ze swojej odmienności i odrębności.

Gdyby sami decydowali o sobie, najlepiej byłoby, gdyby postanowili bronić się przed najazdem turystów, a przy tym zadzierzgnąć więzy z innymi Hawajczykami – poetami, tancerzami, etnografami, językoznawcami, rolnikami – bo tylko dzięki temu ta społeczność może odzyskać siły witalne i osiągnąć samodzielność. W ostatecznym rachunku mogłoby to zaowocować odrodzeniem się języka hawajskiego na pozostałych wyspach archipelagu.

**Lāna‘i** jest przykładem całkiem innego eksperymentu. Nikomu nie przeszkadzał mój kajak. Personel małych linii lotniczych obsługujących linię z Honolulu na Lāna‘i nawykł do klienteli wiozącej kajaki, deski surfingowe, skafandry do nurkowania, strzelby dalekiego zasięgu (na Lāna‘i organizuje się polowania), a także torby golfowe marki Louis Vuitton i pudła z kapeluszami

Chanel. Na Lāna‘i znajdzie się zarówno najbardziej spartańskie, jak i najbardziej luksusowe hotele na Hawajach. Wyjątkowa zaleta Lāna‘i polega na tym, że turystę z plecakiem witają równie serdecznie jak miliardera.

Lāna‘i podobnie jak Ni‘ihau została sprzedana przez monarchów hawajskich nabywcom prywatnym. W swoim czasie należała nawet do tej samej rodziny, która do dzisiaj włada Ni‘ihau. Kolejni właściciele rozmaicie postrzegali jej przeznaczenie – jako wielkiego rancza, jako ziemi obiecanej, gdy przez pewien czas należała do mormonów, jako cudownego ogrodu botanicznego i rezerwatu dzikiej zwierzyny – aż w 1922 roku Lāna‘i kupił - James Dole i sześć tysięcy hektarów obsadził ananasami. Na planie przecinających się pod kątem prostym ulic wybudowano kompanijne miasteczko złożone ze skromnych domów i nazwano je szumnie Lāna‘i City. Przez siedemdziesiąt lat ogromna większość dwóch tysięcy dwustu mieszkańców – głównie osób o filipińskich lub japońskich korzeniach – pracowała przy mozolnej uprawie ananasów.

Ze względu na wysokie koszty pracy hawajskie plantacje ananasów od dość dawna nie wytrzymują konkurencji tańszych plantacji z Filipin i Ameryki Środkowej. Mimo to widmo likwidacji zawisło nad nimi dopiero pięć lat temu, kiedy zawiadujący inwestor David Murdock przejął kontrolę nad Castle & Cooke, do której od lat pięćdziesiątych należała kompania Dole i wyspa Lāna‘i. Przekonany, że uprawa ananasów nie ma przyszłości, Murdock oszacował potencjał Lāna‘i i stworzył szeroko zakrojony plan rozwoju całej wyspy. Działał po pańsku i z rozmachem, ale przecież jest właścicielem Lāna‘i. Kiedy przejął wyspę, mieli tam tylko jeden hotel – stojący na wzgórzu na skraju Lāna‘i City skromny, uroczy, staroświecki przybytek złożony z zaledwie dziesięciu pokoi, który nosi oczywiście nazwę Hotel Lāna‘i.

Murdock uznał, że największe atuty Lāna‘i to pejzaże i dwie strefy klimatyczne. Pierwszy luksusowy hotel postanowił wybudować wśród mgieł i araukarii na wzgórzach nad Lāna‘i City. Ośrodek Lodge at Koele utrzymany jest w stylu angielskiego czy kolonialnego pałacu myśliwskiego z przełomu wieków; z werandami i wysokimi kominkami równie dobrze mógłby stać na wyżynach Kenii. Drugi hotel, Manele Bay, Murdock umiejscowił w odległości piętnastu kilometrów od pierwszego, nad plażą na brzegu malowniczej zatoki,

i nadał mu formę wielkiej śródziemnomorskiej willi krytej dachówką, zdobionej stiukami i otoczonej pięknymi ogrodami.

Nagle i radykalne zmiany początkowo wystraszyły mieszkańców Lāna‘i City, obeznanych jedynie z uprawą ananasów i nawykłych do kompanijnej rutyny. Natychmiast zawiązała się koalicja nieprzejednanych obrońców *status quo*, których hasłem jest zawołanie „po naszym trupie”, a chociaż jej szeregi się przerzedzają, nadal wyraża głośny sprzeciw, powołując się na nędzny los sąsiedniej Maui, zamienionej w posępny ośrodek turystyczny, który w lwiej części wygląda jak przedmieścia San Diego. Inni przeciwnicy zmian wypisali na sztandarach „nie chcemy tutaj bogaczy” i namawiają do przemyślenia skutków wybudowania luksusowych hoteli na wyspie. Powstał również obóz umiarkowany, który można nazwać stowarzyszeniem na rzecz sensownego rozwoju i który pragnie po prostu współdecydować o przyszłości wyspy. Pan Murdock wysłuchał rzeczników wszystkich stron, demonstrując niekiedy cierpliwość i wyrozumiałość, niekiedy zaś megalomanię i upór godne zaiste generała Bullmoose’a<sup>[73]</sup>. Przeważa poczucie, że szczęście i pomyślność wyspiarzy leżą w najlepszym interesie pana Murdocka, nawet jeżeli oznacza to zmiany. Ponadto tli się niepokój – a właściwie paniczny strach – że w obliczu przeciwności pan Murdock może się zniechęcić do inwestowania w niewdzięczników i sprzeda wszystko Japończykom, którzy zagospodarują wyspę po swojemu, obracając ją w połączenie klubu golfowego z obozem pracy, co z ukontentowaniem uczynili w wielu innych miejscach.

Prócz protestów i zamieszania zmiany przyniosły jednak również coś bardzo pocieszającego. Otóż dzieci zbieraczy ananasów, które uciekły z Lāna‘i na inne wyspy lub na kontynent w poszukiwaniu ciekawszych i lepiej płatnych zajęć, zaczęły wracać do domu, zatrudniały się w hotelach i rzeczywiście odmłodziły wyspę podstarzałych pracowników plantacji. Na przykład dyrektor Koele Kurt Matsumoto urodził się na Lāna‘i, podobnie jak ogromna większość hotelowego personelu.

– Nigdy nie wróciłbym tutaj, żeby zbierać ananasy – powiedział Darek, zatrudniony w Manele kierowca furgonetki. – Ale to co innego. Ta praca mi się podoba.

– Rodzice chcieli, żebym wróciła na Lāna‘i – mówiła Linda. – Ale nie chciałam. Bo i na co mogłam liczyć? Plantacja i praca na polach za pięć dolarów na godzinę.

Roześmiała się na myśl o tym. Pracowała w San Diego jako kelnerka i gdy tylko dowiedziała się o hotelach, wróciła na wyspę do rodziców i zatrudniła się w restauracji w Manele.

Ciągle słyszałem podobne historie. Niektórzy, jak choćby Perlita, dziesięć czy piętnaście lat pracowali na plantacji ananasów, a potem dołączyli do personelu hotelowego.

– Mój ojciec tyrał w polu przez czterdzieści pięć lat – opowiadał nauczyciel Dick Trujillo. Jedliśmy kanapki z rybą w S&T, jednym z kilku bistro w Lāna‘i City, których specjalnością jest złożony z trzech dań hawajski *plate lunch*. – Sprzeciwiał się zmianom. Na Lāna‘i panowała mentalność niewolnika, przekonanie, że nie pójdziesz wyżej, że zawsze są zarządcy i robotnicy, dwie klasy, a jeżeli jesteś dzieckiem robotnika, to nie masz prawa studiować i się rozwijać.

Po ukończeniu Uniwersytetu Hawajskiego Dick pracował w Honolulu, ale gorączkowość i wysokie koszty życia w dużym mieście skłoniły go do powrotu na Lāna‘i. Tak, zatęsknił do spokojnego, a nawet sielskiego życia wśród zadbanych parterowych domków z pięknym ogródkiem.

– Jesteśmy przeżytkiem, zapóźnieni jakieś dwadzieścia pięć lat – stwierdził Henry Yamamoto z wydziału straży leśnej Lāna‘i Company, gdzie zajmuje się organizowaniem polowań, głównie comiesięcznych odstrzałów redukcyjnych. Opowiadał, że starają się utrzymać pogłowie jeleni na poziomie około czterech tysięcy sztuk. – Coś musiało się zmienić – rzekł w kontekście końca epoki uprawy ananasów i początku ery turystyki.

Niemal wszyscy moi rozmówcy na Lāna‘i wspominali o silnym poczuciu wspólnoty wśród wyspiarzy. Solidarność sąsiedzka nie jest mitem. Świadczy o niej dobitnie pogoda ducha miejscowych i ich życzliwość wobec obcych.

– Zamierzam wrócić na Lāna‘i po studiach – powiedział Roderick. Studiował rekreację i wypoczynek, a w lecie pracował w Koele jako kelner. – Chciałbym się jakoś odwdzięczyć swoim – dodał. Takie poczucie przywiązania i wdzięczności nie zdarza się często na innych wyspach i byłem

przeświadczony, że wypływa z rzeczywiście zdrowego ducha wspólnoty na Lāna‘i.

Rodowici Hawajczycy na Lāna‘i żywo interesują się historią i kulturą, studiują tradycyjną muzykę, tańce i sztukę. Prace artystyczne na wyspie – murale, dekoracje, malowidła kwiatowe na hotelach – są dziełem miejscowych twórców wspieranych przez specjalną fundację założoną przez Castle & Cooke.

Historia osadnictwa hawajskiego na Lāna‘i sięga xv wieku. Na wyspie znajdziemy wiele śladów historii, ruin świątyń, kamiennych platform, na których budowano domy, rzeźb w skale i kamieniu. Dotychczas nie przeprowadzono szerszych prac archeologicznych, więc ilekroć wędrowałem przez wysokie trawy na wietrznych stokach wzgórz, czułem dreszcz podniecenia. Wprawdzie owe ruiny odnajdywałem, kierując się informacjami z przewodników lub wskazówkami miejscowych, ale nie zostały one zagospodarowane i są dziewicze – nie ma drogowskazów, strzałek, tablic. W ciszy i pustce tych miejsc ulegałem złudzeniu, że jestem samotnym odkrywcą.

Zakosztowawszy wyrafinowanej kuchni i życia sybaryty w hotelach Koele i Manele Bay, rozbiłem obóz opodal Shipwreck Beach na północnym wybrzeżu wyspy. Żeby się schronić przed wiatrem, namiot postawiłem w zagajniku drzew *kiawe* w niecce Halulu Gulch. To nawietrzne wybrzeże ma silny przybój, ale jest absolutnie puste i wymarzone do nurkowania i wędrówek. Nocą gałęzie *kiawe* szeleściły i mamrotały niczym żywe stworzenia. Na wschodzie jarzyły się światła Maui, a za pobielonym przez księżyc przybojem w kanale majaczyła czarna sylweta Moloka‘i.

Rano, zanim wzmógł się wiatr, pływałem kajakiem wzdłuż rafy. O jakieś trzy kilometry na zachód z morza sterczy skorodowany kadłub transportowca typu Liberty, który się rozbił o rafę. Popłynąłem do niego i zobaczyłem tam szczątki jeszcze innych statków. Na plaży walały się zaplątane w kawałki sieci deski z pokładów zatopionych statków, a dalej widziałem wyrzucone na brzeg, obłuczone kontenery zmyte z pokładów wraków świeższej daty. Rejon Shipwreck Beach uchodzi za najlepsze na Lāna‘i miejsce dla zbieraczy przedmiotów wyrzuconych przez morze – miłośników szklanych pływaków

rybackich, muszelek i listów w butelkach. Tamtejsze plaże były poprzecinane ścieżkami jeleni, ale nie spostrzegłem żadnego z tych ostrożnych stworzeń. Pusto, przez półtora dnia nie spotkałem ani żywego ducha.

Zostawiwszy kajak na brzegu, wędrowałem po gołych, smaganych wiatrem skałach – ta strona Lāna‘i przypomina surowe wybrzeża Szkocji – i natrafiałem na petroglify i kamienne tarasy, które mogły pochodzić z czasów Kamehamehy I, króla, który w 1795 roku zjednoczył Hawaje. Wieść głosi, że Kamehameha I spędzał lato na przeciwległym wybrzeżu Lāna‘i. Trudno powiedzieć, czy to prawda, chociaż historycy twierdzą, że król rzeczywiście od czasu do czasu mieszkał na tej wyspie. Miejscem szczególnie związanym z jego imieniem jest Kaunolu, niesamowite ruiny rozległego siedliska na południowym wybrzeżu Lāna‘i, ale jeden z hawajskich historyków z Lāna‘i powiedział mi, że „to mogą być opowieści w stylu »tutaj spał Jerzy Waszyngton«”.

Pakowałem kajak do jeepa i gruntowymi drogami jeździłem na inne plaże, skąd wyruszałem na wycieczki wioślarskie. Potem pojechałem w głąb lądu, żeby zwiedzić miejsce zwane Ogrodem Bogów, przedziwny skalisty płaskowyż w północno-wschodniej części wyspy, gdzie wiatr płacze w długich szpilkach karłowatych araukarii, a wielkie głązy wytworzone przez erozję wyglądają jak ruiny świątyni i ołtarzy. Przemierzając Munro Trail na wysokości sześciuset metrów, musiałem wdziać sweter, żeby nie zmarznąć w zimnym i dżdżystym powietrzu.

Stereotypowe Hawaje to słoneczna plaża, zabawne koszule, palmy i surferzy. Lāna‘i ma to wszystko, ale i o wiele więcej. Idąc Fraser Avenue wzdłuż plantacji ananasów i mijając numerowane ulice wiodące w głąb Lāna‘i City – proste domy, sklepy spożywcze, bistra, piekarnię, samoobsługową pralnię, wszystko w drewnianych budynkach – trudno uwolnić się od wrażenia, że jesteśmy w pomysłowym skansenie hawajskiej historii.

Staroświecki wygląd miasteczka nie jest jednak złudzeniem ani mistyfikacją. To skromne i jakby wyblakłe niczym stara fotografia siedlisko jest żywą pozostałością starych Hawajów – tego rodzaju miasteczkiem zrosniętym z plantacją, jakie rozkwiatały wszędzie na tych wyspach przed II wojną światową i aż do początków epoki masowej turystyki. Niemal każdy



budynek w Lāna‘i City wygląda tak, jak gdyby pochodził z 1935 roku. Wierni przeszłości, konserwatywni z natury mieszkańcy Lāna‘i nie palą się do modernizacji, a w dodatku prawie wszystkie domy należą do kompanii. Bogaci kupują drogie mocne samochody. Jediną widoczną oznaką wysokiego statusu materialnego jest półciężarówka z napędem na cztery koła, a Lāna‘i to prawdziwy raj z punktu widzenia miłośników jazdy terenowej.

Efekty trzystu milionów dolarów zainwestowanych w Lāna‘i przez Castle & Cooke nie rzucają się w oczy. Doskonała szkoła średnia znajduje się na jednym skraju miasteczka, nowe osiedle – na drugim. Jak na warunki tej wyspy luksusowe hotele i pola golfowe urządzono w miejscach ustronnych. I tak być powinno. Źle by się stało, gdyby tego rodzaju przybytki popsuły tradycyjny pejzaż wyspy, a przy Eighth Street wybudowano centrum handlowe. Taka groźba oczywiście istnieje, ponieważ nic nie jest bardziej kosztowne od ochrony zabytków, ale tymczasem wygląda na to, że właściciel wyspy potrafi tchnąć nowe życie w tę krainę, nie bezczeszcząc jej.

## rozdział\_dwudziesty szósty\_

### Big Island: wiosłowanie w stanie łaski

**Obawiałem** się zapytać, ile mnie to będzie kosztowało, gdy wprowadziłem się do Orchid Bungalow, luksusowego domu na brzegu morza. Powiadano, że to najwspanialsze lokum na Hawajach, a już przedtem odniosłem wrażenie, że Hawaje to synonim największego luksusu na świecie.

Jakoś zdobyłem się na odwagę, żeby zadać to pytanie, kiedy spotkałem panią L'Eplattenier, dyrektor tego bungalowu.

– Dwa i pół tysiąca dolarów dziennie – odparła, rozsuwając zasłony, żeby pokazać mi basen kąpielowy.

Musiałem się wzdrygnąć, bo spojrzała na mnie z uśmiechem.

– Obejmuje to śniadanie kontynentalne – dodała.

Wybrzeże Kohala, kawałek na północ od zatoki Kealakekua, gdzie w lutym 1779 roku zatłuczono na śmierć kapitana Cooka. Nie sposób podróżować po Pacyfiku – choćby krótko – i nie nabrać głębokiego podziwu dla tego herosa żeglarstwa i eksploracji, który – rzecz niezwykła u wielkiego kapitana – był na wskroś dobrym człowiekiem.

Wyruszywszy dziewięć miesięcy wcześniej z Ni'ihau na poszukiwanie przejścia północno-zachodniego – czyli drogi na Atlantyk – i znalazłszy tylko niebezpieczne lody i skaliste wybrzeża, Cook wrócił na Hawaje, żeby odpocząć. Tym razem jego dwa okręty zawinęły na Maui, gdzie Cook z goryczą zanotował w dzienniku, że franca, którą przywlekli na Kaua'i i Ni'ihau, przedostała się już i na tę wyspę. Odpłynęli na Hawai'i i nawiązali kontakt z krajowcami. Cook napotkał większe niż kiedykolwiek trudności w porozumiewaniu się z wyspiarzami. Ich reakcje go zdumiewały. Hawajczycy nadal serio zastanawiali się, czy Cook to aby nie sam bóg Lono na swojej pływającej wyspie.

Wynikło z tego zderzenie kultur, komedia omyłek, tragifarsa nieporozumień, jakie siłą rzeczy prowadzą do użycia przemocy. Czy ten *haole* naprawdę jest bogiem Lono? Czy ci marynarze są niebezpieczni? Cook poznał wiekowego króla Kalani'ōpu'u, który traktował go jak osobę równą sobie. Tymczasem William Bligh i inni sporządzali mapy, zbierali artefakty, szkicowali pejzaże i scenki rodzajowe ukazujące zwyczaje krajowców. Niepohamowana namiętność wyspiarzy do metalu sprawiała, że drobne kradzieże nie miały końca. Ludzie Cooka reagowali niekiedy brutalnie, nieświadomie dopuszczali się profanacji. Okręty były wręcz oblegane przez żądnych żelaza wyspiarzy, którzy znaleźli nawet sposoby na wyciąganie gwoździ z poszycia statków.

Tak to się toczyło przez prawie cztery miesiące, aż do tragicznego finału. Otóż pewnej nocy wyspiarze ukradli najlepszą szalupę okrętową, niezbędny element wyposażenia ekspedycji, co tak rozzłościło Cooka, że wyprawił się na wyspę, żeby wziąć króla na zakładnika i w ten sposób wymusić zwrot łodzi. Początkowo król zachowywał się życzliwie. Doszło do rozmów, ale wkrótce nawarstwiły się nieporozumienia, a w końcu pojawił się strach. Wyspiarze zaczęli grozić przybyszom, wystraszeni ludzie Cooka wystrzelili z muszkietów. Na plaży zebrało się co najmniej tysiąc krajowców. Poleciały kamienie. Uderzony kamieniem Cook padł na ziemię, dostał potężny cios pałką, zawleczono go do morza, przytrzymano pod wodą, zadźgano i utopiono.

„Usprawiedliwione zabójstwo”<sup>[74]</sup>, skwitował Mark Twain w poświęconym Big Island rozdziale *Pod gołym niebem*. Twain uważał, że Cook zachował się niewdziecznie i wojowniczo i że sam się prosił o śmierć, udając boga Lono. Ale prawda jest taka, że biedny Cook zginął w bezsensownej utarczce, w wynikłym ze strachu i gniewu zamieszaniu, nad którym nikt w porę nie zapanował. Los przeznaczył mu śmierć niegodną bohatera, ale ludzką i przerażającą, owoc fatalnego splotu okoliczności, śmierć, jakiej chyba wszyscy się obawiamy. I chociaż zatarg potem załagodzony, nazajutrz grupka wyspiarzy wdziała bryczesy i koszule zabitych białych, poszła na plażę i – zgodnie ze starym polinezyjskim zwyczajem okazywania pogardy wrogom – wypięła gołe tyłki na żeglarzy.

Plaża nad zatoką Kealakekua nadal usiana jest kamieniami jak gdyby stworzonymi do roli oręza.

Nad zatoką jak okiem sięgnąć – przetykane z rzadka gajem palmowym lub splechciem łąki – ciągną się wulkaniczne skały zwane *a'a*, które wyglądają niczym hałdy brunatno-czarnego żużlu wielkości głazów. Surowy pejzaż sprawia, że nie budowano tam wiele. Powstały trzy duże ośrodki turystyczne, ale to oddalone od siebie oazy zieleni na brzegu morza na końcu jęzorów zastygłej lawy. Na tej zawietrznej stronie wyspy rzadko pada (w sumie dwieście pięćdziesiąt milimetrów rocznie), więc owo zachodnie wybrzeże Big Island – zwane Kaniku Lava Flow – jest zbiegającą ku morzu czarną kamienistą pustynią wulkanicznych skał.

Orchid Bungalow jest jedną z czterech luksusowych rezydencji w Mauna Lani Resort, a że akurat trwał turniej golfa, sąsiadowałem z Arnoldem Palmerem (zajmującym Plumerię), Lee Trevinem (rezydującym w Hibiscusie) i Garym Playerem (mieszkańcem Bird of Paradise). Jack Nicklaus właśnie się wyprowadził z Orchida. Obecnie na tym wybrzeżu tylko golfiści machają kijami.

– Dziwne rzeczy przytrafiają się gościom zajmującym te rezydencje – opowiadał dyrektor Mauna Lani. – Zapadają na „gorączkę rezydencjalną”, jak to nazywamy. Wprowadzają się i wszystkie posiłki jedzą u siebie. Korzystają z całodobowej obsługi. Wydają przyjęcia w domu i w ogrodzie przy ruszcie. Nie wychodzą. A kiedy pora zwolnić numer, nie chcą wyjeżdżać.

Obecny rekord długości pobytu w jednej z tych rezydencji kosztujących dwa i pół tysiąca dolarów za dobę należy do Dustina Hoffmana, który nie wyściubiając nosa poza obręb swojej oazy luksusu, spędził tam pełne cztery tygodnie.

W dniu, w którym się wprowadziłem do Orchid Bungalow, słońce oświetlało nakryty czapą śniegu krater Mauna Loa, a pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem z werandy (czyli *lanai*), był ogromny humbak, który przez całe popołudnie pluskał się w morzu, tłukąc ogonem o wodę.

Tamtego wieczoru zaproszono mnie na przyjęcie wydane z okazji turnieju golfowego. Połyskujący w świetle księżyca Pacyfik rozpościerał się tuż za bufetem z owocami morza, przy którym stał uśmiechnięty od ucha do ucha Bryant Gumbel. Kiedy prezes Rolexa unosił do ust krewetkę z rusztu, spod rękawa koszuli ukazał się rolex el presidente. Co najmniej jedno takie cacko

trafiło wtedy do rąk szczęśliwego golfisty. Rozmawiałem z mężczyzną w brzydkiej koszuli.

– Mam dwusilnikowy odrzutowiec z harleyem davidsonem na pokładzie. Mogę lecieć, gdzie tylko chcę. Dokąd powinienem pojechać? Tylko nie mów, że do Europy. Nie cierpię Europy.

– Wie pan, skąd ma pieniądze? – zapytał mnie później inny rozmówca. – Jest multimilionerem. Jego ojciec wymyślił wózek sklepowy.

– To zupełnie tak, jakby wymyślił łyżkę – powiedziałem. – Albo otwieracz do puszek.

– Charo i Sylvester Stallone mają domy na Kaua‘i – mówił ktoś. – Ona była żoną Xaviera Cugata. Dawniej na O‘ahu widywaliśmy Williego Nelsona. Biegał.

– Jeżeli zna pan politykę japońskich banków, to pojmie pan japońskie inwestycje w Honolulu. Ludzie zaraz po wyjściu z samolotu dostają kredyt hipoteczny na między dwa a pięć procent i mogą pożyczyć nawet sto dwadzieścia procent ceny nieruchomości.

– Japończycy uwielbiają pamiątki disnejowskie, zwłaszcza Myszkę Miki. Ale są też fanatykami jakości. Hermès otworzył sklep w Honolulu głównie pod klienta japońskiego. Mówię o jedwabnych koszulach po tysiąc trzysta dolarów za sztukę.

– Kiedyś sikali do umywalki – rzekł któryś z hotelarzy, uśmiechając się na wspomnienie o tym. – Jeszcze dziesięć, piętnaście lat temu, w dobrym hotelu, zamożni goście. Żeby załatwić większą potrzebę, kucali na sedesie. Podejrzewam, że przywykli do podłych warunków sanitarnych u siebie w kraju. Wyciągali się na kanapach w holu i ucinali sobie drzemkę. W części publicznej chodzili w pidżamach czy kimonach, bo ja wiem. Musieliśmy zawieszać tabliczki z napisem: „Prosimy nie sikać do umywalki”.

Po drugiej stronie trawnika japońscy potentaci o myląco dziecięcym wyglądzie oblegali Arnolda Palmera, którego nazwiska Japończyk właściwie nie jest w stanie wymówić. Przylecieli z Tokio na turniej i teraz podsuwali Palmerowi czapki i daszki, żeby złożył autograf, co czynił bez słowa protestu.

Jeden z tych japońskich dzentelmenów wprowadził się do Plumeria Bungalow, gdy Arnold Palmer go zwolnił. Codziennie długaśna limuzyna

podjeżdżała pod główne drzwi, po czym cała familia – ojciec, matka i czworo dzieci – zniknęła za przyciemnionymi szybami i szybko odjeżdżała w dal. Wkrótce jednak znowu widziałem ich w ogrodzie, jak wachają kwiatki i baraszkują w basenie.

Różne formy gorączki rezydencjalnej dopadły golfistów. Gary Player chciał zabrać ze sobą do Afryki Południowej kamerdynera i tak go zachwycił projekt bungalowu, że poprosił dyrekcję o kopię planu architektonicznego. Słyszałem, że również Nicklaus prosił o plany. Wszyscy zapowiadali, że wrócą, gdy tylko będą mogli. Nie przesadzono, obiecując luksusy, a dwa i pół tysiąca dolarów za dobę to nie tak znowu słono jak na możliwości golfisty. A może oni nie muszą płacić? Niektórzy to chodzące reklamy. Lee Trevino reklamował na czapce pewną markę japońskich samochodów i nigdy nie pokazywał się z gołą głową. Golfista klasy Trevina za taką usługę może dostać pół miliona dolarów. Noszą naszywki na koszuli. Mają wielkie logo na torbie z kijami. Uważają się za sportsmenów, ale niektórzy są raczej słupami reklamowymi.

Gillian, kobieta, która powiedziała mi, ile kosztuje doba pobytu w bungalowach, i dowcipnie dodała: „Obejmuje to śniadanie kontynentalne”, odwiedziła mnie w Orchid Bungalow, żeby sprawdzić, czy mi wygodnie.

– Bardzo wygodnie – zapewniłem.

Miałem dwie wielkie sypialnie z osobnym zapleczem do odnowy biologicznej, a więc łaźnią parową, wanną do masażu wodnego i oranżerią. W części środkowej wysoki, otwarty do dachu salon wielkości połowy boiska do koszykówki, z kąciakiem rozrywki w południowo-zachodnim rogu, wyposażony w telewizor, magnetowid, magnetofon kasetowy i odtwarzacz płyt kompaktowych.

„Zwykle sypiam w namiocie”, mogłem dodać.

Gillian poinformowała mnie, że Orchid Bungalow niedawno pojawił się w odcinku popularnego programu telewizyjnego *Lifestyles of the Rich and Famous* [Jak żyją sławni i bogaci]. Powiedziała, że stoły i niektóre inne meble wycięto z bloków marmuru włoskiego, a dywany utkano w Anglii według projektu architekta, który opracował pasujące do marmuru desenie w barwach szarości i burgunda. Czy zwróciłem uwagę na barek, zaopatrzony w siedemnaście dziewiczych butelek najlepszych trunków? Czy mam jakieś

życzenia odnośnie do basenu, który – podobnie jak ogrodowe jacuzzi – jest wyłącznie do mojej dyspozycji?

– Przygotowaliśmy kilka płyt kompaktowych z muzyką, która może się panu podobać.

Kenny Rogers, Fleetwood Mac, Eric Clapton, Cher. Nieważne. Mogłem wybierać z długaśnego katalogu.

– Wkrótce zjawi się szef kuchni, żeby poprosić o instrukcje w sprawie lunchu i kolacji – powiedziała pani dyrektor i znikła.

Właśnie tak działali. Nagle materializowali się kamerdyner lub pokojówka, przynosząc owoce albo kawior, czyszcząc powierzchnię basenu, rozstawiając wazon z kwiatami. Wszystko czynili bezszelestnie, jak gdyby sunęli w powietrzu parę centymetrów nad posadzką. Każde życzenie spełniali natychmiast, z gracją i bez cienia pompatyczności – zamiast póź i absurdalnych komentarzy w stylu Jeevesa sprawność i uśmiech, poczynając od Richarda, który zajmował się tylko moim basenem, po Orrina, kamerdynera, który podawał do stołu i otwierał szampana.

Co rano, zanim zrobiłem cokolwiek innego, siedłem z sypialni do salonu, rozsuwałem drzwi na *lanai*, po czym maszerowałem wzdłuż basenu na kraniec moich włości, gdzie sadzawka z odpowiednio dużymi rybami – tylko moja rybna sadzawka – oddzielała mnie od plaży. Palmy kokosowe chyliły się nad piaskiem, a laguna na skraju zatoki odcinała się zielono od błękitnego morza. Plaża też była moja, cały Pacyfik był mój, wszystkie szczęśliwe wyspy Oceanii – tak samo jak tamta luksusowa rezydencja. Ale czy mój kucharz odrobinę się nie spóźnia? Kiedy zobaczyłem kogoś na plaży, czułem się nieco urażony, odrywałem usta z niesmakiem i już miałem wzywać ochronę, gdy przypomniałem sobie, że na Hawajach wszystkie plaże są publiczne.

Odruchowe oburzenie, które czułem na widok kogoś innego na plaży – jak gdyby wobec śladu stopy Piętaszka – uzmysłowiło mi, jak szybko się przyzwyczaiłem do życia w stylu miliardera. „O kurczę, mógłbym się przyzwyczaić!”, wołają ludzie, kiedy nieoczekiwanie spotka ich coś bardzo przyjemnego. Rzeczywiście, święte słowa. Wszystkie luksusy są takie same, a każda bieda jest żałosna w sobie właściwy sposób, można by rzec, trawestując Tołstoja. Nic łatwiejszego na tym łożu padole, jak zasmakować

w wygodnym życiu. Człowiek spróbuje pierwszej klasy w samolocie i hotel w klasie ekonomicznej zaczyna uwierać w tyłek. Odrobina luksusu zatruwa na całe życie i nie ma na to lekarstwa. Ból nie odciska się na zawsze w pamięci, natomiast luksus – jak najbardziej. To cudowne, że pamięć o szczęściu jest tak trwała, ale w iluż to okolicznościach staje się przekleństwem. Dać skosztować człowiekowi szczęścia, a potem zabrać mu je bezpowrotnie – oto kara okrutniejsza od najgorszej tortury.

Jedyny kłopot z Orchid Bungalow polegał na tym, że dzień jest za krótki. Czytanie, wylegiwanie się w słońcu, ćwiczenie, pływanie, relaks w jacuzzi, delektowanie się wystawnymi potrawami, picie szampana, słuchanie muzyki sprawiało mi taką przyjemność, że najchętniej robiłbym wszystko naraz. Nauczyłem się łączyć niektóre z tych zajęć. Zrozumiałem, dlaczego wielu multimilionerów – jak choćby Axel Springer i Somerset Maugham – poddaje się rokrocznie kuracji za pomocą zastrzyków eliksiru długowieczności. Badania nad przedłużeniem życia ludzkiego finansuje rzesza bogatych, którzy kierują się najbardziej egoistycznymi motywami. Bezpośrednia przyjemność związana z nieprzyzwoicie wielkim bogactwem najwyraźniej ma w sobie coś takiego, że człowiek chce żyć dłużej.

Słońce pieścące mnie z bezchmurnego nieba w jednym z najpiękniejszych miejsc na świecie tylko dopełniało miary mego szczęścia. Wydawałoby się, że przyjemność ma granice, ale Orchid Bungalow dowodził, że jest czarą bez dna. Szczęśliwszy mógłbym być chyba tylko wtedy, gdybym te wspaniałości dzielił z drugą osobą.

– A co gdybym chciał wydać proszoną kolację? – zapytałem pewnego razu Pieta Wigmansa, szefa kuchni, kiedy przyszedł ustalić kartę dnia. – Powiedzmy na sześć osób.

– Co tylko pan sobie życzy – odparł. Wyrecytował listę potraw, które mógłby przyrządzić. Różne miejscowe ryby, tuńczyk i *opakapaka* (różowik), krewetki z O’ahu, kraby i tak dalej. Proponował również homary z Maine, nowozelandzkie małże, chilijskie szparagi, świeże awokado i owoce męczennicy. Był prawdziwym mistrzem patelni. Szefował w wielkich restauracjach w San Francisco i przy plaży w Dorado. („Jak pan sobie dawał radę w Portoryko?” – zapytałem. „Doskonale. Mam bicz” – odparł).



Wybrałem pikantną zupę z krabów, a po niej sałatę ze szpinaku z awokado. Jako danie główne – *opakapaka sauté* w sosie cytrynowym, do tego zasmażane młodziutkie szparagi, gruszka śnieżna i czosnkowe ziemniaki. Na deser suflet czekoladowy grand marnier. Kiedy szef kuchni zaczyna mówić o młodziutkich warzywach, wiadomo, że wkraczamy w strefę trzycyfrową.

– Czy omówimy teraz kwestię win? – zapytał szef Piet.

Omówiliśmy, wybraliśmy w sumie cztery. Kiedy Piet wyszedł, poczułem się nieco znużony tyłoma wcale nie prostymi wyborami, więc odświeżyłem się kąpielą w basenie i drzemką na mojej słonecznej *lanai*.

Gości miałem wspaniałych, wszystko nowi hawajscy znajomi, inteligentni, tryskający zdrowiem, zadowoleni z życia ludzie sukcesu. Mieszkali w tym samym miniaturowym raju, ale wyrazili stosowny zachwyt Orchid Bungalow, moją hotelową wersją Xanadu.

Wśród moich gości był wybitny adwokat George Davis, człowiek niezwykle błyskotliwy i nadal czynny zawodowo pomimo osiemdziesięciu trzech lat na karku, nieco podobny do Roberta Frosta. W swoim czasie Davis bronił Caryla Chessmana, który został skazany na śmierć. Przy którymś z dań opowiadał o ostatnim spotkaniu z Chessmanem w 1960 roku, w noc przed egzekucją. Chessman nikogo nie zabił. Skazano go za udział w sfuszerowanym porwaniu. Jako więzień wydał doskonale napisaną książkę, w której przekonująco bronił swojej niewinności i która przyniosła mu sławę. W świetle współczesnych kryteriów jego rzekome przestępstwo nie jest zbrodnią, a choćby nawet popełnił je dzisiaj, nie skazano by go na śmierć, ponieważ nie jest już zagrożone karą główną.

Tamtej nocy Chessman pożegnał się ze swoim obrońcą.

– Ściskasz rękę trupa, George – powiedział, kiedy się rozstawali.

Kilka godzin później został stracony na krześle elektrycznym<sup>[75]</sup>.

Po kolacji zostałem sam i wyszedłem do ogrodu. Basen jarzył się stłumionym blaskiem, palmy gaworzyły, roztopione światło księżyca rozlewało się na powierzchni Pacyfiku. Usiadłem pod inkrustowanym gwiazdami niebem i daremnie próbowałem wyobrazić sobie, jak to jest siedzieć latami w celi śmierci. Wyjąłem kieszonkowy kalkulator i postukałem w klawisze – pip, pip, pip. No tak. Licząc dwa i pół tysiąca dolarów za dobę,

mieszkanie w Orchid Bungalow do 2024 roku, kiedy skończę osiemdziesiąt trzy lata, kosztowałoby jakieś trzydzieści dwa miliony dolarów.

Już po dwóch dniach luksus na mnie wpłynął, i to głęboko. Wstrząsnął całym moim jestestwem i błyskawicznie mnie odmienił – w sobie właściwy sposób, niczym narkotyk. Czułem się wspaniale, wylegając się półprzytomny w słońcu, ale przypominało to bytowanie zwierzęcia w zoo – rozkoszowanie się zniewalającą wygodą, która najpierw otępi mnie, potem utuczy, a w końcu doprowadzi do szaleństwa. Wcale jednak się nie martwiłem, bo przy tych cenach owo zbyt dobre życie w żadnym razie nie mogło trwać długo.

Stawiałem pewien opór. Narzuciłem sobie dyscyplinę i wstrzeźliwość. Zagnieździłem się w kącie salonu, żeby pracować, i podzieliłem dzień na trzy części – poranek i przedpołudnie, kiedy piłem herbatę i pisałem, popołudnie, kiedy po lekkim obiedzie pływałem, a potem aż do błogiego odrętwienia pławiłem się w gorącej kąpieli, i wieczór, osnuty wokół kolacji przygotowanej przez mistrza Pieta, złożonej zazwyczaj z owoców morza przyrządzonych tak wspaniale, że przestałem prosić kamerdynera o tabasco, ale bez względu na menu mającej charakter precyzyjnie wyreżyserowanego spektaklu teatralnego.

Niezawodne słońce, niezawodny humbak, codzienny towarzysz baraszujący i pluskający się blisko brzegu. Uczestniczyłem we wspaniałości i chwale tej krainy, ale w zasadzie jako obserwator zamknięty w siedlisku funkcjonującym niczym skomplikowany i troskliwy organizm, który mnie karmił, chłodził i z matczyną czułością kołysał do snu. Wiodłem egzystencję odpowiadającą idealnie wyrażeniu *splendid isolation*, wspaniale odosobnienie.

Ale cóż w tym swoiście hawajskiego? Chwilami wydawało mi się, że moje zbyt dobre siedlisko nie różni się niczym od któregośkolwiek innego słonecznego rajku na Karaibach, w Śródziemnomorzu lub na wybrzeżu Afryki. A jednak nie – takie kwiaty i wonie są tylko na Hawajach, takie wielkie grzywacze przełamują się tylko przy rafach na Pacyfiku, no i te wysokie chmury, skały koralowe, rozległe ciemne pejzaże wulkaniczne, gigantyczne hałdy kamienistej lawy *a'a*, pomarszczone i pofałdowane skamieniałe jeziora

lawy *pāhoehoe*, wyglądające niczym roztopiony parking, no i ta gościnność, te uśmiechy i aura obfitości. Wszystko to należy do samej istoty Hawajów.

Gorzka rzeczywistość polegała na tym, że te cuda kosztowały dwa i pół tysiąca dolarów dziennie. Zacząłem się zastanawiać, co byłoby tego przeciwieństwem. Co się dzieje, kiedy człowiek żyje w raju najtaniej, jak się da? Właśnie, ile przyjemności można mieć na Hawajach za jedną tysięczną ceny luksusu, a więc za dwa i pół dolara dziennie?

**Nadal** miałem ze sobą sprzęt biwakowy, a mianowicie namiot, kuchenkę, naczynia, bukłak na wodę i szwajcarski scyzoryk. Składany kajak zostawiłem w Honolulu, ale na szczęście poznałem jednego z najsłynniejszych kajakarzy hawajskich, który pożyczył mi nadmuchiwany kajak i wiosło. Postanowiłem wymeldować się z Orchid Bungalow, zanim gorączka rezydencjalna przybierze ostrą postać, i wyruszyć kajakiem w rejs wzdłuż wybrzeża. Zamierzałem znaleźć spokojną zatoczkę, rozbić obóz i żyć za owe dwa i pół dolara dziennie, a najlepiej w ogóle za darmo.

Kiedy podliczyłem koszt makaronu, kuskusu, owoców i warzyw, które zapakowałem do kajaka, wyszło, że aprowizacja kosztowała mnie dwa dolary i osiemnaście centów dziennie. Zostawało więc trzydzieści dwa centy na przepuszczenie, ale tylko teoretycznie, bo do najbliższego sklepu – w Konie – miałbym prawie pięćdziesiąt kilometrów.

Pierwotnie planowałem bowiem wyruszyć na północne wybrzeże Hawai'i i od Waimanu po Waipio przepływać do kolejnych nadbrzeżnych dolin o ścianach tak stromych, że od strony lądu mogą do nich dotrzeć tylko wytrawni wspinacze albo helikoptery. Inna droga prowadzi oczywiście wokół cypli od strony morza i wyobrażałem sobie, że uda mi się tam dostać kajakiem. Przestrzegano mnie jednak, że ocean jest bardzo wzburzony.

Nainoa Thompson jest wybitnym żeglarzem, który w 1986 roku uczestniczył jako nawigator w rejsie katamaranu Hokulea z Hawajów do Tahiti i Nowej Zelandii. Thompson wziął mnie na stronę i powiedział:

– Pływałem na tamtych wodach w takich warunkach i fala wybiła szyby w sterówce. Czteropółmetrowa potężna fala. Niech pan nie płynie tam teraz

kajakiem.

Wybiorę się innym razem, pomyślałem. Na Hawajach nie brakowało mi cierpliwości. Czuję, że zostanę długo. Znajdę czas na wszystko.

Zamiast do Waipio powiosłowałem jakieś jedenaście kilometrów na południe od Orchid Bungalow i rozbiłem obóz pod palmami na brzegu zatoki Keawaiki. Niedaleko znajduje się spora posiadłość i okazała rezydencja złożona z kilkunastu zabudowań, którą w latach dwudziestych z miejscowego kamienia wybudował Francis I'i Brown, mistrz golfa, milioner i *bon vivant*, potomek jednego z doradców króla Kamehamehy, a zatem prawdziwy *alii*, arystokrata, członek najwyższej i bardzo wąskiej elity społecznej Hawajów. Jego rodzina posiadała rozległe włości na O'ahu, obejmujące Pearl Harbor.

Któregoś dnia zajrzałem przez szybę do jednego z tych kamiennych domów i dostrzegłem na przeciwległej ścianie kilka fotografii w ramkach. Jedna ukazywała Francisa Browna i Babe'a Rutha w strojach do golfa, pumpach, podkolanówkach i kaszkietach. Do innej Brown pozował w towarzystwie młodzieńca, którego bez trudu rozpoznałem jako Boba Hope'a. W Honolulu i na Big Island do dziś krążą barwne opowieści o ekscesach Browna, o jego znajomych i o owej osobliwej posiadłości, do której można się dostać tylko od strony morza i w której Brown gościł sławne osobistości.

– Wyprawiał szalone przyjęcia – mówią ludzie.

Pośrodku jednego ze słonowodnych stawów rybnych w posiadłości Browna stoi na wpół zrujnowana budowla, resztką pawilonu, gdzie w swoim czasie Brown – dożywotni kawaler – spotykał się z ukochaną, ciesząc się sławą najpiękniejszej tancerki *hula* tamtych czasów Winoną Love.

Wypłowiecie od słońca, puste i zamknięte na głucho zabudowania rezydencji Browna sprawiały przygnębiające wrażenie, jak to zapuszczone nadmorskie domy. Ale nie były mi potrzebne. Ugotowałem wartą dolara kolację – złożoną z kuskusu, soczewicy, owoców, herbaty – i usiadłem na skraju czarnej wydmy nad czarną wulkaniczną plażą pod tym samym sierpem księżyca, który urzekł mnie w Orchid Bungalow. Tam miałem klimatyzację i basen, tutaj – delikatną bryzę i morze, a do kąpieli słony staw wykopany w lawie i zasilany przez źródło. Bez cienia przesady powiem, że czułem się bogatszy, szczęśliwszy i bardziej spełniony, biwakując na tej plaży, niż gdy mieszkałem

w luksusowym bungalowie. Czułem się tak samo wolny jak na bezludnych wysepkach Vava'u lub w obozowisku w Tongariki u stóp niszczonego *ahu* na skraju Wyspy Wielkanocnej.

Niczego mi nie brakowało, czułem się bezpieczny, a co najważniejsze – żadne przeszkody czy osłony takie jak ściany, dywany lub tafle szkła nie oddzielały mnie od naturalnego piękna. W rzeczy samej nie było czego się bać – czułem się chroniony przez palmy i wydmy i to dodawało mi ducha i energii. W hotelowej rezydencji snułem się po luksusowych wnętrzach, polegiwałem przy basenie i to mnie rozleniwiało i tumańczyło. Natomiast tam, pod gołym niebem, wzbierało we mnie pragnienie, żeby wsiąść do kajaka i płynąć dalej.

Powiosłowałem na północ do następnej zatoki, a potem wokół cypla Weliweli, gdzie fale tłukły o zwały czarnej lawy. Popłynąłem jeszcze kilka kilometrów dalej, do zatoki Anaeho'omalu, gdzie są dwa luksusowe hotele. Nie dostrzegłem, żeby ktokolwiek kapał się w morzu albo pływał łodzią. Na południowym krańcu zatoki znalazłem ustronną plażę, zjadłem lunch i ruszyłem z powrotem. Wiatr przybrał na sile, fale urosły, ale mój dmuchany kajak z lekkością tańczył i ślizgał się na nich.

Nazajutrz rano pojawił się humbak, tak blisko brzegu, że wyraźnie widziałem jego nozdrze. Wynurzył się, plasnął ogonem, zawrócił, orząc morze niczym zbłąkana łódź podwodna. Powiosłowałem w jego stronę i widziałem, jak ostatni raz się zanurzył. Nie pokazał się już tego dnia. Skierowałem się na południe, gdzie linię brzegową tworzy szerokie na półtora kilometra pole zastygłej lawy. Zaraz za zatoką Ohiki leży Luahinewai, wymowna ilustracja hawajskiego paradoksu polegającego na tym, że z większością najpiękniejszych zakątków tych wysp wiążą się makabryczne historie. W 1790 roku w przepięknym Luahinewai król Kamehameha dokonał rzezi rywalizującego z nim wodza Keoui i dwudziestu czterech jego towarzyszy.

W zatoce Keawaiki, nad którą biwakowałem, roiło się od ryb, złotych, szmaragdowych, srebrnych. Podziwiałem różnokolorowe cyrulikowate, papugoryby i barwnie prążkowane rogatnice *Rhinecanthus rectangulus*, których nazwa w języku hawajskim brzmi *humuhumunukunukuapua'a* i które urzędowo uznano za przyrodniczy symbol Hawajów. Migotały niczym klejnoty

wśród koralowych skał. Ze stromo opadającej plaży nurkowałem z rurką prosto z brzegu, po czym – nieważki i rozgrzany – dryfowałem niesiony odpływem aż na skraj zatoki. Na biwaku w dzikiej okolicy rekreacja wymagała więcej inicjatywy niż w Mauna Lani, gdzie miałem siłownię i pole golfowe, ale dzięki temu przynosiła też większe zadowolenie. Pływałem, wędrowałem.

Zaraz za palmami ciągnie się jeden z najbardziej niezwykłych szlaków, jakimi kiedykolwiek szedłem, a mianowicie tak zwany King's Trail, który wyłobiono w wulkanicznych skałach wieki przed przybyciem kapitana Cooka. To zanurzona w skale na głębokość kilkudziesięciu centymetrów wąska droga, która niczym koleina odciśnięta przez wielkie koło ciągnie się skrajem wyspy przez wiele kilometrów. Obok dróg inkaskich i Watling Street<sup>[76]</sup> hawajski King's Trail jest jedną z najwspanialszych starożytnych arterii komunikacyjnych na świecie. W trakcie wycieczki tym szlakiem przystawałem pod palmami i strącałem kokosy, a także poszukiwałem petroglifów, których nie brak na Big Island.

Pewnego dnia wybrałem się zwiedzić jeden z najświętszych i najstarszych zabytków Hawajów, a mianowicie Mo'okini Luakini Heiau. Wzniesiona na wysokim brzegu świątynia ma formę wielkiego prostokątnego obwałowania ułożonego z kamieni wielkości kul armatnich. Wygląda jak zrujnowany klasztor, hawajski odpowiednik opactwa Tintern. Widmowe stare ołtarze i rozsypujące się mury emanują srogim dostojeństwem, którego dramatyzm podnoszą spienione fale rozbijające się o skały u stóp tej ruiny. Ta świątynia pod względem formy i usytuowania przypomina budowle, które zwiedzałem w Samoa i na Markizach, a gdy uzmysłowiłem sobie, że te pokrewne ruiny leżą o tysiące kilometrów stąd, oddzielone wielkim i groźnym *moana*, odczułem trwożną fascynację. Wiatr, drzewa, przygniecione do ziemi trawy i czarny skalisty brzeg sprawiają, że ta część Big Island do złudzenia – aż po koloryt pejzażu i wiszące w powietrzu wonie zielska – przypomina Wyspę Wielkanocną.

O dziesięć minut spaceru od świątyni przez łąkę znajdują się ruiny siedliska, w którym urodził się król Kamehameha. Na ustawionej tam tablicy przeczytałem między innymi: „Jego waleczność jako wojownika i mądrość

jako męża stanu predestynowały go do roli władcy, który zjednoczył Hawaje i zapewnił pokój oraz dobrobyt swojemu ludowi [...] Dochował wierności swojej wierze religijnej”. Ponadto przytaczano sentencję wygłoszoną przez tego kontrowersyjnego siedemnastowiecznego władcę, którego imię znaczy tyle co „Ten, który jest samotny”. Miał on powiedzieć: *E oni wale no oukou i ku‘u pono ‘a ‘ole e pau*, czyli: „Podejmijcie to dobre dzieło, które czyniłem, albowiem jeszcze nie jest skończone”.

Dni miałem słoneczne i miłe, noce – świetliste od gwiazd. Spałem tak samo dobrze jak na Kaua‘i, przyjemnie oszołomiony zmęczeniem. Budziły mnie popiskiwanie, skrzeki i sprzeczki ptaków w koronach palm. Wysiętek fizyczny, proste jedzenie i oszczędność wpisane w biwakowanie napełniały mnie o wiele większym zadowoleniem niż uprzednie gnuśne życie w stylu milionera i czując dumę z siebie, wpełzałem do namiotu na brzegu laguny i zasypiałem kamiennym snem.

**Czas** płynął, minęły miesiące, a ja nadal byłem na Hawajach, nie opuściłem Oceanii. Pływałem składanym kajakiem, dziwiąc się, jak bardzo jego brezentowe poszycie spłowieło w bezlitosnym słońcu. Niekiedy wyruszałem kanu z pływakiem bocznym, które wypożyczałem w Honolulu, albo łódką po nawietrznej stronie O‘ahu. Miejsca, do których pływałem po to, żeby je opisać, odwiedzałem znowu dla przyjemności. Zostało wiele okolic, które pragnąłem zwiedzić, choćby leżąca opodal Maui wyspa Kaho‘olawe, gdzie dawniej był poligon, albo północne wybrzeże Moloka‘i, gdzie w Kalaupapie ojciec Damien założył kolonię trędowatych. Prócz tego planowałem wyprawy kajakowe z wyspy na wyspę, kiedy pogoda pozwoli. Wiosłowanie zajęło miejsce pisania. Myślałem o książce i mruczałem pod nosem: mniejsza z tym.

Zwykle na tym etapie podróży – czy też w ostatnim rozdziale – podróżnik zmierza do domu. Albo już jest w domu i sumuje wrażenia, przegląda slajdy, porządkuje notatki, bodaj żałuje, że podróż już się skończyła, a w każdym razie tak mówi. Czytając to, myślicie zapewne: „Gadanie, na pewno świetnie czuje się w domu, częstując wszystkich opowieściami o nogalach, utyłanych w błocie tyłkach i o tym, co usłyszał od króla Tonga!”.

Czyż jednym z największych pożytków z podróży nie jest powrót do domu – otucha na widok stęsknionej rodziny i wiernych przyjaciół, otulenie przez swojskie pejzaże i domowe wygody?

Kiedyś wracałem do domu i byłem serdecznie witany, a na biurku w gabinecie znajdowałem stos korespondencji tak wielki, że już się osypywał na podłogę. Sumiennie przeglądałem pocztę, płaciłem rachunki, niektórym odpowiadałem, a potem paliłem listy i koperty. Przy palenisku w ogrodzie spędzałem nawet pół dnia, dżgając pogrzebaczem popioły wieści i spraw z okresu nieobecności. Kiedy nadrobiłem wszystkie zaległości, wracała rutyna życia domowego. Przystępowałem do pisania i spędzałem całe dni przy biurku, przeżywając od nowa podróż, a gdy o wpół do szóstej otwierano puby, kupowałem wieczorną gazetę, siadałem nad nią oparty łokciami na barze, popijałem porter i myślałem: „Miesiąc temu pociłem się w namiocie na brzegu rzeki i tłukłem packą muchy”.

Usadowiony w chłodnym i trącącym nieco stęchlizną, wykładanym drewnem wnętrzu pubu przeżywałbym żywe wspomnienie o kimś pokroju włóczykija Tony’ego, którego spotkałem na plaży w rezerwacie Aborygenów na północy Queenslandu.

– Kiedyś znalazłem pod skrzynką mięso kangura. Zapomniałem, że je schowałem. Miało dwa lata – rzekłby znowu ów wyłoniiony z pamięci Tony. – Było przepyszne. Doskonale do zupy.

I poczułbym się wybrańcem, i dziękowałbym w duchu za to, że wróciłem, że mam dom, że za mną tęskniono i że jestem kochany.

Podróż oczywiście ma początek i koniec i zwykle jest doświadczeniem osobnym, ujętym w nawias zwykłego życia. Ale ta podróż, z kajakiem i w kajaku przez Oceanię, zamieniła się w samo życie. Zostałem na Hawajach, zamieszkałem w Honolulu w dolinie pełnej tęczy i pisałem o Trobriandach, Wyspach Salomona i o trampie Tonym zbierającym resztki na plażach. Wspominałem pełną powagi Aborygenkę Gladys i jej wnuka, który szukał gnidy z jej włosów. Wspominałem dzieciaki z Kaisigi śpiewające w ciemności *Weespa a frayer*. Wspominałem starszego mężczyznę na Savo, który z uchem przy starym radiu słuchał wiadomości o wojnie w Zatoce. Wspominałem Mimi



z Moorei, która wskazując adoptowaną markizańską dziewczynkę, rzekła: „Wkrótce otrzyma nazwisko Theroux”.

Spotkałem dobrych ludzi w wodnym świecie Oceanii. Często rozmyślałem o Wyspie Wielkanocnej, niesamowitych kamiennych obliczach *moai*, samotnym wietrze, a także – pewnie dlatego, że w Oceanii nie widuje się głodnych ludzi – o małym Robercie z tamtej wyspy, który bąknąwszy podziękowanie, drapieźnie wyłuskał ze skorupki jajko na twardo, które mu dałem, i pożarł je tak łapczywie, aż oczy wyszły mu z orbit.

Spędziłem wiele czasu, wędrując po plażach Hawajów. Wiele również wiosłowałem. Któregoś ranka, płynąc kajakiem wzdłuż brzegu Kaua‘i, zauważyłem dwa humbaki i wsunąłem się do wody, aż zakryła mi uszy, po czym przez godzinę albo i dłużej słuchałem śpiewów i westchnień szczęśliwej pary wielorybów. Wciąż byłem w ruchu, niczym człowiek, który wyszedł po gazetę i nigdy nie wrócił. Właśnie tak się czułem. Przepadłem. Nie miałem powodu wracać. Nikt za mną nie tęsknił. Połowa życia została zaćmiona.

**A potem** wszystko zostało zaćmione. Pewnego lipcowego ranka Big Island znalazła się w pasie całkowitego zaćmienia słońca. Obudziłem się o piątej i poszukałem maski spawalniczej. Kupiłem maskę o największym stopniu przyciemnienia. Kiedy ją założyłem, zaległa ciemność. Powiedziano mi, że gdybym spojrział przez nią w słońce, widziałbym nadal ciemność, a w niej błądy opłatek.

Poprzednie całkowite zaćmienie miało miejsce na Hawajach w 1850 roku i wzbudziło w wyspiarzach trwogę, że wodzowie ich opuścili, bogowie się rozgniewali, a słońce – dostojne *la*, które czcili – straciło *mana*. Rozbłyły gwiazdy za dnia, temperatura spadła, kwiaty się zamknęły, zamilkły ptaki.

W 1991 roku tłumy turystów zjechały na Hawaje, żeby oglądać zaćmienie. Następne przewidywano dopiero za sto czterdzieści dwa lata. Półtora tysiąca Japończyków przycupnęło na fairwayu pierwszego dołka pola golfowego ośrodka Hyatt Waikoloa, ściskając w ręku przyciemnione szkielekta, które miały ich ustrzec przed oślepieniem.

– Zaćmienie to najbardziej zatrważające zjawisko na świecie – stwierdził astronom Edward Krupp. – Każdy człowiek powinien przynajmniej raz w życiu je zobaczyć.

Zaćmienie to zarazem nie była jaka okazja marketingowa. Hotelowe restauracje kusily omletem pod nazwą *eggclipse*. Oferowano okolicznościowe ręczniki, kubki, biżuterię, koszulki z nadrukami „Eclipsomania!”, „Totally Umbra!” i „I was there!”. Młodzieniec nazwiskiem Miles Okimura z Honolulu sprzedawał pamiątkowe puszki z ciemnością w środku. „Honolulu Advertiser” wytknął, że „ciemność została zapuszkowana przed zaćmieniem”.

Wyłączając jeszcze półprzytomny na dach mojego hotelu, we wczesnoporannych ciemnościach wpadłem na faceta z latarką, który bezsprzecznie był Portugalczykiem.

– Pochmurno – rzucił oskarżycielskim tonem.

Louis Schwartzberg, gość zajmujący się fotografią poklatkową, siedział na dachu od czwartej, wyposażony w dwa aparaty małoobrazkowe. Przywiózł czternaście skrzyń ze sprzętem.

– Zwykle wożę trzydzieści – oznajmił. – Ale tutaj jestem sam.

Jedliśmy winogrona. Louis zerkał niespokojnie w zachmurzone niebo nad Mauna Kea.

– Na nic się nie przyda – stwierdził, wskazując moją maskę spawalniczą.

– O której wschodzi słońce? – zapytałem.

– Wzeszło dwadzieścia minut temu – odparł.

Zapowiadano bezchmurny dzień. Prawie zawsze było bezchmurnie. Owo niewydarzone zachmurzenie miało coś wspólnego z popiołami wulkanicznymi po wybuchu Pinatubo na Filipinach. Louis zamilkł. Poszedłem na skraj dachu i zobaczyłem, że na polu golfowym niespełna kilometr stamtąd zbierają się ludzie.

– Co można zrobić?

– Modlić się – rzekł Louis. Pomyślałem, że zacnie krzyczeć. Zacisnął zęby. Nie przystoi. Pochodził z Los Angeles.

– Trudno, chmury, trzeba się z tym pogodzić – westchnął. – Jakoś przeboleję, że nici ze zdjęć. Trudno. Ale przynajmniej zjechała się masa fajnych ludzi.

Poszedłem na pole golfowe, gdzie całe rodziny przysiadły na trawie, gapiąc się w białe chmury i przygotowując aparaty fotograficzne. Tam i z powrotem wielkimi krokami przechadzał się Bryan Brewer, wysoki, blady facet z Seattle w koszulce z nadrukiem „Eclipsomania”. Wydał książkę pod tytułem *Eclipse* [Zaćmienie]. Podróżował po świecie, obserwując zaćmienia. Przewidywał, że to będzie jednym z najwspanialszych. Przywitałem się z nim i zapytałem, jak się czuje.

– Zdenerwowany – odparł.

Zupełnie jak gdyby poczuwał się do odpowiedzialności za owo zrzucenie Boga.

– Takiego zachmurzenia nie zobaczymy przez następne sto czterdzieści dwa lata – rzekł któryś z fotografów.

Nikt się nie roześmiał, chociaż był to bardzo zabawny komentarz.

Kobieta o imieniu Charlene przyjechała na Hawaje z cyklem wykładów na temat świadomości kosmicznej i wibracji słonecznych związanych z zaćmieniem – prawdziwej *mana* emanującej z cienia słońca. Miała długie włosy i suknię do ziemi. Trzymała się z grupką rozgadanych fotografów. Podekscytowana krążyła pośród nich.

– Słuchajcie, moi drodzy, mam pewien pomysł, kochani – powiedziała. Niebo zasnuwały perłowoszarze chmury, a na ziemi wyczuwało się zniechęcenie.

– Jest na to rada, kochani – ciągnęła Charlene. – Kiedy Dalajlama uciekał z Tybetu, potrzebował zasłony chmur. On i jego towarzysze wzięli się za rękę i jęli skandować mantrę *om*.

Nie mając nic do stracenia, spróbowaliśmy tego i chmury zauważalnie zgęstniały. Czyż nie tak właśnie stało się w Tybecie? Nikt tego nie skomentował, chociaż niemal wszyscy wydali po kilka tysięcy dolarów, żeby zobaczyć zaćmienie. Oprócz Japończyków zjechali Francuzi, Niemcy, trochę Brazylijczyków, goście z Kalifornii i z Kanady.

– Mike jest na Półwyspie Kalifornijskim. Też w pasie całkowitego zaćmienia. Tam nigdy nie ma chmur... – mówił jeden z fotografów.

– Lepiej wracajmy do hotelu i obejrzyjmy to sobie w CNN – rzucił inny.

Na dachu Louis Schwartzberg wzdychał:

– Trudno, trzeba się z tym pogodzić.

– No i co z tym zaćmieniem? – zapytał ktoś Bryana Brewera.

– Nie wiem – odparł ze skrucą Brewer. – Jest jeszcze nadzieja.

– Nie widzieliście ogłoszenia w Konie? – odezwała się jedna z kobiet. – Zaćmienie odwołano z powodu nieprzewidzianych trudności.

– Zaćmienie zostało zaćmione.

Budziła się przyciężka poranna wesołość.

– Chmura się rusza – powiedział ktoś z przejęciem.

Wszyscy pragnęli, żeby chmury się odsunęły. I niektóre jęły się rozsuwać niczym zachodzące na siebie welony, spomiędzy których buchało światło. Dziesięć po siódmej.

Z nadzieją włożyłem maskę spawalniczą, ale ujrzałem tylko nieprzeniknioną ciemność. Zdjąłem maskę i patrzyłem, jak chmury przesuwają się po tarczy słońca, rozsnuwając się niczym wielkie motki wełny.

Nikt nic nie mówił, wszyscy patrzyli skupieni, wreszcie rozległy się wątle brawka, gdy słońce zapłonęło w ginącej chmurze, prześwietlając niksące wełniste kłaczki. A kiedy się wyłoniło, ciągle zamglone, ale już widoczne, nie było idealnym kołem. U góry zostało jakby wygryzione. Gdyśmy na nie patrzyli, owo wygryzienie rosło, aż słońce zaczęło przypominać sierp księżycy, tyle że dziwnie wielki i świecący w dzień.

– Jakie masz ustawienia?

– Jedna dwudziesta piąta, przysłona osiem przy czułości sto ASA.

Zabrzmiało to jak rozkaz otwarcia ognia, bo natychmiast rozległ się przeciągły odgłos trzaskających migawek, jak gdyby oddział łuczników w szalonym tempie jął szyc z kusz.

– Sprawdź ostrość.

– Patrz na ten cień.

– Ma ktoś światłomierz?

To zakładałem, to zdejmowałem maskę spawalniczą. Przez nią widziałem blady sierp. Bez niej – niemal oślepiający blask. Zaciskałem powieki, zerkałem i odwracałem wzrok, jak gdybym podglądał coś nieprzyzwoitego. Było dwadzieścia cztery po siódmej, słońce zamieniło się w złocisty banan, a dwie minuty później poczułem chłód, banan ścieniał i przekształcił się

w gorejący rozek, który nikł, nikł, aż została tylko brylantowa drzazga, a w końcu jedynie intensywnie biała łupina. Reszta była czarnym dyskiem, na którego obwodzie gorzały cętki światła. Obserwowałem zjawisko zwane perłami Baily'ego.

W końcu słońce całkiem zgasło, jak gdyby na jego tarczę nasunięto talerz albo zasłoniła ją prawa ręka Boga, jak twierdzą niektórzy, albowiem aż tak wydawało się to nadprzyrodzone. Rozległy się krótkie, niepewne brawa, kilku osobom wyrwał się zdławiony okrzyk, a potem zaległa cisza i spowił nas chłodny cień. W hawajskim pidżynie ciarki nazywa się nie gęsią, lecz kurzą skórką.

– *Cziken skin, cziken skin* – słyszałem.

O siódmej dwadzieścia dziewięć świat stanął na głowie. Znowu rozbłysły gwiazdy za dnia, temperatura spadła, kwiaty się zamknęły, umilkły ptaki, a my staliśmy zakłęci w słupy soli na ziębnącej planecie i patrzyliśmy, jak światło ucieka ze świata.

Gapiliśmy się ślepo w czarne słońce, aż u góry zapłonęło i wybuchło łuną czerwonego światła.

Nasze zdumienie nie było zachwytem, lecz raczej lękiem i niepewnością, wrażeniem, że oglądamy coś w najwyższym stopniu niesamowitego. Pomyślałem, że zapewne tak człowiek odczuwa początek ślepoty. Rozejrzałem się wokół. Ciemno, mrok, zaledwie tyle światła, że można by gryzmolić w notatniku, gdyby podsunąć go sobie pod nos. Nie absolutna ciemność, lecz najbardziej upiorna zorza wkoło świata, na całym horyzoncie, niczym wszechogarniający zmierzch. Utrzymywała się cisza, licznie zebrany tłum wciąż patrzył w niebo, wszyscy jakoś posępni, chociaż poranne powietrze zapachniało nagle rozkwitającym w nocy jaśminem.

Był to świat zatrważającej magii, w którym wszystko jest możliwe.

Zanim słońce wyłoniło się znowu z cienia, ukazując nam ziemię nieskończenie wspanialszą niż kiedykolwiek przedtem, pocałowałem stojącą obok kobietę, uradowany, że jest przy mnie. Czułem się szczęśliwy, a więc jak w domu.

## Przypisy

- [1] J. Conrad, *Tajny agent*, przeł. A. Gliniczanka, Warszawa 1973, s. 134 [jeśli nie podano inaczej, przypis pochodzi od tłumacza].
- [2] B. Malinowski, *Życie seksualne dzikich w północno-zachodniej Melanezji*, przeł. A. Waligórski, J. Chałasiński, Warszawa 1957, s. 126.
- [3] 21 lutego 1991 roku „Daily Telegraph Mirror” w Sydney donosił: „Pewna sędzia pokoju zbulwersowała policję, orzekając, że policjantów wolno nazywać »p..... pedałami« [...] We wtorek sędzia Pat O’Shane uwolniła Geoffreya Allana Langhama, lat 43, od zarzutu używania obraźliwego języka. Urzędująca w Lismore na północnym wybrzeżu stanu pani O’Shane stwierdziła, że słowa »p..... pedały« nie są tak obraźliwe jak sformułowanie »straty uboczne«, które wojskowi odnoszą do niezamierzonych ofiar cywilnych. W minionym kwartale sędziowie pokoju w Nowej Południowej Walii orzekli, że wolno nazywać policjantów »świniami« i publicznie używać słowa »gówno«” [przyp. aut.].
- [4] Firma fikcyjna, o ironicznej nazwie, wymyślona przez Patricka White’a w *The Twyborn Affair* [Afera Twyborna].
- [5] Cyt. wg: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu* (Biblia Tysiąclecia), Poznań 1991, s. 587.
- [6] Czas snu, *alczeringa*, to zarazem mitologia Aborygenów, jak i epoka kosmogonii, w której z duchowych przodków wyłoniły się cielesne stworzenia żyjące na ziemi.
- [7] Aria z oratorium *Mesjasz* Haendla.
- [8] *Krokodyl Dundee* nie był *de facto* drugim filmem w karierze Davida Gulpilila. Ponadto do chwili obecnej Gulpilil jest czynnym i uznanym aktorem australijskim, zagrał znaczące role między innymi w takich produkcjach jak *Polowanie na króliki* Phillipa Noyce’a (2002), *Australia* Baza Luhrmanna (2008) czy *Kraina Charliego* Rolfa De Heera (2013) [przyp. red.].
- [9] Czyli puciołowatą. *Gumnut* to owoc eukaliptusa, mała zdrewniała torebka nasienna o gruszkowatym kształcie.
- [10] Chodzi o kaliber, w pierwszym przypadku 0,410 cala (10,4 mm), w drugim *12-gauge*, czyli równy średnicy ołowianej kuli o wadze jednej dwunastej funta, a więc 0,729 cala (18,5 mm).
- [11] W rzeczywistości jest to zapisek pod datą 7 lipca z dziennika Josepha Banksa, który jako botanik uczestniczył w pierwszej wyprawie Cooka.
- [12] Jak wyżej, zapisek z 12 lipca.
- [13] Johann Flierl od 1878 roku przebywał na misji w Australii, więc zapewne tam czytał o podróżach kapitana Cooka. W 1885 roku wyruszył do Nowej Gwinei, żeby zakładać tam misję, a po drodze przez rok działał w okolicach Cooktown.

- [14] W polskim przekładzie *Finnegans Wake*: pojęczalek, trenek, szkoda, grzmiątek, pietrek i druzgota [w:] J. Joyce, *Finneganów tren*, przeł. K. Bartnicki, Kraków 2012, s. 301.
- [15] B. Malinowski, *Argonauci zachodniego Pacyfiku*, przeł. B. Olszewska-Dyoniziak, S. Szyrkiewicz, Warszawa 2005, s. 73.
- [16] B. Malinowski, *Dziennik w ścisłym znaczeniu tego wyrazu*, Warszawa 2002, s. 638.
- [17] Tamże, s. 609.
- [18] Tamże, s. 593.
- [19] Tamże, s. 522.
- [20] B. Malinowski, *Argonauci zachodniego Pacyfiku*, dz. cyt., s. 70.
- [21] A. Tennyson, *Zamek w Locksley*, przeł. J. Kasprówicz [w:] A. Tennyson, *Poezje wybrane*, wyb. i tłum. Z. Kubiak, Warszawa 1970, s. 91.
- [22] B. Malinowski, *Życie seksualne dzikich*, dz. cyt., s. 249.
- [23] Mt 6, 24, cyt. wg: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu* (Biblia Tysiąclecia), Poznań 1991, s. 1130.
- [24] Mt 7, 13, tamże, s. 1131.
- [25] B. Malinowski, *Argonauci zachodniego Pacyfiku*, przeł. B. Olszewska-Dyoniziak, S. Szyrkiewicz, Warszawa 2005, s. 53.
- [26] B. Malinowski, *Życie seksualne dzikich*, dz. cyt., s. 70.
- [27] Kapitan Álvaro de Mendaña przyłynął w te strony z Peru, zachęcony inkaskimi opowieściami o wyspach ze złota, które leżą sześćset lig na zachód. Sądzę, że Inkowie wymyślili bardzo sprytny sposób na pozbycie się jeszcze jednego konkwistadora [przyt. aut.].
- [28] W rzeczywistości łódź dowodzona przez Kennedy'ego została staranowana przez japoński niszczyciel.
- [29] Malaita jest największą wyspą w prowincji Malaita.
- [30] To oczywiście fantastyczna eksplikacja. Słowo *miedwied* jest złożeniem *mied* i *ed*, więc etymologicznie znaczy tyle co „jedzący miód”.
- [31] Mowa o *Megapodius freycinet*, nogalu ciemnym.
- [32] Walter Lini był księdzem anglikańskim, natomiast popierali go głównie prezbiterianie.
- [33] Cyt. wg: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu* (Biblia Tysiąclecia), Poznań 1991, s. 1135.
- [34] Tamże, s. 1219.
- [35] E. Canetti, *Nauszny świadek*, przeł. B. L. Surowska [w:] tegoż, *Głosy Marrakeszu*, Warszawa 1977, s. 288.
- [36] Iz 49, 2, cyt. wg Biblii Tysiąclecia, wyd. cyt., s. 891.

- [37] „Elder” to najniższa ranga kapłańska w Kościele mormońskim, a także tytuł misjonarzy propagujących tę religię. „Udall” to nazwisko jednego z najbardziej wpływowych rodów mormońskich.
- [38] W latach 1881–1961 w Walii obowiązywał zakaz otwierania barów w niedziele.
- [39] Fijian Affairs Board, agencja rządowa nadzorująca władze lokalne.
- [40] Wolny Kościół Wesleyański to kościół państwowy i największa denominacja metodystyczna w Tonga.
- [41] W. Whitman, *Pieśń o sobie*, przeł. A. Szuba, Kraków 1992, s. 67.
- [42] W. Blake, *Wróżby niewinności* [w:] tegoż, *Poezje wybrane*, przeł. Z. Kubiak, Warszawa 1972, s. 104.
- [43] C. Lévi-Strauss, *Myśl nieoswojona*, przeł. A. Zajączkowski, Warszawa 1969, s. 312.
- [44] Właściwie polsko-niemiecki przyrodnik, etnolog i podróżnik Jan Jerzy Adam Forster, ur. w Mokrym Dworze koło Gdańska w 1754 roku (przyp. red.).
- [45] Z wiersza *Song: Of All the Torments* Williama Walsh (1663–1708).
- [46] Chodzi o Alexandra Theroux, którego tutaj autor żartobliwie przywołał imieniem starszego brata Sherlocka Holmesa.
- [47] D. Defoe, *Robinson Crusoe*, przeł. J. Birkenmajer, Warszawa 1986, s. 116.
- [48] Używana przez autora tu i dalej nazwa „Samoa Zachodnie” obowiązywała do roku 1997, kiedy to rząd zmienił nazwę kraju na Samoa. Odwiedzone przez Paula Theroux w dalszej kolejności Samoa Amerykańskie, terytorium zamorskie USA, protestowało przeciwko takiemu posunięciu, twierdząc, że ta zmiana ingeruje w tożsamość jego własnych mieszkańców [przyp. red.].
- [49] Saki, właściwie Hector Hugh Munro, pisarz angielski, autor opowiadań i powieści satyrycznych, między innymi *The Unbearable Bassington* [Nieznosny Bassington].
- [50] Nazwisko „Descartes” wymawia się „de cart”, czyli podobnie jak *the cart* (wóz), więc powyższe zdanie znaczy albo „Nie stawiaj wozu przed koniem”, albo „Nie stawiaj Descartes’a przed koniem”.
- [51] Oczywiście „I think, therefore I am” – „Myślę, więc jestem”, co brzmi podobnie do „I’m pink, therefore I’m spam” – „Jestem różowy, więc jestem mielonką”.
- [52] J. London, *Chińczak*, przeł. G. Karski [w:] tegoż, *Najciekawsze nowele*, Warszawa 1968, s. 225.
- [53] Tamże, s. 215.
- [54] Th. Heyerdahl, *Wyprowa Kon-Tiki*, przeł. J. Pański, Warszawa 1972, s. 210.
- [55] H. Melville, *Taipei*, przeł. B. Zieliński, Warszawa 1963, s. 111.
- [56] Tamże, s. 168.
- [57] Tamże, s. 20.
- [58] Tamże, s. 20, 21.
- [59] Tamże, s. 241.
- [60] Tamże, s. 37.



- [61] Tamże, s. 164.
- [62] Tamże, s. 26.
- [63] Tamże, s. 14.
- [64] Th. Heyerdahl, *Fatu Hiva*, przeł. B. Zieliński, Warszawa 1978, s. 212.
- [65] Mi 5, 3–5, cyt. wg: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu* (Biblia Tysiąclecia), Poznań 1991, s. 1087.
- [66] Zob. Ch. Baudelaire, *Zaproszenie do podróży*, przeł. M. Leśniewska [w:] tegoż, *Kwiaty zła*, Kraków 1990, s. 141.
- [67] To praktykowana w południowoafrykańskich gettach wyjątkowo bestialska metoda zabijania wrogów politycznych, polegająca na spaleniu żywcem za pomocą założonej na szyję opony napełnionej benzyną [przyp. aut.].
- [68] Zob. s. 295.
- [69] P. B. Shelley, *Ozymandias*, przeł. A. Asnyk [w:] tegoż, *Poezje wybrane*, red. J. Żuławski, Warszawa 1961, s. 26.
- [70] Th. Heyerdahl, *Aku-Aku*, przeł. J. Giebułtowicz, Warszawa 1968, s. 56.
- [71] R. L. Carson, *Morze wokół nas*, przeł. T. Borysiewicz, Warszawa 1962, s. 111.
- [72] J. London, *Trędowaty Koolau*, przeł. B. Zieliński [w:] tegoż, *30 nowel Jacka Londona*, Warszawa 1966, s. 273.
- [73] Postać z bardzo popularnego w Stanach komiksu *Li'l Abner*, uosobienie bezwzględnego kapitalisty.
- [74] M. Twain, *Pod gołym niebem*, przeł. K. Tarnowska, Warszawa 1965, s. 405.
- [75] Chessmana stracono w komorze gazowej. Skazano go za kradzież, porwania i gwałty, a kwestia jego niewinności wcale nie jest jasna.
- [76] Wybrukowany przez Rzymian starożytny szlak wiodący z dzisiejszego Dover przez Londyn do Wroxeter.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.  
www.czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice  
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75  
mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl  
dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl  
edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa  
redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa  
tel./fax +48 22 621 10 48  
agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl  
zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl  
magda.jobko@czarne.com.pl

Dział marketingu: honorata@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl  
agnieszka.wilczak@czarne.com.pl, urszula@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl  
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków, tel. +48 12 432 08 52  
info@d2d.pl

Wołowiec 2017  
Wydanie I